

Peter Berling

Krew Królów

Das Blut der Könige

Wydanie oryginalne: 1993

Wydanie polskie: 1997

TMN

NEC SPE NEC METU

Kyrze Stromberg i Michaelowi Krügerowi
poświęcam

بأنتي سأكتب
كتاباً صغيراً

DRAMATIS PERSONAE

DZIECI GRAALA

Roger Rajmund Bertrand *zwany Roszem*
Izabela Konstancja Rajmunda *zwana Jezą*

OPIEKUNOWIE DZIECI

Laurencja z Belgrave, *hrabina Otranto, zwana Przeoryszą*
Hamo l'Estrange, *syn Laurencji*
Klarion, *hrabina Salentyń, wychowanka Laurencji*
Madulajn, *Saracinka, pokojowa Laurencji*
William z Roebroku, *franciszkanin*
Gawin Montbard z Béthune, *komandor templariuszy*
Zygisbert z Öxfeldu, *komtur zakonu krzyżackiego*
Jan Turnbull, *alias Condé Jan Odo z Mont-Sion*
Crean z Bourivanu, *syn Jana Turnbulla, asasyn*
Tarik ibn-Nasir, *kanclerz asasynów z Masnatu*
Konstancjusz, *książę Selinuntu, alias Fassr ad-Din Oktaj, zwany Czerwonym Sokołem*
Boemund VI, *młody książę Antiochii*
Ezer Melchsedek, *kabalista z Aleksandrii*

W SŁUŻBIE FRANCJI

Ludwik IX, *król Francji*
Małgorzata, *małżonka króla*
Robert z Artois, *brat króla*
Karol z Anjou, *brat króla*
Iwo Bretończyk, *przyboczny strażnik króla*

Maître Robert z Sorbony, spowiednik króla
Jan z Ronay, zastępca wielkiego mistrza joannitów
Szymon z Saint-Quentin, dominikanin
Hrabia Jan ze Joinville, seneszał Szampanii, kronikarz
Hrabia Jan z Sarrebrucku, kuzyn Joinville'a

W SŁUŻBIE ISLAMU

Al-Salih al-Din Ajjub, sultan Syrii i Egiptu
Turanszah, syn sultana
Szadszar ad-Durr, sultanka
Abu al-Amlak, wielki ochmistrz dworu w Damaszku
Fachr ad-Din, wielki wezyr
Fassr ad-Din Oktaj, syn wielkiego wezyra, zwany Czerwonym Sokółem
Rukn ad-Din Bajbars, emir, dowódca mameluków – gwardii pałacowej w Kairze
Mahmud, syn emira
Szirat, najmłodsza siostra emira
An-Nasir, władca Aleppo
Al-Aszraf, emir Homsu
Abu Basit, sufi

LIB. I

I

TRIERA PIRATKI

Z diariusza Jana ze Joinville

Morze Egejskie, 27 sierpnia A.D. 1248

Pojawienie się triery spadło na bizantyński zagłowiec handlowy jak piorun z jasnego nieba. Podobny do piekielnego owada statek wojenny ślizgał się po falach. Jego czarny dziób wznosił się nad stalowobłękitnym morzem jak złowrogi cień, tym straszliwszy, że Grecy drżąc z przerażenia poznali, iż niesamowity przeciwnik nie zamierza poprzestać na groźbach, nie jest skłonny do układów, lecz nieubłaganie szykuje się do taranowania...

Przypomnił mi się mój niedawny pojedynek. Żelazo zmierzało w kierunku mego podbrzusza. Próbowałem odparować cios i odskokiem ratować trzewia, ale ostrze przejechało mi po genitaliach!

Wszystkie biedy i udręki, jakie przedtem i potem wycierpiałem, zbladły przy bólu wywołanym cięciem, które mi odebrało siłę męską, czego jeszcze nie byłem świadomy. Odrzuciłem miecz, aby obie dłonie przycisnąć do rany, i rozchyliłem usta do krzyku, ale już go nie wydałem. Padłem bez zmysłów na ziemię.

Wspomnienie tamtych chwil wróciło właśnie teraz na widok zbliżającego się śmiertelnego niebezpieczeństwa, tym razem jednak nie straciłem przytomności i usłyszałem, jak bezsensownie krzyczę:

– *Mère de Dieu!** Triera hrabiny!

Uświadomiłem sobie, że przed tym ciosem losu nie ma ratunku. Na podwyższonej rufie stałem przecież tylko ja, Jan hrabia Joinville, seneszał Szampanii. Nie było kogo wzywać do walki. Wyciągnąłem ukradkiem broń.

Kupcy poniżej mnie padli na kolana i machali pokornie białymi chustkami, a kapitan w ostatnim wyrazie bezsilnego oburzenia wołał na swoich ludzi, by napięli obie katapulty.

– Nie brać jeńców! – dobiegł do nas władczy głos pani z Otranto, gdy kamienne pociski odbiły się bezskutecznie od hebanowego pancerza jej triery, a żadna strzała nie utkwiła w wysoko uniesionej ochronnej tarczy. Uderzenia kamieni grzmiały jak odgłos kotłów, świergot strzał jak brzęk cymbałów. Dla uszu hrabiny była to prawdziwa muzyka.

Hrabina Laurencja stała wyprostowana przed swoją kajutą na rufie, ufarbowane henną włosy owiewały jej twarz niczym lwia grzywa. Służebne szukając osłony przykucnęły za relingiem. Wzrok hrabiny prześlizgnął się z upodobaniem po górnym rzędzie wioślarzy, którzy teraz jednym ruchem wyjęli ze wzburzonych fal wiosła zakończone piórami w kształcie kos i ustawili na sztorc długie, błyszczące trzony gotowe do śmiertelnego ciosu, podczas gdy znajdujący się pod nimi wioślarze niższych rzędów przyspieszyli tempo.

Kapitan Bizantyńczyków próbował rozpaczliwym manewrem uchronić bok statku od uderzenia. Wtedy usłyszałem, jak Guiscard, zwany Amalfitańczykiem kapitan triery, zatrzymał na jedno uderzenie wioślarzy na prawej burcie i w ten sposób manewr Greka sprowadził się do bezradnego gestu ucieczki.

Widzę się wciąż, jak stoję na górnym pokładzie bizantyńskiego żaglowca, na szeroko rozstawionych nogach, z mieczem wbitym w pokład między nimi, jakbym miał jeszcze trochę siły w spodniach, a moje żelazo mogło mi zjednać respekt. Tymczasem próbowałem tylko uzyskać możliwie stabilną pozycję na moment oczekiwanego zderzenia.

Tak stałem jeszcze niedawno na Sycylii przed pewnym młodym Anglikiem, który zmarł później na suchoty. Głupia miłośćka doprowadziła nas do zabronionego pojedynku: poszło o Konstancję, jedną z dworek Blanki di Lancia, cesarskiej faworyty, jasną blondynkę o prostym nosie i wolicach oczach.

Już od dłuższego czasu umizgałem się do niej, ponieważ cesarz Fryderyk zatrzymał mnie jako „drogiego gościa i kuzyna”, natomiast młody Bruce z Belgrave, o podobnie prostym nosie, tylko rudowłosa, zakochał się w Konstancji po uszy.

Natarł na mnie jak szaleniec. Nie wziąłem przeciwnika poważnie i starałem się zmęczyć swoimi ciosami. Moja opieszałość doprowadziła go do wściekłości i stało się.

Było mu niezmiernie przykro, kazał mnie o tym powiadomić, gdy wkrótce po mnie został przewieziony do szpitala w Salerno. Nie chciałem go widzieć.

Fryderyk przekazał mnie najlepszym lekarzom cesarstwa, wyłącznie muzułmanom i Żydom, których zgromadził w tej *universitate medicinae artis**. Zdołali mi tylko zachować

* *Mère de Dieu* (fr.) – Matko Boska!

możliwość siusiania, uratowali także jądra – nieprzydatne na nic. *Ductus deferens** został przecięty, jak mi wyjaśniono.

– Spłodziliście już, panie, dwoje dzieci – pocieszali mnie – nieszczęsny popęd zaś wkrótce ulegnie atrofii, zaniknie – tak wyrazili się o przyszłości mego pozbawionego sensu fallicznego atrybutu...

– *O'sperone, maledetti!** – ryknął Guiscard i wyrwał mnie z rozmyślań. Zobaczyłem, jak biega w kółko na swej drewnianej nodze.

– *Sidi! Sidi!** – zawyli Maurowie, do których należała obsługa najstraszliwszej broni triery.

Czterech zuchwałych kompanów wyskoczyło bez słowa z szeregów i pospieszyło na stanowiska. Taran był groźną tajemnicą tego sprawiającego wrażenie staromodnego wojennego statku, który hrabina odziedziczyła po mężu, admirale. I jakby statek wstydził się swego perfidnego urządzenia, taran nie był zamontowany do dzioba na stałe, lecz wisiał do połowy wpuszczony pod kil i był wydobywany tylko do zadania śmiertelnego ciosu. Wówczas jednak nic jeszcze o tym nie wiedziałem i dobrą chwilę potrwało, nim się zorientowałem, co się w tym momencie dzieje. Gdy czterej *speronisti** stękając naparli na winde, genialna konstrukcja łańcuchowa, z zewnątrz do złudzenia podobna do windy kotwicznej, ruszyła przez wręgi i wyciągnęła przed dziób obity żelazem dębowy pień. Głęboko pod powierzchnią morza spiczasty koniec przesuwiał się powoli, jak murena wyłaniająca się ze swej jaskini. Miał głowę z brązu na kształt fallusa, to zgrubienie było podobne do pąka róży, ale potem, gdy taran w pełni ustawił się przeciwko prądowi, trzy opatrzone kolcami zakrzywione haki odchyliły się do tyłu i odsłoniły ostry jak nóż, wyszlifowany trójgraniasty szpic. W końcu belka podniosła się pod wodą lekko w górę, żeby w wysklepioną burtę ofiary trafić pod odpowiednim kątem, podobnie jak nóż wbija się w brzuch od dołu.

Nikt nie widział, jak taran się zbliża, także Guiscard musiał się zdać na swoje doświadczenie. Taran parł pod falami do przodu, a ja ogarnięty złym przecuciem patrzyłem, jak Maurowie z abordażowymi toporami w milczeniu czają się za tarczą dziobu.

Nie padła już żadna dalsza komenda, dziób triery uderzył w prawy bok statku, lekko wgniatając roztrzaskujący się reling Greka; uderzenie i łoskot pękającego drzewa zagłuszyły nieporównywalnie słabszy odgłos *perforationis**, dokonującej się poniżej linii wodnej.

Ostrze tarana wbiło się w burtę niezbyt głęboko, bo chroniły go zakrzywione haki, które jak kleszcze wczepiły się promieniście w drewno. W ten sposób żaden ruch statku nie mógł

* *Universitas medicinae artis* (łac.) – dosł. całość sztuk medycznych; nazwa wyższej szkoły medycznej.

* *Ductus deferens* (łac.) – przewód nasienny.

* *O'sperone, maledetti!* (wł.) – do tarana, przekleści!

* *Sidi* (arab.) – pan.

* *Speronisti* (wł.) – ludzie obsługujący taran.

* *Perforatio* (łac.) – przebicie na wylot, przewiercenie.

wyrwać tarana, który tkwił w burcie jak szpunt i teraz jeszcze zapobiegał wtargnięciu wody do wnętrza.

Nikt z nas na pokładzie nie zauważył śmiertelnej rany.

W momencie zderzenia z triery opuszczono ze szczękiem na pokład Greka dwa rozpostarte skrzydła, znajdujące się po lewej i prawej stronie dziobu o kształcie smoczego łba. Były jak zwodzone mosty; po nich Maurowie rzucili się na zdobycz.

Wzgardzili handlarzami, kulącymi się na rufie, i załogą, która zgrupowała się pod masztem wokół kapitana, nie ważąc się już na żaden opór, a także nie zamierzając oddawać życia za majątek kupców; napastnikom chodziło tylko o skrzynie i wory, teraz wyszarpywano je z luków i szybko utworzonym żywym łańcuchem przekazywano na trierę.

Wkroczenie wioślarzy uzbrojonych w zakończone kosami wiosła okazało się do tej pory zbędne, oni zresztą demonstrowali straszliwe działanie swej broni tylko przy abordażu. Ustawiano się wtedy równolegle do atakowanego statku, a oni jednym ciosem kos pozbawiali przedni szereg obrońców rąk, a często również głów, nim Maurowie przerzucili się na linach z masztu i rej i zatroszczyli się o resztę. Teraz ci wioślarze działali tylko jako groźba, trzymająca przeciwnika w szachu.

Hrabina spoglądała chciwie na łup, który Maurowie przywlekli na pokład triery. Były to beły drogocennego adamaszku, beczki z przyprawami, ambrawą, mirrą i henną do farbowania włosów, a także amfory pełne wonnych olejków – ich ciężki zapach dolatywał do hrabiny, wciągała go w nozdrza z rozkoszą. Zmieszany ze słonym morskim powietrzem był jej ulubionym pachnidłem!

Laurencja z Belgrave, owdowiała hrabina Otranto, miała pięćdziesiąt siedem lat i nie myślała wyrzekać się uciech świata, jej świata. O tym wiedział każdy, kto podobnie jak ja miał już kiedyś wątpliwy zaszczyt zawrzeć z nią bliższą znajomość.

Sidi! Sidi! Ona była panią, piratką, postrachem Morza Jońskiego.

I wtedy nagle z kabiny wyłoniło się dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka, które całkiem naturalnie podeszły do hrabiny i zaciekawione obserwowały ruch między oboma statkami.

Rozpoznałem dzieci natychmiast: były to dzieci Graala.

Przestraszyłem się. Ich szczęśliwa ucieczka z Konstantynopola przed oprawcami Kościoła zakończyła gwałtownie moją ówczesną misję. Ponad rok cesarz narzucał mi swoją gościnność. I zaledwie wyzwoliłem się z jego objęć, nareszcie wolny, podobny do lecącego sokoła, spadłem tym dzieciom znowu pod stopy jak dopiero co wykluty gołąbek. Czy dzieci Graala są moim przeznaczeniem? Jaka rola jest mi przypisana w ich życiu? Nie nadaję się przecież ani na oprawcę, ani na opiekuna!

Zdumiało mnie jednak, że dzieci wciąż przebywały na pokładzie triery, widocznie od czasu naszego spotkania w Konstantynopolu hrabina nie mogła nigdzie przybić do brzegu, by umieścić je w bezpiecznym miejscu.

W tym ich los był podobny do mojego, także mnie nie było dane wrócić do domu, do Francji, i złożyć memu królowi sprawozdania o tych tajemniczych „królewskich dzieciach”, z powodu których Ludwik wysłał mnie nad Bosfor.

Moją gruntowną rozprawę o domniemanym pochodzeniu Rosza i Jezy, o ich pełnej tajemniczości podróży do wielkiego chana Mongołów razem z mnichem Williamem, o ich niefortunnej *praesentatio** przez Przeorat Syjonu i o ich chwalebnym odejściu, które przekonało mnie, że tym dzieciom przeznaczone jest coś wielkiego, tę moją rozprawę zamiast króla Ludwika przeczytał cesarz Fryderyk; i to był chyba także nigdy nie wypowiedziany powód tego, że nie zezwolił mi na dalszą podróż – ani do domu, ani na Cypr, by wziąć udział w krucjacie.

Tak więc wykorzystałem jedyną możliwość ucieczki z Sycylii i znalazłem się na tym płynącym na wschód greckim statku handlowym, z nadzieją że przyłączę się do wyprawy krzyżowej króla Ludwika, na którą wojska miały się zgromadzić na Cyprze.

Quod non erat in votis *.

Hrabina zamierzała właśnie przepędzić Rosza i Jezę z powrotem pod osłonę kajuty, gdy czujne oko kapitana padło na rufową katapultę Greka; była załadowana i dwaj żołnierze, widocznie przez handlarzy przekupieni, mierzyli do hrabiny.

– *Scudo**! – zdążył jeszcze ryknąć Guiscard do wioślarzy górnego rzędu, gdy ramię katapulty już wyrzuciło pocisk, jednakże niczym lśniący wachlarz ostro zakończone wiosła skrzyżowały się w powietrzu i przecięły pociskowi drogę; dwa wiosła rozpadły się w kawałki, ich pióra w kształcie kos brzęcząc spadły na pokład, ale garnek z greckim ogniem odbił się i roztrzaskał na relingu.

Rozległy się krzyki trafionych wioślarzy z dolnego pokładu, płomienie zaczęły lizać burtę triery i rozprzestrzeniły się na górny pokład.

– Nie gasić wodą! – krzyknął Guiscard. – Bierzcie dywany!

Podczas gdy tłumiono ogień, Maurowie rzucili się już na strzelców, nie oczekując wcale rozkazu. Jeden z pechowych żołnierzy skoczył za burtę, drugiemu cios topora rozplątał czaszkę.

Kupcy rzucili się na kolana, wywrócili do góry dnem skrzynie, tak że złote monety rozsypały się po pokładzie.

Maurowie nie znali łaski, zakłuli i wycięli do nogi wszystkich, zebrali razem skrzynie, szkatuły, naczynia i futra, które znajdowały się na statku, przenieśli na trierę i rozłożyli u stóp swojej pani, jakby musieli się usprawiedliwić za krzywdę, którą jej wyrządzono.

* Praesentatio (łac.) – przedstawienie, zaprezentowanie.

* Quod non erat in votis (łac.) – co nie było mi sadzone.

* Scudo (wł.) – tarcza.

Także do mnie doskoczyła dzika kompania, wywijając toporami i maczugami, ale spokój, jaki wobec nich zachowałem – stałem nieporuszony, wsparty na mieczu – kazał zatrzymać się uniesionym ramionom i umilknąć wrzaskom.

– Powiadomcie waszą panią Laurencję – zawołałem do nich – że hrabia Joinville jest uradowany, iż ją znowu spotyka!

Nie czekając na odpowiedź zszedłem z podwyższenia na dół, hołota cofnęła się z szacunkiem i pozwoliła uchwycić ręce ludzi z Otranto, którzy pomogli mi przedostać się na trierę.

Dzieci mimo surowego rozkazu hrabiny nie wróciły do kajuty; obserwowały wydarzenia pełne przejęcia, jeśli nie zachwytu. One pierwsze mnie rozpoznały, szeptały coś między sobą skrycie i – jak mi się wydawało – uśmiechnęły się do mnie.

Hrabina ostentacyjnie nie zauważyła mego pojawienia się, musiała zresztą rozstrzygnąć drobną różnicę zdań ze swoim kapitanem, Amalfitańczykiem z drewnianą nogą.

– Sam widzisz, Guiscardie – westchnęła ta wciąż jeszcze, mimo swych lat, nadzwyczaj fascynująca dama – że nie można być dostatecznie surowym wobec podstępnych Greków.

W milczeniu trzymałem się na drugim planie.

– Decyzja „nie brać jeńców” była jednak słuszna.

Guiscard opuścił głowę.

– Wolę abordaż. Czysta walka, wycięcie opornych w pień, a kto się poddaje, powinien być oszczędzony.

– Przy takich napadach nie może być żadnych świadków, nikogo, kto przeżył – powiedziała hrabina szorstko i rzuciła mi krótkie spojrzenie, którego chłód zmroził mój pewny siebie uśmiech.

– A załoga – sarknął kapitan, całkiem po mojej myśli – ci dzielni żeglarze, którzy wykonują tylko swój obowiązek, wszyscy są z góry skazani na śmierć.

Mnie przy tym chyba nie miał na myśli, o mnie nie myślał w ogóle nikt. Kapitan udał się z powrotem na dziób, a pani Laurencja odwróciła się do mnie plecami.

Ostatni Maurowie wskoczyli na pokład.

– Skrzydła w górę! – warknął kapitan i obie części dziobu służące za pomost zostały podniesione.

Ciemny i nieprzychylny wznosił się teraz znowu czarny dziób triery przed splądrowanym statkiem Bizantyńczyków. Komendant i jego ludzie nie mogli pojąć swego szczęścia. Najpierw nadzieja, potem radość z powodu darowanego życia pojawiły się na ich twarzach. Guiscard nie mógł im spojrzeć w oczy.

– Wciągnąć ogon! – syknął wściekły do swoich ludzi, a ci stękając, przyłożyli się do wind, podczas gdy wszystkie wiosła, także te z piórami jak kosy, zanurzyły się w wodę, aby odbić od swej ofiary.

Przez chwilę wydawało się, że obcy statek próbuje płynąć za trierą, później z głuchym odgłosem nastąpiło szarpnięcie i triera odskoczyła do tyłu, podczas gdy bok Greka zdrzął przy akompaniamencie szkaradnego trzasku. Potem bizantyński statek zaczął się lekko przechylać, skłonił się jak śmiertelnie ranne zwierzę ku myśliwemu, ale na oddalającej się szybko trierze nikt nie spoglądał w tamtą stronę, tylko dzieci śledziły tonięcie żaglowca, póki nie zginął po nim ostatni ślad.

Triera hrabiny grasowała od tygodni na południowych wodach Morza Egejskiego. Laurencja z Belgrave wciąż nie wiedziała, dokąd ma się zwrócić; unikała większych wysp, gdzie musiała się liczyć z obecnością silnego garnizonu.

Powrót do Apulii również nie wydawał się jej wskazany, nie była już pewna przychylności Hohenstaufa. To wszystko przez dzieci. Nie powinna była brać ich na pokład w Konstantynopolu, ale czy miała możliwość wyboru? Gdyby się uchyliła od tej służby, jej życie nie byłoby warte nawet jednego z tych złotych bizantyńskich dublonów, które kazała właśnie rozdzielić między załogę triery. Niezmiernie okrutna byłaby zemsta sił, które osłaniały Jeżę i Rosza. Przed tymi tajemniczymi mocami nie było ucieczki, żadnej kryjówki, nigdzie na świecie, od Dżabal at-Tarik* aż po dalekie państwo chana Mongołów. Hrabina westchnęła. W podręcznym zwierciadle jej szare oczy spotykały znużone spojrzenie, zmarszczki także nie dawały się już wygładzić.

Na pokładzie służebne z powstrzymywaną chciwością szarpały bele brokatu, weluru i jedwabiu, tylko jej obecność hamowała zawiść i nie pozwalała przerodzić się w otwartą klótnię.

Nawet jej wychowanka, Klarion, z łaski cesarza hrabina Salentyny, nie wahała się wziąć udziału w tej czezej szamotaninie i zachłannym przymierzaniu szat. W końcu Klarion była również tylko głupią gęsią, myślącą wyłącznie o tym, żeby podobać się mężczyznom, rzucić się im na szyję, jeśli już nie na brzuch, nadziana na ozdobę ich lędźwi, godząc się na los, przed którym dotychczas dziewczyna, dojrzała dziewica, nieugięcie się broniła. Teraz przecież naprawdę kokietuje hrabiego Joinville'a!

Laurencja umyślnie nie zwracała dotąd uwagi na dumnego hrabiego, nie mówiąc już o powitaniu, ponieważ nie było dla niej jasne, jak powinna przyjąć jego nagłe pojawienie się na pokładzie. Niechby go byli Maurowie od razu zabili bądź utopili razem z bizantyńskim żaglowcem! Duma uratowała temu młokosowi życie. Teraz hrabina musiała go powitać z wszelkimi honorami, może jeszcze zwracać się do niego: *mon cher cousin**.

* Dżabal at-Tarik (arab.) – Góra Tarika (Skała Gibraltarska), od imienia omajjadzkiego wodza, który w r. 711 przeprowadził się ze swym wojskiem z Tangeru i pobił armię Wizygotów dowodzoną przez Roderyka.

* Mon cher cousin (fr.) – drogi kuzynie; zwyczajowy sposób zwracania się do siebie przedstawicieli europejskiej arystokracji.

Z diariusza Jana ze Joinville

Morze Egejskie, 27 sierpnia A.D. 1248

– Czy nie jesteście, panie, Janem ze Joinville?

Piękna Klarion z Salentyńy położyła kres nieprzyjemnej sytuacji; z żadnego powodu nie cierpiałem bardziej niż z powodu lekceważenia.

– Jakaż niezasłużona radość spotkać wśród cuchnących rybami rębaczy głów i wypruwaczy jelit taką różę jak wy, pani!

Zrobiłem ku niej krok, aby się dwornie skłonić, ale przeszkodziła temu hrabina, która się nagle pojawiła, ja zaś zupełnie osłupiałem, za nią bowiem stał, jakby to była rzecz najoczywistsza w świecie, William z Roebruku!

Czyż asasyni nie zasztyletowali go na moich oczach? Czyż jego zwłoki nie... To dzieło czarów! Hrabina była w przymierzu z diabłem! Rudawy wianuszek włosów grubego franciszkanina jeszcze się przeredził, lecz głupi a zuchwały uśmiech mnicha nic się nie zmienił.

– Jako szpieg Kapetynga zbyt się, panie, rzucacie w oczy! – powitała mnie szyderstwem pani triery. – Jednakże wasza zdolność deptania dzieciom po piętach jest godna uwagi. Straż! – zawołała. – Odbierzcie hrabiemu miecz i zaprowadźcie go do mojej kajuty! Tam zechce wytłumaczyć się przede mną.

Nie protestowałem już choćby dlatego, że każde zyskanie na czasie powiększało moją szansę przeżycia. Hrabinie przyjdzie z trudem wyprawić mnie jako jeńca na tamten świat.

– Dziękuję wam, Laurencjo z Belgrave – powiedziałem uprzejmie na odchodnym i pomyślałem, że to chyba ktoś z jej rodu zrabował mi moc prawdziwego miecza, tego, który mężczyznę czyni mężczyzną.

Tak więc została mi tylko siła zaostzonego pióra i postanowiłem, cokolwiek by się ze mną działo, patrzeć na wszystko oczyma najdoskonalszego kronikarza, jakiego znała ta epoka.

Klarion zasmuciła się, ale nie zdziwiło jej to, że została pozbawiona przyjemności obcowania wreszcie z kimś równym sobie stanem; znała napady zazdrości Laurencji. Przywołała do siebie Madulajn, pokojową, i zniknęła.

Dzieci niewiele to wszystko obchodziło. Szalały na rufie, żartowały z wioślarzami zajmującymi górny pokład i przekomarzały się z tymi, którzy znajdowali się na niższych pokładach, gdzie nie wolno im było schodzić.

A właśnie tam, we wnętrzu wielkiego brzucha statku, panował tajemniczy mrok, pachniało dzikimi zwierzętami i podniecającymi przygodami.

Ponieważ Jezie zabroniono przy ćwiczeniach w rzucaniu sztyletem celować między nogi wrzeszczących pokojowych, wycinała karby na złamanym wiosle, ofiarowanym jej przez wiosłarzy z najwyższego pokładu. Wolałaby co prawda kawałek z ostrzem, które jeszcze na nim tkwiło, ale nieokrzesała kompania wyśmiała ją i – ciach! – pokazała na kawałku materiału, jak niesamowicie wyostrzone jest to pióro w kształcie kosy. Chciała tak wyszlifować swój sztylet. Ale jak zdobyć osełkę?

Jeza miała teraz osiem albo dziewięć lat, dokładnie nikt nie umiał tego określić, podobnie jak ona nie знаła dobrze swego imienia, wiedziała tylko, że musiało chyba pochodzić od Jezabel albo – jeszcze gorzej! – od Izabeli.

Ojca dziewczynka nie widziała nigdy, o matce zachowała coraz bardziej blednące wspomnienie: piękna młoda kobieta, jasnowłosa wróżka, pełna niewypowiedzianej dobroci, jakby nie z tego świata; i tak też z uśmiechem, odświętnie ubrana, weszła w wielki ogień, z którego już nie wróciła.

Wspomnienie Jezy o stosie pod Montségur było opromienione świetlanymi postaciami, kłęby dymu stały się obłokami, za którymi rozplywała się twarz matki.

Niczego podobnego nie odczuwał Rosz, jej chyba młodszy towarzysz zabaw i rycerz. Nocami często krzyczał przez sen, bełkocząc o płomieniach, które po niego sięgały, gdy z trzaskającego żaru matka kiwała na niego ręką. Gdyby miał matkę opisać, to z włosów była podobna do wróżki, o której mówiła Jeza; głaskała go, jeśli nie mógł zasnąć, i śpiewała mu cichutko jakąś kołysankę, której melodii rankiem nie mógł już sobie przypomnieć.

Brat William, który dobrze śpiewał i znał wiele pieśni, wyśpiewywał mu, co tylko umiał, od kancon o nadobnej miłości po strofy o najukochańszym Jezusku, od sprośnych kawałków – Rosz ich nie rozumiał, ale u Maurów wywoływały salwy śmiechu – po *Ave Maria*, przy którym William miał zawsze łzy w oczach.

Nie, wśród tych utworów nie było śpiewanej przez matkę pieśni.

Twarcz Rosza była jeszcze dziecinną i rozmarzoną, otaczały ją kędzierzawe ciemne włosy, a oczy miały kasztanową barwę. Była zupełnym przeciwieństwem twarzy Jezy, w której tęczęwki lśniły zielonkawą szarością, a prosty nos delikatnie zaostrzał rysy, nadawał im pewną surowość, którą jednakże łagodził przepych jasnych kędziorów. Rosz chętnie nosiłby taką grzywę. Pocieszał się tym, że za to jego skóra opalała się na słońcu dużo mocniej niż Jezy.

Teraz chłopiec chwycił łuk i nakłonił towarzyszkę, żeby oddała do wspólnej zabawy swój kawałek wiosła. Postawili je przy wysokim relingu rufy, aby żadna strzała czy też sztylet nie mogły wpaść do wody, i zaczęli zgodnie ostrzeliwać cel.

Z diariusza Jana ze Joinville

Morze Egejskie, 27 sierpnia A.D. 1248

Na pokładzie dzieci wykrzykiwały radośnie przy każdym trafieniu. Ja czekałem w wyposażonej po książęcemu kajucie: pośrodku pomieszczenia stał dębowy stół z mapami i instrumentami żeglarskimi, obok wysoki, obciągnięty skórą fotel i kilka niskich miejsc do siedzenia, poza tym dywany i broń na ścianach.

Nikt nie wpadłby na myśl, że rządy tutaj sprawuje kobieta, na wszystkim było odcisnięte wyraziste znamię męskości.

Z sąsiednich pomieszczeń dobiegały chichotliwe głosy Klarion i jej służebnych, ot, głupia paplanina.

Gdy usłyszałem o nowej krucjacie, postanowiłem, że będę prowadził diariusz, i zaraz rzecz rozpocząłem; wezwał mnie jednak król Francji i polecił, abym przedtem udał się jeszcze w tajnej i ważnej misji do starego Bizancjum – właśnie z powodu tych dzieci.

Ale przede wszystkim chciałem pisać tę kronikę, ponieważ wiedziałem, że okazja wyruszenia na zbrojną pielgrzymkę razem z tak znakomitym panem jak król Ludwik nie nadarzy mi się w życiu po raz drugi, czułem natomiast od dawna, pomimo swego młodego wieku, że drzemie we mnie talent kronikarza, którego dzieło przetrwa swój czas.

Od mego nieszczęśliwego wypadku w Palermo czułem się ostatecznie powołany do tego zadania, traktowałem je teraz jako znak z niebios. Nie była moim przeznaczeniem ani sława wojownika, ani kobieciarza, lecz szczególnego *escollier philosophe**. Szczególnego?! Ba, jedynego w swoim rodzaju! I wybijającego się spośród wszystkich współczesnych.

W efekcie szybko spostrzegłem, że człowiek wyróżniony przez los wprowadzie wiele może doświadczyć zwycięstw i klęsk, korzyści i wyrzeczeń, nie mówiąc o rozważnym kompromisie, przecież dalece nie wszystko wolno ubrać w słowo pisane. Chyba że ambitny *scribend** zatroszczy się zawczasu o to, żeby mu nikt ciekawski nie zaglądał przez ramię, bo piszący może to przyplacić głową. Cesarz Fryderyk pochwalił mnie za ujmujący styl, nim zabrał mi relację o dzieciach Graala.

Swoją drogą było to znakomite zrządzenie fortuny! W przeciwnym razie mój raport wpadłby teraz w ręce hrabiny, a ja pływałbym twarzą w dół w Morzu Egejskim jako smakowity kąsek dla ryb.

A tak znajdowałem się żywy bliżej dzieci niż kiedykolwiek przedtem i będę mógł mojemu królowi przedstawić dużo wymowniejsze świadectwo, jeśli jest mi przeznaczone, żebym jeszcze kiedyś przed nim stanął. Król Ludwik był dla mnie świetlanym przykładem. Z

* *Escollier philosophe* (stfr.) – uczeń filozofii.

* *Scribend* (łac.) – pisarz.

radością zdecydowałem się pozostawić za sobą Joinville, mały zamek, żonę i dwoje dzieci, aby przy boku mego pana udać się do Ziemi Świętej. Król kiedyś ciężko zachorował, lekarze i kapłani, nawet jego matka, królowa Blanka, opuścili go już i chcieli nawet przykryć śmiertelnym całunem, gdy nagle Ludwik zażądał podania krucyfiks, objął go i donośnym głosem złożył przysięgę, że podejmie wyprawę krzyżową. Królowa matka zmartwiła się tym tak bardzo, że rozpacziała, jakby jej syn już umarł. Ale król wyzdrowiał.

Pobożny przykład Ludwika spowodował, że także bracia królewscy od razu poszli w jego ślady: Alfons z Poitiers, hrabia Poitou, Karol, hrabia Anjou, i Robert, hrabia Artois. Także książę Burgundii i hrabia Flandrii nie chcieli pozostać w tyle.

Ten krąg dostojnych rycerzy był bodźcem dla mego serca, zwłaszcza że obaj moi kuzyni: Jan, hrabia Sarrebruck, wraz ze swym bratem Gobertem z Aprémontu, już się do nich przyłączyli. A ponieważ byliśmy krewnymi, zaproponowałem, żebyśmy razem wynajęli statek i żeby każdy z nas skrzyknął dziewięciu rycerzy.

Zastawiłem więc cały majątek, który miałem prawo użytkować, a więc nie uszczuplając dziedzicznych praw dzieci, zafrachtowaliśmy siebie i bagaż i popłynęliśmy w dół Rodanu do Marsylii.

Król Ludwik zażądał jednakże, żebyśmy najpierw przybyli do Paryża, aby złożyć mu przysięgę na wierność.

Pocwalałem z miejsca do Saint-Denis i oświadczyłem królowi, że jako hrabia Joinville, muszę odmówić przysięgi, nie on bowiem jest moim panem lennym, lecz cesarz Rzeszy Niemieckiej. Mogę tylko jako seneszał* Szampanii uroczyście przyrzec, że na czekającej nas krucjacie oddam za niego życie, jeśli taka będzie wola Boża.

Król, człowiek mądry i prawego charakteru, z wybitnym poczuciem prawa, pojął natychmiast wyjątkowość mojego przypadku i dał do zrozumienia, że mimo wszystko wita z radością mój udział.

Wspomnienia te dodały mi odwagi, której bardzo teraz potrzebowałem, gdyż do kajuty weszła wreszcie hrabina. Towarzyszył jej ten William z Roebruku, mile uśmiechnięty, gdy tymczasem pani Laurencja zachowała się opryskliwie.

– Mój drogi kuzynie – natarła na mnie – jakąż to historię przygotowaliście, aby usprawiedliwić wasze oczywiste nastawanie na dzieci?

Zajęła miejsce w fotelu za stołem, mnich stanął gorliwie przy jej boku, podczas gdy mnie nie poprosiła, bym usiadł. Zrobiłem to więc nieproszony i zmusiłem ją, żeby zwróciła na mnie swe szare oczy.

– Droga kuzynko – powiedziałem najuprzejmiejszym, lecz swobodnym tonem – na dworze waszego cesarza w Palermo usłyszałem od pewnego żydowskiego lekarza anegdotę, której nie chciałbym zachować tylko dla siebie.

– Oszczędźcie sobie!

* seneszał – namiestnik króla w domenach południowej i zachodniej Francji.

Mnich roześmiał się gromko, ułowił jednak spojrzenie dostojnej damy, które mu kazało zamilknąć.

– Daliście nam do zrozumienia, że przebywaliście na dworze cesarskim na Sycylii – zwróciła się do mnie chłodno – to jednakże nie wystarczy.

– Ani to, droga kuzynko, jeśli powiem, że ze strony matki jestem bardzo blisko spokrewniony z cesarzem...

– To stawia was w jeszcze bardziej podejrzanym świetle! – syknęła. – Hohenstauf nie jest wcale zdeklarowanym przyjacielem dzieci!

– Istotnie – odparłem – nic nie wydaje mu się bardziej wstrętne jak insynuacja, że mógł zmieszać swoje nasienie z kacerską krwią. – Tym samym podsunąłem jej twardy orzech do zgryzienia.

W rzeczywistości cesarz wobec mnie, którego uważał za człowieka króla Ludwika albo jeszcze gorzej, za zamaskowanego stronnika Karola Anjou, nie wypowiedział ani słowa na temat „królewskich dzieci”, jednakże to, że nie mógł ich kochać, było jasne jak na dłoni. Przy jego sporze z *ecclesia catholica**, przy tym uporczywym zmaganiu się wraz z podstępными ciosami i kopniakami wymierzanymi – po obu stronach! – bez żadnych skrupułów, nic nie było dla cesarza bardziej nieodpowiednie niż wyjawienie związku krwi z heretyckimi katarami.

Hrabina próbowała rozgryźć rzucony przeze mnie orzech.

– Można zatem przypuścić, że cesarz Fryderyk w przykładowej zgodzie z domem Kapetyngów, jak już często bywało, zachęcił was, aby odszukać ślad dzieci zgubiony w Konstantynopolu?

Tutaj mógł być pomocny tylko gest pokory.

– Pewnie nie uwierzycie, droga kuzynko, ale rzecz miała się całkiem inaczej. W drodze powrotnej z Konstantynopola, niczego nie podejrzewając, złożyłem cesarzowi wizytę. Jego skwapliwa gościnność okazała się dla mnie pułapką. Nie pozwolił mi odjechać. Wysłałem potajemnie do Francji mego towarzysza podróży, którego być może brat William sobie przypomina, franciszkanina Wawrzyńca z Orty, ponieważ obawiałem się, że spóźnię się na wyprawę krzyżową, w której udział już dawno ślubowałem. Wawrzyniec miał przekazać Janowi, hrabiemu Sarrebruck, pełnomocnictwo do dysponowania moimi pieniędzmi, aby mój kuzyn mógł zamiast mnie poczynić wszystkie niezbędne przygotowania.

– Jeśli sobie zechcecie przypomnieć, szanowny hrabio – przerwał mi chytrze William z Roebruku – ja nie mogę w ogóle niczego pamiętać, opuściłem bowiem krąg żyjących, wszelako powtórzcie mi imię...

– Ten człowiek istniał – warknęła hrabina – i zachowywał się tak samo bezwstydnie jak teraz ty, Williamie, kryjąc się beczelnie za swoim brakiem pamięci!

* *Ecclesia catholica* (łac.) – kościół powszechny; oficjalne określenie Kościoła rzymskokatolickiego.

– W każdym razie – podjąłem na nowo wątek – pojawił się wtedy u mnie w Palermo Oliwer z Termes...

– Ach – wyrwało się Williamowi – ten renegat! I z nim podjęliście znowu zabawę w ciuciubabkę, z rzekomo zawiązanymi oczyma zaczęliście szukać po omacku i wyciągać rękę po dzieci? Już za pierwszym razem, w Marsylii, podeszliście do uratowanych z Montségur tak blisko, że omal nie nadepnęliście na nie!

– To niesłychane podejrzenie! – broniłem się teraz z głupią zapalczywością. – To był przypadek!

– W tej sprawie nie ma przypadków! – zauważyła oschle hrabina.

Nie zaprzeczyłem.

– Oliwer z Termes odstąpił mi swoje miejsce na bizantyńskim żaglowcu, którym miał dopłynąć na Cypr do króla Ludwika. Zawinął bowiem do portu hrabia Salisbury ze swą angielską flotą i Oliwer był pewien, że będzie mógł się do niego przyłączyć i z nim popłynąć dalej. Cesarz z mojej strony bał się próby ucieczki chyba tylko w kierunku Francji. Zostałem więc przemycony na pokład bizantyńskiego żaglowca, który miał mnie zawieźć do Achai, gdzie, jak się umówiłem z kuzynem Janem, powinienem spotkać wspólnie opłacony statek. Bez trudności opuściliśmy Palermo, reszta zaś tej smutnej historii jest wam znana.

Ogarnęła mnie żalność, gdy pomyślałem o naszym stateczku, wynajętym za środki odjęte sobie od ust. Ciągłe wyobrażałem sobie jego przygotowanie i załadunek, pogodne wejście na pokład z oddziałem swoich rycerzy i wreszcie postawienie dumnie wymalowanych żagli, pod którymi chcieliśmy wspólnie wyjść w morze z Marsylii.

– Zbyt to gładkie! – zakpiła bezlitośnie Laurencja. – Jeśli wszystko zliczyć, drogi Janie, w dziwnie wyrafinowany sposób dochodzi do waszych spotkań z dziećmi, bardziej zagadkowych niż w wypadku naszego gamonia Williama. On jednak dzieci nie szuka, wy zaś chyba tak, panie seneszalu!

Przerwała, na zewnątrz bowiem umilkły głosy Rosza i Jezy, co wydało się jej chyba podejrzanym. Zerknąłem w tamtą stronę.

Dzieci były tak wyćwiczone we władaniu swą bronią, że brały na cel już nie sam trzon wiosła, lecz powycinane przez Jeżę karby. Robiły to na wyścigi i w zaciętym milczeniu.

Hrabina z westchnieniem ulgi przywołała pokojową i wysłała ją ze złotą czarą z greckiego łupu jako nagrodą dla zwycięzcy.

Widać było, że dzieci bardzo przypadły Laurencji do serca. Walczyłaby o nie zębami i pazurami, własnoręcznie zabiłaby każdego, kto chciałby im zrobić choćby najmniejszą krzywdę. Rzuciła jeszcze okiem na rufę i uśmiechnęła się, ponieważ teraz sama czara służyła za cel i każde trafienie, które zrzucało drogocenne naczynie z drąga na pokład, było witane okrzykami radości.

Jakżeż bezceremonialnie obchodzą się z owianym mitem przedmiotem, pomyślałem, oczywiście jeśli Graal był naczyniem, nie zaś trudną do pojęcia ideą!

– Możecie na razie poruszać się swobodnie po pokładzie – głos Laurencji wyrwał mnie z rozważań. – Tak blisko obiektów waszego pożądania ponownie się nie znajdziecie!

Z tymi słowami zostałem odprawiony z kajuty.

Wielki ognisty krzyż na całej powierzchni żagla wskazywał z daleka, że stateczek należy do wyprawy krzyżowej.

Hrabia Jan z Sarrebrucku wraz ze swym bratem Gobertem z Aprémontu i ze swymi ludźmi oraz ludźmi zaginionego kuzyna Jana ze Joinville nie żeglowali bynajmniej najkrótszą drogą, wzdłuż północnego wybrzeża Sycylii, lecz okrążyli wyspę daleko na południe od Lampedusy. A wszystko jedynie po to, żeby uniknąć Hohenstaufa, który posiadał władzę, co pozwalała mu lenników Rzeszy zawrócić z dalszej drogi. Był zaś znany z tego, że obchodził się z nimi nie nazbyt delikatnie. Po pierwsze, uważał Królestwo Jerozolimskie, którego królem był przecież jego syn Konrad, za domenę Hohenstaufów, a do przejścia królestwa – tylko zresztą chwilowo – przez Francuzów nie przykładał żadnej wagi. Po drugie, potrzebował każdej uzbrojonej ręki, aby się bronić przed papieskimi atakami we wszystkich częściach państwa.

W trakcie dryfowania na południe mała gromadka rycerzy z pogranicza lotaryńskiego wpadła z deszczu pod rynnę. Niepomyślne wiatry zagnały ją aż do skalistego wybrzeża Afryki, a mieszkańcy tej ziemi nie byli życzliwie usposobieni do chrześcijan uczestniczących w wyprawie krzyżowej. Między jedną a drugą skalną rafą hrabia Jan przeklinał żeglarską zręczność kapitana: Gobert zapadł na chorobę morską, a Szymon z Saint-Quentin, dominikanin, omal nie wyleciał za burtę.

Dean z Manruptu, kapelan i spowiednik nieobecnego Jana ze Joinville, polecił odbyć błagalną procesję. Wszyscy uczestniczyli w niej ochoczo, śpiewali *Ave maris stella*^{*} i modlili się żarliwie. W braku innej *viae crucis*^{*} rycerze okrążali oba maszty statku.

Sumens illud ave

Gabrielis ore,

Funda nos in pace

Mutans Evae nomen.

Dean zaproponował, żeby chodzili po ośmioboku. Jest to figura magiczna i z pewnością przyniesie szczęście. Zdradził mu to w Marsylii pewien adept^{*} tajnego tarota^{*} w zamian za odstąpienie konsekrowanej hostii.

^{*} Ave maris stella (łac.) – witaj, gwiazdo morza.

^{*} Via crucis (łac.) – droga krzyżowa.

^{*} Adept – początkujący, praktykant, np. kandydat starający się o przyjęcie do tajnego związku lub wprowadzenie w tajną naukę; również: wtajemniczony (np. u średniowiecznych alchemików vere adeptus oznaczał „prawdziwie wtajemniczonego”).

^{*} Tarot – talia 22 kart (Wielkie Arkana) do badania i tłumaczenia losu.

*Ave maris stella
Vitam praesta puram,
Iter para tu tum,
Ut videntes Iesum
Semper collaetemur.*

Raczej chyba z pomocą Maryi rozwiął się zły czar, który trzymał statek między skałami; upierał się przy tym dominikanin, gdy wszystko już minęło. Powiał świeży przeciwny wiatr i po godzinach trwogi wydostali się wreszcie nocą znów na pełne morze. Rankiem hrabia Jan mógł powiadomić leżącego wciąż jeszcze na łożu boleści Goberta, że Scyllę i Charybdę mają już za sobą. Wtedy bracia rzucili się sobie na szyję.

Na polecenie hrabiego Jana, który po ominięciu hohenstaufowskich raf przejął dowództwo, statek skierował się ku Achai, gdzie bracia zamierzali spotkać się ze swym kuzynem, seneszalem i hrabią Janem ze Joinville.

Pożęglowali obok przylądka Otranto, co skłoniło Szymona, by na widok twierdzy uczynić trzykrotnie znak krzyża i opowiedzieć towarzyszom podróży o straszliwej hrabinie, czarodziejce gorszej niż Cyrce, bo w przymierzu z diabłem, i o dzieciach Graala, tym hohenstaufowskim, kacerskim pomioście!

Ubiegłego roku w Konstantynopolu niewiele brakowało, by Kościół zniszczył tę pajęczynę, ten Wielki Plan, ale za pomocą czarnej magii hrabina Otranto znów uprowadziła królewskie dzieci na swoją trierę.

Od tego czasu ta diaboliczna grasuje po Morzu Śródziemnym, zwłaszcza po Egejskim, gdyż do domu w Otranto nie ośmieli się nigdy wrócić; tak już się wślawiła jako piratka, że nawet nieświętobliwemu panu Fryderykowi dało się to we znaki.

– Dlatego właśnie się cieszę – zawołał dominikanin – że kierujemy się ku Achai, w tej łupince bowiem nie chciałbym spotkać triery z Otranto!

– Któż zechce zdobywać taki stateczek jak nasz, ze znakiem krzyża na żaglu? – zaoponował Dean z Manruptu, najstarszy na pokładzie. – Czy materialna korzyść jest większa niż utrata zbawienia duszy?

– Nie znacie tej diablicy!

Akurat ujrzeli wyspę, nad którą unosił się dym.

– To chyba nie piraci? – wymknęło się hrabiemu Janowi.

– Na pewno piraci! – odparł kapitan. – Płonie cała wieś.

– Wobec tego żeglujmy dalej. – Przez Jana przemawiała ostrożność.

– Potrzebujemy wody pitnej! – oświadczył kapitan. – To jedyna jak okiem sięgnąć wyspa, na której słodkiej wody jest pod dostatkiem...

– Skoro mój brat Gobert leży tutaj wciąż w pożałowania godnym stanie... – zaczął Sarrebruck, ale Dean z Manruptu już pojął, o co chodzi.

– Jest rzeczą słuszną – przerwał hrabiemu – żebyście go pielęgowali na statku. Chętnie zejść na ląd, aby zatroszczyć się o wodę.

– Ja zejść bez ochoty, lecz będę wam towarzyszył – oznajmił Szymon.

Kapitan dał im czterech ludzi jako tragarzy i wskazał drogę do budynku na wzgórzach, gdzie znajdowała się studnia.

Idący po wodę dziwili się, że przez całą drogę nie spotkali nikogo, ani żywego, ani martwego, chociaż napad musiał mieć miejsce niedawno, gdyż wszędzie jeszcze widać było płomienie, które znajdowały obfitą pożywkę, ogień nie mógł więc płonąć od wielu godzin.

– Wszyscy są z pewnością w kościele – pocieszał się Dean, myśląc o losie mieszkańców.

– Albo uciekli w góry – wtrącił uspokajająco Szymon.

Dotarli tymczasem do zadaszanej budowli mieszczącej studnię i już z daleka dostrzegli kilka małych dziewczynek, które cisnęły się, zaglądając do środka przez jedyne okno, potem jednak, spostrzegłszy nieznanym, umknęły bez słowa.

Dlaczego nie mogły zajrzeć przez drzwi, stało się jasne, gdy mały orszak skręcił za róg.

Wejścia wzbraniał przybity gwoździami kapłan. Ludzie towarzyszący Deanowi i Szymonowi oderwali zwłoki i drzwi ustąpiły. Spojrzenia wszystkich skierowały się do wnętrza.

Na biegnącej w poprzek pomieszczenia belce wisały nagie ciała trzech chłopców, zwrócone tyłem ku wchodzącym; chude tułowia, twarze i wyciągnięte ręce zwisały po drugiej stronie belki. Wszyscy trzej byli martwi, tylko ich rozwarte pośladki błyszczały nienaturalnie żywo.

– Polano ich oliwą – stwierdził rzeczowo Szymon – przed lub po uduszeniu.

– Mam nadzieję, że po. – Dean z Manruptu przeżegnał każdego znakiem krzyża i odwrócił się. – Możecie tutaj naczepać wody – powiedział cicho – ja wolę skonać z pragnienia. – Poszedł z powrotem w dół ku wybrzeżu.

Szymon polecił tragarzom, aby wykonali swoje zadanie i potem podążyli za nimi, sam zaś ruszył, zamierzając dogonić starego.

– Tylko bestia może siać takie spustoszenie – mruknął Dean wstrząśnięty.

– Ach, to interesujące – zaczął uczenie wywódzić dominikanin. – Macie na myśli zwierzę? Sodomicki akt odwetu ze strony stworzenia bezlitośnie wykorzystywanego od tysiącleci na tej wyspie, *brutae vi stupratae**! Zemsta osła, wendeta kozła?

Stary kapłan nie pojął. Nie chciał dać posłuchu tej perfidnej umysłowości, która wydała mu się jeszcze gorsza niż sama zbrodnia.

– Potworność – jęknął – do której chrześcijanie nie są zdolni...

* *Brutae vi stupratae* (łac.) – tu: stłumiony popęd do gwałcenia.

– Grecy... – przerwał mu Szymon i zdumiał się, gdy stary Dean, mężczyzna krzepkiej postury, zatrzymał się, złapał go ręką za habit na piersi i podniósł w górę.

– *Cane Domini**! – powiedział cicho. – Czy zaraz zaczniesz mi dowodzić o czystości oliwy tłoczonej na zimno?

Skręcił dłonią materiał habitu tak, że dominikanin zaczął się dusić.

– Zamilknij i żebyś nie śmiał przemówić w mojej obecności ponownie!

Puścił Szymona i odszedł.

Gdy Dean, Szymon i tragarze z wodą dotarli kolejno do wybrzeża, zobaczyli swój statek otoczony przez trzy inne, większe, ale widocznie o przyjaznych zamiarach, ponieważ na brzeg nie dobiegał szcęk broni, a niebawem łódź wiosłowa przewiozła małą grupę na pokład.

Hrabia Jan przedstawił im czarnobrodego olbrzyma imieniem Anioł z Karos, który zaraz zaczął pomstować na „pogańską korsarską zgraję”.

– Kobiety i dzieci nie są przy nich bezpieczne! – grzmiał. – Właśnie ci nędznicy znowu mi się wymknęli, gdy przepływałem po świeżą wodę.

Wobec jego trzech statków z setką chyba ludzi Dean z Manruptu powstrzymał się od pytania, które mu ciążyło na sercu, jak ta „korsarska zgraja” mogła tak szybko rozpląnąć się w powietrzu.

Milczeć należało też dlatego, że Anioł z Karos był potężnym mężczyzną, który sam raczył żartować, lecz żadnego żartu nie rozumiał. Przy każdej aluzji, która mogła go dotyczyć, sięgał łapą w stronę ogromnego morgenstemu, zwisającego mu z biodra. Była to straszliwa broń: owinięty łańcuchem trzon z nasadzoną na szpic kolczastą kulą.

Aniołowi niezwykle spodobało się to, że hrabia Jan i jego towarzysze wieźli ze sobą konie.

– Jak wprowadziliście te zwierzęta? – zapytał śmiejąc się i wskazał małe luki paszowe na pokładzie.

Dean nie czuł żadnej ochoty, żeby mu to wyjaśniać, hrabia Jan nie znał odpowiedzi, tak więc zastąpił ich Szymon, którego wcale nie było przy ładowaniu.

– Opuściliśmy część bocznej burty jak zwodzony most. Gdy wszystkie zwierzęta zostały umieszczone na statku, klapę ładunkową podniesiono, starannie połączono na wpust i uszczelniono, ponieważ w czasie podróży pomieszczenie kilowe znajduje się poniżej lustra wody.

Anioł z Karos był pod wrażeniem i zaczął dokładać wszelkich starań, by hrabiemu Janowi wyperswadować krucjatę. Dean z Manruptu, a także złożony niemocą Gobert z Aprémontu pozostali niewzruszeni. Nawet Szymon z Saint-Quentin dał do zrozumienia „despocie”, jak Anioła tytułowali jego ludzie, że nie ma najmniejszego sensu nastawać na zmianę celu podróży, jak długo nie jest wyjaśniona sprawa dowodzenia wynajętym statkiem.

* *Canis Domini* (łac.) – pies Pański. Stąd gra słów: *Domini canes* (lm.) – dominikanie, czyli psy Pańskie.

Od wielu dni między Janem i Gobertem trwał spór o to, komu przysługuje prawo głosu za nieobecnego wspornika: hrabiemu Sarrebruck jako posiadaczowi drugiego udziału, czy hrabiemu Aprémont jako pierwszemu wasalowi Joinville'a.

Aby uniknąć gniewu chorego, Jan zdecydował się z pozoru ustąpić, a skrycie polecił kapitanowi wziąć kurs na południe, jak mu podpowiedział Anioł z Karos, z którym teraz razem żeglowali.

– Już choćby dlatego – dowodził Anioł – że napadnięta wyspa, u brzegów której miałem przyjemność was poznać, szanowny hrabio, należy do Wilhelma Villehardouin! Jeśli nawet siali tam spustoszenie piraci... – Anioł pogładził się z zadowoleniem po zaniedbanej, bujnej czarnej brodzie – księżę Achai, pałając żądzą zemsty, może uczynić coś bardzo nie przemyślanego.

To było przekonujące dla Jana, lecz nie dla starego Deana, który począwszy od zmiany kursu, jał coś węszyć. Hrabia nie powiedział wiernemu kapłanowi Joinville'a, że seneszał na pewno wie, jak się przyłączyć do krucjaty, ale nakłamał mu, iż potajemnie dowiedział się od Anioła z Karos, gdzie znajduje się prawdziwy punkt spotkania ze Joinville'em.

Z diariusza Jana ze Joinville

Morze Egejskie, 30 sierpnia A.D. 1248

Niespodziewanie pani Laurencja kazała mnie odszukać i poprosić do swej kajuty, gdzie czekała tym razem bez świadków. Wydała mi się odmieniona, jakby zdecydowała się wyrzec maskarady, po odrzuceniu której ukazała zmęczoną twarz starzejącej się kobiety. Nie robiła też żadnej tajemnicy ze swych trosk.

– Jestem podobna do Odyseusza, który bez chwili spokoju straszy po morzach i nie może zaufać żadnemu portowi. Dzieci, drogi kuzynie, są bezcennym skarbem, ale także ciężkim brzemieniem...

– A dlaczego nie wrócić do domu, do Otranto, dlaczego nie zawrzecie pokoju z Fryderykiem?

Laurencja roześmiała się gorzko.

– Już od dawna bowiem widzę upiory! Tak, możecie natrzęsać się ze mnie, głupiej kobiety, ale raz śnię, że okrutny sąd Hohenstaufa oczekuje mnie w mojej twierdzy, to znów widzę nocą jakieś obce postacie ze straszliwymi pochodniami, ci krwiożercy dyszą na murach wypatrując dzieci. Przy tym cesarz nigdy mnie oficjalnie nie napomniął ani też nie odebrał mi lenna.

Popatrzyła mi w oczy, chyba aby sprawdzić, czy uważam ją jeszcze za osobę poczytalną.

– Im więcej czasu upływa od wyjazdu z Otranto, tym większe szaleństwo mnie ogarnia. Prawdopodobnie macie zupełną rację, każdy pyta, co pędzi starą nieustannie po morzu, co podszczuwa ją, żeby gnała swą trierą, zamiast siedzieć w spokoju...

– Chętnie wstawię się za wami u cesarza...

– Nie wywołujcie wilka z lasu! – zerwała się. – Może on tylko czeka, żeby dostać dzieci w swoje ręce!

Uśmiechnęła się. Była w tym uśmiechu spora doza szaleństwa.

– Nie zamierzam wcale, drogi Janie, przeciagać was na swoją stronę ani też obarczać swoimi troskami, ale wymagam zrozumienia od kogoś, kto jak wy w wieku dwudziestu trzech lat został seneszalem jednej z najbogatszych prowincji Francji, kto w rozkwicie młodości zyskał sobie miano *doctissimus* * ...

Przy słowach o „rozkwicie młodości” pomyślałem o swoich zwiędłych genitaliach, a przy *laudatione* * moich pisarskich zdolności przyszła mi na myśl relacja z Konstantynopola dla króla Ludwika, której świat nigdy nie ujrzy. W tym względzie można polegać na Hohenstaufie!

– Droga kuzynko – rzekłem – mam dla was pełne współczucia zrozumienie, ale jeśli miałbym dać wam jakąś radę, powinniście mi więcej powiedzieć o dzieciach...

Hrabina popatrzyła na mnie ze smutkiem.

– Po co? Musielibyście to także zabrać ze sobą do grobu. Zostawcie mnie teraz samą i cieszcie się swymi ostatnimi godzinami!

Sąd ostateczny! – przebiegło mi przez głowę. Tuż przed moim odjazdem z Marsylii, ponad rok temu, pewien stary pitagorejczyk * przepowiedział mi, że nie tak prędko powrócę ze swojej podróży i do tego nie będę taki sam: *andros medemia andreion* *. Wyśmiałem tę wróżbę, którą wyczytał z modnych tam od niedawna „Arkanów Większych”, zestawu ilustrowanych pergaminowych kart.

Gdy potem w szpitalu w Salerno lekarze powiadomili mnie o całkowitej utracie męskości, odkupiłem od pewnego rabiego, który dogorywał obok mnie, za nieprzyzwoicie duże pieniądze talię takiego właśnie „tarota”. Najpierw byłem oburzony wygórowaną ceną, ale rabbi wyjawiał mi, rzucając, że nie jest ważne, czy on to złoto może zabrać ze sobą, istotne jest to, że dywinatoryka * musi być opłacona dobrą monetą, w przeciwnym razie nie przejawia żadnego działania. Wziął więc pieniądze dla mojego dobra. Był także gotów te karty jeszcze „omówić”, bo inaczej na próżno wydałbym pieniądze. W tym celu musiałbym jednak jeszcze raz sięgnąć do mojej sakiewki.

* Doctissimus (łac.) – nadzwyczaj uczony.

* Laudatio (łac.) – pochwała.

* Pitagorejczyk – zwolennik pitagoreizmu, mistycznego kierunku filozoficzno-religijnego.

* Andros... (gr.) – jako mężczyzna już nie mężczyzna.

* Dywinatoryka – przepowiadanie przyszłości, wróżenie.

Uczyniłem to. Zaczął mamrotać coś niezrozumiałego na temat całej talii i poszczególnych kart.

Kiedy był przy ostatniej, głos odmówił mu posłuszeństwa. Rabbi skołał.

Odtąd noszę karty stale przy sobie i radzę się ich, sięgając na ślepo do kieszeni. Nie zawsze wyciągam obrazek, który chciałbym zobaczyć, często się też boję sięgnąć, jednak nie potrafię się temu oprzeć.



„Co zaś zostało uczynione, zostanie osądzone. A sąd nie będzie sądem człowieka. Na końcu wyjdzie zwycięsko ten, kto unika ekscesów i zważa na to, co płonne”.

*

Mała flota, składająca się ze statku krzyżowców: Jana z Sarrebrucku, ciężko chorego Goberta z Aprémontu i wciąż jeszcze nieobecnego hrabiego Joinville’a, oraz trzech żaglowców Anioła z Karos, które mały statek wzięły raczej w kleszcze, niż go ochraniały, jak twierdził ich nieokiełzany dowódca, żeglowała na południe.

Nacisk na hrabiego Sarrebruck ze strony Anioła, w połączeniu ze wspólnym pijaństwem i zapewnieniami o przyjaźni, zwiększał się nieustannie. Jan powinien zaniechać krucjaty i przyłączyć się do Anioła w celu podbicia Peloponezu. Księstwo ma zapewnione, skoro tylko Anioł, pan Naksos, przepędzi z tronu w Atenach swego wuja Gwidona, który go pozbawił dziedzictwa Argos i Nauplii. Jan może zostać księciem Teb, jeśli będzie się bił przy boku Anioła.

Ponieważ Jan kilkakrotnie wspomniiał o oporze swego chorego brata, Gobert z Aprémontu zniknął pewnego ranka. Zapewne w nocy opuścił łóże i wypadł za burzę.

Wyjaśnienie to zaakceptowali wszyscy z wyjątkiem nieustępliwego Deana z Manruptu. Na szczęście dla niego, płynąc wzdłuż północnego wybrzeża Krety, natknęli się pod Kandią na angielską eskadrę, która dopiero po nich opuściła Marsylię.

Dowodził nią Wilhelm z Salisbury, wnuk Plantageneta i pięknej Rozamundy.

Anglicy zatrzymali się po drodze na Sycylii, gdzie cesarz serdecznie ich powitał, zaopatrzył w rozmaite prowianty oraz obdarował drogocennymi upominkami.

Wśród Anglików znajdował się także Oliwer z Termes, który hrabiemu Sarrebruck przekazał radosną wiadomość, że jego kuzyn, hrabia Joinville, opuścił Palermo na pokładzie bizantyńskiego handlowego żaglowca.

Ucieszył się tą wiadomością jedynie Dean z Manruptu.

Anioł z Karos obawiał się chyba zadenuncjowania go przez starego kapłana i spróbował od razu odpłynąć, ale Wilhelm z Salisbury, sam nieposkromiony wojownik i pijak, od razu wziął „despotę” w ramiona, przycisnął do serca i nie pozwolił odejść, jakby było rzeczą postanowioną, że Anioł weźmie wraz z nimi udział w krucjacie.

Akurat gdy wszystkie statki uzupełniły w Kandii zapasy, a przede wszystkim wzięły na pokład świeżą wodę i dużo owoców cytrusowych – krzyżowcy wiedzieli bowiem, że po minięciu Krety przez kilka dni nie spotkają już żadnej większej wyspy, aby odnowić zapasy – do portu zawinął jeden z braci francuskiego króla.

Robert z Artois próbował w Cesarstwie Łacińskim pozyskać dla krucjaty swoich przyjaciół, ale że Gwidon, władca Aten, z burgundzkiego awanturniczego rodu la Roche, i książę Naksos, który nazwał się „panem archipelagu”, mieli ze sobą ustawiczny zatarg i obwiniali się wzajemnie o piractwo, w żadnej mierze nie byli usposobieni wziąć krzyż, by ramię w ramię pociągnąć na wojnę przeciwko niewiernym. Obiecywali tylko przybyć później, gdy – obaj czując się w prawie – ukarzą drugiego lub, jeszcze lepiej, zetrą go na proch.

Robert nie znalazł czasu, by załagodzić zatarg między pieniaczami, co uczyniłby z ochotą, nawet z mieczem w dłoni, niechętnie bowiem opuszczał jakąkolwiek okazję do sporu. Zobowiązał tylko każdego z nich, aby mu przekazał trzy statki i grono znakomitych rycerzy, których obiecał zaliczyć w skład swojej floty.

Gdy mu przedstawiono Anioła z Karos, uścisnął osłupiałego „despotę” jak najserdeczniej, podziękował mu za szybkie pojawienie się i wskazał przyprowadzonym przez niego statkom miejsce w swojej flocie, a samemu Aniołowi – miejsce przy stole u swego boku.

Hrabiemu Artois jako bratu króla przypadało bezspornie naczelne dowództwo nad wszystkimi, ale on pozostawił je wspaniałomyślnie hrabiemu Salisbury, aby wraz z odpowiedzialnością nie popaść w sidła obowiązku, który obiecywał jedynie nudną dyscyplinę.

Przejął natomiast straż przednią i zapytał hrabiego Sarrebruck, czy nie zechciałby żeglować na przedzie. Ten przyjął propozycję niezmiernie zaszczycony i mały statek z wielkim krzyżem na żaglu wypłynął pierwszy w rozciągające się bez końca morze, które teraz aż do Cypru nie zapowiadało żadnej szczególnej przygody.

Z diariusza Jana ze Joinville

5 września A.D. 1248

Czuję się jak człowiek skazany na śmierć, któremu kaci pozwalają pisać aż do ostatniego tchnienia. Jeśli już nie moje czyny, to przynajmniej moje przeniesione na papier myśli powinny świadczyć za mną, gdy mnie już nie będzie. Nikt mi nie przeszkadza.

Potykając się wypadłem jak ogłuszony z kajuty hrabiny. Czy popełniłem błąd, okazując zbyt wiele zainteresowania Roszem i Jeżą, co Laurencja źle zrozumiała i wzięła mi za złe?

Z pewnością głowy jeszcze nie uratowałem.

W sprawach dotyczących dzieci hrabina była bardziej podejrzliwa niż samica drapieżnego zwierzęcia czuwająca nad bezpieczeństwem swych młodych, czyniło ją to całkiem nieobliczalną. Nie mogła mnie jednak po prostu wepchnąć do morza, uwiązawszy mi kamień u szyi!

Ale, jak sama przyznała, prowadzi od dawna walkę z duchami i upiorami, należałoby ją zatem sprowadzić na ziemię, a przynajmniej na solidny pokład jej triery. Do tego powinienem sobie zapewnić pomoc chytrzego Williama. Franciszkanin był wprawdzie także szalony, lecz nie zatracił poczucia rzeczywistości. Widziałem go z górnego pokładu stojącego obok jednonogiego kapitana.

– Zdaje się, że nie cierpicie pana Sidi? – zagadnąłem, gdy spostrzegłem, z jaką niechęcią Guiscard leje oliwę na ciągi łańcuchów i koła zębate, uruchamiające chyba mechanizm tarana, który mnie w najwyższym stopniu interesował.

Kapitan popatrzył najpierw z roztargnieniem, potem nieufnie, w końcu roześmiał się głośno.

– *Sidi-sidi* to nie żaden pan...

– Raczej zwykły podlec – wtrącił się William szczerząc zęby, ale to wyjaśnienie zwiększyło tylko dziką wesołość Amalfitańczyka.

– Słyszałeś, Firuzie, nasz szlachetny gość myśli naprawdę, że mamy pana El-Cida pod zadkiem!

Omiał nie pękł ze śmiechu.

– I my na wzór Maurów okazujemy mu cześć, zwracając się do niego *O signore!* – zniżył głos do konspiracyjnego szeptu. – *Ci-di-ci-di* to po prostu *cazzo della contessa del... diavolo* *!

– Tego jednak pani hrabina nie wie – dorzucił wyjaśniająco Firuz, który wprawdzie był dzielnym mężczyzną, jednakże na śliskich deskach gry słów nie poruszał się najlepiej. Nie

* *Cazzo della contessa...* (wł.) – ogon diabelskiej hrabiny.

pojął też wcale, że gromki śmiech stojących wokół, który teraz dał się słyszeć, dotyczył nie jego stwierdzenia, lecz jego naiwności.

– Spytaj kiedyś swoją Madulajn – zakpił jeden z Maurów – czy ona zna *sidi*.

Nim bosman zdołał rzucić się na zuchwalca, Guiscard wstawił pomiędzy nich swą drewnianą nogę.

– Do roboty, *maledetti*!

Wiedział, jak Firuz cierpi od docinków załogi. Tylko on miał na pokładzie żonę, a ledwie ją widywał, nie mówiąc już o przebywaniu z nią sam na sam.

Hrabina nie tolerowała na statku żadnych spotkań kobiet swego dworu z załogą i oprócz Guiscarda nikt nie miał wstępu na rufę.

Wciąż jeszcze stałem obok kapitana i Williama i spoglądałem chyba nazbyt zaciekawiony na windy i łańcuchy.

– Kto za wiele pyta, temu zatyka się usta. Kto chce zbyt dużo zobaczyć, łatwo może oślepnąć. – Guiscard mówił teraz tonem nieprzyjemnym, ba, groźnym. – Nie ma się tu na co gapić!

Gwałtownym szarpnięciem zamknął otwór w burcie.

Zrozumiałem albo przynajmniej tak mi się wydawało, że nikt nie powinien odkrywać tajemnicy *sidi*. Nikt nie powinien wątpić w magiczne moce, w które czarodziejka wyposażyła trierę. Prawdopodobnie potrafiła także uczynić swój statek niewidzialnym, kazać mu pędzić lotem strzały, mogła dokonywać cudów jak Zbawiciel albo kacerski Graal.

– *Sidi* jest tajemną siłą – oznajmił William znacząco.

– Nadaje się do ataku i do obrony własnej – warknął Guiscard, który nie posiadał umiejętności subtelnego różnicowania akcentów. – Brat świętego Franciszka nie powinien chwalić tego podstępного kolca. Chrześcijanin...

– Piractwo, które uprawiamy, jest tak czy tak nie do pogodzenia z duszą chrześcijanina. – William uśmiechnął się i z rezygnacją złożył ręce.

– Także korsarstwo należy wykonywać po ludzku – czułem się zmuszony przedstawić swoje zdanie – ażeby niepotrzebnie nie obciążać swego sumienia. – Ale nikt się ze mną nie zgodził.

– Następnym razem może mnie pani hrabina podrapać w moją drewnianą nogę! – rzucił tylko Guiscard.

– *Al arrambaggio!** – zawołał nagle William, gdyż on pierwszy wypatrzył żagiel na horyzoncie.

Guiscard pomyślał chyba, że mnich chciał okrzykiem poprzeć jego ulubioną metodę abordażu, bo kiwnął głową pełen furii i wrócił do swojej roboty.

– Bzdury! – zbeształ jeszcze franciszkanina, który podobnie jak ja dawno rozpoznał wschodni takielunek, Amalfitańczyk zaś wciąż nie popatrzył w tamtym kierunku.

* *Al arrambaggio!* (wł.) – do taranowania!

– *Nave in vista!** – krzyknął chłopiec z bocianiego gniazda.

Wtedy przybiegł także Hamo, syn hrabiny.

– Przygotować się do taranowania! – wysapał – Rozkaz hrabiny.

Guiscard wiedział, że Hamo l'Estrange, jedyny potomek hrabiny z Otranto, prawie nigdy nie zgadzał się ze swoją matką i dlatego postanowił sprzeciwić się rozkazowi.

– Najpierw obejrzymy zdobycz z bliska, a jeśli będzie się to opłacało, podejmiemy bokiem i dokonamy abordażu.

– Czy mam to powiedzieć sta... hrabinie Otranto, pani triery? – Hamona ucieszyła ta niesubordynacja.

– Po co nam znowu szmaty i towary korzenne! – uniósł się Guiscard. – Powiedz pani hrabinie, że potrzebujemy wody pitnej i świeżego chleba, nie mówiąc już o owocach i warzywach! Po to nie trzeba wcale posyłać niewinnych dusz na dno czy też rekinom na pożarcie.

– Tak powinnam postąpić z buntownikami! – rozległ się ostry głos hrabiny. – Co ma mi do powiedzenia mój kapitan, oprócz: *agli ordini, contessa*! – Laurencja z Belgrave weszła nieustraszenie między mężczyzn; farbowane henną włosy z trudem ujarzmiła zawiązanym na głowie turbanem.

– Łańcuchy *sidi-sidi* są przetarte – rzucił Hamo zuchwale, a czterej *speronisti* przytaknęli w milczeniu.

– Rzykujemy, że utracimy *sperone* – podjął skwapliwie Guiscard – lub, co byłoby jeszcze gorsze, taran zwiśnie w dół jak, za przeproszeniem, ogon i będzie przeszkadzał statkowi...

– Tchórze! – hrabina odwróciła się z pogardą, rzucając jeszcze przez ramię: – Nie będziemy więc również abordażować!

Tymczasem żaglowiec zbliżył się i kierował prosto na nas. Była to *dau**, głęboko zanurzona w wodzie.

Niewiele brakowało, a ogłosiłby alarm i pożegłował do ataku, lecz powstrzymał go Szymon.

– Mamy raptem dwudziestu ludzi – ostrzegł – triera z Otranto jest statkiem bojowym z ponad dwustoma ludźmi zaprawionymi w walce i słynnymi z okrucieństwa. Poczekajmy na innych i naradźmy się.

– Bóg jest ze sprawiedliwymi – mruknął hrabia, zadowolony jednak, że go powstrzymano – i z karzącymi, którzy stoją mocno przy prawdziwej wierze!

* *Nave in vista* (wł.) – widać statek.

* *Agli ordini, contessa* (wł.) – wedle rozkazu, hrabino.

* *Dau* – egipski żaglowiec, jednomasztowy bark z trójkątnym żaglem.

– Ta wiara zachowała was dla krucjaty – zakpił dominikanin. – Ja stoję zawsze mocno na gruncie rozumu. Sama chrześcijańska wiara nie wygra bitwy morskiej przeciwko najeżonej bronią pływającej twierdzy.

Nie zauważył pełnego pogardy spojrzenia Deana z Manruptu, który od czasu ich wyprawy po wodę z żelazną konsekwencją nie zamienił z dominikaninem ani słowa.

Tak więc poczekali na przybycie flagowego statku pod dowództwem Wilhelma z Salisbury, który dał jedynie słuszną radę: wszyscy powinni rozsypać się szeroko w tyralierę i z obu flanków zaciągnąć sieć z podwójną zdobyczą. To było zrozumiałe także dla Jana.

Mniej natomiast uradowała go oferta wysunięcia się ze swym statkiem ponownie do przodu, aby nieprzyjaciel, zamiast umknąć, dostrzegł w nim ponętną zdobycz. A więc miał zagrać rolę myszki wobec kota.

Niezbyt się to spodobało również Szymonowi, nigdy bowiem nie wiadomo, co uczyni kot. Jan nie mógł teraz stracić animuszu, ponieważ wcześniej okazał się lwem. Jego ludzie z dzielnymi minami pomachali innym statkom w nadziei, że podążą za nimi jak najszybciej.

Mały statek z wielkim krzyżem na żaglu zbliżył się ostrożnie do triery, jednak musiał już zostać przez nią zauważony, bo odłączyła się raptownie od *dau* i zamierzała uciec.

– Tchórzliwa banda! – krzyknął radośnie hrabia Jan w przyływie odwagi.

Statek, sprawiający wrażenie ociężałego, jeszcze nie postawił żagli, ale wciągnięto teraz na maszt proporzec hrabiny Otranto; ryzykownym manewrem triera opisała koło o nieprawdopodobnie małym promieniu i skierowała się prosto na krzyżowców.

Hrabiemu Janowi serce podeszło już do gardła, ale triera niespodziewanie wciągnęła najpierw dolny, potem drugi, środkowy rząd wioseł i równie nagle jak została wprawiona w ruch, spoczęła prawie nieruchomo na morzu, czając się niczym podstępna płaszczka z błyszczącymi kolcami trzeciego, górnego rzędu wioślarzy, uparcie sterczącymi w niebo.

– Ogarnął ich strach przed sprawiedliwą karą! – Jan znowu poczuł przyływ męstwa, Szymon zaś rzucił spojrzenie do tyłu i zobaczył, że cały horyzont za nimi, żagiel przy żaglu, zappełniły statki krzyżowców.

Półkole zaczęło się zamykać. To dodało Janowi odwagi do kontynuowania misji.

Dau, kołysząca się niezdecydowanie na morzu, zaczęła teraz ociekać, ale Jan zauważył z satysfakcją, że od angielskiej flanki odłączyło się kilka szybkich żaglowców i podjęło pościg za uciekinierami. Na trierze hrabiny przeciwnie, wcale nie szykowano się do ucieczki.

– Może to pułapka? – Szymon podsunął tę wątpliwość hrabiemu, żeby jeszcze się zastanowił.

Jan jednak był wojowniczo usposobiony, chciał dać przykład swoim rycerzom. Opuścił przyłbicę i wyciągnął miecz.

– Pozwolą nam wejść na pokład i wezmą nas jako zakładników! – ostrzegł znowu dominikanin.

– Jak okiem sięgnąć – rzekł Jan śmiało – nie widzę żadnego rycerza, który mógłby się nam przeciwstawić, tylko lichą marynarską zgrają dowodzoną przez człowieka z drewnianą nogą, a poza tym kobiety, które wystroiły się jak na przyjęcie. No, już urządzimy im zabawę! – skończył z nutą zawziętości w głosie.

– A tych co najmniej trzech tuzinów wioślarzy z kosami naprawdę nie widzicie, wielki Aleksandrze? – zadrwił Szymon. – Podnieście przyłbicę i przetrzyjcie oczy! Jedno pociągnięcie tych ostrzy i będziecie bez nóg!

To poskutkowało i dominikanin mógł ciągnąć dalej.

– Wetknijcie miecz do pochwy i zachowujcie się jak szlachcic, który życzy sobie być przyjętym na statku damy równego sobie stanu!

– Piratka i zarazem zdrajczyni! – odpowiedział Jan z wściekłością, postąpił wszakże zgodnie z radą. – Czy to ona, ta ruda czarownica? – wyrzucił warcząc jak pies, który obawia się, że odbiorą mu kość.

Hrabina Otranto wyszła teraz z kajuty i spoglądała wyczekująco na mały statek.

– Tak, to ona, Laurencja z Belgrave, owdowiała hrabina Otranto, zwana także Przeoryszą!

Z diariusza Jana ze Joinville

5 września A.D. 1248

– Wiele psów to zguba dla dzika – powiedziała Laurencja do Williama cicho, ale dostatecznie głośno, żeby mógł usłyszeć i Hamo, który wyraźnie nie zgadzał się z decyzją matki i spuściwszy głowę, uparcie wpatrywał się w deski pokładu.

– Moglibyśmy się przebić, odrzucić ich na bok jak wichura liście w jesieni!

Hrabina sprowadziła syna na ziemię.

– Z pewnością dwa, trzy, czy nawet cztery statki moglibyśmy posłać na dno – nie odrywała wzroku od cudzoziemskiego żaglowca, który zbliżył się pierwszy – ale ich jest pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, może jeszcze więcej...

– I wśród nich prawie połowa to Anglicy – dorzucił Guiscard, który pojawił się z tyłu – a oni mają szybkie żaglowce, szybsze niż nasz, poza tym to diabelnie dzielni marynarze...

– W ich żyłach płynie krew wikingów – wtrącił się William, ale Guiscard ofuknął go grubiańsko.

– My, Amalfitańczycy, też ją mamy! Nie mówiąc już o naszych wioślarzach z kosami. Ale przeciwnicy dysponują kuszami o dalekim zasięgu i mogą nas ostrzelać z bezpiecznej odległości. Wiele strzał to śmierć nawet dla najlepszego odyńca! – dodał kapitan obserwując, jak eskadra angielskich żaglowców okrąża *dau*.

Kiedy ich pierścień się rozluźnił, po muzułmańskim statku nie było już śladu. W wodzie poruszało się tylko parę ciemnych punktów, prawdopodobnie beczki z winem.

Mały statek, który odważył się podpłynąć najbliżej, wciągnął teraz flagę. Pomyślałem, że źle widzę: obok proporca mego kuzyna Jana z Sarrebrucku powiewały również na wietrze barwy Joinville'a. Mój statek! Nie powiedziałem jednak nic.

Laurencja zdecydowała się zabrać na pokład suffiego i dwoje dzieci chyba tylko dlatego, że nie zauważyła ani nadpływającej floty, ani zuchwałej straży przedniej w postaci żaglowca mego kuzyna.

Niepewna stosowności swego czynu, odesłała tę trójkę natychmiast pod pokład, gdy tymczasem Klarion i służebne zatrzymały w kajucie „jej” dzieci, Rosza i Jeżę.

– I ty, Hamonie – zwróciła się teraz do syna – udasz się również do kajuty.

Hamo chciał zaprotestować, ale spojrzenie Guiscarda powiedziało mu, że tym razem nie znajdzie żadnego poparcia.

– Nie potrzebuję teraz żadnych bohaterów – mruknęła hrabina, gdy młody człowiek oddalił się jak zbity pies.

Potem zwróciła się do mnie.

– Zrządzeniem losu podbija nas teraz wasz statek, jeśli mnie nie zawodzi znajomość heraldyki. Nie chcę was jako zakładnika, drogi kuzynie, jesteście wolnym człowiekiem! – powiedziała z uśmiechem. – Udajcie się do swoich i przejmijcie dowództwo.

Byłem niezdecydowany i raczej skłaniałem się do tego, aby na mego napuszonego kuzyna poczekać tutaj, na trierze, gdzie przecież zaraz powinien się zjawić.

Laurencja z Belgrave postanowiła przyjąć przybyszów na rufie, zwłaszcza że triera była już otoczona przez wiele małych stateczków, jak martwy owad przez mrówki.

Martwa jednak jeszcze nie była, a gdyby doszło do starcia, wielu spośród tych, którzy teraz bez pytania wdrapywali się na pokład, musiałoby to przypłacić życiem.

Hrabina patrzyła na wyprostowanych jak świece wiosłarzy górnego rzędu. Siedzieli nieporuszeni, ale ich ręce obejmowały uzbrojone kosami wiosła tak mocno, że ostre końce drżały.

To ją uspokoiło, wysłała więc Guiscarda, do którego dołączyłem, na dół, aby przywitał dowódców straży przedniej i przyprowadził ich do niej.

– Zapytajcie hrabiego Sarrebruck – oznajmiła mocnym głosem – czy jest w zwyczaju w Saarze składać damie wizytę w towarzystwie licznych, źle wychowanych piechurów, a tak niewielu rycerzy, podczas gdy na nią skierowane jest przynajmniej dwa tuziny katapult i dziesięć razy tyle kusz?

Guiscard nie okazał żadnym gestem, czy zamierza wziąć rozkaz poważnie, ja jednak szedłem przecież u jego boku i musiałem to słyszeć. Skinąłem głową, żeby go podtrzymać na duchu, bo wydawał mi się przygnębiony.

Amalfitańczyk czuł na sobie pytające spojrzenia swoich Maurów, którzy utworzyli szaniec u stóp wioślarzy górnego rzędu i bardziej rozgniewani niż zaniepokojeni śledzili wtargnięcie obcych na pokład. Ale nie doczekali się ze strony kapitana ani gestu, ani słowa.

William został obok hrabiny. Odniosłem wrażenie, że on także nie czuł się dobrze.

Mój kuzyn Jan wskoczył już na pokład i jego rycerze rzucili się natychmiast na Guiscarda, który pozwolił się związać bez oporu i ponuro milczał.

Dopiero wtedy kuzyn dostrzegł moją obecność. Otworzył gębę ze zdumienia.

Gapił się na mnie jak wół na malowane wrota.

– Witamy na pokładzie! – powiedziałem w końcu.

Moi rycerze – w tłoku nie zauważyłem, że nie ma wśród nich mego najmilszego kuzyna Goberta z Aprémontu – rzucili mi się hurmem na szyję.

– Jesteś w zмовie z tą czarownicą? – ofuknął mnie na powitanie kuzyn.

– Uwolniłeś mnie od złego czaru – zbiłem go z tropu – ale strzeż się hrabiny. Możesz się potknąć i własną klingę wsadzić sobie w serce!

– To mi nie grozi! – krzyknął, żeby dodać sobie odwagi, ale szybko się przeżegnał. – Za mną!

Moi rycerze nie ruszyli z miejsca, jego się ociągali.

– Tchórze! – wrzasnął. – Zdrajcy! – I zamierzał sam z obnażonym mieczem pognać przez pokład na rufę.

– Szampania! – ryknąłem i odepchnąłem go gniewnie do tyłu. – Pod moją komendę!

Ruszyłem na czele ponad dwudziestu francuskich rycerzy; musieli się do mnie przepchać przez własnych żołnierzy, którzy coraz liczniej zaludniali pokład poniżej górnego rzędu wioślarzy, ale nie ośmielali się zetrzeć z nimi i Maurami.

Hrabia Sarrebruck przypuszczał, że dysponuje wystarczającym autorytetem, i wrzasnął do Amalfitańczyka, którego związanego prowadził ze sobą:

– Powiedz swoim kosynierom i pozostałej hołocie, że mają złożyć broń!

Jednonogi zachowywał się tak, jakby niczego nie usłyszał, podobnie wioślarze na górze. Tyle że uderzając o siebie lśnięcymi piórami wiosł, zagrzechotali tak straszliwie, iż ten dźwięk przeniknął mnie do szpiku kości.

– Każę im wszystkim poucinać łby! – parsknął Jan, ale ja parłem dalej do przodu.

Tak czy tak była to nedorzeczność: nie hrabina znalazła się w naszym ręku, lecz my w jej. Jedno skinienie i kosy świsnęłyby w dół, zaatakowałyby nas topory abordażowe, strzały – na krótki dystans! – przebiłyby nas jak szewskie szydło zbyt mocno napiętą skórę bębna. Naturalnie nasza zjednoczona armada odniosłaby ostatecznie zwycięstwo, ale ja nie zobaczyłbym już nigdy Joinville, a Jan swego Sarrebrucku.

Teraz stało się dla mnie jasne, dlaczego nasz angielski wódz naczelny oddał lekką ręką memu kuzynowi zaszczyt pierwszeństwa.

W końcu ciżba przerzedziła się i dotarliśmy do schodów, które prowadziły na podwyższoną rufę.

– Przez miłość Najświętszej Dziewicy – syknąłem do kuzyna – pozwól mnie teraz mówić!

– Pohamuj swój strach – rzucił mi w odpowiedzi – wtedy zechcę powściągnąć swoją wściekłość.

Ruszyliśmy po schodach w górę.

– Jan ze Joinville! – wykrzyknęła Laurencja z Belgrave, jakby mnie zobaczyła po raz pierwszy. – Co zjednało mi waszą uwagę, nie mówiąc już o zaszczycie?

Aby pohamować kuzyna, odpowiedziałem szybko z lekkim ukłonem:

– To jest mój kuzyn Jan, hrabia Sarrebruck i Aprémont.

Jan nie mógł teraz także uczynić nic innego, jak skłonić się dwornie, jednak hrabina natarła na niego.

– A cóż wam uczynił mój kapitan, że go przyprowadzacie związanego?

Odpowiedziałem szybko:

– Przywitał nas niestosownie, ba, zuchwale, nie tak jak należy się osobom naszego stanu. Możecie go ukarać.

– Podajcie mi swój miecz – zwróciła się do mojego kuzyna.

Jan tak osłupiał, że uczynił, co mu kazała. Laurencja szybkim ruchem przecięła więźniowi więzy. Guiscard nawet teraz nie otworzył ust.

Wtedy odezwał się mój kuzyn uprzejmie:

– Teraz, szanowna kuzynko, pozwólcie także waszym wioślarzom złożyć ich budzącą strach broń, a sami zechciejcie, proszę, towarzyszyć nam na statek naszego naczelnego wodza, pana Wilhelma z Salisbury, z królewskiej rodziny angielskiej, gdzie was oczekuje również brat króla Francji.

Zaniemówiłem, uznałem pomysł za niezły. Szybko jednak zmieniłem zdanie.

– Mój drogi kuzyn Joinville, którego przecież znacie – ciągnął Jan z namaszczeniem – zagwarantuje wam bezpieczeństwo. – Zrobił pauzę, ponieważ ja nie mogłem już ukryć narastającego gniewu. – Tak, zostanie tutaj jako zakładnik do waszego powrotu.

Nim zdołałem zaprotestować, wmieszał się do rozmowy William z Roebruку, który według mnie miał wiele powodów, aby się od tego powstrzymać.

– Nie powinniście, szanowna przyjaciółko, opuszczać bez konieczności bezpiecznego pokładu waszego statku.

Teraz także jednonogi pozwolił sobie nie pytany udzielić hrabinie rady:

– Jeśli dostojni panowie pragną was, pani, widzieć – zobaczyłem, jak memu kuzynowi nabrzmiewają od gniewu żyły – to popłynemy do nich na pokładzie naszej własnej triery!

Jednak Laurencja porywczym ruchem ręki ucięła wszelkie dalsze wywody.

– Nie potrzebuję żadnych rad i zaproszeń, jeśli chcę widzieć królów.

Patrzyła twardo i nieco z góry w oczy hrabiego Sarrebruck – była o dobrą głowę wyższa od mego niskiego kuzyna. Jan nie chciał jednak się wyrzec już prawie odniesionego zwycięstwa.

– Czy zechcecie iść ze mną?! – wycedził przez zęby.

– Pokażcie najpierw, hrabio, że jesteście panem własnego żołdactwa i usuńcie tę hołotę z pokładu...

– Gdy tylko wy złożycie broń...

– Póki żyję, moi ludzie nie złożą broni. – Hrabina roześmiała się. – Ale skoro wy przypisujecie tej okoliczności tak wielkie znaczenie, uwolnię was od zagrożenia. Możecie bez szwanku opuścić trierę i zapowiedzieć moje przybycie. Udam się za wami z własnej woli!

Jan przełknął to, poddał się nawet z dwornym gestem, ale o ile znałem jego podstępny charakter, nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. A ostatniego słowa nie mógł sobie odmówić.

– Spowiednika i kapitana powinniście zabrać ze sobą. Wy możecie rozmawiać z królami jak z równymi sobie, ale u minorytów i marynarzy *disciplina nulla manifesta** jest nie do wybaczenia! Są aresztowani!

– Jestem przyzwyczajona sama dobrać sobie towarzystwo. William z Roebruku jako emisariusz Ojca Świętego oglądał już z bliska wielkiego chana wszystkich Mongołów, a Guiscard z Amalfi jest wolnym człowiekiem...

– *Agli ordini, contessa!* – przerwał jej Amalfitańczyk, wyraźnie poruszony pochwałą. – Dokąd wy, pani, pójdziecie, ja będę wam towarzyszył, choćby nawet do piekła!

Mój kuzyn odwrócił się porywczo i ruszył w drogę powrotną ze wszystkimi rycerzami, swoimi i moimi.

Zobaczyłem, jak nasi ludzie natychmiast opuszczają trierę, jeszcze szybciej niż przybyli, wspinają się przez reling i skaczą na statki, chyba bardzo zadowoleni, że uszli z zasięgu kos niesamowitych wiosłarzy.

Hrabia Sarrebruck nie uważał za konieczne pożegnać się ze mną.

– Możecie swobodnie odejść, Janie ze Joinville – powiedziała do mnie przyjaźnie pani triery. – Nie żądałam żadnego zakładnika.

Co za dziwna, na swój sposób wspaniała niewiasta! Laurencja henną ukrywała siwiznę we włosach, a przecież wciąż promieniowała urokiem, który uczynił ją sławną.

Jako młoda kobieta przed wielu laty założyła w sercu Rzymu, w cieniu zamku Świętego Anioła, klasztor żeński, do którego w tajemnicy przyjmowano kacerki, zapewniając im schronienie za murami. Gdy odkryła to inkwizycja, Laurencja uciekła ze swymi kobietami na morze, podstępem opanowała korsarski statek i przejęła na nim dowództwo. Odtąd grasowała na morzu, póki pewnego dnia nie wpadła w ręce hohenstaufowskiego admirała, który zamiast

* *Disciplina nulla manifesta* (łac.) – brak dyscypliny.

ją powiesić, poprosił o rękę. W ten sposób stała się hrabiną Otranto, jednak przylgnął do niej osławiony przydomek: „Przeorysza”.

– I na co byście mi się przydali – uśmiechnęła się do mnie – skoro kuzyn gotów jest was bez skrupułów poświęcić.

Milczałem zawstydzony. Była więc świadoma niebezpieczeństwa i mimo to zdecydowała się popłynąć z Janem z Sarrebrucku!

– Pragnę tutaj pozostać i odpowiadać za swoje słowo – odparłem.

– Więc bądźcie tym razem moim gościem – powiedziała jakby od niechcienia i odwróciła się do swych pokojowych, które teraz, gdy wszyscy obcy opuścili pokład, ociągając się wychodziły z kajuty.

Wtedy wyskoczyły też dzieci z głośnym okrzykiem: „My nie złożymy broni!” Rosz machał strzałami i łukiem, Jeza wywijiała sztyletem. Dzieci uczepliły się grubego mnicha.

– Jeśli William nas opuszcza – powiedział Rosz zdecydowanie – idziemy z nim razem do więzienia!

– Jesteśmy aresztowani! – jasnowłosa Jeza przedrzeźniała mego kuzyna. – Jesteśmy aresztowani i dlatego idziemy wszyscy razem!

Myśl ta podobała się dzieciom coraz bardziej.

– To niemożliwe. – Hrabina pogłaskała chłopca po włosach z czułością, jakiej się po niej nie spodziewałem. – Dzieci nie składają wizyt Ich Królewskim Wysokościom.

Nie powinna tego mówić, gdyż teraz wrzask przeszedł w wycie.

– My także jesteśmy królami! – zaprotestował Rosz i odsunął się od hrabiny.

– Czynimy wam zaszczyt, że chcemy wam towarzyszyć – oświadczyła Jeza.

Pojąłem, że tutaj kończy się władza Laurencji, osławionej Przeoryszy, postrachu Morza Egejskiego.

Hrabina kazała przywołać Hamona.

– Seneszał jest gościem tego statku, który na czas swojej nieobecności tobie powierzam – powiedziała nie bez macierzyńskiej dumy. – Klarion będzie ze mną i z dziećmi.

I tak opuścili trierę. Widziałem, że William z Roebruku modlił się, a miał wszelkie powody do obaw.

Gdy jednonogi kapitan jako ostatni schodził z pokładu, kosy uderzyły mocno o siebie.

Zaledwie Maurowie pomogli hrabinie i dzieciom przejść z pokładu triery na francuski statek, hrabia Sarrebruck kazał odbijać. „Jego” mały statek, chociaż dwumasztowiec, nie oferował komfortu, do jakiego hrabina była przyzwyczajona; z tego powodu Jan z Sarrebrucku usprawiedliwiał się, ale tonem, który Laurencji się nie spodobał. Była przygotowana na wszelką głupotę swego gospodarza czy raczej dozorcę więzienia, którym najchętniej by się widział, ale nie na to, że Jan natychmiast krzyknie o postronki.

Otoczona przez swych towarzyszy, stała wyprostowana na dziobie statku. Hrabia żadnych sznurów nie znalazł, a w dodatku rycerze na płynących tuż obok statkach wyśmiali go, że chce nałożyć więzy bezbronnej kobiecie.

I tak cała flotyła torowała sobie drogę do flagowego statku Wilhelma z Salisbury.

Żaglowiec Anglika był okazałym trójmasztowym barkiem, większym niż wszystkie pozostałe jednostki. Nie był też tak ciężki i niezgrabny, lecz długi i smukły, zgodnie z północną sztuką budowy statków. Kiedy postawił wszystkie żagle, jego widok musiał każdego wilka morskiego przyprawić o bicie serca; tak w każdym razie odczuwał to Guiscard, gdy się zbliżyli do wysokiego dziobu.

Dobre dwie setki marynarzy tkwiły na rejach i w olinowaniu, ciekawe zapowiedzianej wizyty.

Spuszczono drabinkę sznurową i pomocne ręce wciągnęły na pokład hrabinę, Klarion i dzieci, Williama i Guiscarda, a potem także hrabiego Jana i kilku jego rycerzy.

Wilhelm z Salisbury biesiadował na pokładzie.

Siedział przy długim stole, przykrytym delikatnym płótnem i zastawionym kosztownymi naczyniami, a jego służba wносиła w obfitości wszystko, co kucharze przygotowali. Podczasowie biegali gorliwie, aby szlachetnym panom napełniać puchary.

Wilhelm siedział na podwyższeniu, miejsca po jego prawej i lewej ręce były puste. Oczekiwał wizyty hrabiego Artois, brata króla Francji, i nie był przygotowany na wizytę Laurencji z Belgrave. Czy powinien w niej teraz widzieć osławioną Przeoryszę czy rezolutną hrabinę Otranto?

A ponieważ już dobrze popił, zawołał potężnym głosem:

– Witamy, szlachetna pani, zajmijcie miejsce przy moim boku!

Gburowaty sposób bycia wojownika przejął Laurencję wstrętem, ale nie chciała się Wilhelmowi narazić, odrzekła więc:

– Dzięki wam, Salisbury. Gdybym wiedziała, że mnie zapraszacie do stołu, nie przybyłabym z pustymi rękoma. Podałabym wam najlepsze wino Apulii!

Zrobiła krok do przodu, przyjmując zaproszenie. Wtedy hrabia Sarrebruck szarpnął ją grubiańsko do tyłu, a sam rzucił się naprzód.

– Ta kobieta nie zasługuje, panie Wilhelmie, na zasiadanie przy waszym stole! – Poleciał swoim rycerzom, żeby odgradzili hrabinę od wodza wyprawy. – Jest piratką i do tego szpiegiem sułtana. Ujęliśmy ją, aby oddać wam pod sąd.

Wilhelm z Salisbury, który nawet nie podniósł się na powitanie hrabiny, nie miał ochoty zepsuć sobie przyjemności biesiadowania. Otworzył posiedzenie trybunału solidnym łykiem z pucharu i zwrócił się do Laurencji.

– Hrabia... – nachylił się do stojącego za nim spowiednika, który mu szeptem podpowiedział nazwisko – ...Sarrebruck i Aprémont wytoczył przeciwko wam ciężkie zarzuty. Oba podlegają najwyższej karze, najwyższej ze wszystkich!

Skierował spojrzenie w górę ku rejom, skąd jego ludzie wrzasnęli radośnie.

Laurencja, która wciąż jeszcze stała, chwyciła puchar ze stołu, wzniosła toast za zdrowie Salisbury’ego i opróżniła duszkiem naczynie, co przyniosło jej poklask załogi.

– Oba zarzuty są tak samo nieprawdziwe – zawołała – jak dana mi gwarancja bezpieczeństwa, którą zastąpiło to niegodne traktowanie!

– Kłamie! – rozległ się przeraźliwy krzyk hrabiego Sarrebruck. – Uwięziłem ją na podstawie doniesienia mego kuzyna Jana, hrabiego Joinville i seneusza Szampanii!

– A gdzież on jest? – zapytał Salisbury.

Rozkoszował się tym spektaklem jak występem kuglarzy, z których na czas wyprawy krzyżowej musiał zrezygnować, podobnie jak z gorąckrwistych markietanek, a przede wszystkim z wykonywania ulubionego rzemiosła wojennego. Każda krotchwila, która obiecywała choć trochę uciechy, była teraz jak najmilej widziana.

– Seneszal okupuje piracki statek i oczekuje od was, żebyście osądzili zbrodniarkę i wymierzili jej sprawiedliwość! – Jan zorientował się, że przeszkadza Salisbury’emu przy stole. – Skoro tylko skończycie posiłek – dorzucił szybko.

– Chyba nie uważacie za niestosowne, że będę dalej jadł i pił? – zwrócił się Anglik z rubaszną wesołością do Laurencji. – Co więc jest prawdą? Przyłapano was u boku mużułmańskiego statku. Chcieliście go abordażować, czy też skrycie wymieniliście z wrogiem wiadomości? Za jedno i drugie grozi stryczek. Możecie wybierać.

Laurencja, której służba Wilhelma bez pytania nalała znów wina, trzymała puchar tak, że można było oczekiwać, iż wzniesie toast na cześć swego sędziego.

– Jak sami mogliście się przekonać, panie Salisbury, nim posłaliście *dau* na dno – powiedziała – byli tam biedni pielgrzymi, powaleni chorobą, konający z pragnienia...

– A co wy učiniliście? – zadrwił hrabia Sarrebruck.

– Dałam im z zapasów naszego wina tyle, ile mogłam – oświadczyła Laurencja. – Wam też dam się napić.

Chlusnęła zawartością pucharu w twarz oskarżycielowi, który osłupiał z zaskoczenia.

– Trzymajcie mnie! – krzyknął. – Ja tę czarownicę...!

Wyciągnął miecz z pochwy, jednak na znak Salisbury’ego służba odepchnęła go do tyłu.

Po czym Salisbury oznajmił prawie żartobliwie, jak to chyba było w zwyczaju przy jego stole:

– A więc współpracowaliście z wrogiem. Za to musicie zapłacić waszym grzesznym życiem. – Jego spojrzenie padło na Williama i Guiscarda, potem znów wróciło do Laurencji. – Na moim statku obowiązuje angielskie prawo morskie. Zostaniecie powieszani, wszyscy troje.

Marynarze chcieli zbliżyć się do skazanych, ale wtedy Jeza wysunęła się nagle do przodu i nim ktokolwiek się spostrzegł, cisnęła sztyletem w kierunku Salisbury'ego tak zręcznie, że ostrze wyrwało mu z ręki kawałek mięsiva i przyszpiliło do stołu.

– Nie wiesz, kim my jesteśmy! – zawołała.

– I pod czyją pozostajemy opieką! – krzyknął Rosz. – Jeśli ją zabijesz – wskazał Laurencję, której znowu napełniono puchar – cesarz powiesi ciebie, nogami do góry!

– Jeśli mojemu Williamowi spadnie choć włos z głowy... – Jeza zająknęła się, ponieważ zobaczyła, że minorycie związane już ręce na plecach – wówczas będziesz miał z nami do czynienia!

– Guiscarda także nie ważcie się tknąć! – dodał Rosz i założył strzałę na cięciwę łuku.

Wtedy Salisbury roześmiał się gromko i poklepał z uciechy po udach. Guiscard, nim mu nałożono więzy, ojcowskim gestem zdjął strzałę z łuku Rosza.

– To nazywam odwagą! – krzyknął Anglik do towarzyszy przy stole. – Dzieciaków nie może minąć nagroda!

Guiscardowi i Williamowi założono już stryczki na szyję; tylko Laurencja stała bez więzów, ponieważ nikt nie ośmielił się do niej podejść. Salisbury rzekł do Rosza:

– Każde z was obojga może wybrać jedną osobę, którą pragnie zachować przy życiu.

Rosz rzucił przelotne spojrzenie na skazańców.

– Ty nie możesz nagradzać królów – oznajmił w ciszy.

Salisbury z trudem zachował zimną krew i zwrócił się do Jezy, która z trwogą obserwowała, jak przerzucano liny przez reje.

– No, moja mała królowo – próbował zażartować, grożąc. – Kogo chcesz ocalić?

– Guiscarda! – odparła szybko, ponieważ kapitan stał na samym przedzie.

– Williama! – zawołał Rosz, teraz już z rozpaczą. – Mojego Williama!

Salisbury popatrzył na hrabinę, która wyborem dzieci była wyraźnie wstrząśnięta.

– No cóż, Laurencjo z Belgrave – powiedział. – Musicie się udać w ostatnią podróż samotnie.

Laurencja nie odpowiedziała nic, lecz odwróciła się ku Klarion, by ją po raz ostatni uścisnąć. Przy drabince sznurowej zrobiło się zamieszanie.

– Księżę z Francji! – rozległy się głosy. – Robert, hrabia Artois! – zawołał ktoś, oficjalnie zapowiadając gościa.

Młody człowiek o śmiałej twarzy okolonej pięknymi lokami przeszedł szybkim krokiem w towarzystwie Jana ze Joinville przez rozstępującą się cizbę i skłonił niedbale głowę przed Salisburyem.

– Wybaczcie mi, że przybywam tak późno. – Wziął dwornie puchar z ręki Laurencji. – Zdrowie Wilhelma z Salisbury i wszystkich pięknych dam na pokładzie!

Spełnił toast, a potem zaproponował ramię hrabinie, podczas gdy Joinville czuł się zmuszony czynić honory zapłakanej Klarion.

– Nie warto ronić łez – napomniął ją żartobliwie Robert. – Życie jest krótkie!

Poprowadzili damy na podwyższenie do wolnych miejsc po prawej i lewej ręce Anglika, który wstał i powitał ich wszystkich jak z utęsknieniem oczekiwanych gości.

– Muzyka! – krzyknął głośno. – Grajkowie, grać!

*Levdi milde, soft and swoote,
ich crie mercim ich am pi mon,
to honde bopen and to foote
on alle wise pat ich kon.*

Z diariusza Jana ze Joinville

11 września A.D. 1248

Opuściłem trierę, nie ufałem bowiem Janowi, temu głupkowi. Jediną osobą, która w wypadku Laurencji mogła skutecznie interweniować, wydał mi się Robert z Artois. Dotarłem do niego akurat w chwili, gdy zamierzał udać się do Salisbury’ego. Udało mi się zrećnie nie tylko pobudzić jego rycerski honor, lecz również przynaglić go do wręcz nieprzyzwoitego pośpiechu. Tak więc uratowanie Laurencji było ostatecznie moją zasługą.

Podnieśliśmy się po posiłku i książę z Francji, szlachetny pan Robert z Artois, poprowadził obie damy, hrabinę i Klarion z Salentyń, do drabiny sznurowej, aby mogły wsiąść na własny statek.

Ja zaopiekowałem się dziećmi i zadbałem, żeby pierwsze spuściły się po drabince prosto w wyciągnięte ręce Maurów, triera bowiem została przywołana, gdy hrabia Artois wyraził życzenie, że chce zwiedzić sławny i osławiony statek bojowy hrabiny.

Ja również chętnie udałem się z powrotem na pokład swojskiej już dla mnie triery, ponieważ myśl, żeby resztę podróży spędzić z kuzynem w ciasnocie jego łupiny, była dla mnie mało pociągająca.

On wprawdzie zapłacił połowę umowy frachtowej z moich pieniędzy, odgrywał jednak rolę jedynego właściciela, najchętniej też jeszcze kapitana, jak się skarżyli moi rycerze, którymi również komenderował.

Tylko na Deanie z Manruptu połamał sobie zęby, co mnie ucieszyło.

Wszyscy znaleźli się teraz na pokładzie triery, pani Laurencja jako ostatnia.

Natychmiast poszukała wzrokiem kapitana, a potem także Williama. Obu nie było.

– Gdzie jest Amalfitańczyk?! – zawołała gniewnie. – I gdzie się podziewa William z Roebroku? – dodała jeszcze bez jakiegokolwiek podejrzenia, ale wtedy odpowiedział jej szyderczy śmiech z wysokości sterczącej ponad nami rufy angielskiego statku. William,

rozkołysany przez mocne ramiona, zatoczył w powietrzu łuk i plusnął w wodę tuż przy burcie triery.

Nie roztkliwiałem się długo nad tym, że nagusieńki został wrzucony do morza, zwłaszcza że Maurowie wciągnęli go natychmiast przez reling, gdyż w tym momencie rozległ się przeraźliwy krzyk dzieci:

– Guiscard!

Zobaczyłem, jak wciągniętego wysoko w górę Amalfitańczyka marynarze zepchnęli teraz z rei. Spadał do nas na pokład.

Wioślarze mimo woli cofnęli w bok zakończone kosami wiosła, Maurowie wyciągnęli ręce, aby osłabić upadek kapitana, ale wtedy spostrzegłem linę na jego szyi. Wkrótce nastąpił straszliwy moment, kiedy lina napięła się i Amalfitańczyk ze złamanym karkiem zakołysał się tuż nad głowami Maurów.

Okrzykowi wściekłości odpowiedział głośny śmiech i szydercze gwizdy dochodzące ze statku Anglika, gdzie rzeźnik Anioł z Karos, którego kuzyn przedstawił mi przy stole jako swego nowego przyjaciela, przeciął powróż olbrzymim toporem. Obok Anioła dostrzegłem swego kuzyna z głupim uśmiechem na twarzy.

Prawdopodobnie Grecy „despoty”, jeśli nie on sam, byli odpowiedzialni za ten niecny czyn.

Jednak jak oceniałem Salisbury’ego, musiał się on skrycie radować policzkiem wymierzonym hrabinie, nim kazał, dla zachowania pozorów dyscypliny i zadośćuczynienia hrabiemu Artois, powiesić pół tuzina Greków.

Na pokładzie triery Maurowie wołali o zemstę, a kosynierzy w bezsilnej wściekłości nieustająco trzaskali zaostrozonymi wiosłami. Udręczona bólem hrabina z trudem opanowała sytuację.

Przede wszystkim odprowadzono do kajuty wzburzone dzieci.

Potem zwłoki Amalfitańczyka, który miał prawie oderwaną głowę, ułożono porządnie na długiej tarczy, nakryto flagą Otranto i osznurowano.

William miał odprawić egzekwie*.

Triera wysunęła się daleko w morze, oddaliła znacznie od innych statków. Żaden nie ośmielił się popłynąć za nią, jedynie statek księcia z Francji płynął w pełnej szacunku odległości.

Dopiero teraz przyprowadzono z kajuty dzieci. Poznałem, że Rosz płakał, u Jezy zobaczyłem po raz pierwszy pionową zmarszczkę na czole, a jej oczy, kiedy indziej raczej szare, jarzyły się groźną zielenią.

Oboje nie powiedzieli ani słowa. Pocałowali flagę, pogłaskali zmarłego po przykrytej głowie i cofnęli się tam, gdzie stał Hamo, hrabina i Klarion.

* Egzekwie – nabożeństwo żałobne, kościelne obrzędy przy zmarłych.

William wystąpił do przodu. Wstrząsało nim gwałtowne łkanie, pomyślałem więc, iż byłoby lepiej, gdybyśmy o ostatnią posługę poprosili mojego starego Deana z Manruptu, ale franciszkanin zaraz wyprostował się, zastukał krucyfiksem w drewnianą nogę zmarłego i zawołał:

– Święty Piotrze, patronie wszystkich, którzy pływają po morzach, otwórz bramy niebieskie! Zbliża się Guiscard, Amalfitańczyk! Bóg, Pan nasz, oczekuje go. Zasłużył sobie na wejście do raju, on to niegdyś spowodował zagładę floty twego zastępcy na ziemi, on posłał na dno „Immaculatę” Szarego Kardynała^{*}, on napędził strachu zamkowi Świętego Anioła, przez co zyskał drewnianą nogę. Był najdzielniejszym, a przecież najwierniejszym...

William musiał przerwać, bowiem uderzył w płacz i głos mu się załamał.

Jeza podeszła i wzięła mnicha za rękę, Rosz szlochał przytulony do boku Madulajn.

– Jest wiele znakomitych nazwisk i wielu dostojnych panów wśród opiekunów królewskich dzieci – ciągnął William – ale bez ofiarnej służby ludzi takich jak ty, Guiscardzie, wrogowie dawno by zwyciężyli!

Wyprostował się i wyciągnął pięść z krucyfiksem w kierunku morderców.

– Był zawsze na swoim miejscu, słyszeliście go wszyscy – skierował teraz swe słowa do zrozpaczonych Maurów i skamieniałych od bólu wiosłarzy górnego rzędu, którzy swym zwyczajem zagrzechotali kosami – jego ostatnie słowa brzmiały: *Agli ordini, contessa!*

Teraz William załamał się ostatecznie i trzeba go było odprowadzić na bok.

Zastąpiła go Jeza i dorzuciła mocnym głosem:

– Guiscard był kochany i takim go wszyscy zachowamy w pamięci.

Wydobyła spod kołnierza swój najulubieńszy sztylet, aby go dać zmarłemu na ostatnią drogę. Wtedy podszedł do niej Robert z Artois, wyciągnął z pochwy kosztowny miecz, objął dziewczynkę po bratersku i wsunął broń całą długością pod sznury.

– Umarł jak bohater – oznajmił – i jako taki pójdzie do morza, które jest jego niebem.

Maurowie podnieśli teraz tarczę ponad reling i Guiscard, Amalfitańczyk, ześlizgnął się ku chłodnemu grobowi, ale nie utonął od razu, lecz popłynął, niesiony falami, w dal na otwarte morze.

– Drewniana noga nie pozwalała mu utonąć! – usłyszałem szepty.

Ciało owinięte flagą stało się niebawem niewielkim kłębkiem, który wkrótce straciliśmy z oczu.

*Del gran golfe de mar
e dels enois dels portz
e del perillos far
soi, merce Dieu, estortz,*

^{*} „Immaculata” Szarego Kardynała – przydomek szybkiego żaglowca kardynała diakona Rajnera Capoccio, będący błuźnierczą aluzją do określenia *Virgo Immaculata* (Niepokalana Dziewica). Capoccio do swojej śmierci w r. 1250 piastował funkcję szefa papieskiej tajnej służby, stąd określenie Szary Kardynał.

*epos a Dieu platz q'eu torn m'en
don parti ab pesanza
lo tomar e l'onranza
li grazisc, pos el m'o cossen...*

Z diariusza Jana ze Joinville

14 września A.D. 1248

Płyniemy już trzeci dzień gościnną trierą hrabiny Otranto. Pisząc: „my”, mam na myśli nie tyle swoją osobę, ile księcia z królewskiego domu, szlachetnego pana Roberta, który pozostał na pokładzie statku. Warunkiem, jaki postawił hrabinie, gdy wybawił ją z nieprzyjemnej sytuacji, było przyłączenie się do krucjaty.

Laurencja z Belgrave chętnie przystała na to rozwiązanie i spontanicznie zaprosiła swego szlachetnego wybawcę, aby resztę podróży spędził na jej statku nie jako strażnik, lecz gość, by nam wszystkim dać możliwość godnie go podjąć.

Ja również nadal korzystałem z gościnności hrabiny, co brało się stąd, iż po ostatnich wydarzeniach nie czułem najmniejszej ochoty, aby z kuzynem dzielić ten sam pokład.

Żeglowaliśmy wraz z całą flotą; przed nami mieliśmy szybsze statki Anglików, za nami płynęły powoli łupiny francuskie, które jednakże określały tempo.

Firuz, nowy kapitan, kazał dla nas, gości z Francji, rozbić na platformie dziobowej przy katapultach namiot, a hrabina i jej kobiety wyłożyły go drogocennymi dywanami i zaopatrzyły w delikatne tkaniny, tak że obozowaliśmy po książęcemu.

Ja kazałem sprowadzić mego zacnego Deana z Manruptu, hrabiemu Robertowi zaś towarzyszyło kilku giermków i jego dziekan.

Wiele czasu spędzałem pod przeciwsłonecznym zadaszaniem z żaglowego płótna, sporządzonym pod stromo sterczącą burtą dziobową, i spisywałem swoje wrażenia, przy czym stawało się dla mnie coraz bardziej jasne, że powinienem notować wszystko, nawet moje najintymniejsze myśli, lecz jako autor szacownej kroniki, która przyniesie mi sławę dopiero po śmierci, wiedziałem, że zawsze towarzyszyć mi będzie troska, aby wszystkim dogodzić.

Tylko nieprzyzwoitych myśli, które z mojego podwyższonego punktu obserwacyjnego płynęły ku rufie zamieszkaney przez kobiety, nie mógłbym dać do przeczytania memu dzielnemu Deanowi.

Klarion, wychowanka hrabiny, przyciągała z pewnością pożądliwe spojrzenia większości mężczyzn na pokładzie.

Była nieprzeciętną, wykazującą skłonność do bujnych kształtów pięknnością, która swych wdzięków nie tylko nie starała się ukryć, lecz to mocno je podkreślała jedwabnym strojem, to znów okrywając się luźno spływającą tkaniną i welonem, pobudzała ludzi do grzesznych marzeń.

Hrabina jednak strzegła Klarion jak smok i nie dopuszczała do swej wychowawicy nikogo. Jeden jedyny raz mogłem poczuć dotyk jej ciała i zapach skóry, gdy płaczącą z bólu prowadziłem pod ramię do stołu tego grubiańskiego żartownisia Salisbury'ego.

Ale i wśród pokojowych było kilka, których żaden mężczyzna nie wypędziłby ze swego posłania.

Robert z Artois zwrócił moją uwagę na jedną z nich, niezwykle smukłą, o szlachetnych rysach, ponieważ bardzo chciał się dowiedzieć jej imienia.

Była to Madulajn, akurat jedyna zamężna dama, do tego z Firuzem, małomównym człowiekiem, który przedtem zajmował stanowisko pierwszego bosmana.

Teraz jako nowo mianowany kapitan miał wreszcie prawo wchodzić na rufę i do kajut, a swoją małżonkę oglądać nie tylko z daleka, lecz się z nią spotykać i rozmawiać. Dotychczasowa przymusowa abstynencja bosmana była powodem kpinek załogi, oczywiście poza jego plecami.

Często byłem mimowolnym świadkiem spotkań małżonków, wydawało mi się wówczas, że stali się sobie obcy.

Z początku Madulajn wpychała Firuza często do swojej kajuty, aby zażądać cielesnego spełnienia małżeństwa, on jednak się krępował. Wymiana czułości musiała przecież za każdym razem następować nazbyt pospiesznie, wszystko też było słychać, gdyż kajuta miała cienkie drewniane ściany, skąpo jedynie wyłożone dywanami i tkaninami.

Po jak najkrótszym czasie wypełniania małżeńskich obowiązków biedny kapitan przeważnie szybko i z zażenowaniem opuszczał to miejsce; bał się chyba niezadowolenia hrabiny, której wszelako to gruchanie, coraz bardziej zmieszane ze scenami zazdrości i wyrzutami, wydawało się całkiem obojętne, jak długo nie dotykało Klarion.

Tak więc, jako już rzekłem, książę z Francji upatrzył sobie Madulajn i w jego piersi rozniecał się miłosny ogień.

Muszę przyznać, że hrabia Robert dokładał wszelkich starań, aby nie rozbić trudnego małżeństwa kapitana i pięknej Madulajn, ale na stopniach prowadzących do kajuty śpiewał z zapalem do wtóru lutni.

*Ni dic qu'ieu mor per la gensor
ni dic que-l bella-m fai languir,
ni non la prec ni non l'azor
ni la deman ni la dezir.
Ni no-l fas homenatge*

*ni no-l m'autrei ni-l me soi datz;
ni non soi sieus endomenjatz
ni a mon cor en gatge,
ni soi sos pres ni sos liatz,
anz dic qu'ieu li soi escapatz.*

Mogłem swobodnie poruszać się po całym statku.

Kosynierzy przestali mnie już przerażać. Byli to surowi, wspaniali ludzie, a ja wcale nie dziwiłem się, słysząc ich nazwiska, które zdradzały rycerskie pochodzenie. Odsługiwali swój czas na tryerze, jak u nas młodzi chłopcy ze szlacheckich rodów, którzy godzili się na służbę jako giermkowie. Na pokładzie tworzyli zwartą wspólnotę.

Całkiem inni byli Maurowie. Trzymali się wprawdzie także razem, ale dokuczali sobie i brali się za łby, często aż do krwi.

Jedynym człowiekiem, który umiał postępować mądrze z obiema grupami, był Firuz, kapitan o smutnej twarzy.

Franciszkański mnich William z Roebruku cieszył się życzliwością wszystkich. Wielu szukało jego rady i pomocy, ale on sam nie sprawiał na mnie wrażenia szczególnie pobożnego.

Potwierdził to także Dean z Manruptu, którego dosyć przerażał sposób wyrażania się brata Williama. Jednak Dean umiał, z wyraźnym uczuciem zazdrości, pochwalić znajomość świata minoryty i zdolności do rozmaitych języków, w tym również do odcyfrowywania arabskiego pisma.

Dla obojga tak niezwykłych dzieci, to znaczy dla Jezy i Rosza, postać młodego hrabiego Artois była źródłem największej uciechy.

Teraz i ja dostrzegłem w szlachetnym panu Robercie *chevalier par excellence*^{*}, rycerza bez trwogi i skazy, pięknej postaci, szczerego charakteru, dbałego o swój honor i pełnego męstwa, które zresztą nieraz przeradzało się w zuchwalstwo, a nawet całkiem nierozsądną brawurę.

Zdobył szturmem serca „małych królów”, jak wszyscy na pokładzie czule nazywali dzieci. Nie tylko nakłonił Salisbury'ego, by oddał nieustraszonej Jezie sztylet, ale nawet doprowadził do tego, że dziki Anglik podarował *this little assassinian lady*^{*} czapkę z koziej skóry, która miała ukrytą kieszeń.

Także Rosz był pod wrażeniem Roberta, ksiączę bowiem natychmiast zainteresował się jego mongolskim łukiem i już za pierwszym strzałem wytrącił świeżo napełniony puchar z ręki mego kuzyna, hrabiego Sarrebruck.

^{*} Chevalier par excellence (fr.) – wzorowy rycerz.

^{*} This little assassinian lady (ang.) – ta mała skrytobójczyni.

Rosz wiedział, że książkę zrobił to naumyślnie, mimo iż Robert przeprosił Jana z Sarrebrucku niezwykle grzecznie za ten wypadek.

– On mrugnął do mnie! – opowiadał Rosz zadowolony, gdy wrócili na trierę, jeszcze nim Amalfitańczyka spotkało nieszczęście.

Hrabina odplaciła się nam za obronę jej cielesnej nietykalności wspaniałymi atakami na nasze podniebienia. W każde południe i w każdy wieczór zastawiano na rufie stół i wjeżdżały na niego specjały, jakie tylko kucharze potrafili wyczarować we wnętrzu trzypiętrowego statku, przede wszystkim jednak to, co Maurowie codziennie wyłowili z morza.

Przy tej okazji wyróżnił się Hamo, syn Laurencji.

Jedynie w opasce na biodrach, ze sztyletem przywiązany do nogi, trzymając w ręku trójząb jak młody Posejdon, skakał z relingu głową naprzód i wyławiał największe ryby.

Dzieci z miejsca chciały z nim współzawodniczyć. Hrabia Robert podsunął im inną myśl, nakłaniając – propozycja wywołała zrazu dziki ryk protestu – żeby wymieniły między sobą broń, ma się rozumieć nie na zawsze.

Jeza z łukiem i strzałami wyglądała jak bogini Artemida, niemal od razu nauczyła się obchodzić z nową bronią ku przerażeniu wszystkich kobiet.

Robert z Artois uczył nieco lęklivego Rosza nie jak ciskać sztyletem, lecz jak się nim posługiwać w walce wręcz. A ponieważ chłopiec okazał się nadzwyczaj pojętym uczniem, hrabia podarował mu prawdziwy sztylet ku wielkiemu niezadowoleniu Laurencji.

Aby udobruchać Jeżę, odkupiłem szybko i po kryjomu od jednego z Maurów łuk, który nie był dla niej za duży, i poleciłem Firuzowi, żeby go jej wręczył. Hrabia Robert, który to zauważył, zaśpiewał dla niej pieśń:

*Joves es domna que sap honrar paratge
et es joves per bos fachs, quan los fa,
joves si te, quan a adrech coratge
et ves bo pretz avol mestier non a;
joves si te, quan guarda son cors bel,
et es joves domna, quan be-s chapdel;
joves si te, quan no-i chal divinar,
qu'ab bel joven si quart de mal estar.*

Jeśli pan Robert myślał, że oddziała to wychowawczo na Jeżę, mylił się, osiągnął bowiem tylko to, że dziewczynka chciała natychmiast nauczyć się grać na lutni.

Wtedy jednak rozległ się okrzyk z bocianiego gniazda:

– Ziemia na horyzoncie!

To mógł być tylko Cypr.

Hrabia Robert wspiął się z wawo na drabinę sznurową ku wantom, by przywołać swój statek. I chociaż mógł to zadanie pozostawić swoim giermkom, stał teraz w górze, stopami zrećnie wczepiony w olinowanie, i dawał oburącz sygnały, by statek po niego podpłynął.

Mimo że miał naturę psotnego chłopca, dyplomacja była mu o wiele bardziej znana niż etykieta dworu paryskiego; tak więc zrezygnował z przybicia do lądu na pokładzie pirackiej triery i wołał wpłynąć do portu w Limassol na własnym statku, na czele swoich rycerzy.

Francuski książę ściągnął na siebie uwagę wszystkich, co wykorzystał Rosz, aby niepostrzeżenie wspiąć się na drabinę sznurową drugiego masztu. Gdy zaalarmowani krzykiem kobiet spojrzeliśmy w górę, chłopiec stał już tak wysoko jak hrabia Robert.

Rosz chciał mu pomachać. Stracił równowagę i spadł z drabinki, na szczęście zdołał złapać za górną reję, która przechyliła się pod jego ciężarem. Chłopiec powoli zaczął się zsuwać w dół.

Zaległa cisza. Lada moment chłopiec spadłby na pokład. Maurowie stanęli pod żaglem i utworzyli sieć z wyciągniętych ramion.

Kilku z nich chciało się wspiąć na drabinę, wtedy jednak hrabia Robert krzyknął, żeby nikt się nie ruszał. Owinął sobie wokół piersi sznur z pętlą, przerzucił swój pas przez linę, która biegła od jednego gniazda bocianiego do drugiego i właściwie służyła tylko do zawieszania chorągiewek przy uroczystym oflagowaniu statku, zaczeplił się nogami zgiętymi w kolanach o swój pas i ześlizgnął się tak daleko, aż cienka lina, nazywana bez szacunku „sznurem do bielizny Przeoryszy”, napięła się łukowato. Hrabia kołysał się teraz nad Roszem, ale nie mógł go dosięgnąć.

Wtedy bardzo ostrożnie zaczął brasować reję pod wiatr, aż znalazł się dostatecznie blisko, by Rosza nakłonić do podniesienia nogi.

Po wielu daremnych próbach Robert złapał wreszcie nogę chłopca w pętlę, którą zacisnął powyżej kostki.

Zawołał teraz do Rosza, żeby puścił się rei, lecz chłopak rozpaczliwie wczepił się w drewno.

Wtedy Firuz kazał powoli opuścić żagiel, podczas gdy Robert popuszczał sznur.

Rosz trzymał się rei tak kurczowo, że Maurowie musieli odczepiać od żerdzi jego ręce, gdy mogli go już dosięgnąć.

Zahuczały oklaski.

Prawie zapomniano o zbawcy, który pozostawał w niezbyt komfortowym położeniu – wciąż zwisał głową w dół. Marynarze zrećnie rzucili mu linę, którą chwycił, przyciągnęli do masztu i odpięli pas. Nasz bohater znowu stanął na nogach. To był pożegnalny występ hrabiego Roberta na trierze.

Pomyślałem sobie, jak bardzo w takiej sytuacji dał się zauważyć brak doświadczonej ręki, a przede wszystkim zimnej krwi Amalfitańczyka. Guiscard rozwiązałby ten problem mniej kłopotliwie. *Pax anima sua!**

Dean z Manruptu odmówił dziękczynną modlitwę, Robert spełnił duszkiem puchar, który potem cisnął przez ramię do morza, i zaraz wsiedliśmy do łodzi przywołanej z książęcego statku.

Postanowiłem towarzyszyć księciu, pod żadnym bowiem warunkiem nie chciałem wrócić na własny statek, do kuzyna.

Z drugiej strony nie zależało mi również na tym, aby wywołać błędne skojarzenia, pozostając bez konieczności u boku hrabiny i na złowieszczej tryerze zawijając do portu, gdzie mnie oczekiwał król.

Przed nami leżało wybrzeże Cypru.

II

KRÓL I WIĘŹNIOWIE ŚWIĄTYNI

Z diariusza Jana ze Joinville

Limassol, 15 września A.D. 1248

Gdy w orszaku hrabiego Artois przybyłem na Cypr, król Ludwik zeszedł już na ląd. Statki, które zdołały za królem nadążyć, tłoczyły się teraz przy wąskim wejściu do portu i zaczynały szczelnie zapełniać zatokę Limassol.

Ludwik i jego brat Karol z Anjou zostali powitani na nabrzeżu przez króla Henryka, władcę Cypru, i udali się do pałacu królewskiego, który wyruszającemu na krucjatę monarsze miał służyć za kwaterę. Podobnie jak wszyscy szlachetni panowie z Francji pospieszyłem tam, aby swemu suwerenowi złożyć uszanowanie. Nie traciłem wcale czasu na wprowadzenie się do naszej kwatery, lecz wysłałem Deana z Manruptu, by objął mieszkanie. W pałacu

* *Pax anima sua!* (łac.) – pokój jego duszy!

jednak konetabl* dał mi bez ogródek do zrozumienia, że najpierw powinienem poczekać na przybycie swoich rycerzy, skoro nie żeglowałem z nimi na własnym statku. Tak więc miałem wolny czas. Czekając rozglądałem się trochę i obserwowałem zawijających do portu uczestników krucjaty.

Przybyli kuzyni Ludwika, książę Hugon z Burgundii i hrabia Piotr „Mauclerc” z Bretanii; obaj już niespełna dziesięć lat temu uczestniczyli w wyprawie krzyżowej, w trakcie której Bretończyk nieszczególnie się wslawił, zdobywając jedynie wielkie stado owiec. Tamto przedsięwzięcie doczekało się ostatecznie żalosego końca na piaszczystych wydmach pod Gazą.

Do krucjaty przyłączył się też hrabia Hugon XI z la Marche, z rodu Lusignan, chociaż jeszcze niedawno walczył przeciw Ludwikowi po stronie Anglików i jako pokonany musiał zapłacić tysiąc liwrów. On także już jako młody człowiek zdobył doświadczenie krzyżowca w nieszczęsnej krucjacie kardynała Pelagiusza, kiedy to jego ojciec, któremu towarzyszył, postradał życie.

Potem pojawił się jeszcze Wilhelm z Dampierre, hrabia Flandrii, i stary Gwidon III, hrabia Saint-Pol, którego ojciec uczestniczył w trzeciej i czwartej wyprawie krzyżowej. I ciągle przybywali panowie noszący szlachetne nazwiska. A wielu jeszcze oczekiwano.

Z Akki na powitanie Ludwika pospieszył Jan z Ronay. Pełnił on funkcje wielkiego mistrza joannitów, ponieważ zwierzchnik zakonu od czterech lat znajdował się w egipskiej niewoli. Ronayowi towarzyszył jego marszałek Leonard di Peixa-Rollo.

Templariusze, którzy w Limassol utrzymywali stałą siedzibę, w oczekiwaniu na swego wielkiego mistrza byli początkowo reprezentowani przez dwóch znakomitych rycerzy: komandora Gawina Montbarda z Béthune i Wilhelma z Gisors, o których wtajemniczeni wiedzieli, że w tajnej kapitule zakonu zajmują wysoką pozycję. Brakowało jedynie delegacji zakonu krzyżackiego.

Jednym z pierwszych rozporządzeń króla Ludwika, któremu młody król Henryk odstąpił ochoczo najwyższą władzę nad swym królestwem, było wprowadzenie całkowitej blokady informacji w porcie i najbliższej okolicy Limassol. Wskutek tego, gdy flota się zgromadziła i obwieszczono cel krucjaty, żaden statek nie mógł już wypłynąć. W ten sposób król chciał uniemożliwić nieprzyjacielowi poczynienie przygotowań na przybycie chrześcijańskiego wojska w miejscu planowanego lądowania. Straż nad portem powierzono zakonowi rycerskiemu; pełniły ją, zmieniając się co drugi dzień.

To ściśle rozporządzenie dotyczyło również łodzi rybackich w promieniu dziesięciu mil od Limassol. Taki był mianowicie zasięg widzenia z wielkiej latarni morskiej na przylądku Gata, znajdującym się u wejścia do zatoki. Także wieża latarni została przez zakony

* Konetabl – królewski ochmistrz ze specjalną funkcją militarną, jak np. szef królewskiej straży przybocznej i gwardii pałacowej.

obsadzona posterunkiem obserwacyjnym. Wszystkim rybakom wewnątrz wyznaczonej strefy polecono pod karą śmierci korzystać wyłącznie z portu w pobliskiej wsi Episkopi, a przy wypływaniu na połów zabierać na pokład przedstawiciela jednego z zakonów rycerskich.

Jeśli ktoś natknął się na samotnie łowiącą łódź, mógł być pewien, że załogą są szpiedzy albo ludzie ich przewożący, o ile nie była to któraś z pułapek, zastawionych przez Karola z Anjou w celu wyłapywania dezertersów.

Jak daleko sięgałem wzrokiem, na morzu nie widać było ani jednej łodzi rybackiej, tylko ozdobione krzyżami żagle statków, które nadpływając z zachodu, zataczały łuk wokół przylądka i stopniowo zapełniały port aż do ostatniego wolnego miejsca.

*

Gawin Montbard z Béthune, mężczyzna o sprężystej sylwetce, lekko szpakowaty, w dniu pełnienia służby wartowniczej przez zakon templariuszy objeżdżał konno także sąsiadującą z miastem okolicę, pagórkowatą, poprzerzynaną prowadzącymi w kierunku wybrzeża rozpadlinami.

Minął skład win, który król kazał troskliwie założyć już na dwa lata przed swoim przybyciem.

Oddziały zaopatrzeniowe wtoczyły olbrzymie beki do podziemnych grot, na wolnym powietrzu zaś usypano sterty zboża; wierzchnia warstwa ziarna zaczęła już kiełkować i z daleka kopce te wyglądały jak ogromne zazielenione kurhany.

Gawin pozwolił koniowi rozgrzebać porośniętą warstwę. Pod spodem ukazało się ziarno, jakby dopiero co wymłócone.

Komandor templariuszy zsiadł z konia. Znajdował się niedaleko brzegu. W cichej zatoce zarzuciła kotwicę cypryjska łódź i rybacy ściągali właśnie sieć. Łódź nie miała tu czego szukać, chyba że była na żołdzie Karola z Anjou.

Wtedy jednakże spostrzegł, że jeden z mężczyzn, chociaż z opalonym jak inni torsem, wyraźnie nie ma pojęcia o rybackim rzemiośle.

Templariusz zostawił konia przy kopcu, a sam przysunął się ostrożnie ku nadbrzeżnej skarpie. Rozpoznał cudzoziemca natychmiast. Począł cierpliwie, aż rybacy dobiją do brzegu i wyjdą na ląd. Wtedy wstał i poszedł ku nim bez pośpiechu.

Jego przeciwnik był dostatecznie mądry, żeby się nie bronić, zwłaszcza że koń Gawina zarżał, co kazało przypuszczać, że jeźdźców może być więcej. Także Gawin nie sięgnął po miecz.

Objął „rybaka” i szepnął nie wypuszczając go z objęć:

– Konstancjuszu! Książę Selinuntu, rycerzu cesarza albo lepiej: Fassr ad-Din Oktaju, emirze sułtana, synu dostojnego Fachr ad-Dina, wielkiego wezyra z Kairu, przez przyjaciół zwany Czerwonym Sokołem, jesteście aresztowani!

Czerwony Sokół popatrzył na Gawina niedowierzająco.

– Gawinie, nigdy nie zaliczaliście się do moich wrogów.

– I tak jest nadal – szepnął komandor – dlatego właśnie ja was aresztuję, nim komu innemu rzuci się w oczy, że żaden z was uczeń Piotrowy i zawiśnięcie jako szpieg na szubienicy!

– Moglibyście mnie nie zauważyć...

– Jeśli zostanę zmuszony was związać, Konstancjuszu, wtedy będziecie musieli biec za moim koniem – odparł Gawin ze spokojem – lecz jeśli pójdziecie dobrowolnie, pozwolę wam usiąść z tyłu!

Książę Selinuntu westchnął, wciągnął koszulę na muskularny tors i oddał komandorowi bogato cyzelowany miecz, którego wykonanie znawca przypisałby natychmiast dworskim kuźnikom w Palermo.

– Jeszcze sztylet! – zażądał Gawin.

Konstancjusz wyciągnął broń ze spodni i wręczył mu, rękojeścią do przodu. Potem wyjął sakiewkę i rzucił rybakom okazałą garść złotych monet.

– Póki nie wrócę, pozostajecie nadal w mojej służbie! – zawołał do nich ku zdziwieniu Gawina.

Nie odwracając się już, podążył za komandorem templariuszy.

Zaledwie francuscy goście opuścili pokład triery, wyprowadzono trójkę więźniów z lochu położonego głęboko we wnętrzu statku, tuż nad kilem. Prawie dwa tygodnie byli pozbawieni słonecznego światła, chociaż poza tym niczego im nie brakowało.

Bogu dzięki, Rosz i Jeza dawno o nich zapomnieli i żadna nieostrożna wypowiedź nie naraziła muzułmanów na niebezpieczeństwo.

Teraz dzieci patrzyły ciekawie na chłopca, prawie dorosłą dziewczynę i pełnego godności starego człowieka z białą brodą, która w świetle błyszczała oślepiająco.

– Wykąpcie ich i dajcie im nowe odzienie! – poleciła hrabina swoim służebnym, przywołując jednocześnie starca do siebie.

Weszła pod zadaszenie przed kajutą, nie tyle aby ująć przed palącym słońcem, ile by starego ukryć przed obcymi, którzy, jak sądziła, z pewnością śledzili trierę.

Jednak na innych statkach cała uwaga była skierowana na widoczne już w oddali miasto Limassol.

– Powiedzcie mi szybko to, co najważniejsze: kim są ci dwoje? – zwróciła się Laurencja do starca.

Stary padł hrabinie do nóg i pokrył jej dłoń pocałunkami.

– Allah wam wynagrodzi, a mój sułtan obsypie was złotem, bo nie pozwoliliście nam zginąć.

Laurencja zaczęła się niecierpliwić. Firuz dał już głośno rozkaz, aby zwinąć żagle i przygotować się do przybicia do brzegu.

– Chłopiec to Mahmud – powiedział starzec – jedyny syn najzdolniejszego emira mameluków na dworze w Kairze, Rukn ad-Din Bajbarsa, zwanego Łuczniem, dowódcy gwardii pałacowej. Jest to potężny człowiek, którego Allah...

Hrabina przerwała mu porywczo zapowiadające się na długo przesadne chwalenie.

– A dziewczyna?

– Ach, to jest Szirat, najmłodsza siostra emira Bajbarsa – westchnął – którą go Allah pokarał...

– Jak to? – spytała zdumiona Laurencja.

– Ma już siedemnaście lat i ociąga się z zamążpójściem, to hańba dla...

– Znikajcie teraz pod pokładem i nie wychodźcie, póki po was nie przyjdą! – poleciła Laurencja szorstko. – Na kąpiel, tak niezbędną dla was, pozostaje już niewiele czasu.

Odwróciła się ku wejściu do kabiny, skąd słychać było wesoły śmiech i pluskanie.

– Nie mogę zostawić dzieci samych! – oburzył się stary.

– No to wsadź was nagiego do nich, do cebra! – oświadczyła hrabina stanowczo.

Stary sufi niczym bijący skrzydłami ptak zniknął pośpiesznie pod pokładem.

Dzieci nie pozwoliły pozbawić się przyjemności i weszły do kadzi, do małego Mahmuda, mimo że Klarion usiłowała im tego zabronić – były już przecież przygotowane do zejścia na ląd.

Niewiele starsze od niego, potraktowały mameluckiego chłopca jak lalkę, a on, grubawe i lękliwe dziecko, pozwalał cierpliwie robić ze sobą wszystko. Rosz wpychał go pod wodę „o zakład, kto dłużej wytrzyma”, tylko że biedny chłopiec wcale nie był pytany, czy ma na to ochotę; Jeza myła mu włosy, używając takiej ilości ługu i esencji, że Mahmudowi ciekły łzy z oczu. Wtedy ścisnęła go i pieściła, póki wreszcie nie uratowały biedaka ręczniki pokojowych.

Szirat, po początkowym onieśmieleniu, szybko znalazła przyjaciółkę w Madulajn, bez mała swojej rówieśnicy, a co najważniejsze mówiącej po arabsku, chociaż dialektem, który mamelucką dziewczynę pobudzał do chichotu. Ale i Saracenka odbierała gardłowe dźwięki wydawane przez Szirat jako nie mniej zabawne; zaledwie piękna dziewczyna wyszła z kąpeli, Madulajn bez oporów wystroiła ją w najwspanialszą zdobyczną suknię, którą dostała od hrabiny.

Klarion nagliła do pośpiechu, triera minęła już bowiem wejście do portu, strzeżone po obu stronach przez wieże wartownicze. Wioślarze najwyższego rzędu wyjęli z wody zakończone kosami wiosła i ustawili je na sztorc, salutując zebranych na nabrzeżu.

Z diariusza Jana ze Joinville

Limassol, 15 września A.D. 1248

Całe Limassol znalazło się na nogach, aby powitać nadpływającą flotę. Ludzie stali na nabrzeżu ciasno stłoczeni. Pośród ciżby dostrzegłem także Gawina, któremu towarzyszył konny oddział rycerzy Świątyni. Komandor musiał zauważyć tryerę już z daleka, wyrastała przecież czarna i groźna z jasnego roju eskortujących ją pękatych frankońskich żaglowców i czerwonych żagli angielskich statków, które jej odcinały wszelką możliwość ucieczki.

Płynęła dumnie z dziobem podniesionym jak żądło skorpiona. Inne statki sprawiały przy niej wrażenie motyli bielinków.

Ten widok, jak się zdawało, wywołał u komandora templariuszy złe przecucia, gdyż niepostrzeżenie przesunął swoich rycerzy ku miejscu, jakie wskazano tryerze do zakotwiczenia. Zaledwie hrabina ze swym otoczeniem zeszła na ląd, Gawin wysunął się do przodu i zamiast powitać uprzejmie przybyszy, zawołał donośnie, tak że każdy mógł dosłyszeć:

– Jesteście wszyscy aresztowani!

Templariusze niezbyt łagodnie chwycili dzieci i spędzili razem kobiety, włączając do tej grupy Williama i starego sufiego. Hamo, który jeszcze znajdował się na pokładzie, oburzony usiłował protestować, ale hrabina go powstrzymała. Templariusze utworzyli czworobok wokół aresztowanych i zmusili ich do pójścia szybkim krokiem najpierw wśród ciżby gapiów na nabrzeżu, potem stromymi uliczkami ku wzniesieniu, z którego siedziba Świątyni górowała nad portem i spichrzami, nad arsenałem i kwaterami zwaśnionych morskich republik. Wszystkie te posiadłości były ufortyfikowane, tak więc droga prowadziła między murami i wieżami.

Gawin z rezolutną galanterią wziął hrabinę pod rękę, musiała zatem wraz z nim ruszyć, zanim zdołała wyrazić swoje niezadowolenie czy postawić jakieś pytanie.

– Templariusze to banda zdrajców! – usłyszałem, jak woła ze statku mój kuzyn. – Są w zмовie z tą czarownicą!

Od ostatniego spotkania na pokładzie statku Salisbury’ego nie zamieniliśmy ani słowa. Pozostawiłem także Janowi wybór miejsca zakotwiczenia naszego wspólnego statku, teraz zaś bez powitania skinąłem na swych rycerzy, aby do mnie dołączyli. Odpowiedzieli mi radośnie i zgodnie, chyba ucieszeni, że wreszcie uwolnią się spod rygoru hrabiego Sarrebruck.

Załoga nie zarzuciła jeszcze pierwszej cumy na pachołek, gdy hrabia Jan zeskoczył jednym susem na brzeg i nie czekając wcale na swoich rycerzy, pobiegł za oddalającymi się templariuszami.

Ciekaw, jak zamierza urzeczywistnić swoje gorące pragnienie przykładnego ukarania Przeoryszy, poszedłem za nim skrycie. Niebawem zobaczyłem, że mój kuzyn zastąpił Gawinowi drogę ze słowami:

– Jestem hrabia Sarrebruck! Ta kobieta należy do mnie!

Usłyszałem, jak Gawin, z właściwą zakonowi arogancją, przywołał go do porządku.

– Hrabio Sarrebruck – powiedział nie zatrzymując się, tak że Jan musiał mu zejść z drogi – jeśli macie na myśli damę idącą u mego boku, będę zmuszony kazać was niczym ulicznego kundla popędzić kijami w dół tą stromą ścieżką, którą daremnie wspinaliście się w górę.

Mój kuzyn sięgnął do miecza, spostrzegł jednak, że kilku templariuszy zatrzymało się wyczekująco, a ich sierżanci zaczęli zbierać w uliczce kamienie.

– Powtórzę wasze słowa przed naszym najwyższym suwerenem! – wrzasnął, lecz zachował należyty dystans.

– Jeśli Bóg zechce mnie do siebie powołać – rzucił komandor przez ramię – nie potrzeba do tego waszej denuncjacji, a jeśli macie na myśli króla Francji – powiedział to bardziej do Laurencji niż do mego kuzyna – to znajdziecie mnie u niego, kiedy tylko Jego Królewska Mość tego sobie zażyczy.

I tak zostawili Jana, który naprawdę jak zbity pies ruszył w dół. Ukryłem się szybko w jakichś drzwiach, aby nie spostrzegł, że byłem świadkiem tej sceny.

Kwatera templariuszy w Limassol była prostą, prawie wiejską siedzibą – kwadrat dwupiętrowych gospodarczych budynków wokół wielkiego podwórza. Tylko w rogu zwróconym w stronę portu wyrastał ponad salą kapituły rodzaj donżonu^{*}, który zwęzał się ku górze; zapewniał on dobry widok na miasto.

Jedynie warowny zamek joannitów na drugim krańcu zatoki wznosił się jeszcze wyżej i panował tam nad starym miastem, płataniną wąskich uliczek, która się rozciągała w dół aż do nabrzeża. Żyli tam przede wszystkim rzemieślnicy i rybacy, natomiast pałacyki kupców grupowały się w środku miasta wokół pałacu królewskiego i katedry.

Z dużego placu między nimi wychodziła szeroka ulica, prowadząca obok kwatery rycerzy Świątyni do bramy wschodniej. Po tej stronie znajdowało się też wejście do siedziby templariuszy. Jediną jego ozdobą był wysunięty portyk.

Na placu przed siedzibą panował żywy ruch: handlarze wystawiali towary na sprzedaż, a żebracy, którzy wprawdzie od wyniosłych rycerzy niczego nie mogli oczekiwać, dopraszali się jałmużny od gości Świątyni.

Wstęp do wnętrza posiadłości był im podobnie jak wszystkim innym zabroniony, jedynie obdartym dzieciom udawało się wciąż przedrzeć obok straży i dopaść kuchni, aby wyżebrać resztki jedzenia bądź nawet zwędzić coś z zapasów.

^{*} Donżon – główna, najczęściej odosobniona wieża twierdzy, przeznaczona do ostatecznej obrony i dlatego (na wypadek zajęcia zamku przez nieprzyjaciela) trudno dostępna nawet z wewnętrznego dziedzińca.

Hrabinę i jej niewiasty umieszczono razem z dziećmi nad pomieszczeniami gospodarczymi. Mahmuda przedstawiono jako towarzysza zabaw dzieci, a Szirat przydzielono do pokojowych, ponieważ Laurencja słusznie się obawiała wyjawić otwarcie templariuszom pochodzenie swych „gości”.

Znała zakon na tyle, by wiedzieć, że templariusze natychmiast by to wykorzystali w swych intrygach dotyczących równowagi sił między muzułmańskimi dworami.

Wyjaśnienie obecności sufiego nie sprawiło Williamowi żadnych trudności. Przedstawił go jako swego szacownego nauczyciela, a ponieważ nawet Gawin po zbyt dobrze mu znanym franciszkaninie mógł się spodziewać każdego szaleństwa, które mu zresztą wybaczał, uwierzono w tę nagłą chęć do ćwiczenia mistycznej kontemplacji.

Rosz i Jeza znaleźli wkrótce w osobie małego Mahmuda, który się okazał nadzwyczaj pojętym dzieckiem, przydatnego towarzysza zabaw; służył im przede wszystkim jako tarcza strzelnicza dla ich różnorodnych broni. Dobroduszny chłopiec znosił wszystko ze stoicką cierpliwością, nie skarżąc się nigdy. Niebawem jednak przewyciężył swoją powściągliwość. Jego żądza wiedzy dostarczyła nawet ich zabawom nowych podniet, które z zainteresowaniem podchwytywała przede wszystkim Jeza. Znudzona zajmowaniem się karaluchami, modliszką i kilkoma wijami, zaproponowała założenie prywatnego terrarium, aby móc obserwować większe zwierzęta. Zaczęli od pary salamander, potem doszła mysz, dwa dopiero co wyklute kaczątka i do tego padalec, wreszcie podjęli polowanie na wszystko, co pełza i fruwa.

Nikt z dorosłych nie troszczył się o dzieci, a pewność, że nie mogą wydostać się na zewnątrz dzięki straży przy bramie, wystarczała również Klarion, która wprawdzie powinna nadzorować całą trójkę, lecz brzydziła się pajakami, węzami i skorpionami.

Klarion była też bardziej zajęta tym, aby uporządkować swoją garderobę. Świadomość, że miasto jest pełne rycerzy, wprawiała ją w najwyższe podniecenie. Było to uczucie, które przezornie skrywała przed swoją przybraną matką, ale próbowała podzielić się nim z Szirat i Madulajn. Jednakże obie dziewczyny w żadnej mierze nie podzielały jej wzburzenia, jedna w ogóle nie myślała o mężczyznach, druga już miała małżonka.

Siedziały nieustannie obok siebie, chichocząc opowiadały sobie po arabsku jakieś historie, których Klarion nie rozumiała, co wprawiało ją we wściekłość. Dziewczęta okazywały też niewielkie zainteresowanie jej nowymi sukniami, dobieraniem ozdób i wypróbowywaniem pachnących olejków eterycznych. Zamiast dla niej szyć, obrębiać i lamować, wołały chodzić na bazar, gdzie często wysyłała je hrabina.

Laurencja czuła się jak uwięziona lwica. Mogła się wprawdzie poruszać swobodnie w granicach czworoboku templariuszowskiej siedziby, jednakże na zewnątrz nie mogła wyjść

już choćby dlatego, aby nie wpaść w ręce przedstawicieli inkwizycji, gorliwych oprawców jak hrabia Sarrebruck lub ich nieokrzesanych kompanów jak Anioł z Karos czy hrabia Salisbury.

Chociaż straż by jej nie zatrzymała, Laurencja nie odważyła się podjąć próby dotarcia do triery. Z alkowy patrzyła na statek zacumowany w porcie. Poczowała się nagle staro. Od śmierci Amalfitańczyka, swego wieloletniego kapitana, przyłapywała się często na myśli, że zazdrości Guiscardowi spokojnego spoczynku w morzu. Była zmęczona.

*Ar em al freg temps vengut
quel gels el neus e la faingna
e-l aucellet estan mut,
c'us de chantar non s'afraingna:
e son sec li ram pels plais.*

Z diariusza Jana ze Joinville

Limassol, 28 września A.D. 1248

Znając kuzyna byłem przekonany, że będzie protestował u króla. Nie chciałem, aby władca moją postawę zrozumiał fałszywie, postanowiłem więc przedstawić mu własną relację wcześniej i, jeśli to będzie możliwe, w cztery oczy.

Zajęliśmy z kuzynem różne kwatery. Po raz pierwszy okazałem się nieugięty i dałem Janowi do zrozumienia, żeby poszukał sobie gdzie indziej noclegu. Zabezpieczenie tyłów przez króla, czego czułem się tutaj pewien i czego ponad rok, a zwłaszcza w czasie swej podróży byłem pozbawiony, dodało mi odwagi do tej otwartej konfrontacji. Kuzyn tak czy tak natychmiast zaczął wybrzydzac na nore, w której nas ulokowano. Znalazł ostatecznie schronienie u joannitów.

Udałem się więc do siedziby króla Cypru, Henryka, który pozostawił swój pałac do dyspozycji króla Ludwika na czas jego pobytu na wyspie.

Zastąłem tam zgromadzone wokół króla dokładnie wszystkie osoby, których miałem nadzieję nie spotkać. Przede wszystkim jego brata, Karola z Anjou, posepnego, zimnego człowieka żadnego władzy, z którym dzielny, ale pobożny Ludwik we wszystkich poczynaniach postępował zbyt subtelnie i zbyt honorowo. Dalej zobaczyłem królewskiego strażnika przybocznego, Iwona Bretończyka, byłego kapłana i ulaskawionego przez króla zabójcę; był też kapelan nadworny i spowiednik królewski, Robert z Sorbony, wielce uczony, ale fałszywy jak wąż.

Jedynie szczerzy i chłopięcy Robert z Artois wydał mi się tutaj jasnym punktem. On chyba wyjednał to, że król akurat obwieścił:

– Laurencja z Belgrave, hrabina Otranto, jest gościem na tej wyspie, jak długo my tutaj przebywamy.

Było to wprawdzie utwierdzenie niewidzialnych łańcuchów, ale stanowiło także list żelazny. W każdym razie nie był to żadną miarą werdykt, jakiego oczekiwał mój kuzyn, który właśnie wszedł do sali w orszaku Jana z Ronay, pełniącego obowiązki wielkiego mistrza joannitów, i od razu musiał przełknąć tę żabę. Życzył sobie zapewne, żeby Przeorysza została wyjęta spod prawa. Jednak w powietrzu wisiało jeszcze coś zupełnie innego.

Jan z Ronay rzucił stojącemu za królem Robertowi z Sorbony pytające spojrzenie, tamten skinął głową i joannita podniósł swój nieco chrapliwy głos.

– Wasza Królewska Mość wspaniałomyślnie chce zapewnić każdej kurze gniazdo, gdzie mogłaby ogrzać swoje kurczęta. – Nie zważał na wzrastające niezadowolenie króla. – Ale ta kura ogrzewa nie własne pisklęta, lecz plemię młodych żmij, które Hohenstauf do piersi...

W tym miejscu przerwał mu gwałtownie hrabia z Artois.

– Miarkujcie swoje wyrażenia, Janie z Ronay, albo cześć pewnej damy...

– Ten wypadek królewskim dekretem jest już odłożony *ad acta* – mitygował adwersarzy zdenerwowany *maître* z Sorbony.

Król Ludwik z uśmiechem nakazał mu ruchem ręki, by się uspokoił.

– Chcę was raczej prosić, szlachetny panie Ronay, żebyście osobę cesarza zostawili wyłącznie mojej piersi i mieszkającemu w niej sercu. Przedstawcie, proszę, bez ogródek, co mi jeszcze macie do powiedzenia!

Ukarany w ten sposób Ronay rzucił Robertowi z Sorbony gniewne spojrzenie i wystąpił do przodu.

– Czy Waszej Królewskiej Mości wiadomo coś o dzieciach, dzieciach Graala? – spytał, z góry tryumfując z powodu efektu swego wystąpienia.

Ponieważ jednak zbyt przeciągał zawieszenie głosu, król odparł oschle:

– Nie, nie wiem nic o żadnych dzieciach.

Każdy uważny słuchacz mógłby z jego tonu wywnioskować, że Ludwik nie chce także nic o dzieciach słyszeć, ale joannita miał zbyt wysokie mniemanie o sobie i własnej słuszności, by zwracać uwagę na tak subtelne aluzje.

– One są tutaj! – oznajmił dumny ze swojej wiedzy. – Świątynia zadbała o to, żeby je przyjąć.

Król Ludwik uśmiechnął się i powiedział uprzejmie:

– O tym może nas chyba najlepiej poinformować szlachetny pan Montbard z Béthune?

Wzrok wszystkich skierował się ku zagadniętemu, którego wejścia nikt nie zauważył.

– Siedziba Świątyni stoi otworem zarówno dla gości króla, jak i wszystkich pobożnych pielgrzymów oraz ludzi szukających pomocy, ocenianych wedle naszego własnego uznania.

Gawin pewny siebie stanął obok joannity, mówił jednak tylko do króla.

– Statek z Otranto miał na pokładzie również dzieci. – Komandorowi templariuszy udało się zrobić pobożną minę, jakiej dotąd nigdy jeszcze u niego nie zauważyłem. – Czyż mieliśmy nie przyjąć akurat malców, którzy najbardziej potrzebują opieki?

– Mówimy o dzieciach Graala! Przyznajcie... – zaperzył się joannita.

Król Ludwik podniósł rękę i nakazał mu zamilknąć.

– A więc – rzekł pozornie znudzony – chyba się pomyliliście, szlachetny panie Ronay, albo zwiedli was fałszywi świadkowie. Mnie wystarczy wyjaśnienie pana komandora.

Joannita nie mógł znieść porażki i wskazał na mnie.

– Hrabia Joinville jest moim świadkiem, on był na statku...

– Zabraniam jemu i wszystkim tu obecnym jakiegokolwiek dalszej dysputy! – Król nie ukrywał dłużej gniewu. – Panowie, zechciejcie nas teraz zostawić samych!

Postarałem się jak najszybciej opuścić salę, by nie zostać jeszcze przed drzwiami przygwożdżonym przez joannitę dla dalszej *testationis* *.

Król Ludwik wiedział teraz, że dzieci są tutaj. Wielka szkoda! Chętnie zabłysnąłbym przed swoim panem, przyprowadzając przed królewskie oblicze Rosza i Jeżę we własnych osobach jako załączniki do sprawozdania z Konstantynopola, które wciąż jeszcze byłem mu winien.

Nie tylko wystrychnięto mnie na dudka, lecz mogłem jeszcze oczekiwać, iż król przy najbliższej okazji zarzuci mi, że nie zostałem przeze mnie wcześniej poinformowany o nieoczekiwanej obecności dzieci. Przyszedłem z tym zamiarem, ale inni działali szybciej.

Informatorem mógł być tylko dominikanin Szymon z Saint-Quentin, jedyny człowiek oprócz mnie, który znał dzieci z widzenia, był bowiem zarówno przy ich ucieczce z Konstantynopola, jak i przy ich przybyciu do Limassol, a jako człowiek kurii rzymskiej *eo ipso* * musiał dzieci nienawidzić. A może Iwo Bretończyk? Prawie o nim zapomniałem. Strażnik przyboczny króla został mi wprawdzie dodany jako czujny pies na czas mej podróży do Konstantynopola, ale nie wykazywał żadnego zainteresowania wypadkami dotyczącymi dzieci.

I o co chodziło Robertowi z Sorbony? Zachęcał przecież skrycie joannitę do poruszenia sprawy, o której król wyraźnie nie chciał nic wiedzieć. *Maître* nie znał dzieci. Poza tym nie było go na nabrzeżu, gdy przybiła triera i jej pasażerami zaopiekowała się Świątynia.

Czyżby mój kuzyn przekazał tak dokładny opis dzieci? Ale komu? Ronay nie widział ich nigdy. Dlaczego joannita poczynał sobie tak śmiało? Może został do tego zmuszony? Tak czy inaczej pomyśli o rewanżu i w tym z całego serca będzie go utwierdzał pełen czarnej żółci mój kuzyn, hrabia Sarrebruck.

* Testatio (łac.) – świadectwo, poświadczenie.

* *Eo ipso* (łac.) – tym samym.

William z Roebru ku nie czuł się dobrze w swojej skórze. Był bezdomny! Trier stała się jego domem, co uświadomił sobie dopiero teraz, gdy nie miał już pod nogami mocnego pokładu. Poczł się niepewnie. Jeszcze nikt o niego nie pytał ani nie zaciągnął go przed króla, w którego służbie niegdys pozostawał i którego haniebnie opuścił – a przynajmniej tak mógł to oceniać król Ludwik. Franciszkanin rozważał swą nową sytuację. Przeciwnie wiatry w końcu wyrzuciły go tutaj na brzeg, akurat pod nogi pobożnego króla. A może władca dawno już o nim zapomniał?

Może jednak doniósł już ktoś królowi o jego obecności, obwinil go jako towarzysza dzieci, jako fałszywego legata papieskiego wyprawionego rzekomo z misją do wielkiego chana Mongołów? To, że hrabia Joinville był taki miły, też mogło być pułapką...

Może już obraduje tajny trybunał inkwizycyjny, już przygotowują narzędzia, aby wyrwać z biednego Williama całą wiedzę o dzieciach, już szykują stos... Musi stąd zniknąć! A może powinny to zrobić także dzieci, najlepiej razem z hrabiną i trierą? Lecz im niewiele zależało na ucieczce, zwłaszcza że tym razem rzeczywiście ryzykowali głowę. Drugi raz nie znajdzie się tak szlachetny obrońca jak księżę z Francji.

William myślał niechętnie o stryczku Salisbury'ego, odsuwał z rozważą wizję ostatniego spojrzenia na morze z wysokości reji, podczas gdy ciężar jego własnego tłustego kałduna odcina mu oddech. Ale w nocy męczyły go koszmary: raz odrywała mu się głowa, to znów jego szyja stawała się coraz dłuższa. Zbudził się zlany potem i chciał jeszcze tej samej godziny uciekać. Uznał jednak, że nocą będzie to wyglądało o wiele bardziej podejrzanie niż w dzień, gdy spróbuje przekraść się na trierę.

Tak więc bezsennie doczekał ranka i ze spuszczoną głową, z rękoma splecionymi na grubym brzuchu, wyszedł z siedziby templariuszy na ulicę. Niby zatopiony w pobożnych rozważaniach, schodził potykając się stromą uliczką, która między magazynami portowymi prowadziła na nabrzeże.

Wszedł szybkim krokiem na trierę i udał się do kajuty na podwyższonej rufie. Po wyprowadzeniu się kobiet pomieszczenie zajął Hamo. William zastał tam młodego hrabiego spoglądającego w zamyśleniu przez otwór strzelniczy na morze.

– Zamknęli wjazd do portu żelaznym łańcuchem – przywitał mnicha przygnębiony. – Obie strony nabrzeża są umocnione wieżami...

– ...gdzie trzymają na zmianę straż joannici i templariusze. A ponieważ jedni drugim nie ufają – ciągnęła Madulajn; właśnie weszła do kajuty w towarzystwie małżonka, z którym co było widać, źle spędziła noc – i wcale chętnie obwiniliby się nawzajem o niedbalstwo bądź inne braki w zachowaniu, strażę czujne są jak rysie.

– Musimy jednak stąd zniknąć – mruknął William zatroskany. – Król nie tylko wydał zakaz opuszczania wyspy, lecz także potajemnie zarządził, że wszystkie znajdujące się w porcie statki zostają zarekwirowane, aby przetransportować jego i wojsko.

– Dokąd? – zainteresował się Hamo, całkiem ucieszony taką perspektywą.

– Tego jeszcze nie ogłoszono – przytłumił jego zapal William – król obwieści to dopiero wówczas, gdy już zostaną podniesione kotwice, aby żadne słowo nie mogło wcześniej dotrzeć do nieprzyjaciela.

– Z czego można wnioskować – zauważyła bystro Madulajn – że Ludwik ma na myśli jaskinię lwa!

– Egipt? – Hamonowi zaświeciły się oczy. – Wobec tego może się zdarzyć, że spotkam na polu walki sławnego Czerwonego Sokoła?

– Ty?! – rzucił kpiąco William i dodał jako słabe pocieszenie: – Wszyscy właściciele statków zostaną zatrzymani tutaj, na tej przeklętej przez Boga wyspie, zabierze im się tylko statki!

– To nie wchodzi w rachubę! – zawołał Hamo oburzony.

William osięgnął, co zamierzał.

– Wobec tego nie tracąc czasu rozważcie, jak temu można przeszkodzić.

Nastąpiła długa cisza. Wtem odezwała się Madulajn:

– Dzieci wiedzą, jak można by rozczepić ogniwa łańcucha za pomocą ułożonego pod wodą wielokrażka...

W tym miejscu wmieszał się milczący dotąd Firuz, jej mąż i kapitan triery.

– Nie możemy zniszczyć łańcucha.

– Dlaczego nie? – fuknęła nie przyzwyczajona, by z ust męża wysłuchiwać słów sprzeciwu.

– Ponieważ w razie naszej pomyslniej ucieczki łańcuch musi na jakiś czas powstrzymać ścigających.

– Firuz ma rację – zdecydował Hamo, czując się teraz wodzem całą gębą – w przeciwnym razie dościgną nas angielskie statki Salisbury’ego, a jak on postępuje, sami wiecie najlepiej – dokończył z drwiną.

William nie dał się zbić z tropu.

– W takim wypadku – powiedział – musiałbyś także ty, drogi Hamo, popatrzeć na trierę z góry, z rei, u boku twej szacownej matki, póki by ci oczy nie zgasły!

Nie była to zachęcająca perspektywa i młody hrabia znowu zatopił się w rozważaniach.

– Gdybym nie miał z matką i z wami nic wspólnego – westchnął wreszcie – mógłbym teraz dołączyć do krucjaty i w bitwie o Kair zdobyć sławę!

– I albo zginąłbyś na pustyni z pragnienia – to dla Williama, jak się zdaje, było najstraszliwsze – albo przez resztę życia usychałbyś w więzieniach sułtana.

Gdy franciszkanin spostrzegł, że Hamo ani jednego, ani drugiego nie potrafi sobie należycie wyobrazić, spróbował przemówić do jego honoru.

– Chodzi także o dzieci, a od tej odpowiedzialności nikt nas nie uwolni.

William odwrócił się do wyjścia.

– Również na tobie, Hamonie, spoczywa odpowiedzialność! – dodał na koniec.

Rzucił Madulajn pytające spojrzenie, chcąc się dowiedzieć, czy ma zamiar wracać z nim do siedziby templariuszy, jednak Saracenka potrząsnęła energicznie głową. Hrabina i Klarion mogły spokojnie poczekać. Jej miejsce było teraz u boku bezradnych mężczyzn, którzy niczego nie odważyli się zrobić.

Co przez to rozumiała, wytłumaczy już tej tępej głowie, Hamonowi, i safandule Firuzowi.

Gawin umieścił swego więźnia, Czerwonego Sokoła, w wieży. Miał wprawdzie słowo honoru księcia Konstancjusza z Selinuntu, że nie ucieknie, ale czy również *alter ego* * tamtego, Fassr ad-Din Oktaj, dotrzymałby słowa? Dla templariusza było oczywiste, że z powodu krucjaty stoją teraz po różnych stronach, które wprawdzie nie znajdują się jeszcze w stanie wojny, ale tuż przed nią. Nie miałyby wcale za złe młodemu emirowi, gdyby próbował ucieczki. Dla chłodno myślącego komandora templariuszy było jednak jasne, że przedwczesne zaalarmowanie sułtana mogłoby utrudnić, jeśli w ogóle nie udaremnić lądowanie królewskiej armii i kosztowałoby życie kilkuset rycerzy, nie mówiąc już o piechocie.

Towarzysze z minionych dni zgodni byli tylko co do jednego: obecność Czerwonego Sokoła należy utrzymać w tajemnicy przed hrabiną i dziećmi. I bez tego już trudne położenie templariuszy skomplikowałoby się jeszcze bardziej, gdyż dzieci znały księcia Selinuntu.

Tak nazywano na chrześcijańskim Zachodzie, przynajmniej na terenach cesarstwa, syna egipskiego wezyra, odkąd został pasowany na rycerza własnoręcznie przez przyjaciela ojca, Fryderyka. W Kairze był znany jako mamelucki emir Fassr ad-Din Oktaj, znano też jednak jego przydomek As-Sakr al-Ahmar *.

Dzieci wciąż marzyły o Czerwonym Sokole, należał przecież do zaprzysiężonego kręgu rycerzy, którzy je przed czterema laty uratowali przed oprawcami inkwizycji, wywożąc z oblężonego Montségur. Nawet jeśli od niedawna ich niezaprzeczalnym bohaterem był Robert z Artois, łatwo mogło się zdarzyć, że wygadałyby się i w ten sposób „dopomogły” Konstancjuszowi dostać się z wieży do więzienia, a nawet zgotować mu coś gorszego.

– Nie zabiegam o swoją wolność, Gawinie – kończył Konstancjusz rozmowę ze swym *al-sadzdzan*, dozorcą więziennym, jak go żartobliwie tytułował – ale wiecie równie dobrze jak ja, że dzieci nie mogą tutaj zostać...

– Kto mógłby im zaoferować pewniejsze schronienie niż templariusze, akurat ci tutaj pod moim dowództwem?

– Kiedyś przybędzie wasz wielki mistrz, a co się stanie, jeśli Ludwik zażąda wtedy wydania dzieci?

* Alter ego (łac.) – dosł. drugi ja, zaufany, zastępca.

* As-Sakr al-Ahmar (arab.) – Czerwony Sokół.

– Znajdziemy jakieś rozwiązanie – odparł Gawin, nie wiadomo, czy rozbawiony, czy tylko maskujący swoje niezadowolenie – koniec końców pozostaje mi jeszcze ostatni kamień: wy, książę!

Konstancjusz popatrzył na niego w zamyśleniu.

– Przedtem byliście lepszym graczem – powiedział. – Z jednym kamieniem nie wygrywa się partii.

Komandor opuścił pokój w wieży. Straż zamknęła za nim drzwi.

Gawin zamierzał właściwie przekazać mameluckiemu emirowi wieść, że wraz z hrabiną dostało się pod pieczę zakonu dwoje cudzoziemskich dzieci, egipskich książąt z dworu sultana, co usłyszał od Klarion.

Dziewczyna była zirytowana i dlatego gadatliwa. Obie pokojowe, które jej przydzieliła hrabina, Madulajn i Szirat, pełniły obowiązki coraz opieszalej i stawały się coraz bardziej krnąbrne. Jedna zachowywała się jak księżniczka, a druga chyba księżniczką była. Opowieści Szirat wskazywały w każdym razie na to, że była przyzwyczajona, by ją obsługiwano, Madulajn zaś w niczym nie przypominała służącej, a od czasu nominacji Firuza odgrywała „panią kapitanową”. Tylko o dzieci troszczyły się dobrowolnie, nie szczędziły dla nich żadnego trudu.

Starego sufiego zaprzęły do roboty jako nauczyciela i Rosz z Jezą zaczęli się pilnie uczyć arabskiego, co Klarion znowu zirykowało. Czuła się zbędna.

Nie wiedząc, jaką przysługę by jej tym uczynił, Gawin rozważał przez chwilę, czy nie powinien zamknąć Klarion w wieży razem z Konstancjuszem. Jej gadatliwość była niebezpieczna i jak jemu opowiedziała wszystko, tak mogła wszystko wypaplać na bazarze. Poleciał kuchni, żeby hrabinę Salentynty wzięto najpierw na dietę.

Dzieci szalały na dziedzińcu. Mały, lecz krępy Mahmud chętnie pozwalał, żeby Jeza podczas polowania na gekony wchodziła mu na ramiona, ale leżący w cieniu parter nie przysparzał żadnej zdobyczy.

– Jaszczurki lubią słońce – zganił Rosz daremne wysiłki dziewczynki, aby ze szpar w murach wydłubać ukryte zwierzęta.

– Musimy się dostać na dach nad refektarzem* – zdecydowała Jeza.

Nawet z przyniesionego przez nią chwiejnego podnóżka jeszcze bardzo daleko było do gzymsu.

– Drabina! – Jeza zeskoczyła na ziemię.

Drabiny nigdzie w pobliżu nie widzieli.

– Gdybyśmy jakąś nieśli, wszyscy się zainteresują, co robimy – rozważał głośno Rosz.

Mahmud przyniósł linę. Po wielu daremnych próbach zawiązali wreszcie na jej końcu kamień i przrzucili przez wystający rzygacz, kamienną gębę diabła. Teraz zamiast kamienia

* Refektarz – sala jadalna w klasztorze.

obwiązali powrozem Mahmuda i razem pociągnęli w górę, aż mógł się złapać rzygacza i usiąść na nim okrakiem. Potem przysła kolej na Jeżę; Rosz musiał ją właściwie wywindować sam, chociaż Mahmud pomagał, jak mógł.

– W Otranto byłaś dużo lżejsza! – wysapał.

Jeza chwyciła wreszcie rynnę i od razu wpełzła na dach; razem z Mahmudem wciągnęli Rosza. Nie pozostali długo na stromo opadających dachówkach, lecz schowali się za kalenicą, zasłaniającą ich od podwórza, aby z kuchni nie mógł ich nikt zobaczyć i nakazać powrotu.

Z drugiej strony dachu można było patrzeć na morze, port i na uliczkę, która stamtąd prowadziła do siedziby templariuszy. Potem dzieci odkryły małe okno w murze wieży.

Jak gekony, o których dawno zapomnieli, przesunęli się na brzuchach aż pod okno...

Hrabina siedziała w kręgu swych dworek, które zajmowały się pilnie szyciem kosztownych sukien z materiałów zdobytych na Greku. Laurencja nie wiedziała wprawdzie, do czego miałyby się przydać, rada jednak była, że paplanina nie kreci się wokół spraw, które napępiały ją troską. Przez otwarte okno zobaczyła wracającego Williama. Kiedyś był jej kulą u nogi, teraz jedyną osobą, przed którą mogła się wygadać. Wyszła mu naprzeciw.

– Williamie – odezwała się – nie wytrzymam już tutaj dłużej. Chcę mieć pod tyłkiem albo skały Otranto, albo pokład triery, ale nie tę kwaterę wojowniczych mnichów, sto pięćdziesiąt stóp długą i sto piętnaście szeroką, widok na morze zasłonięty magazynami portowymi, posiłki o matutynie* i w porze niesporów, w południe czystą wodę, jak konie, których odór góruje nawet nad wyziewami kuchennymi, do tego ten wieczny szurgot, pierdzenie, żarcie pełnym pyskiem i co chwila rzenie!

– Widzę, że jesteście, pani, gotowa do nowych czynów. Trierą i wasza załoga również. Trzeba jeszcze pokonać łańcuch portowy, a potem już tylko splunąć w ręce. Drugi raz nie powinniście się dać złapać!

– Jak to? Nie chcesz z nami...

– Porzućcie takie myśli – rozległ się nad nimi głos Gawina. Templariusz szedł właśnie w dół po schodach i słyszał co najmniej ostatnią część rozmowy. – Wybijcie sobie z głowy ucieczkę – ostrzegł surowo, potem jednak stał się uprzejmiejszy. – Czekać tu, póki wszyscy nie wyjadą.

– Zmuszą nas, aby płynąć wraz z nimi – zaproponował William.

– Wówczas poześlujecie w imię Boże razem z całą flotą. Na pełnym morzu łatwiej możecie się odłączyć, aniżeli tutaj wyjść z portu.

– Moglibyście w dniu warty templariuszy opuścić ten łańcuch... – napomknęła hrabina, ale Gawin przerwał jej ostro.

– Templariusz z powodu zdrady stanu przed trybunałem wojennym?!

* Matutina – inaczej lauda, godzina kanoniczna; pora pierwszej porannej modlitwy.

– Nie wiecie po prostu o niczym – wtrącił William łagodząco, Gawin jednak rzucił mu protekcyjnalne spojrzenie.

– Nie jestem minorytą i mówię tutaj głośno i wyraźnie do twoich nie umytych uszu, głupcze: nie chcę o tym nic wiedzieć i słyszeć! W przeciwnym razie pierwszy znajdziesz się w karczerze!

– Czerwony Sokole – powiedziała Jeza – nie mogę sobie tego wprawdzie przypomnieć, ale William wiele razy nam opowiadał, jak wyratowaliście nas z Montségur.

– Razem z Zygisbertem! – przytaknął jej Rosz.

Mały Mahmud długo przyglądał się człowiekowi w wieży.

– Ja też cię znam – stwierdził stanowczo. – Widziałem cię z moim ojcem.

– To się mogło zdarzyć, jeśli jesteś synem Bajbarsa – odparł Czerwony Sokół. – Jak jednak mam tym razem was uwolnić, gdy sam jestem więźniem, a wy gośćmi tego domu?

– Chcemy stąd uciec – oświadczył Rosz. – Oni zabili Guiscarda...

– To ten człowiek, tam! – Jeza pokazała w dół na uliczkę, która prowadziła do portu.

Zeskoczyła z kolan Czerwonego Sokoła i wszyscy troje stłoczyli się przy oknie.

Anioł z Karos, czarnobrody olbrzym, ze świtą złożoną z kilku swoich Greków, przy wtórze głośnego śmiechu i nawoływań, które dochodziły aż do pomieszczenia w wieży, napastował kobietę samotnie idącą pod górę. Kobieta przesłoniła twarz chustą i przyspieszyła kroku. Prześladowcy byli szybsi i gonili ją jak psy zwierzynę. Ich przywódca, ten kolos, wybuchnął grzmącym śmiechem, gdy kobieta w końcu potknęła się i upadła, a sfera chwyciła ją za ręce i rozciągnęła na wznak na niskim murze. Chusta spadła niewieście z głowy, suknia zadarła się i odsłoniła najpierw kolana, potem uda.

– To jest przecież Madulajn! – zawołał Rosz zdenerwowany. – Powinni ją puścić!

Czarnobrody olbrzym stąpił w kierunku Madulajn, rozpinając pas.

– Musimy jej pomóc! – krzyknął Rosz, jakby mógł tym nastraszyć Anioła z Karos.

Olbrzym zatrzymał się nagle i ryknął na kompanów, którzy trzymali Madulajn, zaczął ich nawet okładać pięściami, tak że poleciecieli na bok jak sienniki, przygięli się do ziemi i uciekli w popłochu.

Teraz dopiero świadkowie w wieży zobaczyli rycerza, który nadchodził sprężystym krokiem. Był to brat króla Francji, Robert z Artois.

Madulajn podniosła się i przyklękła z wdziękiem, nim znowu zarzuciła chustę na głowę i pospieszyła w kierunku siedziby Świątyni.

Hrabia Artois nie zatrzymał się długo przy Greku, lecz po krótkiej wymianie słów podążył dalej. Olbrzym popatrzył teraz za znikającą Madulajn, potem za księciem, wreszcie podciągnął spodnie na potężny brzuch i odszedł.

– Hrabia Robert chyba go zbeształ. Co mógł mu powiedzieć? – dopytywała się teraz Jeza.

– Że należy najpierw grzecznie spytać damy, nim się jej zaproponuje swoje towarzystwo bądź inne starania! – odparł śmiejąc się Czerwony Sokół.

– Księżę jest bohaterem! – stwierdziła Jeza. – To prawdziwy rycerz!

Położone na poziomie dziedzińca pomieszczenia gospodarcze Świątyni nie były wcale rajem dla Williama z Roebruku. Piwnicy z winem też nie udało mu się odkryć, a personel kuchenny składał się wyłącznie z mężczyzn. Nastrój więźniów Świątyni wahał się od rozdrażnienia do przygnębienia. Tej sytuacji nie można było dłużej wytrzymać.

Ani hrabina, ani jej triera nie dały się na dłuższy czas uwiązać na łańcuchu, nie mówiąc już o Roszu i Jezie.

William postanowił się rozejrzeć i poszedł na bazar, najlepsze źródło najświeższych wiadomości.

Włóczył się tam przez chwilę, gdy nagle zasłonięto mu oczy i ktoś, nie zważając na jego duchowny ubiór, zawołał:

– Witaj, piękny cudzoziemcze!

W tej samej chwili Ingolinda rzuciła mu się na szyję.

– William, mój William! Czy to naprawdę ty?

– Ingolinda, ładacznicą z Metzu! – wyrwało się minorycie niezbyt po rycersku. – Twojej cipy nie mogło oczywiście zabraknąć na tej schadzce tysiąca ogonów!

I każdy gotów do ostatniego sztychu, filozofował mnich dalej już w myśli, nim go wypchną na surowe morze, nim wiatr pustynny wdmuchnie mu piasek do spodni albo strzała wbita w szyję czy żelazo w serce każą wydać ostatnie tchnienie. Takie i gorsze obrazy krążyły Williamowi z Roebruku w jego flamandzkiej chłopskiej głowie, gdy tymczasem uradowana Ingolinda, paplając bez przerwy, chwyciła go za rękę i pociągnęła do swego wozu na skraj targowiska.

– Co mnie obchodzi tysiąc szlachetnych tloczków, które ma Cypr do zaoferowania, jeśli mi się twój żuraw sprzeciwi? Święty Franciszku! Myślałam, że on jest obwisły i martwy jak jego pan, który złożony na tarczy jak na marach, przykryty flagą, przedefilował przede mną w Konstantynopolu.

Z ust Ingolindy sphywał potok słów.

– Wiesz, co mi powiedziano? Że mój William zmarł śmiercią bohatera. Już cię oplakałam!

Jej oczy napęłniły się łzami, tym razem ze szczęścia. Złapała minorytę rezolutnie za spodnie.

– Teraz on jednak żyje, a ja gwizdżę na bohaterstwo, bo Ingolinda chce tylko jednego: mieć znowu swego zucha!

I miała go znowu. Zaciągnęła zasłonę u wozu, jej piękny tyłek opadł na słomę, a odzyskany William na jej miękkie, wilgotne łono.

– Kto by pomyślał – czknęła z błogości i przycisnęła minorytę do siebie – że twój miękki kałdun będzie jeszcze kiedyś mnie ogrzewać, a twoje przyrodzenie będzie mnie dotykać? O Williamie! – westchnęła, gdy ustały wstrząsy i kołysanie wozu. – Co przeżyłeś, gdy byłeś martwy? Opowiedz mi wszystko!

– Mrugnąłem do ciebie. – William wyczerpany ułożył głowę na piersiach Ingolindy. – Ale ty oddawałaś się już ślepemu żalowi.

– A więc wcale nie byłeś martwy?

– Sztylet był zatruty i wydawałem się martwy. W takim stanie wypłynąłem na morze i potem przez rok pływałem na trierze, póki nie przybiła tutaj do brzegu.

Ingolinda niczego już nie rozumiała, ale było jej to obojętne.

– Cały rok tylko morze? – Nie mogła w to uwierzyć. – Żadnego portu? Żadnej dziewczki? Żadnego pijaństwa? Jakże musiałeś cierpieć!

– Raz chciano mi już te cierpienia skrócić – zażartował mnich – ale dobry Bóg nie pozwolił, bym zawisnął na rei. Miał chyba wobec mnie inne zamiary.

– Strzegł cię święty Franciszek, ażebyś swoją ladacznicę mógł znowu uczynić szczęśliwą. Ofiaruję mu świecę...

– I będę musiał korzystać z twoich usług. – Dla Williama ten napad pobożności był okazją, aby się wycofać.

– Jeśli to dla ciebie przymus, wynoś się do diabła! – Ingolinda była urażona. – I daruj sobie swoje usługi! – Potem mądra ladacznica zastanowiła się i zaczęła nucić znaną piosnkę Peire’a Vidala:

*Qu'amb servir et amb onrar
conquière om de bon senhor
don e benfach et onor,
qui be'l sap tener en car:
per qu'ieu m'n dei esforçar...*

– Ani ty nie powinnaś we mnie widzieć szlachcica, ani ja u ciebie powodu do radości – mruknął William.

Jednakże Ingolinda nie dała się zbić z tropu, zmieniła tylko tonację.

*Ar hai dreg de chantar,
pos vei joi e deportz,
solatz e domnejar,
qar zo es vostr' acortz*

– Nie jestem tak jak ty wolnym ptakiem – powiedział William, uwalniając się z objęć Ingolindy. Ucałował jej sutki. – Nadal pełnię powinność przy królewskich dzieciach.

– Ach, mój rycerz Wielkiego Planu! – zakpiła Ingolinda. – Okruszyna tego, co tym dzieciom przypadło w udziale, bez reszty by uszczęśliwiła taką ladacznicę jak ja.

– Każdy jest kowalem swego losu! – pocieszył ją i wstał. – Liczę na ciebie!

– Ja na ciebie także! Nie zgnieć sobie gniazda z jajami! – zawołała, gdy William okrakiem zakołysał się na krawędzi wozu, i pożegnała go uśmiechem.

Z diariusza Jana ze Joinville

Limassol, 4 października A.D. 1248

Otrzymałem jako kwaterę piętro jednego z magazynów. Ponieważ po pozbyciu się kuzyna mogłem je zamieszkać sam ze swoimi ośmioma rycerzami, naszymi giermkami i zacnym Deanem z Manruptu, miejsca mieliśmy dużo, nawet ponad potrzebę. Na wyprawach wojennych nic nie jest tak nieprzyjemne jak ciasnota, ustawiczny ścisk, głośnie chrapanie kompanów i wstrętny odór nóg.

Konie wyprowadziliśmy ze statku i umieściliśmy w stajniach, gdzie spali pacholcy. Jeśli nawet mieliśmy tutaj przebywać tylko dwa czy trzy tygodnie, konie powinny przyjść do siebie po niewygodach morskiej podróży, ponieważ także koń musi być w walce pełen sił. Od tego może zależeć życie, zwłaszcza w czasie odwrotu. Korzenna woń rumaków, dla każdego rycerza najwspanialszy aromat, jaki może wciągnąć w nozdrza, a wraz z nią wyziewy skóry, odrobina moczu i krzyna potu oraz tak trudny do zdefiniowania zapach żelaza... wyśmienita mieszanka! Ta woń dolatuje ze stajni na płaski dach, ku memu uprzywilejowanemu miejscu pobytu.

Tutaj piszę w spokoju, wzrokiem mogę wędrować od twierdzy templariuszy wysoko na skale w dół stromą uliczką, która łączy warownię z portem, a przebiega bezpośrednio u naszych stóp, poprzez miasto i zatokę aż do zamku joannitów.

Oczekiwałem, że król, po dostrzeżeniu mojej obecności, wezwie mnie wkrótce do siebie. Nie wezwał. Czyżby faktycznie nie zamierzał przyjmować w ogóle do świadomości istnienia dzieci Graala? I wskutek tego zrezygnować po prostu z mego sprawozdania z Konstantynopola? Nazbyt nieaktualne? Od tamtych wydarzeń minął już wprowadzić rok, ale mimo wszystko takie traktowanie mej misji sprawiało mi przykrość.

Udawałem się często do pałacu królewskiego i stojąc w najdalszym rzędzie uczestniczyłem nie rozpoznany w audiencjach króla Ludwika. Nigdy nie był to stracony czas. Przybywali goście z obcych krajów, obładowani przedziwnymi, kosztownymi upominkami. Składali w darze rzadkie ptaki w złotych klatkach, świergoczące, śpiewające, a nawet

gadające ludzką mową; zwierzęta podobne do kotów, ale mające długie ramiona i nogi jak ludzie, do tego równie długi ogon, a tych członków używały razem bardzo zwinnie, jakby ktoś miał pięć rąk. Wśród prezentów były również w małych rzeźbionych puszkach ukryte świerszcze, wygrywające słodkie melodie, szlachetne sokoły do polowań, specjalnie hodowane rosłe psy do polowania na wilki i dziki oraz inne o krótkich, krzywych łapach do wypędzania lisów z jam.

Jednak dalece bardziej interesowali mnie sami posłowie, to, co mieli do powiedzenia, i to, jak król na ich słowa reagował – subtelna gra najwyższej dyplomacji, w której życzenia i odmowa, groźby i sojusze, poddanie się i pochwały, wszystko przystrojone w szatę starannie ważonych zdań, równie ostrożnie, jak było przedkładane, tak też było z sali wynoszone.

Król Ludwik mógł się wydawać skromnym człowiekiem, ale nikt nie powinien go podejrzewać o prostotę umysłu. Jego słowa były proste i jasne, jednak kryła się za nimi mocna wola. Zarówno mówił, jak i działał rozważnie. Powinien być tego świadom czcigodny *maître* Robert z Sorbony, bądź co bądź królewski nadworny kaznodzieja i spowiednik.

Zobaczył mnie raz stojącego przy wejściu do sali audiencyjnej i zlustrował z naganą w oczach, aby potem chwycić za skraj płaszcza i pociągnąć przed króla.

Opierałem się, on jednak mnie nie puścił i wysapał na tyle głośno, że król musiał to usłyszeć:

– Chciałbym was zapytać, czy się nie wstydzicie ubierać kosztowniej niż król, przed którym stoicie? Wasz futrem obszyty płaszcz i kaftan z zielonego jedwabiu...

Ogarnęła mnie wściekłość.

– Panie Robercie – powiedziałem, skłoniwszy się najpierw przed królem i upewniwszy się, że mi zezwala przemówić – nie mam powodu się wstydzić, gdyż barwy te i płaszcz są schedą po ojcu i matce, jak i dziedziczne prawo, by je nosić. Was natomiast, panie Robercie, można zganić, ponieważ wasi rodzice byli mieszczanami, wy zaś wypieracie się swego pochodzenia i nosicie płaszcz ze znacznie delikatniejszej i droższej wełny niż ta, z której utkana jest suknia królewska!

Chwyciłem go za ubranie i pociągnąłem przed króla.

– Popatrzcie tu! – zażądałem. – I przyznajcie mi rację!

Król starał się ukryć swoje rozbawienie, ale *maître* Robert obraził się, uwolnił z mego uchwytu i wybiegł z sali. Zrobiłem sobie wroga, którego nie mogłem lekceważyć.

– Wasze postępowanie nie było mądre – zganił mnie też król – nie powinniście byli z tak przesadną gorliwością i w sposób pozbawiony wyrozumiałości przeciwstawić mojemu wiernemu słudze waszego prawa i przywileju urodzenia.

Kazał przywołać *maître* Roberta i oznajmił:

– Jak słusznie zauważył seneszał, macie się obaj ubierać odpowiednio do waszego stanu i rangi. Wasz rynsztunek i suknia powinny być takie, aby bogaci w doświadczenie ludzie nie

mogli rzec, iż wydaliście na nie za dużo, młodzi ludzie zaś, którzy doświadczenie mają jeszcze przed sobą, nie powiedzieli, że wyłożyliście za mało.

Z tymi słowami nas odprawił.

Wyszedłem powoli, gdyż nikt nie powinien pomyśleć, że odchodzę w niełasce. Czulem jednak, iż coś wisi w powietrzu.

Za królem zobaczyłem Iwona Bretończyka, który wbrew swemu zwyczajowi, aby na każdego, kto tylko znalazł się zbyt blisko króla, wyszczerzyć zęby jak Cerber, dziś błądził myślami gdzie indziej. A zwykle jego przenikliwe spojrzenie przeszywało każdego aż do koszuli w poszukiwaniu ukrytej broni.

Tym razem czujnego strażnika przybocznego ani za grosz nie obchodziła nasza dysputa, która się przecież odbywała tuż przed osobą króla. Zauważyłem natomiast, że marszałek joannitów, Leonard di Peixa-Rollo, Genuńczyk, podszedł do niego i o czymś szeptał. Opuszczając pałac, zobaczyłem marszałka joannitów znowu, tym razem w towarzystwie mego kuzyna, ale on mnie nie spostrzegł. Nie mieliśmy sobie zresztą nic do powiedzenia.

Ktoś położył mi rękę na ramieniu.

– Seneszalu!

Był to Iwo Bretończyk, posepny cień króla Ludwika, jego człowiek do załatwiania spraw poza królewskim dworem, poza wszelką etykietą.

– Idźcie za mną w sposób nie rzucający się w oczy! – polecił szorstko i poszedł przodem.

Zaprowadził mnie do małej pałacowej kaplicy, należącej do prywatnych apartamentów króla. Pan Ludwik klęczał w pierwszej ławce i skinął na mnie. Modliliśmy się wspólnie.

– Amen.

Oczekiwałem, że będzie mi czynił wyrzuty, iż ani wcześniej, ani teraz nie powiadomiłem go o dzieciach, lecz zwrócił się do mnie życzliwie i powiedział:

– Zdajcie mi sprawozdanie, drogi Joinville!

Nie wiedziałem, od czego zacząć i zająknąłem się:

– Gdy wysłaliście mnie, panie, do Konstantynopola, znalazłem następujące...

Przerwał mi.

– Kto był obecny i co się tam wydarzyło, wiem z waszej doskonałej relacji, którą mi przesłał nasz kuzyn Fryderyk.

Spadł mi kamień z serca.

– Chcę poznać nie wasze dokładne obserwacje, lecz wasz osąd, który przecież niedawno mogliście jeszcze pogłębić.

Był więc jak najlepiej poinformowany.

– Tego jeszcze do końca nie ukształtowałem – zaoponowałem skromnie.

– Żadnego końca w tej historii nie ma – pouczył mnie król – zróbcie tylko streszczenie waszego rozumienia rzeczy, nie zaczynając – uśmiechnął się – od *bon roi Dagobert* *.

– Wydaje mi się, że nastąpiła ważna zmiana w tradycji Przeoratu Syjonu – podjąłem z wdzięcznością jego hasło. – Nie walczą już o przywrócenie tronu Merowingom, dokonane zostało cięcie, nie wiem kiedy i przez kogo, po prostu skok do terażniejszości: teraz walczą o ocalenie świętej krwi, *sang réal**... Wasza Królewska Mość zechce wybaczyć ten afront, relacjonuję z punktu widzenia Przeoratu. Oczekuje się teraz po zmieszaniu tej krwi z krwią Hohenstaufa...

– I krwawą zbrodnię przypisze się znowu domowi Kapetyngów! – westchnął król Ludwik. – To nie jest żaden afront, drogi Joinville, lecz faktyczny stan rzeczy. Ramię Kapetynga zabiło Parsifala, chociaż trucizna pochodziła od papieża. W ten sposób Paryż i Rzym zatroszczyły się wspólnie o ożywienie mitu Świętego Graala, *Sant Gral*, w sposób fałszywy odczytywanego jako *sang réal*. On nie jest ani święty, ani królewski, lecz kacerski. Gdyby moi przodkowie pozwolili Trencavelowi umrzeć w wieży Carcassonne naturalną śmiercią, nie istniałby Parsifal jako zdradzony bohater i nie powstałaby legenda. Ja, być może, popełniłem ten sam błąd. Gdybym pozwolił Montségur drzeć w spokoju, nikt nie mówiłby o górze i jej mieszkańcach. Oblężenie i upadek zamku, a także płonący stos zrodziły z płomieni dzieci Graala, dwoje zwykłych dzieci podniosły do rangi istot wyższego rodzaju.

Król zaczerpnął tchu; nie wydawał się świadomy, że to on wprowadza mnie w tworzenie historii zamiast na odwrót.

– Z moim przyjacielem i kuzynem Fryderykiem dzieje się podobnie – ciągnął dalej. – Czterej papieże wyniszczali się kolejno i wyniszczają po to, by uczynić go męczennikiem, *stupor mundi**, nie zrozumianym „światłem świata”, prześladowaną niewinnością. Gdyby go zostawili w spokoju, Kościołowi działałoby się lepiej, a przede wszystkim stałoby się oczywiste, że Fryderyk tak naprawdę jest przeciętnym władcą, który swoje właściwe zadania karygodnie zaniedbuje.

– Ale także tutaj mój nie dający się przekonać brat Karol, owładnięty papieskim szaleństwem, uważa, że należy zniszczyć wszystko co hohenstaufowskie, i zabiega, by szwabska krew jeszcze za życia stała się eliksirem, z którego można będzie wywieść roszczenia do panowania nad światem. Rzeczywiście – kończył król Ludwik – my, Kapetyngowie, uczyniliśmy wszystko, żeby dziś „królewskie dzieci” stały się snem i żeby część Zachodu, część, która się uważa za sól ziemi, wywracała umysłowe koziołki, aby ten sen się spełnił.

* *Bon roi Dagobert* (fr.) – dobry król Dagobert; Dagobert II (z linii frankońsko-merowińskiej) został zamordowany w 679 r., a więc zanim Kapetyngowie uzyskali tron (987 r.).

* *Sang réal* (fr.) – królewska krew; uważano, że potomstwo Jezusa z Nazaretu (z królewskiego domu Dawida) po Jego ukrzyżowaniu schroniło się przed prześladowaniami w południowej Francji i tam stało się zalążkiem europejskiej szlachty.

* *Stupor mundi* (łac.) – „Oslupienie Świata”, przydomek cesarza Fryderyka II.

– Tęsknota za dziećmi Graala – wtrąciłem szybko zdanie, które wyszło spod mego pióra – przeskoczyła już jak iskra z Zachodu do świata Wschodu! Wasza Królewska Mość powinien być zobaczyć, jak w Konstantynopolu, tym przyczółku Wschodu, mędracy, sufiowie, derwisze i szamani napływali tłumnie, aby uczcić królewskie dzieci!

– Islam nie jest jednakże glebą dla opowieści zrodzonych z mistycznych potrzeb Europy, świata, w którym Kościół stał się ludziom obcy, i dlatego odwracają się oni coraz bardziej od wiary w Chrystusa.

– Czy zatem należy zwalczać dzieci, które są płodem pogaństwa? – postawiłem pytanie.

Król uśmiechnął się dobrotliwie.

– Mój drogi Joinville, nieuważnie śledziliście moje wywody, a dopiero co wykazałem na różnych przykładach, że walka może być fałszywym środkiem działania. W tym wypadku nie mamy przecież do czynienia ani z pogaństwem, ani z wrogami, lecz z błądzącymi i zagubionymi. Jeśli się w takich uderzy, zyskają tylko zwolenników.

– Jak wobec tego się ich pozbyć? – spytałem całkiem już zbity z tropu.

– Zabija się ich milcząc – odpowiedział król, gdy jednak zauważył moją irytację, że z jego ust usłyszałem coś podobnego, a pomyślałem naturalnie o Iwonie Bretończyku, sprecyzował: – Przemilcza się ich istnienie!

Skinięciem głowy dałem znak, że nadażam za jego myślą.

– Inaczej ma się rzecz z poganami. Muzułmanie są wrogami naszej chrześcijańskiej wiary. Przeciwno nim pomocny jest tylko miecz krucjaty. Dlatego jestem tutaj i poprowadzę ją tak długo, aż się poddadzą.

– A więc co powinienem przedsięwziąć w sprawie dzieci? – zapytałem.

– Powiedziałem już i powtarzam to jeszcze raz: milczeć!

Patrzył na mnie swymi jasnymi oczyma, które umiały spoglądać tak dobrodusznie i tak twardo.

– Wiem, że przyjdzie wam to z trudem, tego jednak od was żądam. Milczcie, a jeśli przystąpi do was kusiciel, szukajcie ucieczki w modlitwie!

Odprawił mnie, odmówiwszy przedtem ze mną psalm:

*Caeli enarrant gloriom Dei,
et opera manuum eius annuntiat firmamentum.
Dies diei eructat verbum,
et nox nocti indicat scientiam.
Non sunt loquelaes, neque sermones,
quorum non audiantur voces eorum.
In omnem terram exivit sonus eorum,
et infines orbis terrae verba eorum.*

Gdy już prawie doszedłem do drzwi kaplicy, rzekł półgłosem:

– Tej rozmowy nie było.

Wychodząc natknąłem się na Iwona Bretończyka, który czuwał, by nie przeszkodzono nam w rozmowie. Zmierzył mnie tak przenikliwym spojrzeniem, że przyrzekłem sobie uroczyście wziąć do serca stanowcze żądanie króla. Moje usta powinny być zapieczętowane!

Siedziałem na swoim płaskim dachu, rozkoszowałem się widokiem zachodzącego słońca i wciąż łamałem sobie głowę nad tym, co mi król powiedział.

Kończyło się to wszystko na kwestii wiary. Mój pan Ludwik, który stał mocno na gruncie wiary Kościoła, pozbył się dzieci jako urojenia kacerzy.

Jak mocno ja stałem na tym gruncie i z jaką mocą może się do mnie zbliżyć kusiciel?

Zapytałem o to karty tarota.



„Świat kroczy naprzód w blasku, ponieważ przyświecają mu jednocześnie Słońce i Mars.
Moment jest korzystny dla zmiany albo rozpoczęcia od nowa. Zaufaj swojej sile”.

Dzieci zaprzętały moje myśli także podczas wieczornej modlitwy, którą odmawiał ze mną zacny ojciec Dean, gdy od strony portu usłyszałem krzyki i szczęk broni. W okolicy, gdzie, jak wiedziałem, znajdowała się dzielnica wenecka, podniosła się chmura dymu.

Serenissima^{*}, będąca na stopie wojennej z Cypryjczykami od pewnego czasu, ściśle odkąd młody król Henryk zastąpił w regencji swoją matkę Alicję, nie utrzymywała tutaj załogi, lecz przekazała templariuszom kierowanie swymi magazynami i straż nad nimi. Zobaczyłem teraz wyraźnie blask ognia, dym stał się gryzący, krzyki głośniejsze. Ulicą pode mną biegli zdenerwowani ludzie.

I wtedy zjawili się zadyszani dwaj moi rycerze.

– Joannici zaatakowali w porcie templariuszy! Podłożyli ogień pod magazyny Wenecjan. Z pewnością kryje się za tym Genua!

Nie podzielałem ich zdania. Zaraz potem zobaczyłem pędzący na koniach ulicą w dół zbrojny oddział rycerzy Świątyni. Świątynia wysłała chyba całą swoją siłę zbrojną.

* *Serenissima* (wł.) – najjaśniejsza, tu: Republika Wenecka.

Ciekawy z natury, włożyłem szybko pancerz, wzięłem hełm pod pachę i wyszedłem na ulicę, akurat gdy przejeżdżał obok mnie Gawin, komandor templariuszy.

Jeszcze nie byłem pewien, dokąd się skierować, gdy zobaczyłem, jak z ustronnej zagrody wychodzą zbrojni joannici. Prowadził ich osobiście marszałek Peixa-Rollo. Było ich wielu, ale starali się nie wzbudzać sensacji.

Kroczyli ulicą w górę, w kierunku siedziby templariuszy. Potem spostrzegłem, że kilku sierżantów wyniosło z jakichś drzwi taran i wzięło go na ramiona. Ruszyli za rycerzami zakonu. Wyglądało to na bardzo starannie zaplanowane przedsięwzięcie!

Odczekałem, aż przeszli ostatni, i zachowując odpowiedni odstęp poszedłem za nimi. Natychmiast stało się dla mnie jasne, że pożar i potyczka w porcie są tylko fortelem. Panowie Świątyni mieli zostać zwabieni i wyciągnięci ze swej siedziby, a właściwy cios joannitów wymierzony był w ogołoczone z obrońców budynki. Dzieci! – przemknęło mi przez głowę. Napastnicy chcieli porwać hrabinę i kacerskie dzieci, tych małych królów, i zawlec ich przed króla, a może jeszcze gorzej?

Przyspieszyłem kroku, zwłaszcza że teraz także w górę, od strony budynku Świątyni, dał się wyraźnie słyszeć szcęk broni i krzyki. Gdy na końcu uliczki skręciłem za róg, zostałem wtłoczony w gromadę żebraków i handlarzy, którzy przestraszeni wycofali się aż tutaj.

Dostrzegłem akurat, jak dzielnie walczącej straży udało się zamknąć drugą bramę, chociaż rycerze Szpitala napierali na wejście ze wszystkich stron. Potem jednak przyniesiono taran i już pierwsze potężne uderzenie sprawiło, że poleciały drzazgi, a cała brama zadrżała. Długo nie mogła wytrzymać. Jej żelazne okucia były raczej ozdobą, do obrony służyła właściwie przednia brama, której ciężkie, zaopatrzone w płyty z brązu skrzydła stały teraz otworem. Wyglądało na to, że niespodziewany atak się powiedzie. Joannici działali w gorączkowym pośpiechu, coraz szybciej grzmiały uderzenia okutego żelazem, tępego końca taranu o ostatnią przeszkodę, w której ukazywały się już coraz większe szczeliny.

Wtedy jednak, wcześniej niż tak gorliwie trudzący się joannici, dostrzegłem obłok kurzu na szerokiej ulicy, która od pałacu królewskiego prowadziła do wschodniej bramy miejskiej. Pomyślałem najpierw, że to wraca Gawin razem z całą siłą zbrojną Świątyni, ale nadjeżdżający mieli na płaszczach czarne krzyże, nie zaś czerwone. Krzyżacy!

Nie wiedziałem wcale, że przybyli do Limassol. Nie było ich wielu, może dwudziestu rycerzy, jednak z nastawionymi kopiami i opuszczonymi przyłbicami galopowali prosto w kierunku portyku przed wejściem do siedziby templariuszy. Dopiero na placu przed nim, który w popłochu opuścili handlarze i żebracy, dowodzący oddziałem siwobrody komtur kazał wstrzymać wierzchowce i opuścić kopie.

– Kto nam wzbrania dostępu? – zagrział basem.

Zygisbert z Öxfeldu! Ten też pojawia się za każdym razem, pomyślałem, kiedy dzieciom zagraża niebezpieczeństwo. Jakże szeroko rozpięta sieć chroni małych królów!

– Trzymajcie się z daleka! – odezwał się marszałek joannitów, Leonard di Peixa-Rollo. – Z wami nie chcemy mieć nic do czynienia.

– Ale z nami! – rozległ się głos Gawina. Stał sam po drugiej stronie, oparty na długim mieczu.

Wówczas marszałek zaniepokoił się i jego wzrok padł na wschodnią bramę miejską. Czekali tam na koniach jak milczący mur rycerze Świątyni, z kopiami skierowanymi do góry.

Peixa-Rollo dał swoim ludziom znak. Wetknęli miecze do pochew i ze spuszczonego wzrokiem odeszli powoli w dół ulicy, starając się z godnością znieść porażkę. Sierzanci porzucili taran i pobiegli za nimi.

Ponieważ ta ucieczka także pospólstwo natchnęła odwagą, żebracy i handlarze chwycili za kamienie i zaczęli ciskać w uciekających. Potem życie przed siedzibą Świątyni wróciło do normalnego toku, a ja odszedłem zamyślony. Tymczasem zrobiło się ciemno.

III

TAJEMNICA DZIECI

W pomieszczeniu na wieży Zygisbert z Öxfeldu zdjął hełm, odsłaniając dobroduszną twarz, która przywodziła na myśl wielkie psy, jakie hodują mnisi z klasztoru Świętego Bernarda, aby zabłąkanych i zasypanych śniegiem ratować w potrzebie. Z postawy rycerz podobny był raczej do stojącego na dwu łapach niedźwiedzia, w każdej chwili gotowego do zadania śmiertelnego ciosu. Takimi łapami mógłby bykowi połamać żebra, pomyślał Gawin. Gdy komtur uściśnął Czerwonego Sokoła, omal go nie udusił.

– Jest znowu tak, jak w noc pod Montségur – zażartował Krzyżak.

– Albo jak w „Centrum Świata”^{*} – westchnął uściśnięty Konstancjusz i ruchem głowy o profilu drapieżnego ptaka wskazał z wyrzutem na templariusza. – Tylko że wtedy, w marmurowej sali biskupa Konstantynopola, nie mogłem brać udziału w ceremonii, dziś natomiast jestem tutaj prywatnym więźniem komandora. Cóż, czasy się zmieniają.

– Bo za wiele srok trzyma się za ogon – odparł Zygisbert nieporuszony. – Ja służę cesarzowi i prawdę mówiąc nie wiem, co mu więcej przynosi korzyści: czy to, że wy jego

^{*} „Centrum Świata” – dumna nazwa strategicznej sali w dawnym cesarskim pałacu Kallistosa w Konstantynopolu; marmurowa posadzka tej sali przedstawiała obszar Morza Śródziemnego jako olbrzymią szachownicę, na której przebrani w kostiumy gracze przesuwali się przed cesarzem odpowiednio do militarnych operacji.

starego przyjaciela, sultana, chcecie ostrzec przed krucjatą, czy też to, że król, na którego lojalność jest zdany bardziej niż kiedykolwiek przedtem, właśnie ten z Francji, odniesie zwycięstwo.

– Gdybyście wy, Niemcy, umieli patrzeć dalej i mieli trochę fantazji – odparł Czerwony Sokół – wówczas pojełlibyście, że w wypadku frankońskiego zwycięstwa pozycja Fryderyka w Ziemi Świętej zostanie znacznie uszczuplona. Już teraz namiestnicy cesarscy* znajdują się tam w ciężkim położeniu, ponieważ Konrad nie objął nigdy swego dziedzictwa.

– To prawda – musiał przyznać niemiecki rycerz – ale polityka templariuszy nie jest polityką cesarstwa – zwrócił się do komandora.

– Gdybym wiedział, co jest polityką mego zakonu – odpowiedział Gawin z rozwagą – zostałbym już wielkim mistrzem lub byłbym martwy.

Gdy tamci się roześmiali, dodał jeszcze:

– Żarty na bok; zakon templariuszy pociągnie jak wszyscy inni u boku króla Ludwika na tę ani korzystną, ani konieczną, ale świętą wojnę. Troska o to, aby straty rycerzy i sprzętu były jak najniższe, jest jednym z moich zadań, dlatego emir pozostanie tutaj! W przeciwnym razie może mnie pobić na głowę gdzieś na pustyni.

– Ach, umrzeć kiedyś i gdzieś musimy wszyscy – powiedział Zygisbert. – Mam nadzieję, że nie na pustyni.

– Templariusze żałują raczej już dziś ładnej sumy, jaką będzie kosztować przedsięwzięcie Ludwika – zakpił Czerwony Sokół. – Puśćcie mnie wolno, Gawinie, a sultan zapłaci wam za mnie szczerym złotem, nadto dorzuci dla zakonu zamek warowny wedle waszego wyboru.

– Załadajcie, Gawinie, cytadeli w Kairze! – podpowiedział kpiąco Niemiec.

Templariusz się rozgniewał.

– Jeśli tak do mnie przemawiacie, Fassr ad-Din Oktaju, chyba ulżę swemu sumieniu i przekażę was królowi.

W tym momencie zapukano gwałtownie do drzwi. Wszedł rycerz w kompletnym rynsztunku.

– Nasza siedziba jest otoczona! – zawołał. – Joannici ściągnęli z wyspy swą całą siłę zbrojną i oblegają nas.

Gawin podszedł do wąskiego okna. Na dole w ciemnościach pobłyskiwała broń. Na zaludnionym zazwyczaj do późna w noc placu targowym przed wejściem nie było żywej duszy.

– Teraz wy sami jesteście więźniem! – Można by pomyśleć, że ta sytuacja sprawiała przyjemność komturowi zakonu krzyżackiego. – Jeśli chcecie przedsięwziąć jakiś wypad, pozwólcie mi walczyć u swego boku. – Stary wojownik tryskał chęcią walki.

– Błokada, jak sądzę, nie dotyczy ani mnie, ani was, Zygisbercie. Ona dotyczy dzieci!

* Namiestnicy cesarscy – bracia Ryszard i Lotariusz Filangier. Sprawowali w imieniu cesarza władzę do r. 1243, kiedy zostali przez baronów *Outremer* (francuskie określenie na kraj „za morzem”, Ziemię Świętą) przepędzeni. W zamęcie wojny domowej utracono ostatecznie Jerozolimę (1244).

Tego Niemiec nie oczekiwał, jego wesołość gdzieś się ulotniła.

– Dzieci są tutaj?

Gawin skinął głową. Także on był zatroskany. Czerwony Sokół podszedł do okna.

– Istnieją przecież z pewnością podziemne drogi ucieczki, jak z każdego warownego zamku templariuszy.

– To nie jest zamek, lecz dawny szpital dla pielgrzymów. Zakon przejął go jako magazyn i kazał zasypać wszystkie podziemne korytarze, gdyż lubili z nich korzystać złodzieje. Dziś istnieje tylko jedno wejście: brama, lecz jest oblężona.

– Obawiam się – powiedział Zygisbert – że oni na tym nie poprzestaną.

– Także Ludwik, pod wpływem fałszywych doradców, może zmienić stanowisko i rozkazać nam wydać dzieci – umocnił go Gawin w jego zatroskaniu – musiałyby wprowadzić drogę za to zapłacić...

– ...ale tu i teraz wcale nam to nie pomoże – doprowadził Niemiec jego myśl do końca. – Nie sprostamy połączonym siłom krzyżowców.

– Długo nie sprostamy – zgodził się templariusz. – Lecz dzisiejszej nocy nie ma się czego obawiać, a więc chodźmy spać. Zygisbercie, jesteście moim gościem!

– Tylko wówczas, jeśli jutro rano będzie mi wolno opuścić ten dom – zażartował Krzyżak. – Złożę uszanowanie królowi Franków i pożałuję się na to zakłócanie mego zasłużonego nocnego spoczynku!

– *La tassubbu az-zajta ala an-nari!** – wmieszał się jeszcze raz Konstancjusz. – Miejcie raczej oczy i uszy otwarte, żeby się wywiedzieć, kto na dworze konspiruje przeciwko nam i jakie są plany naszych wrogów, którzy są wrogami dzieci.

Czerwony Sokół był w swoim żywiole.

– Wszyscy tutaj obecni – tym samym włączył zręcznie Gawina – rozważymy, jak się im można przeciwstawić, jak ich ubiec.

Komandor templariuszy nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– W ten sposób znaleźliśmy się znowu na początku całej historii: trzech rycerze zaprzysiężeni i oddani tylko jednemu celowi, ratowaniu dzieci Graala!

– *Vivent les enfants du Graal!** – powiedział Niemiec, dumny ze swojej znajomości francuskiego.

– *Vive Dieu Saint-Amour!** – roześmiał się Konstancjusz, wykrzyknąwszy bojowe zawołanie templariuszy, tak że Gawinowi nie pozostało nic innego, jak dodać:

– *Allahu kabir. Allahu azim. Allahu al-mu'in**

* *La tassubbu az-zajta ala an-nari!* (arab.) – nie dolewaj oliwy do ognia!

* *Vivent les enfants du Graal!* (fr.) – niech żyją dzieci Graala!

* *Vive Dieu Saint-Amour!* (fr.) – niech żyje Bóg Świętej Miłości! Okrzyk bojowy templariuszy.

* *Allahu kabir...* (arab.) – Allah jest wielki, Allah jest potężny, wszelka pomoc przychodzi dzięki niemu.

– Dlaczego nie wypowiesz hrabinie służby i nie przeniesiesz się do mnie na trierę? – mruknął Firuz i stoczył się ze swojej żony, która nie okazała z tego powodu niezadowolenia.

Madulajn leżała w półmroku spiżarni z głową ułożoną na gryce, z workiem prosa pod tyłkiem i nie mogła sobie wyobrazić nic piękniejszego niż miękkie łóżko w kajucie, a do tego każdego dnia, któremu Pan pozwoli nastać, krzepki ogon swego męża, mimo to powiedziała zjadliwie:

– To nie jest twój statek, Firuzie, na razie jesteś kapitanem z Bożej łaski; tak jak ja jestem służącą, tak ty jesteś pacholkiem hrabiny, o tym chyba zapomniałeś, podobnie jak o wielu innych sprawach.

W jej błyszczących oczach była tęsknota za towarzyszem wcześniejszych zdrożności, za tym zwierzęciem w Firuzie, które nigdy nie miało dosyć. Teraz zaś małżonek leżał obok niej na brzuchu i pozwalał, aby jego drogocenny ogon zwisał na owsiane otręby. Firuz był pijany.

– Przedtem szukałaś każdej sposobności i stale też znajdowałaś drogę, aby być razem ze mną, Madul – powiedział Firuz rozdrażniony, ale wciąż jeszcze zabiegający o jej względy.

Udawała, że nie słyszy. Z podgiętymi, bezwstydnie rozłożonymi nogami sypała sobie w zamyśleniu na łono ziarna pszenicy. Firuz ogarnęła wściekłość.

– Piękni rycerze zawrócili ci w głowie, nie jestem dla ciebie wystarczająco wytworny!

– Chyba masz rację – odparła chłodno. – Ale ty ani nie zabiegasz już o mnie w miły sposób, ani nie wbijasz mi rozkosznie swej włóczni w czasie *gay d'amor*^{*}, pewnie portowe dziewczki pozwoliły zmarnieć memu jurnemu kozłowi i stał się potulnym królikiem...

Firuz zerwał się na równe nogi.

– Nie chodzę z takimi flejtuchami jak twój mnich, William, ale może powinienem! – warknął i zwałił się na ziemię. – Z mniejszą ochotą niż ty, kobieto, one nie potrafią tego robić.

Madulajn milczała, patrzyła w sufit izby i zastanawiała się, dlaczego każe mu tak cierpieć, zmusza do wypowiedzania takich słów. Najchętniej potrząsnęłaby nim mocno, ażeby ją, siebie i świat doprowadził do porządku, jednakże zamiast tego powiedziała:

– Za Ingolinę, tę ladacznicę z Metz mogę przecież wystarczyć, ale wolałabym, żeby jakiś rycerz starał się grzecznie o moje względy, kochał mnie serdecznie, niż żebyś ty...

Nie dokończyła, bo jej małżonek zasnął. Zostawiła go i udała się na palcach do izby, którą dzieliła razem z Szirat i dziećmi. Była już późna noc albo nawet wczesny ranek. Drżała z zimna.

*Bem degra de chantar tener,
quar a chan coven alegriers;
e mi destrenh tant cossiriers
quem fa de totas partz doler
remembran mon greu temps possat,*

* Gay d'amor (stfr.) – gra miłosna, rozkosz miłosna.

*es gardan lo present forsat
e cossiran l'avenidor
que per totz ai rason que plor.*

Gdy słońce wstało za bramą Wschodnią, oblężeni mogli poznać wielkość oddziału, który otaczał ich siedzibę jak pętla, gotowa się zacisnąć raczej powoli niż gwałtownie. Wszędzie błyszczała broń, a na targowisku zburzono kramy i zbudowano z nich barykadę naprzeciwko portyku.

Joannici sami nie mogli wystawić takiego oddziału. Udało im się chyba nakłonić wielu frankońskich panów, może nawet angielskich, aby się do nich przyłączyli. Nie widać było co prawda nigdzie proporców, ale przecież nie każdy żołnierz czy rycerz nosił biały, jakby z grotów strzał uformowany krzyż joannitów na czerwonym lub czarnym tle. Albo skryci sprzymierzeńcy unikali otwartego wystąpienia przeciwko potężnemu zakonowi templariuszy, albo panowie szpitalnicy przykładali wagę do tego, żeby całe przedsięwzięcie szło wyłącznie na ich rachunek.

We wczesnych godzinach porannych komtur zakonu krzyżackiego, Zygisbert z Öxfeldu, w towarzystwie niewielkiej świty wyjechał z ledwie uchylonej bramy; nikt go nie zatrzymywał, ba, nikt go nawet nie zapytał o nazwisko i cel wyjazdu.

Ten wyjazd wykorzystał także zniechęcony Firuz, aby opuścić siedzibę Świątyni. Nie chciał już żony widzieć na oczy.

Udał się na trierę. Gdyby uciekli razem z żoną, może ich pożycie małżeńskie znowu by się dobrze ułożyło. Madulajn była tak straszliwie wymagająca i po prostu nie chciała pamiętać o tym, że dowodzenie statkiem to nie tylko zaszczyt, ale także nużące obowiązki. Pragnęła wciąż tylko jednego, i to jeszcze z całą celebrą. Powinni uciec z Cypru, uciec od templariuszy i od tego statku, od tych więzień, które ich rozdzieliły i stopniowo niszczyły ich miłość.

Nieco później przybył wielki mistrz templariuszy, Wilhelm z Sonnacu. Zachowywał się tak, jakby nie widział blokady. Żaden joannita nie ośmielił się z skorzystać z tego, że tym razem bramę otwarto na oścież, a po wjeździe pana Wilhelma pozostawiono otwartą.

W sali kapituły pod przewodnictwem wielkiego mistrza templariuszy obradował wybrany krąg rycerzy, przed którym odpowiadał Gawin Montbard z Béthune . Wielki mistrz zarzucał mu niemało.

– Przypisaliście sobie, Gawinie, prawa komandora tego domu zakonnego – mówił cicho – podczas gdy wasz dom, niezależnie od tego jak ważny, jest wedle mojej wiedzy bardzo odległy od Limassol*.

Gawin nie zastanawiał się długo nad odpowiedzią.

– Zastałem to miejsce bez kierownictwa, a działałem w ramach misji, którą mi zlecono, o czym wy również wiecie. – Odczekał, aż Wilhelm z Sonnacu potwierdzająco skinie głową, po czym ciągnął dalej: – Ponieważ ta placówka, nagle wysunięta na plan pierwszy na skutek krucjaty Ludwika, była osierocona, uważałem za swój obowiązek wypełnić tę lukę, dopóki wy nie przybędziecie.

– Czy nie pomyśleliście, Gawinie, że ta luka w tym czasie i w tym miejscu mogła być pozostawiona całkiem celowo?

– Nie – odparł Gawin starając się, by jego głos brzmiał stanowczo – tego rodzaju rozważania były i są dla mnie niezrozumiałe.

– Pochwalam wasze absolutnie samodzielne myślenie i działanie, w wyniku których obarczono was pewną misją. Jesteście jednak upoważnieni działać tylko w ramach tej misji, w żadnym razie w imieniu zakonu!

Gawin milczał.

– Czy to jest dla was jasne? – Sonnac mówił jeszcze ciszej, jednak ostrość tonu nie pozostawiała żadnej wątpliwości.

– Tak – odpowiedział Gawin z zaschniętym gardłem.

Wielki mistrz był teraz łagodniej usposobiony.

– Nie było też naturalnie przewidziane, że przeszkodzicie synowi wielkiego wezyra w urzeczywistnieniu jego zadań...

– Czyż miałem działać wbrew rozkazowi króla, ośmieszyć pełniący wartę zakon templariuszy tym, że pozwalał umknąć szpiegowi?

– Można było spojrzeć w bok, Gawinie, udając, że się nie widzi – napomniął go wielki mistrz. – Przecież i tak nie wydaliście go królowi.

Gawin zmieszany spuścił głowę, ale Sonnac nie oszczędził mu niczego.

– Dlaczego tamtego dnia wybrano was do przeprowadzenia inspekcji wschodniego wybrzeża? Aby mieć pewność, że emir Fassr ad-Din Oktaj będzie mógł w dobrym zdrowiu opuścić wyspę!

– Gdybyście mnie o tym powiadomili, jak to teraz czynicie... – bronił się Gawin.

– To nie było potrzebne. Wasze zadanie zostało jasno zarysowane. Od wszystkich innych, które bezpośrednio nie mają z nim nic wspólnego, trzymajcie się z daleka! A o chybionym przez was przedsięwzięciu dowiedzie się zaraz, mimo że ono was nie dotyczy. Otóż Świątynia ma układ z Damaszkiem, który wejdzie w życie, gdy Syria będzie się mogła odłączyć od Kairu. Jesteśmy przyjaciółmi Damaszku i Kairu. W interesie równowagi sił nie możemy sobie

* Odległy od Limassol – aluzja do siedziby komandora we Francji, w Rennes-le-Château.

życzyć zwycięstwa Kapetynga w Egipcie. A więc Egipt powinien stać się przyczyną zguby krucjaty. Dlatego należy zawczasu powiadamiać sułtana o wszystkich sprawach: sile wojsk, środkach transportu, zaopatrzeniu, a przede wszystkim o planowanym terminie wyprawy króla Ludwika.

– Postaram się o to – oznajmił Gawin.

– Nie – odparł wielki mistrz. – My będziemy się o to starali! Wy postawiliście zakon w kłopotliwej sytuacji. Nie mówię o tych nieszczęsnych figurach, które, jak się wydaje, wciąż się kleją do dzieci jak gzy do końskiego zadu: o cieszącej się wątpliwą sławą hrabinie i niezdarnym minorycie. Tej hołoty dawno już powinniście się byli pozbyć. Nie mówię też o małych mamelukach, te osoby w najbliższej przyszłości mogą się okazać ważne. Mówię o samych dzieciach. Nie przewidywano, że się tutaj pojawią...

– Pojawiły się jednak – wtrącił Gawin. – Zapewniłem im bezpieczeństwo, jedynym nadającym się do tego miejscem była siedziba Świątyni. A potem nastąpiły trudne do przewidzenia wydarzenia!

– Widzicie, Gawinie, nie wolno nam „trudnych do przewidzenia wydarzeń” ani przeoczyć, ani też pozwolić, by nam pomieszały szyki. Tu dochodzę do konfliktu z panami Szpitala. W tych okolicznościach, myślę o dzieciach pod naszym dachem, powinniście go bezwarunkowo unikać. Wy zaś przeciwnie, jeszcze ich sprowokowaliście swym wystąpieniem. Przepowiadam, że gdy władze zwierzchnie rycerzy świętego Jana Chrzciciela pojmą, jaka rola przypisana jest dzieciom w Wielkim Planie, za wszelką cenę zechcą je dostać w swoje ręce. Nie by je zabić, lecz żeby zostać zamiast nas ich protektorami. Tego do chwały jeszcze im brakuje. To, co się teraz rozgrywa przed naszymi murami, jest tylko drobnym rewanzem niepotrzebnie wykpionego, Bogu dzięki tępego Jana z Ronay, pyszałka jak wszyscy zastępcy. Jednakże ktoś może także jemu otworzyć oczy, a wtedy będziemy mieli walkę na noże, i to wszędzie!

Gawin milczał. A kto mi zagwarantuje, pomyślał, że to także nie mogło być zamierzone?

– Ale teraz i tutaj ten konflikt nie jest korzystny, nie chcemy też, aby król został wciągnięty w spór, gdyż musielibyśmy poddać się zarządzonemu przez niego badaniu bądź się temu przeciwstawić.

– A więc co rozkażecie? – spytał komandor niepewnie. Oczekiwał, że jego mistrz zetrze oblegających joannitów jak natrętne muchy ze stołu.

Pozostali rycerze, wszyscy posiwiali w służbie zakonu, milczeli.

– Dzieci muszą zniknąć – odpowiedział Sonnac – i to niepostrzeżenie, jakby ich tu nigdy nie było. Kto potem zechce twierdzić coś przeciwnego, będzie uchodził za szaleńca lub potwarcę.

– Tak jest po myśli naszego króla! – Gawinowi wyraźnie ulżyło.

– Mniejsza o to – dodał wielki mistrz nieporuszony – przy tej okazji powinniście się również pozbyć hrabiny i minoryty. Nie są już potrzebni, wręcz przeciwnie.

– Łatwiej powiedzieć, niż zrobić – westchnął Gawin.

– Sami nawarzyliście piwa – oznajmił łaskawie wielki mistrz – a więc jestem pewien, że je też sami wypijecie.

Przy całej łaskawości Wilhelma z Sonnacu była to groźba.

W kajucie triery paliło się jeszcze światło. Hamo razem z Firuzem analizował plan portu Limassol, na który naniesiono każdą wieżę strażniczą, każdy magazyn i miejsce zakotwiczenia najważniejszych statków.

– Ci trzej Grecy kotwiczą w drugim rzędzie przed genueńskim arsenałem – objaśniał sytuację kapitan z zaciętym raczej niż pełnym nadziei wyrazem twarzy.

– Cała dzielnica jest strzeżona przez joannitów, których warowny zamek wznosi się na górze – uspokajał Firuz Hamo – wybijcie sobie z głowy karną ekspedycję albo przesuniecie ją na późniejszy, dogodniejszy czas!

– Gdy szczeniaki paskudzą przed łóżkiem, trzeba je od razu, wetknąwszy im nos w gówno, skarcić bykowcem! Później już nie wiedzą, za co otrzymały baty.

– Maurowie tak czy tak nie mogą tutaj w imieniu Otranto pociągnąć morderców do odpowiedzialności – odpowiedział Hamo. – Brakuje jeszcze tego, żeby załoga triery wzbudziła tu przykrą sensację i skierowała na nas oczy wszystkich.

– Oni chcą zemsty za Guiscarda! – rzekł Firuz.

– Pani hrabina zaś pragnie uciec z dziećmi! Powiedzcie to ludziom!

Firuz ruszył pokładem ku dziobowi, by zejść do pomieszczenia Maurów.

Dzicy kompani zajmowali część kilową na samym przedzie statku. Czekali niecierpliwie na pojawienie się kapitana, choć nie miał wśród nich takiego autorytetu jak Amalfitańczyk.

– Spodziewam się, że przyniesie wreszcie nazwiska tych szczurów, którzy mają naszego Guiscarda na sumieniu – odezwał się któryś.

– Sumienie? – spytał inny drwiąco. – Ci jebacy kur dawno już o nim zapomnieli.

– Nie możemy przecież wszystkich Greków...

– Dlaczego nie? Na wszystkich wyspach powinni płakać i na zawsze zapamiętać, że triery Otranto nie wolno bezkarnie...

– Właśnie że nie! – zagrzmiał kapitan, który zeszedł po ciemnych schodach. – Nie będzie żadnej sprawy honorowej, żadnego sądu karnego!

Zaraz wybuchł tumult.

– Mord kapturowy albo nie! – huknął Firuz. – Możecie im obciąć jaja i wepchnąć kutasy do pysków, możecie im powykułwać oczy i wbić do tyłków rozżarzone koły, ale nikt nie może dać się złapać!

– A jeśli? – podniósł się głos sprzeciwu.

– Kto chce w tym uczestniczyć, ma wrócić na trierę nie rozpoznany albo martwy. Zatroszczę się o to osobiście!

Wszyscy wiedzieli, że Firuz nawet w nocy strzela z łuku bez pudła, zaległo więc milczenie.

– Jak nazywają się te greckie świnie? – spytał ktoś z kąta niecierpliwie. – Ich imiona...

– Dopiero gdy mi przysięgniecie – upierał się Firuz – że uczynicie to skrycie. Nikt nie może się dowiedzieć, dlaczego i z czyjej ręki musieli Grecy umrzeć!

– *Sidi, sidi* – mruknęli Maurowie i Firuz powiedział tonem spiskowca:

– Dwóch chełpiło się niedawno u Ingolindy, że takiemu jednemu z drewnianą nogą kazali tańczyć na pokładzie triery, póki pan Anioł nie przeciął powroza!

– Tego olbrzymiego wieprza powinniśmy załatwić pierwszego...

– Do niego się nie zbliżysz!

– A więc kogo powinniśmy schwytać?

– Jeden to Filip Sęp, a drugi Kserkses Guziec.

– Było ich co najmniej sześciu! Żaden nie powinien uniknąć kary!

– Będą z tymi dwoma: razem się śmiali, razem zginą!

– A jak chcesz obu odszukać i odłączyć od tej pijackiej bandy?

– Dziewka Williama musi...

– Nie wolno nikogo wtajemniczać! – upomniał Firuz.

– No to może twoja żona... – zaproponował któryś i już miał pięść kapitana na gębie.

– Przebierz się sam za kobietę! Brody jeszcze nie masz, ale, za to ładny tyłek!

Młody Maur wyciągnął nóż.

– Ja będę za przynętę! – oznajmił Hamon, który wszedł nie zauważony.

– Wendeta! – rozległy się wrzaski. – Zemsta za Guiscarda! – Wszyscy zaczęli klaskać.

– Nie zapominajcie tylko, co powiedział kapitan! – zawołał Hamo. – Ja zaś oczekuję od was tego samego zapału i furii, kiedy triera wyrwie się z tej dziury!

– *Vivat lo joven comes nuestro* * – zakrzyknęli Maurowie. – Zawsze wierni! Otranto!

Z diariusza Jana ze Joinville

Limassol, 11 września A.D. 1248

Mój wódz, król Ludwik, kazał mnie przywołać. Znalazłem go klęczącego w pałacowej kaplicy, jego kapelan, *maître* Robert, udzielił mi właśnie błogosławieństwa. Zatrzymałem się cicho w głębi, ale król usłyszał chyba, jak wszedłem.

– Podejdźcie bliżej, Janie ze Joinville. – Nazywał mnie zawsze seneszalem, toteż tym łaskawym odezwaniem się byłem prawdziwie wzruszony. – Podobno piszecie kronikę

* *Vivat lo joven comes nuestro!* (okcyt). – niech żyje nasz młody hrabia!

wydarzeń, które dotyczą krucjaty. Spodziewam się, że jesteśmy zgodni co do tego, czego nie powinniście w kronice umieszczać bądź omawiać...

Skinałem głową, pomny niedawnej rozmowy.

– Jednakże chciałbym – ciągnął król – żebyście byli świadkiem słów, które skieruję do panów rycerzy zakonnych.

Ponieważ nie miał zamiaru się podnieść, klęknąłem obok niego. Już sama idea, żeby wielkich mistrzów zmusić także do ukłęknięcia, bardzo mi się podobała. Tylko *maître* Robert najwyraźniej jej nie pochwalał i mruknął coś w rodzaju: „To jest dom Boży, a nie miejsce do świeckich rozmów!”, Ludwik jednak mu przerwał.

– Na tym polega istota rzeczy. Chcę, żeby nasi goście od razu pojęli, komu mają służyć: nie mnie, nie swym zakonom, lecz Bogu! Wyłącznie Jemu!

– Amen – zakończył kapelan i ogłosił wejście pierwszego gościa: – Pan Zygisbert, *ordo equitum teutonicorum* *!

Komtur pojął natychmiast zamiary króla i nim go powitał zgodnie z etykietą, odmówił najpierw głośno modlitwę; potem zajął miejsce w kącie kaplicy, ponieważ rozumiał także, że był tutaj postacią drugoplanową.

– Niemcy, zawsze punktualni! – dał się słyszeć w ciszy głos *maître* Roberta. Kapelan irytował się, że musi czekać. Niecierpliwie chodził przed ołtarzem tam i z powrotem. Wtedy wszedł Jan z Ronay.

– Chociaż jedynie pełnię funkcję wielkiego mistrza – poskarżył się od razu płaczliwie – nie wiem, dlaczego ktoś z zakonu szpitalników w Jeruzalem ma przychodzić wcześniej niż przedstawiciel Świątyni.

Miał zamiar odejść, ale król szepnął do niego coś, czego nie dosłyszał. Podszedł więc bliżej i schylił się ku Ludwikowi.

– Co Wasza Królewska Mość powiedział? – spytał rozdrażniony, a król odparł spokojnie:

– Zapomnieliście o modlitwie.

I tak pan Ronay musiał ukłęknać, a Ludwik zaczął się głośno modlić:

*Adorna thalamum tuum, Sion,
et suscipe regem Christum:
amplectere Mariom, quae est
coelestis porta: ipsa enim
portat Regem gloriae novi
luminis: subsistit Virgo,
adducens manibus Filium ante
luciferum: quem
accipiens Simeon in ulnas suas*

* Ordo equitum teutonicorum (łac.) – niemiecki zakon rycerski.

*praedicavit populis Dominum
eum esse vitae et mortis, et
Salvatorem mundi.*

– Amen – rozległ się głos Wilhelma z Sonnacu, wielkiego mistrza templariuszy.

– Ostatni będą pierwszymi – powiedział król. – Proszę was z całego serca, panie Ronay, i was, panie Sonnac, zbliżcie się, ponieważ w tym domu musimy mówić cicho, a jednak powinniście dobrze mnie słyszeć.

Utworzyli półkrąg: król pośrodku i obaj zwierzchnicy zakonów rycerskich po bokach, ja odsunąłem się nieco, a pan Zygisbert pozostał w kącie.

– Tak jak teraz klęczymy przed Bogiem – powiedział król – tak powinniśmy także wystąpić przeciwko naszym wrogom. Sułtan z pewnością wysłał szpiegów, a wy oferujecie im ten zawstydzający spektakl. Co sobie pomyślą o chrześcijanach?! – Król popatrzył surowo na rycerzy zakonnych.

– Z pewnością – odezwał się wielki mistrz templariuszy z drwiną – pan Ronay nie ma niczego innego na myśli, jak wprowadzić nieprzyjaciela w błąd, zwodzić go niezgodą i słabością chrześcijańskiego wojska. Genialne posunięcie, którego, uczciwie mówiąc, po nim się nie spodziewałem.

Joannita chciał się unieść gniewem, ale król Ludwik zapobiegł temu mówiąc:

– Przybyliśmy tutaj, aby uczciwie i szczerze bronić naszego Pana, Jezusa Chrystusa, który takich forteli nie potrzebuje. Moim zdaniem są obrzydliwe i absolutnie nie służą naszej sprawie.

Tym razem pan Ronay nie pozwolił się powstrzymać.

– Nie mogę dopuścić, aby zakon świętego Jana miał teraz jeszcze udowodniać, że stoi mocno na gruncie chrześcijańskiej wiary, i to udowodniać tylko dlatego, że wziął na siebie zadanie, aby panom Świątyni postawić zarzut przyjęcia i ochraniają kacerskich dzieci. A dowód dostarczymy. Tego wymaga honor naszego zakonu!

– Niepotrzebnie zawiesiliście wasz honor tak wysoko – zganił go król, a ta uwaga sprowokowała Jana z Ronay do większego gniewu.

– Właśnie my, rycerze Szpitala Świętego Jana w Jeruzalem, mamy jeszcze honor...

– A my, rycerze Świątyni z tego samego świętego miasta – przerwał mu chłodno wielki mistrz templariuszy – w których mocne trwanie w wierze chrześcijańskiej nikt nie może wątpić, protestujemy zdecydowanie przeciwko takim zarzutom!

– Ale dzieci przecież rozpoznano, widziano to kacerskie potomstwo, jak wchodziło do waszego domu i od tej pory go nie opuściło! Pozwólcie nam...

Król podniósł dłoń, przerywając oskarżycielski wywód.

– Panie Ronay, nie poślubiliście wprawdzie żadnej kobiety, ale wyobraźcie sobie, że urodziła wam córkę.

Joannita przeżegnał się przy tych słowach i milczał pełen oburzenia.

– Córka wasza rośnie – ciągnął dalej król – jest ładnym dzieckiem, zbliża się do wieku dojrzałego, jej małe piersi nabrzmiewają, jej wznórek pokrywa się delikatnym puszkciem, wy, ojciec, otaczacie opieką swoje dziecko, chronicie je, aby zachować czyste dla jego... i waszej czci...

W kaplicy zrobiło się teraz cicho, ale była to cisza niezdrowej ciekawości, skrywanej żądzy nasłuchujących uszu, sprośnych myśli. Kapelan, lekko zadyszany, zaczął się modlić.

– A wtedy pewnego dnia przychodzi sąsiad, człowiek godny szacunku, i twierdzi ku waszemu przerażeniu, że widział, jak pewien szpetny staruch, ze skórą pokrytą egzemą i członkami zarażonymi trądem, wszedł do izby waszej córeczki i obcował z nią w łożu.

– Tfu, do diabła! – rozległ się głos Zygisberta, inni milczeli jak urzeczeni.

– To kłamstwo! – wyrwało się w końcu wielkiemu mistrzowi templariuszy.

– Oszczercze kłamstwo! – poparł go Joannita.

– Wzbraniacie się gwałtownie przed taką straszliwą myślą, panie Ronay – ciągnął król – czy zatem pozwolilibyście waszemu sąsiadowi, który obstaje przy tym, że widział wszystko na własne oczy, dostarczyć dowód oskarżenia, a mianowicie podciągnąć w górę suknię waszej córki, rozsunąć jej nogi i palcem sprawdzić, czy dziecko nie straciło jeszcze dziewictwa?

– Przenigdy! – zawołał pan Ronay.

– No właśnie – powiedział król, złożył ręce do modlitwy, zamknął oczy i pochylił głowę, tym samym każdy zrozumiał, że historia na tym się skończyła.

Mój wzrok padł na ołtarz. *Maitre* z Sorbony leżał przed nim plackiem, z twarzą przyciśniętą do marmurowych płyt posadzki; krucyfiks na ołtarzu zasłonił jakąś chustą.

W końcu król się podniósł, a my wszyscy mogliśmy uczynić to samo. Wielki mistrz templariuszy rzucił spojrzenie na wstydliwie zasłoniętego Chrystusa.

– Ponieważ my nie mamy nic do ukrycia – oznajmił – proponuję, aby Wasza Królewska Mość obarczył zakon jakąś misją, która każe nam wyjechać z Cypru daleko i na dłuższy czas. Opuścimy wtedy nasz dom...

– I zwolnicie go dla inspekcji? – Joannita już zapomniał o dopiero co usłyszanych naukach.

– I przekazemy go niemieckim rycerzom pod wodzą obecnego tu komtura Zygisberta z Öxfeldu...

– Ani mi się śni w to mieszać! – sapnął pogardliwie Krzyżak ze swego kąta. – Żegnajcie, panowie, i róbcie swoje rachunki z Nim – pokazał na ołtarz – ale nie z nami!

Wyszedł ciężkim krokiem z kaplicy. Ludwik zmusił się do zignorowania jego mało uprzejmego odejścia i rzekł gniewnie do Wilhelma z Sonnacu:

– Zabraniam wam opuszczać nas. – A zwróciwszy się do Jana z Ronay powiedział: – Życzę sobie odwiedzić was w waszym zamku i mam nadzieję, że przy tej okazji znajdę tam wokół mnie zgromadzonych wszystkich waszych rycerzy!

Zrobił krok nad leżącym wciąż na posadzce kapelanem i bocznymi drzwiami opuścił kaplicę, udając się do swoich komnat.

Wydało mi się, że przekraczając kapelana przez chwilę się zawahał, jakby chciał *maître* Robertowi wymierzyć kopniaka w żebra, było to chyba jednak tylko moje wyobrażenie o jego nastroju.

Na mnie król już w ogóle nie zwrócił uwagi. Podążyłem schodami za wielkim mistrzem templariuszy i zastępcą wielkiego mistrza joannitów.

– Dajcie nam szansę – odezwał się oschle Jan z Ronay – odstąpić od was bez utraty twarzy.

– To brzmi jak propozycja rozwiązania bezdzietnego małżeństwa – roześmiał się templariusz i położył przyjaźnie rękę na ramieniu joannity. – Tak daleko jeszcze nie zaszedliśmy. Ale moglibyśmy jeden z waszych domów w porcie...

Zeszli na dół i wielki mistrz cofnął rękę.

– Poddajcie się! – szepnął Jan z Ronay, gdy znaleźli się wśród ludzi, ale po cichu dodał: – Mały ogień!

– Wiatr dmie, jak mu się podoba – powiedział Wilhelm z Sonnacu głośno, tak że każdy mógł usłyszeć – nie wiadomo tylko, czy w jesienne zwiędłe liście, czy w żagiel.

Poszli każdy swoją drogą, otoczeni eskortami, które śledząc się z wyraźną wrogością, czekały na nich przed pałacem. Na mnie czekał Zygisbert.

– Nie chciałbym, żeby ten człowiek kiedykolwiek miał córkę – rzekł oschle, gdy szliśmy przez chwilę w kierunku portu.

– Kto? – spytałem. – Jan z Ronay?

– Król! – odparł komtur i pożegnał się z gestem, który odczułem jako niestosowny. Za niestosowne uważałem zresztą wszystko, co przeżyłem, i zastanawiałem się poważnie, czy powinienem umieścić to w kronice. Wprawdzie to król, dość niekonsekwentnie wobec własnych zaleceń, sam zaczął mówić o dzieciach, ale te fragmenty mogłem usunąć jako korektor kilkoma *omissis** problematycznych miejsc.

Prawda nie zawsze bywa godna zachowania, zwłaszcza gdy nie jest stałym gruntem, lecz raczej szybko odpływającą wodą.

Jeśli kronikarz sądzi, że jego zadaniem jest czerpać ulotny żywioł, aby go przechować w kosztownym naczyniu, wówczas nie może się dziwić, gdy ten żywioł szybko wyparuje.

Przybyłem tymczasem na nabrzeże i zdecydowałem się spędzić trochę czasu w porcie. Po tym wszystkim miałem ochotę wypić dzban chłodnego wina, jakbym musiał splukać niesmak z ust, a krążące wokół króla myśli łagodnie przytłumić. Po prostu miałem ochotę się upić.

* Omissis (łac.) – opuszczenia.

Tawerna „Pod Pięknym Widokiem” była o wieczornej godzinie pełna cudzoziemskich żołnierzy i marynarzy statków, które mocno stłoczone cumowały w porcie. Po przykrych wachtach nie pozostawało nic innego do roboty, jak przesiadywać tutaj i zalewać się czerwonym cypryjskim winem.

Ochoczo wszczynane bijatyki i ewentualne łajdaczenie się trwały krótko i wychodziły drogo, gra w kości ciągnęła się co prawda dłużej, ale dla większości także nie wychodziła taniej. A więc warto oddać się od razu pijaństwu, pomyślałem przekraczając próg tawerny „Pod Pięknym Widokiem”, która wcale nie miała takiego szyldu, tylko ja ją tak nazwałem, ponieważ mogłem stąd obserwować statki, port i morze, póki wypite wino pozwalało mi widzieć świat wyraźnie.

Przy stole, gdzie było jeszcze jedno wolne miejsce, zobaczyłem Williama z Roebruku ze znaną ładacznicą, Ingolindą z Metz.

Minoryta wydawał się niezbyt uradowany tym, że się do nich przysiadłem, choć nie musiał z mojej strony obawiać się niczego, jeśli chodziło o jego kochankę.

– Hrabia Joinville – przedstawił mnie dyskretnie, by inni nie mogli tego usłyszeć.

Od razu energicznie zaprotestowałem, dla ludzi mojego stanu bowiem nie było rzeczą stosowną mieszać się w takich miejscach z pospólstwem. Podupadły mnich poczuł się natychmiast zobowiązany wraz z ostatnim łykiem zapoznać mnie z plotką, która krążyła tutaj wśród jemu podobnych.

– Już trzecią noc – szepnął podniecony – widziano Guiscarda, jak stapał ciężko koło triery, stukając drewnianą nogą. Do tego jeszcze ze stryczkiem wokół szyi!

– Nonsens – powiedziałem i zamówiłem dzban wina dla naszego stołu – kapitana już dawno zjadły ryby!

– Tak samo myślałam o Williamie! – wykrzyknęła pełna zapału Ingolinda. – A teraz siedzi tutaj!

– Może też tylko jako duch! – zakpiłem.

– Z całą pewnością nie! – zapewniła mnie służebnica miłości. – Ma jeszcze życie w spodniach! Zapewniam was, panie hrabio! Twarde jak stukot drewnianej nogi po nabrzeżu o północy, na własne oczy...

Teraz naszej rozmowie przysłuchiwali się już wszyscy przy stole, co było dla mnie przykre.

– Takie piękne oczy nie mogą kłamać – powiedziałem, aby nadać rozmowie inny kierunek, ale udaremnił to William, ten głupek.

– Dusza kapitana nie może znaleźć spokoju – wyjaśnił głośno. – Woła o pomstę!

To podobało się ludziom. W mig połowa tawerny tłoczyła się przy naszym stole i piła moje wino.

– Przecież to triera hrabiny z Otranto.

Zamówiłem ponownie dzban.

– Tę kobietę łączy pakt z Belzebubem.

– Mówię to samo! – zawołała Ingolinda i z drzeniem przytuliła się do Williama. – Hrabina może sama jest diabłem!

Ta zabobonna gadanina stała się dla mnie zbyt głupia. Nie należy takich bzdur słuchać, bo łatwo w nie uwierzyć. Rzuciłem kilka monet na stół jako zapłatę za wino i opuściłem tawernę.

Niedaleko spoczywała triera całkiem cicha, żaden Guiscard nie kuśtykał obok niej, tylko wanty pojękiwały lekko, kiedy liny napinały się na słupkach cumowniczych.

Nie miałem najmniejszej ochoty wracać do swojej kwatery. Mógłbym się przyjrzeć, jak wyglądały sprawy wokół siedziby templariuszy, ale w tym celu musiałbym się wspinać stromą uliczką. Postanowiłem więc dokonać przeglądu innej części basenu portowego, tej gdzie za kwaterami Pizańczyków znajdowały się tereny Genui. Stróżowanie przejęli joannici, których obronny zamek górował nad starym miastem.

Powlokłem się wzdłuż nabrzeża. Ta część nie była wcale tak ożywiona jak leżąca naprzeciwko wejścia do portu. Im szedłem dalej, tym robiło się ciemniej, tu i tam płonęły jeszcze niewielkie ogniska, przy których grzały się tanie, niechlujne stare kobiety, w bramach i pod arkadami wałęsały się nie budzące zaufania indywidua.

I wtedy usłyszałem: stuk, stuk, stuk, stuk, jakby szedł ktoś o lasce. Jednonogi!

Stuk, stuk.

Zrobiło mi się nieprzyjemnie, toteż upewniłem się, sięgnąwszy do głowicy miecza, że nie muszę nie uzbrojony stanąć naprzeciwko złego upiora. Byłem przy tym bardzo ciekawy.

Stuk, stuk, stuk... Ruszyłem za tym odgłosem. Przez sklepiony korytarz dotarłem do tylnego dziedzińca magazynów, dalej na tyłach chyba się paliło, sądząc po nienaturalnie jasnym blasku. Nagle się przestraszyłem – na przeciwległej ścianie pojawił się cień człowieka z drewnianą nogą. Cień powoli prześlizgnął się po fasadzie i znikł za rogami. Także stukot zupełnie ustał, usłyszałem za to wyraźnie trzask ognia. Magazyn stał w płomieniach.

Pomyślałem o rozmowie między mistrzami zakonów, o tym „małym ogniu”, i zdziwiłem się, że jak okiem sięgnąć żaden joannita nie spieszy do gaszenia pożaru. Podeszedłem bliżej i z przerażenia serce podeszło mi do gardła.

Do drewnianej bramy magazynu przybite były trzy ciała, ludźmi nie można było już ich nazwać. Wisiały rozkraczone, głowami w dół, jak zaszlachtowane bydłeta, rozszczepione od krocza po szyję; wnętrzności wypłynęły na zewnątrz, nie zakryły jednak rozwartych gąb, w które rzeźnicy wetknęli genitalia zaszlachtowanych. Byli to chyba Grecy, sądząc po wysoko podciągniętych pludrach.

Cypryjska krwawa zemsta! – przemknęło mi przez głowę. Dlatego na miejscu nie było żadnych świadków, płonął ogień i nikt go nie gasił. Porachunki między tubylcami! Nie mieszać się! Po prostu wynieść się stąd co rychlej!

Wyciągnąłem miecz, co może było błędem, i z bijącym sercem ruszyłem z powrotem przez sklepioną bramę, oczekując w każdej chwili, że z ciemności ktoś na mnie wyskoczy.

Na nabrzeżu było nienaturalnie cicho i pusto, ani śladu ladacznicy, rzeźmieszków, nie mówiąc o pijanych marynarzach i patrolujących rycerzach zakonu.

Spieszyłem wzdłuż zacumowanych statków, póki w pobliżu tawerny „Pod Pięknym Widokiem” nie zobaczyłem zataczających się po ulicy marynarzy, skrzeczących dziewczek i podtrzymujących się nawzajem przy rzyganiu pijaków. Chętnie zanurzyłem się w tę atmosferę, choć nie zamierzałem wstępować jeszcze raz do tawerny i opowiadać, co mi się przydarzyło. I tak nikt by mi nie uwierzył.

Koniec końców porzuciłem jednak mój dobry zamiar: wszedłem, by wypić jeden jedyny dzban. Ingolinda znikła, William spał z głową na blacie stołu.

W podobnym stanie znaleźli mnie rano dwaj moi rycerze. Ponieważ odurzenie już odespałem, a poty dobrze mi zrobiły, udałem się od razu na wzgórze, odświeżywszy tylko twarz w jakiejś studni po drodze.

Pierścień oblężenia wokół siedziby templariuszy wcale się nie przerzedził. Przyłączali się do niego wielcy panowie z Francji podburzeni przez hrabiego Sarrebruck, oburzeni, że arogancy templariusze tak bezczelnie opierają się tutaj królowi. W szeregi oblegających włączali się również duchowni. Od dawna zazdrościli rycerzom Świątyni bezceremonialności, z jaką stawiali czoło każdej kościelnej hierarchii i przyjmowali wskazówki bezpośrednio i osobiście tylko od papieża, jeśli w ogóle od kogokolwiek na świecie.

Kapłani dwoili się i troili, nowi ciężkozbrojni jeźdźcy napływali strumieniem. Od dawna nie była to już próba sił między joannitami a ich rywalami ze Świątyni, rodził się nastrój pogromu, pospólstwo wznosiło prowokacyjne okrzyki przeciw kacerzom i antychrystom i zachowywało się tak, jakby chodziło o szturmowanie pogańskiego miasta.

Większość jednak uczestników oblężenia przybyła tylko dlatego, że w Limassol nic ciekawego się nie działo i rycerzom było nudno na kołyszących się w porcie statkach i w ciasnych kwaterach. Tutaj mogli na rycerzach Świątyni wyrzucić swoją złość. Poleciały pierwsze kamienie.

Hrabina wraz z dwórkami opuściła pokoje na piętrze, których okna nie były niczym chronione, i zeszła do niżej położonych sklepionych pomieszczeń. Kazała sprowadzić z dziedzińca dzieci, które właśnie objaśniały zdumionemu Mahmudowi, jak wielkie były kamienne kule, które ciskano na Montségur.

– Wtedy jeszcze byliśmy mali – powiedziała Jeza i zarzuciła na ramię łuk. Strzały zabrał jej Gawin, gdy została przyłapana na mierzeniu z łuku przez jeden z otworów strzelniczych.

Brama wciąż jeszcze stała otworem. Wielki mistrz zabronił ją zamykać bez względu na to, co się zdarzy.

Rosz, niepostrzeżenie dla hrabiny, ale również dla Jezy, szarpnął Madulajn za spódnicę. Odciągnął Saracenkę na bok, płonąć dumą z powodu powierzonego mu tajnego zadania. Słuchała z drwiącym niedowierzaniem, gdy opowiadał o uwięzionym rycerzu, który pragnie z nią mówić, ale w końcu dała się poprowadzić do wieży.

Gawin zaostriął środki bezpieczeństwa i przeniósł Czerwonego Sokoła do izby bez okien. Jedyne dojście prowadziło przez drzwi z żelaznej kraty, do których klucz komandor nosił przy sobie.

Rosz z tajemniczą miną zaprowadził tam Saracenkę i teraz Madulajn i Konstancjusz stali naprzeciwko siebie, oddzieleni jedynie plecionką z grubych na palec żelaznych prętów. Nie padło jeszcze ani słowo. Patrzyli na siebie niczym dwie czarne pantery na wolności, nie zważając na kratę. Wreszcie Madulajn powiedziała:

– Rosz, musisz wrócić. Jeśli hrabina zacznie cię szukać, może spostrzec, że mnie nie ma!

Rosz poczuł się dotknięty i był też chyba zazdrosny, że zostaje wyłączony z przygotowania wielkich czynów.

– Nie chcesz przecież pokrzyżować nam planów – zaapelował Czerwony Sokół do rycerskiego honoru chłopca.

Rosz wybiegł z wieży. Czerwony Sokół roześmiał się, pokazując mocne zęby drapieżnika, nie tracił jednak czasu.

– Wy, pani, jesteście Madulajn? – spytał, jakby musiał się o tym upewnić. – Jestem Fassr ad-Din Oktaj, syn wielkiego wezyra, rycerz cesarza i strażnik królewskich dzieci!

– Dużo naraz – zażartowała Madulajn – z kim mam teraz przyjemność?

– Wybierzcie sobie! Najpilniejsze zadanie to...

– Ucieczka dzieci – dokończyła Madulajn.

Czerwony Sokół przystąpił do rzeczy.

– Na odległość trzech rzutów kamieniem od skrzyżowania dróg na wschód od Episkopi znajduje się cypryjska łódź rybacka. Rybacy są zdrajcami, w przeciwnym wypadku nie znalazłbym się tutaj, ale czekają, spodziewają się bowiem dostać ode mnie więcej złota, niż przyniosła im judaszowa zapłata otrzymana od templariuszy. Zabiorą nas z wyspy, jeśli dotrzemy tam razem z dziećmi. To pierwsze zadanie, natomiast drugie jest następujące: żadnej łodzi nie uda się odpłynąć z wyspy niepostrzeżenie dla obserwatorów z latarni morskiej na przylądku Gata. Trzeba więc odwrócić ich uwagę, skierować prześladowców na fałszywy trop.

– Za pierwszą część planu ręczę sama, częścią drugą zajmie się mój mąż. – Madulajn przez chwilę napawała się osłupiałym wyrazem twarzy Czerwonego Sokoła. – Mój małżonek jest kapitanem triery...

– Aha... wobec tego poproście go, żeby zechciał niezwłocznie przerwać ofiarę całopalną za swego poprzednika.

– Nie wiem, o czym mówicie! – odparła Madulajn, rozgniewana górnolotnym sposobem wyrażania się więźnia.

– Ale on będzie wiedział – stwierdził Czerwony Sokół spokojnie. – Pan komandor jest wściekły z powodu ognia w dzielnicy joannitów, za co winą obarczy się z pewnością templariuszy, i jest nadzwyczaj zatroskany, bo może wyjść na jaw, iż trzej zaszlachtowani Grecy byli ludźmi Anioła z Karos, który tchórzliwie powiesił poprzedniego kapitana triery.

– Dobrze tak temu wieprzowi z Karos! – zawołała Madulajn. – Mnie także chciał ten...

– Należy, i to od zaraz, unikać wszelkiego rozgłosu wokół triery! – przerwał jej Czerwony Sokół. – Jeśli każdy zechce najpierw załatwić swoje porachunki, możemy zapomnieć o naszym planie! Wtedy jak gdaczące kury w kurniku sami będziemy sobie winni, jeśli wybiorą nam jajka z gniazda!

– Zrozumiałam, panie kogucie – powiedziała Madulajn – złote kurczęta wymkną się i znajdą w bezpiecznym miejscu!

Roześmiała mu się zuchwale prosto w twarz i odeszła.

W obszernej kuchni zaniepokojona Laurencja próbowała wydobyć z komandora templariuszy jakiś pomysł na wyjście z sytuacji. Nie miał żadnego i już chciał wyjść, zwłaszcza że pokojowe naprzykrzały mu się pytaniami. Wtedy jednak poprosiły o głos Madulajn i Szirat, które gwałtownie gestykulując i śmiejąc się, jakby sytuacja nie była poważna, rozmawiały po arabsku.

Madulajn oznajmiła dumnie:

– Mamy pewien pomysł. Gdzie są zebracze dzieci, które do niedawna całą gromadą wbiegały przez bramę, aby podkraść zapasy i prosić o jałmużnę? – Z wyraźnym wyrzutem zwróciła się do komandora, który nie zrozumiał, o co jej chodzi, odparł gniewnie:

– Nie chcemy, aby ta hołota plątała się nam teraz pod nogami. Dlatego kazałem wszystko przenieść z dziedzińca tutaj – wskazał spiętrzone skrzynie i worki.

– Ta hołota jest naszym ratunkiem! – wykrzyknęła śmiało Madulajn. – Każcie umieścić nęcące smakołyki z powrotem na dziedzińcu. Trzeba, żeby figi, orzechy i daktyle można było dojrzeć z ulicy przez otwartą bramę. Niech wrócą tutaj miłe myszki!

– Jakże piękny obraz! – zakpił Gawin, ale Saracenka nie dała się zbić z tropu.

– Dołożymy do łakoci wszystkie tanie ozdoby i błyskotki, których nie potrzebujemy...

– Po co? – spytała hrabina.

– Ponieważ wtedy będzie *karr wa farr*^{*}, fala zebrzących dzieci uderzy na posterunki i nikomu nie rzuci się w oczy... – tu zniżyła głos i wyszeptwała coś Laurencji do ucha.

Laurencja ściągnęła pierścień z palca i wzruszona chciała go ofiarować Madulajn, lecz Saracenka położyła go obojętnie na kuchennym stole i powiedziała:

– Hrabina daje nam przykład!

Wtedy wszystkie kobiety zaczęły się pozbywać łańcuchów i bransoletek. Gawin potrząsnął głową i wydał kucharzom polecenie, aby znowu ustawili wszystko na podwórzu.

– Zachęcająco jak ser dla myszy!

W skrytości ducha podziwiał Madulajn i wychodząc rzekł cicho do Laurencji:

– Ta dziewczyna nie zestarzeje się u was w służbie. Ani nie jest urodzona na służebną, ani jako taka nie skończy!

Hrabina uśmiechnęła się złośliwie, Klarion zaś, która pewne siebie wystąpienie Madulajn zniosła z zaciśniętymi ustami, przejęła teraz przysługujące jej kierownictwo.

– Ja wyjdę z domu najpierw w towarzystwie obu moich pokojowych – zapowiedziała w przekonaniu, że wszystko należycie zrozumiała.

Uśmiechając się z pobłażaniem, Madulajn chciała jeszcze coś szepnąć Szirat, ale Klarion przerwała jej rozkazująco:

– Przygotujcie moje suknie!

Na tryrze nie działo się nic. Wioślarze-kosynierzy ustawili skrzyżowane wiosła tak, że jak maszty namiotowe podtrzymywały żaglowe płótno, aby ich samych i wioślarzy niższych rzędów chronić przed promieniami słońca.

Prażący popołudniowy skwar kładł się ciężarem na pokładzie, kilku Maurów dla ochłody wskoczyło do basenu portowego.

W kajucie Hamo i Firuz pochylali się nad niskim stołem, a William za pomocą szkicu objaśniał im mechanizm, dzięki któremu można było poradzić sobie z łańcuchem zamykającym wyjście z portu.

– Wciągarka do podnoszenia i opuszczania łańcucha – mówił minorityta – znajduje się po tej stronie, gdzie jest latarnia morska. Po drugiej stronie łańcuch jest mocno wpuszczony w mur, tu zaś przebiega tylko przez żelazny pierścień. Wciągarka to niedawny pomysł francuskiego inżyniera, aby nie trzeba było za każdym razem podciągać łańcucha ręcznie. A więc gdzieś hak łączy łańcuch portowy z łańcuchem wciągarki. Hak jest otwarty, ponieważ w pośpiechu nie skuto obu końców. W tym miejscu trzeba łańcuch wciągarki odłączyć i zamiast niego przyczepić nasz łańcuch kotwiczny, który potem pobiegnie przez pierścień i będzie napięty przez tryrę, póki nie ruszymy do wyjścia z portu.

William był zmęczony wykładem, któremu tamci dwaj przysłuchiwali się jak urzeczeni. Mnich oczywiście nie powiedział, że ta skomplikowana operacja nie została wymyślona przez

* *Karr wa farr* (arab.) – bezładna bieganina.

niego, lecz przez dzieci; zwłaszcza mały gruby Mahmud wykazywał zdumiewające zdolności techniczne. Franciszkanin musiał się swego wykładu nauczyć na pamięć pod surową kontrolą dzieci.

W końcu Hamo spytał:

– Jak mamy utrzymać ciężar łańcucha przy odczepianiu go z haka? Wiem, ile takie bydlę waży!

– Nie umiem niestety pływać tak jak wy, panie hrabio – ubolewał Firuz – dlatego daję wam wszystkich Maurów, którzy są doświadczonymi poławiaczami koralu, przyzwyczajonymi do ciężkiej pracy pod wodą.

Jednak Hamo nie był jeszcze przekonany.

– Jak mamy tam dotrzeć w jasny dzień, wprost do stóp strażników? Każdy nas zobaczy i zakłuje jak żabę.

Minoryta miał i na to odpowiedź.

– Po pierwsze, pomalujecie sobie ciała na kolor mułu portowego; po drugie, przed zachodem słońce będzie stać tak nisko, że tamtych oślepi; po trzecie zaś, Firuz musi odciągnąć uwagę straży. Pęcherz powietrza pod wywróconą, płynącą dnem do góry łodzią pozwoli nurkom od czasu do czasu zaczerpnąć tchu, a wy, Hamonie, dzięki temu możecie przepłynąć niepostrzeżenie na miejsce akcji i z powrotem. Pozostawcie to tylko troszeczek waszego flamandzkiego chytrusa!

– A co zrobimy z luźnym końcem łańcucha wciągarki? – zapytał jeszcze Hamo.

Mnich tupnął nogą.

– Pozostanie luźny! – oświadczył. – Jeśli straż odkryją go przedwcześnie, to znaczy, że mieliśmy pecha!

Gawin Montbard z Béthune, komandor templariuszy, otworzył kratę zamykającą pomieszczenie w wieży. Uśmiechnął się trochę krzywo.

– Muszę was wyrzucić za drzwi, Czerwony Sokole – zażartował kwaśno. – Świątynia będzie wam wdzięczna, jeśli jak najprędzej pożegłujecie z powrotem do sułtana, w dodatku zabierając wszystkie dzieci, zarówno „królewskie”, jak i waszego przyjaciela Bajbarsa. Statek macie już przecież zwerbowany. Mam nadzieję, że ci zawodni Cypryjczycy czekają wciąż jeszcze na złoty połów, jakiego sobie po was obiecują.

– Wiem, że na mnie czekają – odparł pewny siebie Czerwony Sokół.

– W piastunkę musicie się sami zabawić – dodał Gawin – hrabina nie może być pozbawiona na trzeźwo żadnej ze swych dam.

– To przykre, ale do zniesienia wobec niespodziewanej wolności!

– Nie zwróciłbym wam jej, jak się chyba domyślacie, ale kapituła zakonu postanowiła inaczej.

– Nie martwcie się tym, Gawinie – powiedział uwolniony Konstancjusz. – Idźcie teraz przodem i wytłumaczcie to wszystko pani hrabinie.

– Szlachetny książę Konstancjusz z Selinuntu – przedstawił Gawin hrabinie Laurencji nową sytuację – jest gotów tajnym statkiem, właściwie niepozorną łodzią rybacką przewieźć królewskie dzieci w bezpieczne miejsce. Jednak przedtem wy, pani, opuście wraz z waszą trierą port!

Przez mgnienie oka napawał się, jak się zdawało, jej zaskoczeniem, nim podjął wątek.

– Nie tyle mi zależy, Laurencjo, na waszym udanym wyrwaniu się z portu, ile na tym, żebyście odciągnęli uwagę wszystkich od uciekającej łodzi rybackiej! Tylko dzięki waszej ucieczce i wypłynięciu wielu statków w pościgu za trierą może się powieść nasz plan.

– Co? – Hrabina podniosła się. – Mam wyruszyć bez dzieci?

– Tak! – Gawin pozostał niewzruszony.

Jeśli hrabina myślała, że komandor templariuszy żartuje, to grubo się myliła.

– Wy, tak zdecydował łaskawy los, ruszycie w szeroki świat zabierając ze sobą swego syna i dziedzica Hamona l'Estrange oraz wychowanicę Klarion z Salentynty. I żebym nie zapomniał: mnicha również! Życzę wam wiele szczęścia!

– Jeśli mnie macie na myśli – odezwał się wchodzący akurat William – to bardzo chcę być użyteczny przy ucieczce dzieci, ale na trierę nie zaciągnie mnie nikt nawet w dziesięć koni, raczej oddam się do dyspozycji króla Ludwika!

– Idź do diabła! – oświadczył templariusz, ale William już opuścił kuchnię, wszedł natomiast Czerwony Sokół.

Klarion nie powiedziała ani słowa. Widziała, jak Laurencja cierpi.

Gawin zwrócił się do Czerwonego Sokoła, na którym uwiesiły się dzieci.

– Tutaj są pieniądze, które mieliście przy sobie, drogi emirze – stwierdził chłodno – a tutaj wasz miecz i sztylet. Tym samym Świątynia nie jest już wam nic dłużna, natomiast wy jesteście jej teraz coś dłużni: zniknijcie jak najszybciej, drogi Konstancjuszu. – Gawin stał się miłszy. – *Pacta sunt servanda!** – Z tymi słowami wyszedł z kuchni.

– Czerwony Sokole, nie opuszczaj nas! – zawołała Jeza i rzuciła się emirowi na szyję.

Konstancjusz pogłaskał ją po głowie.

– Musisz ufarbować włosy – powiedział. – Twoje oczy jeszcze jakoś ujdą, ale nie ta lniana czupryna!

Jeśli myślał, że Jeza wybuchnie płaczem, to bardzo się mylił.

– Wspaniale! Henną! – zawołała spoglądając na ognistą burzę włosów hrabiny.

– Nie – rzekł Konstancjusz. – Kolor czarny jest pewniejszy!

Kobiety, w towarzystwie zaciekawionego Mahmuda, poprowadziły Jezę do umywalni.

* *Pacta sunt servanda!* (łac.) – umów należy dotrzymać!

– Madulajn – zwrócił się Czerwony Sokół do Saracenki, która stała z boku, nie uczestnicząc w ogólnym zamieszaniu – chciałbym was, pani, prosić o zanieśenie tych pieniędzy i listu rybakom, abyśmy byli pewni, że o oznaczonej godzinie łódź będzie gotowa do wypłynięcia. Powierzam wam tę ważną misję i jestem pewien – skłonił się przed Klarion z kpiącym uśmiechem, którego tak nienawidziła – że księżna Salentyny obejdzie się bez was.

Klarion odrzuciła głowę do tyłu i nie powiedziała nic. Madulajn zawiązała sobie chustkę na głowie, wetknęła pieniądze i list w zanadrze, wzięła jeden z pustych koszy i wyszła.

Wkrótce potem wystrojona przez Szirat Klarion również opuściła siedzibę templariuszy; „uzbrojona” w kosze służebna szła dwa kroki za nią. Nikt ich nie zatrzymał. Ruszyły w kierunku bazaru.

Jakby chcąc zjednać sobie mamelucką dziewczynę, Klarion obsypała ją różnorodnymi łakociami, ale wybrała także dużo pożytecznych prowiantów. W końcu było tego tak wiele, że sama musiała przyłożyć ręki do dźwigania koszy.

Z diariusza Jana ze Joinville

Limassol, 27 września A.D. 1248

Gdy patrzyłem z okna tawerny, statki w porcie u moich stóp wyglądały niczym perły nanizane na sznur. Opróżniłem już drugi dzban, a moje spojrzenie wciąż jeszcze było jasne. Wokół triery zażywali kąpiele Maurowie. Z podciągniętymi nogami skakali do wody, rozpryskując ją dokoła. I nagle zobaczyłem, jak od triery odbija mała łódź wiosłowa, którą płynie Guiscard, Amalfitańczyk, ten z drewnianą nogą!

Czyżbym był pijany? Przecież to nie mógł być Guiscard, miałem chyba zwidy. Przetarłem oczy... Guiscard nie zniknął.

Stał w łodzi wyprostowany i posługiwał się jedynym wiosłem także jako sterem. Nie szłoby mu wcale źle, gdyby nie próbował za pomocą zawieszzonego na kijku wężycza złowić czegoś na kolację. Wiele razy omal nie przewrócił się na twarz, łódź kołysała się i tańczyła po basenie portowym jak kawałek korka, aż znalazła się prawie przy zewnętrznym nabrzeżu, na którym joannici dziś w południe objęli wachtę. Śmiali się z daremnych wysiłków jednonogiego, próbującego utrzymać równowagę i jednocześnie posłużyć się jeszcze siecią. Nie złapał dotąd ani jednej makreli, lina czy choćby ciernika.

Dlaczego śmiech nie zamarł im na ustach?! Tam łowił przecież duch, duch powieszony! Jasne, że mu nic nie mogło wpaść do sieci. Co ma robić nieboszczyk z rybami?! Jednak teraz linka drgnęła, widmowy rybak wychylił się mocno do przodu i szarpnął z całej siły. Wtedy łódź przewróciła się, a on wpadł do wody. Wesołość radujących się z cudzego nieszczęścia strażników nie miała granic, zwłaszcza gdy pechowiec próbował

wdrapać się na łódź, która do góry dnem kołysała się na falach. Biednemu truposzowi z drewnianą nogą było oczywiście ciężko znaleźć jakiś punkt zaczepienia na śliskiej łodzi, a jednak jakoś się zahaczył i podciągnął w górę. Potem złapał swoją sieć, która była naturalnie pusta, i niewzruszony zaczął ją znowu zarzucać. Już przedtem utrzymywał równowagę z trudem, teraz zaś w każdej chwili mógł ponownie wpaść do wody.

Żołnierze obrzucali kalekę drwinami. Cisnęli mu kilka martwych ryb, z których jedna, płynąc po wodzie brzuchem do góry, wpadła do wężerza. Rybak, jak się zdawało, poczuł się głęboko urażony. Przestał łowić, przyciągnął do siebie wiosło i na przewróconej nadal łodzi popłynął z powrotem w kierunku triery, gdzie go przyjęto radosnymi okrzykami.

Maurowie byli chyba także pijani, skoro nie pojmowali absurdalności sytuacji: od dawna mieli przecież nowego kapitana. Firuz powinien teraz podziękować za służbę, jeśli jego poprzednik znów wychodzi z morza. Kilku jeszcze Maurów wskoczyło na powitanie do wody, jakby nie znali większej przyjemności, niż zanurzyć się w tej cuchnącej zupie. Głupcy! O wiele lepiej było siedzieć w tawernie i popijać wino.

Byłem już tak dalece zamroczony, że śmiałem się z Maurów, którzy dali się zwieść zjawie, gdy tymczasem ja dobrze wiedziałem, że nie ma żadnego Guiscarda, ponieważ nie może go być.

Po tej uciesznej halucynacji nudził mnie popołudniowy, leniwy ruch w porcie tak bardzo, że zamówiłem jeszcze jeden dzban.

Z pokładu triery zszedł Hamo, syn hrabiny, i skierował się ku tawernie. Lubiłem go. Nie miał, jak się zdawało, żadnych planów, więc zaprosiłem go, żeby mi dotrzymał towarzystwa przy picciu. Odmówił, ale przysiadł się do mnie i patrzył przed siebie w zamyśleniu jak człowiek, który stoi przed trudną decyzją. Nie nalegałem na rozmowę, zwłaszcza że teraz opuścił statek nowy kapitan, małowówny Firuz. Nie chciałem przy stole gościć jeszcze jednego milczka i to wydało się słuszne także Hamonowi, gdyż nie przywołał Firuza, lecz pozwolił mu wspinać się w górę uliczką, która obok tawerny „Pod Pięknym Widokiem” prowadziła do siedziby templariuszy.

Jako chętny kompan do picia zaoferował się nagle Leonard di Peixa-Rollo, marszałek joannitów. Zabrał się zaraz do mego dzbana i nalał sobie, ledwie zdążyłem go zaprosić. Hamonowi skinął tylko głową, chyba się obaj nie znali.

– Wyobraźcie sobie, seneszalu – postarał mi się odplacić za wino – dowiedzieliśmy się, że templariusze ukryli również szpiega sułtańskiego z Kairu, zamiast przekazać go konetablowi królewskiemu i szubienicy.

– To ciężki zarzut – oświadczyłem z możliwie największym oburzeniem – ale jak zamierzacie, marszałku, dostarczyć dowodu, jeśli nie zezwolono wam na dochodzenie?

– Teraz możemy je wymusić – zwierzył mi się – ponieważ król może nie chcieć nic wiedzieć o hrabinie i jej kacerskich dzieciach, ale wobec jawnego wypadku zdrady stanu nie będzie mógł zamknąć oczu!

– To wszystko hipoteza, jak długo nie przedstawię dowodu!

– Dostarczymy żywy dowód, gdyż wiemy, że szpieg przygotowuje ucieczkę z wyspy. Złapiemy go, gdy opuści siedzibę templariuszy!

– Wobec tego na waszym miejscu, marszałku, udałbym się tam, gdzie zamierzacie znaleźć prawdę, w przeciwnym razie doznacie bolesnego zawodu!

Rzuciłem gospodarzowi pieniądze.

– Mogę wam zaproponować swoje towarzystwo – powiedziałem.

Chciałem wstać, poczułem jednak, że moje nogi stały się nagle ciężkie jak ołów. Musiałem chyba przez chwilę chwiać się porządnie, gdyż Hamo zerwał się z ławy i podtrzymał mnie skwapliwie. Wzięli mnie z marszałkiem pomiędzy siebie.

Chociaż to wcale nie było konieczne, pomagali mi przy wspinaniu się stromą uliczką i ciągnęli w górę, otoczywszy ramionami, jak to czynią dobrzy przyjaciele.

Gdy dotarliśmy na plac przed siedzibą templariuszy, byłem już zresztą tak wyczerpany, że postanowiłem usiąść. Dostrzegłem jakąś skrzynię i opuściłem się na nią, przy czym marszałek wsparł mnie ramieniem. Kiedy się odwróciliśmy, zobaczyliśmy, że Hamo zbliża się już do bramy.

– Kim jest ten młody człowiek?

– To Hamo l’Estrange, syn hrabiny – odparłem nie bez przyjemności.

– *Che fijo di bona domna!** – zaklął marszałek i przez chwilę obawiałem się, że podniesie na mnie rękę. – Głupi opoje! – natarł zamiast tego na kilku oberwańców, którzy rzucali kamieniami przez otwartą bramę lub ponad dachami. – Nikczemna zgraja! – wyzywał i na podkreślenie swych słów grzmocił biedaków płazem miecza.

Potem rozkazał, by naprzeciwko portyku zajęli miejsce wyłącznie żołnierze zakonu z białym krzyżem na czerwonych tunikach narzuconych na pancerz. Wszystkich innych, którzy nie byli joannitami, odsunął na boki albo do drugiego rzędu. Mnie pozostawiono w spokoju.

Siedziałem wśród oblegających, którzy jak okiem sięgnąć otaczali dookoła posiadłość, ale chyba naprawdę nie wiedzieli, co tutaj robią. Na wysuniętym skrzydle zobaczyłem porzecz kuzyna i miałem nadzieję, że Jan nie ruszy się stamtąd i nie dostrzeże mnie w tym pożałowania godnym stanie.

Przez otwartą bramę widziałem dziedziniec aż po pomieszczenia gospodarcze, gdzie zmagazynowano chyba bez nadzoru różnorakie pyszne rzeczy, ponieważ żebrzące dzieci, dotychczas zajęte ciskaniem kamieni, zgromadziły się teraz pod portykiem i gapiły na worki i skrzynie, które kucharze zostawili ot, tak po prostu na dziedzińcu. Do pokonania była tylko linia straży zaraz za bramą. Wartownicy stali rozkraczeni, oparci na mieczach.

* *Che fijo di bona domna!* (stwą. wulg.) – co za skurwysyn!

Napór dzieci – napływały chyba z całego miasta – stawał się coraz mocniejszy. Pożądanie pchało je do czynu, ale powstrzymywała bojaźń. Nikt nie miał odwagi ruszyć pierwszy. Nagle z wielu gardeł wydobył się jeden okrzyk, gromada przewyciężyła strach i rzuciła się w kierunku żołnierzy. Pierwsze rzędy na czworakach przemknęły między nogami strażników.

Coraz więcej dzieci tłoczyło się w bramie, przepychało obok wartowników, którym teraz inni żołnierze pospieszyli z pomocą i tępymi końcami włóczni odpychali najbardziej zuchwałych.

Odniosłem wrażenie, że zabroniono im wszelkiej przemocy. Zważali tylko na to, by nikt z dorosłych nie wmieszał się między zgraję wyrostków i dzieci. Już wypływali pierwsi obladowani zdobyczą, gdy tymczasem inni wciskali się jeszcze na dziedziniec. Wybiegające dzieci przekraczały także łańcuch posterunków joannickich, aby napelnione tobołki jak najszybciej umieścić w bezpiecznym miejscu. Przysadzisty sierżant podszedł do umorusanej dziewczynki, która przyciskała do piersi torbę lepkich daktyli.

– Hej, mała! – zawołał. – Daj mi troszeczkę!

Dziewczynka patrzyła na niego trwożnie i tylko mocniej przyciskała do siebie zdobyte owoce.

– Stój! – zawołał teraz sierżant po arabsku, bo większość dzieci mówiła tym językiem, i rozgniewany chciał małą zatrzymać, ale wtedy zjawił się przed nim rezolutny chłopiec i dotknął palcem białego krzyża na jego pancerzu.

– Dlaczego nie nosisz tego na helmie? – spytał obłudnie.

Żołnierz popatrzył na niego zbity z pantaląku, zwłaszcza że chłopiec podsunął mu od razu odpowiedź:

– Bo wtedy każdy wzięłby to od razu za rogi, które twoja mama przyprawiła twojemu...

Nie skończył, bowiem sierżant zamierzył się na niego, ale chłopak znalazł się w mig poza zasięgiem ciosu, a gdy żołnierz odwrócił się za szczupłą dziewczynką z szarozielonymi oczyma, już jej nie znalazł. Oboje przebiegli koło mnie.

Wkrótce potem templariusze przepędzili żebrzące dzieci z dziedzińca, a komandor, Gawin Montbard z Béthune, wyszedł przed bramę. Stał tam i z kpiącym uśmiechem przyglądał się oblegającym.

Za nim rozległy się przekleństwa i tuż potem strażnicy wypędzili siwobrodego starca; ukrył on w swoim kubraku kilka orzechów, które teraz upadły na ziemię. Templariusze nie pozwolili mu ich pozbierać. Stary musiał się chyba jakoś wślizgnąć na dziedziniec razem z dziećmi.

Marszałek joannitów chwycił starca za brodę i popatrzył mu głęboko w oczy, nim puścił wolno, płazując z wściekłością. Stary skulił się pod razami i pobiegł przed siebie. Pan Gawin nie zaszczycił tego brutalnego wystąpienia żadnym spojrzeniem.

Madulajn zostawiła za sobą wioskę rybacką Episkopi i dążyła brzegiem morza do małej zatoki, gdzie powinna znajdować się łódź. Dotarła do kopca zboża i popatrzyła w dół ku plaży.

Znajdował się tam istotnie zagłowiec, do połowy wyciągnięty na brzeg. Rybacy przycupnęli w cieniu łodzi i grali w kości.

Nie wyglądali na osoby budzące zaufanie, ale Madulajn podeszła odważnie. Wręczyła szyprowi pismo, wyciągnięte uprzednio z zanadrza.

Rybacy zerwali się na równe nogi, ale Madulajn zauważyła z ulgą, że nie spoglądają na nią tak, jakby już zdjęła suknię.

– A pieniądze? – spytał szyper, gdy przebiegł oczyma pismo.

Madulajn trzymała mieszek przygotowany za plecami. Wyciągnęła go teraz przed siebie. Szyper złapał ją za ręce. Próbowała się uwolnić, jednak trzymał ją jak w kleszczach. Zawołał coś do towarzyszy, którzy sprawnie owinęli jej linę wokół kostek.

Dziewczyna przewróciła się, zrozpaczona biła rękoma na oślep, ale kiedy związano jej także ręce, zaprzestała oporu. Pozwoliła się zaciągnąć pod ścianę łodzi i w niemej furii siedziała tam na piasku ze ściśniętymi kolanami.

Nie skierowano do niej już ani słowa. Rybacy rozmawiali między sobą chyba po grecku, bo nic nie rozumiała, i znowu podjęli grę w kości.

Czerwony Sokół, hrabina i kapitan Firuz w milczeniu wysłuchali pospiesznej relacji Hamona.

– Zdrajcy, jak się wydaje, są wszędzie! – Na Czerwonym Sokole nowe niebezpieczeństwo nie wywarło, jak było widać, szczególnego wrażenia.

– Jednak tylko waszej osobie, Konstancjuszu, chcę powierzyć dobro dzieci – odezwała się hrabina. – Kto inaczej zagwarantuje mi, że w obcych krajach znajdą należną opiekę? Musicie – popatrzyła niespodziewanie na swego kapitana – zamienić się z Firuzem!

Spostrzegła, jakie zdumienie wywołały jej słowa.

– Nie miejscem – dodała – lecz osobą, fizycznym wyglądem...

– A kto będzie dowodził trierą, akurat przy tym manewrze, najtrudniejszym, przed jakim, być może, kiedykolwiek staliście? – Firuz próbował uchylić się od tej propozycji, której sensu wciąż nie rozumiał, ale wtedy zabrał głos Hamo.

– Chcecie go znów widzieć jako „Guiscarda”, powtórzyć maskaradę, na którą wszyscy się nabrali?

– Nie po raz drugi! – bronił się daremnie kapitan.

– Ściągnijcie ubranie, Firuzie – ucięła hrabina – i dajcie je Czerwonemu Sokolowi.

Hamo poprowadził Firuzą do umywalni, aby mu pomóc przeobrazić się w Guiscarda, jedno nogiego Amalfitańczyka.

Czerwony Sokół ruszył za nimi, wciągnął spodnie i koszulę Firuza, co zrobił zresztą z wyraźną niechęcią. Zawiązał sobie nawet przepocony turban kapitana tak, jak ten miał zwyczaj go nosić, ze zwisającymi na kark szarfami. Przecież Firuz właśnie w tym stroju spotykał marszałka joannitów.

Tak ubrany pokazał się hrabinie, która obejrzała go krytycznie.

– Musicie się rozstać także z waszymi kosztownymi butami, Konstancjuszu!

Czerwony Sokół pozbył się obuwia z miękkiego safianu i wskoczył w ciężkie buty z cholewami zdjęte przez Firuza.

Laurencja wzięła nożyczki i obcięła Czerwonemu Sokołowi kilka kosmyków. Badawczym spojrzeniem obrzucając brodę prawdziwego Firuza i z odrobiną mastyksu* w dłoni zaczęła przyklejać sobowtórówi włosy na podbródku i pod nosem. Była to mistrzowska robota.

Jakże często w szalonych latach spędzonych na piractwie musiała przemieniać się w mężczyznę, aby sobie niepotrzebnie nie utrudniać życia wśród nieokrzesanych kompanów!

Przycisnęła nożyczkami ostatnie kępki włosów nad górną wargą Konstancjusza i odstąpiła krok do tyłu. Porównanie z oryginałem było zadowalające.

Firuz tymczasem przy pomocy Hamona podwiązał wysoko lewą nogę i wepchnął ją do nogawki spodni, potem przymocowali do kolana solidny kij, który mógł uchodzić za drewnianą nogę.

– Wy, Guiscardzie – poleciła hrabina – poczekacie z wyjściem, aż ja bezpiecznie przejdę oblegany plac i skrucę w uliczkę, gdzie Hamo z ludźmi z triery zapewni mi ochronę.

Było to niedwuznaczne żądanie, by syn się pospieszył.

– Zakładam, że Klarion z Salentyń wykonała powierzone jej zadanie i doprowadziła Szirat z dziećmi do rybackiej łodzi, a sama już znajduje się na trierze. A gdzież, u licha, podziewa się Madulajn? – spytała Czerwonego Sokoła, który stał teraz naprzeciwko niej jako Firuz. – Przyślijcie tę opieszalą dziewczynę natychmiast na trierę! – Laurencja wydawała nadal rozkazy, tak jak do tego przywykła.

Dla prawdziwego Firuza, wyglądającego obecnie jak Guiscard, uwaga hrabiny była niczym cios nożem w serce. Oznaczała bowiem, że jeśli Madulajn nie wróci na czas na trierę, hrabina nie czekając każe odbijać. Dla Klarion, pomyślał z goryczą, ryzykowałaby głowę, ale nie dla mojej żony, służebnej! Obleciał go strach.

Hrabina wepchnęła Czerwonego Sokoła z powrotem do kuchni i rozkazała donośnie:

– Firuzie, weźmiecie kosz, dwa worki i bele!

I gdy był już obładowany jak juczny osioł, a kucharze nie zauważyli nic podejrzanego, dała znak, by wyruszać.

* Mastyks – żywica z drzewa mastyksowego.

Z diariusza Jana ze Joinville

Limassol, 8 października A.D. 1248

Z mojego punktu obserwacyjnego miałem widok na dziedziniec siedziby templariuszy, aż po arkady, za którymi były chyba położone pomieszczenia kuchenne i gospodarcze, najpierw bowiem zobaczyłem kucharzy, którzy wyskoczyli i wypłoszyli ostatnie żebrzące dzieci, potem zaś wyszła na dziedziniec Laurencja z Belgrave, przygotowana do drogi, w otoczeniu niewiast i tragarzy.

Akurat w tym momencie minął posterunki joannitów i wjechał z turkotem w otwartą bramę wóz o nadzwyczaj podejrzanym wyglądzie. Gdybym nie widział – podobnie jak marszałek Leonard Peixa-Rollo i kilka osób o długich szyjach obok mnie – leżących w słomie dwu pękatyh amfor na oliwę, mógłbym się założyć, że chodzi o wędrowny pojazd rozkoszy.

Także jaskrawo wystrojona kobieta na koźle niezbyt przypominała wieśniaczkę. Rozpoznałem ją od razu, była to Ingolinda, ladacznicą z Metzu, a ponieważ obok niej tkwił stary znajomy, złażdaczony franciszkański mnich, moje podejrzenia jeszcze wzrosły. Jednak pan Peixa-Rollo nie mógł nic zakwestionować, zajrzał tylko do amfor. Obie były puste, pozwolił zatem wozowi przejechać. Nie zatrzymała pojazdu również straż templariuszy, więc wtoczył się na dziedziniec aż pod kuchnię.

Tylko hrabina wydawała się zagniewana z powodu opóźnienia jej wyjścia z siedziby rycerzy Świątyni. Byłem wprawdzie bardzo daleki od trzeźwości, ale udało mi się nieco wyostrzyć wzrok i dostrzegłem wyraźnie, jak wyładowano obie amfory i spiesznie wniesiono do wnętrza.

Przed bramą stał wciąż jeszcze z wyzywającą obojętnością pan Gawin Montbard z Béthune. Nie zwrócił uwagi na wóz, nie popatrzył za siebie, tylko mierzył oczyma stojącego naprzeciwko na posterunku marszałka joannitów.

Orszak hrabiny wreszcie ruszył. Pani Laurencja, otoczona przez kobiety, postępowała za tragarzami, którzy taszczyli jej mienie: skrzynie, paki i bele. Rozpoznałem kapitana Firuza, którego obładowała chyba całą zawartością swych szaf z garderobą, tak że biedakowi nie wystawał nawet koniec nosa.

W tym momencie usłyszałem, jak wrzeszczy mój kuzyn Jan, który stał na skrzydle łańcucha straży.

– Zatrzymajcie tę czarownicę! – próbował podburzyć własnych rycerzy. – To wiedźma, należy ją przekazać świętej inkwizycji!

Jednakże nie komandor templariuszy, lecz marszałek joannitów przywołał go do porządku. Ryknął wściekle:

– Tutaj ja wydaję rozkazy! – Wyciągnął nawet miecz z pochwy. – Hrabina Otranto ma glejt królewski!

Hrabia Sarrebruck nie był z tego powodu zadowolony.

– Ona może odejść, ale nie dzieci, ten kacerski pomiot! – odkrzyknął pełen nienawiści i naparł na zagradzających mu drogę joannitów.

– Nie widzę żadnych dzieci! – zawołał Peixa-Rollo z szyderstwem w głosie. – I obowiązuje mój rozkaz!

Hrabina u bramy podeszła do pana Gawina, gdy tymczasem orszak jej pokojowych i tragarzy zmierzał ku prowadzącej w dół do portu uliczce, na której rogu właśnie siedziałem.

Zerwałem się teraz na nogi, ażeby nic nie przeoczyć. Joannici badali tylko duże skrzynie, czy nikt się w nich nie ukrył, i grzebali w belach. Nie znaleźli nic i pozwolili przejść orszakowi.

– Nie mogę – powiedziała tymczasem donośnym głosem pani Laurencja prosto w twarz komandorowi templariuszy – podziękować za okazaną gościnę...

Jej głos wydał mi się nieprzyjemnie ostry, była chyba bardzo urażona, skoro tak słabo trzymała się w ryzach.

– ...jeśli bezbronne niewiasty wręcz wyrzucacie z waszej siedziby na łeb, na szyję...

Gawin nawet nie drgnął, patrzył na rozsierdzoną kobietę, jakby była ze szkła.

– ...i zmuszacie nas bezlitośnie, byśmy nocowały na gołych deskach statku, pośrodku portu, wystawione na oczy lubieżnego żołądactwa. Powinniście się wstydzić!

Podobnie nierozmowny jak komandor templariuszy wydawał mi się marszałek joannitów. Czy był to umówiony podstęp? Czy hrabina Otranto zamierzała wbrew wyraźnemu zakazowi króla uciec z wyspy swym statkiem? Powinien – dziś stróżowanie w porcie było obowiązkiem jego zakonu – eskortować hrabinę, aby takiemu krokowi zapobiec. Ale gdzie się podziewały dzieci? Musiały być jeszcze wewnątrz budynku. Najpewniej Leonard Peixa-Rollo stał tutaj właśnie, by to udowodnić. I tego przekłętogo szpiega także chciał w końcu złapać. Za hrabiną kuśtykał teraz – przetarłem moje zmęczone oczy, przekłete pijaństwo! – jej poprzedni kapitan, Guiscard, Amalfitańczyk z drewnianą nogą!

Wyszczrzył zęby, a ludzie, którzy z czystej ciekawości otoczyli hrabinę, cofnęli się gwałtownie.

– Diabeł! – szepnął ktoś, ktoś inny krzyknął: – Ona jest w przymierzu z diabłem!

Podniosłem się znowu i jakby łuski spadły mi z oczu. Poznałem, że to jest Firuz, udający Amalfitańczyka!

Jeśli ta „zjawa” chciała kogoś zbić z tropu, to w wypadku pana Peixa-Rollo udało się jej całkowicie. Marszałek joannitów nie znał wprawdzie jednonogiego kapitana, bo skąd, ale zbiło go z tropu ogólne wzburzenie. Nie wiedział już, co powinien zrobić, a czego zaniechać.

Ale czy obladowany Firuz, minawszy mnie, nie poszedł właśnie uliczką w dół? Byłem jednak pijany. A może to wszystko miało się okazać diabelskim mamidłem, nikczemnymi czarami?

I wtedy mój kuzyn Jan znowu podniósł krzyk:

– Zatrzymajcie wóz! Nie pozwólcie uciec kacerskim dzieciom! To rozkaz króla!

W istocie uważnemu spojrzeniu tego zbira nie uszedł fakt, że zaraz po odejściu hrabiny, która zostawiła komandora templariuszy bez pożegnania i z podniesioną głową, pod rękę z jednonogim kapitanem ruszyła w ślad za kobietami i tragarzami, amfory na oliwę załadowano znowu na wóz, bardzo ostrożnie, bo były chyba teraz pełne i ciężkie. Kucharze ustawili je pionowo w słomie i przywiązali mocno powrozami. Zrozumiałem! Mnich i ladacznica byli zuchwałymi do szaleństwa przemytnikami! Pospiesznie wdrapali się znowu na kozioł i wóz zaturkotał po dziedzińcu ku bramie, potem przejechał obok stojących na straży templariuszy, a także obok pana Gawina, który zachowywał się tak, jakby go to wszystko nie obchodziło w najmniejszym stopniu.

– Na miłość boską! – krzyknął mój kuzyn do marszałka joannitów. – Po co tutaj sterczycie, jeśli nie zatrzymujecie tego wozu z dowodami karygodnego występku, straszliwego kacerstwa?!

To musiało być dla pana Peixa-Rollo przekonujące i jego wątpliwości, czy pobiec za hrabiną, czy dostać w końcu w ręce te głupie dzieci, od wielu dni kość niezgody obu zakonów, nagle zniknęły. Było przecież jego zadaniem postawić kacerskie dzieci przed oblicze sprawiedliwości, nie zaś naprzykrzać się hrabinie Otranto. Tak więc wystąpił zdecydowanie do przodu, złapał chabetę za uprzęż i zatrzymał wóz.

– Co tam wiezicie, piękna kobieto? – spytał z wilczym uśmiechem, ale Ingolinda dała ciętą odpowiedź:

– Czystą oliwę, dostojny panie, tłoczona na zimno, tak delikatnego gatunku, jakbyśmy oboje wyciskali pospołu owoce między udami!

Marszałkowi twarz nabiegła krwią, ludzie wybuchnęli śmiechem.

– Wyładować! – wrzasnął na swoich sierżantów, ci wskoczyli na wóz, odwiązali amfory i spuścili je delikatnie na ziemię. Teraz ja także podszedłem bliżej, podobnie jak mój kuzyn Jan, który już tryumfująco wyszczerzył zęby.

– Pytam was, kobieto, po raz ostatni – wysapał pan Peixa-Rollo – potem pchnę mieczem i przekłuję zatyczki.

– Bez pchnięcia nie ma kropelki! – natrzasała się z niego ladacznica.

Marszałek przekłuł mieczem korki. Nie napotkał wcale oczekiwanego oporu, daremnie grzebał w amforach. Wreszcie wyciągnął miecz. Była na nim tylko oliwa, ani śladu krwi.

Wtedy doskoczył hrabia Sarrebruck.

– To czary, diabelskie mamienie! – wrzasnął i nim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, głowicą miecza rozbił jedną amforę, drugą przewrócił nogą. Pękły obie, oliwa wylała się na bruk, a oczom zebranych ukazały się dwie kukły; były to ściągnięte sznurem i uformowane na kształt ludzki wiązki pakul.

Wszyscy gapili się na te dziwne istoty leżące wśród skorup, ale wtedy z kozła zeskoczyła Ingolinda, rzuciła się na przesączone oliwą konopne wiązki i zawyla:

– Moje dzieci! Moje dzieci! Zabił moje dzieciątka!

Marszałek próbował ją odciągnąć, ale ona krzyczała jeszcze głośniejszym rozdzierającym serce głosem:

– Morderca, morderca! – Głaskała kukły, tuliła je do zalanej łzami twarzy. – Och, cóżeś uczynił, dzieciobójco!

Wtedy tłum zaczął się burzyć i ruszył w kierunku hrabiego Sarrebruck. Ten chciał się powoli wycofać między swoich rycerzy, ale już poleciały pierwsze kamienie i mój pan kuzyn opuścił w popłochu miejsce swego chybnego tryumfu. Wziąłem z niego przykład, ponieważ szybciej niż ciężko myślącemu panu Peixa-Rollo zaświtało mi w głowie, że przez to wydarzenie zapomnieliśmy o hrabinie.

Pobiegłem uliczką w dół do portu, dotarłem akurat jeszcze do tawerny „Pod Pięknym Widokiem” i zobaczyłem, jak fałszywy Guiscard, czyli prawdziwy kapitan Firuz wściekle tupie po pokładzie drewnianą nogą, a Maurowie wciągają na pokład hrabinę. Przecięto liny cumownicze. Jednym gwałtownym ruchem, który zwałił z nóg kobiety, a nawet kilku tragarzy ze skrzyniami i belami przewrócił na deski pokładu, wysunęły się z otworów wszystkie wiosła niższych rzędów i uderzyły w wodę, rozpryskując ją wysoko, gdy tymczasem wiosłarze-kosynierzy trzymali wiosła jeszcze skierowane w górę.

Wydawało się, że hrabina, która jako jedyna utrzymała się na nogach, nie zgadza się z tym niespodziewanym odbiciem. Wyciągnęła ręce ku brzegowi, jakby czegoś tam zapomniała, jakby chciała rzucić się przez reling. Ale zamiast niej zrobił to Hamo, skoczył jak pstrąg i dał nurka. Również Firuz, to znaczy fałszywy Firuz, nie kapitan, zrzucił swój ładunek i poszedł w ślady Hamona. Nie zobaczyłem już, czy się wynurzyli.

Joannici pełniący straż po obydwu stronach wyjścia z portu zerwali się wprawdzie, ale uznali chyba jednonogiego kapitana triery za szaleńca, skoro każe całą mocą wiosłować wprost na ciężki łańcuch zagrażający wyjście.

Wtedy jednak zdarzyło się coś, co dobrze widziałem z ławki, na której stałem, a co musiało ich przerazić: żelazny łańcuch jął się zanurzać przed trierą. Także dla mnie był to widok niesamowity. Przeżegnałem się. Czyżby hrabina Otranto pozostawała naprawdę w przymierzu z diabłem?

W każdym razie działały tu jakieś złe duchy, joannici bowiem kręcili teraz korbą wyciągarki, a mimo to ciężki łańcuch zanurzał się coraz głębiej. Spróbowali więc napiąć kusze, ale wówczas kosy wiosła opuściły się do pozycji poziomej i strażnicy musieli rzucić się płasko na nabrzeże, aby nie stracić głów.

I tak triera wymknęła się na otwarte morze, gdzie wieczorna bryza wypełniła żagle. Wydało mi się jeszcze, że widzę, jak triera zarzuca kotwicę, ale moje oczy musiały być chyba oślepienie winem, gdyż jakby uwolniona od ciężaru żelaza, wystrzeliła teraz do przodu.

W porcie Angliki Salisbury’ego pojęli pierwsi, że hrabina próbuje uciekać. Z godną podziwu marynarską zręcznością pospieszyli wydłużonymi statkami przez port, w którym

zdenerwowani Francuzi stali im tylko na zawadzie. Gdy jednak kilka statków, przebiwszy się przez ciżbę, zbliżyło się do wyjścia z portu, żelazny łańcuch, jakby znowu naciągnięty niewidzialną ręką, zagroził im drogę. Lżyli obrzydliwie joannitów – co było słyhać nawet z mojego miejsca – którzy znowu kręcili korbą wyciągarki. W efekcie ukazał się tylko luźny koniec pomocniczego łańcucha i grzechocząc upadł na ziemię, a ciężki żelazny łańcuch napiął się w wodzie, jakby go po obu stronach trzymał zły.

Zjawa czy oszustwo? W każdym razie triera znikła w promieniach zachodzącego słońca. A ja usiadłem znowu i kazałem sobie podać jeszcze jeden dzban. Kiedy piję, wiem przynajmniej, dlaczego widzę duchy.

IV

SZTORM I CISZA ZWAŚNIONYCH ZAMKÓW

Klarion zachowywała się jak szlachetna dama, którą opuściły dworki; sama niosła dwa kosze, ponieważ Szirat, jej pokojowa, miała już dzban na głowie i worek na plecach.

Nawet dzieci, Rosz, Jeza i mały, gruby Mahmud, dostały do dźwigania tobołki, pod których ciężarem sapały, wciąż jednak zaśmiewając się, gdyż trzymały się tak daleko za kobietami, że bez skrępowania mogły łasować zawartość niesionych worków. Jasna twarz wyglądającej obco, czarnowłosej Jezy była wciąż usmarowana błotem. Dziewczynka wyglądała jak Cyganka.

Tylko sufi nie mógł nic nieść. Najpierw wartownicy templariuszy, potem joannici tak boleśnie wygarbowali mu skórę, że cieszył się, iż może jeszcze o lasce kuśtykać na końcu.

Klarion wciąż upominała wszystkich, żeby mieli pogodne twarze, jakby się wybrali na wycieczkę za miasto, w żadnym zaś razie nie powinni sprawiać wrażenia uciekinierów.

Do Episkopi kazali się podwieźć na wozie, który wracał z targu, ale resztę drogi musieli pokonać bez świadków.

Szli ścieżką prowadzącą powyżej wybrzeża przez pagórkowate łąki, aż zobaczyli opisaną im wcześniej zatokę ze statkiem.

– Ależ mała jest ta łódź! – zdziwił się Rosz. – Ma tylko jeden maszt!

– W przeciwnym razie nie byłoby jej tutaj – wytłumaczyła mu Jeza.

Klarion kazała wszystkim usiąść, lecz nie zdejmować ładunków, a sama poszła w dół ku plaży. Rybacy nie podnieśli się, grali dalej w kości. Zobaczyła związaną Madulajn w cieniu łodzi. Wyjęła z sakiewki kilka monet i rzuciła między grających.

– Tam, na górze – powiedziała spokojnie i pokazała za siebie – jest trochę drobnych upominków, prowiant i napoje orzeźwiające, które trzeba załadować. Podnieście zadki!

Taką mowę ci ludzie rozumieli. Szyper zgarnął pieniądze i popędził kamratów kopniakami. Policzył przybyłych, którzy teraz, z dziećmi na przedzie, ruszyli w dół. Szirat podpieraa sufiego.

– Jest was więcej, niż było umówione – powiedział niechętnie.

Klarion jeszcze raz sięgnęła do sakiewki.

– Zdecydowałam się, jeśli nie macie nic przeciw temu – odparła, widząc jego chciwe spojrzenie – towarzyszyć dzieciom w tej podróży.

Nim jednak zdążyła dać mu dodatkowe pieniądze, rozległ się głos Madulajn, krzyczącej wściekle do rybaków:

– Więc pozwólcie mnie przynajmniej odejść! Chcę wrócić na trierę, do męża!

Szyper spoglądał na sakiewkę Klarion, która rzuciła mu pod nogi jeszcze trochę monet.

– Nie słuchajcie jej – powiedziała zimno. – Zabierzcie ją do łodzi.

Na znak szypra rybacy rzucili się na Madulajn i podnieśli ją w górę. Choć gryzła i drapała jak żbik, przerzucili ją przez burtę niczym sieć pełną trzepoczących się ryb i umieścili razem z paczkami, workami i koszami, to znaczy zostawili leżącą na pokładzie.

Hamo l'Estrange jak młody bóg morza wyszedł z wody w małej zatoce, gdzie znajdowała się łódź rybacka. Czerwony Sokół, czyli fałszywy Firuz, mniej wprawny jako pływak, potrzebował więcej czasu, nim poczuł grunt pod nogami.

– Dlaczego statek nie jest jeszcze zepchnięty na wodę i przygotowany do żeglugi? – natarł gniewnie na szypra, upewniwszy się szybkim spojrzeniem, że jego podopieczni są w komplecie.

Jeszcze bardziej rozgniewało go to, że była tu Klarion. Szyper nie zamierzał się ruszyć, przeciwnie, ruchem ręki powstrzymał innych, którzy chcieli zepchnąć łódź z plaży.

– Uzgodniona cena już nie obowiązuje – zaczął zrędlawie, a gdy zobaczył szablę, którą Czerwony Sokół wyciągnął z mokrych spodni, dorzucił wyjaśniająco: – Nie wystarczy prowiantu i jest za wielu ludzi na pokładzie.

Wydawało się, że Czerwony Sokół nie poświęca mu wcale uwagi. Skierował się w stronę łodzi, ale gdy mijał szypra, podciął mu nogi. Stary rybak runął, błysnęła szabla i już głowa przywódcy leżała w piasku.

– Czy ktoś jeszcze uważa, że jest za wielu ludzi na pokładzie? – spytał Czerwony Sokół, nie podnosząc głosu.

Teraz rybacy go poznali. Wstrząśnięci, wpierając plecy w burty łodzi, zsunęli ją do wody i spiesznie postawili żagiel.

Hamo i Czerwony Sokół weszli na pokład ostatni. Hamo był zupełnie rzeński, fałszywy Firuz zaś wyczerpany leżał u stóp Madulajn, która patrzyła na niego pełna nienawiści. Nie musiała go o nic pytać. Gdy poznała spodnie męża, zrozumiała wszystko, nim jeszcze zobaczyła resztę śmiesznej, przez wodę morską odklejonej bródki.

Była wściekła. „Państwo” nie zważali po prostu na więzi małżeńskie swojej czeladzi. Albo hrabina chciała mieć kapitana bez żony, albo księżniczka Salentyny, która, jak się zdawało, nie zamierzała pozostać przy hrabinie, nie chciała zrezygnować ze swej pokojowej. A ten wytworny pan u jej stóp, emir i rycerz zarazem, uczestniczył w tej haniebnej grze. Oszukał ją bezwzględnie. Mogłaby mu plunąć w twarz, ale nie patrzył w jej stronę.

– Odbijać! – zawołał Czerwony Sokół do rybaków i podniósł się z trudem na nogi. – Teraz albo nigdy!

Morze wypełniło się żaglowcami wszelkiego rodzaju, które błyszczały w nisko stojącym wieczornym słońcu.

– Urządzają polowanie na Laurencję – jęknęła Klarion. – Niech Bóg ma ją w swojej opiece!

– Chciałaś jej przecież pomagać, Klarion. – Hamo nie darował sobie ciętej uwagi. – „Och, najdroższa Laurencjo, nigdy cię nie opuszczę!” – naśladował głos przybranej siostry. – Moja czcigodna matka omal nie skoczyła do wody, gdy triera odcięła liny cumownicze bez panny Klarion na pokładzie. Hrabina ryzykowałaby dla ciebie głowę, gdyby nie zemsta oszukanego Firuza. Ten oznajmił bowiem... – ta wiadomość dotyczyła nie tyle Klarion, ile Czerwonego Sokoła, który w milczeniu obserwował manewry żaglowców na morzu – „Jeśli uprowadzono moją Madulajn, to i wy, pani hrabino, musicie uciekać bez swojej ukochanej wychowanicy”.

Łódź tymczasem chwyciła wiatr w żagle i lawirowała pod osłoną wybrzeża, póki statki wyrojonej z portu armady nie zniknęły na horyzoncie. Dopiero wtedy Czerwony Sokół dał rozkaz wypłynięcia na pełne morze.

– Jest absolutnie niemożliwe, żeby ich dogonili – zwrócił się Hamo pojednawczo do Klarion. – Triera ma zbyt dużą przewagę, a ponadto wkrótce zapadnie noc. – Po chwili milczenia spytał: – Dlaczego to matce zrobiłaś?

– Ponieważ chcę wreszcie żyć swoim własnym życiem, podobnie jak ty!

– No więc postawiłaś na swoim. A czy innym też pozostawiasz wolny wybór drogi życiowej?

Klarion rozzłoszczona spojrzała na Hamona roziskrzonym wzrokiem.

– Jeśli masz na myśli dzieci lub siebie, to wiedz, że nie chcę was znać. A jeśli robisz aluzję do moich pokojowych, to dlaczego miałabym być pozbawiona ich usług?

Czerwony Sokół dopiero teraz zauważył, że Madulajn ma wciąż związane ręce i nogi. Przeciął jej więzy. Nie podziękowała mu nawet jednym spojrzeniem i nie ruszyła się z miejsca, co go bardzo dotknęło. Był zmieszany i nie znalazł właściwych słów. A więc milczał i on.

Potem jednak odwrócił się do Klarion.

– Ponieważ teraz jesteśmy w podróży, w czasie której nie są potrzebni rycerze i słudzy, damy i służebne, lecz załoga, gdzie każdy chwytą się takiej pracy, w jakiej może być przydatny...

– Zawsze będą panowie i pachołcy! – zaprotestowała Klarion – Zawsze jest ktoś, kto rozkazuje, i ktoś, kto ma słuchać. To jest prawo! Czy sami przed chwilą wobec rybaków nie wykazaliście akurat jego słuszności?

– Zrobiłem to nie z pychy czy samolubstwa, lecz z poczucia odpowiedzialności za nas wszystkich.

Klarion wybuchnęła płaczem.

– Wiem, że się do niczego nie przydam – szlochała. Zabolało ją to, że została w ten sposób złażana przez uwielbianego rycerza, i to w obecności służebnych. – Dlaczego musicie mnie tak ranić?

Płakała gorzko, co jednak nikogo nie wzruszało.

Dzieci, zadowolone, że mają przy sobie Czerwonego Sokoła, dawno już udały się na dziób łodzi i patrzyły na uciekające pod nimi fale. Rosz i Jeza wzięli w środek małego Mahmuda.

Tylko Szirat okazała Klarion współczucie i objęła ją pocieszająco ramieniem.

– Ona musi się jak najszybciej nauczyć – powiedział Czerwony Sokół wystarczająco głośno do Hamona – że udajemy się do kraju, gdzie może się zdarzyć, że pani stanie się niewolnicą, a pokojowa księżniczką.

Madulajn nie odzywała się wcale, wyrzuciła z siebie złość, spluwając daleko za burzę. Gardziła Klarion i nienawidziła Czerwonego Sokoła.

Tymczasem zmierzch ustąpił miejsca nocy i Czerwony Sokół usiadł naprzeciwko milczącej Madulajn, w nadziei że zdoła roztopić lody.

– To nie moja wina – powiedział cicho.

Oczy Saracenki zaiskrzyły się w ciemności.

– Zabiliście odbiorcę waszego listu, jedyne go świadka – odpowiedziała szyderczo. – Zamiast mnie natychmiast uwolnić...

– Było za późno! – przerwał jej Czerwony Sokół. Nie powiedział więcej nic, bo właśnie uświadomił sobie, że zakochał się w tej kobiecie.

Zwrócił się natomiast do Hamona.

– Możemy spać spokojnie. Wszystkich prześladowców ściągnęła na siebie hrabina.

– Czy mam się za nią pomodlić? – zakpił Hamo. – Laurencja zawsze myślała najpierw o sobie, i tym razem udało się jej wyciągnąć szyję z pętli!

– Ciemności udzielą jej osłony – odparł Czerwony Sokół.

– Amen – zakończył Hamo.

Żeglowali na wschód w blasku wschodzącego księżyca, kierując się jedynie światłem gwiazd.

William z Roebruku krążył markotny po bazarze, mimo że nie miał żadnego powodu do smutku. Po udanej ucieczce hrabiny i dzieci poczuł nawet ulgę, potem jednak ogarnęło go uczucie pustki. Co właściwie trzymało go jeszcze na Cyprze?

Podchodził do straganów, oglądał ciężkie materiały z Damaszku, badał fachowo ich sploty, pocierając w palcach. Nowy ubiór? Nie mógł sobie na to pozwolić!

Musiał zadowolić się tkaniną, którą hrabina przekazała mu wspaniałomyślnie ze zdobyczy na Greku, ale habit z niej nie leżał dobrze, materiał nie wyglądał szczególnie sztywnie, poza tym gniótł się straszliwie.

Może powinien jednak dalej żeglować? Jeśli już, to statkiem, który Rosza i Jeżę niósł do nowych krajów. A tak siedział teraz tutaj i za jedyny dach nad głową miał namiotową budę wozu Ingolindy i to też tylko wtedy, gdy późno w nocy poszedł sobie ostatni zalotnik.

Zaoferować znowu swoje służby królowi? Bardzo problematyczne, czy jeszcze raz okazałby mu łaskę, jeśli w ogóle by sobie go przypomniał.

– Czy kupiłeś owoce, wino i resztę sprawunków, Williamie?

Ingolinda wytropiła go i natychmiast przypomniała o zaniedbaniach w codziennych obowiązkach. Do tego dzisiaj miała wolny dzień, przemknęło mu przez głowę.

– Mieliliśmy przecież pojechać na wieś! – zagruchała z wyrzutem i wsunęła mu rękę pod ramię.

– Nie zapomniałem – zapewnił spiesznie William. – Nie znalazłem jeszcze nic odpowiedniego.

– U sukienników nie znajdziesz ani dojrzałego melona, ani pachnącego smakowicie sera! – roześmiała się. – Chodź, wiem, gdzie sprzedają wyborną szynkę. – Pociągnęła go do straganów wieśniaków, którzy swe towary znosili stosami ze wsi do Limassol, albowiem taka klientela jak krzyżowcy nie zdarza się często.

– Prawdopodobnie poza miastem, w Episkopi, kosztuje wszystko o połowę taniej – zrzędził William, ale Ingolinda tylko wzruszyła ramionami.

– Nie mogę zatrzymywać się tam przy każdej zagrodzie i pozwalać gapić się na siebie z powodu pęczka cebuli, bochenka chleba czy koszyczka dojrzałych winogron!

Kupowała więc zadowolona, obficie, choć z rozważą. Rozmieścili prowiant w słomie wozu, nim zajęli miejsca na koźle i opuścili miasto.

– Tutaj powinniśmy wynająć niewielki domek. – Pozostawili za sobą malownicze Episkopi z jego klasztorami i kościołami. Ingolinda nie wyzbyła się jeszcze swych mieszczańskich ciągót. – Ty pisałbyś uczone księgi, ja zdobywałabym pieniądze w porcie, a gdybym na Anioł Pański wracała do domu, byłabym szanowaną *madame* z Metzu!

– Dlaczego od razu nie wystarasz mi się tutaj o miejsce kapłana? Ty zostałabyś moją gospodynią, a ja udzielałbym ci każdego wieczoru rozgrzeszenia!

– Aha, nawet wiem czym! – Ingolinda roześmiała się i sięgnęła mu do krocza.

Była szczęśliwa, bo miała Williama przy sobie. Skręciła z drogi w bok ku morskemu brzegowi, aż znalazła cichą zatoczkę, gdzie znaleźli schronienie przed ciekawskimi spojrzzeniami.

Minoryta rozluźnił sznur, którym opasywał habit, ściągnął buty, wsunął gołe stopy w łagodnie uderzający przybój i położył się na wznak na piasku.

Ingolinda rozpostarła derkę i rozkładała przywiezione specjały, wtedy jednak zobaczyła swego Williama z na wpół rozchylonymi spodniami i stoczyła się na opierającego się kochanka, który zdążył tylko bąknąć, że najpierw powinni coś zjeść.

Ingolinda знаła dobrze ciało swego mnicha, zwłaszcza członek, który sztywniał, także gdy William się opierał. Wzięła go w posiadanie, a ponieważ każdy koń jest tak dobry jak jego jeździec, puściła go wkrótce klusem, potem zaś pełnym galopem. Próbowwała go trzymać na wodzy, ale teraz Flamandczyk nie znał już zahamowań, poganiał ją nieubłaganie, póki po raz ostatni nie stanęła dęba i nie opadła na jego brzuch.

– No tak – powiedziała, gdy obojgu powrócił równy oddech – teraz opowiedz mi, dlaczego takie ważne są twoje dzieci.

– Co mam opowiadać... – William ociężale próbował się bronić. – To nie są moje dzieci.

– Nie chcesz mieć potomstwa?

Była to dla mnicha zbyt niebezpieczna droga, toteż chętnie skręcił na zaproponowaną wcześniej ścieżkę.

– Jeza i Rosz – mruknął – są ni mniej, ni więcej tylko tym, co określili ludzie chcą w nich widzieć. Nie mam z tym nic wspólnego! – dorzucił na zakończenie.

To jednak nie wystarczyło Ingolindzie.

– Rozpowszechniałam dla ciebie w porcie pogłoskę o Amalfitańczyku, aż ludzie uwierzyli, że zobaczyli na własne oczy przybyłego zza grobu kapitana. Niebawem ja sama bym w to uwierzyła, chociaż wciąż sobie powtarzałam: „Ingolindo, powieszony jest powieszony”.

William chrząknął tylko, co mogło oznaczać zarówno aprobatę, jak i niechęć podjęcia tematu.

– Uplotłam dla ciebie straszidła – westchnęła Ingolinda – chłopca i dziewczynkę, włożyłam je do oliwy w glinianych dzbanach, czułam je w brzuchu jak własne dzieci i ich

śmierć mnie zabolą, a ty, wyrodny ojciec, chcesz mi wmówić, że nie miałeś z nimi nic wspólnego!

Była oburzona i bębniła pięściami po piersi Williama.

– No dobrze – powiedział i zsunął ją ostrożnie z siebie. – Jeza i Rosz mają szczególne pochodzenie. – Przewrócił się tak, że nakryty na piasku stół znalazł się w zasięgu jego ręki. – Nie należę do tych, którzy wiedzą dokładnie jakie, same dzieci też nie wiedzą, kim są ich rodzice, jednak musi to chyba być wyjątkowo szlachetna krew, od tak dostojnej szlachty, że bronią dzieci rycerze i zakony, księżęta i królowie poświęcają im swe życie i dla nich je ryzykują...

– Tak jak i ty, Williamie! – wykrzyknęła Ingolinda z dumą.

– Ja jestem tylko źdźbłem w końskim nawozie, które się zaplątało w koło tego toczącego się wozu...

– Jesteś zatyczką w piąście! – powiedziała i wręczyła mu dzban.

William roześmiał się.

– Tak mi się często wydaje, gdy myślę o ciosach i razach, jakie mi przypadły w udziale, ale przysięgam ci, ja się w ogóle nie liczę!

– Kim mają zostać te dzieci? – drażyła Ingolinda dalej.

– Łatwiej rozważyć, kim nie mają być – wyjaśnił William. – Kościół je prześladowuje, ażeby nie przejęły stolca Piotrowego, a chyba i dlatego, że są kacerskiego pochodzenia. Kuria rzymska boi się ich jak antychrysta...

– Może to papież i papieżycza? – zastanawiała się głośno Ingolinda, niezwykle podniecona.

– Nie wierzę w to – odparł William, zagniewany, że sam nigdy jeszcze nie wpadł na tę myśl. – *Ecclesia romana** w dzisiejszej formie musi się wydawać dzieciom Graala heretyckim błędzeniem.

– A dlaczego joannici chcieli wyrwać dzieci templariuszom, a ci nie chcieli ich oddać?

– Ponieważ – rzekł William w zamyśleniu – sprawowanie opieki nad dziećmi przypuszczalnie wywyższa tak samo jak ich unicestwienie. Kto jednak nie opowiada się po żadnej stronie, jest przeklęty dlatego, że trwa pośrodku.

– To prawie jak kamień filozoficzny – rozmarzyła się Ingolinda. – Może dzieci potrafią robić złoto? Albo czynić z rycerzy księżąt, z królów cesarzy? Z pewnego grubego flamandzkiego minorityty potężnego kardynała!

– Boże broń! – mruknął mnich i szybko uczynił znak krzyża – ale nie jesteś zbyt daleka od prawdy, moja przebiegła damo, chodzi o władzę, wszelką władzę na tej ziemi!

– Czy dzieci o tym wiedzą? – spytała Ingolinda prawie przestraszona. – Taki ciężar musiałby je przecież przytłoczyć!

* *Ecclesia romana* (łac.) – Kościół rzymski.

– Toteż nikt im tego jeszcze nie powiedział. Pozwala się im dorosnąć do wielkiego zadania, dojrzeć w wielu próbach...

– Tak jak to stało się z naszym Zbawicielem, Mesjaszem! – zawołała ladacznica. – Przez Heroda prześladowany, potem...

– Śmierć na krzyżu – przerwał jej William ostro. – Nie życzę im tego!

– Kim są ci niewidzialni, te tajemnicze moce, które ich rzekomo „strzegą”, według mnie zaś, przeganiają dzieci z miejsca na miejsce, igrają z nimi okrutnie? Do czego potrzebują dzieci, gdy sami mają już tyle władzy, by stawić czoło Kościołowi i cesarzowi? Po co?

William popatrzył na nią zdziwiony.

– Za wiele pytasz. Być może, istnieje tylko jedna siła. Być może, te same siły prześladują i strzegą, sprowadzają niebezpieczeństwo i ratunek zarazem.

Aby przerwać potok pytań, wziął cienki plaster obranego melona i wepchnął ladacznicy między zęby, a ponieważ wiedział, że to lubiła, wsunął tam potem swój język. Sięgnął rękami w piach pod jej pośladki i dźwignął chętnie łono na wysokość podnoszącej się w górę ozdoby swych łądźwi. Żadne berło świeckiej władzy, żaden pastorał następcy Piotrowego nie był dla Ingolindy ważniejszy od szukającego swej kryjówki *ucello del Francescano**. Wessała go w siebie jak kawałek miodnego melona, od którego jeszcze kleiły się jej wargi. I za każdym razem, kiedy chciała je rozchylić, aby postawić jeszcze jedno pytanie, zatykał jej usta kawałkami melona. Kiedy zabrakło tego owocu, zastąpiły go winogrona, a gdy ostatnie pękło między jej wargami, jęknęli oboje i padli dysząc na piasek. Tam pozostali, aż fale przyboju wbiegły na brzeg tak daleko, że zaczęły omywać ich ciała. Zrobiło się chłodno. Zerwali się z piasku, złożyli derkę, wypili wino i wskoczyli na wóz, który poturkotał z powrotem do Limassol.

Cypryjska łódź na żoździe emira Fassr ad-Din Oktaja, syna wielkiego wezyra Fachr ad-Dina, na Wschodzie i na Zachodzie znanego także jako *As-Sakr al-Ahmar*, czyli Czerwony Sokół, płynęła w ciepłym wietrze ku położonemu na wschodzie krajowi, który dla chrześcijan był święty, ku jego wybrzeżu, do którego musiała przybić gdzieś na terenie granicznym między hrabstwem Trypolisu a księstwem Antiochii.

Żeglowali całą noc; rankiem, gdy byli już dostatecznie daleko od Cypru, zaczęli ich morzyć sen.

Na polecenie Czerwonego Sokoła rybacy wzniesli na dziobie prowizoryczny namiot, to jest rozpostarli żagiel i przywiązali mocno do want. Tam miały się położyć na spoczynek kobiety i dzieci. Malcy zasnęli już na gołych deskach pokładu obok starego sufiego, więc Madulajn i Szirat przeniosły ich pod osłonę przeciwsłoneczną i ułożyły na stosie sieci, jedynej miękkiej podkładce, jaką znalazły.

* *Ucello del Francescano* (wł.) – ptak franciszkanina (także we frywolnym znaczeniu).

Wtedy Klarion krzyknęła na obie dziewczyny, że powinny z łaski swej przygotować dla niej posłanie. Szirat zastraszona wskazała parę szmat i liny, które jeszcze pozostały, ale Madulajn mimo zmęczenia zerwała się i podeszła do Klarion.

– Chyba wciąż jeszcze nie zrozumieliście, szlachetna panno, że hrabiowska służba, do której wstąpiłam chętnie, bo razem z mężem, teraz się skończyła.

Klarion z wściekłości z trudem chwytła powietrze, opanowała się jednak po chwili.

– Kiedy wasza służba się kończy, określam jeszcze ja! A ja was nie zwolniłam, więc jazda do roboty!

Madulajn wiedziała, że ma przewagę nad hrabiną Salentyny, zachowała więc całkowity spokój.

– Nie możecie, pani, ani mnie zwolnić, ani liczyć na moją służbę. Jeśli troszcę się o dzieci, wynika to z wpojonej mi odpowiedzialności za młodszych i czynię to z wolnej woli. O swoje dobro troszczcie się od dzisiaj sami!

– Szirat! – wrzasnęła Klarion. – Przygotuj mi natychmiast łóżko!

– Nie! – powiedziała Madulajn. – Szirat także się zwolniła!

Klarion do tego stopnia straciła panowanie nad sobą, że rzuciła się na Hamona i wbiła mu paznokcie w ramię.

– Zabij je, zabij!

Hamo przewracając oczyma popatrzył w stronę Czerwonego Sokoła, który uśmiechając się spoglądał na morze. Ponieważ Klarion zamierzyła się na brata, Hamo zebrał wszystkie siły, podniósł ją w górę i bijącą na oślep przerzucił przez burzę. Plusk wody zagłuszył jej krzyk. Czerwony Sokół rzucił dziewczynie linę, rybacy przyciągnęli ją do łodzi, ale hrabina Salentyny, która nie umiała pływać, nie potrafiła wdrapać się na sterczącą nad nią gładką burzę.

Czerwony Sokół wskoczył do wody, zanurkował i podniósł Klarion na ramionach w górę. Natychmiast przestała wrzeszczeć. Rybacy wciągnęli ją przez krawędź burty i położyli na deskach pokładu, gdzie wypluwała morską wodę.

Czerwony Sokół podciągnął się na pokład i przeszedł nad nią bez słowa, nie obdarzając nawet jednym spojrzeniem. Leżała jak mokry worek i nikt nie zwracał na nią uwagi, tylko stary sufi uśmiechnął się łagodnie, a potem znowu zapadł w drzemkę. Klarion płacząc zasnęła.

Dzieci oczywiście przebudziły się od jej krzyku i były świadkami całego zajścia.

– Wiesz, Mahmudzie – odezwała się Jeza, gdy już znowu wczółgali się do niecki, którą ciasno do siebie przytuleni wygnietli w stosie sieci – jeśli mi nie zrobisz miejsca w naszym łóżku, wrzucę cię do morza rybom na pożarcie!

– Mógł się pojawić jakiś rekin – rozważał zaspany Rosz, ale Jeza, zupełnie rozbudzona, wyjaśniła stanowczo:

- Natychmiast by zawrócił, gdyby Klarion na niego nawrzeszczała!
- Mój ojciec uciąłby jej głowę – powiedział spokojnie mały Mahmud.
- Komu? Klarion?
- Nie, Madulajn – oświadczył chłopiec i zasnął.
- Czy to prawda? – zwróciła się Jeza do Szirat, która uśmiechnęła się pogodnie.
- Kazałby uciąć! – odparła uspokajająco. – Nie brudziłby sobie przecież rąk krwią niewolników.
- Jeśli znajdziemy się w twoim kraju – zaczęła znów Jeza – czy mogę zostać twoją niewolnicą?
- Nie. Ty jesteś królewską córką.
- No tak – mruknęła Jeza, przecierając oczy. – Madulajn jest także księżniczką.

Spali aż do południa. Statek teraz ledwie posuwał się naprzód, dostali się bowiem w obszar ciszy morskiej.

Późnym popołudniem nadciągnęły ciemne chmury i łódź zalało światło żółte jak siarka. Na falach zaczęły się tworzyć małe korony.

- Będziemy mieli burzę – zauważył stary sufi.
- Cóż za mądre wejście w istotę natury – zakpił Czerwony Sokół. – Opaszcie się liną, a dzieci przywiążcie do masztu!
- Dzieciom ogromnie się to podobało, chociaż uważały za przesadną taką ostrożność.
- Ściągnąć żagle!

Dzieci i kobiety opasały się linami. Musiały usiąść na pokładzie, narzucono na nie najpierw sieć, potem żagiel, który na końcach mocno przywiązano. Jeszcze spoglądały ciekawie spod tej osłony, ale szybko miało się to zmienić.

Jakby z niczego powstały nagle fale, potoczyły się w kierunku statku, którym coraz trudniej było sterować; tańczył na ich grzbietach, spadał w doliny, zalewały go potoki wody.

Krzyk dzieci został wkrótce zagłuszony przez huk morza. Po każdym zalaniu łodzi rybacy i Hamo czerpali wodę i wylewali za burtę. Madulajn wzbraniała się, by razem z Klarion wpełznąć pod płachtę.

- Ona wydrapie mi oczy! – krzyknęła do Czerwonego Sokoła. – Wolę umrzeć widząc!
- Istnieje większe niebezpieczeństwo, że ty jej przegryziesz gardło! – odkrzyknął ze śmiechem. – Ale teraz nie chcę żadnej kobiety pod nogami!

Saracenka, aczkolwiek córka gór, unikała fal zręcznie jak kot, nie pozostała też dłużna w odpowiedzi.

– Chciałeś chyba powiedzieć: między nogami! Zanim do tego dojdzie, przekonasz się, że Saracenka potrafi dorównać mężczyznom! – Szarpnęła Hamona do tyłu, gdyż przez nieuwagę nie dostrzegł nadbiegającej fali, która omal nie zmyła go z pokładu.

Pospiesznie wylewali wodę z łodzi. Burza rozszalała się teraz na dobre. Światło błyskawic pozwalało sternikowi nie stracić całkowicie orientacji, gdyby bowiem góry wody chwyciły statek, zostaliby pogrzebani pod naporem fal, które, często wysokości domu, nacierając zapadały się w głąb. Morze huczało tak, że następujących po błyskawicach grzmotów w ogóle nie było słychać.

Nagle z trzaskiem runął bom żagla. Uderzył w poprzek łodzi; dzieciom pod płachtą nie stała się wprawdzie krzywda, lecz uderzenie zmiotło jednego rybaka z pokładu. Stało się to tak szybko, że nieszczęśnik nie zdołał nawet krzyknąć, nim zniknął w odmętach, połknięty przez tysiąc rozwartych gardzieli, które w następnej sekundzie się zamknęły.

Nie było nawet czasu, by go pożałować, ponieważ woda w łodzi się podniosła i sięgnęła ludziom aż do kolan. Dzieci wstały, żeby się nie utopić. Trzymały płachtę nad głowami i mocno obejmowały się nawzajem; żagiel, spod którego wyglądały tylko gołe nogi, niczym olbrzymia meduza chwiał się i kołysał w potokach wody.

W końcu pękł maszt, rozłupał się wzdłuż, nadłamany wierzchołek wisiał teraz nad burtą i utrudniał każdy manewr sterowniczy. Jednak jakby to był już ostatni cios, szum i wycie wiatru ucichły, fale uspokoiły się, klaskały znowu jednostajnie o burty, grzmoty ucichły w dali. Wyczerpani podróżni ośmielili się znowu skierować wzrok ku niebu.

W srebrnym świetle księżycy ciągnęły niespokojne chmury, wciąż jeszcze rozświetlane blaskiem sporadycznych błyskawic, ale już nie słychać było grzmotów.

Dzieci, chociaż nadal przywiązane linami, ale uwolnione od sieci i płachty, zabrały się natychmiast do wylewania wody z łodzi. Nawet stary sufi czerpał uważnie swoją miską, którą zawsze nosił przy sobie. Tak więc Klarion nie mogła dłużej pozostawać beczynna. Podciągnęła suknię do bioder i zabrała się do pracy na równi z mężczyznami.

Szirat zasłabła i byłaby wypadła za burtę, gdyby Hamo jej w porę nie złapał. Zaniósł ją ostrożnie na dziób, jedyne podwyższone miejsce, i ułożył na stosie sieci. Madulajn zaopiekowała się dziewczyną.

Niespodziewanie bliska błyskawica i prawie równoczesny z nią grzmot wyrwały Szirat z omdlenia.

– Dlaczego ty się nie boisz? – szepnęła.

– Ponieważ teraz będzie tylko padać – odparła Madulajn pocieszająco. – Powinniśmy łapać ten dar niebios – zwróciła się do Czerwonego Sokoła – bo beczki ze słodką wodą zostały zmyte lub zniszczone.

Hamo rzucił dowódcy pytające spojrzenie, ten z pełnym uznaniem skinieniem głowy wyraził swoją zgodę.

Ta Saracenka rzeczywiście dorównywała mężczyznom. Krwawiły jej ręce, ale nawet się nie skrzywiła.

Konstancjusz oderwał pas płótna ze swej koszuli, aby Madulajn opatrzyć rany. Splunęła mu pod nogi.

– Oszczędźcie sobie takich gestów! – parsknęła. – Zajmijcie się raczej swoimi ludźmi!

Wtedy Czerwony Sokół spostrzegł, że jednemu z rybaków spadający bom strzaskał nogę, a sternik, który wytrwał na posterunku, ma złamaną rękę. Z pomocą Madulajn i Klarion opatrzył rannych. Tymczasem spadły pierwsze, grube krople i wnet zaczęła się ulewa.

Dzieci kryjąc się pod płachtą pobiegły na dziób i padły na sieci obok Szirat. Rybacy oderwali kawałek żagla, który wisiał w strzępach, i wręczyli go Madulajn jako osłonę od deszczu, aby w ten sposób wyrazić swoje podziękowanie.

Saracenka zobaczyła jednak, że Klarion drząc stoi na deszczu, podeszła więc i zarzuciła jej otrzymany kawałek płótna na ramiona, po czym odeszła bez słowa.

– Madulajn! – zawołała Klarion, otrząsnąwszy się ze zdumienia. – Proszę was z całego serca, chodźcie do mnie. Żagla starczy dla nas obu!

Uściśnęły się w strugach ulewnego deszczu, nim okryły się kawałkiem żaglowego płótna.

Poza Szirat, sufim i dziećmi nikt nie spał tej nocy. Zaledwie wyczerpano morską wodę na tyle, że nie groziła zatopieniem łodzi, użyto tych samych naczyń, beczek i kubłów do chwytania deszczówki. Wszyscy byli straszliwie spragnieni, pili więc, ile mogli, zagłuszając też w ten sposób głód. Cała żywność została zmyta z pokładu.

Przestało padać. Ludzie myśleli ze strachem o nadchodzącym dniu, gdy słońce zacznie palić niemiłosiernie, a oni nie będą mogli przed nim uciec. Wioseł nie było, z masztu został tylko kikut, żagle zwisały w strzępach.

Rybacy oznajmili Czerwonemu Sokołowi, że przy pierwszym brzasku muszą odebrać śpiącym każdy kawałek płótna, bo spróbują uszyć z resztek prowizoryczny żagiel, zanim skwar uniemożliwi wszelką pracę. Słodkiej wody wystarczy do południa. Siedzieli wszyscy oparci o burłę, nie mogli spać, tylko czekali przygnębieni na pierwsze czerwone promienie wstającego okrutnego słońca.

Ponieważ dzieci zajęły miejsce na dziobie łodzi, a Klarion i Madulajn leżały obok sufiego na rufie, Hamo wyciągnął się na jednej z niżej umieszczonych, wąskich ławek. Po jakimś czasie zbudził się z półsnu, woda w łodzi bowiem podniosła się aż do ławki. Łódź przeciekała!

Zerwał się na równe nogi i chciał już ogłosić alarm, gdy zobaczył statek. Był to duży, brzuchaty żaglowiec z wysokimi nadbudówkami, mocno nadwerężonymi przez sztorm. Właśnie stawiał żagle.

Hamo zaczął wołać o pomoc, czym obudził innych, którzy nie zwrócili nawet uwagi na blask na horyzoncie, zapowiadający wschód słońca. Wszyscy wymachiwali kawałkami płótna i szmatami, jakie znaleźli pod ręką. Żagle dużego statku wydeły się na porannym wietrze.

Rozbitkowie nie mogli z daleka rozpoznać proporca. Krzyczeli zrozpaczeni, bo żaglowiec zaczął się oddalać. Potem jednak opisał śmiały łuk i skierował się w ich stronę. Rozpoznali barwy Antiochii.

– Pozwólcie mi mówić! – poprosiła Klarion Czerwonego Sokoła. – Reprezentuję chrześcijańskie Otranto.

– Myślałem zawsze – warknął Hamo – że ja mam do tego prawo!

Czerwony Sokół nakazał mu milczenie i niemym gestem przyzwolił Klarion, by stała się ich rzecznikiem.

Tymczasem żaglowiec zbliżył się na odległość głosu. Miał na pokładzie silną załogę. Obszarpańcom w łodzi rybackiej rzuciło się w oczy, jak wspaniale tamci byli ubrani, przede wszystkim zaś to, że statkiem dowodził chłopiec najwyżej dwunastoletni.

On też teraz podszedł do relingu i zawołał:

– Kim jesteście?!

Klarion odkrzyknęła:

– Tutaj cesarskie Otranto, dobrzy chrześcijanie, na zniszczonym przez burzę statku!

– Czy nie jesteście dotknięci zarazą?!

Tu wtrącił się Hamo.

– Jestem hrabią Otranto. Wszyscy są zdrowi, nasza łódź przecieka, a na pokładzie mamy dzieci. Nie ociągajcie się z pomocą!

– *Cuncto ergo sum!** – powiedział chłopiec zarozumiale. – Ja, książę Boemund, syn Boemunda, księcia Antiochii i hrabiego Trypolisu, postanawiam przychylić się do waszej prośby...

– Szybko, drogi kuzynie! – zawołała Klarion. – Toniemy!

Brzuchaty statek podpłynął zreźnie bokiem, spuszczone drabinkę sznurową i Hamo pierwszy wspiął się na pokład. Uścisnął księciu rękę.

– Przyjmijcie wyrazy wdzięczności i pozwólcie, że objaśnię wam, komu tak wspaniałomyślnie uratowaliście życie...

Przedstawiał towarzyszy niedoli z wielką godnością. Klarion, która wspięła się tuż za nim, dygnęła dwornie przed Boemundem.

– Klarion, hrabina Salentyń, rodzona córka Jego Cesarskiej Mości Fryderyka!

Teraz Boemund, prawie przestraszony, wykonał głęboki ukłon, ale już padały dalsze świetne nazwiska. Rybacy podnieśli dzieci, które stroiły miny, gdy Hamo zapowiedział:

– Roger i Izabela z Montségur, grandowie francuscy!

– Jesteśmy królewskimi dziećmi! – dodała Jeza i książę pospieszył im naprzeciw.

– Mówcie mi Bo!

W tym momencie dzieci się roześmiały, Hamo bowiem omal się nie przejeździł.

– Ma... Ma... Manfred z Lecce – przyszło mu w ostatniej chwili do głowy imię dla Mahmuda, który skłonił się nieśmiało.

– Bo, Boemund z Antiochii – powiedział książę i podał malcowi rękę.

* *Cuncto ergo sum* (łac.) – waham się, więc jestem.

– Szirat, jego ciotka – ciągnął dalej Hamo nieporuszony. – Madulajn, margrabina Puntraschigny*, a to mój domowy nauczyciel – przesunął starego sufiego szybko dalej. Wreszcie, kiedy ostatniego rybaka przyjęto na pokład, po drabinie sznurowej wspiął się Czerwony Sokół.

– Konstancjusz, księżę Selinuntu! – zawołał Hamo.

– Przez cesarza osobiście pasowany na rycerza.

Czerwony Sokół skłonił się lekko, a Boemund wykrzyknął:

– Jakże jestem szczęśliwy, że zdołałem uratować tak dostojne osoby! Bądźcie moimi gośćmi na drugim śniadaniu!

Wtedy podszedł do niego Rosz.

– Drogi kuzynie – powiedział – ja chętnie zjadłbym pierwsze!

To zawstydziło Bo, więc zawołał na służbę.

– Zasiądźmy od razu do posiłku. Dla mnie ciepłe mleko z miodem!

– Dla mnie też! – oznajmiła Jeza. – I jajko.

– Czy lubisz jajka smażone na słoninie? – spytał Bo.

– Oczywiście – roześmiała się Jeza – takie jada się nawet w Rzymie!

– Byłaś tam? – stwierdzenie Jezy wywarło na Bo głębokie wrażenie. – Ja znam tylko Cypr, stamtąd właśnie płynę.

„My także”, chciała powiedzieć Jeza, ale Rosz szturchnął ją w porę i oznajmił:

– Nigdy nie byliśmy na Cyprze.

To ucieszyło Bo.

– Wszystko wam opowiem, ale najpierw musicie poznać moją siostrę.

Tymczasem na pokładzie ustawiono wielki stół, a ponieważ słońce dobrze już grzało, rozpięto nad stołem biały muślin. Zastawa była kosztowna, ale najwspanialsze wydały się wszystkim srebrne misy ze świeżymi owocami, które zapraszały, by ich skosztować.

– Przekażcie księżniczce Plaisance moją prośbę, by zaszczyciła nas swoim towarzystwem! – zawołał Bo.

Od grupy młodych kobiet, które w głębi cały czas z zaciekawieniem i chichotami obserwowały obcych, odłączyła się mniej więcej dwunastoletnia dziewczynka. Była o wiele grubsza niż mały Mahmud i miała już prawdziwy biust, co Jeza od razu z zazdrością zauważyła.

Jej służebne, młode pokojowe i starsze piastunki, ruszyły za nią jak zwarty rój za królową pszczoł.

Plaisance ledwie zwróciła uwagę na dzieci, spuszczać wstydliwie oczy podała rękę Czerwonemu Sokołowi i Hamonowi. Damy poprosiła, by zajęły miejsce obok niej przy stole.

* Puntraschigna (retorom.) – dosł. most Saracenów; obecnie Pontresina w dolinie Engandyny, u stóp przełęczy Bernina. Do dziś spotyka się tu nazwisko Saratz, a wieża z XI w. jest zwana wieżą Saracenów.

Klarion i Madulajn prześcigały się w ustępowaniu sobie pierwszeństwa, nazywały się wzajemnie siostrami i chętnie przyjęły zaproszenie. Szirat natomiast znalazła się w kłopotcie. Poza paroma przypadkowo zasłyszczanymi zwrotami nie знаła francuskiego i bała się, że podczas rozmowy zostanie rozpoznana jako muzułmanka. W dodatku wniesiono jajka smażone na słoninie, a więc, jak się słusznie domyśliła, na tłuszczu wieprzowym. Przyciągnęła pospiesznie do siebie małego Mahmuda.

Madulajn odgadła jej kłopoty i powiedziała do Plaisance:

– Nasza droga kuzynka złożyła śluby, wstąpiła do zakonu żeńskiego, który jej nakazuje milczenie.

– Chciałabym być tak pobożna! – westchnęła Klarion.

– Szczęśliwy, komu jest to przeznaczone – cicho powiedziała gruba Plaisance i nałożyła sobie pełny talerz.

Przy drugim końcu stołu Bo wskazał honorowe miejsce księciu Selinuntu, który zajął je razem z Hamonem, kierując czujne oko na dzieci, siedzące naprzeciwko Szirat i Mahmuda.

Stary sufi chciał zjeść posiłek razem z rybakami i załogą pod pokładem, ale Bo kazał go przyprowadzić.

– Mój ojciec, książę, mawia zawsze: „Szczanuj starość i mądrość, nawet jeśli są twymi najsurowszymi nauczycielami”.

Rzucił spłoszone, badawcze spojrzenie na starego, który jakby mu kogoś przypominał. Ponieważ sufi uporczywie milczał, Bo nakazał sobie spokój i zwrócił się do Rosza:

– Jestem w drodze powrotnej do domu z Limassol – podjął na nowo konwersację – dokąd towarzyszyłem swojej drogiej siostrze. Mój ojciec, książę, nie mógł się tam udać, zatem ja reprezentowałem dynastię Antiochii. Obchodziliśmy uroczyste zaręczyny Plaisance z królem Cypru, Henrykiem. Na zamążpójście jest jeszcze za młoda, chociaż nie chce się do tego przyznać!

– Czyżby chciała wyjść za mąż? – spytała Jeza.

– Nie wiem – odparł Bo – nie pytałem jej. Kościół zgadza się na ten związek, a wasz król Ludwik udzielił im swego błogosławieństwa!

– To nie nasz król! – wybuchła Jeza, nim Czerwony Sokół zdążył jej przeszkodzić. – My bowiem jesteśmy bardzo kacerskimi królewskimi dziećmi!

Bo nic z tego nie rozumiał, więc Jeza spróbowała mu wyjaśnić.

– Myślę, że król obawia się nas, bo my jesteśmy dziećmi prawdziwie królewskimi.

– I nie potrzebujemy żadnego błogosławieństwa Kościoła – pospieszył jej z pomocą Rosz.

– Aha – powiedział Bo z ulgą – to wy jesteście chyba jak nasi Grecy, którzy również nie chcą znać Kościoła i papieża, a przecież, jak mówi mój ojciec, książę, są naszymi najlepszymi poddanymi!

Czerwony Sokół, zadowolony, że rozmowa przybrała bardziej bezpieczny kierunek, wtrącił się, pomny chyba także swej misji.

– Więc Antiochia będzie uczestniczyć w krucjacie króla Francji?

Boemund z radością skorzystał z okazji zabłyśnięcia przed kimś biegłym w wyższej dyplomacji.

– Musieliśmy z żalem odmówić udziału. Nasz kanclerz i nasz konetabl... – wskazał dwornie na dwóch siwych mężów, którzy siedzieli pośród dzieci i kobiet i z wielką podejrzliwością obserwowali gościa – nasz pan kanclerz i nasz pan konetabl... – powiedział Boemund jeszcze raz głośno, ażeby tamci także usłyszeli i okazali radość z tego wyróżnienia, czego jednak nie uczynili, lecz dalej szeptali między sobą po grecku, młody książę więc ciągnął dalej: – wyłuszczyli panu Ludwikowi, że Antiochia ma do zwalczania tak wielu wrogów wokół własnych granic, że nie może się osłabiać. Przeciwnie – oświadczył dumny ze swej wiedzy – prosiliśmy króla, żeby pożyczył nam sześciuset łuczników...

– I pożyczył?

– O tak, ale tylko na dziewięć miesięcy, potem potrzebuje ich sam...

– A gdzie oni są? – spytał Rosz.

Bo uśmiechnął się zażenowany.

– Rozdzieleni po innych statkach. Towarzyszyła nam prawie cała flota Antiochii. Na tym statku nie ma żadnych – dodał – gdyż tutaj są, niestety, niewiasty. Potem w czasie sztormu zostaliśmy oddzieleni od floty.

– Straszliwa to była burza – odezwała się Jeza. – Z błyskawicami i grzmotami, straciliśmy maszt i człowieka.

– Przybywacie bezpośrednio z Otranto?

– Nie całkiem bezpośrednio – wtrącił szybko Hamo – złożyliśmy wizytę biskupowi Konstantynopola...

– Aha – powiedział Bo – patriarsze naszych kochanych Greków... ale przecież nie płynęliście tam na tej cypryjskiej rybackiej łodzi?

– Nie – odparł Czerwony Sokół – podróżowaliśmy cesarskim flagowym statkiem admirała. Zatonął podczas sztormu, a ci poczciwi rybacy nas wyłowili. Jesteśmy jedynymi, którzy przeżyli, cała nasza służba, żołnierze, marynarze utonęli.

– *Audaces fortuna iuvat** – oświadczył Bo, ale Jeza jeszcze nie skończyła wyliczania strat.

– Niestety on – pokazała na Rosza – stracił swój łuk, prawdziwy mongolski, którym można z konia...

Rosz omal się nie rozpląkał. Jeza rozdrapała ranę, która nie całkiem jeszcze była zablizniona. „Wszyscy muszą ponieść ofiarę”, przypomniał sobie słowa hrabiny.

– Ona – wskazał na Jezę – także straciła broń, sztylet, niezwykle kosztowny...

* *Audaces fortuna iuvat* (łac.) – śmiałym szczęście sprzyja

– Wcale nie, uratowałam go. – Jeza sięgnęła po sztylet.

Bo przyglądał się z uznaniem ostrej klindze, gdy tymczasem Rosz walczył ze łzami.

– Czy taka broń jest odpowiednia dla małej dziewczynki? – spytał Bo.

Zielone oczy Jezy zabłysły.

– Wystarczy, żeby zabić człowieka. – Z prowokującym spokojem odebrała mu sztylet. – Zabiłeś już kogoś?

Wetknęła z powrotem sztylet w kołnierz za barkiem i zarzuciła włosy na rękojeść. Włosy wciąż miała czarne, ale morską wodą i deszcz wypłukały już trochę farby, tak że stały się widoczne pierwsze jasne kosmyki.

Bo nie odpowiedział na pytanie.

– Mogę ci, jeśli chcesz – zwrócił się do Rosza, nad którym czuł przewagę – pokazać moje zbiory, tam znajdziemy z pewnością łuk, który ci się spodoba.

– Wolałbym miecz – odparł Rosz.

– Mój ojciec, książę – pouczył go łagodnie Bo – powiada, że dopiero pasowani na rycerza mogą władać mieczem, a nawet są do tego zobowiązani.

– Książę ma całkowitą rację – zgodził się Czerwony Sokół i dodał, zadając Roszowi cios z boku: – Zanim giermek zacznie służbę, musi się nauczyć, że nigdy nie może stracić powierzonej mu broni.

Taka niesprawiedliwość wołała o pomstę do nieba, toteż Rosz wrzasnął z wściekłością:

– Hrabina powiedziała, że żebrzące dzieci nie mają żadnych łuków – załkał pełen oburzenia – i zabrała mi mój!

– Obdarzę cię jak króla! – obiecał szybko Bo. – Chodź, pójdziemy do mojej cytadeli!

Miał dosyć towarzystwa dorosłych, a także Jezy, która nosiła przy sobie sztylet i do tego zachowywała się tak, jakby kogoś nim zabiła.

– Posiłek jest skończony! – Bo zerwał się z krzesła i po bratersku wziął Rosza za rękę.

Pobiegli razem na rufę, gdzie faktycznie stał piętrowy budynek z bierwion, zbudowany na kształt małego warownego zamku. Miał bramę, przy której stało dwu wartowników salutujących włóczniami. Za bramą znajdowały się pomieszczenia dla kobiet oraz strome schody prowadzące na górę. Tu były tylko cztery pokoje i ganek biegnący dookoła, skąd następnymi schodami można się było dostać do pomieszczenia w wieży.

– To jest mój zamek! – powiedział Bo z dumą. – Przez otwory strzelnicze mogę patrzeć na morze i mam na oku cały statek!

– Ale gdy zaczną strzelać katapulty – zauważył Rosz – pociski tutaj uderzą najpierw.

Bo popatrzył zdumiony na swego gościa.

– Wtedy tak czy tak muszę zejść na dół do kobiet – przyznał – ale to się jeszcze nigdy nie zdarzyło!

Na ścianach izby wisiały przepiękne rzeczy: miedziane rogi, bębny z malowanej gliny obciążone wielbłądzą skórą, noże z zębatymi klingami i zakrzywione szable, hełmy i pancerze, włócznie, strzały i łuki, nawet jedna kusza. Rosz nie mógł wyjść z podziwu.

– To wszystko należy do ciebie?

Bo roześmiał się protekcyjnie i ujął bogato zdobioną laskę, jakiej używają starzy ludzie przy chodzeniu. Wręczył ją Roszowi, który nie mógł ukryć swego rozczarowania.

– Co mam z tym robić?

Bo zrobił tajemniczą minę, wziął laskę w rękę, przekręcił uchwyt, jednym ruchem wyciągnął z osady ostry sztylet i skoczył jak szermierz w pozycji wypadowej.

– W zaskoczeniu tkwi połowa zwycięstwa, powiada mój...

– Wspaniale – przerwał mu Rosz – i chcesz mi to rzeczywiście podarować?

– Jeśli mi powiesz, kim naprawdę jesteście...

– Gdybym to wiedział, chętnie bym ci zwierzył. Jesteś prawdziwym przyjacielem.

– Czy wy jesteście dziećmi Graala?!

– Tak się mówi – odpowiedział Rosz zakłopotany, Boemund jednak nie popuścił.

– Byliście na Cyprze!

– Nigdy!

– A hrabina i historia z twoim łukiem i zebrzącymi dziećmi...

– Nie! – zawołał Rosz. – Nie znam żadnych zebrzących dzieci, my jesteśmy królewskimi dziećmi!

– Ale znasz hrabinę z Otranto, zwaną też Przeoryszą, grasującą po morzu na pirackiej trierzce...

– Ciotka Laurencja nie jest piratką! – zawołał Rosz, straszliwie oburzony.

– To nie jest wasza matka?

– Nie!

– Jeśli kłamiesz, nie dam ci laski.

W tym momencie pojawiła się Jeza i Rosz powiedział szybko:

– Wcale jej nie chcę!

Dziewczynka poświęciła skarbcowi jedynie przelotne spojrzenie.

– Nie podoba ci się moja broń, Jezo? – spytał Bo przymilnie.

– Za dużo tego – powiedziała krótko. – Masz przecież tylko dwie ręce.

Księżę zrozumiał, że ona faktycznie mogła zabić człowieka.

– Rosz nie zna waszej matki – próbował wygrać dzieci przeciwko sobie.

– Ja także nie – odparła Jeza. Wcale nie zamierzała tego zarozumiałca Bo dopuścić do udziału w swych wspomnieniach.

– A wasz ojciec? – Bo przebił ostatnią kartą.

Jeza zastanowiła się, jak go powinna przywołać do porządku.

– Czy słyszałeś o sławnym Trencavelu, zwanym również Parsifalem?

Była przekonana, że to nazwisko nic mu nie powie, a wtedy będzie miała spokój.

– O tak! – zawołał Boemund. – Pewien trubadur śpiewał nam o nim w Antiochii, o rycerzach Okrągłego Stołu wielkiego króla Artura...

– No więc – rzekła Jeza uroczyście – rozumiesz teraz, dlaczego nam, dzieciom, nie pozwala się o tym mówić?

Bo umilkł zażenowany. Jego ojciec wówczas podobnie zobowiązał go do milczenia. To było podniecające.

– Wielka tajemnica? – spytał nieśmiało.

Jeza napawała się zwycięstwem.

– Są sprawy, których nie pojmiesz, jeśli nie dość przeżyłeś.

To jej powiedział stary sufi. Nie okazała jednak pokonanemu wzdargy. Złapała wyciągniętą rękę Bo, który przytrzymał dłoń Rosza, przekazując mu laskę. Wszystkie trzy dłonie spoczęły teraz na sekretnej broni, a Boemund oświadczył uroczyście:

– Zawijemy przyjacielskie przymierze, Bractwo Tajnego Miecza!

Jeza uznała to wprawdzie za głupie, ale nie zaprotestowała. Takie zabawy lubią chłopcy, a Rosz wydawał się zadowolony. Westchnęła i spytała Boemunda:

– Gdzie można tutaj zrobić siusiu?

*

Pod wieczór zbliżyli się do wybrzeża. Statek z Antiochii był uszkodzony – w czasie sztormu stracił ster – wszyscy cieszyli się więc, że wiatr nie wypchnął ich na pełne morze, lecz przygnał do lądu.

Boemund przyjął wyjaśnienia greckiego kapitana, iż najpierw muszą naprawić ster, nim pomyślą o tym, by pod osłoną wybrzeża popłynąć ku północy aż do Saint Simon, najbliższego portu Antiochii.

– Zejdziemy na ten czas na ląd – zdecydował Bo.

– Odradzałbym to, książę – rzekł konetabl, jeden z ponurych doradców, których mu przydał ojciec. – Jeśli się nie mylę, przybijemy do brzegu akurat między Markabem, zamkiem joannitów, i Tortosą, twierdzą templariuszy.

– Od obu nie możecie oczekiwać nic dobrego – dorzucił kanclerz – mówiąc dokładniej tylko kłopotów...

– Nie odważą się! – wykrzyknął Bo z oburzeniem, ale kanclerz pokiwał łysą głową.

– Kłopotów, ponieważ w swej wielkoduszności udzieliliście gościny...

Boemund tupnął po pańsku nogą.

– Nie pozwalam wam powiedzieć ani słowa przeciwko moim przyjaciołom!

– Nie mam na myśli, książę, królewskich dzieci, lecz niewiernych...

– Rozpoznałem od razu sławnego sufiego Abu Basita. – Boemund próbował poskromić kanclerza. – Przed rokiem był gościem przy stole mego ojca, księcia, gdy przejeżdżał przez Antiochię. Zaszczycem dla mnie jest gościć go na pokładzie mego statku!

– Pozwoliliśmy sobie, książę – wychrypiał konetabl – poprosić czcigodnego Abu Basita na rozmowę. Wyznał, iż wcale nie jest nauczycielem waszych przyjaciół, królewskich dzieci, lecz że jego podopieczni to syn i siostra dowódcy gwardii pałacowej w Kairze, mameluckiego emira Rukn ad-Din Bajbarsa, zwanego Łucznikiem, chyba najniebezpieczniejszego wroga chrześcijaństwa.

Ledwie konetabl wypowiedział oskarżenie, gdy przed Boemundem stanął oburzony Czerwony Sokół, okazując pogardę obu doradcom.

– To tak się szanuje w Antiochii starość i mądrość, to tak książę traktuje swoich gości?! – Wyciągnął rękę w stronę sufiego, którego wyprowadziły spod pokładu Szirat i Madulajn. Na nagim grzbiecie starca widać było krwawe pręgi. Dzieci pobiegły do sufiego, mały Mahmud płakał. Boemund zrobił się bładny jak kreda, drżał z wściekłości.

– Precz z moich oczu! – syknął do kanclerza i konetabla. – Sądzić was ma prawo tylko książę, ale splamiliście mój honor. A mój honor to honor Antiochii!

Obaj doradcy skłonili się z lodowatymi minami i opuścili cytadelę księcia.

Bo zwrócił się do Czerwonego Sokoła.

– Poproście tu moich przyjaciół, ażebym mógł błagać ich o przebaczenie. Nie mogę teraz wyjść, umarłbym ze wstydu.

– Nie – powiedział Czerwony Sokół – opuścimy wasz statek, gdy tylko dotknie ziemi w kraju, który należy do następców Proroka i zbyt długo już znosi butę chrześcijan.

– Wobec tego będę wam towarzyszył! Byłoby wprawdzie mądrzej spędzić tę noc na pokładzie, ale hańba jest gorsza niż każde niebezpieczeństwo, które może czyhać na lądzie.

Zmierzch zapadał szybko. Boemund rozkazał przygotować dwie łodzie wiosłowe i zaledwie kamieniste dno zazgrzytało pod kilem statku, spuszczone je na wodę.

Dzieci, królewskie i pogańskie, trzy młode kobiety i obity sufi wsiedli do jednej, Boemund i tyłu jego żołnierzy, ilu barka mogła pomieścić, oraz Hamo i Czerwony Sokół do drugiej. Żadne żartobliwe słowo, żadne pozdrowienie nie przeleciało między obydwoma łodziami, kiedy płynęły kierując się ku piaszczystej zatoce między skałami.

Było już ciemno, gdy dotarli do lądu i rozłożyli się obozem na plaży.

Boemund nie zniósł długo milczenia, które odbierał jako pogardliwe. Kazał żołnierzom rozpalić ogień, ażeby się wszyscy mogli ogrzać. Potem wstał i przeszedł do drugiej grupy.

Zastał sufiego na kolanach, z twarzą zwróconą w stronę Mekki, zatopionego w modlitwie.

– *Asa Allahu an jadżala bajnakum wa bajna al-lazina adajtum minhum mawaddatan wa-Allahu Kadirun wa-Allahu Ghafurun wa-Rahimun* *.

* *Asa Allahu an jadżala...* (arab.) – Być może, Bóg ustanowi między wami i tymi spośród was, dla których jesteście wrogami – przyjaciół. Bóg jest wszechmocny! Bóg jest przebaczący, litościwy! (Koran, sura LX, *Al-Mumtahana*, werset 7; tłum. J. Bielawski).

Księżę czekał w milczeniu, nie próbował też ułoić spojrzeń przyjaciół, którzy nie zwracali na niego uwagi. Gdy sufi skończył, Bo przyklęknął, chwycił jego rękę i ucałował.

– Wybaczcie mnie i moim ludziom – szepnął.

Wtedy stary Abu Basit powiedział:

– *Ana arif kajf nar az-zum takwi**, zdrada pali skórę jak grecki ogień, okrutniejszy jednak od wszystkiego jest chłód, wkradający się do serca, w które hańba wbiła swoje ostrze. Proszę was, młody panie, strzeżcie się przed tym. *Inami bi-dif al-hubb al-lazi astakihi min haja 'iki**.

I pokrył dłoń księcia pocałunkami. Bo cofnął ją łagodnie, wstał i poszedł na brzeg morza. Płakał. Spoglądał na morze, w stronę statku, na którym zachowywał się z taką pychą, taką pogardę okazywał innym... Jeśli kiedyś zostanie księciem Antiochii...

Był zdumiony, gdy spostrzegł, że tuż za nim przycupnęli w piasku przyjaciele i że mały Mahmud jest z nimi. Nie tyle się do nich przysiadł, ile rzucił się im do stóp.

– Chcemy przyjąć Mahmuda do naszego bractwa – powiedział Rosz z naciskiem, ale nie był całkiem pewny swojej sprawy, więc dorzucił: – Co o tym myślisz?

– On jest muzułmaninem...

– Ojej – przerwała Boemundowi Jeza – ja też nie jestem chrzczona, w każdym razie nie przez jakiegoś kapłana Kościoła, jestem córką Graala!

– Chcę być jego rycerzem! – zawołał Bo z emfazą.

– No to daj Mahmudowi rękę – oznajmił Rosz i szturchnął grubego malca, który nie okazywał zainteresowania ceremonią Bractwa Tajnego Miecza. Złapali więc jego rękę i położyli na lasce z ukrytym sztyletem.

– Bez względu na to, w co wierzymy – oświadczył Boemund – jesteśmy teraz związani do śmierci.

Patrzyli zafascynowani na Czerwonego Sokoła, który wyciągnął z ognia dwie płonące gałęzie i teraz na plaży niedaleko dzieci kreślił na nocnym niebie koła, fale i kreski, często opuszczając gałęzie na piasek, tak że ich żaru nie było widać. Gdy je znowu podnosił, rozżarzały się i mógł dalej nadawać sygnały.

– Czy on jest szpiegiem? – spytał Bo zdenerwowany, ale Jeza go uspokoiła.

– Nasz towarzysz – omal nie powiedziała „Czerwony Sokół” – jest podobnie jak ty strażnikiem Graala. Oni są wszędzie! – szepnęła tajemniczo.

Czerwony Sokół wrzucił pochodnie do morza, gdzie sycząc zgasły. Podeszedł ku dzieciom.

– Jeśli ognisko zdradziło już naszym wrogom, że ktoś tu przybił do brzegu – powiedział cicho i zabrzmiała w tym nuta rozbawienia – nasi przyjaciele także powinni wiedzieć, że to wy tutaj przybyliście! – Skłonił się w ciemności.

– Odpocznijcie teraz. *Namu ala an Allah jahmiku**

* Ana arif kajf... (arab.) – wiem, jak boli rana niesprawiedliwości.

* Inami bi-dif... (arab.) – ogrzej się miłością, którą czerpię z twojego wstydu.

* Namu ala an Allah... (arab.) – niech Allah strzeże zawsze waszego snu.

Dzieci ułożyły się i natychmiast zasnęły.

Czerwony Sokół trzymał straż. Okrążał małą grupkę swych podopiecznych. Trzy młode kobiety umieściły się w pobliżu ognia. Leżały tam mocno przytulone do siebie, Madulajn pośrodku z głową na ramieniu Klarion, do jej pleców przylgnęła Szirat. Czerwony Sokół nie mógł się oprzeć pokusie i ostrożnie podszedł bliżej. Warkocz błyszczących ciemnych włosów opadł Saracence na twarz, mocna pierś podnosiła się i opadała poruszana spokojnym oddechem, ręka spoczywała na udzie, co zdradzało zsunięte okrycie. Czerwony Sokół przyłapał się na tym, że z całego serca zazdrości obu kobietom ich miejsca tuż przy ciele pięknej Saracenki. Chętnie zamieniłby się z Szirat i przycisnął swoje lędźwie do krągłych pośladków Madulajn. Nie pogardziłby też miejscem Klarion. Obserwował Madulajn ze skrytym pożądaniem i wyobrażał sobie, że trzyma tę dziką dziewczynę w ramionach.

Madulajn nie spała. Jej sen zwykle był lekki, budziła się zawsze, gdy ktoś podchodził bliżej. A tego mężczyzny przecież oczekiwała. Czy o nim marzyła? Opuściła powieki, by zakryły ogień jej oczu. Zmusiła się, by stłumić narastające podniecenie. Nie zamierzała dać satysfakcji Czerwonemu Sokołowi, temu człowiekowi, który sobie wyobrażał, że wystarczy jeden jego uśmiech, aby ją zdobyć. Zaciśnęła usta i odwróciła od niego twarz, ukryła ją, jakby zmorzona snem, na miękkiej piersi Klarion, naciągnęła także na siebie okrycie.

Czerwony Sokół westchnął i odszedł cicho w ciemność.

Z diariusza Jana ze Joinville

Limassol, 19 października A.D. 1248

Wieczorem poprosił mnie do siebie król Ludwik. Udałem się do pałacu, gdzie zaprowadzono mnie do *maître* Roberta. Powiedział mi, że Jego Królewska Mość jest niezdrów, lekarze zalecili mu odpoczynek w łóżku i unikanie wszelkich wzruszeń, więc żebym zechciał to wziąć pod uwagę, jeśli już wizyta musi dojść do skutku. Gdy wchodziłem do królewskiej sypialni, spotkałem w drzwiach królową Małgorzatę, która ją właśnie opuszczała. Przywitała mnie łaskawie i wcale nie robiła wrażenia zatroskanej stanem zdrowia małżonka.

Pan Ludwik, wsparty poduszkami, nie wydawał mi się bardzo chory. Nie zwracał też uwagi na cierpienniczą minę *maître* Roberta.

– Mój drogi Joinville – przywitał mnie nieco zachrypniętym głosem – jak tam wasza kronika?

Nim zdołałem odpowiedzieć, ciągnął dalej:

– Muszę wyrazić wam pochwałę za dyplomatyczną zręczność, z jaką zakończyliście nieszczęsny spór zakonów!

Byłem tak zdumiony, że musiało to wyglądać na nadmierną skromność, gdyż król powiedział:

– Nie krępujcie się, usiądźcie obok mnie! Może zarazę was, ale nie będę musiał mówić tak głośno, żeby *maître* z Sorbony słyszał każde słowo.

Król był więc w dobrym humorze, czego nie można było powiedzieć o jego spowiedniku. Pan Ludwik odkaslnął jeszcze i szepnął chrapliwie:

– Teraz, kiedy dzieci już nie ma, możecie mi przecież o nich opowiedzieć...

– Dziwna rzecz – zacząłem ostrożnie – z jednej strony żyje na świecie dwoje prześlicznych dzieci z krwi i kości, które chciałyby się pieścić i przytulić do serca, czasem także wychłostać, bo są to dzikie dzieci, w dojrzałości i życiowym doświadczeniu dalece wyprzedzające swój wiek...

– Czyż mój kuzyn Fryderyk w czasach dzieciństwa w Palermo nie wzrastał jak dziki kot?
– wpadł mi w słowo król.

– Owszem, tak mówią. Ja zaś czuję wciąż podziw dla cesarza, gdy myślę o jego pragnieniu wiedzy, lub ogarnia mnie lęk z powodu śmiałości jego myśli!

– Opowiedzcie mi więcej, drogi Joinville, wydaje mi się, że wysłałem do Konstantynopola właściwego obserwatora.

Smakowałem przez chwilę tę pochwałę – choć ją już nie pierwszy raz słyszałem – jak słodkie kandyzowane owoce, które tutaj na Cyprze umieli przyrządzać arabscy cukiernicy. Byłem jednak bardzo zdumiony zainteresowaniem, które król okazywał dzieciom.

– Z drugiej strony – powiedziałem – żyją też gdzieś na świecie „królewskie dzieci”! Czy są to te same dzieci, czy nie? Mogę tylko stwierdzić, że chłopiec imieniem Rosz i dziewczynka o jasnych włosach, na którą wołano Jeza, byli przy hrabinie Otranto, gdy triera przybiła do brzegu w Limassol, i że dzieci, podobnie jak wszyscy inni, którzy podróżowali tym statkiem, zostały zabrane do siedziby templariuszy. Nie opuściły jej, jeśli można dać wiarę Janowi z Ronay, zastępującemu wielkiego mistrza joannitów, chyba że kominem. I jeśli można się zdać na waszego znakomitego tropiciela, pana Iwona Bretończyka, który zbadał siedzibę templariuszy natychmiast po opuszczeniu jej przez obrażonych gospodarzy, znalazł on tam tylko odpowiedni dla dziecka, typowy mongolski łuk ze strzałami. A przecież cały Cypr mówi o tym, że dzieci tam były.

– To są urojenia – zbeształ mnie *maître* Robert. – Gdzie naukowe dowody!

– Ach – szepnął król – to są ci nowocześni kapłani, którzy za wiele myślą i nie umieją już wierzyć. *Maître* również cesarzowi puściłby krew, aby sprawdzić, czy jest szlachecka...

– Czy może to krew żony rzeźnika! – wtrącił złośliwie pan z Sorbony.

– Dziękuję za relację, Joinville – rzekł król. – Miejcie nadal nie tylko oczy otwarte, lecz także uszy nastawione na wszystko, czego o tych dzieciach możecie się dowiedzieć!

– I zapisujcie każdą plotkę – zakpił pan Robert – każdą paplaninę na bazarze, każdą wizję jakiejś niechlujnej staruchy, co myśli, że widzi aniołki, gdy spotyka dwoje odzianych w koszule żebraczych dzieci, na które padł odbłask światła!

– *Maitre* Robercie – odezwał się król surowo – nie chcę słuchać takich wynurzeń. Poza tym naszemu Zbawicielowi miłsze jest dziecko żebraka niż anioł, który jego pocieszenia nie potrzebuje.

– Przybyły jako dzieci królewskie – *maitre* Robert musiał mieć ostatnie słowo – uciekły jako dzieci żebracze. Taką wersję ja znam!

– Nie słuchajcie go – powiedział król. – Nie potrafi zrozumieć tego, co nas łączy, drogi Joinville, tęsknoty za dziewczcą Maryją, dla swego dziecka matką, siostrą i ukochaną jednocześnie, naturalnie w przenośni. Myślcie o tym, co Grecy nazywają *agape*^{*}, nie zaś o zdrożnej Wenus Rzymian!

Moje wykształcenie nie pozwoliło mi wyobrazić sobie *agape*, czego nie można powiedzieć o obrazach związanych z Wenerą. Jeśli król miłość uważał za bóstwo, a tak wyjaśniali mi moi nauczyciele *agape*, po co miała w tym brać udział nie w pełni dojrzała kobieta? Pozostawiłem pana Ludwika w przekonaniu, że jak najbardziej podzielam jego dziwaczne preferencje, i poprosiłem, żebym mógł się oddalić ze względu na jego zdrowie.

Nie wiem dlaczego, ale wizyty u króla budziły we mnie pragnienie, dające się ugasić tylko dużą ilością dobrego wina. W tawernie „Pod Pięknym Widokiem”, która dawała mi także nadzieję, że będę mógł niebawem opuścić tę wyspę, natknąłem się ku mojemu ubolewaniu na złądaczzonego mnicha.

William z Roebruku, kompletnie pijany, kłócił się ze swą ladacznicą, którą mi z uporem po raz któryś przedstawił.

– Ingolinda z Metz – wybelkotał.

To była prawie moja rodaczka. Joinville leżało przecież niedaleko Metz i nie chciałem karać tej kobiety za odrazę, jaką odczuwałem do franciszkanina. Usiadłem oczywiście przy innym stole, ale natychmiast przysiedli się do mnie.

Kłótnia szła o to, że Ingolinda sprawiła Williamowi nowy strój, w którym podobny był raczej do grubego biskupa niż do minority. Habit był wprawdzie brązowy, ale z delikatnego płótna, kołnierz i brzegi miały aksamitne oblamowania, sznur zaś, który opinał brzuch, był ukrecony z jedwabnych nici. Tylko drewniany krzyż przypominał jeszcze o biednym Franciszku, ale wyglądał naprawdę obco na piersi Williama, na której ladacznica łkając leżała bądź bębniła po niej pięściami.

William wbił sobie do głowy, że znowu wstąpi na służbę do króla Ludwika. Jego dotychczasowych prób, aby zostać dopuszczonym do audiencji w pałacu, nie uwieńczyło powodzenie, a więc sprawił sobie nowy strój. Ingolinda o tym nie wiedziała, gdy zamówiła

* *Agape* (gr.) – miłość platoniczna, miłość do Boga.

habit u najdroższego krawca wyspy; łudziła się, że mnich porzuci swe łąchy, by jej się przypodobać.

– Wobec tego rozbieraj się natychmiast, oszuście! – zażądała rozzłoszczona, gdy do izby szynkowej weszli dwaj niezwykli dziwacy. Musieli przybyć papieskim żaglowcem, który przywiózł legata. Nie zdołałem się przyjrzeć dokładnie wysokiemu chudzielcowi i niskiemu grubasowi, ponieważ William zniknął nagle pod stołem.

– Asasyni! – wysapał. – Szukają mnie!

Wówczas Ingolinda roześmiała się w głos.

– Wyjdz, mój bohaterze! – czknęła. – To są dwaj nestorianie, niewinni kapłani, których już w Konstantynopolu wychłostali żołnierze biskupa, uważali ich bowiem za skrytobójców.

William ośmielił się zerknąć ukradkiem ponad blatem stołu, wtedy ci dwaj zobaczyli go i rozpromienili się z radości. Rozpoznali także Ingolindę. Przysiedli się zaraz do nas i opowiedzieli, że przebywali cały rok w Rzymie u papieża.

– On wciąż chciał, żebyśmy mu pokazali nasze pełnomocnictwa – jeszcze teraz unosił się z oburzeniem chudzielec, który nazywał się Sargis, ale jego serdeczny towarzysz imieniem Ajbak utrzymywał, że *pontifex maximus** przyjął ich mile.

– Jego Świątobliwość dbał, aby nam na niczym nie zbywało – mrugnął poufale do Ingolindy – a nic nie jest tak upadłe jak ta *urbs**!

– Tak, *caput mundi** to jedynie kupa ruin! – zgodził się z nim Sargis.

– Myślę o kobietach! – sprostował Ajbak. – Zadki jak marmur! Cyce jak dynie!

– Dlaczego tam nie zostaliście? – spytała marzyciela Ingolinda i trzepnęła go po łapach.

– Musimy wrócić do naszego władcy Bajdzu, wielkiego księcia Mongołów – wyjaśnił Sargis kwaśno – i wnieść zażalenie, gdyż nic nie przedsięwzięto, aby doprowadzić do sojuszu!

– Tego mianowicie oczekuje Ojciec Święty – dorzucił Ajbak – od naszego pana Bajdzu, zamiast udać się do niego samemu, poddać się i prosić o pomoc, tak jak mu to wypada uczynić!

– I teraz chcecie to zaproponować królowi Francji? – wtrąciłem się rozbawiony.

– Tak – odparł Ajbak szczerząc zęby; udało mu się przysunąć bliżej do Ingolindy – jesteśmy oczekiwani na audiencji...

– Ale – wtrącił Sargis – jeśli się nas wcześniej nie zapewni, i to upominkiem, że król uda się z nami do Bajdzu, wcale na audiencję nie pójdziemy.

William ujrzał przed sobą szansę.

– Chętnie będę wam towarzyszył i wstawię się za wami u króla, uchodzę przecież za znawcę mongolskich obyczajów...

* Pontifex maximus (łac.) – najwyższy kapłan, czyli papież.

* Urbs (łac.) – miasto; Rzym.

* Caput mundi (łac.) – stolica świata, czyli Rzym.

– Tu nie chodzi o fatalaszki – rozzłościł się Sargis – ale o kwestie militarne! Do tego trzeba dyplomacji.

– Właśnie – przytaknął William – dlatego proszę was przecież, żebyście uczynili pierwszy krok i złożyli królowi wizytę. Reszta się już jakoś ułoży.

– Nic się nie ułoży! – odezwała się oburzona Ingolinda. – Jeśli się znowu przykleisz do króla, możesz tam od razu zostać przy kucharkach! Rozważ sobie dobrze, co wolisz: albo być moim panem, albo na królewskim dworze zadowolić się matą modlitewną, i to w kącie przy kuchni!

– Uczyniliśmy już wiele kroków – oświadczył Sargis z goryczą – pojechaliśmy aż do Rzymu, a Zachód nie chce zrozumieć, że centrum świata leży w państwie Mongołów i że wielki chan jest władcą wszystkich władców. Dlaczego mu się więc nie pokłonić!

– Dlatego – powiedziałem – że nasz król jest ustanowiony z Bożej łaski i namaszczonej.

– My modlimy się do tego samego Boga – odpowiedzieli – jesteśmy chrześcijanami, podobnie jak wy, tak jak Nestor był apostołem równym Piotrowi, który między uczniami wcale nie był najrozumniejszy.

To mnie przekonało.

– Bóg jest ze słabymi na umyśle – odparłem – a więc bardziej my możemy liczyć na Jego łaskę niż wy na Wschodzie!

– Zbyt wielką głupotę karze się u nas jak zdradę stanu: utopieniem – rozważał głośno Ajbak. – Bóg dobrze uczynił, że nie rozdzielił jednakowo swojej łaski.

– *Bibemus, tempus habemus et expendere noscimus* *! – pojednawczo zaproponował William, co świadczyło o jego rozsądku.

Nad rozbitkami spoczywającymi na wybrzeżu *Terrae Sanctae* wzeszło słońce, wcale przez nich nie dostrzeżone. Spali do późnego ranka.

Ogień żarzył się tylko jeszcze i z ogniska nie unosił się żaden dym, a przecież od północy zbliżał się wzdłuż wybrzeża obłok kurzu, z którego przeblyskiwała błękitna stal i czerwone płótno.

– Panowie z Markabu – powiadomił Czerwony Sokół księcia Antiochii. – Joannici, nie zobowiązani do trybutu wobec waszego ojca, księcia, ale dobrze usposobieni.

– Gdy chodzi o nich, nigdy nic nie wiadomo! – zawołał Bo i kazał swemu małemu oddziałowi dobyć mieczy.

– Schowajcie broń! – poradził Czerwony Sokół. – Pozwólcie innym rozbijać sobie głowy.

I wskazał na południe, gdzie od Tortosy nadciągał również oddział jeźdźców. Ich białe płaszcze z czerwonymi krzyżami powiewały na wietrze.

– *Baucent à la rescousse!* * – zawołał Hamo. – Jakbyśmy wcale nie odpływali z Cypru!

* *Bibemus, tempus habemus...* (łac.) – wypijmy jeszcze, mamy czas i umiemy z niego skorzystać!

* *Baucent à la rescousse!* (fr.) – na odsiecz sztandarowi! (zawołanie bojowe templariuszy).

Joannici dotarli do grupki na plaży pierwsi, zobaczyli też zapewne zakotwiczony w pobliżu duży statek, na którym powiewał proporzec domu książęcego Antiochii. I zobaczyli, że ich rywale już się zbliżają.

Konetabl szpitalników, jak na to wskazywała wieziona za nim chorągiew, nie był jednakże człowiekiem, który szybko dawał się nastraszyć.

– Jesteście aresztowani! – polecił przekazać przez wysłanego przodem herolda. – Poddajcie się naszemu zakonowi!

Joannici zsiadli z koni i próbowali zająć jak najkorzystniejszą strategiczną pozycję, okrążyć grupę na plaży, nim wmieszają się templariusze.

– Złóżcie broń! – zawołał jeszcze raz herold. – Jeśli nie...

Przerwał, bo ze skał nad nim runęło osuwisko, przed którym musiał uskoczyć. Templariusze nie spieszyli się, nie byli w tym momencie widoczni, musieli się jednak wkrótce pojawić.

– Panowie z Markabu... – zaczął Czerwony Sokół, a przestraszona Klarion od razu uczepiła się jego ramienia.

Dzieci nie okazywały żadnego strachu.

– Znowu joannici! – skrzywił się Rosz.

– ...sprzedają z upodobaniem swoich jeńców An-Nasirowi z Aleppo – dokończył zdanie Czerwony Sokół.

– A ten jest nienasycony – podjął wątek Hamo – jeśli chodzi o kobiety nowo przybyłe do jego haremu.

– Skąd to możesz wiedzieć, braciszku? – parsknęła Klarion, jednak Bo miał coś ważnego do dodania.

– An-Nasir zdobył właśnie Homs^{*} i wypędził stamtąd swego kuzyna Al-Aszrafa.

– Nie zapytawszy o zgodę twojego ojca, księcia? – zakpiła Klarion akurat w chwili, gdy szerokim frontem zbliżyli się do plaży templariusze.

Ich młodzieńczy dowódca odłączył się od oddziału i skierował ku okrążonej przez joannitów grupce. Konetabl joannitów, w towarzystwie chorążego i dwu sierżantów, ruszył szybko w dół zatoki i kazał zatknąć w piasku swoją chorągiew tuż obok wygasłego ogniska. O zebranych tam nie zatroszczył się w najmniejszym stopniu, lecz poszedł ku templariuszowi, który dumnie przedstawił się z konia.

– Renald z Vichiers, *Sacrae Domus Militiae Templi Hierosolymitani Magistri!*^{*} – zawołał wyzywająco. – Od kiedy to, Janie Łukaszu z Granson, łowicie na tym pasie wybrzeża, tak daleko od Markabu? Czy aż dotąd sięga wasza władza?

– A czy Tortosa leży bliżej? – odszczeknął konetabl. – A może panowie Świątyni wyobrażają sobie, że mają prawo do całego wybrzeża od Dżabali do Trypolisu?

^{*} Homs – miasto i emirat w Syrii.

^{*} *Sacrae Domus Militiae...* (łac.) – Nadzorcy Straży Świętego Domu Świątyni w Jerozolimie; pełna nazwa zakonu templariuszy.

Templariusz roześmiał się gromko.

– Proponuję podzielić zdobycz albo nie będzie żadnej! – spiął konia, aby podkreślić tę z lekką rzuconą groźbę.

– Nie będzie żadnej – powiedział konetabl ponuro.

Zauważył wcześniej niż jego przeciwnik to, co Czerwony Sokół, spoglądający niby obojętnie ku ostrym skałom wybrzeża, dawno już spostrzegł. Z gór schodziła kłębiąca się mgła. Z wąwozów wypełzał gęsty opar i tak szybko zakrywał strome wybrzeże, że konetabl nie mógł już rozpoznać własnych ludzi.

Jednocześnie ustał poranny wiatr i zrobiło się zupełnie cicho, umilkły nawet mewy.

– Asasyni! – krzyknął Granson w bezsilnej trwodze. Oni byli tajnymi panami gór, u stóp których leżały zakonne zamki nad morzem.

– Wobec nich powinniśmy się powstrzymać! – odezwał się łagodząco Renald z Vichiers, gdy zobaczył, jak ze skał ponad ich głowami podnoszą się łucznicy.

Nagle dał się słyszeć głucho dudniący głos:

– Niech każdy zostanie na swoim miejscu!

– Czy to był szejek Raszyd ad-Din Sinan, Starzec z Gór? – szepnął podniecony Hamo.

– On już od dawna nie żyje – odparł również szeptem Bo.

– Niech rycerz cesarza podejdzie bliżej! – rozległ się znowu głos, który brzmiał głucho, jakby wzmocniony przez tubę.

Czerwony Sokół wiedział, że może chodzić tylko o niego, więc ruszył naprzód, przechodząc obok obu mężów zakonnych, jakby byli powietrzem. Wiedział też, naprzeciwko kogo stanie. Rozpoznał głos. Przeszedł przez łańcuch joannitów, którzy drgnęli nerwowo, gdy wyłonił się z mgły i znowu w niej zniknął.

Nagle pojawił się przed nim Crean z Bourivanu i położył palec na ustach na znak milczenia. Przywódca asasynów z pokrytą bliznami, smutną twarzą prowadził Czerwonego Sokoła obok grot, z których wciąż wydobywała się coraz gęstsza mgła.

Stąd już nikt nie mógł ich usłyszeć.

– Witamy w ojczyźnie prawowiernych, Fassr ad-Din Oktaju – odezwał się Crean.

Syn wielkiego wezyra odpowiedział na powitanie niemym ukłonem.

Crean, który nie miał jeszcze pięćdziesięciu lat, posiwiiał mocno od czasu, kiedy po raz ostatni się spotkali.

– Przywozicie dzieci – powiedział. – Długo ich oczekiwaliśmy.

– Wiem – odparł Czerwony Sokół – ale to nie leżało w moich rękach...

– *Hum fi ra'i'at Allah** i Allah wie, jaki czas jest właściwy. Kto jest z nimi oprócz Klarion z Salentyń i Hamona l'Estrange?

– Syn i siostra Bundukdari.

* *Hum fi ra'i'at Allah* (arab.) – spoczywają w ręku Allaha.

– Ci będą wiele warci dla templariuszy – rozważał Crean – są przecież w zмовie z twoim sultaniem.

– Czy sultan Ajjub przebywa nadal w Damaszku? – spytał Czerwony Sokół zatroskany.

– Z pewnością pozostanie tam tak długo, aż An-Nasir zwróci Homs prawowitemu właścicielowi. Sultani jest bardzo zagniewany zatargiem między swymi siostrzeńcami.

– Ponadto – podjął Czerwony Sokół – jest jeszcze sufi Abu Basit. Towarzyszył małym mamelukom w ich pielgrzymce, w trakcie której natknęli się pechowo na trierę naszej starej przyjaciółki Laurencji.

– A ta druga młoda dama?

– To tylko służebna Klarion – powiedział Czerwony Sokół.

– Wszystkich nie będziemy mogli zażądać – rzekł z namysłem Crean – zresztą dzieci są dla nas najważniejsze.

– Muszę uprzedzić sultana – oświadczył Czerwony Sokół.

– No więc trzymajcie się templariuszy! – odparł przywódca asasynów. – Idźcie teraz i przyprowadźcie mi dzieci!

Czerwony Sokół ruszył znowu między skałami we mgle w stronę zatoki. Podszedł do Renalda z Vichiers i wręczył mu pieczęć, która świadczyła, że jest tak ważną osobistością, iż żaden templariusz niższej rangi w hierarchii zakonu nie może mu stawiać pytań.

– Dlaczego nie daliście się rozpoznać od razu? – powiedział młody rycerz z wyrzutem. – Jestem na rozkaz.

– Będę wam towarzyszył. – Czerwony Sokół odebrał tajną pieczęć. – Królewskie dzieci są oczekiwane jako goście w Masnacie. Tak rozstrzygnięto! Co do pozostałych, musicie się ugodzić ze szpitalnikami.

– To się już stało – roześmiał się Renald z Vichiers – podzielimy resztę!

– Macie wybór między córką cesarza a synem Bajbarsa, dowódcy gwardii pałacowej w Kairze.

Powiedział to tak głośno, żeby jego słowa usłyszał konetabl joannitów, wściekły z powodu cichej rozmowy, z której był wyłączony.

– Skoro panowie już skończyli naradę, my żądamy obojga, wraz z osobami towarzyszącymi.

I popatrzył wyzywająco, czy templariusz ośmieli mu się sprzeciwić.

– Na waszym miejscu zrezygnowałbym z obojga – zauważył Czerwony Sokół oschle. – Nie przyniosą wam ani szczęścia, ani sławy!

– Ale dostaniemy okup! – odparł konetabl pełen furii. – A może sądzicie, szanowny rycerzu cesarza, że odejdziemy stąd z pustymi rękoma?

– Lepiej z pustą ręką, lecz zachowując głowę na ramionach! – ostrzegł Czerwony Sokół.

– Wyście swoją już chyba stracili! Zostawię wam córkę waszego cesarza razem z pokojową, mnie wystarczy mameluckie potomstwo!

Czerwony Sokół rozumiał, że nie może oczekiwać od templariuszy, aby z powodu małych muzułmanów oraz ich sufiego bili się z joannitami. Wynik walki był niepewny, asasyni zapewne by się do niej nie włączyli, a o wciąganiu w spór między zakonami księcia Boemunda, syna władcy tego kraju, nie mogło być mowy. Rezultaty rokowań zaś były do przyjęcia. Skinął głową Renaldowi z Vichiers na znak zgody.

Joannici zatrzymali małego Mahmuda, a także Szirat. Hamo, od którego nikt tego nie oczekiwał, chciał dobrowolnie pójść z nimi, lecz konetabl wyciągnął miecz.

– Nie prowokujcie nieszczęścia, młody panie!

Hamo, który nie nosił żadnej broni, widział bezsens swego zamierzenia, krzyknął jednak do Czerwonego Sokoła:

– Dlaczego dopuszczacie do tego?

– To lepsze od przelewu krwi.

– Ale mało honorowe – powiedział Bo i zwrócił się do konetabla. – Wiecie, kim jestem, i mimo tego odważacie się w kraju mego ojca, księcia, zachowywać jak władca...

– Mój księżę – odparł szyderczo Jan Łukasz z Granson. – Dostaliśmy nasze zamki od Antiochii nie jako lenno, lecz w podzięce za opiekę, której jej udzielamy.

– Wobec tego chcemy się pożegnać z przyjaciółmi i nie przeszkadzacie nam w tym – oświadczył Bo.

Wziął Rosza i Jeżę za ręce i razem podeszli do Mahmuda.

– Przykro mi, że nie mam tutaj dość siły, by bronić honoru Antiochii. W przeciwnym razie byłbyś wolnym człowiekiem! – zawołał.

Jeza uścisnęła malca, który walczył ze łzami.

– Bądź dzielny, braciszku – szepnęła. – Bractwo Tajnego Miecza cię uwolni!

– Przyrzekamy ci to – potwierdzili Bo wraz z Roszem.

Mały mameluk rozpromienił się i powiedział do Szirat:

– Będę cię chronił!

Odeszli oboje ku joannitom, którzy posadzili ich przed sobą na koniach.

– Ostrzegłem was! – zawołał Czerwony Sokół do siedzącego już w siodle konetabla. – Pomyliliście się...

– To wy się mylicie! – zagrzmiął pan Granson. – Widzicie moją głowę? Wciąż jeszcze siedzi na szyi! – Zaśmiał się i dał koniowi ostrogę.

– Jesteście w błędzie, Janie Łukaszu z Granson – rozległ się głos niewidzialnego. – Widzę ją u waszych stóp!

Wierzchowiec stanął dęba, kiedy joannita ściągnął cugle i popatrzył ku skałom.

Mgła ustąpiła, ale nikogo nie było tam widać.

Jan Łukasz zaklął szpetnie i poprowadził swoich ludzi ku północy, ciągnąc za sobą malejący w oddali obłok kurzu. Stary sufi, którego nikt nie chciał, pobiegł za nimi zrozpaczony.

Teraz także templariusze naglili do pośpiechu. Boemund odpłynął już łodzią na swój statek, który zaraz podniósł kotwicę. Pożegnanie z dziećmi przyszło małemu księciu z wielkim trudem. Spotkanie z Jezą i Roszem wstrząsnęło nim. Oto były królewskie dzieci, które nie miały żadnego kraju, jaki mogłyby dziedziczyć, nie miały nawet sześciuset łuczników, których jemu tak straszliwie brakowało w rozprawie z rycerzami zakonu, nie miały też żadnej służby, a przecież panowały nad tajnym państwem i znajdowały się pod opieką wielkich potęg.

– Gdy dorosnę, mogę cię poślubić! – obiecał Jezie na pocieszenie.

Uważał swoją ofertę za wielkoduszny gest, ale Jeza uśmiechnęła się tylko.

– To niemożliwe, Bo. – Spostrzegła, że go obraziła, dodała więc poważnie: – Należę przecież do Rosza, a oboje jesteśmy częścią Wielkiego Planu!

– Nie pytaj mnie, co to jest – powiedział Rosz – ale my nie możemy się od tego uchylić.

– W takim razie odwiedźcie mnie w Antiochii, jeśli wam pozwolą!

Przyrzekli to oboje, a Bo ofiarował Jezie łańcuch, który nosił na szyi.

– Nie jest złoty – usprawiedliwiał się – ale dostałem go od matki, a ty nie masz żadnego.

Zawieszony na łańcuchu amulet miał na awersie lekko wytartą głowę kobiety z profilu, a na rewersie tuluski krzyż utworzony z czterech rombów, herb hrabiów Tuluzy. Jeza nie chciała przyjąć daru, lecz Bo zawiesił jej po prostu łańcuch na szyi i pobiegł do łodzi.

Dziewczynka była ogromnie wzruszona i z ciekawością wysłuchiwała opowieści Czerwonego Sokoła o pochodzeniu krzyża.

– Początkowo potężne księstwo Antiochii było we władaniu normańskim, potem jednak linia wymarła i wtedy hrabiowie Tuluzy, którzy niegdyś założyli niewielkie hrabstwo Trypolis, przejęli rządy w obydwu krajach.

– Jesteśmy więc spokrewnieni. – Rosz odetchnął z ulgą. Chciał zachować Bo jako przyjaciela.

Kroczyli teraz za Czerwonym Sokołem ku szczelinie skalnej, skąd grubo ciosane w kamieniu stopnie prowadziły do jaskini. Tutaj rycerz pożegnał się z dziećmi i kobietami.

Obojętnie przyjął uściski Klarion, zbyt długo natomiast przytrzymał rękę Madulajn, aż Saracenka porywczo cofnęła dłoń.

Hamo zasmucił się, że traci towarzysza drogi. Czerwony Sokół był jedynym człowiekiem, który go rozumiał. Rzekł na pożegnanie:

– Jeśli chcesz zostać rycerzem, Hamonie l’Estrange, nie rycerzem chrześcijańskim, należącym do jakiegoś zakonu, ale po prostu rycerzem, musisz mnie odnaleźć.

Uderzył go lekko po ramieniu i odwrócił się. Nie mógł znieść smutnych oczu dzieci.

– Czerwony Sokole! – zawołał w ślad za nim Rosz. – Co teraz będzie z nami?

Wówczas odezwał się głos, który słyszeli już we mgle:

– *Ay, enfans!** Witamy w domu.

* *Ay, enfans!* (okcyt.) – Nuże dzieci!

Z ciemnej jaskini wyszedł wysoki mężczyzna.

– Crean! – krzyknęły radośnie dzieci.

Joannici wcale nie pojechali do Markabu. Przy pierwszej dolinie rzecznej skręcili w głąb kraju. Konetabl postanowił jak najszybciej pozbyć się zdobyczy. W tym celu musieli przeciąć teren, którego wszystkie drogi prowadziły albo przez Masnat, albo przez Safitę. Z tych strategicznie ważnych twierdz pierwsza była siedzibą wielkiego mistrza asasynów syryjskich, druga zaś znajdowała się w ręku templariuszy.

Gdyby ominął obie przeszkody, to później miał już na drodze do Homsu jedynie najpotężniejszy ze wszystkich warownych zamków joannitów – Krak des Chevaliers albo Kalat al-Husn, jak go z szacunkiem nazywali tubylcy. Którykolwiek emir przejmował władzę w Homsie, musiał się układać z zakonem świętego Jana.

Gdy dysząc wspinali się pieszo żwirowym łożyskiem wyschniętej rzeki, Jana Łukasza z Granson opadły wątpliwości. Czy jego wybór był słuszny? Czy nie powinien raczej położyć ręki na tamtych dzieciach? Ale kto by za nie zapłacił? Cesarz? Jest za daleko. I Bogu dzięki!

Z An-Nasirem łatwo ubije interes. Jego wuj, sułtan, rezydował akurat w Damaszku i nie znosił w Syrii żadnej samowoli. Wobec tego ci zakładnicy byli na wagę złota.

Konetabl przez kilka lat pełnił służbę w Krak des Chevaliers i pamiętał ukryte drogi prowadzące wąwozami i stokami gór Nosairi.

Opuścili zwiężającą się dolinę i zaczęli się wpinać na zbocze. Słońce nieznośnie rozgrzało pancerze, ale wysoko wiał świeży wiatr.

Konetabl rozejrzał się i spostrzegł sufiego, którego nie mogli się pozbyć. Należało go odegnąć kamieniem jak uciążliwego kundla! Chciał się właśnie schylić, uznał jednak taki gest za niegodny. A może stary orientował się w tym terenie, w tej przeklętej kamiennej pustyni, jeszcze lepiej niż on?

Kazał oddziałowi zaczekać, przywołał sufiego do siebie i razem z nim pokonał ostatnie metry wyniosłości. W oddali, na górskim szczycie, jakby umieszczona tam czarodziejską ręką, lśniła marmurową bielą olbrzymia twierdza, Krak des Chevaliers, duma jego zakonu.

Potem spojrzenie konetabla padło na dolinę. Ciągnęli tamtędy asasyni! Nie było ich wielu. Jechali na mułach, w długim łańcuchu, i joannicie wydało się, że rozpoznaje obie bogato przyodziane kobiety i dzieci. Tym razem templariusze nie wejdą mu już w paradę!

Asasyni musieli jechać tą samą drogą, którą on właśnie opuścił, dolina załamywała się i kończyła wąskim wąwozem. Tam nie mogli się oprzeć nikomu, kto panował nad wzniesieniem.

Teraz on, Jan Łukasz z Granson, miał ruch. Będą musieli mu wydać kobiety i dzieci na dolę i niedolę, w przeciwnym razie ich zniszczy. A może jedno i drugie!

Joannici spiesznie zeszli w wyschnięte łożysko rzeki, gdzie ustawili posterunki po obu stronach wąwozu. Konetabl działał z nadzwyczajną przezornością. Związanych jeńców kazał

jeszcze zakneblować. To samo spotkało sufiego, który i tak był szczęśliwy, że wreszcie jest znowu razem ze swymi podopiecznymi.

Konetabl był wielce z siebie zadowolony. Gdyby cisnął kamieniem, odpędzony starzec wpadłby niechybnie w ręce asasynów i ostrzegł ich o bliskości joannitów.

– Dzięki ci, święty Janie! – mruknął i dał znak, by w absolutnej ciszy oczekiwano przybycia ofiar.

Dzieciom podobała się nowa przygoda. Każde z nich miało własnego muła, którego wprowadzie prowadził za uzdę asasyn, ale jechało przecież samodzielnie.

Droga przez cienisty las, wzdłuż niewielkiej rzeczki, z której muły wciąż piły i której czystą wodę czerpano także dla dzieci, jeśli miały pragnienie, była przyjemna. Przedtem Crean prowadził ich przez ciemne, wilgotne jaskinie, aż doszli do oczekujących wierzchowców.

Teraz otwarła się przed nimi dolina przecięta przez rzeczkę. Jechali w cieniu drzew.

Crean i Hamo zamykali małą karawanę. Długo się nie widzieli, Otranto było odległym wspomnieniem. Hamo przypomniał sobie, że nie mógł wówczas znieść tego zawsze poważnego człowieka, sprawiającego nawet wrażenie przygnębionego. W owym czasie był głupio zazdrosny o Klarion, która zakochała się bez pamięci w tym wcześniej posiwiąłym asasynie o pokrytej bliznami twarzy. Z dawnych uprzedzeń nic już nie pozostało.

Klarion w każdym razie nie okazała radości, gdy nagle ujrzała Creana, on zaś troszczył się tylko o dobro Rosza i Jezy, nie zajmował się ani kobietami, ani Hamonem.

Klarion i Madulajn, jak się zdawało, zgadzały się we wszystkim i przypominały dwie kochające się siostry. Rywalizowały jeszcze tylko o sympatię dzieci, mężczyzn traktowały obojętnie.

Hamo nie miał co z nimi zaczynać rozmowy. Klarion była zbyt egzaltowana, zbyt kapryśna, natomiast Madulajn wręcz niesamowita w swej dzikości i odwadze, w czym na pewno go przewyższała. A więc trzymał się raczej małowównego Creana, jedyne syna dziwnego Jana Turnbulla. Crean z Bourivanu nie tylko przeszedł na islam, lecz wstąpił od razu do najbardziej radykalnego zakonu szyickich ismailitów. Był asasynem.

Jechali milcząc obok siebie. Nagle Hamo wstrzymał wierzchowca.

– Widziałem, jak coś błysnęło – powiedział zdumiony. – Popatrzcie ostrożnie na to wzniesienie nad nami.

– Złudzenie – odparł Crean nie zatrzymując się – nie widzę nic!

– Na pewno widziałem błysk, mogło to być ostrze włóczni lub hełm.

– Nie patrz już tam – powiedział Crean – kto miałby w górze...

– Teraz błysnęło coś przed nami! – zawołał Hamo przytłumionym głosem. – Ale całkiem inaczej...

Tym razem Crean zareagował. Przysłonił ręką oczy, aby słońce go nie oślepiło.

- To jest jak zwierciadło! – powiedział Hamo.
- Proszę cię, bądź cicho! – rzucił Crean i obserwował sygnały.
- Co to za wiadomość? – spytał Hamo z zaciekawionym.
- Musimy znowu zejść pod ziemię! Natychmiast!

Crean zawołał coś z cicha do jadącego przed nimi asasy, przytłumione wołanie przeniosło się błyskawicznie do czoła pochodu. Nim jeszcze wyszli z cienia ostatnich drzew, straż przednia skręciła w boczną dolinę. Jechali teraz szybko. Nagle otwarło się przed nimi niepozorne wejście do sklepionej groty wielkości stodoły, która, wnosząc po zapachu, musiała służyć pasterzom za schronienie dla kozich stad.

Dopiero gdy wszyscy zebrali się pod osłoną ciemności, Crean podzielił swoich ludzi. Pozostawił silny oddział łuczników jako straż tylną, natomiast grupa z dziećmi zaraz ruszyła w głąb góry. Sam Crean dowodził łucznikami, którym wszyscy inni oddali swoje strzały. Hamona z kobietami także wysłano w drogę.

– Dotrzecie bezpiecznie do Masnatu – uspokajał go Crean – przewodnicy znają drogę, dlatego proszę cię, żebyś wyjątkowo zastosował się do ich poleceń. – W tych słowach zabrzmiała lekka kpina. – Masz bystre oczy, nie myliły cię – dorzucił jednak pochwałę.

– Z czyjej strony grozi nam niebezpieczeństwo? – zapytał jeszcze Hamo, ale asasyn odparł tylko:

– Zwierciadłu zabrania się opowiadać długie historie! Spieszcie się! Ze względu na dzieci!

Pierwszą część jaskiniowego labiryntu można było jeszcze przebyć siedząc prosto na mułach, czasem wpadało też pod ziemię dzienne światło, raz przez otwór w stropie, raz znowu grotka otwierała się ku dolinie jak terasa, ale potem jaskinie stały się niższe, podróżni musieli pochylić głowy, a w końcu pozysadać z mułów.

Przewodnicy zapalili pochodnie, co przestraszyło liczne nietoperze, które latały wokół niczym wielkie ćmy. Muły, powiązane jeden za drugim w łańcuch, były prowadzone na końcu pochodu.

Hamo szedł teraz z przodu z pierwszymi asasynami, ale natychmiast przyłączyły się do nich dzieci. Rosz macał przed sobą drogę kosztowną laską, z którą się nie rozstawał. Jeza kazała jednemu z ludzi niosących pochodnię, który chciał wziąć ją za rękę, oświetlać kamienną ścieżkę przed sobą. Zrobiło się ciasniej i bardziej wilgotno, potem jednak znowu weszli pod potężne wysokie sklepienia, skrywające często na dnie gładkie jak lustro jeziora, z których wyrastały stalagmity jak pełne sztuki ołtarze. Ze stropów zwisały stalaktyty, ogromne sople, osoblne kandelabry, a każdą spadającą kroplę można było usłyszeć jak lekkie uderzenie czyneli.

Dzieci oglądały ten świat pełne zdumienia i bez najmniejszego strachu.

Tu, w łonie ziemi, Rosz i Jeza czuli o wiele mocniej niż przy wszelkich ceremonialnych prezentacjach czy wojowniczych rozprawach, że są kimś szczególnym, dziećmi Graala!

Podziemny świat rozpościerał przed małymi królami swoje skarby, wyjawiał im swoje tajemnice. Jeza pociągnęła Rosza za kaftan i poszukała jego ręki. Nie musieli teraz nic mówić.

Joannici pod wodzą konetabla, ukryci wśród nagich skał po obu stronach przewężenia doliny, prażyli się w popołudniowym skwarze oczekując na karawanę mułów. Światło odbijało się w jasnych kamieniach, niekiedy ciąg powietrza wzniecał kłęb kurzu, ale wciąż nie dobiegał stuk kopyt, wciąż nie ukazywał się żaden asasyn, w ogóle żadna żywa istota.

Wysłany wreszcie zwiadowca wrócił, nie znalazłszy nikogo. Jan Łukasz z Granson wściekły zrezygnował z zasadzki. Jeńcom wyjęto kneble z ust, związanych posadzono na koniach i wszyscy pociągnęli przez rozpadlinę, którą rzeka wyżłobiła w kamieniach. Konetabl wciąż jeszcze nie tracił nadziei na podwojenie swej zdobyczy.

Gdy zobaczył, że zaraz za przewężeniem ukazało się dalsze zwirowate łożysko, uznał, iż asasyni musieli pójść tędy. Może zdoła ich jeszcze dogonić. Ruszyli nową drogą w głąb kraju.

Teren wciąż się wznosił i konie z coraz większym trudem znajdowały drogę między kamieniami. Dawał się też we znaki brak wody. Od rana ani ludzie, ani zwierzęta nie pili ani kropli. Może jednak byłoby rozsądniej zaprzestać polowania i pojechać na odpoczynek do Krak des Chevaliers.

Ponadto Jan Łukasz z Granson nie był już całkiem pewny, gdzie się właściwie znajdują. Przed nimi wyrastały olbrzymie ostre skały, trudne do pokonania.

Wysłał zwiadowców na grzbiet nad doliną, mieli rozejrzeć się za zamkiem. Wrócili i oświadczyli, że poza skalistą pustynią nie widzieli niczego, żadnej ludzkiej istoty, żadnego drzewa, tylko kamienie.

Konetabl nie uwierzył, wspiął się sam na zbocze. Jak daleko sięgał okiem, rozciągał się martwy krajobraz, poprzecinany wyschniętymi rowami. Nie mogli tutaj pozostać, zginęliby marnie z pragnienia.

Nakazał odwrót, ale okolica wydała mu się obca. Wszystko wyglądało tak samo. Zabłądzili. Cienie stawały się coraz dłuższe.

Wreszcie odkrył ciemną plamę. Gdzie rosły drzewa, mogła być także woda!

Kiedy całkowicie wyczerpani podjechali bliżej, zobaczył, że tam już obozują inni. Muzułmanie, wojsko...

Atak nie miał najmniejszego sensu. Joannici byli tak osłabieni, że pospadaliby z koni.

Potem konetabl zauważył, że zostali otoczeni. A więc mogli spokojnie jechać dalej, do samej wody, ich życie było w ręku Allaha.

Ku swej radości rozpoznał chorągiew polową An-Nasira z Aleppo, z którym przecież gotów był pertraktować. Zamiast wysłać herolda, pojechał sam w kierunku namiotu pod drzewami. Znany był ze swej odwagi.

Kapitan dowodzący muzułmanami przyjął Jana Łukasza z Granson życzliwie i kazał mu od razu podać czarękę świeżej wody.

– *As-Salamu alajkum! Ahlan wa sahan!** Emir wezwał nas do Homsu.

– My także chcemy się tam udać – odparł joannita. – Pozwólcie nam się orzeźwić, jesteśmy wyczerpani drogą.

– Wiem – uśmiechnął się miło kapitan. – Wiecie upominek dla emira.

Konetabl nie był usposobiony do prowadzenia konwersacji i stał się niecierpliwy.

– Czy możemy się teraz napić, czy...

Kapitan pozostał spokojny.

– Jeśli złożycie broń i przekażecie nam upominki, będą mogli panowie rycerze pić, ile dusza zapagnie, a także napoić konie!

Jan Łukasz z Granson zachnął się rozgniewany.

– Dlaczego mam wam powierzać upominki, które mogę sam wręczyć w Homsie szlachetnemu An-Nasirowi, *Atala Allah umrahu**?!

– Dlatego że daruję wam życie – odpowiedział kapitan i dodał jeszcze łaskawie: – a nawet zostawię wam wierzchowce.

Orszak prowadzony przez asasynów opuścił podziemny świat jaskiń w lesistym wąwozie. Jechano teraz pod cienistymi cedrami wzdłuż wartkiego strumienia. Woda szybko wcinała się w grunt coraz głębiej, wkrótce szumiała głęboko między skałami, rozpryskując delikatną pianę w promieniach słońca.

– Tęcza! – wykrzyknęła radośnie Jeza, ale Rosz miał oczy wlepione w wiszący most, rozpięty nad wąwozem.

Musieli zsiąść z mułów i przejść pojedynczo po kołyszącej się konstrukcji z lin i cienkich pni. Na drugim końcu mostu stał Crean z łucznikami.

– Przed kim umknęliśmy? Kto na nas czyhał? – dopytywał się Hamo.

– Joannici konetabla!

– I co – spytała zjadliwie Klarion – skróciliście go o głowę?

– To zadanie dla innych – odparł Crean spokojnie. Od dawna już nie dawał się Klarion prowokować. – Konetablowi wyrwano zęby! – I opowiedział krótko o tym, jak ludzie emira z Aleppo rozbroili haniebnie oddział Jana Łukasza z Granson. – Oznacza to zresztą – dodał – że wasi mameluccy przyjaciele dostali się w ręce An-Nasira.

– Czy on ich uwięzi? – spytał Rosz.

Crean wzruszył tylko ramionami.

– I gdzie? – Hamo okazywał niezwykle zainteresowanie.

– Wkrótce będzie ciemno – przynaglił do pośpiechu Crean.

* *As-Salamu alajkum...* – arabska formuła powitalna.

* *Atala Allah umrahu* (arab.) – niech Allah obdarzy go długim życiem.

Jechali górskimi serpentynami coraz wyżej, zostawili właśnie za sobą granicę drzew, gdy Crean wskazał przed siebie na skalisty, zębaty stożek:

– Masnat!

Tylko przy dokładnym przyjrzeniu się można było rozpoznać, że ostre wierzchołki to blanki i wieże, które wyrastały stromo ponad murami.

Hamo zadał pytanie, które go mocno nurtowało.

– Jak daleko stąd do Homsu?

V

CANNABIS – ALBO SEN JOANNITÓW

Z diariusza Jana ze Joinville

Limassol, 5 listopada A.D. 1248

Ku memu zaskoczeniu odwiedził moją kwaterę marszałek Peixa-Rollo i przekazał mi zaproszenie na *gra'mangir** u pana Jana z Ronay w zamku joannitów.

Szybko, aby marszałek nie mógł tego zauważyć, zapytałem swoich kart:



„Dlaczego jeszcze się ociągasz? Wykorzystaj chwilę! Wiedzieć, chcieć, odważyć się, milczeć. Saturn panuje jako słońce wczorajszych tworów. Małpa obraca koło”.

* Gra'mangir (stwt.) – wielka uczta.

Wielki refektarz mógł rozmiarem mierzyć się z książęcymi salami biesiadnymi, a to, co kuchnia zakonu miała do zaoferowania, cieszyło już moje oko, nim mogło uradować podniebienie. Po tyłu bowiem tygodniach spędzonych na morzu i nie kończącym się czekaniu w porcie miałem powyżej uszu ryb, małży, ośmiornic i w ogóle owoców morza. Brat *culinarius* zachęcił rycerzy, aby się udali w głąb kraju zapolować na dzika, innych wywabił na łowy z sokołem, resztę wysłał ze sforą psów na zające i sarny. Bogini Diana okazała się przychylna dla myśliwych, jak pan domu mimochodem dał z dumą do zrozumienia, gdy mi własnoręcznie nakładał na talerz.

Posiłek zaczął się od wędzonej jałowcowej szynki z dzika, suszonej na powietrzu, szpikowanej rozmarynem szynki z niedźwiedzia, do tego podano melony, pikantnie marynowane kawałki dyni i ciemnoczerwone żurawiny; ich kwaskowaty smak harmonizował wybornie ze smażoną wątrową i plasterkami cebuli, które stanowiły przystawkę z dodatkiem świeżego chleba.

Szybko opiszę, kogo jeszcze przy stole widziałem. Po prawicy pana Ronay siedział młody pan Robert z Artois, brat króla, co mnie ucieszyło, gdyż ceniłem jego śmiałość, która kazała mu rzucać się w każde zbiegowisko, jak również swobodnie wypowiadać własne zdanie.

Po lewicy usadowił się *maitre* Robert z Sorbony. Sądząc po mało ascetycznej powierzchowności królewskiego spowiednika, uważałem go za skrytego zwolennika cielesnych uciech. Moim sąsiadem był z jednej strony hrabia Flandrii, który z oburzeniem wywiadywał się u mnie o Williama z Roebroku, tak że wolałem wyprzeć się bliższej znajomości z minorytą, a z drugiej Walter z Saint-Pol, nadzwyczaj dzielny wojownik. Miałem miejsce naprzeciwko księcia, co mnie wielce uradowało, zwłaszcza gdy zobaczyłem swego kuzyna Jana gdzieś na końcu stołu.

Bardziej jednak pochłaniali moje myśli ci, którzy nie zostali zaproszeni albo się nie pojawili, jak na przykład pan Karol z Anjou, posepny brat króla, który, jak mi się zdawało, zazdrościł panu Ludwikowi korony. Z pewnością uważał się za człowieka bardziej godnego zasiadania na tronie. Gdy kiedyś zobaczyłem, jak wymienił spojrzenia z Iwonem Bretończykiem, pomyślałem sobie, jaki straszliwy zaprzęg mogliby obaj stworzyć. Cyniczny Anjou przy władzy i Bretończyk jako jego prawa ręka, oprawca i kat zarazem.

Bretończyka również tutaj nie było, co wcale nie budziło zdziwienia. Iwo ani nie miał dość wysokiej rangi, żeby tu być zaproszonym, ani jak go oceniam, nie przywiązywał do tego wagi. Był człowiekiem króla i oddał się tylko wtedy od swego pana, kiedy ten go odsyłał.

Nieobecny był też książę Burgundii, który udał się do Grecji, aby nakłaniać tamtejszych książąt do uczestnictwa w królewskiej krucjacie.

Nie przypuszczałem, żeby Jan z Ronay, zastępujący uwięzionego wielkiego mistrza, wydał to przyjęcie tylko po to, by zapchać gęby żarłoków. Wielu zaproszonych było z

pewnością tylko sztafażem, ale zauważyłem, że nie zebrali się tutaj ani przyjaciele cesarza, ani sprzymierzeńcy templariuszy, czego dowodziły prowadzone głośno rozmowy.

Panów z zakonu krzyżackiego, z poważanym i powszechnie lubianym komturem Zygisbertem z Öxfeldu, oraz Anglików, z hałaśliwym wojownikiem Wilhelmem z Salisbury, po prostu zignorowano. Nie zobaczyłem przy stole Gawina Montbarda z Béthune, co było po wydarzeniach wokół siedziby rycerzy Świątyni całkiem zrozumiałe. Bardziej zatem z braku niektórych osób niż z biesiadujących tutaj można było wyczytać, że poruszała umysły idea mocniejszej Francji Kapetyngów. *Gesta Dei per los Francos!** A pewnych patriotycznych uniesień nie dało się nie usłyszeć: „to państwo w państwie stworzone przez templariuszy, tych krwiopiczów!” Mogły zresztą mieć miejsce tylko za plecami króla Ludwika, który dla zbyt wielu tutaj obecnych był za dobry, za pobożny, za szlachetny, aby rozpoznać wszystkich wrogów w sercu swego kraju. Bezwstydne roszczenia terytorialne Plantagenetów, którzy mogli się niestety oprzeć na tak rdzennie francuskich ziemiach, jak Akwitania, Andegawenia czy Normandia. No i wreszcie ten Hohenstauf, tak rozmaicie powiązany z Anglią! Papież miał rację, do diabła z nimi! Jeśli na Zachodzie była do nadania godność cesarza, to należała się pobożnemu Ludwikowi! *Vive la France!**

Czy powinienem mieć wyrzuty sumienia z powodu wypowiedzi o cesarzu, które dochodziły do moich uszu? Byłem wprawdzie seneszałem Szampanii, to moje dziedziczne prawo, ale Joinville było częścią Rzeszy. Moje rozważania i skrupuły rozproszyło następane danie.

Podano do wyboru zupę z soczewicy i fasoli, obie wyrafinowanie przyprawione ziołami, octem i świeżuteńką oliwą. Następnie kucharze wnieśli na gorącym ruszcie pachnące kiełbasy, duszone jądra i serce tura, żeberka kozic i polędwicę z jelenia, tę ostatnią we wrzącym sosie z kasztanów, estragonu i miodu. Do tych potraw zmieniono wino, zamiast lekkiego z wyspy słudzy wtoczyli teraz beczkę czerwonego. Pan Ronay chwalił je głośno jako prezent księcia Antiochii, który sławny jest ze swej winnej piwnicy.

Potem było już tylko mlaskanie, siorbanie, obżarstwo, opilstwo i czkanie. Dam nie zaproszono, tak więc dostojni panowie mogli sobie pozwolić na sprośne żarty, rechotali z zadowolenia i wrzeszcząc klepali się po udach.

Gdy wszyscy byli już objedzeni do przesytu i sprzątnięto kości, a miski wymieniono na płaskie cynowe talerze, wniesiono ogromną tacę, dwa razy większą od długiej tarczy. Umocowano na niej gałęzie jak we wnętrzu ptaszarni. A na gałęziach posadzono kuropatwy i bażanty, upieczone na brąz i skwierczące, ale z kuprami pełnymi jeszcze ozdobnych piór. A na kolce nabito przepiórki i gołąbki, drozdy i skowronki, także już gotowe pofrunąć do otwartych ust. Poniżej gałęzi ze srebrnymi liśćmi i kolcami pływały kaczki o chrupiącej skórcie. Wszystkim ptakom prześlicznie nasadzono łebki przybrane odpowiednim

* *Gesta Dei...* (łac., stfr.) – dzieła Boże przez Franków (dokonane).

* *Vive la France!* (fr.) – niech żyje Francja!

upierzeniem, tak że był to obraz o jaskrawych barwach, nim się zaczęło skubanie i szarpanie. Wkrótce rozlegał się tylko śmiech, żarty i chrupanie wokół.

Myślałem, że wszyscy byli już syci, ale w mig z nowego dania zostały tylko kosteczki, tu skrzydełko, tam nóżka.

Służba wniosła misy z wodą, po której pływały płatki róży, ażeby panowie mogli sobie obmyć palce.

Na deser podano łakocie z Syrii, które przywiozła księżniczka Plaisance – owoce granatu, orzechy i świeże figi. Do tego serwowano muszkatel.

Biesiadnicy poczęli wstawać od stołu, by zdrzemnąć się po obiedzie, wypocić w łaźni bądź radować towarzystwem ładacznic. Wkrótce siedzieliśmy tylko w trójkę: ja, pan Ronay i *maître* z Sorbony. I żeby od razu zauważył, iż nie był to przypadek, zwierzchnik joannitów rozpoczął rozmowę z przesadnie, jak mi się zdawało, zafrasowaną miną.

– *Maître* jest pełen troski o króla i o Francję.

– Czyż królestwo nie jest w rękach najlepszych ze wszystkich możliwych? – zacząłem z wielką ostrożnością, ale potem szybko jej zaniechałem. Chciałem wiedzieć, z kim mam do czynienia. – A może sądzicie, że dobry król Ludwik nie może w kraju Francuzów nigdzie i nigdy złożyć głowy, gdy potrzebuje snu?

– Tego nie powiedziałem – odparł udając zdumienie *maître* Robert – i nie zamierzam też tego powiedzieć. Jest jednak tak, drogi Joinville, że życzenia oraz czyny króla i jego kraju powinny być zgodne.

– *Maître* sądzi – włączył się z wyjaśnieniami Jan Ronay – że mogłoby powstać wrażenie, jakoby król Ludwik był za szlachetny do roli króla Francji.

– Niedawno zapytał mnie – podjął wątek Robert z Sorbony – czy Francja i jej dom panujący, a więc jego przodkowie, nie postąpili przypadkiem niesłusznie wobec pokolenia Lewiego*, Trencavelów i do kogo tam jeszcze zechcą się sprowadzić ci langwedoccy synowie Beliseny*! Jakby on zamordował Parsifala! Jego Królewska Mość zapytał mnie jeszcze, było to oczywiście czysto retoryczne pytanie, czy nie powinien tego powetować dzieciom!

Maître na tę myśl zatrzęsł się z oburzenia, a ja dolałem jeszcze oliwy do ognia.

– Ach! Być może w ten sposób, jak król ożenił swego brata Alfonsa z Joanną, ostatnią dziedziczką Tuluzy? Zapomnieliście chyba, że jej ojciec aż do chwili spełnienia małżeństwa przez całe lata był więziony w Luwrze i że to nasz pan Ludwik przyłączył potem do Francji Tulużę jako kraj koronny?! Nie! – zawołałem. – Tego nie życzę nawet memu wrogowi, a już tym bardziej dzieciom!

– Bardzo się nimi przejmujecie, panie Joinville – zganiał mnie joannita. – Dla wiernego syna Kościoła...

* Pokolenie Lewiego – jedno z dwunastu izraelskich pokoleń.

* Langwedoccy synowie Beliseny – prawie wszyscy wasale hrabiów Foix i Mirepoix, jak również wicehrabia Carcassonne (Parsifal) nazywali siebie „synami beliseńskimi”. W słowie „beliseński” pobrzmiewa mityczne pochodzenie od bogini księżycy Beliseny (Belisamy), celtyckoiberyjskiej Astarte.

– Zostawmy to! – powiedział *maître* bojąc się, że utraci panowanie nad rozmową. – Wtajemniczam was, drogi seneszalu, we wszystko, ponieważ wiem, że jesteście lojalni wobec pana Ludwika i że Jego Królewska Mość ceni sobie waszą radę...

– Och – zaprzeczyłem skromnie – jakąż radę może dać młody człowiek...

– Jeśli król odczuwa potrzebę, żeby coś dla tych dzieci zrobić, związać je nawet z domem Kapetyngów więzami krwi, wówczas trzeba być przygotowanym na takie życzenie, wprowadzić je na czas na właściwą drogę, ażeby z właściwej młodości głupoty lub z żarliwości religijnej nie doszło do nieprzemyślanych działań.

– Może król powinien je adoptować? – zasugerowałem na chybił trafił, ale *maître* przyszedł już z gotowym planem. Teraz wyjawiał tajemnicę.

– Robert z Artois – szepnął konspiracyjnie – mógłby ją za cztery, pięć lat poślubić...

Szło więc tylko o Jeżę, małego Rosza utopiono by lub usunięto ze sceny politycznej w jakiś inny sposób.

– I do tego czasu pozostałaby jeńcem Luwru? – zaprotestowałem słabo. – A poza tym przecież pan Robert jest już żonaty!

– *Sacra Rota!** – *maître* uśmiechnął się złośliwie. – Chętnie wezmę na siebie rolę *advocati diaboli*!*!

– Czy to nie jest raczej tak, czcigodny panie Robercie – podjąłem lepiej ugruntowany sprzeciw – że tu nie idzie o to, by krew małych królów rozplynęła się bez rozgłosu w krwi Kapetyngów, lecz aby dzięki dzieciom, krwi dzieci, uświęcić dom panujących królów Francji, czego on potrzebuje i czego jest zresztą godny?!

– Wreszcie to powiedzieliście, drogi Joinville – *maître* Robert z fałszywym uśmiechem przywołał na świadka joannitę. – Raduje, a zarazem pociesza mnie to, że król obdarza was swą łaską. Takie bowiem przedsięwzięcie musi być prowadzone w tajemnicy. Kogoś, kto się zechce chępliwie udzielić udziałem czy zasługą, należy wyłączyć. Wy, Joinville, jeśli się weźmie pod uwagę wasze zdolności, jesteście naprawdę skromnym człowiekiem.

– I tak nieposzlakowaną postacią – wmieszał się teraz znowu pan Jan z Ronay – że podejrzenie o zdradę stanu odbija się od was jak deszcz od dachu namiotu, a na takie wązkie podejrzenie naraża się tutaj każdy. To musi być jasne dla wszystkich uczestniczących!

– Rozważcie to sobie dogłębnie, ale nie zasięgajcie u nikogo rady – powiedział *maître* Robert – ponieważ tej rozmowy nigdy nie było i każde powołanie się na nią musiałyby przed Radą Królewską jako najwyższym sądem Francji wzbudzić niekorzystne wrażenie, że seneszal Szampanii konspiruje z wrogami Kościoła i Korony! Dziękuję wam za przybycie!

Zwierzchnik joannitów również się podniósł, tak więc musiałem się pożegnać.

– Chodzi o rzecz wielką – oświadczył uroczyście Jan z Ronay – o ingerencję w stosunki dynastyczne, które mogą zmienić świat!

* *Sacra Rota* (łac.) – Święta Rota, papieski sąd, m.in. dla spraw rozwodowych.

* *Advocatus diaboli* (łac.) – adwokat diabła; potocznie: obrońca niesłusznej lub złej sprawy.

Stuknął laską nie po to oczywiście, by podkreślić swoje patetyczne słowa, lecz by przywołać marszałka Peixa-Rollo, który miał mi towarzyszyć do wyjścia. Ku memu zdumieniu poprowadził mnie nie najprostszą drogą do bramy, lecz wzdłuż krętych ganków z otworami strzelniczymi do odległej baszty w obrębie murów. Pomieszczenie, do którego weszliśmy, wyglądało tak, jakby umieszczano w nim niedobrowolnych „honorowych” gości. Drzwi i okna były zakratowane, ale znajdowało się tutaj proste posłanie, stół i stołek, nie było natomiast żadnych żelaznych łańcuchów. Tu miałem pewnie pozostać, póki nie skruszeję.

Jednak marszałek nie zamknął mnie, lecz odezwał się życzliwie:

– Pan Jan z Ronay chciałby z wami jeszcze mówić.

– Aha – wyrwało mi się – chodzi chyba o templariuszy, którzy opuszczając Limassol wprawdzie nie zabłąsnęli jako zwycięzcy, ale *de facto** wygrali?

– Król radzi się ich przy podejmowaniu każdej ważnej decyzji – rzekł marszałek joannitów z żalem.

– Zabronił im jednak postawić do dyspozycji sultana oddziały pomocnicze dla odbicia Homsu...

– Tak jak nam nie wolno pomóc An-Nasirowi.

– Jedno i drugie byłoby właściwie niedorzeczne! Nie można przecież tego samego przeciwnika w jednym kraju popierać jako sprzymierzeńca, a w drugim zwalczać jako wroga wiary!

– Można wszystko – oświadczył marszałek – jest to tylko kwestia elastyczności. Król miałby wszelkie powody, by nie ufać templariuszom ani przez chwilę. A co robi? Śle codziennie posłańców i upominki do Episkopi, dokąd dostojni panowie wycofali się do swych wiejskich posiadłości, podczas gdy my sami musimy teraz pełnić straż, codziennie, i nie słyszymy nawet jednego słowa podziękowania!

– *Primum cogitare, deinde agere** – powiedziałem bez litości – a teraz, z tego samego powodu, zostawcie mnie samego!

Potrzebałem pilnie samotności, aby uporządkować myśli. A więc na dworze królewskim istniały ugrupowania, które nie były zadowolone z tego, co czynił i z czego rezygnował król. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby te siły naciskały teraz na unicestwienie dzieci. Jednak działały chyba i siły – *maître* Robert mógł być ich wysuniętym do przodu laufrem – które bardzo dobrze oceniały znaczenie możliwej do zrobienia partii i ponad figurą króla myślały o Francji. Imperialne zachcianki, to znaczy chęć zastąpienia Hohenstaufów, za czym mógł stać Karol z Anjou, bardziej wieża niż skoczek, w każdej chwili gotów do roszady. Ten gracz jednak nie zbliżył się jeszcze do szachownicy. A więc najpierw wykonają ruch inni. Miałem niewątpliwie do czynienia ze zwolennikami idei dynastycznej, którzy dzieci, podobne

* De facto (łac.) – faktycznie.

* Primum cogitare... (Łac.) – najpierw myśleć, potem działać.

małym pionkiem, chcieli wysunąć naprzód aż na kraniec pola, aby pozyskać nową damę – gdyby się to nie udało, straciliby jedynie pionki!

A więc było coś w pogłoskach o linii Świętej Krwi wiodącej od domu Dawida poprzez potomstwo Mesjasza aż do więzów krwi Langwedocji, obejmujących ogół „prawdziwej szlachty”? Naturalnie już o tym słyszałem, nie przywiązywałem jednak do tych poszeptywań żadnej wagi. *Sang réal* jako Święty Graal? Jego stronnicy – zwalczani krwawo przez uzurpatorów, jak Kapetyngowie, i fałszerzy, jak *Ecclesia romana* – mieliby się teraz pojednać ze swymi śmiertelnymi wrogami? Kto mógł sobie życzyć takiej zmiany, komu na tym zależało? Jedno stało się dla mnie jasne: teraz decyzja nie należy do króla, wielbiącego maryjną harmonię dziewictwa i macierzyństwa; nie należy też do tych, którzy zbyt późno pojęli, że popełniona kiedyś krwawa zbrodnia na Merowingach przechodzi na potomków Kapetynga! Czy dzieci Graala mogły zdjąć z Ludwika to przekleństwo? Czy powinny to zrobić?

Teraz mieli zadecydować strażnicy Graala. Czy po tysiącleciu prześladowań, wyklinania, uznawania za heretyków złożono by im taką ofertę? Tylko oni mogli wyrazić zgodę na zmianę losu dzieci. A bez dzieci wszystkie plany nie były warte funta kłaków. Dlaczego wciągano w to wszystko właśnie mnie, Jana ze Joinville, i to nie pytając mnie o zgodę?

– Dlaczego?! – zawołałem w kierunku zakratowanego okna. Odwróciłem się i zobaczyłem Jana z Ronay.

– Zapomnijcie o wszystkim, o czym przedtem mówiłem – rozpoczął od razu rozmowę. – Musiałem pozbyć się najpierw *maître* Roberta. Wprawdzie mi was polecił, lecz nie chciałem go we wszystko wtajemniczać.

– I *maître* nie powziął żadnego podejrzenia?

Joannita roześmiał się.

– Wiecie z pewnością, jak postępuje kobieta, gdy czeka na nią kochanek. Zapewnia głośno małżonka o swej miłości, wynosi go ponad innych, aż uszczęśliwiony pozwala jej na każdy kaprys!

– Jakże miał wątpić o waszej wierności – powiedziałem – skoro wy, szanowny panie Ronay, włożyliście spódnice tej kobiety? Ale jak ja mam teraz wam zaufać przy takiej przebiegłości?

Zastępca wielkiego mistrza szpitalników zlustrował mnie rozbawiony.

– Obaj nie musimy się mamić skłonnością do wyższych ideałów, także królewskie dowody łaski wobec was przyjmuję tylko jako miły dodatek. Oprzemy nasze stosunki na solidnej podstawie: wstąpicie do mnie na służbę jako tajny doradca, a zakon wynagrodzi was tym, co sami jako swoją cenę wyznaczycie.

– Mam więc być kochankiem tej wiarołomnej kobiety? Ani nie powiem „tak”, ani nie związę się ceną. Powiedzcie mi najpierw, w czym miałbym wam doradzać.

– Jeśli was w to wtajemniczę, zawrzemy już tym samym umowę...

– Bardziej mnie pociąga zadanie niż zapłata! – przerwałem mu. – Niechże się już dowiem!

– Chodzi, jak zapewne się domyślacie, o rycerzy Świątyni...

– Brakuje wam ich? – spytałem beczelnie, rozczarowany jego propozycją.

– Zapomnijcie o niedawnych utarczkach, zapomnijcie o wszelkich krwawych pojedynkach, do których między członkami zakonów dochodziło i w przyszłości będzie dochodzić. To są zwady, które naturalnie się rodzą wtedy, gdy w jednym czasie i miejscu, na tych samych warunkach i w tym samym celu zostają założone dwa zakony.

– A więc – powiedziałem – jeśli niewiele was różni...

– Ależ nie macie racji! – stwierdził pan Ronay ostro. – Warunki nigdy nie były takie same, a cel już tym bardziej nie!

– Chętnie o tym posłucham!

– Nie wiem, co święty Bernard obiecał pierwszym rycerzom w Jeruzalem, jednak od pierwszego pchnięcia łopata w Świątyni* oni czuli się *electi*...

– Podczas gdy wy w Szpitalu pełniliście ofiarną służbę przy chorych!

Zadałem sobie trud, żeby w moim głosie nie zabrzmiała drwina. Stłumionym westchnieniem podziękowano mi za słowa zrozumienia.

– Według statutu zakonnego nasz cel jest identyczny: obrona pielgrzymów i świętych miejsc chrześcijaństwa!

– Skromnie przemilczacie – zauważyłem – że szpitalnicy istnieli już przed zdobyciem Jeruzalem przez pierwszych krzyżowców i tylko przez zmianę patrona z Jana Chrzciciela na bojowego Jana Ewangelistę z pielęgniarzy przekształcili się w wojowniczy zakon rycerski.

– Templariusze natomiast przybyli z Francji jako sprzysiężona rycerska wspólnota, pojawili się nagle jako tajny oddział, otrzymali od razu to, co chcieli, mianowicie Świątynię Salomona, i otoczyli od początku swoje machinacje białym płaszczem milczenia i elitarnym odgrodzeniem się od innych. Trzeba jednak przyznać, że ich rycerze są znakomitymi wojownikami.

– Teraz – powiedziałem – oba zakony nie narzekają na biedę. Muszą myśleć przede wszystkim o tym, aby chronić swój stan posiadania, swe faktorie i rozliczne interesy!

– Z tym też mogę się zgodzić – przyznał *nolens volens** joannita – ale templariuszom udało się od pierwszej chwili otoczyć się pewną aurą, która ich czyniła bardziej atrakcyjnymi, dostarczyła im więcej przywilejów, a w końcu pozwoliła paktować otwarcie z wrogami chrześcijańskiej wiary...

– Jak to? – roześmiałem się. – Czyż wy nie handlujecie z muzułmanami niewolnikami lub bronią? Nie zawieracie układów z niewiernymi?

* Pierwsze pchnięcie łopata – przypuszczano, że templariusze natychmiast po objęciu w posiadanie Świątyni w Jerozolimie zaczęli kopać w tamtejszych podziemiach, tzw. stajniach Salomona. Czego szukali? Co znaleźli?

* Electi (łac.) – wybrani.

* Nolens volens (łac.) – chcąc nie chcąc.

– Mam na myśli kacerstwo! Popieranie herezji w obrębie władzy Kościoła, ujęcie się templariuszy za dziećmi Graala!

– Pytaliście, szanowny panie Ronay, dlaczego zakonowi Świętego Jana brakuje charyzmy, i sami sobie odpowiedzieliście...

Długo milczał, wreszcie rzekł:

– Zasłużyliście już na pierwszą prebendę.

Popadł w głęboką zadumę, jakby musiał walczyć ze sobą, nie tyle chyba o dotrzymanie danej mi obietnicy, ile z powodu trudności zaakceptowania wypowiedzianych przeze mnie słów.

– Pozwólcie mi przemyśleć wasze mądre słowa – odezwał się wreszcie.

– To była dla mnie przyjemność! – rzuciłem od niechcienia, w swojej dumie tak to też odczuwałem.

Gdy opuściłem zamek, powiedziałem do siebie: kochany Joinville, może wy także powinniście przemyśleć, w co się wdajecie!

Limassol, 23 listopada A.D. 1248

Następne dni spędziłem na opisywaniu tego, co się w ostatnim czasie zdarzyło. Drętwiały mi palce i złościło mnie, że wciąż tkwię za pulpitem, zamiast obserwować, co się na zewnątrz dzieje. Jedno było pewne: w wysiadywanie tych jaj król świadomie nie był angażowany. Pan Ludwik chyba niczego nie podejrzewał, a przecież to on właśnie sprawiał, że toczyły się kamienie i narastała lawina.

Myślałem o tym, spiesząc do pałacu na jedną z oficjalnych audiencji, gdyż król lubił przy takich okazjach widzieć swoich grandów. Gdy przechodziłem obok siedziby templariuszy, w której teraz kwaterowali rycerze zakonu krzyżackiego, z cienia pod portykiem wychynął William z Roebroku.

Nosił odświętny strój minoryty i wyraźnie miał zamiar u mego boku dostać się do pałacu na audiencję. Nie mogłem mu odmówić. Nigdy nie uczynił mi żadnej przykrości ani też źle o mnie nie mówił, ja zaś uważałem, że nie jest moją rzeczą osądzać prowadzenie się innych. Bądź co bądź, w przeciwieństwie do wielu swych drogich braci w zakonie świętego Franciszka, miał za sobą bardziej burzliwe przygody niż delektowanie się rozmową z ptakami. Długo przebywał z dziećmi, co go czyniło dla mnie interesującym. I nie był głupi. Przygotował pisemną prośbę do króla Ludwika, którą chciał mu przekazać, aby powrócić do łask.

– Czy nie pragniesz już, ozdobo wszystkich minorytów – dałem mu odczuć swą tanią kpinę – przedstawić królowi posłów wielkiego chana Mongołów?

– Panowie Ajbak i Sargis jeszcze nie ochłonęli po zniewadze, za jaką poczytali odmowę papieża. A czego się mogli spodziewać? Przecież domagali się, by im towarzyszył na dwór ich pana, którym nawet nie jest wielki chan, tylko jego namiestnik w Tebrizie – wyjaśniał mi William. – Teraz popijają sobie na odwagę, by wystąpić przed panem Ludwikiem i przedstawić to samo żądanie. I mogą tak pić jeszcze całe tygodnie! – zażartował zatroskany. – Lecz jeśli wam nie na rękę zaprowadzić mnie, biednego grzesznika, przed królewski tron, poproszę o tę przysługę pana Gawina Montbarda z Béthune .

– To przyjdzie wam z trudem, ponieważ wielki mistrz templariuszy, pan Sonnac, wypędził komandora z wyspy!

William najwyraźniej nie uwierzył, tak więc z rozkoszą dorzuciłem:

– Zaledwie opuścili tutejszą siedzibę, wysłał go do Syrii!

Widziałem, że mnicha mocno to ogodziło, dodałem więc życzliwie:

– Jeśli zechcecie nieść moje papiery, drogi Williamie, poprowadzę was z sobą jako swego sekretarza.

Minęliśmy strażę przed salą i precyzyjnie się przez ciżbę do przodu. Siedział tam król ze swymi braćmi oraz hrabiami Flandrii i Bretanii, za nim zaś stał jego strażnik przyboczny Iwo Bretończyk i kapelan nadworny Robert z Sorbony.

Kiedy pan Ludwik zobaczył mego towarzysza, powiedział głośno:

– Patrzenie, jaki zdolny człowiek z naszego pana seneszala: przyprowadził mi kogoś dawno uznanego za zmarłego!

William uznał to za odpowiednią chwilę, by rzucić się królowi do nóg i pokornie wręczyć mu zwiniętą w rulon prośbę. Ludwik nie zdążył nawet rzucić na nią okiem, gdy już *maître* wyciągnął po nią rękę.

– Panowie, oto uosobienie posłusznego poddanego – zażartował król. – Przed laty wysłałem tego mnicha do Montségur, aby wzmocnił naszych żołnierzy swoją modlitwą. Wraca dzisiaj. Jak powinniśmy to nazwać: zapalem czy wytrwałością?

William sądził, że musi się wytłumaczyć.

– Gdyby mi było wolno przedstawić Waszej Królewskiej Mości, co mi się w ciągu tych pięciu lat przytrafiło, wybaczylibyście mi w swej wspaniałości!

– Wyznaj raczej królowi – ofuknął go Iwo Bretończyk – co robiłeś w ciągu ostatnich pięciu tygodni, które spędziłeś już na tej wyspie, nie zgłosiwszy się od razu pełen skruchy.

Król jednak, jak mi się wydawało, był w dobrym humorze.

– Panie Iwonie – powiedział – nie odrzucajcie możliwości okazania łaski, póki nie wysłuchamy usprawiedliwienia!

Tu uznał za stosowne wtrącić się *maître* Robert.

– Pozwólcie mi, panie, sprawdzić, czy jest wart tego, żeby trwonić dla niego waszą wspaniałość!

– Wspaniałomyślności nigdy się nie trwoni – odparł król – trzeba obchodzić się łaskawie z pokutnikiem.

Robert z Sorbony nie dał się zbić z tropu.

– Chcę użyć paraboli – zaczął złośliwie – którą Wasza Królewska Mość sam wymyślił. – Tu zuchwale postąpił ku biednemu Williamowi, wciąż jeszcze klęczącemu przed panem Ludwikiem.

– Wstań, Williamie z Roebruku – powiedział król. – Przyjaciołom, podobnie jak wrogom, należy patrzeć w oczy!

William podniósł się, a *maître* Robert spytał:

– Co wolicie, być dotkniętym trędem czy popaść w grzech śmiertelny?

William popatrzył swemu inkwizytorowi w oczy i odpowiedział szczerze:

– Wolę trzydzieści razy popaść w grzech śmiertelny, niż zarazić się trędem!

Sądził chyba, podobnie jak ja, że jest obojętne, co odpowie. Gdyby dał odpowiedź przeciwną, *maître* nazwałby go zapamiętałym kłamcą.

– Głupcze! – wykrzyknął Robert z Sorbony. – Żaden trąd nie powoduje więcej zgnilizny niż grzech. Na to diabeł tylko czeka i zabierze waszą duszę. Trędowatego natomiast oczekuje sam Bóg, ropiejące ciało tego człowieka odpada bowiem jak łuska, dusza jego zaś pozostaje czysta!

William zrozumiał, że nie zostanie mu wybaczone, ponieważ grzesznikowi zazdrości się grzechów, a nie myślał życzyć sobie trądu tylko dla zbawienia duszy. Skłonił się w milczeniu przed królem i wyprostowany opuścił salę. Pan Ludwik popatrzył na mnie chytrze.

– Seneszalu – odezwał się – czy rozumiecie teraz, dlaczego zawsze wolę mądrego i szczerego świeckiego człowieka od jakiegoś pobożnego mnicha o prostym umyśle czy wykrętnego pana duchownego stanu?

Nie oczekiwał odpowiedzi na swe pytanie, tak więc uśmiechnąłem się tylko zgodliwie. Kto chciał, mógł słowa pana Ludwika rozumieć jako ostateczną odmowę dla Williama albo jako ukrytą pochwałę dla mnie, był to przecież wyraźny przytyk pod adresem *maître* Roberta.

Znalazłem franciszkanina w tawernie „Pod Pięknym Widokiem”, gdzie zamierzał się upić. Na ławce naprzeciw niego Ingolinda przytulała bezwstydnie dwu Anglików Salisbury’ego.

– Przynajmniej nie asasyni! – zażartowałem. – Nie musicie się chować pod stołem.

– Chętnie uczyniłbym to teraz, ale ze wstydu – oświadczył William skruszony.

– Przecież nie z powodu audiencji? – próbowałem go podnieść na duchu.

– Król ma rację. Przed pięcioma laty powierzył mi godność kapelana polowego i od tego czasu szwendałem się tu i tam po świecie, w zмовie z heretykami, Mongołami i asasynami!

– Odłóżmy na bok historię o wielkim chanie – pogroziłem mu palcem. – Co wiecie o asasynach Starca z Gór?

– Niewiele – wyznał William szczerze.

– Chętnie dowiem się i tego – dodałem mu odwagi i zamówiłem pełny dzban.

– Pojawili się w Syrii około połowy ubiegłego stulecia – zaczął William – jako odgałęzienie istniejącego w Persji potężnego i tajnego zakonu. Ich główną siedzibą jest tam Alamut, o którym się opowiada wiele strasznych dziwów. Leży podobno gdzieś w niedostępnych górach Chorasán, na południe od Morza Kaspijskiego, i razem z innymi warownymi zamkami pilnuje jedwabnego szlaku.

– Usadowili się także w górach w Ziemi Świętej – wtrąciłem – akurat w najważniejszym miejscu, które powinno łączyć Antiochię na północy z Trypolisem i Królestwem Jerozolimskim na południu.

Powiedziałem to, bo chciałem mu pokazać, że nie jestem całkowitym ignorantem. Mnich pojął to natychmiast.

– Asasyni nigdy jednak nie przedstawiali dla chrześcijan zagrożenia. Jako ortodoksyjni szyici, a więc zwolennicy linii dynastycznej, która się wywodzi od proroka, ci izmailicy wojowniczy mnisi zwalczają przede wszystkim, i to z absolutnym fanatyzmem, sunnicki kalifat...

– I mimo całego niebezpieczeństwa, jakie stanowią dla innych, płacą trybut templariuszom?

– Od początku panują dziwne stosunki między bractwem *fida'i*, jak się sami nazywają, a templariuszami, którzy zaadaptowali niektóre struktury organizacyjne asasynów, lecz gnębią ich w miarę sił, o czym może świadczyć choćby to, że podobnie jak joannici najwięcej zamków mają w górach Noisiri.

– A Starzec z Gór?

– Legenda! – roześmiał się pobłaźliwie William. – Około roku 1170 Alamut wysłał do Syrii szejka Raszida ad-Din Sinana. Ten założył w Masnacie swoją siedzibę i bezlitosnym terrorem wymógł dla siebie respekt tak dalece, że królowie Jeruzalem szukali z nim przymierza, a również Saladyn, sunnicki sułtan Kairu, musiał dać za wygraną. Wówczas rozpoczęła się budząca strach działalność asasynów: mordowali na zamówienie.

Naszą rozmowę przerwały krzyki i szczęk broni. Rzuciłem Williamowi porozumiewawcze spojrzenie.

– O diable mowa...

A wtedy wpadł do tawerny angielski bosman. Ryknął na swoich ziomków oddających się pijaństwu i innym przyjemnościom, że powinni natychmiast zameldować się na swoich statkach.

– Alarm! Alarm! – rozległy się krzyki. Obaj Anglicy przytuleni do piersi Ingolindy zerwali się i wrzasnęli:

– *Aye, aye, Salisbury, all here!**

* *Aye, aye...* (ang.) – nuże, nuże tutaj, wszyscy (ludzie) Salisbury'ego.

Potem przeskoczyli ławkę i wybiegli. Bosman postanowił się napić. Przyciągnąłem go za rękaw do naszego stołu i zagałem rozmowę.

– Och, doszło do małej bijatyki między nami a Grekami Anioła z Karos – powiedział i wytarł krew, która kapłała z na wpół oderwanego ucha. – Nic nadzwyczajnego, nie padł ani jeden zabity!

Opróżnił swój dzban i chwycił za mój.

– Wtedy pojawiła się nagle gwardia królewska pod wodzą Iwona Bretończyka. Natarli na Greków tak obrzydliwie, że żal było patrzeć. W mig leżało trzech czy czterech bez życia. Tak przecież nie można! – oburzał się bosman. – A więc idziemy pożeraczom czosnku z pomocą! Jasne?

– Jasne! – potaknąłem.

Szczęku broni nie było już słychać. Bosman pociągnął jeszcze łyk i odszedł chwiejnym krokiem.

– Te zabójstwa na zamówienie – wróciłem do przerwanej rozmowy – przyniosły asasynom ich osławioną nazwę?

– Oczywiście! – odparł William. – Nawet jeśli to było niezrozumienie, przesłyszenie, uchodzą teraz za skrytobójców *par excellence*. Przydomek „Starzec z Gór”, synonim okrutnego szejka Sinana, który dawno już zmarł, nadawany jest następcom *Grand Da'i*, każdemu wielkiemu mistrzowi z Masnatu. – William skończył swój zasługujący na uwagę ekskurs i pociągnął długi łyk z dzbana, opróżniając go do dna. – Tak więc dzisiaj asasyni powszechnie budzą trwogę.

– A jaki jest ich dzisiejszy stosunek do nas, chrześcijan?

– Przy wszystkich układach i wzajemnym respekcie – napięty!

Okazałem Williamowi pełne uznanie:

– Umiecie czytać i pisać, mówicie językiem kraju, z którym chcemy prowadzić wojnę. Ja, jak już zapewne słyszeliście, pracuję nad kroniką wyprawy krzyżowej, wszystko jednak, co uważam za warte wzmianki, obradza coraz obficiej, rozgałęzia się coraz mocniej i jest coraz bardziej tajemne. Potrzebuję doświadczonego pisarza, który odjąłby mi pewną część pracy.

Nie zdradziłem naturalnie, że myślałem również o dzieciach, które zajmowały coraz więcej wierszy w kronice. William odpowiedział:

– Jeśli przez „pewną część pracy” rozumiecie suche sprawozdanie z wyprawy albo wychwalanie króla Ludwika i jego krucjaty, wówczas od razu odmawiam i wracam do swej ladacznicy. Ale jeśli mi pozwolicie uczestniczyć we wszystkich waszych myślach, a więc także wątpliwościach... no, taka propozycja sprawiłaby mi radość. Rozważcie to w spokoju, panie seneszału, ale dziś zapłaćcie już rachunek!

Wypiliśmy.

Zamek Masnat zadziwił nowo przybyłych. Ostre skały stromo wyrastającego górskiego stożka były tak zręcznie włączone w gmatwaninę murów, wież, a przede wszystkim spinających wąwozy mostów, że stwarzały dla nieprzyjaciół coraz to nowe przeszkody; na przyjaciół zaś czekały liczne niespodzianki, z których najniewinniejsza była ta, że gość błądził w kółko lub gubił się beznadziejnie, w najgorszym natomiast wypadku mógł skrócić sobie kark, gdyż zapadnie rozmieszczono we wszystkich możliwych miejscach.

Z tego właśnie powodu dzieci nie cieszyły się taką swobodą ruchów, do jakiej były przyzwyczajone. Klarion i Madulajn umieszczono w ukryciu, w Masnacie bowiem nie wolno było przebywać kobietom.

Hamo trzymał się dalej Creana, jednakże życzliwy, ale milczący asasyn nie był wesołym kompanem. Młody hrabia miał wrażenie, że przebywa w odludnym więzieniu. Wszędzie tylko mury, żadnego drzewa, żadnego kwiatu, żadnej zieleni.

Kolejną dziwną cechą Masnatu był brak głównego budynku albo przynajmniej donżonu, nadto żaden budowniczy nie zadał sobie trudu, aby jakoś ozdobić ten stos kamieni. Pominąwszy obserwatorium, które wyrastało jak smukły maszt z masywnej rybackiej łodzi, nie było tu nic, co pięknym kształtem mogłoby cieszyć oko. Baszty miały dawać schronienie przed pociskami katapult, a blanki przed strzałami. Żadnego ornamentu, żadnej barwy, nic!

Sali jadalnej także nie było. Kuchnia wydawała dwa razy dziennie skromny posiłek, który każdy spożywał tam, gdzie znalazł osłonę przed deszczem i zimnym wiatrem lub bezlitośnie prażącym słońcem. Do picia była źródłana woda wyjątkowej czystości i smaku.

Dzieci, o wiele bardziej ciekawe i energiczne niż Hamo, wkrótce poruszały się w labiryncie skalnym prawie tak samo dobrze jak ich opiekunowie. Szybko się zorientowały, że pod ziemią są jeszcze do odkrycia nieoczekiwane tajemnice. I tak dotarły pewnego razu do wykutych w skale korytarzy biblioteki. Rosz i Jeza znaleźli do nich dostęp przez jedną z wielu sztolni wentylacyjnych, a starych ludzi, którzy w bibliotece czytali i robili odpisy, cieszyły zdumione oczy dzieci i ich żądne wiedzy pytania.

– Dlaczego nazywają was mordercami? – Jeza od dawna była tego ciekawa, ale nie ośmieliła się spytać Creana.

– My właściwie też jesteśmy *assassins** – dorzucił Rosz. – Kiedyś zabiliśmy już człowieka!

– Nie powinniście tego czynić – powiedział najstarszy, przygarbiony bibliotekarz. – Ja jeszcze nigdy nie skrzywdziłem jakiegokolwiek żywej istoty stworzonej przez Allaha!

– A więc – spytał Rosz krótko – dlaczego tak was nazywają?

– Ponieważ obcy, którzy nie są tak rozumni jak wy oboje – wtrącił drugi bibliotekarz, siwobrody – nie wymawiają poprawnie słowa „haszaszyn”* i tak powstało *assassin*. Dawniej

* Assassin (fr.) – morderca.

* Haszaszyn – palacz haszyszu.

sadziliśmy *cannabis*^{*}, zbieraliśmy jego ściekającą kwiatową żywicę i wdychaliśmy dym suszonych liści...

– Powiedz, proszę – odezwała się Jeza – jak to się robi?

– Bardzo prosto, *chif-chif*^{*}, wdychasz to głęboko albo czynisz tak, jakbyś chciała połknąć dym...

– Od tego staje się haszszynem? – roześmiał się Rosz.

– *Cannabis* to narkotyk – wyjaśnił najstarszy – wprowadza w stan odurzenia, w tym odurzeniu łatwiej jest patrzeć śmierci w oczy, ponieważ haszszyn wysłany, aby zabić, musi się liczyć z tym, że sam zostanie zabity.

Jeza wyciągnęła swój sztylet.

– Ja mogę zabić tak, że nie zostanę przyłapana.

Siwobrody zafrasowany pokiwał głową.

– Dziewczyna powinna sięgać po sztylet tylko w obronie swojej czci.

– Chętnie zapaliłbym takie liście – oznajmił Rosz – i wtedy byśmy zobaczyli, kogo bym zabił, może jakiegoś joannitę.

– Nie czyn tego – przestrzegł najstarszy. – Już lepiej wsadź gołą rękę do gniazda os.

– Dobrze, nie zabiję żadnego joannity – odpowiedział szybko Rosz. – Ale wy musicie mi obiecać, że dostanę liście *cannabis* do wysuszenia...

– Gdzie one rosną? – spytała nieufnie Jeza. – Nie widziałam tu jeszcze żadnych roślin.

– W ogrodzie wielkiego mistrza – odparł siwobrody. – Klucz do ogrodu ma kanclerz.

– Znamy go, nosi turban i nazywa się Tarik ibn-Nasir. To nasz przyjaciel.

– Jest stary i chory, już się nie pokazuje – szepnął najstarszy – ale jeśli otrzymasz od niego haszsz, przynieś nam trochę.

– Tak – szepnął teraz także siwobrody i oczy mu się zaświeciły – a my wam pokażemy, jak się pali fajeczkę.

Dzieci uszczęśliwione wypelzły znowu na dwór przez sztolnię wentylacyjną, ale kiedy pytały o kanclerza i jego ogród, nikt nie udzielił im informacji.

– Jakże zazdroścę ptakom! – Hamo patrzył w lazurowe niebo, na którym niczym ciemne gwiazdy widać było sylwetki orłów. Od czasu do czasu któryś składał potężne skrzydła i zniemacka spadał ku ziemi, ku skałom, a potem znowu unosił się w górę.

– Wolność orłów – uśmiechnął się Crean – opiera się na pewności, że istnieje gniazdo. Nikt nie może wiecznie żeglować w powietrzu.

– Pewnie się gdzieś tutaj gnieźdzą – ciągnął rozmowę Hamo, choć nie lubił pouczeń Creana. – Słyszałem, jak krzyczą.

* *Cannabis (indicae)* (łac.) – konopie indyjskie, surowiec do produkcji haszszu.

* *Chif-chif* (arab.) – tutaj: wdychać.

– Mają gniazda na murach – potwierdził Crean. – Gdy jakiś *fida*'i przenosi się do raj, zawsze frunie przed nim orzeł.

Hamo obchodził z Creanem wały. Stali na jednym z wysokich murów, które wznosiły się nad drogą dojazdową. Droga była tak poprowadzona, że na licznych zakrętach znajdowała się w zasięgu łuczników i katapult, dużo wcześniej nim nadjeżdżający mogli zobaczyć zwodzony most. Stroną wewnętrzną mury opadały stromo bez blanków ku pierwszemu z tarasowato położonych dziedzińców.

– Tutaj Starzec z Gór demonstrował królowi Jeruzalem, który przybył na jego zaproszenie – powiedział Crean – co oznacza u asasynów posłuszeństwo.

Podeszli na skraj muru. Hamonowi zakreśliło się w głowie na widok leżącego daleko w dole, wyłożonego kamiennymi płytami czworoboku, na którego środku znajdował się wpust do cysterny z deszczówką.

– Wielki mistrz klaskał dwa razy w dłonie i jeden ze strażników, którzy stali tu na górze, gdzie my teraz stoimy, skakał bez słowa na dół...

– I zabijał się?

– Oczywiście – odparł Crean – chcesz może spróbować?

– Straszne!

– Za każdym razem, kiedy Starzec z Gór klaskał, skakał któryś ze strażników, aby lec na dole z potrząskanymi członkami!

– Przestań! – zawołał Hamo. – To przerażające.

– To samo powiedział król i poprosił szejka Sinana, żeby zakończył okrutną zabawę. „Czy Wasza Królewska Mość wie teraz – odparł wtedy Sinan – dlaczego nie zdołacie nas nigdy wytepić? Ponieważ my nie boimy się śmierci!”

Hamo zdołał się już opanować.

– Taka pogarda śmierci mogła mieć znaczenie w czasach, gdy rycerze walczyli mąż przeciwko mężowi. Dziś każda dobrze wyposażona armia oblężnicza otoczy Masnat, zarzuci go greckim ogniem i zagłodzi. Niech strażnicy skaczą z murów, jeśli chcecie. Unikną jedynie tego, że potem nie zginą od mieczy!

– Do tego asasyni nie dopuszczą. Nigdy jeszcze te mury nie musiały oglądać nieprzyjacielskiego wojska, w sercach ich dowódców bowiem zasiewamy strach, tak że nie odważają się nam zagrozić. I dlatego jest ważne, że ludzie nie obawiają się na rozkaz wykonać śmiertelnego skoku. Sztyletom takich desperatów nie ujdzie w końcu nikt, gdyż przed zdecydowanym na wszystko zamachowcem żaden książę nie może się uchronić. Chyba że ukryłby się pod ziemią, wtedy jednak przez dłuższy czas nie byłby księciem!

– Nie chcę odbierać wam wiary – powiedział Hamo – jestem zbyt mało doświadczony w rzemiośle wojennym. Ale mogę sobie wyobrazić ogromne bojowe maszyny, które będą działać dalej, mimo że wykluczycie z walki jednego, dwu czy dziesięciu dowódców. Twoi asasyni są zaś jak pszczoły, które umierają, kiedy raz użądła.

– Takie wojska, Hamonie, nie istnieją, ponieważ wciąż jeszcze każda armia rzuca się bez namysłu do ucieczki, jeśli zginie jej dowódca – stwierdził stanowczo Crean, ale popadł w zadumę.

Hamo natomiast fantazjował dalej.

– Uważam nawet za możliwe, że przyjdzie dzień, kiedy wojen nie będą prowadzić widoczni, dający się zaatakować i zranić ludzie, lecz potężne maszyny, z bezpiecznej odległości poruszane linami. W maszynach tych znajdzie się miejsce dla niewielu dobrze chronionych ludzi, którzy będą nimi kierowali...

– Przestań! – zdenerwował się Crean. – To obłądna wizja!

– Być może obłądna, ale wciąż buduje się nowe maszyny i przyjdzie czas, kiedy dowódcy będą dobrze ukryci przed twoimi sztyletami.

– Och, Hamonie – westchnął Crean – co z ciebie wyrośnie?

– Na pewno nie będę rycerzem! – odpowiedział młodzieniec z przekonaniem. – Być może wynalazcą, badaczem albo opryskiem, rzeźmieszkim, szarlatanem, komediantem, w każdym razie kimś, na kogo czeka szubienica.

– Nie wiesz, co mówisz...

– A wy nie wiecie, kto przybywa – odparł Hamo i wskazał mały oddział jeźdźców, którzy drogą wiodącą ku bramie eskortowali lektykę. – O, i w taki sposób mogę wytepić asasynów. Wyślę wam śmierć, jednego człowieka zarażonego dżumą...

– Hamonie! – napomniął go Crean surowo. – To przybywa mój ojciec!

Hamo pragnął wejść przez ciężkie, okute żelazem drewniane drzwi, znajdujące się w jednym z murów. Zastukał trzykrotnie kołatką z brązu. Z judasza spojrzały na niego nieufnie oczy jakiejś staruchy. Pospiesznie zamknęła okienko.

Upłynęło trochę czasu, nim drzwi się uchyliły i Hamo mógł wejść. Znalazł się przed murem, który musiał okrążyć. Dopiero wtedy jego oczom ukazał się ogród. Wreszcie w Masnacie Hamo zobaczył coś stworzonego ręką artysty.

Przycięty żywopłot obrzeżał zwirowe ścieżki i ujęte w marmurowe koryta strumienie. Pierwszy dziedziniec otoczony był krytą kolumnadą, po której pięły się wysoko róże; drzewa pośrodku używały cienia studni. Na następnym dziedzińcu mury były przesłonięte szpalerami drzew owocowych, w środku zaś kamienny pawilon zapraszał do posłuchania szczebiotu kolorowych ptaków, których klatki były tak zręcznie umieszczone na drzewach, że pierzaści śpiewacy łatwo chyba przeboleli utratę wolności, a obserwator mógł się tylko zachwycać współgraniem sztuki kowalskiej i naturalnego listowia. Na trzecim dziedzińcu znajdowały się trzy fontanny, strumień każdej z nich wpadał do marmurowej niecki i gość przechodził jakby pod iskrzącymi się łukami bram. Tutaj kwitła większość kwiatów i krzewów. Na końcu ogrodu stał na wykutych w skale szczudłach wytworny dom z zakratowanymi oknami.

Prowadziły do niego żelazne schody, ale wisiały na łańcuchach i można je było podciągnąć do góry.

Hamo rozejrzał się za Klarion i Madulajn, lecz nigdzie ich nie mógł dostrzec. Potem usłyszał chichotliwy śmiech swej przybranej siostry i zrozumiał, że dziewczyny się ukryły, aby się z nim podroczyć. Przeszedł szybko za następną skałę i w jakiejś niszy oparł się o statuetkę greckiej bogini.

Ku jego zdumieniu cokolwiek zaczął się wraz z nim obracać, a gdy Hamo przyłgął ściśle do marmurowego torsu, zniknął po chwili w otwierającej się przed nim szczelinie skalnej. Przestraszył się, ale wtedy zobaczył kręte schody prowadzące w górę i w dół, pojął zatem, że jakoś się stąd wydostanie. Śmiechy na zewnątrz nagle umilkły. Kobiety z pewnością zaniepokoiły się jego zniknięciem.

– Hamo? Hamo!

Zaczął naśladować głosy zwierząt, krótko jednak, aby nie zdradzić swej kryjówki, i cieszył się skrycie z narastającego niepokoju kobiet. Wkrótce jednak pożałował tej zabawy. Szukał przecież towarzystwa obydwu, ponieważ odczuwał tęsknotę za trzecią, nieśmiałą Szirat, której tu już nie było.

Czy jego mamelucka księżniczka, przebywająca być może jak on w ciemnym lochu, myśli o nim czasem? Nie ośmielił się ruszyć schodami w dół lub w górę, zbyt wiele słyszał o nęcących tajnych korytarzach, które dla nie wtajemniczonych stawały się śmiertelną pułapką.

Czy zawołać Klarion na ratunek? Nie chciał jej pozwolić na tryumf, a tej Madulajn tym bardziej. Klarion była wedle niego aż przesadnie kobieca, natomiast przykra w obyciu Saracenka – zbyt męska. Zachowywała się jak wojownik i Hamo nie potrafił sobie wyobrazić, że trzyma ją w ramionach.

Łagodnej Szirat z początku nie dostrzegał, potem mu ją uprowadzono, czemu nie mógł przeszkodzić. Jak bardzo za nią tęsknił, odczuł dopiero teraz.

W końcu gdy zdecydował się jednak zawołać o pomoc, usłyszał nagle głosy dzieci, i to pod sobą. Brzmiały niewyraźnie i głucho, ale ze zwykłą pewnością siebie, z jaką Rosz i Jeza wszędzie myszkowali.

– Tu znowu są schody – powiedziała Jeza.

– Nie przestraszcie się! – zawołał Hamo. – Jestem tutaj!

Dobiegł go śmiech Rosza.

– Właśnie słyszałem Hamona. Mówi, żebyśmy się nie przestraszyli...

– Może się przebrał?...

– Nie – rzekł Hamo – wejdźcie po schodach, jestem tu uwięziony!

Ich kroki w pomieszczeniu pod nim oddaliły się, a potem jeszcze doszło go niewyraźne:

– Tutaj go nie ma!

Zrobiło się cicho i nagle głosy dzieci odezwały się tuż przed nim. Jeza powiedziała zaniepokojona:

– Gdzież jest ten Hamo?

– Przysięgam ci – bronił się Rosz – to był on!

Musieli stać dokładnie przed boginią.

– Jestem tutaj! Za tą statua, ale nie mogę jej poruszyć. Pomóżcie mi wyjść!

– Och – odezwał się Rosz – to przecież takie proste...

– Poczekaj! – zatrzymała go Jeza. – Musi nam najpierw powiedzieć, po czym się rozpoznaje rośliny *cannabis*.

– Słyszałeś, Hamo? – szepnął Rosz prosto do jego ucha. – Przyrzeknij nam to, wtedy cię uwolnimy, inaczej...

– Przyrzekam. Rosną w ogrodzie, już je widziałem.

Cokół obrócił się i Hamo wyszedł przez szczelinę między skałami.

– Hamo! Gdzież ty się podziewałeś? – krzyknęła przenikliwie Klarion.

Hamo rozejrzał się za dziećmi. Zniknęły bez śladu.

– Stałem tutaj cały czas, ale wy, kwoki, nie macie zbyt bystrych oczu. Tylko gdaczecie i gdaczecie!

W długich zwiewnych szatach kobiety wyglądały raczej jak kapłanki, pomyślał, zwłaszcza Madulajn, która go ostro złażała:

– Jak na dobrego koguta piejecie za głośno, Hamonie l’Estrange.

Hamo nie miał ochoty sprzeczać się z kobietami i chciał już odejść, gdy pod wodnymi łukami fontann ukazał się Crean z Bourivanu. Wydawał się niezwykle poruszony i bez wstępnych grzecznościowych frazesów powiedział do Klarion:

– Przybył Jan Turnbull, mój ojciec, aby tutaj umrzeć, jak mi oznajmił na powitanie.

– Och! – Klarion wstrząśnięta cofnęła się o krok.

– Potem jednakże – mówił dalej ochryplym głosem Crean – gdy usłyszał, że Rosz i Jeza są tutaj, obudziła się w nim chęć życia. Pragnie dzieci natychmiast zobaczyć. Gdzie są?

– Tu ich nie ma – powiedziała Madulajn szorstko, a Klarion wymownie potwierdziła, że nie mają pojęcia, gdzie ta dwójka może się podziewać.

– Przechesaliśmy cały zamek – powiedział Crean zatroskany. – Znowu zniknęły.

– Jeśli je znajdę – wtrącił Hamo – to gdzie należy szukać Jana Turnbulla?

– Jest u Tarika, kanclerza, na górze w obserwatorium! Ale obaj starzy panowie nie chcą, żeby im teraz przeszkadzano – dodał i spieszenie się oddalił, jakby nie w smak było mu przebywanie z damami, których spojrzeń przez cały czas unikał.

Hamo wiedział o słabości swojej przybranej siostry do smutnego wdowca. Wydawało się też, że i dla Madulajn poznaczona bliznami twarz konwertyty nie jest tak odpychająca jak twarze innych mężczyzn od czasu, gdy rozdzielono ją z Firuzem.

Ruszył w drogę powrotną. Kiedy szedł przez ogród kwiatowy, dobiegł go szept z krzaków:

– Gdzie jest *cannabis*?

Rozejrzał się wokół i natychmiast odkrył wysokie na dwa łokcie byliny.

– Widzicie to ziele?

– Dziękujemy! – zawołały cicho dzieci.

Hamo nie widział już, jak na czworakach poczołgały się do plantacji i niby głodne koźlątko zaczęły oskubywać liście, a sekretny zbiór upychać starannie po kieszeniach.

– Jesteśmy jak dwie mumie – powiedział Jan Turnbull do spoczywającego obok niego kanclerza – jakbyśmy nie mogli się doczekać naszej ostatniej podróży...

Tarik ibn-Nasir uśmiechnął się blado. Oczy miał zamknięte, bo raziło go światło. Obu starców umieszczono w plecionych fotelach, pod plecy dano im poduszki i otulono kocami aż po stopy, pod które wsunięto podnóżki. Turnbull mógł cieszyć się widokiem Dżebel Bahra, gór i dolin na zachodzie, za którymi lada chwila miało się schować czerwono żarzące się słońce. Wiatr nagłym porywem powiał po otwartej platformie obserwatorium. Zrobiło się chłodno.

Crean kazał przynieść dodatkowe koce, gdyż uparci starcy oświadczyli, że zamierzają tu spędzić noc.

Podano im herbatę, przekazano też wiadomość, że dzieci już śpią, zostaną więc przyprowadzone jutro.

– Jeśli się znowu nie wymkną – oświadczył pokaszując Tarik. – Są jak jaszczurki, gdzie tylko znajdą jakąś dziurę w murze, zaraz muszą w nią wleźć. I już ich nie ma!

Sięgnął po dzbanek. Na czole starca widniały krople potu.

– Nie zadawajcie sobie takiego trudu, powinniście unikać wszelkiego wysiłku...

– Nawet gdy już wcale nie będę mógł nalać herbaty – sapnął gniewnie kanclerz – ona i tak będzie pełna smaku dzięki liściom dzikiej mięty i miodowi z naszych gór!

Podniósł brzuchaty mosiężny dzbanek i z wygiętej szyjki delikatnym strumieniem popłynął brązowy płyn do srebrnych czarek, które stały między starcami na *tarabezie* *.

– Cieszę się, że dzieci są tutaj całkowicie przy nas bezpieczne.

Tarik skosztował ostrożnie napoju.

– Jeszcze nie powiadomiłem o tym Alamutu – mruknął i wyczerpany opadł na poduszki.

– Nie jestem zresztą pewien, czy nasi ludzie w dalekiej Persji zastanawiają się w ogóle nad dziećmi. Za bardzo są wzburzeni kopcem mrówek, który rośnie nieustannie na wschodzie: tysiące, setki tysięcy rojących się, słabo wyrosniętych, sześciorożnych rozbójników – zażartował gorzko – w tym cztery nogi konia, na którym siedzą jak przyrośnięci Tatarzy o pałkowatych nogach i skośnych oczach.

– Lud bez kultury – rzędził stary Turnbull – wedle mego zdania przeceniany! Kiedy myślę o nagromadzonej przez tysiąclecia wiedzy i mądrości między piramidami a zikkuratem *, uważam, że tutaj znajduje się kolebka ludzkości...

* Tarabeza (arab.) – stolik.

– Lecz ludzkość pozwoliła się w niej usnąć – przerwał mu skrzekliwie Tarik – skostniała w swych tradycjach, znużona i senna...

– I beznadziejnie skłócona! – dorzucił Turnbull – na nasze zresztą szczęście! Dlatego Masnat jest dziś najpewniejszym miejscem, bo niby sieć pajęcza umocowany jest w tak wielu warownych zakątkach, iż może reagować elastycznie na każdą zmianę.

– Ten obraz mi się nie podoba – westchnął Tarik. – Pajęczyna powstrzyma muchy i komary, ale pewnego dnia przemknie obok sieci któryś z jeźdźców na szybkim koniu i zerwie ten pełen arcyzmu twór, w ogóle tego nie zauważywszy!

– A przecież dzieci należą do Zachodu, do *Mare Nostrum**, do naszej cywilizacji, nie zaś do odległego Wschodu, który się uważa za pępek świata!

– Jestem gotów zapewnić im tutaj schronienie, jak długo nasi zwierzchnicy nie rozstrzygną inaczej. Jednakże przyglądam się z troską krucjacie Ludwika, pomyłonego bojownika za wiarę. Dokądkolwiek on zmierza, może zburzyć nasz świat. Zbliżamy się ku niebezpiecznym czasom.

– Tym bardziej my, stare doświadczone lisy, musimy być czujni, nie pozwólmy sobie na pielęgnowanie słabości...

– Dobrze wam mówić, Janie – wydyszał kanclerz i nalał do czarek gorącej herbaty na liście pieprzowej mięty. – Chcąc dokonać żywota przybyliście tutaj jak głupiec, z własnej woli, chociaż nikt was nie wzywał, a już bynajmniej nie kostucha! – Nasączył uważnie do czarek spadziowego miodu. – Niczego wam nie brakowało, tylko nudziliście się w Starkenbergu, mnie natomiast śmierć kołacze w żyłach, rzeź w oddechu, chce zatrzymać serce, udusić mnie, a ja nie jestem gotów ustąpić pod jej naporem!

– Wobec tego odsuniemy nasze odejście – skrzeknął Jan Turnbull pogodnie – i na początek zmienimy napój!

Tarik sięgnął po srebrną kołatkę i uderzył nią w cyzelowany blat stołu, aż zadźwięczały czarki.

Do biblioteki wpadło przyćmione światło poranka. Wpuszczone w sufit cienkie szyby z żółtawego marmuru rozpraszały je po korytarzach, w których po obu stronach ciągnęły się wysokie półki z księgami, zwojami i glinianymi tabliczkami.

Gdy dzieci wczołgały się sztolnią wentylacyjną, a siwobrodzi bibliotekarze oznajmili z wyrzutem, że wszyscy ich szukają, Jeza powiedziała:

– My jesteśmy prawdziwymi haszszynami, wykonaliśmy wszystkie wasze polecenia! – pokazała z dumą worek liści *cannabis*, który ze sobą przyciągnęła.

* Zikkurat – ogromna, podobna do piramidy, kilkukondygnacyjna budowla wieżowa, zmniejszająca się schodkowo ku górze (górną platforma przeznaczona była dla kapłańskich czynności astrologicznych); zikkuratem była wieża Babel.

* Mare Nostrum (łac.) – Nasze Morze; określenie używane przez Rzymian jako nazwa Morza Śródziemnego.

– Na Allaha – rezonował najstarszy – byliście w „Raju”!* Nigdy nie kazaliśmy wam ważyć się na czyn tak karygodny!

– Nie lamentujcie – uciał Rosz – przynieście raczej fajeczkę chif-chif.

Mężowie o siwych brodach roześmiali się, a najstarszy powiedział:

– Między zbiorem a użyciem potrzebny jest czas na odpowiednie przygotowanie. To wielka sztuka! – Pokiwał znacząco głową, gdy wysypał zawartość worka na stół.

Dzieci nie potrafiły ukryć rozczarowania. Najstarszy drżącą ręką podniósł jeden z liści do ust i zaczął go żuć z miną znawcy.

– Nie ma jednak nic lepszego niż nasz żółty libański! – powiedział i wypluł zżutą masę.

– *Bala!** – odezwał się wtedy spokojny głos, który Roszowi i Jezie wydał się znajomy. – *Afghan al-ahmar!**

Za nimi stanął nagle Abu Basit, stary sufi.

– *Iza aradtum an tudachchinu schajan dzijdan, fa-chuzu min haza!**

Ale dzieci zapomniały już o swej zachciance.

– Gdzie jest Mahmud? – spytał Rosz. – Czy jest w więzieniu w Homsie? A Szirat?

– Czy umiera przykuta łańcuchem do wilgotnych murów w najgłębszym lochu? – Jeza pragnęła od razu potwierdzenia swych najgorszych przypuszczeń. – Czy zapomniała już o Hamonie?

– On przecież usycha z tęsknoty – dorzucił Rosz – nic już nie je, wzdycha całe dnie i ma złamane serce!

– Ojej! – powiedział sufi uśmiechając się. – *Fa-l-jakul wajaszrab wa-jakun sa'idan, fa-Mahmud wa Szirat hum dujuf aszraf**, jedzą i piją przy stole An-Nasira. *Lakinnahum lajsu bisu'ada, li-annahum la jastati'un mughadarat Hims**

– A więc jednak – stwierdził Rosz. – Są więźniami!

– *Dujuf aszraf*, honorowymi gośćmi! – zaproponował sufi.

– Nie wierzę w to! – oświadczyła Jeza. – Według mnie wyplakują oczy, gdy przez pręty krat widzą lecącego ptaka, i bezsilnie potrząsają ciężkimi żelaznymi łańcuchami...

– I dostają tylko wodę, która ścieka ze ścian więzienia, i suchy chleb! – dorzucił Rosz z najgłębszym przekonaniem.

– *Halla! Innahum ju'anun fakat min dzua al-hurrijja wa atsz li-hubb abihim al-kalik**

* „Raj” – tak nazwano u asasynów ogrody haremu ich wielkiego mistrza; według legendy zezwalano nowicjuszom odurzonym haszyszem patrzeć na hurysy, a nawet krótko u nich pobyc, aby tęskniący za rajem *fida'i* nie obawiał się śmierci.

* *Bala!* (arab.) – ależ nie!

* *Afghan al-ahmar* (arab.) – czerwony z Afganistanu, gatunek haszyszu.

* *Iza aradtum an...* (arab.) – chcecie zapalić coś naprawdę dobrego, zatem weźcie to.

* *Fa-l-jakul wa jaszrab...* (arab.) – powinien jeść i pić i być w pogodnym nastroju, bowiem Mahmud i Szirat zostali zatrzymani jako honorowi goście.

* *Lakinnahum lajsu...* (arab.) – nie są jednak w pogodnym nastroju, nie mogą bowiem opuścić Homsu.

* *Halla! Innahum ju'anun...* (arab.) – nie! Cierpią tylko z głodu za wolnością i z pragnienia za miłością ich zatroskanego ojca.

– My, haszaszynie, jesteśmy powołani do tego, żeby ich uwolnić – oznajmił Rosz. – Pokaż teraz ten czerwony afgański. Masz go przy sobie?

Sufi wyciągnął z kieszeni dzellaby* małą, niepozorną bryłkę.

– Czy to wystarczy...? – Jeza nie zdążyła dokończyć pytania: „do zabicia człowieka”, bo siwobrody bibliotekarz wpadł jej w słowo:

– Wystarczy dla wszystkich!

*Allahu akbar! Allahu akbar!
Aszhadu anna la ilaha illa Allah!
Aszadu anna Muhammad Rusul Allah!
Hajja ala as-salah! Hajja ala as-falah!
Allahu akbar! Allahu akbar!
La illaha illa Allah!*

Muezin nawoływał do *assala-t-il'asr*, popołudniowej modlitwy. Ostry stożek skalny, który wyrastał za dachem otwartego pawilonu, był najwyższym wzniesieniem w Masnacie. Wykute w kamieniu stopnie prowadziły spiralą do minaretu powyżej obserwatorium.

*Bi-ismi Allahi ar-Rahmani ar-Rahim.
Al-Hamdu li Allah Rabb al-alamin
ar-Rahman ar-Rahim.
Maliki Jaum ad-Din.
Ijjaka nabudu wa ijyaka nasta'in.*

Na leżącej niżej platformie obserwatorium klęczeli na dywanach Tarik i Jan Turnbull. Opuścili posłania w pawilonie z pomocą Creana, który, zachowując pełen respektu odstęp, klęczał za nimi, skłaniając się w stronę Mekki.

Jan Turnbull był teraz dla niego przede wszystkim gościem Tarika ibn-Nasira, jego kanclerza. Jako asasyn uwolnił się od wszelkich więzów pokrewieństwa.

*Ihdina as-Sirata al-Mustakim,
Sirat al-lazina anamta alajhim,
ghajri al-maghdubi alejhim wa-la dallina.
Amin.*

* Dzellaba (arab.) – długa szata, także męska.

Spojrzenia modlących się starych mężczyzn pobiegły z krawędzi tarasu w dół. Tylko stąd można było ogarnąć wzrokiem meandryczną plecionkę murów i dróg, dostrzec zieleń w ogrodzie wielkiego mistrza i popatrzeć daleko na krajobraz poza murami.

Na jednym z pozbawionych balustrady bastionów leżały na brzuchach dzieci, przytulone mocno do siebie i trzymające się za ręce. Razem przesunęły się jeszcze bardziej do przodu i popatrzyły najpierw w przepaść, potem na siebie. Można było ich czułość odczuć aż tu na górze. Jak kochające się jaszczurki, pomyślał Tarik i nie mógł oderwać od nich wzroku.

Allahu akbar!

Subhana Rabbi al-Azim,

Subhana Rabbi al-Azim,

Subhana Rabbi al-Azim.

Allahu akbar!

Subhana Rabbi al-Ala,

Subhana Rabbi al-Ala,

Subhana Rabbi al-Ala.

As-salamu alajkum wa rahmatu Allahi.

As-salamu alajkum wa rahmatu Allahi.

Z diariusza Jana ze Joinville

Limassol, 18 grudnia A.D. 1248

Król Ludwik kazał mnie odszukać. Paź nie znalazł mnie na kwaterze, a także w tawernie w porcie; na dworze wiedziano, że często tam przebywam, jak mi szczerze wyznał Jakub ze Juiwet, młody prostak. Bogu dzięki powstrzymał się od wszelkich uszczypliwych uwag, tak że nie musiałem go skarcić.

Przeczesałem bazar w poszukiwaniu Williama, który miał dziś rozpocząć u mnie służbę. Nie znalazłem go. Ingolinda, która mogłaby udzielić mi informacji, wyjechała do Episkopi ze swym nowym woźnicą, choć może inaczej powinienem go nazwać.

A więc spiesznym krokiem ruszyłem za pazurem do królewskiego pałacu. Król Ludwik bowiem zamierzał przyjąć dwu posłów wielkiego chana Mongołów. Ponieważ byli oni nestorianami, a zatem chrześcijanami, król udzielał im audiencji w kaplicy, by pokazać, że tylko na gruncie wspólnej chrześcijańskiej wiary gotów jest prowadzić rozmowy z dzikimi Tatarami.

Nie dotarliśmy jeszcze do położonej na piętrze kaplicy pałacowej, gdy urzędujący wielki mistrz joannitów wraz z całym orszakiem przeszedł obok nas wielce wzburzony i srożąc się, opuścił pałac.

Zanim wyszedłem po schodach na górę, zobaczyłem stojącego przy balustradzie Williama z Roebruku, który przywołał mnie dyskretnie.

– Wcale nie musicie wchodzić – szepnął – chyba że chcecie uczestniczyć we mszy, którą właśnie ku czci obu braci w wierze celebryje z obrzydzeniem *maître* z Sorbony! Bo dla *maître* Roberta nestorianie są na pół poganami!

– A król?

– Jest wściekły, joannici bowiem czują się obrażeni tylko dlatego, że Jego Królewska Mość nie przyjął zaproszenia na ucztę ku czci ich patrona.

– Chcecie powiedzieć, że król nie uczestniczy we mszy...?

– Uczestniczy, ale nie sposób do niego przemówić – ostrzegł mnie William. – Znam te jego złe humory. Tak czy tak nie przybyliście punktualnie, aby być świadkiem przyjęcia posłów. Teraz możecie się tylko narazić na jego gniew.

Zrozumiałem to i zszedłem z Williamem na dół. Ten franciszkanin był z pewnością nędznym mnichem, ale jako sekretarz mógł być tym bardziej użyteczny.

– Powiedzieli, że nazywają się Marek i Dawid – relacjonował William – a wysłał ich mongolski dowódca imieniem Aldżyghidai, namiestnik w Mosulu.

Nie mogłem ukryć rozczarowania. Przecież to miasto leży nie dalej niż Bagdad, nie zaś w odległej tatarskiej pustyni!

– Nie przysłał ich wielki chan?

– W żadnym wypadku! – odparł William, gdy byliśmy już przed pałacem. – Przywieźli wprawdzie pismo, które z emfazą roi o zwróceniu się Mongołów ku chrześcijaństwu, ale kiedy pan Ludwik ich spytał, czy w Wielki Czwartek myją własnoręcznie nogi biedakom, popatrzyli obaj na niego bezradnie. „Prawdopodobnie w ogóle nie znają tego kościelnego święta!”, syknął pełen szyderstwa *maître* Robert. Ja powiedziałbym, że nigdy nie myją nóg.

– Mogło również chodzić o to, drogi Williamie, że Mongołowie nie znają biedy. Wy przecież byliście już tam, nieprawdaż?

Minoryta zająknął się teraz, lecz nie pozwolił sobie wytknąć kłamstwa i odpowiedział szybko:

– Tak właśnie jest, dostojny panie, wszyscy są jednakowo biedni i nie znają ani bogactwa, ani własności, ponieważ wszystko dzielą!

Udałem, że mu wierzę, chociaż okazał wyjątkową bezczelność rozpowszechnianiem takich bajek.

– Czcigodny Williamie z Roebruku, zamierzacie dziś wstąpić na moją służbę, powiedzcie mi zatem, jakiego oczekujecie wynagrodzenia. Mówię zresztą od razu, że nie posiadam bogactw, które mógłbym z wami dzielić.

– Jeśli mi pozwolicie uczestniczyć we wszystkim, co wasze uszy usłyszą, a wasze oczy zobaczą, wówczas chcę odpłacić tą samą monetą i nie żądam żadnego wynagrodzenia poza mieszkaniem i wyżywieniem oraz łagodnym, ale mocnym wierzchowcem i jakimś sługą.

– O służce nie ma mowy – oznajmiłem zdecydowanie. – Nawet gdyby zjadał tylko połowę tego, co wy codziennie pożeracie, nie stać mnie na takie luksusy.

– Dobrze – zgodził się William – rezygnuję ze służki, ale musicie postawić mi codziennie do dyspozycji te pół porcji, które on by zjadł. A co się tyczy picia, chcę się zadowolić taką ilością, jaką sobie przydzielacie!

Mnich był bezwstydnym, ale pełnym dialektycznie wyćwiczonej chłopskiej przebiegłości. To było dla mnie cenne.

– Jeśli jednak – ciągnął dalej William – zamierzacie mnie wykorzystać tylko jako pisarza waszej oficjalnej kroniki, którą tworzycie dla sławy i przypodobania się królowi, co obiecuje niewiele rozrywki, wówczas musicie płacić za każdy wiersz, który mi podyktujecie...

– To znaczy *per lineam* *?

– Ile zapłaciliście Ingolindzie za to, żeby wyjechała do Episkopi z Galanem?

Poczułem się przyłapanym i roześmiałem się.

– Jesteście prawdziwym chytrusem, Williamie! Toteż za każdą godzinę, w której nadużyję waszego talentu jako pisarza, otrzymacie wynagrodzenie jak ładacznicą! Poza tym jesteście na moim utrzymaniu, dostaniecie półtorej porcji stałej i porcję płynnej stawy jako mój sekretarz i powiernik. I otrzymacie osła!

Wyciągnąłem do niego rękę, ale William nie przybił.

– Ten układ można zawsze odwołać – oznajmił – dziś król nie chce już o mnie słyszeć, a z dziećmi zostałem rozłączony. Zwodnicza też jest ziemia, na którą się udajemy. Nie nasze ręce powinny ten pakt przypieczętować, lecz przyznana mi porcja wina!

Pociągnęliśmy więc do portu, William jednak posterował nie do tawerny „Pod Pięknym Widokiem”, lecz do ponurej spelunki na drugim końcu zatoki, gdzie kotwiczyli Anglicy i Grecy, a nadzór nieudolnie sprawowali joannicy. Nie czułem się tutaj szczególnie dobrze, przypomniła mi się od razu moja ostatnia wyprawa do tej poplepszonej okolicy i potworne odkrycie zaszlachtowanych Greków.

– Musicie się nauczyć patrzeć *sceleritati vitae* * prosto w oczy – wyjaśnił mi William nieubłaganie i powlókł mnie obok rozpustnie wyszminkowanych armeńskich heter o tłustych zadkach, przybyłych ze Sporad postarzałych megier z obwisłymi piersiami i Kretenek, najbardziej bezwstydnym kobiet.

Na powitanie przelatywały nam koło uszu sprośne nawoływania i głośne pierdnięcia. Większość, jak się zdaje, znała mojego mnicha. Wiele magazynów tak podupadło, że w bramach i lukach ładunkowych zagnieździły się knajpy i wychodki jak wrzody na ciele

* *Per lineam* (łac.) – za wiersz (wers), od wiersza.

* *Sceleritas vitae* (łac.) – nikczemność życia, zbrodnie.

trędowatego. Zrobiło się głośno, dudy wygrywały podniecające melodie, które ginęły w ogłuszających rykach, ilekroć ktoś został zrzucony ze schodów albo ulicznice pobiły się o klienta.

Tawerna „Pod Pięknym Widokiem” wydała mi się spokojnym, na drugim końcu świata położonym azylem pielgrzymów, gdyśmy teraz zeszli do pewnej piwnicy, gdzie mieściła się winiarnia. Wyziewy zatykały dech w piersiach. Można tu było jedynie stać, ale wino, które podsunął nam po mokrym szynkwasiu *kephalos*^{*}, było pierwszej jakości, chociaż ciężkie, żywiczne.

Panował tu taki szum, że nie dało się zrozumieć własnych słów, dlatego wcale nie zaczynałem rozmowy z Williamem, który tylko wrzasnął do mnie:

– Tam z przodu stoi Szymon z Saint-Quentin, *canis Domini* najgorszego gatunku, kundel uliczny, który mnie za nogę...

Więcej nie rozumiałem w ogólnym hałasie, uznałem jednak, że nie powinien tak głośno krzyżeć.

Niedaleko od nas znajdowała się niewielka grupka królewskich paziów. Chyba raczej zagubili się niż zebrawi w tej jaskini zbójców. Diabeł musiał ich opętać, że w swych aksamitnych kaftanach z wyhaftowanymi złotymi liliami Francji wściubili tutaj swoje młode nosy.

Rozpoznałem między nimi Jakuba ze Juivet. Utworzyli krąg i dla animuszu popijali z dzbana. Wtem drzwi prowadzące do tej piwnicy otworzyły się gwałtownie i na schodach stanął olbrzymi Anioł z Karos; za nim cisnęli się jego Grecy w pludrach i haftowanych kamizelkach na nagich, owłosionych piersiach.

Od razu wypatrzyli „królewskich”, a ich miny nie wróżyły paziom nic dobrego. Mandoliny, cytra i przenikliwy flet umilkły, umilkły też najgłośniejsze śmiechy i wrzaski.

Paziowie zrozumieli, że nie są już tu bezpieczni. Próbowali uciec przeciskając się przez cizbę, gonieni przez Greków. W górze na schodach stał pan Anioł, obok którego musieli przebiec.

Anioł z Karos chwycił każdego paza, przyginał do ziemi, lustrował z miną znawcy wypięty zadek i dawał kopniaka, tak że chłopcy wylatywali raczej ze spelunki niż wybiegali.

Gdy jednak mu wpadł w łapy Jakub ze Juivet, chyba ostatni, pan Anioł obscenicznym gestem przeciągnął palcem między jego pośladkami, przytrzymał palec pod nosem wężąc przez chwilę, nim go tryumfująco podniósł w górę.

To był sygnał. Olbrzym trzymał paza wciąż za kark, teraz jednak popchnął go z powrotem po schodach w dół, prosto w ręce swoich ludzi. Ci zmiętli z najbliższego stołu kubki i dzbany, odsunęli na bok pijących, rzucili i rozciągnęli Jakuba na blacie. Dwóch przytrzymało chłopakowi ręce, inni ściągnęli mu spodnie.

* *Kephalos* (gr.) – szynkarz.

Myślałem, że Grek nie zrobi tego tutaj na oczach wszystkich ludzi. Jednakże pan Anioł zszedł po stopniach odpinając pas i wśród powszechnego wycia wyciągnął wcale nie tak znów potężne przyrodzenie. Usłużny podwładny był już na miejscu z dzbanem oliwy. Jakub ze Juiwet szarpał się jak dziki, kopał na wszystkie strony, póki mu nóg również nie przytrzymało i nie odgięto na boki. Więcej już nic nie widziałem prócz szerokiego grzbietu Anioła.

Najbardziej przeraziło mnie to, że muzyka zaczęła znowu grać, a ludzie zagrzewali gwałciela do czynu, klaszcząc rytmicznie.

Dałem Williamowi znak, że życzę sobie opuścić natychmiast to miejsce. Przepchaliśmy się przez chciwie przyglądających się widzów i dopiero na dworze z wściekłością ofuknąłem minorytę, pytając, co mu przyszło do głowy, żeby mnie, seneszala Francji, stawiać w takim położeniu.

– W tej jaskini uczyniliście mnie świadkiem zhańbienia chłopca!

– Nie mogłem tego przewidzieć! – odparł William. – A i wy nie chcieliście Grekowi przeszkodzić!

Tu miał rację: nie jestem najodważniejszy. Byłem jednakże wściekły, teraz też na samego siebie.

– Wiecie zresztą – klarował mi William nieporuszony – pod którym adresem należy skierować *valedictionem sodomae**: Iwona Bretończyka!

Co to pomoże biednemu Jakubowi ze Juiwet? – pomyślałem. Zmywaliśmy niesmak po tej sprawie w tawernie „Pod Pięknym Widokiem” jeszcze wieloma dzbanami wina.

Limassol, 28 lutego A.D. 1249

W mojej kwaterze pojawił się ukradkiem marszałek joannitów Peixa-Rollo. Ponieważ w pokoju był William, gość nie chciał nic mówić.

– William jest moim sekretarzem – wyjaśniłem.

Marszałek jednak mruknął:

– Do żadnych uszu prócz waszych, szlachetny panie Joinville, nie powinno dotrzeć zaproszenie na nadzwyczaj tajne spotkanie.

Wtedy William wybuchnął śmiechem.

– Pan marszałek przynosi z pewnością wiadomość, że zastępca wielkiego mistrza oczekuje was w porcie na pokładzie swojej galery. Szlachetny pan Ronay udał się tam mianowicie w sposób niezwykle tajny pół godziny temu!

Ponieważ marszałek poczerwieniał, powiedziałem szybko:

* *Valedictio sodomae* (łac.) – sodomickie pozdrowienie.

– Tym razem pójdę jeszcze bez towarzystwa, jak sobie tego życzyście, a William przyjdzie po mnie.

Udałem się więc do portu za Peixa-Rollo „dyskretnie”, to znaczy kroczyłem za nim w odległości dziesięciu kroków i niepostrzeżenie wszedłem na pokład wspaniałej galery wielkiego mistrza szpitalników. Miała nie tylko na rufie, ale również w środkowej części piętrowe nadbudówki, które skrywały kosztownie urządzone pomieszczenia.

Marszałek poprowadził mnie drewnianymi schodami na górę do sali map. Jedna z nich obejmowała całe Morze Śródziemne, sięgała nawet poza Dżabal at-Tarik, na południu aż po Wyspy Kanaryjskie, na północy zaś po wybrzeże Portugalii. Na wschodzie było narysowane Morze Czarne aż do Tyflisu, a za Synajem także Czerwone. Nadto w sali znajdowały się najosobliwsze instrumenty do określania kursu i miejsca, jakich jeszcze nigdy nie widziałem. Albo uczyniono mi wielki zaszczyt, albo zamierzano przywieść przed oczy wielkie znaczenie zakonu. To już nie był mały rycerski zakon szpitalników w Jeruzalem, który pielęgnował chorych pielgrzymów i sporadycznie troszczył się o bezpieczeństwo na ulicach prowadzących do świętych miejsc, to było nawigacyjne miejsce dowodzenia wielkiej morskiej i handlowej potęgi!

Pan Jan z Ronay przyjął mnie tam słowami:

– Czy wolelibyście tytuł księcia Joinville czy raczej Aprémont jako dodatkowe lenno?

Nie spodobało mi się ani jedno, ani drugie, a już szczególnie sposób, w jaki próbował mnie kupić.

– Jedno narobiłoby tylko złej krwi, drugie należy się wdowie po moim kuzynie! – rzekłem. A ponieważ byłem rozgniewany, dorzuciłem grubiańsko: – Wymyślcie, proszę, coś odleglejszego, a nie mieszajcie się w i tak już delikatne stosunki lenne i trybutowe między Burgundią, Szampanią i Lotarynią, Chaumont i Vaudemont, nie mówiąc już o biskupstwach Metz i Tulle.

– Proszę was, nie bierzcie nam za złe naszej ignorancji – opamiętał się pan Ronay, zaraz jednak stał się znowu zarozumiały. – My, joannici, myślimy w kategoriach kontynentalnych i z pewnością znajdziemy coś, co was zadowoli – ciągnął dalej. – Jako sprzymierzeniec jesteście dla nas warci dużo, bardzo dużo.

– Doradca – sprowadziłem go na ziemię – i dałem wam już pewną radę. Przemyśleliście ją?

– Ach tak, dzieci – powiedział bez prawdziwego przekonania. – Muszą to być potomkowie zdecydowanych kacerzy, efekt miłostek Hohenstaufa, może nawet nieopatrznych kroków pogańskiego, jeśli już nie żydowskiego rodzaju.

– Skoro macie takie skrupuły – oświadczyłem – templariusze będą zawsze nad wami górować.

– Czyż Graal nie był naczyniem, do którego Maria zbierała krew Pana wiszącego na krzyżu?

– Wobec tego – zakpiłem – była to krew żydowska. Jeśli zaakceptujecie fakt, że Maria uratowała ją przewożąc do Langwedocji, wówczas zaczyna się kacerstwo. Jeśli to odrzucicie, macie początek chrześcijańskiego Kościoła, ale do Graala nie zbliżyliście się nawet na krok!

– Podanie o świętym Graalu jest przecież głęboce chrześcijańskie! – oburzył się. – Nie możecie ode mnie żądać, abym się wdawał w coś, co postawi nasz zakon poza Kościołem i jego wyznaniem wiary. Przedstawcie mi, proszę, jakąś propozycję, która jeśli już nie jest przewidziana naszym statutem, to przynajmniej nie wykracza przeciwko niemu. Dzieci są dla mnie za konkretne, za żywe, zbyt teraźniejsze. Wolałbym coś legendarnego, choćby wczesnochrześcijańskiego.

– Okrążyłem Stołem króla Artura nie mogę wam niestety służyć. – Nie czułem już żadnej ochoty, by wyjść mu naprzeciw. Może o mnie myśleć, co chce. Dla niego ta rozmowa była tak czy tak bardziej niebezpieczna niż dla mnie. – Jeśli nie macie odwagi...

– Mógłbym sobie także wyobrazić coś przyszłościowego – zastanawiał się ku memu zdumieniu Jan z Ronay – coś nowego, coś odkrywczego, w krajach, których nie znamy, po tamtej stronie morza...

– Nawet tutaj templariusze już was wyprzedzili – przywołałem go z powrotem do rzeczywistości. – Ich mapy zachodniego oceanu nie kończą się z pewnością na Madras...

– To wszystko są tylko pogłoski – zdenerwował się natychmiast. – Jak te o wikingach! Wszystko bzdura!

– W tym wypadku akurat nie – powiedziałem spokojnie.

Po tej uwadze stracił panowanie nad sobą.

– Czy wiecie właściwie, gdzie są dzieci?

– Nie – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Ale ja wiem! Są w Masnacie, w rękach asasynów, którzy będą musieli nam je wydać!

– Spodziewam się, że nakazaliście, by traktowano dzieci jak królów.

– Nie może im spaść włos z głowy, należy ukryć je przed templariuszami i tylko mnie niezwłocznie powiadomić.

– Znakomicie – oznajmiłem.

W tym momencie zjawił się podniecony Peixa-Rollo z wieścią, że król pragnie mnie natychmiast widzieć.

– Ach tak – rzekł pan Ronay – całkiem o tym zapomniałem. Pan Ludwik zechciał dzisiaj przyjąć zaproszenie do odwiedzenia zakonu krzyżackiego w siedzibie templariuszy. Udzieli tam nawet audiencji.

Nie było trudno wyczuć, jak bardzo dręczył go królewski gest, a przede wszystkim chyba z rozwągą wybrane miejsce.

Prawdopodobnie udał się na statek, umykając przed królewskim zaproszeniem do uczestnictwa w tejże audiencji. I przemilczał to przede mną. Dobrze wiedział, że pan Ludwik przykłada wielką wagę do mojej obecności przy takich państwowych aktach.

Przysłano po mnie mego kuzyna Jana, hrabiego Sarrebruck.

– Czy pan sekretarz, William z Roebru, nie powiadomił, że Jego Królewska Mość życzy sobie was widzieć?

– Nie.

– Już ostatnim razem *maitre* Robert na oczach wszystkich przepędził waszego sekretarza ze słowami: „Hrabiemu Joinville wolno przyjąć na służbę, kogo zechce. Ale nie powinien oczekiwać, że my łaskawie powitamy jego sługę, zadowolimy się taką imitacją, zwłaszcza jeśli chodzi o *personam non grata* *”.

Nie odezwałem się, ponieważ nic o tym nie wiedziałem, tak więc dorzucił jeszcze złośliwie:

– To przykry afront wobec naszego suwerena!

Tak było istotnie. Nie chciałem kuzynowi pozwolić na tryumf, ale z uczuciem niepokoju wkroczyłem do siedziby templariuszy i skierowałem się do refektarza. Zygisbert z Öxfeldu, mrukliwy komtur zakonu krzyżackiego, przywitał mnie z nadzwyczajną serdecznością, także pan Ludwik uśmiechnął się do mnie, jakby się nic stało, ba, wydało mi się nawet, że odetchnął z ulgą, gdy mnie w końcu zobaczył. Stałem w wyznaczonym mi miejscu w pierwszym rzędzie i zacząłem śledzić dalszy przebieg ceremonii.

– Nestorian już pożegnano – szepnął mi pan Zygisbert. – Niczego nie straciliście! Ani Marek, ani Dawid nie zjedli wszystkich rozumów. Pan Ludwik natomiast odpowie wysokokaratowym poselstwem na niedorzeczny list tych monofizytów.

Teraz zabrał głos król.

– Poselstwo naszych braci i kuzynów w Chrystusie bardzo nas ucieszyło. Chcemy umocnić te więzy, przede wszystkim by pogłębiać i poszerzać naszą wiarę. To leży nam na sercu bardziej niż nawet najkorzystniejsze przymierze.

Maitre Robert z Sorbony, który stale sobie przywłaszczał rolę mistrza ceremonii w sprawach Kościoła lub wiary – a o tym pan Ludwik mówił najczęściej – dał znak i wniesiono przenośną kaplicę.

Była ona prawdziwym arcydziełem kowalskiej sztuki złotniczej – cała ze srebra, zbudowana na planie sześciokąta, z ostrymi łukami jakie teraz we Francji weszły w modę. Pośrodku wznosiła się kolumna, która dźwigała wieżyczkę zwieńczoną koroną, co sprawiało wrażenie, jakby ją aniołowie unosili w powietrzu. W trzech frontowych ścianach kapliczki znajdowały się ostrołukowe drzwi, po ich otwarciu trzykroć po dwie osoby mogły zająć miejsca na klęcznikach. Drugą połowę kaplicy niemal w całości zajmował ozdobiony klejnotami ołtarz, tryptyk o ruchomych skrzydłach, a jeszcze było dość miejsca dla kapłana. Wieżyczka mogła również służyć jako kazalnica, gdy się weszło na nią od tyłu schodami. Całość była z pewnością bardzo ciężka, gdyż co najmniej cztery tuziny mężczyzn musiało

* *Persona non grata* (łac.) – osoba niepożądana.

kaplicę nieść na dragach, ale ja mogłem sobie całkiem dobrze wyobrazić, jak taki kościółek umieszczony zamiast jurty* na zaprzężonym w woły wozie o wysokich kołach porusza się kołysząc po tatarskim stepie.

Chór Niemców zaśpiewał *kyrie eleison**. Tragarze ostrożnie postawili kaplicę na ziemi i król ukląkł w niej pierwszy, aby się pomodlić. Skinął na mnie, ukląknęłam więc obok niego, inni grandowie pospieszyli także, by zająć pozostałe wolne miejsca, gdy tymczasem *maître* Robert poświęcił ołtarz.

Potem król przywołał wykonawcę tego arcydzieła, niejakiego Wilhelma Buchiera z Paryża, wielkiego mistrza złotniczego fachu, i ściągnął z ręki ciężką złotą bransoletę.

– To jest upominek od wielkiego chana. Ja go nie potrzebuję, ale wam jako twórcy tego cudownego dzieła wiary należy się podziękowanie Mongołów!

Mistrz Buchier był niski, gruby i chyba krótkowzroczny; gdy dostał bransoletę, przymrużył oczy i zbadał upominek ze znawstwem, nim przyklęknął przed królem, dziękując za okazany mu zaszczyt.

Potem *maître* Robert zawołał:

– Bracia Andrzej i Anzelm z Longjumeau z zakonu kaznodziejskiego świętego Dominika zechcą teraz wystąpić i odebrać z rąk króla insygnia swojej misji do wielkiego chana!

Znałem obu braci już z Konstantynopola. Starszy i bardziej zarozumiały Andrzej podróżował kiedyś z ramienia papieża do Karakorum, a młodszy, Fra' Ascelin, daleko bardziej rozumniejszy, ale też ambitniejszy, miał jeszcze do powetowania niefortunną misję do pewnego mongolskiego chana, który go omal nie kazał zabić i wypchać.

Bracia uklękli teraz przed królem, który przekazał im własnoręcznie przez siebie wybrane relikwie i inne drogocenne upominki świeckiego charakteru, które Tatarom, jak sobie pomyślałem, będą odpowiadały o wiele bardziej niż relikwie. Na tym audiencji się zakończyła.

Pospieszyłem z powrotem na kwaterę zatroskany o miejsce pobytu Williama. Knuto tutaj olbrzymią intrygę, bez wątpienia, i nie po to by podkopać moje zaufanie do nowego sekretarza; z pewnością zamierzano pomniejszyć moje znaczenie u króla.

Gdy nie znalazłem mnicha na kwaterze, poszedłem do tawerny „Pod Pięknym Widokiem”. Tam gdzie kotwiczyła triera hrabiny, znajdowała się teraz galera wielkiego mistrza joannitów. Rzuciłem na nią okiem i zobaczyłem, jak Peixa-Rollo sprowadza Williama z pokładu. Nie pożegnali się serdecznie – marszałek dał mnichowi na pożegnanie kopniaka.

Relacja, którą mi zdał mój sekretarz, wydawała się aż nazbyt awanturnicza, jednak w miarę słuchania coraz bardziej dawałem jej wiarę.

* Jurta – wielki mongolski okrągły namiot z drewnianych krat, pokryty skórą lub filcem; nie był składany, lecz jako całość transportowany na odpowiednio dużych wozach.

* *Kyrie eleison* (gr.) – Panie, zmiłuj się.

Minoryta opowiadał, że zaledwie postawił nieśmiało stopę na pokładzie joannitów, Peixarollo kazał go aresztować, absolutnie nie zwracając uwagi na jego protesty, że on tylko, jak było umówione, przyszedł po seneszała. Marszałek wcale tego nie słuchał.

Williamu ulokowano w pomieszczeniu z różnym sprzętem w centrum statku i zaryglowano drzwi.

Gdy przyzwyczaił się do ciemności, zaczął natychmiast myśleć o ucieczce. Zorientował się, że może przewędrować całą parterową nadbudowę, jednak gdziekolwiek odkrywał jakieś wyjście, zaraz stawali mu na drodze uzbrojeni joannici, a ponieważ nie chciał być zastrzelony w czasie ucieczki ani utonąć w wodach zatoki z jakimś żelazem w ciele, pozostał w labiryncie arsenałów i żeglarskiego sprzętu.

Wtedy usłyszał nad sobą mój głos. Rozmawiałem z Janem z Ronay i napominałem go właśnie, aby traktowano dzieci jak królów. Potem pożegnałem się, gdyż przysłano po mnie posłańca od króla Ludwika. Zaledwie wyszedłem, William usłyszał, że do komnaty wchodzi Karol z Anjou, który, z pewnością za wiedzą Jana z Ronay, wszystko podsłuchiwał. Francuski książę, wedle relacji Williama, wydawał się niezwykle zagniewany przebiegiem rozmowy.

– Mój drogi Ronay – zbeształ joannitę – nie mam czasu do stracenia, aby przysłuchiwać się waszej *invidiae opinionis**. Użyczyłem wam mego ucha, aby jasno dowiedzieć się, do czego te dzieci mogą być przydatne mnie, który do chwały Francji chce dodać należne jej miejsce wśród możliwych tej ziemi! Żałuję, że stale, przy każdym przedsięwzięciu brakuje mi pieniędzy i muszę żebrać o wsparcie! Czy teraz te przedsięwzięcia są tak samo niepotrzebne jak krucjata mego królewskiego brata, czy też może są one konieczne dla rozszerzenia potęgi handlowej, trafnych, bo zyskownych, terytorialnych zdobyczy? Nie chcę już być zmuszony pytać, lecz chcę móc rozporządzać. Jaką odpowiedź możecie mi dać? Żadnej.

– Cokolwiek podejmiecie poza francuską macierzystą ziemią, Karolu z Anjou – odpowiedział ostro Jan z Ronay – dotrzemy naszego paktu!

– I po co ta afektacja z dziećmi Graala? „Królewskie dzieci”! Jakiego króla? Gdzie jest ich królestwo?

– Nie chcecie zrozumieć, że tym dzieciom dane jest królestwo pokoju, że z ich udziałem można złamać magiczną moc templariuszy. A tylko zdruzgotanie templariuszy otwiera przed nami wolną drogę, daje nam monopol, czego życzy sobie, Karolu z Anjou, z utęsknieniem, aby swoje plany panowania wprowadzić w czyn!

– Nie mówcie mi o „królestwie pokoju”, w to przecież sami nie wierzycie! Czyżby moi sojusznicy mieli się okazać krętaczami?

– Możecie kiedyś spytać panów templariuszy, czy są gotowi wspomagać wasze zachcianki tak bezinteresownie, jak...

– Zakon Świętego Jana nie działa znowu tak bezinteresownie! Ale nie mam żalu, ręką rękę myje!

* *Invidia opinionis* (łac.) – zawiść sławy, rozgłosu.

– Zgoda – przytaknął Ronay – tylko że templariusze myją obie ręce sami. Sami chcą panować, do czego i wy dążycie. My władzy nie pragniemy!...

– Wy nie możecie jej osiągnąć, gdyż brakuje wam czegoś, w czym rycerze Świątyni was wyprzedzają – powiedział pan Karol otwarcie. – Jeśli dzieci znajdą się w waszym ręku, czy będziecie nadal myśleć tak wstrzemięźliwie?

Nastąpiło dłuższe milczenie. Potem joannita odchrząknął.

– Będziemy wspólnie rozporządzać dziećmi. Musicie nam zaufać, tak jak my wam ufamy. Jesteśmy zdani na siebie i jeśli rzeczywiście chcemy dokonać czegoś wielkiego, zmienić świat, wówczas jesteśmy zdani na dzieci. One nie mają żadnego królestwa, ale są kluczem do władzy, która może objąć wszystkie ziemie!

– Wobec tego sprowadźcie dzieci tutaj! – powiedział hrabia Anjou szorstko i potem chyba wyszedł.

Tak zakończył swą relację William.

Mój sekretarz nie dotarł na czas do izby ze sprzętem i Peixa-Rollo wściekł się, gdy po otwarciu drzwi minoryta nie pojawił się od razu. Ktoś musiał sobie chyba o nim przypomnieć albo się za nim wstawić. Zbyt wiele osób widziało, jak wchodził na galerę. I tak przepędzono go kopniakiem z pokładu.

– Jakie wnioski należy stąd wyciągnąć, mój drogi sekretarzu? – Miałem już gotową odpowiedź: – Zaczęła się szarpanina: o mnie, z powodu łaski królewskiej, którą pewni ludzie próbują pomniejszyć, zapewne by mnie uczynić skłonniejszym czy bardziej uległym do służenia ich interesom; i o ciebie, Williamie, ty bowiem w przeszłości, niczym igła żelazna przyciągana przez magnes, wciąż jakoś znajdowałeś dzieci. William, *indicator**! Ale ostatecznie obaj jesteśmy tylko środkami do celu. Chodzi o dzieci!

– W tej szarpaninie biorą udział wszyscy, panie Joinville, „monarchiści” wokół Roberta z Sorbony, „Kapetyngowie” wokół Roberta z Artois, „imperialiści” uosabiani przez Karola z Anjou, a także „monopoliści” świętego Jana. Wszyscy zaczęli działać, intrygować, głaskać się, okłamywać i sobie zagrażać. Ale wszyscy czynią swoje rachuby bez uwzględnienia potęgi, która dotychczas trzyma nad dziećmi opiekuńczo wyciągniętą rękę. A że jej jeszcze nie cofnęła, dowodzą dotychczasowe wydarzenia: ani templariusze, ani asasyni nie zamierzają pozwolić, by doszła do głosu któraś z wymienionych sił. A kto stoi za wszystkim, wiecie chyba dobrze, Janie ze Joinville?!

– Przeorat Syjonu – powiedziałem, bo nie było sensu udawać, że tego nie wiem.

We wklęsłym zwierciadle na platformie obserwatorium w Masnacie zamigotał krótki błysk, raz, dwa razy. Crean dla pewności przysłonił oczy dłonią, aby lepiej widzieć drewnianą

* Indicator (łac.) – wskazywacz.

podstawę, na której wisiała obrotowa okrągła tarcza, pokryta starannie po wewnętrznej stronie srebrnymi płytkami. Potem spojrział na kanclerza, który wyprostował się na swoim łożu.

Tarik ibn-Nasir był zmęczony, ale już nie spał. Błyski, odbite od wypolerowanego metalu, powtarzały się raz w krótszych, raz w dłuższych odstępach, podobnie jak czas trwania błysku był dla wprawnego oka wyraźnie różny.

Przytłumionym głosem Crean czytał wiadomość:

– Wypędzony emir Homsu, Al-Aszraf, szuka pomocy przeciwko An-Nasirowi. Pytanie: Jak powinniśmy się zachować?

– Cześć! – odpowiedział kanclerz oschle. – Dlaczego haszaszynie mieliby wkraczać w wewnętrzne spory między Ajjubidami?

Crean nie odpowiedział nic, poprawił ustawienie zwierciadła tak, ażeby promienie słoneczne ściśnięte w wiązkę były przez nie chwywane, i wysłał zwięzłą wiadomość wycelowaną w dal ponad górami. Gdzieś na zamglonym horyzoncie trafi ona na podobne zwierciadło. Rozbłysku nie da się dostrzec okiem.

– Tu roi się od nietoperzy! – szepnął Rosz. – Czy to prawda, że one nocą wysysają ludziom krew?

– Nie wierz bredniom! – odparła Jeza. – Takie wieści rozpowszechniają tylko ludzie, którzy nie chcą, żeby wchodzono do określonych, tajnych miejsc...

– I każą swych skarbów pilnować smokom.

Jeza uśmiechnęła się do niego.

– Popatrz, Rosz, one wiszą na ścianach głowami w dół. Smoki czegoś podobnego nie robią!

Dzieci czołgały się wąską rynną nad wysklepionymi dziwacznie złogami wapiennymi.

– Byłem u orłów! – powiedział Rosz, chcąc wyrzucić na Jezie wrażenie. – Są rzeczywiście olbrzymie, ze szponami jak u gryfa.

– Przeszedłeś przez bibliotekę i przez drzwi za starym?

A więc Jeza znała drogę! Zawiedziony Rosz mówił dalej:

– Kratowe drzwi nie są zamknięte na klucz, można je łatwo otworzyć, ale tego przecież nie potrafią głupie ptaki!

Wreszcie wywarł na Jezie wrażenie.

– Chcesz powiedzieć, że byłeś w *mawa an-nisr*, w gnieździe orłów?

– Oczywiście – odparł Rosz z udaną obojętnością – krata otwiera się do wewnątrz i odpycha ptaki, lecz kiedy tam byłem, akurat wyfrunęły. – Ach, jakże się cieszył ze zdumienia dziewczynki! – Stoi tam szafa starego z truciznami, *chasnih as-sumum*. Orły strzegą jej, bo trucizny są straszliwie niebezpieczne.

– To ważne odkrycie – oznajmiła Jeza – może kiedyś będziemy musieli kogoś zabić w tajemnicy.

– Wolałbym nie – wzdrygnął się Rosz, ale potem pomyślał o Wicie z Viterbo, któremu chętnie podałyby truciznę. Jednakże Wit był już przecież martwy. – Tylko nie mów nikomu, że znamy sekret orlego gniazda – zaklinał Rosz Jeżę, która leżała na ziemi i przez otwór spoglądała w głąb.

– Wyobrażam sobie, że tak pięknie jest tylko pod wodą – szepnęła podniecona – brakuje jedynie ryb.

Dzieci już dawno odkryły Błękitny Meczecet we wnętrzu góry. Korytarzami i jaskiniami dotarły aż do kasetonowego stropu, z którego zwisały stalaktyty. Przez wywiercone ludzką ręką otwory, z których na ciężkich łańcuchach zwisały się kryształowe świeczniki, dzieci zaglądały często pełne czci do wnętrza wspianiałej sali, w jaką przekształcono naturalną grotę.

Rosz namawiał, żeby świątynię obejrzeć koniecznie od wewnątrz i razem z wiernymi uklęknąć do modlitwy.

Atak na starego Tarika, u którego Jeza osiągała zazwyczaj wszystko, tym razem przyniósł obojgu jedynie dłuższy wykład o prawdziwej wierze zakończony stwierdzeniem, że niewiernym nie wolno wchodzić do meczetu, by świątynia nie została zbezczeszczona. Świętokradców karano śmiercią. Dzieci nie przestraszyły się zbytnio, na wszelki wypadek jednak przemilczały, że często już zaglądały do meczetu z góry.

Jeza wytoczyła ostatni argument – oni przecież nie są chrześcijanami, są w ogóle niczym, czyli właściwie wszystkim...

– A więc także muzułmanami! – podchwycił Rosz jej wywód, lecz Crean, który zawsze towarzyszył kanclerzowi, uciszył chłopca stwierdzeniem:

– Wobec tego musimy cię natychmiast obrzezać!

– Nie! – zawołała Jeza, która wiedziała dokładnie, co to oznacza. Oboje przestudiowali i przedyskutowali to zagadnienie szczegółowo na przykładzie psipsiaka małego Mahmuda. – *Halla!* – powiedziała energicznie. – *La tafalu zalik!** Siusiaka Rosza chciała zachować w całości, wraz z napletkiem, dającym tyle możliwości do zabawy.

Rosz miał już dość tej rozmowy i wtrącania się Jezy, dlatego oświadczył przekornie:

– Wzbraniecie nam, królewskim dzieciom, wstępu do meczetu? Wobec tego nie jesteśmy też żadnymi haszaszynami!

Nie zauważył, jak bardzo te słowa dotknęły starego Tarika. Gdy wkrótce potem Jan Turnbull, chyba jako mediator w tej drażliwej sprawie, zaproponował, aby zezwolono dzieciom na spojrzenie do środka z progu Błękitnego Meczetu, Jeza oznajmiła:

– Nie chcemy nic połowicznego, a zresztą tam wolno wchodzić tylko mężczyznom, i to obrzezanym. Albo więc wejdziemy do środka bez obrzezania Rosza i razem, albo nie wejdziemy wcale!

To rozweseliło Jana Turnbulla. Kochał te dzieci, przywracały mu radość życia.

* *Halla!* *La tafalu...* (arab.) – nie, tego nie zrobicie!

Gdy młody emir Al-Aszraf przybył do Masnatu, strażnicy w milczeniu zaprowadzili go na górę do obserwatorium. Tarik przyjął go siedząc w plecionym fotelu, otulony kosztownym okryciem. Na prawo od niego stał Crean w czarnym burnusie, z twarzą zakrytą po oczy jak wojownik pustyni. Trzymał przed sobą poziomo topór. Na lewo od Tarika ustawili się trzej młodzi asasyni. Pierwszy trzymał pionowo trzy sztylety tak ze sobą złączone, że ostrze jednego tkwiło w trzonku następnego.

Emir wiedział od razu, że ten, przed którym stoi, występuje w imieniu wielkiego mistrza asasynów, bo tylko wielkiemu mistrzowi przysługiwała taka asysta.

Al-Aszraf nie był bohaterem, do tego jeszcze bał się o własne życie, skąd bowiem miał wiedzieć, czy jego kuzyn An-Nasir nie zapłacił za to, by mu ucięto głowę. Zaczął drzeć na całym ciele, zezujące oko uciekło mu w bok. Nie mógł wymówić ani słowa.

– Wiemy, Al-Aszraf – odezwał się Tarik – dlaczego składacie nam wizytę. Kiedy jeszcze siedzieliście w Homsie, nie uważaliście czegoś takiego za konieczne, nie płaciliście też trybutu.

Al-Aszraf przestraszył się jeszcze bardziej, rzucił się na ziemię i zawołał:

– Powiedzcie mi, dostojny mistrzu, ile jestem wam winien, a gdy tylko wrócę do Homsu, spłacę wszystko!

– Istnieje pewna wysokość długów, która nie pozwala już myśleć o spłacie i można je wyrównać tylko krwią... A zatem nie chcecie powiększać jeszcze waszego długu, pożyczając od nas wojsko?

– Nie, nie chcę! – zawołał emir zmieszany. – Własnymi siłami odzyskam Homs i wtedy będę wam chciał...

– Zapłacić tyle – przerwał mu Tarik chłodno – ile płaci An-Nasir, odkąd tam panuje...

– Tak, tak – wyjąkał Al-Aszraf, wciąż przekonany, że jego kuzyn An-Nasir przysłał tu już koszyk, w którym miano mu dostarczyć głowę wypędzonego emira.

– Nie chcecie więc wcale naszych łuczników, naszych żołnierzy ze sztyletami i toporami? – spytał jeszcze raz Tarik.

– Nie, naprawdę nie. Życzę wam długiego życia w łasce Allaha sprawiedliwego!

– Podziękujcie Allahowi i bądźcie naszym gościem tak długo, jak długo nie wiecie, gdzie złożyć swoją głowę, nie narażając się na to, że ktoś ją wam obetnie, aby ucieszyć An-Nasira.

Młody emir poblekł jak trup, rzucił się na ziemię i pokrył pocałunkami okrycie w tym miejscu, gdzie jak przypuszczał, znajdowały się nogi kanclerza. Na dany przez Tarika znak strażnicy pochwycili go i podnieśli w górę.

– Odejdźcie teraz w spokoju!

Strażnicy sprowadzili ślaniającego się gościa po krętych schodach na dół, gdzie emir zwymiotował.

– Zwierciadło może przesłać naszą odpowiedź – powiedział kanclerz do Creana. – Ten człowiek nie stawia czoła An-Nasirowi. – Creanowi z Bourivanu wydało się, że wokół

zmęczonych oczu tak nieprzeniknionego zawsze mistrza zauważył cień ironicznego uśmiechu. – Nie jest wart poparcia.

Dzieci wyczuły, jak źle potraktowano gościa w Masnacie, zanim zobaczyły na własne oczy i usłyszały na własne uszy, że jest to wypędzony emir Homsu.

Natychmiast bezbłędnie oceniły sytuację, popędziły przez ogrody wielkiego mistrza i dopadły Klarion i Madulajn, które z braku innej rozrywki przysłuchiwały się tęsknym skargom Hamona za jego utraconą księżniczką.

*Mortz sui si s'amors no-m deynha,
qu'ieu no vey ni-m puesc penssar
vas on m'an ni-m vir ni-m tenha,
s'ilha-m vol de si lunhar;
qu'autra no-m plai que-m retenha,
ni lieys no-m puesc oblidar;
ans ades, quon que m'en prenha,
la-m fai mielhs amors amar.*

– Możemy ją uwolnić! – dzieci przerwały mało melodyjne jęki i opowiedziały o nieznanym emirze, do którego właściwie należy Homs i który z pewnością dobrze zna tam każdy zakamarek.

*Ai las e que-m fau miey huelh,
quar no vezon so qu'ieu vuelh?*

Hamo ze złamanym sercem podjął na nowo skargę. Madulajn żałowała już od dawna, że pożyczyła mu lutni i nauczyła go na niej grać.

*Chantan prec ma douss'amia,
si-l plai, no m'auci'a tort,
que, s'ilh sap que pechats sia,
penra s'en quan m'aura mort;
empero morir volria
mais que viure ses conort,
quar pietz trai que si moria
qui pauc ve so qu'ama fort.
Ai las, e que-m fau miey huelh,
quar no vezon so qu'ieu vuelh?*

Rosz stwierdził po prostu:

– Emir zna każdy podziemny korytarz prowadzący do jego cytadeli i każdego dozorcę więzienia po imieniu!

Wtedy Hamo zaprzestał wzdychać, zwłaszcza gdy Madulajn wybuchnęła, że już dawno ma po dziurki w nosie tego odludnego Masnatu i gotowa jest natychmiast wziąć udział w wyprawie.

Gdy także Rosz i Jeza oświadczyli, że haszaszyni nie okazali się godni gości w swych murach królewskich dzieci, sprzysiężenie na rzecz ucieczki z twierdzy asasynów i wtargnięcia do więzienia w Homsie było sprawą przesądzoną.

Tylko Klarion okazała trwogę, ale w żadnym wypadku nie chciała sama pozostać w Masnacie.

Teraz należało przeprowadzić potajemną rozmowę z emirem. Dzieci wiedziały już, gdzie go zakwaterowano, przedostały się do jego pokoju i stanęły nagle przed łóżkiem gościa.

Al-Aszraf ocknął się z południowej drzemki złany potem, gdy zobaczył Jezę wywijającą sztyletem. Rosz zastrzegł sobie, że sam będzie nakłaniał młodego emira do spotkania, a ona nie będzie mu wpadać w słowo.

– Szlachetny panie – zaczął – śmiałość waszego umysłu, siła waszego ramienia i dyskrecja waszych warg – nabrał głęboko powietrza, zanim przemówił dalej – skłoniły dwie piękne rajskie hurysy, dwa kwiaty na różanych krzewach tajnego ogrodu, dwa dojrzałe owoce na drzewie pokusy i spełnienia, by przekazać ci przez nas posłanie, iż są gotowe otworzyć przed wami zamknięte izby swoich... swoich... izby swoich...

Rosz stracił kunsztownie snuty wątek.

– Swoich serc! – szepnęła Jeza.

– Słusznie: zamknięte izby swoich serc! – skończył Rosz zaproszenie.

Al-Aszraf niewiele z tego zrozumiał.

– Dlaczego dwie? – spytał.

– Tak już jest – odparła Jeza, a gdy Al-Aszraf nie zamierzał się podnieść, dodała: – dwie albo żadna, teraz albo nigdy! – Zaczęła jeszcze bardziej zamazywać wywijać sztyletem, bo zauważyła, że napędza tym emirowi strachu.

– Wobec tego chciałbym się odświeżyć.

– Nie – oznajmił Rosz – odświeżyć możecie się rosą róż, gdy o wczesnym poranku...

– U hurys jest woda! – ucięła Jeza krótko.

Al-Aszraf potrząsając głową wyszedł za dziećmi przez drzwi, których przedtem nie zauważył. Prowadziły pod ziemię.

Jeza i Rosz leżeli płasko na jednym z zewnętrznych murów i uszczęśliwieni spoglądali na siebie lekko błyszczącymi oczyma. Potem oboje roześmiali się całkiem bez powodu.

Odwiedzili w bibliotece swoich jedynych przyjaciół i zostali przyjęci radosną wiadomością, że haszysz jest już gotowy.

Starcy przynieśli dziwne naczynie, które wyglądało jak duży dzbanek do herbaty, chlupała też w nim woda, tyle że z naczynia wystawały rurki z ustnikami.

Wszyscy przysiedli wkrąg wokół nargili^{*}; najstarszy włożył małe grudki haszyszu do górnej komory naczynia i zapalił je żarzącym się węglem drzewnym. Potem zamknął wieczko i wszyscy sięgnęli po munsztuki. Woda kipiała w dzbanku, ale do ust wchodził chłodny dym.

Jeza zakasłała, także Rosz omal się nie zakrztusił, choć przyglądał się uważnie, jak to robią starcy, i pociągnął ostrożnie ze swojej fajki.

Wkrótce dzieci poczuły zawroty głowy. Chwyciły się za ręce i podpierając nawzajem, chwiejnie wy dostały się przez szyb świetlny na zewnątrz. Jak w transie dotarły do swego ulubionego miejsca na murze obwodowym, nie zważając ani razu na stromiznę, z jaką opadał w głąb, chociaż przyprawiająca o zawrót głowy ścieżka na koronie muru czasem się tak zwięzła, że musiały iść gęsiego. Pokonały wszelkie niebezpieczeństwa z somnambuliczną pewnością.

Leżały na murze wyczerpane, ale szczęśliwe i próbowały doprowadzić do ładu swoje myśli.

– Rozumiem teraz – powiedział dysząc Rosz – to *chif-chif* każe haszaszynom zapomnieć o wszystkich niebezpieczeństwach – i roześmiał się.

– Zezowaty emir prawie narobił w spodnie, gdy z nim rozmawiałeś... – Jeza uznała to wspomnienie także za komiczne i chichotała jak szalona. – Wtargniemy do Homsu, osadzimy emira znowu na tronie i wydostaniemy Mahmuda i Szirat z więzienia!

– A później ożenimy Hamona z jego księżniczką i wyprawimy wielką ucztę!

– Chodź, Rosz, zatańcz ze mną! – zaśmiała się Jeza i spróbowała się podnieść, ale bez powodzenia. Wobec tego przypomniała sobie dalszy ciąg historii: – Zezowaty wielki wódz powiedział: „Potrzebujemy wojska!”

– Całej armii! – dorzucił Rosz. – Zezowaty robił do Klarion piękne oczy!

– To nieprawda! Zezowaty zezował na Madulajn!

– I wtedy Hamo powiedział...

– Nie – zaprotestował Rosz – to ja powiedziałem: „Hamonie, udasz się do Antiochii i pożyczysz wojska od Bo!”

– Tak! „Przyprowadź całą armię, żeby wyzwolić Homs!”

Dzieci umilkły i popatrzyły z muru w dal.

– Już tydzień, jak Hamo wyruszył – powiedziała Jeza poważnie.

– Spotkamy go przy najbliższej pełni.

* Nargile – fajka wodna.

– Z wojskiem z Antiochii. Czy Bo przybędzie z nim?

– Kochasz Boemunda? – spytał nagle Rosz.

– On chce mnie poślubić – stwierdziła Jeza – ale jest dla mnie zbyt nudny. Myślę często o Robercie z Artois...

– Częściej niż o mnie? – spytał Rosz zatrwożony.

– Ty jesteś moim kochanym rycerzem...

– Jak bardzo?

Jeza знаła odpowiedź. Jej ręka wpełzła już pod jego koszulę i wsunęła się do spodni. Rosz westchnął i spytał ponownie:

– Jak bardzo?

To należało do rytuału. Gdyby tego nie powiedział, Jeza cofnęłaby rękę. On także chętnie wsunąłby dłoń między jej nogi, tam gdzie teraz miękki puszek wzbraniał już wejścia do gniazda, ale Jeza mu zabroniła, nie mogła tego znieść. Tak więc był zdany na jej rękę, która teraz pewnym chwytem objęła jego członek. Jeza sięgnęła do napletka i pomna okrutnej propozycji Creana zaczęła mruzczyć jak przy wyliczance:

– *Nakus, la nakuss!* * *Nakus! La nakuss!*

Z ochotą by zobaczyła, co tam rośnie między jej palcami i twardniało, ale dawno minęły już czasy, gdy Rosz pokazywał się jej nago albo ona mogła wyciągnąć ze spodni na światło dzienne jego członek.

– *Nakuss! La nakuss!* – szepnęła. Jej oddech stał się szybszy, a Rosz skulił się dziwnie.

– Jeszcze, jeszcze! – wysapał. Członek zaczął pulsować w jej pięści i coś ciepłego wytrysnęło między zaciśniętymi palcami.

Jej ruchy stały się ospałe. Poczula się bardzo nieszczęśliwa. Jedyne światło w oczach Rosza niosło pocieszenie. Przynajmniej on był zadowolony. Wyciągnęła rękę ze spodni, wytarła ją uważnie o pierś Rosza. Potem pocałowała go w brzuch i w końcu stał się miły, zaczął ją całować po karku i sięgnął językiem do jej ucha.

– Wiesz – powiedział – to jest wciąż piękniejsze niż *chif-chif!*

Zobaczył, że Jeza płacze. Odwróciła się do niego plecami. Przyciągnął ją do siebie, wsunął kolano pod pośladkami Jezy między jej nogi i zaczął ją łagodnie kołysać, wargami pieścił jej szyję. Przywarła do niego i Rosz robił to wszystko, czego z trudem go uczyła, aż wreszcie drżenie przebiegło delikatne ciało i przestała płakać. Dziewczynka się odsunęła.

– O czym myślisz? – spytał zaniepokojony.

Rzuciła spojrzenie ponad koronę murów.

Te oczy, pomyślał, nigdy nie uwolnią się od tych oczu!

– Dziś jest na niebie półksiężyc, całkiem jak wtedy, kiedy wysłaliśmy Hamona do Antiochii – szepnęła i Rosz zrozumiał.

* *Nakuss la nakuss* (arab.) – obciąć, nie obciąć.

– Madulajn powiedziała, że każda udana ucieczka składa się z trzech kroków: pierwszy to zniknąć, drugi to przeczekać poszukiwania i zostać zapomnianym, a trzeci to właściwa ucieczka.

– Tak – przyznała Jeza – ona jest bardzo mądra, nie tak jak Klarion, ta głupia gęś...

– A zezowaty to baran. Miejmy nadzieję, że oni nie zepsują nic, kiedy my już znikniemy.

– Dziś w nocy musimy zejść pod ziemię. Madulajn postawi nam coś do jedzenia koło bogini.

– Żal mi tylko kochanego Jana Turnbulla i dobrego Tarika. Wstydę się prawie, że przysporzymy im takiego zmartwienia!

– Rosz – powiedziała Jeza – rycerz zawsze patrzy w przód. My także musimy cierpieć. A pomyśl o Mahmudzie i Szirat! Czy mamy pozwolić, by zginęli w więzieniu w Homsie?

– Homs! – westchnął Rosz. – Nie mogę wcale o tym myśleć. Może powinniśmy dla naszej armii zabrać dużo haszyszu. *Z chif-chif* wszystko idzie łatwiej!

Znowu się roześmiali.

W górze na tarasie stali obaj starcy. Jan Turnbull, stary kacierz i niespokojny duch, inicjator akcji ratunkowej w Montségur, z fanatyczną pasją strzegący losu dzieci, oraz Tarik ibn-Nasir, chłodny planista i wykonawca wszelkich kroków potrzebnych dla ich bezpieczeństwa. W jego sercu zagnieździła się skryta sympatia, prawie słabość do Jezy i Rosza, dziedziców Graala. Oczy Jana zwilgotniały, nie mógł oderwać wzroku od leżących w dole na murze dzieci.

– Nie musicie się wstydzić łez, stary przyjacielu – odezwał się kanclerz. – Przy całej niepewnej przyszłości nasi mali królowie dysponują już potężnym królestwem, drogocennym skarbem, jakiego Allah może udzielić, wzajemną miłością!

– *In sza Allah* * – mruknął Jan Turnbull – tak się cieszę, że czują się u was dobrze i jestem pewien, że spodoba im się Alamat, ten rajski kwiat...

– Nie znacie go przecież – zaoponował Tarik, co nie powstrzymało Turnbulla, by ciągnąć dalej z emfazą:

– Cud w pustyni, stalowa róża w skale, powstała z chemicznych zaślubin * wody i ognia! Kiedy dzieci tam dotrą i dowiem się o tym, niczego już nie życzę sobie od życia!

Cofnęli się pod zadaszenie i udali na spoczynek. Nastąpiła noc, na niebie lśnił sierp księżycy.

* *In sza Allah* (arab.) – niech się stanie wola Allaha!

* Chemiczne zaślubiny – pojęcie z alchemii, dokonanie „wielkiego dzieła”, wynalezienie „kamienia filozoficznego”, połączenie wody i ognia.

VI

WYSTĘPEK W PORCIE, TRWOGA I KARA

Z diariusza Jana ze Joinville

Limassol, 2 kwietnia A.D. 1249

Z tarasu własnej kwatery mogłem obserwować bulwar portowy. Moja ulubiona tawerna byłaby zapewne lepszą trybuną widokową, ale właściwie spektakl nie był ciekawy. Odkąd król przebywał w Nikozji i tam przyjmował gości, tu w Limassol coraz bardziej rozluźniała się dyscyplina coraz liczniejszego krucjatowego wojska. Dworski urząd zaopatrzenia nie przewidywał tak długiego postoju. A końca wciąż jeszcze nie było widać, chociaż mówiono, że król już wraca, by zrobić ostatnie przygotowania przed wyruszeniem krucjaty.

W następstwie beczynności coraz częściej wybuchały kłótnie, nieraz z błahego powodu. Jedzenia było za mało, co prowadziło do plądrowania okolicy, a nawet do wzajemnych rozbojów. Ludzie chcieli uciekać z Cypru.

Król jednak jak najsurowiej zabronił wszelkiego oddalania się z wyspy, gdyż wróg mógłby się od uciekinierów wiele dowiedzieć o dalszych planach krzyżowców. Wciąż jednak zdarzało się, że niektórzy przy pomocy przekupionych rybaków opuszczali wyspę. Przyłapani przez statki joannitów, od czasu pomyślnej ucieczki hrabiny z Otranto patrolujące wybrzeże, otrzymywali, jeśli byli to prości żołnierze, karę chłosty i więzienia. Kilku, zdaje się, powieszono.

Teraz, *in absentia** swego królewskiego brata, sprawował rządy hrabia Anjou, a kto go znał, wiedział, że księżę działać będzie surowo. Akurat w tych dniach doszło chyba do kłótni między hrabią Anjou a panem Oliwerem z Termes, który w efekcie poczuł się uprawniony do opuszczenia wyspy.

Towarzyszył mu w ucieczce jeden z paziów dworskich, młody Jakub ze Juiwet, co mogłem zrozumieć, gdyż od czasu hańby, której na oczach wszystkich doznał od Anioła z Karos, nie mógł się opędzić od drwin. Był dzieckiem Owernii i miał dawniej wesołe usposobienie, a po brutalnym gwałcie przytłaczał go wstyd, gdy w ogóle musiał się jeszcze gdzieś pokazać.

Pan Oliwer przeprowadził swą ucieczkę tak niezręcznie – albo go zadenuncjowano – że oprawcy Anjou, prowadzeni przez Iwona Bretończyka, wdarli się na statek, zaledwie postawiono żagle. Hrabia Anjou zmusił Iwona, który przecież przyłapał dezterterów *in*

* *In absentia* (łac.) – w czasie nieobecności.

flagranti^{*}, by doniósł o tym konetablowi. Pospiesznie zwołany sąd nadworny nie mógł postąpić inaczej, jak kierując się rozkazami nieobecnego króla, wnieść oskarżenie o dezercję i zdradę. Joannici, powołując się na swoje prawa jako strażników, wymusili wydanie Oliwera z Termes, którego uwięzili w swoim zamku do powrotu monarchy, tylko on bowiem mógł sądzić granda Francji. Anjou chciał jednak koniecznie ukarać kogoś dla przykładu. Rybacy zostali powieszani natychmiast na maszcie własnego statku, ale to mu nie wystarczyło. Tak więc na podstawie zeznań Iwona młody Jakub ze Juivet został skazany na śmierć.

William poszedł ze mną na miejsce kaźni, widzieliśmy, jak chłopaka doprowadzono do katowskiego pnia, strażnicy odsunęli na bok gapiów, kat podniósł miecz i głowa biednego Jakuba potoczyła się po bruku. William w zamyśleniu patrzył jeszcze jakiś czas na ruch w porcie. Musiał chyba pomyśleć, jak często znajdował się o włos od równie szybkiej utraty swojej flamandzkiej, chłopskiej głowy.

– Aby uniknąć podobnego losu, drogi Williamie – odezwałem się – powinniście tak jak ja nieustannie być ostrożni. Na co bowiem przydadzą się sława i cześć oraz nagromadzone bogactwa, prebendy i tytuły, jeśli swoim przeciwnikom damy możliwość skrócenia naszego ciała o głowę.

– Zastanawiałem się nad tym, mój panie, czy to wszystko nie zostało uknute, by móc winą obciążyć Bretończyka. Czy to nie dziwny przypadek, że ucieczka zdarzyła się właśnie tego dnia, kiedy Iwo wrócił do Limassol po wełnianą chustkę na szyję, której król zapomniał? Ktoś chce pana Iwona ustrzelić. Zastawiono na niego pułapkę. Szymon z Saint-Quentin, ten szczur, był również na pokładzie, a przeciwko niemu nie wniesiono żadnego oskarżenia. Natomiast Bretończyk został wbrew swej woli zmuszony do tego, by zatroszczyć się o przeprowadzenie egzekucji i osobiście ją nadzorować.

– Sądzicie, że Iwo Bretończyk w swej znanej gorliwości do przestrzegania prawa i porządku miałby być doprowadzony do przekroczenia dopuszczalnej miary?

– Król ma wielu doradców – oświadczył William – ale tylko jednego, który służy mu wiernie jak pies. Skoro doradca nie jest ani sprzedajny, ani ograniczony, należy go usunąć, jeśli chce się mieć wpływ na Jego Królewską Mość!

– A może – powiedziałem – ktoś chce mieć Bretończyka w ręku i robi wszystko, by król pełen wstępu cofnął znad jego głowy opiekuńczą dłoń. Kto jednak miałby tego chcieć?

– Ci sami, którzy mnie pozostawiają jeszcze przy życiu – odparł William. – Nie powiedziałem wam o tym, bo nie chciałem was niepotrzebnie martwić, ale Oliwer z Termes mnie także zaproponował wyjazd, twierdząc, że tak czy siak nie mam już na Cyprze czego szukać. I jak myślicie, kto mnie ostrzegł przed przyjęciem propozycji? Właśnie Szymon z Saint-Quentin i wasz szanowny pan kuzyn!

Zaniemówiłem. Byłem naprawdę zdumiony.

* In flagranti (łac.) – na gorącym uczynku.

– Jestem jeszcze potrzebny – wyciągnął wniosek William. – Ale co mają wspólnego oba wydarzenia?

– Dzieci? – spytałem i nie powiedziałem, co myślę, a mianowicie, że zainteresowanie moją osobą wzrosło, odkąd przyjąłem na służbę Williama. Z nim bezpośrednio nikt się nie chciał zadawać, tak więc zabiegano o względy pana zamiast sługi. Ja cieszyłem się łaską króla, William miał zaufanie dzieci.

– I ponieważ tak już jest – odezwał się znowu William – a ja, możecie temu wierzyć lub nie, przyszedłem do was z czystej ochoty, powodowany tylko pragnieniem, aby nadal pozostać uwikłany w sprawę dzieci, ustalmy teraz, jak postąpimy z pisaniem kroniki?...

– Nawet jeśli mnie pomawiacie o działanie wyłącznie z żądzы posiadania dóbr doczesnych, pozwólcie mi utrzymywać, że pośmiertna sława jednego z najbardziej znaczących kronikarzy jest dla mnie wystarczającym powodem pisania. I dlatego czynię wam następującą propozycję ugodową: będziemy pisali obaj, każdy kiedy chce i co chce, ale dla osoby postronnej nie do rozpoznania.

– Jak to? – spytał William. – Mam pisać jako ja i przy tym myśleć, że to myślicie wy i prowadzicie moje pióro?

– Piszcie po swojemu, nie będę kierował ani waszym stylem, ani treścią, będziecie po prostu moim *alter ego*. Jestem nadzwyczaj ciekaw, co z tego wyniknie...

– Ażeby nie pomylić z moim waszego własnego dzieła, napisany przez siebie fragment będę zawsze sygnował jako A.E. ze Joinville.

– Niech moi potomkowie połamią sobie nad tym głowę! – roześmiałem się. – A teraz chodźmy do tawerny „Pod Pięknym Widokiem” oblać narodziny *incubi scriptoris* *!

Z diariusza A.E. ze Joinville

Limassol, 9 kwietnia A.D. 1249

Król, który nie jest moim królem, chociaż mu z całego serca dobrze życzę i służę wiernie jako seneszał, powrócił z Nikozji. Prawie trzy miesiące spędził w głębi kraju, o trzy miesiące za długo, ponieważ tutaj, w obozie wojskowym, nastrój jest bliski buntu, zaopatrzenie stało się nędzne, zapasy dawno zużyte, a pola i stodoły chłopskie wyjedzono do czysta, jakby te strony dotknęła plaga szarańczy albo myszy.

Do tego w porcie sroży się terror Anioła z Karos, przeciw któremu nikt żadnych działań nie podejmuje, chociaż i joannici, i Anjou mogliby z łatwością położyć kres dzikim postępom Greków. Nie jest jasne, dlaczego dotąd nie poskromiono olbrzyma. Przecież z

* Incubus scriptoris (łac.) – zmora pisarza.

pewnością nie chodzi tylko o statki „despoty”, których liczba wzrosła tymczasem do kilkunastu, więc nikt nie chce go odstręczać od udziału w krucjacie. W każdym razie nawet sam Anjou, który wprowadził w mieście surowe, budzące przestraszony rządzący, był, jak się zdawało, ślepy na greckie występki. Teraz wreszcie, gdy król znowu przybywał do pałacu, wszyscy mieli nadzieję na powrót normalnego stanu.

Przy boku królowej Małgorzaty kroczyła Maria de Brienne, biedna cesarzowa Konstantynopola. Cesarz Baldwin wysłał żonę, by wyprosiła u króla Ludwika pomoc przeciwko greckiemu cesarzowi z Nicei, Janowi Dukasowi. Ludwik naturalnie nie mógł się teraz pozbywać ani jednego człowieka, miał bowiem przecież zaraz wyruszyć, gdy tylko zostanie rozwiązany nieszczęsny problem transportu. Król miał też podobno powiedzieć, że Cesarstwo Łacińskie nie oprze się Paleologom, skoro rachunek nie został wyrównany: Grecy byłiby szczęśliwsi pod narzuconymi rządami kurii rzymskiej i frankońskim panowaniem niż we władaniu własnej zdegenerowanej cesarskiej zgrai!

Z diariusza Jana ze Joinville

Limassol, 14 kwietnia A.D. 1249

Naturalnie dla pana Ludwika absolutne pierwszeństwo ma jego życiowe marzenie, krucjata, którą z największymi wyrzeczeniami przygotowywał od lat. Wojny chrześcijan przeciwko chrześcijanom są dla niego wstrętne, wystarcza mu, że na południu własnego kraju, w Langwedocji, musiał doprowadzić do końca przedsięwzięcie zapoczątkowane przez swego dziada, w wyniku czego obok kacerzy zginęło także wielu dobrych chrześcijan. To również był powód, że Oliwera z Termes, którego ojciec został wówczas zabity przez Francuzów, natychmiast ulaskawił i wybaczył mu nierozważny krok. Stało się to ku wielkiemu niezadowoleniu Anjou.

Troską napawał pana Ludwika brak miejsca na statkach; wiele oddziałów przybyło na Cypr żaglowcami wynajętymi na krótki termin i teraz trzeba było te oddziały przewieźć dalej. Wenecjanie, którzy nie pochwalali krucjaty, wycofali stacjonujące tutaj statki jeszcze przed jej przybyciem – przeważały ich stosunki handlowe z Kairem. *Serenissima* odprawiła pana Ludwika z kwitkiem.

Król postawił zatem na Genuę. Liguryjska morska republika była nadzwyczaj chętna do zapelnienia wytworzonej przez Wenecję luki. Ale akurat w tych miesiącach, dokładnie biorąc od zimy, Genueńczycy wdali się w wojnę morską z Pizą o jakieś prawa osiedlania się w Akce oraz wzdłuż wybrzeża Ziemi Świętej i tę wojnę nieoczekiwanie przegrali. A Piza była cesarska. Król napisał więc do Fryderyka, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Wiedział naturalnie, że Hohenstauf obserwuje krucjatę z najwyższą nieufnością, gdyż nominalnie jego syn Konrad

był królem Jeruzalem i wypadało go chociaż zapytać, co sądzi na ten temat. Ale pan Ludwik nie mógł powiedzieć Fryderykowi, że swoje wojsko – co dla każdego ważnego stratega było od dawna oczywiste – zamierza poprowadzić nie do Ziemi Świętej czy przez Ziemię Świętą, lecz bezpośrednio przeciw Kairowi. Cóż, cesarz był zbyt mocno zaprzyjaźniony z sułtanem. Pozostawała zatem przetrzebiona flota Genuńczyków. Może da się Pizę przekonać, aby taką operację, jeśli już nie wsparła, to przynajmniej ścierpiła. Fatalna sytuacja, ponieważ czas naglił.

Z diariusza A.E. ze Joinville

Limassol, 15 kwietnia A.D. 1249

Rozwiązać dałoby się to naturalnie bardzo prosto, mianowicie za pomocą pieniędzy, dokładnie mówiąc gotówki, gdyż obietnice praw handlowych nie skutkowały już w odniesieniu do obu morskich republik. Posiadały wszystkie możliwe prawa i z ich powodu już się między sobą spierały! A prawa do handlu z Egiptem, którymi król Ludwik nie mógł jeszcze przecież na serio dysponować, były z punktu widzenia tych republik zagrożone. Wenecja nawet bezpłatnie przetransportowałaby wojsko, ale z powrotem do Francji! Pozostaje tylko – tak sądzę ja, A.E. ze Joinville – pojednanie między Pizą a Genuą, do tego osłodzone pieniędzmi. Zapytuję więc, jacy są możliwi pośrednicy w tej sprawie? Pan Jan ze Joinville mógłby w roli rozjemcy zdobyć najwyższą sławę i wdzięczność króla, nawet jeśliby uzyskał tylko terminowe zawieszenie broni. Myślę o wypróbowanej więzi między zakonem świętego Jana a Genuńczykami, Pizanie zaś pozwolą się może ułagodzić, gdy inicjatywa wyjdzie z szeregów tych, którzy są wiernie oddani cesarzowi: od rycerzy zakonu krzyżackiego. Spróbować zawsze warto!

A pieniądze? Templariusze mają niewiele powodów, żeby wysupłać gotówkę. Ale i joannici mają pełne kasy. A teraz mieliby wszelkie powody, aby do nich sięgnąć i zaprezentować się jako ratujący króla z opresji. Templariusze górują nad nimi nie tylko charyzmą – są ruchliwsi, bardziej energiczni, a przede wszystkim pełni fantazji. To należałoby powiedzieć w odpowiedniej chwili panu Ronay. Jeśli siedzisz na swoim mieszkaniu z pieniędzmi, otrzymujesz wprawdzie określone odsetki, ale nigdy nie zdobędziesz wielkiej wygranej. A może król Ludwik za parę tygodni czy miesięcy będzie władny monopol handlu z Egiptem przekazać tym, którzy okazali mu przyjaźń. Wówczas król nie zapomni także o swoim Janie ze Joinville, panie wicekrólu!

PS: A.E. ze Joinville udaje się na kilka dni z tajną misją i poleca panu Janowi, żeby wziął sobie do serca jego rady. Położenie króla staje się z każdym dniem bardziej beznadziejne, nikt z tego nie ma korzyści, a już najmniej ten, do którego się zwracam.

PPS: Nie zmieni w tym również nic dzisiejsze przybycie pana Symbata, konetabla i brata króla armeńskiego Hetuma. Oprócz pięknych prezentów on także przywiódł na Cypr wojsko, które ma pociągnąć z królem Ludwikiem, ale statki, na których przewiózł oddziały z pobliskiego wybrzeża Armenii, zabiera ze sobą. Te łupinki nigdy by też nie przetrzymały podróży do Egiptu.

A więc jak na razie zyskaliśmy tylko kilkaset gąb więcej do wykarmienia.

Złocistożółte słońce padało na cienkie marmurowe szyby, które w sufitowym oknie zatrzymywały każdy promień, chroniąc drogocenne foliały i zwoje pergaminów biblioteki. Starcy z Masnatu ledwie rzucili okiem, gdy Rosz i Jeza nadciągnęli znowu z workiem pełnym świeżo zerwanych *cannabis*. Dzieci nie wzięły im tego za złe, lecz pracownicy, ze znajomością rzeczy rozwiesiły zbiór kwiatami w dół nad największym roboczym stołem, gdzie normalnie przycinano pergaminy i skórę; stół oczywiście nakryły najpierw suknem.

– Muszę się wysuszać... – mruknęła Jeza i zniknęła w tajnych drzwiach, otwierających dojście do gniazda orłów, miejsca właściwie ledwie nadającego się dla jej zamiaru, jeśli pominąć biegnący tam skalny korytarz. Ale nikt nie zwrócił na nią uwagi i nikt też nie spostrzegł, że zręcznym ruchem zabrała jakiś klucz. Również o Rosza nikt się nie troszczył. Starcy obstąpili stół z kwitnącym zieleń, rozcierali badawczo liście między palcami, trzymali dłonie pod kielichami kwiatów, póki od baldaszków nie oderwała się kropelka nektaru, wachali ją i byli nadzwyczaj zadowoleni.

Rosz wszedł na jedną z drabin, sięgającą wysoko do regałów. Wiedział, czego szuka. Z udaną obojętnością wyciągnął z półki ciężki foliał i zaczął kartkować księgę, na której złotymi literami widniało:

DE SOPORE
INTER MORTEM ET VITAM
Mirabilia, crimina, incantamenta
per flores et plantas minerales geae
cum exemplis sicut fertur
apud naturalis historiae et superstitiones*

* De sopore inter... (łac.) – O śnie między życiem a śmiercią. Cuda, zbrodnie, magia za pomocą ziół i naturalnych skarbów ziemi na podstawie przykładów, jakie przekazała historia i legendy.

*

AUCTOR
DAREUS DELLA PORTA PARADISI
Venenarius Trismegistos Veneratus
Magister Universitatis Alexandriae *

Divi soporis dicatum *

Zmierzając ku jasno wytyczonemu celowi, Rosz wertował karty księgi.

– *Sopora* * – pomrukiwał prawie bezgłośnie – *somnifer, soporifera, vide canus, soporem miscere, sopio, sopirio* * ...

Rosz popatrzył z drabiny, czy jego myszkowanie nie rzuca się w oczy, ale starcy dawno wrócili do swoich pulpitych i znów pograżyli się w pracy. Jeza powinna się pospieszyć, pomyślał.

Znalazł teraz miejsce, które zachował w pamięci:

„...możliwy skład płynu, jaki zawierała gąbka, którą podano Mesjaszowi na krzyżu, nie dla orzeźwienia, lecz uśmierzenia bólu i przeszkodzenia tężcowi bądź zatrzymaniu pracy serca. *Enim effectus tincturis simulatio mortis erat* *, ażeby Rzymianie zgodzili się na wcześniejsze zdjęcie zwłok z krzyża”.

To było takie podniecające! Rosz z trudem zachował pozory spokoju. Tylko gdzie podziewała się Jeza? Czy nie znalazła tego, czego szukała, czego się mozolnie wyuczyła na pamięć?

Czytał dalej:

„Mieszanka musiała być tak mocna, że pozwalala, by kontrolne przebicie włócznią zostało przyjęte bez skargi i bez drgnięcia, oraz gwarantowała trwające możliwie kilka dni stężenie pośmiertne. Dlatego podaje się...”

Rosz gorączkowo przebiegał oczyma stronę z niezrozumiałymi dla niego nazwami i próbował sobie przypomnieć, czy Jezie właściwie wszystko zreferował. Przestał ufać swojej pamięci, nie mógł na niej polegać. Rzucił spojrzenie ku starcom. Nikt na niego nie patrzył, zaczął więc wydzierać kartę drżącymi palcami. Szybko wsunął pergamin w zanadrze, postawił księgę z powrotem na półce i zszedł z jedna ręką przyciśniętą do piersi. Ku jego

* Auctor... (bc.) – autor Dareus z wrót raj, po trzykroć potężny, wielce czcigodny truciciel; nauczyciel uniwersytetu w Aleksandrii.

* *Divi soporis*... (łac.) – poświęcone bogu snu.

* *Sopor* (łac.) – sen, także bóg snu.

* *Somnifer, soporifera*... (łac.) – przynoszący sen, usypiający, zobacz siwy, napój nasenny mieszać, odurzyć, odurzenie.

* *Enim effectus tincturis*... (łac.) – z drugiej strony efekt tynktury musiał pozorować jego zgon.

uldze w małych drzwiach ukazała się Jeza. Niosła beztrąsko pod pachą worek, w którym wcześniej przynieśli *cannabis*, i mrugnęła do Rosza z dumą.

Chłopiec zawołał:

– Och, zrobiło się późno, musimy wracać do siebie!

Starcy popatrzyli przyjaźnie znad swojej roboty. *Ach sahib al-miftah*^{*} odprowadził dzieci do drzwi i wypuścił z podziemnej biblioteki.

– Dajcie nam znać – napomniała go Jeza z szelmowskim uśmiechem – gdy haszysz będzie już wyschnięty, sprasowany i zбитy w bryłki!

Klucznik uśmiechnął się szeroko. Dawno już minęły czasy, kiedy dzieci chciały od razu konsumować świeży zbiór albo zbierały rośliny nie w pełni rozkwitłe. Od dawna znały wszystkie sposoby rozkoszowania się *cannabis*, bądź to jako orzeźwiający napój sporządzony z miodem i cytryną, bądź to zapiekany w słodkich plackach, czy wreszcie w postaci zupy czy łakoci.

– Bez was wcale nam nie smakuje! – powiedział i skłonił się przed dziećmi.

Dzieci pospieszyły najkrótszą drogą do ogrodów, pobiegły do pawilonu i znikły za marmurową statua Bachusa, kryjąc się w podziemiach.

– Czy nie słyszeliście, jak orły krzyczały? – spytała Jeza, rozpakowując ostrożnie zawartość worka. – Straszliwie się zdenerwowały, gdy podeszłam do szafy. One czują się prawdziwymi *haris as-sumum*, strażnikami trucizny!

Zawartość worka: małe ampułki, flakony i glazurowane naczynia ceramiczne, opisane po łacinie, Rosz zaczął porównywać z tekstem na wykradzonej karcie.

– *Absinthiatum sic facies, atropa bella donna...*^{*}

– Ładnie brzmi! – roześmiała się Jeza. – Weźmiemy to. Pływają w tym małe wiśnie...

– Zaraz! – powiedział Rosz. – To nie jest zalecane ze względu na niebezpieczeństwo w dozowaniu, jedna kropla za dużo i już czuje się tchnienie śmierci... *non solum spiritus, sed corpus morietur*^{*}.

– Więc lepiej nie – stwierdziła Jeza. – A już sobie wyobraziłam, jak bierzesz do ust wiśnię i potem razem z pocałunkiem...

– Z pocałunkiem śmierci – zgasił Rosz jej wesołość. Przez wąską szparę w górze obok cokołu statuy padał promień światła na pergamin, który chłopiec dalej odcyfrowywał: – „...zbyt niewinne i za słabe są *exotica occidentales*^{*}, jak *passiflora* czy *alba spina*^{*}. Najprawdopodobniej był to napój: *tinctura Thebana*^{*} zmieszana z sokiem haszyszu... *cum*

^{*} Ach sahib al-miftah (arab.) – dosł. brat pana klucza, czyli klucznik.

^{*} Absinthiatum sic facies... (łac.) – napar należy przyrządzić w następujący sposób: pokrzyk...

^{*} Non solum spiritus... (łac.) – nie tylko duch, lecz (także) ciało umrze.

^{*} Exotica occidentales (łac.) – niezwykle (rośliny) Zachodu.

^{*} Passiflora, alba spina (łac.) – męczennica, głóg pospolity.

^{*} Tinctura Thebana (łac.) – opium.

*herba sine nomine quam vidi apud Arabes: aliquot eorum vidi herbom istam edere; haszaszyn esse dicitur...**”

– Och – westchnęła Jeza rozczarowana. – Po co więc przywlokłam – podniosła do światła flakony – to *digitalis** i styraks, i... – miała trudności z wymówieniem – eszoleję? Weźmy z każdego po troszeczku!

– Nie ma mowy – oświadczył Rosz – naśladowmy Jezusa, który to przeżył. Masz tynkturę z Teb?

– Oczywiście – odparła Jeza dumnie i pokazała ampulkę – jest na niej napisane: *vis papaveris**.

– No więc – powiedział Rosz – weźmy jedną trzecią z tego, resztę wyciśniemy z *cannabis*...

– Ty przyniesiesz *cannabis* – zdecydowała Jeza – a ja postaram się o dzbanek z wodą i miodem. Będzie bardzo dobrze, jeśli nas jeszcze raz zobaczą.

– Przekażę Madulajn wiadomość, że my dziś wieczorem...

– Ale nie zdradz jej, gdzie się położymy. Klarion mogłaby wpaść w histerię.

Wstali i opuścili kryjówkę.

– Powiedz Saracence – przypomniała Roszowi Jeza – że powinna się postarać o mleko. Będziemy na pewno bardzo głodni i spragnieni! – zawołała półgłosem w ślad za nim i po raz ostatni skierowała swe kroki do kuchni.

Po kolacji, podczas której dzieci solidnie się posiliły, i po tym jak muezin wezwał wszystkich do wieczornej modlitwy, *salat al maghrib*, słyhać je było jeszcze długo szalejące radośnie w ogrodzie; wreszcie Klarion głośno i energicznie wezwała dzieci do pójścia spać. Potem w Masnacie zrobiło się zupełnie cicho.

Rosz i Jeza starannie przygotowali swoje „gniazdo”, w ciągu ostatnich dni zgromadzili tam siano i poduszki, przygotowali zapas nie psującego się szybko pożywienia, pomyśleli o przykryciach i dostatecznej ilości wody, bo gdyby obudzili się zbyt wcześnie, pragnienie byłoby rzeczą najgorszą. Także swą kryjówkę wybrali starannie i dojście do niej zabarykadowali za sobą kamieniami, gdyż byli pewni, że po odkryciu ich zniknięcia asasyni podejmą akcję poszukiwawczą, która nie oszczędzi ich zwykłych kryjówek pod pawilonem i nad meczetem.

Dlatego było też ważne, żeby we śnie nie zdradzić się nawet głośnym oddechem. Przytulili się do siebie i Jeza naląła z dzbanka dwa pełne kubki naparu, który razem sporządzili. Chcieli koniecznie w tym samym czasie zapaść w sen.

– A jeśli się już nie obudzimy? – ośmielił się jeszcze zapytać Rosz.

* Cum herba sine nomine... (łac.) – z ziołami bez nazwy, które widziałem u Arabów: widziałem kilku Arabów, którzy owo ziele nawet jedli; nazywano ich haszaszynami.

* Digitalis (łac.) – naparstnica.

* Vis papaveris (łac.) – dosł. moc, siła maku, czyli opium.

– Wówczas nie zauważymy tego oboje i będziemy na zawsze razem. – Jeza była zdecydowana stawić czoło hadesowi. – Nie umiera się od haszyszu – dodała – a od kiedy to mak jest trujący?!

– Kochasz mnie? – spytał Rosz i ujął swój kubek.

– Czy w przeciwnym razie piłabym z tobą? – odparła i przytuliła policzek do jego policzka. – Kocham cię.

Opróżnili kubki do dna.

– Ma smak zgnilizny – oznajmił Rosz.

Jeza niepewną ręką naląła im jeszcze raz.

– Szybko drugi, bo inaczej sen nie potrwa dostatecznie długo!

Opróżnili kubki do połowy i już zaczęła ich ogarniać słabość. Rosz wciąż z uporem starał się postępować tak jak Jeza.

– Kocham... – wymruczał jeszcze.

Jeza zasnęła na jego piersi. Głowa chłopca skłoniła się powoli ku jej włosom.

William z Roebruku jechał na osłe przez Episkopi. Dawna siedziba biskupstwa podobna była raczej do letniej rezydencji majątnych uczestników krucjaty, którzy woleli rybackie miasteczko niż przepelniony port Limassol, chociaż z Episkopi wykwaterowano całą tubylczą flotę. Różnobarwne łodzie stłoczone na wybrzeżu i w zatoce za przylądkiem Gata tworzyły malownicze kulisy, nad którymi wyrastała wieża na krańcu półwyspu.

Ponieważ William jechał „w tajnej misji”, włożył swój stary franciszkański habit i wypatrywał teraz szynku, który mu Ingolinda opisała jako miejsce spotkania. Obrośnięta winem pergola gospody zwrócona była ku głównej ulicy, co miało tę niekorzystną stronę, że każdy mógł widzieć siedzącego tam i czekającego na kogoś gościa.

Mnich przywiązał osła i schronił się do wnętrza. Ladacznica była oczywiście niepunktualna, a w dodatku, żeby jego zmartwienie było pełne, natknął się na Szymona z Saint-Quentin, który w najdalszym kącie przysiadł nieruchomo jak pająk, delektując się dzbankiem wody.

Dominikanin, którego William serdecznie nie cierpiał i, jak wiadomo, z wzajemnością, przywitał go tak wyniośle, że można było odpowiedzieć tylko policzkiem. William jednak podjął tę grę.

– Moje szczere gratulacje – zaśmiał się szyderczo – że udało się wam wyjść cało z tej opresji!

Szymon zrozumiał natychmiast.

– Jako legat Ojca Świętego mogę przybywać na Cypr i wyjeżdżać z niego, kiedy i jak mi się spodoba, królewskie zarządzenia mnie nie dotyczą. Poza tym jestem daleki od tego, by opuszczać Limassol i gdzieś żeglować.

– Chcieliście tylko umocnić głupiego Oliwera z Termes w jego zamierzeniu.

– Nie ja to powiedziałem. – Szymon uśmiechnął się bezwstydnie. – I nie do końca macie rację.

– Jakub ze Juivet zapłacił głową. Szkoda.

– Jego pech. Nikt do niego nic nie miał, tyle że Bretończyk musiał wkroczyć, bo przecież pan Karol nie mógł zostać z pustymi rękoma.

William znalazł upodobanie w tej wymianie zdań i demonstracyjnie zamówił sobie duży dzban wina. Szymon odmówił dziękując, nim jeszcze franciszkanin zdołał go zaprosić.

– Czy Anjou odszedł kiedykolwiek z pustymi rękoma? – spytał William prowokująco i pociągnął porządny łyk.

– Jest opętany żądzą władzy, dąży do panowania – wyjaśnił Szymon zimno. – Przy tym chłodny jak gad. A więc bardzo niebezpieczny!

William, który dominikanina uważał zawsze za stronnika Anjou, dodał jeszcze:

– Pan Karol lubi iść po trupach, ponieważ wówczas inni nie mogą być dla niego zagrożeniem.

– Nie jestem człowiekiem Anjou – powiedział Szymon z Saint-Quentin. – Będę stał po jego stronie tak długo, jak długo da się to połączyć z interesami Kościoła, Williamie z Roebruku!

Franciszkanin poczuł się nieswojo i znowu chwycił za dzban. Szymon zostawił go przez chwilę w niepewności, po czym stwierdził:

– Wy przeciwnie, zaprzekaliście się kacerstwu, jeśli nie w ogóle diabłu.

William pomyślał o hrabinie i milczał.

– Święta inkwizycja upoważniła mnie – ciągnął rozkoszując się dominikanin – do podjęcia wszelkich środków, jakie uznam za przydatne, a więc także do skorzystania z usług władzy świeckiej, aby herezję w każdej postaci i osobie doszczętnie wytępić.

Szymon odczekał, aby jego groźba należycie zadziałała, nim wyłożył karty na stół.

– Możecie jeszcze uratować swoją skórę, może nawet zbawienie swej duszy, na czym wam, jak wiadomo, niewiele zależy. Pomyślcie tylko o torturach i związanym z nimi zbawczym stosie. Wstąpicie na niego jeszcze z pełną świadomością i jeśli kat utrzyma mały płomień, będziecie mogli długo zastanawiać się nad waszymi błędami. A przy właściwej mieszance drewna i mokrej słomy nie tak szybko stracie przytomność, będziecie mogli zobaczyć i poczuć, jak tworzą się wam pęcherze na nogach, potem także na brzuchu, wasze stopy pękają, później zapadacie się trochę niżej, wasze jądra...

– Już dobrze! – William z trudem zachował zimną krew. – Czego ode mnie żądacie, panie inkwizytorze?

Szymon nie spieszył się, William pił wino małymi łykami.

– Pojedziecie ze mną do Ziemi Świętej.

– I co miałbym tam robić?

– Po prostu znaleźć dzieci!

William oczekiwał tego, udał jednak zdumienie.

– A potem?

Teraz Szymon był zaskoczony.

– Resztę załatwią inni! – rzucił tonem świadczącym o tym, że on sam brzydzi się tego dokonać własnymi rękoma. Utkwił przenikliwy wzrok w nowym gościu. William obejrzał się i spostrzegł Iwona Bretończyka, który rozglądał się po szynku, jakby szukając kogoś.

Minoryta roześmiał się szyderczo.

– O diable mowa... – zwrócił się do dominikanina, który nie znalazł w tym nic śmiesznego, powstrzymał się jednak od zrobienia nieprzychylniej uwagi, pan Iwo bowiem podszedł teraz do ich stołu i odezwał się pełen drwiny:

– Ejże, popatrzcie, kochający się bracia od Franciszka i Dominika miło gwarzą przy dzbanie wina!

Takiej przykrości Szymon nie mógł darować.

– Dostaliście wychodne? – spytał z szyderstwem w głosie. – A może skrycie depczecie po piętach Aniołowi? Popatrzcie tylko, właśnie idzie zły olbrzym ze świeżą zdobyczą.

Pokazał na zewnątrz, gdzie kompletnie pijani Grecy szli główną ulicą, zataczając się koło swego potężnego przywódcy, objuczeni zrabowanym mieniem. Krzyczące, lamentujące kobiety, załamując ręce, biegly za nimi rozwrzeszczaną gromadą.

Iwo Bretończyk zeszywniał i sięgnął do miecza.

W tak nieodpowiedniej chwili do szynku wtargnęła Ingolinda, która zajechała swym wozem przed gospodę nie zauważona przez Williama.

– Cóż tak wybałuszacie oczy na tych rabusiów?! – wyzywająco przywitała skamieniały krąg. – Czyżby zrobili coś złego? Zostawiają przecież tylko pięciu zabitych mężczyzn, kobietę z rozprutym brzuchem, drugą z obciętymi piersiami, dwoje dzieci z czaszkami rozbitymi o ścianę, no a z chłopcami, jak zawsze...

– Czy są świadkowie? – spytał Iwo, jakby się budząc z omdlenia.

– Świadkowie? – zaśmiała się Ingolinda. – Nie znajdziecie żadnych świadków. Ani wdowy, ani matki nie powiedzą wam nic, raczej odgryzą sobie języki, bo jesteście tu obcy.

Pan Iwo skierował się do wyjścia, ale nagle zerwał się William.

– To mnie przejmuje wstrętem! – zawołał, jednak Bretończyk obdarzył go tylko pogardliwym spojrzeniem. Wtedy mnich złapał go za rękaw: – Czy wiecie, dlaczego paż chciał porzucić służbę u króla, krucjatę i Limassol, chociaż przypuszczalnie wiedział, że ryzykuje życie? Ponieważ ten tam – spiczastym palcem wskazał oddalającego się Anioła z Karos – pozbawił go czci, zhańbił na oczach wielu ludzi, a na to są świadkowie! Ja i obecny tutaj pan Szymon z Saint-Quentin.

Dominikanin zbladł, ale spuścił oczy i skinął głową. Bretończyk wyszedł z szynku bez słowa, zgarbiony, powłócząc nogami.

– Pan i król zabronił chyba temu biednemu człowiekowi troszczyć się o prawo i porządek – odezwał się kpiąco dominikanin. – A wy nie powinniście mnie w to wciągać – zwrócił się do Williama. – Mam reputację...

– A ja mam sumienie – uciął William jego przemowę, rzucił szynkarzowi pieniądze, objął Ingolindę i zostawiwszy dominikanina, ruszył do wyjścia.

– Twoja znajomość rozwiązłych kobiet, Williamie – zażartowała wychodząc – wychodzi na dobre także twojej reputacji, większej niż Limassol... – William zatkał jej szybko usta, wyciągnął na dwór, przywiązał swego osła do wozu.

Ingolinda zamierzała objąć mnicha i przytulić.

– Gdzie się podziewa twój Anglik Galan? – zapytał, broniąc się przed czułościami.

– Ach, ten drań! Zostawił mnie i uciekł! – Mrugnęła znacząco. – Na koniec nie troszczył się już o mnie należycie, no, wiesz chyba!

– Tak sobie myślę – powiedział William gorliwie – możemy do tego wrócić...

– Nie poznaję cię, Williamie z Roebruku...

– Nadobna dziewczyno, przyjechałem tu, bo chcę się spotkać z templariuszem Gawinem Montbardem z Béthune ...

– Wyjechał do Syrii! – odparła zbyt szybko.

– Powinien być jeszcze na wsi. Czy wówczas mogłabyś mi pomóc...?

– Pomagałam ci już niejedną raz, Williamie z Roebruku, i jak mi się odplaciłeś?

– Nie mogę zmienić swej natury – oznajmił minoryta zbity z tropu.

– A ja swojej, a więc wsiadaj, przeklęty flamandzki koźle!

I tak wyjechali z Episkopi, z osłem przywiązanym z tyłu do wozu Ingolindy.

– Pan Gawin nie chce widzieć nikogo – zwierzała się Ingolinda, kiedy wóz turkotał po kamienistej ścieżce. – Co drugi dzień przywożę mu coś do jedzenia, a on wynagradza mnie prawdziwie po książęcemu.

– I więcej nic?

Uderzyła go po rękę, którą już wsunął pod jej spódnice.

– Nie każdy traktuje swe zakonne śluby tak mało poważnie jak ty, Williamie. Pan Gawin jest dostojnym panem, a do tego ascetą. Żyje jak eremita.

– Ty wiesz o tym najlepiej – roześmiał się William. – Moralność pustelnika sprawdza się dopiero wtedy, kiedy jest się we dwoje!

– Williamie, jesteś najbardziej zepsutym minorytą, jakiego kiedykolwiek spotkałam!

W odludnej okolicy podjechali do zniszczonego budynku, chyba do opuszczonego konwentu. Ingolinda wysiadła i kazała Williamowi czekać. Stojące jeszcze ściany konwentu były obrosłe bluszczem, a zaraz za nimi rozciągał się las, do którego niepostrzeżenie mógł się wycofać ktoś, kto nie chciał z nikim rozmawiać. Jednak po pewnym czasie w bramie ukazała się Ingolinda i skinęła na Williama.

– Weź z sobą osła! – zawołała, a gdy William się do niej zbliżył, zaczęła lamentować. – Muszę cię tu zostawić – powiedziała i jej piękne oczy napelniły się łzami – a czy kiedykolwiek będę mogła tutaj przyjść, nie jest wcale pewne. Pan Gawin wielce się rozgniewał – załkała. – „Akurat William z Roebroku!”, powiedział z pretensją, i miał rację!

William wcisnął jej do ręki parę złotych monet. Ladacznicą rzuciła mu pieniądze pod nogi i odeszła do wozu. Mnich ciągnąc za sobą osła, wszedł na mały wewnętrzny dziedziniec.

– Gdybym kierował się rozsądkiem – rozległ się szyderczy głos Gawina – powinienem powiedzieć: „Posłuchaj, osiołku, weź twego fałszywego minorytę z powrotem na grzbiet i zabierz go stąd jak najszybciej. Gdzie zaś go zrzucisz po drodze mocnym kopnięciem w jego tłusty zadek, jest mi zupełnie obojętne”.

Głos był zachrypnięty, jakby jego właściciel przeziębził się w swoim przewiewnym schronieniu.

– Skoro jednak, osle, przywlokłeś tutaj to uosobienie tępoty, tę kreaturę gardzącą wszelkim taktem i wszelką dyskrecją, niech mi krótko i zwięźle powie, czego ode mnie chce.

Z tymi słowami komandor templariuszy wyszedł z cienia dębu. Nie miał białej tuniki rycerzy zakonu, lecz czarną sierżantów, jednakże nosił ją z niedbałą wytwornością, która wykluczała myśl o ewentualnym zdegradowaniu. Poza tym miał na sobie długi płaszcz, chyba specjalnie na niego szyty, gdyż czerwony krzyż na ramieniu był wyhaftowany delikatnym jedwabiem.

Gawin nie podchodząc bliżej powiedział do Williama:

– Zostańcie tam, gdzie jesteście!

Powitany w ten sposób William zatrzymał się posłusznie.

– Ja, pokorny pielgrzym – zaczął speszony – podjąłem uciążliwą podróż, aby w ważnej sprawie zasięgnąć waszej rady, szlachetny Gawinie Montbard z Béthune ...

– Nie wymawiajcie mego nazwiska i przejdźcie do sprawy, która zresztą waszą sprawą nie jest!

– Joannici...

Już w tym momencie Gawin przerwał mu z pańską butą:

– Niech pan Jan z Ronay i *maître* Robert z Sorbony plotą bzdury, nie moja to rzecz!

– Sprawa dotyczy jednak templariuszy – wtrącił William nieśmiało. – Szpitalnicy rzucają na szalę wszystkie środki i prócz tego wiele złota!

– Mogą położyć na szali pana Jana ze Joinville i w dodatku jego tłustego sekretarza, waga nie przechyli się na ich stronę, joannici pozostaną politycznym zerem. Myślą o monopolu w handlu tam, gdzie liczą się wpływy, marzą o władzy tam, gdzie idzie o zwycięstwo idei! Chcą dostać dzieci i nie wiedzą, co z nimi począć. Wszystko to nie dotyczy Świątyni. Ona nie musi werbować takich figur jak wy i wasz pan, lecz musi się od nich uwolnić, Williamie z Roebroku! Ostrzegam was po raz ostatni: trzymajcie ręce z dala od dzieci, nie próbujecie zdobyć sławy i godności, majątku i tytułu na sprawie dzieci. Inaczej poparzącie sobie palce!

– Chcę tylko zapobiec najgorszemu – wyjąkał franciszkanin – i jestem pewien, że pan Jan ze Joinville myśli tak samo jak ja. Chcę ochronić królewskie dzieci, ich szczęście...

– Ich obecne szczęście polega na tym, że wy ich nie chronicie, że nie płaczecie się im pod nogami, a jeśli miałyby im się zdarzyć coś złego, to wiecie przecież, co czeka wszystkich, którzy okażą się winni, mojej osoby nie wyłączając. A teraz idźcie precz! Spodziewam się, że nic już od was nie usłyszę!

William chwycił osła za uzdę i odszedł. W przyzwoitej odległości od opuszczonego konwentu czekała na niego Ingolinda.

– Zagroził mi śmiercią – przywitała mnicha wciąż jeszcze zupełnie załamana. – Pan Gawin zapowiedział mi, że mnie własnoręcznie udusi – łkała. – Nie wolno ci, Williamie, nikomu powiedzieć, że go widziałeś. Och, czemu cię posłuchałam!

I wściekła, z wilgotnymi, iskrzącymi się oczyma zaczęła nagle śpiewać:

*Ab diables pren barata
qui fals' Amor acoata,
no-il cal c'aulra verga-l bata;
– Escoutatz! -
plus non sent que cel qui-s grata
tro que s'es vius escor jatz...*

William, który chyba znał piosenkę, podjął ją dalej. Wybrał jednak błędne słowa, jeśli żywił nadzieję, że Ingolindę ułagodzi, ba, nawet rozweseli.

*Qui per sen de femna reigna
dreitz es que mals li-n aveigna,
si cum la Letra-ns enseigna;
– Escoutatz!*

Ladacznicą nie słuchała. William nie miał innego wyjścia, jak pociągnąć ją z kozła na poduszki w głębi wozu i osuszyć jej łzy. Nawet jeśli zamierzał objąć zrozpaczoną kobietę i po prostu zamknąć w uścisku, był na to zbyt zmęczony. Nie zdołał się oprzeć. Gdy i w nim siły żywotne znów się obudziły, zostawił ją w bagnie grzechów, wdrapał się na osła i wrócił do Limassol.

*Malaventura-us en veigna
si tuich no vos en gardatz!*

Z diariusza Jana ze Joinville

Limassol, 20 kwietnia A.D. 1249

Komtura ze Starkenbergu, szlachetnego pana Zygisberta z Öxfeldu, w Limassol najstarszego rangą przedstawiciela zakonu krzyżackiego, odwiedziłem w siedzibie templariuszy, gdzie niemieccy rycerze zakwaterowali się po opuszczeniu jej przez rycerzy Świętyni. Pan Zygisbert wysłuchał w milczeniu mojej propozycji, by doprowadzić do zawieszenia broni między morskimi republikami.

– Dla powodzenia krucjaty, panie Joinville, stawiam się, acz niechętnie, do dyspozycji w sprawie, która nie jest sprawą zakonu krzyżackiego. Jeśli pan Ronay przewycięży się i postawi stopę na tym progu, będę z nim rozmawiał. Ale mówię wam od razu, że ani jemu Genuńczycy nie udzielili pełnomocnictw do prowadzenia takich pertraktacji, ani też mnie nie zlecili tego Pizańczycy.

– O to przecież chodzi: wspólnie, przez neutralne, ale jednak wpływowe strony wysondować, czego się należy spodziewać i co można zdziałać.

– Proszę bardzo – zgodził się – zrobię, co będzie w mojej mocy.

Udałem się, bynajmniej nie skrycie, lecz w sposób dla każdego widoczny, do zamku joannitów i kazałem się zameldować u sprawującego funkcję wielkiego mistrza, szlachetnego pana Jana z Ronay. Aby na mój przemarsz przez port i wejście do zamku zwrócić wystarczającą uwagę, poprosiłem, by towarzyszył mi specjalny oddział Krzyżaków. Także moi rycerze, których poza tym niewiele trudziłem, musieli teraz stanowić honorową eskortę. Zostałem natychmiast przyjęty.

– Widzę, mój drogi Joinville, że się zdecydowaliście przyjąć moją ofertę w omawianej sprawie...

– Nie przyszedłem tutaj, by się przychylić do waszych życzeń – odpowiedziałem – lecz pędzony troską o to, by krucjata królewska nie doznała niepowodzenia, zanim się naprawdę zacznie.

– Istotnie, wojsko staje się niecierpliwe, dowództwu ster wymyka się z rąk. Armia musi być w ruchu!

– Macie rację – potaknałem. – Król potrzebuje teraz statków, całej floty.

– Genua jest chętna do pomocy, lecz Piza stoi na przeszkodzie!

– Cesarz znajduje się daleko, ale są tu ludzie, którym on ufa. I o tym wiedzą także Pizańczycy.

– Pragniecie więc, drogi Joinville, żebyśmy się z nimi spotkał? O każdej porze jestem gotów przyjąć ich delegację!

– Nakłoniłem komtura ze Starkenbergu, żeby was oczekiwał jeszcze dziś w swojej kwaterze.

Dałem mu do przełknięcia żabę, ale ku memu zaskoczeniu szlachetny pan Ronay powiedział:

– Wobec tego chodźmy! – Popatrzył na mnie filuternie. – Tego nie oczekiwaliście, lecz myśleliście słusznie, że mój zakon musi ujawnić swoje stanowisko, jeśli *Serenissima* i związani z nią templariusze nie poczuwają się do odpowiedzialności. Potrzebne jest tylko oficjalne zaproszenie od Niemców, czego wyrazem będzie eskorta, bo nie mogę przecież udać się do siedziby Krzyżaków jako petent.

– Dostojny panie Ronay – uśmiechnąłem się – wasz skromny doradca pomyślał już i o tym: Niemcy oczekują przed bramą waszego zamku.

Tak więc tłum gapiów mógł podziwiać chwalebny obraz: seneszał Szampanii, Jan hrabia Joinville, przemierzał miasto ramię w ramię z najwyższym dostojnikiem zakonu szpitalników w Jeruzalem, z honorową eskortą rycerzy własnych, joannitów i zakonu krzyżackiego, łatwy do poznania dzięki proporcowi rodu Joinville i Aprémont, i obok pałacu królewskiego zmierzał do byłej siedziby templariuszy, gdzie przed bramą oczekiwał komtur Zygisbert i zgotował gościom jawnie serdeczne przyjęcie.

Wynik pertraktacji, które trwały aż do wieczora, jest wysoce ceniony przez A.E. ze Joinville. A rzecz nie była prosta i mogę to tylko przypisać mym wybitnym zdolnościom jako mediatora i umiejętnemu wnikananiu w szybko zmieniające się nastroje kontrahentów. Trudność polegała na tym, że pan Zygisbert, ostrożny niczym ślimak w swoim domku, wracał do punktu widzenia, że w imieniu Pizy nie może przyrzec nic wiążącego, gdy tymczasem pan Ronay zachowywał się zuchowato, jakby w imieniu Genui mógł wszystko uzgodnić. W sumie tak naprawdę jeden nie wierzył drugiemu. Ostatecznie znaleźliśmy formułę, że wobec osad na wybrzeżu *Terrae Sanctae* przez dwa miesiące nie będą wysuwane żądania powrotu do *status quo ante*^{*}, lecz pozostaną one w ręku tych, którzy je akurat posiadają, natomiast obie floty, nie atakując się nawzajem, skierują się z Ziemi Świętej na Cypr, a stąd tam, gdzie uda się król Ludwik. Do wynajęcia ich i ustalenia warunków najmu zobowiązana jest królewska kasa wojenna.

Ewentualne nowe posiadłości uzyskane we wrogim kraju zostaną podzielone po połowie, bez względu na roszczenia, które z pewnością wysunie Wenecja. Wyrównanie powstałych dotychczas szkód wobec zwycięskich Pizańczyków gwarantuje w imieniu Republiki Genueskiej zakon joannitów. Szlachetny pan Ronay przekaże do Akki polecenie, aby niezwłocznie wstrzymać wszelkie działania wojenne, gdy tymczasem szlachetny pan Zygisbert uda się tam osobiście, aby podobnie wpłynąć na Pizańczyków. Król Ludwik prosił go mianowicie, żeby towarzyszył królowej Małgorzacie i jej dworowi do Akki, gdzie mają

* Status quo ante (łac.) – poprzedni stan rzeczy.

poczekać, aż król zezwoli im na przyjazd, gdy zakończy swoje podboje. W Akce powinno być też zawarte formalne zawieszenie broni między obu liguryjskimi republikami.

Taki wynik rokowań przedstawiłem królowi, który mnie z radości uścisnął i nie wstydził się łez.

– Szlachetny Joinville – powiedział – tego, co chrześcijaństwo wam zawdzięcza, nie da się odplacić sławą i zaszczytem oraz doczesnymi dobrami i tytułami. Weźcie to jako znak podziękii! – Ściągnął z przegubu bransoletę i wsunął mi na rękę.

Ja zaś pospieszyłem jak najszybciej do kwatery, aby zobaczyć, czy mój A.E. ze Joinville już powrócił.

Z diariusza A.E. ze Joinville

Limassol, 22 kwietnia A.D. 1249

Nasze sukcesy czy niepowodzenia możemy podzielać w zależności od tego, co Jan lub jego A.E. wywalczyli, czy raczej przygotowali. Nie dotyczy to naszego postępowania, lecz jego opisanie. Aby to na przyszłość ułatwić, A.E. został podniesiony do godności dalekiego krewnego, bez tytułu i bez roszczeń dziedzicznych, a William z Roebroku ostatecznie wygnany. Będziemy śledzić jego czyny i obiektywnie je osądzać, jemu natomiast nie pozwolimy już dojść do słowa. Tego zażądał pan Jan hrabia Joinville i A.E. wydaje się to słuszne, gdyż subiektywna egzystencja minoritytę uprawiała go w zakłopotanie.

Odniosłem wrażenie, że Gawin, mówiąc w imieniu templariuszy, chce nas świadomie wpechnąć w ramiona joannitów, tak jakbyśmy byli najlepszą gwarancją, że wówczas szpitalnikom sprawa się naprawdę nie uda. W każdym razie wydaje się, że takie jest zdanie pana komandora, jeśli nawet wyraźnie tego nie powiedział.

Z diariusza Jana ze Joinville

Limassol, 23 kwietnia A.D. 1249

Jeśli nawet nie pochwalam tego, że mnich samowolnie odwiedził chyba wygnanego komandora templariuszy – który na razie z pewnością nie jest upoważniony do zajmowania się polityką zakonu, jak to chętnie czynił – wizyta ta przyniosła pewną korzyść: teraz wiemy, na czym stoimy. Templariusze nie przykładają żadnej wagi do naszej współpracy, a joannici są gotowi wysoko nas za to honorować. Nie jest to dla mnie decydujący argument, ale po

butnym zachowaniu się Gawina, które wszelako współgra z arogancją jego zakonu, i po otwarcie obraźliwym potraktowaniu mojej osoby – nie mam żadnego powodu, aby wątpić w przekazane przez mnicha słowa templariusza – czuję się teraz zmuszony zaangażować całą swoją ambicję, żeby już nie wspomnieć o urażonym honorze, by pokazać templariuszom, że „tę sprawę” można przeprowadzić bez nich, a nawet wbrew nim. Templariusze nie widzą, iż stopniowo przeciągają strunę. Sądzą, że wraz z Kapetyngami mają w rękę Francję, sądzą, że wraz z rosnącym zadłużeniem domu królewskiego mogą sobie pozwolić działać jak państwo w państwie. Budzą jednakże wzrastającą niechęć tych, którzy także chcą mieć coś do powiedzenia we Francji; wprawdzie nie mogą oni wybierać suwerena, ponieważ władza królewska pochodzi od Boga, ale na pewno mogą przeszkodzić panowaniu zakonu. Joannici nie są tak niebezpieczni i nie budzą podobnej niechęci. Są wprawdzie równie próżni, równie chciwi na pieniądze, jednak ich głód władzy kieruje się ku rozszerzeniu handlu, ku monopolom, nie zaś ku terytorialnym posiadłościom dającym władzę świecką. Widzą w książętach tej ziemi swoje idealne uzupełnienie i wcale nie myślą o tym, aby sprawować panowanie w feudalnym sensie tego słowa.

Szlachetny pan Ronay tym razem zaprosił wprawdzie nas obu na rozmowę, ale ja wolę udać się tam sam, aby ustalić warunki. Jesteśmy wprawdzie z A.E. kuzynami w pisaniu, lecz absolutnie nie jesteśmy w równej mierze partnerami w interesach. Oczekuję więc tym razem, że po powrocie znajdę mnicha cierpliwie na mnie czekającego i spędzającego czas na zapisywaniu rzeczy wartych relacji lub dowcipnych myśli, jakie naszemu minorycie przychodzą czasami do głowy. Ale w żadnym wypadku nie życzę sobie teraz jakichkolwiek działań, które wcześniej nie zostały uzgodnione.

Z diariusza A.E. ze Joinville

Limassol, 24 kwietnia A.D. 1249

Bogu niech będą dzięki, że biedny kuzyn A.E. przynajmniej w pisaniu ma równe prawa, podczas gdy mnich William może wysunąć tylko roszczenia co do kwatery i wyżywienia, a poza tym traktowany jest jak ostatni pacholek. Również apanaże A.E. ze Joinville są nędzne, dlatego też nie powinien słuchać, z jakim zyskiem pan hrabia potrafi przekupczyć pracę swego piszącego niewolnika. Taka jest umowa, taka jest różnica stanu. Niepokoi mnie jednak, że pan hrabia nie chce skorzystać z mego doświadczenia, gdyż gra, w którą się wdaliśmy, idzie o wysoką stawkę. Hrabia Jan ze Joinville może przy tym stracić sławę i godność, dobra i tytuł, ale obaj stracimy, być może, nasze głowy, a głowa obok ogona to cały mój majątek. O tym nie może więc on sam decydować!

Dogadaliśmy się z A.E. i razem wniesiemy zażalenie, a jeśli to nie pomoże, podniesiemy bunt. Ja lepiej niż młody seneszał znam moce, które stoją za templariuszami. Przeżyłem już interwencję Przeoratu Syjonu, kiedy Wielki Plan wydawał mu się zagrożony.

Nigdy nie zapomnę pojawienia się czarnej lektyki i zdania: „To są ci sami, którzy biorą i którzy dają”. Przeorat jest wszędzie, nawet tam, gdzie niektórzy sądzą, że istnieją tylko ich wrogowie. To oznacza, że musimy być świadomi, iż gra joannitów o „tę sprawę” może być tylko posunięciem szachowym w Wielkim Planie! Czy mój pan Jan ze Joinville bierze pod uwagę podobną możliwość? Nie wolno lekceważyć przeciwnika, nie wolno przyjmować, że wdaje się on w partię, której nie przejrzał. Przepędzili templariuszy, ale to wcale jeszcze nie znaczy, że tracą nas z oczu; przecież dotąd każdy nasz krok jest im natychmiast znany. Mam nadzieję, że mój pan, olśniony władzą i bogactwem, i ślepy z powodu urażonej próżności, nie wda się w zamku w posunięcia, z których nie będzie się mógł wywiązać bez straty ważnych figur. A najważniejsze nie jest, jeszcze raz przywołuję to na pamięć, powodzenie „tej sprawy”, lecz zachowanie naszych głów: bez nich nie ma żadnego tytułu, bez nich nie ma żadnego ogona!

Kiedy pan Joinville był poza domem, William z Roebroku rzadko stał przy pulpicie, zazwyczaj oczekiwał na swego chlebodawcę w tawernie „Pod Pięknym Widokiem” – hrabia Joinville „zaglądał tam przechodząc”, aby się wzmocnić przed wchodzeniem pod górę do swej kwatery. Gospodarz znał kredą, oczywiście na belce seneszała, wina wypite przez sekretarza.

Już dawno zapadł wieczór, a hrabia wciąż nie wracał od joannitów. Przy sąsiednim stole siedział Szymon z Saint-Quentin i nieustannie mierzył Williama oczyma, ale minorityta udawał, że go wcale nie zauważył.

Wtedy do tawerny wpadli nagle Anglicy i William usłyszał, jak podnieceni zawołali:

– Paziowie królewscy są w greckiej speluncie! Te młokosy chcą ją poznać!

Prowokacja wobec Greków! Szykował się piękny spektakl i czegoś takiego William nie chciał sobie odmówić. Wstał od stołu.

– Bracie, panu Aniołowi będzie was brakowało – rzucił przechodząc obok inkwizytora. – Powinniście dać świadectwo wydarzeniom.

Szymon z Saint-Quentin podniósł ręce w obronnym geście.

– Czy sodomia uprawiana z chłopcami nie woła o przyjęcie inkwizycji? – spytał William z szyderstwem w głosie. – Macie przecież do czynienia z dziećmi! A może i wy nastajecie na nie skrycie!

Ludzie zaczęli nasłuchiwać.

Inkwizytor zerwał się wściekły i wybiegł z tawerny. William wyszedł krokiem zwyczajny.

Przewidywana awantura była, jak się zdaje, szeroko omawiana w porcie, bo coraz więcej ludzi ciągnęło w kierunku genueńskiej dzielnicy. William przyspieszył, nie chciał nic stracić.

W bramach magazynów handlarze i ladacznicę, pijacy i złodzieje przerwali swą działalność i spojłali na drzwi, które prowadziły w dół do osławionego szynku.

Wkrótce pojawił się Anioł z Karos. Kroczył ciężko tak szybko, jak mu na to pozwalało masywne cielsko, a sadło trzęsło mu się wyraźnie od gniewu. Grecy spieszyli przed Aniołem, aby jego wejście należycie przygotować i uczestniczyć w wychłostaniu szalonych młodzików.

– Zbesztać i obić! – judzili swego przywódcę.

Otworzyli gwałtownie drzwi i Anioł wtoczył się do środka, tak że William ledwie zdołał za nim nadażyć. Na pierwszym podeście „despota” zatrzymał się i rzucił straszne spojrzenie na ciżbę, jego oczy szukały i znalazły natychmiast krnąbrnych paziów, którzy się teraz, jak na komendę, podnieśli, jakby ich pan król wszedł do spelunki. Nagle zrobiło się cicho. Tymczasem paziowie odwrócili się do Anioła plecami, jednocześnie spuścili spodnie i wypięli ku niemu gołe pośladki. Wszyscy zawyli radośnie.

Grecy chcieli się rzucić na zuchwalców, ale ujrzeni przed sobą obnażone miecze: gwardia królewska, zrezygnowawszy na tę okoliczność z błękitnych płaszczy ze złotymi liliami Francji, przysła z paziami i nie rozpoznana wmieszała się w publiczność. Grecy stanęli niepewnie, gdyż na każdego z nich wypadało dwu gwardzistów. Anioł z Karos na podeście schodów niczego nie zauważył i ryknął:

– Bastardzi, naoliwić ich!

Chóralne pierdnięcie paziów było jedyną odpowiedzią i nie posiadający się z oburzenia Anioł zatrzymał się jak wrośnięty w ziemię.

Wtedy rozległ się głos:

– Zadki są gotowe, grubasie, teraz pokaż swój ogonek!

Na to się jeszcze nikt nigdy nie odważył i Anioł chwycił w prawicę topór. U jego pasa wisiał morgenstern, ale tutaj topór powinien chyba wystarczyć.

– Wyjdz z ukrycia! – wrzasnął w kierunku nieznanego, którego na odległość nie mógł dobrze rozpoznać. – Bo inaczej wyciągnę cię stamtąd!

– No, ruszcie się wreszcie! – Iwo Bretończyk wyszedł z cienia kolumny, przygarbiony, z obwisłymi jak zawsze ramionami. Nie widać było po nim żadnego napięcia. – Chętnie pójdę w wasze ślady – i zaczął sobie torować drogę przez ciżbę.

William potykając się wypadł tyłem przez drzwi, ponieważ olbrzym odwrócił się bez słowa i zaczął przepychać do wyjścia. Jego Grecy nie tyle chcieli mu pomóc, ile być świadkami ukarania Bretończyka, ale gwardia zagroziła im drogę. Anioł zatrzymał się po kilku krokach, zerknął za siebie i ujrzał, że stoi naprzeciwko areny. Ciasno zbity, milczący ludzki mur tworzył koło, pośrodku którego stał duży kosz.

– Śmiało, Aniele z Karos – usłyszał za sobą skrzekliwy głos Bretończyka – w tym koszu zostaną wyniesione resztki przegrywającego!

Jakby popchnięty niewidzialną pięścią, olbrzym ruszył naprzód, ujmując teraz także morgenstern. Zajrzał do kosza. Był pusty.

– Jego zawartość obiecałem rybakom z Episkopi jako przynętę – wyjaśnił mu Iwo z drażniącym spokojem. – Sądzę, że jest to także po waszej myśli.

Z okrzykiem wściekłości, nie odwracając się, uderzył olbrzym do tyłu, gdzie jak przypuszczał, stał bez tarczy jego przeciwnik, ale Iwo schylił się i kolczasta kula na łańcuchu przemknęła nad jego głową.

Cofając się Iwo ściągnął płaszcz z ramion i odsłonił metalowy puklerz, wypukłą tarczę, dopasowaną do jego grzbietu jak pancerz chrząszcza. Jednym ruchem ściągnął ją z pleców i zasłonił się. Ciężba wrzasnęła radośnie, gdy ześlizgnął się po niej następny cios toporem, jaki zadał zdumiewająco zwinny jak na swoją tuszę olbrzym. Iwo wysunął miecz i przeciągnął po pięści Anioła, coś upadło na ziemię i kiedy Grek, nie dowierzając jeszcze, spoglądał na swoją krwawiącą dłoń, Bretończyk schylił się, podniósł palec przeciwnika i wrzucił do kosza. Anioł zaatakował rycząc i wywijając morgensternem, ale Iwo wykorzystał zręczność kosz jako osłonę i wynurzył się dopiero wtedy, gdy kolce uwięzły w pleciance. Przy drugim cieciu miecza ofiarą padła lewa dłoń razem z bronią – pięść obejmowała jeszcze trzonek morgensterna, gdy zniknęła w koszu. Z kikuta trysnęła krew. Anioł chciał uciekać; opędzając się toporem przed niesamowitym przeciwnikiem, próbował ująć tyłem przez ludzki krąg. Jednakże poczuł ukłucie w plecy, obejrzał się przerażony i dopiero teraz spostrzegł, że pierwszy pierścień tworzą rybacy, nieruchomi, pełni nienawiści, ze skierowanymi w jego stronę harpunami. Za późno odwrócił się znowu ku swemu wrogowi. Iwo uniknął ciosu toporem i uciał olbrzymowi lewą rękę aż po łokieć. Anioł zatoczył się, tak że Bretończyk schylił się przed nim bez strachu i podniósł z ziemi przedramię. Topór bezsilnie wbił się obok niego w piasek. Iwo odwrócił się tyłem do swej ofiary i zaniósł krwawiącą rękę do kosza. Olbrzym nie zdołał ruszyć za nim.

– Podejdz tutaj, Bretończyku! – krzyknął. – Jeśli nie jesteś tchórzem, podejdz! Nie mogę już chodzić!

Stał na szeroko rozstawionych nogach z uniesionym toporem. Iwo odrzucił tarczę, poszedł mu naprzeciw i przerzucił błyskawicznie miecz do drugiej ręki. Nim topór świsnął w dół, miecz już uderzył. Jego ostrze przecięło mięśnie pod pachą, topór upadł na ziemię. Olbrzym zwałił się na kolana.

– Zabij mnie – wyrzęził – szybko!

Bretończyk odwrócił się bez słowa, podniósł tarczę i cisnął topór Anioła rybakom. To był znak, na który czekali. Rzucili się na olbrzyma, pociągali do kosza i zaszlachtowali.

Wszystko przebiegło tak szybko – między przybyciem „despoty” a jego okropnym końcem minęło zaledwie jedno *Ave Maria* – że Grecy ze statków nie mogli na czas przybyć swemu panu z pomocą. Anglicy zaś wcale nie myśleli mieszać się do tego pojedynku.

Sprowadzona przez Szymona albo przez krzyki ludzi straż joannitów roztrąciła grono wokół kosza uderzeniami włóczni. Rybacy byli cali we krwi. Z Anioła nie pozostało już nic. Kosz był pełen. Strażnicy zajrzeli tam i cofnęli się ze wstrętem. Głowa spoczywająca na kawałkach ciała nie miała już uszu, oczu, warg i nosa.

Z diariusza Jana ze Joinville

Limassol, 25 kwietnia A.D. 1249

Grecy byli do tego stopnia oburzeni poćwiartowaniem swego dowódcy, że wznieśli pożar w magazynach Genuńczyków, przy czym spłonęła także ich ulubiona spelunka. Potem zbuntowani biegali po porcie, złorzecząc i szukając zwady. Gdy wzmocniona straż joannitów stratowała pierwszych z nich, krzycząc z powodu niesprawiedliwości popędzili na statki i podnieśli kotwice.

Anjou był gotów dać im satysfakcję, czyli podarować głowę Bretończyka, ale wobec Iwona joannici zastosowali areszt prewencyjny. Tak więc Grecy napaarli wszystkimi statkami na wyjście z portu, jednak konetabl wzbraniał się przed podniesieniem łańcucha. Strata tych nieokiełzanych, ale bitnych ludzi wraz z ich szesnastoma statkami oznaczała dla wojska krzyżowców odczuwalne osłabienie. Pan Ludwik był wściekły na Iwona, lecz w głębi duszy przyznał mu rację i nie zamierzał poświęcić go dla strategicznych interesów, jak tego żądał od niego brat. Nie nastawał nawet wcale na wydanie Bretończyka. Grecy blokowali więc dalej wyjście na morze w oczekiwaniu, że ich żądanie zostanie spełnione.

Skoro mój sekretarz, zapomniawszy o obowiązku, nie oczekiwał mnie na kwaterze, lecz z pewnością ciekaw wszelkiego rodzaju tumultu włóczył się po porcie, tą drogą zdaję memu drogiemu kuzynowi A.E. relację ze spotkania na zamku.

Oprócz pana Jana z Ronay obecny był również *maître* z Sorbony, co mnie nie zdziwiło, chociaż wciąż nie wiem, kogo on reprezentuje. Zaskoczyło mnie natomiast to, że właśnie on poprowadził rozmowę i że obaj wychodzili z założenia, iż dzieci stoją do dyspozycji „sprawy”, jakby mieli już układ z tymi, którzy dzieci akurat strzegą.

„Sprawa” przedstawia się obu moim rozmówcom jak następuje: gdy król Ludwik podbije Egipt – ten cel między nami został jasno określony – wówczas *maître* widzi pretendenta do tronu, za którym jego partia opowie się bez zastrzeżeń, mianowicie Roberta z Artois.

Młody książę z Francji byłby założycielem dynastii, która powinna panować nad całym Morzem Śródziemnym, od Bagdadu przez Damaszek do Kairu, z dawną Ziemią Świętą, Cyprzem i Sycylią włącznie. Aby podbudować dynastyczne roszczenia, przy których Kapetyngom nie wiedzie się jak należy, trzeba mu dać za żonę królewskie dziecko, Jeżę.

Maître Robert uważa za zbędne powiadamiać o tym zamierzeniu hrabiego Artois, czy też doprowadzać do zniknięcia drugiego królewskiego dziecka, ażeby nie powodować żadnych komplikacji, póki król faktycznie nie podbije Egiptu.

Tyle o stronie dynastycznej, której nie można odmówić jasnego konceptu, przy wszystkich imponderabiliach*. Joannici, tak twierdzi pan Jan z Ronay, bądź co bądź zastępujący wielkiego mistrza, są gotowi poprzeć to przedsięwzięcie wszelkimi środkami, które przecież nie są małe. Ale wyłożył też jasno, że dla niego bodźcem nie jest powstanie na obszarze Morza Śródziemnego jakiegoś nowego państwa, któremu oczywiście przypadną wszystkie istniejące i przyszłe monopole handlowe, lecz zasadnicze rozstrzygnięcie: pozbawienie templariuszy władzy! Rozumie przez to nie ich zniszczenie i bynajmniej nie prześcignięcie w bogactwie i handlu, lecz ich „demistyfikację”*. Dla rycerzy świętego Jana jest nie do zniesienia, że członkostwu w zakonie templariuszy wszyscy przypisują większą wartość, jakby służba u joannitów była czymś gorszym. Już mówi się: „On został joannitą, ponieważ templariusze go nie przyjęli!” Skoro tej *defectio rationis** nie da się wyrównać przez *resactae et visibiliae**, „a Bóg jeden wie, że my jako zakon spełniamy swe obowiązki rzetelniej niż templariusze!”, trzeba się postarać o charyzmę.

Bogu dzięki pan Joinville zwrócił uwagę, że dzieci Graala są dziś jedynymi znanymi żyjącymi potomkami z linii świętej krwi. Należy więc je odnaleźć i traktować z wielkim szacunkiem. Tak więc jawnie się przeciwstawiłem *maître* Robertowi, który zamierza wepchnąć dziewczynkę do małżeńskiego łóża, a chłopca, być może, utopić jak zbędnego szczeniaka.

– To byłoby zniszczenie mitu – tłumaczyłem. – Tym się nikt nie zasłuży.

Maître Robert mnie wyśmiał.

– Dobrze, zostawimy wam chłopca. Zakon świętego Jana może go wsadzić do relikwiarza i czcić jako graalowego króla, jeśli papież na to pozwoli. Zapewniam was, że jako relikwia przyczyniłby mniej kłopotów!

– To w ogóle nie wchodzi w rachubę! – Byłem do głębi oburzony. Dziwne... ja, hrabia Joinville, wystąpiłem jako obrońca dzieci świętej krwi! – Dzieci pozostaną razem, i do tego żywe! W przeciwnym razie możecie o mojej *consultatione** od razu zapomnieć!

Pan Ronay uspokoił mnie i powiedział:

– Istnieje tylko jedna droga, by dzieci bez szkody dla ich reputacji, która jest dla zakonu *conditio sine qua non**, rozdzielić od tronu i łóża: będziemy uparcie twierdzić, że ponad wszelką wątpliwość są one rodzeństwem. Wówczas zostaną rozdzielone w sposób łagodny.

* Imponderabilia – rzeczy nieuchwytny, mogące jednak mieć znaczenie.

* Demistyfikacja – odkrycie mistyfikacji, odsłonięcie tajemnicy.

* Defectio rationis (łac.) – zanik rozsądku.

* Resactae et visibiliae (łac.) – rzeczy przeprowadzone i widoczne; tutaj: wymierne dokonanie.

* Consultatio (łac.) – konsultacja: zasięgnięcie opinii, udzielenie rady; porada.

* Conditio sine qua non (łac.) – warunek nieodzowny.

– Genialnie! – zawołał Robert z Sorbony. – Widzę, że jeszcze wystąpię przed Świętą Rotą jako *advocatus diaboli*.

– Amen! – powiedział pan Ronay. – Teraz należy zdecydować, kogo wyślemy do Masnatu, bo tam są dzieci, jak mi doniesiono z Markabu. Musimy wiedzieć, czy i na jakich warunkach asasyni są gotowi przekazać dzieci pod naszą pieczę.

– Proponuję – odezwał się od razu *maître* – powierzyć to zadanie Iwonowi Bretończykowi, który mówi po arabsku.

– Na miłość boską! – jęknąłem. – Chcecie z kozła uczynić ogrodnika?!

Jak się później wszyscy dowiedzieliśmy, nie byłem wcale tak daleki od prawdy w ocenie Bretończyka. Akurat w tym czasie, kiedy my radziliśmy w zamku, pan Iwo porąbał w porcie Anioła. Taki *raptus** był u niego zawsze możliwy.

Także joannita wydawał się tym pomysłem przerażony.

– Bretończyk jest niebezpieczniejszy niż skorpion. Skorpiony kłują tylko wtedy, gdy czują się zagrożone, pan Iwo zaś przejawia żądzę zabijania...

– Mógłbym wysłać Williama z Roebruku – wtrąciłem – on także mówi po arabsku, a dzieci go lubią...

– Ale nie wydaje mi się godny – oznajmił pan Ronay – by reprezentować nasz zakon w tak ważnych pertraktacjach, poza tym jest dla mnie zbyt nieobliczalny. Wolę zlecić to zadanie szlachetnemu panu Oliwerowi z Termes, który ma wobec nas zobowiązania i z radością opuści Cypr.

Cóż miał zrobić *maître*? Skoro bronił zabójcy, to nie mógł protestować przeciwko dezterterowi. Tak więc decyzję podjęto i natychmiast wprowadzono w czyn jeszcze tego samego wieczoru. Co za szczęście, gdyż kilka godzin później z powodu buntu Greków nie byłoby to możliwe.

Statek, który miał zawieźć do Akki komtura Zygisberta i królową z jej dworem, czekał pod żaglami w porcie.

Pan Oliwer został wyprowadzony ze swego pokoju – akurat na czas, by zakwaterować tam pana Iwona – przebrany i jako pasażer na gapę przeszmyglowany na statek przez marszałka Peixa-Rollo. Dopiero na pełnym morzu miał się dać rozpoznać, ponieważ Anjou był wciąż na niego cięty. Wtajemniczono tylko komtura. Z Akki pan Oliwer, któremu pan Ronay sam przedstawił zadanie, miał natychmiast udać się do Markabu i zgłosić u konetabla Jana Łukasza z Granson.

Potem omówiliśmy jeszcze nie rozstrzygnięte sprawy dotyczące naszych interesów. Uregulowano je ku mojemu pełnemu zadowoleniu. Jak to musi być przyjemnie, pomyślałem sobie, poruszać się w kwestiach pieniężnych bez żadnych ograniczeń!

* Raptus (łac.) – rozbój, uprowadzenie.

PS A.E. ze Joinville: Powinniście jednak zastanowić się nad tym, że nie wszystko da się kupić za pieniądze. Akurat w najbliższym otoczeniu królewskich dzieci – co chętnie wam potwierdzi William z Roebroku – natkniecie się na osoby, które nie dadzą się kupić, a do tego są gotowe w każdej chwili oddać za dzieci życie.

PPS: Kiedy dziś w nocy albo dokładniej we wczesnych godzinach rannych w porcie znowu zapanował spokój, greckie statki ciasno stłoczone znajdowały się nadal przy wyjściu. Anglicy zgłosili gotowość do abordażu, ale Grecy zagrozili, że przy pierwszej oznace ataku zatopią swe statki, a wtedy cała flota znajdzie się w pułapce i pan Ludwik może pożegnać się ze swoją krucjatą.

Jednakże król jest nie mniej uparty, a skoro jego małżonka na krótko przedtem odpłynęła, nie istnieje dla niego żadna *necessitas imminens agendi**. Zarządził, żeby nie dostarczać Grekom ani wody pitnej, ani prowiantu. W ten sposób zastosowano blokadę przeciwko blokadzie. Nie ustępują też doradcy, którzy są za tym, żeby Bretończyka poświęcić – ci chyba już dawno chcieli się go pozbyć – inni zaś radzą królowi, że powinien pozwolić Grekom odpłynąć, bo nie są oni godni zaufania, ponadto stanowią zagrożenie dla i tak już podupadłej dyscypliny w porcie, a także hańbę dla chrześcijańskiego wojska krzyżowców.

Słoneczny żar lał się nielitościwie na Masnat. Twierdza asasynów wyglądała jak wymarła. Minęło właśnie pięć dni, odkąd dzieci uciekły. Wprawdzie każdego wieczoru wracały spoza murów zmęczone grupy poszukiwaczy, ale z daleka już można było dostrzec, że przybywają z pustymi rękoma. Wysoko na niebie tkwiły nieruchomo orły, jakby chciały, przepatrując wąwozy i jaskinie Dżebel Bahra oraz otaczających gór, uczestniczyć w poszukiwaniu zaginionych.

Crean zawsze wyruszał pierwszy i wracał ostatni. Schudł, a z jego pokrytej bliznami twarzy wyzierała zgryzota. Już dawno nie meldował się do raportu na platformie obserwatorium, nie mógł spojrzeć w oczy ani kanclerzowi, ani staremu ojcu. Ponoślił odpowiedzialność za dzieci. Pozostawił im swobodę ruchu, żeby się czuły szczęśliwe. Oszukały go.

Był dzień jak wszystkie inne.

Słoneczny żar lał się nielitościwie na Masnat. Twierdza asasynów podobna była do leśnego mrowiska, na które nastąpił nieuważny lub swawolny wędrowiec. Gdy patrzyło się z góry, mury i drogi wyglądały jak blade żebra, po których tam i z powrotem spieszyli rozgniewani mnisi-wojownicy. Nawet orły w swym niewidzialnym gnieździe na murach krzyczały ochryple, przelatywały niepokojąco niskim lotem wokół wież Masnatu, ponad którymi krążyły zazwyczaj cicho na ogromnej wysokości.

* *Necessitas imminens agendi* (łac.) – potrzeba bezpośredniego działania.

Stary Turnbull chwycił się ręką za serce, gdy doniesiono, że dzieci zniknęły. Tarik zbladł i próbował ratować się żartem, ponieważ Jeza i Rosz często tkwili gdzieś ukryci całymi godzinami albo w wyprawach zwiadowczych pełzali po zabronionych korytarzach. Bibliotekarze ich nie widzieli, na kopule Błękitnego Meczetu nie znaleziono najmniejszego śladu, podobnie w ogrodach wielkiego mistrza. Klarion ciągle wybuchwała łzami i lamentowała w sposób tak rozdzierający serce, że Madulajn obawiała się, iż przesadny płacz jej towarzyszki może zwrócić czyjąś uwagę. Potem pod dawno nie używanymi drzwiczkami w zewnętrznym murze, do których dojście uchodziło za zawałone, znaleziono czerwoną przepaskę Jezy. Wtedy też kucharze zgłosili, że ktoś ukradł orzechy, suszone daktyle i figi. Brakowało również garnka miodu.

Wskutek tych wieści kanclerz, mimo że wstrząsany nowym atakiem gorączki, kazał się znieść z obserwatorium na dół i zwolnił Creana od dowodzenia podjętymi natychmiast poszukiwaniami.

*

I tak minęło pięć dni. Nie można już było oddawać się złudzeniom: ucieczka albo uprowadzenie dzieci były dawno przygotowane. Inaczej złapano by uciekinierów, zwłaszcza że nie orientowali się w trudno dostępnych, poprzerzynanych głębokimi rozpadlinami górach Noisiri.

Po trzech dniach Tarik wysłał delegacje do wszystkich leżących dookoła zamków, a także do Homsu, dokąd na czele poselstwa ruszył Turnbull, lecz wrócił gorzko rozczarowany. An-Nasir odpowiedział, że ma w gościnie dwoje dzieci, ale jest to sprawa wyłącznie między nim a sułtanatem Kairu. Potem je Turnbullovi pokazano. To były inne dzieci. Poza tym An-Nasir kazał powiadomić Al-Aszrafą, że powinien wrócić z Masnatu; jako kuzyni z tego samego rodu Ajjubidów pogodzą się na pewno co do stosunku lennego Homsu.

– Myślę jednak, że to pułapka – ostrzegł Turnbull jednym tchem.

Ale ku zdumieniu wszystkich, którzy uważali Al-Aszrafą za tchórza, i ku wielkiemu zaskoczeniu kanclerza zezowaty emir podziękował asasynom za gościnę i szykował się do powrotu. Nikt nie chciał mu się sprzeciwić. Uzgodniono, że wyjedzie następnego dnia.

Wtedy zabrała głos Klarion, która płakała przez całe pięć dni i miała od tego mocno zaczerwienione oczy.

– Po ucieczce dzieci mój pobyt tutaj nie ma już sensu. Powinnam była lepiej na nie uważać! – Zwracając się do Al-Aszrafą dodała: – Jeśli pan emir zechce przyjąć mnie i moją wierną Madulajn jako towarzyszki podróży, wówczas opuścimy wraz z nim Masnat.

Kanclerz nie miał także nic przeciwko temu, gdyż jej nieustanne łzy i od czasu do czasu historyczne wybuchy, które przysporzyłyby sławy każdej płaczącej, działały mu na nerwy już od pierwszego dnia zniknięcia dzieci, jeszcze bardziej zaś mierzła go przemądrzała

pyszałkowatość Madulajn, która swym okropnym arabskim stale udzielała mu rad, gdzie i jak ma szukać. Był zadowolony, że pozbędzie się kobiet, które w tym męskim świecie mnichów w Masnacie stały się tylko przyczyną niepokoju. Zezwolono więc damom na spakowanie dobytku.

Jeza obudziła się pierwsza. Minął jakiś czas, nim przypomniała sobie wszystko i pojęła, gdzie jest. Przycisnęła policzek do chłodnego nosa Rosza, ale nie poczuła jego oddechu. Przestraszona przyłożyła ucho do piersi chłopca i usłyszała, jak gdzieś daleko i cicho bije jego serce. Powoli wstała. Zakołowało się jej w głowie. Na niepewnych nogach ruszyła po omacku naprzód, póki nie natrafiła na zbudowaną przez nich kamienną przeszkodę. Ktoś zburzył ją od góry, ale potem chyba zaprzestał roboty. Jeza przyklęła i zaczęła z trudem odsuwać kamienie. Gdy otwór był wystarczająco duży, popęzła na czworakach dalej. Wyczerpana, omal nie zatrzymała się po drodze i nie zasnęła. Zebrała jednak siły i szła znanym sobie korytarzem, aż znalazła się u podnóża kamiennych schodów, które prowadziły w górę do obrotowej marmurowej statuy Bachusa. Zaczęła nasłuchiwać – cisza! Przycisnęła twarz do szpary i zobaczyła, że za cokołem leżą dwa wydęte bukłaki z koziej skóry. Zrozumiała, że był najwyższy czas. Pospieszyła z powrotem i zaczęła budzić Rosza; gdy potrząsanie nie pomogło, najpierw przysnęła, a potem chlusnęła na niego wodą z dzbana. Usiadł i spytał zaspany:

– Żyjemy?

– Przespaliśmy pięć dni – powiedziała Jeza. – Mam straszliwe pragnienie.

Opróżnili na zmianę dzban, pijąc małymi łykami, i zaczęli żuć twarde, szcerstwiały przez te dni chleb.

– Nie jest smaczny – skrzywiła się Jeza – ale jeśli chcemy uwolnić kogoś z więzienia, musimy ponosić ofiary.

– Ach tak, Homs! – przypomniał sobie Rosz i nie zabrzmiało to zbyt radośnie.

Tej nocy dzieci opuściły kryjówkę pod pawilonem i udały się na wędrowną ciemnymi korytarzami, w których się już na ślepo orientowały. Niosły każde dla siebie świeże mleko w bukłaku z koziej skóry. To był umówiony z Madulajn znak do wyruszenia. Gdy Rosz i Jeza zabrali bukłaki spoza cokołu bóstwa, wiedzieli, że nadszedł czas na zrobienie trzeciego kroku: teraz naprawdę musieli uciec. Znali rytm patroli na murach i niedaleko głównej bramy wsunęli się z zatkanymi nosami do stromo opadającego kanału odpływowego. Gdy byli prawie na dole, wciąż nasłuchując, czy ktoś nie zwrócił uwagi na powodowane przez nich odgłosy, Jeza nagle z trudem stłumiła krzyk: zwicnęła nogę w kostce i usiadła w nieczystościach. Rosz, który wysunął się do przodu, przyczołgał się z powrotem. Kostka zaczęła już puchnąć.

– Brudna jesteś tak czy tak – pocieszył Jeżę szeptem – siedź więc dalej, pociągnę cię! – I pociągnął ją po oślizgłym dnie kanału.

Noc łaskawie zakryła ten widok, a do odoru należało się przyzwyczaić. Przyjęli jako drogowskaz dalszy bieg cuchnącej kloaki i opuścili ją dopiero wtedy, gdy nie mogli już być widoczni z zamku. Spotkanie z Hamonem miało nastąpić w jaskini, przez którą, uciekając przed joannitami, przybyli niegdyś do Masnatu. Madulajn uważała wprawdzie to miejsce za niebezpieczne, gdyż Crean mógł sobie o nim przypomnieć, ale Jeza stwierdziła stanowczo:

– Będziemy się cieszyć, jeśli Hamon w ogóle odnajdzie tę grootę! Nie możesz żądać od niego za wiele.

Jaskinia leżała w przeciwnym kierunku niż droga do Homsu, gdyż trzeba się było liczyć z tym, że asasyni, podejmując ostatnią rozpaczliwą próbę, będą przez jakiś czas obserwować odjeżdżającą grupę pod dowództwem Al-Aszrafa. Rzeczywiście już o świcie Crean opuścił zamek i stanął na posterunku na skałach ponad drogą wiodącą do Homsu.

Jeza opierała się teraz na Roszu i od czasu do czasu popiskiwała z bólu, jednak bardziej niż cierpienie doskwierał jej smród. Tęskniła za kąpielą w jakimś jeziorze błyszczącym srebrzyście w świetle księżyca.

– Jest wprawdzie nów, więc nas nie zobaczą, ale z łatwością mogą nas wywęszyć, tak cuchniemy – rozweselał dziewczynkę jej towarzysz.

Tymczasem marzenie Jezy się spełniło, ledwie zanurzyli się w labiryncie jaskiń, natknęli się na małe podziemne jezioro nadzwyczajnej czystości, odbijające światło gwiazd, które zaglądały tu przez otwór w stropie. Dzieci szybko zrzuciły ubrania i ostrożnie weszły nago do wody.

Była przenikliwie zimna, ale na kostkę Jezy podziałała dobrze. Dziewczynka trzymała nogę w wodzie, gdy tymczasem Rosz prał i wyzynał jej odzież. Najchętniej poszłaby dalej naga, ale chłopiec przypomniał, że wkrótce natkną się na Hamona i żołnierzy z Antiochii. Rosz zawsze dbał, by należycie się zachowywali. Jej mały rycerz! Drżąc, włożyła z powrotem mokre ubranie.

Ku zaskoczeniu dzieci Hamo siedział już w umówionej grocie. Ale był sam.

– Gdzie żołnierze? Gdzie wojsko? – spytał Rosz podejrzliwie.

– Ojciec Boemunda nie pozwolił na to – westchnął Hamo. – „Antiochia zawarła rozejm z Aleppo na trzy lata, więc jeśli chcesz tak długo czekać...” wyjaśnił książę swemu synowi. „Układ włącza wyraźnie Homs, nastawał na to An-Nasir. Właśnie dlatego nie pomogliśmy Al-Aszrafowi! Mam nadzieję, że twój przyjaciel to zrozumie”. Mnie zresztą, syna sławnej hrabiny z Otranto, przyjął bardzo serdecznie!

– I jak teraz uwolnimy Mahmuda i Szirat? – spytała Jeza zbita z tropu.

– Najpierw musimy spotkać pozostałych i dotrzeć do Homsu – powiedział Hamo. – Czekam tutaj na was już od trzech dni.

– Wobec tego przybyłeś za wcześnie, to typowe dla ciebie – stwierdził Rosz – ale przynajmniej przywiozłeś osły...

– Aha – przytaknął Hamo – i poganiaczy, którzy potrafią się z nimi obchodzić – wskazał śpiących ludzi. – Przywiozłem także kobiece stroje dla nas trojga!

– Co? – spytał Rosz. – Mam jako twoja żona...?

– Nie, najstarszy z poganiaczy odgrywa rolę męża, a my troje jego zakwefione żony, na które żaden obcy nie rzuci ciekawego spojrzenia!

– Ja nie chcę żadnego welonu – dąsała się Jeza, ale Hamo wyśmiał ją.

– Twoje jasne włosy każdy asasyn rozpozna już z daleka! Masz do wyboru: Masnat albo welon!

Około południa tego samego dnia Oliwer z Termes przybył do Masnatu. Joannici, którzy mu towarzyszyli w drodze, musieli poczekać przed zamkiem. Kanclerz Tarik ibn-Nasir przyjął gościa w obecności Jana Turnbulla. Pozwolili mówić wysłannikowi Ronaya, zaopatrzonemu w pisemne pełnomocnictwa, i rozwinąć koncept zakonu w „wiadomej sprawie”. Nie przerywali mu, chociaż Turnbull z oburzenia najchętniej pokazałby posłowi drzwi. Ale Tarik słuchał ze spokojem, ba, jego postawę można było nawet określić jako „życzliwe zainteresowanie”. Tak odpowiedział Oliwerowi:

– Jak zapewne wiecie, szlachetny panie, decyzje tego wielkiego zakonu zapadają nie w Syrii, lecz w Alamucie. Dajcie nam czas na zasięgnięcie opinii naszego wielkiego mistrza, imama Mohameda III! Przekażemy ją do Markabu. Na wszelki wypadek dziękujemy szlachetnemu panu Janowi z Ronay za względy, jakie nam okazał swą propozycją. Dalekowzroczny to człowiek.

Oliwer skłonił się uprzejmie.

– Zatrzymam się w Krak des Chevaliers. Proszę, dajcie mnie bezpośrednio znać, jaką dostaliście odpowiedź. Nie jest konieczne, aby każdy rycerz zakonu dowiedział się o naszej sprawie już teraz.

– Przede wszystkim nie panowie Świątyni! – dorzucił drwiąco Turnbull. – Oni, Oliwerze z Termes, obdarliby was żywcem ze skóry... – umilkł na wyraźny gest niezadowolonego kanclerza.

Gdy patrzyli z góry, jak oddalają się joannici z Oliwerem, Jan Turnbull powiedział zdenerwowany:

– Jego ojciec był sławnym katarzem i zginął za wolność swojej wiary, za wystąpienie w obronie Graala! Syn dał się wmanewrować w zdradę! Kupić dzieci! Coś takiego mogło wpaść do głowy tylko joannitom!

Tarik zachował spokój.

– Przynajmniej wiemy teraz, jeśli to wszystko nie było podstępem, że u nich poszukiwanych nie ma. Po drugie, drogi Janie, nie traktuj nigdy bez potrzeby obraźliwie kogoś, kto ci proponuje przymierze. Nie wiadomo, co jeszcze przyszłość przyniesie.

– Mam nadzieję, że wróci nam dzieci! – westchnął stary Turnbull.

Skromna karawana ponuro spoglądającego Beduina z jego trzema młodymi żonami dotarła nie nagabywana tuż pod Homs, gdzie nagle zatrzymał ją sufi stojący na skraju drogi. Poprowadził przybyłych do niewielkiego lasku, gdzie obozował już Al-Aszraf i obie kobiety.

VII

HAREM W HOMSIE

Z diariusza Jana ze Joinville

Limassol, 5 maja A.D. 1249

– Właściwie należałoby tą uliczką, która od siedziby templariuszy prowadzi w dół do portu, chodzić nocą zawsze we dwóch, w dodatku z nożem w garści – perorował oburzony William, gdy sapiąc, wszedł do tawerny, gdzie na niego czekałem.

– To upadek obyczajów – pocieszałem go. – Dla dusz tak czystych jak wasza czasy są niebezpieczne!

Puścił kpinę mimo uszu.

– Gdy wyszedłem z naszej kwatery, jakaś podejrzana postać zaczęła mi deptać po piętach – opowiadał. – Byłem bez broni. Gdy kroki zaczęły się zbliżać, udałem, że się potknąłem, schyliłem się i chwyciłem kamień, a kiedy się odwróciłem, kogo ujrzałem? Hrabiego Sarrebruck!

– Jak to? – zdumiałem się.

– Nosił kaptur, chyba nie chciał być rozpoznany. „Williamie z Roebruku!”, syknął. „Dobrze, że was spotykam”, a przecież po prostu na mnie czatował, „to oszczędzi mi poszukiwania mego kuzyna Jana ze Joinville, który o tej godzinie przesiaduje chyba w swojej spelunce...”

– Na co sobie pozwala ten człowiek! – wyrwało mi się. – Zbesztaliście go, mam nadzieję, porządnie?!

– W miarę – przyznał mój sekretarz. – Powiedziałem mu: „Tam mój pan znajdzie zawsze lepsze towarzystwo niż wasze, panie Janie. A jak brzmi wiadomość?” Hrabia Sarrebruck zadał sobie wielki trud, aby nadać swej twarzy wyraz niesamowity, a głosowi okropnie groźny ton.

„Ręce precz od Sycylii!”

Chętnie by mi wepchnął miecz do brzucha, ale opamiętał się i tylko utkwiał we mnie wzrok jak wąż w małym ptaszku.

„Musicie mówić jaśniej”, odpowiedziałem łagodnie, „a może także dodać, od kogo pochodzi to straszliwe ostrzeżenie...”

„Nie bądź śmieszny, minorityto!”, fuknął pan Jan i sięgnął do miecza. Odskoczyłem i podniosłem rękę z kamieniem. Jan z Sarrebrucku powstrzymał się od wydobycia broni.

„Posłanie pochodzi z ust pewnego bardzo dostojnego pana, który wiele nie mówi ani nie bawi się w ceregiele. To powinno wystarczyć memu intryganckiemu kuzynowi!”

„Pozdrówcie pana Karola w imieniu hrabiego Joinville i powiedzcie mu, że posłanie zostało przekazane!”, rzekłem ja.

„Czy mogę na was polegać?”

„A czy ośmielilibyście się sami udać do spelunki i mieli czelność osobiście przekazać swoje życzenie seneszalowi?!”

Odszedłem stamtąd i pospieszyłem tutaj! – zakończył William swoją relację.

– Dobrze się stało – powiedziałem – teraz wiemy, że Anjou jest naszym wrogiem i że mój kuzyn Jan pracuje dla niego, co mnie wcale nie dziwi.

– To jest rozpoznanie – oświadczył mój sekretarz – z którym mogę się pogodzić tylko przy dzbanie najprzedniejszego wina.

– Zasłużyliście na niego, Williamie – odparłem – oczekuje was zresztą także Ingolinda z Metzu!

Z ciężkim westchnieniem rezygnacji minorityta spojrział na ładacznicę. Otaczali ją pijani marynarze i gdy tylko dostrzegła Williama, wskazała go palcem:

– Oto przybywa moje nieszczęście, William z Roebruku! – Wybuchnęła pijackim śmiechem. – On mnie zabije...

Marynarze chcieli się rzucić na mego sekretarza, ale Ingolinda dopowiedziała zdanie do końca:

– ...zabije swoją tępotą i pozbawi zarobku!

To było dla nich chyba obojętne, bo zaczęli wrzeszczeć:

– Jakiego chcesz zarobku, jeśli z kimś takim się zadajesz?!

Dwaj najbliżsi pociągnęli ją do drzwi.

– Ja ci jeszcze pokażę, ty pękata kobzo! – zawołała i śmiejąc się przeraźliwie, zniknęła z marynarzami.

Kazałem Williamowi przysiąc się do mnie i zamówiłem nowy dzban. Sam miałem mocną głowę, ale musiałem uznać wyższość swego sekretarza. Mógł w spokoju i z rozwagą wlać w siebie tyle wina, ile zwałoby wołu z nóg, a po nim nic nie było widać.

– Czy wiecie, mój panie – spytał William po pierwszym łyku – co hrabiego Anjou tak rozgniewało? On chce mianowicie sam, przy pomocy papieża – mnich otarł z przyjemnością usta – odziedziczyć po Hohenstaufie Sycylię, jeśli nie całą południową Italię, ale jego królewski brat do tego nie dopuszcza. Także na królewski tron Jeruzalem patrzy już pożądliwie, skoro łaciński Konstantynopol stał się jeszcze mniej wart niż tytuł cesarski. W każdym razie pan Karol ma chrapkę na Morze Śródziemne i idea, żeby tam intronizować jego młodszego brata, przyprawia go o mdłości.

– Na mdłościach Anjou nie poprzestanie i my to jeszcze odczujemy. To wyjaśnia też, dlaczego pan Karol w jakiejś nagłej zmianie nastroju nie żąda już od swego królewskiego brata głowy pana Iwona. Zaproponował mianowicie, że Bretończyka, odepchniętego przez Ludwika, weźmie do swojej służby i zagwarantuje jego dobre sprawowanie. Pan Ludwik jednak nie dał się na to namówić, podobnie jak nie ugiął się przed szantażem Greków. Iwo Bretończyk królewskim dekretem został wygnany z wojska krzyżowców i wkrótce odplynie do Akki, gdzie ma czuwać nad bezpieczeństwem królowej. A jak sami mogliście się przekonać, Williamie, pozbyliśmy się Greków. Pan Ludwik za pośrednictwem konetabla postawił ich przed wyborem: zostać i podporządkować się albo opuścić krucjatę. Król nie pozwolił się szantażować. Stosownie do tego łańcuch opuszczono i Grecy odplynęli wśród plugawych złorzeczeń.

Pociągnąłem solidny łyk i zdziwiłem się, że William tak niespokojnie wodzi świńskimi oczkami po pijackiej cizbie tawerny, jakby szukał kogoś, kogo nie chciał spotkać.

– Ingolinda na tropie? – spytałem żartobliwie.

– Nie – szepnął William – wydawało mi się, że widziałem dwu asasynów...

– Ja widzę tylko, że zbliża się do nas Szymon z Saint-Quentin. Spogląda zresztą tak strasznie, jakby chciał was zamordować, Williamie – odezwałem się i przesłałem dominikaninowi swój najpiękniejszy uśmiech.

On jednak nawet mnie nie powitał, lecz z miejsca natarł na mego sekretarza:

– Odrąciliście rękę, którą święta inkwizycja wyciągnęła do was w swej dobroci, chcąc ratować waszą duszę. Teraz rzeczy potoczą się swoim biegiem...

– Ręką? – roześmiał się William. – Dyby! Pokazaliście mi narzędzia tortur!

– Skończyliśmy z tobą, Williamie z Roebru! – powiedział dominikanin z cichą groźbą w głosie. – Już was nie potrzebujemy. Iwo Bretończyk będzie mi towarzyszył w Ziemi Świętej!

Oznajmił to tak tryumfująco, jakby teraz oczekiwał, że mój sekretarz pełen skruchy da za wygraną. Grubo się mylił!

– Jak to się wszystko kręci i zmienia – zakpił William – dwaj *canes domini*! Czy Bretończyk wie już, gdzie wisi kielbasa?

– Dowie się w porę – oświadczył dominikanin lekceważąco – i będzie posłusznym psem, ponieważ nie jest głupi.

– Uważajcie tylko, żeby was nie pokąsał! – pozwoliłem sobie dorzucić.

Dominikanin zmierzył mnie spojrzeniem pełnym pogardy i odszedł. Usiadł daleko od nas.

– Pies szczeka... – powiedziałem, żeby podnieść Williama na duchu. – Możecie o nim zapomnieć. Król zlecił mi, potajemnie i dlatego tym bardziej zaszczytnie, przygotowanie szkicu do mowy, którą chce wygłosić przed zebranymi dowódcami wojska...

– Pragnie ich zachęcać do obyczajności? – Williamowi podobało się dziś sprowadzać wszystko, nawet rzeczy wzniosłe, do śmieszności. – Chce napiętnować ich niemoralny tryb życia?

– Nie – odparłem dumnie. – Mowa ma dotyczyć krucjat, idei, która legła u ich podstaw, traktować o ich zwyrodnieniu, o zgniliznie i zepsuciu, o osłabieniu walki za wiarę i jej zapomnieniu...

– I potem jak Feniks z popiołów – zakpił znów William – podniesie się chorągiew pana Ludwika i poprowadzi nas... czyli krucjata wyruszy już wkrótce! – zakończył mój przebiegły sekretarz.

– Pojęliście to, Williamie z Roebruku. Ja i król...

Nie dokończyłem, gdyż nagle przeleciał mi przed nosem sztylet i drżąc wbił się w blat stołu, a dzban z winem pękł na dwoje. W sąsiedztwie wybuchła bijatyka między angielskimi marynarzami Salisbury'ego i kilkoma alfonsami z Marsylii. Błysnęły noże, potem poszły w ruch ławki, którymi marynarze grzmocili przeciwników po głowach. Kobiety piszczały, walczący wyli przeraźliwie – z bólu, ze strachu albo dla dodania sobie odwagi. Gdy w drzwiach pojawiła się straż joannitów, wzburzenie gorących umysłów już ucichło, gniew się wypalił. Kilku ludzi wyniesiono z tawerny. Nie wiem, czy byli martwi, ranni czy tylko pijani.

Dopiero teraz znaleziono Szymona. Leżał pod stołem zakłuty! Trafiło go w serce wiele sztyletów i nikt tego nie widział.

– A, miałem rację – zauważył William. – Asasyni.

– Za głośno szczekał. – Czułem satysfakcję z trafnej przepowiedni. – Czyż nie powiedziałem: możecie o nim zapomnieć? A więc weźmy się do pracy dla króla...

William był jednak bardziej przejęty nagłym zgonem swego inkwizytora, niżby się z pozoru wydawało.

– Byłoby też lepiej dla nas obu – mruknął – zająć się wyłącznie zaszczytną pracą dla króla, zamiast wdawać się w konspirację i intrygi.

– Tak bardzo poruszyła was ta śmierć?

– Możecie na to patrzeć, jak chcecie – powiedział William zatrwożony – ja widzę w tym ostrzeżenie. Przeorat Syjonu nie ostrzega dwa razy! A teraz mają ruch asasyni, którzy działają prościej niż templariusze.

– Nie obawiacie się z ich strony żadnych sprzeciwów co do dalszego losu dzieci?

– Dla asasynów rycerze Świątyni prowadzą zbyt ryzykowną grę i wskutek tego nie zapewniają dostatecznego bezpieczeństwa, natomiast dla templariuszy asasyni są zbyt zagrożeni przez Mongołów, ażeby mogli królewskim dzieciom zapewnić niezbędną opiekę. Gdyż Masnat, gdzie teraz mogą przebywać, jest tylko stacją na drodze do Alamutu.

– Wobec tego joannici muszą się pospieszyć – uświadomiłem sobie – inaczej zastaną gniazdo puste!

– Pan Ronay w każdym razie ulega złudzeniu, jeśli sądzi, że asasyni sprzedadzą mu dzieci. Oni teraz za pośrednictwem Przeoratu znają wartość królewskiej krwi i uwzględnią ją w swoich interesach. Wystarczy im nieuniknione starcie z templariuszami, po co mają jeszcze brać sobie na głowę dodatkowy kłopot z joannitami?

– To jest właśnie punkt, od którego bym zaczynał na miejscu pana Ronay. Co mogą zaoferować asasynom rycerze Szpitala, czego nie mają rycerze Świątyni? Istnieje między zakonami pewna subtelna różnica, i tę asasyni na pewno z wdzięcznością zauważą: joannici umieją oddzielać duchowe panowanie od świeckiej władzy. To czyni z nich dających się zaakceptować sprzymierzeńców.

– Rozstrzygnięcia nie zapadną w Masnacie. Musiałby więc pan Oliwer potrudzić się do Alamutu albo, co obiecywałoby większe powodzenie, zakon powinien wysłać do Persji wysokiej rangi delegację, która będzie mogła rozmawiać o sprawie naprawdę ważnej: o obronie przed hordami wielkiego chana!

– *Summa summarum** – powiedziałem – nie możemy już rościć sobie pretensji do nieświadomości. Dobrowolnie weszliśmy do jamy drapieżników i nie ma w niej ani jednej dzikiej bestii, która nie została zbudzona, nie warczy i nie szczyrzy zębów, nie mówiąc o węzach, które czołgają się bezgłośnie. *Polla ta deina k'ouden anthropou deinoteron pelei**.

– A więc – stwierdził William – zabierzmy się do wypraw krzyżowych. Niechaj się dowiem, co wielki kronikarz przedłoży swemu królowi. Już notuję.

– Nie tutaj, szanowny panie sekretarzu! – Podniosłem się zdecydowanie i wyrównałem nasze długi w tawernie „Pod Pięknym Widokiem”. – Odosobnienie i szczupłość naszej kwatery są odpowiednimi ramami dla pracy mojego umysłu i waszych palców.

Gdy wspinaliśmy się ciemną uliczką, starałem się faktycznie skoncentrować myśli wyłącznie na czekającym mnie zadaniu, ale przeszkadzał mi William rechoczący pijackim śmiechem. Z jego bełkotu wyłowilem:

– Ta robota podpada pod uzgodniony zarobek ladacznicy!

* *Summa summarum* (łac.) – podsumowując.

* *Polla ta deina...* (gr.) – Istnieje wiele potworów, jednak niema większego potwora niż człowiek.

DEUS LO VULT*

„O idei zbrojnych pielgrzymek
do Ziemi Świętej,
zwanych krucjatami,
i ich historycznym rozwoju.

Europa kończącego się tysiąclecia. Koniec świata nie nastąpił, choć oczekiwano go powszechnie.

Dziwne zjawiska na niebie, zaćmienie słońca i komety niepokoiły lud. Nieurodzaje i susze wypędzały wieśniaków z ubogiej roli na karczowiskach w ciasnotę miast. Zarazy i klęski głodu nie ustawały.

Jeśli wszystko to nie było znakiem oczekiwanego z utęsknieniem powtórnego przyjścia Mesjasza na ten padół cierpień, z pewnością zapowiadało nadejście budzącego strach antychrysta.

Lud wstrząsanego feudalnymi zatargami Zachodu chciwie i w głuchej rozpaczycy czekał na znak...”

– Dosyć ponury wstęp – odezwał się mój sekretarz. – Ludzie po trwającym już trzy kwartały czyścucu, jaki przeżyli na Cyprze, nie chcą słuchać z ust króla przygnębiającego opisu ponurych czasów, lecz wezwania, aby radośnie wkraczali do raj!

– Szanowny Williamie – odpowiedziałem – nie przerywajcie, proszę, potoku moich myśli ani biegu historii! Wobec niej jestem jako kronikarz zobowiązany. Co pan Ludwik z mową pocznie, jakim fragmentom każe spocząć pod stołem, to jego sprawa. A więc piszcie:

„Pojednanie między Zachodnim i Wschodnim Cesarstwem Rzymskim, zlikwidowanie schizmy* i uznanie papieża jako jedyne i nieomylnego pana całego chrześcijaństwa odsunęło się w daleką przyszłość. Do tego pojawiły się wstrząsy spowodowane odrzuceniem uświęconego tradycją podziału zachodniego świata. Normanowie z Francji wyprawili się do Anglii i zawładnęli tronem Anglów i Sasów. Potem, co wielce chwalebne, wyzwoliło się południe Italii i Sycylia spod władzy niewiernych. Niemiecki cesarz rzucił się na dziedzictwo Cesarstwa Rzymskiego i odmówił papieżowi prawa do inwestytury* ...”

– Pozwólcie, mój panie, że wam przerwę, ale gdzie jest napisane, że aby zostać niemieckim cesarzem, trzeba się dać koronować namiestnikowi Piotrowemu?

– A kto powiedział, że cesarz ustanawia papieża? – odparowałem. – W każdym razie ten spór należy opisać.

„Tryumfu i upokorzeń doznały obie strony. Raz papież każe niemieckiemu władcy czekać w Canossie na śniegu i deszczu, potem znów papież musi uciekać do zamku Świętego

* Deus lo vult (okcyt.) – Bóg tak chce.

* Schizma – rozłam w Kościele.

* Inwestytura – min. prawo obsadzania kogoś na urzędzie; tutaj: koronowanie cesarza przez papieża.

Anioła przed Godfrydem z Bouillon, cesarskim dowódcą, tym samym, który później będzie chwalony za pobożność i cnotliwość. Ale właściwym cierniem w stopie Rybaka jest i pozostaje schizma. Jego przeciwnik, prawosławny patriarcha Bizancjum*, ma łatwiejsze zadanie, ponieważ Cesarstwo Wschodnie i wschodni Kościół występują jako jedność. Do tego dochodzi niezaskuszenie splendor faktu, że miejsca narodzin chrześcijaństwa, przede wszystkim Jeruzalem, należą do obszaru panowania Bizancjum. Sytuację tę dla papieża trudno nazwać pomyślną. Nic nie jest więc dla niego tak dogodnie, jak napływające do Rzymu coraz liczniej w ostatnich latach upływającego tysiąclecia prośby o pomoc dla obrony świętych miejsc przed napierającymi coraz zuchwalej ludami tureckimi. Nie tylko zresztą od ograbianych, dręczonych pielgrzymów, lecz także od braci w Chrystusie z Konstantynopola. Był to żalony krzyk i nie wiemy, kto go ostatecznie inscenizował...”

– No kto? – Mój sekretarz potrzebował, jak się wydaje, przerwy, aby rozmasować palce.

– Nie, Williamie – powiedziałem – nie czyn za wszystko odpowiedzialnym Przeoratu Syjonu!

– Ale Przeorat z pewnością odpowiada za to zwrócenie się ku początkom. Tylko z Jeruzalem dało się rozwinąć i poprzeć dowodami zarzuty wobec Kościoła rzymskiego o sfalszowanie testamentu Mesjasza. Dlaczego templariusze pierwsi...

– Nie tak szybko! – napomniałem go życzliwie. – Do Świątyni Salomona jeszcze dojdziemy. Teraz omówmy sytuację chrześcijan w Palestynie przed wyprawami krzyżowymi, a ta wcale nie była zła. Nawet w miejscowościach podlegających kalifatowi z Bagdadu żyły od prawie tysiąca lat wszystkie odłamy chrześcijan, które bez przeszkód mogły wyznawać swoją wiarę; wiodło im się nieporównanie lepiej niż na przykład Żydom na chrześcijańskim Zachodzie. Mieli tylko jedną wadę: nie byli rzymskokatolicy! W oczach Kościoła rzymskiego Palestyna stała się ostatecznie i przy Bożej pomocy „chrześcijańskim Wschodem”. W zastępstwie Boga ukarano Żydów za ich winę przy śmierci Pana, przepędzono na cztery wiatry i wydawało się, że nastanie wreszcie spokój. Ale wtedy wystąpił prorok Mahomet, który zapoczątkował nowy ruch religijny, islam, i tym samym zmienił ustanowiony przez Boga porządek. Czyż miał chrześcijanin prosić dzikusów z pustyni o zezwolenie, by móc modlić się w miejscach, gdzie przebywał Pan?

– To rzeczywiście przykre! – zakpił mój sekretarz. – Dlaczego Jezus z Nazaretu nie przyszedł na świat w Rzymie?!

– Macie pretensję, Williamie, tylko dlatego, że wówczas byłoby wam oszczędzone pisanie historii wypraw krzyżowych!

– No dobrze – zgodził się William – wracajmy do naszej historii. Bizancjum potrafiło się dogadać z Fatymidami, panującymi w Egipcie, mimo że w ich rękę pozostawało Jeruzalem.

– Słusznie – ciągnąłem dalej – ale potem Cesarstwo Bizantyńskie nękali Seldżucy, którzy występowali ostrzej przeciwko chrześcijanom, przede wszystkim jednak grozili odcięciem

* Patriarcha Bizancjum – najwyższy duchowny dostojnik Kościoła prawosławnego.

Bizancjum od jego posiadłości i kwitnącego handlu w Palestynie. Właśnie to było powodem płacznego, skierowanego do Zachodu „chrześcijańskiego wołania o pomoc”, nie zaś gnębieni pielgrzymi!

– Konstantynopol, wzywając Rzym, przywołał piromana* do gaszenia niewielkiego pożaru. Co z tego wynikło?

– Pożoga wypraw krzyżowych! – odpowiedziałem za niego i przejąłem znów inicjatywę. Zacząłem dyktować dalej:

„Papież jako pomagający brat wobec osłabionego Wschodniego Cesarstwa. Papież jako wybawca Jeruzalem, Seldżycy bowiem odebrali ją Egipcjanom. Papież jako naczelny wódz całego chrześcijaństwa! Nie cesarz! Każdy powinien to zobaczyć i każdy mógł to zobaczyć. Zrządzeniem losu zarówno niemiecki cesarz, jak i francuski król znajdowali się w owym czasie na wygnaniu, nie mogli więc osobiście stanąć na czele krucjaty. Postarano się zatem, aby inni, wystarczająco godni, uczestniczyli w przedsięwzięciu. Od początku grano znacznymi kosztami, ponieważ za plecami Bizancjum i wbrew niemu jako prawowitemu suwerenowi, obiecywano panowanie, feudalne posiadłości i szlacheckie tytuły. Tylko to poruszyło ostatecznie szlacheckich panów, nie zaś żarliwość religijna, tę zachowano dla prostszych umysłów. I tak Anno Domini 1095 zwołano sobór w Clermont, gdzie papież żalił się, zmiękczając i podburzając serca, by wreszcie rzucić hasło «Bóg tak chce» i wybrani kandydaci «spontanicznie» unieśli krzyż”.

– A my – powiedział William ze zdecydowaniem, któremu nic nie mogłem przeciwstawić – my osuszamy teraz dzban najprzedniejszego wina, który chętnie przyniosę z tawerny.

Przerwaliśmy przeto, a mnie naszła wątpliwość, czy dotychczasowe dzieło odpowiada oczekiwaniom pana Ludwika. Chcę przecież jego krucjacie przypisać czyste motywy, ale on nie może żądać ode mnie, sumiennego historyka, żebym organizowane wówczas rozbójnicze wyprawy ogłosił teraz za chwalebne. Wówczas awanturnikami powodowało w głównej mierze pragnienie podboju, wzbogacenia się, a także żądza przygód, zniechęcenie panującym, przyniatającym feudalnym systemem Zachodu i w końcu obietnica odpuszczenia grzechów. Jednak Rzym ze swą doskonałą *propaganda fidei**, pragnął wmówić światu coś przeciwnego. Puszczono w obieg straszliwe baśnie o zhańbionych kapłanach i ołtarzach, w sposób nieodpowiedzialny odmalowywano niższej szlachcie, przeważnie nie posiadającej majątków, jakie zdobycze, prebendy oczekiwały ją w Ziemi Świętej, jakby tam nie było żadnych mieszkańców, żadnej szlachty i żadnej administracji, a przede wszystkim prawa zwierzchnictwa ze strony Bizancjum, nie mówiąc już o Bagdadzie, Damaszku i Kairze. Kogo to nie pociągało dostatecznie, na tego czekało darowanie wszystkich grzechów, a także wszystkich długów, zwłaszcza jeśli wierzycielami byli Żydzi.

William wrócił i pokrzepiliśmy się przed czekającymi nas trudami.

* Piroman – człowiek o chorobliwej żądzy podpalania.

* Propaganda fidei (łac.) – głoszenie wiary.

– Okrzyk z Clermont – mój sekretarz cofnął moje rozważania do miejsca, w którym przerwailiśmy – spowodował wyruszenie pierwszej krucjaty.

– Bynajmniej! – sprostowałem i zacząłem dyktować dalej: „Siew wzeszedł całkiem inaczej, niż oczekiwano i planowano. Arystokracja, po publicznym <<spontanicznym>> złożeniu przyrzeczenia, zostawiła sobie czas na uporządkowanie spraw i wyjaśnienie przyszłych roszczeń majątkowych. Lud, najbiedniejsi z biednych, bezimienni, gnębieni wyrobnicy ze swymi rodzinami, zbiegli opryszkowie, rozłajdaczeni mnisi i inni biedacy, ale także przedstawiciele rycerskiego stanu, drudzy i trzeci co do urodzenia, którym pozostawała tylko profesja kapłana lub rycerza rozbójnika, wyruszyli od razu. Przeciagnęli przez Niemcy, urządzając najstraszliwsze pogromy, jakie dotąd znał Zachód, i jak dzika, niepohamowana fala zalali Bałkany. Najbardziej znanym ich przywódcą był Piotr Pustelnik. Część tych pustoszących kraj podpalaczy i grabieżców zginęła w Bizancjum z rąk policji, większość przeprawiła się przez Bosfor do Azji Mniejszej, gdzie zmasakrowali ją Seldżuci. Wrócili nieliczni, wiele lat później.

Tymczasem A.D. 1096 zgromadzono silne armie. Cztery bloki wojska. Pierwszy prowadził Godfryd z Bouillon, z łaski cesarza ksiązę Dolnej Lotaryngii popadający w coraz większą niełaskę, bez dziedzicznego lenna. Drugi blok uformował Rajmund z Tuluzy...”

– Ach – przerwał mi William – on także od przyszłości nie mógł niczego oczekiwać. Król Francji... nie martwcie się, tego nie napiszę!... pożądał bogatego hrabstwa na południu; było ono też cierniem w oku Kościoła, gdyż zgodnie współżyli tam Arabowie, Żydzi i chrześcijanie, co stanowiło pożywną glebę, na której wkrótce miało wyrosnąć katarskie kacerstwo.

– Rajmund chyba to przeczuwał – zgodziłem się i ciągnąłem dalej:

„Trzeci blok podlegał księciu Normandii, a czwarty tworzyli południowoitalscy Normanowie pod dowództwem Boemunda z Tarentu. Zebrali się wszyscy dopiero w Konstantynopolu, gdzie cesarz zażądał od nich przysięgi lenniczej, nim zdecydował się przeprowadzić ich przez Bosfor. W Azji Mniejszej zadali Seldżukom dotkliwą klęskę, z której korzyść odniosło jednakże Bizancjum. Tak więc poszli dalej. Młodszy brat Godfryda, Baldwin, odłączył się od nich i w głębi kraju utworzył hrabstwo Edessy, dziś już od dawna będące znowu Urfą. Boemund, zdobywszy po długim oblężeniu Antiochię, ogłosił się jej księciem, a hrabia Rajmund wziął dla siebie Trypolis. Godfrydowi z trudem udało się ich nakłonić, by pociągnęli z nim dalej do Jeruzalem. Cel zbrojnej pielgrzymki padł ostatecznie w roku 1099, a rycerze krzyżowi urządzili mieszkańcom krwawą łaźnię, o której jeszcze dziś mówi się ze zgrozą. Godfryd, skromny *advocatus Sancti Sepulchri*^{*}, zmarł rok później, a jego brat Baldwin ogłosił się pierwszym królem Jeruzalem. Taki był koniec pierwszej krucjaty i początek królestwa”.

^{*} *Advocatus Sancti Sepulchri* (łac.) – obrońca Grobu Świętego; Godfryd z Bouillon po zajęciu Jerozolimy nie zgłosił żadnych roszczeń, przyjął tylko ten tytuł.

– Doszliśmy do powstania zakonów rycerskich? – wtrącił się znowu wścibski William.

– Uznania przez Kościół doczekały się dopiero później, ale my możemy wyjść z założenia, że joannici ze swym Szpitalem byli już reprezentowani, a templariusze natychmiast po zdobyciu Jeruzalem pojawili się w stajniach Salomona i po kryjomu zaczęli tam kopać.

– A czego szukali?

– O to musisz spytać Przeorat, skoro ich mentor^{*}, święty Bernard z Clairvaux, już wśród nas nie przebywa.

– A znaleźli to?

– Jeszcze głupsze pytanie! Pisz!

William zaostrzył pióro.

„Królestwo konsolidowało się, zdobywało miasta portowe i budowało zamki. Opanowało całe wybrzeże od Armenii po Gazę. W roku 1144, gdy założycielską generację rycerzy krzyżowych kryła już dawno ziemia, przyszła pierwsza porażka. Sułtan Zengi odbił Edesę. Nastąpiło oburzenie na Zachodzie. W 1147, z inicjatywy świętego Bernarda, rusza druga wyprawa krzyżowa – krucjata królów, Hohenstaufa Konrada III i Kapetynga Ludwika VII, któremu towarzyszy jego młoda małżonka Eleonora z Akwitanii. Ten wysiłek poszedł na marne. Minęło dalszych czterdzieści lat i cała muzułmańska strona od Damaszku po Kair została po raz pierwszy zjednoczona przez sułtana Saladyna. Pobił on chrześcijan w bitwie pod Hattin z tak nieszczęsnym dla nas skutkiem, że w tym samym 1187 roku Jeruzalem wpadło znowu w ręce niewiernych. Jeszcze raz Zachód zebrał wszystkie siły: trzecia krucjata dzięki znakomitym uczestnikom zapowiadała się na świetne przedsięwzięcie, ale sędziwy cesarz Fryderyk I Barbarossa utopił się po drodze w Azji Mniejszej już w roku 1190, a sławny bohater Ryszard Lwie Serce, król Anglii, wdał się w intrygi ze swym kuzynem Filipem II Augustem, królem Francji. Zdobyto jednak Akkę, utrzymano Tyr i Jaffę. Doszło do zawieszenia broni, które gwarantowało nawet swobodny dostęp pielgrzymów do Jeruzalem. W drodze powrotnej Ryszard dostał się do niewoli niemieckiego cesarza, Henryka VI. Cesarz dzięki swemu małżeństwu z Konstancją, spadkobierczynią tronu normañskiego, zapewnił Hohenstaufom rozszerzenie Rzeszy aż po Sycylię. Gigantyczna krucjata, od roku 1196 dokładnie planowana i w dużej mierze sfinansowana z okupu za Ryszarda Lwie Serce, miała powiększyć panowanie Henryka w rejonie Morza Śródziemnego. Jednak w rok potem syn Barbarossy i ojciec dzisiejszego cesarza Fryderyka zmarł niespodziewanie. Wielki zapał dla wypraw krzyżowych teraz, po stu latach, ostygł zupełnie. W Ziemi Świętej ze stolicą w Akce urządzili się panowie feudalni, którzy ułożyli swoje stosunki z muzułmańskimi sąsiadami. Przestano tęsknie wyglądać krzyżowców. Tymczasem w chrześcijańskich miastach portowych italskie morskie republiki ujęły mocno w ręce handel z islamskim zapleczem. Tak więc nowa, czwarta krucjata w roku 1202, przy milczącej aprobachie Rzymu i potężnym nacisku Wenecji, została skierowana przeciwko staremu zaciekłemu wrogowi, Bizancjum. W

* Mentor – tu: mądry doradca.

ciągu następnych dwu lat Konstantynopol został niemiłosiernie splądrowany i uczyniony stolicą Cesarstwa Łacińskiego. Oczekiwane zjednoczenie Kościołów jednakże nie nastąpiło. Upadły ostatnie moralne bariery. Jako <<krucjata>> prowadzono teraz bez zahamowań zaborcze wojny także przeciwko chrześcijanom. Francja, nie tylko z aprobatą, lecz wręcz zachętą Kościoła rzymskiego, sięgnęła po Tuluzę i Langwedocję; była to tak zwana krucjata przeciwko Graalowi, która zaczęła się w roku 1209, a skończyła w 1213 bitwą pod Muret. W tym samym roku w całej Europie dzieci uciekały od rodziców, których postępowanie budziło w nich wstręt i którym już nie dawały wiary, że chcą naprawdę odzyskać Jeruzalem. Ta <<dziecięca krucjata>> skończyła się wkrótce katastrofą dla pełnych entuzjazmu młodych uczestników. Większość zginęła lub została sprzedana w niewolę. Ziemi Świętej nie zobaczyli nigdy. W roku 1220 Kościół sam podjął jeszcze jedną próbę. Historię tego przedsięwzięcia, jego strategię i wynik poleca się szczególnej uwadze Jego Królewskiej Mości. Pod dowództwem papieskiego legata Pelagiusza zaatakowała ona bezpośrednio Egipt. Armia wylądowała w delcie Nilu pod Damietą, którą natychmiast zajęła. Posuwała się skutecznie dalej ku Kairovi aż do Mansury. Potem przyszedł doroczny wylew Nilu, zdobywcy zostali odcięci, zniszczeni, jeśli się nędznie nie potopili”.

– To była klęska – zgodził się ze mną mój sekretarz. – I do tego niepotrzebna.

„Potem Hohenstauf pokazał zdumionemu światu, że zbrojne rozprawy z islamem już się przeżyły. W roku 1228 wyprawił się z niewielkim orszakiem do Jeruzalem, które sobie wcześniej zapewnił przez małżeństwo z dziedziczką królestwa i dzięki zręcznym rokowaniom z sułtanem; wszedł do miasta bez przelania jednej kropli krwi i kazał się tam koronować”.

– Zazdrościli mu tego wszyscy...

– Nic dziwnego, drogi Williamie, pan Fryderyk tak długo odwlekał tę krucjatę, aż papież rzucił na niego klątwę. Jako wyklęty nie mógł jednak...

– ...odnieść żadnego sukcesu!

– Toteż sukces nie był trwały:

„W roku 1244 chrześcijanie utracili miasto całkowicie i na zawsze!”

– Starczy – powiedział mój sekretarz. – Bolał mnie palec i przegub.

– Należałoby jeszcze dorzucić, że następną krucjatą... Która to będzie w kolejności?

– Szósta albo siódma, zależy, jak się przyjmuje...

– ...że następną krucjatą jest nasza. Znajduje się ona bez wątpienia w tym łańcuchu swoich poprzedniczek, a jej *spiritus rector** żywi jeszcze czyste zamiary. Możemy się tylko za niego modlić.

– Amen – powiedział William.

Ponury Beduin obozował przy wejściu do jakiejś grotty. Twarze jego „kobiet” były tak zasłonięte chustami, że nikt nie mógł rozpoznać Rosza, Jezy i Hamona. Ku ubolewaniu

* Spiritus rector (łac.) – duchowy przywódca.

właściciela haremu „kobiety” nie rozpały ognia, aby upiec koźle, które dla nich upolował. Paplały w obcym języku, którego nie rozumiał, tak że pozostała mu tylko rozmowa z małym sufim. Emir Al-Aszraf, również mocno zamaskowany, żartował z niewiastami, a raczej one podśmiewały się z niego, czego jednak nie zauważał.

Pod wieczór wyruszono w drogę. I natychmiast powstał spór między emirem a sufim, którzy mogą najlepiej nie zauważeni dostać się do Homsu. Ze zdenerwowania wywołanego nieoczekiwanym sprzeciwem młody emir zaczął jeszcze bardziej zezować.

– W końcu to ja wyrosłem w tych murach! – zapienił się i jał dowodzić swej znajomości rzeczy: – Naprzeciwko cytadeli leży zniszczony zewnętrzny fort. Stamtąd prowadzi murowany korytarz, przechodzący pod wykutym w skale rowem doprowadzającym wodę. Strop korytarza zawalił się już w czasach mojej młodości, ale z tego przejścia można jeszcze korzystać...

Sufi tylko kręcił głową, co wprawiło emira w jeszcze większą wściekłość.

– Kto nie może zdobyć się na odwagę, ten musi pozostać na zewnątrz!

– My w ogóle tam nie dojdziemy – powiedział sufi.

– Aha! Naturalnie, jeśli dla kogoś wejście po skałach jest zbyt uciążliwe...

– Nie – oznajmił spokojnie sufi – tam ustawiono już katapultę...

– Kto? – spytał Hamo.

– Żołnierze sultana, którzy oblegają miasto...

– Jak to? – Emir omal nie zachłysnął się z oburzenia. – Ostrzeliwują moje miasto, nie zapytawszy mnie najpierw o pozwolenie?

– Oni nie strzelają – wyjaśnił sufi – mają tylko zagłodzić An-Nasira. Szczelny pierścień oblężenia...

– A więc wasz pan sultan wziął stronę prawowitego właściciela! – zawołała Klarion. – To powinno ucieszyć wasze serce!

– Nie znacie mojego wuja – odpowiedział Al-Aszraf – on wykorzystuje każdy najmniejszy zatarg między krewnymi, aby sporne lenno skonfiskować. Muszę się natychmiast porozumieć z An-Nasirem.

– A więc trzeba się jeszcze przedostać przez pierścień oblężenia! – biadała Klarion.

Już za kolejnym zakrętem problem przybrał konkretny kształt – świeżo zwalony cedr zagroził podróżnym drogę. Ucieczka byłaby głupotą. Jechali więc dalej ku strażnikom, którzy siedzieli wokół ogniska na poboczu. Nawet się nie podnieśli.

– Chcemy się dostać do Homsu! – zawołał odważnie Al-Aszraf.

Strażnicy przy ognisku wybuchnęli śmiechem.

– Cały czas prosto! – zawołał jeden z nich. – Stąd niedaleko, pół godziny na piechotę... bo zwierzęta, bukłaki z wodą i wszelki prowiant musicie nam oddać! Zostawimy wam tylko żony...

Zaśmiali się znowu. Al-Aszraf popatrzył pytająco na sufiego. Ten skinął ulegle głową – nie miał przecież ani osła, ani żony. Brodaty Beduin dał znak do zsiadania. Żołnierze nie zadali sobie nawet teraz trudu, aby sprawdzić, co każde z nich zabiera ze sobą. Podróźni zostawili przed powalonym cedrem osły z całym bagażem i zwolnili poganiaczy, ponieważ nie byli już potrzebni. Sufi, brodaty Beduin z trzema młodymi żonami oraz młody Beduin, Al-Aszraf – szczelnie zakryty, aby nie zobaczono zezujących oczu – z dwiema żonami przeszli gęsiego przez pozostawioną w przeszkodzie lukę. Teraz zobaczyli w dolinie miasto otoczone łańcuchem świateł, który tworzyły ogniska oblegającego wojska. Mała grupa milcząco ruszyła w dół ciemną drogą.

– Tuż obok wielkiej bramy – odezwał się sufi – nocą otwarta jest boczna furta dla śmiałków, którzy próbują w ogrodach przed murami zerwać trochę owoców lub znaleźć coś innego do jedzenia. Przeważnie nie wracają.

– Co An-Nasirowi całkiem odpowiada – ocknął się z głębokiej zadumy Al-Aszraf. – Parę zbędnych gąb mniej. Mój biedny Homs!

Emir znów umilkł, a sufi ciągnął dalej:

– Strażnicy są waszymi zwolennikami, podobnie jak wszyscy mieszkańcy miasta.

– Bo czynią odpowiedzialnym za głód i pragnienie An-Nasira i z tęsknotą oczekują mojego powrotu? – spytał Al-Aszraf, spodziewając się potwierdzenia.

Sufi z uśmiechem powstrzymał się od odpowiedzi.

– Pić mi się chce! – stęknęła Jeza, która dotąd zdumiewająco cicho kroczyła u boku Madulajn.

Rosz zataczał się ze zmęczenia, więc sufi wziął go na ręce. Dotarli do wielkiej bramy i stamtąd do chronionej przed atakiem jeźdźców i uderzeniami tarana, wyżej położonej bocznej furty. Zapukali. Nie doczekali się odpowiedzi. Zaczęli wołać. Straże przy bramie udawały głuchych albo spały.

Wtedy Rosz, który przedtem omal się nie zdrzemnął, krzyknął głośno:

– Królewskie dzieci żądają wpuszczenia!

Wysoko w furcie otwarło się okienko i wyglądający na zewnątrz wartownik zdumiał się, zobaczywszy tuż przed sobą zamaskowaną twarzyczkę wciąż jeszcze za kobietę przebranego Rosza, który zawołał:

– W imieniu królewskich dzieci rozkazuję: otwórzcie drzwi!

Teraz za bramą rozległy się głosy i po chwili furtę uchylono na tyle, że jedna osoba mogła się prześlizgnąć. Gdy kobiety, sufi i dzieci byli już w środku, wszedł do swego miasta Al-Aszraf. Nikt nie zwrócił na niego uwagi i sufi gestami próbował go uspokoić, ale zezowaty emir, przepełniony uczuciem tryumfu, zerwał kufię* z twarzy i zawołał z dumą:

– Znów jestem w Homsie!

* Kufia (arab.) – chusta.

Przez długą chwilę wartownicy spoglądali na niego z niedowierzaniem, potem dali upust swemu oburzeniu.

– Al-Aszraf, zdrajca! Tchórz! Przez ciebie cierpimy głód i pragnienie! – rozwścieczeni sięgnęli po miecze. – Poszczyłeś na nas sułtana!

Al-Aszraf jednym susem skoczył do drzwi, przez które chciał się właśnie przecisnąć Hamo i jako ostatni brodaty Beduin. Emir wypchnął ich na zewnątrz i uciekł.

Hamo w żadnym wypadku nie chciał zostać oddzielony od pozostałych i zaczął dziko dobijać się do zamkniętej już furty. Z murów poleciały pierwsze strzały, więc Hamo musiał wraz z emirem zniknąć w ciemnościach.

W ponurym, przez jedną tylko pochodnię oświetlonym pomieszczeniu przy furcie dzieci przytuliły się mocno do kobiet, ale niewiele im to pomogło. Wśród przekleństw z powodu zakłócenia nocnego spoczynku, złorzeczeń pod adresem tchórzliwego Al-Aszrafa i wyrzekań na ogólną biedę związane wszystkich długim łańcuchem i poprowadzono do cytadeli.

Nie zatrzymano tylko sufiego. Strażnicy próbowali go przepędzić, ale on biegł obok orszaku jak bezpański pies.

W zamku zbudzono An-Nasira wiadomością, że jego kuzyn Al-Aszraf próbował zawładnąć miastem, lecz odparto go w bohaterskiej walce, a jego kobiety i szczupły orszak uwięziono. Zwycięscy wartownicy chcieliby teraz wszystkich przed niego przyprowadzić.

An-Nasir rozdrażniony rzucił pantoflem w służącego, który go wyrwał ze snu, i rozkazał kobiety zamknąć w haremie, a mężczyzn wtrącić do więzienia.

Wprawilo to wartowników w zakłopotanie, gdyż nie zatrzymali przecież żadnych mężczyzn. W tym momencie zaspany Mahmud przecisnął się obok strażników haremu i zaczął się z ciekawością przyglądać przybyłym.

Wtedy Rosz ściągnął chustkę z twarzy i zawołał:

– Przybyliśmy cię uwolnić, Mahmudzie!

Wartownicy złapali obu, zadowoleni, że mogą pojmać przynajmniej dwie męskie istoty, ale strażnicy haremu, którym Mahmud był powierzony, zaczęli go bronić. Klarion i Madulajn próbowały przyciągnąć Rosza do siebie. Naczelný łazienik podjął się przeszkodzić An-Nasirovi po raz drugi.

– To są dzieci, panie! Nie możecie przecież...

Poleciał drugi pantofel i rozległo się opryskliwie:

– Kto jeszcze raz mi przeszkodzi, straci głowę! Do lochu z nimi!

Słychać to było aż przy drzwiach haremu.

– Ja także jestem mężczyzną! – zawołała Jeza do ucieszonych wartowników i pozwoliła się odprowadzić wraz z Roszem i Mahmudem.

Sufi chciał pójść za nimi, ale został odepchnięty i ostatecznie przegnany.

Trójkę dzieci poprowadzono stromymi schodami w głąb wykutego w skale korytarza i wpełniono do lochu. Zatrzaśnięto ciężkie kratowe drzwi.

Do Homsu i jego cytadeli powrócił spokój.

Z diariusza Jana ze Joinville

Limassol, 13 maja A.D. 1249

*Chevalers, mult estez guariz
Quant Dieu a vus fait sa clamur
De Turs et des Ajubiz
Ki li wid fait tels deshenors.
Cher a tort und ses fieuz saisiz;
Bien en devums aveir dolur,
Cher la fud Dieu primes servi
E reconnu pur segnur.*

Nadszedł wreszcie czas! Płyniemy do Egiptu! „Spotkać wroga w sercu jego kraju!” – obwieścił właśnie nasz król na wielkiej audiencji dla wszystkich dowódców, książąt i hrabiów, w której wzięli także udział przedstawiciele obu zakonów rycerskich, stojąc zgodnie obok siebie: wielki mistrz templariuszy Wilhelm z Sonnacu i zastępujący wielkiego mistrza joannitów Jan z Ronay. Nieobecny był tylko pan Zygisbert z Öxfeldu, komtur zakonu krzyżackiego. Jemu król powierzył swoją żonę Małgorzatę, żeby bezpiecznie przebywała w Akce, póki jej nie każe przybyć za sobą do Kairu.

Z mojego opracowania na temat idei i historii wypraw krzyżowych pan Ludwik wykorzystał w swojej przemowie oprócz papieskiego *Deus lo vult* jedynie zwrot „o łańcuchu krucjat, w którym i nasza się znajduje”, zresztą w znaczeniu godnego najwyższej pochwały obowiązku. Naszły mnie wątpliwości, czy z naszej pracy przeczytał w ogóle więcej niż początek i koniec.

Żołnierze w porcie śpiewali:

*Ki ore irat od Loovis
Ja mar a'enfern avrat pour,
Char s'alme en iert en pareis
Od les angles nostre Segnor.*

Jako ostatni przybył z Morei pan Wilhelm z Villehardouin, książę Achai, z dwudziestoma czterema statkami i potężnym wojskiem. Książę Burgundii spędził zimę u niego w Sparcie i nakłonił go do przyłączenia się do krucjaty. Razem z nim zgromadziło się w Limassol tak wiele oddziałów, że ich zaopatrzenie na miejscu było niemożliwe, zapasów starczało akurat jeszcze na drogę do Egiptu. Poza tym morale wojska obniżyło się tak dalece, że nie pozostało już nic innego, jak ruszyć do walki. Rzecz nie tylko w tym, że zaginęły męstwo i wiara; bezczynność, która skłania do łajdackiego życia, jak gangrenowaty wrzód prowadzi najpierw do sporów, a potem do ostrych rozpraw.

*Pris est Syon ben le savez,
Dunt cretiens sunt esmaiez,
Les musteirs ars e desertez:
Dieus n'i est mais sacrifiez.
Chevalers, cher vus purpensez,
Vus ki d'armes estes preisez;
A celui voz cors presentez
Ki pur vus fut en cruiz drecez.*

Tak więc dowódcy zapędzili swoje oddziały na sto dwadzieścia dużych i nieprzeliczoną rzeszę małych statków, które Genua i Piza po zawarciu w Akce układu o zawieszeniu broni wysłały do portu i na redę, by wzmocnić istniejącą flotę.

Marynarze stawiali żagle, rozlegał się refren:

*Ki ore irat od Loovis
Ja mar d'enfern avrat...*

Nawet Wenecjanie przystali na to, by swymi statkami przewieźć kilka pożądaných dla nich osobistości wraz z rycerzami, końmi i piechotą. Zakony wykorzystały swoje galery.

Akurat kiedy wszyscy byli już na statkach i czekano jeszcze tylko na króla, nadszedł potężny sztorm i rozproszył flotę.

Sięgnąłem do swoich kart i wyciągnąłem „wisielca”, który mnie zawsze straszyl, ostatecznie całkiem bez podstaw.



„Twoje życie jest w zawieszeniu, w przejściu, w chwili wytchnienia między znaczącymi wydarzeniami. Czas zastanowienia się i przygotowania do nowych doświadczeń. Jeśli przeoczysz tę szansę, twoje wysiłki mogą być daremne”.

Z diariusza Jana ze Joinville

Limassol, 30 maja A.D. 1249

Dziś, w dzień Świętej Trójcy, król Ludwik wypłynął w morze. Z powodu poprzedzającej to niepogody, którą wielu uznało za zły omen, tylko jedna czwarta floty mogła towarzyszyć królewskiemu statkowi flagowemu „Montjoie”, inne musiały płynąć osobno.

Jako docelową miejscowość i punkt zborny podano miasto Damiettę w delcie Nilu, „klucz do Kairu”. Zrezygnowałem z popłynięcia razem ze swym kuzynem Janem na wynajętym przez nas statku, gdyż zaproszony wszedłem ze swymi rycerzami i giermkami na pokład przestronnej galery joannitów; towarzyszył mi również mój sekretarz William z Roebruku i mój kapelan Dean z Manruptu.

We wspaniałej rezydencji w Damaszku sułtan Ajjub przyjmował swego siostrzeńca, wypędzonego emira Homsu. Al-Aszraf nie pojawił się tu dobrowolnie, sułtan w żadnym wypadku nie interweniował w jego sprawie. Po niepomysłnej dla Al-Aszrafa próbie wejścia do miasta, oblegające Homs oddziały ujęły zezowatego emira i odesłały jako więźnia do Damaszku. Ajjub kazał nieszczęśnikowi czekać trzy dni, nim udzielił mu posłuchania.

Al-Aszraf był świadom, że nie ma sensu prosić wuja o oddanie Homsu, i dlatego postanowił zjednać uwagę Ajjuba relacją o królewskich dzieciach. Wypaplał wszystko, co zasłyszał w Masnacie od służby: dzieci są „naturalnymi potomkami Hohenstaufa, jeśli nawet nie z jego własnego nasienia”. Sułtan przychylił ucha, gdyż bardzo poważał cesarza. Al-Aszraf dołożył jeszcze swoje własne odczucia dotyczące niezwykłych dzieci, przy czym puścił wodze fantazji i z Jezy uczynił młodą boginię, a Rosza kreował na przyszłego Aleksandra, zdobywcę świata i księcia pokoju jednocześnie. W kilku zdaniach opowiedział również o szlachetnym pragnieniu, które skłoniło „małych królów” do zwrócenia się nieustraszenie przeciwko An-Nasirowi: była to chęć uwolnienia jakichś mameluckich dzieci, Mahmuda, syna niejakiego Bajbarsa Bundukdari, i siostry tegoż, Szirat.

Sułtan Ajjub wysłuchał całej historii z zadowoleniem, gdyż wiadomość, że syn dowódcy jego pałacowej gwardii jest zakładnikiem, wydała mu się cenna, i odprawił siostrzeńca z nadzieją załatwienia jego sprawy następnego dnia. Tymczasem wysłał spiesznie posłańca do An-Nasira z propozycją układu: zaprzestanie oblężenia Homsu w zamian za wydanie

więźniów. Oczekiwał na odpowiedź, a Al-Aszraf był zwodzony przekładanymi z dnia na dzień obietnicami.

An-Nasir, pan oblężonego Homsu, wobec klęski głodu i braku wody, a przede wszystkim beznadziejności militarnego położenia, opłacając sownie nakłonił naczelnego eunucha haremu w rezydencji sułtana do otrucia swego pana. Ponieważ eunuch nie miał dostępu do jedzenia i picia, wpadł na pomysł, aby miejsce, na którym sułtan zasiadał codziennie do szachów, spryskać wielce trującą substancją. Uzyskał pożądaną skutek, gdyż Ajjub miał zwyczaj wchodzić na matę bosą. Sułtan dostał najpierw straszliwej wysypki, potem zaś doznał paraliżu obu nóg.

Podejrzanie padło na zezowatego Al-Aszrafa. Wprawdzie sułtan nigdy z siostrzeńcem nie grał w szachy, mimo to kazał go wtrącić do więzienia i skłonić torturami do wyznania winy. Jedyne faktem, że tego samego dnia nadeszła odpowiedź z Homsu, uratował Al-Aszrafowi życie, posłaniec bowiem nakazał naczelnemu eunuchowi zatroszczyć się natychmiast o wyzdrowienie sułtana i przywiózł odtrutkę.

Zamiast podsunąć ją Al-Aszrafowi, by ostatecznie obciążyć go zbrodnią, naczelną eunuch chciał sam się zasłużyć i oświadczył, że fiołkę z odtrutką wyrwał uwięzionemu emirowi. Sułtan miał wprawdzie sparaliżowane nogi, ale nie głowę, i pomyślał, że rzadko skrytobójca nosi ze sobą odtrutkę. Wzięto więc na tortury naczelnego eunucha, a skoro mu już niewiele pozostało do obcięcia, wzięto się najpierw za uszy, potem za nos, a w końcu za całą głowę.

W odpowiedzi An-Nasir proponował, że uwolni dzieci Graala i księżniczkę Salentyńską na znak swojej dobrej woli. Spodziewa się, że sułtan ze swej strony zechce zaprzestać oblężenia i potwierdzi jego prawa do Homsu. Na koniec emir obiecywał odesłać do Damaszku małych mameluków.

Sułtan Ajjub, wciąż bardzo chory, chociaż czucie wracało mu powoli do obrzmiałych nóg, był zadowolony z odpowiedzi. Kazał biednego Al-Aszrafa wypuścić z więzienia – i od razu wypędzić z miasta.

An-Nasir nie cierpiał ani głodu, ani pragnienia. Cytadela dysponowała wydajnym źródłem, głęboko w skałach wywierconą studnią; cysterny były napełnione. Ogrody haremu nawadniano codziennie, nawet w więzieniu wody było w nadmiarze. Spływała ze ścian i trójka małych więźniów miała trudności ze znalezieniem w lochu suchego miejsca, gdzie słoma by nie gniła. Dodatkową przykrością były gnieźdzące się tu szczury, lecz dzieci każdemu nadały już imię i karmiły zwierzęta resztkami swoich posiłków, które dobroduszną straż więzienna dostarczała w obfitości.

Klarion, Madulajn i Szirat codziennie przesyłały z haremu przez naczelnego łaźiebника świeże owoce i pieczony drób, tak że zarówno dzieciom, jak i szczurom powodziło się

dobrze. Dzieci ponadto szybko stwierdziły, że odstępy między kratami nie są dla nich za wąskie, i wędrowały z celi do celi ku wielkiemu przerażeniu wartowników, którzy musieli ich szukać. Tylko gruby Mahmud miał z początku trudności, ale po kilku dniach, kiedy Jeza pozwalała mu zjadać tylko połowę porcji, także on potrafił precyzyjnie się między żelaznymi sztabami. W lochach Homsu oprócz dzieci nie było zresztą innych więźniów, ponieważ kilku upartym zwolennikom poprzedniego emira An-Nasir kazał od razu poucinać głowy. Tak więc podziemne królestwo należało wyłącznie do dzieci.

An-Nasir leżał na wielkim, płaskim łożu jak góra mięsa. Jego szerokie wargi zdradzały upodobanie do uciech, starannie przystrzyżona bródka świadczyła o próżności, a skryte za sennymi powiekami przenikliwe oczy ostrzegały, że nie jest głupcem ani kimś przyjemnym w obejściu. An-Nasir był człowiekiem bez skrupułów. Rozwagał propozycję sultana, którego omal nie zabił. Postanowił najpierw przyjrzeć się jeszcze raz więźniom, nim ich za cenę zaniechania oblężenia wyprawi do Damaszku. Dzieci go nie interesowały, ale nie zamierzał wypuścić z haremu kobiet, nie zakosztowawszy ich wdzięków. Nie godziłoby się to z jego wyobrażeniem o sobie jako o nienasyconym kochanku. Klasnął w dłonie.

Sześciu służących pojawiło się w sypialni. Wyciągnął bez słowa ręce i po dwu z każdej strony zaczęło go ciągnąć w górę, podczas gdy jeden przytrzymał mu nogi, ażeby się nie ześlizgnęły. Najsilniejszy, naczelnny łaziebnyk, wsunął się pod władcę z tyłu, napierając plecami na jego plecy, aby ciągnący nie powyrywali mu rąk.

W ten sposób An-Nasir został podniesiony i stał teraz przed łożem w całej swej okazałości, gdy tymczasem służdy ze zgiętymi grzbietami przywarli do podłogi. Był olbrzymem; podciągnął opuszczone szarawary tak wysoko, że jego genitalia zarysowały się wyraźnie i imponująco.

– Przyprawcie mi księżnę Salentyny – sapnął i podszedł do okna, aby już przez rzut oka do leżącego u swoich stóp ogrodu zyskać przedsmak cielesnego zespolenia.

Podniecało go, gdy wybranka kołyszącym się krokiem lub przeciwnie, przemykając bojaźliwie, zbliżała się do schodów, a on miał czas, aby pomyśleć, w jaki sposób się na nią rzuci. Największą przyjemność sprawiały mu zawsze opierające się niewiasty, które służdy musieli siłą wlec przez ogrody. Wtedy grał rolę wybawcy, bił służbę jak szalony wojownik, aby potem drżącą ofiarę wziąć w ramiona, zanieść na łoże i posiąść z kunsztem wielkiego uwodziciela.

Przypomniał sobie młodą mamelucką dziewczynę imieniem Szirat. Była sztywna jak deska, gdy ułożył ją na poduszkach, i znosiła cierpliwie jego pieszczoty, jakby niczego nie czuła. Kiedy nie mógł się już powstrzymać, zaskoczyła go uległością.

– Uważam to za słuszne, że zostanę teraz pozbawiona czci, odrzucałam przecież dotąd każdego mężczyznę – powiedziała i rozwarła uda, aby przyjąć go w siebie. Starał się wyjątkowo, aby jej nie zadać bólu, nie był też chyba należycie podniecony. Pogłaskała go

mile, gdy się wycofał, nie osiągnąwszy wytrysku, i nie płakała wcale, jak to wiele kobiet czyniło.

– Teraz musisz mnie także zabić, An-Nasirze – oznajmiła spokojnie – w przeciwnym razie zabije mnie mój brat. Ciebie także uśmierci, jeśli na znak swojej hańby powię dziecko!

Musiał dziewczynie szczegółowo wyjaśnić, że jego marne osiągnięcie w żaden sposób nie mogło spowodować zapłodnienia.

– Powinienem cię zabić, Szirat, ale z innego powodu – bawił się przez chwilę tą myślą – nie mogę mianowicie znieść żyjącego dowodu tego, że zawiodłem jako mężczyzna!

Wówczas ona się roześmiała i sięgnęła do jego krocza jak doświadczona hurysa.

– A więc zabij mnie tą włócznią, którą ci jeszcze raz podniosę. – I szybko doprowadziła go do tego, że mógł wykazać swoją męskość; wciągnęła w siebie jego członek i nie wypuściła już, póki nie wlał w nią swego nasienia.

Podziwiał odwagę dziewczyny i jej umiejętność uniknięcia ciąży, chociaż często jeszcze Szirat dzieliła jego łoże. Była jedyną kobietą, której łazieny nie przynosił rozkazu, lecz uprzejmą prośbę, by zechciała odwiedzić swego pana. Przychodziła zawsze i miał w niej rozumną przyjaciółkę.

Teraz jego spojrzenie spoczęło na dwu kobietach w ogrodzie, które się wzajemnie przepychały. Nie przyszło mu oczywiście do głowy, że chciały się poświęcić jedna dla drugiej.

Śludzy byli bezradni. Którą z kobiet powinni przyprowadzić do pana, skoro każda stanowczo twierdziła, że właśnie ona jest księżniczką Salentyńską?

An-Nasira korciło przez chwilę, by zmierzyć się jednocześnie z obydwiema, odrzucił jednak tę myśl. Podobne igraszki były możliwe z hurysami, i to zaufanymi, lecz nie z tymi nieobliczalnymi kobietami niewiernych, które w haremie widziały wszystko co najgorsze, ponure więzienie lub jaskinię rozpusty, ale nigdy nie widziały tego, czym był naprawdę: pielęgnowanym miejscem rozkoszy. Najgorsze były damy z Zachodu, które roiły o sercu, gdy chodziło o namiętność i miłość, o sztukę wzajemnego obdarzania się rozkoszą. Były męczące. An-Nasir ciężko westchnął, przeczuwając bliskie kłopoty.

Klarion tymczasem uzyskała przewagę nad Madulajn, bo wpadła na myśl, żeby cisnąć służbie miezek pieniędzy, który nosiła pod suknią. Sam gest, z jakim to uczyniła, a potem odrzuciła głowę do tyłu tak, że włosy jej spłynęły bujną falą na ramiona, podniecił An-Nasira niesłychanie. Zwycięzczyni wchodziła dumnym krokiem po schodach, gdy tymczasem w ogrodzie śludzy odprowadzali do haremu szarpiącą się Madulajn. An-Nasir był niezdecydowany, jak powinien przyjąć lwicę, i uczynił coś, czego nigdy jeszcze nie robił. Wyglądał po prostu dalej przez okno, zwróciwszy się do nadchodzącej plecami, aby dać się zaskoczyć.

Usłyszał, że weszła do pokoju, dobiegł go szelest zdejmowanych sukien i właśnie w chwili gdy cisza obwieszczająca jej nagość stała się dla niego nie do zniesienia, nagle od tyłu

zarzucono mu na oczy chustę i mocno zawiązano. Sięgnął poza siebie, ale złapał pustkę. Teraz Klarion znalazła się przy nim, ściągnęła mu spodnie, które opadły haniebnie na kostki, tak że nie mógł się poruszyć. Poczul palce, które badawczo spoczęły na jego członku, jednak gdy chciał je złapać, prześlizgnęły się na pierś i natychmiast cofnęły. Zdołał wyswobodzić nogi z szarawarów i przy tym niepostrzeżenie uchylić trochę opaskę, tak że przynajmniej zobaczył nogi dziewczyny aż po uda. Przyjął rolę ślepej ofiary, zapędzał jednak Klarion z rozważą do kąta, kołysał swym potężnym cielskiem w obie strony jak zapaśnik, przy czym jego ramiona ciągle wyskakiwały do przodu jak sprężyny. Próbowala jeszcze raz mu umknąć, czołgając się po podłodze, jednak zdradził ją gwałtowny oddech. An-Nasir owinął ręce od tyłu wokół jej bioder, podniósł w górę pośladki, wszedł między jej uda i wsunął w nią swój korzeń. Pozwolił dziewczynie dalej biec na rękach, popychał ją przez pokój. Ryczał przy każdym pchnięciu, ona zaś krzyczała jakby wsadzona na rożen, ale oboje wiedzieli, że czynią to z szalonej żądy. On, który miał już setki kobiet, nie przypominał sobie, żeby przeżył coś podobnie gwałtownego, szalonego, niewyobrażalnego, a dla Klarion, która nigdy jeszcze nie zaznała mężczyzny, było to jak wybuch wulkanu, uderzył w nią strumień rozpalonej lawy... Ten byk nigdy nie powinien pomyśleć, że ona doświadcza zespolenia z mężczyzną po raz pierwszy, to powinno trwać tak dalej, zawsze! Natura jednak osłabiła jej żądzę, jego pchnięcia też stały się powolniejsze, lava popłynęła szerzej. Klarion dysząc dotarła do łoża, rozrzuciła ręce, padła na twarz i czekała, by An-Nasir ją uwolnił, on jednak potrafił paść na wznak na łożu tak zręcznie, że czuła go znowu w sobie, czuła głęboko we wnętrzu swego ciała róg byka, który wydawał się stworzony wyłącznie dla rozkoszy. Rzucala się po łożu jak szalona. Chciała zobaczyć twarz mężczyzny, który wzbudził w niej taką rozkosz, ale An-Nasir naciągnął na siebie adamszkowe prześcieradło. Nie przerywając kołyszącej jazdy, Klarion chwyciła poduszkę i przycisnęła ją do twarzy kochanka, jakby chciała go udusić, wtedy odwrócił się szybko i odwinął z prześcieradła. Popatrzyli na siebie nieprzytomnie, a Klarion przycisnęła usta do jego warg.

– Mój pan i władca! – szepnęła.

An-Nasir naciągnął na nią prześcieradło jak mroczny namiot.

– Nie mówcie teraz nic, księżniczko, w godzinie zmierzchu tylko wieczorny wiatr powinien cieszyć nasze serca, a światło wschodzącego księżyca odświeżać nasze członki.

Uśmiechnęła się do niego promiennie.

– Chce mi się pić.

Emir klasnął w ręce. Na ten znak słudzy przynieśli chłodną wodę różaną. Nie podnosząc oczu postawili karafkę i kubki na tarabezie obok łoża i zniknęli.

– Na górze, w haremie, bardziej mi się podobało – powiedział mały Mahmud, który stracił nieco na wadze, za to coraz lepiej umiał się posługiwać mieszaniną języka okcytańskiego i łaciny.

– Przykro mi – oświadczył Rosz obrażony – że chcieliśmy cię uwolnić. Ale co znaczy harem pełen kobiet...

– Wobec więzienia pełnego szczurów! – roześmiała się Jeza.

Bawili się w „kryjówkę przed katem”. Jedno musiało wejść kamiennymi krętymi schodami na górę aż do ciężkich drzwi, skąd nie można było ogarnąć wzrokiem całego lochu. Pozostała dwójka chowała się tymczasem. Jeśli potem kat, wyliczając głośno najrozmaitsze rodzaje śmierci, nie znalazł ukrytych, sam zostawał skazany na śmierć. Szukać mógł tak długo, jak długo przychodziły mu na myśl nowe kary. Jeśli się powtórzył, także był zgubiony. Wkrótce wyczerpali wszystkie warianty, łącznie z zaszyciem w worku razem z ulubionym szczurem.

– Kiedy An-Nasir przywołuje twoją siostrę... – zaczęła Jeza.

– To moja ciotka – bronił się Mahmud – nawet jeśli ona niechętnie o tym słucha.

– Kiedy więc emir przywołuje do siebie twoją ciotkę Szirat – powtórzyła z uporem Jeza – to co potem z nią robi?

– Grają w szachy – odparł Mahmud. – Później Szirat jest zawsze wyczerpana i musi się natychmiast wykąpać!

– I to, że trzeba się kąpać, uważasz za coś tak szczególnie miłego w haremie?

W tym momencie zazgrzytał klucz w zamku ciężkich drzwi i na schodach rozległy się kroki strażników.

– Z powrotem do haremu! – zawołał któryś z nich.

– Nie pomoże żadna kryjówka! – dodał inny.

Dzieci wypełzły z lochu, zebrały resztki jedzenia z gzymsów, gdzie je przechowywały, i rzuciły przemykającym wokół szczurom.

– Najpierw pójdziecie do łaźni! – oznajmił naczelny łaźiebny, który przybył ze strażnikami. – W tym stanie nie możecie wystąpić przed panem emirem!

Zatkał nos, kiedy dzieci przechodziły obok niego.

Potężny emir An-Nasir leżał na łożu i trzymał w ramionach Klarion.

– Nie mogę was stracić, księżniczko – westchnął.

Klarion przytuliła się mocno do niego.

– Nie chcę was opuszczać! – zawołała i ugryzła go mocno w sutek. – Wypędzacie mnie, aby ratować Homs...

– Sułtan zażądał wyraźnie wydania waszej osoby razem z dziećmi, jakoby królewskim potomstwem.

– Ale sułtan nigdy mnie nie widział – dąsała się Klarion.

Wyraz przebiegłości pojawił się na spoconej twarzy emira.

– Jeśli dzieci was nie zdradzą, moglibyśmy wysłać waszą pokojową...

– Jako hrabinę Salentyń? – Klarion uniosła się na rękach jak kobra. – Nigdy nie pozwolę...

Emir rzucił ją z powrotem na poduszki.

– Czy tytuł znaczy dla was więcej niż ja? – spytał i w jego głosie zabrzmiała ukryta groźba.

Klarion poczuła niebezpieczeństwo i szepnęła:

– Nigdy nie pozwolę... żeby sułtan przeciął więzy naszej miłości. Pozwólcie mi pomówić z dziećmi!

An-Nasir był pod głębokim wrażeniem tej śmiałej wolty swojej księżniczki, której zalety umysłu dorównywały zaletom ciała. Klepnął Klarion w tyłek, aż klasnęło.

– Potworze! – zawołała. W jej oczach pokazały się łzy. – Uczynię przecież wszystko, czego ode mnie zażądacie. Będę waszą niewolnicą, a księżniczka Madulajn pojedzie z dziećmi do Damaszku!

Ojciec i syn, wielki wezyr sułtana Fachr ad-Din i emir Fassr ad-Din Oktaj, jechali konno przez pustynię. Od czasu do czasu umilali sobie monotonną podróż polowaniami z sokołem.

Pierwszą część podróży sędziwy wielki wezyr odbył wokół Synaju aż na skraj Morza Czerwonego. Tam, w Akabie, czekał na niego syn. Teraz przemierzali trudniejszy odcinek drogi: z pominięciem chrześcijańskich zamków po tej stronie Jordanu musieli dotrzeć do Damaszku. Z podróży statkiem przez Morze Śródziemne wezyr zrezygnował, zbyt duże było ryzyko wpadnięcia w ręce płynących z Cypru krzyżowców.

Sułtan Ajjub kazał wezwać swego wezyra, gdy objawy paraliżu stały się tak groźne, że lekarze obawiali się najgorszego. Trzy dni i trzy noce sułtan nie mógł ani się poruszać, ani jeść czy mówić. Potem w dziwnych okolicznościach pojawiła się odtrutka i stan chorego zaczął się poprawiać.

– Kogo podejrzewasz? – spytał wezyr syna bez ogródek. – Twoich przyjaciół asasynów?

– Nie, ojcze – odpowiedział Czerwony Sokół rozdrażniony. – Nie chcą obronności murów Masnatu wystawiać na próbę i nie uczynią nic, żeby właśnie teraz z kimś się mierzyć. Sądzę, że zrobił to An-Nasir, który czuje się w Homsie zagrożony, albo joannici, którzy w ten sposób chcieli wnieść swój wkład w pomyślny przebieg pielgrzymki w imię krzyża...

– Dziwny sposób czczenia Boga – mruknął wielki wezyr – przy czym chrześcijanie już od czasów króla Ryszarda uchylają się od ponownego zdobycia Jeruzalem, którego królami wciąż się jeszcze nazywają! Przeciwnie, budują zamki i porty na naszym wybrzeżu, ponieważ rozwijają handel, a pieniądz jest ich najwyższym bogiem. Znowu tłumnie zjadą do Akki, okolicę uczynią niepewną, pokłócą się o zdobyte posiadłości, a potem odjadą. Ślub spełniony, dzielny chrześcijaninie! – drwił stary.

– Sądzę – powiedział ostrożnie Czerwony Sokół – że tym razem zaatakują nas w Egipcie...

– Nigdy! – zawołał jego ojciec.

– Król Ludwik robił na Cyprze wielką tajemnicę ze swego przedsięwzięcia. Z pewnością ma na oku Kair, gdyż Akka jako cel nie byłaby przecież warta żadnego rozgłosu!

– Nie mogę się z tobą zgodzić, mój synu, cesarz nigdy do tego nie dopuści!

– Wybaczcie mi, ojcze, że się wam sprzeciwię. Wasz przyjaciel i protektor Fryderyk musi wiele dopuścić, odkąd papież ogłosił jego detronizację. Hohenstauf cieszy się, że król francuski nie bierze udziału w tej nikczemnej grze, ale musi pozwolić pobożnemu Ludwikowi skierować krucjatę tam, gdzie król zamierza...

– Wiesz dużo o wierze chrześcijan i ich postępowaniu, mój synu, mógłbyś, być może, osiągnąć więcej w ich świecie, w którym twoje zdolności...

– Nie mówcie dalej, ojcze... – przerwał mu Czerwony Sokół – pod chorągwią proroka nie mniej ludzi dopuszcza się zdrady, popełnia niesprawiedliwości i sieje waśnie, i to w czasie gdy sprawie islamu konieczna jest jedność i chłodna przewaga rozumu!

– Jeśli jesteś przekonany, że cios będzie skierowany nie w nasze serce, lecz w naszą głowę, dlaczego jedziemy tutaj, dlaczego nie jesteśmy w Kairze, gdzie teraz potrzeba rady i czynu...?

– Ponieważ Allah głosem naszego pana sułtana odwołał was stamtąd, gdzie wasze życie było zagrożone, i ponieważ jestem szczęśliwy, panie ojcze, że mogę z wami spędzić te kilka dni...

Jechali dalej w milczeniu, radując się swoim towarzystwem. Ostatni raz polowali wspólnie, gdy Fassr ad-Din Oktaj był jeszcze chłopcem i miał niebawem opuścić ojczyznę. Odebrał wychowanie w Palermo, na dworze cesarza Fryderyka. Chciał uciec stamtąd oburzony, kiedy Hohenstaufa zmuszono do przeprowadzenia krucjaty, ale cesarz go uspokoił zapewnieniem, że nigdy nie splami ręki krwią przyjaciół, i ofiarował mu jego pierwszą *kufas as-sakr*, sokolniczą rękawicę. Potem pasował go na rycerza i ciągle zapewniał, że czyni to także dlatego, aby uczcić jego ojca. Cesarz uważał się za szczęśliwego, że darzy go przyjaźnią tak wielki człowiek jak Fachr ad-Din, a on, Fassr ad-Din Oktaj, powinien być z ojca dumny!

Życie dało im mało wspólnych dni, a teraz Czerwony Sokół był dojrzałym mężczyzną, jego ojciec zaś starcem.

FINIS

LIB. I

LIB.II

I

ŁASKA AJJUBIDÓW

Z diariusza Jana ze Joinville

Damietta, 4 czerwca A.D. 1249

Przed nami Egipt! Miasto nieopodal brzegu, przy ujściu do morza jednej z odnóg Nilu, nazywa się Damietta. Leży przed nami na wyciągnięcie ręki. Postanowiliśmy, że zejdziemy na ląd w najbliższy piątek. Tymczasem jednak wzdłuż całego wybrzeża rozłożyła się armia sultana. Panczerze nieprzyjaciół błyszczą w świetle słońca tak, że aż bolą oczy, uszy napęlnia łoskot, który czynią kotły i rogi. A więc, prawdę mówiąc, nie udało się wroga zaskoczyć, nie spodziewałem się też zresztą pustego wybrzeża jak niektórzy z moich towarzyszy broni.

*Alum conquer Moises,
Ki gist el mund de Sinai;
A Saragins nel laisum mais,
Ne la verge dunt il partid
La Roge mer tut ad un fais,
Quant le grant pople le seguit;
E Pharaon revint après;
El e li suon furent perit.*

Kołysaliśmy się na falach niedaleko brzegu i na sygnał zgromadziliśmy się wokół „Montjoie”, flagowego statku króla.

Pan Ludwik chciał usłyszeć od nas, swoich baronów, co radzimy czynić. Większość opowiadała się za tym, żeby poczekać, aż przyplynie reszta floty, którą sztorm rozproszył przed Cyprem, gdyż do tej pory zebrała się wokół króla najwyżej jedna trzecia naszej siły zbrojnej. Pan Ludwik nie zgodził się z tym poglądem. Jako powód podał, że takie ociąganie się podniesie morale wroga, a co jeszcze ważniejsze Damietta nie dysponuje ani żadnymi zabudowaniami portowymi, ani naturalną zatoką, w której zakotwiczone statki znalazłyby bezpieczne schronienie, tak więc pierwszy sztorm może rozpędzić tych, którzy się dotąd szczęśliwie zebraли.

Zadecydował, że w najbliższy piątek zejdziemy na ląd i zmierzmy się z nieprzyjacielem w walce „aż do naszego zwycięstwa”!

W Homsie odziano dzieci po królewsku i przygotowywano się do przekazania ich sułtanowi. O garderobę Madulajn troszczyła się Klarion z iście siostrzanym oddaniem; An-Nasir pozwolił swojej faworycie sięgnąć szczerze do szkatuły z klejnotami, która mu wpadła w ręce po wzięciu cytadeli.

Madulajn powinna ponad wszelką wątpliwość wyglądać jak księżniczka. Gruby łąziebnik tak długo nacierał ją mocno pachnącymi esencjami, aż wykrzykując radośnie znalazł mieszkankę piżma, mirry, lawendy i róży ze szczyptą dzikiej cytryny i odrobiną jaśminu, która, jak utrzymywał, najlepiej odpowiadała zapachowi jej skóry. Potem osobiście zajął się paznokciami u rąk i nóg Madulajn, podczas gdy najlepszy mistrz fryzjerski umył i uczesał jej włosy oraz wygolił pachy.

Dzieci przyglądały się wszystkiemu zachwycone, póki im, mimo dzikich protestów, nie zaczęto myć głów. Mały Mahmud też kazał sobie umyć głowę. Był smutny, że towarzysze zabaw znowu go opuszczają, Rosz jednak pocieszył malca mówiąc, że wkrótce wyjedzie stąd wraz z ciotką i spotkają się w Damaszku. Potem już wspólnie wybiorą się do Kairu, gdzie czekają jego rodzice. Tylko Szirat stała obok cicha i milcząca.

Już od wielu dni, od kiedy Klarion po raz pierwszy została zaprowadzona do prywatnych apartamentów An-Nasira, pan nie kazał wołać mameluckiej dziewczyny. Szirat nie zazdrościła Klarion szczęścia. Hrabina Salentyny rozkwitła jak róża i korzystała ze swej pozycji w haremie; inne kobiety, prawie wszystkie przejęte od Al-Aszrafa, odczytywały teraz z oczu faworyty każde życzenie.

Mówiono o Szirat, że regularnie grywa z An-Nasirem w szachy. Klarion nigdy jeszcze nie ośmieliła się zapytać swego gwałtownego kochanka, swego Minotaura, o jego stosunek do nieśmiałej mameluckiej księżniczki, ale trawiła ją podejrzliwość.

Szirat, która w chwili odjazdu Madulajn traciła jedyną przyjaciółkę w haremie, stawiała się z każdym dniem cichsza. Ujrzała nagle przed oczyma swój los: zestarzeje się w *bajt an-*

nisa al-masulat * jako zapomniana bezdzietna konkubina. Nie pokocha jej żaden mężczyzna, a brat ją wypędzi. Patrzyła na inne kobiety, które żyły już takim życiem, które każdego nowego dnia marzyły w półśnie o tym, żeby nocą jeszcze je przywołano. Stawały się coraz bardziej smutne i zgorzkniałe. Żywiono je, kąpano i ubierano, były głupie, gadatliwe, próżne i intryganckie, ale nie miały żadnej nadziei, jedynie pewność, że któregoś dnia umrą zapomniane w haremie. Szirat inaczej wyobrażała sobie swoje życie. Miała teraz osiemnaście lat.

Wielki wezyr Fachr ad-Din przybył do Damaszku i natychmiast pospieszył do swego pana, sułtana, aby z nim porozmawiać o sytuacji, o zagrożeniu Egiptu, lecz Ajjub nie chciał w tej chwili o tym mówić.

– Czy przyprowadziliście ze sobą syna? – spytał. – Chcę mu powierzyć pewne zadanie...

Przywołano Czerwonego Sokoła.

– Cesarz, przyjaciel mego ojca, dostojnego Al-Kamila – powiedział sułtan powoli, bo mówienie wciąż sprawiało mu trudność – wyświadczył wam zaszczyt i pasował was na rycerza. Nie mogę sobie wyobrazić nikogo bardziej godnego, nikogo, komu mógłbym bardziej zaufać niż wam.

– I jest on moim synem – wtrącił stary wezyr troszeczkę urażony w swojej dumie.

– Z tego też założenia wyszedłem – uśmiechnął się sułtan. – Chodzi o dwoje królewskich dzieci pochodzących, jak mi powiedziano, właśnie z nasienia wielce przez nas szanowanego cesarza, które wpadły w ręce mojego siostrzeńca An-Nasira z Homsu. Polecicie zaprzestać oblężenia miasta, skoro tylko dzieci zostaną wam przekazane, a do tego jeszcze naturalna córka tegoż cesarza, której nadał tytuł hrabiny Salentyny...

W tym miejscu stary wezyr przerwał mu znowu z pewną dumą.

– Klarion, moja wnuczka!

– Kolejny dowód niezmożonej męskości wielce szanowanego przez nas cesarza! – zauważył sułtan z sarkazmem. – W każdym razie, jeśli nawet sprawa legalności nie wygląda szczególnie dobrze, wszystko to hohenstaufowska krew, a tym samym chętnie przez nas przyjmowany zastaw, aby nakłonić cesarza do interwencji, gdyby ten szalony francuski król miał nam przysporzyć zmartwienia...

– Przysporzy, dostojny Ajjubie! – powiedział śmiało Czerwony Sokół.

– Nie przysporzy! – przerwał mu sułtan. – A gdyby się ośmielił, Allah go pokarze!

Na tym audyencja się skończyła, sułtan był wyczerpany i jeszcze tylko powiedział do wezyra:

– Możecie teraz przygotować pisemne pełnomocnictwa dla waszego syna, oby Allah zechciał mu użyczyć więcej szacunku dla podeszłego wieku, a także pisma do dowódcy

* Bajt an-nisa... (arab.) – dom starych kobiet.

oblężenia Homsu i do mego wstrętnego siostrzeńca! Pojutrze emir Fassr ad-Din Oktaj powinien wyruszyć!

Z diariusza A.E. ze Joinville

Damietta, 5 czerwca A.D. 1249

Należałoby sadzić, że w tak przełomowej chwili pretensje, zazdrość i rywalizacja zostaną zapomniane. Jednak im bardziej zbliżał się termin zejścia na ląd, tym bardziej zażarta walka o pierwsze miejsca rozgorzała w naszej chrześcijańskiej flocie, jakby chodziło o turniej rycerski. Spierano się przede wszystkim o płaskodenne, długie łodzie i wiosłowe galery, gdyż większość naszych żaglowców miała zbyt duże zanurzenie, aby rycerzy w pełnym rynsztunku wraz z ich opancerzonymi rumakami dowieźć dostatecznie blisko brzegu, a do tego jeszcze wystarczającą liczbę towarzyszących im piechurów. My nie mieliśmy długiej łodzi. Król przyrzekł jedną hrabiemu Joinville, ale w ostatniej chwili chciano nam ją zabrać, chociaż już przybiła do naszego statku. Gdy nasi rycerze o tym usłyszeli, zaczęli po prostu skakać z pokładu do łodzi, bezładnie, jeden na drugiego, aż łódź wyraźnie się przechyliła i zaczęła tonąć. Wioślarze opuścili ją w panice i wdrapali się po linach na pokład naszego statku. Mój pan Jan ze Joinville wrzasnął do bosmana pytając, ilu ludzi jego łódź może przewieźć. Bosman odkrzyknął:

– Nie więcej niż dwudziestu rycerzy!

Policzyliśmy szybko – ludzi w łodzi było dużo więcej. Wtedy mój pan zapytał bosmana, czy zgodziłby się posadzić przy wiosłach naszych żołnierzy. Bosman przystał na to, a hrabia Joinville musiał użyć całego autorytetu, aby podzielić swych ludzi na trzy grupy, które miały kolejno przybijać do brzegu. Jeden z rycerzy w tym zamęcie skoczył obok łodzi i jak kamień poszedł na dno, nim mu ktokolwiek mógł pomóc. Ja nie pchałem się, aby wraz z pierwszymi wyjść na ląd, pozostawiłem ten zaszczyt kapelanowi pana Joinville’a, Deanowi z Manruptu. Jestem tutaj nie w celu udzielania duchowej pomocy walczącym oddziałom, lecz by opisać, co się zdarzy. A to mogę zrobić, tylko zachowując życie. Pokiwałem hrabiemu Joinville na pożegnanie, gdy na czele swoich rycerzy kazał wiosłować ku brzegowi, na którym wedle mego szacunku oczekiwało go sześć tysięcy żołnierzy sultana.

*Ki ore irat od Loovis...
Kto tam wyrusza z Ludwikiem
do piekła cwałuje bez trwogi!
Raj jego duszy udziałem,
anieli jej wskażą tam drogi!*

Czerwony Sokół włóczył się bez celu po bazarze w Damaszku. Słowa sułtana napełniły go strachem. Jak mogły dzieci opuścić bezpieczny Masnat i wpaść w ręce akurat An-Nasirowi? Czy nie można już było wcale polegać na asasynach, którym dzieci przekazał? Szczęście, że to jemu zlecono odebranie dzieci, ale co one mają robić tutaj w Damaszku? Będą pionkami w nieuniknionych intrygach domu Ajjuba, złudnym środkiem nacisku na cesarza. Ponieważ Fryderyk, o czym było dobrze wiadomo, miał co innego do roboty.

Nagle na skraju bazaru Czerwony Sokół spostrzegł siedzącego w cieniu drzewa człowieka, który wydał mu się znajomy. Rzucił więc małym kamyczkiem w pień drzewa, wtedy młodzieniec spojrzął w górę. To był Hamo. Co go przygnało do Damaszku? Dlaczego nie przebywał razem z dziećmi? Czerwony Sokół podkradł się od tyłu i spytał szeptem:

– Dlaczego syn hrabiny nie przebywa w Masnacie?

Hamo odwrócił się szybko i rozpoznał go. Usiedli razem. Czerwony Sokół wysłuchał historii o nieudanym „wyzwoleniu Homsu”.

– W głowach dzieci mogą się lęgnąć różne głupie pomysły... – zganił Hamona, który naturalnie przemilczał swoje osobiste powody i ani razu nie wspomniał imienia Szirat – ale wy, Hamonie l’Estrange, jesteście wystarczająco dorośli, aby w podobnym szaleństwie nie brać udziału!

Hamo milczał, ponieważ jego towarzysz miał rację.

– Możecie – powiedział Czerwony Sokół cicho – naprawić swój błąd. Postaram się dla was o szybkiego konia. Pojedziecie do Masnatu... – emir przerwał na chwilę i upewnił się, że nikt nie podsłuchuje. – Ja, po przekazaniu mi dzieci, ruszę w drogę powrotną do Damaszku nie głównym traktem, lecz przez Baalbek. Tam, w ruinach świątyni, niech Crean ze swymi asasynami urządzi zasadzkę. Powinien unikać rozlewu krwi, ale walka musi być na tyle wiarygodna, żebym mógł z pustymi rękoma stanąć przed sułtanem.

– Jeśli przejrzy waszą grę – odezwał się Hamo – byłoby lepiej, żeby asasyni od razu was zasztyletowali!

– Nauczcie się odróżniać grę od działania na serio.

Czerwony Sokół zaprowadził Hamona l’Estrange do handlarza koni umiejącego trzymać język za zębami; wyszukał najlepsze zwierzę, wcisnął też Hamonowi do ręki parę monet i odprawił go.

– Pospieszcie się – napomniął – za dwa dni ruszam w drogę i wtedy wszystko musi być gotowe!

– Nie traktujcie tego tak poważnie, Czerwony Sokole! – zawołał na pożegnanie Hamo. – Przecież to tylko gra!

Z diariusza Jana ze Joinville

Damietta, 5 czerwca A.D. 1249

Zeszliśmy na ląd! Nasi żołnierze jako wioślarze przyłożyli się tak mocno do pracy, że wyprzedziliśmy królewski bączek z „Montjoie”, na którym znajdował się sam król. Gdy ludzie króla zrozumieli, że jesteśmy szybsi od nich, krzyknęli radośnie na naszą cześć i zawołali, że powinniśmy się zebrać przy królewskim proporcu „Saint-Denis”, który jedna z pierwszych łodzi przewiozła na brzeg.

Nie myślałem wcale przejmować się tą wskazówką, przeciwnie, kazałem skierować łódź prosto na sporą gromadę jeźdźców na piaszczystym brzegu. Zaledwie nieprzyjaciele nas spostrzegli, z dzikim wrzaskiem ruszyli do ataku. Mieliśmy jeszcze akurat tyle czasu, żeby zostawiając konie wyskoczyć z łodzi i wbić tarcze ostrymi końcami w piasek, a włócznie nastawić tak, żeby mierzyły ukosem w szyje i brzuchy galopujących koni. Wtedy jeźdźcy zawrócili.

Na lewo od mojego oddziału przybijał teraz do lądu Jan z Ibelinu, hrabia Jaffy, daleki krewny domu Joinville. Pokazał nam wszystkim, jak tutaj należy występować. Wspaniały statek był w całości pomalowany barwami Ibelina: czerwienią i złotem. Trzystu wioślarzy pędziło go naprzód; przy każdym wioślarzu umocowano tarczę, na której widniał herb Ibelina, a nad każdą tarczą powiewał proporczyk z jego barwami. Wydawało się, że galera frunie po morzu. Proporzycyki powiewały na wietrze, kotły grzmiały, rogi grały, kiedy jak sztorm, jak burza z błyskawicami i grzmotami, wdarła się, zgrzytając, wysoko na brzeg. Wrogowie od razu odskoczyli do tyłu, podczas gdy hrabia Jaffy kazał z całym spokojem najpierw rozbić swój namiot. Saraceni udali jeszcze raz, że chcą nas zaatakować, ale gdy zobaczyli, że na nikim nie robi to wrażenia, znowu zawrócili.

Po prawej ręce, oddalona na strzał z łuku, przybiła do brzegu galera z królewskim proporcem. Gdy „Saint-Denis” został zatknięty, jeden z Saracenów albo nie mógł powstrzymać swego konia, albo myślał, że inni pójdą za jego przykładem, w każdym razie pogalopował w stronę chorążych, którzy go rozsiekali na kawałki.



„Bliski jest przełom, wielka zmiana. Dobrze dla tego, kto już uporządkował swoje sprawy! Nic nie może zatrzymać wozu, gdy raz zaczął się toczyć, wprawiają go przecież w ruch cztery Sfinksy”.

Mój William, który przybył trzecią łodzią i przywiózł mi nieporęczny długi miecz, wziął swego pierwszego jeńca. Saracen, którego zrzucił spłoszony koń, poleciał Williamowi prosto pod nogi, tak że ten musiał mu tylko przystawić do gardła koniec potężnego żelaza. Mój dzielny sekretarz uczynił jedyną rzecz rozsądną, ryknął na leżącego na plecach jak chrząszcz wojownika:

– Gdzie jest wasz sułtan?

Wyszło wtedy na jaw, dość niechętnie i dlatego też bez upiększeń, że Ajjubowi już trzykrotnie przesłano wiadomość za pośrednictwem gołębi, ale nie otrzymano odpowiedzi. Pozbawiona dowództwa armia czuła się zdradzona i sprzedana. Po otrzymaniu tej interesującej nowiny William, ku bezgranicznemu zdumieniu jeńca, pozwolił mu poczołgać się na czworakach do wierzchowca, który niedaleko spokojnie skubał na wydmach trawę, i uciec.

O zmierzchu nad ogrodami rozległych terenów pałacowych Damaszku przeleciał gołąb, bijąc ciężko skrzydłami. Zaledwie znalazł otwór w wysoko umieszczonym *bajt al-hamam*, gołębniku, gdy od razu wewnątrz otworzyła się kłapa i jakaś ręka ściągnęła z nogi ptaka pierścień z wiadomością. Skąpą wieść zaniesiono do kancelarii wielkiego wezyra, któremu przedstawił ją tajny szambelan.

Fachr ad-Din rzucił okiem na zwitek i kazał się natychmiast meldować u sułtana. Nie wdając się w długie rozważania wstępne, powiedział zatroskany:

– Wylądowali pod Dumjat!*

Ajjub był wstrząśnięty.

– Możemy utrzymać miasto?

– Jeszcze jest w naszych rękach!

– Czy wasz syn już odjechał?

Wielki wezyr potrząsnął przecząco głową.

– Przywołajcie go do siebie! Musi natychmiast pojechać na północ, do Diyarbakir*, aby nakłonić mego pierworodnego, Turanszaha, do porzucenia słodkiego życia w Dżazirze i zastąpienia mnie tutaj, w stolicy Syrii. Wiem, że to długa i uciążliwa droga, ale...

– Nie możecie w waszym stanie ruszać do Egiptu...

* Dumjat (arab.) – Damietta.

* Diyarbakir – stolica Dżaziry, terytorium w północno-wschodniej Syrii (dziś południowa Turcja), położonego między Eufratem a Tygrysem.

– Muszę! Ty też, mój stary przyjacielu i posiwiaily w służbie drogi doradco, mimo swych lat musisz narzucić jeszcze raz płaszcz wodza i szybkim marszem poprowadzić moje wojsko z powrotem do Egiptu. Kair jest zagrożony. Nakażcie Bajbarsowi, aby zagroził chrześcijanom drogę, póki nie przybędziecie, nawet gdyby to miało kosztować utratę Dumjat!

– A co z dziećmi cesarza? – Wezyr wiedział, że nie odgrywają już żadnej roli, ale chciał usłyszeć potwierdzenie z ust sułtana.

– Powinien je przejąć dowódca oblężenia i tutaj odesłać. Niech Turanszah zadecyduje o ich losie. Idźcie teraz i przygotujcie się do wymarszu tutejszego garnizonu jeszcze tej nocy! Przejmujecie naczelne dowództwo. Ja ruszę waszym śladem z oddziałami spod Homsu. *Allah jahmina!**

Ojciec i syn uścisnęli się mocno. Czerwony Sokół był już gotów do drogi na czele niewielkiej eskorty wybranych Beduinów i synów kilku emirów kraju, który mieli teraz przebyć forsowną jazdą. Diyarbakir leżał daleko na północny wschód od Aleppo, właściwej siedziby An-Nasira.

– Trzeba, mój synu, wykorzystać dogodną sposobność, że gruby emir przebywa jeszcze w Homsie i, być może, nie dowiedział się dotąd o najeździe na Egipt. Gdy się dowie, podejmie wszelkie środki, żeby Turanszahowi, spadkobiercy Ajjuba, przeciąć drogę i trzymać go z daleka od Damaszku. Grubas sam zerka w kierunku tronu, w kuzynie widzi rywala, i to słabego. – Fachr ad-Din zastanawiał się chwilę, nim powiedział: – Trudnym problemem będzie przekonanie sułtańskiego syna o powadze sytuacji. Tak jak An-Nasir pożąda władzy, tak Turanszah boi się odpowiedzialności rządu i chętniej poświęca czas sztukom pięknym oraz towarzystwu licznych przyjaciół w swoich letnich zamkach w Mardinie*.

– Wiem – przytaknął Czerwony Sokół – lubi wygodne życie i nie uchodzi za wielkiego wojownika.

– Ku ogromnemu zmartwieniu Ajjuba – mruknął wielki wezyr. – Radziłbym ci polectać próżność Turanszaha, jeśli chcesz go skłonić, aby zaraz przybył do Damaszku.

Takie rady Fachr ad-Din dał synowi na drogę.

– Chciałbym, panie ojcze, zająć wasze miejsce i zamiast was ruszyć na wroga. Martwię się o was!

– *Masiruna bi-jadi Allah al-Kadir*, nasz los spoczywa w ręku Wszechmocnego. Jeśli zechce mnie do siebie powołać, czyż nie powinienem iść za jego głosem?

– *In sha Allah!* – powiedział Czerwony Sokół i dał znak do wyruszenia.

Jeszcze tej samej nocy stacjonujące w Damaszku wojsko wyruszyło ku południowi. W lektyce niesiono sędziwego wielkiego wezyna. Ponieważ armia była dostatecznie silna, by

* Allah jahmina! (arab.) – Allahu, ochraniaj nas!

* Mardin – miasto i twierdza w Dżazirze.

złamać wszelki opór, Fachr ad-Din wysłał przodem posłańców, którzy mieli zapowiedzieć chrześcijanom z Królestwa Jerozolimskiego przemarsz i polecić im, by pozostali w swoich zamkach.

Po podjęciu tych środków, które miały zapobiec bezsensownym utarczkom, wezyr wybrał najkrótszą drogę obok murów Jeruzalem, opuszczonej stolicy, która królestwu chrześcijan wciąż jeszcze używała swego imienia.

W pospiesznej jeździe na północ Hamo ominął pierścień oblężenia Homsu od zachodu. Kierował się ku Masnatowi, gdy usłyszał za sobą tętent i dojrzał samotnego jeźdźca. Ponieważ nie miał przy sobie nic, co mogłoby budzić podejrzenie, a do tego jego koń był mocno utrudzony, pozwolił się jeźdźcowi dogonić. Był to Oliwer z Termes. Wyruszył, aby przez ponowną wizytę w Masnacie podkreślić zainteresowanie joannitów dziećmi, jak dotąd bowiem asasyni nie odezwali się w tej sprawie.

Mieli więc obaj, jak się bardzo szybko okazało, ten sam cel podróży, a gdy Hamo wymienił swoje nazwisko, Oliwerowi wymknęło się mimo woli:

– Ach, syn hrabiny Otranto!

Hamo przełknął to jakoś, choć zawsze irytowały go takie stwierdzenia.

Potem Oliwer skierował rozmowę na dzieci, a skoro znał również Williama, a nawet, jeszcze z Langwedocji, Creana, Hamo nabrał zaufania do obcego rycerza, zwłaszcza że Oliwer mówił o „dzieciach Graala” z najwyższym szacunkiem.

– Ci mali królowie – powiedział – należą do Zachodu, który ich pilnie potrzebuje. Nie mogę pojąć, dlaczego szczęście nam odebrane ma wyjść na korzyść poganom.

Hamo l’Estrange uznał to rozumowanie za słuszne. Sam nie był wprawdzie wychowany po chrześcijańsku, matka trzymała zawsze klechów z daleka od zamku Otranto, ale młody hrabia czuł się całkowicie przynależny do Zachodu, jeśli nawet dotąd odrzucał myśl, by zostać „chrześcijańskim rycerzem”.

– Crean z Bourivanu – mówił dalej Oliwer – jest podobnie jak ja człowiekiem, którego *ecclesia catholica* okrutnie pozbawiła majątku i najbliższych. Mnie mordercy i podpalacze spod znaku krzyża zabili ojca i zrabowali dziedzictwo, jemu udusili młodą małżonkę, a jego samego jako *faidit** wypędzili z ojczyzny. A przecież teraz jako konwertyta, asasyn, nie postępuje słusznie, chcąc wydać dzieci siłom Wschodu! W końcu są one jedynym żywym symbolem Zachodu, nie odwołującym się do deprymującego znaku śmierci na krzyżu, lecz do zmartwychwstałego Chrystusa.

* Faidit (fr. od słowa *faiditus* ze średn. łaciny ludowej) – wyjęty spod prawa, wygnany z kraju, wyklęty. Termin ten odnosił się przede wszystkim do katarów, wypędzonych z kraju, wywłaszczonych, prześladowanych przez Francuzów i Kościół.

– *Ex oriente crux!** – powiedział Hamo, ponieważ nic bardziej odpowiedniego nie przyszło mu do głowy. – Zachód nie przyjął *sang réal*, królewskiej krwi, krwi Świętego Graala, lecz zażarcie ją prześladował, dzieci wypędził. Znalazły bezpieczne schronienie dopiero w cesarskim Otranto, a teraz u asasynów, u których jednak...

Hamo się zająknął, po prostu zaplątał.

– Tutaj na Wschodzie wszyscy rwą się do tego, aby je chronić!

– Aby je mieć w rękę! – zawołał Oliwer, którego uwagi nie uszła niepewność Hamona. – Czy więc nie przebywają już w Masnacie?

Zapytał jakby mimochodem i Hamo nie widział nic złego w tym, by obcego rycerza we wszystko wtajemniczyć. Opowiedział mu, starając się przy tym przedstawić swoją rolę w nieco lepszym świetle, o „zdobyciu Homsu” i o tym, że sułtan odstępuje od oblężenia, aby królewskie dzieci sprowadzić do Damaszku.

– Dzieci w rękach władcy wszystkich niewiernych?! – wykrzyknął oburzony Oliwer. – Musimy temu przeszkodzić! Im należy się tron Jeruzalem, tron chrześcijańskiego królestwa, by zmartwychwstało w dawnej świetności. To spodoba się także waszemu cesarzowi, któremu ten tron przysługuje, gdyż dzieci są przecież z jego krwi! Nie mogą się jednak dostać w ręce Ajjubidów, nigdy!

Oliwer z Termes był wymownym człowiekiem. W krótkim czasie Hamo dał się przekonać, że w swoich rękach trzyma losy świata. Nie dojechał do Masnatu. Oliwer bez trudu wytłumaczył mu, że „zasadzkę w Baalbeku” lepiej powierzyć nie asasynom, lecz joannitom, przy czym oczywiście Czerwonemu Sokołowi włos nie może spaść z głowy.

Zawrócili konie i popędzili galopem z powrotem ku *Kalat al-Husn*, jak tubylcy nazywali Krak des Chevaliers, aby stamtąd natychmiast wysłać oddział rycerzy do świątyni w Baalbeku. Oliwer z Termes sam przejął odpowiedzialność za pełne umiaru przeprowadzenie napadu. Hamo odmówił udania się wraz z nim do zamku joannitów. Nie mógłby już Czerwonemu Sokołowi pokazać się na oczy. Dręczony wyrzutami sumienia ruszył dalej.

Dzień później poseł sułtana, emir Fassr ad-Din Oktaj, przejeżdżał wraz ze swym orszakiem przez góry Noisiri. Ponieważ w drodze na północ tak czy tak z powodu An-Nasira musiał ominąć Homs, wybrał drogę przez Masnat. Był niezadowolony, że nie powierzył misji powiadomienia asasynów komu innemu, tylko temu lekkoduchowi Hamonowi, ale w Damaszku nie miał zaufanych ludzi, nie istniało też zwierciadło do przekazania wiadomości asasynom. Nie powinien robić sobie wyrzutów. Gdy go wpuszczono do Masnatu, wyczuł natychmiast panujący tam nastrój przygnębienia. Utrata dzieci wisiała jak żałobny welon nad surowymi murami.

– Czy Hamo był tutaj? – spytał zatroskanego Creana zaraz przy bramie.

* *Ex oriente crux!* (łac.) – Ze Wschodu (przychodzi) krzyż! Żartobliwie przekształcenie hasła: *Ex oriente lux!* (ze Wschodu «przychodzi» światło!).

Crean w milczeniu potrząsnął głową.

– To zresztą niczego by nie zmieniło – powiedział Czerwony Sokół – dzieci są już i tak poza naszym zasięgiem.

Crean chciał się dowiedzieć więcej, ale emir nalegał na rozmowę z kanclerzem Tarikiem ibn-Nasirem.

– Miałem nadzieję – wyznał Tarikowi – że mogę przeciwstawić się losowi, lecz Allah chciał inaczej. – I krótko zrelacjonował to, czego się dowiedział od Hamona i jaki był jego własny plan. – Że też francuski król poprowadził krucjatę przeciwko Egiptowi! – mruknął. – Allah nas karze!

– Nie – odparł Tarik, wciąż jeszcze niezdrów. – Allah pokarze chrześcijan i nawet jeśli dzieci zostaną teraz przewiezione do Damaszku, nie są dla nas stracone!

– Pozwólcie mi działać! – zawołał Crean.

– Nie – powiedział Tarik ostro – oddział śmierci, na który oczekujesz z tęsknotą, musi zawsze mieć sens lub przynajmniej widoki na powodzenie. Aczkolwiek rozumiem, że chcesz poświęcić swoje życie, nikt nie wyprowadzi teraz dzieci siłą ze środka sułtańskich wojsk. Nie, zawiniliśmy przez lekkomyślność, i nie możemy tego odwrócić na naszą korzyść ofiarą gorącej krwi, tylko wyrozumowanym, zimnym fortelem. Koło losu obraca się nieprzerwanie!

Czerwony Sokół i jego orszak odpoczęli krótko i ruszyli dalej na północ. Crean eskortował ich przez jakiś czas.

– Nie wytrzymuję w tych murach – zwierzył się towarzyszowi z dawnych dni – dzień i noc robię sobie wyrzuty. Jan, mój stary ojciec, z tego samego powodu opuścił znowu Masnat i z pewnością błądzi dookoła w poszukiwaniu dzieci; nie zazna spokoju, jeśli ich nie ocali!

– Zachowajcie chłodną głowę – poradził mu emir – i nie potwierdzajcie przekonania, że konwertyci zawsze przesadzają w swej gorliwości! *Awwalan salli bi-as-salam, li-kaj jastadziba Allah* *.

– *Szukran lakum, As-Sakr al-Ahmar* *. Jesteście prawdziwym przyjacielem i prawdopodobnie bardziej przydatny dzieciom niż ja.

Z tymi słowami Crean pożegnał się i popędził z powrotem. Pasował się ze sobą, niezdolny, aby przyznać, że w walce o dzieci przegrał przynajmniej tę bitwę. Wstrętem napawała go myśl o powrocie do Masnatu i trwaniu tam w beczynności, kiedy tak uchwytnie bliskie były widoki na odzyskanie dzieci.

Droga się rozwidlała. Zamiast pojechać do Masnatu, skierował się do Homsu.

Z grzbietu górskiego zobaczył, jak wojsko sułtana odchodzi spod miasta i w samym środku prowadzi ze sobą lektykę otoczoną przez oddział liczący stu żołnierzy. Tam musiały być dzieci. Obok lektyki jechała na wierzchowcu wspaniale ubrana dama, prawdopodobnie Klarion, po której można było oczekiwać, że chętnie będzie się wystawiać na pożądlive

* *Awwalan salli...* (arab.) – znajdziecie dopiero teraz spokój w modlitwie i Allah was wysłucha.

* *Szukran lakum...* (arab.) – dziękuję wam, Czerwony Sokole.

spojrzenia mężczyzn. Tarik ibn-Nasir miał rację. Atak na to wojsko przyniósłby tylko śmierć. Crean postanowił poprosić kanclerza, by pozwolił mu spędzić jakiś czas w samotności. Przez zatopienie się w modlitwie znowu odnajdzie Boga i siebie.

*Jestem tym, którego kocham,
i tym, którego kocham, jestem.
Dwa duchy, mieszkające w jednym ciele.
Gdy widzisz mnie, to widzisz jego, i
gdy widzisz jego, to widzisz mnie **

Ukryty za kolumnami i ułamkami gzymsów antycznego miasta słońca, za ruinami świątyń Baalbeku, czatował regiment joannitów pod dowództwem konetabla Jana Łukasza z Granson. Wyruszył jeszcze tej samej nocy, kiedy otrzymano wiadomość od Oliwera z Termes, i jechał tutaj bez postojów. Teraz czekał już dwa dni i konetabl rozgniewany zwrócił się do Oliwera:

– Wydaje się, że na waszych przyjaciółkach nie można polegać – warknął.

Także Oliwer był rozczarowany.

– Mogę tylko powtórzyć, co opowiedział syn hrabiny – bronił się – być może...

– Być może, należałoby temu Hamonowi l’Estrange porządnie natrzeć uszu! – Konetabl, pomny własnych dotychczasowych sukcesów w polowaniu na dzieci, zirytowany mruknął, ale tak żeby rycerz nie mógł tego usłyszeć: – Przekłete bachory!

Jan Łukasz z Granson nie zabierał głosu na ten temat, odkąd dowiedział się, jaką wagę zwierzchność jego zakonu przykładła nagle do tych dzieci. Otarł pot z czoła i popatrzył ponad białym marmurem najpierw na błękitne niebo, a potem znowu na pustą drogę, na której coraz bardziej niknąca nadzieja mogła się raptem wyłonić z obłoku kurzu.

Od powracającego do Homsu oddziału, który przekazał dowódcy oblegających wojsk Madulajn jako „księżniczkę Salentyńską” oraz Jeżę i Rosza, królewskie dzieci, An-Nasir dowiedział się o wydarzeniach w Egipcie. Rozzłościł się straszliwie, gdyż nagle stało się dla niego jasne, że Ajjub tak czy tak musiałby przerwać oblężenie, ponieważ teraz gdzie indziej pilnie potrzebował wojska. Całkiem więc niepotrzebnie wydał mu zakładników! A jeszcze zgodnie z układem powinien teraz odesłać mameluckie dzieci.

– To nie wchodzi w rachubę! – ryknął i kazał natychmiast przywołać Szirat.

Syn dowódcy gwardii w Kairze, zatem teraz prawdopodobnie głównodowodzącego wojsk stacjonujących w delcie Nilu, mógł być jeszcze cennym argumentem przetargowym w zmaganiu sił i nagłej próżni, jaka powstała w Syrii. An-Nasir postanowił udowodnić

* Jestem tym, którego kocham... – tekst Abu Mansura al-Halladż, islamskiego mistyka z Iranu, ur. w 857 r.; w r. 922 został skazany, powieszony i spalony.

Ajjubowi, że jest w stanie dokonać znacznie więcej, niż tylko wbrew jego woli przywłaszczyć sobie Homs.

Zjawiała się Szirat.

– Od kiedy to mój władca każe mnie wzywać do siebie?

Przyklękła szybko, gdyż zauważyła jego zły humor. Zaraz też zagrzemiał:

– Odkąd usłyszałem, moja gołąbeczko, że odwiedzasz mnie, żeby grać ze mną w szachy!

Szirat milczała zmieszana.

– Co innego mogłabym powiedzieć Mahmudowi? – spytała zbита z tropu.

An-Nasir roześmiał się grubiańsko.

– No więc grajmy! Jaka jest twoja stawka?

Milczała przez chwilę.

– Moją stawką mogę być tylko ja sama.

– Słusznie – przyznał An-Nasir. – Jestem gotów zagrać z tobą o twoją wolność lub twoje życie!

– Moje życie tak czy tak należy do was, panie...

– A uwolnienie ciebie jest teraz niemożliwe. Chrześcijańskie psy napadły na Kair, sułtan opuszcza Damaszek, twój brat staje się ważną figurą w walce o tron. Jego syn pozostanie w moim ręku!

Myślał, że Szirat załamie się i zacznie płakać, ale ona powiedziała tylko:

– A ja? Proszę tylko o jedno. Nie wypędzajcie mnie! – Ośmieliła się podnieść wzrok. – W ciężkich czasach moje miejsce jest przy waszym boku, dostojny władco, kiedy tylko każecie mnie przywołać!

Podniósł ją w górę jak piórko, pocałował w czoło i rzekł:

– Wygrałaś także tę partię. Możesz odejść!

Gdy Szirat wróciła do haremu i zastanawiała się, co powinna powiedzieć Mahmudowi, usłyszała, jak Klarion fuka na łaziebnego.

– Dlaczego mnie nie zawołał? – Spozregła Szirat i natarła na nią. – Czy znowu grałaś w szachy? – zakpiła. – Myślisz, że wygrałaś?

– Oczywiście – odparła Szirat – ale to nie ma dla mnie znaczenia.

Nie troszcząc się więcej o tryskającą złością Klarion, objęła Mahmuda ramieniem.

– Nie będziesz mógł teraz spotkać się ze swymi przyjaciółmi w Damaszku ani zobaczyć ojca. Wybuchła wojna, chrześcijańskie wojska wylądowały w Egipcie.

Mahmud walczył ze łzami.

– Allah ich pokarze – powiedział i dodał dzielnie, przełykając łzy: – Długo to przecież nie może potrwać, mój ojciec zniszczy najeźdźców ze szczętem!

Klarion zostawiła ich samych. Była zbyt dumna, by prosić Szirat o wybaczenie. Nie powinna wysyłać z dziećmi Madulajn, ale czyż miała wybór? Brakowało jej teraz bardzo tej bezczelnej, lecz mądrej Saracenki.

W Damaszku sułtan Ajjub przygotowywał się do wyjazdu. Jego żołnierze wkraczali właśnie do miasta przy wtórze kotłów i rogów, jakby pod Homsem odnieśli wielkie zwycięstwo. Pierwszy szambelan Abu Al-Amlak wyglądał przez okno. Był karłem i korzystał przy wyglądaniu ze składanej drabiny. Teraz zawołał do sułtana:

– Przeprowadzono księżniczkę i dzieci!

– Odeślij ich do haremu, nie mam teraz ochoty marnować czasu na powitania.

Ale Abu Al-Amlak lubił ceremonie i podobali mu się Rosz i Jeza, którzy teraz jak drogocenne lalki, wspaniale ubrane, mieli być wyjęci z lektyki... nie, oni po prostu wyskoczyli! Jeśli Abu Al-Amlakowi podobało się coś jeszcze bardziej niż uroczysty ceremoniał, to gesty, które ten ceremoniał wywracały do góry nogami. Serce podskoczyło mu więc z uciechy i ani myślał zatrzymywać dzieci. A one, wbrew wszelkiemu protokołowi, popędziły obok straży po schodach na górę do małej sali, w której sułtan siedział przy stole i sygnetem wyciskał pieczęcie na ostatnich dekretach.

Ponieważ Ajjub był już ubrany do podróży i nie odrywał wzroku od swej pracy, Abu Al-Amlak zaś zawsze przez bogate stroje podkreślał swoje znaczące stanowisko, Rosz skierował słowa powitania do karła na drabinie:

– Dostojny sułtanie, władco wszystkich wiernych...

Abu Al-Amlak zaczął stroić miny i machając rękoma wskazał człowieka przy stole. Jeza ledwie powstrzymała napad śmiechu. Rosz odwrócił się zręcznie, padł na kolana i zawołał szybko:

– Królewskie dzieci klęczą przed tobą, wielki sułtanie!

Podkreślił mocno słowo „wielki”, aby przejednać srogo wyglądającego mężczyznę za stołem. Sułtan podniósł wzrok i z roztargnieniem przyglądał się dzieciom, co sprawiło, że także Jeza rzuciła się plackiem na podłogę i zawołała:

– Nasze życie jest w twoich rękach!

Ajjub zwrócił się zagniewany do szambelana:

– Powiedz im, proszę, żeby wstali. Wiem, co jestem winien swemu dostojnemu przyjacielowi, cesarzowi.

Z tymi słowami zamierzał wrócić do przerwanej czynności. Jednak zaledwie Rosz znalazł się na nogach, podszedł bliżej, zafascynowany obserwował rozgrzewanie laku i wyciskanie pieczęci. Sułtan z uśmiechem zauważył zainteresowanie chłopca, który teraz nieśmiało zapytał:

– Czy to jest rządzenie?

Ajjub zdumiał się i po chwili odparł:

– To jest ostatni akt rządzenia, przedtem odbywa się właściwa praca: rozważenie sprawy i podjęcie decyzji. Pieczętowanie jest wypoczynkiem!

Ulegając kapryswi, ściągnął sygnet z palca i wręczył Roszowi. Chłopiec był tak zmieszany, że omal nie zapomniał podziękować. Jeza szturchnęła go i zdążył jeszcze wtrącić do swego pytania słowa wdzięczności:

– A co mogę, serdeczne dzięki, teraz z tym zrobić?

– Możesz wydawać prawa, ściągać podatki, przyjmować posłów, złoczyńców skazywać na śmierć bądź ułaskawiać.

– Każdego?

– Każdy dokument, przyjmąwszy, że Abu Al-Amlak ci go przedłoży, staje się dzięki tej pieczęci prawem, mój mały sułtanie.

– A ja? – spytała Jeza. – Co ja mogę robić?

– Jak długo żyje sułtan – powiedział Ajjub rozbawiony jej oburzeniem – sułtance pozostaje tylko funkcja doradczą!

– A potem?

– Potem doradza jego synom!

Jeza zamilkła, co rzadko się zdarzało. Sułtan kazał podać sobie otwartą szkatułę i wybrał z niej sygnet szczególnie pięknej roboty z subtelnie oszlifowanym diamentem. Wsunął go Jezie na palec.

– Kobiety panują nad mężczyznami – rzekł starając się ją udobruchać – dzięki swemu wdziękowi, urodzie i mądrości. Bezpośrednie sprawowanie władzy czyni je szpetnymi.

Jeza była dostatecznie mądra, aby się nie sprzeciwiać.

– Muszę teraz wyruszyć w podróż – powiedział sułtan, żegnając dzieci. – Zastąpcie mnie tutaj, póki nie przybędzie mój syn Turanszah. Abu Al-Amlak robi wszystko, abyście się dobrze czuli. Żałuję, że nie mogę sam być gospodarzem.

Rosz pocałował sułtana w rękę, Jeza natomiast podbiegła do niego, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała w policzek. Potem dzieci popędziły schodami na dół.

– Powinniśmy pozwolić dzieciom rządzić tym światem – powiedział sułtan do szambelana – potrafiłyby to robić nie gorzej niż my...

W promieniach zachodzącego słońca mieszkańcom Damietty ukazał się imponujący widok. Jak okiem sięgnąć, morze było pokryte statkami. Żaglowce o głębszym zanurzeniu jeszcze ściągały żagle, zwinne długie łodzie przewoziły wciąż na brzeg nowe gromady rycerzy i koni. Już wzdłuż wybrzeża wznosiły się namioty i rozpalano pierwsze ogniska.

Muzułmańscy mieszkańcy Dumjat, jak nazywało się miasto po arabsku, patrzyli na to z trwogą, zwłaszcza że ich wojsko znajdowało się co prawda jeszcze przed murami i z wielką wrzawą ruszało także do ataku, ale szybko zawracało, gdy tylko chrześcijańscy jeźdźcy okazywali najmniejszy opór. Dudnienie kotłów oraz wycie rogów szarpało ludziom nerwy w wąskich uliczkach *madina** i w ścisku bazaru. Dla tych, co mieli dojsze do murów i wież lub

* Madina (arab.) – zamieszkane przez tubylców stare miasto.

też z dachów swych wysokich domów mogli na własne oczy obserwować przebieg wydarzeń, stało się jasne, że miasto jest stracone. Ze zgrozą przypominali sobie srożenie się krzyżowców przed trzydziestu laty. Ogarnęła ich panika. Nawet ludność chrześcijańska, najczęściej naturalnie koptowie*, wcale nie była pewna, czy ma witać pielgrzymów z radością.

Ostatnie zdobycie Damietty i wszystkie dotychczasowe krucjatowe doświadczenia tubylczych chrześcijańskich gmin, od Antiochii do Aleksandrii, przemawiały przeciwko temu. Trwające już sto pięćdziesiąt lat wojny szły zawsze na ich rachunek, gdyż przybywający z wojskiem rzymscy legaci traktowali członków tych gmin jako niekatolików, niewiele lepiej niż żydów i muzułmanów.

Przygnębieni zaszywali się w swoich domach, aby nie stać się ofiarą ekscesów najpierw zrozpaczonych uciekinierów, potem podnieconych zdobywców.

Wielki wezyr Fachr ad-Din przybył na teren delty dopiero przed kilkoma godzinami. Natychmiast skierował do miasta regiment Beduinów z plemienia Banu-Kinana, znany ze swej szaleńczej dzielności, obficie zaopatrzone w broń i amunicję, ale gdy sam przybył na miejsce, jednym spojrzeniem ocenił sytuację przed murami i morale za nimi. W dodatku beduińscy dowódcy powiadomili go, że załoga cytadeli upada na duchu i potajemnie przygotowuje ucieczkę.

Fachr ad-Din ulokował swoją kwaterę na wschód od głównej odnogi Nilu pod Aszmun-Tanna, a więc w przyzwoitej odległości od Damietty.

Z nadejściem ciemności egipska jazda, co nie było niczym dziwnym, wycofała się do obozu znajdującego się w bok od miasta i pozostawiła wybrzeże krzyżowcom, którzy tymczasem wysadzili na brzeg całe wojsko. Dla muzułmańskiej ludności był to jednak sygnał do panicznego exodusu przez tylne bramy miasta. Ludzie zmusili strażę do ich otwarcia i uciekali z Dumjat z całym dobytkiem. Wraz z nimi zdezerterowała także część garnizonu.

Gdy wielki wezyr o tym usłyszał, wycofał także, pod osłoną Banu-Kinana, pozostałe oddziały. Po moście zbudowanym na łodziach przekroczyły one jedyny kanał, który jeszcze oddzielał miasto od zwycięzców. Beduini mieli rozkaz, aby po wycofaniu się podpalić most, czego jednak nie zrobili – prawdopodobnie ze strachu, by niepotrzebnie nie zwrócić na siebie uwagi nieprzyjaciela. Za to gdy uciekali przez miasto, podłożyli ogień pod bazar. Wówczas panika osiągnęła szczyt i uciekli ostatni obrońcy.

* Koptowie – chrześcijanie w Egipcie i Etiopii.

Z diariusza Jana ze Joinville

Damietta, 6 czerwca A.D. 1249

Nie wierzyliśmy własnym oczom. O świcie potężne mury i baszty miasta wydały się nam całkowicie pozbawione załogi. Wietrzyłem paskudną pułapkę, ale potem kilku chrześcijan ośmieliło się wyjść z domów. Podeszli do mostu i zawołali do nas, że Egipcjanie odeszli. Że także most pozostawili nienaruszony, dziwiło mnie najbardziej.

Król Ludwik wysłał kilku rycerzy na zwiad. Po powrocie opowiedzieli, że bez przeszkód weszli nawet do pałacu sultana. Wszystko wskazywało na niezwykle pospieszną ucieczkę.

– Może sultan zmarł nagle? – odezwałem się. – Jego zły stan zdrowia był przecież znany Waszej Królewskiej Mości. Inaczej nie da się wyjaśnić odwrotu silnego, liczebnie dalece nas przewyższającego wojska!

Pałac stoi pusty, bez śladu służby, relacjonowali zwiadowcy, natomiast bazar to kupa gruzów i popiołu, co dla maurskiego miasta jest mniej więcej takim nieszczęściem, jakby ktoś w Paryżu spalił Petit-Pont.

Król bardzo się ucieszył. Wezwał do siebie ze statków legata i wszystkich prałatów, o ile już nie uczestniczyli w działaniach bojowych. Zaintonowano potężne *Te Deum laudamus**, a potem król Ludwik wsiadł na konia. Wszyscy poszliśmy za jego przykładem i tak pociągnęliśmy zwycięsko przez most do Damietty.

*Vexilla regis prodeunt:
Fulget crucis mysterium.
Quo carne carnis conditor
Suspensus est patibulo.*

W splądrowanym pałacu sultańskim król odbył zaimprovizowane pierwsze zgromadzenie, na którym, pomny gorzkich doświadczeń piątej krucjaty pod dowództwem nieszczęsnego Pelagiusza, odrzucił kategorycznie propozycje dalszego posuwania się naprzód. Tacy zapaleńcy jak jego brat Robert z Artois najchętniej by od razu ruszyli na Kair. Inni chcieli zabezpieczyć flankę przez zajęcie Aleksandrii. Wkrótce jednak miał nastąpić wylew Nilu, co z punktu widzenia zdrowego rozsądku przekreślało jeden i drugi zamysł.

Poza tym pan Ludwik czekał wciąż na resztę rozproszonej pod Cyprem floty, a przede wszystkim na posiłki z Francji pod dowództwem swego brata Alfonsa, hrabiego Poitou.

* *Te Deum laudamus...* (łac.) – pieśń kościelna „Ciebie, Boże, chwalimy...”

Oczekiwałem, że teraz w trybie pilnym zapadną rozstrzygnięcia, jak obsadzić miasto w obronie przed oczekującymi nas z pewnością atakami, kto będzie odpowiedzialny za bramy, mury i wieże, a przede wszystkim za cytadelę, ale zamiast tego zaczęły się spory o podział łupu.

Pierwszy zabrał głos Robert, sędziwy patriarcha Jeruzalem.

– Wasza Królewska Mość powinien sprawować kontrolę nad magazynami pszenicy, jęczmienia, ryżu i nad wszystkim, co jest konieczne do wyżywienia, tak aby miastu i wojsku nie zagroziła klęska głodu. Całą zaś pozostałą zdobycz, co powinniście ogłosić waszym żołnierzom, należy, pod groźbą ekskomuniki, odsyłać do kwatery pana legata!

Propozycja chyba tylko dlatego nie napotkała sprzeciwów, że nikt nie zamierzał nawet w najmniejszym stopniu stosować się do podjętej decyzji.

Rozczarowany opuściłem zgromadzenie. Williama, podobnie jak swoich rycerzy, zostawiłem w obozie pod miastem, gdyż przy tym pierwszym „objęciu w posiadanie” brali udział tylko dowódcy wojskowi. Byłem więc sam, choć zwykle przyzwyczajałem braci swojego stanu do tego, że jako kronikarz krucjaty występuję zawsze w towarzystwie swego sekretarza.

Kiedy przejeżdżałem obok bazaru, zobaczyłem ogrom zniszczeń dokonanych przez pożar, ale stwierdziłem także, iż niektórzy panowie nie trzymają w ryzach żołnierzy – okrutnie plądrowano i grabiono.

W obozie wojskowym pod miastem panowało niezadowolenie, gdyż wobec leżącej na wyciągnięcie ręki zdobyczy nie dopuszczono do trzydniowej kontrybucji, mimo że taki był *usus**. Zakazywał tego werdykt króla, który chciał pozyskać pozostałych w mieście mieszkańców, prawie wyłącznie chrześcijan, choć monofizytów. Duchowni przeprowadzili jednak mianowanie katolickiego biskupa, a wielki meczet, podobnie jak przed trzydziestu laty, ponownie zamieniono na katedrę i na nowo konsekrowano.

Pan Ludwik wysłał jak najspieszniej poselstwo do Akki, żeby królowa Małgorzata zechciała przyjechać, choć nie obiecywał małżonce i jej damom dworskiego życia w ciągu melancholijnej zimy na wilgotnej równinie Nilu toczącego gliniaste wody.

Trzem zakonom zaoferowano obszerne kompleksy budynków, co nie obyło się bez niesnasek, ponieważ templariusze i joannici zabiegali po kryjomu o obsadzenie cytadeli.

Niemcom, którzy się już widzieli jako ten trzeci, co korzysta, gdy dwaj inni się biją, nikt cytadeli nie chciał przekazać; obawiano się, czy cesarz, którego syn Konrad wraz ze śmiercią swej nieletniej matki Jolanty z Brienne uzyskał już w kołysce tytuł króla Jeruzalem, nie zechce przypadkiem przyłączyć tej nowej zdobyczy do hohenstaufowskich posiadłości. Złość na króla Jana z Brienne, który swą jedenastoletnią córkę wepchnął Niemcowi do ślubnego

* *Usus* (łac.) – zwyczaj, praktyka.

łóża, gryzła wciąż jeszcze Francuzów. Uważali oni, że dzierzawią myśl krucjatową, a *Outremer*, jak nazwali Ziemię Świętą, traktowali jak prastarą francuską kolonię.

A więc król Ludwik, nie namyślając się długo, wyznaczył swojego brata Roberta i kilku rycerzy do obsadzenia zamku, między nimi także hrabiego Joinville. Hrabia Artois, któremu w najmniejszym stopniu nie zależało na tym, żeby tam tkwić niczym uwiązany na łańcuchu i czuwać nad bezpieczeństwem w mieście, pragnął jak najszybciej pomaszerować na Kair. Nie czuł się też dobrze w swej nowej roli namiestnika obarczonego poborem podatków i jurysdykcją. Był zadowolony, że Karol z Anjou, który odmówił przeniesienia się do miasta i twardą ręką dowodził obozem polowym, odjął mu wieszanie maruderów i rabusiów.

Wojsko oczekiwało naturalnie, że będzie się mogło wygodnie urządzić w Damietcie, ale to wykluczono. Zamiast tego Pizańczycy i Genueńczycy za swoje służby przewozowe otrzymali w nagrodę po jednym rynku i jednej ulicy. Wenecjanie szybko okazali żal z powodu swego małego zaangażowania i także otrzymali wspaniałomyślnie jedną dzielnicę. Resztę Damietty poszatkowano i przekazano dowódcom wojskowym w celu pobierania podatków. Skutek był taki, że w kwaterze pana legata, gdzie powinny się piętrzyć wszystkie łupy, zbierane tam zgodnie z jednomyślną decyzją, nie zgromadzono towarów nawet równowartości sześciu tysięcy liwrów.

Z diariusza Jana ze Joinville

Damietta, 10 czerwca A.D. 1249

Właściwie istniał stary zwyczaj krucjatowy, że przy zajęciu każdego miasta trzecia część zdobyczy przypadła królowi Jeruzalem, podczas gdy dwie trzecie rozdzielano między zdobywców. Jednak mój pan Ludwik nie czuł się tym zwyczajem związany albo pozwolił sprawom toczyć się ospale. To powodowało naturalnie złą krew i zachęcało wielu panów, by na własną rękę zapewnić zaopatrzenie podopiecznym.

Hrabia Robert z Artois zdecydował się szybko: wysłał kilku konnych z wozem do kwatery legata i kazał im dla „załogi cytadeli” skonfiskować tyle żywności, ile im się będzie wydawało konieczne, aby bez kłopotów przetrwać zimę.

– Jeśli już muszę marnować swoją młodość między kanałami nawadniającymi – powiedział gniewnie do Roberta z Sorbony, który nam złożył wizytę – przynajmniej nie chcę schudnąć, bo wówczas stracę ochotę na Kair! Powiedźcie to memu królewskiemu bratu, w razie gdyby miał mi czynić wyrzuty, i spytajcie go też, kiedy pozeglujemy do domu, jeśli wraz z chwalebny zdobyciem tej perły nilowej delty widocznie osiągnął swój cel!

Oprócz rozgniewanego księcia Francji byli obecni prawie wszyscy rycerze, którzy podobnie jak ja zostali tutaj zakwaterowani. *Maître* poprosił ich, żeby opuścili pozbawioną

okien salę kolumnową, która zapewniała przyjemny chłód i stąd była miejscem, gdzie przebywaliśmy najchętniej. Zwrócił się tylko do mnie i z pewnym wahaniem do mego sekretarza, żebyśmy zostali. Zaprowadził nas do ciemnego pomieszczenia, które mój kapelan Dean z Manruptu przekształcił w skromną kaplicę, i zamknął za nami drzwi.

– Nie możecie tak szybko tracić cierpliwości – powiedział do pana Artois. – Wasz brat ma rzeczywiście wyższy cel na uwadze i działa w poczuciu wyższej odpowiedzialności za powierzone mu przez Boga wojsko, dlatego nie rzuca się od razu nierozważnie na Kair.

– Gdy postawiliśmy naszą stopę na tej piaszczystej ziemi – zauważył drwiąco hrabia Robert – mówiło się inaczej! Hasło brzmiało: „Naprzód, ażeby nieprzyjaciel nie zaznał spokoju!” – Zaśmiał się gorzko. – Teraz my przeszliśmy w stan spoczynku, a sułtan w Kairze nie może pojąć swego niespodziewanego szczęścia.

– Dni sułtana są policzone – napomniął go z powagą *maître*.

Mógł sobie pozwolić, by w ten sposób przemawiać do hrabiego, trzymał go przecież na kolanach jeszcze jako niesforne dziecko.

– I jeśli wy, mój księżę, zechcecie mi przychylić ucha, co nigdy jeszcze nie było ze szkodą dla was, wówczas wam powiem, jak może dojść do tego, żeby następny księżę na tronie egipskim przeszedł do historii jako Robert Pierwszy!

Maître umilkł i spoglądał na nas, raczej żądając oklasków, niż spodziewając się szczerzej reakcji na swe śmiałe słowa. Pan Artois zapalił się do pomysłu od razu.

– Co muszę uczynić, mój szlachetny mistrzu – uściśnął pana z Sorbony – poza tym, by was natychmiast mianować wielkim wezyrem?

Maître zachowywał się tajemniczo, zniżył głos do szeptu.

– Wejdziecie w związek małżeński – powiedział znacząco – z pewną dziewczyną, która dorównuje wam wielką odwagą, a swoją krwią wniesie w posagu więcej niż państwo faraonów, położy wam u stóp więcej niż Królestwo Jerozolimskie!

Artois roześmiał się.

– No to dajcie mi tę młodą damę! – zawołał.

Chrząknąłem, za co *maître* zgromił mnie srogim spojrzeniem, jednak Robert z Artois już zwrócił się do mnie.

– O co chodzi, mój drogi Joinville? Czy ona ma garb? A może krzywe usta albo złe spojrzenie?

– O nie – odpowiedziałem szybko. – Pomyślałem tylko, że najpierw należałoby zdobyć ten kraj...

– Macie rację, seneszalu! Udaj się od razu do mego królewskiego brata, aby go zachęcić do pośpiechu...

Tutaj *maître* przerwał mu z niezwykłą surowością:

– Nie uczynicie nic podobnego, mój książę, albo wszystko rozwieje się jak dym. Kto tajnego objawienia nie potrafi zatrzymać ukrytego w piersi, tego nie można poczytywać za godnego sprawy.

Wówczas hrabia Robert poddał się jak przyłapany scholar i odważył się tylko nieśmiało spytać:

– A narzeczonej także nie mogę zobaczyć...?

– Jesteśmy na Wschodzie – odparł *maître*, który niezwykle lubił być ważny – mogę was jedynie zapewnić, że owa dziewica nie ma żadnej skazy – uśmiechnął się złośliwie – może poza jedną: ma tak niepohamowany temperament jak wy, mój książę. Kiedy nadejdzie dzień, zasmakujecie w niej z pewnością!

I zwracając się porywczo do mnie, sapnął:

– Ja też wiem, panie seneszalu, że najpierw musimy zająć Kair. Ale plany o tym zasięgu nie rozwijają się spontanicznie, muszą być starannie przygotowane. – I znów zwrócił się do hrabiego. – A więc zapytuję was, Robercie z Artois, czy jesteście gotowi?

Młody hrabia pokornie zgiął kolano i położył rękę na złotej koronie, którą *maître* ukrywał dotąd pod chustą, a teraz nagle trzymał w ręku jak magik, który wyciąga królika z kapelusza.

William i ja także musieliśmy przykłęknąć i przysiąc, że zachowamy milczenie dotyczące naszej wiedzy o „tajnym królu i jeszcze bardziej tajnej królowej” i o wielkości jego państwa od piramid... nie wiem już dokąd; w każdym razie cesarstwo bizantyńskie było w to włączone.

Robertowi z Artois nawet brew nie drgnęła przy wyliczaniu obszarów jego przyszłego władania, mój sekretarz natomiast z trudem skrywał rozbawienie. Uścisnąłem hrabiemu rękę jak komuś, komu życzymy wiele szczęścia w jego przedsięwzięciu, w którego pomysły wynik nie wierzymy za grosz.

Pan Robert uścisnął mnie i wzburzony ruszył do wyjścia, ale w drzwiach kaplicy stanął jak wryty.

Pospiesziliśmy za nim. W pustej sali kolumnowej stała czarna trumna. *Maître* z Sorbony, który straszliwie zbladł, zamknął drzwi, aby nam i sobie oszczędzić tego widoku.

– Kiepski żart – powiedziałem – pozwólcie, że pójde i sprawdzę...

– Nie – oświadczył William – ja to zbadam, a wy, dostojni panowie, poczekajcie tu na mnie, póki tej skrzyni nie każę wynieść.

Zostawił nas, a my, co zrozumieliśmy, uklękliśmy i zaczęliśmy się modlić. Wrócił William i oznajmił:

– Nikogo przy tym nie było! Na wszelki wypadek zaniósłem skrzynię do najbliższej bocznej izby. Możecie teraz wyjść i o tym zajściu zapomnieć!

– Dziękujemy wam, Williamie z Roebruku – mruknął *maître* i opuściliśmy kaplicę.

Ledwie się mogłem doczekać, aby w naszych pomieszczeniach porozmawiać z sekretarzem w cztery oczy.

– Kto? – spytałem. – Nie zechcecie przecież twierdzić, że nikt z załogi nie...

– A jednak! – odrzekł William. – Nikt niczego nie zauważył. Wszyscy byli zmieszani i przerażeni.

– Groźba i jednocześnie ostatnie ostrzeżenie. Od kogo?

– Od tego, komu to wszystko nie w smak!

– Mówiąc o dziewiczej narzeczonej *maître* miał chyba na myśli Jeżę?

– Ciszej! – syknął William. – Jak mogliście się przekonać, tutaj ściany mają uszy. Nie pchajcie się do przodu, w przeciwnym razie ta trumna będzie pasowała także do waszych wymiarów!

– Williamie! – Zrobiłem szybko znak odpędzający złe duchy. – Nie mówcie tak ze mną, z człowiekiem, który mocno wierzy w ciemne moce, podczas gdy wy, jak się zdaje, natrząsacie się z nich...

– Absolutnie nie, szlachetny panie, sądzę jedynie, że tym razem nie nas, jeszcze nie nas miano na myśli...

– Kogo więc? – spytałem bardziej z ulgą niż z obrazą. – Roberta z Sorbony?

– A któż pozostaje? – spytał mój rozważny sekretarz. – Jest przecież tylko *maître* jako *spiritus rector** i Artois jako „tajny król”.

– W każdym razie nie spodobało się nie wypowiedziane przecież przez *maître*, lecz drugiej stronie pana z Sorbony, znane połączenie z linią krwi...

– Pst! – szepnął William. – Ci, co wiedzą, żyją często w większym niebezpieczeństwie niż oprawcy i przyszłe ofiary. Oni potrzebują się nawzajem. Nas ostatecznie nie potrzebuje nikt.

– No to dobrze – powiedziałem.

– To źle! – stwierdził William. – Mogą to być wszyscy, których dotychczas znamy, i to mi już wystarczy. Wcale mi się „ta sprawa” nie podoba.

Przypomniałem sobie, jak pan Robert mnie uściśnął. Pokażne lenno było dla mnie pewne, jeśli... nie powiedziałem jednak nic, mój sekretarz mógł potraktować to jako aprobatę. Miał rację, nie pchać się! *Conspiratores** wcale nie powinni wyjmować metalu z ognia. Nawet gdyby to była złota korona!

W pałacu sułtańskim w Damaszku w *ka’at sabat chawatim**, czyli gabinecie sułtana, Abu Al-Amlak przysiadł na składanej drabinie. Przysunął ją do stołu, aby znaleźć się na tej samej wysokości co dzieci, które przycupnęły na taboretach i pilnie zabawiały się pieczętowaniem. Na wysokim fotelu sułtana nikt nie ośmielił się usiąść nawet w czasie jego nieobecności. Jeza rozgrzewała sztabkę laku jaspisowej barwy, aż zaczął kapać na przewidziane miejsce pergaminu, a Rosz końcami palców przyciskał sygnet. Już dwukrotnie sparzył sobie boleśnie

* Spiritus rector (łac.) – przywódca, kierownik duchowy.

* Conspiratores (łac.) – spiskowcy.

* Ka’at sabat chawatim (arab.) – sala siedmiu pieczęci.

wierzch dłoni. Ponieważ każdego dnia pierwszy szambelan przy pomocy matematyków, poetów i znawców Koranu przybliżał im pismo i mowę kraju, dzieci szybko i nie najgorzej opanowały arabski.

– *Al-Uchra**? – przeczytał Rosz głośno. – Co znaczy: *al-jad al-Uchra*? Druga dłoń? Jaka? Abu Al-Amlak rzucił krótkie spojrzenie na wyrok.

– To niepoprawny złodziej! – wyjaśnił rzeczowo. – Straci drugą dłoń, ponieważ nią dalej kradł.

– Ale wtedy – powiedziała Jeza i przyciągnęła pergamin do siebie – nie będzie już mógł wcale jeść.

– O nie – uniósł się szambelan. – Ten pies może przecież jeść jak pies!

– Ułaskawiam go – oświadczył Rosz. – Co on może ukraść jedną ręką?

– Sakiewkę z pieniędzmi – wyjaśnił mu strażnik prawa. – Jest piekielnie zręczny. Jeśli się go nie pozbawi dłoni, będzie nadal odcinał mieszki...

– A co innego może zrobić jedną ręką? – oburzyła się Jeza.

– Pracować na przykład jako tragarz, jako poganiacz osła... – podniecił się Abu Al-Amlak, który poznał, że małych dysponentów pieczęci nie tak łatwo przekonać.

– Czy nie można zrobić małej żelaznej klatki na jego dłoń, żeby mógł pracować i jeść, ale żeby już nie kradł? – zastanawiał się Rosz.

Jeza podchwyciła zaraz jego myśl.

– Coś takiego jak pułapka na szczury! – zawołała. – A ty dostaniesz do niej klucz!

Wiedziała, jak może karła owinać sobie wokół palca. Szambelan istotnie uznał się za pokonanego.

– W imię Allaha. Kowal ma dopasować psiemu synowi koszyk na dłoń, ale bez klucza!

– Następnym razem – ogłosił Rosz z godnością. – Już go ułaskawiliśmy!

Przesadnie wzdychając, szambelan przekreślił wyrok i napisał pod czujnym spojrzeniem dzieci:

– Kara zostaje darowana. W razie powtórnego przewinienia *masikat al-ajdi**!

– Żebyś mu potem na przykład nie zamurował dłoni, *abu al-taglib*, mistrzu przewrotnego słowa! – upomniął go Rosz, przyciskając ostrożnie sygnet do świeżo nakapanego laku.

– Wystarczy mi na dziś tego *kass al-halk*, *al-anfwa al-uzn** – powiedziała Jeza i zdmuchnęła płomień oliwnej lampki. – Chciałabym pojeździć konno.

Pierwszy szambelan rozczarowany odsunął na bok nie zatwierdzone pergaminy uśmiechnął się i klasnął w dłonie:

– Myślałem, że zechcecie jeszcze obejrzeć południową egzekucję.

* Al-Uchra (arab.) – inna, druga.

* Masikat al-ajdi (arab.) – areszt ręki.

* Kass al-halk... (arab.) – poderżnięcie gardła, obcięcie nosa i uszu.

Dzieci jednak potrząsnęły przecząco głowami i podniosły się z ulgą, kiedy weszli dwaj mamelucy, ich nauczyciele jazdy konnej. Pobiegły przodem w dół do ogrodów pałacowych, gdzie w przepięknych stajniach czekały konie. Rosz pociągnął Jezę za rękaw.

– Czy przyglądałaś się już kiedyś jak kat... rękę... – szukał właściwego wyrażenia – tak jednym ciosem...? Nie mógłbym tego znieść!

– Można się przyzwyczać – oświadczyła Jeza rzeczowo. – Gdy tryska krew, człowiekowi robi się mdło, wtedy pomocnicy wpychają szybko kikut do beczki z wrzącym olejem...

– Przestań! – wyjąkał Rosz, Jeza jednak okazała się twarda.

– Żeby się nie wykrwawił. Rozumiesz?

Rosz walczył ze łzami, ale skinął głową.

– A co robisz z dłonią? – spytał cicho.

– Rzucają psom na pożarcie!

– I widziałaś to...?! – zawołał chłopiec wstrząśnięty.

– Jeszcze nie – odparła Jeza – ale Abu Al-Amlak, Ojciec Olbrzyma, opowiedział mi to szczegółowo.

Dzieci dotarły do boksów. Każde miało własnego konia. W siodlarni natknęli się na Madulajn, która wróciła właśnie z porannej przejażdżki.

Saracenka odmówiła zamieszkania w haremie już choćby dlatego, że gdyby raz się tam znalazła, nieprędko by go mogła opuścić. W końcu grała rolę księżniczki Salenty, córki cesarza! Wytłumaczyła to namacalnie naczelnemu eunuchowi, gdy posunął się za daleko i z poczucia obowiązku chciał się przekonać o jej dziewictwie. Tak podrapała mu twarz, że wrzeszcząc pobiegł do szambelana. Dzięki temu zamieszkała razem z dziećmi w pawilonie położonym w rozległym pałacowym parku, niedaleko stajen. Aby uczynić zadość przyzwoitości, naczelnny eunuch postawił przed pawilonem dwu roślących wykastrowanych Nubijczyków, którzy z olbrzymimi szablami i wachlarzami z pawich piór czuwali, by dzieciom nie stała się żadna krzywda, a mamelucy nie składali nocnych wizyt dzikiej amazonce. Wartownicy jednak byli przeważnie zajęci odganianiem much. Mężczyzn Madulajn do siebie nie dopuszczała, dzieci zaś były ulubieńcami wszystkich i silni Nubijczycy z błyszczącymi czarnymi torsami strzegli ich jak oka w głowie, przynajmniej kiedy spały. Dzień spędzały w pałacu, czego Madulajn zabroniono. Stała się więźniem ogrodów, chociaż były tak wielkie, że mogła po nich jeździć godzinami i oglądać wciąż nowe żywopłoty, rabaty z kwiatami oraz kunsztownie prowadzone strumienie.

Madulajn pędziła na skocznym bułanku przez bambusowe zagajniki i gaje palm kokosowych i daktylowych, których gałęzie były ją po twarzy, przez sadzawki ze złotymi rybkami, aż woda pryskała na wszystkie strony, obok klatek z drapieżnymi kotami, które prychały na jej widok, i wolier, gdzie długonogie ptaki wlatywały z łopotem skrzydeł. Robiła wszystko, aby uciec od tęsknoty za mężczyzną. Coraz częściej przyłapywała się

zresztą na tym, że wizerunek Firuza bladł, a przed jej oczyma pojawiała się smukła postać Czerwonego Sokoła. Wtedy dopiero naprawdę spinała ogiera ostrogami i pędziła go przez coraz wyższe przeszkody. Za każdym razem kończyła dziką jazdę wyczerpana do cna. Wówczas ze wstydem przytulała się do końskiej szyi i czekała, aż podniecenie opadnie; wtedy odprowadzała wierzchowca do stajni.

Sama odniosła siodło do siodlarni. Spotkawszy dzieci, pogłaskała Rosza po głowie, podsadziła Jeżę na konia i potem patrzyła przez chwilę za nimi, jak oddalały się z mamelukami.

Abu Al-Amlak ze szczytu drabiny wyglądał przez okno na plac przed pałacem, gdzie po *salat al-zuhr*, południowej modlitwie, kat miał czynić swą powinność. Na placu było jeszcze pusto, wierni udali się do meczetu lub klęczeli w cieniu wąskich uliczek.

Wtedy szambelan zobaczył zmierzającą ku portalowi lektykę, otoczoną przez jeźdźców z gór. Wizyta pozbawiała go wprawdzie zwykłego widowiska, obiecywała jednak odmianę, zwłaszcza że na przedzie niesiono proporzec, który musiał pochodzić jeszcze z czasów ojca sułtana, wielkiego Al-Kamila. Szambelan nasłuchiwał ciekawie odgłosów dochodzących z portyku, a potem powolnych kroków starego człowieka, który z trudem wchodził po schodach.

Kiedy zobaczył drobną, siwą postać, przypomniał sobie, co mu opowiadał jego pan Ajjub o pośle nadzwyczajnym swego ojca, osobliwym dziwaku Janie Turnbullu, wiecznym wędrowcu między światami islamu i cesarza, tym „mętnym umyśle z wizją pojednania” między religiami. Turnbull miał już chyba z osiemdziesiąt lat albo więcej, lecz jego twarz była wciąż młoda i świeża.

– *Allah jatikum al-umr at-tawil*, niech Allah obdarzy was radością długiego życia! – zawołał Abu Al-Amlak. Zsunął się zwinnie z drabiny, polecił wartownikom, którzy przyprowadzili gościa, aby podsunęli mu krzesło, a potem pozostawili ich samych.

– Niech Allah obdarzy nieustannym zadowoleniem wielkiego sułtana, noszącego to samo godne imię co sławny założyciel dynastii, której przez trzy generacje mam zaszczyt służyć, jak wam jako *ra'is al-chuddam** dobrze wiadomo. – Jan Turnbull usiadł i dodał bez dalszego wprowadzenia: – Gdzie są królewskie dzieci?

Abu Al-Amlak wszedł znowu na drabinę.

– Mali sułtanowie odpoczywają na grzbietach koni po trudach rządzenia – odparł z dumą. – Są urodzonymi władcami. Zbyt wielką jeszcze łagodność duszy, jaką wykazuje młody pan, wyrównuje śmiałością serca mała sułtanka. Gdyby było odwrotnie, co dałby Allah, stanowiliby idealną parę na każdym tronie.

– Może Allah chce, aby męskość władcy cechowała się wrażliwością, natomiast jego towarzyska miała silną wolę – zaproponował Turnbull.

* *Ra'is al-chuddam* (arab.) – wielki szambelan.

– Allah być może – zawołał pierwszy szambelan – ale z pewnością nie następcy proroka!

– Krzak, który pozostaje bez wody, nie wypuści świeżych pędów – oświadczył Jan Turnbull. – Świat oczekuje pulsowania świętej krwi. Musimy działać, w przeciwnym razie królewskie dzieci nigdy nie będą mogły rozwinąć swej błogosławionej działalności. Pąk zwiednie i zeschnie, nim zdąży rozkwitnąć.

– Świat na nic nie oczekuje! – zadrwił szambelan. – Jest utrzymywany tylko przez prawo. A prawo wymaga władców, którzy go przestrzegają, inaczej lud się oburzy i ich przepędzi.

– Lud nie słucha prawa, lecz obietnic. Kto ich nie potrafi dać, nie jest władcą, tylko administratorem. Dzieci nie przybyły po to, aby objąć taki tron – wskazał na fotel sułtański – jako więźniowie istniejącego prawa, lecz aby stworzyć państwo, które...

Turnbull był zbyt wyczerpany, by mówić dalej, co karzeł ochoczo wykorzystał; klasnął w rękę, ażeby służba zadbała o odpoczynek gościa. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie powinien otruć dzieci lub starego posła, który widocznie już nie rozumiał, jak funkcjonuje świat. Gdy przyniesiono puchary, wzdychając zrezygnował. Sułtan powierzył mu dzieci, ażeby je przekazał Turanszahowi. A syn sułtana był całkiem inny. Może taka mowa o nowym państwie nawet by mu się podobała? Sułtan Ajjub wyraźnie się postarzał ostatnimi czasy. Dlaczego właśnie on, Abu Al-Amlak, miałby teraz jeszcze podejmować decyzję „dla ratowania tronu dla dynastii”, decyzję, która mogłaby go kosztować głowę, gdyby nie spodobała się komuś z rodziny panującej?

Gdy Abu Al-Amlaka podarowano ojcu sułtana, wielkiemu Al-Kamilowi, Turanszah był jeszcze nieśmiałym chłopcem. Teraz mówiono, że w Dżazirze, w Diyarbakir, nie wyrósł na energicznego następcę tronu i zamiast przygotowywać się do twardych zadań sułtanatu, obcował duchowo z przyjaciółmi, poetami i artystami, których zaprosił do siebie z Aleksandrii, Konstantynopola i Edessy. Był genialnym architektem o wielkiej wiedzy matematycznej i wybitnym upodobaniu piękna, urodziwych chłopców i mądrych kobiet. Pierwszy szambelan czuł, że budzi się w nim zazdrość. To wszystko jemu nie było dane. Osamotniony miał tutaj utrzymać panowanie i troszczyć się o przestrzeganie prawa. Prawa władzy. Wystarczyłby znak dany do Homsu i An-Nasir wzięłyby w posiadanie bezbronne Damaszek. Podziękowałby mu, Abu Al-Amlakowi, może tytułem wielkiego wezyra, a może skróciłby go o głowę, którą na myśl o tym szambelan wciągnął w ramiona. Nie, musiał na zewnątrz sygnalizować gotowość do walki i uprzejmość wobec przyjaciół swego pana.

Abu Al-Amlak uśmiechnął się do Turnbulla i powiedział ulegle:

– Dzieci przypadły mi do serca.

Z diariusza Jana ze Joinville

Damietta, 12 sierpnia A.D. 1249

Damietta stała się francuską stolicą. Nie żadnym małym Paryżem, raczej Châlons-sur-Marne^{*}. Baronowie i dowódcy wojskowi, którzy – czego należałoby oczekiwać – powinni traktować wspaniałomyślnie tubylczych kupców i handlarzy na bazarze, wyciskali z nich najwyższe podatki. Nazywali to „pieniędzmi ochronnymi”. Kto nie płacił chętnie, tego pozostawiano żołdactwu. Przeważnie wystarczyła jedna noc, podczas której płonęły sklepy, a żony i córki padały pastwą żołdaków. Pociągnęło to za sobą taki skutek, że wielu kupców nie było już teraz w stanie zaopatrywać położonego pod miastem obozu lub przestało się tym interesować. Dostojni panowie – ze wstydem muszę dodać: bez wyjątku równi mi stanem – trwonili w ten sposób uzyskane dochody na szalonych, przebierających wszelką miarę biesiadach, podczas których marnowało się więcej dobrego pożywienia, niż w obozie pod miastem otrzymywało wojsko jako skąpą dzienną rację. Nikt nie myślał o odłożeniu zapasów na ciężką zimę. Nasilił się nierząd; z Ziemi Świętej, a także z Aleksandrii przybywało coraz więcej ładacznic. Nadszedł też troskliwie gromadzony na Cyprze zapas beczek z winem i lekkomyślnie, a może celowo, aby podkopać morale wojska, został jednorazowo rozdzielony wśród żołnierzy. Pito i womitowano bez opamiętania.

Król żalił mi się, że kilku znanych mu z imienia panów załatwia swoje potrzeby nawet pod murami zamieszkanego przez niego sułtańskiego pałacu.

Tymczasem pod pieczęcią Zygisberta z Öxfeldu i jego rycerzy przyплыnęła z Akki królowa, co panu Ludwikowi nadzwyczaj chyba przypadło do gustu, gdyż od razu poprowadził ją do sypialni, zawoławszy do nas, że teraz dla państwa faraonów należy spłodzić małego króla. Uznałem takie postępowanie raczej za przykre; również stary przyjaciel pana Ludwika, Baldwin, zubożały cesarz Konstantynopola, którego po prostu zostawił samemu sobie, był tym mało szlachetnym zachowaniem niemile dotknięty.

Cesarz Baldwin przybył teraz sam do króla, kiedy misja cesarzowej, Marii z Brienne, na Cyprze nie przyniosła żadnych efektów. Przywiózł ze sobą liczne relikwie, które przetrwały splądrowanie Konstantynopola w roku 1204. Chciał je sprzedać Ludwikowi, ponieważ kasa państwowa Cesarstwa Łacińskiego była zupełnie pusta, a cesarz potrzebował pilnie pieniędzy, aby wypłacić żołd wojsku, które miało go bronić przed napierającymi Grekami.

Jednak nasz król powiadomił go za pośrednictwem Roberta z Sorbony, że równie mocno potrzebuje pieniędzy, aby zaspokoić potrzeby swoich żołnierzy. Cesarz Baldwin nie mógł zrozumieć, dlaczego zdobycie Kairu miałyby być dla Zachodu ważniejsze niż utrzymanie

^{*} Châlons-sur-Marne – miasto w północno-wschodniej Francji, niedaleko Joinville.

rdzennie chrześcijańskiego Konstantynopola, bastionu przeciwko Wschodowi. Ja też nie mogłem mu tego wyjaśnić.

Ostatecznie dali mu pożyczkę na niezwykle surowych warunkach templariusze. Chyba nie tyle z powodu uzasadnionych interesów, ile by dociąć joannitom.

Pełna podniecenia ciekawość ogarnęła prażony skwarem Damaszek, kiedy chmura pyłu na północy zrzędła i pokaźne wojsko skierowało się do bram miasta.

Turanszah, syn i dziedzic sułtana, posłuszny wezwaniu ojca opuścił miłą Dżazirę i wjeżdżał ze swym dworem do stolicy Syrii.

Pierwszy szambelan Abu Al-Amlak wszedł na najwyższy stopień swej drabiny, aby z okna pałacu popatrzeć na nowego pana.

– Bo przyjmijcie to jako dane przez Allaha – zwrócił się do czekającego cierpliwie u jego stóp Jana Turnbulla – że dostojny sułtan Ajjub już nie ujrzy Damaszk.

Jan Turnbull ze względu na przybycie następcy tronu przywdział swój najdroższy strój, czuł się bowiem wciąż posłem nadzwyczajnym cesarza Fryderyka na dworze sułtana, choć miała to być już teraz trzecia generacja Ajjubidów, u której zabiegał o zrozumienie dla hohenstaufowskiej sprawy i dalszą przyjaźń. Nie drgnęła mu też powieka, gdy Abu Al-Amlak przedstawił z dumą „córkę cesarza”, z którą zamierzał powitać nowego władcę. Nie była to w żadnym razie Klarion z Salenty, lecz jej służebna Madulajn, którą szambelan wystroił wspaniale jak kosztowną lalkę.

Była to zresztą piękna kobieta, dumna i kąśliwa.

Turnbull westchnął nad swoim wiekiem i tułaczym życiem. Przed wielu laty, przed dziesięcioleciami, bardzo by się i jemu podobała. Gdyby obu kobiet nie poznał niedawno w Masnacie, a więc już bez hrabiny Otranto, mógłby przysiąc, że do odegrania tej roli zmusiła Madulajn Laurencja, robiąca wszystko, by nie stracić swego oczka w głowie, swej nadzwyczaj ukochanej wychowawicy Klarion. Także dzieci gorliwie brały udział w tej grze i w obecności karła tytułowały Saracenkę wyłącznie „principessa”.

Rosz i Jeza wieloma łagodnymi namowami z trudem dali się nakłonić do wdziania odświętnych szat. Martwili się, że młody sułtan odbierze im sygnet z pieczęcią, w który stary Ajjub wyposażył małych regentów. Wcale im się nie podobało, że znak swojej władzy miały teraz na poduszce przekazać Turanszahowi.

– Jak go znam – mruknął pocieszająco Abu Al-Amlak – z radością zatwierdzi was na waszym urzędzie.

Dzieci jednak czuły, że szambelan za mało zna Turanszaha i sam się obawia, by nie zostać pozbawionym swego urzędu.

Przed pałacem znajdował się plac straceń. Był pusty i Abu Al-Amlak spoglądał na niego w zamyśleniu, oczekując, że na drugim końcu, gdzie żołnierze odpychali ludzi, zaraz pojawi się czoło sułtańskiego orszaku.

– Czy tak was zaskoczyłem, Abu Al-Amlak – odezwał się donośny głos – że nie mogliście mnie powitać u bram miasta?

Pierwszy szambelan omal nie spadł z drabiny. Teraz starał się, aby jak najzwawiej zsunąć się po szczeblach na dół, odwrócić i leżąc na brzuchu okazać swoje poddaństwo. Udało mu się to nawet, tylko kierunek się nie zgadzał. Turanszah nie wszedł do sali głównym wejściem, lecz ku uciesze dzieci zamaskowanymi drzwiami znajdującymi się za tronem.

Był wysokim mężczyzną o łagodnych rysach. Przerzedzone włosy użyczyły mu wysokiego czoła uczonemu, ale spojrzenie miał ostre tak jak głos. Zajął miejsce na tronie.

Pierwszy szambelan przekreślił się na podłodze jak igła magnetyczna.

– Damaszek przyjmuje przy bramie tylko swoich gości – wykrztusił. – Jego pan wkracza do miasta, kiedy i jak mu się podoba.

– Do miasta i do pałacu! – uciął Turanszah.

Dzieci wystąpiły do przodu, trzymając na aksamitnej poduszce pierścień z pieczęcią, ale Turanszah patrzył tylko na młodą kobietę, która stała wyprostowana i nie spuszczała oczu, co go zirytowało. Wtedy zabrał głos Jan Turnbull:

– Witamy cię, dostojny Turanszahu – powiedział. – Mój cesarz, którego już przed obliczem waszego dziada, potężnego Al-Kamila, miałem zaszczyt reprezentować, przesyła wam pozdrowienia i życzenia szczęścia...

– Wreszcie ktoś mnie tutaj wita – przerwał mu młody sułtan, nie odrywając wzroku od Madulajn.

– My także – powiedział Rosz i położył poduszkę na stole. – Przechowywaliśmy pieczęć, jak nam polecił dostojny sułtan Ajjub, niech Allah obdarzy go długim życiem, i... i...

Jeza pospieszyła mu z pomocą:

– Możemy pieczętować także dla ciebie.

Po raz pierwszy uśmiech przemknął po bladej twarzy Turanszaha.

– Wy jesteście królewskimi dziećmi?

Rosz skinął głową, a Jeza dwornie wskazała Madulajn:

– A to jest księżniczka Salentyny!

– Czy to wasza matka?

– O nie – roześmiała się Jeza – to byłoby zbyt proste.

– Krew cesarza manifestuje się w różnorodnej formie – podjął Turnbull – linia królewskich dzieci jest ukryta...

Młody sułtan podsunął Roszowi prawie bezmyślnie poduszkę z pierścieniem. Jego spojrzenie zawisło na uporczywie milczącej Saracence.

– No więc będziemy także dla ciebie, dostojny Turanszahu, odbijać w rozgrzanym laku pieczęć i w ten sposób nadawać twoim dekretem obowiązującą moc – oznajmił Rosz i przycisnął sygnet do piersi.

– Królewskie dzieci dziękują za zaufanie – powiedział Turnbull.

– To ja dziękuję! – odparł Turanszah. Podniósł się porywczo, końcem podróżnego buta trącił w bok leżącego wciąż na podłodze pierwszego szambelana i rozkazał: – Chodźcie ze mną!

Poszedł schodami na dół, gdzie właśnie przybył jego orszak.

Czerwony Sokół natychmiast po przybyciu odłączył się od towarzystwa z Dżaziry; było mu obce. Turanszah podczas długiej podróży nie skierował do niego ani jednego pytania, które miałyby coś wspólnego z sytuacją polityczną. Rozmawiał godzinami o ulepszeniach budowlanych i upiększeniach Damaszku, swojej przyszłej rezydencji, ale nie poświęcił ani jednego słowa śmiertelnemu zagrożeniu Kairu. W ogrodach Czerwony Sokół natknął się na starego Jana Turnbulla, który go od razu zatrzymał.

– Czy wiecie, że dzieci są tutaj?

Emir nie był zdziwiony.

– Zostały odesłane sułtanowi – powiedział – który je szanuje jako dzieci wielkiego cesarza. Nie wyciągnęły wcale złego losu.

– Cesarz Fryderyk przeżywa ciężkie czasy – westchnął Turnbull, którego zadowoliła wiadomość dotycząca dzieci. Krzepki starzec szedł przygarbiony obok Czerwonego Sokoła. – To wszystko sprawia straszliwa nienawiść papieża, który toczy obrzydliwą żółć z gęby, a nikt mu jej nie zamknie żelazną klamrą!

Jan Turnbull był zirytowany. Szli przez park pałacowy. Emir sądził, że zdołał ukryć podniecenie, gdy stary zwierzył mu mimochodem, kto pod nazwiskiem Klarion z Salentyny zatrzymał się w pawilonie niedaleko stajen. Nieco zbyt prędko wymamrotał coś o „złożeniu uszanowania”, lecz Turnbull przymusił go, aby mu towarzyszył w przechadzce. Czerwony Sokół zapytał o losy prawdziwej hrabiny Salentyny. Nie tyle po to, by zmienić temat, ile by przytłumić pałacowe oczekiwanie, że wkrótce znów zobaczy Madulajn.

– Nieopanowana Klarion! – Jan Turnbull ochoczo udzielał informacji, chociaż przejrzał prawdziwe pragnienie młodego przyjaciela. – Jak doszło do moich uszu, w niemądry sposób nadużyła swojej pozycji faworyty An-Nasira. Uznała, że wkrótce sama będzie określać, kiedy An-Nasir ma być na jej usługi, żądała tego chyba za często i była zbyt wymagająca. Emir zareagował tak, jak to jest w jego zwyczaju: po prostu ją wychłostał. Gdy to nie pomogło, nawet przeciwnie, doprowadziło krew tej damy do wrzenia, wypędził ją do *bejt an-nisa al-masulat*. Teraz trwa wojna, ponieważ An-Nasir odczuwa brak gorąckowistej kochanki, a ona nie chce mu się oddać, odnalazłszy nagle dumę cesarskiej córki.

– Nieślubnej córki! Bastardi mają po prostu większy temperament! – wtrącił Czerwony Sokół i roześmiał się. – Wolno mi się tak wyrazić, ponieważ koniec końców jej matka była nie tylko ślubnym podarkiem mego ojca dla cesarza, ale także jedną ze splodzonych przez wielkiego wezyra córek. Klarion jest więc moją siostrzenicą, a nie tylko „naturalną” córką Fryderyka!

Turnbull nie podjął tematu i skierował znowu rozmowę na waśnie Hohenstaufa.

– Wyobraźcie sobie – zwrócił się do emira i przystanął, nie zważając na jego niecierpliwość – dopiero co udało się temu perfidnemu antychrystowi na Stolicy Piotrowej otruć cesarza. Ciężko chory przywłókł się nasz pan Fryderyk z powrotem do Apulii. Tam oczekiwał go najbliższy powiernik i doradca, magister Piotr z Vinei. Medyk Piotra radził cesarzowi wziąć środek przeczyszczający i do tego specjalnie przyrządzoną kąpiel ziołową. W ostatniej sekundzie Hohenstauf został ostrzeżony i przymusił lekarza, zbrodniczo przekupionego przez papieża, aby w jego obecności wypił przygotowany lek. Ten przestraszył się śmiertelnie, udał, że się potknął, i rozlał prawie cały napój. Resztę kazał cesarz podać dwu skazańcom, których przyprowadzono z więzienia. Skonali na miejscu wśród straszliwych konwulsji. Niewiernego medyka, topiłbym go powoli w kąpeli – podniecał się Turnbull – natychmiast powieszono, a Piotrowi z Vinei, o którego współwinie cesarz był absolutnie przekonany, wykluto oczy i ślepego obwożono po wielu miastach jako odstraszący i ostrzegający przykład, póki nie udało się nieszczęśnikowi rozbić głowy o jakąś kolumnę...

Zatopiony w opisywaniu straszliwego wydarzenia starzec wcale nie spostrzegł, że dotarli do pawilonu, ale gdy zbliżyli się do wejścia, stojący tam wartownicy skrzyżowali włócznie i szorstko odprawili gości.

– Rozkaz Turanszaha! – oświadczyli.

Pojawiający się coraz liczniej żołnierze otoczyli ich wrogim kręgiem, póki nie przyniesiono w otwartej lektyce szambelana, który arogancko przegnał Czerwonego Sokoła z ogrodu.

– Fassr ad-Din Oktaj – syknął – nie wiem, czego pan emir tutaj szuka.

Czerwony Sokół milczał zmieszany, natomiast Turnbull zbeształ złośliwego karła.

– Czy mieliśmy, panie naczelnny ogrodniku, zboczyć z prostej drogi i nierozważnie zniszczyć jakiś piękny kwiat?

Abu Al-Amlak przełknął te słowa, a stary Jan atakował dalej.

– Jako poseł cesarza wędrowałem już po tym raj, gdy wasze ziemskie istnienie, synu olbrzyma, nie było jeszcze przez niego postanowione. Allah wie, dlaczego wasz ojciec się tak długo wahał...

Pierwszy szambelan stuknął laską na tragarzy, którzy spieszenie unieśli lektykę.

W pełnej szacunku odległości eskortowani przez żołnierzy, wlekli się z powrotem ku pałacowi. Nie spieszyli się, a Turnbull skracał drogę opowieścią o następnym smutnym wydarzeniu, które niedawno spotkało cesarza.

– Enzo, ukochany syn cesarza, także „naturalna” latorośl, którego Fryderyk uczynił królem Sardynii, wpadł w ręce Bolończyków. Nie uczynili mu nic złego, ale nie zamierzają

go oczywiście uwolnić za żaden okup świata. Nasz cesarz nie posiada się z gniewu i zmartwienia!

– Ja także! – dorzucił sarkastycznie Czerwony Sokół myśląc, jak jego przed chwilą potraktowano.

Zbliżyli się do tylnego wejścia do pałacu. Wyszła z niego zakryta kobieca postać. Serce Czerwonego Sokola uderzyło mocniej. Zamierzał podejść, skinął jej ręką na powitanie.

Strażnicy haremowi wciągnęli jednak Madulajn z powrotem do pałacu, a w oknie nad bramą ukazał się Abu Al-Amlak. Jego głos był pełen złośliwej radości.

– Ze względu na waszą niezmordowaną pasję, Fassr ad-Din Oktaju, wtykania swego sokolego dzioba w sprawy, których wam nikt nie zlecił, podobało się wielce szlachetnemu Turanszahowi wskazać waszym śmiałym skrzydłom odpowiedni cel...

Pierwszy szambelan musiał teraz chyba wejść na najwyższy stopień swej składanej drabiny, gdyż w oknie ukazały się jego cienkie nóżki.

– Polecicie w charakterze gołębia do Kairu. Wiadomość na waszej obrączce ogłasza radosne przybycie dostojnego Turanszaha do Damaszku!

Cisnął rolkę pergaminu, która upadła Czerwonemu Sokolowi pod nogi. Ponieważ emir nie okazywał najmniejszego zamiaru, aby ją podnieść, podbiegł jeden z wartowników i wręczył ją Janowi Turnbullowi.

– Pieczęć jest przyłożona ręką małych królów – dorzucił szyderczo szambelan. – Kazali was pozdrowić. Odjeżdżacie natychmiast.

Czerwony Sokół zobaczył, że od stajni prowadzono osiodłanego konia.

– Zatoszczcie się, stary przyjacielu – szepnął do Turnbulla – żeby dzieci możliwie jak najszybciej uszły z tego otoczenia! Nic nie jest tak odległe od Graala jak wschodnie dworskie intrygi.

Jan Turnbull uściskał młodego emira.

– A przecież wasze miejsce znajduje się gdzieś między Zachodem a Wschodem – próbował dodać mu odwagi.

– Z pewnością nie tutaj. – Czerwony Sokół wskoczył na siodło. – Nie będę strażnikiem pieczęci ginącego państwa Ajjubidów!

Dał koniowi ostrogę.

Sędziwy wielki wezyr Fachr ad-Din, naczelny wódz egipskiego wojska, po oddaniu Damietty ulokował główną kwaterę daleko w głębi delty Nilu pod miastem Al-Mansura. Aby tam dotrzeć, nieprzyjaciel musiał pokonać płataninę odnóg rzeki, połączonych kanałami. Do tej kwatery przybył teraz śmiertelnie chory sułtan. Osłabione trucizną ciało zaatakowały suchoty. Uciążliwa podróż pogorszyła stan chorego, co go napełniło złością. Nie przywitawszy nawet wiernego wezyra, kazał od razu aresztować wszystkich dowódców z plemienia Banu-Kinana i na miejscu powiesić, ponieważ nie bronili Damietty do ostatniego

człowieka. Także Fachr ad-Dinowi i mameluckim emirom dał odczuć, że popadli w niełaszkę. Wielkiemu wezyrowi, który nie znał strachu, a przede wszystkim był za stary na to, aby obawiać się śmierci, nie przeszkodziło to odwiedzić sułtana. Ajjub leżał złożony niemocą, choroba nie wypuszczała go ze swych szponów.

– Tak trzeba postępować z nieposłusznymi dezerterami i buntownikami! – przywitał swego sługę i wskazał z okna pałacu na plac apelowy obozu wojskowego; czołową stronę ozdabiała długie rusztowanie, z którego zwisały ciała Beduinów Banu-Kinana. – Dla mameluków ma to być lekcja...

– Albo zachęta do otwartej rewolty! – zaproponował Fachr ad-Din. – A tego chcę uniknąć w naszej sytuacji!

– Jeśli myślicie, stary przyjacielu, że ustępliwość się opłaca, obojętne w jakiej sytuacji – sułtanowi sprawiało trudność nadanie głosowi pożądanej twardości – musicie się pogodzić z tym, że albo będziecie teraz traktowani jako zgrzybiały starzec, albo jako zdrajca, który jest w zмовie z buntownikami, w istocie bowiem mamelucy z Bajbarssem na czele chcą mnie obalić. Rozkazuję wam natychmiast, żebyście mi pokazali jego głowę, w przeciwnym razie...

– Dajcie mi, dostojny panie, jedną godzinę! Mamelucy się podporządkują, a przecież wojsko, Egipt, potrzebują tych głów w tej ciężkiej chwili. Jeśli mi się nie uda przekonać o tej konieczności zarówno mameluków, jak i was, mój panie, wówczas odcięta głowa spocznie u waszych stóp. Moja!

Po tych słowach wielki wezyr skłonił się i opuścił sułtana. Nic nie gniewało go bardziej niż czyjś upór, zwłaszcza jeśli adwersarz nie mógł przytoczyć istotnych argumentów, lecz obstawał przy swoim „dla zasady”. Emir Rukn ad-Din Bajbars, nadzwyczaj zdolny komendant gwardii pałacowej, był właśnie takim typem, a słuchała go większość mameluckich oficerów. Fachr ad-Din musiał dostarczyć im przekonujących argumentów, którym daby wiary i które pobudziłyby ich dumę i miłość ojczyzny. Wielki wezyr przezwyciężył niechęć i nakłonił prowodyrów, aby odstąpili od swego zamysłu. Ajjub obsypał go teraz dowodami łaski i nawet podarował pierścień, który sam nosił na palcu od czasu objęcia panowania.

– Powinniście, panie – radził Fachr ad-Din swemu władcy – przedstawić chrześcijanom taką samą propozycję, jak to uczynił wasz ojciec przed trzydziestu laty...

– Wówczas butnie ją odrzucili – zaproponował gniewnie sułtan.

Wielki wezyr nie dał się zbić z tropu.

– I Dumjat znów przeszła w nasze ręce – ciągnął dalej. – Z tym procederem związany jest dobry omen. Zaoferujcie im więc odstąpienie Jeruzalem za oddanie naszego miasta! Jeśli przyjmą ofertę, dobrze, zwłaszcza że nie będą mogli utrzymać Jeruzalem. Jeśli odrzucą waszą dobroć, będziemy wiedzieli, że Allah ich zniszczy!

– Przygotujcie poselstwo! – powiedział sułtan zmęczony.

Suchoty sprawiały, że wypowiedzenie każdego słowa było dla niego wielkim wysiłkiem. Jednakże kazał się zanieść w lektyce do obozu i nadzorował osobiście przegrupowanie wojska. Nie atak był teraz pożądany, lecz obrona. Szczególną wagę przykładął do szykowania katapult o dalekim zasięgu, które mogły wystrzeliwać także osławiony „grecki ogień”, płonąca kleistą masę, wyrzucaną w glinianych garnkach, która nie dała się ugasić wodą. Dalsza troska sultana dotyczyła jednostek saperskich. Szybkie zbudowanie – i zburzenie – mostów na łodziach było bardzo ważne, aby ociężałego nieprzyjaciela móc zaatakować od tyłu.

Ale serce władcy było oddane samotnym wojownikom, którzy uzbrojeni tylko w sztylety mieli zakradać się nocą do nieprzyjacielskiego obozu i zabijać każdego, kto im wejdzie w drogę.

– Powinno to podkopać morale wroga bardziej niż każdy nawet najgenialniejszy tunel, jaki saperzy potrafią wydrążyć! – powiedział sultan do wezyra. – Nie dam temu błazeńskiemu królowi Franków satysfakcji. Dlaczego miałbym mu rzucić w paszczę święte Jeruzalem?

– Mogłaby się tam zmieszać krew obu proroków* – rozważał Fachr ad-Din. – Takie panowanie pojednałoby nas z chrześcijanami i powstrzymało ich od dalszych napaści na nasz kraj...

– Nie znacie czcicieli krzyża! – zaproponował sultan. – Oni dziś ukrzyżowaliby swego Mesjasza po raz drugi, gdyby nie zechciał podporządkować się arcykapłanowi w Rzymie...

– Nie byłby też prawowiernym katolikiem – podjął natychmiast myśl wezyr. – Uznaliby go za kacerza i prześladowali, tak jak prześladują królewskie dzieci ze swego plemienia. Nie! – ciągnął dalej Fachr ad-Din. – Powinniśmy myśleć czysto dynastycznie, dążyć do kombinacji mocniejszej, władczej linii krwi: połączenia dostojnego domu Ajjuba ze sławnym domem Hohenstaufa!

– Na Turanszahu nie można polegać – westchnął sultan – nie spłodził syna.

– Pozostawałby jeszcze wasz siostrzeniec, czteroletni Musa, on byłby w odpowiednim wieku – wezyr snuł dalej wątek. – Każemy dziewczynce przybyć do Kairu i poženimy dzieci...

– A kto je obroni? Cesarz, który nawet nie wysłał swojego syna Konrada, aby zajął przysługujący mu tron królów Jeruzalem?

– Właśnie dlatego to rozwiązanie musiałoby się spodobać Hohenstaufowi...

– Ale królowi Francji nie może się podobać – rzekł Ajjub – a on stoi *ante portas**, nie zaś wasz szanowny przyjaciel Fryderyk! Jestem stary, śmierć zagląda mi w oczy. Wy także nie jesteście najmłodszy.

– Toteż powinniśmy się starać przez śmiały ruch szachowy...

* Obaj prorocy – Jezus z Nazaretu i Mahomet.

* Ante portas (łac.) – przed bramami.

– Pozostawmy Allahowi los naszych potomków – powiedział sułtan kończąc rozmowę. – Jeśli chce nasze domy wywyższyć i połączyć, będzie wiedział, jak tego dokonać. Jeśli jego decyzja będzie inna, trudzimy się daremnie, *maszi'at Allah al-hakima* *.

Wezyr umilkł. Sułtan osunął się błady na oparcie lektyki. Był zmęczony.

Z diariusza Jana ze Joinville

Damietta, 27 września A.D. 1249

W naszym obozie szerzą się zarazy. Prawdziwy bicz Boży za występne życie, któremu oddają się zarówno panowie, jak i prości żołnierze. Innym dopustem jest nieustanne nękanie, którego nam nie szcędzą Egipcjanie, dzień i noc okrążający nasze namioty jak rój komarów. Ich jazda wciąż się gromadzi, tak że musimy obawiać się niespodziewanego ataku, potem znowu z bezpiecznego dystansu ostrzeliwują nas łucznicy. Pozbawieni snu, nie wychodzimy już ze zbroi.

Sam nawarzyłem sobie tego piwa, zamieniwszy, wbrew gwałtownemu sprzeciwowi mego sekretarza, rozkoszne życie w mieście na niedogodności obozu wojskowego za murami. Ale już choćby z powodu swojej kroniki chciałem być tam gdzie król, a nasz pan Ludwik pragnął pozostawać przy swoim wojsku, Tak więc zwolniłem się ze służby w cytadeli i wyjechałem z miasta wraz z królem.

Udałem się dzisiaj do namiotu władcy, aby mu zaproponować, że ze swymi ludźmi zrobię wypad, który powinien nam dać nieco oddechu i przysporzyć respektu.

Znalazłem pana Ludwika w pełnej zbroi w kręgu swoich ludzi; konetabl, nie czekając na odpowiedź króla, natychmiast mnie zbeształ, że bez wyraźnego rozkazu nie powinienem opuszczać wyznaczonego mi miejsca.

Podczas gdy się jeszcze spieraliśmy, ponieważ chciałem osobiście mówić z królem, jak do tego przywykłem, w obozie podniosła się wrzawa.

Pomyślałem najpierw, że wtargnął nieprzyjaciel, ale wtedy rozległy się oklaski. „Chatillon! Chatillon!” – niosły się okrzyki i ze wzgórze, na którym stał namiot królewski, zobaczyliśmy, jak pan Walter, rycerz ze sławnego rodu Chatillon, w pełnej zbroi kazał się podsadzić na rumaka bojowego, porwał sprzed namiotu proporzec ze swymi barwami i z tarczą zawieszoną jeszcze na plecach puścił się galopem. „Brawo, Chatillon!”, krzyczeli jego ludzie, nie mieli jednak zamiaru ruszyć za nim. Pan Walter jednym susem przesadził wał i rów, pędził prosto na wrogów, ale nim do nich dotarł, koń stanął dęba, zrzucił go i popędził dalej, włokąc rycerza za sobą ku zdumionej egipskiej jeździe.

* *Maszi'at Allah al-hakima* (arab.) – mądra wola Allaha.

– Ogier poczuł kobyły! – zażartował grubiańsko ktoś z królewskich ludzi, jednak śmiech nam przeszedł, gdy zobaczyliśmy, że kilku Egipcjan zsiadło z koni i z maczugami ruszyło na bezbronne leżące na ziemi pana Waltera.

Nie miałem przy sobie konia, ale konetabl pospieszył na ratunek ze swymi sierżantami. Egipcjanie rzucili się natychmiast do ucieczki, jak to mieli w zwyczaju, a silny jak niedźwiedź konetabl dźwignął pana Waltera i zaniósł w ramionach do namiotu. Nie czekałem na jego powrót, pożegnałem się cicho. Mój apetyt na wspaniałe osiągnięcia w samotnych potyczkach przeszedł mi zupełnie. Od mego kapłana Deana z Manruptu usłyszałem potem, że odważny do szaleństwa pan Walter jeszcze nie odzyskał mowy, a medycy puścili mu krew.

Późno w noc mój sekretarz zaczął mnie przekonywać, że powinniśmy odwiedzić rannego, co mnie zdziwiło, gdyż nie znałem go bliżej, a wedle mego rozeznania William także nie. Zaledwie opuściliśmy namiot, William powiedział, co chciał mi zwierzyć jedynie w cztery oczy:

– Rodzina Chatillon cieszy się złą sławą z powodu swego nieokiełznania co najmniej od czasu owego Rajnolda, który wielkiego Saladyna rozgniewał do żywego, tak że sułtan ściął zuchwalcowi głowę i zabrał nam Jeruzalem. Z pełnego chwały domu Chatillon wywodzi się jednak również święty Bernard z Clairvaux, założyciel zakonu templariuszy.

William przerwał, gdyż dogonił nas Dean z Manruptu, „aby nam towarzyszyć, gdy będziemy przy rannym bohaterze modlić się o jego wyzdrowienie”. Tak naprawdę mój spowiednik nie chciał pobożnej przysługi zostawić Williamowi z Roebruku i czuwał zazdrośnie nad swymi duchownymi przywilejami.

Kroczyliśmy więc w milczeniu ku namiotowi Waltera. Sługa Chatillona zatrzymał nas i poprosił, żebyśmy zachowywali się cicho, aby jego pana nie obudzić. Pan Walter leżał na polowym łóżku i gdy się do niego ostrożnie zbliżyliśmy, zobaczyliśmy, że jest martwy. Dean ukląkł i zaczął się modlić:

*Ex Adae vitio
nostra perditio
traxit primordia
Dei et hominum
per Christum dominum
facta concordia.*

– Amen – powiedział William, gdy znowu wyszliśmy na dwór. – Dziś po południu odbyła się rozmowa między templariuszami a hrabią Anjou – ciągnął szeptem – nieboszczyk pan Walter rozmawiał o tym z waszym kuzynem Janem, który nic pilniejszego nie miał do roboty, jak wydrwić mnie zamiast was, że wsiedliście na fałszywego konia. To nie joannici

zyskają uznanie, ani ich faworyt Robert z Artois, lecz templariusze! Czy ja na przykład sądzę, że taki człowiek jak pan Karol pozwoli się okpić swemu bratu, i to przy pomocy kacerskich dzieci?!

Pozwoliłem mu się wypowiedzieć, nim spytałem:

– I czego oczekiwaliście od pana Waltera?

– Na łożu śmierci niejeden pragnie ulżyć swojej duszy – uśmiechnął się. – Zwłaszcza jeśli mu się trochę dopomoże.

– To staranie zostało mu oszczędzone. Wy, Williamie, powinniście się wstydzić, memu sekretarzowi jednakże dziękuję za ostrzeżenie!

– Oznacza to – ciągnął William nieporuszony, ale zniżonym głosem – że inni wiedzą o sprawie...

– Macie na myśli pana Anjou?

– Tak – odparł mój sekretarz – i przez to życie Jezy jest bezpośrednio zagrożone, gdyż pan Karol będzie miał chyba skrupuły, by podnieść rękę na swego brata, ale nie zawaha się zabić dzieci.

– Przeorat Syjonu będzie umiał temu przeszkodzić!

– Ostatecznie z pewnością tak, co jednak wiemy o wszystkich ryzykownych posunięciach w tej grze? Może Przeoratu przypadną do gustu górnotne plany Anjou, może będzie mu się podobało poszczuć Kapetynga na Kapetynga? Nie lekceważcie Anjou, który jutro wstępuje do zakonu, jeśli to...

– Templariusze nie będą w tym współuczestniczyć! – zaprotestowałem.

– Skąd mają wiedzieć o jego morderczych zamiarach? – przygwoździł mnie William. – Cicho, zbliża się król!

Z ciemności, bez pochodni, aby wroga nie naprowadzać na cel, nadszedł król z orszakiem. Szambelan Chatillona obwieścił przygnębioną śmierć swego pana. Wówczas król Ludwik powiedział głośno:

– Mógłbym zrezygnować także z tysiąca rycerzy, gdyby byli tacy jak pan Walter, oznaczałoby to bowiem, że lekceważyłoby moje rozkazy, jak to uczynił ten rycerz!

Wszyscy milczeli przygnębieni, a król dorzucił:

– Nikomu to czekanie nie przychodzi ciężej niż mnie. Jednak podjęliśmy decyzję, aby nie wyruszać dalej, póki nasz brat Alfons nie przybędzie z posiłkami. Dawno powinien tu być. – Zwrócił się do mnie przyjaźnie: – Nie mamy żadnych wieści i napawa to nas wielką troską...

Wtedy wystąpił mój stary Dean z Manruptu.

– Wasza Królewska Mość – powiedział – dlaczego arcychrześcijański król nie sięgnie po nasuwający się zbawienny środek...

Nie dowierzałem własnym uszom.

– ...i nie nada swojej słabej nadziei pokornego wyrazu przez błagalną procesję?

Król popatrzył na niego zdumiony, a potem zwrócił się do swoich ludzi:

– Wciąż jesteśmy zawstydzani przez prostych kapłanów! – I rzekł do mnie: – Drogi Joinville, skoro macie w swej służbie tak zacnych ludzi, urządźcie procesje. Będą trwały tak długo, póki hrabia Poitou do nas nie dotrze!

Damietta, 24 października A.D. 1249

*Ave maris stella,
Dei mater alma,
Atque semper virgo,
Felix coeli porta.*

Chorobliwe ambicje joannitów oraz sterowana nieznaną ręką tęsknota Kapetyngów za imperialną godnością stały się naprawdę niebezpieczne, gdy postanowiono wciągnąć w grę dzieci. W grę, do której włączyły się siły, które dopuszczały tylko jedno wyjście. Poświęcenie pionka nie zadowoliłoby ich wyzywającej dumy i wcale nie oznaczało, że figury, jak na przykład moja skromna osoba, zostaną oszczędzone.

W każdą sobotę odbywały się teraz zarządzane przez króla procesje. Wychodziły z kwatery papieskiego legata i szły przez całe miasto do kościoła Najświętszej Marii Panny, Matce Bożej bowiem został poświęcony dawny meczet.

*Solva vincla reis,
Profer lumen caecis,
Mala nostra pelle,
Bona cunctis posce.*

Procesje nie przeszkadzały Egipcjanom zakradać się co noc do naszego obozu i podstępnie mordować śpiących.

I tak szlachetny pan de Courtenay znalazł rano swoich wartowników we krwi, bez głów, gdyż sułtan za każdą głowę chrześcijanina płaci złotą bizantyńską monetą.

Po tym wypadku Anjou zabronił strażom obozowym pełnienia służby na koniach, ponieważ wówczas uchodzą ich uwagi Beduini, wijący się po ziemi między namiotami jak jaszczurki. Kazał także wykopać rów wokół obozu i wzmocnić piaszkowe wały, aby przynajmniej połowa wojska mogła spać, podczas gdy druga połowa będzie trzymać straż.

Monstra te esse matrem:

Sumat per te preces.

Qui pro nobis natus,

Tulit esse tuus.

W niedzielę po trzeciej procesji poskutkowało wstawiennictwo Matki Bożej: przyplynał hrabia Poitou ze znaczną flotą i przywiózł długo oczekiwane posiłki z Francji.

Król Ludwik wezwał wszystkich dowódców do siebie, do pałacu sułtańskiego w mieście. Nie przybył tylko hrabia Anjou, który dowodził obozem. Król na wstępie podał nam do wiadomości, że propozycję sułtana, by wymienić Damiettę za Jeruzalem, pozostawił bez odpowiedzi. Nie pertraktuje z poganami.

Potem oznajmił, że obecnie jesteśmy dostatecznie mocni, by posunąć się naprzód ku Kairovi.

Hrabia Piotr z Bretanii, któremu Anjou przekazał swój głos w radzie, poddał natychmiast pod rozagę myśl, że byłoby mądrzej zaatakować Aleksandrię. Taki krok zaskoczyłby wroga; mamy teraz dość statków, aby pokonać wszystkie odnogi Nilu i kanały, własna flota chroniłaby też nasze flanki. Wraz ze zdobyciem Aleksandrii, w której przeciwnie niż w Damietcie, jest port dla zaopatrzenia, opanowalibyśmy całe śródziemnomorskie wybrzeże Egiptu. Odciętego od wszelkiego handlu sułtana wkrótce rzucilibyśmy na kolana.

Baronowie z Ziemi Świętej, którzy gorzko doświadczyli działania takiej blokady, przytaknęli mu natychmiast. Ale Robert Artois gwałtownie sprzeciwił się postępowaniu, które pachniało wojną handlową, nie zaś chrześcijańską wyprawą krzyżową.

– Kto chce zabić węża, musi rozdeptać mu łeb! – przekonywał.

Wbrew oczekiwaniu pan Ludwik zgodził się z nim i wtedy większość dowódców, którym znudziła się długa bezczynność i chcieli tylko jednego – żeby się wreszcie coś działo, nie wniosła sprzeciwu, ba, przystała na to, żeby się przypodobać królowi. I tak sprawa została przesądzona.

Damietta, 20 listopada A.D. 1249

Wyruszamy! „Na Kair!” – niósł się okrzyk po pustoszejących uliczkach obozu. W Damietcie zostawiał król tylko patriarchę Jeruzalem i silny garnizon, mający bronić ciężarną królową. Po oktawie świętego Remigiusza skończyły się coroczne wylewy i woda opadła. Fellachowie, którzy chcieli teraz uprawiać pola pokryte żyznym mułem, dostrzegli nas,

uciekali przestraszeni. Niebawem zaczęliśmy odczuwać pragnienie, jednak woda wydawała mi się brudna i niezdatna do picia.

William zwrócił mi uwagę na to, że w czasie swej podróży na Daleki Wschód słyszał, iż jeśli się przez noc pozostawi w wodzie pokruszoną fasolę lub orzechy, następnego ranka jest ona klarowna jak ze źródła.

Nie wierzyłem w ani jedno słowo jego opowieści o przygodach na dworze wielkiego chana Mongołów, wiedzę tę przypisywałem wrodzonej chłopskiej przebiegłości minoryty.

Spróbowaliśmy tego sposobu. Użyliśmy migdałów i rzeczywiście rano woda była czysta i wcale nie gorzka czy stęchła w smaku.

Wkrótce potem natknęliśmy się na małą odnogę Nilu, przekroczyliśmy ją po szybko usypanej tamie, która spiętrzoną wodę odprowadzała do głównego nurtu. Przy tej okazji zostaliśmy gwałtownie zaatakowani, jednak nieprzyjaciel nadal unikał frontalnego starcia.

Letnia rezydencja sułtana leżała na skraju miasta, nad brzegiem Nilu. Służyła kiedyś jako zamek myśliwski. Potem przeniesiono tutaj część haremu; była to zapobiegliwość, która Ajjubowi na nic się teraz nie zdała.

Zastanawiał się nad swoim panowaniem, które późno rozpoczął. Skąpe dwanaście lat upłynęło od chwili, kiedy umarł jego ojciec, Al-Kamil, a on, tak jak rodzic, prawie wszystkie siły poświęcił na trzymanie krewnych w szachu. Ajjubidzi byli parweniuszami, nie dziw więc, że nie odczuwali respektu przed akurat panującym, lecz żyli w przekonaniu, że o każdej porze z tym samym prawem mogą zająć jego tron. A w Egipcie pozostali obcymi, którzy musieli się opierać na tureckich żołnierzach najemnych, a więc na podobnych do nich, gdyż także ojciec Saladyna przybył nad Nil z Kurdystanu.

Mamelucy również nie byli miękką poduszką, raczej deską z gwoździami, jakich używają fakirzy z dalekich Indii, by wypróbować zdolność do zatracenia się w medytacji i oderwania od cielesności. Ajjub nie był fakirem, odczuwał ból fizyczny, cierpiał z powodu swoich ułomności, tak jak cierpiał na skutek niesubordynacji mameluków. Wypalić ich jak wrzód? Ale co potem? Oni byli jego podporą.

Tak więc rozkazał, by jego syn, Turanszah, wychowywał się z dala od nich, ażeby chłopcu nic nie mogli uczynić, zanim dorośnie i dojrzeje; wtedy sam się obroni. Teraz jednak mówiono, że pobyt w Dżazirze rozpieścił młodzieńca, zniechęcił do sprawowania władzy. Turanszah nie chciał wcale zostać sułtanem. Może to i lepiej. Jeśli jego następcą nie będzie stanowczy, a nawet okrutny, rozrąbią go na sztuki, posiekają. Ku swemu zdumieniu sułtan zauważył, że te i wszystkie inne sprawy stały mu się obojętne, wydało mu się, że spoczywa na jakiejś chmurze, a wszystko przepływa obok niego na innych chmurach, nie czuł już żadnego gniewu, żadnej nienawiści, a także żadnego strachu. Ciekawe, jak oni sobie poradzą bez niego!

Chmurą także było jego łoże boleści, na którym spoczywał otulony prześcieradłami i chustami, ale nikt z otaczających go lekarzy i sług, nawet jego wezyr, nie wiedział, że on w każdej chwili może odlecieć na swojej chmurze. Sułtan uśmiechnął się chytrze.

Cenił letnią rezydencję z powodu świeżego powietrza, lekkiego powiewu od rzeki i cienistych palm. Spoglądał w górę ku gołębiowi, trzeciemu dziś, którego wypuścił w przestworza mistrz jego posłańców. Ten gołąb powinien sprowadzić Turanszaha, jego syna, ażeby go mógł jeszcze raz uściskać.

Ajjub, leżąc na wznak, śledził lot gołębia, póki ptak jak mały biały punkt nie rozplynął się na jasnym niebie.

Z diariusza Jana ze Joinville

Na brzegach Nilu, 6 grudnia A.D. 1249

W dzień świętego Mikołaja ciągnęliśmy dalej, wciąż otoczeni przez hordy jeźdźców, którzy strzelali do nas z łuków. Król zakazał nam jak najsurowiej odpowiadać na te ataki bądź dać się sprowokować do wypadów. Ten zakaz został chyba przez szpiega przekazany Egipcjanom, których poczynania stawały się coraz zuchwalsze. Cierpieli od nich zwłaszcza templariusze, tworzący straż tylną. Gdy jeden z braci zakonnych przeszyty oszczepem zsunął się z konia u boku marszałka Renalda z Vichiers, ten dłużej nie wytrzymał.

– W imię Boże! – krzyknął do swoich rycerzy. – Bij psubratów! Nie mogę już tego znieść!

Poderwał wierzchowca, a cały oddział poszedł w jego ślady. Ponieważ mieli świeże konie, dogonili uciekającego w przerażeniu wroga i wycięli do nogi, z wyjątkiem tych, którzy powpadali do rzeki i utonęli. Potem panowie templariusze dołączyli znów do głównych sił, jakby nic się nie zdarzyło.

A król nie powiedział nic.

W mieście Al-Mansura, które stanowiło ostatnią przeszkodę na drodze do Kairu, sułtan leżał na łożu śmierci. Allah uwolnił go w końcu od cierpień w trzy dni po wyruszeniu króla Ludwika i jego wojska na Kair.

W tej krytycznej sytuacji wiadomość o zgonie Ajjuba mogła oznaczać koniec ajjubidzkiego sułtanatu w Egipcie. W Kairze nikt nie wiedział, czy jedyny syn i spadkobierca zmarłego, Turanszah, przebywa jeszcze w dalekiej Dżazirze, czy znajduje się już w drodze do Damaszku. Tron egipski uratowała owdowiała sułtanka Szadszar, Armenka, która na czas przybyła do Mansury.

Wtajemniczyła w swój plan tylko dwie osoby: nadzorcę harem, eunucha żydowskiego pochodzenia imieniem Gamal ad-Din Mohsen, i wielkiego wezyra Fachr ad-Dina.

– To mądra myśl – powiedział naczelnny eunuch do Fachr ad-Dina, gdy Szadszar odeszła do swoich komnat – aby śmierć sułtana zachować na razie w tajemnicy. Cóż za dzielna kobieta!

Wezyr zmierzył go badawczym spojrzeniem. Dobrze byłoby wykorzystać gadatliwość eunucha.

– Ciało trzeba natychmiast zabrać do harem. Wy, Gamalu, jesteście przede mną odpowiedzialni za stały dopływ wiadomości o dobrym zdrowiu sułtana i małych radościach – nie przesadzonych! – w kręgu jego dam.

Naczelnny eunuch przemilczał, co energiczna sułtanka właśnie robi: fałszuje *alama** swego zmarłego małżonka i przygotowuje dokument, który czyni Gamala ad-Din Mohsena nadzorcą całego pałacu, włącznie z gwardią, a wielkiego wezyra – głównodowodzącym wszystkich wojsk państwa.

Tym samym zapewniła sobie najpilniejsze bezpieczeństwo: od wyłącznej hegemonii wielkiego wezyra, a przede wszystkim wobec – *Al-Hamdu li-Allah!** – od stojących w polu buntowniczych mameluków.

Szadszar ad-Durr spojrzała zimno, gdy wniesiono do jej komnaty zawinięte w chusty ciało sułtana. Zadowolona obu starców, żądnych władzy dostojników. Teraz mogła się oględnie zająć sporządzeniem testamentu, ustanawiającego sułtanem Turanszaha, który zresztą nie był jej synem. Nie miała dzieci, a Musa, jej siostrzeniec, był jeszcze za mały.

Postanowiono, że wiadomości o pogorszeniu się stanu zdrowia sułtana będą sączone po kropelce, w miarę jak uzyska się pewność co do czasu przybycia Turanszaha. W momencie podania wiadomości o śmierci sułtana Turanszah musi już mieć władzę w rękach.

Sędziwy wezyr chciał się właśnie udać do swojej kwatery, gdy do Mansury dotarł Czerwony Sokół i przekazał sprzysiężonym wiadomość, że Turanszah przybył do Damaszku i zgodnie z życzeniem swego ojca objął tam panowanie.

Powiadomili Fassr ad-Din Oktaja, syna wielkiego wezyra, o śmierci Ajjuba. Wielki wezyr, a także naczelnny eunuch dziwili się, że nie otrzymali żadnej odpowiedzi na przesłane Turanszahowi za pośrednictwem gołębi zaszyfrowane wiadomości.

– Czyżby żaden gołąb nie dotarł do Damaszku?

Czerwony Sokół nie umiał na to pytanie odpowiedzieć. Bardzo niechętnie dał się skłonić do wyznania:

– Wedle mego osobistego przekonania Turanszah nie ma szczególnej ochoty na objęcie tronu w Kairze.

* Alama (arab.) – podpis władcy (wykonywany przeważnie za pomocą szablonu).

* Al-Hamdu li-Allah! (arab.) – Allahowi niech będą dzięki!

– Podobnie – rozległ się za ich plecami głos sułtanka – jak pewne kręgi w stolicy nie mają ochoty, aby go tam widzieć przy władzy.

– Dostojna władczyni, czcigodny ojciec – powiedział Czerwony Sokół – gdybym wiedział o powadze sytuacji, nie przybyłbym bez szlachetnego Turanszaha.

– Fassar ad-Din Oktaju, godny synu wielkiego ojca i wiernie mi oddany emirze – powiedziała sułtanka – pomimo że ciężką podróż macie za sobą, muszę was prosić, byście wrócili do Damaszku i jak najszybciej sprowadzili stamtąd Turanszaha.

– Udaj się do Aleksandrii, mój synu – powiedział wielki wezyr, gdy znów byli sami. – Dostaniesz tam do dyspozycji statek, który cię bezzwłocznie zawiezie do Tyru...

– Egipski statek naraża się na niebezpieczeństwo, że pod Damiettą zostanie ujęty – oświadczył natychmiast Czerwony Sokół.

– Ale nie wenecki! – uśmiechnął się ojciec. – A w Tyrze zaprzyjaźnieni rycerze przyjmą księcia Selinuntu i z pewnością odprowadzą aż do bram Damaszku.

– Tam muszę się już chyba sam zatroszczyć o swoje bezpieczeństwo! – uśmiechnął się z kolei syn, chociaż wcale mu nie było do śmiechu.

Wielki wezyr przeszedł z nim jeszcze kilka kroków.

– Przywieź ze sobą dzieci! – powiedział półgłosem, albowiem w tej sytuacji szept wzbudziłby podejrzenie.

Czerwony Sokół był zaskoczony.

– Skąd wiecie, panie ojciec, o dzieciach?

– Czyń, co ci powiedziano! – wielki wezyr podniósł głos i położył rękę na ramieniu syna. W drzwiach za nimi ukazał się naczelny eunuch.

II

POWSTRZYMANIE ZWYCIĘSKIEGO POCHODU

Z diariusza Jana ze Joinville

Pod Mansurą, 14 grudnia A.D. 1249

*Praeliti et barones
comites incliti
religiosi omnes
atque presbyteri
milites mercatores
cives marinari
burgenses piscatores
praemiantur ibi:
Ave Maria!*

Tak śpiewali żołnierze.

Posuwaliśmy się już więcej niż dwa tygodnie wzdłuż Nilu, stale przekraczając nowe odnogi i sztuczne kanały. Mój sekretarz zaproponował, abym wyprosił u króla, żebyśmy mogli jechać w przedniej straży, którą tworzyli joannici. Zapytałem, czy ogarnęła go nagła tęsknota za sławą bohatera lub czy za jego pragnieniem nie kryje się życzenie, aby z Janem z Ronay rozwijać nowe konspiracyjne plany, o których nic nie powinienem wiedzieć.

– Urzędujący wielki wezyr nie jedzie odsłonięty na czele wojska, lecz w orszaku króla – odpowiedział mi chytrze William – ale czy nie zauważyliście fellachów, którzy przysiadają na skraju drogi, na matach wystawiają na sprzedaż świeże owoce i rozmaite smakowitości, których im dostarcza Ojciec Nil, jak nazywają rzekę? Zawsze, kiedy my przechodzimy obok nich, maty są już puste, wyjedzone do czysta przez straż przednią!

– To jest rzeczywiście motyw, dla którego nie powinniśmy bać się śmierci – pochwaliłem go – za kilka bulw, na wpół zgniłych owoców i niedojrzałych orzechów chcesz oddać swoje młode życie?

William jednak myślał o tym poważnie.

– Chłopi tutejsi umieją współżyć z rzeką – odpowiedział – wieczorem zarzucają sieci, a rano wyciągają je pełne. Mam niepohamowaną ochotę na świeżo złowioną rybę. Sprzykrzył mi się zawsze spleśniały chleb, a w niedzielę kwaterka zaoszczędzonego wina.

Tak więc pojechałem do królewskiego konetabla, który niechętnie patrzył na to, gdy się go pomijało, i ofiarowałem się, że ze swymi ludźmi wzmocnię straż przednią. Popatrzył na mnie zdumiony i mruknął, że także tam obowiązuje rozkaz króla: żadnych samowolnych ataków na wroga!

Obiecałem mu to chyba zbyt gorliwie, gdyż nagle wrócił do swego wyniosłego zachowania i odprawił mnie ze słowami:

– Jeśli wasza kronikarska głowa nie zamierza się przyozdobić wojennym wawrzynem – poczułem powiew zazdrości – nie widzę żadnego powodu, żebyście się oddalali od naszego pana króla, który wyłącznie zasługuje na waszą uwagę.

I kazał mi zająć wyznaczone miejsce w pochodzie wojskowym.

*Reginae comitissae
illustres dominae
potentes et ancillae
iuvenes parvulae
virgines et antiquae
pariter viduae
conscendunt et hunc montem
et religiosae:
Ave Maria!*

Mój sekretarz był rozczarowany, że musimy zrezygnować z kulinarnych smakołyków *Abu Tajjarat*, Ojca wszystkich rzek. Opowiedział mi, że już sułtan Saladyn pragnął się dowiedzieć, skąd to błogosławieństwo przychodzi. Wysłał wywiadowców w górę rzeki, którzy wrócili dopiero po wielu miesiącach i opowiedzieli, że daleko za ruinami świątyń królewskich miast natknęli się na skaliste góry, gdzie woda, klarowna jak ze źródła, spadała w dół kaskadami, w górze na skałach rosły bardzo gęsto zielone drzewa, a czarni ludzie smukłej postaci i niezwyklej piękności, ozdobieni złotem, ale poza tym nadzy, jak ich Pan Bóg stworzył, spoglądali na nich w dół.

– Czyżby dotarli do raju? – spytał na zakończenie z tęsknotą.

– Raj przedstawiam sobie zawsze jako wybrzeże Flandrii – powiedziałem, żeby go rozżłościć – pełne brzuchatych ludzi o białej skórze i rudych włosach!

*Princepes et magnates
ex stirpe regia
saeculi potestates
obtenta venia
peccaminum proclamant
tudentes pectora
poplite flexo clamant
hic: Ave Maria!*

Trzy dni przed świętami Bożego Narodzenia dotarliśmy do największej odnogi Nilu, jaką do tej pory napotkaliśmy. Egipcjanie nazywają ją Bahr as-Saghir, co po arabsku oznacza „małe morze”. Była rzeczywiście tak szeroka, że stanowiła prawdziwą przeszkodę. Usłyszeliśmy także, że za nią oczekuje nas cała armia egipska pod miastem, które nazywają *Al-Mansura*, Zwycięskie. To mógł być dobry znak, pytanie tylko dla kogo.

Dobrą wieścią była w każdym razie pogłoska, że sułtan zmarł ze strachu na nasz widok i naczelne dowództwo znajduje się teraz w słabych rękach wdowy oraz sędziwego wielkiego wezyra.

Król Ludwik kazał rozbić obóz bezpośrednio nad brzegiem, właśnie naprzeciwko Mansury.

Skrzydlaty poseł trzepocząc się z podniecenia opuścił *bajt al-hamam* w gospodarczej części sułtańskiej rezydencji i mocno bijąc skrzydłami pofrunął ponad wierzchołkami palm oazy Mansura na wschód. Zaledwie jednak minął zewnętrzne umocnienia i ujrzał już przed sobą migoczącą wodę Bahr as-Saghir, gdy prawie pionowo wzniosła się strzała i przeszła mu pierś. Poklasku, którym otoczenie nagrodziło strzelca, ptak nie mógł już usłyszeć, koziółkując runął w drgawkach na ziemię.

Jeden z mameluków podniósł go i wyciągnął strzałę; ciało gołębia przebiegło drzenie, łebek zwisał bezwładnie. Mameluk przejął nawoskowaną rurkę trzciniową, a ptaka wrzucił do rzeki. Z pełnym szacunku ukłonem przekazał wiadomość emirowi Bajbarsowi.

– Słusznie, Bundukdari, nosicie przydomek „Łucznik”.

Zagadnięty uśmiechnął się tylko ponuro, rozwinął pergamin i jednym spojrzeniem przebiegł skąpą treść.

– Ponieważ gołębie „zabłądziły”, wyślą teraz Czerwonego Sokoła, aby zniewieściły synek zmierzającego właśnie do piekła Ajjuba przejął wreszcie panowanie!

Zmiał pergamin, lecz wetknął go do kieszeni.

– Czy mamy zabić Czerwonego Sokoła? – spytał ktoś z gromady oddanych Bajbarsowi mameluków.

– Nie, jego stary ojciec na to nie zasłużył. Wystarczy, jeśli Fassr ad-Din Oktaj nie dotrze do Damaszku.

Niewolnicy milami nieśli po łądzie wiosłową galerę, jeśli nie nadarzał się żaden kanał w poprzek delty z jej zmierzającymi ku morzu rozgałęzieniami, by wreszcie dotrzeć do takiej odnogi Nilu, która uchodziła do jeziora Mareotis. Na jego przeciwległym skraju leżała Aleksandria, gdzie na Czerwonego Sokoła oczekiwał handlowy statek wenecki.

Wioślarze niewolnicy stękając z wysiłku spuścili łódź na wodę, wprowadzili do niej po drewnianym pomoście konia swego gościa, a gdy także on sam znalazł się na pokładzie, wzięli się do wiosł, aby sprawnie osiągnąć środek rzeki, gdzie prąd zmniejszyłby ich trud. Z przeciwległego brzegu odbiły trzy *dau* i postawiły żagle.

Rybacy, pomyślał Czerwony Sokół, ludzie spokojni. Żaglowce jednak szybko dogoniły i otoczyły wiosłową galerę. Piraci!

Było ich zbyt wielu, ocenił sytuację emir, a jego niewolnicy nie mieli broni. Kapitan piratów, tłusty Fenicjanin, zawołał do niego:

– Nie stawiajcie oporu, dostojny panie, a włos nie spadnie wam z głowy!

Czerwony Sokół podniósł się, było już dla niego jasne, że napad dotyczy wyłącznie jego osoby.

– Przejdźcie tylko tutaj! – wezwał go uprzejmie pirat. – Nie będzie wam brakować wygód!

– Nie przejdę bez mego konia – odparł emir zdecydowanie – i póki mi nie powiecie, kto was wysłał.

Tłuszcioch wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ten, kto nas opłacił, kupił także nasze milczenie.

– Zapłacę więcej, niż kto inny może wam zaoferować...

– Mylicie się, dostojny panie. Policzcie nasze głowy, a zrozumiecie, ile mamy do stracenia, jeśli się teraz nie poddacie i nie zmienicie statku, oczywiście razem z waszym koniem!

Czerwony Sokół zrozumiał, że musi się poddać. Skinął głową na znak zgody.

Kilku piratów przeskoczyło na galerę; przrzucili drewniany pomost od burty do burty i przeprowadzili ognistego rumaka na pokład *dau*. W pewnym momencie koń wierzgnął; pirat, trafiony kopytem w pierś, wpadł do wody i utonął. Bez korzystania z pomostu Czerwony Sokół przeskoczył na *dau* i uspokoił konia.

Piraci zarzucili sieć na wioślarzy, a potem wszystkich zakłuli. Kiedy już nikt się nie poruszał, obciążyli sieć i galerę kamieniami, uderzeniami siekier przedziurawili dno i szybko przeskoczyli z powrotem na *dau*, nim galera pogrążyła się w gliniastych nurtach Nilu.

– Jakie są warunki? – zwrócił się Czerwony Sokół do kapitana.

– Jesteście, panie, naszym gościem – odpowiedział tamten uprzejmie – dopóki nie otrzymamy inaczej brzmiących rozkazów!

– Wiemy – powiedział Abu Al-Amlak i popatrzył zadowolony dookoła – ile zwierząt żywych bądź martwych przeprowadzają lub przenoszą każdego tygodnia przez bramy miasta wieśniacy, myśliwi i handlarze oraz ile wypędzają z powrotem. Z pozostałych w mieście zwierząt, odjąwszy to, co odpadnie wskutek niezręczności rzeźnika lub myśliwskiego pecha strzelca, chyba wszystkie skóry, powiedzmy potrącając jeszcze jedną dziesiątą, dostają się w ręce garbarzy. Dlaczego więc garbarze twierdzą, że przymierają głodem?

Posiedzenie odbywało się w *ka'at mahkamat ad-dara'ib*, sali sądu podatkowego w pałacu sułtańskim w Damaszku. Rosz i Jeza siedzieli za masywną barierą, która odgradzała rzeczników prawa, *ka'ilu al-hakk*, od skarżących się i oskarżonych. Pierwszy szambelan przysiadł na niezwykle wysokim stołku, który mu pozwalał znaleźć się na tej samej wysokości co dzieci. Ponad nimi zasiadał tylko Turanszah. Widać było wyraźnie, że się nudzi, zwłaszcza że zawołowana piękność u jego boku z zainteresowaniem śledziła rozpoczynającą się rozprawę i ignorowała jego rękę domagającą się pieszczoty.

– Wysłuchajmy więc przedstawicieli garbarzy – zachęcił Turanszah swoich ławników, ale Jeza odwróciła się i powiedziała:

– Proszę, jeszcze nie. Powinniśmy najpierw przesłuchać poborcę podatków.

Abu Al-Amlak rzucił do góry pytające spojrzenie, które zdradzało dumę z jego podopiecznych, a Turanszah uśmiechając się skinął głową. Był to uśmiech, którego nie mógł zresztą przekazać siedzącej obok damie. Madulajn patrzyła prosto przed siebie. Abu Al-Amlak klasnął w ręce i do sali wprowadzono poborcę podatków.

Był to wysoki, silnie zbudowany człowiek o niskim czole. Miał związane ręce, ale mimo to strażnicy pozostali przy nim.

Rosz zagłębił się w studiowaniu leżącego przed nim pergaminu.

– Wasz rejon bazaru, dzielnica garbarzy, obejmuje trzydzieści siedem garbarni z ponad setką pomocników, nie licząc członków rodzin – zagaił sprawę. – Jak to się dzieje, że każdego roku dostarczacie mniej podatków?

Poborca o byczym karku zacisnął pięści.

– Ponieważ te cuchnące psy twierdzą, że muszą płacić coraz więcej za swe cuchnące skóry i coraz mniej za nie otrzymują!

Jeza przerwała mu.

– Nie powinniście mówić tak źle o rzemiośle, bez którego nie mieliby co robić kuśnierze i siodlarze, bo nie byłoby wyprawionych skór i delikatnych futer z popielic. Jeśli tu coś cuchnie, to chyba raczej wasza działalność.

Poborca podatków zdumiony wybałuszył oczy w stronę bariery, za którą nigdy nie spodziewał się zobaczyć dziecka, do tego dziewczynki. Instynkt mu podpowiedział, że lepiej się nie buntować.

– Jak długo pełnicie swój urząd? – zadał Rosz pytanie czysto retoryczne, gdyż znał odpowiedź z posiadanych dokumentów. – Pięć lat! I mimo takiego doświadczenia nie zastanowiło was, że składy towarowe kuśnierzy i siodlarzy są pełniejsze niż kiedykolwiek, każda sztuka posiada wypalony wasz stempel, a wasze wpływy z podatków zmniejszyły się więcej niż o połowę?

– Ceny mięsa także się nie zmieniły – dorzuciła Jeza.

– Rozważcie dobrze, co macie odpowiedzieć – napomniął teraz Abu Al-Amlak stojącego przed nim poborcę, ten jednak zignorował jego ostrzeżenie i podniósł krzyk:

– A wetknąć garbarzy w te ich cuchnące ługi, potem zawiesić i tak długo tłuc, aż uczciwie oddadzą sułtanowi, co sułtańskie!

Strażnicy zacisnęli więzy szalejącemu poborcę, póki nie umilkł. Jeza wymieniła z Roszem porozumiewawcze spojrzenie.

– Do skrzyni! – poleciła zimno.

Strażnicy podprowadzili poborcę do skrzyni w kształcie trumny, wsadzili do niej i zamknęli wieko.

– Delegacja cechu garbarzy! – rzucił teraz Rosz i wprowadzono trzy postacie o niezdrowych cerach i szorstkich rękach. Rzucili się przed barierą na ziemię.

– Wyjaśnijcie nam – zażądała Jeza – po ile kupujecie skóry, jakie ponosicie koszty i po jakiej cenie sprzedajecie wasze towary!

Także garbarze byli zdziwieni na widok młodej damy, która im stawiała takie pytania, jednak ich rzecznik skłonił się i powiedział:

– Płacimy za skóry zazwyczaj od wołu, za wielbłądy o połowę więcej, za tuzin gazeli podwójnie. Nie może to być zresztą więcej niż jedna trzecia ceny, którą nam po wyprawieniu płacą handlarze – dodał wyjaśniająco.

Rosz zanotował to i skinął zachęcająco głową rzecznikowi garbarzy, który zawahał się, gdyż ze skrzyni dobiegły głucho przekleństwa i złorzeczenia, a głos dobrze mu był znany.

– Potem – ciągnął dalej – musimy doliczyć jedną dziesiątą za ług w zbiornikach i kadziach, i następną za czynsz...

– A więc pozostaje wam połowa, z której jesteście winni sułtanowi jedną trzecią? – spytał Rosz.

– O nie, dostojny panie – odparł z zażenowaniem garbarz. – Pan poborca nie troszczy się o nasze koszty. Żąda od nas jednej trzeciej od ceny, za którą musimy sprzedać towar, inaczej nie daje nam stempla, a bez niego nikt nie przyjmie od nas kawałka skóry, ponieważ jest to karalne.

– I w ten sposób pozostaje wam z całości jedna piąta? – dociekała Jeza. – Za waszą pracę, dla waszych rodzin i pomocników?

– Tak jest, niestety, i z tego nie możemy wyżyć!

– I te pieniądze płaciliście zawsze?

– Dopóki mogliśmy. Ale już nie możemy. Chociaż otrzymujemy skóry na kredyt. Nie mamy środków na zakupienie ługu, jesteśmy winni za czynsze, podobnie zalegamy z wypłatami.

– Przynieście tu skrzynię! – polecił Abu Al-Amlak strażnikom.

Postawili skrzynię przed barierą.

Z kocią zwinnością mały szambelan pochylił się i zabębnił pięściami po skrzyni z tego końca, gdzie znajdowała się głowa poborcy.

– Oszust! Oszust! Każę cię utopić, pociąć piłą!

Urwał i nasłuchiwał, ale spod wieka nie doszła żadna odpowiedź.

– Przewróćcie skrzynię – rozkazał Abu Al-Amlak wściekły. – Nie, postawcie ją do góry nogami! – krzyknął, gdy strażnicy nie od razu pojęli jego polecenie.

Jęk dobył się ze skrzyni, do której karzeł, wskoczywszy na barierę, przyłożył teraz ucho.

– Oszukałeś sułtana! – krzyknął. – Każę cię...

W końcu dał się słyszeć zduszony jęk:

– Zwrócę wszystko!

Szambelan tryumfował.

– Otwórzcie! – zawołał i strażnicy otwarli skrzynię, lecz nie wyciągnęli z niej poborcy, który wciąż stał na głowie.

– A więc przyznajesz się?

Poborca przewracał oczyma, miał chyba także trudności z rozwarciem szczęk.

– Zwrócisz wszystko, wszystko?

Rozległo się tylko zduszone rżenie.

– Połóżcie skrzynię na płask! – poleciła Jeza.

Zaledwie poborca znalazł się znów na plecach, wyrzucił z siebie gwałtownie:

– Wszystkie pieniądze? Śmiechu warte! – szydził. – Dzieci, czy wy wierzycie, że można zostać poborcą podatków, nie zapłaciwszy za to?

Jego zapuchnięte oczy iskrzyły się złością.

– Kto cię zrobił poborcą podatków? – spytał rzeczowo Rosz, a Jeza dostrzegła, że teraz karzeł spogląda jeszcze gniewniej na mężczyznę przed sobą.

Poborca o byczym karku zająknął się, ale wyrzucił z siebie:

– Pan nadzorca haremu!

– Tego przestępcę sułtan, wasz dostojny ojciec, kazał już powiesić! – rzekł Abu Al-Amlak do Turanszaha. I potem, zwracając się do mężczyzny w skrzyni, zawołał: – Tobie

zostanie wyrwany język, ponieważ kłamałeś, wyklute jedno oko, ponieważ tak czy tak widzisz tylko połowę, i odcięta jedna dłoń, ponieważ nią do własnej kieszeni...

– Nie tak prędko! – przerwała mu Jeza. – Sędziami jesteśmy my, królewskie dzieci. A my oddalimy się, aby się naradzić. Ten człowiek pozostanie w skrzyni. Strażnicy ręką za jego bezpieczeństwo aż do ogłoszenia wyroku!

Rosz dodał jeszcze:

– Posiedzenie jest tylko przerwane!

Dzieci popędziły na dół do parku.

– Dobrze ryknęły małe lwiątko! – Turanszah podniósł się z uśmiechem. – Cóż za wspaniały język! Jesteście znakomitym nauczycielem dla młodej pary władców – oznajmił łaskawie szambelanowi.

– Wyostrzyłem ich umysły jak damasceńską klingę.

– Uważajcie tylko, żeby kochani malcy nie przycięli wam kciuków!

Zaproponował dwornie ramię Madulajn, która nieuważnie śledziła rozprawę, pogrążona w myślach. Panowanie jest fascynujące! Turanszah nie wydawał się nim zauroczony. Madulajn natomiast czuła, że ta fascynacja ogarnia ją jak odurzająca trucizna, jak narkotyki, którego jeszcze nie знаła. A może wczuła się już tak bardzo w rolę księżniczki Salentyny, o której względy ubiegali się potężni mężczyźni, a odważni jej pożąдали? Nie zapomniała o Czerwonym Sokole, tylko o biednym Firuzie myślała już niewiele.

Szła w milczeniu za panem pałacu do jego komnat. Spojrzawszy przez wysokie okno, zobaczyła karła, jak ciężko stąpając włókł się przez ogród, a także dzieci biegnące w kierunku stajen.

Madulajn zauważyła z niechęcią, że stół w dużej sali jadalnej znowu nakryto dla wszystkich przyjaciół Turanszaha. Od przybycia całej świty z Dżaziry chodząca twardo po ziemi Saracenka z trudem znosiła hałaśliwe towarzystwo tych tracących amatorszczyzną poetów, pseudoplatoników, neopitagorejczyków i epigońskich arystotelików oraz ich pyszałkową paplaninę.

Mało było wśród nich osób ciekawych, myślących, w większości byli to pieczeniarze albo pozerzy. Dekoratorzy i krawcy prześcigali się w propozycjach wystawnej dekoracji pomieszczeń i kroju paradnych szat. Stroje z adamaszku, brokatu i jedwabiu, pozbawione wszelkiego smaku! Ugniatacze gliny i pacykarze marzyli – więcej niż nad tym pracowali – o marmurowych biustach i monumentalnych portretach. Ale Turanszah znajdował w pochlebach upodobanie, czuł się dobrze w otoczeniu „artystów i myślicieli”, i nie rozumiał, dlaczego Madulajn chce wyłącznie z nim i w spokoju spożyć posiłek.

Saracence coraz bardziej podobał się młody sułtan. Miał władzę, a nie przykładał do niej żadnej wagi. Rządził innymi właściwie od niechcienia. W małej jadalni, która łukami

otwierała się na tarasy i park, natychmiast nakryto dla Madulajn, podczas gdy służba grzecznie wyprosiła znajdującego się tam jedyne gościa.

Był to stary Jan Turnbull. Turanszah, nie zważając na zmarszczkę niezadowolenia, która przecięła gładkie czoło uwielbianej księżniczki, posłał służących za wypróbowanym posłem nadzwyczajnym swej rodziny z prośbą o dotrzymanie mu towarzystwa przy stole.

To jest typowe dla Turanszaha, pomyślała Madulajn. Ochocho ustępuje w jednej sprawie, by postawić na swoim w drugiej!

Może powinna się uczyć od tego bladego młodzieńca elastyczności w postępowaniu z ludźmi?

Wniesiono chłodzone melony i granaty. Sługa zobowiązany do próbowania potraw obierał owoce ze skóry, kroił je, próbował srebrnym widelcem po kawałku z każdego, nim podał tacę na stół.

– Jeśli widelec szernieje albo ten człowiek zsinieje, wówczas każę pięknie pozdrowić mego kuzyna An-Nasira!

– A propos – powiedział Turnbull – dzieci was prosiły, żebyście się zwrócili do pana Homsu o uwolnienie ich przyjaciół...

– Poleciliśmy Ojcu Olbrzyma, aby sporządził taką prośbę i zadbał o jej wysłanie. Dzieci własnoręcznie ją opieczętowały, nieprawdaż, moja księżniczko?

Madulajn skinęła głową potakująco. Nie powiedziała, że podyktowała karłowi pismo w takim tonie, który wykluczał pozytywną odpowiedź. Nie miała nic przeciwko uwolnieniu małego Mahmuda, ale musiała zapobiec pojawieniu się Klarion, prawdziwej cesarskiej córki i hrabiny Salentyń; także Szirat mogłaby jej przeszkodzić w zrealizowaniu planów.

Zmusiła się do uśmiechu. Turanszah przyjął z wdzięcznością odzyskaną przychyłość.

Na zewnątrz przejechały konno dzieci. Nikt się nie dziwił, że jechały same, bez zwykłego towarzystwa mameluków.

Sprzątnięto owoce, wniesiono teraz sałaty i smażone raki, których skorupy rozgniatał ten sam sługa od próbowania potraw i wyjmował delikatne mięso. Kosztował je i podawał na stół.

– Marzę o tym – zwierzył się Turanszah Turnbullovi grzebiącemu w zamyśleniu w stojącej przed nim sałacie – żeby kiedyś móc bez reszty poświęcić się sztuce jako mecenas i nauce jako badacz i konstruktor.

– Chwałą nadzwyczaj waszą poetycką wenę – zauważył dyplomatycznie Turnbull.

– Lizusy chwałą także korzenny smak pochwyconego w locie *sputum* *! – roześmiał się Turanszah. – Jestem nędznym wierszokletą, ale mam wybitne zdolności do budowania różnych konstrukcji, do obliczania siły funkcjonujących mechanizmów. Chcę poświęcić życie studiowaniu matematyki stosowanej, badaniu praw natury...

* Sputum (łac.) – ślina, płwociny.

– I bardzo odpowiedzialnym obowiązkom rządu, wielki Turanszahu – wtrąciła nagle Madulajn, która dotąd z rosnącym niezadowoleniem śledziła te wywody.

Młody sultan popatrzył na nią zdumiony.

– Rządzenie nie jest obowiązkiem, lecz uzurpacją. Allah karze za to utratą sił i zużyciem umysłu, a lud odpłaca niewdzięcznością.

– Komu Bóg dał władzę – oburzyła się Madulajn – ten nie powinien nią pogardzać! Urodziliście się władcą i jesteście nim z Bożej łaski!

Płomienny protest księżniczki rozbawił Turanszaha.

– Jeśli Allah zechce ze mną postąpić łaskawie, oszczędzi mi życia w charakterze nadętej żaby, z żelaznymi kulami u nóg i z krwią na rękach!

– Moglibyście nadać sens wysokiemu urzędowi, czynić dobro jako mąż przynoszący pokój... – spróbował załagodzić Jan Turnbull, ale Turanszah nie pozwolił mu dokończyć.

– Pokój? – szydził. – W tym świecie? Rzucacie wasze królewskie dzieci, w przyszłości królów pokoju, do misy nienawiści i mordy, między plemię jaszczurcze, do gniazda skorpionów! – ofuknął przestraszonego tą gwałtownością Turnbulla. Zmitygował się, złagodził swój ton i powiedział poważnie: – Gdyby dzieci Graala chciały i mogły zdjąć mi z ramion ciężar panowania, pierwszy bym się im pokłonił i ucałował ich ręce.

Wszyscy troje przestali jeść i przez salę przeciągnął powiew ciszy, jakby bezgłośnie uderzając skrzydłami przeleciał niewidzialny rajski ptak.

Turnbull widział się bliżej niż kiedykolwiek marzenia swoich starych dni, a Madulajn rozważała gorączkowo, czy powinna cenić tę rezygnację z tronu, czy nią pogardzać.

Myślała, że nie czuje nic do tego bladego młodzieńca o wysokim czole i delikatnych rękach, który stawał się jej tym bardziej obcy, im bardziej wyjawiał swoje wnętrze, i który zabiegał o jej względy w sposób tak ostentacyjny, a zarazem tak nienatrętny.

Teraz poczuła nagle, że jej ciało, którego w żadnym wypadku nie chciała wprowadzać do gry, pożąda Turanszaha. Och, tylko nie to!...

Musiała zająć jakieś stanowisko w rozmowie, gdyż słowa młodego władcy były skierowane bardziej do niej niż do sędziwego posła.

– Wraz z intronizacją dzieci Graala jako królów pokoju Wschodu i Zachodu spełni się stare marzenie ludzkości – powiedziała, ukrywając swoje prawdziwe myśli.

Uśmiechnęła się do Turanszaha i podała mu rękę. Panować można także za pośrednictwem dzieci, pomyślała, może nawet daleko skuteczniej!

Turanszah podniósł jej rękę do ust. Oczy Jana Turnbulla podejrzenie zwilgotniały.

Dzieci kłusowały przez park, zadowolone, że przy stajniach nie znalazły swoich nauczycieli jazdy, a także nikogo, kto przeszkodziłby im wyprowadzić konie z boksów, osiodłać i ruszyć na przejażdżkę.

– Czy dla ciebie jest jasne, że tego okropnego poborcę podatków ustanowił nasz złośliwy karzeł? – spytała Jeza.

– Oczywiście – odparł Rosz – już dawno rzuciło mi się w oczy, że wraz z objęciem przez niego urzędu podatki handlarzy w kasbie* zwiększyły się zadziwiająco, ale żadna nadwyżka wpływów nie została odnotowana w księgach państwowej kasy. Powiększyła się tylko liczba rąk odciętych z powodu złodziejstwa...

– Jasne – powiedziała Jeza – ludzie musieli porzucić pracę, jeśli im w ogóle nie skonfiskowano warsztatów czy sklepów, i pozostał im tylko żebraczy kij.

Rosz skinął głową.

– A jeśli byli zbyt dumni, by żebrac, sięgnęli do cudzych kieszeni!

Przejechali obok wolier, nie zatrzymawszy się jak zawsze, by popatrzeć na czyszczenie piór, dziobanie i stroszenie się różnobarwnej gromady. Nie zwrócili również uwagi na to, że ptaki fruwały podniecone, a ich śpiewy i trele brzmiały jak ostrzegawczy krzyk.

– Wcale by mnie nie zdziwiło – dodał jeszcze Rosz – gdyby Ojciec Olbrzyma maczał palce w trucicielskim zamachu na dobrego sułtana Ajjuba, za co został wtedy skazany naczelnym eunuchem.

– To do niego podobne! – zawołała Jeza. – Zatruc dywan, po którym się chodzi bosą!

– Kto się tak wielu ludziom każe opłacać, ten weźmie także pieniądze od An-Nasira. Nie wiadomo, czy rzeczywiście wysłał list dotyczący uwolnienia Mahmuda i Szirat.

Rosz i Jeza dotarli do rewiru dzikich zwierząt, ale za żelaznymi kratami nie drzemał żaden lew. Drzwi stały otworem.

Tuż za dziećmi trzasnęły łamane gałęzie i z głośnym parsknięciem wyskoczyła lwica. Jednym ciosem łapy rozerwała bok koniowi Jezy. Zaatakowane zwierzę skoczyło do przodu. Jeza, wyrzucona z siodła, poleciała w stronę wierzchowca Rosza, udało się jej złapać konia za szyję. Przestraszony stanął dęba, a Jeza uderzyła o pręty klatki i przytomnie mocno się ich uczepiła.

Rosz z trudem utrzymał się w siodle, jego koń popędził przed siebie na oślep. Rumak Jezy powlókł się jeszcze kilka metrów, potem z krzaków wyskoczyło z rykiem całe stado i rzuciło się na ofiarę.

Jeza nie przyglądała się temu, lecz wspinała się zawzięcie po klatce w górę, aż drżącymi nogami znalazła oparcie na poprzecznych prętach.

Tymczasem Roszowi udało się opanować wierzchowca.

– *Baucent à la rescousse!* – krzyknął.

Ten okrzyk bojowy słyszał u templariuszy, teraz dodał sobie nim odwagi. Popędził rumaka i pogalopował z powrotem ku rewirowi drapieżników. Lwy posilały się oddalone o trzy długości konia od klatki. Ledwie spojrzały, gdy Rosz przemknął między nimi a klatką.

– Za następnym razem zabiorę cię stąd! – zawołał do Jezy.

Dziewczynka miała tak kurczowo zaciśnięte szczęki, że nie mogła ich w ogóle rozewrzeć. Nie ze strachu, lecz z bólu w poobijanych nogach i otartych rękach. Przy tym rozsądek mówił

* Kasba (arab.) – stare miasto, centrum miasta, często umocnione murami.

jej, że Rosz, zamiast odgrywać bohatera, zrobiłby lepiej, sprowadzając z pałacu pomoc. Ale Rosz już okrążył klatkę i nadjechał tym razem wolniej i tuż przy samej kracie.

Drapieżne koty, każdy ze swą częścią zdobyczy, wycofały się w zarośla, powarkowały, parskały, ale nie miały zamiaru atakować. Rosz podprowadził konia jak najbliżej miejsca, gdzie siedziała Jeza.

Dziewczynka wahała się, bała się zeskoczyć na konia, wtedy jednak nagły ryk lwa wyrwał ją z odrętwienia. Wyciągnęła nogę, wymierzyła skok, tak by rękami z obu stron objąć szyję rumaka, i odepchnęła się od prętów. Rosz wyciągnął ręce i chwycił ją wpół. Na szczęście arab był tak mądry, że tym razem nie stanął dęba. Zarżał z dumą i przyspieszył kroku, jeźdźcy wcale nie musieli go popędzać. Zaniósł swój ciężar swobodnym klusem do pałacu.

Nadbiegli strażnicy, zdjęli Jezę z grzbietu konia i ułożyli na trawie.

W oknie na górze ukazała się głowa Abu Al-Amlaka. Zwracały uwagę jego oczy. Błyszczały gniewnie.

*

– Dlaczego wysłaliście tego starca o zmaconym umyśle do Aleksandrii?

Madulajn ułożyła się na adamszkowych poduszkach i wzięła do ręki kiść winogron. Turanszah siedział jeszcze przy stole i spoglądał na nią w zamyśleniu.

– Prosiłem Jana Turnbulla, aby zbadał tam w gronie uczonych mężów i w bibliotece uniwersytetu, czy słusznie zamierzamy te dzieci, które nie opierają się na tradycji naszej wiary ani nie mogą się powołać na pochodzenie od naszego proroka, mimo wszystko osadzić na tronie i podnieść do godności władców wszystkich wiernych...

– I niewiernych! – Madulajn opanowała się szybko. – Czy chcecie, panie, rzeczywiście zrezygnować z przysługującego wam tytułu sultana?

– Chcę się zrzec władzy...

– Byłoby to łatwiejsze do przyjęcia – poddała chytrze myśl – gdybyście uczynili ten krok dopiero po formalnym objęciu tronu. Wówczas wrogowie nie mogliby tego poczytać wam za słabość, kapłani musieliby się z tym pogodzić, a lud by się nie zbuntował!

W tym momencie zapukano gwałtownie do drzwi i straż zameldowały, że dzieci zostały napadnięte przez lwy, ale czują się dobrze.

Turanszah zerwał się od stołu.

– Gdzie one są?

Powiedziano mu, że wróciły do *ka'at mahkamat ad-dara'ib*, ponieważ trzeba proces doprowadzić do końca. Turanszah podał ramię Madulajn i udali się spieszenie do sali sądowej.

Za barierą siedziały dzieci i Abu Al-Amlak. Przed nimi w skrzyni leżał poborca; ktoś zamknął wieko.

Jeza miała rękę na temblaku i opatrunek na czole. Gdy Turanszah i Madulajn zajęli za dziećmi miejsca, Rosz zarządził, jakby się w ogóle nic nie zdarzyło:

– Wprowadzić garbarzy!

Zaledwie jednak nieliczna delegacja weszła na salę, straż zameldowała, że przybyło poselstwo asasynów.

– Mogą poczekać – zdecydował Turanszah.

Jeza odwróciła się i zauważyła nieco spłoszone spojrzenie Madulajn, która przed chwilą lekkim potrząśnięciem głowy skłoniła młodego sułtana do takiej wypowiedzi.

– Życzymy sobie natychmiast zobaczyć to poselstwo – oznajmiła Jeza stanowczo. – Powinno uczestniczyć w zakończeniu rozprawy i potem przedstawić swoje życzenie!

Turanszah dał znak i strażnicy wprowadzili asasynów.

Na ich czele kroczył Crean, a za nim młodzieniec niosący przed sobą trzy złączone sztylety, symbol zakonu. Crean popatrzył nieco zirytowany na Rosza i Jezę za barierą, potem skłonił się przed Turanszajem i Madulajn, absolutnie nie zdradzając, że poznaje Saracenkę.

– Pozdrawiamy cię, wielce szlachetny Turanszahu, synu dostojnego sułtana, *Allah jahfizak**

– Usiądźcie, drogi Creanie z Bourivanu – przerwał mu Rosz – i pozwólcie, że doprowadzimy do końca jedną sprawę, nim otworzymy nową.

Crean uczynił, co mu kazano, gdy tymczasem Turanszah, zaskoczony sformułowaniem chłopca, wymienił nerwowe spojrzenie z Madulajn. Poszukał jej ręki.

– Podjęliśmy decyzję – ciągnął Rosz – że cały majątek nieuczciwego poborca zostaje skonfiskowany, a on sam jako niewolnik oddany garbarzom!

– Na pięć lat! – dodała Jeza. – Bo tak długo ich oszukiwał.

– A gdzie kara za to, że oszukiwał sułtana? – wtrącił się teraz Abu Al-Amlak. – Mamy mu te pieniądze podarować?

– Po pięciu latach jest wasz – zdecydował Rosz spokojnie, a Jeza poleciła:

– Wyciągnijcie go ze skrzyni, chcę go jeszcze o coś spytać...

Dwu wartowników podeszło do skrzyni i podniosło wieko. Poborca podatkowy nie poruszał się, z jego oczu wyzierało przerażenie. Strażnicy trącili go, potrząsnęli za ramię.

– On nie żyje – zwrócił się do Rosza jeden z wartowników.

– Niemożliwe! – gorączkował się Abu Al-Amlak. – Czyżby odebrał sobie życie ze strachu przed sprawiedliwą karą?

– To faktycznie niemożliwe... – zaczął Rosz, ale Jeza mu przerwała:

– Cech garbarzy przez pięć lat jest wolny od podatku. Rozprawa zostaje zamknięta. – Zimna pasja malowała się na jej twarzy. – Wynieście skrzynię!

* Allah jahfizak (arab.) – Allah niech zechce zatroszczyć się o twoją duszę.

Dziewczynka odwróciła się do Creana z wymuszonym uśmiechem.

– Witajcie! Przedstawcie swoje życzenie. Bez obawy!

Crean podniósł się, stanął przed swoją delegacją i zdziwiony skierował swoje słowa ponad dziećmi do Turanszaha.

– Nasz kanclerz przysłała mnie – zaczął bez ogródek – aby wezwać was do oddania dzieci naszemu zakonowi, któremu zostały powierzone przez wyższą władzę.

Tym razem Turanszah raczył sam dać odpowiedź. Wstał nawet w tym celu ze swego miejsca.

– Po pierwsze, nawet budzący postrach zakon asasynów nie może tutaj nic żądać, jedynie prosić. Po drugie, jak może tego żądać, jeśli swój obowiązek troski o powierzone mu królewskie dzieci wyraźnie zaniedbał. I po trzecie, rozstrzygną o tym same królewskie dzieci. Je zapytajcie!

Crean zachował zimną krew. Skierował wzrok na Rosza i Jeżę.

– Proszę, wróćcie!

Dzieci wymieniły porozumiewawczy uśmiech, ustalając, kto powinien się odezwać.

– W każdym miejscu – odpowiedziała Jeza cicho – pozostajemy tak długo, jak długo powinniśmy. Jesteśmy podróżnikami, i kto tak jak wy, Creanie, wie, co to jest Wielki Plan, musi również wiedzieć, dlaczego nie możemy już przebywać w Masnacie...

– Co wcale nie znaczy – pospieszył Rosz z pocieszeniem – że nie wrócimy. Jednak na pewno nie teraz.

– My was kochamy! – wybuchnął Crean. – Oddalibyśmy za was nasze życie...

– Za to będziemy wam zawsze wdzięczni – powiedział Rosz – wiemy też, że kiedy znajdziemy się w potrzebie, możemy na was liczyć. Jednak my istniejemy dla wszystkich, nie możecie zawłaszczyć nas tylko dla siebie.

– Prawdziwa miłość – dodała Jeza – służy, daje, oddaje się, nie pyta o warunki ani o zapłatę. Nikt nie może nas przy sobie zatrzymać!

Rosz był bliski łez, ponieważ widział, jak Crean cierpi, był także dumny z Jezy, z jej słów o miłości.

– Pozdrówcie od nas czcigodnego pana Tarika – rzekł – i wszystkich w Masnacie, a szczególnie drogich starców w bibliotece!

– Nie zapomnimy was. – Głos Jezy także się teraz łamał. – Myślmy o was i czujemy, jak wasze modlitwy towarzyszą nam i nas osłaniają, zwłaszcza jeśli się nas naraża na niebezpieczeństwo.

– Pozostaniecie zawsze z nami! – zakończył Rosz. – W naszych sercach!

Crean w milczeniu zgiął kolano. Dzieci okrążyły barierkę, podbiegły i uściskały go. Podniósł się, skłonił przed Turanszahem i opuścił salę sądową, reszta poselstwa poszła jego śladem.

Jeza i Rosz popatrzyli za nimi, potem również skłonili się przed młodym sułtanem, który na stojąco śledził wzruszającą scenę. Odpowiedział na ich pokłon, składając dłonie, tak jak się nauczył od sufich w Dżazirze. Był szczęśliwy, bo dzieci dobrowolnie z nim pozostały. Był też dumny, bo zamierzył im oferować uciążliwe panowanie, a okazały się tego godne.

Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że wypowiedziana przez Creana formułka powitalna powinna właściwie brzmieć: „niech Allah obdarzy go długim życiem”.

– Poślijcie za nimi strażników i każcie zapytać, co wiedzą o moim ojcu! – polecił Abu Al-Amlakowi, który wspiał się na swoją składaną drabinę i przyglądał odjeżdżającym asasynom.

Karzeł odwrócił się powoli.

– Allah powołał go do siebie, dostojny sułtanie, niech Allah obdarzy cię długim życiem!

Turanszah nie okazał zaskoczenia, nie poczuł także bólu. Allah tak postanowił, że do niego, Turanszaha, należy teraz decyzja. Postąpi w tej sytuacji, jak zechce.

– Nadeszła także wiadomość od An-Nasira – dodał Abu Al-Amlak. – Potężny pan Homsu jest gotów wymienić swoich zakładników tylko za królewskie dzieci.

– Może ich sobie zatrzymać! – powiedział Turanszah gniewnie, ale pierwszy szambelan ośmielił się sprzeciwić.

– Jeśli Wasza Wysokość zamierza udać się do Kairu, aby wstąpić na tron swego pana ojca, wówczas byłoby rozsądniej mieć jako zakładnika i gwaranta waszej osobistej pomyślności syna mameluckiego emira Bajbarsa, dowódcy pałacowej gwardii.

– Gdybym to uczynił, nie musiałbym już się troszczyć o moją przyszłość, Ojciec Olbrzyma – rzekł Turanszah. – Asasyni znieśli wprawdzie cierpliwie odmowę, ale jest to sprawa wyłącznie między nimi, królewskimi dziećmi i wyższymi władzami, które stoją za dziećmi. Gdybyśmy my, dwór w Damaszku, odesłali je do An-Nasira, cały zakon od Syrii aż po daleką Persję nie spocząłby, póki by nie uśmiercił winnych, niewiele znaczące figury jak ja, oraz wielce wpływowe figury jak wasza, Ojciec mózgu od siedmiu skorpionów.

Turanszah poprosił Madulajn, żeby mu towarzyszyła. Poszli przez park.

– Abu Al-Amlak miał jednak trochę racji – powiedziała Madulajn. – Powinniście się, panie, zabezpieczyć przez zakładników, jeśli już koniecznie chcecie się udać do Kairu...

– Muszę, moja księżniczko, wróg stoi nad Nilem.

– Wasz wróg siedzi w Kairze! Wydaje mi się, że od mameluków grozi wam większe niebezpieczeństwo niż od chrześcijan, dlatego...

– Ani słowa więcej, księżniczko – przerwał jej Turanszah. – Dzieci pozostaną przy mnie i ja będę je ochraniał.

– Ochrońcie raczej siebie! – rzuciła Madulajn gniewnie. – Dokąd właściwie idziemy?

– Odprowadzam swoją ukochaną do jej pawilonu, w nadziei...

– Nie róbcie sobie, panie, żadnej nadziei! – rzekła szorstko. – Nie mogę się oddać człowiekowi, który tak lekkomyślnie naraża życie na niebezpieczeństwo...

– Co mogę uczynić, żeby mimo wszystko pozyskać waszą przychylność?

– Każcie się przynajmniej ukoronować – odpowiedziała Madulajn – na koronowanej głowie nawet mamelucy nie położą tak szybko ręki, mój panie i władco!

Zatrzymała się i chciała go delikatnie uścisnąć, gdy jej wzrok pobiegł w dal ponad jego ramieniem ku stajniom.

– O Boże! – wykrzyknęła.

Na szpicach żelaznych sztchet otaczającego stajnie płotu tkwiły, jedna przy drugiej, ludzkie głowy. Pełnili tam straż obaj Nubijczycy, którzy zwykle strzegli pawilonu.

Madulajn odwróciła pobladałą twarz. Turanszah przywołał do siebie obu strażników.

– Pierwszy szambelan – zawołali, rzucając się na ziemię przed młodym sułtanem – kazał poucinać głowy wszystkim, z których winy lwy chciały pożreć dzieci: mamelukom, strażnikom rewiru, stajennym.

Turanszah nie powiedział nic. Pociągnął Madulajn za rękę z powrotem do pałacu.

– Masz rację jak zawsze, księżniczko. Każę się najpierw koronować, później zatroszczę się o porządek. Dzieci są jeszcze za młode, za dobre dla tego świata. Wypędzę wroga z kraju, a potem wycofamy się oboje, moja piękna i mądra księżniczko!

– Tego karła przepędziłabym najpierw do diabła – oznajmiła Madulajn, zamiast zareagować czułym gestem na miłosne wyznanie młodego sułtana.

– Na takie odejście Abu Al-Amlak nie zasłużył, nie chcę też szajtanowi* wyrządzić nic złego. – Turanszah mówił z chłodną arogancją, w jego tonie dało się wyczuć zimne okrucieństwo. – W trakcie uroczystości koronacyjnych lud lubi się zabawić nadzwyczaj osobliwym widowiskiem. Wymyślę coś, co w szczególny sposób zaspokoi jego niskie instynkty.

– Takiego was pragnę! – szepnęła Madulajn głosem ochrypłym z podniecenia.

Gdyby ją teraz popchnął na marmurowe schody pałacu, oddałaby mu się bez oporu.

Z diariusza Jana ze Joinville

Pod Mansurą, 30 stycznia A.D. 1250

Od ponad sześciu tygodni stoimy obozem naprzeciw nieprzyjaciela, oddzieleni jedynie odnogą Nilu Bahr as-Saghir. Za nią leży Mansura, ostatni bastion na drodze do Kairu.

W ostatnią niedzielę adwentu – albo trzynastego dnia ramadanu, jak mówią muzułmanie – rozbiliśmy na brzegu namioty. Rzeka jest głęboka i ma silny nurt. Król jednakże rozkazał natychmiast zacząć sypać tamę. Aby chronić robotników, którzy musieli wbijać pale i sypać kamienie, zbudowano dwie drewniane ruchome wieże strażnicze i ustawiono je po obu

* Szajtan (arab.) – szatan, diabeł.

stronach punktu wyjściowego. Potem przesunięto je do przodu, a za nimi zaczęto kłaść faszynę*, także pod ochronnym dachem na kółkach. Było to konieczne, gdyż zaledwie nasi ludzie posunęli się o sążęń do przodu, w budowniczych uderzyły z łoskotem kamienie ciskane ponad wodą z szesnastu katapult.

My także dysponowaliśmy machinami miotającymi, było ich nawet osiemnaście, tylko że nasze miały mniejszy zasięg i pociski przeważnie wpadały z pluskiem do Bahr as-Saghir. Mimo to robotnicy nadal sypali tamę, która wcinała się już daleko w rzekę.

Ale wódz naczelný przeciwnej strony był chytrym lisem. Wielki wezyr, którego nasi – z prawdziwego respektu! – nazywali Szededynem*, kazał dokładnie naprzeciwko tamy wykopać dziury w skarpie nadbrzeżnej, w której spiętrzony przez nas nurt już tak czy tak wypłukiwał ziemię; w ten sposób powstało głębokie wcięcie brzegu i nasza tama znalazła się tak samo daleko od niego jak przedtem.

Ten Szededyn, co miało znaczyć „Syn starego szejka” i stanowiło tytuł honorowy, był od śmierci sultana regentem, nieograniczonym panem Egiptu. Miał na swoim proporcu nie tylko herb króla Aleppo* i sultana Kairu, lecz także cesarza Fryderyka, mówiono nawet, że Hohenstauf własną ręką pasował syna wielkiego wezyra na rycerza i nadał mu tytuł księcia Selinuntu. Teraz ten starzec podjął wojnę przeciwko nam i musiałem przyznać: prowadził swój lud bardzo rozważnie i śmiało!

W Wigilię William „wystarał się” o wspaniały okaz tłustego nilowego karpia, a mój wierny Dean z Manruptu pobłogosławił stół i pomodlił się za nas, nie ufał bowiem w tym względzie Williamowi. Tego dnia przed naszym obozem pojawili się, nie wiedzieć skąd, Saraceni i zabili kilku żołnierzy, którzy poszli łowić ryby.

Nalozyliśmy zbroje, ale nie zrobiliśmy tego dostatecznie szybko, by nadażyć za moim sekretarzem, który już rzucił się w wir walki. Przekazałem mu dwuręczny miecz z majątku rodzinnego Joinville’ów i mnich posługiwał się nim w sposób budzący trwogę najbliższego otoczenia, przede wszystkim zaś tych, którzy stali za nim. Przyjaciele często prosili, żebym mu odebrał straszliwą broń.

Także tym razem wymachiwał żelazem dookoła, a ponieważ jego przeciwnicy żwawo uskoczyli na boki, stracił równowagę i upadł na nos. Gdyby się nie pojawił konny patrol templariuszy, musielibyśmy dokończyć posiłek bez niego, gdyż leżał na ziemi jak wywijający nóżkami chrząszcz, bezbronny, wśród nieprzyjaciół. Dopiero Renald z Vichiers, marszałek, i Gwidon z Plessis, młody komtur z Tortosy, wyrwali go z bitewnego zgiełku.

* Faszyna – związane pęki wikliny bądź gałęzi służące min. do umacniania ziemnych wałów.

* Szededyn – „syn starego szejka”; imię utworzone przez chrześcijan, nie rozumiejących tytułów arabskich; tak samo powstały imiona Saladyna i jego brata Sefadyna.

* Król Aleppo – Aleppo, Mosul i Damaszek miały rangę siedzib królewskich; król stał w hierarchii ponad emirem, ale poniżej sultana.

Gdy zasiedliśmy ponownie do wystygłego już karpia, dzielny William opowiedział nam, że Szedyn obiecał swoim ludziom, iż w dzień świętego Sebastiana, a więc za miesiąc, będzie jadł w czerwonym namiocie króla.

Ten stary lis skierował także do ludności Kairu odezwę, którą odczytano z ambony wielkiego meczetu; wzywa ona do *harb al-kabir*, do wielkiej wojny.

Mój sekretarz zrobił chytrą pauzę.

– Tylko że tekst nosi jeszcze podpis zmarłego sultana; sporządził tę odezwę chyba Baha ad-Din Zuhajr, sekretarz i znany poeta. Ścisłe biorąc, wziął tylko i upiększył czterdziesty pierwszy werset sury Koranu *At-Tauba*, co znaczy „skrucha”: *Infuru chifafan wa sikalan wa-dzahidu...* – William kazał nam skosztować jako przekąski swej znajomości arabskiego: – „Ruszajcie do walki, lekko – i ciężkozbrojni, i walczcie majątkiem i krwią za religię Allaha, tak powinniście, tylko zechciejcie to pojąć”.

Mój mądry sekretarz opowiedział od razu o reakcji Egipcjan.

– Lud pije chciwie takie wielkie słowa, zwłaszcza że jeszcze nie wie o śmierci Ajjuba. Całe gromady zgłaszają się do wojska.

William, władający arabskim, zna takie historie od jeńców i zbiegów, twierdzi nawet, że wie, ilu naszych prowadzono już jako jeńców ulicami Kairu.

Nie pozwoliłem mu mówić, gdyż król pod najsurowszą karą zabronił poruszać ten temat.

W każdym razie ataki przybrały na sile, Egipcjanie wysyłali przez rzekę coraz więcej konnych jednostek i z naszego chwalebego marszu na Kair zrobił się porwany łańcuch obronnych potyczek.

– Widziałaś machineę? – spytał podniecony Rosh.

Dzieci z trudem zaprowadzono do łóżka. Była już chyba trzecia nad ranem, w Damaszku strzelały wciąż fajerwerki, kreśliły świetliste tory po nocnym niebie, pękały spadając kolorowym deszczem iskier i rzucały na łóżko magiczne światła. Rosh i Jeza byli nadzy.

– O tak – odparła Jeza. – Wiem nawet, jak funkcjonuje.

– Tego nie możesz wiedzieć! – zawołał Rosh i odsunął się na bok, aby zrobić miejsce na zademonstrowanie swych technicznych wiadomości, których Jezie wręcz odmawiał. – Mnie Turanszah objaśnił mechanizm, a on wie przecież najlepiej, bo wynalazł tę machineę...

Jeza uśmiechnęła się wyniośle i odsunęła usłużnie nogi od nóg chłopca.

– No to pokazuj!

– Nie przeszkadzaj! – zganiał ją Rosh i zakrył swój członek prześcieradłem. – A więc – zgniótl odpowiednio poduszkę – najpierw jest żelazna klatka.

– Której podłoga z wyostrzonych szabli...

– Bądźże cicho! – powiedział Rosh – Pod nią pali się węgiel drzewny, który całość rozgrzewa.

Wsunął dłonie pod pośladki Jezy i przesunął ją na bok. Jeza leżała na plecach, fikając nogami.

– Zapomniałeś, genialny konstruktorze, o urządzeniu ze szczurami, podobnym do koła młyńskiego – pisnęła. – W nim zaczyna się ruch, to jest serce maszyny!

Rosz pozwolił jej fikać nogami i piszczeć.

– Nie zapomniałem o tym – powiedział ustępliwie. – Dzięki przekładni cały mechanizm jest utrzymywany w ruchu...

– I dzięki huśtawce!

Jeza rzuciła się na chłopca, usiadła na nim i zaczęła kołysać jego ciałem dbając, by dobrze dokuczyć jego łądzwiom. Zrzucił ją z siebie.

– Jeśli mi będziesz przerywać, przestanę objaśniać – oznajmił. – Do huśtawki jeszcze daleko!

– Teraz jest tutaj! – zawołała Jeza radośnie i pokazała na uwypuklające się prześcieradło.

– No więc dobrze. – Rosz na moment odrzucił nakrycie, ale tylko po to, żeby się przetoczyć na brzuch. – Pal, o którym myślę – uśmiechnął się porozumiewawczo – ten pal obraca się...

– Szpic wsuwa się do klatki! – pisnęła Jeza rozbawiona. – Do przodu i wycofuje się, raz tu, raz tam!

– To ma przecież sens chyba tylko wtedy, jeśli przedtem opisze się huśtawkę, więc może mi pozwolisz...

– Pokuśtajmy się, proszę!

– Teraz nie! – powiedział Rosz surowo. – Od góry otwiera się w klatce raz jedna, raz druga kłapa: raz po łańcuchach huśtawki ześlizgują się węże, raz fruwią po klatce drapieżne ptaki, które mogą człowiekowi wydziobać oczy...

– Węże są tylko na postrach – zaoponowała Jeza. – Wyrwano im zęby jadowe...

– Ale o tym huśtający się nie wie!

– Inaczej poszłoby to przecież za szybko!

– Huśtawka jest deską nabitą gwoździami, do której huśtający się przywiązany jest łańcuchem jak małpa. – Rosz próbował wprowadzić porządek do opisu. – Gdy huśtawka się kołysze, wprawia w ruch miech, który dmucha żarem w kierunku szczurów, a te zaczynają jak oszalałe biegać w kole! Wspaniale!

– O tak! – zawołała Jeza. – Dobrze zasłużona maszyna tortur dla Abu Al-Amlaka! Tylko że wielki sułtan zapomniał karła na czas aresztować!

– Turanszah jest bardzo rozgniewany. Nikt maszyny nie zobaczy – ubolewał Rosz – a lud tak się na to cieszył...

– Ona stoi przy kłatkach lwów, gdzie nam już nie wolno chodzić.

– Gdzie wszystkie lwy zostały zabite, za karę...

– Że pożarły konia ze stajen władcy, tak jak ja teraz pożrę ciebie!

Jeza rzuciła się na Rosza jak parszająca lwica.

– Mnie nie poskromisz! – prowokowała go, wciśniętego płasko w prześcieradło. Ugryzła go w pośladek i wtedy odwrócił się szybko. Podskoczyła. – Czy mam ci pokazać, jak skakałam do ciebie na konia, mój zbawco?

I skoczyła mu na kark, tak że upadł głową do przodu.

– Ty graj konia – sapnął Rosz i Jeza, o dziwo, zgodziła się natychmiast, choć zazwyczaj chętnie bywała rycerzem. Wszystko jej odpowiadało, jeśli tylko czuła ciało chłopca mocno przyciśnięte do siebie. Ukłękła posłusznie i wzięła go na plecy.

– Królewskie dzieci są prowadzone w tryumfalnym pochodzie przez miasto na uroczystości koronacyjne – ogłosił Rosz pogodnie – ludzie na ulicach radują się...

– Nagle zaczynamy galopować – Jeza poruszyła się tak gwałtownie, że Rosz prawie wyleciał z siodła – i ludzie śmieją się do rozpuku!

– Tylko nie Madulajn, księżniczka uważa, że brakuje nam godności!

– Ach, co tam – sapnęła Jeza pod ciężarem jeźdźca – odciągnęliśmy od niej uwagę, ona najchętniej widziałaby nas w zamkniętej lektyce... Co ty właściwie robisz?

– Ja? – zająknął się Rosz zażenowany. – On...

– Nie zmocz mi tylko znowu włosów – upomniała go Jeza – to się klei nieprzyjemnie do karku.

Rosz ześlizgnął się z dziewczynki, objął ją jednak ramionami, wzdychał i jęczał straszliwie. Ale Jeza nie cierpiała tego, nie wytrzymała.

– Chodź tutaj – powiedziała cicho – usiądź mi na brzuchu, chcę cię widzieć...

Położyła się na plecach i przyciągnęła go znowu do siebie. Teraz miała przed sobą ukośnie uniesioną włócznię Rosza, umieszczoną między jej małymi piersiami. Zamknęła oczy.

– Myślisz o Robercie z Artois? – spytał Rosz przygnębiony.

Jeza nie chciała się przyznać do winy.

– A ty wyobrażasz sobie, że ja jestem piękną Antinoos ze wspaniałym biustem! – przeszła do obrony.

– Bzdura! – zawołał Rosz. – Antinoos jest przecież mężczyzną!

– Ha! Co ty wiesz o kobietach! Jesteś zakochany i nie chcesz się do tego przyznać!

– A więc – powiedział Rosz poważnie – to jest hermafrodyta, on ma prawdziwy członek i kobiece piersi, widziałem to!

– Żebyś nie oślepl, ty kłamco!

– Przysięgam ci – wydyszał Rosz – i kocham tylko ciebie...

– Pozwól mi to zobaczyć! – Jeza nadąsana uniosła nieco głowę. Jego pulsujący członek podniecił ją bezmiernie. Nie spuszczała go z oczu. Oboje oddychali teraz ciężko. Objęła Rosza ramionami.

– Nie zostawiaj mnie samego! – załkał. – Przytul mnie mocno!

Pochylił się nad nią, podczas gdy jego włócznia szalała bezradnie na jej piersi. Potem Jeza poczuła ciepłą wilgoć, jej ręce wpiły się w jego kark, przyciągnęła go ku sobie i pokryła jego głowę dzikimi pocałunkami, aż legł na niej zmęczony.

– Wytrzymaj! – nakazała chłodno po upływie pewnego czasu, który Roszowi wydawał się zawsze bezlitośnie krótki. Chwytał prześcieradło i zaczął ją wycierać.

– Samą koronację uważam za nudną – gniewne zakłopotanie kazało mu szukać ucieczki w omawianiu wydarzeń minionego dnia – imam przemawiał tak długo...

– Byłeś naprawdę dumny, kiedy tobie również nałożono małą koronę...

– Ty przecież także! – bronił się Rosz. – A Madulajn była zła, bo nie dostała żadnej...

– Twój hermafrodyta nie mniej niż ona! Oboje biją się o łaskę Turanszaha jak dwa wściekłe koty.

– Myślę, że on woli Antinoosa, a w ogóle chłopców.

– To nie jest przecież mężczyzna! – upierała się Jeza.

– Jest! – powiedział Rosz. – Mimo że ubiera się jak dziewczyna...

– Jestem teraz emirem Szaizaru! – Jeza zakołysała się w biodrach. – A ty otrzymałeś tytuł emira Baalbeku. Czy nie moglibyśmy się zamienić?

– Dlaczego? – Rosz popatrzył podejrzliwie na swoją towarzyszkę, owijającą się w prześcieradło.

– Ponieważ tam tańczyła Salome taniec siedmiu welonów. – Jeza wirowała okręcona prześcieradłem. – Janie – westchnęła. – Pragnę cię pocałować!

Chwyliła za włosy klęczącego przed nią Rosza i usiłowała dosięgnąć jego ust, nie przerywając tańca. Zaplątała się wreszcie w prześcieradło, upadła na łóżko.

– Salome kazała Janowi uciąć głowę – powiedział Rosz z wyrzutem.

– Nic dziwnego! Skoro nie chciał jej pocałować!

Leżała wyczerpana na plecach i wiedziała, że Rosz, tylko by ją rozgniewać, nie przyjdzie teraz do niej. Głaskała się po brzuchu, a potem zsunęła dłonie niżej w kędzierzawe włosy sromu. Rosz nie powinien tego zauważyć.

– Poselstwa – rozważała Jeza głośno – są z dalekich krajów, a wszyscy noszą się tak samo, zupełnie jak u Mongołów. Uważam, że tak jest lepiej.

– Masz rację – przyznał Rosz i przysunął się do niej bliżej.

– Tutaj w Syrii robią straszliwą różnicę między mężczyznami, którzy mogą wszystko, i kobietami, które nie mają nic do powiedzenia.

Nie wiedział, co Jeza teraz robi, wiedział tylko, że jest z tego wyłączony.

– Może Egipt jest inny? Faraonowie...

Mogła przecież wszystko z nim dzielić. Wahając się położył rękę na jej brzuchu, tuż pod żebrami.

– Kocham cię, chociaż jesteś moją siostrą! – szepnął jej do ucha.

Poczuł, jak jej szczupłe ciało przebiegło drzenie, i przyciągnął ją do siebie. Powinna wiedzieć, że jest przy niej. Jeza jęknęła i odwróciła ku niemu twarz. Jej zielone oczy rozbliły.

– Mój rycerzu! – powiedziała cicho. – Gdybym tylko wiedziała, co to jest miłość!

Nagły deszcz przepędził z ulic ostatnich świętujących. Muzyka urwała się, bębny i rogi umilkły. Fajerwerki nie rozświetlały już nocnego Damaszku.

– Sądzę – powiedział Rosz nieoczekiwanie – że Abu Al-Amlak uciekł do An-Nasira...

– Szkoda – mruknęła Jeza.

Rosz wetknął nos w rozsypane na poduszce jasne włosy i niebawem jego spokojny oddech zdradził, że chłopiec zasnął.

Co to jest miłość? Kto to jest ukochany? Robert z Artois?

Za kilka godzin mieli wyruszyć do Kairu.

Z diariusza Jana ze Joinville

Pod Mansurą, 5 lutego A.D. 1250

Pewnej nocy, gdy ja i moi rycerze ze Joinville pełniliśmy wartę przy drewnianych wieżach, Egipcjanie sprowadzili na stanowisko maszynę miotającą i załadowali ją – czego dotychczas nigdy jeszcze nie robili! – „greckim ogniem”. Było to naczynie gliniane z lepką cieczą, które zapalone i wystrzelone ciągnęło za sobą długi ogon ognia. Do tego czyniło piekielny łoskot, jakby grzmiać leciał w powietrzu zięjący ogniem smok. Kiedy naczynie uderzało w jakąś przeszkodę lub w ziemię, pękało z blaskiem błyskawicy, który cały nasz obóz kapał w dziennym świetle, a gdzie tylko ciecz prysnęła, tam zaczynało się palić. I wodą nie dało się tego ugasić, jedynie zdławić piaskiem.

Bogu dzięki, nie potrafili dokładnie celować, pierwszy garnek wylądował między drewnianymi wieżami, niestety wśród robotników, którzy także nocą budowali tamę. Ziemia płonęła, a kilku ludzi biegało wokół jak żywe pochodnie. Pospieszyliśmy im na pomoc.

Gdy Saraceni to zobaczyli, zaczęli wypuszczać strzały prawie pionowo w powietrze; spadały one jak deszcz i nas samych przy ratowaniu innych naraziły na najwyższe niebezpieczeństwo. Trzy razy wystrzelili jeszcze te piekielne ogniste garnki i do tego zasypali nas gradem strzał.

*Popule meus,
quid feci tibi,
aut in quo contristavi te?*

Responde mihi!

Król Ludwik siedział wyprostowany na łóżku i modlił się, żeby Bóg w swej łaskawości zechciał zachować jego ludzi.

*Quia eduxi te in
terram Aegypti,
parasti crucem
salvatori tuo?
Responde mihi!*

*Hagos ho theos,
hagos ischyros,
hagos athanatos,
eleison hymas!*

Dopiero następnego ranka dowiedziałem się od mego kapelana Deana z Manruptu, jak wysokiemu wstawiennictwu zawdzięczam życie.

W każdym razie pan Ludwik po każdym uderzeniu wysyłał do nas szambelana, aby zobaczył, jak nam się wiedzie. Po trzecim strzale zajęła się jedna wieża. Potrafiliśmy ją wprawdzie ugasić, otrzymaliśmy jednak dobrą porcję strzał. Spadając z góry, miały o wiele większą siłę przebicia, toteż bez mała każdy z nas miał dziurę w ramieniu, rany na plecach, nie mówiąc o pośladvach, których nie chroni żaden pancerz.

Król zdecydował, że nadal mamy pełnić służbę nocą, natomiast wartę dzienną przejmie hrabia Anjou. Ten wysłał natychmiast na wieże kuszników i ostrzelał załogę staromodnej maszyny miotającej, z której Egipcjanie teraz również za dnia ciskali gliniane garnki.

W odpowiedzi Saraceni zarzucili ludzi Anjou gradem kamieni z katapult – mogli je ustawić w pobliżu, myśmy bowiem posunęli się daleko z naszą tamą. Nieprzyjaciele stali teraz na przeciwległym brzegu po obu stronach tamy i z obu stron ją ostrzeliwali.

Pracujący przy tamie musieli się ukryć i porzucili wieże, które natychmiast padły ofiarą greckiego ognia i spaliły się wraz z kusznikami. Karol z Anjou nie posiadał się z wściekłości do tego stopnia, że przy daremnej próbie gaszenia ognia omal sam nie zginął w płomieniach.

Ja i moi rycerze ze Joinville byliśmy zadowoleni, że w trakcie tych wydarzeń on właśnie troszczył się o bezpieczeństwo budowniczych. W przeciwnym razie utrata wież nastąpiłaby najbliższej nocy, kiedy przypadała nasza kolej pełnienia warty i my zostalibyśmy nędznie spaleni.

Gdy król dowiedział się o tym nieszczęściu, wysłał posłańców do wszystkich baronów i dowódców i poprosił ich o drewno do zbudowania nowej wieży; drewno było rzadkim

dobrem, mogło być właściwie uzyskane tylko z własnych statków, które nam towarzyszyły aż tutaj, płynąc Nilem pod prąd. Nikomu chyba nie było w smak niszczenie swego statku, każdy jednak dał trochę drewna i wszystko to razem uczyniło równowartość dziesięciu tysięcy liwrow. Ja nie musiałem nic dawać, ponieważ nie mam własnego statku.

Król postanowił, że nowa wieża ma być wtoczona na tamę dopiero podczas warty hrabiego Anjou. W ten sposób książę będzie mógł powetować sobie stratę obu starych wież, które spłonęły, gdy on był odpowiedzialny za ich ochronę. Tak też się potem stało.

Skoro przyszła znowu kolej na pana Karola, król Ludwik kazał przesunąć nową budowlę na ukończony odcinek tamy. Wydawało się, że Saraceni nie zamierzają nam tym razem przeszkadzać. Pewnie wywarł na nich głębokie wrażenie upór naszego króla.

Zaledwie jednak wieża dotarła na koniec tamy, zaczęli ze wszystkich szesnastu katapult skoncentrowany ostrzał odcinka tamy za wieżą, tak że już nikt z nas nie odważył się tam podejść. Ci, którzy poszli naprzód wraz z wieżą, zostali zabici na naszych oczach. W ten sposób odcięta od obrony przed pożarem, także ta nowa, kosztowna budowla spłonęła wkrótce od greckiego ognia. Mogliśmy się temu tylko bezsilnie przyglądać.

Po tej kolejnej porażce król zwołał nas wszystkich i poprosił o radę. Jednogłośnie oświadczyliśmy, że nie ma żadnego sensu dalsza budowa tamy, bez osłony bowiem nie da się tego przeprowadzić. Potem zapanowała całkowita bezradność, a w obozie nastrój wielkiego przygnębienia. Król Ludwik odszedł, aby się pomodlić.

*Sede, Syon, in pulvere,
Caput asperge cinere,
Induere cilicio.
Quo stetit spei firmitas,
Caret vexillo caritas
Et fides prinlegio.*

Dwaj biało odziani mężczyźni przybyli do tajnego miejsca, ponieważ wezwał ich najstarszy. Twarze mieli zakryte kapturami, jednak wiedzieli, z kim się spotykają, chociaż nie wiedzieli, gdzie się znajdują. Przyprowadzili ich tutaj słudzy. Była to chyba jakaś podziemna świątynia, gdyż stali przed zasłoniętym sukniem ołtarzem.

– Dostojny Sami* – zwrócił się jeden z przybyłych do najstarszego – wy znacie *haku'ik*, ostateczną prawdę, prosimy więc was, żebyście połączyli nasze siły z innymi, aby zostały uczynione kroki, co do których moglibyśmy być zgodni.

– Życzymy sobie na przykład – dodał drugi – żeby królowi się nie powiodło, nie po to by wam się przypodobać, lecz dlatego że w tym kraju, który idzie za nauką proroka, nie możemy dostrzec żadnego obiecującego początku odnowy.

* Sami (stpers.) – mądry przywódca.

Najstarszy milczał przy tak zapoczątkowanej dyspucie, więc odezwał się znów jeden z przybyłych:

– Czy zgadzacie się z tym, że panowanie Ajjubidów musi się skończyć, gdyż nie są oni zdolni pokonać króla?

– Macie już w tym swój udział – odparł drugi. – Wprowadziliście swoich młodych ludzi do najbliższego otoczenia sultana, sztylety *halca** są naostrzone, ale czy jesteście pewni, że następcy otworzą się dla idei szyickiej? Że trzymacie ich mocno w rękę?

– Jak nasze sztylety – wymknęło się zagadniętemu.

Najstarszy czuł się zmuszony wkroczyć.

– Zastanówcie się, czy nowi władcy także w przyszłości pozwolą wam sobą powodować – to było skierowane do pierwszego, potem zwrócił się do drugiego: – Ale prędzej może się zdarzyć, że pewien mameluk, któremu Allah dotąd odmówił łaski wiary, odnajdzie prawdę, a potomkowie Saladyna*, którzy się mogą powołać tylko na Sunnę, zejną z drogi.

– Nas obchodzi tron w Kairze tylko dlatego – powiedział drugi – że nie chcemy, by został wciągnięty do Wielkiego Planu. Powinien zająć go ktoś, kto pozostawi Jeruzalem nietknięte.

– Skoro jesteście pewni – odparł pierwszy – że tam zostanie ulokowana władza, która będzie promieniować także na Wschód i skutecznie trzymać w szachu waszych mongolskich współwyznawców, możemy wyrazić zgodę. Pierwsi uznamy królewską parę władców i będziemy ją chronić własnym ciałem, jak to dotychczas, wierni naszemu paktowi, już czyniliśmy!

– Wkład was obydwu – wtrącił najstarszy – nie jest przez nikogo tutaj podawany w wątpliwość. Tolerować należy wszystkie trzy światowe religie, o ile są oddane dynastycznej linii, „krwi królów”, a więc także żydowskiej, od której się ona wywodzi. Tron Jeruzalem powinien być dla wszystkich święty, dla wszystkich dostępny jako miejsce pokoju dzięki spotkaniu, zrozumieniu i poszanowaniu.

Drugiemu wydał się ten obraz zbyt niejasny i zbyt idylliczny.

– Tak więc w interesie nas wszystkich niech się dopełni los starego ładu w Kairze i niech nowy obierze właściwą drogę. Trzeba sprowadzić ostatniego Ajjubidę, ażeby tę zmianę przyspieszyć, i to ostatecznie.

– Kto wam kazał to mniemanie ujmować w słowa? Powinniście je zachować dla siebie – upomniał go najstarszy. – Lecz jeśli to pojmujecie, czemu wasi mamelucy dotąd powstrzymują naszego przyjaciela od wprowadzenia do boju Turanszaha?

– Bajbars ma kłopoty! – bronił się pierwszy.

– Wracając zatroszczcie się o uwolnienie Czerwonego Sokoła – dodał najstarszy.

– To uwolnienie nie jest teraz konieczne, Turanszah jest już w drodze, jednakże zastosujemy się do waszego życzenia.

* Halca (arab.) – straż przyboczna sultana.

* Potomkowie Saladyna – Ajjubidzi.

– W przeciwnym razie my się w to zaangażujemy – powiedział drugi. – W końcu Czerwony Sokół jest sprawie dzieci zaprzysiężony i dla niej się zasłużył. Jest rycerzem pierwszej godziny.

– Nie spierajcie się – powiedział najstarszy – wszyscy przecież służymy dzieciom Graala! Zadbajcie, proszę, wspólnie o to, żeby nasz przyjaciel odzyskał wolność! Potrzebujemy każdego ramienia i każdej głowy.

Obaj przybysze skłonili się przed najstarszym i opuścili tajemne miejsce.

Piraci uwolnili Czerwonego Sokoła tak samo niespodziewanie, jak go uwięzili. Pożeglowali nawet z nim prawie do ujścia Nilu, do jeziora Mareotis, i tam wsadzili go do łodzi rybackiej.

Zwrócili mu także sakiewkę z pieniędzmi, w której nie brakowało ani jednej monety, co stwierdził, gdy mu się udało uwolnić najpierw od więzów, potem od zasłaniającej oczy przepaski.

Gdy rankiem przybyli rybacy, Czerwony Sokół łatwo ich przekonał, że bardziej im się opłaci przewieźć go przez jezioro do Aleksandrii, niż zarzucać sieci.

Aleksandria wciąż przyćmiewała Kair w tym, co dotyczyło godności, wiedzy i wszelkiego umysłowego znaczenia. Mimo że pożar w *museion*^{*} strawił sławną bibliotekę, aleksandryjski uniwersytet przyciągał przez stulecia najwybitniejszych filozofów ze Wschodu i Zachodu.

*O totius Asiae gloria
regis Alexandriae filia,
Graeciae gymnasia
coram te, Maxentia,
dea confidit philosophia,
de cuius victoria
protectorem virginum.*

Aleksandria była bogata, przez jej porty przechodził cały zamorski handel Egiptu, w jej murach żyło tysiące chrześcijańskich kupców, chociaż po nieudanej krucjacie przed trzydziestu laty obciążono ich znacznymi podatkami i zezwolono tylko na użytkowanie wschodniego portu, który od miasta był oddzielony przez półwysep Faros. Wznosiła się tam latarnia morska, jeden z siedmiu cudów świata.

* Museion (gr.) – akademія.

Jan Turnbull nie po raz pierwszy był w Aleksandrii. Dawniej, gdy wielkiemu sułtanowi Al-Kamilowi służył jako poseł nadzwyczajny do cesarza, miał okazję częściej podziwiać miasto, a wiele jego podróży stąd się rozpoczynało.

Ale to było dawno. Ponad dziesięć lat nie wstępował już do *ka'at al-kira'a*, wielkiej czytelni uniwersytetu, i pozostało mu tylko w pamięci nazwisko Ezerze Melchsedeka, ponieważ ten znakomity kabalista* odważył się wówczas jako pierwszy przedstawić Wielkie Arkana w postaci obrazków, co wywołało wielki wrzask ze strony ortodoksyjnych wyznawców tajnej żydowskiej nauki.

Tymczasem, jak mówiono, w Marsylii handlowano nawet złymi i prymitywnie uproszczonymi kopiami i co było jeszcze gorsze, grano nimi o pieniądze, co sprzeciwiało się wszelkim zamiarom odgadywania przyszłości.

Jan Turnbull, który w mieście wynajął kwaterę jako *chevalier* z Mont-Sion, spotkał się tylko z lekceważącym wzruszeniem ramion, gdy w krużgankach akademii pytał o sławnego uczonego. Znalazł go wreszcie na starym mieście, na rogu ulicy, gdzie siedząc na skrzynce za kulawym stołem przepowiadał przechodniom przyszłość w sprawach handlowych czy miłosnych i otrzymywał za to nędzną zapłatę.

– Nie pozbędziecie się duchów, które przywołujecie! – przemówił do starca.

Ten podniósł wzrok znad rozłożonych przed sobą, zakrytych kart.

– Podróżujecie już siedem lat w tej samej sprawie – powiedział, nie zastanawiając się długo. – Infanci są jeszcze młodzi i niepewne ich królestwo.

Wskazał gościowi stółek i zgarnął złotą monetę, którą Turnbull położył na stole.

– Czego chcecie ode mnie? – spytał nieufnie, gdy stwierdził wartość monety.

– Nie tutaj, nie teraz, Ezerze Melchsedeku, powinniście mi dać odpowiedź na pytania, które jak się wydaje, już znacie.

Turnbull pochylił się i zniżył głos do szeptu, kilka osób bowiem zatrzymało się i słuchało ciekawie. Ezer zachował milczenie, póki nuda nie kazała gapiom iść dalej.

Turnbull odchrząknął.

– Idźcie do domu, skoncentrujcie swoją myśl na dzieciach i ich imperium! Wynagrodzę was. Mam dwa pytania, które implikują odpowiedź na trzecie. Pierwsze: Czy dzieci mogą i czy im wolno pozostać razem, kochać się i połączyć cieleśnie? Drugie: Gdzie znajduje się ich tron, kiedy i jak się objawi? I trzecie: Czy powinny na ten tron wstąpić?

Melchsedek patrzył długo na siedzącego przed nim gościa.

– Czy tak bardzo zależy wam na ich szczęściu... – zaczął cicho, zamilkł i podjął wątek dopiero po długiej przerwie – że nieposłusznie sprzeciwicie się potęgom, co przędą nić ich losu wedle Wszechmocnego, którego wolę tylko wyczuwamy, ale nigdy nie możemy jej znać? Nie musicie mi odpowiadać, ale zastanówcie się nad tym!

* Kabalista – znawca kabały, doktryn zajmujących się metafizycznymi rozważaniami na temat istoty Boga, uznających hierarchię istot pośrednich między Bogiem a stworzeniem i wędrówką dusz ku Bogu.

Wtedy podszedł z tyłu do Jana Turnbulla wysoki, wytwornie ubrany mężczyzna w białym turbanie i dotknął jego ramienia.

– *Chevalier* z Mont-Sion – odezwał się uśmiechając do zirytowanego Melchsedeka – czy oddajecie się grze szczęścia, czy też igracie ze szczęściem?

Turnbull drgnął, poczuł się przyłapany, ale głos wydał mu się znajomy, więc powoli się odwrócił. Przed nim stał Czerwony Sokół.

Melchsedek zebrał swoje rzeczy, zapakował je do skrzynki i odszedł.

– Czy nasi podopieczni – spytał emir od niechcienia, gdy siwobrody oberwaniec znikł za rogiem – przewrócili już do góry nogami etykietę pałacu w Damaszku, wykpiłi dwór i nowego sułtana do tego stopnia wprawili w zakłopotanie, że musicie fatygować podejrzanego kabalistę?

– Nic z tych rzeczy! – Jan Turnbull opanował się i natychmiast był gotów odplacić się młodzieńcowi za drwinę. – W zakłopotanie, drogi Konstancjuszu z Selinuntu, wprawiły Turanszaha tylko ogniste oczy i miłosne westchnienia pewnej urodziwej istoty. Nie wie on, kiedy jako islamski emir i syn mądrego ojca może działać, a kiedy dworską miłość pozostawić swemu biegowi. Jako rycerz cesarza nie nauczył się, jak się zdaje, że ma ją pohamować, jeżeli na wybrankę padło już oko władcy!

– Amor na ślepo rozdziela swoje strzały. – Czerwony Sokół próbował żartem osłabić przyganę, ale Turnbull ciągnął dalej:

– Ślepym się staję, kogo trafia! Tak jak wy nierozważnie rozbudziliście zmysły Turanszaha, choć nowy sułtan normalnie ma tyle gorącej krwi co gad, tak dziewczynce i chłopcu udało się zakraść do chłodnego serca władcy i chce on dzieci, podobnie jak oczywistą teraz faworytę, wlec ze sobą do Kairu...

Pchniecie ugodziło Czerwonego Sokoła głębiej, niż był skłonny to okazać.

– Należy tylko zadać sobie pytanie – mówił Turnbull i wyciągnął rękę, aby młodzieniec pomógł mu wstać – czy fałszywej cesarskiej córce przeznaczone jest wstąpić na tron u boku sułtana, czy też królewskie dzieci tak go poruszają, że abdykuje i pozostawi im panowanie. Możecie łatwo zrozumieć, że oba warianty do głębi mnie niepokoją – powiedział zmartwiony – tak że ja sam przyjmę na kolanach objawienie kabały, jeśli mi przypadnie w udziale. Ezer Melchsedek jest zdolniejszym adeptem, niż można wnioskować z zawinionych przez niego samego warunków życia.

– Dziś odpływam statkiem do Damaszku – powiedział Czerwony Sokół. – Wezmę sobie do serca wasze upomnienie. Ojciec wysłał mnie, żebym poprosił Turanszaha o pilne przybycie do Kairu. Przedstawię to wezwanie z opuszczonymi oczyma, ażeby nie kazał mi ich wykluć.

– Ostrożności nie szczędźcie, ale podróży możecie sobie oszczędzić, Fassr ad-Din Oktaju – odparł Turnbull – gdyż mogę was zapewnić, że nowy sułtan wraz ze świętą jest już w drodze. Podróż była postanowiona, gdy opuszczałem stolicę Syrii. Pojadą doliną Jordanu, po drodze

może ukoronują dzieci w Jeruzalem, a może nie, w każdym razie wsiądą w Akabie na statek, bo Turanszah boi się uciążliwego marszu przez pustynię Synaj. Moglibyście go więc oczekiwać w Suezie.

– Czy jesteście tego absolutnie pewni? – spytał Czerwony Sokół. – Zmuszacie mnie, abym zmienił wyraźny rozkaz mego ojca według waszego widzi mi się; nie będę mógł stanąć przed jego obliczem, jeśli nie sprowadzę Turanszaha.

– Jeśli jeszcze długo będziecie mnie śledzić tutaj, w Aleksandrii, to może się zdarzyć, że naprawdę będziecie musieli unikać oblicza czcigodnego Fachr ad-Dina, *Allach jutawil umruhu**. Spieszcie się więc, lećcie, Czerwony Sokole!

Emir uczynił, jak mu poradzono, i popłynął spiesznie wiosłową galerą z powrotem do Kairu. Stamtąd droga prowadziła do Suezu.

– Przybędzie na czas – mruknął Ezer Melchsedek, gdy Jan Turnbull po kilku dniach odnalazł go znów na rogu – ale nigdy już nie stanie przed obliczem ojca.

Turnbull próbował dowiedzieć się czegoś więcej od „starego” – Melchsedek był od niego o wiele młodszy – ale kabalista otoczył się murem milczenia.

– Postawiliście mi naprawdę niełatwe zadanie, *chevalier* – powiedział w końcu niechętnie. – A więc nie rozpraszajcie mnie wyrokami losu, którymi rozporządza Jahwe* i których zmienić nie można. To straszne – ciągnął dalej – i ciężkie dla mnie brzemię, udać się drogami dzieci. Moje myśli krzyżują się nieustannie z myślami duchów i potęg, dobrych oraz złych, które próbują na siebie wpływać. I wszystko jest ze sobą splecione, wszystko ma coś wspólnego z ideą, potężną ideą, która stoi za dziećmi, nawet los waszego młodego przyjaciela i jego starego ojca tam się mieści. – Ezer Melchsedek jęknął cicho. – Nie wiem, czy dorosłem do tego zadania.

– Tak – westchnął Turnbull – sam ostatnie lata życia spędziłem na tym, żeby uchylić rąbka tajemnicy *moti spiritualis**, Wielkiego Planu, chociaż wolno mi się zaliczać do jego *conditores**. Graal emanuje energie, które także dla mnie stają się niesamowite. Nie gniewajcie się, wielki Melchsedeku – dodał przepraszająco i jeszcze raz wyciągnął sakiewkę z pieniędzmi.

Gdy Jan Turnbull następnym razem przybył na umówione spotkanie z kabalista, zastał jego miejsce puste.

Al tenaseh et iluhim – widniał hebrajski napis na murze, pod którym Ezer Melchsedek wcześniej ustawiał swój stół. Zaskoczony Jan Turnbull powtórzył słowa wypisane na ścianie: „Nie powinienes kusić Jahwe!”

* Allach jutawil umruhu (arab.) – niech Allah obdarzy go długim życiem.

* Jahwe (sthebr.) – Bóg.

* Motus spiritualis (łac.) – duchowy bodziec, motyw.

* Conditores (łac.) – założyciele, twórcy (w znaczeniu tworzenia przesłanek, hipotez).

III

GŁOWA NA ŻERDZI

Z diariusza Jana ze Joinville

Pod Mansurą, 6 lutego A.D. 1250

Staliśmy wciąż obozem nad odnogą Nilu Bahr as-Saghir, niezdolni jej przekroczyć.

Na drugim brzegu, pod murami i wieżami zdobnymi w chorągwie, które zdawały się ku nam powiewać jak na szyderstwo, rósł obóz wojskowy Egipcjan.

Jak donieśli nasi szpiedzy, dołączyło tam teraz dwunastu synów An-Nasira z Aleppo i jego dwaj bracia. William uważa, że zrobili to chyba nie tyle z entuzjazmu dla ogłoszonej świętej wojny, ile chcąc podkreślić roszczenia tej gałęzi Ajjubidów do osieroconego tronu.

Spędzaliśmy czas na zabezpieczaniu naszego obozu przed atakami wroga. Sypaliśmy szańce i kopaliśmy rowy.

Potem zameldował się u króla podniecony konetabl. Oświadczył, że zjawił się u niego Beduin, gotów pokazać chrześcijańskiemu wojsku bród, którym jeźdźcy mogą przekroczyć rzekę. Człowiek ten zażądał jako wynagrodzenia pięciuset bizantynów. Obecny przy tym hrabia Anjou oświadczył natychmiast, że należy mu je dać, jeśli bród okaże się możliwy do przejścia.

Król wietrzył pułapkę i mówił o judaszowej zapłacie, którą nie powinien pobrudzić sobie rąk, na co Robert z Artois zawołał:

– Jeśli teraz nie skorzystamy ze sposobności, wówczas... – Nie dopowiedział zdania i nie na żarty rozgniewany opuścił czerwony namiot.

William, który czekał na mnie na dworze, twierdzi, że słyszał wyraźnie resztę zdania, które podobno brzmiało: „...wówczas możemy tylko czekać, aż mój pan brat, dzięki swojej świętości, będzie mógł przejść po wodzie!”

Konetabl rozmawiał jeszcze raz z Beduinem, który jednak odmówił pokazania brodu, dopóki nie otrzyma z góry całej kwoty. W końcu król zezwolił na ten wydatek.



Pod Mansurą, 7 lutego A.D. 1250

„Stare zostaje zburzone i czyni miejsce nowemu. Co stoi mocno, upadnie łatwo. Kto szuka zbawienia, niechaj na tym poprzestanie. Kto zaś wierzy, że potrafi zbudować własną świątynię, zostanie zniszczony”.

Wielkiemu mistrzowi templariuszy, panu Wilhelmowi z Sonnacu, gołąb przyniósł wiadomość z terenu położonego na wschód od Jordanu. Turanszah już kazał się obwołać w Damaszku sułtanem Syrii i ze znaczną świtą przeciągnął obok Keraku, a potem obok starej twierdzy krzyżowców, Montrealu. Teraz wojsko ciągnie przez Synaj, a on obrał drogę na Akabę, aby popłynąć do Kairu. Przeto wskazany jest pośpiech, bo gdy egipskie wojsko stanie się jeszcze mocniejsze, wtedy nawet najpiękniejszy bród na nic się nie przyda, chyba że na jazdę wprost do piekła!

Pod Mansurą, 8 lutego A.D. 1250

W wieczór poprzedzający przeprawę król Ludwik postanowił, że księżę Burgundii będzie strzegł obozu, gdy tymczasem on z trzema braćmi, Alfonsem, Karolem i Robertem, przekroczy Bahr as-Saghir brodem, który nam pokazał Beduin.

Małymi oddziałami udaliśmy się nocą w pobliże wyznaczonego miejsca, nie pokazując się wcale na brzegu. O brzasku bez jakiegokolwiek sygnału wyszliśmy z kryjówek i popędziliśmy konie do wody. Kawalek musiały płynąć, potem jednak, od połowy rzeki, ich kopyta znalazły grunt i pewne oparcie. Po drugiej stronie formowało się co najmniej trzystu nieprzyjacielskich rycerzy.

Zawołałem do swoich ludzi:

– Teraz, moi panowie, trzymajcie się lewej strony, gdyż skarpa nabrzeżna przed nami jest śliska i bagnista! Konie mogą tam się poślizgnąć albo ugrzęznąć!

Faktycznie przed nami spadło już kilku naszych, zostali pod końmi pogrzebani i utonęli, jak pan Jan z Orleanu, który w herbie miał faliste linie. Poszliśmy za moją sugestią i znaleźliśmy nieco poniżej stały piasek. Bogu dzięki, bo ledwie bez strat dostaliśmy się na drugi brzeg, nieprzyjaciel już ruszył do pierwszego ataku. Zaczęło się cięcie i kłucie!

Uzgodniono, że templariusze utworzą straż przednią i potem dołączą do hrabiego Artois, który dowodził drugą falą. Zaledwie jednak pan Robert przekroczył rzekę, rzucił się natychmiast na Egipcjan i zmusił ich do ucieczki.

Marszałek templariuszy, pan Renald z Vichiers, zawołał do niego wściekły, że naruszył umowę, ponieważ ich wyprzedził, zamiast ustąpić pierwszeństwa w boju. Wezwali go, żeby przynajmniej teraz się zatrzymał i pozostawił im zaszczyt uderzenia na resztę nieprzyjaciół.

Jednak pan Robert nie miał możliwości, by odpowiedzieć marszałkowi, ponieważ jego pacholek z przytępionym słuchem, jeśli nie całkiem głuchy, na nic nie reagował, lecz ciągle tylko ryczał:

– Ścigać! Ścigać!

Król wysłał do brata konnego posłańca z przypomnieniem, żeby nie ścigał wroga, póki nie przeprowi się całe wojsko. Ale w tym momencie Roberta z Artois nie dało się już zatrzymać. Podniesionym głosem wyjaśnił młodemu komturowi z Tortosy, Gwidonowi z Plessis, że ani myśli zrezygnować z korzyści zaskoczenia i nie zamierza dać nieprzyjacielowi chwili odpoczynku.

Gdy templariusze zrozumieli, że on gotów sam ruszyć do przodu, ruszyli także. Nieokiełzany duch walki pana Roberta został nagrodzony.

W obozie egipskim, który leżał około dwu mil na wschód od Mansury, w kierunku na Aszmun-Tanna, nikt nie wiedział o wydarzeniach przy brodzie, gdyż stacjonująca przy rzece jazda wierzyła do końca, że upora się z chrześcijańskim atakiem. Teraz jej resztki uciekały w panice, a po piętach deptał im już Robert z Artois i templariusze; wpadli do obozu w czas porannej toalety.

Wielki wezyr wyszedł właśnie z kąpieli i polecił przybocznemu balwierzowi ufarbować henną siwą brodę, gdy usłyszał z namiotu odgłosy walki i okrzyki przerażenia. Nie tracił czasu na nałożenie zbroi czy choćby wsadzenie hełmu. Fachr ad-Din wyskoczył z namiotu, kazał się podsadzić na konia i pogalopował prosto na prowadzony przez Gwidona z Plessis oddział templariuszy.

Marszałek Renald z Vichiers zachował dość zimnej krwi, by zauważyć, że starzec bez zbroi wybiega z okrągłego namiotu naczelnego wodza. Krzyknął więc do swych rycerzy, aby

oszczędzili wielkiego wezyra, ale albo marszałek był zbyt daleko, albo Gwidon i jego ludzie nie chcieli go słyszeć. Poza tym starzec zaatakował ich tak wściekle, że rycerzom trudno było uniknąć jego zakrzywionej szabli. Zranili go w głowę i ramię, lecz on zawrócił konia i popędził znów, uderzając jak szaleniec po raz drugi w sam środek templariuszy; tym razem go zabili.

Robert z Artois był teraz panem egipskiego obozu. Tymczasem przybył wielki mistrz templariuszy ze specjalnym pełnomocnictwem od króla Ludwika i zaklinał Roberta z Artois, żeby poczekał, aż brat z głównymi siłami przekroczy bród. Nawet stary wojak Wilhelm z Salisbury – który w obawie, że włączy się do walki za późno, przepłynął ze swymi Anglikami Bahr as-Saghir obok brodu i w ten sposób wyprzedził ostrożnie przepływające się wojsko – ostrzegał teraz przed nie przemyślanymi działaniami.

Ale Robert widział mury Mansury bliskie na wyciągnięcie ręki i zarzucał templariuszom bojaźliwość, a Salisbury'ego wydrwił jako kunktatora.

Bez mała doszłoby do rękoczynów między zwycięzcami, lecz nagle otworzyła się jedna z bram Mansury i wyniesiono z niej czarną lektykę. Nie miała żadnych ozdób, jednak wydawało się, że wzbudziła u templariuszy ogromny respekt i w jakiś sposób podziałała na ich umysły.

Lektykę eskortowali biało ubrani rycerze, którzy całkiem wyraźnie nie byli muzułmanami; ich pozbawione ozdób stroje przypominały raczej płaszcze templariuszy. Prowadził ich bardzo młody rycerz niezwyklej, prawie dziewczęcej urody. Trzymał w ręku abakus^{*}, w połowie z kości słoniowej, w połowie z hebanu.

Rycerz skłonił się przed wielkim mistrzem i wskazał złożonego na marach Fachr ad-Dina.

– Przybyliśmy, aby go zabrać – powiedział dźwięcznym głosem.

– Postępujcie, jak wam kazano – odparł Wilhelm z Sonnacu.

Biali rycerze przenieśli ciało do lektyki. Urodziwy rycerz skinął na Gwidona z Plessis. Mówił cicho, tak że najwyżej mógł go usłyszeć stojący w pobliżu wielki mistrz oraz marszałek Renald z Vichiers.

– Przeszkodziłście losowi, komturze – powiedział beznamiętnym głosem – użycie mu teraz swojej głowy.

Gwidon z Plessis zgiął kolano i dotknął abakusa ustami, wtedy biały rycerz pochylił się, podniósł komtura, szepnął mu rozkaz do ucha i pocałował go w usta. Potem orszak z lektyką oddalił się, nie skierował się jednak do miasta, lecz na wschód ku pustyni.

Robert z Artois poświęcił lektyce niewiele uwagi, jego wzrok jak urzeczony zwrócony był na bramę miejską Mansury, która pozostała otwarta i także teraz jej nie zamknięto. Hrabia naglił do zdecydowanego ataku.

Tymczasem przybyli do obozu dalsi hrabiowie Francji: Coucy, Brienne i Piotr z Bretanii. Wszyscy nalegali na Roberta, żeby czekał.

* Abakus – buława wysokich rangą rycerzy zakonu templariuszy.

Robert ustąpił, ale był wściekły.

– Dobrze, poddam się woli króla. Z taką gromadą tchórzy nikt nie zdobędzie Kairu!

Wszyscy udawali, że nie dosłyszeli obraźliwych słów, wystąpił tylko młody Gwidon z Plessis, prawie równolatek hrabiego Artois.

– Żadnemu parowi Francji nie wolno zarzucać nam, rycerzom Świątyni, tchórzostwa!

Zmierzył królewskiego brata spojrzeniem pełnym szyderczej pogardy.

– Jeśli macie odwagę wziąć Mansurę szturmem, znajdziecie nas u swego boku, nie za sobą!

Młodego zapaleńca już nic nie mogło wstrzymać.

– Komu w żyłach płynie rycerska krew, niech rusza za mną! – krzyknął Robert z Artois. – Kair jest nasz!

Był jak szalony, widzieli to wszyscy, ale nikt nie chciał zostać w tyle. Cała kawalkada ruszyła cwałem ze zdobytego dopiero co obozu ku miastu. Skrzydła wschodniej bramy stały wciąż otworem.

– Jak się nazywa brama do raju? – ryknął ze śmiechem Robert do pędzącego obok niego komtura i wskazał mieczem przed siebie.

– *Bab al-Malik!* Brama Królów! – odrzyknął tamten i zaraz potem zastępy chrześcijańskich jeźdźców wdarły się do miasta, którego mieszkańcy uciekali w popłochu.

Jeszcze bardziej niż ludność Mansury przestraszeni byłiby mieszkańcy Kairu, gdyby nie to, że jakiś kusznik ustrzelił gołębia w locie; posypały się pióra i krew rozprysnęła welonem drobnych kropelek. Gołąb, którego ktoś zdołał jeszcze wypuścić z zaatakowanego miasta, niósł skąpą wiadomość dla namiestnika Kairu Husama ibn abi'Alego, jedyne go pozostałego w Kairze wysokiego urzędnika, że na ulicach Mansury toczy się zażarta walka i należy się obawiać najgorszego. Niech Allah obroni nas przed mieczami niewiernych!

Robert z Artois i szturmujący wraz z nim miasto rycerze zdołali szybko przebić się w pobliże sułtańskiego pałacu; jedyną przeszkodę stanowili uciekający wraz ze swym dobytkiem mieszkańcy, jednak rycerze pogubili się w płątaninie uliczek. Przy hrabim Artois pozostali tylko panowie Coucy i Brienne.

Do tego czasu pozbawieni dowództwa komendanci mameluków ochłonęli z szoku; ich najzdolniejszy emir, Rukn ad-Din Bajbars, przejął inicjatywę i rzucił do walki dwie elitarne jednostki: bahrytów, których tak nazwano, bo ich kwatery leżały nad *bahr*, czyli rzeką, i gamdarytów, „szambelanów”, właściwą pałacową gwardię, którzy akurat przybyli z Kairu. Zostawili konie przed bramami i weszli do miasta pieszo.

Zacząła się straszliwa rzeź, ponieważ okazało się, że dla chrześcijańskich rycerzy konie stały się nieszczęściem w wąskich uliczkach. Nie mogły zawrócić. Nim rycerze w ciężkich zbrojach zsiadli z koni bez pomocy pachołków, leżeli już na ziemi trafieni przez nieprzyjacielskich kuszników, którzy tymczasem obsadzili dachy. Rycerze i ich wierzchowce

tarzali się po ziemi jak bezradny kłęb, padali ofiarą maczug i toporów. Nielicznym udało się wyszarpnąć tarczę i miecz spod wierzgających koni i wspierając się nawzajem zdobyć jakiś dom oraz zabarykadować się w nim w nadziei, że nadejdzie na pomoc piechota.

Wilhelm z Sonnacu, wielki mistrz templariuszy, patrzył z przerażeniem, jak kwiat jego zakonu rusza do szturmów za odważnym aż do szaleństwa hrabią Artois. Postanowił wbrew zdrowemu rozsądkowi, chcąc pomóc swoim rycerzom, ruszyć do miasta przez *Bab al-Malik* z pozostałą przy nim eskortą, lecz wtedy z bramy wypadł zataczając się zbroczony krwią Piotr z Bretanii i z okropną raną na głowie runął prawie pod kopyta koni. Skrzydła bramy zatrzasnęły się za nim.

Rozwścieczony wielki mistrz próbował jeszcze temu przeszkodzić, ale strzała trafiła go w oko i zrzuciła z konia. Brama została ostatecznie zaryglowana. Kto pozostał w mieście, znalazł się w pułapce, niezależnie od tego jak gwałtownie i bezsilnie Frankowie nacierali na mury.

Wilhelm z Salisbury pierwszy popadł w mieście w śmiertelne niebezpieczeństwo. Zebrał swoich Anglików, kazał im pozostać na koniach, jak długo konie zachowają, i na ich czele ruszył w dół ulicy, przypuszczając wściekły atak na straż przy bramie. Anglicy jednak do bramy nie dotarli. Załoga broniąca murów na widok tej rozpaczliwej próby przebiccia się zrzuciła na drogę najbliższą katapultę, nie zwracając uwagi na własnych ludzi. Belki katapulty zamknęły wszystkim jeźdźcom, którzy jeszcze trzymali się na koniach, dostęp do zaryglowanej bramy. Salisbury cudem uniknął zranienia, gdyż jego koń się spłoszył i w panice zrzucił go głową naprzód. Anglik poleciał prosto w środek straży. Jak szalony ciął i kłuł każdego, kto mu stanął na drodze. Wreszcie oparł się plecami o bramę i spróbował sam, natężając swą niedźwiedzią siłę, podnieść dębowy rygiel, do czego potrzeba było zwykle czterech silnych mężczyzn. Byłoby mu się to udało, ale grad pocisków przygwoździł go dosłownie do drewna. Pierwsze strzały wyrwał jeszcze z ciała, rycząc z gniewu i bólu, potem jednak trafiono go w szyję i zamilkł.

Gdy zobaczyła to garstka jego ludzi, która dotąd przeżyła masakrę, ruszyła schodami na mury i rzuciła się na strzelców. Choć zabijali mameluków dziesiątkami, wciąż nacierali nowi. Anglicy nie ustępowali. Bili się, póki ostatni z nich nie został zrzucony z korony murów prosto pod nogi krzyżowców. Wkrótce potem spadła odcięta głowa Wilhelma z Salisbury.

Robert z Artois, Rudolf z Coucy i Jan z Brienne schronili się w kasbie w domu sukiennika. Wydawało się, że w tym zgielku, w ciemnej, częściowo zadaszonej handlowej ulicy nikt tego nie zauważył, prześladowcy bowiem, upojeni krwią, nie zatrzymując się przebiegali tu i tam.

Trzej rycerze odetchnęli. Janowi z Brienne tkwił w ramieniu ułamany koniec strzały, Rudolf z Coucy kulał, ponieważ w walce stratował go jego własny koń. Tylko Robert z Artois

nie był ranny. Był też jedynym rycerzem, któremu towarzyszył jego przygluchy pachołek. Wycofali się przez skład materiałów na wewnętrznym podwórku do tylnej, mieszkalnej części budynku.

Dziedziniec był zakryty od słońca rozpiętym dywanem, tak że pojawiający się wciąż jeszcze na płaskich dachach łucznicy nie mogli tu rycerzy dostrzec. Wielki dywan był podtrzymywany w środku przez maszt. Polecili pachołkowi, aby ustawił się za drzwiami i miał oko na ulicę. Czekali na odsiecz. Pan Robert nie chciał pozostawać dłużej z dala od walki i nawet do ukrycia się tutaj przyjaciele z trudem go namówili.

Zachował dobry humor.

– Nie świadczy to o subtelnych obyczajach sułtana – zakpił cicho, gdy w kuchni odświeżyli sobie twarze wodą – że pretendentowi do jego tronu każe czekać w czeladnej izbie!

– Wasza wina, szlachetny panie Coucy – wykrzywiony bólem Jan z Brienne próbował żartować – gdybyście byli lepsi w nogach, dotarlibyśmy do pałacu sułtana i siedzielibyśmy teraz wygodnie w sali audiencyjnej.

Zagadnięty wyciągnął się na kamiennej ławie i jęczał.

– Wątpliwe, czy wygodnie – odpowiedział za niego pan Robert. – Mamelucy użyliby wszelkich środków, żeby nam przeszkadzać, gdybyśmy w tym świętym pałacu znaleźli chwilę wytchnienia. Zadowolmy się więc, moi panowie, tą chatą i wzmocnijmy nasze utrudzone członki...

Urwał, bo z ulicy dobiegł znowu szczęk broni. Widzieli przez otwarte drzwi, że nawet prawie głuchy pachołek musiał ten hałas usłyszeć, ponieważ dał im znak, by pozostali w ukryciu. Jakiś templariusz walcząc wycofywał się w głąb sklepu. Robert poznał go natychmiast – był to młody komtur z Tortosy, Gwidon z Plessis, który go tak dumnie wyzwał do walki. Nie był tchórzem, bił się zręcznie z pięcioma napastnikami, wykorzystując przy tym znajdujące się w pomieszczeniu bele materiału.

Robert z Artois chciał już pospieszyć z pomocą, ale Jan z Brienne go powstrzymał. W tym momencie templariuszowi pękła w rękę klinga. Rycerz pozostały kikut wepchnął najbliższemu przeciwnikowi między zęby i odskoczył do tyłu, ciskając przy tym między siebie a wrogów belę kosztownego adamaszku.

Wierny pachołek rzucił mu własne żelazo, Gwidon z Plessis złapał je w locie i człowiek, który zaplątał się w materiał, nadział się na ostrze.

Sposób obrony templariusza okazał się dla innych napastników dobrą lekcją. Zaczęli wyszarpywać z półek bele i ciskać wstęgi materiałów na rycerza, który wkrótce na ślepo parował ciosy. Brokat i złotem przetykana tkanina przykryły go, a miecze nieprzyjaciół dopełniły reszty.

Kiedy pachołek zobaczył, że mamelucy zamierzają poprzez krwawy tłumok wtargnąć na dziedziniec, podjął ostatnią próbę ratowania swych panów. Potężnym ciosem uderzył w

maszt. Ciężki dywanowy namiot runął, grzebiąc pacholka pod swym ciężarem, przesłaniając jednocześnie drzwi do kuchni.

Tymczasem zgiełk bitewny ściągnął dalszych mameluków. Wdrapali się na dywan, zwisający teraz ze ścian domu, i zaczęli go ciąć jak popadnie. Odkrycie schowanych w kuchni rycerzy było już kwestią kilku chwil.

– Nuże, moi panowie – powiedział cicho w ciemności Robert z Artois, a jego głos ginął w hałasie dobiegającym z ulicy. – Skoro ci ciemni poganie mają przelać krew ich przyszłego króla, to pozdrówcie moją małą narzeczoną! – Ucałował Jana z Brienne i poklepał go po ramieniu ze strzałą, aż tamten drgnął. – Ból jest krótki – zażartował pan Robert i zwrócił się do drugiego rycerza.

Pan Rudolf podniósł się i wziął miecz do ręki.

– Nie wiedziałem – jęknął przy tym – że jesteście zaręczeni. Jak się nazywa szczęśliwa młoda wdowa?

– Nie znam jej prawdziwego imienia, być może Jezabel – szepnął mu do ucha Robert, ściskając na pożegnanie.

Dywan zerwano, światło wtargnęło do środka i padło na trzech rycerzy. Na zewnątrz rozległ się ryk wściekłości. Rudolf i Jan stanęli za drzwiami, po obu stronach, Robert pozostał w głębi na wypadek, gdyby któremuś gwałtownie szturmującemu mamelukowi udało się przedrzeć. Rycerze cięli jak kosy bojowego rydwanu i wypychali zabitych przez drzwi. Już dobry tuzin napastników przyplącił szturm życiem, gdy strzała trafiła Brienne'a w drugie ramię. Pan Jan stracił równowagę i upadł głową naprzód. Kiedy padał, odcięto mu głowę i tylko tułów pozostał w drzwiach.

Coucy nie mógł tego widzieć i chciał przyjaciela odciągnąć za nogi, pan Robert jednak skoczył na miejsce zabitego, nie zajmując się nim, ponieważ dostrzegł błysk saraceńskiej szabli.

– On nie żyje! – zawołał do towarzysza.

Pan Rudolf jednak uważał za swój obowiązek uratować Brienne'a. Sięgnął po niego schylony za swą tarczą, wtedy jednak opatrzona żelaznymi kolcami kula na łańcuchu zahaczyła o tarczę rycerza i szarpnęła, a on nie zdążył uwolnić ramienia.

Zza muru świsnęła szabla i odrąbała ramię. Rudolf z Coucy spróbował się wyprostować, podnieść miecz, ale stracił przytomność i upadł w kałużę krwi.

– Jeza! – Robert z Artois wyskoczył z drzwi z dzikim krzykiem w sam środek oblegających, którzy myśleli, że zabijając dwu rycerzy, zabili wszystkich. Natarł na nich z taką zaciekłością, że przerażeni cofnęli się najpierw. Potem natarli na niego ze wszystkich stron dzidami i zakłuli jak odyńca. Zatknęli trzy krwawiące głowy na długie włócznie i z tryumfalnym wrzaskiem pobiegli przez ulice.

Z diariusza Jana ze Joinville

Pod Mansurą, 8 lutego A.D. 1250

Znajdowałem się jeszcze w opuszczonym przez Egipcjan obozie, który teraz zajęliśmy, gdy przybył mój sekretarz z królem Ludwikiem i głównymi siłami. Był to wspaniały widok, usłyszeliśmy kotły i rogi i odetchnęliśmy z ulgą.

William z Roebroku nie zobaczyłem zresztą tak szybko. O wydarzeniach, które się rozegrały w murach Mansury, przedostawały się do nas jedynie bezładne pogłoski.

Wielki mistrz Wilhelm z Sonnacu został natychmiast zoperowany przez chirurgów templariuszy. Jego świta nie dopuszczała nikogo do okrągłego namiotu. Mówiono, iż oka nie dało się uratować, a ranny wyjącał, że nie żałowałby go, gdyby mógł za to drugim okiem oglądać znowu żywych rycerzy, którzy przypuścili szturm na przeklętą Mansurę. Gdy pan Ludwik dowiedział się o niepewnym miejscu pobytu i możliwej utracie straży przedniej, polecił pierwszym szeregom przyjąć szyk bojowy, aby odeprzeć ewentualny kontratak. Saperom rozkazał przerzucić niezwłocznie most przez rzekę, piechurzy bowiem, zwłaszcza kusznicy, znajdowali się wciąż jeszcze po drugiej stronie Bahr as-Saghir, a król potrzebował pilnie ich wsparcia.

Jak słusznie przewidział, niebawem z bram miasta wypadli mamelucy i uderzyli z impetem na chrześcijańską jazdę. Król trzymał swoich ludzi żelazną ręką, póki nieprzyjaciel nie wypuścił gradu strzał, dopiero wtedy kazał im ruszać. Rycerze przepędzili mameluków z powrotem aż pod mury. Dalej nie odważyli się jechać, gdyż dostaliby się w zasięg katapult i kusz. Tak więc wróg mógł się na nowo uformować.

Krół tymczasem przysłał do obozu wezwanie, żebyśmy mu pomogli, o ile nie jesteśmy niezbędni jako straż. My sami potrzebowaliśmy pomocy, ponieważ oprócz włóczących się Beduinów, którzy chcieli rozgrabić bogate łupy z namiotów zbiegłych emirów, przedzierały się bez przerwy uzbrojone oddziały, które próbowały odbić pozostawione katapulty, lepsze od naszych.

Byli to szczególnie śmiali wojownicy. Ja i moi ludzie odnieśliśmy już wiele ran, tak że zmusiwszy wroga wreszcie do ucieczki, nie mogliśmy już nałożyć zbroi na nasze jako tako opatrzone ciała.

Udawałem się z Williamem z Roebroku do kwatery joannitów, gdy akurat przyniesiono na noszach pachółka hrabiego Artois. Wkrótce potem dowiedzieliśmy się, że pachółek, któremu spadł jakoby na głowę dach, jedyny przeżył masakrę i dopiero teraz podczas wypadu mameluków mógł się wydostać z miasta.

Pan Robert i wszyscy jego towarzysze zostali zabici, nie przeżył także żaden z templariuszy. Tak relacjonował pachółek. Kiedy uciekał przez miasto, widział zatknięte na

żerdziach głowy i nigdzie nie było już słycać bitewnego zgiełku. Muzułmanie są upojeni zwycięstwem. Z tą przygnębiającą wiadomością pojechaliśmy do króla Ludwika.

Mamelucy tymczasem zmienili taktykę, zdradzała ona teraz znowu twardą rękę jednego dowódcy. Nacierali z wielu stron i próbowali przede wszystkim dostać się na tyły naszego wojska, aby przeszkodzić budowie mostu. O mały włos byliby króla zepchnęli do rzeki. Kilku z nich udało się nawet złapać królewskiego konia za wodze, aby żywego pana Ludwika poprowadzić do niewoli, on jednak uderzył z takim impetem, że go puścili.

Właśnie w tej chwili przybyliśmy i zaatakowaliśmy z flanki. Mamelucy uciekli, z bezpiecznej odległości jęli obrzucać nas pociskami wszelkiego rodzaju.

Przed zachodem słońca most na łodziach był gotowy i kusznicy przekroczyli rzekę; na jej północnym brzegu pozostała już tylko straż na przyczółku mostowym jako połączenie między nami a leżącym za rzeką obozem księcia Burgundii.

Mamelucy, teraz pod skutecznym ostrzałem naszych kuszników, wycofali się poza mury miasta. Zwycięstwo było nasze, ale za jaką cenę!

Król rozkazał wszystkim udać się na noc do namiotów i leczyć rany. Dopiero teraz podszedł do niego Jan z Ronay.

– Hrabia Robert odszedł do raju – tymi słowami powiadomił króla, że jego brat znajduje się wśród zabitych w Mansurze.

Pan Ludwik zalał się łzami.

*Car cel q'era de valor caps,
lo rics valens Robertz,
comes dels Frances,
es mortz – Ai Diaus!
Cals perd'e cals dans es!
Mortz!
Cant estrains motz,
cant dol ad auzir!
Ben a dur cor totz
hom q'o pot sofrir.*

Pod wieczór do Kairu przybyli pierwsi uciekinierzy z Mansury, wśród nich wielu dostojników i wysokich urzędników dworu. Ich relacja z ataku chrześcijan na egipski obóz i miasto nie wróżyła nic dobrego.

Zaczęły się lamenty, przybywało do stolicy coraz więcej zrozpaczonych ludzi, którzy uratowali tylko życie. Na polecenie namiestnika Husama ibn abi'Alego *Bab an-Nasr*, brama miasta, była całą noc otwarta. Nikt nie usnął ze strachu i troski, meczety były przepełnione.

Ze wschodem słońca nadeszła wiadomość o zwycięstwie. Radość i szalona wesołość zapanowały na ulicach i placach. Imię zwycięskiego bohatera spod Mansury, Rukn ad-Din Bajbarsa, zwanego Łucznikiem, było na ustach wszystkich. Była to pierwsza bitwa przeciw niewiernym psom, z której mamelucy, a na ich czele dawniej bardziej osławieni niż podziwiani bahryci oraz dumni gamdaryci, wyszli zwycięsko. Allah uczynił im tej sławy.

Czerwony Sokół stał w Suezie na nabrzeżu i czekał, aż bogato zdobiona barka przybije wreszcie do brzegu. Załoga nie spieszyła się, gdyż widocznie wysłany naprzód oddział zobrazował już namiestnikowi tego portowego miasta, kto się zbliża i jak powinien być przyjęty.

Orkiestra wojskowa złożona z trębaczy grających na rogach i doboszy grzmiących na bębnach i kotłach zagłuszyła flety, cymbały i tamburyny; przy ich dźwięku lekkonogie tancerki kołysały się na dywanach, którymi wysłano całe nabrzeże. Gdziekolwiek by w swoim kraju nowy władca postawił stopę, mógł być pewien uroczystego powitania. Komitet powitalny miejscowych dostojników przesunął się z miejsca na miejsce, w zależności od tego, jakie istniało prawdopodobieństwo, że barka raczy tam najlaskawiej przybić do brzegu. Turanszah nie pokazał się jeszcze swemu ludowi, za to dzieci niezbyt zgodnie z protokołem podskakiwały między salutującą strażą, zauważyły bowiem Czerwonego Sokola i kiwały do niego, podczas gdy wiosłarze z zapierającą dech powolnością zanurzyli wiosła w wodzie i potem równie wolno wyciągnęli je, gdy rzucono liny.

W dobrze wyliczonym momencie, kiedy łódź dotknęła łagodnie krawędzi nabrzeża wyłożonej poduszkami, otworzył się paradny namiot. Wszedł dwór, tworząc z obu stron szpaler i odsłaniając wreszcie dostojnego Turanszaha. Madulajn, ubrana w prostą *fustan**, która dodawała jej godności i piękności małżonki faraona, jak to stwierdził Czerwony Sokół z ukłuciem w sercu, szła krok za sułtanem, ale z boku była tak widoczna, że nikt jej ani jej znaczącej pozycji nie mógł przeoczyć.

Turanszah wśród oczekujących dostrzegł emira, jak również jego ogniste spojrzenie skierowane na Madulajn. Zachmurzył się, udał jednak, że nie zauważył posła. Po wyłożonym kosztownym adamaszkiem pomoście zszedł na ląd, a zgromadzeni dostojnicy rzucili się przed nim na ziemię.

Wtedy zbliżył się wysłaniec dworu w Kairze; Czerwony Sokół poznał go natychmiast, był to dworak sułtanki Szadszar. Emir zaniepokoił się – nie przewidywał, że ktoś jeszcze będzie przyjmował władcę. Czy w tej sytuacji Turanszah posłucha wezwania do stolicy, czy podejmie walkę?

Turanszah przywołał go do siebie nadzwyczaj łaskawym gestem, co było zadziwiające. Nie pozwolił też, żeby emir uklęknął, lecz objął go jak serdecznego przyjaciela.

* Fustan (arab.) – suknia wizytowa.

– Zasmuciła mnie wieść o waszym ojcu – powiedział. – Fachr ad-Din po tysiącokroć zasłużył na raj, ale Egipcjowi będzie go brakowało w tej godzinie wielekroć bardziej. – Aby mieć zupełną pewność, że został dobrze zrozumiany, dorzucił: – Podobało się Allahowi odebrać pod Mansurą życie wielkiemu wezyrowi, a nam dać zwycięstwo.

Uściskał osłupiałego emira i chciał się zwrócić ku swojej świcie. Czerwony Sokół opanował się i zdecydował wypełnić jak najszybciej swoje zadanie, gdyż pilno mu było do złożonego na marach ojca.

– Dostojny Turanszahu – odezwał się – Allahowi może się też spodobać, jeśli wy, panie, na którego ramionach spoczywa odpowiedzialność za lud Egiptu, udacie się teraz do Mansury i obejmiecie naczelne dowództwo. Nie pozwólcie, żeby śmierć mego ojca poszła na marne.

Wszyscy byli zdumieni śmiałością tych słów, a ci, którzy znali Turanszaha, płaszcząca się przed nim swita, oczekiwali teraz niepohamowanego wybuchu. Jednak sułtan nie ukarał zuchwalca, który ośmielił się przypomnieć władcy o jego obowiązkach. Rzucił Madulajn przeproszające spojrzenie. Dziewczyna popatrzyła na Czerwonego Sokola wyniosłe, a swemu władcy okazała lodowatą twarz. Zatroskany Turanszah odwrócił się i powiedział:

– Fassr ad-Din Oktaju, wiem, co mam czynić – potem zniżył głos – gdy przetrwamy tę ceremonię, oczekuję was w swoim namiocie, chcę z wami pomówić – i dodał znowu głośno: – Udamy się do Kairu.

Ostatnie zdanie odnosiło się przede wszystkim do Madulajn, która je przyjęła z satysfakcją. Turanszah z niechęcią oczekiwał spotkania z macochą Szadszar w Kairze, której z pewnością nie przypadnie do gustu tak silna osobowość jak ta „córka cesarza”. Może faktycznie byłoby lepiej pociągnąć najkrótszą drogą na pole walki...

Odetchnął z ulgą, gdy ostatni dostojnicy przekazali swe życzenia – *Allah jatikum al-umr at-tawil wa sa'ada ual madzd!** – myśląc przy tym jedynie o powiększeniu swej synekury – *Allah juchallikum asz-szadz'a wa-al-karam!** – i pomnożeniu swych tytułów.

Ucieszył się, gdy zobaczył Czerwonego Sokola przybywającego do pawilonu, który kazał wzniesić na nabrzeżu. Madulajn wypłoszyła stąd tancerki, a potem sama wycofała się, ale był pewien, że nie odmówi sobie przyjemności uczestniczenia w rozmowie. Turanszah kazał zamknąć płachtę namiotową i poprosił emira, by usiadł. Sam jednak stał.

– Pochodzicie ze starego rodu, Fassr ad-Din Oktaju – zaczął ceremonialnie – zawsze wiernie związanego z dynastią Ajjuba. Dlatego podzielę się z wami troską, która mnie trapi. Czy powinienem jak najprędzej wstąpić na tron w Kairze? Wtedy spadnie na mnie pozorny splendor władzy sułtana Egiptu, ściągnę na siebie niezadowolenie mameluków, którzy walczą w polu z nieprzyjacielem. – Wędrował niespokojnym krokiem przed Czerwonym Sokółem tam i z powrotem. – A może powinienem najpierw okryć się sławą bojową, udać się do jamy

* Allah jatikum... (arab.) – Niech Allah obdarzy was długim, szczęśliwym życiem, pomyślnym panowaniem!

* Allah juchallikum... (arab.) – Niech Allah zachowa waszą odwagę i waszą szczodrość.

z węzami i mieć nadzieję, że pozwolą mi jako „promiennemu zwycięzcy” spożywać w spokoju owoce zwycięstwa?

Turanszah przerwał, przyznanie się do niepewności nie przyszło mu łatwo.

– Mówię do was, tak jak mój ojciec mówił do waszego ojca, chociaż nie zakładam, że dążycie do zajęcia wakującego urzędu.

Usiadł naprzeciwko Czerwonego Sokoła i ukrył twarz w dłoniach.

– Mojego pana ojca nie kryje jeszcze ziemia – powiedział Czerwony Sokół – nie przyszło mi nawet na myśl, aby rozważać przyszłość urzędu wielkiego wezyra. Chcę jednak spróbować – dodał szybko, gdy dostrzegł zmartwienie Turanszaha – odpowiedzieć wam, panie, jak wezyr: każdy możliwy krok uczyniony jako pierwszy może się okazać fałszywy. Spędziliście większość życia poza Kairem i wasz ojciec wiedział, dlaczego trzyma was bezpiecznie w odległej Dżazirze, daleko od strzał, trucizny i ciosów sztyletu.

Do namiotu weszła Madulajn. Turanszah powitał ją sarkastycznie:

– Musicie teraz wysłuchać, księżniczko, ku jakim niebezpieczeństwom zdążam, ku jakim niebezpieczeństwom zdążacie także wy przy moim boku!

– Niczego się nie lękam – powiedziała Madulajn i spojrzała przy tym twardo na Czerwonego Sokoła. – Obawiam się tylko, że mnie, panie, porzucicie!

– Mogę was, księżniczko, zostawić samą na świecie prędzej, niż sobie wyobrażacie! – odparł Turanszah jakby od niechcienia. – W tym wypadku – zwrócił się z całą powagą do Czerwonego Sokoła – proszę was, emirze, żebyście damie mego serca zapewnili wszelką opiekę, której śmiała księżniczka będzie potem z pewnością potrzebowała.

Madulajn zachowała spokój, chociaż była zaskoczona nagłym przygnębieniem nigdy nie mającego wątpliwości władcy.

– Wyjaśnijcie nam, proszę, Fassr ad-Din Oktaju, jakie realne niebezpieczeństwo grozi Turanszahowi, bo nie mówimy przecież o duchach! – Usiadła obok sułtana i wzięła jego rękę w swoje dłonie.

– Jest starym zwyczajem dynastii Ajjubidów, ja to zresztą nazywam przekleństwem – zaczął emir, nie spuszczać obojga z oczu – kupowanie u handlarzy niewolników dzieci, które w czasie wojen, głównie na Wschodzie, straciły rodziców, zostały zagubione czy porwane. Te dzieci są adoptowane osobiście przez sułtana, otrzymują jak najlepsze wychowanie, zwłaszcza w obchodzeniu się z bronią. Śpią w jego namiocie, co je uczuciowo wiąże z władcą.

Zatrzymał się, nieco zatroskany, że posunął się za daleko, ale Turanszahowi nie drgnęła nawet powieka.

– Gdy wychowankom zaczynają rosnać wąsy, sułtan pasuje ich na rycerzy. Mogą wprowadzić do tarczy jego herb i tworzą zaprzysiężoną wspólnotę *halca*, straż przyboczną sułtana. Jeśli potem wykażą się męstwem w walce, osiągają rangę emirów i stają się dowódcami w armii. Nie wolno zapominać, że nie są niskiego pochodzenia, ich rodzice byli

księżętami i wodzami, w ich żyłach płynie niepokromiona, szlachetna krew, toteż pomnażają swą sławę i wpływy przez wielkie czyny. Gdy jednak zajdą tak wysoko, że sułtan zaczyna się obawiać wpojonej im nienasyconej ambicji, wówczas każe ich z błałego powodu aresztować i ściąć.

– To straszne! – zawołała Madulajn.

– To jest przede wszystkim niemądre – powiedział Czerwony Sokół. – Od kiedy bowiem ten mechanizm stał się dla *halca* przejrzysty, mają się na baczności, to znaczy są gotowi raczej popełnić samobójstwo, niż zostać ściętymi. Prawie wszyscy obecni mamelucy emirowie to dawni *halca*. Ja także muszę się do nich zaliczyć – skłonił się dwornie przed Turanszahem – tylko że ja wychowywałem się na dworze cesarza Fryderyka.

– Zniosę ten zły obyczaj – oświadczył zirytowany Turanszah.

– Za późno – odparł Czerwony Sokół. – Dlaczego mamelucy mieliby wam dać wiarę, pozwolić wam dojść do władzy, zgodzić się na to ryzyko przy następnym sułtanie z domu Ajjubidów?

– Udowodnię im, że jestem inny. Po pierwsze, będę walczył u ich boku przeciwko frankońskim najeźdźcom. Po drugie, po zwycięstwie zrzeknę się władzy i wprowadzę na tron dzieci Graala. Im żaden mameluk nie będzie mógł zarzucić, że usiłowały przez przewencyjne ścinanie głów zapewnić sobie panowanie...

– Gdzie dzieci są teraz? – Czerwony Sokół zmienił temat. – Uważam za niebezpieczne włączenie ich do waszego przedsięwzięcia.

– Dzieci, *In sha Allah*, pozostały na pokładzie pod opieką mojej własnej *halca*. Ale zabiorę je ze sobą właśnie po to, by każdy zobaczył i zrozumiał, że świat musi się zmienić. One powinny przynieść pokój! – Turanszah zerwał się z miejsca. – W Kairze złożę uszanowanie swojej macosze i zadbam, żeby osobom najbliższym memu sercu zapewnić tam bezpieczeństwo, gdy ja tymczasem pociągnę dalej do Mansury i przejmę dowództwo. Po zwycięstwie, którego Allah nam nie odmówi, mamelucy nie odważą się zbuntować przeciwko mnie!

– Przedstawiłem wam dokładnie dylemat, dostojny władco, wy podejmujecie decyzję – powiedział Czerwony Sokół i rzucił Madulajn zatroskane spojrzenie.

Ona jednak z dumą patrzyła na Turanszaha, który wstał, wyszedł przed namiot i dał rozkaz do wyruszenia.

– Podjąłem decyzję! – zwrócił się do emira, który się również podniósł. – I chcę was prosić, byście mi towarzyszyli w tej drodze, chociaż z pewnością zamierzaliście pospieszyć bez zwłoki do Mansury na pogrzeb wielkiego wezyra. Zmarli mogą poczekać, teraz chodzi o nasze życie. To rozkaz, Fassr ad-Din Oktaju!

Z diariusza Jana ze Joinville

Pod Mansurą, 10 lutego A.D. 1250

Tarczę oraz ubiór z insygniami korony francuskiej rozwieszono na żerdzi i wystawiono na widok publiczny przed egipską armią. Krwawe trofea należały do Roberta z Artois, ale Bajbars, który teraz, jak się wydawało, przejął dowództwo, kazał rozgłosić, że był to herb i suknia samego zabitego króla.

– Ciała bez głowy nikt nie powinien się obawiać – rozgłoszono. – Chrześcijańskie psy są teraz bezpańską, zagubioną sforą, przepędzimy je, pogonimy do morza i utopimy! *Hajja bi-na li-al-maraka al-achira!**

Nie trzeba było żadnych szpiegów, aby się dowiedzieć o planie nowego ataku. Wieczorem pan Ludwik zawiązywał do siebie dowódców oddziałów i rozkazał im już o północy – chociaż przed świtem trudno było oczekiwać nieprzyjacielskiego ataku – zająć ze swymi ludźmi pozycje bojowe za palisadami obozu po tej stronie rzeki. Postawił również w stan alarmu obóz za rzeką, dowodzony przez księcia Burgundii, i wzmocnił strażę na przyczółkach.

William czekał na mnie przed czerwonym namiotem i towarzyszył mi w drodze powrotnej. Był przygnębiony, a mnie także wciąż dręczyły myśli o strasliwym końcu francuskiego księcia.

– Kim jest ten młody templariusz, tak bardzo różniący się od wszelkiej zakonnej hierarchii, który pojawił się między frontami z czarną lektyką i...

– O czym wy mówicie? – przerwał mi mój sekretarz szorstko. – Nie widziałem żadnej lektyki. I kto wam właściwie powiedział, że to był templariusz? – Wydało mi się, że nie chce więcej o tym słyszeć, nie dałem jednak za wygraną.

– Ale przypominacie sobie trumnę, którą jakby zła czarodziejska ręka...?

– Głupie żarty znudzonych żołnierzy – odparował – aby dowódcom napędzić strachu!

– To jednak dotyczyło Artois – upierałem się przy swoich dociekaniach – a ta przestroga się przecież sprawdziła – rzuciłem.

– Duchy! – zawołał William gniewnie. – Widzicie duchy!

– Nasz pretendent do korony nie żyje – powiedziałem – powinniśmy się spotkać z Robertem z Sorbony i joannitami, aby jak najszybciej rozważyć...

* Hajja bi-na... (arab.) – naprzód, na ostatni bój!

– Kto jest następny?! – William roześmiał się drwiąco. – Drogi panie Joinville, poczekajmy, aż minie jutrzejszy dzień, wieczorem zobaczymy, z kim możemy jeszcze rozmawiać albo czy jeszcze ktoś o nas mówi!

Zaledwie William wypowiedział te słowa, z cienia naszego namiotu wyszedł Leonard di Peixa-Rollo, marszałek joannitów. Miałem wrażenie, że nas niecierpliwie oczekuje.

– Mistrz prosi was, szlachetny panie, żebyście poszli ze mną – powiedział cicho, z niezwykłą uprzejmością.

Dałem do zrozumienia Williamowi, żeby czekał na mnie w namiocie, ale o dziwo, marszałek dodał szybko:

– Drogiego brata Williama nie może zabraknąć!

Poprowadził nas na skraj obozu, gdzie joannici rozbili swój pawilon. Był otoczony podwójnym pierścieniem straży, a wewnątrz rozjaśniony jedynie światłem świec. Zgromadzili się tutaj wszyscy starsi rycerze kapituły zakonnej, którzy już na Cyprze brali udział w posiedzeniach. Ale był także obecny *maître* Robert z Sorbony. Wskazano nam zaszczytne miejsca tuż obok pana Roberta, a on podniósł się i skłonił szybko mnie, natomiast wyjątkowo uprzejmie Williamowi z Roebruku. Jan z Ronay, urzędujący wielki mistrz, przystąpił od razu do rzeczy.

– Bracia! – zaczął uroczyście. – Nasi wrogowie każą swemu ludowi wierzyć, że król nie żyje. Wystawili obłupione zwłoki naszego nieszczęsnego księcia. – Zrobił pauzę, aby pozwolić ucichnąć szmerowi, ale także po to by wzmóc uwagę. – Bracia – ciągnął dalej – nie tylko przekreślimy fałszerzom ich rachuby, lecz wzbudzimy strach i przerażenie tych, którzy myślą, że znają prawdę. Pokażemy mamelukom, że nasz bohater żyje! Robert z Artois żyje! – zawołał i szmer zdziwienia zaczął narastać. Jan z Ronay nakazał spokój. – Wykradniemy im dowody, a księcia Francji ku ich śmiertelnemu przerażeniu włączymy znów w nasze szeregi.

Gwar głosów był teraz ledwie do opanowania i wielu uczestników wyjawiało głośno swoje niezadowolenie.

– Oszustwo! Czarna magia!

Nie chcieli uwierzyć w taką możliwość.

– Przypomnijcie sobie wielkiego El-Cida! – zawołał Jan z Ronay, a marszałek stuknął buławą w stół, aby nakazać ciszę.

– *Silentium!**

– Jutro rano – wyjaśniał wielki mistrz – wróg nas zaatakuje. Żadnemu muzułmaninowi nie przyjdzie jednak na myśl, że w tym samym czasie grupa naszych turkopli* pod dowództwem zasłużonego, rozważnego i władającego arabskim brata Williama z Roebruku

* *Silentium!* (łac.) – spokój!

* Turkople – nazwa tubylczych oddziałów pomocniczych pozostających na służbie baronów i zakonów rycerskich w Ziemi Świętej. Turkople często nie byli wcale chrześcijanami, służyli jako żołnierze zaciężni u panów, którzy opanowali zamieszkane przez nich terytorium. W zakonie dowodził nimi specjalny dowódca, zwany turkopliem.

uda się na ich tyłach do miasta i wykradnie głowę, ciało, tarczę i ubiór hrabiego Artois. Nasz wybór padł na tego dzielnego człowieka z przyczyny nie tylko jego dzielności i mądrości, lecz przede wszystkim siły jego wiary, czym jest sławny i stanowi przykład dla swego zakonu. *In pedes**, bracia, *in pedes*, i nagroźcie brata Williama oklaskami, które mu się należą!

Wszystkie ręce złożyły się do braw, a *maître* z Sorbony uściśnął Williama i ucałował po bratersku w oba policzki. Mój sekretarz pobladł i był bliższy łez niż zrobienia dobrej miny do złej gry.

Wówczas *maître* zawołał:

– Nie wstyďte się łez, dzielny człowieku, należy wam się cześć!

Także urzędujący wielki mistrz zamknął go teraz w ramionach.

– Bez fałszywej skromności! To my ci dziękujemy!

Na dany przez Jana z Ronay znak szatny i jego ludzie pociągnęli Williama ze sobą, pewnie by go na miejscu przebrać. Zmusiłem się do uśmiechu, ażeby mnichowi dodać odwagi, bo gdy uprzejmie wypchnięto go z pawilonu, miał spojrzenie jak wół prowadzony do rzeźni. Żal mi było mego sekretarza, ale byłem dumny, zwłaszcza że wszyscy się do mnie cisnęli, aby mi pogratulować. Trzeba umieć ponosić ofiarę!

Pod Mansurą, 11 lutego A.D. 1250

O wschodzie słońca zobaczyliśmy naprzeciwko siebie dobre cztery tysiące jazdy. Bajbars ustawił ją w wyciągnięty łańcuch. Sięgał obu stron naszego obozu od brzegu Nilu po Aszmun-Tanna. Dodatkowo naprzeciwko palisady obozu rozmieścił jeszcze raz tyle piechoty, a w głębi mogliśmy dostrzec jego odwody – broń połyskiwała w porannej mgle, natomiast liczebności oddziałów można się było najwyżej domyślać. Potem egipscy dowódcy wyjechali sami przed front. Jakbyśmy wcale nie istnieli, kazali swoim wierzchowcom poruszać się tanecznym krokiem i stawać dęba. Porównywali nasze oddziały ze swoimi i gdzie nie posiadali czterokrotnej przewagi, wzmacniali swoje linie.

Potem mameluk kazał wyroić się trzem tysiącom Beduinów. Nie zwrócili się jednak przeciwko naszemu obozowi, lecz natarli na obóz księcia Burgundii, chyba licząc na to, że pan Ludwik wyśle mu pomoc i osłabi się po tej stronie Bahr as-Saghir. Nie ruszyliśmy się z miejsca. Ciągnęło się to do południa – my staliśmy już od północy – aż wreszcie odezwały się kotły.

Odpowiedzieliśmy na ich głuche dudnienie pogardliwym milczeniem. Nagle z wielkim wrzaskiem mamelucy ruszyli do ataku. Był to ogłuszający hałas, który dlatego tak straszliwie

* *In pedes* (łac.) – powstańcie!

rozległ się w naszych uszach, że król nie kazał odpowiedzieć fanfarom. Pierwszy trzask uderzających o siebie tarcz i donośny dźwięk krzyżujących się kling były potem prawdziwą muzyką!

Naszym skrzydłem między obozem a Nilem dowodził hrabia Anjou, który kazał rycerzom zsiąść z koni i trzymać je z tyłu. Wrogowie do tego stopnia zasypali go greckim ogniem, że oddziały zaczęły się chwiać; zaistniało niebezpieczeństwo, iż ten odcinek zostanie zdobyty szturmem.

Pan Ludwik sam rzucił się na pomoc ze swoją konną gwardią. Ogon jego konia zajął się od ognia, ale interwencja króla odpedziła nieprzyjaciół.

Gorzej działo się na następnym odcinku, który trzymali baronowie z *Outremer* razem z templariuszami, a właściwie z ich garstką, co jeszcze pozostała. W spowodowanej próżnością awanturze w mieście stracili dwustu osiemdziesięciu rycerzy. Zadaniem odcinka była obrona machin miotających, które zdobyto niespodziewanym atakiem na obóz wielkiego wezyra.

Nacierający tutaj wrogowie mieli widocznie rozkaz raczej je zniszczyć, niż pozostawić w naszych rękach. Egipcjanie ciskali również tutaj grecki ogień i przeszkadzali w jego gaszeniu, zasypując naszych gradem strzał.

Wilhelma z Sonnacu, wielkiego mistrza, który już pod bramami Mansury stracił jedno oko, trafiła strzała w drugie. Tym razem kosztowało go to życie.

Wokół płonącej, zasnutej gęstym dymem pozycji templariuszy falował jakby łan zboża – tak gęsto tkwiły w ziemi wystrzeliwane stromo strzały Egipcjan.

William wyszukał czterech turkopli, którzy należeli do tubylczych pomocniczych oddziałów joannitów i służyli zakonowi jako piechota. Byli bez wyjątku koptyjskimi chrześcijanami i wyznawali się na obyczajach Arabów, chociaż pochodzili z Ziemi Świętej.

Flamandzki chytrus wpadł na pomysł, żeby turkople zanieśli go na noszach do Mansury jako rannego Saracena. Przebrano mnicha w zakrwawioną odzież ściągniętą z zabitego Egipcjanina, opatrunkiem przykryto rudawe włosy. Joannicka strzała tkwiła rannemu w piersi, to znaczy William mocno ją trzymał zakrwawioną ręką. Odpowiadająca jego randze szabla leżała między nogami minoryty złamana. Turkople byli przebrani za Beduinów. Wyruszyli znad Bahr as-Saghir, akurat gdy pierwsi Beduini, pobici przez burgundzkiego księcia, uciekali przez rzekę. Wojacy z Williamem na noszach biegli przez pole walki ku murom miasta, krzycząc: *Ibadu ja kilab, wa-illa jasilu dammu sajjddina!** Dwu z nich na zmianę niosło ciężkiego mnicha, dwu pozostałych ciosami kijów wyrąbywało przejście i trzymało ciekawskich z daleka. Także na straż przy bramie ryknęli od razu: „*Ajna at-tabib, sani al-adža'ib?*”* Życie naszego pana wisi na jedwabnej nitce cienkiej jak włos, tylko

* Ibadu ja... (arab.) – przejście, psy, bo nasz pan się wykrwawi!

* Ajna at-tabib... (arab.) – Gdzie jest lekarz, wielki cudotwórca?

cudotwórca może go uratować! *Ajna huwa?** ” Wartownicy wskazali im drogę i Beduini zniknęli spiesznym krokiem w najbliższej uliczce.

Jak się teraz wiedzie mojemu Williamowi? – myślałem czasem, zmieniając sobie opatrunki. Ja zwiabym na jego miejscu, zamiast narażać drogocenne życie dla odciętej głowy i sławnego kaftana! Ale William miał przecież zawsze własny rozum.

Ja, seneszał Szampanii, należałem ze swymi ludźmi do oddziału broniącego palisady obozu. Ponieważ urządziliśmy przed nią jakby szaniec z zatkniętych w ziemię włóczni i zaostrzonych żerdzi, w czasie całej bitwy nieprzyjaciel pozostawiał nas właściwie w spokoju.

Wciąż pojawiały się gromady jeźdźców, które ruszały na nas do ataku, ale kiedy atakujący dostrzegali przeszkodę, od razu zbaczali. To było nasze szczęście, gdyż mało który z nas był w stanie nałożyć zbroję z powodu wielu ran, jakie odnieśliśmy przed trzema dniami. Tak więc ograniczyliśmy się do tego, żeby udzielać pomocy naciskanym przez wroga przyjaciółom, którzy walczyli poza obozem.

Gdy przeważająca zgraja jeźdźców zmusiła hrabiego Flandrii do ucieczki i ruszyła za nim w pościg, kazałem naszym łucznikom ostrzelać ich z flanki, tak że wielka liczba wrogów poległa.

To zachęciło moich rycerzy – tak jak stali, bez zbroi i wbrew rozkazowi, przeskoczyli palisadę i uderzyli na zdeorientowanych muzułmanów; w ten sposób odwrót hrabiego Flandrii przemienił się w pomyślny manewr. Zdobyliśmy mnóstwo kosztownych tarcz i porporzec emira. Wysłałem to hrabiemu z gratulacjami.

Nosze z Williamem z Roebruку kołysały się posuwając przez podnieconą cizbę uliczkami Mansury, przed której bramami toczyła się bitwa. Czterej przebrani za Beduinów turkople biegli z „ciężko rannym”, aż dotarli na główny plac, pośrodku którego tkwiły na żerdziach głowy, wysoko ponad korpusami, które wyglądały raczej jak strachy na wróble, gdyż tworzyły je tylko zbroje i tarcze zabitych.

William rozpoznał wcześniej herb hrabiego Artois niż jego głowę, która w odróżnieniu od innych nie straszyla pustymi oczodołami. Księciu zawiązano na czole opaskę, na której widniał napis: *Malik al-Ifrindz*, król Franków. Opaska zsunęła się na oczy i dlatego wrony ich nie wydziobały.

– *Insarif min hunna!* Precz stąd! – wydyszał William. – Zanim zobaczą nas strażę!

W istocie żerdzie były strzeżone, ale tylko przez starych mężczyzn, którzy już się nie nadawali do walki za murami. Nosze skręciły znowu do *kasba*, a tragarze znaleźli opuszczony dziedziniec, którego mieszkańcy chyba uciekli. Zrzucili Williama niezbyt łagodnie z noszy i nie pozostało mu nic innego, jak udawać zwłoki.

* *Ajna huwa?* (arab.) – Gdzie on jest?

Tragarze pobiegli z pustymi noszami z powrotem na rynek i skierowali się prosto ku odpowiedniej żerdzi. Starzy wartownicy zagrodzili im drogę.

– Na rozkaz szlachetnego emira Bajbarsa – zawołał najzuchwalszy z turkopli – mamy zabrać trupa tego pieskiego króla i wynieść go przed miasto na pole walki, naszym, którym Allah niechaj użyczy zwycięstwa, dla otuchy, a wrogom, *Allah jucharribhum**, dla odstraszenia.

Starzy byli zaskoczeni.

– Głowę tego suczego syna możemy wam dać, ale jego ciało dawno już pożarły psy.

Dopiero teraz turkopie spostrzegli, że kaftan i spodnie były wypchane i służyły tylko za wieszak na trofea.

– Postarajcie się o jakiś tułów – skrzeknął jeden ze starych, który był chyba najmądrzejszy – dookoła leży wystarczająco dużo chrześcijan, których sępy jeszcze nie odkryły.

– Walają się w każdym kącie, idźcie tylko za nosem – wmieszał się inny.

– Przynieście nam ciało – zdecydował najstarszy – a my dodamy do niego głowę. Ona pasuje do każdej szyi! – Roześmiali się głupio.

Wojacy oddalili się i przez nikogo nie zauważeni dotarli znów do Williama. Powiadomili go zwięźle, że musi się teraz sam wydostać z miasta, gdyż oni mają ścisłe zlecenie, by wrócić z głową Roberta z Artois, a nie mogą jej nieść bez żadnego ciała! Williamowi wróciły siły żywotne i wraz z nimi zdolność, aby w każdej sytuacji wyciągnąć się z gnojówki za własną czuprynę.

– Będę waszym nieboszczykiem! – oświadczył radośnie.

– Nie możemy wam przecież odciąć głowy – zganił ten pomysł dowódca turkopli. – O tym w każdym razie nie było mowy!

Williamowi przeszedł śmiech.

– To nie jest potrzebne – opanował się szybko i aby uprzedzić ich ewentualne głupie pomysły, polecił w tkaninie, z której były zrobione nosze, zrobić otwór, potem położył się na plecach, wsunął jednak głowę w otwór, tak że zwisała pod noszami. Teraz kazał im po pierwsze, podwiązać swoją głowę, a z boków zwiesić chusty, ażeby nikt nie mógł odkryć podstępu. Po drugie, posmarować mu szyję krwią i obłożyć trzewiami, co miało wyglądać, jakby zabitemu zadano gwałt, i po trzecie, zerwać z ciała saraceńskie odzienie, żeby każdy mógł zobaczyć białą skórę i rozpoznać chrześcijanina.

Mała grupa wyruszyła w drogę. Tryumfująco pokazała wartownikom swe znalezisko, tego chrześcijańskiego psa, który był zawinięty w dywan. Kryjówka na nic się zresztą temu wieprzowi nie przydała, odrąbali mu głowę, bo nie jest przecież potrzebna.

– Świńskie ciało jest jeszcze ciepłe, możecie się sami przekonać!

* Allah jucharribhum (arab.) – niech Allah ich zniszczy!

Jednak starzy wzdrygnęli się z powodu tak wielkiego okrucieństwa Beduinów. Ściągnęli z żerdzi głowę hrabiego, z obrzydzeniem przyłożyli ją do zakrwawionej szyi, a ciało przykryli szybko wojennymi utensyliami. Beduini naglili do pośpiechu i starzy byli zadowoleni, że jak najszybciej odprawili tych barbarzyńskich ludzi, bowiem jeszcze bardziej niż straszliwie oporzędzona głowa z wyżartymi wargami i do kości ogryzionym nosem budziło w nich wstręt ciepłe, białe ciało, w którym tak niedawno pulsowało jeszcze życie. Kto wie, jakim tępym nożem te szakale pustyni poderzwały mu gardło!

Turkople podnieśli nosze i oddalili się spiesznym krokiem.

Z diariusza Jana ze Joinville

Pod Mansurą, 11 lutego A.D. 1250

Bitwa toczyła się ze zmiennym szczęściem, wciąż myślałem, że już wybiła nasza ostatnia godzina, gdy jakaś nowa gromada uderzała na palisadę, jednak ostre oszczepy wytrzymały, a my za palisadą wyciągniętymi włóczniami też się do czegoś przyczynialiśmy, zwłaszcza że każdy atak płoszyliśmy przeraźliwymi fanfarami.

W kilku kwaterach naszego obozu nie poszło jednak tak łatwo. Także drugi brat króla, Alfons z Poitou, kazał ludziom zsiąść z koni, a sam pozostał na rumaku. Przez to naturalnie ściągnął na siebie uwagę. Jego ludzie zostali zaatakowani, a kilku Saracenów ujęło hrabiego i zamierzało go jako zdobycz pociągnąć ze sobą, ale markietanki i obozowi kucharze z wielkim wrzaskiem rzucili się na nich i zmusili do ucieczki, waląc łyżkami i patelniami gdzie popadnie. Po tym szczęśliwie przetrwanym niepowodzeniu kazał Alfons swoim panom znów powsiadać na konie i uderzył na najdalszą flankę nieprzyjaciela. Wspierali go kusznicy księcia Burgundii, który nacierających na niego Beduinów popędził bez reszty do wody, gdzie się przeważnie potopili, gdyż ci synowie pustyni nie umieją pływać.

Kazał teraz strzelać ponad Bahr as-Saghir do uciekającego nieprzyjaciela.

Egipscy dowódcy zmuszeni byli uznać, że na żadnym odcinku nie udało im się zdecydowanie przełamać naszej obrony. Bajbars dał sygnał do odwrotu i muzułmanie pociągnęli do Mansury lub do swego obozu za miastem.

Napływające z powrotem do miasta oddziały spowodowały taki ścisk na uliczkach, że nosze nie wzbudzały już żadnego respektu. Tragarze zaś byli tak zajęci swoim niezwykłym zadaniem, że nie pojęli, iż bitwa dawno się skończyła.

William umierał po tysiącuroc. A właściwie jego głowa, która widziała tylko stopy, słyszała wciąż najdziksze przekleństwa i skrzeczenie rozzłoszczonych bab. Mnich z trwogą

oczekiwał chwili, kiedy jakiś fanatyk rzuci się na niego, przekłętego *malik al-Ifrindź*, aby wbić sztylet w pierś lub brzuch „cuchnącego trupa”.

Turkoplom z wielkim trudem udało się udaremnić ciosami kijów takie zamierzenia, a potem oderwać się od motłochu, skręcając w pierwszą lepszą bramę i zatraskując za sobą drzwi. Nie wiedzieli, że dostali się do stajen należących do pałacu sultana.

Znajdowali się w olbrzymiej, mrocznej sali z mnóstwem kolumn. Wszystkie konie wraz z obsługą wyruszyły chyba na pole bitwy.

Tragarze postawili nosze w słomie i uwolnili Williama z niewygodnej pozycji.

– Szlachetną głowę – powiedział zziębnięty dowódca turkopli – możemy chyba przez bramę przemyścić, ale już nie wasze ciało!

William podniósł się oszołomiony.

– Ryzykowałem życie dla tej głowy – zaproponował. Przyciągnął głowę Roberta do siebie i zamknął ją w ramionach. – Nie możecie mnie przecież...

W tym momencie gdzieś daleko otworzyły się drzwi i dały się słyszeć podniesione głosy.

– Zrabowali *malik al-Ifrindź*! To musiały być chrześcijańskie psy!

Las kolumn i ciemność skrywały jeszcze minoritytę i jego towarzyszy przed wrogami.

– Wobec tego postarajcie się – dowódca turkopli zmienił zdanie – doprowadzić swoją misję do pomyślnego końca!

Dał znak towarzyszom i zniknęli cicho jak koty za najbliższymi kolumnami. William został sam, siedział na noszach nagi, a obok niego leżało królewskie odzienie i przekłęta głowa. Obce głosy umilkły w oddali.

William wstał i spróbował wcisnąć się w spodnie młodego hrabiego. Nie dopinały się. Naciągnął kaftan, który jednak nie wytrzymał rozpychania i pękł. Mnich musiał się zadowolić kubrakiem Roberta, ciasno opinającym mu kaidun. Wziął tarczę, zawinął głowę księcia w potargany kaftan i ruszył w drogę. Jeśli go złapią, zostanie zmasakrowany „po królewsku”.

Błądził w kolumnowym lesie stajen. Cztery tysiące zwierząt, jak słyszał, mogło się tu jednocześnie pomieścić, więc i dla niego z pewnością znajdzie się trochę miejsca, jakaś mysia norka, gdzie mógłby się ukryć.

Był wyczerpany. Nie zamierzał opuścić tego pomieszczenia ciepło pachnącego nawozem, uciekać po ulicach przed żądnymi krwi muzułmanami i ostatecznie wpaść w łapy straży przy bramie, gdzie rozszarpia go na kawałki lub poćwiartują. A nawet gdyby udało mu się pokonać te przeszkody, za murami wpadłby prosto w ręce wrogów, chyba że król Ludwik odniósł zwycięstwo, wtedy jednak może tutaj spokojnie poczekać, aż zostanie wyzwolony.

W półmroku dostrzegł stojącą w niszy lektykę. Wydała mu się znajoma. Przypomniła sobie dreszcz, który go przeniknął, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Było to przed laty, u stóp Montségur.

Miała coś wspólnego z tajemnicą templariuszy, była jak pojawiająca się nagle na jasnym niebie czarna kometa, która zapowiada nieszczęście. Powinien jej schodzić z drogi, powinien unikać templariuszy!

Przypomniały mu się ostrzegawcze słowa Gawina. Jednak ciemna, pozbawiona ozdób kryjówka przyciągała go magicznie i William nie byłby Williamem, gdyby go nie pokonała ciekawość i lenistwo. Gdzieś musiał przecież pozostać, w tym stroju, z odciętą głową pod pachą. Ostrożnie odchylił zasłonę lektyki, wślizgnął się do środka i opadł na wolną ławkę.

Naprzeciwko niego siedział stary człowiek, cały obandażowany; owijające go opaski przymocowano do ścian lektyki, by nie upadł. Tkaniny były nasączone różnorodnymi ostro i kwaśno pachnącymi esencjami. William prawie stracił oddech.

W mdłym świetle przyglądał się bogatym sukniom zmarłego, łańcuchom, wysadzanemu szlachetnymi kamieniami sztyletowi zatkniętemu za szarfę i wspaniałemu turbanowi, który tak był zawiązany, że podtrzymywał zmarłemu szczękę. Nieboszczyk miał ręce skrzyżowane na piersi, a dłonie przyozdobione drogocennymi pierścieniami.

William z Roebruku siedział naprzeciwko wielkiego wezyra Fachr ad-Dina, który tutaj nie tyle był złożony na marach, ile przyszykowany do drogi. Ponieważ od starego pana nie wiało grozą, minorityta pozostał na miejscu. Poczul się bezpieczny, a olejki eteryczne dopełniły reszty – zasnął.

IV

BŁĘDY POPEŁNIONE PRZEZ WŁADCÓW

Z diariusza Jana ze Joinville

Pod Mansurą, 11 lutego A.D. 1250

Sądzę, że muzułmanie poczuli się zwycięzcami; mieli też do tego prawo – mogli nas jeszcze zmusić do wielu takich bitew, podczas gdy nam coraz trudniej i z coraz większymi stratami przyjdzie przetrzymać każdą następną.

Mimo to wieczorem król Ludwik zgromadził wokół siebie dowódców i najlepszych rycerzy, kazał dla nich odprawić mszę, sam ukląkł i głośno prosił Boga Wszechmogącego:

– Dziękujemy Ci, Panie! Dwa razy w tym tygodniu dałeś nam zaszczyt potykać się w polu z poganami, chociaż nie użyczyłeś swym orędownikom ostatecznego zwycięstwa. Pomagaj dalej naszej sprawie, bo w Twoim imieniu wyruszyliśmy i ku Twojej chwale chcemy ją doprowadzić do końca! *Non nobis, Domine! Non nobis, sed nominis tui ad gloriam!**

Ostatnie zdania były hołdem dla rycerzy z zakonu templariuszy, którzy także ten drugi dzień bitwy opłacili krwawym mytem, stracili bowiem wielkiego mistrza, którego miejsce zajął marszałek Renald z Vichiers.

Jako że król mówił o „sprawie”, joannici odnieśli jego słowa do siebie i wyciągnęli wniosek, że śmiałe ambicje poległego brata były panu Ludwikowi znane i przez niego aprobowane.

Tak w każdym razie ja uważałem, sądząc po nienaturalnym zachowaniu, z jakim pan Jan z Ronay wziął mnie pod rękę, gdy opuściłem czerwony pawilon króla.

– Czy mieliście, drogi Joinville, wiadomość od waszego sekretarza? – Zabrzmiała w tym życzliwa troska, ale wiedziałem, że dobro Williama nie obchodzi go ani trochę. – Moi turkople wrócili i oświadczyli, że minorityta zwiął razem ze szlachetną głową i pozostałymi relikwiami hrabiego Artois! To naprawdę dziwne, samowolne działanie...

– Co mogę na to odpowiedzieć, szlachetny mistrzu? – Nie wiedziałem istotnie nic. – William z Roebruksu często chadza własnymi drogami, ale jak dotąd zawsze dochodził do celu. Okażcie jeszcze trochę cierpliwości!

Uwolniłem się od jego ramienia i wróciłem do swego namiotu. Gdzie też może się podziewać mój William?

– Czy chcecie zobaczyć jeszcze raz dostojnego wezyra, *Allah jurhamu wa-jahdu ala al-dżanna?**

– Nie – odpowiedział władczy głos, który przestraszył Williama. – Zawieźcie go niezwłocznie do *jasirat attahnid*, na wyspę balsamowanych, ażeby go przyjęli *fauran!* – głos Bajbarsa przybrał na ostrości – powiedziałem: natychmiast. Mają odstawić lub odłożyć wszystkie inne mumie, mają pracować dzień i noc, ażeby wezyr wrócił do Kairu w takim stanie, który nie wywoła na naszych twarzach rumieńca wstydu, nie tyle wobec jego syna, ile wobec Turanszaha. Nowy sułtan powinien zobaczyć, że szlachetnego i sprawiedliwego człowieka wielce poważamy, tak jak może zobaczyć na przykładzie głowy królewskiego frankońskiego psa, jak postępujemy z naszymi wrogami.

Zagadnięty milczał, chyba pozostawił innym przekazanie potężnemu panu nieszczęsnej wiadomości, że głowy Roberta Artois nie da się już pokazać.

* Non nobis, Domine!...(łac.) – nie dla nas, Panie, nie dla nas, lecz dla chwały imienia Twego!

* Allah jurhamu... (arab.) – niech Allah przyjmie go łaskawie, niech pewny będzie mu raj!

Ta głowa zawinięta w zakrwawiony kaftan paliła teraz podolek Williama jak rozżarzone węgle. Mnich ledwie się odważył odetchnąć.

Podniesiono lektykę, nie uznając za konieczne rzucić jeszcze okiem do wnętrza. Gdy ruszyli, William wcisnął się do kąta, a stary pan skinął lekko głową. Wydawało się, jakby uśmiechem dodawał minorycie ufności.

Ruiny Heliopolis leżały wśród rozległych ogrodów letniej rezydencji sułtanów Kairu. Wykorzystywano je z upodobaniem do urządzania polowań i odświętnych uciech w wąskim gronie dworskiego towarzystwa.

Turanszah powiadomił przez posłańca swoją macochę Szadszar, że życzy sobie tam się z nią spotkać, gdyż zamierza, nie wstępując do Kairu, udać się prosto do Mansury. Gdy ze swą świętą przejechał *Bab asz-Szams al-Muszrika*, bramę wschodzącego słońca, zdziwił się, że nie oczekuje tam komitet powitalny, nad wyłożoną bazaltowymi płytami drogą dojazdową nie zwieszały się girlandy i nie powiewały chorągwie, kwiatów też nikt nie rozsypał. Strażnicy stali wprawdzie szpalerem, ale nie podnieśli radosnych okrzyków.

Jeszcze bardziej niż świeżo koronowany sułtan rozgniewała się Madulajn, siedząca z dziećmi na odkrytym wozie, turkoczącym w koleinach starej *viae triumphalis*^{*}, nie wyłożonej dywanami, które tłumiłyby stukot kół.

Czerwony Sokół nieco przygnębiony jechał za Turanszahem i wielokrotnie oglądał się stroskany na powierzone mu upominki nowego władcy. Jeśli przywitanie miało wypaść faktycznie tak lodowato, jak się zapowiadało, to właśnie na faworycie i dzieciach w pierwszej kolejności wyładowałyby się niechęć dworu.

Pochlebcy z Kairu byli gniazdem szerszeni, kolorowa gromada z Dżaziny wyglądała natomiast jak niewinny rój motyli. Bardzo niewielu jechało konno, Antinoos w damskim siodle, większość kazała się nieść w lektykach i cieszyła się dźwiękami cymbałów i fletów, na których przygrywali należący do orszaku muzykanci. Nie mieli żadnego wycucia oczekującej ich złości, a jeśli nawet, niewiele ich to martwiło.

Między palmami ukazały się teraz wierzchołki pawilonów, które kazał ustawić Gamal Mohsen, naczelny eunuch. Wszystkie bez wyjątku były zajęte przez dwór, dostojników ze stolicy.

Przed największym namiotem stała Szadszar ad-Dur, rządząca sułtanka. Była Armenką z pochodzenia, która z pozycji tureckiej niewolnicy doszła do stanowiska władczyni absolutnej. W rzeczywistości przyznana jej przez mameluków władza była wyjątkowa w historii świata arabskiego, ale Szadszar po trzech miesiącach panowania traktowała ją jako sobie należną.

Obok sułtanki stał Husam ibn abi' Ali, namiestnik Kairu, i Baha Zuhajr, pisarz nadworny. Jedyne on pragnął gorąco, chociaż skrycie, powitać przybywających. Sława, która poprzedzała Turanszaha jako mecenasa artystów, dawała Zuhajrowi nadzieję uznania.

* *Via triumphalis* (łac.) – droga tryumfalna.

Wszyscy pozostali dworacy z kronikarzem Ibn Wasilem na czele byli wyraźnie wrogo usposobieni do syna Ajjuba, który był im całkiem obcy, i zadawali sobie niewiele trudu, aby to ukryć. Tylko Gamal Mohsen, eunuch, próbował trzymać się protokołu.

Skandal jednak był już nieunikniony.

Turanszah zatrzymał swój orszak i czekał, że dworacy przynajmniej teraz wyjdą naprzeciw, aby mu oddać hołd. Sułtanka jednak trzymała niewidzialną ręką każdego, kto byłby gotów do ceremonialnego wystąpienia.

Turanszah zbladł. Nie spojrział jednak na Czerwonego Sokoła, by nie sprawić wrażenia, że szuka rady. Cichym głosem wydał rozkazy konetablowi. Żołnierze podeszli milcząc do pawilonu, chwycili nagle za uszy dwu stojących obok Ibn Wasila pochlebców i powlekli przed Turanszaha. Chwył za uszy pozostawia mało możliwości obrony, toteż żołnierze bez trudu zmusili swoje ofiary do ukłęknięcia. Przed każdym z pochlebców stanął teraz nubijski kat i czekał na znak swego pana.

Wtedy Szadszar z iskrzącymi się wściekłością oczyma ruszyła ku pasierbowi. Namiestnik pospieszył za nią, jednak szybszy od nich był Baha Zuhajr, nadworny pisarz. Jeszcze biegnąc zaczął deklamować:

– O Promienny, uśmiecha się do ciebie słońce Egiptu, swój dywan, posypany kwiatami, rozpościera przed tobą Ojciec Nil, drząc z rozkoszy woła radośnie wieczny Kair: *Ahlan wa sahlan bi-as-sultan al-kahir!**

Rzucił się na ziemię przed Turanszajem, namiestnik uczynił to samo, a za ich przykładem poszedł cały dwór. Tylko Szadszar stała wyprostowana.

– Witam cię, Turanszahu – powiedziała zdławionym głosem. – Długo na ciebie czekaliśmy.

– Widocznie jeszcze nie dość długo – odpowiedział Turanszah. – Widzę, że wciąż jeszcze stoicie, Szadszar ad-Durr, brak mi powitania moich przyjaciół, i nie zamierzacie też, jak się zdaje, złożyć hołdu kobiecie przy moim boku, córce cesarza.

Zamiast zamarkować klęknięcie, Szadszar syknęła:

– Ona nie wejdzie do mego domu! Jak długo ja, sułtanka...

– Jesteście jedną z wdów po moim dostojnym ojcu – przerwał jej Turanszah. – Czy mówiąc o swoim domu, macie na myśli pałac sułtana? Muszę od was zażądać, żebyście mi zdali sprawę z minionych trzech miesięcy gospodarowania w nim, jak również z pozostałego dziedzictwa, które mój dostojny ojciec mi pozostawił.

Patrzył rozbawiony na swoją macochę, która teraz jednak skłaniała się do klęknięcia.

– Potem – ciągnął z rozkoszą dalej – przekażecie wszystko mojej sułtance. Tymczasem... – Szadszar padła na kolana, ale on już na to nie zważał, skierował swoje słowa ponad nią do wszystkich – księżniczka i królewskie dzieci będą mi towarzyszyć do Mansury, która tak długo będzie służyć za stolicę, aż Kair sobie przypomni, jak powinien przyjmować władcę! –

* Ahlan wa sahlan... (arab.) – witamy cię, wielki sułtanie!

Zwrócił się nagle do namiestnika. – Gdzie jest seneszał, gdzie marszałek, gdzie przełożony dywanu?* – I Turanszah sam sobie odpowiedział: – Nie uznali za konieczne pokazać się przed nami, my uważamy za zbyteczne pozostawić ich na urzędach. Przekażcie im moje słowa!

Przybyli z Kairu dworacy, którzy obiecywali sobie zupełnie inne widowisko, wynieśli się cichcem. Gamal Mohsen kazał spieszenie posprzątać namioty i przygotować je dla orszaku Turanszaha. Dopiero potem zatroszczył się o Szadszar ad-Durr, która wciąż klęczała na ziemi. Przywołał lektykę. Ibn Wasil, nadworny kronikarz, dotrzymał towarzystwa upokorzonej sultance.

W nastroju wahającym się między przygnębieniem a gniewem, długim pochodem ruszyły lektyki dworu wracającego do Kairu.

Baha Zuhajr wmieszał się między malarzy i poetów z Dżaziry. Od czasu uroczystości koronacyjnych w Damaszku ta hałastra głośno towarzyszyła „infantom Graala”.

Najbardziej ulubionymi motywami przy składaniu hołdów Jezie były dziewicza bogini Artemida ze strzałami i łukiem oraz mądra Pallas Atena – z powodu podziwianego przez wszystkich wymierzania przez dziewczynkę sprawiedliwości.

Rosza opiewano jako młodzieńczego bohatera Aleksandra, konna walka chłopca z lwami zainspirowała poetów do egzaltowanych ód, a gdy Antinoos, który bez zazdrości odstąpił obojgu swoją pozycję *divusa** i *divy** jednocześnie, uwił dla chłopca wieniec, artyści zaczęli prześcigać się w projektach monumentalnych rzeźb, gobelinów i mozaikowych posadzek.

Dzieci pozowały cierpliwie jako modele, rozbawione, ale zarazem z przedziwną godnością.

Nadworni krawcy wystroili je całkiem na nowo. Dzieci mogły teraz wybierać między surowym strojem kurdyjskich wojowników a fantazjami z haremu kalifa. Jeza wyglądała jak Szeherezada,* a przebrany Rosz przypominał raczej złodzieja z Bagdadu niż mądrego Haruna ar-Raszida. Na podróż do kraju faraonów krawcy jeszcze bardziej się prześcigali: żadna pośledniejsza para bogów niż Izyda i Ozyrys nie byłaby godna takich dzieł sztuki z adamaszku i jedwabiu, cieniuteńkich tkanin i złocistych brokatów.

Gamal Mohsem był zachwycony dziećmi, ale jeszcze bardziej Antinoosem, zajął się jednak Turanszahem i jego faworytą, których zaprowadził do wielkiego namiotu.

Gdy zajęli miejsca przy bogato zastawionym stole, Madulajn wyciągnęła dłoń, ale jakby zbłądziwszy, minęła rękę władcy i zasłonięta serwetą przed niestosownymi spojrzeniami sięgnęła do jego genitaliów. Była z niego dumna, ale instynktem, który u niej nie zaginał, wyczuła niebezpieczeństwo, wiedziała, że Turanszah przysporzył sobie wielu wrogów.

* Dywan (z pers.) – nazwa wielu urzędów dworskich w krajach muzułmańskich; tutaj: kancelaria państwa.

* Divus (łac.) – boski, ubóstwiany; bóg.

* Diva (łac.) – boska, ubóstwiana; bogini.

* Szeherezada – żona legendarnego króla Szachrijara, któremu opowiadała baśnie w ciągu 1001 nocy.

Czająca się w pobliżu śmierć dostarczyła jej nie znanej dotąd rozkoszy. O wiele silniejszej niż wszelka erotyczna żądza.

Czarna lektyka płynęła na barce do miejsca przeznaczenia. William cały czas spędzał w półśnie, tylko gdy parcie moczu nie dało się już opanować, posłuszny potrzebie zmoczył wszystkie możliwe tkaniny wewnątrz lektyki, aby nie zdradziło go kapanie z tego wykonanego ze szlachetnego drzewa pudła. Zapach moczu nie przyczyniał mu żadnej troski, esencje pachniały nadal bardzo mocno i karygodny fakt, że nie mógł oszczędzić starego pana i jego bandaży, podobnie jak powierzonej mu drogiej głowy zawiniętej w zakrwawiony kaftan, wydał się minorycie niewiele znaczący.

Poczuwszy ulgę, William odważył się rzucić ostrożne spojrzenie przez szparę w zasłonie. Barka zbliżała się do wyspy na rzece. Wśród gęsto rosnących palm zobaczył dużą surową budowlę bez okien, chyba jakiś klasztor.

Wioślarze zwolnili tempo i zaraz potem pod kilem barki zazgrzytał piasek. Dały się słyszeć kroki.

Minoryta cofnął się pełen oczekiwania, odwinął z kaftana głowę Roberta z Artois, aby ją w razie czego od razu pokazać, ale mężczyźni o łagodnych, choć stanowczych głosach, którzy podeszli do lektyki, nie odsunęli zasłony, lecz polecili wioślarzom czekać na barce przy brzegu, zgodnie z prawem *dżama'at al-chulud*^{*}, wedle którego nikomu z żyjących nie wolno było wejść na wyspę.

William zadrzał, ponieważ wykalkulował sobie, że przekroczenie tego zakazu łatwo można ukarać, jednak jego prostacka skłonność do rzeczy niedozwolonych i niczym nie uzasadnione zaufanie, że Pan Bóg jak zawsze uczyni dla niego wyjątek, kazały mu siedzieć w kącie jak mysz pod miotłą, naprzeciwko wezyra, który wcale nie wydawał się teraz życzliwie do niego uśmiechać. Głowę hrabiego Artois minoryta wciąż trzymał kurczowo za kędzierzawe włosy, teraz bowiem nie ośmielił się nawet drgnąć.

Dowódca łodzi był chyba obeznany z obyczajami tego dziwnego miejsca, gdyż zaznaczył tylko, że emir Bajbars prosił o niezwłoczne zabalsamowanie dostojnego Fachr ad-Dina, ażeby mógł być zaprezentowany w stolicy. Odpowiedziało mu chyba nieme skinięcie głowy, ponieważ lektykę znowu podjęto i przeniesiono na ląd.

– Wszelki pośpiech jest zbędny, bracie Horusie^{*} – odezwał się jeden z mężczyzn o łagodnym głosie – nowy sułtan przed kilkoma godzinami przybył już do Kairu.

– Tak więc nie będziemy się spieszyć, Skarabeuszu, żąda tego od nas „nieśmiertelne piękno”.

Lektyka znieruchomiała. Z nagłej ciemności i oddalających się głosów William wynioskował, że strażnicy tej wyspy, ci bracia wieczności, wstawili lektykę do izby.

^{*} Dżama'at al-chulud (arab.) – (prawa) zakonu wieczności.

^{*} Horus – balsamujący nosi imię egipskiego boga, wyobrażanego z głową sokoła.

Czekał jakiś czas, póki nie uspokoiło się bicie jego serca, potem powoli odsunął zasłonę na bok. Zobaczył obszerne, skąpo wyposażone pomieszczenie. Cienko dziergana gaza wzbraniała wlotu owadom przez jedyne, wysoko umieszczone okno. Przy ścianach stały wmurowane kamienne stoły na długość ciała mężczyzny, nie było natomiast żadnych krzeseł. Na jednej z marmurowych płyt leżał martwy człowiek o bladej, niezdrowej karnacji, jakby go wyłowiono z wody. Nie miał głowy, za to penis zasługujący na uwagę. Brzuch, jak się wydawało, był rozcięty, ale krwi nie było widać.

Ciekawość była silniejsza niż dławiące mdłości. William wyszedł ze swego schronienia, trzymając ciągle głowę księcia w rękach.

Ostrożnie, jakby mógł zmarłego obudzić, podszedł do stołu i przyłożył głowę do równo uciętej szyi. Głowa przechyliła się na bok, a zgasłe oczy Roberta spojrzały na Williama z wyrzutem.

Wtedy otworzyły się drzwi i stanęli w nich dwaj biało odziani mężczyźni w sięgających do ziemi szatach.

– William z Roebruku? – odezwał się jeden tonem łagodnego zdziwienia.

– Jaka piękna głowa! – dodał drugi.

William zaczerwienił się zawstydzony.

– Przyniosłem ją wam, żebyście...

– Miałem na myśli twoją czaszkę, *species calva flamingensis** – odparł biało ubrany z uśmiechem. – Co mamy robić z hrabią Artois, wiemy dobrze – z zastanowieniem wziął głowę księcia do ręki. – Ty w każdym razie nie możesz tutaj czekać na wynik – dorzucił – nie pod naszym dachem!

– A dokąd mam się udać? – bronił się William trwożliwie.

Wtedy głos zabrał pierwszy.

– Pojedziesz do Aleksandrii. Tam odszukasz Ezera Melchsedecka. Gdy wrócisz z nim tutaj, hrabia będzie już dla Francji przygotowany!

Niedwuznacznym gestem zawezwał Williama, aby opuścił pomieszczenie. Obaj wskazali mu drogę na brzeg Nilu.

– Statek czeka na ciebie.

– I strzeż się! Nie wchodź ponownie do tego domu, bo możesz go już nie opuścić! Nie obchodź się tak surowo z przyjacielem dzieci, Skarabeuszu! – powiedział młodszy. Nalał z dzbana pełny kubek mlecznego płynu. – Pan sekretarz jest z pewnością spragniony.

William wypił łączywie. Napój smakował mu, był chłodny, odświeżająco kwaskowaty z lekkim posmakiem kokosa i migdałów. Przyjemne ciepło rozeszło się po ciele minoryty.

Lekko oszołomiony, zataczając się, poszedł William ścieżką między palmami ku rzece. Był głodny, ale daktyle wisiały za wysoko i do tego nie były jeszcze dojrzałe. Dotarł do *dau*,

* *Species calva flamingensis* (łac.) – typ flamandzkiej czaszki.

pomocne ręce wciągnęły go na pokład. Nim jednak zdążył wypowiedzieć jakiegokolwiek słowo, zapadł w głęboki sen.

Z diariusza Jana ze Joinville

Pod Mansurą, 7 marca A.D. 1250

Dziewięć dni po wielkiej bitwie na powierzchni rzeki unosiły się napęczniałe ciała zabitych. Płynęły wolno z prądem aż do mostu na łodziach, który łączył nasze obozy.

Potem zaczął się przybór wód. Trupy spiętrzyły się w setki. Było ich tak wiele, że sięgnęły z jednego brzegu do drugiego i zatrwały wodę. Wybuchła zaraza.

Król zaferował ze swej sakiewki nadzwyczajną zapłatę dla angielskich marynarzy Salisbury'ego, ażeby oczyścili rzekę. Obrzezanych przerzucano ponad mostem, aby płynęli dalej do Saracenów, chrześcijan grzebano w wykopanych pospiesznie zbiorowych mogiłach.

Odór był straszliwy, a kto wśród spęczniałych, na wpół zgniłych ciał poszukiwał przyjaciół, gorzko się rozczarował. Twarze były nie do rozpoznania.

Jedynymi rybami dostępnymi w obozie były węgorze. Wstrętne te gadziny utuczyły się na trupach i nikt nie chciał ich jeść, aż zmusił nas do tego głód.

Niezdrowy klimat także zrobił swoje. Od tygodni nie spadła kropla deszczu i najpierw zaczęła gnić stojąca woda, później zaczęliśmy gnić my sami. Ciało wysychało, na nogach pojawiały się czarne plamy, w końcu tworzyły się wrzody, skóra pękała, z nosa puszczała się krew. To była już oznaka nieuniknionej śmierci. Poleciłem swoim ludziom trzymać się od rzeki z daleka i podobnie jak Beduini zakryć twarze chustami, aby możliwie jak najmniej wdychać zarażonego powietrza. Węgorze kazałem obdzierać ze skóry i nie gotować, lecz warzyć w oleju. Mieliśmy jeszcze wino, a od joannitów otrzymałem mielone ziarno, z którego moi kucharze piekli placki smakujące nie najgorzej, jak długo mieliśmy korzenne przyprawy, a przede wszystkim sól.

Wstydzilem się trochę przyjmować te dary utrzymujące nas przy życiu, gdyż niesławne postępowanie Williama, chociaż to nigdy nie zostało wypowiedziane, leżało joannitom i mnie na żołądku jak kamień albo zbyt tłusty węgorz.

Bogu dzięki Jan z Ronay sam zawinił, wysyłając z tą misją mego sekretarza niespodziewanie i chyba wbrew jego woli.

Teraz o jakimś sławnym przeciwnatarciu z naszej strony, w trakcie którego hrabia Artois mógłby w sposób cudowny jechać na czele naszych szeregów, nie było już co marzyć. Ciała Roberta nie odnaleziono, chociaż szambelanowie hrabiego z poświęceniem przeszukiwali niesione przez rzekę zwłoki. Jego głowa mogłaby więc spocząć w spokoju, kiedy już została zdjeta z hańbiącej zerdzi. Ale gdzie się teraz podziewała? I gdzie podziewał się William?

Urzędującego wielkiego mistrza joannitów, podobnie jak wszystkich baronów i dowódców, najbardziej dziwiło to, że Egipcjanie już nas nie atakują. Czyżby o nas zapomnieli, pozwalali nam spokojnie gnić, a może walczyli z zarazą podobnie jak my?

William z Roebruku udał się do kasby w Aleksandrii w poszukiwaniu Ezera Melchsedeka. Był to zdziwaczały kabalista, o którym niektórzy mówili z niezwykle szacunkiem. Chrześcijanie żegnali się, gdy William o niego zagadnął, a muzułmanie kierowali palec w dół, aby odprowadzić złe moce ku ziemi, niczym błyskawicę w czasie burzy.

W końcu jakaś kobieta zdradziła mnichowi, że Melchsedek ma stałe miejsce na rogu pewnej ulicy przy bazarze i tylko tam można go czasem znaleźć. William kazał sobie miejsce dokładnie opisać. Teraz stał na wskazanym rogu. Nikogo tu nie zastał. Na ścianie domu widniał wypisany niezgrabnymi literami napis: „Nie powinienes kusić Jahwe!” Ktoś przekreślił czerwoną farbą słowo „nie” i umieścił pod tym niby podpis: „Szajtan”.

Podczas gdy franciszkanin przypatrywał się jeszcze w zamyśleniu napisowi, ktoś dotknął jego ramienia.

– Nie każdy, kogo się szuka, zostanie znaleziony! – usłyszał i odwrócił się. Przed nim stał Jan Turnbull.

William był zbyt ucieszony, że zobaczył kogoś znajomego, aby się zastanawiać nad przypadkowością spotkania, zwłaszcza że Turnbull od razu zaczął zrećcznie mówić o cesarzu Fryderyku. Franciszkanin cierpliwie wysłuchał ostatnich wiadomości z dalekiej niemieckiej Rzeszy, chociaż w ogóle go nie interesowały.

– Wyobraźcie sobie, Williamie – gawędził poseł nadzwyczajny, którego nikt nie odwołał ze stanowiska, ponieważ nikomu nie przyszło na myśl, że stary Jan, ten osobliwy „*chevalier* z Mont-Sion”, jeszcze żyje. – Twojego Wilhelma z Holandii ukoronowano w Akwizgranie jako antykróla!

Minoryta rozumiał, że nie miało żadnego sensu wyjaśnianie staremu Turnbullowi, iż on, William z Roebruku, jest Flamandczykiem, spytał więc tylko uprzejmie:

– A więc panowanie Hohenstaufa dobiegło końca?

– O nie! – zapalił się Turnbull. – Wprawdzie odumarło go wielu przyjaciół, ale jeszcze panuje Konrad, jego syn. – I jakby zwierając mu tajemnicę państwową, *chevalier* szepnął: – Król Konrad zadał Holendrowi druzgocącą klęskę i odprawił do domu.

– Papież jednak nie spocznie – wyraził William swoje zdanie. – Innocenty będzie tak długo stawiał na szachownicy inne figury, aż sam uda się do nieba albo jego przeciwnik do piekła!

– A może odwrotnie – sapnął zapomniany poseł cesarza. – Innocenty gra fałszywie, Bóg nie może go wynagrodzić. Przy cesarzu jest prawo, boskie prawo namaszczonego!

Starzec poczerwieniał z oburzenia i był gotów do dalszej przemowy, lecz William przypomniał sobie właściwe zadanie i pożegnał się, kłamiąc z konieczności, że musi jeszcze zdążyć do biblioteki przed zamknięciem.

– Szukacie kogoś, kto udzieliliby wam rady...? – spytał chytrze Turnbull.

– Nie, nie – bronił się William. – Muszę się tylko z kimś spotkać!

Jakby gnany pośpiechem, zniknął szybko w ciżbie bazaru, potem zwolnił, ponieważ naprawdę nie wiedział, do kogo się zwrócić z pytaniem o kabalistę. Nie zauważył, że Turnbull idzie za nim ukradkiem. W pewnym momencie mnichowi zagroziła drogę kobieta, która przedtem wskazała mu róg ulicy.

– Wciąż szukacie Melchsedeka? – zagadnęła życzliwie.

William potaknął z ulgą i zastanawiał się, czy ma jej wcisnąć do ręki jakiś pieniądz. Wyglądała na zgnębioną, ale nie biedną.

– Chodźcie ze mną – powiedziała – zaprowadzę was do gospody Hermesa Trismegistosa*!

William schował pieniądze. Kobieta zatrzymywała się kilka razy na handlowych ulicach i kupowała z rozważą i znanstwem suszone zioła, grubo pokruszone kryształy i delikatnie zmielony proszek. Targowała się o zawiązane sznurkiem woreczki i zalakowane amfory. Kładła wszystko do koszy, a kosze oddawała do niesienia Williamowi, który wkrótce był obładowany niczym juczny osioł. Szli coraz ciaśniejszymi uliczkami starego miasta, aż stanęli przed jakimiś wąskimi drzwiami.

Korytarz, który się przed nimi otworzył, prowadził na wewnętrzny dziedziniec. Kobieta poszła przodem i odebrała od Williama swoje zakupy.

– Poczekajcie tutaj – powiedziała – tylko żeby nikt was nie zobaczył!

William cofnął się w ciemność korytarza, a kobieta zamknęła drzwi. Zrodziło się w nim podejrzenie. Chwycił za klamkę. Drzwi były zamknięte, szarpał nimi bez skutku. Poszedł po omacku z powrotem do furty wychodzącej na ulicę. Nie miała nawet klamki.

Był uwięziony!

Starł się przyzwyczaić oczy do ciemności.

– Czy jest to *chevalier*, który się osobiście uważa za Przeorat Syjonu i nie daje nikomu spokoju? – rozległ się stłumiony głos z sufitu nad jego głową, skąd nie wydobywał się najmniejszy promień światła. – Czy może William z Roebruku, co niepomny żadnego ostrzeżenia znów wtyka nos w nie swoje sprawy?

Ironia w tonie głosu nie wydała się Williamowi obca, ale nie udało mu się wywołać ze wspomnień postaci, z którą mógłby ją połączyć.

– Szukam Ezera Melchsedeka – powiedział i czekał.

Zapanowało długie milczenie. Potem głos odezwał się znowu.

* Hermes Trismegistos (gr.) – Hermes po trzykroć wielki; bóstwo występujące w religii hellenistycznej, powstałe z utożsamienia greckiego Hermesa z egipskim Totem.

– Załóżmy, że go znajdziecie, co macie mu do powiedzenia?

– Jedynie mistrzowi chcę się tłumaczyć.

– Czekajcie na niego dziś wieczorem po *plilat ha'erev*, modlitwie wieczornej, przed synagogą. Zapyta was, dlaczego nie przekazaliście głowy poświęconej ziemi, gdy ciało zostało zhańbione.

William zastanawiał się gorączkowo, jak ma się zachować, ale w końcu przyjął pokorną postawę głupiego minority, jakiej oczekiwał od niego niewidzialny inkwizytor.

– I co powinienem mistrzowi odpowiedzieć?

– Że składacie głowę w jego ręce i jak najszybciej znikacie!

Teraz William był prawie pewny swego.

– Gawin! – zawołał i znowu chwycił za klamkę u drzwi wychodzących na dziedziniec. Tym razem ustąpiły. Na podwórku stał komandor templariuszy, oparty na mieczu, tak jak go ostatni raz widział na Cyprze. Rysy Gawina w ciągu tych bez mała dwu lat jeszcze się wyostrzyły i stwardniały, podparta mieczem broda była zupełnie siwa, ale templariusz wciąż nosił włosiany habit eremity i żaden czerwony krzyż nie zdobił szerokich ramion. Gawin Montbard z Béthune spoglądał na franciszkanina ze zwykłym uśmiechem, pełnym sarkazmu, jeśli nie arogancji, która Williama dawno już nie onieśmiałała.

– Na co jeszcze czekacie? – spytał.

– Chciałbym się dowiedzieć – odparł zuchwale minority – jak ma się lektyka do trumny albo jak trumna przechodzi w lektykę?

– Lektyka stoi, trumna leży – zaśmiał się szyderczo templariusz, lecz zaraz spoważniał. – Chcecie zawsze za dużo wiedzieć i wiecie coraz mniej. Chyba nigdy nie będzie wam dana umiejętność rozróżnienia *nuntiatio* * od *transitio* *. Wracajcie lepiej do waszego Joinville'a! Ten również niczego nie rozumiał i swoją ignorancję tanio oferuje takim, którym nie jest dane współdziałać przy losach świata!

– Wy natomiast, *pauperes commilitones Christi templique* *, jesteście wybrani! – próbował zakpić William.

– Zapomnieliście dodać *Salomonici* *! – Komandor zmierzył go rozbawionym spojrzeniem. – Williamie, jesteście za głupi, by silić się na bezczelność! Nie zadawajcie sobie trudu! Idźcie teraz, *pax et bonum* *! – Gawin odwrócił się. – Doprowadźcie tylko wasze nierozważne przedsięwzięcie do końca! – rzucił przez ramię za Williamem, który wycofał się szybko ciemnym korytarzem.

* Nuntiatio (łac.) – oznajmienie.

* Transitio (łac.) – przejście.

* Pauperes commilitones... (łac.) – świątynni biedni bracia w Chrystusie.

* Salomonici (łac.) – od imienia Salomon.

* Pax et bonum (łac.) – pokój i dobro pozdrowienie franciszkanów.

W ścisku bazaru słyszał, jak muzułmanie radują się z przybycia Turanszaha na front. Nowy sułtan był mądry i przebiegły, kazał rozmontować statki, przewieźć je drogą lądową na tyły nieprzyjaciela i spuścić do rzeki między wysuniętym aż pod Mansurę obozem chrześcijan a utrzymywanym przez nich miastem Dumjat. Jest to cała flota uzbrojonych, szybkich korsarskich statków! One przechwytyją zaopatrzenie chrześcijańskich psów, *Allah jucharribhum*, niech ich Allah zniszczy!

Nim William w wieczornym zmierzchu, dopytując się o drogę, dotarł do synagogi, czas wieczornej modlitwy minął i pobożni Żydzi już wychodzili ze świątyni. Zobaczył starego Turnbulla stojącego w drzwiach z chudym i wysokim mężczyzną, który, sądząc po nakryciu głowy i długiej brodzie, był uczonym w Piśmie. Bez wątpienia znalazł Melchsedeka.

Dobiegły go słowa kabalisty:

– Nie upierajcie się przy mieszaniu krwi potomków akurat tych dwu *haniviim*^{*}, bo zmaci się i stanie nieczysta – szeptał Ezer Melchsedek, jednak wystarczająco głośno, by wychodzący mogli to usłyszeć. Turnbull zachnął się gniewnie, ale kabalista nie pozwolił sobie przeszkodzić w ogłoszeniu swojej wizji ani nie przyciszył szeptu. – Obu liniom jest przeznaczona zagłada. Orzeł Hohenstaufów nie będzie już długo latał, widzę też zabitego ostatniego lwa z dynastii Ajjuba. Jesteście drużbą, który przeżył swoją misję, narzeczeni już dawno rozsypali się w proch. – Westchnął głęboko i spojrzał rozmówcy w oczy. – Oszczędźcie tego dzieciom, niech nie dotkną ich i nie otrują starcze ręce żywych trupów!

Jan Turnbull zamienił się w słup soli jak żona Lota, poszarzał na twarzy. William pojął, że sędziwy pan nieprędko się oddali. Żał mu było Jana Turnbulla, nawet w jego starczym uporze. Pogodził się z tym, że ma świadka, i zwrócił się do Ezer Melchsedeka.

– Wielki mistrzu – odezwał się skromnie – oczekują was na wyspie...

– Wiem – odparł kabalista wyraźnie zmęczony – ale nie pojedę z wami!

William na chwilę zaniemówił, nie oczekiwał tego sprzeciwu.

– Wasze zadanie zostało wykonane – dodał Ezer Melchsedek cicho. – Wyłączcie mnie z gry, która jest jeszcze bardziej bezsensowna niż zamierzona przez Przeorat. – I dołożył Williamowi jeszcze jeden cios: – Zajmujecie się tym dla marnej mamony i dlatego wasze żądanie jest karygodne.

W przeciwieństwie do Jana Turnbulla, który nadal stał oniemiały, William postanowił walczyć. Nie nadstawił drugiego policzka. Fala krwi uderzyła mu do głowy, a jednocześnie pomyślał złośliwie, z jakim brakiem skrupułów działali wszyscy w ramach Wielkiego Planu, całkiem jak rywale w jednej sprawie. Ich to miał on, William z Roebroku, sekretarz hrabiego Joinville'a, reprezentować, i jeśli tak być musi, będzie działał bez rękawiczek, brutalnie.

– Ezerze Melchsedeku – powiedział cicho – może krzyżowcy nie zdobędą Kairu, ale gdy nasze wojsko będzie się cofało, aż prosi się wybrać drogę przez Aleksandrię...

* Haniviim (hebr.) – prorocy.

Stary Turnbull obudził się z odrętwienia i popatrzył zdziwiony na franciszkanina, którego dotąd uważał za dobrodusznego gamonia. Ten William był chyba głupcem, ale niebezpiecznym, który niczym nie dał się zbić z tropu.

– Los tutejszej gminy żydowskiej zależy od waszej współpracy, Ezerze Melchsedeku! Nie muszę wam chyba przypominać, jak łatwo dzieci Izraela stają się ofiarą pogromów, kiedy chrześcijańskie wojsko szuka winnych swego niepowodzenia...

Ezer Melchsedek milczał. Wydawało się, że bardziej użala się nad tym, który wypowiedział groźbę, niż nad sobą, poddanym szantażowi. Ale to zauważył tylko Jan Turnbull, w żadnym wypadku William.

– *Vae, vae, qui regis filiom das in manu leonis! Vae, qui profanas gloriami** – Po tym gwałtownym wybuchu, który przestraszył franciszkanina, kabalista oznajmił: – Będę wam towarzyszył. – Z rezygnacją zamknął oczy. – Król Ludwik i jego wojsko nigdy nie zobaczą Aleksandrii.

William zadowolony skinął głową i rzucił posłowi nadzwyczajnemu tryumfujące spojrzenie.

– Oczekuję was jutro rano na statku – powiedział jak zwycięski dowódca.

– Popłyniemy jeszcze dziś nocą – zaskoczył go Melchsedek – i *chevalier* będzie nam towarzyszył.

William zgodził się. Nie należało przeciągać struny.

Z diariusza Jana ze Joinville

Pod Mansurą, 17 marca A.D. 1250

Prażymy się już szósty tydzień w niemiłosiernym skwarze, licząc od bitwy w zapustny wtorek. I jeśli chce się piekło, które nas trzyma w szponach, jeszcze bardziej zajmująco opisać, to trzeba powiedzieć, że piekło tkwi w nas, płonie w naszych ropiejących ciałach, z których diabli wyrywają kawały żywego mięsa i wysysają krew.

Walczyłem przeciwko diabelskiej chorobie, ale czuję, że przed nią nie ucieknę, tak samo jak grzeszne dusze nie ujdą przed rozżarzoną różną, który je bezlitośnie wepchnie do kotła z wrzątkiem, do potępionych.

Chorują wszyscy wokół. Przynajmniej od czasu, gdy niewierni zadali nam dotkliwy cios, który dotąd musimy znosić cierpliwie, cios gorszy niż wszelka przegrana bitwa i cięższy niż wszyscy zabici, tak przez nas oplakiwani. Im oszczędzono cierpień, które teraz nas miały dotknąć.

* *Vae, vae, qui...* (łac.) – biada temu, kto oddaje córkę królewską w ręce lwa! Biada temu, kto sławę plugawi!

Wyjaśniło się, dlaczego Egipcjanie tak długo powstrzymywali się od ataków. Nowy sułtan ustanawiał swoją władzę, więc nie miał czasu na wojnę. W wolnej chwili przyszedł mu do głowy genialny pomysł, żeby pewną liczbę barek i galer, które znajdowały się w delcie na północy, w całości bądź w częściach przeciągnąć po łądzie i spuścić do wody za nami. Skutkiem tego manewru zostaliśmy odcięci od wszelkiego zaopatrzenia, nie ma już świeżego mięsa, warzyw, owoców, nie ma wody!

Nie wiedzielibyśmy nawet o blokadzie, gdyby parę małych łodzi hrabiego Flandrii dzięki zwinności wioślarzy nie przebiło się i nie przekazało wiadomości o korsarskiej flocie sułtana za naszymi plecami.

Już ponad osiemdziesiąt naszych statków zaopatrzeniowych, które płynęły do nas z Damiety, zostało przechwyconych! Ich załogi wycięto w pień!

Natychmiast też poszły w górę ceny w naszym obozie: na Wielkanoc jagnię kosztowało trzydzieści liwrów, baryłka wina dziesięć, nawet jajka nie kupiło się poniżej dwunastu denierów*.

Na drugim brzegu Bahr as-Saghir, 22 marca A.D. 1250

Jestem chory i nie mogę już utrzymać się na nogach. Także pisanie idzie mi ciężko. Po Williamie wciąż ani śladu, żadnej o nim wiadomości, a cóż dopiero mówić o rezultacie jego misji, która z czasem wydała mi się śmieszna.

Król i jego doradcy postanowili przenieść nasz obóz spod Mansury i ulokować go koło obozu księcia Burgundii, leżącego po drugiej stronie rzeki i bliżej głównego nurtu Nilu. Aby zabezpieczyć przejście, pan Ludwik kazał na obu przyczółkach mostu zbudować bramne wieże, by wstrzymywały konnych, którzy utrudnialiby przejście pieszym. Najpierw przeniesiono chorych i cały bagaż. Sprzeciwiłem się, gdy chciano mnie także przenieść, i dołączyłem do królewskiej świty, która potem przeszła na drugą stronę rzeki.

Zaledwie Saraceni zauważyli, co się dzieje, zaczęli naciskać na obóz ze wszystkich stron, lecz nasza straż tylna była wystarczająco liczna, żeby ich trzymać z daleka. Okazało się jednak, że przy moście obrona była za słaba i nieprzyjaciel mógł przeprowiających się zasypać z koni strzałami. Nasi ludzie bronili się rzucając na nadjeżdżających kamienie i ciskając im w twarz nadbrzeżny muł, aby przeszkodzić w celowaniu. Wreszcie wkroczył hrabia Anjou i przepędził wrogów. Ale wtedy ja byłem już po drugiej stronie i po nowym napadzie słabości ułożono mnie w namiocie.

Nagle stanął przede mną William, przemoczony do suchej nitki i zabłocony.

* Denier – pieniądz, dziesiąta część liwra.

– Jeśli wy, drogi panie – wysapał – zmieniacie miejsce pobytu, powinniście o tym powiadomić swego sekretarza. Omal nie dałem rozkazu, żeby mnie wysadzono po niewłaściwej stronie!

Flamandzki chytrus był nie do pokonania przez żadną przeciwność losu! Z wilczym apetytem rzucił się na mój posiłek i zaczął opowiadać o tym, jak wylądował na „wyspie balsamowanych” po wspólnej podróży w jednej lektyce z wielkim wezyrem sultana. Każdemu wiadomo, że wezyr został zabity przez templariuszy, pomyślałem sobie, nie powiedziałem jednak nic. Mój sekretarz napychał się owocami, które miały mi przywrócić zdrowie. Na wyspie, relacjonował dalej, zlecił zabalsamowanie Roberta z Artois w pierwszej kolejności i jak najdoskonalsze. Biali Bracia* z „zakonu wieczności” natychmiast go rozpoznali...

– Kogo? – spytałem. – Hrabiego Roberta?

– Nie, mnie! – wykrzyknął William wśród mlaskania. – Jestem dobrze znany w świecie islamu, moje imię...

– Chcecie powiedzieć: imię głośnie jak trąby jerychońskie! – spróbowałem żartować, choć byłem bardzo słaby.

– Możecie tak chyba powiedzieć i jeszcze mnie pochwalić, gdyż potem pojechałem do Aleksandrii i zwerbowałem najlepszego kabalistę, jakiego można było znaleźć na tamtejszym sławnym uniwersytecie, wspaniałego uczonego, który może oddać wielkie usługi nam, orędownikom „sprawy”, imperialnej żądy panowania Kapetyngów i *munditiae esotericae** joannitów! – mówił z pełnymi ustami mój sekretarz. Musiał tam chyba sam pilnie studiować.

– I gdzie jest ta chluba tajnej wiedzy? – spytałem tylko.

William nie był głupi.

– Poleciałem mu, aby przesłicznie przygotowanego para Francji...

– Co?! – przerwałem mu. – Czyżbyście przywieźli z sobą pana Roberta?

– Nie, kazałem go umieścić w godnym schowku, póki warunki tutaj – przez otwarte wejście do namiotu wskazał rzucone raczej na kupę niż poskładane pakunki, błoto i odpadki naszego w pośpiechu urządzanego obozu – nie pozwolą użyć zmarłego, żywego zmarłego – poprawił się – w sposób stosowny i przemyślany...

– I gdzież on teraz jest? – nie mogłem dłużej powstrzymać się od drwiny.

– W piramidzie! – oświadczył mój sekretarz, jakby to było najnormalniejsze miejsce przechowywania zwłok para Francji.

– W jakiej piramidzie? – spytałem osłupiały.

– Naturalnie w Gizie – powiedział William z dumą i przepłukał usta po posiłku potężnym łykiem z mojej karafki.

– Jest z nim Ezer Melchsedek, czeka tam na nas.

* Biali Bracia – w średniowieczu nazwa nadawana często bractwom religijnym.

* Munditia esoterica (łac.) – światło wiedzy tajemnej.

Musiałem się napić. William podał mi resztę czerwonego wina.

– Wydaje mi się – oznajmiłem już opanowany – że poruszamy się właśnie w przeciwnym kierunku. Kair przestał być celem zbrojnej pielgrzymki naszego pobożnego króla. Nie widzę nas u stóp piramid...

– Ale Ezer Melchsedek widział nas tam, a także króla! – odparł William prostodusznie.

Opróżniłem karafkę do dna.

– Reasumuję – rzekłem – największy kabalista wszystkich czasów, starotestamentowy jasnowidz, wobec którego przekazane nam w Piśmie zdolności proroków błędną i przypominają sztuczki kuglarzy, podróżuje z Robertem z Artois... Zaraz, zaraz, a jak hrabia teraz wygląda? – Przypomniał mi się opis dany przez turkopl, pozostawiający mało nadziei. – Niewiele z niego przecież zostało...

– Ja już go nie widziałem – odrzekł William wcale nie zbity z tropu – ale Ezer...

– Aha, a więc wcielony Hermes Trismegistos...

– Słusznie!

– ...przewiózł hrabiego do grobowca faraonów, tylko że mój chytry sekretarz nie wie, w którym pomieszczeniu go złożył. – Byłem nieco rozgniewany. Czy naprawdę uważa mnie za tak łatwowiernego? – A może i wielki wezyr także był przy tym?

– Nie – odparł mój sekretarz – tylko *chevalier* z Mont-Sion!

– Wielki Boże! – wykrzyknąłem. – Jan Turnbull?!

William przytaknął gorliwie i nim zdążyłem wyrazić wątpliwość co do jego poczytalności, uspokoił mnie:

– Ale tego szpiega przeciwnej strony udało mi się wyłączyć. Gdyśmy we trzech wrócili na wyspę wieczności, dowiedzieliśmy się, że sytuacja tutaj rozwinęła się dla nas niekorzystnie. Wtedy Ezer Melchsedek zaofiarował się, że sam pojedzie dalej na południe, gdyż dla chrześcijan nie jest to odpowiednia pora. Jan Turnbull obstawał przy swoim statusie nadzwyczajnego posła sułtana, przy czym był to dziadek obecnego – młodzieńczy chytrus wyśmiał zgrzybiałość przeciwnika – ale ja przekupiłem marynarzy...

– Jakich marynarzy?

– Byli to chyba piraci – przyznał pan sekretarz – zostali przywołani przez Białych Braci i wyciągnęli od nas wszystkie pieniądze, za to przewieźli bezpiecznie przez blokadę, którą kazał założyć sułtan.

– I gdzie jest Jan Turnbull?

– Opuścił tam statek i został z szacunkiem powitany przez ludzi sułtana...

– A mój sławny sekretarz?

– Mnie zaraz potem wrzucono do wody, tak że musiałem dopłynąć do obozu i jestem znowu do usług.

– Dziękuję, Williamie. – Tylko tyle byłem zdolny powiedzieć.

Do wciąż jeszcze nie uleczonych ran, do zarazy, która teraz otwarcie wybuchła, a przez greckich lekarzy nazwana została czarną ospą, dołączyła się wysoka gorączka. Przybył do mnie Dean z Manruptu, aby odprawić mszę. Sam był ciężko chory i akurat w momencie *consecrationis** omal nie stracił przytomności. Wyskoczyłem boso z łoża i złapałem go, by nie upadł na ziemię. Trzymałem kapłana w ramionach, aż doprowadził do końca nabożeństwo. Potem obaj rozplakaliśmy się gorzko, a z nosów pociekła nam krew.

Król odrzucił zasady, nie pozwalające mu paktować z niewiernymi, i kazał szykować poselstwo, które miało sułtanowi zaproponować zwrot Damietty za Jeruzalem. Ponadto sułtan miał troszczyć się w Damietcie o chorych i rannych, póki nie będą zdolni do przewiezienia, oraz przechowywać w suchym miejscu peklowane mięso – muzułmanie nie jedzą przecież świniny – i maszyny oblężnicze, póki król Ludwik nie znajdzie okazji, żeby kogoś przysłać po odbiór własności. Chociaż prawie wszyscy baronowie z *Outremer* mówili płynnie po arabsku, król przykładał wagę do tego, żeby w poselstwie uczestniczył ktoś z jego panów. Chyba na wspomnienie swego dawnego domowego nauczyciela, teraz mego sekretarza, poprosił mnie, abym wraz z Williamem z Roebroku wziął udział w poselstwie. Musiałem mu odmówić, ale wysłałem Williama.

Posłów poprowadzono przez Mansurę. Wszystkie ulice były obsadzone uzbrojonymi oddziałami, na placach stały w szeregach tysiące jeźdźców – nie po to, by posłom króla Francji okazać cześć, lecz im unaocznic, z jaką nienaruszoną i przeważającą siłą mieli do czynienia. W końcu zaprowadzono ich do pałacu sułtańskiego położonego na skraju miasta. Samego sułtana nie zobaczyli. Rokowania prowadził emir Fassr ad-Din Oktaj.

William był dostatecznie mądry, aby niczym nie dać poznać, że to stary znajomy, z którym był chyba w zażyłych stosunkach. Także emirowi nie drgnęła nawet powieka, gdy obok innych szlacheckich panów, których znał przynajmniej z nazwiska, przedstawiano mu mnicha jako tłumacza. Rozpoczął rozmowę od razu od postawienia pytania, jakie gwarancje skłonny jest dać król, że sułtan weźmie znów w posiadanie miasto Dumjat. Baronowie z *Outremer* zaproponowali mu jako zakładnika jednego z braci królewskich, do wyboru: albo hrabiego Alfonsa z Poitou, albo hrabiego Karola z Anjou. Emir jednak nastawał na to, że król sam powinien stawić się do dyspozycji.

Wtedy konetabl, który nic nie rozumiał i musiał się dopiero zdać na tłumaczenie wszystkiego przez Williama, niemal pękł ze złości i zawołał:

– Raczej niech nas ci Turcy wszystkich razem na miejscu zabiją albo jako niewolników wtrącają do więzienia, niż miałbym ścierpieć taką hańbę!

William przetłumaczył to w złagodzonej formie:

* Consecratio (łac.) – konsekracja, główna część mszy.

– Szlachetny pan konetabl jest gotów oddać swoje życie lub wolność, żeby królowi oszczędzić tego losu.

Czerwony Sokół uśmiechnął się i oznajmił najczystszą francuszczyzną:

– *Vos offert fait gran honor**, ale to nie może być przedmiotem dyskusji.

Na tym rokowania zakończono. Gdy delegację prowadzono z powrotem, William zobaczył przez otwarte okno dzieci jeżdżące konno po łące.

Rosz i Jeza ćwiczyli się w trafianiu lekką włócznią do pierścienia. Tak byli tym zajęci, że na nic nie zwracali uwagi.

Saraceńscy strażnicy pałacu przynagli Williama grzecznie, żeby szedł dalej.

*Vita brevis breviter
in brevi finietur
mors venit velociter
quae neminem veretur.
Omnia mors perimit
et nulli miseretur
et nulli miseretur.*

Zaraza w chrześcijańskim obozie przybrała straszliwe rozmiary. Wielu osobom porobiły się ropnie na dziąsłach i nie mogli przyjmować żadnego pożywienia. Pomocnicy balwierza musieli im te wrzody wycinać. Ludzie krzyczeli tak, że słyhać ich było przez ściany wszystkich namiotów. *Maître* z Sorbony odmówił poddania się bolesnej kuracji i wyprosił od swego pana zezwolenie na leczenie się w Damietcie. Zdołał przy pomocy Flamandczyków i pomyslnego prądu wymknąć się statkom sułtana. Egipscy lekarze w Dumjat wykurowali jego *morbis scorbuticus** sokiem cytryny i różnymi ziołami tak dalece, że mógł się stamtąd udać w drogę do domu, do Paryża.

*Scribere proposui
de contemptu mundano
ut degentes seculi
non mulcentur in vano.*

* Vos offert fait grań honor (stfr.) – wasza propozycja jest wielkim zaszczytem.

* Morbis scorbuticus (łac.) – szkorbut.

W obozie, 5 kwietnia A.D. 1250

Gdy król Ludwik zrozumiał, że wszyscy tutaj nędznie zginiemy, zdecydował przerwać swe wspaniale rozpoczęte przedsięwzięcie i wyprowadzić armię z zarażonego obozu z powrotem do Damietty. Tymczasem spadła na nas kolejna plaga: epidemia tyfusu. Ludzie marli jak muchy.

Nasza flota, o ile tylko mogła płynąć Nilem, została zawezwana z wybrzeża, aby przynajmniej przetransportować rannych, którzy nie przeżyliby marszu pieszo.

Kiedy egipskie statki, które działały w dolnym biegu rzeki i wylapywały całe konwoje ponad trzydziestu barek z zaopatrzeniem, spostrzegły zebraną siłę wojennych galer i długich angielskich statków, wycofały się do bocznych kanałów, gotowe w każdej chwili wrócić i uderzyć.

Po zapadnięciu ciemności udałem się na statek, ale marynarze odmówili nagle podniesienia kotwicy. Bali się, że w ciemności zostaną napadnięci przez Egipcjan.

Ktoś wydał obłądny rozkaz, żeby rozpalic ogień, by chorzy i kalecy mogli się dowlec do brzegu i wsiąść na statki.

*Tuba cum sonuerit
dies erit extrema
et iudex advenerit
vocabit sempiterna
elektos in patria
prescitos ad inferna
prescitos ad inferna.*

Obóz znajdował się w całkowitym rozkładzie, podawano bezsensowne hasła, nie szły za tym rozumne rozkazy. Na brzegu i na statkach walczone o miejsca.

Na domiar nieszczęścia straż tylna, stojąca przy moście przed Bahr as-Saghir, z niezrozumiałych powodów, mimo wyraźnego polecenia, nie przecięła powrozów, które most trzymały. W tej sytuacji zwabieni przez ogień Saraceni przybyli natychmiast i zaczęli w blasku płomieni wycinać bezbronych w pień. Wywołana tym panika sprawiła, że teraz wszyscy marynarze naraz przecięli liny i na rzece powstał dziki kłęb zagrażających sobie nawzajem, przeladowanych statków; nic dziwnego, że kilka łodzi się wywróciło.

Król Ludwik, który także został powalony chorobą, tkwił pośrodku tego zamętu. Świta go zaklinała, żeby pozwolił podnieść kotwicę i eskortowany przez swoich najwierniejszych towarzyszy udał się w bezpieczne miejsce. Ale pan Ludwik odmówił stanowczo opuszczenia

swoich ludzi w takiej biedzie, chociaż wiele razy tracił już przytomność i cierpiał na taką gwałtowną biegunkę, że jego szambelan rozciął mu po prostu spodnie. Moi marynarze chcieli teraz także odpłynąć, ale przeszkodzili nam kusznicy królewscy. Nadciągnęli na brzeg, przepędzili rabujących i mordujących Beduinów i zażądali ode mnie, żebym łaskawie poczekał na króla, bo w przeciwnym razie wystrzelają nas wszystkich.

Mój William odrzyknął, że on zostanie przy królu, gdyż seneszał jest umierający. Przywołał jedną z królewskich łodzi, pomachał do mnie i wdrapał się na pokład. Nasz statek odłączył się od gromady i popłynął z prądem w dół rzeki.

Tych emocji było dla mnie za dużo, straciłem zmysły.

*Vila, vila cadaver eris
Cur non peccare vereris
ut quid pecuniam quaeris
Quid vestes pomposas geris
ut quid honores quaeris
Cur non paenitens confiteris.*

Park pałacu sultanańskiego w Mansurze był odświętnie iluminowany, wszędzie płonęły ognie za parawanami z barwnego jedwabiu, na których można było podziwiać alegoryczne obrazy, poczynając od starego państwa faraonów aż po chwalebne czyny wielkiego Saladyna, założyciela panującej dynastii.

Cedry i palmy, kwitnące drzewa sprowadzone z dalekich krajów i rodzime papirusy tonęły w wielobarwnym świetle. Kolorowe lampiony kołysały się na drodze schodzącej w dół ku rzece, ku przystani, gdyż goście na uroczystość przybywali albo z Kairu, albo z obozów wojskowych.

Wszędzie stali w szpalerach niewolnicy z pochodniami, aby przybywającym oświetlić posypane kwiatami drogi wiodące do namiotów wyłożonych dywanami. Na dworze płonęły ogniska, nad którymi piekły się na roznach barany, koźlęta i gazy. Grupy muzykantów, kuglarzy i tancerek przechodziły od namiotu do namiotu, a wspaniale wystrojeni goście albo ciągnęli tłumnie za nimi, albo leżeli na wyściełanych sofach i pozwalali służbie podstawić sobie potrawy i napoje.

Nigdzie ścisk nie był tak wielki jak przed namiotem sultana. Wielu dopiero dziś wieczorem miało okazję złożyć hołd nowemu władcy, zjawiał się też niejeden urzędnik dworski ze stolicy, który odmówił ukorzenia się w czasie przybycia sultana do Heliopolis.

Turanszah spoczywał na miękkich poduszkach na wyłożonej aksamitem emporze; wzgardził stojącym za nim tronem, oznaką panowania. Świątował zwycięstwo i nie myślał wcale, żeby tego wieczoru ustępować na rzecz dworskiej etykiety. Tak więc był otoczony

rojem przyjaciół z Dżaziry, poetów, filozofów i malarzy. Po jednej stronie władcy siedziała Madulajn, faworyta o gorącej krwi, po drugiej Antinoos, anielski hermafrodyta.

Obie te piękne istoty współzawodniczyły o względy Turanszaha – nie tyle z własnej woli, ile dzięki kreacjom krawców, jubilerów i fryzjerów – jak boginie o jabłko Parysa, a przy tym były podobne: surowa Saracenka cechująca się dziką, wojowniczą męskością i śliczny łagodny chłopak ukształtowany jak kobieta. Chyba nie zamierzali rywalizować ze sobą, uśmiechali się, kiedy spotykały się ich spojrzenia, ale oboje szukali uznania, czulej sympatii Turanszaha, których ten udzielał im z roztargnieniem.

Myślami odbiegł w przyszłość, która na zawsze uwolni go od tego, by łaskawie kiwać do leżących plackiem urzędników i przyklekających posłów o marsowych twarzach, zapamiętywać nazwiska, tytuły i prezenty, a do tego jeszcze zgłębiać prawdziwe myśli hołdujących, ukryte za stekiem frazesów. Jego oczy spoczęły na dzieciach, dziś wieczorem znów naprawdę „królewskich” dzieciach.

Co jego, sułtana, nudziło, Jezie i Roszowi sprawiało prawdziwą przyjemność. Dzieci przysiadły na poduszkach u stóp Turanszaha i komentowały każde wystąpienie hołdownicze to rzeczowo, ujawniając drobiazgi, które uchodziły nawet uwagi Madulajn, to znów niezwykle dowcipnie, tak że Antinoos musiał się powstrzymać, by razem z nimi nie wybuchnął śmiechem.

Chociaż Turanszah bardzo się starał przebywać w chmurach, w świecie marzeń, gdzie dekryty wydaje się w formie wierszowanej, bitwy rozgrywają się jedynie na ściennych malowidłach, zdrada i nienawiść pojawiają się tylko w teatrze, a słodka muzyka i mądre myśli zastępują każdą uciążliwą formę rządzenia, został jednak sprowadzony w sposób przykry na ziemię.

Zrobił to Czerwony Sokół, ów emir, którego coraz bardziej cenił, a który mu teraz czynił wyrzuty, dlaczego on, Turanszah, postąpił tak niemądrze i nie zaprosił na uroczystość mameluckich emirów.

– Ponieważ nie chciałem zepsuć sobie humoru! – odpowiedział oschle i czuł, że już ma humor zepsuty.

Fassr ad-Din nie dał się zbić z tropu.

– To jest święto zwycięstwa. Oni czują się wyłączeni, traktowani niesprawiedliwie.

– Niech się czują! – powiedział sułtan i chciał na tym poprzestać. Nie zamierzał jednak obrażać Czerwonego Sokola, dodał więc wyjaśniająco: – Powinni się przyzwyczaić do tego, że wojenne czyny są ich obowiązkiem i nie zgłaszać wobec mnie roszczeń, bym ich uważał za swych najlepszych przyjaciół.

– Wolny człowiek może uważać, co mu się podoba – odparł Czerwony Sokół i zniżył głos. – Ale nie sułtan! On jest więźniem systemu. Jeśli architekt zrobi złe obliczenia, zlekceważy prawa statyki, naprężenia i ciśnienia, wówczas runie kopuła.

Turanszah próbował mu przerwać, ale emir na to nie pozwolił.

– Chcecie, panie, żebym wam doradzał, musicie więc moim radom użyć chociaż ucha, jeśli wasz rozum zabrania wam postąpić zgodnie z nimi. Nikt nie żąda od was, żebyście mameluków przyciskali do serca, ale kto wam każe kopać ich po tyłkach?

Nim sułtan zdążył unieść się gniewem i przywołać emira do porządku, Czerwony Sokół rzucił:

– Tak więc nie mogę i nie chcę wam służyć!

Z tymi słowami wyszedł.

Turanszah, którego otoczyła gwardia przyboczna, ponieważ obawiała się, że emir targnie się na władcę nie tylko słownie, opanował swój gniew. Mógł posłać za emirem swoich *halca*, by go sprowadzili i rzucili przed nim na kolana, jednak tego nie zrobił.

Zażenowany uśmiechnął się do Madulajn, ale jego księżniczka patrzyła prosto przed siebie. Była rozgniewana. I była wściekła, dlatego że Czerwony Sokół miał rację, i dlatego że Antinoos przed chwilą ucałował swemu panu rękę, a teraz uspokajająco głaskał go po ramieniu. Ale najbardziej cierpiała nad tym, że jej pan i władca nie może się zdobyć na jakąś klarowną linię rządzenia. Turanszah nie był człowiekiem konsekwentnym, lecz kierował się humorami. Stosował półkroki, wahające się, nieroztropne lub zbyt długo rozważane, i nie podejmował żadnego zdecydowanego posunięcia, żadnego ciosu, którym przecięłby ten gordyjski węzeł *halca*, mameluków. A przecież pożądała tego człowieka namiętnie.

Kazała sobie podać lutnię i zaczęła śpiewać ochryplym, niskim głosem:

*Qu'ieu n'ai chausit un po e gen,
percui pretz meillur'e genssa,
larc et adreig e conoissen,
on es sens e conoissenssa.
Prec li que m'aia crezenssa,
ni om no'l puosca far crezen
qu'ieu fassa vas eui faillimen,
sol non trob en lui faillensa.*

Saracenka nie przestała trącać strun, choć poczuła ruch palców Turanszaha na swoim udzie. Wprawdzie była to ręka, jak stwierdziła rzuciwszy w bok krótkie spojrzenie, którą Antinoos dobrowolnie oswobodził, ale mimo wszystko rozkoszowała się przenikającym ją podnieceniem.

*Mout mi plai, car sai que val mais,
cel qu'ieu plus desir que m'aia,
qu'anc de lui amar non m'estrais,
ni ai cor que m'en estraia.*

Jej gniew się wypalił. Ze spuszczoneymi powiekami odpowiedziała na uśmiech Turanszaha.

*E qui que mal l'en retaié
no'l creza, fors cels qui retrais
c'om cuoill maintas vet z los balais
ab qu'el mezeis se balaiá.*

Stary Jan Turnbull spędził wczesne godziny wieczorne na najwyższym tarasie pałacu, gdzie od lat niszczały dziwne instrumenty, dawniej służące obserwowaniu gwiazd. Wziął ze sobą jako chętnego pomocnika Bahę Zuhajra, który najważniejsze przyrządy uczynił znów zdatnymi do użytku: drogocenne astrolabium, sferę armilarną,* sekstant i miedzianą rurę, przez którą Turnbull mógł patrzeć na nocne niebo i skoncentrować się na określonym sektorze firmamentu. Wydawało się, że konstelacje zaniepokoiły starca w najwyższym stopniu. Już po raz trzeci powtórzył pomiary i obliczenia, które skrzętnie notował Baha Zuhajr.

– Co się dzieje? – zapytał nadworny pisarz niespokojnie.

– *Saturnus in Pisces** jest i pozostanie w kwadracie w opozycji do władcy, wielkiego Jowisza, a ten jest zstępujący w *Sagittario** ...

– Podobnie jak Mars w Skorpionie proponuje mu *coniunctio** – dodał Baha Zuhajr.

– Proponuje?! – oburzył się Jan Turnbull. – Saturn w letalnych Rybach w złym kwadracie sam jest wprowadzie w pozornie pewnej siedzibie, lecz gdy ma się w domu Strzelca i sprzeciwia się wojownikowi, znaczy to: mord i zabójstwo!

– Naprawdę myślicie, że Bajbars chce zgładzić króla i innych jeńców? – Baha Zuhajr rozumiał niewiele z tego, co tak starannie zapisali, a wytłumaczyć nie potrafił już nic. Z szacunkiem pozostawił to siwemu *maestro venerabilis**, którego Ibn Wasil uważał skrycie za potężnego w czarnej i białej magii.

– *Epi xyou histatai akmes** – warknął Jan Turnbull dotknięty tak wielką ignorancją, wyjął pomocnikowi papier z ręki i zmiął, rzuciwszy przedtem na niego ostatnie spojrzenie.

* Sfera armilarna – znany już w starożytności przyrząd astronomiczny służący do wyznaczania współrzędnych ciał niebieskich.

* *Saturnus in Pisces* (łac.) – Saturn w Rybach.

* *Sagittarius* (łac.) – Strzelec

* *Coniunctio* (łac.) – połączenie.

* *Maestro venerabilis* (wł.) – czcigodny mistrz,

* *Epi xyou histatai akmes* (gr.) – to stoi na ostrzu noża

Mameluccy emirowie spotkali się w sułtańskich stajniach, z dala od pałacu władcy, do którego zabroniono im wstępu. Odtrąceni dzielni dowódcy zamiast zajmować honorowe miejsca przy stole sułtana, znaleźli się przy żłobach wśród słomy i końskiego nawozu.

To potajemne zgromadzenie niezadowolonych zostało uknute i zwołane przez tych emirów, których Turanszah zaraz po przybyciu pozbawił urzędów: konetabla, marszałka i seneszala. Czuli się niesłusznie zdegradowani – przecież nie udali się na powitanie do Heliopolis nie z lekceważenia dla nowego sułtana, lecz dlatego że znajdowali się tutaj, w Mansurze, na polu walki i bronili przed niewiernymi sułtańskiego panowania nad Egiptem.

Emir Bajbars ujął w słowa niezadowolenie swoje i innych.

– Należy się obawiać – powiedział – że w przyszłości żaden mameluk nie obejmie już takiego honorowego urzędu, ponieważ sułtan wszystkie te stanowiska rozda swoim przyjaciom z Dżaziry. Również *halca* powinni się obawiać tego, że żaden z nich nie zostanie już podniesiony do godności emira. Pozostaną wiecznie niewolnikami, słomiankami pod drzwiami i dywanikami przed łóżkiem, tak jak nam przeznaczony jest los wojowników i jeśli nie umrzemy na polu bitwy, wówczas w domu będzie nas oczekiwał kat sułtana.

Ta mowa wywarła na wszystkich niezwykle wrażenie; zobaczyli dopiero teraz, że w spotkaniu uczestniczy także kilku *halca*, członków straży przybocznej.

– Turanszah nie miał żadnego prawa – ciągnął Bajbars – pozbawiać nas godności, które nam nadał jego ojciec, i mówię wam, że gdy ten sułtan odzyska Dumjat i złoto króla, nie będzie nas już potrzebował i rozprawi się z nami.

Łucznik – bo tak nazywano Bajbarsa – odczekał, aż jego pocisk trafi do prostych serc wojowników. Gdy niechętny pomruk wskazał, że strzała utkwiała w celu, przeszedł do konkluzji:

– A więc będzie lepiej, gdy my go zabijemy, nim on zabije nas!

Aplauz.

– A ponieważ *halca* – dodał Bajbars chytrze – muszą jeszcze udowodnić, że nadają się na emirów, im przekazujemy tę misję. Przecież tak czy tak są najbliżsi celu!

Tylko *halca* nie klaskali, inni na zgodę podnieśli ręce. W tym momencie na środek wyszedł Czerwony Sokół. Bajbars był wściekły, ale syn wielkiego wezyra, mameluk jak oni, cieszył się wielkim poważaniem. Zapadła pełna oczekiwania cisza i Łucznik nie mógł emirowi zabronić zabrania głosu.

– Rozumiem wasze niezadowolenie – powiedział Czerwony Sokół – jednak pora do dokonania czynu nie została mądrze wybrana. W kraju znajduje się jeszcze wróg, wprawdzie pobity i wydany na naszą łaskę i niełaskę, ale bądź co bądź stanowiący wciąż siłę złożoną z wielu tysięcy ludzi. Z nim musimy się najpierw uporać, w przeciwnym razie będziemy mieli jutro na karku zjednoczone siły Anglii i cesarza.

Pomruk niezadowolenia uprzedził mówcę, że nie znajdzie oczekiwanej aprobaty, ale Czerwony Sokół nie należał do tych, którzy łatwo dają się zniechęcić.

– Rokowania z królem Francji zbliżają się ku końcowi. Doprowadźmy rzecz do skutku, a potem zobaczymy, co dalej!

– Sułtański pacholek, chrześcijański rycerz! – rozległy się obraźliwe okrzyki, choć ich autorzy nie odważyli się pokazać.

Bajbars powiedział litościwie:

– Fassr ad-Din Oktaj nie znosi widoku krwi, dlatego opowiada się za łagodnym zwlekaniem, ale ja – tu zwrócił się do Czerwonego Sokoła – używając waszych własnych słów powiem: „Doprowadźmy rzecz do skutku, a potem zobaczymy, co dalej!”

Wszyscy roześmiali się, a Czerwony Sokół rzekł tylko:

– Jak wszyscy wiecie, a kto ośmiela się w to wątpić, niech wystąpi, byłem i jestem muzułmaninem. Owszem, cesarz Fryderyk pasował mnie na rycerza i jeszcze dziś napełnia mnie to dumą. Mój ojciec, mameluk tak jak wy i ja, służył wiernie domowi Ajjuba i naszemu krajowi, podobnie jak wy i ja. Nie widzę żadnego sensu w tym, żeby obalać ten porządek z powodu zranionej dumy, a do tego w sposób nie przemyślany. Kto postanowi, co ma się stać potem? Wy, Rukn ad-Din Bajbars – zwrócił się z drwiną w głosie do prowodyra – z pewnością tego nie rozważyliście! – Skończył i wyszedł.

Bajbars popatrzył za nim w ślad.

– Gołabek pokoju! – syknął pogardliwie do *halca*.

Młodzi członkowie straży przybocznej już nie przyklasnęli szyderstwu. Zadanie, od którego nie mogli się uchylić, legło ciężkim brzemieniem na ich barkach.

Namiot sułtana, w którym świętowano zwycięstwo, zaczął pustoszeć. Turanszah odprawił muzykantów i tancerki, dzieci zaś odesłano do łóżek, gdy przybył stary Jan Turnbull. *Chevalier* stanął przy wejściu, a jego spojrzenie zatrzymało się tak długo i intensywnie na Turanszahu, że ten podniósł głowę spoczywającą na udach Antinoosa, nie wypuścił jednak ręki swojej księżniczki. Przywołał życzliwym gestem sędziwego posła do siebie, a ten podszedł ku emporze, gdzie sułtan z faworytami spoczywał na poduszkach.

– Powiedźcie, *chevalier* z Mont-Sion, wielce przebiegły Odyseuszu, czy wasze nie zmaćcone przez podeszły wiek oczy widziały kiedykolwiek szczęśliwszą potrójną gwiazdę niż dostojnego Turanszaha, pięknego Antinoosa i wspaniałą księżniczkę...?

Jan Turnbull przestraszył się tego pytania i próbował nadać swej odpowiedzi obojętny charakter.

– Moje oczy wiele widziały – rzekł.

Madulajn wyczuła, że starzec usiłuje ukryć prawdziwe myśli.

– Co mówią gwiazdy? – spytała szorstko. – Czy grozi nam nieszczęście?

– Konstelacja tak rzadkiej i znakomitej trójcy – odezwał się Turnbull – należy do firmamentu. Tu na ziemi – dodał wzdychając – piękności zawsze grozi niebezpieczeństwo!

– Nie pójdziemy do piekła! – roześmiał się sułtan i klepnął Antinoosa po udzie. – Daleki gwiazdny trójkąt na niebie będzie nosił nasze imiona!

Posel skłonił się i opuścił namiot szybciej, niż do niego wkroczył.

Daleko jak okiem sięgnąć płonęły tej nocy ogniska na przeciwległym brzegu Nilu. Palili je Saraceni, którzy ścigali wycofującą się łądem i na statkach chrześcijańską armię. Ogniska oświetlały wodę i zdradzały uciekające łodzie, które próbowały umknąć do Damietty. Kogo Saraceni złapali na rzece albo kto zapędził się na ich stronę, tego zabijali na miejscu. Jeńców nie brano. Frankońskie wojsko było naciskane przez oddziały, które wykorzystując pozostawiony przez chrześcijan most, przeprawiły się przez rzekę. Saracenów było już tysiące, a jeszcze po zburzeniu wież bramowych pojawiła się jazda.

Król Ludwik nalegał uparcie, żeby go z powrotem przeniesiono na łąd. Tam, choć ledwie mógł się utrzymać na koniu, przejął dowództwo straży tylnej. Joannici molestowali króla, by zechciał to zadanie im pozostawić, osiągnęli jednak tylko tyle, że pozwolił dołączyć oddziałowi z Krak des Chevaliers pod dowództwem konetabla Jana Łukasza z Granson.

I tak krzyżowcy ciągnęli nocą na północ, stale atakowani, a przede wszystkim zasypywani strzałami, których ostrza zanurzano przedtem w greckim ogniu. Wyglądało to tak, jakby setki spadających gwiazd sypały się na nieszczęśliwego króla. Konetabl, który jak wierny owczarek nie odstępował go na krok, pilnował, żeby zawsze dostateczna liczba tarcz odbijała strzały, gdyż osłabły król Ludwik nie był już zdolny sam się osłonić.

Za władcą jechał w milczeniu William z Roebruku. Król nie powitał go z radością. Dobrze pamiętał, że niegdyś William porzucił u niego służbę, od tamtego czasu – minie wkrótce siedem lat od chwili, gdy wysłał Williama jako kapelana pod Montségur – wiele niepochlebnego słyszał o prowadzeniu się mnicha. Znosił go jednak w swojej świcie i nawet uczynił sarkastyczną uwagę, że przy pomocy takiego tłumacza mógłby dojść do porozumienia z sułtanem, gdyby ten zechciał się wyrzec swej pogańskiej wiary.

Zaczynało dzień.

Król jechał na przysadzistym koniu, na którego narzucono jedwabny czaprak.

O wschodzie słońca dotarto do małej wsi na północ od Szarimszah, a więc nie zrobiono jeszcze połowy drogi do Damietty. Konetabl umieścił władcę w domu, którego właścicielka, jak się okazało, urodziła się w Paryżu.

Pan Ludwik był tak mizerny, że przygotowano mu śmiertelne łoże. Nikt już nie wierzył, że władca może jeszcze przeżyć dzień.

Kilku Saracenów zapędziło się aż na skraj wsi i królewska straż przyboczna musiała ich przepędzić jak uciążliwe muchy, póki straż tylna nie otoczyła wsi kordonem.

Ludwik jednak nie chciał, żeby z jego powodu ciągnące dalej wojsko miało odsłonięte tyły i rozkazał straży tylnej nie zatrzymywać się we wsi. Ostatecznie zgodził się na pozostanie przy nim joannitów pod dowództwem Jana Łukasza z Granson.

Reszta z niegdyś tak wspaniałej armii templariuszy wsiadła na własne galery i utworzyła czołówkę flotylli, która miała spróbować przebić się z rannymi i chorymi do Damietty.

Filip z Montfortu, jeden z baronów z *Outremer*, który uczestniczył w ostatnich nieudanych rokowaniach z emirem sułtana, przedostał się do króla.

– Spotkałem po drodze – relacjonował – emira Fassr ad-Din Oktaja, którego jego ludzie nazywają Czerwonym Sokółem, i pozwoliłem sobie omówić z nim możliwość terminowego zawieszenia broni.

Król Ludwik patrzył na niego z oczekiwaniem.

– Jeśli Wasza Królewska Mość się zgodzi, chciałbym tę kwestię po naszej myśli...

– Proszę was, drogi Montfort – szepnął pospiesznie król.

Tak więc pan Filip pojechał z białą chorągwią w stronę nadciągającego nieprzyjaciela. Ku swemu radosnemu zdumieniu zaraz po opuszczeniu wsi natknął się na Czerwonego Sokoła, który znacząco wyprzedził swoich ludzi, jakby barona oczekiwał.

Uzgodnili natychmiast, że obie strony nie powinny przez jeden dzień podejmować żadnych działań – w każdym razie oddziały ciągnące lądem – jak długo król walczy ze śmiercią. W tym czasie powinno się zorganizować swobodne odejście krzyżowców i potem zwrot Damietty sułtanowi. O Jeruzalem nie było już mowy. Filip przysiągł na krzyż. Emir zdjął turban i ściągnął pierścień z palca na znak, że zamierza lojalnie dotrzymać umowy.

Czynił jednak rachuby bez swego rywala, mameluckiego emira Bajbarsa.

Bajbars tymczasem uwolnił i przekupił wziętego do niewoli sierżanta krzyżowców. Ten pojawił się nagle, przebiegał szeregi cofającego się wojska i wołał:

– Poddajcie się, złożcie broń! To rozkaz króla! – Na zapytania dorzucił wzburzony: – Król dostał się do niewoli! Jeśli się nie poddamy, zostanie zabity!

Wszyscy uznali to za możliwe, a ponieważ łączność ze wsią, gdzie zostawiono króla, była przerwana, nikt nie chciał być winien jego śmierci. Żołnierze zaczęli rzucać broń, rycerze także oddali swe miecze Saracenom.

Piechurzy zostali spędzeni w gromadę, musieli z rękami na karkach usiąść na ziemi. Baronowie i szlacheccy dowódcy zostali jako jeńcy odprowadzeni z powrotem do Mansury. Gdy pierwsza kolumna przeciągała obok wsi, gdzie straż przyboczna króla i oddział dowodzony przez Fassr ad-Din Oktaja spoczywały pokojowo naprzeciwko siebie, Montfort i emir pojęli daremność swych wysiłków.

Czerwony Sokół wstał i powiedział z żalem:

– Teraz, gdy się poddaliście, nie mogę ręczyć za żadne zawieszenie broni.

Filip z Montfortu podniósł się również i oddał emirowi swoją broń. Potem poszli razem, aby powiadomić króla, że znajduje się w niewoli.

*Unde hoc mihi,
ut veniat mater Domini mei
ad me? Halleluia!*

V

PŁONĄCA WIEŻA

Z diariusza Jana ze Joinville

Na Nilu, 6 kwietnia A.D. 1250

Podczas nocnych gorączkowych majaceń widziałem, jak zwarta flotylla templariuszy przepłynęła obok nas z mocnym pluskiem wiosł i nie napastowana przez wrogów zniknęła na północy. Płynąc w tym samym kierunku wpadliśmy nagle w wir, który spychał nasz statek niechybnie na stronę, gdzie czyhały na nas egipskie galery.

Skłoniło to żołnierzy, którzy na polecenie króla towarzyszyli nam dla obrony w lekkich wiosłowych łodziach, aby niezwłocznie nas opuścić i skierować się do Damietty. Naszym marynarzom z trudem udało się wyrwać z wiru, ale rankiem nadleciał od strony wybrzeża chłodny wiatr, który zaczął wiać z taką siłą, że nawet ze ściągniętymi żaglami nie posuwaliśmy się już z prądem, ale jak przygwożdzeni kołysaliśmy się w miejscu na wodzie.

Na lądzie, wzdłuż całego brzegu, pojawiły się teraz bandy Beduinów, co jak szakale towarzyszyli każdemu z naszych statków, który zaprzestał walki z wiatrem. Nie musieli nawet kiwnąć palcem, wiatr pędził łup niechybnie w ich ręce i tym samym na pewne zatracenie. Mogłem się przyjrzeć, jak zajęli się pierwszą łodzią. Załogę wycięli w pień, ciała wrzucili do wody, zrabowali skrzynie i kosze, które zawierały dobytek zabitych.

Zbliżyliśmy się do miejsca, gdzie sułtan założył na rzece blokadę. Uznałem to za szczęśliwe zrządzenie losu, niemal za wybawienie, gdyż w niewoli u Saracenów mielibyśmy szansę przeżycia. Jednak moi marynarze bali się sułtańskich galer bardziej niż Beduinów na brzegu.

Zmusiłem ich obnażoną bronią, aby zarzucili kotwicę. Mój kucharz postradał zmysły i krzyczał:

– Niech nas zabiją, wtedy pójdziemy do raj!

Nie byłem tego taki pewien i ulżyłem swojej grzesznej duszy dopiero wówczas, gdy skrzynki ze złotem i klejnotami, a także najcenniejsze relikwie wyrzuciłem za burtę. Utonęły

w gliniastych nurtach. Mój spowiednik, stary Dean z Manruptu, przyglądał się temu wytrącony z równowagi.

– Zawsze to lepiej niż oddać te skarby w ręce pogan! – pocieszałem starego kapłana.

– Panie Joinville, rad jestem, że tak długo mogłem wam służyć – żegnał się ze mną. – Powinniście się podać za królewskiego kuzyna, aby uratować przynajmniej swoje życie. Moje oddaję w ręce Pana Naszego Jezusa Chrystusa.

Z pierwszej egipskiej galery, która teraz skierowała się ku nam, jakby zamierzając nas staranować, jakiś człowiek zawołał po francusku:

– Kogo ujmimy z bronią w ręku, zostanie zabity. Poddajcie się!

Wszyscy moi ludzie odrzucili miecze, a ja stanąłem przed nimi, gdy galera o wysokim pokładzie przybiła bokiem do naszego statku. Saraceni rzucili mi linę, którą pochwyciłem. Z osłabienia byłbym wpadł do wody, gdyby pomocne ręce nie podciągnęły mnie w górę. Potknąłem się na pokładzie, przewrócono mnie, zerwano ze mnie pancerz i przyłożono sztylet do gardła.

– Jestem kuzynem króla! – wyrzęziłem.

Poprowadzono mnie na ufortyfikowaną rufę, gdzie oczekiwał admirał flotylli.

Nim zaczął wypytywać, kazał mi podać odzież i pas oraz jakiś gorzki napój, który bardzo dobrze na mnie podziałał. Potem admirał zapytał przez tłumacza, który pochodził z dworu cesarza Fryderyka w Palermo, czy faktycznie jestem spokrewniony z królem Francji. Pomyślałem, że kłamstwo nie ma sensu.

– Z panem Ludwikiem nie – powiedziałem – natomiast ręczę, że moja matka jest kuzynką Hohenstaufa!

Wtedy admirał uściśnął mnie i zawołał:

– Każdy przyjaciel wielkiego cesarza jest naszym przyjacielem! – I Saraceni dali mi obfity posiłek.

Tymczasem pozostałe nasze statki stojące na kotwicy zostały opanowane przez inne galery Saracenów. Oddzielono rycerzy, o ile dość zdrowo wyglądali, od prostych żołnierzy, do których włączono kapłanów. Nas, ludzi wysokiego stanu, zatrzymano na pokładzie, podczas gdy resztę wysadzono na brzeg.

Zobaczyłem, jak mój stary Dean z Manruptu potknął się – był przecież chory tak jak ja, jeśli nie gorzej – i wtedy rozbito mu pałką czaszkę, a ciało wrzucono do rzeki. Zaprotestowałem u admirała, który kazał mi odpowiedzieć, że nieszczęsnemu tylko skrócono cierpienia, które przecież prowadzą do śmierci, poza tym jest rzeczą słuszną, aby kapłan chrześcijański, który przyjmuje, że jego Pan umarł za niego na krzyżu, odwzajemnił się i umarł za swego Pana. Dorzucił jednak szybko:

– Was, mój hrabio, tyczą się jednak słowa wielkiego sułtana Saladyna: „Nie powinieneś zabijać człowieka, jeśli dzieliłeś z nim chleb i sól”.

To uspokoiło mnie i moich rycerzy, którzy także zostali nakarmieni do syta, gdyż teraz nas również wysadzono na łąd. Mnie podprowadzono stępaka i mogłem jechać obok admirała; jedno i drugie oznaczało szczególne wyróżnienie, ponieważ moi towarzysze musieli udać się w ten marsz do niewoli w długim łańcuchu, skuci za nogi.

Za pośrednictwem tłumacza, który biegł obok nas, admirał powiadomił mnie, że moim ludziom los nie oszczędzi konieczności wyrzeczenia się chrześcijańskiej wiary; ja, jako kuzyn wielkiego cesarza, zostanę z tego z pewnością wyłączony.

– Nie ufajcie takim przysięgom – ostrzegłem go – gdyż jeśli ktoś łatwo wypiera się swojej wiary, łatwo też zdradzi nowo przyjętą. Można – dorzuciłem – przypomnieć tu słowa Saladyna: „Nigdy nie widziałem, żeby chrześcijanin stał się dobrym muzułmaninem, ani też muzułmanin dobrym chrześcijaninem”.

Dotarliśmy do Mansury i obok „Zwycięskiego miasta” – tak tłumaczono jego nazwę, lecz nam przyniosło tylko nieszczęście! – poprowadzono nas do specjalnie urządzonego obozu.

Podziękowałem admirałowi za poprawne obchodzenie się ze mną, a on odrzekł krótko:

– Podziękujcie waszemu cesarzowi!

Obóz, niedaleko ogrodów sułtana nad Nilem, składał się z wielu czworoboków, oddzielonych od siebie wysokimi na męczyznę, glinianymi murami. Przypominał koszar dla owiec, a stłoczono w nim chyba więcej niż dziesięć tysięcy ludzi. Ciągłe straże wpędzały przez bramę do kolejnych zagród następny tuzin jeńców, od których żądano, żeby wyrzekli się swojej wiary. Jeśli ktoś odmawiał, natychmiast ucinano mu głowę. Przeróżliwe krzyki nieszczęśliwych słyhać było ponad murami.

Oszczędzono mi tej procedury; saraceński tłumacz poprowadził mnie do jakiegoś pawilonu. Zgromadzono tam większość naszych dowódców, którzy ucieszyli się na mój widok, ponieważ nikt nie spodziewał się zobaczyć mnie jeszcze wśród żywych.

Uścisnęliśmy się wszyscy, ciesząc się z ponownego spotkania. Powiedziano mi, że król także jest w pobliżu, w oddzielnym namiocie. Potem przyszli urzędnicy dworscy sułtana, żeby się dowiedzieć, kto będzie naszym rzecznikiem, któremu będą mogli przekazać posłanie od swego pana. Wyznaczyliśmy hrabiego Piotra z Bretanii.

Ku memu zdumieniu wszedł teraz mój sekretarz William z Roebroku jako tłumacz; był ubrany w kosztowną dzellabę i jak się wydawało, cieszył się niezmiernym poważaniem. Nim zaczął tłumaczyć, uśmiechnął się do mnie szczerząc zęby. Przedstawił nadwornego pisarza Bahę Zuhajra, który kazał nam przekazać, co następuje:

– Mój pan, dostojny sułtan, każe was przeze mnie zapytać, czy życzyście sobie odzyskać wolność?

Hrabia Piotr potwierdził to chętnie, a William ciągnął dalej:

– Co jesteście gotowi dać za to sułtanowi?

– Wszystko, czego zażąda – odparł hrabia – o ile będzie to słuszne żądanie.

– Czy oddacie nam – brzmiało następne pytanie – kilka zamków krzyżowców, które znajdują się w posiadaniu baronów z *Outremem*?

– Nie mamy prawa dysponowania nimi, nie mają tego prawa również baronowie, gdyż wszystkie miejsca warowne są lennem cesarza.

To, jak się wydaje, zrobiło na nadwornym pisarzu wrażenie, ale upierał się dalej.

– Czy zechcecie przynajmniej za własną wolność przekazać nam kilka twierdz templariuszy lub joannitów?

Hrabia musiał ponownie zaprzeczyć.

– To niemożliwe, ponieważ każdy komtur zakonu musi przy obejmowaniu swego urzędu przysiąc na Biblię, że nie odda nigdy powierzonego mu zamku, aby kogoś wykupić z niewoli, nawet samego cesarza!

Wówczas Baha Zuhajr oświadczył za pośrednictwem Williama, że nie odniósł wrażenia, byśmy pragnęli się uwolnić, tak więc jest zupełnie słuszne, jeśli teraz zostaniemy wydani mieczowi.

Powiedział to i oddalił się wraz z moim sekretarzem, który teraz już się nie uśmiechał. Za to do naszego pawilonu wtargnął rój młodych Saracenów; byli jeszcze w chłopięcym wieku, ale jak dzicy wywijali przed naszymi nosami ostrymi szablami.

Rzuciło mi się w oczy, że wszystkie szable były bogato zdobione, cyzelowane i posrebrzane, także ubiór chłopców był kosztowny i miał wyhaftowane emblematy sułtana.

– To są *halca* – szepnął do mnie jeden z baronów z *Outremer* – sułtańska chłopięca gwardia.

– Niebezpieczne chłopaczki – syknął inny – i żądne krwi, muszą bowiem jeszcze udowodnić, że są już mężczyznami.

Jednak chłopcy cofnęli się, gdyż jakiś czcigodny starzec z siwiuteńką długą brodą, zapewne ich nauczyciel, zaczął teraz mówić.

– Czy wierzycie w jednego Boga, który został pojmany i dla waszego zbawienia przesłuchiwany, torturowany i ukrzyżowany, a trzeciego dnia zmartwychwstał?

– Tak – odpowiedzieliśmy prawie chórem.

– Zniesiecie więc dla Niego wszelką hańbę?

– Tak! – zawołaliśmy ponownie.

– Ale jeszcze nie umarliście, tak jak On umarł za was. I jeśli ma On moc przywracania do życia, to możecie być pewni, że także was wskrzesi, jeśli tak Mu się spodoba.

Z tym pocieszeniem zostawił nas samych, zabrał zresztą ze sobą gromadę tych młodzieńczych wiwijaczy szablami.

– Będą nas pojedynczo wyprowadzać – szepnął jeden z baronów z Ziemi Świętej, który się na tym chyba wyznawał.

Poczułem duszę na ramieniu, gdy zaraz potem zostałem pierwszy wywołany po nazwisku. Zaprowadzono mnie jednak do króla, spoza którego pleców powitał mnie znowu swoistym grymasem William.

Dla króla rozbito specjalnie jego czerwony namiot. Znajdowali się tu wielcy mistrzowie obu zakonów, to znaczy na ich miejscu urzędujący: marszałek templariuszy, Renald z Vichiers, i joannita Jan z Ronay, jak również konetabl Francji i obaj bracia króla. Był także obecny książę Burgundii oraz hrabia Flandrii. Piotra z Bretanii przyprowadzono zaraz po mnie.

Pana Ludwika właśnie przesłuchano, nadworny pisarz postawił mu takie same pytania jak przedtem nam, i ku mojej uldze król odpowiedział na nie dokładnie tak jak hrabia Bretanii.

Inkwizytor straszliwie się rozgniewał i z wściekłością kazał pokazać królowi instrument, który miał go skłonić do zmiany tak zdecydowanie wyrażonego zdania. Mojemu Williamowi polecił opisać działanie instrumentu, i muszę powiedzieć, że ten uczynił to z zapalem.

– Narzędzie tortur nazywa się harnakel – wykladał. – Między żelazne zęby tej szczęki wtyka się kończyny torturowanego, na początek zazwyczaj stopy – wziął szczapę, wsunął do paszczy i usiadł na harnaku, tak że dał się słyszeć trzask drewna. – Nasilenie tortur określa ten, kto prowadzi przesłuchanie – zakończył dumnie demonstrację i wyrzucił rozgniecione na miazgę polano.

Baha Zuhajr popatrzył tryumfująco, ale król powiedział tylko:

– Jestem waszym jeńcem, postępujcie, jak wam się podoba!

Obrażony nadworny pisarz wybiegł z namiotu, pozostawiając Williama. Minoryta wydawał się nieporuszony całym zajściem, skłonił się przed królem i powiedział cicho:

– Stanowczość, którą Wasza Królewska Mość okazuje, jest silniejsza niż ich wola, by ją złamać. Nie musicie się, panie, obawiać, nie spadnie wam włos z głowy!

I rzeczywiście za chwilę ukazał się nadworny pisarz w towarzystwie emira, którego nazywają Czerwonym Sokółem. On przejął teraz rokowania i nie potrzebował tłumacza.

– Jaką kwotę Wasza Królewska Mość jest gotów zapłacić sułtanowi i w jakiej formie zamierza przekazać Damiette? – zapytał krótko.

– Skoro jest zamiarem sułtana przyjąć w zamian za mnie jakąś sumę, chętnie prześlę prośbę do królowej, aby wypłaciła taki okup – odpowiedział król.

Emir nie zastanawiał się długo:

– Czy Wasza Królewska Mość zechciałby wyrażać się dokładniej, jak zechce postąpić?

– Skąd mam wiedzieć, czy królowa się ze mną zgodzi? Bo chociaż jest moją małżonką, to przecież jest panią własnych decyzji.

Tym razem Czerwony Sokół zastanawiał się dłużej, jednak nie zapytał o radę urzędników dworskich, którzy jawnie parli do tego, żeby w rokowaniach zabrać głos. Emir nakazał im milczenie.

– Wyjdę od pewnej sumy – powiedział chłodno – i będę przy niej obstawał u sułtana. Wynosi ona, Wasza Królewska Mość, milion złotych monet bizantyńskich, co odpowiada pięciuset tysiącom liwrów w waszej walucie.

Była to nawet dla urzędników dworskich ogromna kwota, widziałem, że zaniemówili i stali z otwartymi ustami.

– Jeśli królowa złoży ten okup, czy sułtan ze swej strony obiecuje, że uwolni mnie i moich ludzi? – zapytał król.

– Z takiego założenia Wasza Królewska Mość może wychodzić!

Czerwony Sokół skłonił się i opuścił pawilon. Dworacy paplając w podnieceniu pospieszyli za nim.

Król objął pana Piotra z Bretanii, potem mnie, a Williamowi uściśnął rękę.

W odgrodzonych glinianymi murami zagrodach obozu jenieckiego joannici zostali oddzieleni od innych. Uznali to za wyróżnienie należne ich zakonowi.

Nie wzięto natomiast do niewoli prawie żadnego templariusza – w ostatniej chwili, nie zważając na konwój chorych i rannych, któremu mieli towarzyszyć, popłynęli zwartym szykiem do Damietty. Rycerzom zakonu krzyżackiego, liczebnie także niewielkiej grupie, wskazano budynek w gospodarczej części sułtańskiego pałacu. Ten gest podkreślał przyjazne stosunki domu Ajjuba z cesarzem.

Mameluckim dowódcą, którzy czuli się pozbawieni przez młodego sułtana wawrzynów zwycięstwa, w żadnym wypadku nie podobało się to specjalne traktowanie, ale nie mogli niczego zmienić w tym względzie. Prowodzyrem mameluckich emirów nie był wcale oficer najstarszy latami służby, rozważny Izz ad-Din Ajbek, lecz niezaprzeczalnie Bajbars, Łucznik, zwycięzca spod Mansury.

Skoro im zabroniono wstępu w obręb pałacu, niezadowoleni spotykali się w stajniach, w owej rozległej kolumnowej sali, gdzie mogli otwarcie mówić, nie narażając się na podsłuchiwanie.

Ajbek starał się nie dopuścić do otwartej rewolty.

– Nie rozumiem – mówił – dlaczego Turanszah ociąga się z odebraniem teraz siłą Damietty i pertraktuje z królem Franków, zamiast podyktować egipskie warunki...

– I do tego każe się tym zajmować Fassr ad-Din Oktajowi, przyjacielowi chrześcijan! – zawołał rozdrażniony Bajbars.

W przychylny pomruk emirów wmieszał się dosłyszalny protest, który wskazał Łucznikowi, że posunął się za daleko. Ajbek wziął nieobecnego w obronę:

– Czerwony Sokół to mameluk tak jak my i jak jego czcigodny ojciec, który oddał życie za Egipt.

Protesty ucichły.

– Jeśli Czerwony Sokół prowadzi rokowania zbyt miękko – ciągnął Ajbek – jak to się chyba podoba sułtanowi, ale nie nam – tu rozległy się głosy aprobaty – wówczas powinniśmy mu to powiedzieć prosto w twarz, i jeśli się ze mną zgadzacie, jestem gotów nasze zdanie na ten temat przekazać Czerwonemu Sokołowi.

Propozycję jednomyślnie zaaprobowano podniesieniem rąk, nawet Bajbars musiał poprzeć wniosek, choć uczynił to z niechęcią.

– Pozostaje jednak sprawa – rzekł gniewnie – uwolnienia wszystkich jeńców...

Znowu Ajbek próbował załagodzić sytuację.

– Opuszczą kraj razem z królem i spodziewam się, że swoją klęskę potraktują jak bolesną lekcję i nigdy tutaj nie wrócą!

– To nie dotyczy jednak baronów z Syrii i Galilei, czy też *Outremer*, jak oni je beczelnie nazywają, a przede wszystkim nie dotyczy rycerzy z obu przeklętych zakonów! Oni wrócą, jeśli...

– Dość! – wdarł się głos Ajbeka w krzyki oburzenia, w których dźwięczała groźba i nienawiść. – Nie wolno nam zabić żadnego jeńca, jeśli umówiony okup...

– Właśnie! – krzyknął Bajbars. – Jeszcze układ nie jest zaprzysiężony! Obowiązuje *status quo*!

Obok Bajbarsa zgrupowali się liczni dowódcy; na znak swego zdecydowania wyciągnęli miecze i zamierzali opuścić zgromadzenie. Ajbek zrozumiał, że nie potrafi ich zatrzymać.

– Splamicie się krwią... – usiłował przekrzyczeć tamtych.

– Nie powiedzcie tylko „niewinnych” – zakpił Bajbars. – Jak się nazywa ten namiestnik rzymski, który chrześcijańskim psom na zawsze utkwiał w pamięci? Poncjusz Piłat! – Roześmiał się Izz ad-Din Ajbekowi prosto w twarz. – Zachowujecie się tak jak on!

Pomaszerowali prosto do obozu jeńców i wtargnęli do czworoboku, który dał schronienie joannitom. Zamiar podbechtanych emirów był oczywisty.

Najstarszy rangą, konetabl Markabu, Jan Łukasz z Granson, wyszedł im naprzeciw. Wiedział, z kim ma do czynienia, wiedział też, że nie straci nic więcej prócz swojej głowy.

– Przybywa wyrodny ojciec – zadrwił głośno – który bezbronnego synka, Mahmuda, pozwolił wysadzić na naszym brzegu...

W ten sposób trafił w jedyny słaby punkt Bajbarsa. Minał już rok i osiem miesięcy, jak emir stracił swego syna i dziedzica, zaginionego w trakcie pielgrzymki. Mówił teraz bardzo wolno, ponieważ musiał się opanować.

– Co o nim wiecie? Gdzie jest mój syn?

W jego głosie czuło się napięcie. Kazał prowadzić poszukiwania od Konstantynopola do Bagdadu. Nie natknięto się na żaden ślad.

– Każę was o tym powiadomić, gdy wrócimy do Krak de Chevalier... – rzekł butnie joannita.

W oczach Bajbarsa zapłonęła żądza mordy.

– Powiecie to od razu! – rzucił przez zaciśnięte zęby. – Albo nie zobaczycie już swojego zamku.

Konetabl pojął, że stoi na straconej pozycji.

– Łuczniku – powiedział wściekły – nie uchodźcie za człowieka, do którego słów rycerz może przywiązywać wagę, tak więc i ja nie zamierzam tego czynić.

– Na kolana! – ryknął Bajbars.

Konetabl nie posłuchał. On, który sobie nigdy nie pozwalał na uśmiech, śmiał się na całe gardło.

– Teraz jeszcze stracie twarz!

– A wy głowę! – Bajbars zamierzył się do ciosu, ale joannita cofnął się i zakrzywiona szabla rozcięła mu tylko ramię.

– Powinniście zostać przy łuku i strzałach! – szydził Jan Łukasz z Granson. Rycerzom, którzy osłaniając go cisnęli się do jego boku, kazał się cofnąć. – Pozwólcie mi to samemu załatwić!

Wystąpił do przodu, dwaj mamelucy chwycili go i próbowali zmusić do klęknienia. Strząsnął ich z siebie. Wtedy rzuciła się na niego cała zgraja, podcięto mu nogi, kluto w brzuch, ktoś złapał go za włosy i pociągnął głowę do przodu. Bajbars odskoczył w bok, jego szabla świsnęła. Człowiek, który trzymał konetabla Markabu za włosy, upadł na plecy z głową w ręce. Trysnęła na niego krew z przeciętej szyi.

– Wyciąć wszystkich w pień! – wrzasnął Bajbars, ale wtedy pojawił się nagle Czerwony Sokół.

Nie krzyknął wcale, że mają się zatrzymać, lecz powiedział głośno do Bajbarsa, który patrzył na niego błyszczącymi nienawiścią oczyma:

– Spełniło się to, co zostało konetablowi przepowiedziane.

Bajbars podniósł rękę, by uciszyć wrzawę, chociaż słowa dotyczyły tylko jego.

– Gdy Jan Łukasz z Granson zupełnie bez potrzeby wydał waszego syna An-Nasirowi, ismailici ostrzegli go, że straci głowę z takiej ręki – Czerwony Sokół przerwał i czekał, aż ostatni z mameluków odstąpi od joannitów i zacznie się przysłuchiwać – która da się użyć do zabicia bezbronno. *In sza Allah* – dorzucił oschle – ale nie jest wolą Allaha, żeby mamelucy stracili twarz jako rzeźnicy jeńców.

Odwrócił się i opuścił zbudowany z gliny czworobok. Krótco po nim opuścili go także w milczeniu pierwsi mamelucy, potem zniechęceni inni, ostatni Bajbars.

W pałacu sułtana nadworny pisarz, Baha Zuhajr, zdawał swemu panu dumnie relację z tego, jak udało mu się, dzięki zręczności w pertraktacjach i nieugiętości wycisnąć z króla milion złotych monet bizantyńskich.

– Wyobraźcie sobie, panie, milion złotych bizantynów!

Turanszahowi towarzyszył jego dwór, ale był także obecny kronikarz Ibn Wasil. Sułtan nie zwrócił się jednakże do swoich doradców, którzy bez wyjątku pozostawali pod głębokim wrażeniem ogromnej kwoty i bardzo się nią cieszyli, lecz skierował pytające spojrzenie ku dzieciom.

Rosz i Jeza, oboje w dworskich strojach – Jeza uparła się, by tak jak Rosz nosić jedwabne szarawary i turban, przez co sprawiała wrażenie młodzieńca – siedzieli obok siebie naprzeciwko władcy. Dzieci nie czuły się wprawdzie dobrze w tej roli, która zmuszała je ciągle do sztywnego ceremoniału, ale były szczęśliwe za każdym razem, gdy pytano je o zdanie. Poza tym straszliwie się nudziły.

– Czy on to zaprzysiągł? – spytał poważnie Rosz i Baha Zuhajr, lekko zmieszany, pospieszył dodać z ukłonem:

– Jeszcze nie, młody panie, lecz jest gotowy w każdej chwili.

– Przedstawcie nam dokładnie warunki! – zażądała Jeza, ale Baha Zuhajr powtórzył tylko zwrócony do sułtana:

– Król Franków zapłaci pięćset tysięcy francuskich liwrów za uwolnienie swoich poddanych i wszystkich, którzy z nim przybyli. I odda Dumjat jako okup za swą własną osobę – wywodził nadworny pisarz zrozumiiałe, przy czym dało się odczuć, że w żadnym razie nie pojmuje znaczenia tego gestu – jest bowiem zdania, że osobie jego rangi nie przystoi kupić sobie wolności za pieniądze.

– Na Allaha! – zawołał Turanszah. – Cóż za szlachetny charakter! Nie próbował się z wami targować?

Baha Zuhajr potrząsnął głową, chociaż to sprzeciwiało się nieco temu, co przedtem oświadczył. Ale sułtan nie zważał na to.

– Czy król chce mnie zawstydzić?

Nadworny pisarz podniósł ręce w obronnym geście.

– Wobec tego opuśćmy mu sto tysięcy – zaproponowała Jeza. – Niech zapłaci czterysta tysięcy liwrów.

Rada spodobała się Turanszahowi.

– Na Allaha! – powiedział. – Godne rozwiązanie!

– I wciąż jest to piękny okup – dodał Rosz – chętnie bym zobaczył taki stos pieniędzy.

Sułtan uśmiechnął się do dzieci. Dwór przysłuchiwał się dyspacie z otwartymi ustami i teraz spieszył, aby przez gorliwe potakiwanie wyrazić aprobatę. Nikt jeszcze nie widział, żeby tak szybko zniknęło sto tysięcy liwrów, i to bynajmniej nie w czyjejs kieszeni. Te obce królewskie dzieci mogły się więc stać nadzwyczaj niebezpieczne dla ogółu! Ale wszyscy się uśmiechali.

Rosz i Jeza opuścili salę audiencyjną. Towarzyszyło im dwu członków straży przybocznej.

Turanszah zwrócił się do nadwornego pisarza:

– Chciałbym, żeby stary pan poseł, który służył już memu dziadowi, dostojnemu Al-Kamilowi, i memu dostojnemu ojcu, pojechał razem z poselstwem, które król wyśle do Dumjat do królowej. Życzę sobie także, aby był obecny przy uroczystej przysiędze, którą przedtem król i ja złożymy.

Baha Zuhajr skłonił się nisko, a potem, wciąż bijąc pokłony, idąc tyłem opuścił salę. Omal się nie zderzył z Ibn Wasilem, który zamierzał cichaczem się wymknąć.

Kronikarz musiał koniecznie powiadomić Bajbarsa o rozwoju wypadków. Udał się spieszenie na poszukiwanie emira.

Bajbarsa poszukiwali także dwaj prosto odziani młodzi ludzie. Można ich było uważać za Beduinów. W obozie wojskowym, w kwaterach mameluków dowiadywali się systematycznie o jego tryb życia, poznali drogi, którymi lubił chodzić, wiedzieli również o tajnych spotkaniach w stajniach. Poruszali się dość beztrosko, czuli się w swej misji bezpieczni, pod odzieniem bowiem kryli sztylety, a w sercach obietnicę rajy.

Obaj byli asasynami z Masnatu. Czekali na człowieka, którego nigdy nie widzieli, choć gdyby go i znali, nawet na torturach nic by nie wyjawili. Ten człowiek miał im przekazać hasło; ofiarę już wysledzili.

Na bazarze pili herbatę, której gałązki dzikiej mięty nadawały orzeźwiający, gorzki smak. Roztarte liście, które wsypali do gorącego napoju, nikomu nie rzuciły się w oczy. Tak im się przynajmniej wydawało.

Jan Turnbull zamyślony opuścił salę audiencyjną w pałacu sułtana. Turanszah poprosił go właśnie, wyposażając we wszystkie możliwe pełnomocnictwa, by towarzyszył delegacji Franków do ich królowej. Sułtan wyraźnie przykładął wielką wagę do tego, żeby traktat został jak najszybciej zrealizowany; chciał pozbyć się jeńców, których teraz traktował jako gości. Powierzył Turnbullowi zadanie zręcznego rozwikłania na miejscu w Damietcie ewentualnych komplikacji. Brzemie to ciążyło na barkach sędziwego posła, gdyż – co wiedział z wieloletniego doświadczenia – przy sumach, jakie wchodziły w grę, do działania czuły się powołane rozmaite kręgi zainteresowanych.

Egipska kamaryla* traktowała kasę państwową jak swoją osobistą szkatułę, a dowództwo wojskowe, potężni mamelucy, było zdania, że klucz do skarbcza powinien znajdować się w ich ręku.

Jan Turnbull nie był tak zgrzybiały, ażeby nie czuł atmosfery napięcia, której towarzyszyły szept i szemranie. Miał jednak na oku nie tylko przyszłych odbiorców pieniędzy, lecz także tych, którzy tę ogromną kwotę mieli wyłożyć. Było rzeczą niemożliwą, żeby królowa Małgorzata przechowywała w skrzyniach tak wielkie zasoby. Musiałaby zaciągnąć pożyczkę; możliwymi wierzycielami były jedynie republiki morskie i bogate

* Kamaryla – grupa ulubionych dworzan panującego, wywierająca znaczny wpływ na sprawy publiczne.

zakony rycerskie. Czy będą w stanie wesprzeć zrujnowanego króla? I czy zechcą? Jako ostateczny ratunek nasuwał się jeszcze cesarz Fryderyk. Turnbull westchnął i lekko zgarbiony ruszył drogą wiodącą przez ogrody. Wtedy podszedł do niego kronikarz Ibn Wasil, który znalazł się tutaj nie przypadkiem.

– Nie znacie mnie, wielce szanowny *maestro venerabile* – powiedział. – Jestem Ibn Wasil, przyjaciel namiestnika Kairu, szlachetnego Husama ibn abi' Alego, cieszę się łaską sułtanka Szadszar ad-Durr, a przede wszystkim życzliwym zaufaniem potężnego emira Rukn ad-Din Bajbarsa, naczelnego dowódcy wszystkich mameluków.

Stary Turnbull słuchał w milczeniu, tylko chytry uśmiech zaigrał w zmarszczkach jego szarych oczu. Ibn Wasil przyjął to jako zachętę, by przedstawić sprawę.

– Potężnemu Łucznikowi, któremu należy się cała władza Egiptu, nie podoba się...

Jan Turnbull mu przerwał.

– Zawsze myślałem – powiedział z subtelną ironią – że władza i świetność tego kraju są atrybutem sułtana, a jako najwyższego rangą dowódcę znam rozważnego emira Ajbeka.

To oświadczenie rozgniewało Ibn Wasila.

– Uczynicie dobrze, jeśli oswoicie się z myślą, że wiele rzeczy zmieniło się od czasów Al-Kamila...

Przyganę Turnbull skwitował uśmiechem.

– Co więc nie podoba się szanownemu Bajbarsowi? Podejmę wszelkie kroki, jakie pozostają w mojej skromnej mocy, aby rzeczy tak zmienić, iżby mu przypadły do gustu.

– Wiedziałem – rzekł zadowolony Ibn Wasil – że z wami można mówić i że na trudnym polu dyplomacji nie macie równego sobie, wielki *maestro venerabile*.

Jana Turnbulla wielce drażniło takie tytułowanie, głupie używanie tajnego tytułu przez kogoś nieuprawnionego. Zgoda, o jego roli w Przeoracie Syjonu wiele mówiono po cichu, to jednak wcale nie dawało prawa temu egipskiemu nadwornemu gryzipiórkowi używać takiego zwrotu. Turnbull potrząsnął siwą głową, co Ibn Wasil wziął za przyzwolenie, aby wyłożyć kawę na ławę.

– My – oznajmił z całą skromnością – jesteśmy zdania, że byłoby lepiej, gdyby królowa nie zapłaciła okupu, a także gdyby nikt jej nie pożyczył pieniędzy...

– Tak? – spytał Jan Turnbull życzliwie.

– To leży w waszej mocy – kronikarz Ibn Wasil dał się złapać w pułapkę – i zostanie wam poczytane za wielką zasługę, jeśli w Damietcie zatroszczycie się, by nie doszło do żadnej zapłaty. Takie rozwiązanie będzie też korzystne dla waszego podeszłego wieku, niech Allah obdarzy was zdrowiem i długim życiem!

– Zdrowie może się pogorszyć, a życie skrócić... – Turnbull uśmiechał się jeszcze, ale jego źrenice stały się twarde jak granit – jeśli nie ulegnę prośbie potężnego Bajbarsa, niech Allah obdarzy go zdrowiem i długim życiem?

– Czasy są niepewne – zauważył kronikarz znacząco – i mogę też jeszcze wam zwierzyć, że Turanszah po otrzymaniu okupu w żadnym wypadku nie wypuści waszych przyjaciół, lecz każe ich wszystkich zgładzić...

Czekał, czy wypowiedziane przez niego ostrzeżenie przyniosło spodziewany efekt, po czym dorzucił:

– Nie życzę sobie zobaczyć was wśród tych zabitych!

– Ja także bym sobie tego nie życzył – odrzekł Turnbull dobrotliwie. – Nie zbywa wam, mój drogi przyjacielu, na jasności wyводу. Udam się w podróż z waszymi najlepszymi życzeniami w zanadru.

Skłonił się uprzejmie przed Ibn Wasilem i odszedł. Jego czoło przecięła pionowa zmarszczka gniewu. Opuścił park skrótem przez stajnie i skierował się prosto na bazar.

Szpiedzy Czerwonego Sokoła nie spuszczały z oczu obu asasynów. Gdy teraz Jan Turnbull skręcił w zadaszoną sklepową uliczkę, gdzie znajdowała się herbaciarnia, powiadomili o tym swego chlebowawcę.

Jakby przypadkowo i z roztargnienia siwy starszy pan przysiadł się do obu młodych Beduinów. Słowa, które wymienili, wydawały się nic nie mówiącymi formułkami pozdrowienia obcych sobie gości.

Wkrótce potem młodzieńcy podnieśli się, ale wtedy zza kolumny wyszedł Czerwony Sokół.

– Bądźcie jeszcze moimi gośćmi – powiedział życzliwie, gdy zobaczył, jak ich ręce mimo woli skierowały się do piersi – przyjaciele mego starego przyjaciela są przeze mnie zawsze mile widziani.

Zmusił ich, by usiedli, i zamówił dla wszystkich napoje.

– Posłuchajcie! – powiedział cicho. – Zbiry Łuczniaka mają was od dawna na oku. Bajbars do tego stopnia wzmocnił swoją straż przyboczną, że nie zbliży się do niego nawet ten, co jest gotów na śmierć. To po pierwsze. – I z tą samą życzliwością zwrócił się do Jana Turnbulla. – A po drugie, relacja Ibn Wasila wcale nie zadowoliła Bajbarsa. Nie idźcie przeto na statek, który ma zawieźć delegację do Damietty, bo żywy na pokład nie dotrzecie! Mam dla was i waszych obu przyjaciół przygotowaną łódź, która was zaraz wywiezie z Mansury. Udajcie się z bazaru drogą do stajen, tam ktoś będzie was oczekiwał.

– Do jaskini lwa? – spytał Turnbull niepewnie.

Czerwony Sokół roześmiał się głośno.

– Chrześcijanie powiadają bardzo trafnie, że w cieniu katedry diabeł buduje sobie najpewniejszą siedzibę!

– Czy mamy tam przenocować? – Turnbull podjął żartobliwy ton. Każdy szpieg mógł pomyśleć, że weselą się przy herbacie.

– Nie – powiedział Czerwony Sokół i zapłacił rachunek – tam czekają na was piraci, na których mogę liczyć. Sam byłem kiedyś ich gościem. Oni was bezpiecznie powiodą do celu. Idźcie teraz! Ja przejmę straż tylną.

Zaśmiali się wszyscy i udali w drogę.

Na rogu siedział żebrzący kaleka. Już od dawna obserwował całą scenę. Teraz wziął kule i zaczął się spieszyć oddalać. Czerwony Sokół podstawił mu nogę. Kaleka się przewrócił i emir natychmiast pospieszył z pomocą. Nadepnął mu przy tym lekko na rękę i pokazał złotą monetę. Żebrak zrozumiał.

Wziął pieniądze i pokuśtykał na swoje stałe miejsce.

Turanszah wszedł do apartamentów, które kazał urządzić dla swoich osobistych potrzeb. Madulajn udało się przy tym znacznie ograniczyć wpływ jego artystycznych przyjaciół i zadbała, by obszerne pomieszczenia nie zostały zastawione ciężkimi sprzętami i udekorowane adamaszkiem. Prosty żółtawy surowy jedwab zasłaniał wysokie okna przed rażącym słońcem i wpuszczał do wnętrza jasne, ciepłe światło. Podłogi pokrywały puszyste dywany: wspaniałe afgany o lśniących kolorach, kosztowne tkane kobierce z Isfahanu, ale także wyroby berberyjskie ziemistej barwy. I leżało tutaj wiele miękkich skór antylop oraz poduszek z aksamitu.

Madulajn oczekiwała swego pana w klasycznie prostej tunice, jakie można zobaczyć na greckich wazach. Saracenka wiedziała, że jej do twarzy w takiej opływającej sylwetkę szacie. Czasami – jak właśnie teraz, gdy poczuła spoczywające na sobie jego krótkowzroczne spojrzenie – rozważała, czy nie byłoby lepiej, gdyby on sam z niej ściągnął tę suknię. A może powinna pozwolić jej opaść?

Gładki materiał zsunąłby się z wolna po jej ciele, podczas gdy sułtan by się zbliżał, żeby ją zamknąć w ramionach. Wydawało się jednak, że Turanszah myśli zupełnie o czymś innym.

Usiadł u stóp Madulajn i jak mały chłopiec ukrył głowę w fałdach jej sukni. Ciepło jego ciała, jego oddech rozpałały w niej krew, ale sułtan przyszedł tu tylko po to, aby się z nią podzielić troskami.

– Mamelucy mi nie ufają – skarżył się. – Z jednej strony pragną silnego, sprawnego przywódcy, lecz gdy ja przejmuję naczelne dowództwo i prowadzę ich do zwycięstwa, obawiają się nadmiernej władzy sułtana.

– To nie wasza sprawa, mój panie – powiedziała Madulajn, która z kocią zręcznością odnalazła się w roli roztropnej doradczyni – lecz struktury *halca*. Ona podnosi tych cudzoziemskich chłopców ze stanu niewolniczego do rangi żądnych walki wojowników, a kiedy stają się doskonałymi gladiatorami, wiedzą już także, że przeżyją tylko najbardziej brutalni i najprzebieglejsi. I wtedy wpadają w tryby władzy. Jako emirowie dowodzą machiną wojenną, wiedzą, jak się dosiada tygrysa, i teraz zaczynają snuć intrygi i mordować, by zapewnić sobie dostęp do większej władzy.

– I tutaj ja stoję im na drodze – mruknął Turanszah. – Raz, bo sułtanat jest najbardziej kuszącym, najwyższym stopniem drabiny, podobny obietnicy raj, a po drugie, bo od sułtana żąda się, by ukrocił ich ambicje z całą surowością.

– Tego przecież, panie, nie chcecie – stwierdziła Madulajn z goryczą.

– Musiałbym zabić wszystkich, natychmiast! Urządzić rzeź! – jęknął sułtan. – Czas między śmiercią mego budzącego strach ojca, który okrutnie tłumiał podobne zapędy, a moim przybyciem był za długi, z nie zablźnionej rany wyrasta dzikie mięso. Mamelucy są już nie do opanowania.

– A jednak macie, panie, do dyspozycji przeciwko nim całą armię, a jeśli jutro wezwiecie cesarza...

– Tego nie mogę zrobić, nie mogę poszczuć zakonów rycerskich na wiernych muzułmanów, aby swoją głowę...

– Wiernych? – spytała Madulajn z szyderstwem w głosie i cofnęła się o krok, tak że nie mógł już kryć twarzy w fałdach jej tuniki. – Oni chcą was zabić! – krzyknęła. – Chcą wymordować nas wszystkich, a wy macie jeszcze skrupuły?! Im ręka nie zadrży, przeszli twardszą szkołę niż wy w Dżazirze i nauczyli się, że można albo pożyć, albo zostać pożartym!

– Nie mogę się stawiać na równi z nimi! – oburzył się Turanszah. – Jestem sułtanem.

– A więc uciekajcie jeszcze dziś, idźcie na wygnanie, do swego przyjaciela cesarza! Tron w Kairze trzeba zdobywać codziennie. Kto nie potrafi przelewać krwi, tego krew zostanie przelana!

– Co za okropne słowa! – roześmiał się Antinoos, którego wejścia oboje nie zauważyli w zapale słownej utarczki. – Przyprowadziłem muzykantów i tancerki – powiedział niepewnie – czy mam ich odesłać?

– O nie, mój piękny! – zawołała Madulajn podniecona, jakby wypita za dużo wina. – Ustaw muzykantów za ścianą, powinni dla nas bębnić i grać na fletach, a dziewczęta niech tańczą nago na tarasie za zasłonami, aby ich kuszące sylwetki pobudzały naszą fantazję.

Podeszła do hermafrodyty skradającym się krokiem drapieżnego kota.

– Ty zaś – rzekła ściągając z niego suknię – pokaż mi, co masz między nogami, co naszego pana tak bardzo raduje!

Zerwała z niego bieliznę i odsłoniła członek. Jego doskonałość odebrała Madulajn mowę, przede wszystkim jednak poraziło ją połączenie elementów żeńskich i męskich w jednym pięknym ciele – doskonale uformowany biust, szerokie ramiona, wąskie biodra i pośladki jak z marmuru, przechodzące w muskularne nogi.

– Wybaczcie mi, panie! – szepnęła ochryple do Turanszaha, który ze smutkiem ukrył twarz w dłoniach.

Błyskawicznie zrzuciła suknię, chwyciła pięknego Antinoosa za ręce i pociągnęła go do Turanszaha; oboje ukłękli obok nieszczęśliwego sułtana. Saracenka objęła władcę ramionami,

przyciągnęła go do siebie i pokryła pocałunkami jego szyję, twarz i włosy, dając mu odczuć całą rozkosz, jaką sama odczuła, gdyż wtargnął w nią teraz Antinoos.

Także hermafrodyta przytulił się do swego pana, podniósł swoje jędrne piersi do jego warg, podczas gdy powolnymi pchnięciami wchodził w poddającą mu się Madulajn. Rozebrał delikatnie Turanszaha i przybliżył twarz do jego genitaliów.

Madulajn dysząc odszukała usta swego pana, wessała się w nie mocno, aż on wreszcie odpowiedział jej wijącemu się językowi i ugryzł go, żeby uwierzyła, iż pragnie posmakować jej krwi.

Obruszyła się, ponieważ Antinoos łagodnym ślizgiem pozbawił ją wspaniałego narządu akurat wtedy, gdy Afrodyta otworzyła przed nią bramy Olimpu, ale uczynił to tylko po to, żeby swemu panu zwolnić miejsce między jej udami. Turanszah szalonymi pchnięciami przypuścił atak do furty jej ogródka i zaczął ją szturmować jak taran bramę twierdzy. Chwyił gwałtownie Madulajn obiema dłońmi za pośladki, przycisnął do siebie i pchał jak wściekły. Saracenka krzyczała z bólu, żądz i gniewu, wczepiła się palcami w piersi Antinoosa, który ułożył się obok niej i anielskim uśmiechem zagrzewał oboje do coraz dzikszych ataków. Madulajn objęła nogami biodra Turanszaha, zaczęła go jeszcze ponaglać, aż eksplodował w niej jak grecki ogień.

– Hurysy! – wydyszał. – Ty hurysy rajska!

Zebrał się do ostatniego ataku, zarumieniony z wysiłku.

– Zdążamy do piekła! – zawołał i zmęczony byłby się osunął na Madulajn, gdyby hermafrodyta nie ujął go za lędźwie i spokojnymi ruchami, które się udzielały Saracence, nie zatroszczył się o to, by zaspokoić jej podniecenie, by powróciła harmonia w jej wzburzone ciało.

Potem wszyscy troje leżeli cicho i po raz pierwszy usłyszeli muzykę, cymbały i dźwięki lutni, które cały czas były tłem dla ich ekstazy. Zobaczyli też falujący jedwab, kołyszące się, zmysłowe ruchy tancerek wykonujących taniec brzucha, aż bicie bębnów stało się niezwykle gwałtowne i sylwetki dziewcząt przy uderzeniach kotłów skłoniły się ku sobie, jakby się stopiły w jedno ciało.

Madulajn przyciągnęła głowę Antinoosa do siebie i pocałowała go czule w miękkie usta.

– Dziękuję ci – powiedziała cicho.

Hermafrodyta uśmiechnął się z wdzięcznością. Turanszah złożył głowę na piersi Antinoosa i bawił się rozpuszczonymi włosami faworyty.

– Moja szalona księżniczko – rzekł, spoglądając na wysoki sufit – jutro wyruszamy do Fariskuru. Tam podejmę ostatnie urzędowe działania, a potem chcę się wyrzec tego świata.

– Postępuj, mój władco, tak jak uważasz za słuszne – szepnęła Madulajn ulegle.

Zasłony powiewały na wiosennym wietrze już bez ożywiających je cieni, postacie dziewcząt zniknęły, przebrzmiały także ostatnie tony fletów, muzykanci odeszli.

Królowa Małgorzata pozostała w Damietcie, gdyż była w zaawansowanej ciąży. Trzy dni przed rozwiązaniem dowiedziała się, że wyprawa króla doznała niepowodzenia i on sam wraz z całym wojskiem popadł w niewolę. Wieść była straszna. Królową dręczyły mąry, we śnie głośno wołała o pomoc, ponieważ śniła, że żądni krwi Saraceni wyciągają po nią ręce.

Ze względu na dziecko, które nosiła pod sercem, posłała po wiernego niemieckiego rycerza, starego Zygisberta z Öxfeldu.

Musiał usłać sobie leże przy jej łóżku, trzymać ją za rękę i dodawać otuchy. Gdy zaczęły się bóle, królowa odesłała z pokoju wszystkich oprócz komtura. Zażądała, żeby na klęczkach przysiągł, iż spełni jej polecenie.

Potem powiedziała:

– Zgodnie z przysięgą, którą złożyliście, drogi panie Öxfeld, jeśli Saraceni wezmą miasto, własnoręcznie utniecie mi głowę, abym nie wpadła w ich ręce.

– Nie tracie się, moja pani królowo – odrzekł komtur – tak czy tak bym to uczynił.

Pani Małgorzata wydała na świat chłopca, który właściwie miał się nazywać Jan, jednak ze względu na smutne okoliczności nadano mu imię Tristan. W dniu, w którym królowa powiła dziecko, dowiedziała się, że przedstawiciele morskich republik zamierzają wynieść się z Damietty. Już następnego dnia kazała poprosić konsulów do siebie i zaklinała ich, aby nie opuszczali miasta.

– Na miłość boską, moi panowie, przecież powinno być dla was jasne, że jeśli zrezygnujecie z tego symbolu, zrezygnujecie także z króla i z wszystkich, którzy wraz z nim dostali się do niewoli. Jeśli moje błagania was nie wzruszą, to miejcie przynajmniej litość dla biednego, słabego dzieciątka i poczekajcie, aż ja wyzdrowieję.

– Dostojna pani, co innego nam pozostaje? – odpowiedzieli Pizańczycy i Genuńczycy. – Przymieramy tutaj głodem!

Wtedy królowa wyprostowała się w łóżku i oświadczyła:

– Nikt nie musi opuszczać miasta z obawy przed klęską głodu. Zobowiązuję się wykupić natychmiast wszystkie zgromadzone w Damietcie zapasy żywności. Od dziś uważajcie się za gości króla!

Bogaci kupcy zawstydzili się trochę, ale przyjęli wspaniałomyślną propozycję. Ten gest kosztował królową trzysta sześćdziesiąt tysięcy liwrow i prawie opróżnił jej sakiewkę.

Wkrótce przybył Jan Turnbull i przekonał niemieckiego rycerza, że bez względu na stan królowej należy ją przewieźć do Akki, gdzie będzie mogła czekać na małżonka, gdyż Damietta musi być w najbliższych dniach wydana Saracenom. Sędziwy poseł postanowił pozostać w mieście, aby czekać na przybycie oficjalnej delegacji, której zlecono zdobycie okupu i związane z tym przekazanie miasta. Turnbull nie obawiał się o siebie samego, ale poradził wszystkim chorym i rannym, którzy się w Damietcie schronili, aby uszli wraz z komturem, o ile tylko mogą się poruszać lub być niesieni przez swych przyjaciół. Tłumaczył,

że gdy Saraceni przejmą okup, można się w „wyzwolonym” mieście spodziewać po nich wszystkiego, tylko nie *caritatis* *!

Wypowiedzi Turnbulla spowodowały znaczną panikę i królowa Małgorzata kazała posła wezwać do siebie, aby go zganić za nieodpowiedzialne kształtowanie nastrojów, ale *maestro venerabilis* był już nie do odnalezienia i polecił tylko Zygisbertowi przekazać królowej, że wszyscy, którzy się podobnie jak ona znajdują na czas w bezpiecznym miejscu, podziękują mu na kolanach pewnego dnia, którego jeszcze ma nadzieję dożyć.

– Poza tym – dodał komtur już od siebie – tak czy inaczej musimy opuścić Dumyat, i to wszyscy bez wyjątku. Zostawmy więc to miasto za sobą raczej dziś, niż mielibyśmy się narażać na to, że w ostatnim dniu zostaniemy stąd wypędzeni pod groźbą wywijanych nad naszymi głowami zakrzywionych szabel.

To przypomniało królowej jej złe sny i poprosiła niemieckiego rycerza, by przeprosił Jana Turnbulla w jej imieniu.

Z diariusza Jana ze Joinville

Fariskur, 2 maja A.D. 1250

My, których wybrano, aby w Damietcie zatroszczyli się o zrealizowanie uzgodnionych warunków, płynęliśmy na czterech galerach. Wraz ze mną byli na pokładzie hrabiowie Flandrii i Bretanii, konetabl Francji, jak również kilku czołowych baronów z *Outremer*.

Atmosfera była napięta, na naszych barkach ciążyła odpowiedzialność za uwolnienie wojska i samego króla. Ale słysząc nieprzerwane uderzenia wiosła, które nas oddalały od przeklętej Mansury, wystawiając twarze na świeżą bryzę na rzece, czuliśmy przynajmniej, że sprawy ruszyły naprzód, chociaż daleko jeszcze było do ich zakończenia.

– Mówiąc otwarcie – ujawniłem wobec towarzyszy swoją wielką troskę – nie wiem, jak mamy zdobyć w Damietcie taką sumę w gotówce!

I jak zawsze odezwał się surowy konetabl, który mi wprawdzie nie zatkał gęby, ale opryskliwie napomniął:

– W przeciwieństwie do was, seneszału, nasza pani królowa będzie miała dość odwagi, żeby zdobyć pieniądze na okup. Nie musicie sobie łamać głowy!

Inni oburzyli się jednakże na jego ton, tak że mnie przeprosił, co chętnie przyjąłem, brakowało bowiem nam teraz jeszcze tylko pojedynku. Przy czym tak czy tak źle bym na tym wyszedł, walcząc jedynie gołymi pięściami, gdyż broń nam przecież odebrano. Nasza dysputa

* Caritas (łac.) – chrześcijańska miłość bliźniego.

zakończyła się jednak dlatego, że podróż po dwu trzecich drogi została przerwana i przybiliśmy do brzegu w Fariskurze.

Tutaj sułtan Turanszah przeniósł swoją główną kwaterę i tu chciał po raz pierwszy spotkać się twarzą w twarz z królem. Mieli wymienić przysięgi przed sędziwym patriarchą Jeruzalem^{*}, którego przybycia oczekiwano. Wszyscy razem zamierzali udać się do Damietty, którą król uroczyście odda sułtanowi i zostanie wypuszczony na wolność, przyjmąwszy, że my przedtem uścimy okup za innych jeńców, czekających w obozie pod Mansurą.

Prowizoryczna rezydencja sułtana przypominała bardziej nasz obóz jeniecki niż pałac, tyle że była zbudowana nie z gliny, lecz z drzewa.

Zaraz na brzegu wznosiła się wieża z oheblowanych świerkowych pni, w której mieściła się brama. Tu w specjalnym pomieszczeniu goście, również mamelucy emirowie, oddawali swoje miecze, nim zostali wpuszczeni dalej. Następna wieża strzegła wejścia do sali audiencyjnej. Trzecia ochraniała prywatne komnaty, leżące wokół wewnętrznego dziedzińca. W jego środku wznosiła się najwyższa wieża z zadaszonym balkonem o zamykanych oknach, gdzie wolno było wchodzić tylko sułtanowi.

– Zastrzegł sobie, że pragnie tam bez przeszkód rozmyślać – wyjaśnił mi jeden z wyższych dworskich urzędników – ale tak naprawdę chce stamtąd dzień i noc mieć nas na oku.

Ten dworak mówił płynnie po francusku, ponieważ był rodem z Paryża. W Egipcie wzenił się w bogatą i wpływową rodzinę, która postarała się, by szybko osiągnął znaczące stanowisko w państwie.

– Czy Turanszah jest tak podejrzliwy? – spytałem swego gadatliwego rozmówcę.

Roześmiał się.

– Może o wiele za mało! Podejrzliwi są raczej mamelucy i ci nie będą się długo przyglądać niebezpieczeństwu...

– Czyżby groził przewrót pałacowy? – spytałem wzburzony, gdyż wówczas ległyby w gruzach wszystkie rezultaty rokowań i nasz los byłby nader niepewny.

– Przewrót wisi w powietrzu... więcej nie mogę wam powiedzieć. – Pożegnał się ze mną spieszenie i dodał jeszcze: – Nie chciałbym być w skórze Turanszaha!

Od chronionego przez wieżę podwórca prowadził korytarz prosto do wody, gdzie wielki namiot przykrywał miejsce do kąpieli. Cały teren był ogrodzony płotem i wszystko, wieże, korytarz i płot zawieszono ufarbowanym na niebiesko żaglowym płótnem, aby nikt niepowołany nie mógł tam zajrzeć. Zobaczyliśmy to tylko dlatego, że zaprowadzono nas do przedsiönka, aby tam jeszcze raz spisać nasze personalia.

Króla przywieźli Egipcjanie wprawdzie razem z nami, ale potem nas rozłączono. Miał do dyspozycji własny namiot, zaraz obok pierwszej bramy.

* Patriarcha Jeruzalem – po papieżu najwyższy dostojnik Kościoła rzymskokatolickiego.

Chociaż nie nastąpiło jeszcze południe, słońce paliło niemiłosiernie. Panowała przygniatająca duchota.

Wróciliśmy na galery i czekaliśmy...

Z boku sali audiencyjnej ustawiono wielki namiot. Przejście do niego wiodło pod drewnianymi arkadami. Służył do uczt, które sułtan wydawał zwykle dla swego dworu i mameluckich emirów.

Turanszah spoczywał na lekkim podwyższeniu, otoczony przez swoją *halca*, gwardię przyboczną, i był w złym humorze, ponieważ Madulajn radziła, aby nie szli na tę biesiadę, a gdy się sprzeciwił, odmówiła wzięcia w niej udziału. Stwierdziła, że nie może znieść głośnego i grubiańskiego zachowania się emirów, ale sułtan czuł, że postąpiła tak ze względu na niego, aby uniknąć prowokacji, o którą było nietrudno, gdy z uczującymi mężczyznami zasiadała kobieta.

Turanszah nie zważał na takie względy i brakowało mu księżniczki. W końcu był sułtanem i miał prawo się nie nudzić.

Chętnie by porozmawiał z Czerwonym Sokołem, który wciąż się ociągał przed objęciem stanowiska swego ojca. Chciał zrobić Fassr ad-Din Oktaja swoim wezyrem, bardzo mu brakowało zaufanej osoby, prawdziwego przyjaciela. Ostatecznie był mu nawet gotów dać księżniczkę za żonę, jeśliby sobie tego życzył – Czerwony Sokół siedział jednak z boku i był, jak się zdaje, w jeszcze gorszym humorze niż sam sułtan. Nie tknął nawet podsuwanych mu potraw. Czy Turanszah miał mu rozkazać, żeby usiadł u jego boku? Prawdopodobnie Fassr ad-Din nie pragnął takiego wyróżnienia spośród innych mameluków. Do diabła ze względami na tę zgraję!

Właśnie chciał wysłać po przyszłego wezyra kogoś ze swej straży przybocznej, która dziś zresztą była także przyglucha, gdy zobaczył, jak Ibn Wasil, kronikarz, podszedł do Fassr ad-Dina i jak się zdawało, usilnie na coś nalegał.

Czerwony Sokół opuścił namiot, nie skłoniwszy się przed swoim panem, nie prosząc o zezwolenie na wyjście. Co za maniery!

Turanszahowi coraz mniej smakowało jedzenie, chociaż próbujący potraw przekonywali z zachwytem, jak wyborne dania przyrządzili dziś kucharze. Swoich przyjaciół z Dżaziry sułtan nie zapraszał już od dawna na te obowiązkowe biesiady emirów. Nie znajdowali w nich żadnej przyjemności, a mamelucy reagowali rozdrażnieniem, ponieważ w przybyszach widzieli rywali. Chodziło nie tyle o łaski sułtana, ile o rozdzielanie urzędów i synekur.

Faktycznie Turanszah wolałby wokół siebie, przy codziennym załatwianiu spraw państwowych, widzieć filozofów i poetów, jednakże ani nie nadawali się do tego, ani nie mieli takich ambicji. Sułtan czuł się straszliwie samotny.

Dzieci także brały udział w biesiadzie. Rosz i Jeza siedzieli z Bahą Zuhajrem u stóp sułtana i kazali mu jeszcze raz objaśnić wszystkie szczegóły przewidzianego na jutro

przekazania Damietty. Najbardziej pragnęły zobaczyć wreszcie na własne oczy francuskiego króla. Turanszah musiał im obiecać, że będą obecne przy składaniu przysięgi, lecz napomniiał żartobliwie, aby nie zakłóciły uroczystego aktu spontanicznymi pomysłami i żywiołowymi pytaniami.

Te dzieci robiły sobie tak niewiele z dworskich ceremonii! Turanszah im zazdrościł. Najchętniej kazałby teraz przywołać Antinoosa, przynajmniej wszyscy mogliby rozdziawić gęby z podziwu dla swego sułtana! Do dzieci mamelucy, jak się zdaje, już się przyzwyczaili, i całkiem słusznie! Kto mógłby uczynić coś złego tym nadzwyczajnym istotom, prawdziwym królewskim dzieciom? Musiało się je kochać! Kto jednak kochał jego, sułtana?...

Turanszah posłał Jezie i Roszowi czarkę szczególnie słodkich kandyzowanych daktyli i orzechów, a oni podziękowali mu gestem ręki. Gdzie podziewa się Czerwony Sokół?

Emira Fassr ad-Din Oktaja wywabił z namiotu Ibn Wasil wiadomością, że przybył Robert, patriarcha Jeruzalem. Wieść mijiała się z prawdą; kiedy emir wszedł do przedsionka, został przez *halca* uwięziony. Członkowie straży przybocznej sułtana byli wielce przejęci i Czerwony Sokół odetchnął z ulgą, gdy go tylko zamknęli w swego rodzaju ściennej szafie, która służyła do przechowywania zdeponowanej broni, a nie zabili od razu ze strachu, że będzie się mścił.

Ogarnęły go obawy o życie Turanszaha, gdyż tylko z jego powodu został wywabiony z namiotu. A co stało się z dziećmi?...

Turanszah wstał od stołu i chciał udać się prosto do swoich prywatnych apartamentów, gdy kilku członków *halca* zastąpiło mu w wieży drogę. Jego miecznik nie proszony wyciągnął ku niemu jego szablę.

Gdy sułtan zaskoczony sięgnął po broń, miecznik ciął go w rękę i rozplatał mu dłoń między palcami aż po przegub. Turanszah z okrzykiem wściekłości kopnął zdrajcę w podbrzusze i wytrącił mu szablę. Potem wycofał się szybko do pustoszejącej sali audiencyjnej, gdzie go natychmiast otoczyli dworacy, ale również mamelucy.

– Co się stało? – zawołali przerażeni.

– Napadła mnie moja własna straż przyboczna! – krzyczał Turanszah. – Zranił mnie jeden z bahrytów! – I podniósł krwawiącą rękę.

– To byli z pewnością asasyni! – odezwał się Bajbars i udało mu się nawet nadać głosowi oskarżycielski ton, bez cienia żalu.

– Nie! – wrzasnął sułtan. – To był bahryt, mameluk jak wy!

Baha Zuhajr próbował odprowadzić wytrącone z równowagi dzieci. Chmara dworaków, także kilku wzburzonych *halca*, którzy nie byli wtajemniczeni w spisek, towarzyszyli sułtanowi na dziedziniec wewnętrzny i chcieli władcę zaprowadzić do jego komnat. Ale on się wzbraniał. Nie ufał już nikomu. Wezwano lekarza. Zjawiała się Madulajn.

Turanszah zażądał, żeby lekarz przybył do niego do wieży, i brocząc krwią udał się na górę. Zezwolił pójść z sobą tylko Madulajn. Dzieci wyrwały się Zuhajrowi i patrzyły za sułtanem z dziedzica.

– To była próba morderstwa – powiedział Rosz pozostający pod wielkim wrażeniem, ale bynajmniej nie wstrząśnięty.

Jeza opanowała się szybko.

– Musimy przywołać Czerwonego Sokoła!

Dzieci pobiegły z powrotem do namiotu, gdzie w małych grupkach rozprawiała podniecona służba.

Mamelucy skupili się w jednym kącie wokół Bajbarsa. Mimo że noszenie broni było tu zakazane, wszyscy zabrali z przedsiönka miecze i nikt im w tym nie przeszkodził.

– Głupi *halca* zawiedli! – parsknął gniewnie Bajbars w kierunku kilku członków straży przybocznej sułtana, którzy spiskowali z mamelukami. – Zapłacimy za to wszyscy!

– Musimy rzecz doprowadzić do końca – zawołał ktoś – inaczej zginiemy!

– A więc nie wahajmy się długo! – rzucił Bajbars przez zaciśnięte zęby.

Chwycili miecze, gotowi wyrębać sobie drogę do komnat sułtana, i opuścili namiot.

Czerwony Sokół znalazł w swym więzieniu ciężki topór, widocznie zapomniany przez *halca*. Raptem usłyszał tumult w sali. Wkrótce potem na dziedzińcu odezwały się kotły i strażnicy z wieży zawołali, że sułtan wyruszył do Dumjat i wojsko powinno się udać jego śladem. Potem zaczęła się wielka bieranina i wreszcie zaległa cisza.

Ogarnęły go wątpliwości, czy istotnie sułtan wyjechał. Gdybyż udało mu się przebić do szczerze oddanego przybocznego regimentu swego ojca! Niestety, prawdopodobnie wierni wojownicy wezyra już wyruszyli wraz z resztą wojska.

Teraz usłyszał w pobliżu głosy dzieci, które z oburzeniem zapytywały strażników, dlaczego wydali mamelukom miecze. Oceniał, że strażników pozostało najwyżej trzech. Zebrał wszystkie siły i rzucił się na drzwi, które otworzyły się z trzaskiem. Jako że w rękę dzierzył topór bojowy, nikt nie śmiał go powstrzymać.

Wyprowadził dzieci, przy czym pozwolił – przestraszeni strażnicy również – aby każde złapało i ukryło szept.

W namiocie, gdzie nie było już prawie nikogo, protestującą na cały głos dwójkę przekazał kucharzom, którym zagroził połamaniem rąk i nóg, jeśli nie będą strzec dzieci jak oka w głowie. Potem pobiegł na dziedziniec, gdzie roją się od mameluków.

Jednym rzutem oka ocenił, dlaczego spiskowcy odesłali wojsko. Chociaż patrzono na niego wilkiem, nie został ponownie uwięziony. Nie było to też konieczne. Sprawy zaszły już tak daleko, że nie można było powstrzymać ich biegu.

U Turanszaha, w jego apartamencie w wieży, byli teraz lekarze oraz imamowie, a także, czego się Czerwony Sokół obawiał, Madulajn. Sułtan zabarykadował wejście. Mamelucy szukali go najpierw w prywatnych komnatach, spustoszyli je, a wytropionego przy okazji hermafrodytę rozsiekali na kawałki; teraz zebrali się dookoła wieży i wrzeszczeli, żeby sułtan zszedł na dziedziniec.

Gdy nie zareagował, ostrzelali greckim ogniem masywną drewnianą konstrukcję, która zaczęła płonąć. Ponieważ cała wieża zbudowana była z żywicznych pni świerkowych i obwieszona płachtami namiotowymi, płomienie natychmiast z trzaskiem pobiegły w górę. Sułtan otworzył okno i wezwał na pomoc swoich żołnierzy, ale nie było już żadnego, jedynie wyjąca zgraja mameluków.

Ogień ogarniał wieżę. Turanszah musiał uciekać. Wybiegł z ukrytych na dole drzwi i udało mu się dobiec do otoczonej płotem drogi prowadzącej do rzeki.

W dymie i zamieszaniu dopiero po chwili zauważono zbiega. Któryś z mameluków cisnął za nim oszczepem i trafił między łopatki. Jednak sułtan biegł dalej, wlokąc za sobą oszczep, w namiocie kąpielowym rzucił się do rzeki i płynąc próbował uciec.

Gdy Bajbars to zobaczył, pobiegł za nim i również skoczył do wody. Dogonił sułtana, który złapał się w sieci odgradzające kąpielisko od głównego nurtu Nilu. Kłuł mieczem tak długo, aż Turanszah znieruchomiał, a woda poczerwieniała od krwi.

Czerwony Sokół rzucił się natychmiast ku płonącej wieży. Zobaczył w oknie na górze Madulajn, próbowała spuścić drabinę.

– Skacz! – krzyknął.

Skoczyła. Złapał ją i wprawdzie nie zdołał utrzymać się na nogach, nie stracił jednak przytomności umysłu. Natychmiast odtoczył się od ognistego piekła. Ugasił płomienie, które lizały suknię Madulajn, chwycił topór i podniósł się z ziemi.

Dziedziniec opustoszał, wszyscy pobiegli do rzeki. Czerwony Sokół pobiegł także. Od razu dostrzegł, że już jest za późno. Mameluków ogarnął szal krwi.

– Pozabijać wszystkich! Śmierć ulubieńcom sułtana, jego kobietom i dzieciom!

Rozlegały się przeraźliwe głosy pełne wściekłości. Tryumfujący Bajbars z zakrwawionym mieczem stał po biodra w wodzie. Jeszcze nie dostrzegł znenawidzonego rywala.

W głowie Czerwonego Sokoła krążyła tylko jedna myśl: musi uratować Madulajn i dzieci.

Tymczasem ciało Turanszaha wyplątało się z sieci i przyplątało do brzegu.

Czerwony Sokół sięgnął do pasa jednego ze stojących wokół mameluków i zabrał mu sztylet. Podeszedł spokojnie do zwłok sułtana i dwoma cięciami otworzył klatkę piersiową. Przewyciężył się z najwyższym trudem, ale sięgnął w głąb ciepłego jeszcze ciała i wyrwał serce.

Okrzyk zachwyconych mameluków zagłuszył przekleństwo Bajbarsa. Czerwony Sokół trzymał wysoko ociekające krwią serce, a krew spływała mu po nagim ramieniu. Zaraz poprowadził wyjąca zgraję mameluków do namiotu króla. Tu stanął przed Ludwikiem i zawołał:

– Wasz wróg i nasz wróg jest martwy! Powinniście nas za to wynagrodzić, i to po królewsku, bo gdyby jeszcze żył, z pewnością kazałby was zgładzić!

Mamelucy przyjęli wystąpienie Czerwonego Sokoła z wielkim aplauzem, król zaś popatrzył mu tylko w oczy i nie powiedział ani słowa.

Przed namiotem na Czerwonego Sokoła czekał Bajbars. Zastąpił mu drogę.

– Skoro jesteście tak zdolni, Fassr ad-Din Oktaju – zaczął szydzić – żeby wyciąć serce już zabitemu, to tym razem pozostawię wam całą robotę i będę się tylko przyglądał! – Popchnął przed siebie Jeżę i Rosza.

Czerwony Sokół podniósł topór.

– Nie ruszajcie się – rzekł do Bajbarsa. – Może zaraz popłynąć wiele krwi, ale bądźcie pewni, że i wasza przy tym popłynie, a jeśli dzieciom stanie się krzywda, poleje się także krew waszego syna!

– Zapomniałem – mruknął Łucznik i jego twarz się zasępiła – że jesteście w zмовie z szajtanem.

Dał znak otaczającym ich mamelukom, żeby się oddalili.

– Oddaj mi sztylet – powiedziała Jeza do Bajbarsa zuchwale – i Roszowi także!

Rozbawiła tym Łucznika.

– Chciałabyś mnie zabić? – zapytał.

Poważnie skinęła głową. Mamelucki emir przywołał swego miecznika i kazał oddać dzieciom sztylety.

Potem dwaj emirowie odeszli na stronę, by porozmawiać. Czerwony Sokół wcisnął do ręki osłupiałemu mamelukowi krwawiące serce, jednak wciąż nie odkładał topora.

– Nie zabijecie mnie, Fassr ad-Din Oktaju – zaczął rozmowę Bajbars – my dwaj musimy jeszcze długo wytrzymać ze sobą.

W kącikach jego ust pojawił się znowu ów okrutny uśmiech znamionujący siłę.

Oto władca! – pomyślał Czerwony Sokół. Bardziej przebiegły i żądny władzy niż ostatni Ajjubida.

– Zrobicie dobrze – ciągnął Bajbars – nie czyniąc sobie ze mnie wroga, a ja was potrzebuję.

– Wolałbym żyć od was bardzo daleko – odparł Czerwony Sokół.

– Zapewne, ale przedtem będzie jeszcze do wypełnienia pakt, który zawrzemy.

Nie szukał długo uprzejmego sformułowania.

– Dam wam wojsko, wy przyprowadzicie mi syna, a ja zostawię wam dzieci – uśmiechnął się znowu, tym razem drwiąco – i faworytę, dla której rzuciliście się nawet w płomień.

Czerwony Sokół nie spieszył się ze zgodą.

– Wysłuchajcie teraz moich warunków, Rukn ad-Din Bajbarsie – powiedział z namysłem.
– Nie potrzebuję wojska, ale zabiorę ze sobą dzieci i córkę cesarza, ją dla swojej przyjemności, a Rosza i Jeżę – ponieważ tylko oni wiedzą, gdzie ich przyjaciel Mahmud jest więziony...

– Wystarczy przecież chłopiec – przerwał mu Bajbars chytrze – dziewczynka zostanie i będzie dla mnie gwarancją, że przedwcześnie nie zrealizujecie swego gorącego pragnienia, aby nigdy nie pokazać mi się na oczy. Chcę was wkrótce ponownie zobaczyć. Przyprowadźcie mi syna. Pragnę go uściskać, jeśli taka jest wola Allaha.

Łatwo go zranić, jak każdego ojca, pomyślał Czerwony Sokół, zdecydowany nie dać się wzruszyć.

– Wobec tego przysięgnijcie tutaj na miejscu i niech Allah będzie naszym świadkiem, że będziecie opiekować się Jeżą i strzec jej przed wszelką krzywdą, tak jakby była waszą córką i – dodał widząc, jak chętnie Bajbars podnosi rękę do przysięgi – że po szczęśliwym ocaleniu waszego syna, jeśli taka będzie wola Allaha, nigdy więcej nie będziecie nastawać na życie lub wolność królewskich dzieci, w przeciwnym razie niech zginie wasz syn Mahmud i niechaj wyschnie wasze nasienie!

– Jesteście gorsi od szajtana – warknął Bajbars.

– Przysięgnijcie! Słowo po słowie! Allah zatroszczy się o to, żeby wasze zaklęcia się spełniły, jeśli złamiecie przysięgę!

Bajbars przysięgł zacinając się, ale głośno. Potem wrócili i Czerwony Sokół wziął dzieci za ręce.

– Madulajn ukryliśmy w kuchni – opowiadał mu pełen dumy Rosz – wygląda tak, jakby spadła na ruszt...

– Niezbyt pięknie – skomentowała Jeza – wszędzie ma pęcherze po oparzeniach, a jej suknia jest całkiem zniszczona!

Z diariusza Jana ze Joinville

Fariskur, 3 maja A.D. 1250

Usłyszeliśmy odgłos kotłów, zobaczyliśmy dym, a potem także ogień, w którym wieża sułtana płonęła jak pochodnia. Egipskie wojsko pociągnęło spiesznie w kierunku Damietty, co nas bardzo zdziwiło i zaniepokoiło, gdyż jeśli teraz muzułmanie odbiliby miasto, nie byłoby

już o czym rokować i zostalibyśmy wydani ich samowoli. Potem zgraja mameluków wdarła się na naszą galerę z szablami i toporami w rękach i zaczęła na nas straszliwie krzyczeć.

– Co się stało? – spytałem jednego z baronów z *Outremer*, który tak jak oni wszyscy władał arabskim.

– Mówią, że zabili sułtana i teraz poucinają nam głowy!

Padłem na kolana i odbyłem przed nim szybko spowiedź, chociaż wcale mnie nie słuchał.

– Odpuszczam wam wszystkie grzechy, Joinville – powiedział do mnie – ponieważ nie chcą nas jednak zabić!

Poczułem ulgę, choć byłem mimo wszystko przestraszony, jak wiele grzechów sobie przypomniałem. Potem dowiedziałem się, że zostaniemy wszyscy przewiezieni do Kairu, król także. Tam odbędzie się nad nami sąd.

Mamelucy zapędzili nas do części dziobowej statku i ułożyli jak marynowane śledzie w niewielkiej kajucie. Było tam do tego stopnia ciasno, że miałem na twarzy stopy hrabiego Flandrii, a on moje. Tak spędziliśmy noc.

W szparach szarzał już świt, gdy lekkie kołysanie i plusk dały nam pewność, że rozpoczęliśmy podróż. Jej koniec, zapewne niewesoły, był nie do przewidzenia.

Vida qui mort auis

Nos donet paradis

Gloria aisamen

Nos de Deus veramen.

VI

NIECH ICH ALLAH POKARZE!

Mameluccy emirowie nie spieszyli się i wysłali najpierw przodem do Kairu swych najznakomitszych więźniów: króla i jego braci, hrabiów, dowódców i księcia Burgundii. Tam też przerzucili pewną liczbę chrześcijańskich żołnierzy, których część – wbrew wszystkim dotychczasowym układom – publicznie powieszono, a część pozwolono rozszarpać tłumowi. Niewielu, tylko całkiem młodych i zdrowych, poszło na targ niewolników.

Emirowie zebrali się w Fariskurze w namiocie sułtana i omawiali nie tyle sprawę następstwa, ile przejściowej regencji.

Sułtanka Szadszar ad-Durr zgłosiła gotowość do dalszego reprezentowania sułtanatu na zewnątrz, a więc sporządzania dekretów z jej pieczęcią, zażądała jednak, żeby postawiono przy jej boku wybranego regenta. To jednoznacznie przekazała do wiadomości zebranych w Fariskurze emirom.

Pierwszym nasuwającym się kandydatem był namiestnik Kairu, Husam ibn abi' Ali. Interesowała go regencja, ponieważ wykalkulował sobie, jak wyznał swemu protegowanemu Ibn Wasilowi, że później dzięki małżeństwu z Szadszar mógłby zrobić drugi krok i ogłosić się sułtanem. Tylko że potknął się już przy pierwszym kroku, za długo bowiem kazał się prosić o przyjęcie urzędu regenta.

Gdy zauważył swój błąd, nie był już jedynym pretendentem. Bajbars, który samowładnie przewodniczył posiedzeniu, zaproponował jako następnego kandydata naczelnego eunucha, Gamala ad-Din Mohsena; propozycja ta natychmiast znalazła uznanie, Gamal uchodził bowiem za człowieka pozbawionego ambicji, a ponadto nie mógłby się ożenić z sułtanką. Jednak eunuch, mając los niedawnego sułtana przed oczyma, nawet we śnie nie marzył o tronie, nad którym nadal wisiał Damoklesowy miecz mameluków. Grzecznie i skromnie odmówił.

Bajbars był wściekły, głównie zresztą dlatego, że nie dość szybko przyszedł mu do głowy następny kandydat, a tymczasem najstarszy rangą emir, Izz ad-Din Ajbek, zaproponował akurat Fassr ad-Din Oktaja, syna wielkiego wezyra, i zapewniał nawet, że uzyska jego zgodę.

– Dlaczego Czerwony Sokół nie bierze udziału w naszym zebraniu? – Bajbars próbował zdyskredytować nieobecnego emira. – Pan rycerz jest chyba za subtelny...

Ale szanowany przez wszystkich Ajbek bez jakiegokolwiek polemicznego tonu przypomniał, że sam polecił Czerwonemu Sokółowi prowadzić rozmowy z posłem kalifa z Bagdadu. Ciało Turanszaha długo leżało na brzegu rzeki, gdyż nikt nie ośmielił się go pogrzebać. Dopiero poseł wyraził oburzenie z powodu „tej hańby islamu”, przy czym nie miał na myśli ani dokonanego mordu, ani samego zamordowanego, lecz fakt, iż zwłoki poczęły już gnąć w wodzie.

– Czerwony Sokół słusznie troszczy się o pochówek. Sam okaleczył zmarłego, podobny bardziej do sepa niż do sokoła! – warknął Bajbars.

Ajbek wydał polecenie, żeby natychmiast sprowadzono emira Fassr ad-Din Oktaja. Bajbars wysłał Bahe Zuhajra, nadwornego pisarza, który mu zaraz zaoferował swe usługi z niezawodnym wyczuciem nowego układu władzy. Na dworze sułtanki nie mógł liczyć na żadne zaszczyty.

Jeśli Bajbars miał nadzieję, że poszukiwanego emira nie da się odnaleźć, niemiło się rozczarował.

Czerwony Sokół bardzo pewny siebie i raczej znudzony wszedł do namiotu tylnym wejściem, które prowadziło do dotychczasowych prywatnych apartamentów sułtana. W efekcie rozmowy z naczelnym eunuchem zarekwirował część tych pomieszczeń. Umieścił tam Madulajn i dzieci pod niezawodną strażą oddanych mu oddziałów swego ojca.

Madulajn nie powinna pokazywać się na oczy sułtance Szadszar, a strażę chroniły dzieci nawet przed Bajbarsem.

– Czy chcecie – przywitał syna wielkiego wezyra Bajbars – zabiegać o regencję tego kraju u boku łaskawej i mądrej sułtanki, Matki Halila^{*}, potężnej strażniczki pieczęci?

Nie potrzeba było tych ostrzeżeń, aby skłonić Czerwonego Sokoła, który nie miał najmniejszego zamiaru poślubić Szadszar ad-Durr, do stanowczej odmowy.

Jednakże nie poprzestał na tym, lecz ze swej strony zaproponował, aby przy wyborze pomyśleć o najstarszym i najbardziej doświadczonym spośród nich: emirze Izz ad-Din Ajbeku. Gdy ten mile polechtany kołysał jeszcze głową, Bajbars porywczo odroczył posiedzenie; z trudem już znosił to, że naczelne dowództwo wojska przekazano nie jemu, lecz Ajbekowi. Nie miał czasu, aby pojąć swój taktyczny błąd, którego przyszło mu później żałować, gdyż strażę zameldowały, że z Dumjat przybył patriarcha Jeruzalem wraz z całą świtą. Królowa przed swoim wyjazdem upoważniła go, by powiadomił sułtana o jej zgodzie na wypłacenie okupu.

Bajbars uradował się, ale wtedy zabrał głos namiestnik Husam Ali, który teraz zagrał swoją kartą, aby odzyskać utracony teren. Zgromadzonym dał próbkę bystrości swego umysłu.

– Zgodnie z naszym zwyczajem, posła, który przybywa po śmierci władcy, nie prowadzi się do następcy, lecz traktuje jak więźnia.

Rozglądał się żądny poklasku; wykorzystał ten moment Bajbars i odparował cios.

– Patriarcha do więzienia wraz ze wszystkimi, którzy z nim przybyli! – rozkazał strażom i na tym naradę zakończono.

Ani Czerwony Sokół, ani Ajbek nie sprzeciwili się grubiańskiemu postępowaniu. Patrzyli nieporuszeni, jak patriarchę Roberta, pełnego godności sędziwego starca, wyprowadzono razem z towarzyszącymi mu osobami. Wśród nich znajdował się także hrabia Jan z Sarrebrucku, który dotąd ukrywał się w Damietcie, aby uniknąć takiego właśnie losu.

Bajbars podszedł do nich, z czego skorzystał Czerwony Sokół, żeby się oddalić. Między nim i Bajbarsem istniał wprawdzie układ dotyczący uwolnienia potomka Bajbarsa, Mahmuda, ale Czerwony Sokół miał nadzieję, że będzie mógł oszczędzić sobie tych trudów bez narażania swoich podopiecznych na niebezpieczeństwo ze strony brutalnego mameluckiego emira. Także Bajbars był gotów przedsięwziąć wszelkie środki, które by mu oszczędziły zaciągania długu wdzięczności u zniechęconego rywala. Zwrócił się więc do Ajbeka i

^{*} Matka Halila – zaszczytny przydomek sułtanki Szadszar ad-Dur.

zażądał od niego wojska, dostatecznie silnego, aby wyruszyć do Syrii i zmusić An-Nasira do wydania Mahmuda. Ajbek odmówił bez ogródek.

– Pomijając to – powiedział – że nie chcemy naszej armii wysłać od razu na nową wojnę, powinniśmy poczekać, jak zachowa się pan Aleppo i Homsu. Jeśli An-Nasir sięgnie po Damaszek, gdzie jako Ajjubida z pewnością nie zostanie chętnie powitany, musimy mu tak czy siak wypowiedzieć wojnę i ruszyć wtedy z całością naszych wojsk. Niestosowne byłoby drażnienie go teraz. Choć bardzo mi żal waszego syna, musicie, emirze, wasze rodzinne interesy postawić na drugim planie.

Bajbars zaniemówił z powodu tego nieoczekiwanego oporu. Pluł sobie w brodę, że sam lekkomyślnie przegrał dowództwo. Pożegnał krótko naczelnego wodza i odszedł.

Popędził do kwatery Czerwonego Sokoła. Ku jego oburzeniu strażę go nie przepuściły, jednak zawołano syna wielkiego wezyra, który natychmiast wyszedł na dziedziniec. Obaj emirowie ruszyli wokół zwęglonych resztek wieży Turanszaha. Bajbars był łagodny jak baranek.

– Pomóżcie ojcu, którego serce krwawi ze zgrzyoty. Będziemy mieli wojnę z An-Nasirem i wówczas życie mego jedynego dziecka znajdzie się w straszliwym niebezpieczeństwie! Ten potwór z Homsu go zabije!

– No, no! – zdziwił się Czerwony Sokół. – Wam krwawi serce? Obawiam się, że gdyby mi przyszło je wyciąć, natrafiłbym na granit!

– Kpijcie sobie ze mnie – wydyszał Bajbars. – Cóż, nie jesteście ojcem!

– Ale jestem synem, a wy mi nawet nie pozwoliliście popatrzeć jeszcze raz na mego ojca i przygotować mu godnego grobu! Możliwe, że w rodzie, z którego pochodzicie, nie jest to w zwyczaju!

Bajbars drgnął nie z powodu tego obraźliwego ataku, lecz dlatego że już stracona nadzieja zaświtała mu nagle jak promień światła.

– Obwiniacie mnie wprawdzie całkiem niesłusznie – zmienił ton – ale jeśli spełnię wasze życzenie, czy przysięgnięcie, że potem wyruszyście bez dalszej zwłoki?

– Jak chcecie to zrobić? – spytał Czerwony Sokół z niedowierzaniem. – Minęły już trzy miesiące od śmierci mego ojca...

– Przysięgnijcie! – nalegał Bajbars i syn wezyra nie miał innego wyjścia.

– Przysięgam.

– Chodźcie ze mną. – Bajbars ujął Czerwonego Sokoła pod ramię i poprowadził go ogrodzonym korytarzem w dół do rzeki, do kąpielowego namiotu sułtana, miejsca zbrodni, do którego wstęp był od tamtej pory wszystkim zakazany i gdzie zresztą nikogo nie ciągnęło. Bajbars odchylił zwisającą płachtę namiotu. W mroku kąpieliska można było dostrzec drewniany pomost, który wcinął się w rzekę. Była to przystań dla galery sułtana. Dziś na wodach Nilu kołysała się tam jakaś barka.

– Idźcie! – powiedział Bajbars.

Czerwony Sokół wszedł na pokład statku. Była to barka zmarłych. Ustawiono na niej namiot jego ojca, ozdobiony herbem i proporcem. Emir odrzucił na bok płachtę: przed nim siedział w fotelu z wysokim oparciem wielki wezyr.

Fachowcy od balsamowania wykonali znakomitą robotę. Mumia wyglądała jak żywy człowiek, pełen godności i spokoju. Syn wezyra nie podszedł bliżej, lecz ukląkł do *salat al mauta*, modlitwy za zmarłych.

Zaczął wspominać wszystko, w co go na życie wyposażył ojciec, poczynając od przydomka. Przewidujący Fachr ad-Din wiedział, że syn Anny, chrześcijańskiej niewolnicy, nie zostanie jego następcą, nie będzie mu też pisane wygodne życie. Przeznaczeniem Fassr ad-Din Oktaja była wędrówka między światami.

Wezyr wysłał go do swego przyjaciela Fryderyka, który wychował chłopca na rycerza Zachodu.

Sułtan mianował go posłem i Czerwony Sokół jako dorastający mężczyzna poznał duchowe siły Wschodu, od asasynów do sufich w Azji Mniejszej, od zdegenerowanego kalifatu w Bagdadzie aż po naciskających ze wschodu barbarzyńców. Został jak najlepiej przygotowany do lotu sokoła i za to był ojcu wdzięczny.

Emir nie wiedział, jak długo był pogrążony w modlitwie, gdy usłyszał zbliżające się kroki. Nadeszli Izz ad-Din Ajbek i Gamal ad-Din Mohsen, naczelny eunuch, aby oddać wielkiemu wezyrowi ostatni hołd. Czerwony Sokół wstał.

– W obliczu wielkiego zmarłego – powiedział – chciałbym wam zaproponować pewien układ. Udam się w długą podróż, zakładając, że uzyskam waszą łaskawą zgodę – skłonił się przed obydwoma. – Przedtem jednak chciałbym mieć pewność, że regencja dostanie się w wasze ręce, Izz ad-Din Ajbeku, a władza nad pałacem pozostanie w waszych wypróbowanych rękach, Gamalu ad-Din Mohsenie. Czy odpowiada to waszym pragnieniom? – Obaj skinęli głowami, ciągnął więc dalej: – Możecie przyjąć, że moje wpływy wystarczą, aby to przeprowadzić. Nie podniesie się żaden głos sprzeciwu.

Naczelnny wódz najwyraźniej nie dowierzał.

– Żaden – powtórzył zdecydowanie Czerwony Sokół i uśmiechnął się do Ajbeka – za to musicie spełnić moją niewielką prośbę. Zostawię tu dziewczynkę jako zastaw. Zatrószcie się, żeby dziecku nie stała się krzywda! Jeza jest mi droga jak własna córka.

– Macie moje słowo, Fassr ad-Din – oświadczył Ajbek.

– Zdajcie się na mnie, włos nie spadnie jej z głowy! – pospieszył z zapewnieniem eunuch.

Pierwszy pomyślał, że niepotrzebny mu jest następny wróg, wystarczy Bajbars Bundukdari, potrzebuje natomiast poparcia wynikającego z rodzinnych układów Fassra ad-Din Oktaja. Drugi nie miał żadnych ambicji, ale nikomu też nie okazywał żadnej miłości. Los dziewczynki był mu zupełnie obojętny. Obaj pożegnali się wśród przesadnych zaręczeń o gotowości do spełnienia prośby emira i udali się na swoje statki, aby wyruszyć w drogę powrotną do Kairu.

Czerwony Sokół kazał sprowadzić na barkę Madulajn oraz dzieci i także ruszył w drogę do stolicy. Tam chciał złożyć swego ojca na wieczny spoczynek w rodzinnym grobowcu, a potem z Roszem i Madulajn wyruszyć do Syrii. Nie powiedział im o tym jeszcze ani słowa; siedział całą drogę w zamkniętym namiocie w niemej rozmowie z wielkim wezyrem.

Z diariusza Jana ze Joinville

Giza, 4 maja A.D. 1250

Jeszcze późnym popołudniem po naszym przybyciu w pobliże stolicy przewieziono nas w długiej karawanie do Gizy, miejscowości położonej niedaleko Kairu pośród pustyni. My wszyscy wyżsi rangą i szlacheckiego urodzenia jechaliśmy na wielbłądach, to znaczy siedzieliśmy na niezwykle kołyszących się wysokich zwierzętach, które Beduini prowadzili na powozach. W końcu ujrzeliśmy piramidy, które wywarły na nas ogromne wrażenie.

Zapadł wieczór. Ukazał się już sierp księżyca, ale słońce żarzyło się jeszcze czerwono nad widnokregiem. Było to widowisko wielkiej niezwykłości: graniaste, równoboczne budowle cyklopów w krwawym świetle zachodu. Nigdy nie wyobrażałem sobie zbudowanej ludzką ręką góry o tak potężnej mocy oddziaływania, o tak niesamowitym majestacie.

Wierzchołki trójkątów spoczywały jeszcze w złotym, ognistym blasku jednego bóstwa, podczas gdy firmament za nimi zaczynał się ozdabiać srebrzyście gwiazdami innych bóstw. Był to zapierający dech widok, którego piękno przyprawiało o dreszcz.

Zaprowadzono nas do urządzonego pospiesznie obozu, bez żadnego ogrodzenia, po prostu do namiotów rozbitych na pustyni. Dla króla, jako dowód szczególnych względów, ustawiono jego własny czerwony pawilon.

Właściwie wszystko w naszym obozie było tak jak przedtem, tylko że nie obawialiśmy się już skrytobójców, gradu strzał, greckiego ognia i nocnych alarmów, nie musieliśmy także kłaść się na spoczynek w pełnej zbroi. Ale kto się cieszył na smaczny sen, mocno się rozczarował.

Ledwieśmy się położyli, strażnicy wypędzili nas z namiotów i kazały czekać na dworze przed kwaterami. Mój sekretarz, który jako tłumacz cieszył się poważaniem i niezbyt troszczył o wszelkie rozporządzenia, dostrzegł sposobność, by zwolnić się u pana Ludwika i zjawić u mnie.

Od niego usłyszeliśmy, że mameluccy emirowie życzą sobie podjęcia przerwanych rokowań, i to jeszcze tej nocy. Ale nie to było powodem wizyty Williama.

– Widzicie, panie Joinville – szepnął podniecony – Ezer Melchsedek dobrze nam przepowiedział: przed nami wznosi się wielka piramida...

Był naprawdę dumny z kabalisty.

– I gdzieś w tym przez bogów wzniesionym pomniku z kamienia czeka na nas z mumifikowany Robert z Artois – zakpiłem – w jakimś ukrytym grobowcu, strzeżony przez duchy faraonów! Gdzie przebywa twój wszytkowiedzący Hermes Trismegistos?

– Jeśli wiedział o naszym przybyciu, nie omieszka zapewne się objawić, gdy przyjdzie na to czas. – William znajdował się pod głębokim wrażeniem przepowiedni, wydawało mi się nawet, że odczuwa strach.

Akurat w tym momencie wezwano nas, żebyśmy się udali do oświetlonego namiotu, gdzie oczekiwali emirowie. Kiedy wszedł pan Ludwik, podnieśli się i skłonili. Ponieważ hrabia Bretanii wciąż jeszcze był chory i pozwolono mu pozostać w łóżku, mnie przypadła rola mówcy. Zajęliśmy miejsca przy długim, niskim stole. Król usiadł pośrodku, emirowie naprzeciw, po drugiej stronie stołu. William, który ustawił się z tyłu za królem i za mną, przedstawił nam namiestnika Kairu, emira Husama ibn abi' Alego, przewodzącego egipskiej delegacji.

Mnie i moich towarzyszy dużo bardziej interesowało to, że po raz pierwszy zobaczyliśmy sławnego Łucznika, emira Rukn ad-Din Bajbarsa. Co za rozczarowanie! Wielki bohater wojenny był krępy, prawie przysadzisty. Miał lekko posiwiałą głowę podobną do czworokątnego skalnego odłamka. Zwraçały uwagę jego małe, żywe oczy. Widziały wszystko i nie zdradzały żadnego wzruszenia. Siejący strach, osławiony z powodu swej twardości emir przypominał mi pasterza zdolnego na odludziu samotnie paść swoje stado, pielęgnować każde zranione zwierzę i zarznąć je w razie konieczności.

Bajbars zachowywał się bardzo powściągliwie, jednakże w ciągu rokowań odniosłem wrażenie, że uczestniczył w nich nie z naszego powodu, lecz by namiestnikowi patrzeć na ręce. Ten był człowiekiem nie skrywanej próżności i godnej podziwu elokwencji. Pozwoliłem mu mówić. Ponowił znane nam już warunki. Skoro tylko oddamy Damietę, król i wszyscy jego panowie odzyskają wolność. Reszta, o ile nie zginęła już od miecza, również zostanie uwolniona, gdy tylko wpłacimy okup, co musi nastąpić, nim opuścimy kraj.

Husam ibn abi' Ali nie omieszkał podkreślić faktu, że on i obecni czcigodni mameluccy emirowie nie ponoszą winy za dokonane dotychczas masowe egzekucje, dodał tylko bardzo wyraźnie, że poprzedni sułtan, który dzięki ich energicznym działaniom już nie panuje, w żadnej mierze nie był skłonny dotrzymać słowa i wszystkich nas kazałby zgładzić.

Dla mnie nie był to żaden dowód i żadna gwarancja, że zacni panowie nie postąpią z nami dokładnie tak samo. Namiestnik zamknął wreszcie usta i zostałem dopuszczony do głosu.

– Jesteśmy gotowi z umówionej sumy okupu dwieście tysięcy liwrow, a więc połowę, zapłacić przy odjeździe, drugą połowę po przybyciu do Akki, bowiem – przerwałem rodzący się protest, którego William wcale mi nie musiał tłumaczyć – po pierwsze, nie dysponujemy w Damietcie takimi zasobami, po drugie, chcemy mieć pewność, że spisane już katapulty, kusze i inna broń oraz peklowane mięso będą przechowywane, chorzy zaś pielęgnowani, póki

król nie znajdzie sposobności, aby zabrać ludzi i sprzęt. Teraz nie wystarczy na to miejsca na statkach, które nam pozostały.

Namiestnik pojął to chyba i odrzekł:

– Wszystko jest tylko kwestią gwarancji. Damy wam znać, jakich zakładników musicie zostawić przy takim sposobie załatwienia sprawy.

I z tym odesłano nas do łóżek. Wziąłem na bok marszałka joannitów, pana Leonarda di Peixa-Rollo, i powiedziałem mu, że chętnie jeszcze dziś w nocy porozmawiałbym ze szlachetnym panem Janem z Ronay. Marszałek na swój nieokrzesany sposób spytał mnie, czy nie mógłbym poczekać do rana. Był rozeźlony, bo musiał siedzieć naprzeciwko Bajbarsa, któremu najchętniej skoczyłby do gardła z powodu tchórzliwego mordy na Janie Łukaszu z Granson; z tego też powodu na obradach nie pojawił się urzędujący wielki mistrz. Chciałem już marszałka przywołać do porządku, gdy usłyszałem, jak namiestnik zwrócił się prywatnie do króla. Pan Ludwik w towarzystwie Williama i swego konetabla zamierzał ostatni opuścić namiot. Obaj jego bracia, Alfons z Poitou i Karol z Anjou, już wyszli.

– Dlaczego Wasza Królewska Mość, mąż o wybitnej mądrości, postanowił przepłynąć się przez morze, by wtargnąć do kraju, który przecież jest gęsto zaludniony przez muzułmanów i dysponuje odpowiednio silną armią? Czy naprawdę byliście przekonani, że podbijecie Egipt i zostaniecie jego panem? To przedsięwzięcie naraziło przecież was i waszych poddanych na wielkie niebezpieczeństwo.

Król uśmiechnął się, ale nie odpowiedział nic, tak że namiestnik poczuł się zmuszony ciągnąć dalej:

– Wedle naszego prawa, jeśli ktoś bez potrzeby wybiera się na morze i przy tym siebie oraz swój majątek wystawia na ryzyko, nie może być dopuszczony przed sąd jako świadek.

– Dlaczego? – spytał król uprzejmie.

– Ponieważ jego postępowanie dowodzi, że jest niepoczytalny, a świadectwo osoby niepoczytalnej nie ma znaczenia.

Król zaśmiał się rozweselony.

– Doprawdy, kto tak rozporządził, miał znakomity umysł. Wy jednak, mój panie, powinniście zadać sobie trud i zastanowić się nad słowami „bez potrzeby”. Dobranoc!

Udałem się do pawilonu wielkiego mistrza joannitów. Gdy przechodziłem obok kwatery hrabiego Anjou, zobaczyłem pana Karola stojącego w ciemności z jakimś Maurem, który *kufiê** naciągnął głęboko na twarz. Taka tajemniczość utwierdziła mnie w podejrzeniu, które już dawno żywiłem, że Anjou idzie swoją własną drogą.

Przed namiotem pana Jana z Ronay, ozdobionym insygniami wielkiego mistrza, jakbyśmy tu przebywali w gościnie, a nie jako więźniowie, straż zatrzymała mnie i przywołała marszałka. Peixa-Rollo był zagniewany i opryskliwy.

* Kufia (arab.) – zawój, chusta na głowę.

– Mam was powiadomić, szlachetny panie, że sprawa została załatwiona i możecie się uważać za zwolnionego.

– Chcę to usłyszeć z ust samego mistrza – upierałem się przy swoim prawie.

– Jutro rano! – uciał marszałek.

Wróciłem do swego namiotu. Zostałem tam mojego sekretarza i jakiegoś biednie wyglądającego starego człowieka o długiej rzadkiej brodzie. Wątlą jego postać okrywał wystrzępiony kaftan.

– To jest Ezer Melchsedek – oznajmił William na domiar wszystkiego. – Pokaże nam hrabiego Artois.

– Jutro rano! – powiedziałem i dodałem po niemiecku: – Co mam zrobić z tym człowiekiem? Sprawę odtrąbiono jak nieudaną szarżę. Joannici nie chcą się nią więcej zajmować!

– Nie mogą tego zrobić tak prosto – zaczął wyjaśniać William w dialekcie flamandzkim, który z trudnością rozumiałem, a więc wspomógł się łaciną. – *Cum profanus in monte ingressus est, regrediendum numquam est. Voluntas sua nihil est, sed lex potentiae in monte regnantes sola valet* *.

– Wyjaśnijcie to, proszę, przebiegły Williamie z Roebruku, jutro rano panu Janowi z Ronay, a teraz pozwólcie mi wypocząć.

– Ezer Melchsedek musi tutaj spać – oświadczył mój znakomity sekretarz – nie ma gdzie złożyć głowy, do namiotu króla przecież go nie zaproszę. – William podniósł się do wyjścia, ale dodał jeszcze: – Chodzą słuchy, że Iwo Bretończyk jest w obozie, zakradł się przebrany za muzułmanina...

Przypomniał mi się tajemniczy Maur, który stał w cieniu z Karolem z Anjou, lecz powiedziałem tylko:

– Nie odważy się pokazać królowi na oczy.

– Może nie – odparł William – ale to znaczy, że jesteśmy o właściwej porze na właściwym miejscu. Bretończyk zjawia się zawsze, gdy otwierają się bramy piekieł. To przemówi do przekonania także wielkiemu mistrzowi.

– Diabeł jest wśród nas – odezwał się Ezer Melchsedek. – Sprawa warzy się w kotle, głęboko w piramidzie płonie oczyszczający ogień, czeka na króla i jego narzeczoną. – Zamknął oczy. – Muszą go przekroczyć. – Spojrzał na mnie nagle z ogniem w oczach i ciągnął dalej bezbłędną łaciną: – *Qui incantationem incipuit cameram magicam exire non possit. Haec lex!* *

– Czyje prawo? – spytałem przytłumionym głosem, niezwykle wzburzony.

– Prawo piramidy.

* Cum profanus in monte... (łac.) – kiedy ktoś nie wtajemniczony wejdzie raz na górę, nie może już wrócić. Nie decyduje jego pragnienie, lecz prawa potęg, które tam panują.

* Qui incantationem... (łac.) – kto rozpoczął zaklinanie, nie może (już) opuścić magicznej przestrzeni. Takie jest prawo!

– Jest późno – powiedziałem zatroskany o swój sen.

– Za późno – odparł Ezer Melchsedek.

Odwróciłem się do niego plecami i dyskretnie wyciągnąłem kartę z talii swego tarota:
Mag!



„W górę do królestwa twórczych duchów! Adepcie, znajdź właściwe ramy dla swego talentu.

W znaku Merkurego mistrz może zmienić wszystko. Może wymieniać światło i cień, ale wąska jest grań, po której idzie”.

Byłem zaskoczony, nie dałem jednak nic po sobie poznać.

William wymknął się niepostrzeżenie. Oznajmiłem kabaliście, że może się położyć tam, gdzie siedzi. Spałem źle tej nocy. Ezer Melchsedek chrapał.

Mamelucy zakwaterowali się we wsi Giza, aby nie tracić z oczu jeńców. Bajbars i Ajbek oraz kilku innych emirów zarekwirowali zamek myśliwski sułtana; polecił im go Gamal Mohsen z pominięciem namiestnika, o którego pozwolenie powinni się postarać.

Husam ibn abi' Ali poskarżył się sułtance i wspomniany Gamal Mohsen, główny nadzorca wszystkich pałaców, przytakiwał mu gorliwie, ale nikt nie odważył się wydać mamelukom rozkazu, aby opuścili rezydencję.

Z posiadłością sułtana graniczył majątek wielkiego wezyra z jego domem wiejskim. Był to wspaniale utrzymany teren z potężnymi, rzucającymi cień drzewami oraz żywopłotami z róż i jaśminów, które rozsiewały odurzający zapach.

Czerwony Sokół wtajemniczył Madulajn pierwszą, że zamierza z nią i Roszem udać się w uciążliwą podróż do Syrii. Od czasu zamordowania Turanszaha Saracenka jakby skamieniała, ani jednym słowem nie podziękowała emirowi, który ją uratował z pożaru, także teraz nie odezwała się wcale.

– Nie możecie, pani, pozostać tutaj dłużej – zaklinał ją Czerwony Sokół. – Sułtanka musiała przed wami klęknąć i nigdy wam tego nie wybaczy. Dotychczas chronił was nimb „cesarskiej córki”, między jeńcami w obozie jest jednak kilku, którzy z braku ostrożności lub nawet złośliwie mogliby dać zwycięzcom do zrozumienia, że wcale nie jesteście księżniczką Salentyny, a wówczas czekałaby was pewna śmierć.

Madulajn zareagowała po raz pierwszy, i to z błyskiem oczu.

– Klarion jest tylko hrabiną i po prostu nieślubną córką Hohenstaufa. Ja zaś jestem rodowitą księżniczką saraceńską, zechciejcie to przyjąć do wiadomości, Konstancjuszu z Selinuntu. Nie potrzebuję żadnego tytułu nadanego przez cesarza Fryderyka!

Czerwony Sokół patrzył uradowany, że tak się ożywiła.

– A więc, moja księżniczko...

– Nie zwracajcie się tak do mnie nigdy! – parsknęła i odwróciła się, a z jej oczu popłynęły łzy.

– Wedle życzenia! – Czerwony Sokół opanował rodzący się w nim gniew na kapryśną kobietę. – Ale pomóżcie mi teraz powiadomić dzieci o czekającym je rozstaniu.

– To zbyt uczucie, zdradziecki rycerzu cesarza! – zawołał Rosz ukryty za żywopłotem. Przedarł się przez cierniste krzewy z taką gwałtownością, że twarz i ramiona miał we krwi. – Nie ruszę się z wami ani na krok! Możecie obciąć mi głowę, mameluku!

Było to chyba najgorsze wyzwisko, jakie mu przyszło do głowy. Rzucił się na ziemię i rozplakał. Zza rogu ukazała się Jeza. Była blada, a na jej czole rysowała się pionowa hohenstaufowska zmarszczka gniewu.

– Proszę, zostaw nas samych, księżniczko – zwróciła się z niezwykłą godnością do Madulajn.

Saracenka przyklękła przy szlochającym Roszu, pomogła chłopcu wstać i odeszli do domu.

Przytuliła go do siebie jak matka, pomyślał Czerwony Sokół.

– Porozmawiajmy jak dorośli – powiedziała Jeza. – Mam nadzieję, że się nie ulękniecie, mimo że Madulajn nie będzie was trzymała za rękę.

– Spróbuję. – Czerwony Sokół uśmiechnął się, rozbawiony jej zuchwałością.

– Szczerzenia zębów też sobie możecie oszczędzić – oznajmiła. – Co wam wpadło do głowy, żeby rozdzielić mnie i Rosza? Jesteśmy królewskimi dziećmi, nikt nie może tego wiedzieć lepiej niż wy, którzy chępcie się, że uratowaliście nas, wynosząc z oblężonego Montségur...

– W samej rzeczy. Z Cypru też was wywiozłem w bezpieczne miejsce!

– W jakie bezpieczne miejsce?! Czy mamy się cieszyć, że jeszcze nas nie zabito, nie wyrwano nam serc, nie zatknięto naszych głów na żerdziach?

– Sami opuściliście twierdzę asasynów – bronił się Czerwony Sokół. – Wszystko to by się nie zdarzyło i wasz mały przyjaciel Mahmud nie musiałby usychać w więzieniu An-Nasira, gdybyście... – Musiał przerwać, ponieważ Jeza z płaczem rzuciła mu się na szyję.

– Ja jestem wszystkiemu winna! – załkała cicho. – Biedny Mahmud!

Czerwony Sokół pozwolił jej się wypłakać, potem usiadł na murku i powiedział:

– Zastanówmy się teraz, jak możemy pomóc waszemu przyjacielowi.

Jeza wytarła oczy i nos i przysiadła obok emira.

– Jestem już za duża, żeby usiąść wam na kolanach – wyjaśniła. – A więc – zaczęła rzeczowo – jeśli jedno z dzieci musi zostać u mameluków jako zakładnik, a drugie ma wyruszyć w uciążliwą podróż, dlaczego narażacie Rosza na to niebezpieczeństwo, dlaczego nie mnie?!

Aha, pomyślał Czerwony Sokół, stąd wieje wiatr. Odpowiedź należało dobrze wyważyć.

– Królewskie dzieci – powiedział w końcu – znajdują się zawsze w niebezpieczeństwie.

– Ale ja jestem starsza, mniej się boję i łatwiej się obronię – oburzyła się Jeza.

– Właśnie – powiedział Czerwony Sokół. – Pozostanie tutaj jest bardziej niebezpieczne. Rosz najprawdopodobniej zostałby tutaj zabity. Wy zaś, jako młoda kobieta, dziedziczka legendą osnutego królestwa...

– Wiem – przerwała Jeza z dumą – król Artur i rycerze Okrągłego Stołu!

– Jesteście córką Graala, was nikt nie będzie śmiał tknąć nawet palcem. Mogą was pożądać, może dręczyć, ale nie zabiją.

– Aha – powiedziała Jeza – jeśli jednak pozostanę wierna Roszowi...?

– Powinniście mu dochować wierności, Jezo, on także was nie zdradzi. Pożegnajcie go więc jak dama rycerza, który wyrusza na szlachetny bój, aby uwolnić przyjaciela.

– Miejmy nadzieję, że mu się to uda – westchnęła Jeza – mimo że nie będę stała u jego boku.

– Dajcie mu odczuć, że w pełni ufacie jego dzielności i że czekacie na jego zwycięski powrót! Tego potrzebuje rycerz, gdy wyrusza w świat.

– Żądacie ode mnie wielkiej ofiary, Czerwony Sokole – powiedziała Jeza – ale nie będę płakać.

Chanterai por mon corage

Que je vueil reconforter

Souferai en tel estage

Tant quel voie repasser.

*

Emir Rukn ad-Din Bajbars, aby się nie narażać na wrogie ataki, zajął w zamku myśliwskim sułtana jedynie część przeznaczoną dla czeladzi, a wspaniałe prywatne komnaty władcy pozostawił swemu zwierzchnikowi, emirowi Izz ad-Din Ajbekowi. Z pomieszczeń dla straży miał dostęp do wieży. Często przebywał na jej najwyższym piętrze, na zadaszonym balkonie, by stamtąd śledzić poczynania innych. Nawet sąsiadującą rozległą posiadłość rodziny wielkiego wezyra mógł też mieć na oku.

– Nasz przyjaciel, Czerwony Sokół, faktycznie rozwija skrzydła, żeby wyruszyć w drogę – zwrócił się zadowolony do stojącego za nim służalcho Bahy Zuhajra. – Proponowałem, żeby wziął ze sobą przynajmniej kilku moich najdzielniejszych żołnierzy...

– Zapominacie, dostojny panie, że emir ma w Syrii więcej przyjaciół niż tu w Kairze. Może liczyć zarówno na baronów, jak i na templariuszy.

– Pomijacie ismailitów, Baho Zuhajrze. Takiego przedsięwzięcia bez udziału asasynów nie da się przeprowadzić, jeśli w ogóle się da...

Bajbars mimo wątpliwości żywił nadzieję na powodzenie wyprawy, gdyż chciał wreszcie znowu wziąć swoje dziecko w ramiona. Powinien więc błagać Allaha Wszechmogącego o wszelkie szczęście tej ziemi dla Czerwonego Sokoła, podczas gdy najchętniej wysłałby emira do wszystkich diabłów.

– Patrząc z militarnego punktu widzenia, jest to niedorzeczność, szaleństwo! – stwierdził Bajbars.

– W zaskoczeniu i nagłym ataku kryje się siła samotnego rabusia, a także sokoła: nie w jego szponach ani w dziobie! Bądźcie dobrej myśli!

– Ja jednak nie jestem! – ofuknął poetę Bajbars. – Mam raczej niedobre przeczucie, że zostanę okpiony. Zawierzyłem Fassr ad-Din Oktajowi we wszystkim. Jemu zaś zależy tylko na tym, żeby młodego króla, którego królestwa nikt nie zna, zawieźć w bezpieczne miejsce. Ale po co tak niebezpieczną wyprawę obciąża jeszcze hurysą Turanszaha? Nie mogę pozbyć się myśli, że będzie śmiał się w kulak, gdy tylko minie granicę Egiptu, i nie zobaczą więcej szlachetnego pana ani też mego syna!

– Podejrzliwość przyćmiewa wam myśli, mój władco – powiedział Baha Zuhajr. – Co się zaś tyczy tej faworyty, odniosłem wrażenie, że mamy do czynienia z jakąś dawniejszą historią, sięgającą daleko przed Turanszaha, który tę nieślubną córkę cesarza poznał dopiero w Damaszku i natychmiast jej uległ, jak mi opowiadano. Może to młodzieńcza miłość Czerwonego Sokoła? Odnaleźli się teraz i lękają ponownego rozstania.

Baha Zuhajr rozmarzył się. Jako zapoznany poeta znajdował upodobanie w barwnym odmalowywaniu cierpień miłosnych i miłosnej radości. Bajbarsowi w ogóle się to nie podobało, nie hamował jednak potoku słów poety.

– Rosz, chłopiec, o którym się mówi, że jest synem pewnego Graala, przebywał wraz z waszym synem Mahmudem w więzieniu An-Nasira. Jest on jedynym, który zna drogę dojścia i wyjścia. Poza tym jest przecież jeszcze dziewczynka...

– Kto wie, czy oni jej nie poświęcą...?

– Nie wierzę w to – rzekł zdecydowanie Baha Zuhajr. – Księżniczka Jeza nie jest osobą, która pozwoli o sobie zapomnieć.

Wskazał podwórzec wiejskiego domu wielkiego wezyra, skąd teraz wyruszała w długą podróż mała karawana. Bajbars zobaczył, że dla faworyty nie podstawiono lektyki, siedziała w siodle jak wojownik pustyni.

– Dziwne wychowanie daje ten cesarz swoim córkom, dzielą łożę, z kim chcą, i dosiadają konia jak mężczyzna. Niech Allah strzeże nas przed takimi kobietami! Chodźmy na dół! – zwrócił się do swego pochlebcy.

W otoczeniu mameluckiej straży przybocznej Bajbars i Baha Zuhajr ruszyli za karawaną, która zmierzała do pobliskiego Nilu, gdzie Bajbars kazał przygotować statek. Zależało mu na tym, aby Czerwony Sokół szybko i pewnie dotarł do wybrzeży Syrii. Bajbars towarzyszył odjeżdżającym, gdyż wolał sam mieć baczenie, żeby dziewczynka, jego zakładniczka, nie została wykradziona w ostatniej chwili i potajemnie wprowadzona na pokład. Zresztą marynarze nie mogli odbić tak długo, póki on, Bajbars, nie wyda komendy.

Natychmiast zauważył, że „córka Graala”, księżniczka Jeza, towarzyszy orszakowi także na koniu.

– Powiedz mi coś o tym dziecku – zagadnął w czasie drogi Bahę Zuhajra. – Ile ona ma lat?

– Za młoda dla was – pozwolił sobie zażartować Baha, co mu przyniosło natychmiast smagnięcie szpicrutą.

– Myślę o żonie dla mego Mahmuda!

– Jeśli pozwolicie, żebym wypowiedział własne zdanie...

– Tylko odpowiadając na pytania! A więc...?

– Dla waszego syna Jeza nie jest za stara, lecz zbyt doświadczona.

– Jak to? Czy ona nie jest już *batul*?*

– Tego nie ośmielę się osądzać, myślę o jej samodzielności. W Damaszku nie tylko przechowywała pieczęć sułtana Ajjuba, ale sporządzała dekrety i sprawowała sądy.

– Ile ma lat, mówicie?

– Narażając się na niebezpieczeństwo, że mnie po raz drugi skarcicie boleśnie, powtórzę, co słyszałem od Williama, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa może mieć najwyżej jedenaście.

Bajbars potrząsnął głową z niedowierzaniem.

W pobliżu przystani podniósł rękę i zatrzymał oddział. Nie dlatego, że nie chciał przeszkadzać w pożegnaniu – oczekiwał, iż Czerwony Sokół osobiście przekaże mu zakładniczkę.

Jeza przez całą drogę z Gizy na brzeg Nilu jechała z Roszem na końcu karawany. Chłopiec był wykwipowany jak saraceński wojownik, miał na sobie, jak jej z dumą pokazał, specjalnie dla siebie wykuty i delikatnie wyczelowany pancerz pod jasnym płaszczem, a w turbanie w barwach wielkiego wezyra spiczasty żelazny hełm.

– Popatrz – wskazał haft na swoim ramieniu. – Herb cesarza!

* *Batul* (arab.) – dziewica.

U boku Rosza kołysała się na kosztownym pendencie prawdziwa szabla, najważniejsza jednak dla chłopca była laska, ów ukryty w nie budzącym podejrzeń futerale sztylet, który mu podarował Bo z Antiochii.

– Widzę – odezwała się Jeza – że zabierasz ze sobą „tajny miecz”. Pamiętasz, jak przysięgaliśmy sobie na niego wierność? Uczestniczył w tym mały Mahmud, a teraz ty, mój bohaterze, jedziesz go uwolnić.

Jeza wyciągnęła z kieszeni chusteczkę z wyhaftowanym w rogu tuluskim krzyżem. Dostała ją kiedyś od starego Turnbulla i teraz powtórzyła jego słowa.

– Żebyś zawsze pamiętał o tym, skąd pochodzisz i dokąd cię twoje przeznaczenie prowadzi! – Przechyliła się w siodle i wetknęła chusteczkę Roszowi za pancerz. – Nie zgub jej, to jest znak naszej miłości i tajnego Graala.

Rosz podniósł chusteczkę do ust, a potem wetknął ją w zanadrze.

– Wydmuchałam w nią nos! – dorzuciła Jeza ze śmiechem.

– Myślałem, że wycierałaś nią łzy.

– Ja i płacz! – zawołała Jeza. – Zazdroszczę ci tylko przygody! Będziesz miał okazję wykazać się odwagą!

– O, z pewnością! – zaśmiał się szyderczo Rosz. – Madulajn będzie chciała myć mi codziennie szyję, a Czerwony Sokół postara się trzymać mnie z daleka od jakiegokolwiek bohaterskiego czynu!

Dotarli do statku. Rosz zeskoczył natychmiast i chciał swego rumaka sam wprowadzić na pokład, ale marynarze wyjęli mu wodze z ręki.

– Widzisz – powiedział do Jezy, która przezornie została w siodle, zauważyła bowiem w oddali oddział mameluków – jakiej przygodzie już teraz nie mogę sprostać, nie wolno mi nawet samemu wprowadzić za uzdę konia po szerokiej na stopę desce.

– Mój Trencavelu, muszę cię teraz opuścić. Na mnie także czeka straszliwy wróg, nie mamelucy, lecz nuda bez ciebie, Rosz!

– Wolałbym, żebyś z nami jechała, moja Esklarmondo, siostró i strażniczko...

Zadał sobie tyle trudu, żeby być dzielnym, odgrywać wielkiego bohatera, a teraz, kiedy musiał naprawdę się rozstać z Jezą, ból wrócił z całą gwałtownością. Rosz zerwał się z miejsca, pobiegł na statek i za relingiem, gdzie nikt go nie mógł zobaczyć, rzucił się plackiem na pokład i bębnił po nim pięściami, płacząc jak malutkie dziecko.

Jeza odwróciła się i aby pożegnania nie czynić jeszcze cięższym, dała Czerwonemu Sokołowi znak, wskazując mameluków. Nie czekała, aż ruszy za nią, lecz pojechała samotnie ku oddziałowi. Czerwony Sokół zdołał jeszcze dziewczynkę dogonić.

– Chcę was przedstawić emirowi Rukn ad-Din Bajbarsowi! – zawołał, ale Jeza go powstrzymała.

– Mogę to zrobić sama, nie martwcie się o mnie! Proszę was tylko o jedno, zaopiekujcie się Roszem!

Gdy zauważyła, że się ociąga z odjazdem, dorzuciła:

– Jedźcie już teraz, bo jemu pęknie serce. Moje też długo nie wytrzyma tych dworskich ceremonii, a więc *Diaus vos bensigna!** – I odwróciła się do Bajbarsa. – Panie, jestem teraz w waszych rękach!

Czerwony Sokół obejrzał się za dziewczynką jeszcze kilka razy, powoli zmierzając w kierunku statku.

– Ruszajmy! – zawołała Jeza i mrugnęła porozumiewawczo do nieokrzesanego mameluckiego emira. – Nuże! – Dała koniowi ostrogę.

Bajbars i członkowie jego gwardii przybocznej wymienili spojrzenia, które wahały się między respektem a rozbawieniem. Pogalopowali za Jezą. Dali swemu panu pierwszeństwo i Bajbars bez trudu zrównał się z dziką dziewczynką, która zaraz przyhamowała bieg swego wierzchowca. Twarz miała zalaną łzami i to poruszyło serce starego gbura.

– Nie macie się czego obawiać – tyle tylko przyszło mu na myśl, żeby Jezę pocieszyć.

– A jednak! Jestem teraz całkiem sama.

Jako że emir nie zaprzeczył, dodała smutno, ale celnie mierząc:

– Tak sama jak mały Mahmud, którego moi rycerze jadą uwalniać, a ja nie mogę w tym uczestniczyć!

To trafiło do ojcowskiego serca Bajbarsa.

– Nie wiedziałem, że mój syn pozyskał przyjaźń Waszej Królewskiej Wysokości! Goszcząc was, chętnie wysłucham opowieści o nim.

Jeza najmniejszym drgnieniem twarzy nie okazała tryumfu.

– Wspaniałomyślną gościnność sławnego Łucznika umiem dobrze docenić, ale nie ustrzeżecie mnie przecież od samotności.

– Nie będzie wam niczego brakować – pospieszył z zapewnieniem Bajbars – dostarczę wam damy dworu i towarzyszkę zabaw...

– Nie róbcie tego! – zawołała Jeza. – Jedyłą pociechą dla mnie dzisiaj jest wyjazd pewnej damy...

Emir roześmiał się i Jeza mu zawtórowała.

– Kogo więc chcecie mieć do towarzystwa, przecież nie młodych chłopców?

– Oczywiście, że nie! – Jeza spoważniała. – Wolę dojrzałych mężczyzn. Jeśli chcecie mnie uradować, weźcie mnie z sobą, gdy wyruszyacie na polowanie albo na turniej rycerski.

– No, no! – Bajbars roześmiał się znowu. – Czy nie jesteście jeszcze nieco za młoda na giermka?

– Wypróbujcie mnie, a potem pomówimy. I nazywajcie mnie Jezą, jak czynią to moi przyjaciele.

* *Diaus vos bensigna!* (okcyt.) – niech Bóg was błogosławi!

Bajbarsa trochę to zaskoczyło, co zachęciło Jeżę, aby od razu wypowiedzieć jeszcze jedno życzenie.

– Król Francji – rzuciła jakby mimochodem – ma tłumacza, pewnego franciszkanina...

– Tak, grubego mnicha o rudych włosach, który mówi po arabsku!

– Właśnie jego chcę mieć znów na usługi, ponieważ swoją niezdarnością ucieszy moje serce!

– Jeśli rozraduje to waszą duszę, niech tak będzie! – powiedział Bajbars i wysłał Bahe Zuhajra do namiotu króla, aby sprowadził Williama z Roebruku.

Wrócili do Gizy i Jeżę umieszczono w sułtańskim pałacu. Miała dla siebie cały harem. Pozostało w nim tylko kilka starych kobiet, młode Gamal ad-Din Mohsen, naczelnny eunuch, zabrał do Kairu na polecenie sułtanki Szadszar; ale i matrony, i cała służba byli zachwyceni, że mogą obsypać względami jasnowłosą księżniczkę, która zamieszkała w komnacie faworyty.

Nadzorujący harem eunuch był wszakże poirytowany, gdy powiadomił go przełożony, że wobec nowo przybyłej należy na razie odstąpić od zwykłej procedury badania dziewictwa, dziewczynka bowiem jest zakładniczką i gościem.

Jeza przestraszyła dzielnego człowieka, gdyż w chwili rozdrażnienia cisnęła za nim sztyletem. Ostrze przeleciało eunuchowi obok ucha i utkwilo we framudze drzwi. Jeszcze tego samego dnia eunuch poprosił Gamala Mohsena o przeniesienie.

Baha Zuhajr udał się do pawilonu króla i tam zażądał od konetabla, który jak wierny pies strzegł wejścia do namiotu, wydania tłumacza, brata Williama.

Minorycie serce podeszło do gardła, gdy usłyszał imię budzącego strach emira. W dodatku mrukliwy konetabl zażartował, że mnicha wezwano, aby wyrok śmierci na siebie przetłumaczył na jakiś zrozumiały dla chrześcijan język.

William odetchnął, dopiero gdy zobaczył, że Baha Zuhajr przybył bez eskorty żołnierzy i nie zamierzał go od razu zakuwać w kajdany. Pomyślał, że chodzi o formalności dotyczące wyznaczonego na dzisiaj aktu złożenia przysięgi. Jakież było jego zdumienie, kiedy zaprowadzono go do haremu w sułtańskim pałacu! Tu rozdygotany, trzaskający drzwiami i wstrząsany spazmami płaczu eunuch kazał Williamowi czekać w zakratowanym pokoju. Do komnat za kratą jak pamięć ludzka sięga, a w każdym razie od kiedy on kierował tym haremem, nie wstąpiła noga mężczyzny, który miał jeszcze *illi indu bajdin*^{*}, wyłączając naturalnie sułtana.

* Illi indu bajdin (arab.) – dwa jajka w torbie.

Z diariusza Jana ze Joinville

Giza, 5 maja A.D. 1250

Chętnie popatrzylbym na piramidę z bliska i, choć wymagało to ogromnego trudu, wspiałbym się w górę, aby obejrzeć na wpół zasypane wejście, które przez nie kończące się niskie korytarze i pochylnie miało prowadzić do tajnych grobowców. Do środka nie wszedlbym z całą pewnością, nie przywiodłoby mnie do tego nawet stu diabłów i trzech mameluków, bo wiele od Ezera Melchsedeka usłyszałem o wnętrzu tej kamiennej budowli. Nie przyszło mi jednak narażać duszy na takie niebezpieczeństwo, gdyż jeńcom zabroniono podobnych wypraw. Magiczne ostrosłupy sterczące na tle nieba uskrzydłają moją fantazję i koszmary senne. Są przecież tak blisko, że upiory, które w nich mieszkają, mają do mnie dostęp o każdej porze, zwłaszcza w nocy.

Mogą przyjść i mnie porwać, cienka płachta namiotu nad moją głową nie jest żadną przeszkodą dla duchów, co potrafiły przechodzić przez grube na sążen kamienne bloki. Całą noc siedziałem wyprostowany w łóżku i czekałem.

My, jeńcy ze szlchetnych rodów, możemy opuścić nasz obóz tylko po to, żeby powędrować do wielkiego namiotu Beduinów, sporządzonego z ciemnobrązowego sukna. Tam odbywają się rokowania.

Ponieważ hrabia Bretanii wciąż jeszcze leży chory, zobowiązany jestem dalej – za pełną aprobatą pana Ludwika – przewodzić naszej delegacji.

Emirowie weszli do namiotu dopiero wtedy, gdy my zajęliśmy już miejsca. To oszczędziło im przy wejściu króla *volens nolens* podniesienia się z miejsc. Z pewnością postąpili wedle wskazówki emira Bajbarsa, któremu te rewerencje, jak sobie przypominam, nadzwyczaj się nie podobały.

Dopiero teraz rzuciło mi się w oczy, że nie ma mego sekretarza, naszego tłumacza. Zwróciłem się z usprawiedliwieniem do pana Ludwika, czułem się bowiem wciąż odpowiedzialny za kaprysy Williama.

Król mnie wcale nie uspokoił.

– Drogi seneszalu, wasz wielce biegły sekretarz...

Zrobiłem mimo woli przepaszający gest, pomny, iż król ma prawo pierwszeństwa do służby Williama, ale pan Ludwik uśmiechnął się tylko.

– A więc... nasz znakomity William tak olśnił naszych gospodarzy rozlicznymi talentami, że go zarekwirowali, potrzebujemy więc innego tłumacza.

– Zapropnowalbym kogoś – wyrwał się z pomysłem pan Karol z Anjou, ale szybko ugryzł się w język i zamilkł.

O tłumacza zatroszczyła się strona przeciwna. Naczelny eunuch Gamal Mohsen przedstawił nam niejakiego Raszida al-Kabira, chyba bardzo bogatego człowieka, ponieważ był ubrany kosztowniej niż my wszyscy, mówił zaś zdumiewająco dobrze po francusku. Pisemnie, w obu językach, nikt bowiem z nas nie potrafił odcyfrować arabskich znaków, przedstawił teraz formuły przysięgi, którą mieli złożyć emirowie. Jeśli nie dotrzymają danego królowi słowa, tracą cześć i muszą z gołymi głowami pielgrzymować do Mekki, rozpoznawalni dla każdego jako ludzie bez honoru. Albo, to była druga groźba, okryją się hańbą, podobnie jak człowiek, który wypędził swoją żonę i znowu ją u siebie przyjął. Ponieważ, jak wyjaśnił nam Raszid, wedle prawa proroka Mahometa, nie wolno mężowi przyjąć wypędzonej żony, jeśli nie upewni się najpierw na własne oczy, że inny mężczyzna z nią obcował.

Sądziłem, że źle zrozumiałem, ja bowiem wolałbym nie widzieć, jak ktoś akurat przed moim nosem zażywa rozkoszy z oddaloną przeze mnie żoną; przy pojednaniu mógłbym sobie wówczas wmawiać, że bolesny czas rozstania ze mną spędziła na wzdychaniu i tęsknocie, jednakże w całkowitej wierności. Ale nie! Prorok chce przed lekkomyślnym „rozwozem” zasunąć rygiel wstydu. Sama skrucha nie wystarczy, inny mężczyzna musi cię ukarać! Dziwne, mało mnie przekonujące prawo!

Zażądałem jeszcze trzeciego warunku dotrzymania zawartych umów i pomyślałem przy tym o naszym peklowanym mięsie w Damietcie.

– Jeśli – zwróciłem się do przewodniczącego emira, namiestnika Husama ibn abi’ Alego – złamiecie choćby jedno z ustaleń, wówczas niech spadnie na was takie samo przekleństwo jak na muzułmanina, który spożył świńskie mięso!

Gdy pan Raszid przetłumaczył tę propozycję, emirowie byli przerażeni i oburzeni. Naradzali się poirytowani i wściekli, co mi właśnie odpowiadało, warunek ten bowiem uznałem za bardziej wiążący niż niepewne *hadżdż bidun lafha*, pielgrzymki bez nakrycia głowy, czy też przedziwne obyczaje rozwodowe. W końcu namiestnik oznajmił przez Raszida, że chcą zaprzysiąc wszystkie trzy warunki.

I rzeczywiście emirowie podnosili się teraz po kolei i każdy mówił:

– *Uksimu bi-Allah*, przysięgam na Allaha, że dotrzymam znanego mi układu pod groźbą *gharamat muhalafatin*.*

Byli potem tak zmieszani i wzburzeni, że przyjęcie przysięgi od nas, to znaczy od naszego króla, przesunęli na dzień następny.

Gdy namiestnik zamierzał opuścić namiot, pan Ludwik spytał go za pośrednictwem Raszida, czy zrozumiał już znaczenie słów „bez potrzeby”.

Husam ibn abi’ Ali zająknął się i próbował wydukać usprawiedliwienie. Nie powinien był takiego sformułowania użyć wobec króla.

* Gharamat muhalafatin (arab.) – kara umowna.

Pan Ludwik mu wybaczył. Powiedział, że dzięki namiestnikowi miał sposobność sam się zastanowić nad tym słowem, i wie teraz, że nie postąpił „bez potrzeby”, lecz właśnie potrzeba wiary go skłoniła do tego, aby majątek, królestwo i życie narazić dla Jezusa Chrystusa. Ktoś postawił kiedyś pytanie: „Jaka jest najszlachetniejsza śmierć?” Odpowiedź brzmiała: „Śmierć na drodze do Boga”.

– Jak więc łatwo pojąć – zakończył król – najgorsze, co mi się może zdarzyć, to umrzeć szlachetną śmiercią.

Większość mameluków zatrzymała się i przysłuchiwała. Król odczekał, aż Raszid przetłumaczy wszystko namiestnikowi, i dorzucił skromnie:

– Pytanie to postawił i dał na nie odpowiedź nie kto inny tylko sam Saladyn.

Emirowie odeszli w milczeniu, a Husam ibn abi’ Ali szczególnie szybko. Król zaś zwrócił się do Raszida:

– Skąd tak dobrze znacie francuską mowę?

Tłumacz skłonił się i powiedział:

– Urodziłem się w Paryżu i niegdyś byłem chrześcijaninem tak jak Wasza Królewska Mość.

– Precz mi z oczu! – zawołał król płomiennie. – Nie życzę sobie zamienić z wami już ani jednego słowa! – I zwracając się do mnie dodał: – Zatoszczcie się, byśmy w przyszłości nie musieli korzystać z usług tego człowieka!

Wyszedł, a za nim podążył konetabl i inni panowie. Zadałem sobie trud, aby speszonego Raszida al-Kabira – który tylko z grzeczności podjął się roli tłumacza, gdyż niezwykle poważał króla Ludwika – spytać o jego historię. Okazało się, że jako młody handlarz suknem poślubił dziewczynę z dobrego domu w Kairze i tam się osiedlił, a po przejściu na islam doszedł do wielkiego majątku i wpływowego stanowiska na sułtańskim dworze.

Uważałem, że powinienem wytknąć niesłuszność jego postępowania.

– Czy nie widzicie, że w ten sposób skazaliście swą duszę na wieczne potępienie?

– Z podobnym przekonaniem, jeśli nie przesądem, mogę żyć – odparł pan Raszid – lecz zabiłaby mnie nietolerancja, gdybym wrócił do swojej ojczyzny, czego bardzo pragnę. Byłbym wygnańcem i popadłbym w biedę. Tego nie możecie mi życzyć.

– Lepiej być biednym, ale pewnym rajy, niż bogatym w czyśćcu! W dzień sądu ostatecznego...

– Zobaczmy, drogi panie seneszalu – przerwał mi pogodnie – gdzie się znowu spotkamy. Wierzę mocno, że człowiek będzie wtedy sądzony wedle swoich czynów, a nie wedle religii. Okazaliście wobec mnie ludzkie uczucia, a ja chętnie czynię dobro... – ściągnął z palca i wręczył mi jeden ze swych ciężkich złotych pierścieni ze wspaniale oszlifowanym szafirem, kosztownie oprawionym. – Przyjmijcie, proszę, ten upominek ode mnie, bogatego grzesznika, abyście owego oznaczonego dnia przypomnieli sobie Raszida al-Kabira.

Nie byłem pewny, czy uczynię słusznie, przyjmując jego prezent, i zdecydowałem się na gest chłodnej obrony.

Raszid al-Kabir roześmiał się.

– Także zatwardziałość serca jest grzechem. Nie odtrącajcie wyciągniętej do siebie ręki innego człowieka!

Wetknąłem cenny dar na palec, zdecydowałem jednak, że tego pięknego pierścienia nie będę nosił w obecności pana Ludwika.

– Nie zwalnia mnie to jednakże od zastosowania się do królewskiego werdyktu – powiedziałem zażenowany – by zaprotestować przeciwko waszej osobie jako tłumaczowi.

– Przyjmujemy to do wiadomości – odrzekł mi spokojnie, tak jak wypełniał dziś swój honorowy urząd. Rozstaliśmy się w jak najlepszej zgodzie.

Bajbars wrócił późno do pałacu i nie czuł wcale ochoty, by spotkać się z emirami, nim uda się do wieży. Ale w wielkiej sali przeznaczonej na rozmaite uroczystości płonęły jeszcze wszystkie pochodnie i do Bajbarsa dobiegał grzmiący śmiech, to znowu w sali zalegało całkowite milczenie, jakby znajdujący się tam ludzie z zapartym tchem śledzili bardzo ciekawy spektakl. I znów wybuchy wesołości i okrzyki aplauzu; uczestnicy widowiska, jak się zdawało, znakomicie się bawili.

Do zdolności Bajbarsa jako niekwestionowanego przywódcy równych mu rangą mameluków należał także instynkt, który mu pozwalał przybywać o właściwej porze tam, gdzie być powinien. Wahał się, potem jednak przeważało uczucie ciekawości. Otworzył gwałtownie drzwi, przygotowany na widok półnagich tancerek...

Pośrodku grupy mężczyzn siedziała Jeza i opowiadała różne historie w stylu *rawidżun*, bajarzy. Przysłuchiwała się im godzinami na rynkach Damaszku i najznakomitszych spośród nich zapraszała do pałacu, a Abu Al-Amlak, złośliwy karzeł, musiał ich sownie za to wynagradzać.

Historii z Damaszku i o An-Nasirze mamelucy słuchali najchętniej. Opowieści o Montségur czy o hrabinie Otranto wydawały się im aż nazbyt egzotyczne. Jeza prześlizgiwała się nad tymi epizodami swego burzliwego życia, podobnie jak ostrożnie zarysowała pobyt w Masnacie i doświadczenia z asasynami.

Dziwne, lecz wojownicy domagali się wciąż nowych historii o życiu i czynach króla Ludwika, swego wroga. Okazywali mu głęboki szacunek i cześć.

Jeza siedziała po turecku na skórzanej poduszce, swój sztylet – również podziwiany przez mameluków – trzymała na kolanach i dawała ciętą odpowiedź na każde pytanie. Bajbars zatrzymał się w drzwiach. Rozgniewał się, bo nagle zobaczył „swoją” zakładniczkę zabawiającą wszystkich, ale wtedy Jeza powiedziała głośno:

– Mój pan i władca! – skłoniła się wdzięcznie. – Witamy wielkiego Łucznika w naszym kręgu!

Gniew emira stopniał w jednej chwili. Bajbars usiadł obok dziewczynki i wniósł swoją część do całej historii.

– Jako mój gość – dwornie wskazał Jeżę – sławna córka cesarza i księżniczka Graala do tego stopnia wzburzyła nadzorcę haremu, że poprosił o zwolnienie. Jej Królewska Wysokość – wskazał znowu Jeżę – tak zręcznie rzuciła za nim sztyletem, że wprawdzie uszedł z życiem, ale serce uciekło mu do spodni...

Gromki śmiech nagrodził Bajbarsa i główną bohaterkę za ten obraz, gdyż nie ma wdzięczniejszego tematu do kpin jak skojarzenie eunucha ze spodniami czy strach kastrata przed nożem.

Jednakże Jeza poprosiła ruchem ręki o spokój i powiedziała:

– Wyrządziłam krzywdę dozorczy haremu, ponieważ wyładowałam na nim swój zły humor. Jest dobrym człowiekiem i nie zasługuje na nasze drwiny. Poproszę go o wybaczenie oraz o to, żeby pozostał na stanowisku. Powierzona jego opiece dama zbyt długo bawi w kręgu mężczyzn. Wróć teraz do siebie, aby stróż mojej cnoty mógł spokojnie zasnąć.

Mamelucy nie omieszkali życzyć Jezie *juwafak fi al-haja*^{*} i odprowadzili ją aż do zakratowanych drzwi. Wzburzony widokiem tak wielu mężczyzn, nadzorca wpuścił dziewczynkę do środka. Wkrótce spokój nocy objął pałac, harem i jego ogrody.

W prywatnych komnatach naczelnego eunucha Gamala ad-Din Mohsena, które znajdowały się za haremem i były połączone ze światem zewnętrznym znaną tylko wtajemniczonym, niepozorną furką, obradował niewielki krąg wybranych ludzi dworu.

Należeli do niego Husam ibn abi' Ali, ciągle jeszcze namiestnik Kairu, oraz jego przyjaciel Ibn Wasil. Namiestnik nie miał już nadziei na urząd regenta – zaprzepaścił je prowadząc zawstydzający dyskurs z chrześcijańskim królem. Ibn Wasil już na niego nie liczył i tylko jeszcze nie wiedział, któremu protektorowi powinien zaproponować swoje usługi. W spotkaniu uczestniczyli także były pisarz nadworny Baha Zuhajr, zarzekający się, że nie szpieguje dla Bajbarsa, lecz przeciwnie, dla dobra wszystkich śledzi ruchy mameluckiego emira. Spiskowcy byli zgodni, iż najlepszym rozwiązaniem w obecnej sytuacji będzie przywrócenie dynastii ajjubidzkiej na tron, w każdym razie należało przeszkodzić oficjalnemu przejściu władzy przez mameluków.

– Drogocenny czas pracuje na korzyść wojskowych, a dom Ajjuba zmogła niemoc – określił sytuację Ibn Wasil. – Boczne linie w Syrii, jak An-Nasir czy Al-Aszraf, nie są obiecujące, a tutaj w Kairze pozostaje do dyspozycji czteroletni chłopiec imieniem Musa, słaby pretendent do tronu!

– Dziecko byłoby bezwolną kukłą w rękach mameluków – zgodził się z nim namiestnik.

Wtedy Gamalowi ad-Din Mohsenowi przyszedł do głowy pomysł.

* *Juwafak fi al-haja* (arab.) – dużo szczęścia w życiu.

– A gdybyśmy tak małego Musę połączyli z księżniczką Jeżą, córką cesarza, przyjaciela naszej dynastii Ajjubidów? Nie powstydzilibyśmy się tej pary i nawet mamelucy musieliby uznać jej panowanie albo przejść do otwartej wojskowej rewolty.

– Takiej rewolty nie ścierpiałby lud Egiptu, a cesarz Fryderyk przyszedłby nam na pomoc – odezwał się Baha Zuhajr.

– Tego nie jestem taki pewien – naczelny eunuch ostudził zapał, jaki wzbudził wśród zgromadzonych swoją propozycją. – Wy, Baho Zuhajrze, powinniście wy badać emira Bajbarsa, jak się odnosi do takich planów małżeńskich.

– Byłoby dużo ważniejsze – przeciwstawił się Ibn Wasil – zapewnić sobie przychyłność emira Izz ad-Din Ajbeka. Powstrzymał się od wypowiedzenia uwagi, którą miał na końcu języka: naszego przyszłego regenta. – Chętnie się tym zajmę – dodał, nie zważając na karcące spojrzenie swego przyjaciela, który teraz zauważył:

– Trzeba się także upewnić, czy Szadszar, naszą sułtanekę, ucieszy takie małżeństwo. To już będzie mój kłopot!

– Jeśli chcemy wszystkich uszczęśliwić – odezwał się naczelny eunuch – musimy odrzucić niepowtarzalny dar niebios, tę dziewczynkę urodzoną na władczynię, a tym samym wspaniałą sułtanat Egiptu, sukcesor faraonów, wpadnie w ręce barbarzyńców!

Rozejrzył się wśród współspiskowców. Jedyne Raszid al-Kabir zdawał się podzielać jego zdanie, wszyscy inni myśleli tylko o własnych korzyściach, sprzedaliby dla nich nawet przyjaciół, a co dopiero wspaniałą ideę.

Należałoby całą tę zgraję wytruć, rozmyślał Gamal ad-Din Mohsen, wówczas nie mogliby jego genialnego zamierzenia ani zdradzić, ani przegadać.

Postanowił, że zrobi to następnym razem, jeśli okażą się tak samolubni i tchórzliwi jak dzisiaj. Przywołał do siebie Raszida al-Kabira i zakończył spotkanie.

– Czy aresztowaliście Williama, królewskiego tłumacza? – spytał Raszid. – Koniecznie muszę jutro wystąpić znowu jako tłumacz, w przeciwnym razie dojdzie do złożenia przysięgi przez króla i mamelucy wygrają. Na mój widok pan Ludwik wybuchnie gniewem i nie odda Damietty, a przynajmniej nie teraz. Zyskamy na czasie – Raszid al-Kabir zatarł ręce, na których brakowało jednego pierścienia.

– Nie martwcie się – odpowiedział naczelny eunuch – będziecie jedynym pozostającym do dyspozycji tłumaczem. Mówiący po arabsku mnich znajduje się w moim domu. Śpi jak zabity, jutrzejszy dzień także prześpi.

Obaj rozmówcy rozstali się ostatni, chociaż nieszczególnie zadowoleni z biegu spraw.

– Mogło pójść jeszcze gorzej! – pocieszył się Gamal ad-Din Mohsen i udał się na spoczynek, wypuściwszy gościa ukrytą furtką.

Rzeczywiście, mogło pójść jeszcze gorzej: William z Roebruku nie spał i wysłuchał wszystkiego.

Z diariusza Jana ze Joinville

Giza, 6 maja A.D. 1250

Gmina koptyjskich chrześcijan z Kairu przysłała królowi chór chłopięcy; wyuczył się on specjalnie dla dostojnego jeńca pieśni maryjnej:

Maria, Dieu maire
Deus t'es e flis e paire
Domna preje per nos
To fil lo glorios.

Po porannej modlitwie w namiocie króla kapelan królewski Mikołaj z Akki, który również władał arabskim, zapewnił nas, że złożone wczoraj przez emirów przysięgi są dla muzułmanów w najwyższym stopniu wiążące. Bez wątpienia emirowie zażądają od króla podobnie mocnych sformułowań.

Pan Ludwik jednak odmawiał w ogóle pokazania się przed emirami, jeśli nie zmienia tłumacza.

William zniknął, jakby go ziemia pochłonęła. Nawet bardzo ostrożne wypytywanie Bajbarsa wykazało tylko, że minorityta został wysłany do haremu, a tam mówiono z całym oburzeniem, że żaden mężczyzna, także mnich, nie przekroczył jego progów.

Ludwik wysłał swego delegata, pana Bejrutu, Filipa z Montfortu, by nie wyglądało, że chcemy zbojkotować złożenie przysięgi. Wybrałem się wraz z panem Filipem i kilkoma naszymi rycerzami oraz braćmi króla na dalsze paktowanie.

W namiocie rokowań panował zły nastrój. Wszyscy byli rozdrażnieni. Na wstępie powiadomiono nas, że delegacji egipskiej będzie przewodniczył emir Izz ad-Din Ajbek. Pan Raszid, który znowu był obecny, powiedział mi w zaufaniu, że odbywała się walka o regencję, którą mimo woli rozstrzygnął nasz król. Tak niechlubnie pograżył w dyspacie Husama ibn abi' Alego, że mamelucy od razu odwołali namiestnika Kairu z funkcji przewodniczącego delegacji i nie biorą go także pod uwagę jako kandydata na urząd regenta u boku sułtanki.

– Stracił twarz – nazwał to po prostu pan Raszid. – Jego miejsce zajął naczelny wódz, którego prawa do najwyższego urzędu w państwie już teraz nikt nie zakwestionuje. Dzięki królowi Ludwikowi! W każdym razie Ajbek powinien mu być wdzięczny. Należy jednak pamiętać – ciągnął mój rozmowny informator – iż żaden mameluk nie ceni sobie korzyści uzyskanych przez ingerencję z zewnątrz, zwłaszcza emir Bajbars podkreśla, iż w sprawę sukcesji wtrącił się chrześcijański król, tak więc emirowie są teraz zdecydowani przyciąć skrzydła Jego Królewskiej Mości i odrzucili bez ceregieli jego niewinną prośbę o zmianę

tłumacza. – Raszid uśmiechnął się bez zażenowania, ale również bez złości. – Pan Ludwik musi zatem jeszcze raz zadowolić się „zradzieckim odszczepieńcem”.

Przerwał nam gwałtowny potok słów dobywający się z ust Bajbarsa. Pan Raszid szybko mi przetłumaczył:

– Król uczyni dobrze, jeśli się teraz jak najszybciej pojawi, w przeciwnym razie sprowadzimy go tutaj w łańcuchach. Idźcie po niego!

Pobiegłem do namiotu króla. Nie przemilczałem przed panem Ludwikiem niczego, o czym mnie powiadomiono, mianowicie widocznego zwycięstwa jastrzębi, wojskowych, nad pojedynczymi gołębiami, jeśli dworską kamarylę skupioną wokół namiestnika i sułtanka zechce się tak uprzejmie określić.

– Zwyciężyła twarda linia i teraz osoba Waszej Królewskiej Mości ma być ukarana dla przykładu.

– Mój drogi Joinville – odezwał się król i powstrzymał oburzonego konetabla, który chciał popędzić do namiotu emirów, aby ich nauczyć dobrych obyczajów – byłoby bardzo źle, gdybyśmy przed złożeniem przysięgi dali się zastraszyć bądź upokorzyć przez przeciwnika. Nie pojawię się w ich namiocie.

– Wtedy was sprowadzą!

– Niech mi założą kajdany i zadadzą widoczny gwałt. Tego rodzaju wymuszona przysięga nic przed Bogiem nie znaczy.

Moje bezradne spojrzenie padło na jego nowego spowiednika, Mikołaja z Akki.

– Weźcie, panie, z sobą kapłana. On może wam wszystko przetłumaczyć i nie musicie na renegata patrzeć – zaproponowałem.

Była to rozpaczliwa propozycja i wiedziałem, jak przyjmą ją mamelucy, ale przynajmniej udało mi się zmiękczyć upór króla, w czym poparł mnie teraz sam konetabl.

– Wasza Królewska Mość – mruknął – jeśli byście mnie zapytali, powiedziałbym: miejmy to już za sobą! Kościół udzieli wam całkowitego rozgrzeszenia.

Mikołaj z Akki przytaknął gorliwie, ale pan Ludwik jęknął:

– Kościół, Kościół! Z Bogiem muszę to załatwić! – Podniósł się. – Idziemy, panowie!

Przyjęto nas w namiocie obrad chłodno, żeby nie powiedzieć lodowato, mimo panującej tu, podobnie jak na zewnątrz, duchoty. Żaden mameluk nie podniósł się, gdy król wszedł, tylko naczelny eunuch zdecydował się towarzyszyć mu do stołu rokowań. Pan regent Izz ad-Din Ajbek siedział na niewielkim podwyższeniu jak sędzia, mając po bokach spoglądającego wściekle Bajbarsa i tłumacza, pana Raszida al-Kabira. Ten powiadomił nas od razu, że formuła przysięgi, jakiej żąda się od króla, została już przygotowana na piśmie, prawne znaczenie posiada tylko francuska wersja tekstu, i że – oszczędził sobie zerknięcia w stronę Mikołaja z Akki – dopuszczone są tylko sformułowania przedstawione przez egipską stronę.

– Słuchamy tylko słów króla! – zakończył, gdyż pan Ajbek bębnił już niecierpliwie palcami po stole. – Jeśli tu obecny Ludwik Dziewiąty, król Franków, nie dotrzyma w całości

lub częściowo znanych mu układów z prawnym przedstawicielem sultanatu w Kairze, to niechaj jako chrześcijanin będzie zhańbiony niczym ktoś, kto wyrzeka się Boga i religii, Syna Bożego i Matki Bożej. Niechaj zostanie wykluczony spośród grona wiernych Kościoła, dwunastu apostołów i wszystkich świętych.

To sformułowanie bardzo mi zdradzało pomocną rękę Raszida. Król miał chyba słuszną, nie chcąc mówić z takim człowiekiem. Nie patrzył na tłumacza, z napięciem mierząc oczyma pana Ajbeka. Potem powiedział:

– To zaprzysięgnę.

Regent skinął głową i dał znak Raszidowi, żeby czytał dalej.

– Jeśli przysięgający dziś król złamie zatem swoją przysięgę, będzie nie tylko zhańbiony, lecz niech również uchodzi za człowieka, który opluł krzyż i własnymi nogami go podeptał!

Gdy Raszid przeczytał to uzupełnienie, król wykrzyknął oburzony:

– Czegoś takiego, na Boga, nigdy nie przyjmę do tekstu mojej przysięgi! Takie sformułowanie nie przejdzie mi przez usta!

Wybuchł skandal. Emirowie skupili się wokół regenta, a my pospieszyliśmy w kąt za rozniewanym panem Ludwikiem. Mnie Raszid przywołał do siebie; było mi przykro podejść do tłumacza w przytomności króla, ale nic porozumienia nie powinna być zerwana.

– Powiadomcie Jego Królewską Mość – nalegał zdrajca naszej wiary – że emirowie przyjęliby to bardzo źle, gdyby król odmówił przysięgi, kiedy oni już swoją złożyli. Jeśli się nie opamięta – dorzucił ciszej – utną mu głowę. I wam także.

Powiedziałem o tym królowi, a on zawołał tak głośno, że jego stanowisko można było poznać bez tłumacza:

– Panowie emirowie mogą postąpić, jak im się podoba. Wolę raczej umrzeć jako pobożny chrześcijanin, niż żyć dalej w niezgodzie z Panem Naszym Jezusem Chrystusem i Matką Bożą Maryją!

Wtedy przywleczono w łańcuchach starego patriarchę Roberta z Jeruzalem. Przytrafiło mu się nieszczęście, że z listem żelaznym jako ambasador królowej udał się z Damietty do Saracenów, ale akurat w tym samym czasie wystawca jego glejtu, sułtan Turanszah, rozstał się z życiem.

Wedle barbarzyńskiego zwyczaju Saracenów w takich okolicznościach glejt traci ważność, a posła nie tylko nie odsyła się do domu, lecz uważa za jeńca bez żadnych praw. I tak traktowanego więźnia teraz nam zaprezentowano. Saraceni wrzasnęli na starego, liczącego sobie dobrze ponad osiemdziesiąt lat człowieka, że jest winien królewskiego uporu, ba, że on królowi ten upór doradził.

Bajbars zaproponował pozostałym emirom:

– Jeśli mi pozwolicie, już ja zmuszę króla do przysięgi, gdy ta zgrzybiała głowa poszybuje mu na kolana!

Przetłumaczył nam to wszystko zacinając się Mikołaj z Akki, jednakże Bogu dzięki Ajbek powstrzymał Bajbarsa, patriarchę zaś przywiązano do masztu tak mocno, że ręce mu w mig nabrzmiały i pod paznokciami ukazała się krew.

Starzec zawył z bólu i krzyknął do króla:

– Przysięgajcie, przysięgajcie bez obawy! Tak jak wy zamierzacie dotrzymać przysięgi, tak ja chcę wziąć na siebie wszelki grzech, który w tekście przyrzeczenia może się zawierać!

Wtedy patriarsze na znak Raszida wepchnięto knebel do ust, jakby tłumacz nie chciał, żeby pan Ludwik posłuchał starca. Odezwałem do króla:

– Macie już męczennika. Nie pozwólcie zwyciężyć Saracenom, którzy chcą was zabić i nas wszystkich wygubić, lecz pozwólcie nam wreszcie uciec z tego piekła. Złóżcie mamelukom przysięgę, tak jak wasi wrogowie nanieśli ją na papier. Oni są tylko nieświadomymi naszej wiary wojownikami, którym chodzi o owoce ich zwycięstwa, o Damiettę i przyrzeczony przez was okup. Przysięgnijcie, błagam was!

Moje wystąpienie spotkało się z powszechnym poparciem i w końcu pan Ludwik skinął głową. Podbiegłem do stołu.

– Rozwiążcie patriarchę! Król przysięgnie! – krzyknąłem.

Zobaczyłem, jak Raszid zagryzł wargi i rzucił mi jadowite spojrzenie. Pan Ajbek zażądał, aby jeszcze raz przeczytał tekst przysięgi, co tłumacz zrobił podkreślając złośliwie każde hańbiące sformułowanie. Król jednak jakby tego nie słyszał i gdy Judasz skończył, powiedział tylko:

– Przysięgam!

Patriarchę rozwiązano, a mamelucy z emirem Bajbarssem na czele podeszli do króla i skłonili się głęboko.

– Jeśli nie będziesz bardziej uważał na swego biednego króla – powiedziała Jeza z łagodnym wyrzutem – dostanie po głowie i białe partię przegrają!

Jeza grała w szachy z Williamem w „atrium faworyty”, zadaszonym centrum haremu, skąd liczne drzwi prowadziły do poszczególnych pokojów.

Rzadko Jeza mogła przebywać w towarzystwie minoryty, przeważnie bowiem tonął bez śladu w jednej z wielu puchowych pościeli i tylko rozkoszne jęki zdradzały, gdzie mnich akurat działa, lub też Jeza przyłapywała go w którejś alkowie, gdzie wśród radosnego chichotu uszczęśliwiał jakąś pokojową.

William był ulubieńcem starszych niewiast. Narzucały mu się ze sprośną natarczywością, tak że częściej uciekał przed przygodą, aniżeli jej szukał.

– Williamie! – powiedziała Jeza. – O czym myślisz?

Franciszkanin zawstydzony uratował swego króla śmiałą rozsadą.

– Teraz biję twoją wieżę – oznajmiła Jeza i wykonała ruch. – *Gardez!**

* *Gardez!* (fr.) – uwaga, strzeżcie się!

William wlepił oczy w szachownicę, gdyż za plecami Jezy, zza parawanu znów wysunęła się kokietyrnie goła noga, chuda i pomarszczona. Twarzy właścicielki nie było widać, lecz minorityta dobrze wiedział, kto go usiłuje kusić. Przesunął niespokojnie gońca przed zagrożoną damę. Jeza zachichotała, ponieważ teraz dla odmiany niezwykle gruba matrona odsłoniła pierś i posapując spodziewała się zwrócić na siebie uwagę Williama.

– Jak tak dalej pójdzie, Williamie – powiedziała dziewczynka głośno po arabsku – będę musiała cię wykastrować! – Przesunęła do przodu skoczka. – Szach!

William z cichą rozpaczą próbował skoncentrować się na przegranej partii. Gdziekolwiek spojrzał, dostrzegał pełne żaru spojrzenia spoza *hidżab**, kiwające upierścienione palce i do pocałunku ułożone usta. Wykonał bezsensowny ruch czarnym pionkiem i Jeza spytała:

– Mat?

Skinał głowę, chociaż dalsze prowadzenie gry wydawało mu się jedynym ratunkiem. Jezę ogarnęła litość.

– Powiedz, Williamie, która z tych dam jest najbrzydsza? – Rozejrzała się badawczo dookoła, jej palec godził w pochylane drzwi i między przejrzyste zasłony. – Ta, ta czy może ta?

Wtedy nagle wszystkie nogi i piersi zniknęły, tylko jeszcze powiew słodkich perfum i wyraźnego oburzenia przeciągnął przez atrium.

Pojawił się eunuch przybity zgryzotą. Unikał spoglądania na mnicha jeszcze bardziej niż na Jezę. Jurność Flamandczyka odbierał jako osobistą obrazę.

– Księżniczko – rzekł – przysyła po ciebie emir Rukn ad-Din Bajbars.

– Nie zostawiajcie mnie tutaj samego! – zaczęła błagać ją William. – Zabierzcie mnie ze sobą!

– Grasz bardzo źle – odparła Jeza. – Wcale nie umiesz się bronić!

Pospieszyła za strażnikiem haremu do wyjścia, gdzie za kratą czekał na nią Baha Zuhajr. William pobiegł za nią, ale nagle dostrzegł ubogo odzianą dziewczynę, której jeszcze nie znał. Przynajmniej jedna młoda! Pracowała chyba w kuchni, gdyż niosła na głowie dzban, a suknię miała poplamioną. Rzuciła Williamowi kpiące i zuchwałe spojrzenie. Nie zważając na eunucha, który udręczony odwrócił oczy, grubawy mnich żwawym zwrotem porzucił wybraną ścieżkę wstrzemięźliwości i zniknął w nie oświetlonym korytarzu, który prowadził do pomieszczeń gospodarczych.

Gdy Jeza odwróciła głowę, Williama już nie było.

*

– Księżniczkę zabrał Baha Zuhajr – zameldował eunuch swemu przełożonemu Gamalowi ad-Din Mohsenowi i kłaniając się wycofał z pokoju.

* Hidżab (arab.) – welon.

– Widzisz – odezwał się najwyższy zwierzchnik haremu do Raszida al-Kabira – poszła z nim bez cienia podejrzliwości.

– Jej podejrzliwości się nie obawiam, lecz podejrzliwości innych, przede wszystkim mameluków!

– Musimy teraz działać – powiedział Gamal Mohsen. – Nie udało ci się powstrzymać króla od przysięgi, do czego się zobowiązałeś...

– Jest człowiekiem o silnej woli, podziwiam go!

– Tego tylko jeszcze brakowało! – westchnął Gamal Mohsen.

– Co powinienem był zrobić? – spytał Raszid al-Kabir.

– Powinieneś przynajmniej żałować – skarcił go naczelny eunuch – i dlatego musisz teraz ponieść ofiarę.

– Jeśli to służy domowi Ajjuba... A co się stało z towarzyszem dziewczynki, tym rudym mnichem świętego Franciszka?

– Z Williamem? – Gamal Mohsen roześmiał się lekceważąco. – Każda *mahbal** na dwu sprężystych nogach zatrzyma go na długo. Mamy dużo czasu, by zawładnąć jego małą panią.

Emir Bajbars wędrował tam i z powrotem po swojej komnacie w wieży. Posłał właśnie do diabła sufiego Abu Basita, choć powinien był go wychłostać! Ten człowiek teraz, po dwu latach, zjawia się i przekazuje wielką nowinę, że powierzone mu dzieci uwięził w Homsie An-Nasir!

– Mahmudzie, mój synu! – jęknął. Szirat, jego rodzona siostra, była mu zupełnie obojętna, z pewnością już dawno została pozbawiona czci. A dlaczego on, Abu Basit, nie siedzi w więzieniu? Ponieważ go przegnano! I słusznie! Nie należy zabijać żadnego sufiego! Ani podnosić na niego ręki! Dziwnie rozdziela Allah swoją opiekę, mimo wszystkich modlitw nie ustrzegł małego Mahmuda.

Weszła Jeza.

– Usiądźcie i opowiedzcie mi o Mahmudzie, moim synu!

I Jeza zaczęła sobie przypominać... trierę i statek pielgrzymów, Salisbury’ego, i to jak Anioł z Karos powiesił Guiscarda, jak na Cyprze ukryli ich templariusze i jak potem uciekli z Czerwonym Sokołem. Opowiedziała o Bo z Antiochii, o Bractwie Tajnego Miecza...

– Chyba nie jest to chrześcijański zakon rycerski? – zaniepokoił się Bajbars.

– Bractwo jest rycerskie – odparła Jeza – ale nie chrześcijańskie, a już całkiem nie zakonne. Ja też należę do niego!

– I co dalej?

– Potem przybyli joannici i zabrali Mahmuda i Szirat! Zostaliśmy rozdzieleni. Biedny Mahmud był taki smutny!

Bajbars położył rękę na ramieniu dziewczynki.

* Mahbal (arab.) – cipa.

– Czy go jeszcze kiedyś zobaczę?

– Wierzę w to mocno – powiedziała Jeza – ratują go bowiem moi rycerze.

Wszedł strażnik i zameldował, że przybył Izz ad-Din Ajbek. Naczelny wódz wydawał się rozgniewany i zirytowany.

– Co to ma znaczyć? – parsknął Ajbek, którego zazwyczaj cechowała chłodna rozwaga. – Słyszę, że mamelucy zamierzają zaoferować francuskiemu królowi godność sułtana? Kto stoi za tym, jeśli nie wy?

Bajbars zaczął się śmiać.

– Czyżbyście znali mnie tak mało? – spytał. – Gdybym żywił tak obłąkańczy plan, byłbym dostatecznie mądry, żeby was przedtem zgładzić i przeprowadzić swój zamiar, nim jako pogłoska mógłby się zwrócić przeciwko mnie! Przysięgam, że nie mam z tym nic wspólnego i słyszę o tym z waszych ust po raz pierwszy.

Ajbek uspokoił się nieco.

– Czy uważacie za możliwe, że taki plan istnieje?

Bajbars przestał się śmiać.

– Myślę, że podobne urojenie zawsze znajdzie pożywkę w takiej niejasnej sytuacji: nie mamy władcy na sułtańskim tronie i ludzie skłaniają się ku królowi o mocnym charakterze, który wprawdzie jest naszym jeńcem, ale cieszy się wielkim poważaniem!

– Co proponujecie, emirze?

– Powinniśmy jak najszybciej wybrać władcę i... zabić króla!

Ajbek nie spodziewał się tak klarownej i brutalnej odpowiedzi.

– Wiecie, że cenię wasze zdanie – rzekł – ale nie zawsze je podzielam. Będę się starał, by winą innych nie obciążyć siebie i mameluków.

– Jeśli nie możecie znieść widoku krwi, postępujcie wedle własnego uznania – mruknął Bajbars – ale nie czyńcie mnie jeszcze raz za to odpowiedzialnym!

Baha Zuhajr odprowadził naczelnego wodza. Bajbars dyszał z gniewu, opanował się jednak, gdy jego spojrzenie padło na Jezę, która w milczeniu przysłuchiwała się burzliwej wymianie zdań.

– Czy chcielibyście zostać sułtanką? – zwrócił się nagle do dziewczynki.

Jeza popatrzyła mu prosto w oczy.

– Żaden naród nie może sobie rościć prawa wyłączności do królewskich dzieci! – Podniosła się i stanęła obok niego przy oknie. – My jesteśmy dla wszystkich, w przeciwnym razie na świecie nie zapanuje pokój!

Oboje długo spoglądali na daleką pustynię, która rozciągała się poza piramidami. Myśłami byli bardzo daleko.

– Kochacie Rosza?

– Nie mam nikogo innego – powiedziała Jeza cicho – należymy do siebie!

– A Mahmud?

- Mahmuda kocham jak brata. Jest przebiegły i cierpliwy. Powinien zostać sułtanem!
To zadowoliło Bajbarsa.
- Gdy przyjdzie czas... – westchnął.
- Tak – powiedziała Jeza – na to czekamy wszyscy.

VII

W CIENIU WIELKIEJ PIRAMIDY

– Jak się nazywasz? – William osaczył w kącie młodzieńką służącą z amforą na głowie. Chwycił dziewczynę za biodra. Nie mogła mu się wymknąć. Uniosła oczy, jej małe piersi falowały.

– Alisza! – wyrzuciła z siebie. Obydwoma rękami ujęła brzuchate naczynie w najszerszym miejscu i zaczęła przesuwając dłonie w górę z tak dwuznaczną powolnością, jakby chciała podpowiedzieć mnichowi pieszczotę. William poczuł, że ozdoba jego lędźwi zaczyna rosnąć.

– Gdybyście, dostojny panie – szepnęła – zechcieli na chwilę przytrzymać ten dzban...

Zabrzmiało to jak propozycja niepohamowanej zmysłowej rozkoszy. William, nie omieszkawszy po drodze pogłaskać piersi dziewczyny, wyciągnął ręce ku burzy jej ciemnych włosów i przejął ostrożnie ciężar.

Alisza oparła się o ścianę z podniesionymi wciąż rękami, jakby ochoczo oferując się zdobywcy. Zdjęła z głowy *ikal** i zaczęła powoli zsuwać się plecami po ścianie. William wstrzymał oddech w oczekiwaniu, ponieważ jej usta znalazły się teraz na tej wysokości, gdzie tłoczek mnicha coraz mocniej sterczał pod sukniem.

Dziewczyna jednak z kocią zręcznością rzuciła się w bok i umknęła rozkraczonemu mnichowi.

William z amforą w wyciągniętych rękach zobaczył przed sobą pustą ścianę. Cichnący w oddali śmiech wydał mu się zasłużony. Pozwolił się okpić. Postawił sobie amforę na głowie, ale przeredzony wianuszek włosów nie chronił przed uciskiem naczynia. Mnich zacisnął zęby i jak skruszony grzesznik ruszył w drogę do kuchni. Tam zamierzał dopaść kariatydę*.

* Ikal (arab.) – zwinięty w pierścień kawał tkaniny ułatwiający noszenie dzban na głowie.

* Kariatyda – podpora architektoniczna w kształcie postaci kobiecej, dźwigającej na głowie belkę, balkon itp.

Stawiając ostrożnie nogę za nogą szedł ciemnym korytarzem, oburącz podtrzymując mocno kołyszącą się amforę. Nagle natknął się na przeszkodę, akurat na wysokości brzucha, i zaraz potem zwinna mysz wślizgnęła mu się w okolice kroku, przeszukała szybko spodnie i mocnym, bolesnym chwytem ujęła oba jaja w gnieździe. William zachwiał się, usiłując zachować równowagę między zaatakowanymi genitaliami a chwiejnym ciężarem na głowie. Co zrobi, jeśli mysz przemieni się w lwicę, która swą zdobycz, gwałtownie pulsującą kość, wsunie z rozkoszą do paszczy, obliże szorstkim językiem i zacznie przeżuwać delikatnymi kaskami? Alisza miała jednak litość dla swej ofiary. Podniosła się zważając, by koniuszki jej piersi popieściły sterczącą ze spodni męskość, i odebrała Williamowi amforę.

Pociągnęła go teraz ze sobą przez korytarze, do których wpadało z góry mętne światło, przez spichrze ze zbożem i magazyny, gdzie stały w piasku amfory z oliwą. Nie zamienili ani słowa. W końcu wprowadziła go do ciemnego lochu, gdzie unosiła się woń spalonego drzewa. Znajdowali się nad wielkim dymnikiem pałacowej kuchni. William mógł spoglądać w dół, chociaż kłębiące się opary i unoszący się war przyprawiały go o łzawienie. Jakaś kobieta przy płycie kuchennej mieszała w różnorodnych garnkach i tyglach. Tłukła w móżdżerzu zioła i wsypywała je wraz z niewielką ilością jakiegoś proszku do kolby, w której na słabym ogniu wrzała bezbarwna ciecz.

– To moja matka! – wyjaśniła szeptem Msza. – Jest przygłucha, ale wyznaje się na wszelkiego rodzaju napojach.

– Także na miłosnych eliksirach? – spytał William kpiąco.

– Już wy chyba takiego napoju nie potrzebujecie, mój panie – zachichotała Alisza, zaraz jednak stała się dziecięco zatroskana. – Poczekajcie tu na mnie, zaniosę dzban i wrócę!

I już zniknęła. William spojrział w dół. Zobaczył teraz, że ktoś przycupnął tuż obok paleniska i wyjadał z głębokiej miski jarzynową zupę. Był to Abu Basit, sufi. Jaki dżin* przypędził go tutaj? Sufi jeszcze bardziej wychudł i posiwiiał; nie odzywał się, tylko chleptał zupę. Nagle mnich usłyszał wyraźnie głos Ezera Melchsedeka.

*Pamiętaj, byś nie zamienił
brzmień wiosny i szumów jesieni;
Saturn z kosą swawoli,
pożre swe dziecko powoli,
na czas nie ma sposobu,
zstępuje ten do grobu,
u kogo w rozkwicie młodości
Merkury z napojem gości,
kto na sok Wenus się waży,
serce z żołądkiem poswarzy.*

* Dżin (arab.) – zły duch.

Skrzekliwy monotonny głos skończył pieśń i przybrał normalne brzmienie.

– Czy zrobiłaś wszystko według poleceń, stara czarownico?

William wyciągnął się do przodu, ale nie mógł zobaczyć kabalisty, do tego kobieta podniosła teraz wzrok i toczyła gniewnie oczyma; musiała być dobrze opłacona albo mocno zastraszona, ponieważ wyraz jej twarzy zmienił się w uległy grymas, gdy znowu zwróciła się do niewidocznego Ezera Melchsedeka.

– Tak, mój panie i mistrzu. Jeden napój, nazywam go „cichym jeziorem na pustyni”, ponieważ mami spokojem i łagodnym spełnieniem, jest przeznaczony dla leciwych ludzi, aby ich wewnątrz się uspokoiło, aby jeszcze idąc zadrzemali, aż zmorzy ich sen. To ten – wskazała kolbę z bezbarwną cieczą. – Potrzeba trochę czasu, aż zyska pełną moc.

– Już dobrze, wspaniała *venefica** – pochwalił ją kabalista – twój napój osłabi królewskich strażników, przepływając przez ich кишки, ale co zagwarantuje mi śmiech dziewicy, w której krwi znajdzie się twój sok?

Teraz ukazała się Alisza. Matka przezornie wstrzymała się z dalszym opisem. William mógł z góry zajrzeć do amfory, ale co go bardziej zachwyciło, popatrzeć na krągłe piersi w wycięciu sukni. Odstawiła wdzięcznie naczynie i chciała znowu zniknąć. Matka popatrzyła na nią przenikliwie.

– Cuchniesz rują, Alisza! Zostaniesz tutaj i potniesz rzepę na cienkie plastry!

Dziewczyna spuściła głowę i zrezygnowana rozłożyła ręce, przez co posłała Williamowi ostatnie pozdrowienie swych mocnych marmurowych jabłek. Potem usiadła tak, że William już jej nie widział.

– Szybko, następny napój, miłosny! – naglił głos Ezera.

– Ten wznieca niepokój jak wiatr fale, pozwala zburzyć wszelkie przeszkody, sprawia, że serce tłucze się jak szalone, podchodzi do gardła, wyrывa się ku ofiarnemu nożowi, którym kapłan drgające, krwawe...

Matka Aliszy przerwała nagle, a czcigodny kabalista z żywością, której się po nim William nie spodziewał, przeskoczył przez kosz z rzepą i jak się zdawało, pospiesznie się ukrył.

– Ktoś idzie – usłyszał William głos Aliszy. – Diabeł!

Jej matka umilkła i tylko mieszała mętną ciecz w garnku na palenisku. Ciecz wrzała i z sykiem podnosiła się w naczyniu. Teraz dały się słyszeć wyraźne kroki i trucicielka trwoźnie popatrzyła na drzwi. Siwy sufi podniósł głowę znad miski i powiedział:

– Niebezpieczeństwo śmierci grozi wtedy – z całkowitym spokojem przełknął jeszcze łyżkę zupy – gdy ktoś pomyli napój „siedemdziesiąt siedem stopni do słońca” z „napojem powoli wywołującym odurzenie”.

* *Venefica* (łac.) – trucicielka.

Z prowokującą powolnością wychleptał resztę zupy, starannie wyskrobał miszkę, nie zwracając uwagi na zainteresowanie słuchaczy, tego w dymniku i tego w drzwiach, którego z góry nie było widać.

– Pierwszy jest trucizną, która nawet młodemu człowiekowi może porazić oddech i sprowadzić na niego sen śmierci, podczas gdy drugi, napój ekstazy, u osoby leciwej może doprowadzić do nagłego udaru serca.

– A więc nie zamieniajcie ich! – powiedział ktoś krótko.

William rozpoznał przybysza natychmiast po głosie: Iwo Bretończyk.

– Przeciwnie, właśnie je zamieńcie! – pouczył go sufi. – Zależy wam przecież na apatii koźlątka, żeby nie brykało, lecz ochoczo podało szyję rzeźnikowi!

– Co wiecie, starcze, czego ja sam jeszcze nie wiem? – parsknął Bretończyk nie podchodząc bliżej. – Powinienem was zabić na miejscu!

Pod słuchający bez trudu wywołał z pamięci twarz należącą do tego głosu. Pojawiła się przed nim jak z oparów dymnika, blada, z oczyma przekuwającymi poranną mgłę. Odkryty wóz z ciałami zabitych przetoczył się obok. William zadrżał.

Sufi nie uląkł się Bretończyka.

– Moje życie nie leży w waszym ręku, a wam niezbyt leży na sercu pomyślność króla, w przeciwnym razie nie przyprawialibyście go o zmartwienia!

Trzasnęły drzwi i koniec buta trącił w bok leżącego na brzuchu mnicha. William zobaczył nad sobą najwyższego strażnika haremu, naczelnego eunucha Gamala ad-Din Mohsena.

– Dlaczego was nie wykastrowano, Williamie z Roebroku? – westchnął z żalem eunuch.

W kuchni Alisza roześmiała się nad koszem jarzyn, podniosła rzepę i pocięła ją na plastry.

William wstał i poszedł za Gamalem Mohsenem, który znakomicie się wyznawał w labiryncie izb i korytarzy.

Po stromych schodach dotarli do drzwi, które Gamal Mohsen otworzył ostrożnie, gestem nakazując milczenie. Zdjął obuwie i polecił Williamowi zrobić to samo.

W pustym pomieszczeniu wznosiła się gipsowa kopuła, duża i krągła jak wezbrana mlekiem pierś. Podeszli bliżej na palcach. William oparł się ostrożnie na wybrzuszeniu. Na szczycie znajdowała się wystrugana z drzewa zatyczka, którą eunuch wyjął teraz końcami palców. Pod nią był niewielki otwór.

William zbliżył do niego oko i zobaczył wspaniałe łoże pokryte adamaszkiem i jedwabnymi poduszkami.

– Komnata sułtanki – objaśnił Gamal Mohsen pełen szacunku. – Co tam widzicie?

– Łóżko.

– I poza tym nikogo?

William przycisnął jeszcze mocniej oko do otworu. Teraz zobaczył mężczyzn.

– Jestem krótkowidzem – szepnął mnichowi do ucha naczelnemu eunuch. – Kto tam jest?

William ze strachu, że ludzie na dole mogliby go usłyszeć, mówił ledwie dosłyszalnym szeptem:

– Widzę namiestnika Husama ibn abi' Alego...

– On chce zabić króla, gdyż pragnie sam poślubić sułtanę...

– Nie mogę uwierzyć, żeby panu Ludwikowi przyszło do głowy odmawiać mu Szadszar ad-Durr!

– Co wy wiecie, mnichu, nie o prawach miłości, lecz o prawach rządzących dynastycznymi połączeniami... Kogo jeszcze widzicie?

– Ibn Wasila...

– Fałszywa żmija na piersi namiestnika! Zachowuje się tak, jakby był zawsze jego zdania, w rzeczywistości nastaje na życie księżniczki Jezy, aby sułtanka mogła poślubić króla Francji!

– Co Jeza ma z tym wspólnego? – syknął nieufnie William, ale eunuch uśmiechnął się tylko perfidnie.

– Kim jest trzeci mężczyzna? – spytał. – Nazywają go Jusufem, jest podobno skrytobójcą, którego można kupić...

William poczuł się jak oblany warem. Wstrzymał oddech, potem podniósł głowę i zatkał otwór ręką.

– Trzeci to Iwo Bretończyk.

– Namiestnik polecił mu zamordować waszego pana Ludwika!

– Toż to urojenie, czyste szaleństwo! – wyszeptał William. – Bretończyk jest człowiekiem króla!

– No właśnie! – powiedział Gamal Mohsen. – Tym lepiej! Może mu więc w nocy poderznąć we śnie gardło i winą obciążyć asasynów.

– Czekajcie, teraz jeszcze ktoś przyszedł... Baha Zuhajr, lecz nie mogę dosłyszeć, co mówi.

– Ale ja usłyszę – uśmiechnął się nadzorca haremu i przycisnął ucho do kopuły. – Twierdzi, że przyszedł na polecenie Bajbarsa, który żąda śmierci księżniczki. Powinno to wyglądać jak mord rytualny, czyn fanatyka. Ibn Wasil zwraca się chyba do tego Jusufa: „Mój pan oczekuje, że zobaczy serce i oczy księżniczki, a także kosmyk jej jasnych włosów”. Wasz Bretończyk jest chyba bardzo małomówny. Nie mówi ani tak, ani nie...

William wyprostował się.

– Nikt nie wie, do czego Bretończyk jest zdolny. Nie mogę w to wszystko uwierzyć – powiedział wstrząśnięty.

Opuścili pomieszczenie z kopułą i mnich pospieszył za eunuchem schodami w dół.

– Nie musicie wierzyć – odparł nie zatrzymując się Gamal Mohsen. Podniósł jak dźwignię drewniany pręt w poręczy schodów. Stopnie, na których znajdował się William,

usunęły się i mnich runął w dół. – Brakowało mi tylko świadka, na wszelki wypadek! – zawołał w ślad za nim eunuch.

William nie spadł głęboko i wcale się nie potłukł. Tylko że pomieszczenie, w jakim się znalazł, nie miało żadnych drzwi i otwierało się jedynie ku schodom na górze.

– Muszę być pewny, że następnym razem łatwiej was znajdę, jeśli będę was potrzebował, Williamie, wszelako dziękuję wam!

Gamal Mohsen przesunął dźwignię z powrotem i szybko się oddalił.

Z diariusza Jana ze Joinville

Giza, 8 maja A.D. 1250

W nocy przed Wniebowstąpieniem zjawiłem się z Ezerem Melchsedekiem w kwaterze joannitów. Po złożeniu przysięg przez obie strony ustalono, że jutrzejszego dnia zacznie się odwożenie nas do Damietty. Można by przyjąć, że to wydarzenie zajmowało wszystkie umysły, ale zakon szpitalników świętego Jana w Jerozolimie myślał szerzej i dalej, był ponad przyziemnymi sprawami codzienności.

Kto z kapituły zakonu przeżył wojnę i dotychczasową niewolę, zgromadził się wokół pana Jana z Ronay. Przedstawiłem mu kabalistę, którego tak dalece wyposażyłem w podarowane mi przez Raszida szaty, że wróżbita nie mógł mi przynajmniej z wyglądu przynieść żadnego wstydu. Można nawet powiedzieć, że w ozdobionym perłami wysokim turbanie wyglądał naprawdę godnie. Zajęliśmy miejsca przy długim stole i gdy niżsi rangą opuścili namiot, pan Jan natychmiast zagał rozmowę.

– Stosownie do okoliczności, które doprowadziły do niepożądanego przez nas rozłączenia królewskich dzieci i ze względu na to, że nieprzychylni nam niewierni knują diabelskie plany, musimy teraz zacząć działać w wiadomej sprawie. Moce ciemności trzymają nas wprawdzie jako więźniów, ale *spiritus Iohannis*^{*} nie da się pokonać.

Wszyscy przytaknęli, a on ciągnął dalej.

– Uważam to za znak niebios i patrona naszego zakonu, że pozostało przy nas jedno z królewskich dzieci, Jeza, córka z rodu Graala i Hohenstaufa. – Znowu wszyscy w milczeniu potwierdzili skinieniem głowy swą satysfakcję z powodu tego nad wyraz udanego zmieszania krwi. – Domowi Kapetyngów natomiast, królowi Francji, cóż za cudowna symbolika tkwi we wszystkim, czemu Pan Nasz pozwala się wydarzyć, właśnie niedawno, w godzinie najwyższej próby, urodziło się w mieście Dumjat dzieciątko, chłopiec, nazwany Tristanem.

Pan Ronay zrobił pauzę i rozejrzał się wokół żądny poklasku.

* Spiritus Iohannis (łac.) – duch Jana.

– Cóż to jest dziesięć lat różnicy, gdy idzie o królewską krew? Uczyńmy Jeżę Izoldą Tristana^{*}, pozwólmy cudowi bożonarodzeniowej nocy z Betlejem połączyć się ze świętem Zmartwychwstania... – Nie mógł mówić dalej, zmogło go wzruszenie.

Jakiś leciwy rycerz zakonu zaintonował drżącym głosem *Da laudis*:

*Verbum, quod erat in principio, o,
virginis in utero verbo fit caro.*

Inni zaraz podchwycili pieśń i nocą rozbrzmiał potężny hymn.

*O verbum, verbum, verbum fit caro,
o fit caro verbum, quod erat in principio:
Gloria patri sit ingenio, o,
nato quoque hodie eius filio,
o nato, nato, nato, nato hodie,
o nato hodie cum sancto flamine. Amen.*

Popatrzyłem na Melchsedeka, ten nie powiedział jednak nic, tylko dyskretnie wskazał mi wejście do namiotu. Stał tam wzburzony marszałek Peixa-Rollo i próbował znakami zwrócić na siebie uwagę śpiewającego z wielkim zapalem mistrza. Udało mu się to dopiero, gdy przebrzmiał ostatni ton.

– Umieścili na namiocie króla insygnia sułtańskie! – zawołał wzburzony.

– Na namiocie króla Ludwika?

– Tak, proponują mu panowanie!

– Kto? Mamelucy?

– Spokój! – zawołał pan z Ronay i uderzył buławą w stół. – Widzieliście to na własne oczy?

– Tak – odparł marszałek.

– A co na to król?

– Poszedł do łóżka. Chce się z tym pomysłem przespać.

– Bądź pochwalona, Maryjo, królowo łaskawa! – wyrwało się mistrzowi. – Pobłogosław śpiącemu! – Popatrzył na mnie i Melchsedeka. – Nam sen nie jest dany, gdyż to zmienia sytuację: król Ludwik sułtanem!

Poczułem się wezwany do wygłoszenia własnego zdania.

– To ulży naszej doli...

– Co to znaczy? – wpadł mi w słowo marszałek. – Jesteśmy znowu panami sytuacji!

Pominałem jego wymówkę.

^{*} Tristan i Izolda – legendarna para kochanków.

– Zakładając zgodę króla i sułtana, możemy teraz wziąć pod uwagę każdy wariant, który służy sprawie. Z dużym wysiłkiem odrestaurowaliśmy księcia Francji, bez zarzutu i prześlizgnięcia, jak stwierdza nasz Ezer Melchsedek. Z niezwykłym trudem przywieźliśmy go tutaj i zdeponowaliśmy w wielkiej piramidzie. – W namiocie zrobiło się teraz cicho, oczy wszystkich zawisły na moich ustach. – Czy chcemy o Robercie z Artois, naszym bohaterze, po prostu zapomnieć? Z nim zawrzyjmy transcendentálny związek między Kapetyngiem, Hohenstaufem i Graalem. *Sacra nuptialia* * po *resurrectio symbolica* *!

– Dlaczego z nim, a nie od razu z królem? – zakpił marszałek Leonard.

– Ponieważ żyje królowa i król z pewnością naraziłby się na zarzut bigamii – pouczyłem marszałka.

– Związek taki, *coniunctio* * dałby także pierwszeństwo panom rycerzom od świętego Jana – zabrał teraz głos Ezer Melchsedek – musi on zostać zawarty w piramidzie, i do tego jutro w nocy albo... nigdy!

– A więc – zaatakowałem – Jeza i Robert z Artois?

– Nie! – oświadczył Jan z Ronay. – Jeza i Ludwik, król, a zarazem i sułtan!

Wszyscy milczeli zaskoczeni, tylko ja zapytałem w całkowitej ciszy:

– A jak chcecie to usprawiedliwić przed Kościołem i prawem?

– Całkiem prosto, drogi hrabio Joinville. Będzie to tak zwany ślub *per procura*, taki jak niegdyś w Tyrze zawarł w zastępstwie cesarza arcybiskup z Jolantą z Brienne. * Król Ludwik jako zastępca swego syna Tristana!

– I jak chcecie nakłonić do tego pana Ludwika, który nigdy jeszcze nie widział królewskich dzieci?

– Drogi Joinville, nie doceniacie sławy córki Graala i cesarza, z którym pan Ludwik pozostaje złączony więzami miłości i wierności.

Spodobała mi się rola *advocati diaboli*.

– Dajmy na to, że królowi Francji miłe są dalsze związki krwi ze swym kuzynem Fryderykiem, pozostaje jeszcze piramida! Jak zamierzacie zwabić go tam po nocy?

– Mam już człowieka, który rozwiąże ten drobny problem – rzekł Jan z Ronay tajemniczo i z dumnie wypiętą pierśią dorzucił: – Do tego, jak się wydaje, nie starcza wam wyobraźni.

Żegnajcie, synekury, lenna i nagrody! – przebiegło mi przez głowę. Powiedziałem jednak ze spokojem, acz złośliwie.

– Wszelako pozwolę sobie być na miejscu, aby wkroczyć, gdy wasza fantazja zderzy się z mocami, których teraz i tutaj nie możecie sobie jeszcze wyobrazić. *Pacta sunt servanda*, szanowny mistrzu!

* *Sacra nuptialia* (łac.) – święte zaślubiny, wesele.

* *Resurrectio symbolica* (łac.) – symboliczne zmartwychwstanie.

* *Coniunctio* (łac.) – połączenie.

* Ślub w Tyrze – w r. 1225 Fryderyk II poślubił oficjalnie w Brindisi Jolantę de Brienne. Przedtem arcybiskup Tyru w zastępstwie cesarza poprowadził małoletnią do ołtarza i zostało zawarte małżeństwo *per procura*.

– Bez urazy, drogi Joinville, także ja trwam przy moim słowie. Błagajmy teraz Maryję o pomoc i opiekę! – zwrócił się do wszystkich.

*Ergo maris stella,
verbi Dei cella
et solis aurora,
Paradisi porta,
per quam lux est orta,
natum tuum ora.
Ut nos solvat a peccatis
et in regno claritatis
quo lux lucet sedula,
collocet per secula.
Amen.*

Giza, 9 maja A.D. 1250

Następnego ranka wszyscy, którzy mieli odpowiednią rangę i nazwisko, otoczyli czerwony namiot króla, aby podziwiać umieszczoną w ciągu nocy chorągiew i tarczę herbową władcy Egiptu.

Król nie opuszczał pawilonu słusznie, ponieważ nie miał jeszcze jednoznacznej odpowiedzi. Naradzał się z braćmi, ale plotki przenikały szybciej przez ściany namiotu, niż dało się zrozumieć ożywione głosy. Pan Karol był absolutnie przeciwny, mówił o „pułapce niewiernych”. Pan Alfons obawiał się osłabienia władzy w kraju rodzinnym – gdyby Ludwik się obarczył godnością sułtana Kairu, a przecież godność ta absorbowałaby go bardzo i zmuszała do częstego przebywania z dala od Francji, bez wątpienia wykorzystalby sytuację król Anglii.

Podstawowe pytanie, które rozstrzygnąć może tylko patriarcha, jeśli już nie papież, brzmi: jak da się pogodzić nieoczekiwany uzyskany tytuł z obrazem arcychrześcijańskiego króla? Przecież sułtan jest również duchowym zwierzchnikiem swego narodu!

Ciekawość czekających na zewnątrz została w końcu nagrodzona. Z wielką pompą przybył Baha Zuhajr i został przyjęty przez króla. Wciąż jeszcze z wyłączeniem publiczności – przed czerwonym namiotem zjawilo się tymczasem wielu Saracenów – potwierdził, że emirowie państwa gorąco pragną, by pan król przyjął godność sułtana. Był swojej sprawy tak pewien, że od razu rzucił się na ziemię, aby pierwszy złożyć hołd nowemu władcy. Jednakże pana Ludwika wciąż dręczyły wątpliwości.

Mikołaj z Akki, kapelan królewski, jedyny zachował trzeźwe spojrzenie.

– Nawet jeśli to posłuży tylko naszemu szybkiemu wyniesieniu się stąd – zauważył oschle – bez stracenia dalszych ludzi, a przede wszystkim bez konieczności płacenia olbrzymiego okupu, to przyjęcie tej propozycji już się opłaca.

Ten tok myślenia nie podobał się panu Ludwikowi.

– Nie powinien mnie przynaglać – powiedział do konetabla wskazując Bahę Zuhajra, a konetabl z przyjemnością oświadczył wysłannikowi:

– Jego Królewska Mość żąda czasu do namysłu przed podjęciem tak doniosłej decyzji!

Baha Zuhajr opuścił namiot wraz ze swym orszakiem. Wydawało się, że jest obrażony.

Na zewnątrz, w takiej odległości od namiotu króla, by wszyscy dobrze widzieli, przygotowywano nowe widowisko. Oddział żołnierzy, na których czele przyjechał na paradnie przystrojonym wielbłądzie naczelnny eunuch Gamal ad-Din Mohsen, doprowadził do pała mężczyznę z obnażonym torsem. Przywiązano go mocno z rękami ponad głowę.

Był to Raszid al-Kabir, tłumacz tak niecierpiany przez pana Ludwika. Na znak naczelnego eunucha żołnierze zaczęli chłostać grzbiet skazanego, podczas gdy pan nad wszystkimi pałacami przed czerwonym namiotem z pomocą sługów zszedł z wielbłąda. Przybył również po to, aby złożyć uszanowanie nowemu władcy. Na widok insygniów sułtana rzucił się od razu na ziemię, nim konetabl zdążył zaprosić go do namiotu.

Z liczne orszaku, który niósł szkatuły z kosztownościami i drogocenne upominki, wystąpił teraz ku zdumieniu wszystkich mój sekretarz, od dawna zaginiony William z Roebruku. Gamal ad-Din Mohsen kazał mu klęknąć przed królem i oznajmił uroczyście:

– Ów odstępca od wiary – wskazał za siebie na wijącego się pod razami i spływającego krwią Raszida – którego przez wzgląd na Waszą Królewską Mość poleciłem zasłużenie ukarać, ten odszczepieniec spowodował zniknięcie waszego tłumacza, aby samemu zająć jego miejsce i swoją niegodną osobą ubliżyć Waszej Królewskiej Mości.

Kazał swoim sługom, wyłącznie ciemnoskórym chłopcom, rozłożyć przed królem kosztowności, złociste tkaniny oraz wysadzane drogimi kamieniami misy i puchary.

– Egipt prosi o wybaczenie za tamto zajście!

William przetłumaczył jego słowa, wciąż jeszcze na klęczkach.

– Nie mówmy już o tym! – zawołał król, dla którego to wszystko było przykre. – Tamtemu grzesznikowi tylko Bóg może wymierzyć sprawiedliwą karę.

Naczelnny eunuch wysłał natychmiast sługę z poleceniem, aby zakończono chłostę Raszida, a William wstał zakłopotany. Wydawał się zastraszone, ledwie podniósł wzrok na króla i jego braci. Naczelnny eunuch ciągnął teraz dalej przemowę jak ktoś, kto jest pewien swojej sprawy i ma do wyjaśnienia tylko kilka szczegółów.

– Najwyższy pan nad pałacami, szlachetny Gamal ad-Din Mohsen – tłumaczył monotonna William – wskazuje najniższej, że od pełnych chwały czasów faraonów każdy

władca Egiptu przed objęciem urzędu musi jedną noc spędzić w piramidzie; tego wymaga zwyczaj...

W tym momencie wszedłem do czerwonego namiotu i jeszcze usłyszałem, jak mój pan Ludwik oburzony wyrzucił z siebie coś w rodzaju „pogańskie przesady!”, co mój William jednak pomiął. Od razu pozwoliłem sobie zwrócić uwagę, że może jest niemądrze odrzucać porywczco ofertę, bo emir Ajbek mógłby się obrazić, a Bajbars jest zawsze gotów do zabójstwa!

To zrobiło wrażenie na królu, a William zebrał siły i z przelęknionym, jak mi się zdawało, spojrzeniem rzuconym na Anjou powiedział cicho i szybko:

– Chcą was zabić dziś w nocy! Jedynym bezpiecznym miejscem jest piramida! – I dorzucił pełen trwogi: – Niech Wasza Królewska Mość coś powie, żebym mógł przetłumaczyć!

Król obdarzył Gamala Mohsena wymuszonym uśmiechem i rzekł:

– To wielki zaszczyt dla mnie, tak nagły i nieoczekiwany, że wszyscy chcemy udać się na naradę, aby znaleźć uroczystą formę, która będzie godna i odpowiednia do znaczenia takiego kroku.

Mój sekretarz zrobił z tego w swym skrzeczącym arabskim chyba coś w rodzaju przyrzeczenia, ponieważ zobaczyłem, iż eunuch promienieje radością. Skłonił się przed królem i jego braćmi.

– Poczekam przed namiotem na rozstrzygnięcie. *Afhimuhu fi anna la chijara lahum!**

Gamal ad-Din Mohsen wycofał się z ukłonem. William przetłumaczył:

– On nie chce przeszkadzać w obradach i ma nadzieję, że Allah was oświeci i przy zapadnięciu zmroku pozwoli wykonać właściwy krok.

– Pójdę z wami, Wasza Królewska Mość! – zaoferował się konetabl, co Anjou skwitował kpiąco:

– A ja położę się dziś w nocy w waszym łóżku, zobaczymy, co się stanie!

– Wydaje mi się, moi panowie – powiedział król ze smutkiem – że już powzięliście decyzję, nie poprosiwszy o pomoc świętych ani nie spytawszy Naszego Pana Jezusa Chrystusa...

– Kościół – dał się słyszeć głos kapelana – nie widzi w tym procederze nic niedozwolonego, z drugiej strony pogański zwyczaj nie jest też dla niego wiążący. Jeśli więc jutro albo kiedykolwiek indziej oświadczyte, że chcecie zrezygnować z tytułu, godności i brzemienia, nie będziecie niczym związani.

– Chcę jednak – powiedział pan Ludwik zdecydowanie – poddać się niebiańskiej mocy mojej wiary; ona kazała mi pociągnąć na wojnę o ten kraj, który straciłem. Teraz odnoszę zwycięstwo, ponieważ podoba się Bogu na Jego sposób podarować nam tę ziemię obiecaną. Tej woli muszę być posłuszny.

* *Afhimuhu fi anna...* (arab.) – Oni nie mają żadnego wyboru, wytłumaczcie im to!

W namiocie dało się słyszeć westchnienie ulgi. Król usiadł przytłoczony ciężarem swej decyzji, ale jakby z aureolą wokół głowy, co jest udziałem tylko wybranych.

– Zawołajcie rzeźnicę – oznajmił – i powiedzcie mu, że dziś wieczorem będziemy gotowi!

William pospieszył na dwór i przyprowadził Gamalę Mohsena do namiotu, gorliwie do niego przemawiając. Naczelnny eunuch padł w milczeniu na kolana, pokrył pocałunkami wyciągniętą rękę monarchy i oddalił się. Chciałem także odejść, ale konetabl mnie zatrzymał.

– Swojego sekretarza i zawodnego tłumacza, nie wiedzieć czemu nie dostał on batów – wtrącił mrukliwie – możecie sobie zabrać, seneszalu. Pan król nie potrzebuje już jego usług i miejmy nadzieję, nigdy nie będzie potrzebował! – dorzucił na zakończenie.

William skłonił się przed królem.

– Wasza Królewska Mość może mnie przepędzić jak psa, ale jeśli będziecie mnie potrzebować, jestem zawsze na wasze wezwanie.

Król uśmiechnął się łaskawie.

– Będziemy o was pamiętać, Williamie z Roebruku!

Mój sekretarz opuścił wraz ze mną pawilon.

– Nie rozumiem obrzezanych – zwierzył mi się, ledwie się znaleźliśmy poza zasięgiem głosu. – Partia dworska jest przecież za skojarzeniem naszej Jezy z niejakim Musą, dzieckiem jeszcze!

– Jakie to ma znaczenie – pouczyłem go – i kto wam powiedział, że partia dworska, a więc kamaryla zgrupowana wokół sułtanki, przemawia jednym głosem?

– Mogą być zgodni – dodał mój przebiegły William – nie tylko by naszego króla wywyższyć, lecz także by go usunąć!

– No, jednak się już czegoś nauczyliście przy szachach. Królowi grozi niebezpieczeństwo, jeśli wejdzie do piramidy i jeśli do niej nie wejdzie. Musimy zatem się zatroszczyć, żeby nikt więcej nie dostał się do wnętrza. Naturalnie poza Jeżą!

– Jeza? – przeraził się William. – Dziewczynka jest bardziej zagrożona niż wszyscy inni. Iwo Bretończyk jest tutaj!

– Wiem, dlatego nie zdołaliście przed królem otworzyć gęby ze strachu, że Anjou mógłby wam ją zatkać na zawsze. Z Bretończykiem musimy się liczyć, ale kto poza tym miałby jeszcze Jezie zagrozić?

– Sułtanka nie pozwoli się przez nią zrzucić...

– Sułtanka?

– Tak, Szadszar!

– Kto może pomóc?

– Tylko jedna osoba! – odparł mój William i zostawił mnie, nie wyjaśnwszy, o kogo chodzi.

Po południu sułtanka Szadszar ad-Durr kazała forsownym marszem zanieść się w lektyce z Kairu do Gizy. Zażądała natychmiast od Ibn Wasila, żeby ją zaprowadzono do pałacu, do jej komnat. Kronikarz tłumaczył, że wzbudziłoby to niepotrzebną sensację, ponieważ tam zatrzymała się jej rywalka, i z trudem udało mu się odwieść sułtankę od tego zamiaru.

Nie powinien był przypominać o Jezie, teraz bowiem Szadszar pluła jadem i żółcią, chciała z miejsca udać się do harem, ażeby małej uzurpatorce własnymi paznokciami wydrapać oczy, obciąć nos i małe piersi, jeśli już jej wyrosły. Prawie siłą, wśród wielu usprawiedliwień ze strony Ibn Wasila i straszliwych przekleństw sułtanki, zanesiono ją nad Nil, aby na zakotwiczonym tam statku poczekała do wieczora. O rytualnym spotkaniu z królem Ludwikiem nikt jej nic nie powiedział.

Szadszar czekała na schadzki ze swym potajemnym kochankiem Husamem ibn abi' Alim, który ją powiadomił, że spodziewa się u jej boku opuścić piramidę jako nie kwestionowany przez nikogo regent Egiptu. Nie uważała go za szczególnie uzdolnionego do tego urzędu, ale właśnie próżność i słabość niedawnego namiestnika Kairu obiecywały jej, Szadszar ad-Durr, Matce Halila, niezakłócone kontynuowanie rządów, do których się już przyzwyczaiła.

A teraz z powodu jakiegoś chrześcijańskiego dziewuszyska musiała tkwić na zwykłej transportowej barce jak jakaś...

– Przysięgnijcie mi, Ibn Wasilu, że dziś w nocy zakłujecie na moich oczach tę hurysę, w przeciwnym razie nie zrobię żadnego kroku w stronę piramidy!

Kronikarz przysiągł na klęczkach, zastanawiając się jednocześnie, jakie to jest uczucie, gdy się człowieka zabija własną ręką.

Tak czy tak zresztą zamierzał pozbawić księżniczkę młodego życia, ale bynajmniej nie w krwawy sposób, nie znosił widoku krwi. Myślał o uduszeniu Jezy za pomocą jedwabnego sznura. To jednak nie było jego zamierzenie, zwerbowało przecież Jusufa, którego poprzedzała sława skrytobójcy bez skrupułów, niezawodnego, nadto umiejącego milczeć.

Przyjaciół i protektor Ibn Wasila, Husam, wybrał na miejsce swego działania wejście do piramidy, z którego zamierzał skorzystać król. Jusuf, polecony przez Bahę Zuhajra, będzie chyba czatował wewnątrz piramidy. Ten człowiek robił wrażenie, że rozumie się na swoim rzemiośle i wart jest swojej ceny. Jedno tylko było niepokojące – przyprowadził go niepewny Baha Zuhajr. Temu pozał się Boże poecie nie można było ufać.

Ustalono, że gdy Jusuf wyjdzie z piramidy, będzie to znak, że król i dziewczynka nie żyją. Wtedy Husam będzie mógł tam wejść. Dla pewności namiestnik nosił w turbanie trzy zatrute szpilki, które własnoręcznie, choć nie da się ukryć, że drżącymi palcami, zanurzył w jadu żmii; jej śmiertelne ukąszenie niegdyś zabiło Kleopatę. To odpowiednia metoda na usunięcie z drogi królewskiego rywala, gdyby Jusuf zawiódł. Husam ibn abi' Ali nie wiedział wprawdzie dokładnie, jak miałby użyć trucizny, ale sposobność na pewno się znajdzie. Musi się znaleźć! W przeciwnym razie nic już nie będzie mógł przeciwstawić, gdy Ajbek sięgnie

po regencję, a Szadszar z pewnością zadowolony się mamelukiem, gdyż za wszelką cenę chce pozostać strażniczką sultańskiej pieczęci.

Gamal ad-Din Mohsen w najgłębszej tajemnicy kazał sprowadzić do Gizy małego Musę, czteroletniego chłopca. Strażnik wszystkich pałaców był władny wydać takie polecenie. Umieścił chłopca u Jezy, w haremowym pokoju, przedstawiając go jako Al-Aszrafa i polecając jej opiece. Mieli się razem bawić. Mały był tak zmieszany i spłoszony, że się od razu zmczył. Jeza położyła go na łóżku i z pomocą Aliszy zmieniła pieluszki.

Jakże wstętnie, pomyślała, jak okropnie wyglądałby piękny siusiak Rosza okaleczony w taki sposób jak u Musy. Alisza zauważyła jej zainteresowanie, roześmiała się i spytała, czy Jeza ma już *hajd**. Jeza nie zrozumiała i Alisza wyjaśniła jej:

– Staniesz się prawdziwą kobietą dopiero wówczas, kiedy co miesiąc będziesz mieć krwawienie. Wtedy może cię osiąść mężczyzna.

– Ach tak... – Jeza poczerwieniała ze wstydu, że nie wiedziała czegoś tak ważnego. Ucieszyła się, gdy z kuchni przyniesiono kolację i Aliszę tam odwołano.

Posadziła małego Musę obok siebie i jedząc zaczęła karmić chłopca. Posiłek składał się z kaszy jaglanej ze zsiadłym mlekiem oraz soku owocowego. Musa pobrudził się, chciała go wytrzeć, ale poczuła się nagle zbyt zmęczona, przyjemnie znużona; malec także gapił się na nią apatycznie.

Z otwartymi oczyma popadli oboje w zupełną obojętność, jakby niewidzialna siła, przezroczysta mgła o niezwykłym ciężarze przycisnęła ich do siedzeń, nie mogli już nawet poruszyć rękoma...

Bajbars zwołał do swojej wieży mameluckich emirów, na których wedle swego przekonania mógł liczyć, i uprzejmie ich ugościł.

– Przyjaciele – przeszedł potem ostrożnie do sprawy – jeśli chcecie poznać moje zdanie, a jest ono wynikiem długich przemyśleń, to powinniśmy pozbyć się króla raz na zawsze, podobnie jak wszystkich jego dostojników. – Nie pozwolił zdumionym emirom w ogóle dojść do słowa. – W ten sposób mielibyśmy zapewniony spokój na najbliższe lata. A to jest więcej warte niż czterysta tysięcy liwrów, Dumjat zaś tak czy tak nam przypadnie.

Część emirów poczuła się niemile dotknięta, część w pełni podzielała jego zdanie. Pierwsi milczeli, drudzy podnieceni rwali się do głosu.

– Mogliśmy wszyscy zobaczyć na własne oczy – zawołał któryś – że ta pałacowa banda, ci zwolennicy Ajjubidów, już zawiesiła frankońskiemu królowi na namiocie insygnia sultana, godność naszej władzy, sultanatu w Kairze, o co walczyliśmy, dla czego cierpieliśmy i narażaliśmy nasze życie!

Wielu przyznało mu rację.

* Hajd (arab.) – menstruacja.

– Śmierć cudzoziemcom! Egipt dla muzułmanów! – ryknęli i nie zważali na to, że do sali wszedł Izz ad-Din Ajbek ze swoją gwardią przyboczną. Rzucił Bajbarsowi ponure spojrzenie i poczekał, aż hałas się uspokoi.

– Tak jak dworska kamaryla nie jest upoważniona do nadawania tytułu sułtana Egiptu – oznajmił donośnie – tak i wy nie jesteście uprawnieni do odrzucenia zaprzysiężonych układów!

Zapadła cisza. Ajbek, ich naczelny dowódca, nie uchodził za człowieka okrutnego i nie budził strachu jak Bajbars, ale umiał zapewnić sobie posłuch.

– Jeśli zabijemy króla, po tym jak zgładziliśmy naszego własnego sułtana, cały świat, i Wschód, i Zachód, będzie nas wytykał palcami z pogardą i... z całkowitą słusnością!

Odwrócił się do Bajbarsa, który trzęsąc się z gniewu musiał wysłuchać wyrzutów, nikt bowiem nie posunąłby się tak daleko, żeby podnieść rękę na Ajbeka; poza tym naczelny dowódca stał w drzwiach i miał odwrót wolny, a wieża Bajbarsa była z pewnością otoczona. Pamiętając, jak żalosny koniec spotka! Turanszaha, Bajbars skłonił się na zgodę, to jednak nie wystarczyło Izz ad-Din Ajbekowi.

– Macie z pewnością pod ręką księgę proroka? – spytał prowokująco.

Bajbars sięgnął za siebie i wręczył zwierzchnikowi kosztownie oprawiony w skórę Koran. Zaszleściły przewracane pergaminowe karty, potem Ajbek powiedział, nie zaglądnij do środka:

– Tutaj jest napisane: *Jadžibu alajka an tahfaza sajjidaka wa-ahrusku misla ajnajka* *.

Oddał księgę Bajbarsowi, który teraz nie mógł się już powstrzymać.

– Po pierwsze – warknął – nie chodzi tu wcale o naszego władcę! Do tego właśnie nie chcemy dopuścić. W przeciwnym razie będziemy wszyscy musieli przejść na wiarę chrześcijańską! – Jego słowa wniosły trochę wesołości w napiętą atmosferę. – A następny werset mówi: *Li hifz al-akida wa-harasatihi jadżibu alajka an tukatil al-aduww* *. Czy nie musimy stawiać wyżej nakazu Mahometa niż układów z niewiernymi?

Znowu w przepelnionym pomieszczeniu rozległy się okrzyki nienawiści i buntu. Ajbek podniósł rękę, jego głos był teraz lodowaty i ostry:

– Emir Bajbars opuści natychmiast to miejsce i nie zbliży się do niego ani o krok mniej niż na milę do jutrzejszego wieczora! Wszyscy inni złożą broń! – Ajbek poczekał, aż dowódca spiskowców wybiegnie z komnaty. – Ostudźcie swój zapal na polowaniu – poradził prawie po przyjacielsku, gdy Bajbars był już w połowie schodów – samotność pustyni dobrze wam zrobi!

Potem sam także zeszedł na dół wraz ze swą gwardią, ani raz nie odwracając się w stronę buntowników. Emirowie zostawili miecze w wieży, rzucili je na podłogę.

* Jadżibu alajka... (arab.) – Powinieneś swego władcę strzec i bronić jak swego oka.

* Li hifz al-akida...(arab.) – Aby wiary strzec i bronić, powinieneś jej wrogów zabijać.

Wieżę otaczała setka sudańskich żołnierzy, którzy właśnie przybyli z Kairu. Trzymali hebanowe oszczepy skierowane ostrymi końcami ku ziemi. Obok każdej piątki stał gliniany garnek, z którego wybiegały płomyki greckiego ognia. Czarnoskórzy wojownicy z błyszczącymi oliwą nagimi torsami czekali tępo na komendę, aby swe oszczepy zanurzyć w płonącej smołowej masie. Rozkaz taki mógł im wydać tylko Husam ibn abi' Ali. Namiestnik przywołał oddanych sobie Sudańczyków do Gizy, by dla niego zabili króla, a przy tej okazji również emira Ajbeka, jego rywala. Sudańczycy nie żywili żadnych wrogich zamiarów wobec mameluków w wieży.

Dwoje oczu śledziło te wydarzenia przenikliwym spojrzeniem. W półmroku tylnego wejścia, prowadzącego do pałacowej kuchni, stał ukryty za filarem mężczyzna, którego pewne osoby na dworze sułtana znały jako Jusufa. Nikt nie wiedział, skąd przybył i kto go właściwie wprowadził. Jako *mudżrim** uchodził za niezawodnego, chociaż nikt go nie wypróbował w wykonywaniu rzemiosła. W chrześcijańskim obozie przezornie się nie pokazywał.

Iwo Bretończyk, były królewski strażnik przyboczny, popadł u króla w niełaskę i tak kategorycznie został wypędzony z jego otoczenia, że podobno pan Ludwik nawet w największej potrzebie nie skorzystałby nigdy z jego usług. Bretończyk jednak mimo zakazu był tutaj, niektórzy to podejrzewali, jeden człowiek wiedział na pewno.

Ezer Melchsedek pojął natychmiast, kto w mrocznym kuchennym wejściu chwycił go za gardło. Poczuł chłód noża i przewidział od razu zamiar nieznanego, bo wyrzeźbił:

– Uczynię wszystko, czego ode mnie zażądacie.

Skrytobójca pociągnął Melchsedeka żelaznym chwytem głębiej w ciemność korytarza i dał mu zaczerpnąć akurat tyle powietrza, żeby się nie udusił.

– Opiszcie mi miejsce, gdzie ukryliście księcia!

Ezer Melchsedek poczuł, jak szpony rozluźniły się, odetchnął głęboko.

– Problem w tym, mój panie, skąd się patrzy: od przodu czy od tyłu, z góry czy z dołu?

Napastnik znowu ścisnął mu gardło.

– Od Bramy Królów!

Kabalista wydyszał:

– Pójdziecie przez małą salę, miniecie pierwszy szyb powietrzny. Gdy wejdziecie po schodach Tota, zobaczycie, że kończą się one stożkowato zwężającym się kanałem, w którym w dniu letniego przesilenia pokazuje się Syriusz.

– Nie zamierzam tutaj czekać do letniego przesilenia!

– Wszelako wejdziecie do kanału. W środku jest otwór, jakby drzwi zapadowe. Nie przeskakujcie ich, lecz wejdźcie na nie. Kamień się opuści, a wy znajdziecie się w przedsionku z grobowcem u waszych stóp!

* Mudżrim (arab.) – zabójca.

Nieznajomy milczał. Ezer Melchsedek czuł jego oddech na twarzy, a chłód stali na szyi.

– Dlaczego was nie zabijam?

– Ponieważ nie wiecie, czy nie kłamię, mój panie, a potem nie będziecie już mogli nikogo zapytać o drogę.

– Nie, ponieważ mam dla was zadanie, skoro mi udowodniliście, jak doskonale kłamiecie!

Z drugiego końca korytarza, od kuchni, nadszedł powłócząc nogami Abu Basit, chudy sufi. Trzymał w rękach dwa bukłaki z koziej skóry i wywijał nimi.

– Trzymasz ręką prawą, to fechtujesz żwawo! – zadeklamował i podał Jusufowi bukłak do lewej ręki, prawa bowiem spoczywała wciąż na gardle Melchsedeka. – W lewej ręce mocny sen, nic więcej.

– Ależ one są całkiem jednakowe! – oburzył się Bretończyk, gdy po chwili trzymał w rękach oba bukłaki.

– Dlatego stara dała Melchsedekowi odpowiednią rymowanąkę.

– Nie zamieniliście ich? – spytał Jusuf nieufnie.

– Ja nie, ale wy – odparł sufi ze spokojem ducha. – „Fechtujesz żwawo” trzymacie nie prawą, lecz lewą ręką.

Jusuf rozdrażniony przemienił bukłaki.

– Teraz macie „sen nic więcej” w lewej ręce – stwierdził Abu Basit. – Ale „sen” powinienem przecież podać królowi po prawej stronie, tak więc oddajcie mi napój!

– Nie! Król powinien wejść do piramidy po lewej stronie! – wmieszał się teraz Ezer Melchsedek. – Jeśli on po lewej ma podać napój królowi, komu ja mam nalać po prawej, bo tego chyba ode mnie oczekujecie?

Kabalista starał się nie wzbudzić gniewu Jusufa, nawet gdy ten schował nóż, aby móc w obu rękach trzymać identyczne bukłaki z koziej skóry, w których bulgotały dwa tak różnie przyrządzone napoje.

Jusuf dał mu bukłak z prawej ręki.

– Potwierdzacie waszą sławę jako przenikliwy kabalista, Ezerze Melchsedeku – oświadczył. – Człowiek, który szybko pojmuje, ma widoki na dłuższe życie.

– Dziękuję, mój panie – odparł Melchsedek – a może powinienem po lewej...

– Nie! – syknął Jusuf wyprowadzony z równowagi. – Patrząc stąd, po prawej stronie wejdzie do piramidy dziewczynka, jej macie podać napój, jeśli trzeba, wlać siłą!

– Ani myślę, ale bądźcie spokojni: ona go wypije...

– I zapadnie w głęboki sen! – dodał Abu Basit.

– Źle! – wrzasnął Jusuf. – To stanie się po lewej stronie!

– Zrozumiałem – powiedział Melchsedek i zamienił z sufim bukłak. – Spocząć powinna koronowana głowa – pokazał jak drogowskaz w lewo, gdzie Jusuf przesunął teraz sufiego – pobudzić się Graal. – Wyciągnął drugie ramię w prawo.

– Idźcie teraz – polecił Jusuf i wypchnął obu z korytarza. – Jeśli przy wschodzie księżyca nie spotkam was na miejscu, wiem, gdzie was znaleźć.

Zniknął w ciemności korytarza.

Na podwórku sufi i kabalista zobaczyli się po raz pierwszy w świetle dnia. Słońce późnego popołudnia rzucało już długie cienie. W oddali wznosiła się majestatycznie wielka piramida.

– Wierzę – powiedział Abu Basit – że trzymam w ręku spokój, a wy pobudzenie...

– To byłoby słuszne, stoicie bowiem po lewej stronie.

– Lepiej się zamieńmy!

– Jak uważacie – odparł Melchsedek. – Nie chcę narobić sobie kłopotów.

Bukłaki zmieniły właścicieli, ale teraz kabalista zaczął mieć wątpliwości.

– Przyszłście ze „snem” w lewej ręce i daliście mu go do prawej, przypominacie sobie? On go wam oddał, ja zamieniłem, potem zamieniliśmy je tutaj. A więc wasz bukłak należy do mnie!

Wyciągnął rękę, a zmieszany Abu Basit podał mu swój bukłak.

– Chyba macie rację!

– Zawsze ten sam problem: z przodu czy z tyłu, z góry czy z dołu!

Rozstali się, sufi poszedł spieszenie swoją drogą.

W czerwonym pawilonie króla trwały ostatnie przygotowania do nocy. Pan Ludwik kazał zamknąć wejście, aby ciekawskich, którzy od rana otaczali namiot, powstrzymywani tylko przez kordon joannitów, pozbawić możliwości niestosownego zaglądnienia do wnętrza. W ciasnocie namiotu dawało się wyczuć stonowane uroczyste podniecenie, tłoczyli się panowie, którzy uważali za swój przywilej odprowadzenie suwerena do piramidy, w czym też, i to całkiem szczególnie, liczył się Kościół, reprezentowany przez Mikołaja z Akki i nieobecnego jeszcze patriarchę. Joannici wykupili go na tę noc od namiestnika za pokaźną łapówkę, ażeby jako miła niespodzianka dla króla mógł uroczyście i wiarygodnie odprawić ceremonię zawarcia przez monarchę małżeństwa z Jezą w zastępstwie małoletniego królewskiego syna. Patriarcha wciąż nie przybywał. Czy należało wtajemniczyć Mikołaja z Akki, czy jeszcze czekać?

Jan z Ronay stał zdenerwowany między biegającymi tu i tam szambelanami; na ich barkach spoczywało wiele obowiązków. Czas naglił. W gorączce przygotowań nikt nie zwrócił uwagi na pana Karola z Anjou, który opuścił pawilon i udał się do własnego namiotu. On zresztą jako jedyny z wielkich panów nie był ubrany uroczyście, lecz miał na sobie pełną zbroję, gdyż nie zamierzał towarzyszyć bratu, ale urzeczywistnić swoją zapowiedź, że będzie czuwał w łóżku króla, oczekując zapowiedzianych groźnych wydarzeń tej nocy.

Namiet hrabiego Anjou, pominałszy ścisły kordon straży przybocznej, nie wyróżniał się niczym. Nie było nawet heraldycznego emblematu para Francji. W namiocie czekał obszarpany i brudny, zarośnięty, ze zdziczałą w długiej niewoli brodą Jan z Sarrebruck.

– Macie się umyć! – przywitał go pan Karol szorstkim tonem. – Ubranie da wam mój szambelan, tak bowiem nie możecie się pokazać królowi ani owej damie, którą własną ręką macie wyprawić na tamten świat.

– Kobieta? Mam zabić kobietę? – oburzył się hrabia Sarrebruck. – Uważacie mnie za zabójcę? Pomyliliście mnie z panem Iwonem!

Anjou, który bez przerwy chodził po namiocie tam i z powrotem, zatrzymał się i zmarszczył czoło.

– Czy sięgnąłbym po kogoś takiego jak wy, gdyby Bretończyk był pod ręką?! – Znowu jął chodzić w tę i w tę. – Ale tak się właśnie złożyło: pan Iwo albo Jusuf, jak się go tutaj nazywa, nie przybył. Nie mogę swojemu panu bratu przeszkodzić w wejściu do piramidy i spędzeniu tam nocy. Ale muszę zapobiec płatanii figli, odprawianiu magicznych rytuałów, żeby nie wyobrażał sobie jutro rano po wyjściu z piramidy, że jest sułtanem Egiptu! A przede wszystkim nie wolno dopuścić, by w jakiejś kacerskiej bluźnierczej ceremonii podsunęto mu tej nocy kobietę. Im młodsza będzie, tym większe istnieje niebezpieczeństwo, że Ludwik się zapomni i z piramidy wypelźnie jakiś obrzydliwy bastard z dynastycznymi roszczeniami Bóg wie do czego!

– Nie dam się do tego użyć! – wykrzyknął hrabia Sarrebruck. – Nie podniosę ręki na żadną kobietę, obojętnie jakiego wieku i stanu!

Anjou zaśmiał się krótko.

– Nie musicie się z nią pokładać, lecz krótko i zwięźle wepchnąć jej w serce żelazo, które wam da mój giermek. Czy to jasne?!

– Nie! – zawołał Jan. – Odmawiam zdecydowanie!

Anjou zdumiał się niepomiernie. Jak to, ktoś mu się śmiał sprzeciwić?

– Sądzicie, że po to wykupiłem was z więzienia, aby teraz wysłuchiwać waszych biadoleń? Jeśli odmawiacie, wróćcie natychmiast do lochu, gdzie czeka was towarzystwo patriarchy. Gwarantuję wam jednak, że po traktowaniu, jakiego tam zaznacie, będziecie sobie życzyć, by móc zakatrupić wszystkie kobiety na tej ziemi...

– Patriarcha opuszcza dzisiejszej nocy więzienie. Joannici...

– Dałem dwa razy tyle, żeby tam pozostał, a wy, Janie, zatęsknicie za zimnym i wilgotnym lochem, jeśli teraz nie okażecie posłuchu. Wyjść w męczarniach zaczniecie obiecywać wszystko, ale będzie już za późno. Saraceni wyciągną was jutro rano z lochu za włosy i aż do południowej modlitwy wydadzą was ludowi. Jeśli to, co z was potem zostanie, będzie jeszcze oddychać i czuć, przekażą katu. Nigdy już nie zobaczycie miłych stoków Saary, wzgórz, na których rośnie wasze kwaśne wino, mostów, z których bezwstydnie myto uczyniło was bogatym, tego wszystkiego naprawdę nie zobaczycie już nigdy!

– Umiecie przekonywać, panie – powiedział Jan drżącym głosem. Uznał się za pokonanego. – Wyświadczę wam tę przysługę. Kim jest ta dama?

Anjou spoglądał na zanedbaną postać z nie skrywaną pogardą.

– To się okaże! Jakakolwiek żeńska istota zażąda wpuszczenia do piramidy po stronie przeciwnej *Bab al-Malik*, czyli Bramy Króla, będziecie jej towarzyszyć aż do śmierci. A teraz oporządźcie się po ludzku, nie żałujcie piasku do szorowania!

Anjou wykrzywił się, gdy pan z Sarrebruck jak zбитy pies opuścił namiot. Hrabia Saary był nędznikiem, ale kto dziś wykona porządnie brudną robotę?

Słońce stało już nisko jak ogniście czerwona kula. Jeszcze istniała nadzieja, że Iwo Bretończyk pojawi się i przejmie zadanie w swoje wypróbowane ręce. W każdym razie tego wtajemniczonego biedaka, nędznego Jana, trzeba się będzie potem pozbyć.

William z Roebruku próbował całe popołudnie uzyskać posłuchanie u mameluckiego emira. Najpierw mówiono, że Bajbars jest w swojej wieży i nie chce, aby mu przeszkadzano, potem odbywało się tam zebranie, na które z szyderstwem odmówiono mnichowi wstępu, i wreszcie, gdy z determinacją wybrał się jeszcze raz, podwórzec opustoszał i wieża była pusta. Bajbars pojechał na polowanie.

William wypożyczył sobie konia hrabiego Joinville, wcale swego pana nie pytając o zgodę. Seneszał był – oprócz króla – jedynym jeńcem, któremu Saraceni postawili do dyspozycji wierzchowca jako krewnemu cesarza Fryderyka.

Franciszkanin był mizernym jeźdźcem, bał się dużych zwierząt i one to czuły. Ale sam fakt, że na grzbiecie rumaka opuszcza położony u stóp piramid obóz jeniecki, wywarł na straży przy bramie takie wrażenie, iż pozwolono mu przejechać. Wskazano mu nawet kierunek, w którym odjechał Bajbars. Prosto na pustynię. William ruszył w drogę.

Jeśli się spodziewał, że znajdzie w piasku trop jeźdźca, gorzko się rozczarował, gdyż wokół obozu roilo się od śladów.

Słońce opuściło się niżej, zabarwiło na krwście czerwono, cienie stały się dłuższe, wiatr ciągnął nad diunami. William po uciążliwej wspinaczce, która ani jemu, ani koniowi nie przypadła do gustu, zatrzymał się na jednym ze wzniesień i rozejrzał wkoło. Samotnie polującego Bajbarsa nie dostrzegł. Popatrzył w kierunku obozu.

Stu żołnierzy sudańskich spieszenie opuściło obóz; pobiegli w długim podwójnym rzędzie ku wielkiej piramidzie, rozdzielili się teraz, jakby chcieli starożytną kamienną budowlę otoczyć jak dzikie zwierzę. Murzyni mieli torsy okryte skórami lwów i lampartów, żyraf i zebr, wiedzieli bowiem, jak zimna jest noc na pustyni. Łby zwierzęcych bóstw nosili na karkach, na wpół nasunięte na głowy, także ich oszczepy były owinięte skórami i ogonami zwierząt. Dzicy wojownicy nieśli ze sobą garnki z greckim ogniem i pochodnie.

William ostrożnie skierował swego wierzchowca znowu w dół i potem znów w górę na następną wydnię. Końskie kopyta zapadały się coraz głębiej w piasek. Wierzchowiec tak

zrećnie przysiadł na tylnych nogach, że gruby mnich zleciał z siodła, a ponieważ już klęczał, uczynił coś, czego dawno z taką żarliwością nie czynił: zaczął się modlić. Przyszedł mu na myśl wiersz trubadura Wilhelma z Autpol. Ten wiersz jako modlitwę odmawiał często z Jezą i Roszem, gdy jeszcze byli mali i nie chcieli zasnąć:

*Esperanza de totz fermes esperans
Feums de plazers, fons de vera merce
Combra de Dieus, ort don naisso tug be...*

Potem dzieci zazwyczaj zasypiały, przynajmniej Rosz. William zwykle dodawał: *Repaus ses fi**. A jeśli Jeza jeszcze mruknęła: *E tu?**, wtedy musiał odpowiedzieć: *Capdels d'orfes enfans**

William nie wsiadł na konia, lecz pociągnął zwierzę za sobą. Przed nim jak okiem sięgnąć rozciągało się morze piasku. Doliny i stromo nawiane wydmy skrywały przed nim Bajbarsa.

Związani w długi rząd łańcuchem, ze zwieszonymi głowami joannici opuścili obóz; ich marszałek Peixa-Rollo szedł ostatni. Sprawiali wrażenie, że są prowadzeni na śmierć. Pochód był otoczony przez wyjące, zakwefione niewiasty, ale ich żalosne krzyki nie wynikały z bólu, lecz z nienawiści. Opluwały jeńców, obrzucały ich kamieniami i okręzały jak głodne wilki stado owiec. Rycerze cieszyli się, że chroniły ich hełmy i pancerze. Nie mieli tylko żadnej broni.

Na ich czele jechał paradnie wystrojony Baha Zuhajr. Przy obozowej bramie przepuścił pochód przodem i gdy joannici się oddalili, zwrócił się zatroskany do marszałka:

– Wojownicy z Sudanu stoją już szpalerem aż do *Bab al-Malika*, Bramy Królowej – wskazał piramidę skapaną w promieniach zachodzącego słońca. – Gotowi was wszystkich zaszlachtować.

– Melchsedek, wielki czarodziej, złożył nam obietnicę – mruknął Peixa-Rollo. – Dzięki zwierzęta przemieni w łagodne baranki, upiększające ślubne widowisko...

Nie czuł się jednak dobrze na myśl, że bezbronny skłoni kark przed nieokielzanymi Murzynami i zda się tylko na magiczną siłę kabalisty, jak mu to polecił wielki mistrz. Mimo to szedł ciężko dalej po piasku na końcu długiego rzędu ludzi. Spojrzeniem sięgnął w górę ku piramidzie. Tam stali, sylwetki na tle fioletowo zabarwiającego się nieba, nieruchomi, z nastawionymi śmiercionośnymi oszczepami. Nagle zaczęły padać na ziemię, odrzucając od siebie oszczepy. Przewracali się jak kostki domina, z góry w dół do stóp piramidy.

* *Repaus ses fi* (stfr.) – ukryty na zawsze.

* *E tu?* (stfr.) – a ty?

* *Capdels d'orfes enfans* (stfr.) – jestem opiekunem osieroconych dzieci.

Z *Bab al-Malika* wysunęła się bajeczna istota z głową ptaka i łapami lamparta, z upierzonymi jak skrzydła ramionami. Z tyłu za nią ciągnął się ogromny ogon krokodyla. Zaczęła schodzić po schodach, aby przyjąć pochód ofiar.

William miał kłopoty z koniem. Obaj ugrzęźli w pustynnym piasku. Mnich był wciąż desperacko zdecydowany wypełnić narzuconą sobie misję, lecz koń postanowił nie ruszyć się dalej.

William puścił więc wodze i na czworakach wdrapał się na następne wzniesienie.

Tam zobaczył w oddali jeźdźca. Rumak wydawał się frunąć ponad piaskiem. Koń i jeździec stąpali się w jedność, przypominali centaura. Psy goniły zwierzę, Bajbars strzelał z łuku w pełnym pędzie. Gazela próbowała kluczyć, ale kiedy obróciła się bokiem, strzała przeszła jej szyję. William machał ramionami i krzyczał, jego wołanie jednak pochłonęły diuny.

Rozejrzał się wokół.

Piramidy były już teraz dalekie i czarne, słońce jak czerwona kula toczyło się ku piaszczystemu pustemu horyzontowi. William ściągnął koszulę i zaczął nią wywijać.

VIII

NARZECZONA W GROBOWCU

Rozwścieczona sułtanka Szadszar spędziła popołudnie na zakotwiczonej na Nilu barce. Wreszcie pod wieczór pojawił się Ibn Wasil i oznajmił, że wezwani przez namiestnika dla jej i jego ochrony Sudańczycy przybyli na miejsce; poprosił, aby wsiadła do lektyki.

U stóp piramidy marsowo przyozdobieni sudańscy wojownicy klęczeli na ziemi, a między nimi stali joannici. Każdy z rycerzy trzymał w ręku dwa, jeśli nie trzy budzące postrach oszczepy. Marszałek zakonu, pan Leonard di Peixa-Rollo, wyszedł naprzeciw lektyce i zażądał, żeby zawróciła. Sułtanka nie posiadała się z oburzenia. Ibn Wasil przekonywał, że sytuacja nakazuje oględne wycofanie się, jednak Szadszar ad-Durr nie chciała ustąpić. Odstawiono ją wraz z lektyką na pustynię, gdzie otoczył ją zagniewany i pomstujący dwór. Ibn Wasil udał się schodami w górę, aby zażądać wytłumaczenia od Bahy Zuhajra, który stał obok *Bab al-Malika*, Bramy Królowej, i którego słusznie uważał za

współodpowiedzialnego za niepowodzenie uzgodnionego planu. Nie doszedł tam jednak, gdyż otoczony rojem kobiet z pałacowego haremu, które tym razem krzyczały z radości i wywijały kolorowymi chustkami, pojawił się naczelny eunuch, Gamal ad-Din Mohsen, prowadzący dzieci.

Sprawały wrażenie zmęczonych i apatycznych, zaspane potykały się u jego boku, tak że na początku stromych schodów musiał małego Musę wziąć na ręce. Jedna z kobiet chciała pomóc Jezie, ale dziewczynka zebrała siły i zaczęła wchodzić bez żadnej pomocy po kamiennych blokach. Jezę ubrano w długą błękitną suknię, obrzeżoną perłami i haftowaną złotem; wyglądała w niej dostojnie i wspaniale, ale przy wspinaniu się po schodach ta szata tylko zawadzała. Rozgniewana Jeza postanowiła ją ściągnąć przy pierwszej sposobności, ostatecznie miała jeszcze na sobie spodnie, a w nich ukryty sztylet. Eunuch powiedział jej, gdy zbudził ją z dziwnego, paraliżującego odrętwienia, że może dzisiaj zobaczyć wielką piramidę od wewnątrz, co uznała za bardzo podniecające. Gdyby tylko nie była tak zmęczona!

Oddział stojących szpalerem joannitów i pokornie klęczących czarnoskórych mężczyzn w zwierzęcych maskach wywarł na niej głębokie wrażenie, przyspieszyła więc kroku, aby znaleźć się na górze wcześniej niż naczelny eunuch. Potem jednak okropnie się przestraszyła. Stał tam bowiem marszałek joannitów, Peixa-Rollo, który na Cyprze urządził na dzieci polowanie przed siedzibą templariuszy.

Chciała się odwrócić i szybko uciec, ale ten zazwyczaj tak nieokrzesany człowiek uśmiechnął się do niej zachęcająco i zgiał nawet kolano.

– Witamy królewskie dziecko, córkę Graala! – zawołał.

Zabrzmiało to szczerze. Jeza pomyślała, iż zawsze trzeba sobie pozyskiwać przyjaciół, nawet jeśli przedtem byli naszymi prześladowcami. Uśmiechnęła się więc także i podjęła na nowo wspinaczkę, ciągnąc za sobą po kamieniach nedorzeczny tren błękitnej sukni. Jakież to męczące!

Obok joannity stał stary człowiek z długą brodą.

– Jestem Ezer Melchsedek – wyjaśnił uroczyście i kazał sobie podać kosztowny puchar. – To napój obietnicy – powiedział życzliwie. – Gasi pragnienie po cielesnych trudach, które pozostały za nami, i odświeża umysł na przyjęcie doświadczeń, ku którym zmierzamy.

Jezie po wyczerpującej wspinaczkę zaschło w ustach. Oszczędziła sobie odpowiedzi, dziękując promiennym spojrzeniem zielonych oczu, wzięła puchar i zaczęła ostrożnie pić. Napój miał smak gorzkich owoców, ale był przyjemnie chłodny. Wypiła do dna i popatrzyła za starym człowiekiem, który nie zamierzał odebrać od niej naczynia, lecz jak na swój wiek żwawo – podobny do kozy z tą swoją rzadką brodą, pomyślała Jeza – uciekał po masywnych kamieniach w górę, ku szczytowi piramidy. Jeszcze raz skinął jej ręką i pochłonęła go ciemność. Jeza wcisnęła pusty puchar do ręki nadwornemu pisarzowi.

– Schowajcie go dobrze! – powiedziała. – To wartościowy upominek.

Baha Zuhajr przyjął puchar z zażenowaniem i nie ośmielając się popatrzeć Jezie w oczy, umknął w ciemny kąt. Tymczasem stękając dotarł na platformę przed wejściem naczelnego eunucha. Niósł wciąż małego Musę, który omal nie zasnął w jego ramionach. Ale nim Gamal postawił malca na ziemi, podszedł do niego marszałek.

– Nikomu nie wolno towarzyszyć córce Graala! – oświadczył krótko.

Oburzony Gamal ad-Din Mohsen odszukał spojrzeniem Bahę Zuhajra.

– Czy jest jeszcze ktoś, kogo nie zdradziliście? – spytał drwiąco. – Będziecie musieli umrzeć tutaj na górze, gdyż ziemi Egiptu – patetycznym gestem wskazał rozległą równinę, nad którą szybko zapadał zmierzch – wasza noga za życia już nie dotknie! Bądźcie przeklęci, przeklęci! – Wykrzyczał swoją wściekłość: – Po trzykroć przeklęci!

Nie oglądając się na innych, przycisnął małego Musę do siebie, uniósł szatę i zaczął schodzić w dół. Kobiety ruszyły za nim. Teraz nadszedł Ibn Wasil, który był świadkiem całej sceny.

– Zrobimy lepiej – powiedział – nie pokazując się teraz sułtance na oczy. Baha Zuhajr zdradził nas obu, którzy chcieliśmy tego co najlepsze dla naszego kraju. Poczekajmy tutaj na to, co nam los przeznaczył. Co się zaś tyczy Bahy Zuhajra, nie zniosę dłużej jego widoku wśród żywych!

Wyciągnął miecz i chciał się rzucić na przestraszonego nadwornego pisarza, ale Gamal go powstrzymał. Przekazał małego Musę kobietom, polecił im udać się do lektyki stojącej u stóp piramidy i dotrzymać towarzystwa sułtance.

– Ibn Wasilu, okażcie wielkoduszność – zwrócił się do nadwornego kronikarza. – Nie powinniśmy bez potrzeby rezygnować z człowieka, który ponosi winę za wszystko, co się wydarzyło i co się jeszcze może wydarzyć. Sułtance sprawi przyjemność, jeśli jej niewiasty rozerwą tego nieszczęśnika na strzępy...

Wskazał w dół na gromadę starych kobiet. Właśnie dotarły do lektyki. Z wielu gardeł wydobył się ostry krzyk, a przeraźliwy lament, który się potem podniósł, pobiegł ponad pustynią jak przeciągający nad piaskiem wiatr i z jękiem owionął piramidę. Sudańczycy zapalili pochodnie, łańcuch świateł sięgnął aż do *Bab al-Malika*, gdzie Jeza przekraczała próg. Była ciekawa i jednocześnie znużona. Uśmiechnęła się i kazała sobie podać pochodnię.

Bab al-Malik, Brama Króla, okazała wejście po drugiej stronie piramidy, znajdowało się prawie na poziomie ziemi w daleko wysuniętej podstawie. Do bramy prowadziły szerokie schody, po obu ich stronach stali szpalerem sudańscy wojownicy, trzymając w jednej ręce budzący strach hebanowy oszczep z ostrzem szerokim na liść palmy, w drugiej zaś ręce smolną pochodnię. Między nimi stały garnki z płonąca ognistą masą. Wojownicy czekali.

*O quanta mirabilia
quam felix matrimonium*

*Christo nubit ecclesia
celebratw convivium.*

W zmierzchu z obozu zbliżał się powoli ku piramidzie uroczysty pochód. Panowie szli pieszo, tylko król jechał na koniu.

*Celebratur convivium
superni regis filio
hoc predixere gaudium
prophete vaticinio.*

Rycerze nieśli wszystkie proporce, które mamelucy im zostawili lub które zwrócili ci spośród przeciwników, co byli życzliwie usposobieni do zwyciężonych.

*Novo cantemus homini
novis induti vestibus,
laudes canamus virgini
fugatis procul sordibus.*

Na przedzie kroczył kapelan królewski Mikołaj z Akki. Znał arabski, dzięki czemu tajnie się porozumiał z miejscowymi chrześcijanami i teraz szedł otoczony wystarczającą liczbą chórzystów i ministrantów, którzy zabrali także sprzęt liturgiczny, tak że nie brakowało ani niesionej na początku chorągwi z wizerunkiem czarnej Madonny, ani trybularzy, kropideł, dzwonek i monstrancji. A ponieważ nie wiadano o przewidywanym udziale patriarchy, jego nieobecności nikt nie zauważył.

*Est Deus, quod es homo, sed novus homo,
ut sit homo quod Deus, nec ultra vetus.*

Cichy śpiew był prawie rozwiewany przez nadbiegający nocny wiatr.

*O pone, pone, pone, pone veterem,
o pone veterem, assume novum hominem.*

Jeza nie zniknęła jeszcze w wąskim korytarzu, który odchodził w głąb piramidy od Bramy Królowej. Wciąż widać było migocące światło jej pochodni podobne do świętojańskiego robaczka, gdy hrabia Sarrebruck pospiesznie wbiegł po schodach.

– Oszalesiście chyba! – krzyknął do marszałka Peixa-Rollo. – Nie możecie przecież małej dziewczynki wysłać nocą samej do piramidy!

– Tak brzmiało polecenie – zająknął się marszałek z niezbyt pewną miną.

– Możecie się go trzymać, jeśli chcecie – zbeształ go hrabia Jan. – Ja będę jej strzec.

Wyrwał jednemu z Sudańczyków pochodnię i zamierzał wejść do kamiennej budowli.

Joannita podjął decyzję. Gryzące go sumienie kazało odsunąć na bok wyraźny rozkaz, że nikt oprócz Jezy nie powinien przekroczyć bramy.

– Poczekajcie! Idę z wami! – oznajmił marszałek, wziął od hrabiego pochodnię i ruszył przodem.

Robaczek świętojański tańczył już bardzo daleko w głębi korytarza.

Z diariusza Jana ze Joinville

Giza, 9 maja A.D. 1250

Visitatur de sede supera

Babilonis filia misera.

Śpiewając kroczyliśmy w mroku ku piramidzie. Chłopcy z chóru na czele pochodu nieśli zapalone świece, lecz blask płomyków oświetlał jedynie niesiony wysoko wizerunek Maryi.

Persona filii missa, non altera

nostre carnis sumit mortalia.

Moratus est fletus ad vesperum,

matutinum ante luciferum

castitatis egressus uterum

venit Christus nostra laetitia.

Pomyślałem o małej Jezie, której przeznaczono rolę córki Babilonu, i nie mogłem się poddać uroczystemu nastrojowi. Jeśli marszałkowi i Melchsedekowi nic nie weszło w paradę, dziewczynka musiała już znaleźć się w korytarzu. Takie były wyliczenia kabalisty i my kierowaliśmy się nimi, nie powiedziawszy o tym naszemu pobożnemu panu Ludwikowi. Jechał konno pośród nas, nie mogłem w ciemności obserwować jego twarzy, chyba jednak słyszałem jego głos.

Nube carnis maiestatis

*occultans potentiam
pugnaturus non amisit
armaturom regiam,
sed pretendit inimico
mortalem substantiam.*

Byli tu oprócz mnie, seneszala Szampanii, urzędujący wielki mistrz joannitów pan Jan z Ronay, brat króla milczący pan Alfons Poitiers, nieodzowny pan konetabl i wielu innych dostojnych panów, którzy z własnej woli szli za władcą.

Nikt nie otrzymał rozkazu, by towarzyszyć królowi. Przeciwnie, pan Ludwik przekonywał, że sam zgodził się zaryzykować życie i – co specjalnie podkreślił – duszę. Poprowadził nas na wojnę, w której Bóg odmówił nam zwycięstwa i z której wielu nie wróci. Nie chce teraz dodatkowo obciążać swego sumienia. Nikomu nie będzie miał za złe, jeśli ktoś odstąpi od udziału w tym przedsięwzięciu, podobnie jak to uczynił jego brat Karol, który wołał strzec królewskiego łoża.

Tworzyliśmy jednakże liczny pochód. Szpaler sudańskich oszczepników zobaczyliśmy dopiero wtedy, gdy Mikołaj z Akki, nasz kapłan, zawołał głośno po arabsku:

– *Aszalu al-masza 'il wa-irka 'u, li-anna malik al-muluk atin!*

– Zapalcie pochodnie i zegnijcie kolana, nadchodzi król królów! – przetłumaczył mi jeden z baronów.

Wyglądało to, jakby ogniem wybuchły zarośla, tak szybko zapłonęły pochodnie. W jasnym świetle ukazała się nam Brama Króla.

*Rubus ardet, sed ardenti
non nocet vis elementi,
flamma nihil destruit.
Sic virgine pariente,
partu nihil destruyente
virginitas floruit.*

Wnętrze piramidy wyobrażała sobie Jeza jak grootę wapienną, tyle że graniastą. A w niej od czasu do czasu świątynia oraz wielkie kamienne posągi o ludzkim ciele i zwierzęcej głowie bądź na odwrót.

Alisza opowiedziała jej o grobowcach faraonów, gdzie wszystko jest ze złota, tylko trudno tam trafić. W dodatku strzegą ich dziny. Jej dziadek odkrył jeden grobowiec; Alisza pokazała Jezie zielonego chrząszcza, którego nosiła na szyi na skórzanej tasiemce. Kiedy jednak potem dziadek chciał przynieść z grobowca dużo złota, już z piramidy nie wrócił.

Nic z opowieści Aliszy nie udało się Jezie zobaczyć. Jak dalece jej pochodnia rozświetlała wnętrze, dziewczynka znajdowała się wciąż w tym samym korytarzu. Głosów od

strony wejścia już nie słyszała. Było cudownie cicho, niesamowicie. Nagle korytarz skręcił i szedł wciąż pod górę, dwa razy natknęła się na schody. Aha, zaraz będą drzwi do tych wspaniałych podziemnych pałaców, gdzie faraonowie i ich żony mieszkają jako „mumie”, pomyślała. O tym powiedział jej William, który twierdził, że wie, co mówi, mumie bowiem robi się jeszcze dziś. To jest specjalny sposób balsamowania i trup wygląda jak żywy, nawet lepiej. Ale na drodze Jezy nie pojawiły się żadne drzwi, także tajne.

Stukała trzonkiem pochodni w kamienne płyty. Żadna nie odpowiadała głucho, jakby za nią znajdowała się pustka, nie dało się również odkryć podejrzanych łączeń ani śladów szlifowania, na które trzeba specjalnie uważać. Jakże chętnie miałyby teraz przy sobie Rosza, ale on był przecież na o wiele niebezpieczniejszej wyprawie, gdzie musiał walczyć z bronią w rękę.

Jeza upewniła się, czy nie zgubiła sztyletu i pomyślała przy tym, że teraz mogłaby ściągnąć tę głupią długą suknię, która tylko wzbijała za nią kurz, a przy tym szeleściła, czyniąc wrażenie, iż z tyłu drepce jakieś zwierzę, może szczur... Oparła pochodnię ostrożnie o ścianę, zsunęła górą rozciętą suknię i już stała w spodniach. Postanowiła w drodze powrotnej suknię zabrać, nawet znowu włożyć, żeby pan Gamal się nie obraził. Położyła ją w dobrze widocznym miejscu na kamieniu i nagle wydało się jej, że słyszy za sobą kroki. Zaczęła nasłuchiwać, panowała jednak cisza, a Jeza nauczyła się nie bać ani ciszy, ani ciemności. Abu Basit, sufi, powiedział, że kto tego nie znosi, nie może się nigdy wsłuchać w samego siebie, co jest pierwszym stopniem na drodze do raju. Poza tym ani ciemność nie była nigdy całkowicie ciemna, ani cisza zupełnie cicha. Można zawsze coś usłyszeć, plusk wody, szmer wiatru, stukanie kamienia i zawsze coś zobaczyć, gdy oczy przyzwyczajają się do ciemności, zresztą także kamienie wydzielają światło. Ponieważ wszędzie istnieje życie, powiedział sufi. Jeza podniosła pochodnię i beztrudnie ruszyła dalej.

Marszałek Peixa-Rollo, mając za plecami hrabiego Sarrebruck, kroczył ciężko wąskim korytarzem, w którym zniknęła Jeza. Z początku widzieli jeszcze poruszający się jak błędny ognek blask jej pochodni, potem jednak niski korytarz załamał się i stracili z oczu świetlisty punkt.

– Póki ta mała idzie prosto, a jak dotąd korytarz się nie rozwidlił – mruknął joannita – na pewno ją znajdziemy.

Idący za nim hrabia przynagłał.

– Jeśli nadal będziecie iść tak wolno, nigdy jej nie dogonimy!

Marszałek niósł pochodnię, więc określał również tempo, zwłaszcza że podnoszący się korytarz był za wąski, aby obok masywnego joannity można się było wysunąć do przodu. Hrabia wyciągnął ostrożnie miecz z pochwy. Dotarli do prowadzących w dół schodów i joannita z uprzejmości odwrócił głowę, aby uprzedzić o nich hrabiego. W blasku pochodni ujrzął klingę miecza.

Zdumiony marszałek nie zdołał nawet krzyknąć. Żelazo wbiło mu się w grzbiet między łopatkami, pochodnia wysunęła z ręki i upadł na schody. Jan z Sarrebruck nie odważył się zbliżyć. Wprawdzie marszałek leżał bez ruchu jak trup, ale to mogła być pułapka. Dopiero gdy od pochodni zajął się rękaw, a ramię nie drgnęło, Jan zebrał całą odwagę, podszedł, chwycił pochodnię i jednym szarpnięciem wyciągnął miecz z ciała. W ostatnim natężeniu sił ręce umierającego jak kleszcze chwyciły w kostkach nogi skrytobójcy.

Hrabia Jan stracił równowagę i z ostatnich stopni runął głową w dół, trafiając twarzą prosto w pochodnię, która byłaby zgasła, gdyby nie zapłonęły jego włosy. Zaczął przeraźliwie krzyczeć.

Z diariusza Jana ze Joinville

Giza, 9 maja A.D. 1250

*Rex Salomon fecit templum
quorum instar et exemplum
Christus et ecclesia...*

Kapłan chyba się teraz zdecydował chwalić rolę Kościoła przy tym dosyć pogańskim przedsięwzięciu...

*Fundamentom et fundator,
medianie gratia.
Quadri templi fundamenta
marmora sunt, instrumenta
parietum paria.
Candens flos est castitatis
lapis quadrus in prelatis
virtus et constantia.*

Pan Ludwik kroczył z nami po ostatnich stopniach ku zamkniętej bramie. Na kamieniu przed nią przysiadł derwisz, jeden z tych świętych mężów, jacy przesiadują przed wszystkimi świątyniami i którym dla spokoju ducha chętnie się daje jałmużnę. Potem jednak go rozpoznałem. To był sufi, którego spotkałem już na tryerze jako opiekuna mameluckich dzieci.

Naraz wydało mi się, że poczułem niewidzialną sieć, którą na nas zarzucono.

*Longitudo,
latitudo,
templique sublimitas,
intellecta
fide recta
sunt fides, spes, caritas.*

Popatrzyłem na innych, na mistrza Jana z Ronay i na konetabla, ci jednak nie poświęcili staremu żadnej uwagi, zwłaszcza że teraz wszedł za nami po schodach namiestnik, z dość niestosownym pośpiechem jak na tę uroczystość. Kazał giermkowi podać sobie olbrzymią złotą szablę. Jego spojrzenie przebiegło nerwowo po szpalerze sudańskich oszczepników, którzy przyklękli, opuścili oszczepy i oświetlali nam drogę pochodniami, jak im rozkazał nasz kapelan.

Odważny Mikołaj z Akki, chcąc uniknąć nieporozumienia, przywitał dostojnego pana w języku jego kraju:

– *Mutaszakkiran jatakabbal al-maliku wala'akum* – powiedział głośno – *Ar-Radża arku'u* *.

*Templi cultus extat multus
cinnamomus, odor domus,
mirra, stactis, casia;
Que bonorum decus morum
atque bonos precum sonos
sunt significantia.*

Husamowi ibn abi' Alemu, który sobie zapewne całkiem inaczej wyobrażał swoje wystąpienie, pozostało tylko postąpić zgodnie z nakazem. Zgiął lekko kolano i zaraz się wyprostował. Po chwili kapłan przetłumaczył spokojnie jego słowa:

– Namiestnik Kairu, naczelny strażnik wszystkich budowli z kamienia z wyjątkiem pałaców – to był z pewnością ironiczny dodatek tłumacza – a więc także pan piramid, poczytuje sobie za zaszczyt towarzyszyć dostojnemu gościowi w jego drodze do wnętrza budowli.

– To nie wchodzi w rachubę! – zagrzmiął od razu konetabl, ale pan Ludwik podniósł uspokajająco rękę.

– Powiedźcie temu panu, że potrafię docenić jego gest i gotowość... – przesłał namiestnikowi życzliwy uśmiech, który ten natychmiast źle zrozumiał i już chciał wyruszyć,

* *Mutaszakkiran...* (arab.) – Z podziękowaniem przyjmuje król wasz hołd. Zechciejcie, proszę, tutaj uklęknąć.

ponieważ jednak król mówił dalej, musiał się powstrzymać – ...ale w tę drogę udaję się dla siebie samego, aby ułożyć się ze sobą samym i samemu porozmawiać z Bogiem, jeśli On zechce ze mną mówić. To nie jest żaden państwowy akt, lecz kamienista droga skruszonego grzesznika. Muszę nią iść sam – teraz zwrócił się do nas – z czego pan tego domu zechce wnieść, że nikt nie może mi towarzyszyć.

Podczas gdy Mikołaj z Akki z powstrzymanym wzburzeniem tłumaczył te słowa, podniósł się nasz protest. Najgłośniejszy konetabl przysięgał, że do tego nie dopuści, kapłan także, jak się wydawało, miał nadzieję, że królowi będzie niósł duchową pomoc; pan Ludwik jednak przerwał wszystkim w pół słowa.

– Od tej chwili proszę o absolutne milczenie. Wy, mój wierny konetablu, zważajcie dobrze na tego strażnika piramidy, żeby nie pobiegł za mną ze swoją wielką szablą. Wszystkich pozostałych panów proszę teraz, żeby się za mnie po cichu modlili.

Podczas gdy my, dobrze rozumiejący jego niepokój, szybko zagrodziliśmy drogę namiestnikowi, którego oczy iskrzyły się teraz z wściekłości, pan Ludwik ruszył po ostatnich stopniach w górę. Mimo nakazanej ciszy, a także aby rozładować napięcie, kapłan zaintonował:

*In hac casa cuncta vasa
sunt ex auro de thesauro
praelecto penitus.
Nam magistros et ministros
decet doctos et exoctos
igne Sancti Spiritus.*

Gdy pan Ludwik pokonał ostatnie stopnie i stanął na kamieniu wąskiej platformy, skrzydła bramy otworzyły się bezgłośnie i odsłoniły widok na obrzeżone kolumnami schody. Na każdej kolumnie paliła się oliwna lampka, a łańcuch świateł ginał w głębi wysokiego pomieszczenia. Z tym nie liczył się chyba nawet namiestnik.

– Dżiny! – zawołał i przestraszony zakrył twarz rękawem. – *Lajsa Allahu jatakallamu ilajka* * – syknął z nienawiścią. – Niech cię porwą dżiny!

Król Ludwik nie mógł usłyszeć tych zabobonnych złorzeczeń. Siedzący obok bramy sufi wręczył mu teraz prosty buklak z koziej skóry, ażeby król się orzeźwił, nim rozpocznie wędrówkę.

Ponieważ nie był to zwyczajny sufi, miałem złe przeczucia i zacząłem gestami dawać znaki, chcąc odwieść króla od picia. Pan Ludwik popatrzył mi w oczy, zignorował mój niemy protest, podniósł buklak w górę i zaczął pić tak, jak czynią to pasterze. Potem ściągnął z palca

* Lajsa Allahu... (arab.) – Allah nie będzie do ciebie mówił.

pierścień, dał go sufiemu i przekroczył bramę, już się więcej na nas nie oglądając. Zaledwie wszedł do wnętrza piramidy, skrzydła bramy zamknęły się, tym razem z głuchym łoskotem.



„Zanosi się na ostatnie próby. Ciemność rządzi namiętnością, odmienia prawa szaleństwu na pastwę. Wielcy ulegają najmniejszym. W znaku Ryb mija wszystko co niezmienne”.

Bajbars spadł jak cyklon na czekających przed Bramą Królowej, jakby go zmiotło ze szczytu piramidy. Nikt nie widział, żeby wbiegał po schodach. Z dzikim okrzykiem rozplątał Bahę Zuhajra na dwoje, odepchnął na bok naczelnego eunucha i Ibn Wasila i jak szalony, nie wzięwszy nawet pochodni, ruszył w ciemność piramidy.

– Teraz możemy iść – powiedział strażnik haremu i wszystkich pałaców do Ibn Wasila, kiedy otrząsnęli się z przerażenia i pojęli, że Bahy Zuhajra nie da się obciążyć dalszą winą. – Powiadomimy dostojną Szadszar ad-Durr, niech Allah obdarzy ją długim życiem, że zdrajca został stracony.

Nadworny kronikarz sprzeciwił się, powodowany zawodową ciekawością, a także nadzieją na zwrot wydarzeń korzystny dla sułtanka.

– Nie, Ibn Wasilu, powinniśmy poczekać i przekonać się, czy dostojnej Matce Halila, niech Allah nastroi ją łaskawie wobec wiernych sług, nie przekazemy jeszcze przyjemniejszej wiadomości: o strasznej śmierci jej rywalki. Może emir Bajbars dopadnie tę córkę szajtana.

Tak więc czekali razem z uzbrojonymi w drewniane oszczepy joannitami i trzymającymi pochodnie Sudańczykami, których łańcuch sięgał aż do lektyki u stóp piramidy, skąd napływały falami ciche lamenty kobiet, wznoszące się i opadające monotonne zawodzenie, od czasu do czasu przerywane ostrym trelem.

Hrabia Sarrebruck krzyczał i krzyczał. Jeza słyszała przeraźliwy wrzask, brzmiał okropnie w kamiennym wnętrzu piramidy, przeciągał z jękiem wzdłuż korytarzy, odbijał się od ścian i wracał grzechoczącym echem. Najpierw myślała, że to dzikie zwierzę, potem że ktoś chce jej napędzić strachu. To ją rozśmieszyło, gdyż dobrze wiedziała, że prawdziwe niebezpieczeństwo nadchodzi nadzwyczaj cicho. Postarała się nie czynić hałasu i

nasłuchiwała. Wrzask ustał, tylko niekiedy wydawało się jej, że słyszy wycie, jakby ktoś chciał wykrzyczeć swój ból. Ach, żeby Rosz był przy niej!

We dwójkę wyszli już obronną ręką z niejednej opresji. Czy nie chciał ich zabić w Konstantynopolu kucharz z wielką szablą? Czy nie wypuszczono na nich lwów w ogrodach pałacowych w Damaszku? A jeszcze wciąż wokół nich toczyła się wojna. Od kiedy opuścili oblężony Montségur, na krótko tylko zaznali spokoju w ukrytych ogrodach i podziemnych grotach, póki ich stamtąd nie wypędziła własna głupota. Teraz Rosz znowu pociągnął na wojnę...

Jeza pomaszerowała dalej. Pan Gamal powiedział jej, że może przewędrować całą piramidę i gdy po drugiej stronie ujrzy znowu światło ziemi – zawsze wyrażał się tak subtelnie – on będzie na nią czekał. Skręciła już tak wiele razy, wchodziła i schodziła po schodach, że teraz nie wiedziała, gdzie był przód, a gdzie tył budowli, czy znajdowała się pod szczytem piramidy, czy w głębokich lochach. Przed bramą spytała naczelnego eunucha, czy gdy wyjdzie z piramidy, stanie się kobietą. Pan Gamal spojrzał tak komicznie, jakby nigdy nie słyszał takiego pytania, i odparł, że to może się zdarzyć. Do tej pory niczego jeszcze nie czuła. Ale musiała zrobić siusiu.

Postawiła pochodnię tak, by przykucnąć w jej blasku, ponieważ wiedziała od Aliszy, że wtedy się krwawi. Nic jednak nie dostrzegła. Wciągnęła spodnie i wtedy zobaczyła coś, co obudziło jej ciekawość. Nie był to kolejny nudny korytarz. Przed nią otwarło się przejście do pomieszczenia składającego się z labiryntu murów, nad którymi zwiślał niski sufit podparty nielicznymi kolumnami. Niektóre były przewrócone, inne pokruszone i sterczały tylko ich kikuty. Wydawało się, że można przejść po górnych krawędziach murów. Musiały one kiedyś dźwigać sklepienie, ale łuki się zapadły i wokół ziała czarna pustka.

Grobowce! – pomyślała Jeza. Ostrożnie stanęła na najbliższej koronie murów i posuwała się powoli naprzód. Coś przepęzło przez jej but i coś trzaskało pod jej stopami. Poświeciła w dół i spostrzegła, że w pomieszczeniu pod nią podłoga i ściany pokryte są zielonkawo mieniącymi się chrząszczami. Czasem połyskiwały miedzią, czasem złotem. Uderzenia ich skrzydeł napełniały powietrze delikatnym szumem.

Jeza balansowała ostrożnie, gdyż także po drugiej stronie muru roiło się od tych owadów, które pokrywały wszystko jak żywy łuskowaty pancerz. Czym mogły się żywić? Pomyślała o mumiach i przeszedł ją dreszcz. Chrząszcze wydały jej się nadzwyczaj jadowite. Odsunęła najbliższe butem. Omal przy tym nie spadła.

Nagle przed nią na drugim końcu muru podniosła się jakaś postać.

– Jeza! – rozległ się krzyk.

Zabrzmiało to strasznie. Jeza zobaczyła w świetle pochodni pokrytą krwią i sadzą, zniekształconą twarz, której nie знаła, podobnie jak nie znała budzącego trwogę głosu. Teraz usłyszała jęk. Spostrzegła błysk zakrwawionego miecza i skoczyła na następny mur, aby umknąć przed tym człowiekiem. On jednak popełził również w tamtą stronę. Najwyraźniej

chciał jej odciąć drogę. Skoczyła na kolejny mur i macając przed sobą stopą chciała pójść dalej, ale z przerażeniem stwierdziła, że mur kończy się stromą przepaścią. Okrutny śmiech uświadomił Jeze, że prześladowca wie o jej beznadziejnym położeniu. Cofnęła się, ale człowiek z mieczem był już przed nią. We wścieklej rozpaczycisnęła w przeciwnika pochodnię. Zwierzęcy krzyk potwierdził, że go trafiła, ale nie spadł w głąb jak pochodnia, przed którą teraz ćwierkając uciekały chrząszcze w kątlochu. Migocące światło rzuciło z dołu cienie na niski sufit. Czarny cień podniósł miecz i wtedy imię dziewczynki zabrzmiało jeszcze raz:

– Jeza! – rozległo się pod sklepieniem.

Ten głos знаła. Ręka z mieczem zatrzymała się na ułamek sekundy i Jeza zobaczyła, jak w szyję prześladowcy wbija się strzała, nim usłyszała jej świst w powietrzu. Miecz z brzękiem upadł na ziemię. Hrabia Sarrebruck osunął się na kolana, upuścił pochodnię na mur obok siebie i obiema rękoma usiłował wyrwać strzałę z szyi, stracił jednak równowagę, przechylił się jak ścięte drzewo i runął z muru między rojące się chrząszcze. Jeza słyszała ich ożywione świergotanie. Poza tym nic więcej.

– Nie ruszaj się z miejsca! – zahuczał znowu głos Bajbarsa, zabrzmiał jednak tak strasznie, że zrobiła coś wręcz przeciwnego. Podniosła pochodnię i pobiegła po murach za następny zakręt, potem schodami w górę i w dół, póki nie była pewna, że Bajbars stracił jej ślad.

Król Ludwik wszedł na górę po szerokich schodach obramowanych kolumnami. Znalazł się przed ścianą z dwójgiem otwartych drzwi. Obie drogi prowadzące dalej były oświetlone. Król ujął mocno krucyfiks wiszący mu na piersi i wybrał prawe drzwi. Droga prowadziła w głąb opadając lekko i była wyłożona kamiennymi płytami. Szedł powoli i wciąż się modlił. Czy podoba się Bogu Wszechmocnemu to, że on, Ludwik, wyciąga rękę po tron Kairu? Nie miał żadnych wątpliwości, kiedy wyruszył na wyprawę krzyżową, kiedy wyszedł tu na ląd i kiedy nieoczekiwanie padła Damietta. Nigdy nie zaprzętał sobie myśli tym, co będzie, gdy podbije Egipt. Chrześcijański władca nad milionami niewiernych? Nie mógł przecież ich wszystkich zmusić do chrztu. Musiałby co najmniej respektować wiarę nowych poddanych albo powołać regenta, który zapewne szybko podporządkowałby się prawom proroka Mahometa, ponieważ wbrew nim nie można by rządzić muzułmańskim krajem. A zatem on, Ludwik, musiałby zdradzić wiarę chrześcijańską. Temu Bóg przeszkodził i klęską wskazał mu drogę. Tym samym zabronił też ulec pokusie tytułu „sultana Egiptu”.

Ludwik upadł na kolana. Wydało mu się, że jest na wąskiej tamie między dwiema wodami, ciemnym jeziorem po prawej ręce, na którego dnie błyszczały jasno i kusząco insygnia władcy wszystkich niewiernych, podczas gdy po lewej stronie jego korona leżała w bagnie. Zawstydzził się i zawrócił. Szybkim krokiem dotarł do ściany z dwójgiem drzwi. Opuścił wybraną drogę i ruszył lewym korytarzem. Ta również oliwnymi lampkami

oświetlona ścieżka wznosiła się stromo, ale nie była wyłożona kamiennymi płytami. Pokrywał ją żwir o ostrych krawędziach. Król poszedł dalej bosy.

Z diariusza Jana ze Joinville

Giza, 9 maja A.D. 1250

My, stronnicy króla, staliśmy na zewnątrz w pełnym respektu oddaleniu od zamkniętej *Bab al-Malik* i modliliśmy się razem z naszym kapłanem:

*Tu civitas regis iustitiae,
tu Mater es misericordiae
de lacu fecis et miseriae
theophylum reformans gratiae.*

Namiestnik okrążał nasze małe stadko jak wilk owce, nie ośmielił się jednak na skok, wobec którego bylibyśmy bezbronni. Straszyla nas nie jego potężna złota szabla – konetabl o sile niedźwiedzia mógłby gołymi rękoma wyrwać namiestnikowi broń. Trzymali nas w szachu czarni oszczepnicy, którzy tymczasem przypomnieli sobie, że znajdują się nie pod komendą naszego kapłana, lecz namiestnika Kairu. Otoczyli naszą gromadkę jak niegdyś gladiatorzy pierwszych chrześcijan na arenie. Skierowali na nas szerokie ostrza oszczepów, którymi mogli zadać straszliwe rany.

– Dajcie wolną drogę! – powiedział Husam ibn abi' Ali, czego nie trzeba było nam tłumaczyć. Wszyscy zrozumieliśmy.

*Te collaudat celestu curia,
tu Mater es regis et filia.*

Trwaliśmy dzielnie przy modlitwie, spoglądając twardo oszczepnikom w białka oczu, namiestnika natomiast traktując jak powietrze.

*Per te iustis confertur gratia,
per te reis donatur venia.*

Wtedy przybiegł oburzony Raszid i oskarżył namiestnika, że chce, jak to już dawno podejrzewaliśmy, zamordować króla. Husam ibn abi' Ali odwrócił się i wbił Raszidowi w

brzuch swoją olbrzymią szablę. To była dla nas jedyna szansa, aby przerywając modlitwę, niech Bóg nam wybaczy, rzucić się na namiestnika.

Pan Alfons skoczył mu na plecy, a nim namiestnik zdołał skierować straszliwą broń przeciw nam, już mu ją konetabl wyrwał z ręki, usłyszeliśmy trzask kości. Przycisnął zakrwawioną klingę namiestnikowi do gardła i wysunął go jak tarczę przed siebie. Czarni wojownicy zamierzali rzucić się na nas, pozostawiając namiestnika na pastwę losu, ale Husam, aby ratować życie, krzyknął coś, życząc im chyba wszystkiego najgorszego, bo zaskoczeni zatrzymali się i gniewnie odrzucili oszczepy. To było dla konetabla dalece za mało, żeby zwolnić nacisk klingi, odniosłem nawet wrażenie, że nacisnął jeszcze mocniej. Namiestnik mógł już tylko wyrzeźić, że wojownicy powinni wracać, skąd przybyli, inaczej rozkaże dżinom wielkiej piramidy, by się z nimi rozprawiły. Wówczas Sudańczycy odrzucili pochodnie, przewracali garnki z greckim ogniem i z wrzaskiem pobiegli w ciemność.

W tym momencie pojawił się Ajbek z orszakiem mameluckich emirów i zapytał gniewnie, co my tutaj porabiamy. Zażądał, abyśmy *stante pede** wrócili do naszych namiotów. Nie powiedzieliśmy, że król jest w piramidzie, przekazaliśmy mu trzęsącego się namiestnika i pospieszyliśmy do obozu. Tylko sufi pozostał obok zamkniętej bramy.

Jeza wspięła się już po tylu stopniach, że z pewnością była bliska szczytu piramidy. Zmęczenie ołowianym ciężarem paraliżowało jej nogi. Płomień pochodni zaczął blednąć niedługo zapewne zgaśnie.

Przez jakiś czas w głębi pod sobą słyszała dudniący głos Bajbarsa. Emir ją zaklinał, żeby się pokazała, przecież przybył po to, aby ją wyprowadzić, aby jej pomóc, uratować życie. Była nawet gotowa mu uwierzyć, ale dotychczasowe wydarzenia uczyniły ją tak nieufną, że zdecydowała się iść dalej samotnie lub położyć się gdzieś spać. Poza tym istniała przecież możliwość, że tej nocy stanie się kobietą i to już był powód, by jeszcze poczekać. Czy mrowienie w nogach i zmęczenie były z tym związane?

Może pan Gamal dlatego ją tutaj przyprowadził, że jako naczelny pan haremu rozumiał się na kobietach? A może znalazła się tutaj, ponieważ była królewskim dzieckiem?

Płomień pochodni stawał się coraz mniejszy, zaczynał błękitnieć. Czyż ten człowiek o byczym karku, marszałek joannitów, nie użył tytułu „córka Graala”? – myślała Jeza. Zupełnie jakby uznał za wyjątkowy zaszczyt powitanie jej w ten sposób, choć przecież na Cyprze urządził na nią polowanie przed siedzibą templariuszy...

A ten stary człowiek z pucharem – który Baha Zuhajr zapewne dobrze schował – nie stał tam przecież chyba każdego wieczoru, by pozdrawiać gości, którzy chcieli obejrzeć piramidę wewnątrz. A zatem przybył z jej, Jezy, powodu. Ale co to wszystko pomoże, jeśli nie ma przy niej Rosza! Bez niego była tylko połową pary królewskich dzieci!

* *Stante pede*(łac.) – natychmiast.

W ostatnim rozbłysku pochodni zobaczyła wejście do małej świątyni. Drzwi były niskie. Schyliła się pod szczytowym nadprożem. Pochodnia zgasła skwiercząc, żarzyła się jeszcze i mocno dymiała. Potem znikły także iskierki.

Dzieci Graala? Każde osobno było zwykłym człowiekiem, narażonym na zwykłe niebezpieczeństwa. Gdy byli razem, przygody przebiegały inaczej, poważniej, piękniej. Och, jak tęskniła za Roszem!

Bajbars nasłuchiwał w ciemnościach. Wypuścił strzałę w światło obu poruszających się niespokojnie pochodni. Był przekonany, że mimo dużej odległości trafił w cel, zatem tylko Jeza mogła zbiec z jedyną pozostałą pochodnią. Wyliczył sobie, że uciekła w górę, i rozważał, kiedy i gdzie, jakimi schodami czy korytarzami przebiegała. Dziewczynka była przestraszona, dlatego wkrótce przestał za nią wołać. Musiał ją znaleźć, ponieważ czuł instynktem dzikiego zwierza, że czyha tu jeszcze inna bestia, umiał wyczuć smak przemocy, niczym językiem smak krwi, mordercze myśli tamtego zabójcy, zaczajonego gdzieś w pobliżu o wiele groźniejszego niż ta żalosna kreatura, która z przestrzelonym gardłem skrzyła sobie kark. Tę prawdziwą bestię musiał unieszkodliwić, nim ona znajdzie Jeżę.

Bajbars rozgorączkowany myślał o tym spotkaniu. Macając w ciemnościach wycofał się, nie powodując najmniejszego hałasu. Pamiętał, że tuż obok były strome schody, przypominające raczej drabinę. Popatrzył w górę i dostrzegł na końcu wąskiego kanału nocne niebo i świecącego jasno Syriusza. Przesunął miecz do tyłu, aby mu nie zawadzał przy wspinaczce. Zaczął się wpinać jak kot po gładkiej ścianie, wymacując palcami wpuszczone szczeble. Odstępy stawały się coraz większe, jakby budowniczy chciał wspinającemu się utrudnić drogę. Bajbars poczuł wyzwanie, wyciągnął się w górę i nagle kamień, do którego się przycisnął, przechylił się do przodu i stracił go do jakiejś rynny, która stromo biegła w dół. Splukwała go niby deszczówkę w rurze odpływowej. Kiedy zjazd skończył się niezbyt łagodnym upadkiem na kamienną płytę, emir znalazł się pod gołym niebem obok piramidy!

Z zewnątrz wylotu rynny nie dało się rozpoznać, był wpuszczony w kamień i ukryty. Emir znajdował się na jednym z dolnych stopni, niedaleko zaś od niego stała czarna lektyka. Widział ją już kiedyś – gdy biało ubrani ludzie zabrali pod Mansurą zabitego wielkiego wezyra. Templariusze! – przebiegło mu przez głowę; zerwał się na nogi i wyciągnął miecz. Ale jak okiem sięgnąć nie widać było nikogo.

U stóp piramidy, akurat pod nim, ciągnął oddział mameluków. Potężnymi susami Bajbars pokonał resztę stopni. Od dowodzącego emira dowiedział się, że przysłał ich William z Roebruku.

– Co możemy dla ciebie zrobić, bracie? – zapytał dowódca pełen szacunku.

– Już nic – mruknął Bajbars – przybyłem za późno i wszystko zrobiłem na opak!

Popatrzył ku sterczącej kanciasto czarnej masie z kamienia. Troje ludzi było teraz jeszcze w piramidzie: król, dziewczynka i morderca.

Ogarnęła go szalona wściekłość.

– Ależ tak! – krzyknął. – Przed *Bab al-Malika* stoją jeszcze ci, którzy są winni tego, że życie powierzonej mi księżniczki znalazło się w strasliwym niebezpieczeństwie, a ja nie mogę jej pomóc! – Wykrzyczał to w bezsilnej rozpacz. Potem dodał już chłodno: – Wejdźcie bezgłośnie na piramidę od tyłu, zakłujcie i wytnijcie wszystkich!

Mamelucy ruszyli w drogę. Bajbars udał się na miejsce, gdzie zostawił konia, i pojechał do Bramy Króla. Pospieszył po stopniach w górę, ale mimo szarpania drzwiami, mimo tupania po kamieniach *Bab al-Malik* pozostała dla niego zamknięta.

Obok wciąż jeszcze siedział sufi.

– Jest wolą Allaha, Rukn ad-Din Bajbarsie – powiedział cicho, kiedy szalejący emir uspokoił się i pokonany zamierzał odejść – że nie powinniście tutaj wkraczać, ani w dobrych, ani w złych zamiarach. Obie te moce świata muszą się same zetrzeć. *Allahu akbar wa saufa tatahakkak maszi'atuhu* *.

Z krwawiącymi stopami i kolanami król Ludwik wspinał się w męce kamienistą drogą, aż znalazł się na nagiej skalnej płycie, na której były wyryte dziwne symbole. Popatrzył w górę. Ponad nim rozciągał się, opadający równomiernie na wszystkie cztery strony, czworokątny namiot piramidy. Przypomniały mu się rozmowy z *maître* Robertem z Sorbony, który był gorliwym orędownikiem idei, że chrześcijańskie świątynie nie powinny być przykryte krągłymi kopułami zgodnie z tradycją przejętą od Rzymian, której trzymali się także muzułmanie, nie powinny również jak gotyckie katedry wystrzeliwać w niebo spiczastymi łukami, podpartymi filarami i przyporami, lecz być podobne do przejrzystej matematycznej formy piramid. Tylko takie dachy byłyby przepuszczalne dla Ducha, który by się zniżał w swej boskości i trafiał na gotowego go przyjmując wierzącego człowieka, przenikał go, skupiony w wiąznię na szczycie, odbity od ukośnych ścian. Tylko w tym polu sił człowiek mógłby obcować z Bogiem. Król ustawił się dokładnie pośrodku kamiennej płyty i wsłuchiwał w siebie. Wtem doszedł go lekki szelest. Pan Ludwik rozejrzał się wkoło. Wszędzie paliły się małe oliwne lampki, także tutaj na górze, ale ich światło słabło i jedna po drugiej zaczynały gasnąć. Król nie poddał się panice. Powinien zejść teraz tą samą drogą, w końcu przecież walcząc ze sobą doszedł do jasnego rozstrzygnięcia, Bóg mu je objawił: nie może przyjmując godności sultana. Ale wobec tego po co szykował krucjatę? Po co zginęło tylu ludzi – zabitych, spalonych utopionych? Po co ginęli z głodu, pragnienia i od zarazy? Czy te ofiary miałyby być daremne? A może on zawiódł jako władca?

Ostatnie światła zamigotały i zgasły, pozostawiając go w ciemności. Pomóż mi, Maryjo, święta Matko Boża! Znowu szmery... to głosy, głosy umierających, rannych i chorych. Rzęzą, jęczą, krzyczą. Krzyczą na niego, krzyczą w jego głowie! Przycisnął ręce do uszu i zatoczył się, omal nie przewrócił.

* Allahu akbar... (arab.) – Allah jest wielki i stanie się to, co mu się spodoba.

– Jestem królem! – wydyszał bezgłośnie. – Żaden śmiertelnik nie ma prawa oskarżać namaszczonego! *Virgo immaculata*^{*}, weź mnie w opiekę, okryj mnie swoim płaszczem! – Przywołał przed oczy obraz Matki Bożej, był dzieciątkiem w jej ramionach. – Przygarnij mnie do piersi!

Kamienista droga w dół była teraz pogrążona w ciemności. Król poślizgnął się na żwirze i upadł. Kamienie pocięły mu ręce i twarz. Macał ślepo wzdłuż skalnej ściany, poranionymi stopami szukając drogi. Golgota^{*}!

Nie chciał być Chrystusem, nie chciał być królem, był udręczonym dzieckiem. Maryjo, okryj mnie swymi długimi jasnymi włosami, nie bój się swej nagości pod błękitnym płaszczem Królowej Niebios, obejmij mnie, przytul mnie – znowu się potknął, jego pokrwawiona twarz ześlizgnęła się po ścianie, osunął się na kolana – pozwól mi się objąć, wódz mnie, tak: wódz mnie na pokuszenie. Przycisnął wargi do zimnego kamienia. Twoje ciało, Twój brzuch, Twoje biodra, ich pragnę się ucześcić. Pozwól mi poczuć ogród Twego sromu, dostojna, chłodna Dziewico, nikt Cię nigdy nie posiadał. Ja posiadam Cię tutaj, w ciemności tej pogańskiej piramidy... Rękoma macał niespokojnie po skale, czołgał się na czworakach.

W ścianie pojawił się otwór, dziura, jeszcze ciemniejsza niż noc, która go otaczała. Wyczuł opuszkami palców próg. Może znajdzie schody, które go sprowadzą na dół, oszczędzą mu tej stromej, kamiennej, ciernistej drogi.

Były tam schody. Królowa Niebios go wysłuchiwała. Wyprostował się i zaczął schodzić w dół. Nigdy już, przysięgał sobie, nigdy się nie wyrzeknę białych ud mojej Maryi, pachnącego żywopłotu jej łona, na którym kędzierzawe, ciemnoblonde włosy kładają się jak różane zarośla wokół altany ukochanej. Ona jest moja, moja, moja!

Z każdym stopniem w dół wchodził w nią podniecony coraz głębiej.

Jeza nie wiedziała, jak długo spała w niszy bramnej małej świątyni, nie wiedziała nawet, gdzie się znajduje, gdy ognista gwiazda z płonącym ogonem przeleciała przez pomieszczenie i zrobiło się jasno jak w dzień. Zagrzmiało i trzasło straszliwie. Gdyby nie potworne zmęczenie, może wyskoczyłaby przerażona, ale ołowiany ciężar ramion i nóg stał się tak przygniatający, że siedziała dalej. Przed jej oczyma wybuchło gdzieś z hukiem i rozrzuciło blask iskrzące się źródło światła, które oświetlało każdy kamień i ciągnęło za sobą cienie, a jej kazało wstrzymać oddech. Teraz już wiedziała – był to grecki ogień i ten, kto go rzucił, spodziewał się po prostu, że ona w głupim przestraszeniu wybiegnie z kryjówki i stanie się łatwą zdobyczą dla myśliwego. Tylko się nie ruszać, powiedziała do siebie. On nie jest wystarczająco blisko, żeby móc wszystko dokładnie rozpoznać, inaczej rzuciłby się już z mieczem w rękę, krzyknąłby albo w milczeniu wbił w jej ciało żelazo. Oddychała bardzo

^{*} *Virgo immaculata* (łac.) – Niepokalana Dziewica.

^{*} Golgota – publiczne miejsce kaźni w Jerozolimie.

cicho i zamknęła oczy, żeby odblask tęczy jej nie zdradził. Ogień nie znalazł żadnego pożywienia między kamieniami i wkrótce zgasł. Gdy zerknęła, pojedyncze płomienie drgały jeszcze, potem znowu zapadła ciemność. Nasłuchiwała i wiedziała, że tamten nasłuchuje także. Potem usłyszała wyraźnie oddalające się kroki. Zbyt wyraźne, aby dała się na to nabrać. Kroki się zatrzymały. Potem podreptały dalej. Jezie wydało się, że widzi znikający promień światła, chyba z pochodni. Omackiem znalazła kamień i rzuciła go w tamtym kierunku. Ale nadal panowała cisza. Jeza postanowiła pozostać w kryjówce i spać dalej. Była ogromnie zmęczona. Po raz drugi prześladowca nie przyjdzie. A może? Ten był o wiele bardziej niebezpieczny, już udowodnił to tym, że tak długo czekał. Powinna była oddać się w ręce Bajbarsa, głupia gęś!

Gdyby mamelucki emir rzeczywiście chciał ją zabić, mógł to zrobić już dawno. Nie wyglądał na takiego, co morduje małe dziewczynki. Zamknąłby ją może w haremie, niewykluczone, że we własnym. Mogłaby spać w jego łóżku, zamiast błądzić tutaj po piramidzie nie wiadomo po co, bo przecież nie szuka wyjścia – przy wyjściu z całą pewnością czeka człowiek z greckim ogniem. Jeśli nie jest głupi. A ten głupi nie był, był niebezpieczny jak wojna. Tak twierdził William. Gdzie on się właściwie podziewa?

Powinien dotrzymać jej towarzystwa, a co najmniej na nią uważać! Pewnie się ugania za dziewczętami kuchennymi. Ta zuchwała Alisza go oczarowała. Co William z nią robił w ciemnym korytarzu? Siusiaka Williama nie mogła sobie w ogóle wyobrazić. Czy był mały i gruby jak minorityta, czy też jak chudy ptaszek? Alisza wie to z pewnością od dawna, ale ona przecież powiedziała, że dziewczyna musi najpierw krwawić, nim mężczyzna ją posiadzie. Mężczyźni są głupi. Żeby tylko Rosh nie stał się taki...

Powinien zostać bohaterem, mężnym jak Robert z Artois, z błyszczącymi oczyma i kędzierzawą brodą. Nie mogła zapomnieć rycerza z Artois. Był odważny do szaleństwa, z niego Alisza nie robiłaby sobie żartów. Jeza znowu się rozmarzyła. Musi zostać kobietą! I musi się jakoś wydostać z tej piramidy!

Wyjście było chyba na dole, a więc tam czekał człowiek z greckim ogniem. Nie zamierzał jej posiąść, chciał ją zabić z powodu krwi, którą w sobie nosiła, krwi Graala. Ale Jeza nie da się zabić. Podniosła się powoli, wyprostowała i przeciągnęła. Chłód sztyletu na nagiej skórze dodał jej odwagi. Członki bolały ją, w brzuchu czuła dziwne rwanie i klucie. Postanowiła wspiąć się aż do szczytu piramidy. W górze musiało być tak ciasno, że tylko taka mała osóbką jak ona mogła się tam schronić. To było z pewnością najbardziej bezpieczne miejsce.

Wypęzła przez niskie drzwi i ruszyła w drogę. Nie opuściła jeszcze świątyni, kwadratu otoczonego kilkoma brzuchatymi kolumnami, gdy z zewnątrz o tympanon uderzył garnek z greckim ogniem, słychać było, jak na ziemię spadają skorupy, i płonąca masa w mig rozlała się w wejściu, gdzie Jeza przed chwilą siedziała. Przebiegła między kolumnami, mimo że rzuciły groźne cienie. Z tyłu znalazła schody tak strome, że musiała się wspiąć na wysokie

stopnie jak po drabinie. Spieszyła się, aby się wydostać z zasięgu blasku rzucanego przez ogień. Na górze była balustrada. Jeza odważyła się rzucić okiem w dół na dziedziniec wewnętrzny i na szczytową ścianę świątyni. Ogień lizał kamienne kolumny i oświetlał wszystko, ale prześladowca się nie pokazał. Jeza ukryła się za balustradą i posuwała po posadzce jak gekon. Przed nią rozwarła się kamienna ściana i dziewczynka wczołgała się do otworu. Była to naturalna grotta, bardzo niska i zwężająca się w głąb. Jeza orientowała się doskonale w różnorodnych tajnych korytarzach, więc i tym razem nie dała się zniechęcić. Prześlizgnęła się przez zwężenie i znalazła się na ścieżce prowadzącej w górę. Czy uciekła prześladowcy? Cicho, krok za krokiem szła do góry, nieustannie nasłuchując.

Ciemna ciecz rozlała się po kamieniu, dotarła do krawędzi i ściekła na następny stopień. Płynęła od *Bab al-Malika* aż do miejsca, gdzie w lektyce czekała sułtanka. Kiedy ciecz spłynęła na ostatnie stopnie, nawet Szadszar ad-Durr mogła zobaczyć, że jest to krew. A więc sułtanka nie miała już na co tutaj czekać. Szybko dała znak do powrotu.

Godzinami wpatrywała się w świetlny łańcuch pochodni. Oczekiwała znaku od swych popleczników, że ona, władczyni, rządząca Egiptem Matka Halila, może wreszcie zająć należne jej miejsce i w uroczystym pochodzie przez piramidę spotkać człowieka, który przy jej boku weźmie w swoje ręce losy kraju. Sygnał nie nadszedł. A skoro trudno było przyjąć, że o niej zapomniano, mogło to tylko znaczyć, że jej, prawowitej sułtance i strażniczce pieczęci, wciąż wzbraniano wejścia w Bramę Królowej na korzyść córki Graala, *Allah jucharribha!** Potem światła na górze zaczęły się niespokojnie poruszać. Chyba toczyła się tam walka, gasła jedna pochodnia po drugiej. Później zapanowała śmiertelna cisza. A teraz przypląnęła krew. Kobiety zawyły żałośnie i biegły jeszcze przez chwilę obok lektyki, w której kącie, ułożony tam przez Szadszar, spał mocno mały Musa.

Stare kobiety przestały płakać i zawodzić, pobiegły do pałacu, by wrócić do spokojnej, monotonnej codzienności haremu.

Król błądził po niskich przejściach i wąskich korytarzach w podziemiach budowli. Było zupełnie ciemno, a w jego umyśle krążyły jasne, aż jaskrawe lubieżne obrazy. Gdziekolwiek sięgnął, napotykał żeńskie kształty, każdy kamień stawał się udem, każda szpara w murze rozkraczonym łonem. Zatarły się subtelne obrazy Maryi, alabastrowe, nieskalane ciało spoczywające na różach, pierś wstydliwie osłonięta błękitnym płaszczem Królowej Niebios. Teraz napierały na niego pogańskie boginie, bezwstydnice, dosiadały go, jakby był Priapem,* i mimo że karciał się boleśnie, jego zbuntowany członek wypychał się przez spodnie, niegodnie wyzywający, zawstydzający, sprośny. Długonogie żony faraonów, które znał tylko z malowideł na wazach, podnosiły skąpe skórzane fartuszki, przyciskały mu do twarzy

* Allah jucharribha! (arab.) – niech ją Allah zniszczy!

* Priap – greckie bóstwo o monstrualnie wielkim, stale wzwiedzionym członku.

nieprzyzwoicie wygolone *vulvae*, chwyciły go za korzeń, którego erekcji nie mógł poskromić. Tłusta wielopiersna Maja oplótła go, wyciskała swoje tryskające mlekiem piersi o jego brzuch i zmusiła, go by wczepił ręce w jej potężne pośladki. Przetaczała się po nim, gotowa go udusić, jeśli nie podda się jej woli.

Ludwik jęknął i wydał chrapliwy okrzyk, którego sam nie usłyszał; tarzał się po ziemi opętany namiętnością, próbował sam siebie udusić, wyrwać sobie oczy, skoro nie przestawały grzeszyć. Bił się pięściami po ciele, po skroniach. Zatykał sobie nos. Wszystko pachniało sromem, żądzą, nasieniem, moczem i rują. W szczelinie między kamieniami widział czerwone od krwi lędźwie młodzieńca zaszlachtowanego na ofiarę bogini, która z rozkoszą zanurzała biały palec we krwi. Ludwik był zgubiony, piekło bowiem ukazuje się żyjącemu tylko raz. Zataczał się idąc korytarzem, gdy nagle spadło na niego rozgwieżdżone niebo. Wiedział, że jest martwy, przechodził przez czyściec, otworzyły się czeluście piekielne, nadszedł sąd ostateczny. Z grzmotem, jaki może wywołać tylko trąba archanioła, popędziła w powietrzu ognista kula i całe pomieszczenie zalała jasnym światłem, jakby nastął dzień. Ciemności przestały skrywać grzesznika przed karzącym Bogiem. Płonąca, plująca ogniem kula zawirowała i spadła z trzaskiem. A wtedy pękła piramida, grzebiąc Ludwika pod gruzami.

Rzucił się na ziemię i oczekiwał końca świata. Nic się jednak nie zdarzyło. Gdzieś zamigotał odblask ognia i wtedy król zobaczył uciekającą Dziewicę Maryję, drobną niewieścią postać z rozwianymi jasnymi włosami i w błękitnej sukni, która skapo przykrywała jej nagość. Niebiańskie zjawisko umknęło trwożnie z zasięgu światła i zniknęło w ciemnościach. Wieczna dziewica, najświętsza, umiłowana, potrzebowała jego pomocy!

Podniósł się i sięgnął do miecza, wówczas przypomniał sobie, że zrezygnował z zabrania broni, gdy się zdecydował na tę drogę. A więc stał z pustymi rękoma wobec przeciwnika, który rzucał przeklętym greckim ogniem, wobec perfidnego wroga, który urządził polowanie na przestraszoną dziewczynkę, bezbronną dziewicę. Król mężnie poszukał drogi do miejsca, gdzie przygasał pożar. Nim światło znowu ustąpiło ciemności, stanął w blasku ognia, ażeby przeciwnik zobaczył go i także się pokazał. Wołać go wydawało się Ludwikowi niestosowne. Powinno wystarczyć, że mu wyszedł naprzeciw. Lecz tchórzliwy nikczemnik nie podjął wyzwania. Ludwik pozostał w ciemnościach sam. W oczach miał obraz uciekającej dziewczynki, która mignęła mu w momencie wybuchu.

Droga, którą Jeza wchodziła coraz wyżej, wiła się spiralnie, była wybrukowana i szersza niż wszystkie inne. Potem dziewczynka dostrzegła blask światła i uświadomiła sobie, że jeśli dalej pójdzie w tym kierunku, ukaze się prześladowcy. Była jednak dziwnie beztroska, obojętna. Zrobiła jeszcze kilka kroków i zobaczyła ustawione w krąg oliwne lampki, które nie mogły palić się od dawna, bo płomienie były jasne. W środku kręgu stał dobrze oszlifowany

blok z czarnego marmuru. Jak ołtarz. Na nim leżała jej błękitna suknia. Jeza wiedziała, że ma stracić życie.

W blasku lampek zauważyła nagle dużą ciemną plamę na spodniach w kroku. Cały czas przy chodzeniu czuła już tę wilgoć i podejrzewała, że to krew. Krwawiła. Wreszcie stała się kobietą i niestety teraz właśnie musi umrzeć. Nie chciała stanąć naprzeciwko śmierci w zaplamionym stroju, nadto kobieta nie powinna umierać w spodniach. O wiele lepiej będzie pójść na śmierć w niebieskiej sukni. Odpięła energicznie pasek, wyjęła sztylet, z którym nie chciała się rozstawać – gdyby doszło do najgorszego, mogła się nim sama zabić – zdjęła spodnie i stanęła całkiem naga. Spojrzała w dół ku udom. Były czerwone, ubrudzone krwią. Aby się jednak upewnić, sięgnęła palcem i pomacała w „złoty runie”, jak je kiedyś ochrzcił Rosz, za furtą do raju. Podniosła palec wysoko do światła. Błyszczał od ciemnej krwi. Jeza tak była przejęta, że nie dosłyszała przytłumionego jęku tajemniczego obserwatora, nie mówiąc już o dostrzeżeniu błyszczących oczu króla. Narzuciła błękitną suknię, wepchnęła w kąt spodnie, żeby ich nikt nie znalazł, wetknęła sztylet za dekolt i szybkim krokiem opuściła to dziwne miejsce. Pobiegnęła szeroką drogą pod górę i znowu w dół. Droga była teraz oświetlona łańcuchem oliwnych lampek. Ponieważ opadała stromo, dziewczynka zaczęła biec, musiała tylko uważać, żeby się nie zaplątać w długi błękitny aksamit. W powietrzu rozległ się trzask trzeciego wybuchu i znowu sklepienie i schody zostały oświetlone jak w dzień. Jeza nie ukryła się, biegła dalej. Czy to się nigdy nie skończy?...

Usłyszała za sobą kroki prześladowcy. Poruszała się już z trudem. Po co uciekać? Kiedyś przecież ją dopadnie. Przeszła obok jakichś drzwi, były przymknięte. Wślizgnęła się do środka i cicho zamknęła drzwi za sobą. Ciężko oddychając oparła się o ścianę. Kroki człowieka, który nastawał na jej życie, przeszły mimo bez zatrzymania. Dlaczego przyniósł jej błękitną suknię? Czy był tajnym kapłanem, który wybrał ją na ofiarę? Czy szaleńcem, jak ten o zmasakrowanej twarzy, przed którym uratował ją Bajbars?

Rozejrzała się dokoła. Stała w jakiejś świątyni! A może był to grobowiec? Pomieszczenie było wspaniale iluminowane. Setki łojowych świec płonęły jasno na ścianach, a pośrodku, na podwyższeniu spoczywał na marach Robert z Artois! Jeza zbliżyła się do niego z wahaniem. Nie budziła jej zdziwienia uśmiechnięta twarz księcia, jego kędzierzawa broda i niesforne loki – Robert wyglądał jak żywy, jakby zaraz miał otworzyć oczy – lecz zdumiał ją stromo sterczący, olbrzymi członek. Do tego, co uznała za nad wyraz irytujące, był pozłocony! Ten członek nie mógł należeć do Roberta, jakiego znała. Rycerz o wesołych oczach... Przypomniała sobie, że były szarozielone, tak jak jej. Jeza ziewnęła. Była wyczerpana, mogłaby zasnąć na stojąco. Kiedyś usiłowała sobie wyobrazić, co wielki bohater ma w spodniach, ale o złoconym członku – i tak wielkim! – nigdy nie myślała. Współczuła zmarłemu. Powinni mu położyć na ciele długi miecz i na nim złożyć ręce. To byłoby godne. A może tarczę z herbem? Ona zakryłaby to miejsce. Nie obnaża się zmarłemu przyrodzenia.

Sprawdzić, czy było dobrze przymocowane czy tylko wetknięte, nie miała ochoty. Ukłękła obok mar, położyła głowę na piersi księcia i zasnęła.

Emir Bajbars ze swymi mamelukami, których miecze były jeszcze zakrwawione, natknął się na ludzi Ajbeka. Prowadzili namiestnika do aresztu. Bajbars zatrzymał ich i podszedł do Husama ibn abi' Alego.

– Powierzono mi dziecko i przysiągłem, że będę go strzegł jak oka w głowie!

Namiestnik spojrział na niego hardo.

– To czynią także inni. Mają na względzie interesy państwa, a przecież – dorzucił pogardliwie – chodzi tylko o dziewczynę.

Bajbars popatrzył na niego zimno.

– Kpicie, Husamie ibn abi' Ali? Możemy się śmiać, chodzi tylko o waszą głowę!

Kazał jednemu z mameluków podać sobie olbrzymią pozłacaną szablę, którą namiestnik nosił na znak swojej władzy. Wyjął ją z pochwy i przeciągnął kciukiem po klindze. Zakrzywiona szabla, wartościowa robota z Damaszku, była tak ciężka, że podnosiło się ją oburącz, potem wystarczyło już jedno cięcie. Ciężar wyostrzonego jak brzytwa wygiętego ostrza oddzielał łeb bawołu od tułowia. Namiestnik nie był jednak bawołem, zaczął teraz krzyczeć.

– Na kolana! – rozkazał Bajbars i mamelucy próbowali rozpaczliwie broniącego się namiestnika zmusić do ukłęknięcia. Gdy Husam ibn abi' Ali pojął, że nie uniknie śmierci, przestał nagle krzyczeć. Chwycił rękoma swój kosztowny turban i wszyscy myśleli, że chce odsłonić szyję, on jednak przycisnął przeguby do ostrzy szpilek. Podczas gdy mamelucy czekali niecierpliwie, żeby w końcu zdjął turban, namiestnik zaczął rzeźić, toczyć pianę z ust, wyrócił oczyma i padł twarzą w dół, Bajbarsowi pod nogi. Emir z przekleństwem rzucił podniesioną już szablę na ziemię, odwrócił się i odszedł. Mamelucy martwemu namiestnikowi ucięli głowę.

– Iwone! – zabrzmiał głos króla ze starotestamentową mocą. – Nie będziesz zabijał!

Bretończyk wszedł do grobowca tajnym wejściem, znalazł Jeżę, tak jak oczekiwał, uśpioną. Jej jasne włosy zwisały na bok i odsłaniały kark. We śnie przyciągnęła do siebie rękę księcia Roberta i podłożyła ją sobie pod policzek. Odrąbując dziewczynce głowę, Iwo przeciąłby ramię księcia. Nie zastanawiał się jednak. Podniósł już topór, gdy w drzwiach ukazał się król. Iwo zawahał się. Spoglądał to na ofiarę, do zabicia której się zobowiązał, to na władcę, który go wypędził. Król patrzył samowolnemu słudze prosto w oczy, ani na mgnienie nie spuszczał z niego spojrzenia. Topór w podniesionej ręce Iwona nie zadrżał, zniżał się powoli ku karkowi dziewczynki. Nikt, nawet król Ludwik nie będzie mógł powiedzieć, że Iwo Bretończyk nie zrealizuje tego, co obiecał. Wszak działa dla dobra Francji, Francji Kapetyngów.

– Zatrzymaj się, Iwonie – powiedział pan Ludwik cicho. – Podnosisz rękę przeciwko swemu królowi!

Iwo jeszcze raz dźwignął w górę topór, jakby przedtem tylko się przymierzał do ciosu, a teraz miał go ostatecznie zadać, jednak nagle zdrętwiał. Topór wyslizgnął mu się bezsilnie z ręki, ze straszliwym łoskotem uderzył o kamienną posadzkę.

Jeza obudziła się i ponad Robertem z Artois zobaczyła króla, a za nim biało odzianych mężczyzn.

Iwo przyklęknął, podniósł topór i w obu rękach podał go swemu panu. Patrzył wciąż jak zaczarowany ku emporze ponad królem. Była teraz pusta, biało ubrani mężczyźni cofnęli się w cień. Iwo pojął, że to nie Anjou, lecz oni chcieli, żeby był tutaj, podniósł broń i potem ją opuścił. Los wszystkich spoczywał w ich rękach, nawet jeśli król wierzył, że to on miał moc przełamania czaru.

– Zabijcie mnie teraz, Wasza Królewska Mość – odezwał się Iwo – mieszka we mnie zło i pewnego dnia będzie miało nade mną większą władzę niż wy!

– Nigdy, Iwonie. – Król wziął od niego topór. – Tak jak wy musicie żyć z bronią, król będzie panować mocą swego słowa, która wynika z jego krwi, i zawsze będzie pokonywać zło. – Wcisnął zdumionemu Iwonowi topór z powrotem do ręki. – Moim panem jest Bóg – rzekł. – A wy uczynicie dobrze, uznając mnie, nie zaś jakiegoś diabła za swojego jedyne go pana.

Król popatrzył na Jezę, na jej jasne włosy przykrywające pierś zmarłego księcia, i wydawało się, że dopiero teraz rozpoznał Roberta, ukochanego brata.

– Wasza Królewska Mość, jak mogliście mi wybaczyć? – Iwo przeszkodził Ludwikowi w poddaniu się uczuciom.

– Niczego nie wybaczam, Iwonie! – powiedział szorstko. – Nie było was tutaj, nie widziałem was, a kiedy się znowu spotkamy, będziecie wiedzieli, czego od was oczekuję. Teraz odejdźcie!

Bretończyk podniósł się, skłonił szybko przed obojgiem i oddalił się, opuszczając grobowiec przez główne wejście. Drzwi zamknęły się nieco za głośno.

– Czy to był diabeł? – Jeza podniosła się i ostrożnie ułożyła rękę zmarłego z powrotem na jego piersi.

– Nie, moja panno – odparł król. – To był biedny człowiek! Biedny człowiek tak jak my wszyscy – rzucił się na zwłoki i zapłakał. Płakał długo i gorzko.

Jeza ze wszystkich sił starała się nie rozpłakać, ale ponieważ było jej żal króla, pogłaskała go po głowie. Król szlochał jeszcze głośnie. Położyła mu rękę na głowie i stała tak, póki się nie uspokoił. Pan Ludwik ściągnął płaszcz i przykrył nim zmarłego, przy czym zwrócił szczególną uwagę na to, by przesłonić jego pozłacany członek. Zrobił trzykrotnie znak krzyża nad gorszącym wzniesieniem, które uwypukliło się w tkaninie płaszcza, potem wycisnął

pocałunek na powoskowanych wargach brata, wziął Jeżę za rękę i wraz z nią opuścił grobowiec.

Na szerokiej oświetlonej drodze za drzwiami stało w milczeniu sześciu mężczyzn w długich białych płaszczach. Rozległ się donośny głos:

– Jeśli Wasza Królewska Mość sobie życzy, zabierzemy was i królewskie dziecko na pokład statku, który bezpiecznie zawiezie was z powrotem do Francji.

– Nie – powiedział Ludwik – nie życzę sobie, żebyście mnie stąd zabierali, złamałbym słowo i naraziłbym na pewną zgubę wszystkich, którzy tu ze mną przybyli.

– Czy to był diabeł? – spytała szeptem Jeza.

– Nie – odparł również szeptem Ludwik. – Gorzej! – Podeszedł do biało odzianych mężczyzn. – Nie – powiedział jeszcze raz głośno i dobitnie.

Skłonili głowy przed nim i Jeżę, a dwóch z nich dało im znak, żeby za nimi poszli.

Wkrótce znaleźli się przed ścianą z dwoma wejściami. Dwaj mężczyźni w białych płaszczach odeszli. Pan Ludwik wybrał ścieżkę, z której się wcześniej wycofał. *Bab al-Malik* otwarła się na oścież. Król i Jeza zobaczyli, że już wstaje świt i że nikt na nich nie czeka.

FINIS

LIB. II

LIB. III

I

SOKÓŁ I GOŁĄB

Kamienie świątyni w Baalbeku jarzyły się migotliwie w lipcowym skwarze. Mała grupa zrobiła odpoczynek w cieniu kolumn, zapewniwszy także wierzchowcom bezpieczne schronienie przed stojącą w zenicie promienną tarczą. Był to zakątek muru, gdzie w szczelinach rosło trochę krzewów; trawa wyschła już dawno.

W czasie podróży przez wrogi kraj między Czerwonym Sokołem a Saracenką narastało napięcie, panująca duchota robiła zresztą swoje. Emir nie odważał się zbyt ujawniać swoich uczuć, lękał się dostać odprawę. Wziął od Madulajn lutnię i śpiewał znane *tenso*^{*}, w ogóle nie zwracając się do kobiety. Rosz obserwował tę grę obojga z zapartym tchem.

Czerwony Sokół nucił, a oczy Madulajn się iskrzyły.

*Car jois e joven vos gida
cortese'e prez e senz
e toz bos captenemenz.
Per qu'us sui fidels amaire
senes toz retenemenz,
francs, humils e merceiaire,
tant fort me destreing e-m venz
vostr'amors, qe m'es plasenz;
per qe sera chausimenz,
s'eu sui vostre benvolenz
e vostr'amics.*

* Tenso (okcyt.) – śpiew wykonywany na przemian przez dwie osoby.

Rosz cierpiał z powodu gry słów, bo nie do końca rozumiał ich znaczenie; napelniało go to nieufnością, zwłaszcza że teraz również Madulajn, która chyba znała tę przekomarżającą się pieśń, nie obdarzywszy śpiewaka żadnym spojrzeniem, odebrała mu instrument i tak samo „obojętnie” odpowiedziała:

*Si fossi fillio de rei.
Creid voi que sia mosa?
Mia fe, no m'averei!
Si per m'amor ve chevei,
oquano morrei de frei.*

– *Domna, no-m siaz tant fera!** – wykrzyknął Czerwony Sokół, rzucając jej śmiałe spojrzenie.

Potem wyjechał, by rozpoznać okolicę, następny etap ich podróży, a także zatroszczyć się o dodatkowe konie, Homs bowiem był już niedaleko i zbytnio by ryzykowali, dokonując takiego zakupu w bezpośredniej bliskości miasta, gdyż z pewnością An-Nasir miał wszędzie szpiegów.

Saracenka i chłopiec obozowali ukryci między zwaliskami skał, tak że nikt przejeżdżający obok nie mógł ich zauważyć, a kogoś zwiedzającego ruiny zobaczyliby zawczasu i mieliby możliwość wspiąć się między wyżej położone, zapewniające bezpieczeństwo mury.

Tak ich w każdym razie pouczył Czerwony Sokół. Zresztą nie zjawiał się tutaj nikt. Dla Baala* zabijano tu kiedyś ludzi, duchy ofiar wciąż jeszcze błądziły między kamiennymi ołtarzami i rynnami do odprowadzania krwi.

Mokra suknia przyklejała się Madulajn do ciała. Chętnie by ją ściągnęła teraz, gdy Czerwony Sokół wyjechał, ale nie chciała niepotrzebnie rozdrażniać Rosza, który wraz z upływem podróży coraz mocniej pożerał oczami młodą kobietę.

Jego początkowa tęsknota za Jezą zbladła szybko wobec tej tajemniczej kobiecości, zaznaczających się przez mokry materiał koniuszków piersi, tak dziwnie, ostro pachnących włosów pod pachami, które śledził przy każdym poruszeniu tuniki Saracenki, i ukrytego ciemnego trójkąta, którego mógł się tylko domyślać, gdy mokra od potu tkanina przylegała do jej ud i brzucha.

Na każdym postoju zrzucał odzież i zostawał tylko w przepasce na biodra; przypasywał jednak szablę, gdyż Czerwony Sokół powiadał, że w czasie wojny rycerz chodzi z bronią

* Domna, no-m siaz... (okcyt.) – pani moja, nie bądź tak okrutna!

* Baal – u zachodnich Semitów przydomek Hadada, boga powietrza; centralna postać panteonu kananejskiego: w Biblii zaliczono Baala do fałszywych bogów; Rzymianie, zwłaszcza wojskowi, czcili go niezmiernie. W miejscach kultu składano często krwawe ofiary.

nawet siusiać i spać. Muskularne opalone ciało chłopca na tle kolumn tego pogańskiego miejsca kultu było jak inkarnacja Adonisa^{*}, którego Rosz wprawdzie nie znał, ale którego zmysłowość bezwiednie naśladował.

– Nie stój tam tak! – powiedziała Madulajn. – Ktoś może cię zobaczyć!

Aby go zwabić z muru, zachęciła go gestem, by usiadł obok niej. Pokazała mu też bukłak wodą i upiła łyk, ponieważ już dawno zauważyła, z jaką ochotą pił, jeśli przedtem wargami dotknęła wylotu bukłaka.

Rosz zeskoczył prawie na jej kolana. Nie wiedziała, czy powinna jego niezręczne pragnienie zaspokoić czy odrzucić. Teraz jednak musiała oddalić się za potrzebą. Wiedziała, że Rosz się za nią powlecze, ponieważ wciąż próbował ją podglądać i tylko obecność Czerwonego Sokoła powstrzymywała go przed zakradnięciem się jej pod suknię.

– Zajrzę do koni – powiedziała jakby od niechcenia i podniosła się szybko – uważaj tu na wszystko i nie pokazuj się! – Odeszła w kierunku przedsionka świątyni o zapadniętym dachu; tam wypoczywały zwierzęta.

Rosz wiedział, że w ten sposób maskowała tylko swą naturalną potrzebę, i ruszył za Saracenką jak kot na czworakach, ledwie tylko skreśliła za róg.

Dwa razy już udało mu się ją zaskoczyć, gdy podciągnęła suknię i przykucnęła. Nagie pośladki Madulajn były jak z marmuru. Raz nawet widział wyraźnie między jej nogami czarne włosy i błyszczący strumień, śledził go do końca, do pojedynczych kropli spadających jak perły. To była dla niego najbardziej podniecająca chwila; wyprostowany siusiak zaczynał pulsować i Rosz w trwożnym pobudzeniu miał nadzieję, że Madulajn się odwróci, odwróci do niego... reszty nie umiał już sobie wyobrazić. Musiałaby to wziąć w rękę, nie, nie w rękę! Ona jest osobą doświadczoną, tego był zupełnie pewien, chociaż Czerwonemu Sokolowi w czasie długiej podróży nigdy nie ofiarowała swego ciała, tego także był pewien, gdyż zazdrośnie pilnował, żeby nigdy nie pozostawali sami, i nawet nocą budził się, aby sprawdzić, czy każde śpi oddzielnie.

Ale gdzie była Madulajn? Z ostrożności ociągał się za długo i teraz plac przed świątynią był pusty.

Rosz dotarł do przedsionka, kryjąc się za kolumnami. Przy zwierzętach jej nie było. Schowała się przed nim. Nasłuchiwał z bijącym sercem.

Nagle usłyszał zduszony krzyk, bolesny, jakby zwierzęcy. Chwycił szablę i wyskoczył na zrujnowane schody, starając się nie czynić hałasu.

Usłyszał męskie głosy i przekleństwa; gdy się wychylił, już nie cofnął głowy. Patrzył w dół.

Pod nim na kamiennej płycie leżała na wznak Madulajn, suknię miała poszarpaną i podciągniętą do bioder, jej czarno owłosione łono poruszało się dziko. Saracenka wiała się, starając położyć na boku i zewrzeć uda, próbowała zrzucić napastnika, ale dwaj inni usiedli

^{*} Adonis – piękny młodzieniec, w mitologii greckiej kochanek bogini miłości Afrodyty.

jej na rękach. Tego, który wpychał się między jej kolana, ugryzła chyba w rękę, ponieważ krwawił i uderzył Saracenkę w twarz. Wtedy rozchylił jej uda i jedną ręką trzymając ją za gardło, drugą przycisnął swój trzonek do jej ciemnej *vulvae*.

Roszowi, którego nikt nie zauważył, zaparło dech, gdyż mężczyzna uczynił teraz coś, czego chłopiec nie oczekiwał. Zamiast spieszenie w nią wtargnąć, przesuwając członek z dołu do góry i z powrotem, jakby orząc dziki ogród. Jego kompani zagrzewali go monotonnym pokrzykiwaniem, które jak Rosz pamiętał, stosowali rybacy przy ściąganiu sieci, i za każdym razem żołądź zanurzała się głębiej w bruzdę.

Rosz śledził to widowisko jak zaczarowany, wciąż w oczekiwaniu, że napastnik wepchnie w końcu trzonek w drgające łono. Wzrok chłopca powędrował ku twarzy Madulajn. Z przerażeniem spostrzegł błysk w jej oczach, który zdradzał już nie wściekłość, lecz żądzę, zobaczył jej na wpół otwarte usta i falujące piersi ze sterzącymi ostro sutkami.

Teraz ona zobaczyła Rosza i wykrzyknęła jego imię, ale nie było to wołanie o pomoc, lecz gniewna przygana.

Rosz wyrwał szablę z pochwy i skoczył oraczowi na grzbiet, tak jak skacze się na konia. Nie zadał napastnikowi śmiertelnego ciosu, jedynie wywijał szablą. Zaraz został zrzucony z silnego karku do przodu i upadł na Madulajn między dwoma pozostałymi mężczyznami. Szabla poleciała w bok, dzięki temu mężczyźni potraktowali go tylko gołymi pięściami.

To jednak obudziło ducha oporu u Saracenki. Udało jej się chwycić za jądra jednego z przytrzymujących jej ręce napastników, a jednocześnie uderzyła oracza w lemiesz całkiem zresztą na ślepo, nie widziała bowiem nic, gdyż Rosz leżał na niej i tulił się, szukając schronienia.

Wtedy rozległ się krzyk, i jeszcze jeden, i coś upadło obok niej na ziemię. Popatrzyła w rozszerzone oczy mężczyzny, który dostarczał jej jeszcze strachu i rozkoszy, potem jego głowa przekreśliła się w bok i osunął się martwy, trzeci zaś krzyk powiedział jej, że ten, któremu ścisnęła jądra, także już nie odczuwa bólu.

Zsunęła z siebie Rosza. Czerwony Sokół z zakrwawionym mieczem odsunął zawadzające tułowie na bok i podał jej rękę.

Rosz pojął dopiero teraz, co się stało, i zaczął szlochać bez opamiętania. A gdy spostrzegł, że obejmuje jak poduszkę nie Madulajn, lecz ciało jednego z zabitych, wstał drżący, odszukał swoją szablę i ruszył do koni.

Z diariusza Jana ze Joinville

Damietta, 10 maja A.D. 1250

Kiedy po północy wróciliśmy do obozu, dowiedzieliśmy się, że już wieczorem Damietta została przekazana Saracenom. Powiadomił nas o tym baron Filip z Montfortu, należący do grona tych, których zadaniem było przekazanie Egipcjanom miasta zgodnie z układami. Zaledwie chorągwie sułtana zatknięto na cytadeli i na wszystkich wieżach, napłynęli przez bramy żołnierze z mamelukami na czele i rzucili się na nasze zapasy.

– Były tam jeszcze setki beczek wina – opowiadał Filip z Montfortu – żołnierze się upili. Urządzili krwawą łaźnię ciężko rannym i chorym, których stan nie pozwolił wcześniej wywieźć z miasta. Wycięli nieszczęśliwców w pień. Królewski sprzęt wojenny, maszyny miotające i kosztowne katapulty porąbali na kawałki, a było przecież ustalone w układzie, że własność Korony będą starannie chronić. I dokładnie to samo zrobili z zapasem drogiego wiejskiego mięsa, którym przecież gardzą. Spiętrzyli maszyny, mięso i trupy w jeden wielki stos i podpalili. Ogień z pewnością jeszcze się pali i cuchnie tam piekielnie! – zakończył relację baron.

Potem przybył jeszcze raz emir Ajbek, aby sprawdzić, czy wszyscy przebywamy w namiotach. Rzeczywiście, byliśmy posłuszni jego poleceniu, ale wcale nie spaliśmy, już choćby tylko z troski o naszego pana Ludwika, który wciąż przebywał w piramidzie, co do tej pory uszło uwagi naszego nadzorca, zwłaszcza że konetabl jak zwykle trzymał straż przed pawilonem króla.

Potem przez nasz obóz przebiegli krzycząc głośno mamelucy z zakrwawionymi jeszcze mieczami. Pomyślałem, że teraz pozabijają nas wszystkich, ponieważ dostrzegłem, że niosą uciętą głowę. Od razu ogarnął mnie strach o króla.

– *Al-Madždu li-Ajbak, hakimina!* – krzyczeli. William, który jako jedyny położył się spać, a teraz się przebudził, przetłumaczył: – Niech żyje Ajbek, nasz regent!

Wyszliśmy z namiotów i byliśmy świadkami, jak wręczyli Ajbekowi głowę namiestnika Kairu.

– *Tafaddal! Ma ahla amanijjat al-Amir Bajbars!**

– Jak to się stało? – spytał Ajbek skonsternowany.

Odpowiedzieli mu, że emir Bajbars własnoręcznie go uwolnił od rywala.

– *Al-Madždu li-Ajbak, hakimina!* – krzyczeli radośnie.

– Nie interesuje mnie ani ręka, ani głowa, ani powód – powiedział Ajbek zimno – tylko to, czy emir Bajbars przekroczył choćby na jedną stopę granicę, którą mu wyznaczyłem.

* Tafaddal! Ma abla... (arab.) – proszę bardzo, z wyrazami uszanowania od emira Bajbarsa!

Tego nikt teraz nie wiedział, mamelucy milczeli zmieszani. Ajbek kazał zatknąć głowę na słupie przed namiotem króla i powiedział do nas głośno:

– Jako ostrzeżenie dla wszystkich, którzy nie słuchają moich rozkazów.

Wycofaliśmy się do namiotów.

– Martwię się o Jeżę – rzekł William – to ja wysłałem Bajbarsa do piramidy, ale nie wiem, czy przybył na czas...

– Jeśli Iwo Bretończyk był szybszy – odparłem – wówczas można się obawiać najgorszego...

Gruboskórny Flamandczyk ułożył się znów do snu. Ja czuwałem, na dworze zaczęło świtać.

Chyba się jednak zdrzemnąłem, bo wstawał już dzień, gdy obudziły mnie okrzyki:

– Król! Król idzie!

Pan Ludwik szedł ulicą obozową, prowadząc Jeżę za rękę. Był w koszuli, bez płaszcza; Jeza miała na sobie niebieską aksamitną suknię, o wiele dla niej za długą i nieco krepującą ruchy. Oboje byli bardzo poważni i nie udzielili żadnych wyjaśnień. Saraceńscy strażnicy zadęli nagle w rogi. Powiedziano nam, że mamy się udać do bramy obozowej, zaprowadzą nas na statki i po zapłaceniu okupu wypuszczą na wolność.

W długim pochodzie – król wciąż z Jeżą na przedzie – pociągnęliśmy na brzeg rzeki. Towarzyszyło nam mnóstwo ludzi. Szacuję tłum na kilka tysięcy mężczyzn, krzyczących i wywijających szablami i oszczepami, oraz kobiet, które uderzały się dłońmi w usta, aby swemu wrzaskowi nadać przenikliwą wibrację. Towarzyszący nam mamelucy mieli pełne ręce roboty powstrzymując ten motłoch. Na brzegu Nilu przygotowano już kilka barek i miałem nadzieję, że będziemy mogli nareszcie wsiąść i odpłynąć. Ale gdzie tam!

Mamelucy oświadczyli, że wstydziłiby się, gdyby swoich jeńców wyprawili głodnych. Musieliśmy więc usiąść na rozłożonych dywanach i zjeść, co nam zaoferowano. Był to suszony na słońcu kozi ser i gotowane na twardo jajka; miały one co najmniej trzy dni, a ich skorupki pomalowano różnymi kolorami na naszą cześć.

Wciąż oczekiwałem, że rozmowa zejdzie w końcu na sprawę godności sultańskiej dla króla, ale o tym nie było już mowy ani po stronie mameluckiej, ani w najbliższym otoczeniu króla.

Wreszcie popłynęliśmy i dotarliśmy pod mury Damietty, wciąż jeszcze pod swego rodzaju strażą, która jednak wyglądała raczej na eskortę honorową. Niedaleko stała na kotwicy nasza flota, którą mieliśmy wrócić do domu.

Jednakże król zamierzał osobiście nadzorować przekazanie okupu, by się przekonać na własne oczy, że uzgodniona suma za zwolnienie jego ludzi została uiszczona. Poza tym mamelucy zatrzymali w Kairze jako zakładnika jego brata Alfonsa do czasu przekazania ustalonej układem połowy okupu. Nalegałem jednakże na pana Ludwika, żeby pozostał blisko

nas na brzegu, gdyż umówiliśmy się, że te dwieście tysięcy liwów zgromadzimy na pokładzie, aby nie przeliczać ich na oczach tłumu, który nas także tutaj oblegał.

Pierwsi panowie już nas opuścili, jak na przykład hrabia Flandrii i Piotr z Bretanii, który po ciężkiej chorobie nie przyszedł do siebie i z utęsknieniem marzył tylko o tym, aby go pochowano w jego rodzinnym mieście.

Mnie zobowiązano do utrzymywania łączności z naszą flotą i do zadbania o to, żeby przywieziono pieniądze, które tutaj miały być posortowane i przeliczone.

Mój sekretarz po wielogodzinnym liczeniu późną nocą wpadł na dobry pomysł, żeby posłużyć się wagą. Następnego ranka wzięliśmy skrzynki, z których każda zawierała dziesięć tysięcy liwów, i zaczęliśmy mierzyć srebro według ciężaru, ale koło południa brakowało nam jeszcze dobrych trzydziestu tysięcy.

Udałem się z Williamem na brzeg, żeby złożyć królowi relację, i zastałem go z Jezą, której czytał Pismo Święte. Sądząc po sceptycznym wyrazie twarzy, córka Graala po raz pierwszy w życiu zetknęła się ze słowami Nowego Testamentu, William zaś zwrócił mi kpiąco uwagę na to, że pan Ludwik używa Biblii przełożonej na język *oc*, a tego tłumaczenia Kościół nie dopuszcza, ponieważ jest dziełem lionńskiego kupca Piotra Waldo, którego Rzym wyklął jako heretyka. Przypuszczalnie król przyjął, że Jeza nie zna łaciny, tymczasem on, William, nauczył ją biegle słownictwa i gramatyki, co sprytna córka Graala chyba umyślnie przemilczała. Poruszyło mnie to, jak po ojcowsku obchodził się król z Jezą i jak obyczajnie zachowywała się ta zazwyczaj tak niesforna dziewczynka.

U pana Ludwika był tylko konetabl Francji i Mikołaj z Akki, kapelan, który udawał, że nie widzi i nie słyszy nic z wątpliwego nauczania kacerskiego dziecka przez królewskiego laika. Powiedziałem królowi, że wobec istniejącego niedoboru pieniędzy należałoby zwrócić się do templariuszy o pożyczkę; wiedziałem, że na galerze wielkiego mistrza znajdują się jeszcze obfite rezerwy. Pan Ludwik zgodził się ze mną, wobec czego kazałem się zawieźć na galerę razem z moim sekretarzem.

– Drogi hrabio Joinville – pouczył mnie komendant Stefan z Otricourtu – niedobrej rady udzieliliście królowi. Powinniście wiedzieć, że templariuszom nie wolno wydać żadnych pieniędzy na wykup jeńców, także drogą pożyczki!

Uznałem to za absurd, ponieważ nie jest sprawą wierzyciela, na co dłużnik przeznacza pieniądze, jeśli tylko je zwraca, a solidności w tym względzie króla Francji nie zamierzał chyba podawać w wątpliwość! W mig doszło między nami do gwałtownej kłótni, nie zabrakło i obelg. Wreszcie wkroczył między nas pan Renald z Vichiers, dawny marszałek, teraz pełniący obowiązki wielkiego mistrza zakonu.

– To wszystko prawda, co powiedział komendant. Nie możemy wydać ani jednego sou^{*} bez złamania naszej przysięgi. Co by się jednak stało, szanowny panie sekretarzu – zagadnął

* Sou – w średniowieczu dwudziesta część liwra.

nagle Williama – gdyby pan seneszał wziął sobie po prostu te pieniądze? Mnie by to nie zdziwiło, ale jak tego dokonać, to już wasza rzecz.

Nie wybrałem się wcale po radę do króla, lecz postanowiłem załatwić sprawę na miejscu, gdyż pieniądze były u naszych stóp. William zapytał komendanta, czy nie zechce z nami pójść, aby zobaczyć, ile zabiorę, ale z oburzeniem odrzucił tę propozycję. Pan z Vichiers natomiast oświadczył, że będzie świadkiem tego, jak bezwzględnie postępuję w imieniu króla.

Skrzynie z pieniędzmi były złożone w dobrze zabezpieczonym pomieszczeniu pod pokładem; dostać się tam było można tylko z nadbudówki na rufie. Klucze przechowywał podskarbi, który naturalnie odmówił zdecydowanie ich wydania, zwłaszcza że mnie nie znał, a zniszczony chorobą i niedostatkiem nie wyglądałem na człowieka budzącego zaufanie. Nie wspomnę już o wrazeniu wywieranym przez mojego sekretarza.

William znalazł siekiere i zawołał głośno:

– A więc to będzie klucz Jego Królewskiej Mości!

Chciał właśnie wyrąbać zamek przytwierdzony do twardych dębowych desek, gdy wielki mistrz chwycił mnie za kaftan na piersiach i zawołał:

– Seneszału, skoro jawnie zamierzacie użyć przeciwko nam brutalnej przemocy, musimy wam oddać klucze!

Podskarbi popatrzył na wielkiego mistrza z jeszcze większym zdumieniem niż przed chwilą na mnie, oddał nam jednak klucze. Znalazłem jakąś starą skrzynię, którą trzykrotnie ładowaliśmy do pełna i przenosiliśmy spod pokładu galery na nasz statek, w czym nam oczywiście nikt nie pomógł. Wreszcie zebraliśmy potrzebną sumę. Nie omieszkałem w drodze powrotnej podpłynąć tuż do brzegu i zawołać, ku uciesze króla:

– Popatrzcie, Wasza Królewska Mość, jaki jestem bogaty!

Tak oto zgromadziliśmy w końcu wszystkie pieniądze, powiadomiłem zatem panów, którzy po obu stronach byli do tego upoważnieni, że mogą *de facto* dokonać przekazania i przejęcia okupu. Należał do nich także baron Filip z Montfortu, pan Bejrutu. Doradzał on królowi, żeby zatrzymać część pieniędzy, póki pan Alfons faktycznie się u nas nie znajdzie. Król jednak nie chciał o tym słyszeć.

– Dałem słowo, że te pieniądze wypłacę, i słowa dotrzymam!

Dokonano wreszcie przekazania okupu. Przedłożywszy panom całą kwotę, skrzynia po skrzyni, pozostałem już przy królu. Widziałem, że Jeza pilnie liczyła, a gdy pan Filip przyszedł, aby zameldować, że przekazanie odbyło się zgodnie z przepisami, na czole dziewczynki zaznaczyła się pionowa zmarszczka.

Król nic nie zauważył, ale zobaczył to baron.

– W samej rzeczy, moja mała podskarbini – powiedział rozbawiony – pozwoliłem sobie odjąć dziesięć tysięcy liwrów jako drobne zadośćuczynienie za szkody, które wbrew

układowi wyrządzono mieniu królewskiemu w Damietcie. Nawet tego nie spostrzegli – dodał z dumą.

– Ale w moim odczuciu źle to świadczy o nas – powiedział król ostro – i żądam, żebyście bezzwłocznie i bez sprzeciwu przekazali brakującą skrzynię!

Pan Filip uczynił to, poprosił jednakże króla, aby się udał na pokład jednego z naszych statków, gdyż po przekazaniu miasta i wypłaceniu okupu byłoby czystą lekkomyślnością pozostać na brzegu, gdyż władca narażony byłby na atak Saracenów. Pan Ludwik okazał się znowu nadzwyczaj uparty. Spełnił dane uroczyście słowo i teraz oczekiwał, że jego brat zostanie zwolniony.

Jakby na potwierdzenie ostrzeżeń pana Filipa, przypędziło teraz jak wichur tysiące krzyczących, wywijających bronią Saracenów.

– Widzieli dużo pieniędzy – mruknął William.

– I policzyli je – dodała Jeza – dlatego się cieszą.

– Tego nie byłbym taki pewny – powiedział Montfort. – Odejdźmy stąd, proszę!

Było już za późno, droga ku statkom została odcięta. Jednak nikt na nas nie napadł, lecz w tłumie zrobiono przejście i zbliżył się do nas emir Bajbars.

– Chciałem się z wami pożegnać, Wasza Królewska Mość – skłonił się przed królem – i powiedzieć wam, że byliście dzielnym przeciwnikiem, a jeszcze większy respekt zyskaliście u nas jako jeniec, jesteście bowiem człowiekiem wielkiego ducha. Poczytuję sobie za zaszczyt poznanie was – oznajmił i zgiął kolano – jako człowieka, nie jako króla Franków!

Zauważyłem, że oczy osławionego Łuczniaka niebezpiecznie zaślniły, pomyślałem jednak, że trudno spodziewać się łez po tym twardym człowieku. Ale wydał mi się nieskończenie smutny i miałem wrażenie, że jeszcze coś innego leży mu na sercu. W każdym razie pan Ludwik pospieszył z odpowiedzią i wiele nie brakowało, a obaj mężczyźni padliby sobie w ramiona.

– Dziękuję wam za ten gest, emirze – rzekł cicho. – Uśmierciliście mojego brata i zadaliście mi klęskę, ale czyniliście to dla waszego kraju i waszej wiary. Zachowam was zawsze we wspomnieniach jako najzdolniejszego dowódcę i najmężniejszego wojownika, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Przede wszystkim zaś jako honorowego zwycięzcę, który mi unaoczniał, jakim błędem było napadać na wasz kraj. Za to chcę wam podziękować, odpływając stąd jako wolny człowiek. – Król ściągnął z palca pierścień i wręczył go emirowi: – Chwała mężowi, który nas zwyciężył, ale pozwolił zachować życie i godność.

Spojrzenie króla, który sam miał wilgotne oczy, ześlizgnęło się na Jezę, ku której teraz pochylił się Bajbars.

– Książniczko – powiedział mameluk – nauczcie wielkiego króla, że jest tylko jeden Bóg, któremu wszyscy powinni służyć, a któremu nie może się podobać, kiedy wojny rozstrzygają o prawdziwości wiary. – Surowy wojownik szukał słów i jakby oczekując pomocy, położył rękę na ramieniu dziewczynki. – Tylko ten, kto przynosi pokój, będzie kiedyś panował nad tą

ziemią i jej narodami, a jego królestwo znajdzie upodobanie u Wszechmogącego. Allah niech będzie z tobą, Jezo! – podniósł się i zwrócił do pana Ludwika. – Przysiągłem kiedyś – rzekł ze smutkiem – iż będę strzegł córki Graala jak źrenicy oka. Źle jej strzegłem, lecz Wasza Królewska Mość uchronił ją od najgorszego.

Król, któremu nawet nie przyszło na myśl, że uratowana przez niego w piramidzie Jeza nie miałaby być teraz oddana pod jego pieczę, był zmieszany z powodu tych słów, ale Bajbars ciągnął dalej, choć przychodziło mu to z trudem:

– Skoro jednak Wasza Królewska Mość płynie do Syrii, dokąd już się udał syn Graala, jestem gotów powierzyć wam księżniczkę, ażeby królewskie dzieci mogły znowu być razem!

Wówczas Jeza jednym susem rzuciła się na szyję groźnego emira.

– Ja także zachowam was zawsze w pamięci, wielki Łuczniku, i wrócę do was jako zakładniczka – obiecała pełna powagi – jeśli wy, *Allah jaghimmu* *, nie będziecie mogli rychło uścisnąć swego syna Mahmuda.

Bajbars pogłaskał ją po głowie.

– Zawsze was chętnie powitamy, księżniczko – oznajmił i kazał jednemu ze swych ludzi podać sobie jakiś przedmiot owinięty w chustę. Wręczył go Jezie.

Dziewczynka rozpakowała upominek. Była to lutnia. Filuternym uśmiechem dała do zrozumienia, że pojęła sens tego gestu, i po kobiecemu wdzięcznie dygnęła.

Mamelucki emir zwrócił się jeszcze raz do króla:

– Jeśli pozwalam księżniczce odjechać z wami, Wasza Królewska Mość, obowiązuje was także moja przysięga...

Król podał mu rękę. Bajbars uścisnął ją mocno i dał znak swoim ludziom, czekającym w należytej odległości. Mamelucy rozstąpili się i ukazał się królewski brat, pan Alfons z Poitiers, który ruszył ku nam. Bajbars jeszcze raz skłonił się przed królem i Jezą i cofnął do swoich żołnierzy.

Księżę podszedł do króla. Bracia uścisnęli się w milczeniu i wszyscy udaliśmy się na pokład. Natychmiast postawiono żagle i wypłynęliśmy na otwarte morze.

Jeza wydobyla z instrumentu, który jej Bajbars podarował, smutną melodię.

*Alta undas que venez suz la mar,
Que fay lo vent gay e lay demenar
de mun amic sabez novas comtar,
qui lay passet? No lo vei retornar!*

– To dziecko wzrusza mnie swym smutkiem – powiedziałem cicho do Williama i rzuciłem ostatnie spojrzenie na pozostającą za nami Damiette.

* Allah jaghimmu (arab.) – niech Allah temu przeszkodzi!

Mnich obserwował w zamyśleniu dziewczynkę na tle znikającego we mgle wybrzeża Egiptu.

– Pan Ludwik jeszcze się zdziwi, jak niesforną córkę zaadoptował! – zakpił.

– Ach, panie sekretarzu, wszyscy staliśmy się starsi, a Jeza od swego *itineris initiationis**, od swej wędrówki przez piramidę, stała się dojrzała. Tak mi się przynajmniej wydaje!

– Wydaje? *Fallax in speciem** – odparł mój William. – Staliśmy się starsi na pewno, ale nie mądrzejsi!

Musiał mieć ostatnie słowo.

*Oy, aura dulza, qui vens dever lai
un mun amic dorm e sejorn' e jai,
del dolz aleyn un beure m'aportay!
La bocha obre, per gran desir qu'en ai*

Jechali przez dziki kraj. Głęboko wcięte koryta rzek leżały suche, obrzeżone rosnącymi dziko wawrzynami i sękatymi dębami.

Ścieżka wiła się przez wysokie na męczyznę krzewy janowca, w każdej chwili mała grupa mogła spodziewać się, że natknie się na wrogo nastrojonych jeźdźców lub zbójceją bandę.

Czerwony Sokół, Madulajn i Rosz dotarli do granicznych terenów Królestwa Jerozolimskiego, tak zwanej Bramy Syryjskiej*. Kazali poganiaczom ze zwierzętami iść przodem. Rosz pierwszy usłyszał coś niepokojącego i podniósł rękę. Madulajn ściągnęła cugle wierzchowca, Czerwony Sokół także wstrzymał konia.

Teraz dał się już wyraźnie słyszeć śpiew rozwiewany niekiedy przez wiatr. Jakiś chorał.

*Allerêst lebe ich mir werde,
sit min sündic ouge siht,
daz here lant und ouch die erde,
derman vil der eren giht.*

Rosz wysunął się za zakręt.

– Starkenberg! – zawołał cicho.

Na przeciwległym zbocz, przyklejony do stromych skał jak gniazdo szerszeni, wznosił się zamek zakonu krzyżackiego. Zbliżyli się do skraju przepaści. Po drugiej stronie na murach

* Inter initiationis (łac.) – droga wtajemniczenia.

* Fallax in speciem (łac.) – pozory mylą.

* Brama Syryjska – przełęcz górską między Beaufort a Banyas w dzisiejszym południowym Libanie, dojście do równiny Buquaia.

ukazali się wartownicy w powiewnych białych płaszczach; na tunikach rysowały się czarne krzyże, od piersi po kolana.

*Mirst geschehen des ich ie bat,
ich bin komen an die stat
da got mennischlichen trat.*

Jeden z wartowników przyjrzał się przybyszom i w milczeniu wskazał im dojście do twierdzy, którego przedtem nie spostrzegli. Musieli jednak iść pieszo.

*Schoenui lont rich unde here
swaz ich der noch hen gesehen,
so bist duz ir aller ere,
waz ist wonders hie geschehen!*

Potężny chorał wnikał do wnętrza zamku, przez mury mocno przytłumiony.

*Daz ein magt ein kint gebar
here übr aller engel schar,
was daz nicht ein wunder gar?*

Zygisbert z Öxfeldu znajdował się wraz ze swymi przyjaciółmi w suterenie donżonu i przysłuchiwał się z uśmiechem planom uwolnienia z Homsu mameluckich dzieci.

– Podziwiam waszą odwagę – powiedział mrukliwie do Czerwonego Sokola – odmawiam jednak waszemu przedsięwzięciu jakichkolwiek widoków na powodzenie. Wy sami przecież nie możecie wystąpić wobec An-Nasira jako mamelucki emir!

– Tego oczywiście zamierzam uniknąć – odparł Czerwony Sokół zarożumiale. – Rosz zna tajną...

Przerwał mu grzmiący śmiech komtura.

– Z pewnością najkrótszą drogę do więzienia, a tam oczekuje was tylko jeden człowiek: kat! Nie, to nie jest rozwiązanie, mój drogi!

Zaległo milczenie, które przerwała Madulajn:

– A gdyby Czerwony Sokół zrobił właściwy użytek ze swej wspaniałej przeszłości i wystąpił jako księżę Konstancjusz z Selinuntu?

– Nadzwyczaj mądra córo Saracenów! – zagrzemiał uradowany Zygisbert. – To jest rozwiązanie: wystąpicie jako poseł cesarza, w tajnej misji oczywiście i dlatego w towarzystwie tylko jednej damy i – popatrzył rozbawiony na Rosza – jednego bardzo młodego giermka.

– Wolę się jako dama nie pokazywać – zaprotestowała Madulajn. – Nie zapominajcie, że mnie i Rosza znają w Homsie. Przebranie musi więc być odwrotne, ja jako giermek, a Rosz jako córka albo siostra, a może...

– Jestem rycerzem i nie będę nosił żadnych babskich rzeczy! – oburzył się Rosz.

Zygisbert chrząknął.

– Jeśli już nie chcecie omijać Homsu z dala, każdy musi się dostosować do roli, która go uczyni nierozpoznawalnym i wiarygodnym dla An-Nasira. Pragniesz przecież uwolnić swoich przyjaciół, a może nie?

Rosz pokornie przełknął przyganę. Trójka gości poszła za niemieckim rycerzem po schodach do górnych pomieszczeń wieży.

– Tutaj nocowało już kilku królów wraz z małżonkami – objaśnił Zygisbert, pokazując skromną izbę, w której stało łożo z baldachimem. Otworzył kilka szaf; zawierały taką obfitość aksamitnych kubraków i wykwintnych spodni, że wystarczyłoby dla całego zastępu paziów.

– Zostawimy teraz damę samą – zaproponował pogodnie – i oczekujemy na pojawienie się smukłego giermka.

W przedpokoju także stały szafy i skrzynie.

– Rozejrzyj się – powiedział Zygisbert do Rosza – znajdziesz na pewno coś twarzowego. A może Madulajn powinna ci pomóc?

– Ubierać umiem się już sam! – odparł chłopiec z urazą w głosie.

– Aha, twoja laska! – dorzucił jeszcze Czerwony Sokół. – Musisz ją tutaj zostawić. Małe dziewczynki nie noszą hebanowych pałek z ukrytym ostrzem.

Chłopak był wściekły, z purpurową twarzą grzebał głęboko w skrzyni.

– Czy zechcielibyście mnie, z łaski swej, zostawić samego?! – sapnął i obaj rycerze wyszli.

Rosz mógł każdą uwagę przyjąć od Zygisberta, ale nie od Czerwonego Sokoła, który wodził oczyma za Madulajn. W dodatku czynił to w czasie wyprawy, kiedy jako mamelucki emir miał uwolnić mameluckie dzieci! Rosz, chociaż przebrany za pokojową, ruszy do swego pierwszego rycerskiego czynu. Że też Jeza nie może go teraz zobaczyć!

Pomieszczenie, w którym chłopca pozostawiono samego, musiało służyć wojującym mnichom jako *scriptorium**. Rosz z ciekawości odkrył, że w innych skrzyniach przechowywano rolki pergaminu i foliały. Przeczytać niczego nie potrafił, gdyż zapisane były chyba po niemiecku. Ale znalazł czystą kartkę, pióro i atrament.

Być może, jest mu sądzona pełna chwały śmierć; jako poległy bohater powinien zostawić ukochanej ostatnie pozdrowienie. Niech ma nad czym wylewać łzy. Musiał napisać do Jezy pożegnalny list, który powinna znaleźć, gdy jego już nie będzie, gdy go przyniosą na tarczy, z rękoma złożonymi na główicy miecza. Główica! To kryjówka, o której wie tylko Jeza, jego żalobna wdowa.

* Scriptorium (łac. średn.) – kantor, kancelaria.

Rosz usiadł na skrzyni i zaczął pisać.

„Najukochańsza Jezo, kiedy będziesz czytała ten list...”

Nie, musi śmieiej zacząć, wpoić Jezie zaufanie do przyszłości bez niego... Bez niego? To było zbyt smutne, ta myśl jemu samemu napędziła łzy do oczu. Ale przecież jeszcze nie był martwy! A więc:

„Mojej gorąco i serdecznie kochanej Jezie spieszne pozdrowienia ze Starckenbergu, twierdzy naszego ojcowskiego opiekuna Zygisberta, z którego gościnności właśnie korzystam. Jutro wyruszamy do Homsu uwolnić przyjaciół, ponieważ należy dotrzymać przysięgi braci i sióstr Tajnego Miecza. Gdyby mi się coś przytrafiło, jak na przykład śmierć lub co innego, przyjmij to lekko, a po stosownym okresie żałoby nie idź do klasztoru! I nie zapomnij mnie nigdy!”

Teraz musiał jednak zapłakać. Pozbierał się mężnie jeszcze raz i dopisał pod spodem: „Twój wiecznie Cię kochający Rosz”.

Wytarł nos, zrolował pergamin, wyjął ostrze ukryte w lasce, owinał wokół niego list i wsadził uważnie z powrotem do pochwy. Potem odstawił do kąta niewinnie wyglądającą laskę; zobaczy ją każdy, kto będzie szukał po nim jakiejś pamiątki. W taki sposób Jeza, jako jego jedyna spadkobierczyni, otrzyma wiadomość. Tak się godzi.

Teraz musiał jak najszybciej przemienić się w kobietę. Postanowił się po prostu ubrać tak, jakby był Jezą. Czy Madulajn już się przebrała? Zaczął nasłuchiwać. Usłyszał jej kroki w przyległym pokoju.

Podkraść się na palcach do drzwi i przysunął oko do dziurki od klucza. Zaparło mu dech. Madulajn stała nagusienka przed szafą i przykładała do siebie jeden kubrak za drugim. Była zwrócona w jego stronę, tak że mógł widzieć jej uda i ciemną bramę raję, która wydawała mu się zresztą piekielną otchłanią, jednak nim zdołał dokładniej ją zbadać, Madulajn wciągnęła szybko parę dwubarwnych obcisłych spodni, upchnęła w nich marmurowy brzuch i pośladki, zakrywając tajemnicę.

Od czasu napadu trzech mężczyzn w Baalbeku Rosz nie zaznał spokoju. Wspomnienie prześladowało go nawet we śnie, śnił o czarno owłosionym łonie, które się ku niemu wypiętrzało, wabiło, wciągało w siebie. Teraz oddychał ciężko i czuł, jak jego siusiak sztywnieje i rośnie, jednak nie odważył się otworzyć drzwi i... Jak miał stanąć przed piękną Saracenką? Co miał jej powiedzieć, jej, która była zameżna, jej, która gardziła nawet takim rycerzem jak Czerwony Sokół? Po prostu ją objąć? Klęknąć przed nią?

*Or me laist Dieus en tel honor monter,
que cele ou j'ai mon cuer et mon penser,
tiegne une foiz entre mes braz nuete,
ainz que voise autre mer.*

W korytarzu rozległ się brzęk ostróg. Ktoś nadchodził. Jednym susem Rosz znalazł się znów przy skrzyni z odzieżą i grzebał w niej z zaczerwienioną, spuszczoną w dół twarzą.

– Nic nie znalazłeś? – spytał Zygisbert dobrotliwie. – Pomogę ci...

Chłopiec skinął głową z wdzięcznością i zdjął ubranie. Członek już nie mógł go zdradzić. Ach, dlaczego nie ma tutaj Jezy? Dlaczego zostawiła go samego na obczyźnie?!

– Przymierz to! – Zygisbert wyciągnął ze skrzyni jedwabną bluzę, na której Rosz rozpoznał herb Hohenstaufa.

Ubrał się. Duma rozpierała mu piersi.

Z diariusza Jana ze Joinville

Akka, 3 lipca A.D. 1250

Miasto Akka, stare Ptolemais, położone na północnym krańcu zatoki Hajfa, uchodziło za najlepiej umocniony bastion na tym terytorium, które pozostało chrześcijanom z Królestwa Jerozolimskiego.

Od czasu utraty Jerozolimy, odebranej dokładnie przed sześćdziesięcioma trzema laty przez wielkiego Saladyna, Akka służyła *Outremer* jako stolica, siedziba królów albo ich regentów, patriarchy oraz wszystkich trzech wielkich mistrzów zakonów rycerskich.

Kiedy nasz statek z panem Ludwikiem skręcił obok Wieży Much* na spokojne wody basenu portowego i zacumował obok arsenału, zjawilo się bardzo niewiele osób, by powitać króla.

Nie było to dla mnie dziwne, gdyż na genueńskim statku, który tutaj króla przywiózł, nawet nie przygotowano dla monarchy nowych szat. Pan Ludwik był zmuszony odbyć podróż w tym samym stroju, który nosił od czasu dostania się do niewoli, gdyż darami mameluków gardził, jako zresztą jedyny spośród nas.

Regentem Królestwa Jerozolimskiego był od śmierci swojej matki Alicji król Cypru Henryk. Pozostał on na swojej wyspie.

Patriarcha Robert przebywał jeszcze w egipskim więzieniu, podobnie jak wielki mistrz joannitów Wilhelm z Châteauneuf, który nie wyszedł na wolność od nieszczęśliwej bitwy pod Gazą A.D. 1244.

* Wieża Much – zewnętrzna wieża fortyfikacji portowych Akki.

Szpitalników reprezentował Jan z Ronay – przybył późniejszym statkiem; templariuszy ich dotychczasowy marszałek Renald z Vichiers, którego kapituła zakonu niedawno wybrała oficjalnie na wielkiego mistrza, co mu chyba uderzyło do głowy, na brzegu bowiem zobaczyłem tylko pana Gawina Montbarda z Béthune.

Także u Niemców po śmierci Henryka II Hohenlohe nastąpiły w ubiegłym roku zmiany. Nowy wielki mistrz zakonu, hrabia Guntram ze Schwarzburga, rezydował w dalekich Prusach i nie zaszczylił jeszcze Ziemi Świętej swą wizytą. A ponieważ teraz przybył do Akki nie jego pan i król Konrad, lecz Ludwik Kapetyng, nie stawił się osobiście, lecz przekazał pełnomocnictwa komturowi ze Starkenbergu, staremu wojownikowi Zygisbertowi z Öxfeldu, który od czasu ciężkich godzin w Damietcie cieszył się najwyższymi względami królowej Małgorzaty.

Królowa stała na nabrzeżu, trzymając w ramionach trzymiesięcznego synka, którego ojciec jeszcze nie widział, bo dziecko urodziło się w czasie jego pobytu w niewoli.

A za królową pan Ludwik dostrzegł swego nieokiełzanego, teraz pełnego skruchy strażnika przybocznego, Iwona Bretończyka.

Tak więc zgotowano nam naprawdę skromne powitanie, gdy pan Ludwik, trzymając Jeżę za rękę, zeszedł na ląd.

Królowa z dworskim dygiem podała królowi syna i popatrzyła nieco zdziwiona na jasnowłosą dziewczynkę w spodniach, ze sztyletem za pasem.

Pan Ludwik syna jedynie szybko pocałował w czoło, Jeza okazała niemowlęciu więcej zainteresowania. Już miała je wziąć w ramiona, na szczęście przeszkodziło temu energiczne wkroczenie dam.

Zygisbert wysunął się do przodu i uwolnił parę królewską od niesfornej wychowawicy, której niestosowne zachowanie się wymagało wyjaśnień.

Jezie jednak przyszło jeszcze na czas do głowy, jak się należy zachować, i dygnęła dwornie przed panią Małgorzatą, nim została odciągnięta na bok przez niemieckiego rycerza.

Król zwrócił się do Bretończyka jakby od niechcienia:

– Sądziłem, panie Iwonie, że wróciliście już do Bretanii z hrabią Piotrem Mauclerc...

– Chciałem tego, życzyłem sobie takiego losu, Wasza Królewska Mość. – Iwo przyklęknął pokornie. – Hrabia niestety nie zobaczy już swego kraju. Zmarł jeszcze u wybrzeży Egiptu.

– Przekażę wam wobec tego jego przydomek „Mauclerc”^{*} – rzekł król z goryczą – ponieważ niewiele dobrego od niego doświadczyłem i wy, mam nadzieję, nie dacie mi się gorzej we znaki. Tak czy tak jesteście „złym kapłanem” – dorzucił.

– Ale zarazem tarczą, która się za was da porąbać na sztuki, Wasza Królewska Mość! Ramieniem, które przejmie każdy cios, skierowany przeciwko wam...

^{*} Mauclerc (stfr. mal clerc) – zły kapłan.

– Więc chodźcie za moimi plecami, Iwone Mauderc, abym was nie widział, bo przejmujecie mnie smutkiem. I zabraniam też, żeby wasze ramię kiedykolwiek ponownie uderzyło, gdyż wolę zostać zabity przez trzech mameluków, niż być chroniony przez kogoś, kto nie zważa na zbawienie duszy.

Bretończyk podniósł się i szybko zajął nakazane mu miejsce za królem.

– Sire – rzekła królowa i wskazała na Zygisberta – komtur ze Starkenbergu wielce zasłużył się dla waszej rodziny.

Królowi nie była teraz w smak ta pochwała i powiedział zrzędnie:

– Jesteśmy waszym dłużnikiem, panie Zygisbercie, i nie wiemy, czy potrafimy kiedykolwiek wyrównać nasz dług. A może niemieccy rycerze mają jakieś pilne życzenie?

– Wystarczy nam, Wasza Królewska Mość – rycerz położył szeroką dłoń na głowie Jeży – że w tych czasach wrogości dotrzyмалиście lojalnie przyjaźni cesarzowi i jego krwi. Wobec tego błędnie moja zasługa. Wyrażamy wam wdzięczność za opiekę nad dzieckiem.

Przykląkł i potem chciał się oddalić razem z Jeżą, ale król go zawrócił.

– Was nie mogę zatrzymać – oświadczył i chwycił Jeżę za ramię – ale latorośli mego cesarskiego kuzyna nie powinniście uprowadzać do pustelni Starkenbergu. Jeza przypadła mi do serca, chcę ją powierzyć opiece królowej.

Zdumiona pani Małgorzata podała Jezie rękę, ale dziewczynka jej nie przyjęła. Dopiero gdy Zygisbert poprowadził ją do królowej, zaprzestała oporu.

Zrobiło mi się jej żal, trąciłem więc Williama i odezwałem się do pana Ludwika i jego małżonki:

– To dziecko jest trudne do ustrzeżenia, może się okazać dla was ciężarem. Oddam wam mego sekretarza, który wykazał się już jako wychowawca księżniczki.

Twarz Jeży rozjaśnił uśmiech wdzięczności, lecz królowa powiedziała zjadliwie:

– Córka waszego Fryderyka nie może być przecież tak niesforna, żeby potrzebowała opieki rycerza zakonnego, sekretarza i wstawiennictwa seneszała. – Skinęła na swoje damy, by odprowadziły Jeżę do kobiecych pokojów.

Dziewczynka jednak poradziła sobie w tej sytuacji.

– Chętnie wezmę do służby pana Williama z Roebroku – oznajmiła rezolutnie królowi, a do Zygisberta powiedziała: – Dziękuję wam za opiekę.

Stała między obydwoma mężczyznami, tak że damy dworu przestały się jej naprzykrzać. Król ze śmiechem zwrócił się do żony:

– Macie przedsmak tej sprawy, *madame* – a gdy zobaczył, że królowej niezbyt się to spodobało, dodał: – jeśli już zakon niemiecki oddaje do dyspozycji dziewczynki swego najwierniejszego rycerza, a wy, drogi Joinville, kwiat rodu świętego Franciszka, to i ja nie mogę pozostać w tyle. Oddaję pana Iwona!

Wydawało mi się, że serce przestało mi bić! Czyż pan Ludwik nie wiedział, że najgorszego kozła czyni ogrodnikiem? A może właśnie chciał skamieniałe serce Bretończyka odmienić

przez obcowanie z pełną uroku Jeżą? Odważna gra! Pani Małgorzata, chyba zaskoczona, że obcemu dziecku król poświęca o wiele więcej uwagi niż własnemu, poprosiła małżonka, by zezwolił jej odejść.

Dopiero teraz pan Ludwik zauważył jej zagniewanie, wziął syna w ramiona i zaproponował królowej swoje towarzystwo.

– Idźcie za głosem serca – odparła pani Małgorzata i ruszyła przodem.

Dziwny obraz zobaczyli handlarze bazaru w Akce, mieszczącego się między siedzibą patriarchatu, Montjoie* i arsenałem: trzech mężczyźni współzawodniczyli o względy jasnowłosej dziewczynki, która szła między nimi, a ponieważ tylko dla dwu spośród nich znajdowało się miejsce po obu jej stronach, trzeci zgodnie z temperamentem pospieszał przodem albo człapał z tyłu.

Potębnemu teutońskiemu niedźwiedziowi Zygisbertowi nikt nie mógł zakwestionować miejsca przy boku Jeży. Grubemu minorycie z zabawnym rudawym wianuszkiem włosów tylko kilka razy udało się wyprzeć do tyłu Iwona, krępego przygarbionego ponuraka o bladej twarzy okolonej czarnymi włosami.

Najczęściej franciszkaninowi nie pozostawało nic innego, jak podskakiwać na przedzie i zwracać uwagę Jeży na różnorodne ciekawe rzeczy bazaru.

Iwo czuł niechęć niemieckiego olbrzyma i nieufność mnicha; to było tak, jakby niespełna rozumu pasterz nakazał swoim owczarkom cierpieć wilka w swoim gronie. Iwo był wilkiem, samotnym wilkiem.

Jednakże nawet posepny Bretończyk dostrzegał żwawym okiem rzadkie wyroby, ukryte osobliwości i śmieszne sprzęty, a ponieważ wszyscy trzej, podobnie jak Jeza, władali językiem arabskim, szperali, odkrywali i targowali się na wyścigi. Mężczyźni prześcigali się w grzecznościach wobec Jeży.

Od dawna szedł za nimi tragarz, którego kosz szybko się zapełniał. Były w nim już srebrne bransolety, grube sznury bursztynów, flakony z przyjemnie pachnącymi esencjami, zdobione intarsją szkatułki z henną i mirrą, pantofelki wyszywane perłami, szale, wstążki i paski. Jeza kierowała swoje spojrzenie tylko na broń, na szable i oszczepy, maczugi i łuki. Ona jedyna zauważyła, że Iwo odłączył się po kryjomu. Zaciekawiona poszła za nim.

Pamiętała tego niesamowitego człowieka o szerokiej klatce piersiowej i długich ramionach. Spotkała go w grobowcu w piramidzie, lecz był jej oszczędzony widok podniesionego topora Bretończyka. Teraz Iwo stał przed odkrytym kowalskim paleniskiem w czerwonym blasku ognia i przyglądał się pracy kowala.

Od czasu zbrojnego starcia z Aniołem z Karos krążyła Iwonowi po głowie idea połączenia dwu śmiercionośnych narzędzi, ponieważ kolczasta kula w jednej, a topór w drugiej ręce wyglądały wprawdzie straszliwie, ale jak sam doświadczył, nie dawały

* Montjoie – stara część Akki.

wystarczającej osłony. Nie chciał zrezygnować z tarczy. Wyjaśnił kowalowi szczegółowo, jak kolczastą kulę powinien osadzić na kolcu topora, natomiast utrzymujący ją łańcuch schować w wydrążonym stylisku, tak że kula wzmacniałaby ciężar ostrza, ale nie dałoby się poznać, że jest ruchoma.

Jeza zobaczyła, jak kowal wykute akurat żelazo zanurzył w kadzi z wodą, aż zasyczało, a potem wręczył Bretończykowi. Niebezpieczna broń fascynowała ją podobnie jak zachowanie Iwona, który z łagodnością baranka krytykował przedstawiony mu mechanizm. Obecności Jezy wciąż jeszcze nie zauważył.

– Dobry człowieku – powiedział do kowala – owinęliście łańcuch w sposób widoczny wokół rękojeści, zamiast go ukryć wewnątrz.

Kowal słuchał pełen podejrzliwości.

– Wydrążony trzon byłby słaby, złamałby się wam w ręce, a poza tym – mruknął niechętnie – to by was kosztowało więcej.

– Wobec tego wykujcie mi rurę z żelaza – zaproponował cierpliwie Bretończyk – nie troszczcie się o ciężar dla mego ramienia ani o uszczuplenie mojego mieszka. Tę kolczastą kulę i topór zostawcie. To dobra robota – pochwalił.

– Lubisz zabijać, Iwone? – spytała Jeza cicho, gdy wodził jeszcze badawczo kciukiem po ostrzu.

Drgnął. Dziecko uśmiechało się pełne zrozumienia, a jego oczu nie można było okłamać. Czuł, że coraz bardziej ulega urokowi tej dziwnej dziewczynki, którą powinien był zabić i która teraz budzi w nim nigdy nie zaznane ojcowskie uczucia.

– Czynię to zawsze w imię sprawiedliwości – odparł ostrożnie – w interesie Korony, na rzecz prawdziwej wiary...

– Tak może o sobie powiedzieć każdy kat – odparła Jeza – ale to się do was nie odnosi, wy jesteście myśliwym.

– Dziękuję wam, księżniczko, za tak wiele zrozumienia, ale jestem również wilkiem i krew, której tyle już przelałem zawsze w imię jakiegoś prawa, nie uczyniła mnie lepszym człowiekiem, lecz zrobiła ze mnie dzikie zwierzę. Sprawiedliwość jest zawsze sądem możliwych nad słabszymi. Dla biednych istnieje ona tylko jako pobożna gadanina lub łaskawe gesty, ale nigdy jako prawo. A ja jestem biedny, księżniczko!

– Nie – sprzeciwiła się Jeza – kto tak poznał samego siebie, już jest bogatszy niż wszyscy, którzy trwają w bezmyślności. Nie czyńcie się mniejszym, Iwone, lecz silniejszym!

– Chcecie tu wykupić cały arsenał? – zagrmiał w jaskini głos Zygisberta. – Bretończyk jest niebezpiecznym towarzyszem dla młodej walkirii.

– Dla kogo? – spytała Jeza i zła, że jest pilnowana, opuściła sklep.

Iwo, prawie zażenowany, oddał kowalowi topór wraz z kolczastą kulą.

– Spróbujcie spełnić moje życzenie, mistrzu, dobrze was wynagrodzę! – rzekł jeszcze i pospieszył za innymi.

– Walkiria to zbrojna dziewczica – odpowiedział mnich na pytanie dziewczynki – ona zbiera po bitwie poległych bohaterów.

– Co wiecie o Roszu? – spytała Jeza gwałtownie. – Co ukrywacie przede mną?

– Wasi przyjaciele – wmieszał się Zygisbert – opuścili Starkenberg w jak najlepszym zdrowiu i na pewno dotrą do celu.

William przemilczał, że chodzą słuchy o niewesołym losie Czerwonego Sokoła i jego towarzyszy, o ich uwięzieniu, a nawet śmierci; Jeza zaś nie dała po sobie poznać, że ten frapujący spacer po bazarze wymyśliła po to, aby się dowiedzieć czegoś o zaginionych. Zbyt dużo czasu upłynęło już od chwili, kiedy ta trójka wyruszyła do Homsu, a wciąż jeszcze brakowało od niej wieści.

Jeza nie miała już ochoty szperać po uliczkach i sklepach i chociaż wszyscy, nawet Iwo, zadawali sobie trud, aby ją rozweselić, popadła w przygnębienie.

Iwo opowiadał najlepiej dworskie historie, między innymi o wielkiej pasji braci królewskich do gry w kości, która panu Ludwikowi wydawała się nadzwyczaj zdrożna. Raz panu Karolowi nie tylko kości, lecz także wygrane już pieniądze tak zmiotł ze stołu, że poleciały nieoczekiwanie na kolana mocno przegranym partnerom. Bretończyk wspomniał też pana Alfonsa, który miał zwyczaj dawać żebrakom hojne jałmużny nie ze swojej sakiewki, lecz z cudzych. William potrafił się z tego śmiać, Jeza nie.

Gawin, templariusz, obserwował z daleka tę grupkę i z dezaprobatą marszczył czoło. Iwo Bretończyk mógł się przez noc, noc w piramidzie, przemienić z Szawła w Pawła i teraz cieszyć króla nową pobożnością i łagodnością jagnięcia. Istniała wciąż jednak niewidzialna pepowina, która go łączyła z Karolem z Anjou, i to król przeoczył. A jak długo trwała ta więź, zły duch Anjou mógł w każdej chwili Iwona przemienić z powrotem w okrutnego wilka.

Gawin podszedł i przywitał Jezę z szacunkiem, Zygisberta przyjaźnie, Williama kpiąco, a Iwona chłodno.

– Król przychylił się do prośby rycerza z zakonu krzyżackiego, tak więc nasz przyjaciel Zygisbert może pospieszyć na północ, aby poszukać waszego przyjaciela Rosza – zwrócił się do Jezy – a jak pana Zygisberta znam i cenię, znajdzie go z pewnością.

Była to w formę pocieszenia ubrana wiadomość, że Jeza zostanie pozbawiona opieki Krzyżaka. Dziewczynka jednak rzuciła się zaskoczonemu Zygisbertowi na szyję i podziękowała mu za szlachetny zamiar.

– Mnie także król mimochodem zagadnął – dodał Gawin drwiąco – czy zamki templariuszy na granicy nie potrzebują mojego ramienia, a przede wszystkim mego doświadczenia.

– A wy odpowiedzieliście mu z dumą, że w zakonie templariuszy każdego można zastąpić i żaden zamek nie jest pozbawiony doświadczonego dowództwa – dokończył ostrożnie Zygisbert, gdyż nie wiedział, do czego templariusz zmierza.

– Odpowiedziałem mu – odparł Gawin – że moje zadanie jest innej natury i dlatego właśnie opuszczę Akkę, nie tracąc jej jednak z oczu.

Zygisbert zrozumiał.

– Tego ja także chciałbym się trzymać, w końcu Akka jest oddalona od Starkenbergu zaledwie o dwa dni jazdy, jeśli ostro się popędza konia.

– Nie troszczcie się o mnie, drogi Zygisbercie – odezwała się Jeza. – Jedźcie nie szcędząc wierzchowca nawet wiele dni. Znajdźcie Rosza i przywieźcie mi go z powrotem!

Obdarzyła Zygisberta i Gawina promiennym spojrzeniem.

– Wraz z waszym odjazdem nie będę już miała wprawdzie żadnego prawdziwego rycerza, ale panowie William i Iwo pozwolili się obarczyć niewdzięcznym zadaniem opieki nade mną, do tego trzeba dodać pieczę samego króla. Zatem ochrona mojej osoby nie przedstawia się źle! A teraz chodźmy już, panowie, królowa zadaje sobie nie bez racji pytanie, czemu młoda dziewczyna z czterema dorosłymi mężczyznami i tragarzem tak długo włóczy się po bazarze.

Gawin skłonił się przed Jezą.

– Proszę mi wybaczyć. Muszę jeszcze przygotować się do wyjazdu, chcę bowiem możliwie jak najszybciej znaleźć się za bramą Maupas^{*}. Was jeszcze zobaczę – zwrócił się poufale do Zygisberta, pozdrowił krótko Williama i Iwona i zniknął.

Z diariusza Jana ze Joinville

Akka, 4 lipca A.D. 1250

Dziś rano pan Ludwik wezwał nas do siebie.

– Dostojni panowie – powiedział – Jej Królewska Wysokość, królowa matka, przesłała mi pilną wiadomość z żądaniem, abym zechciał wrócić do Francji, ponieważ kraj znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie, gdyż pan Henryk, król Anglii, nie dotrzymuje nakazanego przez papieża zawieszenia broni. Z drugiej strony mieszkańcy *Outremer* proszą mnie usilnie, bym pozostał, gdy bowiem odjadę, marzenie o Jeruzalem obróci się wniwecz; po sprawionym przeze mnie upuszczeniu krwi pozostało niewielu, aby móc utrzymać choćby tylko Akkę. Tak więc oczekuję od was, drodzy panowie, dojrzałej rady. Jako że jesteśmy w trudnym położeniu, pozostawiam wam odpowiedni czas do namysłu.

^{*} Maupas (fr.) – „zły krok”; przez tę bramę prowadziła droga ku miejscu straceń za murami; brama Maupas oddzielała szaniec templariuszy od szanca joannitów.



„Tyfon pozdrawia z egipskiego piasku. Namiętność oznacza łańcuch, na którym on prowadzi. Fałszywy owoc przynosi nieszczęście. Im ktoś wyżej się wspina, dla siebie samego szukając nadania, tym niżej może upaść”.

Zaledwie król postawił nas przed trudną decyzją, przybył do mej kwatery papieski legat. Stwierdził, że nie widzi dla pana Ludwika najmniejszej możliwości pozostania w Ziemi Świętej, i zaprosił mnie na swój statek powracający do Francji.

Nie wyjawilem mu, że nie mam już pieniędzy, aby popłacić tutaj długi, lecz powiedziałem, że czuję się wielce zaszczycony jego propozycją, mam jednak w uszach przestrozę mego starego kapelana Deana z Manruptu, świeć Panie nad jego duszą. „Wyruszyć na krucjatę to bardzo chwalebne przedsięwzięcie, ale zważajcie, by w godny sposób wrócić do domu! Ponieważ każdy rycerz, biedny czy bogaty, straci cześć i okryje się hańbą, jeśli Bogu ducha winnym pacholkom, którzy z nim pociągnęli, pozwoli zgnić w pogańskim więzieniu”. Moja odmowa wprawiła pana legata w bardzo zły humor.

Wkrótce król zwołał nas ponownie. Jego bracia i inni parowie Francji zlecili hrabiemu Flandrii, aby przedstawił wspólne stanowisko.

– Wasza Królewska Mość – powiedział hrabia – rozważyliśmy sumiennie waszą sytuację i doszliśmy do wniosku, że nie możecie tutaj pozostać bez uszczerbku dla waszego honoru i pomyślności Królestwa Francji. Ze wszystkich rycerzy, którzy z wami wyruszyli, a przywieźliście ich na Cypr dwa tysiące ośmiuset, dziś w Akce pozostało przy was stu! Dlatego nasza rada brzmi: wróćcie do Francji, zgromadźcie tam ludzi i pieniądze i tak zaopatrzeni przybawajcie jak najszybciej, aby wziąć odwet na wrogach Boga, którzy wam zgotowali taką hańbę.

Pan Ludwik był mało zbudowany tą propozycją, spytał swoich braci Karola i Alfonsa, czy dzielają to mniemanie, i ci skinęli głowami.

Legat nie wypowiadał się w tej drażliwej sprawie, chociaż wiedziałem, że wszelkie starania o Ziemię Świętą musiały mu być wstrętne, bo dążył przecież do stworzenia na Zachodzie zbrojnej koalicji przeciw Hohenstaufowi. Zwrócił się do Filipa z Montfortu, wierząc naiwnie, że będzie to dalszy głos *pro signo recipiendi**, ale zagadnięty poprosił, żeby

* Pro signo recipiendi (łac.) – na znak przyjęcia, potwierdzenia.

mu zechciano oszczędzić zabierania głosu, ponieważ jego zamki leżą na terenie granicznym i gdyby poradził królowi pozostanie, wywołałby wrazenie, że czyni to dla prywaty.

Pan Ludwik poprosił go jednak o wyrażenie zdania, tak więc Filip z Montfortu podniósł się i powiedział:

– Gdyby Wasza Królewska Mość uznał za możliwe przedłużyć wyprawę wojenną o jeden rok, zyskałby wielką cześć i uratowałby Ziemię Świętą.

Rozzłoszczony legat, aby osłabić swą porażkę, zapytywał teraz każdego głośno i wszyscy ku jego wyraźnemu zadowoleniu byli za propozycją hrabiego Flandrii.

Ale potem przyszła kolej na mnie, nie mógł mnie przecież ominąć, a ja powiedziałem głośno:

– Zgadzam się z Filipem z Montfortu!

Legat był tak wściekły, że popełnił błąd i uwikłał się w dysputę ze mną; zapytał mianowicie, jak sobie to dalej wyobrażam. Czy król mógł tu utrzymać się z tak niewidoma ludźmi?

A ponieważ mnie tak pięknie sprowokował, wstałem i rzekłem:

– Skoro pytacie, chętnie wam odpowiem, dostojny panie. Dotychczas – tak się mówi i ja wcale nie chcę dociekać, czy to jest prawda – koszty tej krucjaty pokrywano z danin, które Kościół specjalnie na to ściągał. Więc co by się stało, gdyby król wspaniałomyślnie teraz darował coś z własnej sakiewki? Przybyłoby wtedy dosyć rycerzy z całego świata i byłoby łatwiej, jeżeli Bóg chce, ten kraj przez dalszy rok utrzymać, a może nawet uratować. Wówczas, i tylko wówczas, pan Ludwik może zdołałby uwolnić jeńców, którzy dla chwały Boga i ufając królowi wyruszyli na krucjatę i którzy już nigdy nie zostaną uwolnieni, jeśli król opuści pole bitwy!

Oczekiwałem, że teraz usłyszę zgodny pomruk oburzenia, gdyż jako jedyny odważyłem się wystąpić przeciw powszechnemu przekonaniu, ale panowała pełna zażenowania cisza. Niektórzy wycierali nosy, nie było bowiem chyba nikogo, kto nie miałby przyjaciela w rękach niewiernych.

– Wysłuchałem, panowie, co mieliście mi do powiedzenia – oświadczył król. – Muszę to spokojnie rozważyć i powiadomię was o swoim zamiarze.

Gloria in excelsis Deo.

Et in terra pax hominibus bonae voluntatis.

Król wycofał się na wieczerzę do swoich komnat i jak zawsze otrzymałem zaproszenie, by mu dotrzymać towarzystwa przy stole.

Kazał mi siąść obok siebie, ale podczas posiłku nie skierował do mnie ani jednego słowa, co mnie zaniepokoiło. Z pewnością był wielce rozgniewany, ponieważ bez ogródek wytknąłem mu, że dotąd na krucjatę nie wydał z własnej szkatuły ani jednego liwra.

Nie zamierzałem też cofnąć swego zarzutu.

*Crucifixus etiam pro nobis;
sub Pontio Pilato passus et sepultus est.
Et resurrexit tertia die secundum scripturas.*

Podczas gdy pan Ludwik z kapłanem odmawiali jeszcze zwykłe dziękczynienie, patrzyłem w okno i przyszła mi do głowy myśl, że jeśli król wróci do Francji, mógłbym znaleźć schronienie u księcia Antiochii. Ten daleki krewny już mnie zapytywał, czy nie zechciałbym do niego przyjechać. Mógłbym znowu napęłnić kiesę, póki nie powstanie nowa armia, a w każdym razie póki jeńcy nie odzyskają wolności.

*Hosanna in excelsis.
Benedictus, qui venit in nomine Domini.
Hosanna in excelsis.*

Ciężka ręka spoczęła na moim ramieniu. Rozpoznałem ją po sygnecie do pieczętowania.

– Czy był to młodzieńczy duch sprzeciwu – spytał król – czy też rzeczywiście jesteście zdania, że zrobiłbym źle, gdybym opuścił ten kraj?

– Jedno i drugie, mój panie – odpowiedziałem.

– Czy zostaniecie, jeśli ja zostanę?

– Niewątpliwie. Spytajcie tylko, na czyj koszt, ponieważ wszystko straciłem.

– Tym się nie kłopotzcie, seneszalu – rzekł król – jestem wam bowiem wdzięczny za wskazanie mi drogi...

Zdjął dłoń z mego ramienia.

– Nie mówcie o tym nikomu – upomniał mnie – póki sam nie ogłoszę swej decyzji!

Zameldowano komtura ze Starkenbergu. Pan Zygisbert przyszedł się pożegnać.

Jednocześnie pojawiła się królowa z wyglądającą niezwykle skromnie Jezą w orszaku; dziewczynka nosiła wysoko zapiętą suknię, włosy blond miała zaplecione i upięte, a ulubiony sztylet był niewidoczny.

Pani Małgorzata, za którą mamka niosła królewskiego synka, ściągnęła z palca pierścień i powiedziała:

– Drogi panie z Öxfeldu, wiąże nas więcej niż ta błyskotka, ale niechaj wam służy jako wspomnienie godzin, których wam nigdy nie zapomnę...

Zygisbert przykląkł przed królewską parą i rzekł:

– Wierzę, iż wasze panowanie w Królestwie Jerozolimskim będzie trwało jeszcze długo.

– Król spojrział zdziwiony, ale nie odezwał się ani słowem. – W przeciwnym razie

oddalibyście mi księżniczkę do Starkenbergu – ciągnął Krzyżak – gdyż wiadomo Ich Królewskim Mościom, że mam obowiązek chronić to dziecko. Pierścień, który mi daliście – zwrócił klejnot pani Małgorzacie – niechaj wam raczej przypomina, że teraz wy bierzecie na siebie odpowiedzialność za księżniczkę.

– Jak to? – wyrwało się królowej, która przestała zważać na klęczącego rycerza. – Drogi panie małżonku, czyżbyśmy nie wracali do domu, do Paryża?

Król uśmiechnął się udręczony.

– Pan z Öxfeldu z pewnością nie miał zamiaru uprzedzać naszej decyzji. Jedyne lęka się o naszą podopieczną i na pożegnanie chętnie go uspokoję. Księżniczki będziemy strzec jak oka w głowie!

Podał Zygisbertowi rękę do pocałowania i kazał Jezie podejść. Zygisbert wstał.

– Powiedzieliśmy sobie wszystko – odezwała się dziewczynka – i obdarzamy się zaufaniem. Życzę wam dobrej podróży, drogi Zygisbercie.

Dygnęła dwornie, mrugnęła do rycerza i cofnęła się skromnie między niewiasty królowej. Zygisbert pochylił głowę w pozdrowieniu i opuścił komnatę.

Akka, 5 lipca A.D. 1250

*Credo in unum Deum,
Patrem omnipotentem,
factorem coeli et terrae,
visibilium omnium et invisibilium.*

Następnego dnia zgromadził nas król zaraz po porannej mszy. Kiedyśmy się zebrali wszyscy co do jednego i zapanowało milczenie, nasz pobożny władca uczynił znak krzyża na ustach, aby przywołać Ducha Świętego, nim do nas przemówi.

– Dziękuję, moi panowie, wszystkim, którzy mi radzili wrócić do Francji, ale także tym, co mi zalecali pozostanie tutaj. Doszedłem do przekonania, że ziemie koronne nie są tak zagrożone, zwłaszcza że moja pani matka dysponuje dostatecznie silną armią, aby skutecznie bronić Francji. Królestwo Jerozolimskie będzie natomiast stracone, jeśli odjadę, bo nikt tu nie pozostanie. Tak więc postanowiłem, że nie opuszczę Ziemi Świętej, wszak przybyłem tutaj, ażeby ją odzyskać. Teraz oczekuję od was, szlachetni panowie, żebyście ze mną mówili szczerze. Zamierzam każdemu, kto przy mnie pozostanie, zaoferować znakomite warunki. Jeśli ktoś nie skorzysta z nich i odjedzie, nie będzie w tym mojej winy.

Zaległa pełna onieśmienia cisza.

*Agnus Dei, qui tollis peccata mundi,
miserere nobis.*

*Agnus Dei, qui tollis peccata mundi,
dana nobis pacem.*

Aby przełamać wszelkie sprzeciwy, król Ludwik rozkazał swoim braciom wracać do Francji, do królowej matki. A gdy oni nie zaprotestowali, a jednocześnie nikt spontanicznie nie zadeklarował swego pozostania, król bardzo się zasmucił i odprawił nas z niespodziewaną gwałtownością.

Hrabia Anjou pakował już swój dworski dobytek, kiedy wprowadzono Iwona Bretończyka.

– Kazaliście mnie przywołać, panie Karolu...?

Hrabia przepędził służących z pokoju.

– Przedtem – powiedział cicho, gdy za ostatnim zamknęły się drzwi – nie kazaliście się tak długo prosić! Skąd ta krnąbrność? Czy chcecie tę gałąź, na której dobrze siedzicie, zastrzec dla powroza, na którym wieszają się wiarołomnych?

– Nie jestem zdrajcą – rzekł Iwo. – A teraz znaleźliśmy się w punkcie, gdzie nasze drogi się rozchodzą. Przedtem służyłem za waszym pośrednictwem domowi Kapetyngów, a tym samym królowi, który jak chyba wiecie, jest moim jedynym panem. Wybieracie kierunek, który waszym interesom może przynieść korzyść, ale interesom pana Ludwika wkrótce wejdzie w paradę. Nie chcę i nie mogę...

– Jestem wzruszony – przerwał Iwonowi Anjou, który z nieruchomą twarzą pozwolił mu dotąd mówić. – Mój Bretończyk ma skrupuły!

Iwo, mimo że jak zawsze lekko pochylony do przodu, patrzył hrabiemu prosto w oczy. Nie chciał niepotrzebnie rozdrażniać butnego Anjou, ale pragnął uniknąć niedomówień.

– Moje poczucie prawa i bezprawia, za co dziękuję Stwórcy, nigdy u mnie nie zaginęło. Jeśli mi chcecie przypisać giętkie sumienie, dostojny panie, pamiętajcie o moich niezaprzeczalnych zasługach dla Korony, z których jestem dumny. Teraz wy dążycie do własnej korony, tak więc nie mogę dłużej wam służyć...

– Pożałujecie tego – powiedział Anjou bez cienia groźby, prawie jakby litował się nad Bretończykiem. – Proponuję wam jednakże układ, który wam unaoczní, z czego zrezygnowaliście tak lekkomyślnie, kierując się „skrupułami” i „sumieniem”. Chcecie posłuchać?

– Nie – odparł Iwo. – Nie chcę, ale to was przecież nigdy nie obchodziło.

– Przypadło mi znowu hrabstwo Sarrebruck. Dam je wam jako lenno...

Bretończyk patrzył w ziemię.

– I czego ode mnie za to żądacie...?

– Niczego niehonorowego – rzucił Anjou od niechcenia – także niczego nowego: tylko głów...

– Nie! – wykrzyknął Iwo. – Nie podniosę ręki na dzieci, już nie, już nigdy, i nie dlatego że mój pan król roztoczył nad nimi opiekę. Nie chcę już takiej katowskiej roboty ze względu na siebie samego!

– Pragniecie ratować swoją duszę? – zakpił Anjou.

– Nie – roześmiał mu się Iwo prosto w twarz – duszę straciłem wtedy, kiedy was spotkałem.

Spodobało się to Anjou.

– Możecie ją odkupić; pasowanie na rycerza i do tego bogata posiadłość nad Saarą za jedną jedyną jasną głowę, nie większą, nie cięższą niż główka kapusty... Nie bądźcie głupcem!

– Byłbym głupcem, gdybym nadal wiązał się z wami – odparł Bretończyk. – To nie jest droga do rycerstwa! Bądźcie zdrowi, będę się za was modlił, kiedykolwiek o was usłyszę.

– Idźcie już, Iwone – roześmiał się pan Karol. – Usłyszycie o mnie! Do tego czasu zechciejcie zrozumieć, że ani Bóg, ani władca tego świata nie oczekuje od was pobożnych modłów, lecz pracy miecza!

Odprawił Iwona gniewnym ruchem ręki.

Z diariusza Jana ze Joinville

Akka, 16 lipca A.D. 1250

Król Ludwik okazał swoje niezadowolenie tylko w najwęższym kręgu wiernie mu oddanych ludzi, dla których było oczywistością, że nigdy go nie odstąpią.

– Moi panowie – powiedział – wkrótce miną dwa tygodnie, jak ogłosiłem swoją decyzję pozostania tutaj, a nie przyjęliście jeszcze na służbę do mnie ani jednego rycerza.

– Wasza Królewska Mość – odrzekł konetabl – wszyscy chcą jechać do domu i za pozostanie tutaj wymieniają cenę tak nieprzyzwoicie wysoką, że ani marszałek, ani podskarbi nie uważają za możliwe jej zapłacić.

– I nikt nie oferuje się taniej? – spytał król zmartwiony.

Konetabl wskazał na mnie.

– Nawet pan seneszał ze Joinville żąda tak wiele, że nie odważyliśmy się go przyjąć.

Wtedy pan Ludwik ozwał się do mnie w te słowa:

– Cieszyliście się zawsze moimi szczególnymi względami, zawsze też czułem, że mnie kochacie. Czemu zatem czynicie takie trudności?

Skłoniłem się nisko.

– Wasza Królewska Mość wie, że wszystko straciłem. Potrzebuję natychmiast dwu tysięcy liwrów: każdy z trzech rycerzy, których chcę przyjąć do służby, kosztuje mnie czterysta liwrów do Wielkanocy przyszłego roku...

Król zaczął liczyć na palcach.

– Tak więc wasi ludzie kosztują was tysiąc dwieście...

– Słusznie, ale pomyślcie o tym, że na konie, rynsztunek i giermków muszę wyłożyć jeszcze dobre osiemset tysięcy, a poza tym powinienem także wszystkich ludzi wyżywić, nie chcecie chyba bowiem, jak sądzę, widzieć ich codziennie przy waszym stole.

Pan Ludwik zwrócił się do swoich doradców:

– *Divine nutu gratiae solus comes campaniae!** Nie widzę nic przesadnego w tym żądaniu. – A do mnie powiedział życzliwie: – Biorę was do swojej służby, mój drogi Joinville.

Wkrótce potem bracia królewscy i inni panowie wsiedli na swoje statki. Tuż przed wypłynięciem w morze pan Alfons z Poitiers obszedł odjeżdżających i pożyczył od nich wszystkie ozdoby i klejnoty, jakie zgodzili się pozostawić. Co zebrał, rozdzielił szczerze między nas, pozostających w Akce przy królu.

Obaj bracia pełni troski błagali mnie, żebym zechciał dobrze strzec ich kochanego brata, ponieważ do mnie jedyne mają zaufanie.

Kiedy pan Karol kazał postawić żagle, właśnie jego, nieczułego hrabiego Anjou, ogarnęła płaczliwa tkliwość, tak że wszyscy, co stali na nabrzeżu, byli niemile dotknięci.

Machaliśmy chustkami, póki okazała flota nie zniknęła nam z oczu. Wtedy poczuliśmy ulgę.

Teraz wiedzieliśmy, że możemy polegać tylko na sobie samych.

Iwo Bretończyk całymi dniami nie spuszczał z oczu bramy Maupas, aby tylko nie przeoczył odjazdu templariuszy pod wodzą komandora Gawina Montbarda z Béthune.

Po ostatniej rozmowie z Karolem z Anjou zobaczył jasno swoją drogę: jak długo służyłby królowi Ludwikowi i tym samym pozostawał nieuchronnie w atmosferze dworu Kapetyngów, Karol, ten sęp, zawsze próbowałby dostać go w swoje szpony, sprowadzić na złą drogę, wynajmować, gnębić, nakłaniać do zbrodni. Iwo znał siebie i wiedział, że kiedyś uległby perfidnym podszeptom, obietnicom podwyższenia swego świeckiego stanu.

Marzył o żelaznej dyscyplinie jakiegoś rycerskiego zakonu, w którym służyłby sprawie Bożej, boskiemu prawu, i jeśli w warunkach takiej karności i posłuszeństwa musiałby sięgnąć po miecz, wówczas walczyłby nie za feudalnego pana, lecz za wiarę.

* *Divine nutu...* (łac.) – w braku Bożej³aski pozostaje nam tylko hrabia z Szampanii.

Został strażnikiem przybocznym królewskiego dziecka wbrew swej woli, gdyż także ta córka Graala była podporządkowana świeckiej władzy, była igraszką dynastycznych dążeń. Jeśli dziś wdał się w rolę strażnika, jutro może być znowu egzekutorem czyichś interesów.

W kościele Świętego Andrzeja nad brzegiem morza i w świątyni Świętego Sabbasa w dzielnicy pizańskiej odezwały się dzwony na Anioł Pański. Koło własnego szańca, wraz z którym podwójny mur miejski na najbardziej na północ wysuniętym cyplu kończył się w morzu, pojawili się templariusze. Musieli przejechać całe stare miasto i nową dzielnicę Montmusart, aby zbliżyć się do bramy Maupas.

W zwartym szyku galopowali po bruku za Gawinem Montbardem z Béthune. Ich białe płaszcze z czerwonymi krzyżami błyszcząły w świetle zachodzącego słońca. Był to okazały oddział, gdyż Renald z Vichiers, nowy wielki mistrz, chciał pokazać królowi, że tutaj, w sercu Ziemi Świętej on sam decyduje, jakie siły zakonu i w jakim miejscu stacjonują.

Krucjata się skończyła, do Akki powróciła codzienność *Outremer* i należało znowu obsadzić zewnętrzne bastiony, aby nie wyjść źle w codziennych sporach o trybut, handel i zysk. Stolicy Królestwa wystarczała symboliczna obecność wielkiego mistrza.

Dla komandora z Rennes-le-Château^{*}, niezwykle, zbyt niezwykle posła zakonu poza zakonem, wtajemniczonego w tajne sprawy i w Wielki Plan oraz uwikłanego w intrygi, które często przebiegały poza plecami wielkiego mistrza, nie było już tutaj miejsca.

Gawin spostrzegł Bretończyka natychmiast i zatrzymał oddział. Iwo musiał podejść.

– Na jedno słowo w cztery oczy, komandorze – powiedział skromnie – długo na was czekałem.

– Czemu mam przypisać ten zaszczyt? – Gawin skierował konia w bok, nie zsiadając z niego.

Iwo przełknął to upokorzenie. Było częścią próby, którą zamierzał przetrwać.

– Stoję przed wami jako postulant, panie Gawinie – wyznał cicho – proszę o przyjęcie do waszego zakonu.

Templariusz uniósł brwi bardziej skonsternowany niż skłonny do szyderstwa.

– Proszę was, panie Iwone, zastanówcie się, co mi przedkładacie. Przy całym respekcie dla znakomitego królewskiego człowieka, nie mówicie chyba poważnie!

– Wypróbujcie mnie! – powiedział Iwo. – *Probat spiritus, si ex Deo sit*^{*} – dorzucił spieszenie.

– Pragniecie, jak się zdaje, usłyszeć to z moich ust, aby jeszcze bardziej mnie znienawidzić. Każdy człowiek Kościoła wie, że takim jak wy przyjęcie jest na zawsze zabronione. Po pierwsze, otrzymaliście święcenia kapłańskie...

– Nie zostałem ekskomunikowany! – oburzył się Iwo.

^{*} Rennes-le-Château – siedziba templariuszy w południowo-zachodniej Francji.

^{*} *Probat spiritus...* (łac.) – zbadajcie mój zamiar, czy jest kierowany przez Boga (formuła przy rytuale przyjmowania do grona templariuszy).

– To byłoby dla was lepsze – roześmiał się oschle Gawin. – Ale także by wam, panie Iwonie, nie pomogło, gdyż po drugie, niechybnie wam postawią pytanie: „Czy jesteście synem rycerza i jego małżonki, czy wasi rodzice są rycerskiego rodu?” Jak odpowiecie?

Bretończyk milczał zmieszany. Dlaczego sądził, że elitarny zakon zrobi dla niego wyjątek? Zgoda, stan rycerski zależał od jednego uderzenia królewskiego miecza, duchownej przeszłości wszakże nie mógł się Iwo pozbyć, chyba że przez dyspensę.

– Widzę, że nie muszę przytaczać dalszych pytań. – Gawin okiełzał konia. – Mogliście sobie oszczędzić tej rozmowy, ale chyba chcieliście się podręczyć.

– Pragnę uciec od grzechów tego świata – powiedział Iwo – i jestem w stanie znieść wszelkie cierpienia.

– Do tego wystarczy surowe klasztorne życie...

– Jestem człowiekiem miecza, jak chyba wiecie, panie Gawinie. Mogę walczyć, mógłbym być strażnikiem dzieci...

Templariusz ściągnął jeszcze raz konia i pochylił się lekko ku Iwonowi.

– To nie jest wasze przeznaczenie, Iwonie – rzekł z rozwagą. – Jesteście niebezpiecznym kamieniem probierczym, nie zaś obrońcą królewskich dzieci. Próbujecie uniknąć swego losu – dodał cicho – co dowodzi mi tym bardziej, że jesteście wybrani. Niech Bóg broni przed wami dzieci... – Poderwał konia. – Bądźcie zdrowi!

Dołączył do rycerzy, którzy powiewając płaszczami wyjechali przez bramę. Słońce zachodziło krwawo.

Iwo patrzył za jeźdźcami, póki nie ucichł tętent kopyt.

Kasr al-Amir, pałac emira w Homsie, ciągnął się od nisko położonego *madina* szeregiem wznoszących się dziedzińców aż do najwyższego wzniesienia miejskich murów, w których ostrym kącie wyrastała cytadela. Drogi dojazdowe przebiegały zadaszonymi serpentynami. Tak więc można było dojechać konno aż na samą górę do prywatnych komnat, ale nie do haremu, który górował nad najwyższym dziedzińcem i był dostępny tylko z pomieszczeń władcy.

Stąd też An-Nasir miał widok ponad miastem na południe aż do Doliny Bekaa, na której końcu leżały ruiny Baalbeku, na północy ciągnął się łańcuch gór Nosairi, o który spierały się zakony rycerskie z asasynami Starca z Gór. Patrząc w dół władca Homsu widział ogrody haremu.

Spoglądał tam teraz. Ogrody były wyludnione. Czekał, jak wielu, na pierwszy krzyk. Nie słyszał nic, potem jednak zrobił się ruch przy wejściu do komnat kobiecych i zobaczył, jak przez ogrody biegnie Abu Al-Amlak, Ojciec Olbrzyma, wielki szambelan dworu w Damaszku.

An-Nasir cofnął się od okna i podszedł znów do arkad, które otwierały się ku miastu. Gdy Abu Al-Amlak wspiął się po schodach, znalazł swego pana ze wzrokiem skierowanym w

zamyśleniu na południe, gdzie za łańcuchem Antylibanu znajdował się upragniony Damaszek.

– Córka! – oznajmił dysząc karzeł i rzucił się na ziemię.

Jego pan tylko westchnął głęboko; choć nie brakowało mu synów, chciał, by Klarion urodziła chłopca.

– Posła przynoszącego złą wiadomość zazwyczaj skraca się o głowę – powiedział kapryśnie – ale co wtedy z ciebie zostanie, Abu Al-Amlaku?

Karzeł przesunął się na czworakach i wdrapał na balustradę.

– Kobieta, która wciąż jeszcze uchodzi za waszą faworytę, czuje się dobrze, a dziecko jest prześliczne, wykapany ojciec!

An-Nasir klepnął go w ramię, tak że karzeł omal nie wypadł z okna.

– Mam nadzieję, że jest podobna do ognistej córki cesarza, ale nie odziedziczy jej fochów! Czy otrzymała już imię?

– Kobieta...

Dosięgnął go prztyczek.

– Mówisz o matce córki An-Nasira!

– No więc księżniczka chce ją właśnie nazwać Salome, co ja uważam za całkiem...

Tym razem umknął na czas spod ręki swego pana.

– ...znakomite, dostojny An-Nasirze. To imię wróży wam urodziwą córkę i ucieszy zapewne także cesarza. A więc Salome?

– Właśnie, Salome! Nic, tylko kłopoty ma się z tymi babami! – parsknął An-Nasir. – Przywołaj mi Szirat, ale bez tego *džinn an-nar as-sahir**. Muszę się z nią naradzić. Następne kroki powinny być dokładnie przemyślane...

– Jej brat, emir Bajbars, ojciec małego ognistego diabła jest, jeśli mi pozwolicie przedstawić swoje zdanie, bardzo niezadowolony z rozwoju sytuacji w Kairze.

Abu Al-Amlak stał już przy schodach wiodących do ogrodów haremu.

– Emir Ajbek poślubił Szadszar ad-Durr i kazał się ogłosić sułtanem, wzięwszy na kolana małego Musę jako współregenta. Nie tak chyba wyobrażał sobie wielki Łucznik przejęcie władzy przez mameluków.

– Ja też nie! – zagrzmiął An-Nasir i odwrócił się groźnie.

– Jak to? – spytał zuchwale Ojciec Olbrzyna z dumnie wypiętą pierśią, nie dostrzegł bowiem zwiniętego bicia w rękę An-Nasira.

– Powiedziałem, że chcę posłuchać rady Szirat, nie zaś rehotu żaby z nilowego błota!

Bicz jak wyskakujący do przodu wąż przeciął powietrze i klasnął szpetnie na krzywym grzbiecie karła. Tym razem Abu Al-Amlak wyskoczył dobrowolnie z okna i w mig znalazł się w ogrodzie. Upadł na grządkę róż, zahaczył o kolce i potoczył się po trawniku.

* *Džinn an-nar...* (arab.) – ognisty diabeł, także: podpalacz.

– Popatrzcie, ludzie, na ten niepowtarzalny, wspaniały okaz szlachetnego gołębia, godnego, aby przerosił wieści kalifa z Bagdadu!

Na terenie kasby w Homsie, tam gdzie tłok powodowany przez handlarzy i kupujących był największy, Hamo ustawił składany stolik, raczej wysoki stołek, okryty do ziemi czarną tkaniną.

– Zbliżcie się, ludzie, i podziwiajcie muskularną szyję, sprężyste pióra, czystą biel tej rasy gołębi, zwykłych latać od Eufratu po Nil! Bez znużenia zanieście wam każdy list miłosny, każdą handlową wiadomość, a przecież – pogłaskał po łebku majestatycznie kroczonego po niewielkiej powierzchni, głośno gruchającego ptaka – chociaż każdy znawca wie, że jest on wart siedemdziesiąt, osiemdziesiąt, ach, co ja mówię, sto drachm, wyrywam go sobie spod serca tylko za dziesięć drachm, ludzie, tylko za dziesięć drachm!

Hamo pocałował gołębia w kark i upewnił się, rzucając szybkie spojrzenie, że tłoczy się coraz więcej zainteresowanych.

– Tylko jeden z was może zostać dumnym właścicielem, a więc urządzimy loterię. Cena dziesięciu drachm pozostaje, słowo się rzekło... ludzie, korzystajcie z okazji!

I ludzie tłoczyli się, żeby położyć pieniądze na stole u nóg gołębia. Za to otrzymywał każdy od Hamona do ręki trzy ziarnka, a kiedy wszyscy już zapłacili, kazał im utworzyć krąg i wyciągnąć otwarte dłonie z ziarnami.

– Mój gołąbek rozstrzygnie sam – ogłosił Hamo – od kogo weźmie ostatnie ziarno, ten zostanie zwycięzcą.

Rzucił gołębia w powietrze. Ptak zatrzepotał skrzydłami i zaraz przyfrunął do pierwszej ręki. Zjadł jednak tylko jedno ziarno i wcale nie skoczył na dłoń sąsiada, lecz poleciał dalej i bijąc skrzydłami złapał następne ziarno z naprzeciwka. Ktoś spróbował osłonić ziarno, przykrywając je drugą dłonią, ale wtedy ptak tam od razu wylądował, pokaleczył mu dziobem kostki i za karę zjadł od razu wszystkie trzy ziarna.

Ludzie wybuchnęli śmiechem. Podczas gdy gołąb dokonywał wyboru, zapanował swobodny nastrój i Hamo skierował rozmowę na gołębie w ogóle, a potem na An-Nasira i dowiedział się, że Klarion, faworyta, wysiedziała jajko, które jej władca wetknął do gniazda, a że inna gołąbka, dziewczyna mamelucka, wciąż dotrzymuje mu w szachach kroku i jest tak mądra, że mogłaby nawet Ojcu Olbrzyma narobić na głowę, co nie byłoby zresztą trudne. Wśród rosnącego śmiechu przerzedził się krąg konkurentów.

– To co? – spytał Hamo. – Córka cesarza dała An-Nasirowi syna?

– Jakiego tam syna, tylko córkę! Dano jej imię Salome. Ma podobno oczy jak dwie gwiazdy i czarne włosy!

Jak to przyjmie hrabina? – przebiegło Hamonowi przez głowę i wezbrała w nim złośliwa radość. A potem wreszcie usłyszał coś o Szirat, swojej księżniczce. Ludzie chętnie opowiadali, że ona często przychodzi na targ w towarzystwie *dżinn an-nar as-sahir*, który się

zowie Mahmud i jest nie mniej mądry od Szirat, tylko nie gra w szachy, lecz miesza różne proszki i straszy służbę błyskawicami i grzmotami, co An-Nasirowi bardzo się podoba.

Więcej Hamo nie potrafił się dowiedzieć, gdyż teraz pozostało tylko trzech konkurentów, którzy dzielnie trzymali wyciągnięte ręce w nadziei, że gołąb zechce nimi wzgardzić. Jeszcze jeden wypadł z gry, potem przedostatni, który wściekły pogroził gołębiowi pięścią. Zwycięzca promieniał, gdy gołąb narobił mu na rękę, biorąc ostatnie ziarnko. Inni grający odeszli.

– Pokażę wam jeszcze teraz – powiedział Hamo zbierając pieniądze ze stołka – jak musicie się z nim obchodzić, ażeby wam służył jako dzielny listonosz. Weźmiecie ten pierścień, umocujecie ptakowi na nóżce i szepniecie do ucha cel...

Hamo przeprowadził żwawo opisaną procedurę obrączkowania.

– Podejdźcie teraz bliżej i spróbujcie, tylko cicho, żeby nikt nie usłyszał imienia waszej ukochanej!

Nowy właściciel uczynił, jak mu polecono. Hamo rzucił gołębia w powietrze. Ptak zatoczył koło nad głowami swych właścicieli, starego i nowego, i odleciał.

– Na Allaha! – wyrwało się Hamonowi. – Coście szepnęli ptakowi?

– Sulejka! – odpowiedział tamten szczerze.

– Mielicie to uczynić tylko na próbę, teraz gołąb odleciał bez listu! Czy wiecie, ile jest Sulejek na tym świecie?!

– On już nie wróci?

– Wróci – machnął ręką Hamo – kiedy zastuka do wszystkich Sulejek...

– Ach, ja nieszczęśliwy!

– Wiecie co, nie chcę waszych pieniędzy. Ile zapłaciliście? Dziesięć drachm. Macie, oddaję je wam.

Wetknął monety do ręki zdumionemu człowiekowi, który chciał właśnie dziękować, ale przeszkodziła mu jaskrawa błyskawica i głuchy huk. Owiała ich fala powietrza. W drugim końcu kasby wystrzelił w górę fajerwerk, uniosła się gruba szara chmura, w której skrzyło się tysiące małych czerwonych i niebieskich gwiazd.

– Ognisty diabeł! – dochodziły okrzyki przerażenia i podziwu z uliczki, gdzie rozmieścili się handlarze, którzy sprzedawali na worki węgiel drzewny, potas, mielony łupek, gips i grafit, a w tutkach ze starego pergaminu siarkę i saletrę, sól i naturalne fosforany.

Hamo złożył stolik, porwał czarną tkaninę i pobiegł w tamtą stronę. Z daleka zobaczył Mahmuda z osmoloną twarzą, który wyskrobywał z kadzi resztki pozostałe po wybuchu. Pokrywa jeszcze się tliła.

Handlarze otoczyli chłopca i dawali fachowe rady.

– Powinieneś wziąć więcej *meleh barud** – powiedział jeden.

– Nie, proporcje się zgadzają, rzecz leży w mieszanii! – wymądrzał się drugi.

* Meleh barud (arab.) – saletra.

– Rzecz leży w otworze naczynia! – wyjaśnił Mahmud. – Musi być mniejszy!

– Wtedy naczynie pęknie! – wtrącił się jeszcze inny. – Musiałoby mieć o wiele grubsze ścianki i być z lanego metalu, tak jak moździerz, i mieć wąską szyjkę!

Hamo z wielkim pośpiechem rozłożył swój stół i wyczarował z czarnego materiału trzy kubki.

– Gra w kubki, moi panowie! – zawołał. – Wszystkie trzy są takie same, żaden nie ma podwójnego dna.

Podnosił jeden po drugim i pokazywał dookoła. Mahmud rozpoznał natychmiast syna hrabiny i przyjął wyzwanie.

– Siostra mojego ojca – powiedział do kogoś, kogo Hamo nie widział – jest mistrzynią długich rozmyślań przy szachownicy, natomiast w spostrzegawczości biję ją zawsze na głowę!

Hamo pokazał wszystkim złocistą monetę i wetknął ją pod jeden z kubków, a po niewielu ruchach zręcznie zamienił ją na pierścień, jaki się przyczepia do nogi gołębia. W pierścieniu tkwił liścik. Mahmud zrozumiał. Rzucił na stół znacznie większą sztukę złota i Hamo zaczął krążyć kubkami, wciąż starając się, żeby Mahmud mógł nadążyć.

Wtedy jednak karzeł wyciągnął z dołu rękę ponad kant stolika, sięgnął pod jeden z kubków i jego oczy załśniły złośliwie: złapał pierścień.

Chciał zawołać strażę, ale Hamo rzucił na niego czarną tkaninę, a do tego jeszcze stół i szybkim krokiem zniknął w ciżbie, nim żołnierze uwolnili wrzeszczącego Ojca Olbrzyma.

Mahmud podniósł z ziemi złotą monetę i rzucił trzy kubki w ślad za uciekającym; ludzie zaczęli się szamotać, bo każdy chciał zdobyć kubek.

Potężny An-Nasir i drobna, szczupła, prawie chłopięca Szirat siedzieli naprzeciw siebie przy niskim *taktuka asz-szatrandż**. Nie grali. Mamelucka dziewczyna wykorzystywała stół, aby za pomocą figur na szachowym polu przedstawiać plastycznie swój pogląd na sprawę.

– Najważniejsze, dostojny władco, i najpilniejsze dla was jest opanowanie Damaszku.

Pociągnęła białego króla ze skraj pola na środek i postawiła obok wieżę, skoczka i gońca.

– Musicie ten krok zrobić teraz, w przeciwnym razie mój brat was uprzedzi. – Przesunęła dłonią wszystkie pozostałe białe figury do przodu.

– Dlaczego nie bierzecie czarnych? – spytał An-Nasir.

– Ponieważ wszyscy jesteśmy wyznawcami proroka.

– Kolor czarny zachowaliście więc dla chrześcijańskich psów?

Szirat skinęła głową.

– Ich władca – wzięła czarnego króla – stoi teraz tutaj w Akce. Bardzo blisko was, może za blisko...

* Taktuka asz-szatrandż (arab.) – stół do gry w szachy.

An-Nasir patrzył z podziwem na jej rękę, która teraz zręcznie gromadziła chrześcijańskie wojsko.

– Damaszek przyjmie was prawdopodobnie z radością jako prawowitego potomka wielkiego ajjubidzkiego sultana Saladyna.

– Sprzymierzę się z Frankami i pociągnę przeciw Egiptowi – oświadczył An-Nasir przekonująco.

– Do tego potrzeba zgody dwu ludzi! – pouczyła go Szirat. – Co najmniej dwu: jednego, który przyjmie wasze przymierze, i drugiego, który do niego dopuści. Nie lekceważcie mego brata!

– Moja najukochańsza towarzysko gry – powiedział An-Nasir – po pierwsze, sultan w Kairze nazywa się teraz Ajbek...

– A po drugie – przerwała mu – król Ludwik musi mieć wzgląd na jeńców w egipskim ręku, jeśli ich żywych jeszcze chce zobaczyć.

– Ale nasi przyjaciele, templariusze...

– To zaważy mniej, podobnie jak tradycyjnie dobre stosunki z naszą nową stolicą Damaszkiem, oddanie Jeruzalem i co tam jeszcze chcecie zaoferować. Więcej znaczy gorąca wiara chrześcijańskiego króla.

– Przedstawię mu propozycję, której pobożny człowiek nie może odrzucić! – obruszył się An-Nasir. Zgromadził czarne figury wokół siebie, białego króla Damaszku, i przesunął ręką całe zgromadzone wojsko przeciwko gromadce białych. Szirat zdjęła z szachownicy garść czarnych pionków.

– Ostrzegalam! Popatrzcie na waszą armię, jest cętkowana jak uliczny kot i tak samo kapryśna. Z nią nie zdobędziecie Egiptu! Nigdy!

– Wy tego nie chcecie! – zagrział An-Nasir.

– Wy tego nie możecie! – odparła Szirat. – Przy tym nie jest ważne, co ja sądzę, to nie ma dla was znaczenia. Cieszcie się Syrią i uważajcie się za mądrego i szczęśliwego, bo nie siedzicie na desce nabitej gwoździami, jak nazywają tron Kairu, w napiętej katapulcie, z garnkiem greckiego ognia u stóp i wiszącą nad głową ostrą jak brzytwa klingą!

– Podoba mi się ten obraz, chcę jak damasceńskie ostrze wpaść między zbuntowanych mameluków.

– Chciałabym to zobaczyć – zakpiła Szirat i roześmiała mu się prosto w twarz.

Z wściekłością zmiotł jedną ręką wszystkie figury z szachownicy, a drugą próbował złapać Szirat za gardło. Dziewczyna cofnęła się wdzięcznym ruchem i nie mógł jej sięgnąć, ponieważ przeszkadzał mu opasły brzuch.

Miotał się długo, lecz w końcu złość w nim zaczęła opadać. Wtedy Szirat chwyciła dłoń władcy i czule ucałowała jego palce.

– Idźcie teraz proszę, mój panie, podziwiać swoją córkę – powiedziała przymilnie – i miejcie też słowo uznania dla Klarion, która cierpi...

– Spełniła tylko swój obowiązek – mruknął An-Nasir – i to tylko w połowie. Życzyłem sobie syna!

– Bądźcie dumni z córki! – upomniała go Szirat akurat w chwili, gdy mury zdrząły od ciężkiego uderzenia i ogłuszającego huku, a potem rozległ się odgłos pękającego kamienia.

Siedzieli przez chwilę jak oniemiaли, potem An-Nasir wybuchnął gromkim śmiechem.

– Twój bratanek zasługuje na uznanie! – Bił się z uciechy po udach. – Albo rozwali Homs w gruzy, albo sporządzi mi broń, której się nie oprze żadna wieża Egiptu!

Drzwi otwarły się gwałtownie i do środka wtoczył się Ojciec Olbrzyna w postrzępionym ubraniu. Twarz miał przysypaną szarym pyłem, a rzadką brodę przypaloną.

– W sklepieniu kuchni wybił dziurę żelazną kulą nie większą niż moja pięść, ale dziura jest wystarczająco duża, żeby przepuścić grubego człowieka!

Tego nie powinien mówić, ponieważ potężny An-Nasir tak szybko rozwinął bicz i nim śmignął, że karzeł nie zdołał skryć się w bezpieczne miejsce. Cienki koniec bicza owijał się wokół jego chudych nóg i kazał mu tańczyć jak frydze.

– Dziura na bawoła! – jęczał. – Na słońca!

To jeszcze pogarszało sytuację, bicz świstał, póki karłowi nie udało się znaleźć schronienia pod szachowym stolikiem. Stamtąd zobaczył, że Szirat także się śmieje. Wyciągnął w górę rękę z pierścieniem, jaki zwykle mocuje się do nóg gołębiom.

– Śmieć się, zdrajczyń! – krzyknął i rozwinął liścik. – „Przybyłem, aby was uwolnić ze szponów An-Nasira!” – przeczytał głośno.

Szirat roześmiała się jeszcze głośniej. An-Nasir sięgnął pod stół, wyciągnął stamtąd Ojca Olbrzyna i przytrzymał w gorze, tak że karzeł wywijał w powietrzu nogami jak pajac na sznurku.

– Kogo chcesz uwolnić, Abu Al-Amlak?

– Nie ja! – wrzasnął karzeł. – To ten oszukańczy sprzedawca gołębi!

– Czy porozumiewasz się, moja droga towarzysko zabaw, z nadawcą tej wiadomości?

– Jeszcze nie, mój panie i władco – odpowiedziała Szirat – ale jeśli Ojciec Olbrzyna przyniesie również należące do tego pierścienia gołębia, wtedy się zastanowię!

– No więc dostarcz gołębia! – An-Nasir postawił karła na kamiennej posadzce. – I handlarza też!

– To przecież oszustwo! – lamentował Ojciec Olbrzyna, stojąc na drżących nogach. – Gołąb zawsze ucieka!

– Ptaki mają to do siebie – chrząknął An-Nasir zadowolony. – Myślę, Abu Al-Amlak, że sam pofruniesz teraz do Damaszku, gdzie przygotujesz nam godne powitanie. Ja – skłonił się z uśmiechem przed Szirat – idę teraz podziwiać dziurę w kuchni i przy okazji rzucę okiem na córkę i matkę.

Szirat uśmiechała się, póki An-Nasir, wlokąc za sobą Ojca Olbrzyna jak mokry worek, nie opuścił pokoju. Wtedy chwyciła karteczkę i przebiegła oczyma przesłanie.

II

NOWICJUSZKA I JEJ RYCERZ

Z diariusza Jana ze Joinville

Akka, 20 sierpnia A.D. 1250

Na czas pobytu w Ziemi Świętej król Ludwik znalazł stałą siedzibę w zamku w Akce, tuż przy bramie Świętego Antoniego i murze oddzielającym od Montmusart, i *de facto* przejął rządy nad Królestwem Jerozolimskim, ponieważ Henryk z Cypru pozostawił mu sprawowanie regencji.

Syn Fryderyka nigdy nie objął swego dziedzictwa i było mało prawdopodobne, żeby kiedykolwiek podjął ten trud. Papież, niezmordowany i pełen nienawiści do Hohenstaufów, w tajnym porozumieniu z ambitnym Anjou wciąż wynajdywał przeszkody nie pozwalające Konradowi na opuszczenie granic Rzeszy.

Tak więc nie podniósł się żaden głos przeciwko urzędowaniu francuskiego króla, a Fryderyk, który już wysłał poselstwo do Egipcjan, dowiedziawszy się o niewoli swego królewskiego kuzyna, teraz wyraźnie akceptował jego postępowanie. Nakazał nawet swoim namiestnikom, aby oddali się do dyspozycji Ludwika. Był to wyraz wdzięczności za całkowicie neutralną postawę, jaką król francuski i królowa matka Blanka zajęli wobec sporu Hohenstaufów z papieżem.

Chociaż byłem stołownikiem pana Ludwika, wynająłem kwatere w pobliżu portu na Montjoie, aby nie być o każdej porze do dyspozycji swego pana. W okolicy kościoła Świętego Sabbasa znajdowała się większość tawern i nocami było przeważnie gorąco, gdyż stykały się tutaj dzielnice genueńska, pizańska i wenecka.

Wystarczająco często w drodze powrotnej z kolacji u króla natykałem się na bijatykę między marynarzami trzech morskich republik, jeśli nie przekradłem się do swojej kwatery wzdłuż murów między siedzibą patriarchatu i arsenałem.

Bardzo mi brakowało Williama, mego sekretarza, ale straciłem go na razie na rzecz króla i jego podopiecznej, widywałem minorytę najwyżej przy wspólnych posiłkach.

Te cowieczne skąpe radości dla podniebienia stawały się nie tylko dla mnie, lecz i dla pozostałych uczestników coraz bardziej przykre, pan Ludwik bowiem, nie zważając na dezaprobatę swojej małżonki, królowej Małgorzaty, był oczarowany małą Jezą. Często przekraczał miarę dworskiej kurtuazji, prowadził dziewczynkę do stołu, nakładał jedzenie i prawie nie było dysputy, przy której by jej – bez wątpienia nad wiek rozgarniętej i rozumnej osoby o wielkiej ciętości języka i ujmującym wdzięku – nie pytał o opinię, tak jak mnie czy konetabla. Przy tym Jeza wcale mu nie schlebiała, lecz śmiało wypowiadała przeciwne zdanie. Z czasem jednak posmutniała, była niespokojna i kapryśna.

– Martwi się o Rosza – rzekł mi William – ale nie chce tego nikomu powiedzieć, nawet królowi.

Z każdym dniem dziewczynka stawała się coraz bardziej zafrasowana. Królowa z trudem skrywała niechęć. Jeza należała oficjalnie do dam jej dworu, ale wyróżniał ją choćby fakt, że wciąż dysponowała własnym strażnikiem przybocznym oraz dworskim błaznem. Obaj „mężczyźni” Jezy, jak kiedyś pozwoliłem sobie określić Iwona Bretończyka i Williama z Roebruku, zadawali sobie wiele trudu – prawdę mówiąc, przy współdziałaniu Jezy – aby uniknąć skandalu, ale pan Ludwik wciąż stwarzał sytuacje, które prowadziły do wzrostu napięcia.

Nikt nie brał królowej za złe tego, że gruchanie małżonka z o wiele młodszą rywalką budziło jej zazdrość i wzniecało podejrzliwość. Król i Jeza przeżyli razem w Egipcie jakieś przygody, o których żadne z nią nie mówiło. A nie mogła się ośmieszyć, by wypytać o to Jezę.

Pani Małgorzata czuła, że wina nie leży po stronie dziewczynki, na nią jednak kierowała swoje niezadowolenie.

Jeza prawie nie dostrzegała zgorzenia dworu, podobnie jak przesadnej uprzejmości, którą obdarzał ją król.

*De lai don plus m'es bon e bel
non ei mesager ni sagel,
per que mos cors non dorm ni ri...*

Jej myśli były przy Roszu, a ponieważ nie wiedziała, gdzie on się znajduje i czy w ogóle przebywa jeszcze wśród żywych, z każdym dniem stawała się smutniejsza. Odkąd Zygisbert opuścił Akkę, znikła jej nadzieja na znak życia od Rosza, jak znika struga w słonecznym skwarze.

*Be-m degra de chantar tener,
quar a chan coven alegriers;
e mi destrenh tant cossiriers
que-m fa de totas partz doler...*

Najpierw obawiała się, że wkrótce dostanie wiadomość od rycerza z zakonu krzyżackiego, i to wiadomość złą. Dlatego też ogłosiła, że pójdzie do klasztoru.

Gdy potem długo nie było wieści ze Starkenbergu, przyjęła śmierć Rosza za rzecz pewną i teraz poważnie rozważała plany zostania zakonnicy.

Pani Małgorzata podjęła z miejsca różnorodne działania, aby ten zamysł wkrótce wprowadzić w czyn. Chciała małżonkowi zadać zasłużony cios, odbierając mu dziecięcą faworytę. Nawiązała kontakt z przeoryszą żeńskiego klasztoru na pobliskiej górze Karmel i dzięki znacznej darowiźnie nastroiła ją do sprawy przychylnie.

Jeza wahała się jeszcze, nie z obawy przed surowym klasztorным rygorem – przyjęłaby każdą pokutę, aby dać wyraz smutkowi – lecz dlatego że wciąż jeszcze miała isierkę nadziei.

Być może Rosz cierpi w więzieniu w Homsie albo też zawleczono go do Aleppo na targ niewolników... Wówczas ona, Jeza, nie powinna kryć się przed światem za klasztornymi murami, lecz przywdziać zbroję i wyruszyć, z Williamem jako giermkim, by uwolnić ukochanego.

Czy powinna także wziąć ze sobą Iwona? Znakomicie posługiwał się mieczem, ale nie był rycerzem. Należało to jeszcze przemyśleć.

A może będzie musiała Rosza wykupić? Pieniądze dałby jej Zygisbert, a gdyby nie miał ich dostatecznie dużo, wtedy mogłaby zwrócić się do króla po pożyczkę, za którą poręczyłaby sobą.

Ale prawdopodobnie były to wszystko czcze rozważania, a Rosz był dawno martwy. Od tej myśli przebiegł ją dreszcz i Jeza pozazdrościła innym, zwyczajnym dzieciom na tej ziemi, które w takiej sytuacji zaczynały płakać. Ona nie płakała.

Z diariusza Jana ze Joinville

Akka, 28 września A.D. 1250

Mój sekretarz znowu był dobrze widziany na dworze, czemu zawdzięczałem stały dopływ wiadomości, które uchodziły mojej uwagi jako „zaciężnemu” seneszalowi i formalnemu stołownikowi króla.

William o swoich miłosnych przygodach wśród wstydliwie unoszących spódnice pokojowych i obojętnie obnażających się dziewczek kuchennych opowiadał mi tak samo obrazowo, jak relacjonował drażliwe małżeńskie sceny królewskiej pary, dyplomatyczne matactwa i polityczne dysputy.

Ponieważ nikt nie traktował poważnie mego flamandzkiego chytrusa, mógł być wszędzie obecny, tak jak królewskie charty, które przesłał chrześcijańskiemu władcy w upominku pewien emir z sąsiedztwa.

Szczególnie bawiło mnie przymierze, jakie zawiązało się między Williamem i królem, ponieważ obaj – chociaż z całkowicie różnych motywów – usiłowali wyperswadować Jeze szalony pomysł zamknięcia się w klasztorze. Królowi trudno było się sprzeciwić pobożnemu pragnieniu, za nic jednak nie chciał rezygnować z towarzystwa swojej ulubienicy. Obawiał się też, jak na nią wpłynie surowe religijne wychowanie, które Kościół katolicki jako wyłącznie zapewniający zbawienie musiałby zastosować wobec kacerskiego dziecka.

Król zlecił intensywne nauczanie katechizmu i lekturę Biblii w niejasnej nadziei, że Jeza tę dawkę pobożności poczyta za wystarczającą i zrezygnuje z nowicjatu. Mądre dziecko opanowywało naukę z łatwością, przyswajało sobie bowiem wszystko, co było godne poznania z filozofii i historii, nie ulegając w najmniejszym nawet stopniu nauce moralnej czy w ogóle chrześcijańskiej wierze.

Pod tym względem córka Graala znalazła sojusznika w osobie franciszkanina odszczepieńca, który ją umocnił we wczesnochrześcijańskim, a może wręcz pogańskim obrazie Jezusa z Nazaretu. Według Williama Mesjasz to buntowniczy pretendent do tronu pewnego króla żydowskiego, skazany przez rzymski wojskowy sąd i przez pozorną egzekucję wyniesiony do pozycji męczennica. Potem jego życie przebiega w mroku; ten okres najbardziej interesował Jeze. A jeśli idzie o naukę moralną... Cóż, muszę przyznać, że często przejawiała wręcz frywolny brak norm moralnych, lecz także zaskakiwała wzniosłymi zasadami i głęboko poruszającą miłością do ludzi.

W ostatnim czasie jednak Jeza popadała często w obojętność, w której bigoteryjna para władców błędnie dostrzegала oznakę zwrócenia się ku religijności.

– Jakaż niezwykła moralność! – prawil pan Ludwik w uniesieniu. – Dziecko przyjmuje ból Dziewicy, oddaje się bez skargi świętemu Kościołowi.

Jeza zaciskała zęby i milczała.

– Co za zatwardziałość! – mówiła nieprzychylna królowa.

Kiedy Jeza była sama z Williamem, śpiewała do wtóru lutni, aby mu dać do zrozumienia, co się w niej dzieje i o czym nie mówi.

*Ni'n soi conqvistz ni'n soi cochatz
ni'n soi dolenz ni'n soi iratz
ni'n no'n loqui messatge.*

– Co za zatwardziała moralność! – kpił sobie z niej mój sekretarz.

*Ar me puesc ieu lauzar d'amor
que no-m tol manjar ni dormir;*

*ni-n sent freidura ni calor
ni no-n badail ni no-n sospir
ni-n vauc de nueg arratge.*

Jeza wszelako była nieugięta w swym postanowieniu pójścia do klasztoru, wydawało się, że chce się biczować za stratę Rosza, ukarać się, jakby wina leżała po jej stronie.

– Będę czynić pokutę, bo nie dałam miłości, zaniedbałam opieki, ba, naraziłam ukochanego na niebezpieczeństwo – wyjaśniła Williamowi.

Była w tym względzie nad wyraz stanowcza.



„Zaślubiny cesarzowej z cesarzem. Tęsknota jest silniejsza niż wszelki rozsądek. W znaku Bliźniąt łączy się dzień i noc. Nic nie może stanąć między tym, co zawsze było i będzie jednością”.

Pomyślałem, że Jeza nie może uczynić takiego kroku, bo wówczas królewskie dzieci na zawsze by się rozstały. Z pewnością odczułaby jeszcze opór potęg, które kierowały jej życiem.

– A co mówi na to Iwo? – spytałem swego sekretarza.

– Uważa ten pomysł za absurdalny. Opowiedział Jezie, że on sam kiedyś zamierzał być kapłanem i żałośnie się to skończyło. Ja także – dodał skromnie mój sekretarz – służyć za niezbyt zachęcający przykład. W zakonie szczęścia nie znalazłem. A jeszcze pan Iwo mocno mi dzisiaj przy Jezie dogryzał. Podobno nie stanowią ideału franciszkanina...

– Jak widać, jakoś to zniosłeś, mój drogi Williamie – zakpiłem.

– Odpowiedziałem Bretończykowi: *Unzur man jatakallam!*^{*}, a on zażądał ode mnie, bym poszedł z nim do króla. Pomyślałem, że chce złożyć na mnie zażalenie, ale pana Iwona gryzło co innego. Znaleźliśmy pana Ludwika w kaplicy zamkowej, gdzie kazał odprawić mszę. Była obecna także pani królowa ze swymi damami i służebnymi, wśród których znajdowała się również Jeza. Wszyscy sprawiali wrażenie, że są pogrążeni w modlitwie, w rzeczywistości

^{*} Unzur man... (arab.) – patrzcie, kto to mówi!

pokoju rzucały mi ukradkowe spojrzenia, a damy dworu lustrowały mnie bezwstydnie, jakbym wszedł nago do kaplicy.

Pan Iwo czekał przy drzwiach, póki król nie skończy modłów. Gdy król skierował się do wyjścia, Bretończyk zagroził mu drogę, jakby chciał wystąpić jako petent. Konetabl zamierzał go już gniewnie odsunąć na bok, ale pan Ludwik spytał: „Czy macie, Iwonie, tak pilne życzenie, że musicie je teraz i tutaj przedstawić?”

Bretończyk przytaknął i powiedział ze spuszczoną głową: „Wasza Królewska Mość, to jest przeznaczone tylko dla waszych uszu”.

Król dał znak dworowi, aby się oddalił, i zwrócił się do Iwona niezbyt zachęcająco: „Pozwolicie, że królowa będzie przy tym obecna, jeśli już wzięliście sobie Williama do pomocy”.

Bretończyk czekał ulegle, co wcale nie jest w jego zwyczaju, aż wszyscy wyjdą z kaplicy; również Jeza, mimo wyraźnego zaciekawienia, odeszła z damami królowej.

Król nie chciał tracić czasu i został przy otwartych drzwiach, tak że Iwo zdecydował się wyłożyć swoją prośbę prawie szeptem. Królowa usiadła na jednej z ławek, ale cała zamieniła się w słuch.

„Wasza Królewska Mość – powiedział Iwo – wiem, że najpierw powinienem odzyskać waszą przychylność i dlatego niezbyt mi wypada prosić o łaskę. Jednakże moje życzenie nie ma nic wspólnego ze światową próżnością, poszukiwaniem sławy, dążeniem do zdobycia tytułu i synekury, lecz ma mi tylko otworzyć bramę na kamienistą drogę, na której lepiej niż to dotychczas czynię, chciałbym służyć Bogu w walce i niedostatku!”

Pan Ludwik nie przerywał mu, teraz jednak powiedział chłodno: „Nie wiem, Iwonie, co może przeszkodzić człowiekowi chwalebne zamysły obrócić w czyn, do tego z pewnością nie potrzeba zgody króla, lecz wyłącznie modłów do naszego Zbawiciela. Modlitwa kapłanowi nie powinna być obca!” „Nie mogę i nie chcę być kapłanem! – wybuchnął Iwo. – A co dopiero byłym kapłanem! Wasza Królewska Mość, dajcie mi godność człowieka, który chce zacząć nowe życie! Moim jedynym dążeniem jest wstąpić do zakonu rycerskiego. Błagam was, panie, pasujcie mnie na rycerza!”

Teraz wszystko stało się jasne i pan Ludwik niezwykle się oburzył.

„Panie Iwonie – powiedział – to niestosowne żądanie. Ani nie macie odpowiedniego pochodzenia, ani, i to jedynie z własnej winy, nie zdobyliście sławy w otwartej bitwie, w walce z niewiernymi. Przeciwno wam świadczy tymczasem wasz złośliwy charakter, nieopanowany temperament i brak wszelkich cnót”.

Bretończyk przy każdym boleśnie szczerym słowie opuszczał niżej głowę i milczał zawzięcie. Król stał się niecierpliwy.

„Jak mogliście w ogóle naprzykrzać mi się z taką sprawą, skoro nietrudno było przewidzieć odpowiedź!”

Odwrócił się do wyjścia.

„Wasza Królewska Mość! – jęknął Iwo – chcę po prostu służyć Bogu i wam, panie, tam gdzie moje skromne zdolności mogłyby być wykorzystane dla większej chwały naszego Pana Jezusa Chrystusa i Matki Bożej!”

„Sami to powiedzieliście, Iwonie: skromne zdolności – wpadł mu w słowo król – wasze zdolności trudno poważać i w żadnym razie nie czynią was godnym podniesienia do rycerskiego stanu. I mało chwały przyniesiecie naszemu Zbawicielowi i Matce Bożej charakterem, który dotychczas ujawniliście, i czynami, jakich dokonaliście. Ale możecie się wykazać. Będę śledził wasze postępowanie jeszcze surowszym okiem”.

Pan Ludwik chciał opuścić kaplicę. Rzucił swojej małżonce przynaglające spojrzenie, ale pani Małgorzata oświadczyła zdecydowanie, że chce jeszcze pozostać i pomodlić się. Król wyszedł zagniewany.

Jako że królowa miała dużo czasu na modlitwę i go nie wykorzystwała, czułem, iż życzy sobie jeszcze mówić ze mną lub z Iwonem albo z nami obydwoma.

Pani Małgorzata przeszła od razu do rzeczy: „Chcę skorzystać z okazji, aby zamienić słowo z obydwoma paniami, których mój małżonek, król, przydzielił do opieki i towarzystwa naszej kochanej córce Graala. Siadajcie!”

Wskazała nam wąską kościelną ławkę za sobą.

„Panie Williamie, jak mi powiedziano, już od dawna pozostajecie w służbie królewskich dzieci. Powiedzcie mi, czy oboje byli z wami w Egipcie pod piramidami?”

„O nie, Wasza Królewska Mość – odparłem – chłopca wywieziono, a Jeza została jako zakładniczka”.

„U niewiernych?”

„Tak istotnie było, ale na wrogach takie wrażenie wywarła wielka godność waszego małżonka, króla, że przekazano mu dziewczynkę jako prezent”.

„W piramidzie?”

Wyszło szydło z worka.

„Można by się tak wyrazić – odparłem ostrożnie – mnie przy tym nie było”.

„Ale ja byłem...” – wtrącił Iwo i urwał, zostawiając królową w niepewności.

„Wychodzę z założenia, że król nie odmówił wizyty w piramidzie. Byli zatem oboje w tej budowli? – Pani Małgorzata nie robiła już teraz żadnej tajemnicy z dręczącego ją podejrzenia. – Razem, sami?”

„Ani jedno, ani drugie – odparł Iwo – byłem przy tym przecież; piramida jest niezwykle duża, są w niej liczne korytarze i rozmaite pomieszczenia. Spotkali się dopiero przy wyjściu”.

„Jesteście tego pewni, mój drogi panie Iwonie, możecie przysiąc, że nie znali się już wcześniej...? – Zamilkła w pół zdania. Drżała z nieufności, że usłyszy kłamstwo, a może ze strachu, że dowie się prawdy. – Powiedzieliście przecież, iż piramida jest duża”.

„Pani – odezwał się Iwo – nigdy bym nie dopuścił, by coś mogło wam sprawić serdeczny ból. Mogę was jednak uspokoić. Król i dziewczynka nie znali się, gdy w mojej obecności spotkali się po raz pierwszy”.

Królowa długo milczała, w jej głowie rosło podejrzenie, a serce biło wciąż szaleńczo z zazdrości.

„I co potem zrobiła królowi tak miłego i cennego?”

Było mi jej żal, więc powiedziałem: „Nic. Nasz najgorszy wróg, który nas zwyciężył, przedłożył pokorną prośbę, żeby król strzegł dziecka jak żrenicy oka. I na to pan król dał słowo”.

Królowa milczała zaskoczona.

„Możecie odejść, panowie – rzekła drżąc – wyświadczyliście królowej przysługę, za którą winna wam jestem wdzięczność, panie Iwone”.

Bretończyk dwornie ujął wyciągniętą rękę i podniósł do ust. Pani Małgorzata spojrzała mu głęboko w oczy.

„Macie we mnie protektorkę, która wie o waszej trosce. A wy, drogi Williamie, zawstydziliście mnie jako kobietę. Nie zapomnę wam, że zachowaliście się jak człowiek honoru”.

Mój stan duchowny oszczędził mi ucałowania ręki królowej.

„Chcę teraz szczerze skruszona pozostać jeszcze tutaj na modlitwie”.

Z tymi słowami zostaliśmy obaj odprawieni i pozwólcie, mój drogi seneszalu, zauważyć swemu sekretarzowi: do skruchy tu jeszcze daleko.

Akka, 2 listopada A.D. 1250

Prawie nikt nie spostrzegł przybycia triery. Nad portem i zatoką leżała późnojesienna poranna mgła, a i świt się teraz nie spieszył.

Stałem jeszcze z nowym konetabłem przed portalem kościoła Świętego Andrzeja, gdzie król na zaproszenie biskupa uczestniczył w porannej mszy.

Nowym konetabłem królewskim był Idzi le Brun. Dotychczasowego, Imberta z Beaujeu, starego wojaka, który akurat nie był moim przyjacielem, pan Ludwik odesłał do Francji.

Patrzyliśmy w dół na port, gdy z szarej ściany mgły wyślizgnął się wielowiosłowy potwór jak osobliwy owad, rodzaj nartnika, i zbliżył się po omacku do zewnętrznego nabrzeża, na którego końcu wyrastała Wieża Much.

Obaj natychmiast rozpoznaliśmy statek, ja z osobistego doświadczenia, konetabl z kwiecistych opowiadań, które krążyły o trierzce i hrabinie od czasu jej ucieczki z Cypru.

Jeden jedyny człowiek został ukradkiem wysadzony z łodzi na ląd. Wielki, najeżony bronią statek wkrótce znowu połknęła falująca mgła, nie mógł jednak zbyt się oddalić od portu, gdyż łódź powiosłowała z powrotem. Bardzo mi to wyglądało na szpiegostwo i takiego zdania był też pan Idzi.

Odniosłem wrażenie, że osławiona właścicielka statku pragnęła się wywieść, czy jej ucieczka z Cypru została wybaczona i puszczone w niepamięć. O tym jednakże, jak stwierdził konetabl, nie mogło być mowy. Jako nowicjusz na tym urzędzie konetabl musiał się dopiero wykazać, zdobyć sobie reputację chwytanego wyżła.

Pospiesziliśmy przez pizańską dzielnicę w dół do małego portu. Tutaj czujny patrol joannitów już zatrzymał przybysza.

Był to Firuz, kapitan hrabiny, z którym sławny zakon rycerski miał stare porachunki. To przecież Firuz narobił im wstydu wyprowadzając trierę z portu na Cyprze akurat w dniu, w którym joannici trzymali straż.

Firuz nie dał po sobie poznać, że mnie już kiedyś widział, milczał zawzięcie, tak więc konetabl przejął przesłuchanie.

– Jesteście kapitanem tego statku. Dlaczego zakradacie się cichaczem na ląd, a triera pozostaje ukryta na morzu?

Firuz nie miał kłopotu z odpowiedzią.

– Ponieważ nie znamy tego kraju i moja pani, Laurencja z Belgrave, cesarska hrabina Otranto, najpierw chciała się upewnić, czy tutaj oczekują nas chrześcijanie, czy niewierni.

– A może – wpadł mu pan Idzi w słowo – czy już zapomniano o piractwie, dezercji i zlekceważeniu rozkazu króla?

Firuz nie otworzył ust.

– Byliście przecież już wtedy kapitanem? – Firuz wciąż milczał jak zaklęty. – Wobec tego wiecie także, co wam grozi.

Ponieważ Firuz nic nie przedstawił na swoją obronę, konetabl dorzucił prawie mimochodem:

– Zostaniecie powieszani. – Odwrócił się do mnie. – Dzisiaj rano, razem z tym młodym oszustem handlującym gołębiami. Wyobraźcie sobie, drogi Joinville, że chłopak wynajmuje u was mieszkanie, a wy idziecie wkrótce na targ i widzicie go tam, jak sprzedaje, co ja mówię, oddaje za bezcen waszego najpiękniejszego gołębia, waszego ulubieńca, klejnot śnieżnobiałej rasy.

– Zwyródnialec – tylko tyle umiałem powiedzieć, gołębie nie interesowały mnie, w ogóle nie znośm tych drepczących, gruchających i paskudzących ptaków.

– To właśnie wczoraj przytrafiło się szanowanemu mieszkańcowi tego miasta – mówił dalej pan Idzi. – Chcecie wiedzieć, co ten przyłapany na gorącym uczynku nicpoń przytoczył na swoją obronę?

– Może później mi opowiecie, drogi Idzi le Brun – przerwałem jego nieustający potok słów. – Na waszym miejscu próbowałbym rozmówić się z kapitanem z Otranto. Hrabina jest poddaną cesarza, a co przed dwoma laty na Cyprze uchodziło za zdradę stanu, dziś może być uważane z punktu widzenia wyższej dyplomacji za błahostkę. W takim wypadku wyrok śmierci byłby rozwiązaniem niekorzystnym.

W czasie naszej rozmowy przeszliśmy przez rozciągającą się wzdłuż portu aż do arsenału dzielnicę wenecką. Teraz dałem znak memu idącemu z tyłu pachołkowi, żeby mi pomógł wsiąść na konia, którego nabyłem za pieniądze króla Ludwika od handlarza z Damaszku. Dobry zakup.

– Nie chodzi mi o szyję tego bez wątpienia winnego kapitana – powiedziałem na zakończenie – lecz o to, żeby wam oszczędzić kłopotów.

Konetabl nadał się obrażony.

– Zgadzam się z królem w kwestiach dyscypliny i porządku i chcę pełnić swój urząd.

Kazał sobie również podać konia.

– Jeśli zechcecie się pofatygować za bramę Maupas, seneszału, będziecie mogli podziwiać kata przy jego robocie!

Na dany przez konetabla znak żołnierze przejęli Firuza od joannitów i zwięzali. Orszak ze skazańcem wyruszył w drogę. Odjechałem bez pożegnania, niepewny, czy powinienem coś przedsięwziąć.

Za mało było czasu na uzyskanie audiencji u króla, jednakże skierowałem się do zamku, a ponieważ znalazłem się już przy głównej bramie miejskiej, postanowiłem za murami pojechać jednak ku szubienicy. Powinienem przybyć jeszcze na czas, gdyż delikwent, zgodnie z panującym obyczajem, musiał być najpierw przeprowadzony przez całe śródmieście, a potem z Montmusart przez bramę Maupas zawiedziony na miejsce kaźni.

Znajdowałem się jeszcze w drodze do bramy Świętego Antoniego, gdy zobaczyłem Jeżę wyjeżdżającą z zamku wraz ze swym przybocznym strażnikiem i Williamem. Towarzyszyła im eskorta jeźdźców i kilka dobrze obciążonych jucznych zwierząt. Czyżby wyruszali w podróż?

– Dokąd droga prowadzi, księżniczko? – powitałem Jeżę, a ona, choć zazwyczaj miała dla mnie życzliwe słowo, odpowiedziała dziś na powitanie tylko skinieniem głowy. Patrzyła smutno gdzieś w dal.

– Księżniczka zdecydowała się wstąpić do klasztoru – objaśnił mnie William z Roebroku.
– Towarzyszymy jej na górę Karmel.

– A was dokąd pędzi, szlachetny panie Joinville? – zagadnął mnie Iwo Bretończyk z wyszukaną grzecznością.

– Ach – powiedziałem do Williama – uwięzili kapitana hrabiny, Firuza, i chcą go właśnie powiesić z powodu starych cypryjskich awantur.

– Jak to? Czyżby hrabina...?

– Tiera wysadziła go dziś rano – mówiłem prędko – wpadł nowemu konetablowi prosto w ramiona, a teraz...

– Gdzie? – wmieszała się nagle Jeza.

– Przed bramą Maupas!

– To przecież trzeba zobaczyć! – zawołała ze zwykłą stanowczością i dała koniowi ostrogę.

Pogalopowaliśmy wzdłuż zewnętrznych wałów, jakbyśmy pędzili do ataku, pan Iwo najszybciej zrównał się z Jezą, a po jego twarzy widać było, że spodobał mu się sposób, w jaki dziewczynka wzięła sprawę w swoje ręce. Skręciliśmy wyciągniętym cwałem koło szańców joannitów i wkrótce zobaczyliśmy przed sobą błonie, akurat jeszcze na czas, gdyż z bramy Maupas wyjechał właśnie orszak konetabla, za którym turkotał szybko wóz kata.

Przypomniał mi się obraz sprzed sześciu lat, który mi William tak dobitnie przedstawił, że miałem wrażenie, jakbym go sam przeżył. William uciekający z dziećmi Graala przez Camargue, wyłaniający się z mgły wóz paryskiego profosa, trzech zabici i zabójca, młody kapłan o przenikliwym spojrzeniu: Iwo Bretończyk!

Król ułaskawił go i przyjął do służby, o czym opowiedziałem flamandzkiemu chytrusowi, gdy go wkrótce potem poznałem w Marsylii w podejrzanej portowej speluncie. Za drewnianym przepierzeniem, ukryte przed moimi oczami, spały królewskie dzieci. I tak zamknęło się koło: Iwo Bretończyk pędzący u boku Jezy, aby ratować człowieka przed szubienicą, i William sapiący za nami jako ostatni. Gnaliśmy jak burza.

Wóz kata zajechał pod szubienicę, obu skazańcom założono już stryczki na szyje, konetabl odczytał wyrok.

– Nie! – rozległ się krzyk Jezy.

– W imieniu króla! Wstrzymajcie się!

Bretończyk potężnym głosem pospieszył dziewczynce z pomocą, ponieważ poza tym trwożnym „nie!” nie wydobyła już z siebie żadnego dźwięku.

Teraz zrozumiałem, dlaczego krzyknęła z takim przerażeniem. Drugim skazańcem był Hamo!

Pan Idzi le Brun popatrzył niechętnie, ale Iwo siedząc jeszcze na wierzchowcu, chwycił cugle koni przy katowskim wozie.

– Konetablu! – natarł na oburzonego pana Idziego tonem nie znoszącym sprzeciwu. – Czy pytaliście, jakie nazwisko nosi ten młody człowiek?

– Ten oszust i złodziej twierdzi nawet jeszcze teraz, że jest hrabią Otranto – odparł wściekły konetabl. – Dobrana para!

– Możecie uważać, co wam się podoba, mój drogi le Brun – ucięła Jeza – ale to jest Hamo l’Estrange, hrabia Otranto.

– Syn tej...? Tym bardziej należy go powiesić! – parsknął konetabl.

– Nie czyńcie sobie krzywdy! – wtrącił się William.

– Możecie za to drogo zapłacić – próbowałem i ja załagodzić sprawę.

Ale Jeza powiedziała do konetabla bez ogródek:

– Straciecie życie na miejscu, jeśli uczynicie jakiś fałszywy ruch.

Rzuciła swój sztylet Williamowi, który stękając wdrapał się na wóz i uwolnił z więzów najpierw Hamona, a potem Firuza.

– Grozicie mi – zapienił się pan Idzi, rzucając szybkie spojrzenie na naszą eskortę, która liczebnie przewyższała jego oddział, a przede wszystkim nosiła znaki królewskie, podczas gdy jego żołnierze mogli się wykazać jedynie herbami miasta Akki.

– Odpowiedcie przed królem...

– To moje zmartwienie – ucięła znowu Jeza. – Jego Królewska Mość wie, gdzie mnie znaleźć. Biorę na siebie całą odpowiedzialność.

– A wy, konetablu – przyłączyłem się – zrobicie dobrze, jeśli tego zajścia nie potraktujecie zbyt serio. Nie mieliście prawa człowieka stanu szlacheckiego, hrabiego cesarza, czyli władcy Akki, skazywać bez procesu przed najwyższym sądem tego królestwa. To może was kosztować urząd i głowę.

Wtedy zrobiło się nagle zupełnie cicho. I w tej ciszy pan Iwo powiedział:

– Dajcie obu panom po koniu, co przyjmą jako wasze przeprosiny i razem z nami opuszczają to niegościnnie miejsce!

Konetabl zagryzając wargi kazał dwu żołnierzom zsiąść z koni i oddać wierzchowce, a potem ruszył z pustym katowskim wozem ku bramie Maupas.

Pożegnałem się z Jezą i jej towarzyszami, ponieważ wydało mi się wskazane uprzedzić u pana Ludwika relację konetabla.

Z gęstej listopadowej mgły wyłoniły się mury Homsu.

– Postąpimy mądrze, jeśli zażądamy wpuszczenia do miasta jeszcze za dnia – powiedział Konstancjusz – wtedy strażnicy mniej zważają na twarze.

Posel cesarstwa Fryderyka kazał rycerzom z zakonu krzyżackiego nieść na przedzie porzecz cesarstwa, potem jechał piękny giermek z tarczą i mieczem, podczas gdy sam posel towarzyszył dwornie swej młodej córce.

Eskorta zameldowała straży przybycie posła i wnet skrzydła bramy odchyliły się na tyle szeroko, że obcy rycerze mogli pojedynczo wjechać. Przybyłych, którzy zsiadli z koni, poproszono nadzwyczaj uprzejmie, aby usiedli i poczekali cierpliwie, aż zostanie powiadomiony An-Nasir. Podano gościom tymczasem gorącą herbatę z Indii, przyrządzoną z miodem i miętą, i pozostawiono ich samych.

Przybysze wiedzieli jednak, że ze szpar i otworów strzelniczych skierowane były na nich zaciekawione oczy, toteż trzymali głowy spuszczone i prawie nie rozmawiali. Niemieccy rycerze otoczyli ciasnym pierścieniem księcia Selinuntu i jego grupę, tak że zasłonili ich

przed zbyt wścibskimi spojrzeniami. Jednakże czas upływał w napięciu, czy goniec po powrocie ogłosi haniebne aresztowanie, czy odpowiednie powitanie.

Giermek siedział rozkraczony, opierając się ze zmęczenia na tarczy, a córeczka księcia przycupnęła grzecznie na kolanie ojca i przytuliła się trwożnie do jego piersi, wciskając w fałdy płaszcza już i tak prawie całkiem zakrytą czepkiem twarz.

Wreszcie nadeszła odpowiedź z pałacu. Goście nie zdradzili się, że dobrze rozumieją, o czym szepczą wartownicy.

Do przodu wysunął się starzec, którego sprowadzono jako tłumacza, i oświadczył szlachetnemu posłowi *imperatoris Germaniae*^{*}, że dostojny An-Nasir, jedyny prawowity potomek z dynastii Ajjubidów i w prostej linii następca wielkiego Saladyna, pan Homsu, Hamy i Aleppo oraz sułtan Damaszku, czułby się nadzwyczaj zaszczycony i szczęśliwy, gdyby przysłanego doń księcia mógł zobaczyć niezwłocznie, ponieważ, ciągnął tłumacz:

– ...nasz łaskawy władca, *Allach jatihi al-hukm wa judammir a'adhi*^{*}, wyrusza zaraz do Damaszku, aby objąć przynależny mu tron sułtański. Wy zaś i wasi towarzysze, szlachetny panie, możecie zatrzymać się w Homsie jako goście i dysponować pałacem jak swoim własnym.

Z głębokim ukłonem poprosił posła, aby poszedł za nim i pozostawił towarzyszy oraz bagaż staraniom służby.

Niemieccy rycerze z trudem wyjaśnili nadbiegłym kobietom, że córka księcia jest przyzwyczajona spać przy swoim ojcu, wśród mężczyzn, i nie ma potrzeby udzielać jej gościny w haremie. Naczelny eunuch uznał wprowadzić obyczaje chrześcijan za zdrożne, ale przychylił się do życzenia gości. Tak więc Roszowi i giermkowi przydzielono jedną izbę w pomieszczeniach dla mężczyzn.

An-Nasir przyjął cesarskiego posła nie w wielkiej sali audiencyjnej, lecz w swoim apartamencie, z którego spojrzeniem mógł błędzić po ogrodach haremu po jednej stronie, a po drugiej w dal ponad miastem.

– Władca zrezygnował z wszelkiej pompy i dworskiego ceremoniału – powiadomił tłumacz księcia Selinuntu przed wejściem na ostatnie schody. – Jego Wysokość prosi o wybaczenie.

An-Nasir był już w stroju podróżnym i chodził niespokojnie tam i z powrotem, gdy księżę wszedł i złożył ukłon. Władca Homsu był prawdziwym kolosem, Konstancjusz z Selinuntu wyglądał przy nim niepozornie.

– Usiądźcie, gdzie wam się podoba – powiedział An-Nasir i opadł na podwyższony fotel za stołem.

* Imperator Germaniae (łac.) – władca Niemiec.

* Allah jatihi... (arab.) – niech Allah obdarzy go władzą i zniszczy jego wrogów!

Był to zresztą w całym pomieszczeniu jedyny sprzęt do siedzenia, jeśli nie liczyć składanej drabiny, która stała przy węższym boku stołu. Jednym susem książę wspiał się na jej najwyższy stopień i usiadł ze skrzyżowanymi nogami, jakby tam zawsze było jego miejsce. Siedział teraz wyżej niż An-Nasir, który nie mógł się powstrzymać od przelotnego uśmiechu, gdy musiał ku gościowi popatrzeć do góry.

– Opanowanie mowy ciała jest dla mnie ciągle najlepszą oznaką dyplomatycznych zdolności. Oszczędzi nam zbyt długiej rozmowy i wyszukanych zwrotów. Za godzinę jadę do Damaszku i każę się obwołać sułtanem.

Konstancjusz wyczuł, że An-Nasir oczekuje od niego zajęcia stanowiska.

– Lud syryjski powita z radością wnuka Saladyna, Kair się zagotuje ze złości, Akka zaś będzie w rozterce i bezradna.

– A wasz cesarz Fryderyk?

– Ma zawsze niezłomną przyjaźń dla domu Ajjuba i pochwali ten krok.

– To wszystko? – spytał An-Nasir w napięciu. – Czy przybędzie i pomoże mi przepędzić z Egiptu mameluckich uzurpatorów? Czy rozkaże królowi Franków, żeby wsparł mnie swym autorytetem, a może i wojskiem?

– Cesarz Fryderyk walczy we własnym cesarstwie przeciwko intrygom papieża i jego obecność jest tam niezbędna, francuski król zaś musi mieć wzgląd na to, że tysiące jego ludzi przebywają jeszcze w egipskiej niewoli. Tak więc król Ludwik nie może wystąpić czynnie po waszej stronie.

An-Nasir sapnął gniewnie.

– Zapłacę mu więcej, niż jest warte tych parę tysięcy chorych i rannych, jeśli jeszcze w ogóle pozostają przy życiu.

– Takiej oferty Wasza Wysokość nie może w tej formie przedłożyć chrześcijańskiemu królowi, a już w ogóle nie arcychrześcijańskiemu panu Ludwikowi.

– Widzę, że się rozumiemy – uśmiechnął się An-Nasir. – Co mi zatem radzicie?

– Poprosić cesarza, żeby interweniował w sprawie jeńców w Kairze. Skoro tylko nieprzyjaciel nie będzie miał w ręku tego fantu, król Ludwik z radością przyjmie wyzwanie, aby powetować sobie hańbę Damietty!

– Jak mogę podziękować memu przyjacielowi, wielkiemu cesarzowi? Czy powinienem po zajęciu Egiptu wysłać mu wojsko, które jego przeciwnika porąbie na kawałki? Czy cesarz chce głowy papieża?

– Ach – uśmiechnął się książę – takiej szlachetnej oferty, takiej wspaniałej, mój pan niestety nie może przyjąć. Muszę zresztą dodać, że to kuszące potwierdzenie wdzięczności nie jest też konieczne: cesarz pomaga swoim przyjacielom bezinteresownie i chętnie.

– Ja zaś – An-Nasir podniósł się stękając – niechętnie pozwalam sobie coś podarować. Każde zbrojne ramię, które stanie pod moim sztandarem, sownie wynagrodzę złotem. Powiedzcie to cesarzowi, a przy okazji także królowi w Akce!

– W tym celu wysłałbym oficjalne poselstwo, skoro tylko obejmiecie władzę w Damaszku, wielki An-Nasirze. O naszej rozmowie poinformuję tylko cesarza, a on przyśle wam tylu ludzi, ilu będzie mógł, jednak dopiero po wyjaśnieniu sprawy jeńców w Egipcie. Do tej chwili nasza umowa ze zrozumiałych względów powinna pozostać tajemnicą.

Konstancjusz z Selinuntu zszedł z drabiny i skłonił się przed władcą Homsu.

– Podobacie mi się, książę – powiedział An-Nasir, który teraz mógł znowu patrzeć na gościa z góry. – Gdzie opanowaliście tak znakomicie naszą mowę, że nie potrzebujecie wcale tłumacza?

– Na dworze cesarza w Palermo arabski jest w codziennym użyciu, cesarz sam włada tym językiem.

– I na takiego światowego władcę papież ujada jak byle kundel! – An-Nasir kręcił okrągłą głową. – Tego niegodnego arcykapłana należy przepędzić na cztery wiatry!

Konstancjusz skierował się ku wyjściu, ale An-Nasir zatrzymał go jeszcze.

– Opowiedzcie mi więcej o waszym sławnym, wszechstronnie utalentowanym panu. Chciałbym, żebyście mi towarzyszyli w mojej krótkiej podróży i w Damaszku uczestniczyli w uroczystościach jako mój honorowy gość, zanim powrócicie do cesarza. Waszym towarzyszom nie będzie tymczasem zbywać na niczym w Homsie.

Konstancjusz miał kilka powodów, aby przyjąć zaproszenie. Po pierwsze, Madulajn i Rosz mogli tymczasem uwolnić Mahmuda i Szirat z więzienia. Po drugie, należało tak poprowadzić polityczne rozmowy, żeby powstrzymać władcę Homsu przed atakiem na Egipt – przecież był to kraj ojców Konstancjusza. A po trzecie, nie było stosowne odmawiać tu i teraz życzeniu An-Nasira.

Książę zdążył jeszcze pożegnać się szybko z córeczką i giermkim. Potem orszak opuścił Homs, kierując się na południe; była to średniej wielkości armia, zabrano też bez mała cały harem.

Nastał jeden z rzadkich słonecznych listopadowych dni, kiedy zimny wiatr z gór nie zstępował ku ciepłej dolinie, gdzie leżał Homs. Niebo było bezchmurne.

*Mal amar fai vassal d'estrany pais,
car en plor tornan e sos jocs e sos ris.
Ja nun cudey num amic me trays,
qu'eu li doney ço que d'amor me quis.*

Madulajn nie mogła się oprzeć pokusie i odwiedziła ogrody haremu, w którym żyła tak długo. Miała nadzieję, że zastanie tu Szirat, chociaż słyszała w kwaterach dla załogi, iż z władcą wywedrowały także jego kobiety wraz z eunuchami. Widoki na spotkanie z przyjaciółką były więc znikome. Nawet strażników już tu nie było.

Madulajn usiadła w słońcu na jednej z ławek przy studni i uderzyła w struny lutni, wydobywając pierwsze takty pieśni, którą jak sobie przypomiwała, śpiewały z mamelucką dziewczyną, kiedy przebywały tutaj razem.

*Ar hai dreg de chantar
pos vei joi e deportz,
solatz e domnejar,
qar zo es vostr' acortz:
e las fontz e-l riu clar
fan m'al cor alegranza,
prat e vergier, qar tot m'es gen.*

Przyszła tu także dlatego, że bardzo ją męczyło udawanie roli młodzieńca. Całe dnie przebywała wśród mężczyzn i musiała się śmiać z ich rubasznych żartów. Rozzaliła się nad sobą. Nie myślała już o spotkaniu z przyjaciółką, śpiewała wyłącznie dla siebie, gdy nagle rozległa się odpowiedź:

*Q'era non dopti mar ni ven
garbi, maistre ni ponen
ni ma naus no-m balanza,
ni no-m fai mais doptansa
galea ni corsier corren.*

– Szirat?! – krzyknęła Saracenka.

– Madulajn! – Spod arkad wyszła smukła młoda kobieta.

– Nazywaj mnie Manfredem! Jestem hohenstaufowskim giermkim z południowych regionów cesarstwa.

– Tutaj nas nikt nie odkryje – paplała śmiejąc się Szirat – nawet gdybyś się do mnie zbliżyła ze spuszczoneymi spodniami. Wszyscy wywedrowali do Damaszku, także napuszczona szczęściem Klarion razem ze swym kurczęciem. Ja jedyna musiałam tutaj zostać, bo tak daleko sięga znowu jej władza na naszym kurzym podwórku!

– Co mnie obchodzi Klarion! – przerwała Madulajn. Szirat zajęła miejsce u jej stóp, uściskać przyjaciółki się nie ośmieliły. – Przybyliśmy, żeby was uwolnić!

– To niemożliwe – powiedziała Szirat zmartwiona.

– Dlaczego? Czyżby ten minotaur ciebie też zapłodnił?

– Nie – odparła Szirat. – Chętnie byśmy stąd uciekli, ale jesteśmy teraz z Mahmudem jeszcze bardziej pilnowani, ponieważ syn Bajbarsa jest ważnym zakładnikiem w

nadchodzącym starciu. An-Nasir zabrał nawet Mahmuda na uroczystości do Damaszku, aby jego i lud ucieszył swymi ogniowymi czarami.

Madulajn popatrzyła pytająco, więc Szirat ze śmiechem wyjaśniła:

– Mój pan bratanek rozwinął się jako *tronituorum physicus fulgurisque**. Specjalność: łatwe do transportu maszyny oblężnicze ciężkiego kalibru i najwyższej siły przebicia – tłumaczyła z pewną dumą. – Ale powiedz mi, proszę, gdzie się podziewa Hamo? Był w Homsie i próbował nawiązać z nami kontakt. Mahmud go widział, ale Hamo musiał uciekać – zrelacjonowała krótko opowieść o gołębim pierścieniu.

Madulajn nie mogła pokrzepić przyjaciółki żadnymi wiadomościami.

– Podczas naszej podróży omijaliśmy wszelkie miejscowości, aby nie dać się rozpoznać ani przez wrogów, ani przez przyjaciół. A jednych i drugich ma Czerwony Sokół wielu...

– Kochasz go? – spytała Szirat wprost.

– Wiem tylko, że już nie myślę wiele o Firuzie – odparła Madulajn w zamyśleniu – ale Konstancjusz jest wędrowcem, nigdzie nie zagrzeje miejsca, do niczego i nikogo się nie przywiązuje. – Westchnęła. – Jeśli w ogóle jeszcze jestem zdolna do miłości, pokocham kogoś, kto mi będzie odpowiadał i obdarzy mnie uczuciem, które wiecznie...

– Wieczność jest dla kobiety ograniczona tylko do czasu rozkwitu – powiedziała Szirat gorzko.

– Jeśli nie urodziłaś się królową, pozostaje ci tylko klasztor albo dom rozpusty – dorzuciła Madulajn.

Ale Szirat ciągnęła dalej:

– Po dwu straconych latach w charakterze damy haremowej bardzo tęsknię za człowiekiem, który mnie jeszcze zechce chociaż pokochać, nikt bowiem nie poślubi kobiety wyzutej z czci. Marzę o człowieku, któremu byłabym czułą towarzyszką. Chciałabym pociągnąć z nim na obczyznę, gdzie mnie nikt nie zna, gdzie zdobędziemy... może nie królestwo, lecz trochę miłości...

– Nie wiem, za czym ja tęsknię – oznajmiła Madulajn. – Dwu mężczyzn, Firuz i Turanszah, mnie pożądało, każdy na swój sposób. Ja też ich pożaądałam, jednego za jego dźbę, drugiego dla jego berła. Teraz nie wiem sama, czego chcę, może oczekuję za dużo. Ten drugi jest już zresztą od dziewięciu miesięcy martwy... i od tej pory nie miałam już żadnego mężczyzny...

– Jeśli to cię martwi – rzekła Szirat – odstąpię ci chętnie miejsce w haremie, przynajmniej dwa razy w tygodniu pomyśli pan o twoim łonie...

– Bezpieczeństwo już mi się spodobało, ale nie chcę być jedną z bruzd, którą rolnik orze, kiedy mu to odpowiada.

– Więcej z pewnością nie da ci też Czerwony Sokół – ostrzegła Szirat.

* *Tronituorum physicus fulgurisque* (łac.) – fizyk od grzmotów i błyskawic.

– Zobaczmy, czy poza mną będzie jeszcze potrzebował jakiejś innej! – obruszyła się Madulajn i kpiąco dodała: – Mogłybyśmy się zamienić, dostaniesz Czerwonego Sokoła, muzułmanina i mameluka jak ty, ja poczekam, aż Hamo stanie się mężczyzną i zostanie hrabiną Otranto.

Ten pomysł w ogóle nie spodobał się Szirat.

– Nie czuję miłości do Fassr ad-Din Oktaja, a islam traktuje kogoś takiego jak ja już nie jako kobietę. Jestem niczym, napiętnowana jako nierządnicą.

– Nie myśl, że chrześcijańska moralność jest bardziej wspaniałomyślna.

– Ach, Hamo! – westchnęła Szirat. – Tak bym chciała, żebyśmy się kochali! Nasza miłość byłaby silniejsza niż...

– Kochaliście się już?

– Nie, nigdy o tym nie mówiliśmy, ale czuję...

– Moje dziecko – powiedziała Madulajn, akurat o rok starsza od dziewiętnastoletniej Szirat – jakże zazdrościsz ci marzeń...

Zsunęła się z ławki i objęła przyjaciółkę ramieniem:

– ...i twojej wstrzemięźliwości. Z pewnością znajdziesz szczęście, Hamo bowiem wkrótce będzie musiał walczyć o swoje dziedzictwo, gdy papież i Anjou wyciągną chciwe ręce po posiadłość Hohenstaufów...

– Wówczas znajdziemy jakieś inne lenno – powiedziała Szirat z ufnością – jeśli siebie w końcu odnajdziemy. A ty, Madulajn, powinnaś w skupieniu zapytać swego serca, do kogo chcesz należeć.

– Nie chcę należeć do nikogo! – Ucisnęła przyjaciółkę na pożegnanie. – A Czerwony Sokół nie powinien sobie wyobrażać, że nie mogę bez niego żyć. Zobaczmy się tutaj znowu! – zawołała odchodząc.

Mamelucka dziewczyna została przy studni i uśmiechała się w zamyśleniu. Jakże Madulajn zazdrościła jej tej cichej ufności!

Wzburzona wróciła do swej izby.

Rosz spał odkryty do pasa. Przykryła go ostrożnie i przyłapała się na tym, że podnieca ją dotknięcie jego skóry. Stłumiła przekleństwo, którym chciała obdarzyć mężczyznę w ogóle, a Czerwonego Sokoła w szczególności, rozebrała się do koszuli, wyciągnęła pod przykryciem i zamknęła oczy.

O śnie jednak nie było co myśleć. Jej ciało płonęło. Zmusiła się, by nie wykonać żadnego ruchu – nie pogłaskać swych sterczących brodawek, nie wprowadzić dłoni między gorące uda. Miała pretensję do Rosza o jego beztroski sen.

Myliła się jednak. Rosz nie spał. Spod ledwie uchylonych powiek obserwował, jak ściągnęła spodnie i z gołymi nogami zniknęła pod przykryciem. Chyba zaraz zasnęła, gdyż nie poruszyła się więcej. Jego członek już od dłuższej chwili był sztywny, jak to zdarzało się za każdym razem, kiedy tylko pomyślał o Madulajn. Zerknął ku niej znowu.

Smukła noga wystawała spod prześcieradła, odkryta aż po udo, mógł rozpoznać ciemny trójkąt. Ciągnęło go ku temu tajemniczemu ogrodowi. Jeśli Saracenka śpi, może się z bliska przyjrzeć jej łonu.

Bardzo ostrożnie, unikając wszelkiego hałasu, podniósł się i owinął wstydliwie prześcieradło wokół bioder. Skradał się do niej na palcach, robiąc krok za krokiem, zatrzymując się przy każdym skrzypnięciu drewnianej podłogi.

Madulajn oddychała głęboko i nierównomiernie. Usłyszała szelest pościeli Rosza i nie odważyła się otworzyć oczu, aby chłopca nie wprawić w zakłopotanie czy też w ogóle przepędzić. Wsunęła dalej nogę spod prześcieradła, przy czym natrafiła na nogę Rosza, znajdował się więc bardzo blisko. Mogła udąć przestraszoną, broniąc się bezradnie uwikłać w bijatykę i wciągnąć go na siebie, ale nie chciała go zaskoczyć, lecz dać możliwość działania.

Tak więc powoli zgięła kolano drugiej nogi, licząc chyba na to, że się teraz między jej brzuchem a łonem utworzy rodzaj namiotu, któremu Rosz nie będzie się mógł oprzeć. Chłopiec przykłęknął, pochylił się nad jej udem, a wtedy zamrugowała, jakby nagle przebudzona, i spojrzała w jego przestraszone, błyszczące oczy.

– Rosz, zmarzniesz przecież – powiedziała i wzięła go pod swoje prześcieradło. Poczuła, jak jego członek niezdarnie maca między jej pośladkami, sięgnęła doświadczonym ruchem i podsunęła go aż do ochoczo rozwartych warg sromowych. Kiedy pokazała mu drogę, powinien sam ustalić, w jaki sposób chce ją osiąść.

Odchyliła głowę do tyłu i czekała w napięciu, czy zaatakuje ją teraz gwałtownie, ale ku jej przyjemnemu zaskoczeniu Rosz wszedł w nią całkiem powoli. Z podniecenia przycisnęła jego twarz do swoich drżących piersi, położyła dłonie na jego twardych pośladkach. To było szaleństwo! Sądziła, że zakosztowała już wszelkiego upojenia, a ten chłopiec zgotował jej nie znaną dotychczas rozkosz.

Musiała się opanować, żeby nie krzyczeć, chciała tego chłopca szarpać, miażdżyć, gryźć, bić. Jej ciało drętwiało i drżało, marzło i płonęło.

Rosz nie wiedział, co się z nim dzieje. Był przerażony. Co za łagodny żar, co za różnorodny świat się przed nim otworzył! Pchał się wciąż dalej do tego piekielnego raj, który się coraz dalej rozciągał i którego najgłębszego dna jeszcze nie osiągnął. Wreszcie gdy uderzył o jej kość łonową, wyjął swoją dzidę ostrożnie i równie ostrożnie wsunął znowu, ale wciąż szybciej, wciąż spieszniej wychodziła mu Madulajn naprzeciw, unosiła się, wpychała go w siebie, wczepiła się paznokciami w jego pośladki, gryzła w szyję, wreszcie pozwolił się porwać jej nieokielzanej żądzy, uległ jej ekstazie, a wówczas zdarzyło się coś niewiarygodnego: chociaż czuł, że to jego członkowi przytrafiło się coś w piekielnej otchłani, miał wrażenie, jakby rozpadła mu się głowa. Pomyślał, że teraz musi umrzeć, gdy pękły wszystkie żyły, serce waliło jak szalone, a on dyszał głośno, z trudem łapiąc oddech. Ale potem wszystko ucichło i opanował go głęboki spokój. Poruszył członkiem, co do którego nie był pewien, czy jeszcze do niego należy, czy też Madulajn go udusiła, rozgniotła, oderwała,

czy też pochłoneńo go piekło; ale był tam jeszcze i żył, tulił się jak naga myszka w miękkim gniazdku.

Madulajn pogłaskała Rosza po głowie i powiedziała:

– Zostań przy mnie!

Leżeli cicho, wsłuchani w siebie. Rosz słyszał bicie serca Madulajn i burczenie w jej brzuchu, a ona czuła jego członek łagodnie ułożony w głębi jej ogrodu. Oddychali wspólnym rytmem.

I Rosz pojął, że tą drogą powinien iść z Jeżą, skoro tylko znowu będą razem, i dziękował Madulajn za odkrycie przed nim tajemnicy miłości. Jeza będzie z niego dumna.

A Madulajn pomyślała o Czerwonym Sokole i że mu się to słusznie należało.

Ciągnęli Doliną Bekaa i zbliżyli się już do Baalbeku, kiedy władca poprosił do siebie cesarskiego posła.

An-Nasir nie kazał się nieść w lektyce, lecz jechał na białym wyścigowym wielbłądzie przed swoimi kobietami, otoczony w należnym odstępnie przez straż przyboczną i muzykantów. Na kotłach wybijano rytm marszu, a co milę rozlegał się sygnał rogu, na który odpowiadali wszyscy muzykanci, czy jechali na czele, czy w straży tylnej pochodu.

– Pewna dama życzy sobie mówić z wami – odezwał się An-Nasir z wysokości swego siodła, gdy Konstancjusz z Selinuntu zrównał się z jego wierzchowcem.

– Wasza Wysokość raczej żartować.

An-Nasir zadowolony wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Zapomniałem wam wyznać, drogi pośle, że ze swej strony związałem się już z waszym panem węzłem krwi. W tym orszaku podróżuje najmłodszy owoc moich lędźwi, niestety nie syn. Dwa lata poświęciłem, aby oswoić tę kobietę, która jako Klarion z Salentyń, naturalna córka wielkiego cesarza Fryderyka, przybyła do mego haremu. Teraz jest matką – roześmiał się – ale wcale jeszcze nie została oswojona!

Konstancjusz pomyślał, jakie figle płata czasem życie. Klarion była przecież córką jego siostry, jego siostrzenicą. Nie należało tego teraz ujawniać. Powiedział więc:

– To bardzo chwalebne i jestem pewien, że cesarza ucieszą te więzy krwi z domem Ajjuba.

An-Nasir skinął głową i oświadczył jowialnie:

– Ta dama twierdzi, że zna was z dworu swego ojca...

– Przypominam sobie, że jako dziecko została przekazana na wychowanie hrabinie Otranto. Mówiono, że wyrosła tam na piękność, ale nadzwyczaj dziką.

– Tak chyba można powiedzieć – pokiwał głową kolos. – A teraz nie kaźcie jej dłużej czekać. Znajduje się w białej lektyce z proporcem Hohenstaufa i moim.

Konstancjusz ruszył we wskazanym kierunku. Namiotowa ściana lektyki nie odchyliła się, ale rozpoznał pełne żaru oczy Klarion w wyciętych w płótnie otworach do patrzenia.

– Dobrze, że dowiedziałam się o waszej bytności tutaj, Konstancjuszu – powiedziała szybko. – Nie możecie jechać do Damaszku. Tam urzęduje Abu Al-Amlak, Ojciec Olbrzyma. On wie, kim jesteście naprawdę...

– A więc ten karzeł wie więcej niż ja – roześmiał się Czerwony Sokół.

– Nie lekceważcie ostrzeżenia – błagała Klarion. – An-Nasir może być straszny w swojej zemście, jeśli się poczuje oszukany.

– Czy chcecie, droga Klarion, namówić mnie, bym wzgardził okazaną mi gościnnością? Mówiąc innymi słowy: co mam przytoczyć An-Nasirovi jako powód odjazdu?

– Powiedzcie mi, że moim zdaniem powinniście nie tracąc czasu przedstawić cesarzowi życzenia domu Ajjuba co do oddziałów wojskowych. To jest również najpilniejszy interes An-Nasira, większy niż chęć, żeby wyrzucić na was wrazenie uroczystościami związanymi z jego wstąpieniem na tron.

– Spróbuję – powiedział Konstancjusz. – Dziękuję wam, droga Klarion!

– Podziękujcie mi inaczej. Mam nadzieję, że po moim powrocie Szirat nie będzie mi się plątać pod nogami.

– Zazdrość?

– Ta mamelucka dziewczyna jest dla mnie niepożądana.

– Jeśli o nic więcej nie chodzi, zgoda – mruknął Czerwony Sokół – musicie jednak okazać trochę cierpliwości, gdyż wasz pan postanowił małego Mahmuda...

– Ach! – wykrzyknęła Klarion. – Dobrze sobie! Ten nadęty geniusz o głowie pełnej błyskawic i grzmotów. Od niego uwolnijcie mnie od razu!

– Ależ Mahmud podróżuje z wami do Damaszku! A bez niego...

– Wyślę go wam do Homsu natychmiast po uroczystościach! – obiecała Klarion. – Możecie na mnie polegać! A teraz idźcie!

Konstancjusz z Selinuntu z zatroskaną twarzą pognał konia naprzód. An-Nasir przywołał go do siebie i zapytał o przyczynę zmartwienia.

– Córka cesarza zganiła mnie, że lekkomyślnie tutaj gonię za przyjemnościami, zamiast jak najszybciej popłynąć do Palermo i niezwłocznie wymóc na cesarzu, żeby poddanych mu Franków postawił przy waszym boku. Połączone wojska ukarzą Egipt i przepędzą mameluków z należnego wam tronu. Jeśli będę czekał, może się zawiązać przymierze francuskiego króla z Kairem, do którego przyłączą się baronowie z *Outremer*.

– Nieglupio mówi ta kobieta – westchnął An-Nasir – a jakie jest wasze zdanie?

– Powinienem zrezygnować z uciech, które mi obiecaliście w Damaszku, i wracać, podczas gdy wy podejmiecie rokowania z królem Ludwikiem. Sojusz chrześcijan z Egiptem przeciwko Syrii nie powinien dojść do skutku!

– Wobec tego, drogi pośle, idźcie za własną radą. Powetuję wam Damaszek takim świętem w Kairze, o którym jeszcze wasze wnuki będą opowiadać. *Allah ma'ak!**

* Allah ma'ak! (arab.) – niech Allah będzie z tobą!

Czerwony Sokół zawrócił konia i ruszył z powrotem ku północy.

Z diariusza Jana ze Joinville

Akka, 2 grudnia A.D. 1250

Na początku każdego tygodnia podskarbi wypłacał żold mnie i moim ludziom, którzy dotąd nie robili nic innego poza trwonieniem pieniędzy na rozpustę i grę w kości.

Każdego dnia, który ofiarowywał nam Pan, zasiadałem dwukrotnie do królewskiego stołu, aby zaoszczędzić pieniądze na utrzymanie.

Dzięki Bogu mój sekretarz nie obciążał mojej kieszeni, ale odkąd Jeza wyprawiała się do klasztoru na górze Karmel, William nie był już mile witany na królewskim dworze. Widziałem go jeszcze od czasu do czasu spożywającego posiłek przy bocznym stole, potem konetabl przepędził go i stamtąd. Pan Idzi le Brun nie zapomniał mu ujęcia się za Hamonem i Firuzem, a ponieważ nie mógł przeproszyć mnie z należnego mi miejsca, odbijał to sobie na Flamandczyku.

Król źle znosił nieobecność Jezy. Muszę przyznać, że wszystkim brakowało jej pogodnego charakteru, szczerego podejmowania każdego tematu i konsekwentnego prowadzenia dyskusji, póki nie wymyśliła w swej jasnej główce najbardziej zdumiewających propozycji rozwiązania problemu.

Taka była z początku. Gdy nie nadchodziły wiadomości o Roszu, powzięła przekonanie, że jej ukochany nie żyje. Wtedy najpierw ucichła i zamknęła się w sobie, a potem nas opuściła.

– Przyznajcie, drogi Joinville – przerwał król moje rozmyślanie – że wam także brakuje naszej młodej Artemidy*, naszego promienia słońca.

Odniosłem wrażenie, że zajrzał do mej duszy.

– Tak, Wasza Królewska Mość – odparłem – i nie mogę sobie wyobrazić, że jest szczęśliwa wśród mniszek.

Królowa rzuciła nam obu kwaśne spojrzenie.

– Jak mnie poinformowała dobra przeorysza, Jeza wyróżnia się pobożną żarliwością i uczy naginać do surowej reguły. Wkrótce odbędą się oblóczyny, pod nożycami spadną wtedy jasne włosy.

Wolałem się nie odzywać, król także jadł zupę w milczeniu.

Iwo Bretończyk, który jak zawsze w czasie posiłku stał za królem – jadał chyba w kuchni – odchrząknął i powiedział:

* Artemida – grecka dziewicza bogini łowów, identyfikowana z rzymską Dianą.

– Istnieje jeszcze możliwość, że chłopiec, o którego się trapi, żyje i powróci.

– Zapomnieliście, Iwonie, że powinniście mówić tylko wtedy, gdy jesteście pytani, ale bardzo bym się wraz z Jeżą cieszył – rzekł król – wówczas chciałbym oboje dzieci...

Nie dokończył zdania, ponieważ pani Małgorzata podniosła się gwałtownie i bez słowa odeszła od stołu. W drzwiach omal się nie zderzyła z Janem Turnbullem, którego podtrzymywali dwaj strażnicy, gdyż sprawiał wrażenie bardzo słabego, z trudem trzymał się na nogach. Zaoferowałem mu swoje krzesło.

– An-Nasir zajął Damaszek – odezwał się starzec tak cicho, że wszyscy musieli natężyć słuch – obwołał się sułtanem i szykuje wyprawę przeciwko Egiptowi.

Zaległa cisza.

– To jest dobra wiadomość czy zła? – zwrócił się do mnie król.

– Przykra – odpowiedziałem – ponieważ zmusza nas do rozstrzygnięcia: jeśli staniemy u boku An-Nasira, możemy wprawdzie uczestniczyć w zwycięstwie, ale nasi jeńcy w Kairze tego nie przeżyją. Zostaną zabici.

Nie musiałem się długo zastanawiać, taki wariant obmyślałem dosyć często.

– Jeśli sprzymierzymy się z Kairem, możemy wprawdzie naszych jeńców uwolnić, ale tuż przed progiem będziemy mieli zażartego przeciwnika, co przypłacimy życiem, Królestwo bowiem w znaczącej mierze zależy od pokoju z syryjskimi sąsiadami.

Król wstał od stołu i polecił konetablowi, żeby zwołał wielkich mistrzów zakonnych i baronów. Pozostaliśmy tylko my czterej, a Iwo poprosił o pozwolenie, by postawić Janowi Turnbullovi pytanie. Król skinął głową przyzwalająco.

– Nie jest tajemnicą, czcigodny mistrzu, że służycie wielu panom – oznajmił Iwo. – Na czyje polecenie przynosicie królowi tę wiadomość?

Stary Jan Turnbull uśmiechnął się pobłażliwie.

– Od dawna już nie służę żadnemu panu, ani Hohenstaufowi, ani domowi Ajjuba, lecz jednej tylko sprawie, panie Iwonie, i wy wiecie, o czym mówię. Jestem tutaj z troski o dzieci, których bezpieczeństwu zagrażają nadchodzące wydarzenia.

– Dziewczynka znajduje się pod moją opieką – oświadczył król – i żeby was uspokoić, czcigodny *chevalier*, chętnie postawię pana Iwona jako strażnika przy klasztornej furcie.

– Wasza Królewska Mość zapomina, że jest dwoje królewskich dzieci i że chłopiec zaginął, a teraz jeszcze zamęt wojny... – Jan Turnbull nie lamentował, ale był bardzo zatroskany. – Jak znam Jeżę, nie wytrzyma długo w klasztorze, wyrwie się i uda na poszukiwanie Rosza!

– Strzec jej będzie przecież pan Iwo! – zawołał król. – Przyznam wam wszystko – zwrócił się do Bretończyka, przerwał jednak, gdyż zobaczył radosny błysk w jego oczach – a wy mi zaręczycie... – ciągnął dalej surowo, ale pan Iwo już padł na kolana.

– Pragnę tylko jednego, Wasza Królewska Mość – poprosił pokornie.

– Wstańcie, Iwonie – rzekł król Ludwik niechętnie – i nie wykorzystujcie mojego ciężkiego położenia!

Odwrócił się do mnie i wyjaśnił:

– Pan Iwo pragnie być pasowany na rycerza.

Znowu znalazłem się w kłopotcie, ponieważ nie chciałem urazić Bretończyka.

– Wasza Królewska Mość ma prawo – powiedziałem wymijająco – nagrodzenia w ten sposób długoletnich bądź wybitnych zasług. Jeśli pan Iwo się w tych trudnych czasach wykaże...

Chyba nie to król chciał ode mnie usłyszeć, przerwał mi więc w pół słowa.

– Powiedzcie mi, *chevalier* z Mont-Sion – zwrócił się teraz do Jana Turnbulla – jak wy osądzacie tę sprawę?

Stary Jan zakolysał ptasią głową.

– Nie jest tajemnicą, panie Iwonie, że służyliście siłom, które nastawały na życie dzieci. Nim się z dzikiego oprawcy przemienicie w oddanego obrońcę, uzyskajcie przebaczenie prześladowanych. Jeśli wam ta łaska przypadnie w udziale, uzyskacie rycerskie godności, których wam nikt już nie będzie mógł odebrać...

– Czy to znaczy, *chevalier*, że król nie ma tu nic do powiedzenia? – spytał pan Ludwik gniewnie. – I że mój sługa Iwo poza moimi plecami...?

Poczuwałem się do tego, by rzecz załagodzić, ale stary Turnbull okazał się uparty, chociaż także dostatecznie mądry, aby Bretończyka całkowicie nie pogrzyżyc.

– *Ecclesia catholica*, Wasza Królewska Mość, której pan Iwo służył jako kapłan, nie jest dobrze usposobiona do dzieci. Wy, pobożny syn tego Kościoła, nie powinniście przejmować za nie odpowiedzialności. Zabiorę Jezę ze sobą, nim wy i wasz sługa popadniecie w konflikt sumienia...

– Nigdy! – zawołał król oburzony. – Zabraniam wam z nią mówić. Dziecko otrzymało chrześcijańskie wychowanie i ma być trzymane z daleka od wszelkich zgubnych wpływów, którym wy, jak się wydaje, podlegacie! I tutaj moje słowo ma moc decydującą!

Pan Ludwik wstał gwałtownie.

– A teraz z łaski swojej zejście mi z oczu.

Jan Turnbull drżąc podniósł się przy mojej pomocy, lecz potem wyprostował się z godnością.

– Nie możecie mi niczym zagrozić – powiedział cicho – moje dni są policzone, a mój los spoczywa w ręku Boga, podobnie jak los dzieci. Żaden człowiek, ani papież, ani król Francji, nie mogą tego zmienić.

Z podniesioną głową skierował się do wyjścia, odprowadziłem go do drzwi.

William, który chyba podsłuchiwał, wszedł i oznajmił, że konetabl zwołał wielkich mistrzów i baronów królewskiej rady.

– Niech poczekają – zachnął się król. – Ja z Iwonem odwiedzę górę Karmel, a wy, drogi Joinville, a także wasz sekretarz będziecie mi towarzyszyć. Nie życzę sobie, żebyście mówili o celu i sensie tej wizyty, moi panowie! – powiedział i wyszedł, a za nim Iwo.

– Jeśli pan Ludwik podniesie Bretończyka do rycerskiego stanu – szepnął William z drwiną w głosie – jadę następnego dnia do Rzymu i każę się papieżowi mianować kardynałem!

– Rozstrzygnięcie leży w rękach Jezy – odpowiedziałem.

– Szkoda, że córka Graala nie decyduje także o purpurze – westchnął mój sekretarz. – Byłoby mi w czerwonym z pewnością do twarzy, a niektórych ludzi zalałaby żółć!

Akka, 10 grudnia A.D. 1250

Już od dłuższego czasu zastanawiałem się, z jakich dochodów William pokrywa wydatki na życie. Zgoda, jadał nadal w królewskiej kuchni, ale odkąd przestał opiekować się Jezą, nie figurował już na liście podskarbiego, a ku memu zdumieniu do mnie ponownie się nie zwrócił. Moi rycerze, na których utrzymanie król mi zezwolił, trwonili większą część żołdu na kobiety i grę w kości. W tym ostatnim przypadku pieniądze przechodziły z kieszeni do kieszeni moich domowników, ale że również zapłata za usługi miłosne pozostawała „w domu”, tego się nie spodziewałem.

Coraz częściej widziałem zamtuza na kółkach stojący w określone dni na podwórzu naszego zajazdu. Wydał mi się znajomy, ale dopiero gdy zobaczyłem z okna, jak moi panowie rycerze wciskają do ręki należność za wiadomą usługę mojemu Williamowi, spadły mi łuski z oczu.

Ingolinda z Metzu była w Akce i mój sekretarz zabawiał się w rajfura, a ponieważ lubił wygodę, a moi panowie widocznie także, zawarli umowę, że każdy po kolei dochodzi swego prawa do pchnięcia, a William do stałego dochodu. To było naturalnie niedopuszczalne, już choćby ze względu na moją reputację!

Zawezwałem go na rozmowę i powiedziałem:

– Drogi panie Williamie z Roebruku, chcę was znów jak najszybciej przyjąć do służby, abyście zarabiali na utrzymanie w przyzwoity sposób, nie narażając na szwank mojego dobrego imienia.

William jednak nie przychylił się do mej prośby.

– Wy, drogi panie Joinville, macie szczupłe dochody, wasi rycerze tak czy tak wydają pieniądze na ladacznice, ja zaś gwarantuję im porządną kobietę, która także klamrę przyszyje, onuce wypierze, która ich wszystkich serdecznie do piersi przygarnie i pozwoli ogródek przyzwoicie uprawić. Moja dobra Ingolinda ma stałą klientelę, a dziesięcina, którą ja

pobieram za duchową opiekę i należyte zwierzchnictwo, jest o wiele większa niż to, co wy mi możecie zapłacić za pisaninę. Tak więc doglądam porządku, przy czym ob staje z całą godnością moja dama, i mogę sobie leniuchować. Wszyscy są szczęśliwi, poczynając od waszego posiwiąłego giermka, a kończąc na najmłodszym pachółku. Nikt nie zostanie oszukany, nie musi się bić z rywalami i co chwila biegać do medyka, kiedy kapie z koguta.

– Widzę, że wszystko dzieje się dla mego dobra, Williamie – powiedziałem – tylko seneszal Szampanii nie może tego znosić. Jutro rano znakomita szwaczka zaceruje ostatnią dziurę albo każę konetablowi wygnać ją z miasta. A wy wstępujecie znowu do mnie na służbę!

William popatrzył na mnie ze szczerym smutkiem.

– Nie rozumiecie potrzeb dzielnych wojaków. Jesteście bez serca! – oświadczył, powstrzymał się jednak od zrobienia słownego przytyku do moich uszkodzonych genitaliów.

– Pani Ingolinda opuści to miasto jeszcze dziś w nocy, ale ja odjadę razem z nią!

– Tego nie możecie mi zrobić! – odparłem i dodałem z całą stanowczością: – Zostaniecie. To rozkaz!

– Jestem człowiekiem króla – drwił ze mnie. – Jeśli wyznam panu Ludwikowi, jakie straszliwe grzechy ciążyą na mojej głowie, wtedy wyrzuci mnie z Akki, a wy staniecie się pośmiewiskiem. A więc pozwólcie mi dalej robić swoje i powiedzcie waszym panom, gdzie mogą niedrogo ulokować swoje tłoczki. W przeciwnym razie będą się ubiegać o podniesienie skąpego żołdu, bo dojdą wydatki na medyka, gdyż nabawią się licznych dolegliwości, korzystając ze sprzedajnej miłości u niechlujnych markietanek. Żegnajcie.

Akka, 12 grudnia A.D. 1250

Uzgodniłem z moim upartym sekretarzem, że nie będzie mnie ośmieszał, lecz razem spróbujemy poszukać rozwiązania, które by mu pozwoliło wyjechać z Akki w jakiejś oficjalnej misji i nie dało nikomu powodu do stawiania niepotrzebnych pytań. Oczywiście jego siejąca zgorszenie dama będzie nadal w tym czasie uprawiać swoje rzemiosło, chociaż już nie pośrodku podwórza naszej kwatery.

Pojechaliśmy na górę Karmel, król Ludwik, pan Iwo, ja i William. Na życzenie króla, któremu bardzo zależało na dyskrecji – miał chyba na uwadze panią Małgorzatę – tylko ja stanowiłem eskortę.

Klasztor zrobił na mnie ponure wrażenie. Wysokie mury odgradzały szczelnie cele mniszek od świata, widać było jedynie kilka wąskich okienek podobnych do otworów

strzelniczych. Dookoła rozciągało się skaliste pustkowie. Przed furką stało parę chałup biedaków, którzy wysyłali dzieci na żebry.

Kiedy przybyliśmy na miejsce, król kazał nam poczekać na zewnątrz, ponieważ chciał najpierw sam porozmawiać z Jezą.

Pan Iwo ze zrozumiałych względów był zdenerwowany, a William, lekceważąc nakaz królewski, zaofiarował się, że znajdzie tajne wejście. Orientował się niezłe w topografii klasztoru, gdyż kilkakrotnie już jeździł do Jezy z wizytami i jakże mogłoby być inaczej, zaprzyjaźnił się już z pracującą w kuchni dziewczyną o imieniu Irmengarda, które nie obiecywało wiele czułości.

Tak więc William zniknął. Pozostałem z Bretończykiem sam. Obok nas przeszła stara kobieta z kociołkiem pełnym żarzących się węgli drzewnych w jednej ręce i dzbanem wody w drugiej.

Iwo zapytał ją, co z tym zamierza zrobić. Kobieta popatrzyła na niego nieufnie, a potem powiedziała, jak mi Iwo później przetłumaczył:

– Ogniem chcę podpalić raj i obrócić go w popiół, a wodą zgasić płomienie piekielne, aby już nigdy więcej się nie paliły.

– Dlaczego zamierzasz to uczynić? – spytał Iwo.

– Ponieważ nie chcę, by ktoś czynił jeszcze dobro w nadziei, że dostanie się do rajów albo ze strachu przed potępieniem w piekle. Niech robi to wyłącznie z miłości do Boga, któremu tak wiele jesteśmy dłużni.

Iwo zamyślił się głęboko. Wkrótce potem pojawiła się zakonnica i poprosiła, by poszedł za nią.

William, który przy pomocy Irmengardy dotarł na miejsce wydarzeń i mógł podsłuchiwać dziwne spotkanie, bo dziewczyna ukryła go pod spódnicą, zrelacjonował mi później wszystko, jak następuje:

Jeza siedziała w stallach między zakonnicami, miała już na sobie szorstki habit z ciemnobrązowej wełny, ale jej jasne włosy nie padły jeszcze ofiarą nożyc. Siedziała poważna, wyprostowana i nie potrzebowała czujnego spojrzenia wysokiej i chudej przeoryszy, aby nie wydobyć z siebie nawet cienia uśmiechu, którym zwykle wprawiała w zachwyt otoczenie. Teraz patrzyła prosto przed siebie, blada i surowa jak sama przeorysza.

„Pan Iwo wyspowiadał się – zaczęła przeorysza – i mamy jego wyraźną zgodę, żeby ci, Jezo, powtórzyć, iż zamierzał pozbawić cię życia przez ucięcie głowy. Bóg w swojej dobroci przeszkodził temu krwawemu czynowi za pośrednictwem swego pobożnego narzędzia, króla Francji. Pan Iwo pogodził się z Bogiem, który go będzie sądził w dniu Sądu Ostatecznego, a teraz stoi przed tobą i prosi, żebyś mu wybaczyła na ziemi, jak uczy nasz Zbawiciel i jak napisano w Piśmie: Kochaj swoich nieprzyjaciół”.

Przeorysza spojrzała wyczekująco na Jeżę, dziewczynka jednak nadal patrzyła prosto przed siebie, jakby jej to wszystko nie dotyczyło.

Wtedy odezwał się pan Ludwik łagodnym tonem, jakiego używał zawsze wobec Jezy:

„Pan Iwo z całego serca żałuje swego postępowania i jest gotów za pokutę poświęcić życie walce o wiarę chrześcijańską, poddać się twardej dyscyplinie któregoś z zakonów rycerskich i walczyć za Kościół. Z tego powodu żąda ode mnie, abym go pasował na rycerza”.

Królowi przyszło z trudem powiedzieć o tym i zdać się na werdykt Jezy, także Bretończyk, który dotąd miał wzrok utkwiony w dziewczynce, spuścił teraz oczy.

„Jeśli wy, Jezo, przebaczycie mu i wyrażicie swoją zgodę – król poddał się ostatecznie – wówczas ja odpowiednio do tego postąpię”.

Jeza miała wzrok wciąż skierowany w dal i powiedziała spokojnie:

„Nikt nie zapytał dotąd pana Iwona i on też tego nie zdradził, kto mu polecił mnie zabić. – Zniżyła głos, brzmiał teraz bezdźwięcznie. – Nie muszę kochać swoich nieprzyjaciół i nie potrzebuję także wzoru Chrystusa, żeby wybaczyć...”

Nie zważała na to, że siedzącym obok mniszkom zabrakło tchu, a przeorysza przeżegnała się szybko.

„Jako królewskie dziecko boskiej miłości wybaczam panu Iwonowi z całego serca, ale jako córka Graala nie zgadzam się, by człowiek niewolny, pozostający u kogoś na służbie, został pasowany na rycerza”.

Po tym oświadczeniu zapadło lodowate milczenie.

W końcu król skłonił się, unikając patrzenia Jezie w oczy, które teraz lśniły szarzielonym blaskiem, jakby w jej duszy rozpałił się żar. Król trącił osłupiałego Iwona, który jeszcze bardziej zgarbiony niż zwykle wyszedł za nim z refektarza.

– Ucałowałem wewnętrzną stronę ud mojej Irmengardy – relacjonował William – a ona wypuściła mnie przez tylną furtkę, tak że znalazłem się przy was, mój drogi panie Joinville, przed królem.

Tyle relacji mego sekretarza. Jak nietrudno można sobie wyobrazić, jechaliśmy z powrotem do Akki w milczeniu, przy czym po drodze omal nie pękłem z ciekawości, ale William mógł mi opowiedzieć całą historię dopiero w naszej kwaterze.

III

OJCIEC OLBRZYMA

Z diariusza Jana ze Joinville

Akka, 13 grudnia A.D. 1250

Następnego dnia w południe, gdy udałem się do królewskiej siedziby, do zamku przybyło poselstwo An-Nasira z Damaszku. Goście ubolewali przesadnie nad mordem dokonany przez mameluków na Turanszahu, jakby nie wiedzieli, że nowy władca Syrii niczego innego swemu kuzynowi nie życzył.

Potem zaproponowali nam jak zwykle oddanie Jeruzalem i wszystkich miejsc dla nas świętych, jakbyśmy nie wiedzieli, że nie jesteśmy w stanie ich utrzymać i przy najbliższej sposobności znowu je odbiorą. W każdym razie obiecywali nam gwiazdkę z nieba, jeśli tylko wspólnie z ich panem podejmiemy działania przeciw Egiptowi.

Król chciał zyskać na czasie. Odpowiedział, że jest nadzwyczaj uradowany z powodu tak wspaniałomyślnej oferty i ze swej strony wyśle poselstwo do An-Nasira, aby uzgodnić szczegóły. Z tym odprawił posłów.

Gdy zasiedliśmy do stołu, rzekł:

– Panie Iwonie, przywiązuję wagę do tego, abyście się wykazali przed całym światem i wam powinno także na tym zależeć. Będziecie więc przewodniczyć poselstwu do Damaszku...

– Mógłbym z nim wysłać swego sekretarza... – wtrąciłem szybko.

Twarz Bretończyka, który i tak już patrzył przed siebie ponuro, jeszcze bardziej się zasepiła.

– Nie – odparł król – pan William nie jest przy tym potrzebny. A teraz zmówmy modlitwę.

*Domine Jesu Christe,
panis Angelorum,
panis vivus aeternae vitae,
benedicere digna panem istum,*

*sicut benedixisti panes in deserto:
ut omnes ex eo gustantes
inde corporis et animae percipiant
sanitatem.*

Gdy wróciłem do zajazdu, oczekiwał mnie William z wiadomością, że Jan Turnbull prosi, abyśmy zechcieli przyjść do Domu Niemieckiego. Stary pan zatrzymywał się zawsze w siedzibie wielkiego mistrza zakonu krzyżackiego, ilekroć przebywał w Akce.

Przybył Zygisbert, komtur ze Starkenbergu, i przywiózł wiadomość, że Rosz żyje.

– Ale to nie jest jedyny powód, dla którego was zaprosiłem – wyjaśnił nam Jan Turnbull.
– W czasie popołudniowej drzemki miałem sen, jasny i wyraźny jak wizja, jakby to się działo na jawie – powiedział zamyślony, z błyszczącymi oczyma. – Widziałem wszystko i słyszałem. Mój cesarz leżał chory i właśnie ocknął się z omdlenia. Przyniesiono go do kasztelu w Fiorentino, bo na polowaniu dostał napadu dolegliwych boleści. Najwierniejsi przyjaciele otaczali łożo.

Cesarz popatrzył na mnie i spytał: „Gdzie ja jestem?”, a ja odpowiedziałem: „W kasztelu Fiorentino”. Gdy mi te słowa wymknęły się z ust, bardzo się przestraszyłem, przypomniała mi się bowiem przepowiednia Joachima z Fiore, który wyprorokował, że *stupor mundi* zgaśnie w miejscu o nazwie kwiatu i pod żelazną furką. Dlatego też przez całe życie Hohenstauf unikał Florencji.

Cesarz rozejrzał się i odkrył spłowienie farby na ścianie, które nikomu nie rzuciło się w oczy. Kazał sprowadzić rzemieślnika i odbić tynk. Spod tynku wyłoniły się żelazne drzwi. Wtedy pan Fryderyk poznał, że musi umrzeć.

Rozpłakałem się straszliwie, a mój cesarz popatrzył na mnie spokojnie i powiedział: „To jest miejsce mojej śmierci, które mi przepowiedziano. *Fiat voluntas Dei!*”^{*} Wówczas obudziłem się, a moja poduszka była mokra od łez.

Zygisbert podszedł i uściskał starca. Także był wstrząśnięty, ale pierwszy zdołał się odezwać.

– Dojdzie do wielu zmian – przytłumił swój donośny głos – nie tylko dla naszego zakonu. Niech Bóg pomoże Hohenstaufom!

– Dzieci! – zawołał William zdenerwowany. – One znajdą się w największym niebezpieczeństwie, gdy wieść się rozniesie!

– Jesteście tego pewni...? – odważyłem się sprzeciwić jako człowiek rozsądku.

Popatrzyli na mnie wszyscy trzej, jakbym nie był przy zdrowych zmysłach, a Zygisbert powiedział:

– Drogi panie, nawet jeśli nie daliście się przekonać, wątpliwości zachowajcie przy sobie, gdyż w przeciwnym razie musielibyśmy was zaliczyć do grona wrogów dzieci.

^{*} *Fiat voluntas Dei* (łac) – niech się dzieje wola Boża.

William ujął mnie pod ramię.

– Ręczę za to, że seneszał będzie milczał – co powiedziawszy, pociągnął mnie za sobą.

Na ulicy, kiedy przechodziliśmy obok siedziby patriarchatu, odezwałem się:

– Przyszedł mi na myśl wiersz, nie wiem czyj, ale pasuje do sytuacji i do śmierci wielkiego Hohenstaufa:

*Au tens plain de felonnie,
D'envie et de traïson,
De tort et de mesprison,
Sanz bien et sanz cortoisie,
Et que entre nos baron
Fesons tout le siecle empirier,
Que je voi esconmenier
Ceus qui plus offrent reson,
Lors veuil dire une chanson.*

– Dziękuję wam, Williamie, nie tylko za to, że mnie wysłuchaliście, lecz także za wasze poręczenie. Nie chcę już upierać się przy odjeździe waszej damy – dodałem. – Jest mi miła i droga...

– Drogi panie Joinville – przerwał mi sekretarz. – Hierarchia naszych problemów teraz się zmieniła. *Tempora mutantur et nos mutamur in illis**. Służba dzieciom jest teraz najwyższym nakazem i jej ma się każdy podporządkować, także Ingolinda.

– Czy nie chcecie posłuchać drugiej strofy?

– Właściwie nie – powiedział mój sekretarz – chyba że przyznacie, iż jesteście tym nieznanym autorem!

*Li roïames de Surie
Nos die et crie a haut ton,
Se nos ne nos amendon,
Pour Dieu! que n'i alons mie.
Deus aime fin cuer droiturier,
De teus genz se veut il aidier,
Cil essauceront son non
Et conquerront sa meson.*

* *Tempora mutantur...* (łac.) – czasy się zmieniają i my zmieniamy się wraz z nimi.

Allahu akbar! Allahu akbar! Aszhadu an la ilaha illa Allah! Aszhadu anna Muhammad Rasul Allah! Hajja ala as-salat! Hajja ala al falah!

Wielki bazar w Damaszku spoczywał senny w południowym skwarze, głosy muezinów ucichły, wierni opuszczali chłodne meczety lub zwijali maty, na których na ulicach lub w sklepach odmówili *salat az-zuhr**, modlitwę najkrótszego cienia. Teraz uciekali przed upałem do domów.

Jan Armeńczyk, z zawodu królewski zbrojmistrz, nie mógł na targu w Akce zdobyć ani należytego rogu, ani kleju, którego koniecznie potrzebował, aby naprawić kusze strzelców gwardii pana Ludwika. Jeden z miejscowych baronów, Filip z Montfortu, roześmiał się, gdy usłyszał o bezowocnych poszukiwaniach.

– To możecie znaleźć tylko w Damaszku!

– Co takiego? – spytał zbrojmistrz niedowierzająco. – Mam naprawiać broń materiałem z nieprzyjacielskiej ręki?

– Oczywiście! – odpowiedział hrabia Jaffy. – Tam kupujemy wszystko, towary są najlepszej jakości i ceny uczciwe.

Tak więc mistrz Jan odłożył na bok skrupuły i wraz z pomocnikami pojechał do Damaszku, gdzie został jak najzycziwiej obsłużony.

Żaden kupiec nie gorszył się tym, że Jan był człowiekiem chrześcijańskiego króla, przeciwnie, wszyscy byli nadzwyczaj ciekawi usłyszeć coś o pobożnym i dzielnym władcy Francji oraz żądni się dowiedzieć, jak w Akce przyjęto wiadomość o śmierci cesarza Fryderyka.

Mistrz Jan popadł w zakłopotanie, ponieważ nie słyszał jeszcze tej nowiny, ale akurat weszli do sklepu najznacniejszego handlarza bronią w Damaszku dwaj bogato ubrani panowie, którzy chyba zaliczali się do ludzi Zachodu, chociaż mówili po arabsku.

Jeden z nich, młodzieniec bez zarostu, natychmiast podchwycił wiadomość i wydawał się prawdziwie przerażony. Na zapytanie właściciela sklepu odpowiedział, że pozostawał w bardzo zażyłych stosunkach z rodziną Hohenstaufa i stąd jest nadzwyczaj zasmucony, ba, wytrącony z równowagi, ponieważ gdy opuszczał Akkę, wiadomość o śmierci cesarza jeszcze tam nie dotarła.

– W przeciwnym razie mój kuzyn Ludwik – dodał Hamo bezczelnie – przekazałby mi przed odjazdem wyrazy współczucia z powodu ciężkiej straty.

– Ach – wyrwało się mistrzowi Janowi – więc jesteście z królem...

Bywały w świecie właściciel sklepu przyszedł Hamonowi z pomocą:

– Pan rycerz przybył chyba do nas w tajnej misji...?

– Hrabia Otranto podróżuje *incognito* – poinformował zwięźle milezący dotąd i zamyślony Firuz. – Chce poznać nastroje Syryjczyków, nim da się poznać panu sułtanowi.

* Salat az-zuhr (arab.) – modlitwa południowa.

– Tak więc, szlachetni panowie, uszło waszej uwagi – uśmiechnął się ukradkiem handlarz bronią – że nasz sułtan An-Nasir wyruszył z wojskiem, aby zdobyć tron Kairu, który mu się należy jako potomkowi w prostej linii wielkiego Saladyna.

– Jeśli go nie zastaliśmy, na co mieliśmy nadzieję – oświadczył Hamo spokojnie – poczekamy, aż dostojny władca, *lansurahu Allah**, powróci w chwale, aby mu wtedy zakomunikować to, co nam zlecił nasz król.

– Skoro nawiązaliśmy tak miłe stosunki handlowe – zwrócił się właściciel sklepu do mistrza Jana, którego pomocnicy ładowali na juczne zwierzęta kosze z masą rogową i beczułki z żywicznym klajstrem – a szanowni panowie posłowie nie spieszą się, pozwolę sobie jak najuniżej zaprosić panów do mego skromnego domu na *akla sahida*, skromny posiłek. Będę się uważał za szczęśliwego, jeśli wyświadcycie memu domowi ten zaszczyt.

Poszli piechotą przez wyludnione o południu ulice, aż zatrzymali się przed niepozornymi drzwiami w murze. Za murem był dziedziniec o marmurowej posadzce, wokół fontanny wyłożony drogocennymi dywanami. Dziedziniec otaczały arkady, pod którymi przeszli do nakrytej kopułą sali, godnej podejmować królów.

Na „skromny posiłek” przybyło tam ze czterdziestu bogatych handlarzy i przyjaciół pana domu. Gospodarz klasnął w ręce i wszyscy rozmieścili się na poduszkach przy stole o kształcie podkowy. Słudzy wnieśli najpierw misy z wodą, aby goście mogli zwilżyć palce, potem zaczęli podawać potrawy. Najpierw *szarab zaki*, następnie wazy z *chudrawat musachchana*, pachnącymi przyprawami, do tego *'ansat maszwija*, *hamam machbusa bi al-adżin wa mubachchara bi-al-kirfa* oraz *aranib barrija matbucha bial-fakiha**.

– Jeśli udacie się zaraz do pałacu sułtana – powiedział gospodarz do Hamona, podając mu kolejną potrawę – przyjmie was wielki szambelan dworu, Ojciec Olbrzyna; postarajcie się go nie przeoczyć!

Była to aluzja do niskiego wzrostu szambelana i wszyscy się roześmiali.

– Abu Al-Amlak nie może ścierpieć, kiedy mu ktoś nadepnie na odcisk! – oznajmił mlaskając jeden z gości.

– O tak! – zawołał inny. – Garbarze mogliby wam o tym zaśpiewać pieśń...

– ...gdyby jeszcze mieli języki!

– Wszystkich, co skarżyli się na niego u Turanszaha, wsadził do „klatki rajszych ptaków”, która nazywa się tak dlatego, że z niej wiedzie tylko jedna droga: do raju!

– I wszyscy, którzy w niej śpiewają, życzą sobie, by móc polecieć jak jakiś *usfura**, muszą jednak skakać po rozkołysanej klatce, póki...

– To nie jest temat do rozmowy przy stole – gospodarz znowu klasnął w ręce. – Co pomyślą sobie o nas goście?!

* Lansurahu Allah... (arab.) – niech Allah obdarzy go zwycięstwem!

* Szarab zaki... (arab.) – pachnące zupy, duszone jarzyny, pieczone koźlątko, zapiekane w cieście gołębnie posypane cynamonem, dzikie króliki gotowane w soku owocowym.

* Usfura (arab.) – ptaszek.

Na koniec wniesiono ociekającego tłuszczem barana, ktoś jednak szepnął już wystarczająco głośno:

– Tak mniej więcej wyglądał przywódca garbarzy po opuszczeniu klatki, tyle tylko że jeszcze żył...

Tego było aż nadto. Hamo poczuł mdłości, gdy wyobraził sobie wstrętą gębę karła z Homsu; naturalnie pamiętał Abu Al-Amlaka.

Podniósł do ust pieczone na rożnie mięso i jadł małymi kawałkami. Gdyby teraz zwymiotował, obraziłby gospodarza i zaszargał swoją reputację jako tajnego posła króla Francji. Zerknął zrozpaczony na Firuza i na mistrza Jana, ale kapitan triery spożywał jedzenie nieporuszony, a zbrojmistrz pochłaniał oferowane mu mięso z największym apetytem.

Hamo odetchnął z ulgą, gdy wreszcie wyniesiono potrawę i podano herbatę i słodycze. Gorący napój uspokoił wzburzone wnętrza, a tego pilnie potrzebował.

Czy to potężny gospodarz, dumny z przybyłych do niego gości, przekazał potajemnie wiadomość do pałacu, czy też szpiedzy karła zameldowali o wizycie chrześcijan, w każdym razie akurat gdy odświeżano sobie palce w różanej wodzie, nadeszło dla cudzoziemców zaproszenie do złożenia wizyty w pałacu. Hamo przyjął to spokojnie.

Dzięki towarzystwu mistrza Jana tajni posłowie mogli się pokazać w małym orszaku ludzi w strojach królewskich.

Pojechali więc, hojnie jeszcze obdarowani przez handlarza bronią, do siedziby sultana.

Abu Al-Amlak zamierzał swemu nieobecnemu panu, An-Nasirowi, pokazać się tym razem jako mistrz dyplomacji. Siedział na swojej składanej drabinie w pokoju sultana, gdy wprowadzono gości i herold wywołał ich nazwiska.

Zdumiał się widząc Hamona, nie okazał jednak niczego po sobie.

– Drogi panie hrabio, którego ojca, sławnego admirała Henryka z Malty, miałem zaszczyt znać, chcę was zapewnić o swoim współczuciu z powodu śmierci cesarza: z radością zaś witam w waszej osobie posła królewskiego.

Hamo, Firuz i mistrz Jan skinęli głowami łaskawie.

– Przyjaźń domu Ajjuba z Hohenstaufami była przysłowiowa i trwała całe pokolenia – ciągnął Ojciec Olbrzyma – ale teraz zgasło to zdumiewające światło świata. Zmarli powinni trwać w pamięci, nie powinni natomiast stawać się przeszkodą dla żywych. Przyszłość leży w sojuszu domu Kapetyngów z dynastią Ajjubidów. Wspólnie zdołamy dokonać wielkich rzeczy. Odzyskanie Egiptu jest tylko pierwszym krokiem, ale wykaże siłę naszego paktu.

– Szlachetny Abu Al-Amlaku – odpowiedział Hamo – sultan nie mógł wybrać nikogo mądrzejszego, bardziej dalekowzrocznego i zdolniejszego, *Allah jutawil afjatahu li-al-chidma*^{*}, by tak godnie reprezentował dom Ajjuba. Ale siła naszego paktu, oby Allah sprawił,

^{*} Allah jutawil... (arab.) – niech Allah obdarzy go jeszcze długo dobrodziejstwem waszej służby!

by do niego doszło, ujawni się najpierw w losie czterech osób, które wasz pan trzyma w więzieniu...

Karzeł zerwał się jak oparzony, pozwolił jednak Hamonowi dokończyć.

– Po pierwsze, prosimy o uwolnienie hrabiny Klarion, która wprawdzie dostojnego An-Nasira obdarzyła córką, lecz nic to nie znaczy wobec jej pragnienia powrotu do Otranto, gdzie wychowywała się jak moja siostra. Po drugie, jej powiernicy i służebnej Madulajn, której losem zamartwia się małżonek, a po trzecie, mameluckich dzieci, których nasz pan król pilnie potrzebuje, aby je jako zakładników wymienić za pozostawionych w Egipcie jeńców.

Ojciec Olbrzyma przeciągnął się na swojej drabinie.

– Szlachetny panie hrabio, wasze pierwsze życzenie przewidziałem i wysłałem zapytanie do haremu. Odpowiedź brzmi: pani Klarion wcale nie tęskni za Otranto! I chcę was w zaufaniu zapewnić, że wasza przybrana siostra jest szczęśliwa.

Główny szambelan promieniał cały przy tych słowach, jakby sam był kowalem tego szczęścia.

– Druga dama – ciągnął dalej – rzekoma księżniczka i córka cesarza...

– Ona jest saraceńską księżniczką! – warknął Firuz.

– Ale z pewnością nie jest córką cesarza! Sam to wymyśliłem! – Karzeł uderzył się dumnie w pierś. – Zawróciła w głowie Turanszahowi, została faworytą sułtana, a teraz, po jego zamordowaniu, uchodzi za zaginioną. *Asz-Szajtan kabid ala arwahihim!**

Tę wiadomość przekazał z rozkoszą i napawał się osłupieniem Firuza.

– Mameluckie dzieci zaś znalazły bezpieczne schronienie w Homsie i powinny tam też pozostać, gdyż tak samo jak wam są potrzebne mojemu sułtanowi jako zakładnicy! Chyba że – dorzucił po chwili namysłu – wasz pan i król weźmie udział w wyprawie przeciwko Egiptowi, wtedy podzielą między siebie łupy i zakładników!

– Czy ci zakładnicy są w Homsie bezpieczni?

– O bezpieczeństwo gołąbków troszczy się nie tylko słupek, który *bajt al-hamam* podnosi w górę poza zasięg kocich łap, lecz również psy templariusze, którzy każdemu kotu odbiorą wykradzione pisklę.

– Uspokoiliście mnie – powiedział szybko Hamo – wobec tego gorąco polecę memu królowi, żeby jeszcze na czas wyprawił oddziały, aby dostojnemu An-Nasirowi pomóc w jego trudnym przedsięwzięciu.

– Właściwie powinienem was tutaj zatrzymać do jego chwalebego powrotu. – Abu Al-Amlak zszedł ze swojej drabiny. – Być może, wtedy przypomniałbym sobie także, panie hrabio, gdzie myśmy się już widzieli, ale zależy mi bardzo na szybkim zakończeniu waszej misji. Wracajcie więc do Akki i działajcie po naszej myśli. Już uzgodniliśmy, że w naszej władzy pozostają miłe i drogie damy, których pomyślność i nam, i wam leży na sercu.

* *Asz-Szajtan...* (arab.) – niech diabeł porwie oboje!

– Nigdy nie zdawajcie się bez reszty, dostojny szambelanie, na zmienną naturę kobiet – powiedział Hamo śmiało – nie zdawajcie się ani na towary, ani na słowa z drugiej ręki. Ja mógłbym równie dobrze zamiast królewskim posłem być złodziejem gołębi, a kapitan Firuz poszukiwanym piratem!

– Cha, cha! – roześmiał się Ojciec Olbrzyma. – Ja zdaję się na swój nos i swoją doskonałą znajomość ludzi! Mnie nikt nie oszuka!

Abu Al-Amlak kazał wręczyć gościom, także mistrzowi Janowi, który przysłuchiwał się wszystkiemu z otwartymi ustami, przygotowane prezenty – damasceńskie płaszcze i stalowe klingi, z których wyrobu słynęła na całym świecie syryjska stolica.

Allahu akbar! Allahu akbar!

Aszhadu an la ilaha illa Allah!

Aszhadu ana Muhammad Rasul Allah!

Hajja ala as-salat! Hajja ala al-falah!

Gdy opuszczali Damaszek, muezini wzywali wiernych na modlitwę zachodzącego słońca.

Z diariusza Jana ze Joinville

W delcie Nilu, 1 lutego A.D. 1251

Mój pan, król, który przedtem odmawiał wszelkich pertraktacji, wszelkiego kontaktu z niewiernymi, kazał nam niespodziewanie rozwinąć pilną dyplomatyczną działalność.

Nim jeszcze pan Iwo wyruszył do Damaszku, król wysłał mnie jak najspieszniej i potajemnie, tylko w towarzystwie mego sekretarza i dostatecznej eskorty do obrony przed zbójceckimi Beduinami, do armii An-Nasira.

W żadnym wypadku nie miałem wkraczać w działania wojenne, lecz tylko jak najszybciej przekazać królowi informację z pierwszej ręki o przebiegu wyprawy – komu fortuna sprzyja, i w następstwie tego również z kim my powinniśmy się związać sojuszem.

Dogoniłem przecinającą wolno północny Synaj armię Syryjczyków w starej granicznej warowni Pithom.

Sułtan An-Nasir bardzo się ucieszył na mój widok. Nie wziął wprawdzie mej eskorty za straż przednią chrześcijańskiego wojska, ale ponieważ nie odstraszyły nas trudy uciążliwej podróży, nasze szybkie przybycie uznał za dobry omen. Po dalszych trzech dniach marszu w kierunku delty zwiadowcy zameldowali, że sułtan Ajbek z Kairu wysłał wojska wzdłuż wschodniej odnogi Nilu i zgromadził je koło ruin Bubastis, opodal świątyni kociegołowej bogini Bastet.

Rozbiliśmy obóz w takiej odległości od rzeki, że nieprzyjaciel skusił się ją przekroczyć. Wieczorem pierwszego lutego przerzucono most. W ten sposób nie my, lecz Egipcjanie mieli rzekę za plecami.

W nocy przed bitwą chcieliśmy się właśnie udać na spoczynek, gdy nagle w naszym namiocie pojawił się *halca* i kładąc palec na ustach dał znak, abyśmy nie wszczynali alarmu. Zapytał Williama, który mi to przetłumaczył, czy mamy dość odwagi, żeby pójść z nim niedaleko stąd, gdyż pewien człowiek pragnie pilnie z nami mówić.

Spytałem cicho, skąd mam wziąć odwagę, kiedy narażam się na niebezpieczeństwo, że zostanę zabity lub uprowadzony.

– Mam wam przekazać: „Oczekuje was ojciec Mahmuda!” – powiedział młodzieniec.

A więc Bajbars odważył się podejść tak blisko naszego obozu! Po osławionym Łuczniku mogłem się spodziewać każdej podłości, zwłaszcza porwania królewskiego seneszała, lecz przeważyło przekonanie, że wzywa mnie jedynie zatroskany ojciec. Powiedziałem to Williamowi, który zgodził się ze mną.

Młody mameluk poprowadził nas niepostrzeżenie dla straży w głąb pustyni. Już po kilkunastu krokach pojawił się przed nami człowiek z osłoniętą twarzą.

Był to Bajbars, który odezwał się w te słowa:

– Dziękuję wam z całego serca, hrabio Joinville, że przyszliście, i wam także, Williamie z Roebruku. Chcę wiedzieć tylko jedno: czy mój syn jeszcze żyje? Nie mam żadnych wieści o Czerwonym Sokole, który mi obiecał przyprowadzić Mahmuda!

Odpowiedział mu William:

– Wiemy, że Czerwony Sokół udał się ze Starkenbergu jako poseł cesarza do Homsu. Wasz syn Mahmud natomiast zainscenizował An-Nasirovi z okazji objęcia przez niego tronu w Damaszku uroczysty fajerwerk z błyskawicami i grzmotami. Huk wybuchów słyhać było w Akce. Wasz potomek nie tylko żyje, lecz jest na najlepszej drodze, żeby stać się sławnym inżynierem w zakresie techniki oblężniczej!

– Ten urwis powinien z łaski swej wrócić do domu! – wybuchnął niezadowolonym ojciec, chociaż przysłuchiwał się relacji z niejaką dumą.

– An-Nasir z pewnością nie wypuści go dobrowolnie – zauważył William – jest całkiem zaślepiiony na jego punkcie i pozwala chłopcu eksperymentować z różnymi proszkami, tak że mury się chwieją, a ludzie ze strachu spadają z łózek. „Mały ognisty diabeł” nazywają go w Homsie.

– To wspinała wiadomość, moi panowie – rzekł budzący grozę emir. – Czy życie mego syna nie znajdzie się w niebezpieczeństwie, jeśli jutro doszczętnie pobijemy An-Nasira?

Tutaj ja się w mieszałem i kazałem Williamowi przetłumaczyć:

– Nie czyniłbym tego na waszym miejscu. Odeprzycie go, ale dajcie możliwość odwrotu bez utraty twarzy!

– A tymczasem – dorzucił William – Czerwony Sokół, czyli Konstancjusz z Selinuntu, wyprowadzi waszego syna z Homsu, jestem prawie pewny!

– Dziękuję wam, moi panowie – oświadczył Bajbars – trzymajcie się jutro z boku, najlepiej na drugim planie. Niebawem będziecie mogli powiadomić króla Ludwika, że na władcę z Damaszku jako sprzymierzeńca nie może liczyć. An-Nasir opuści pole jako pokonany.

– Tak czy tak, emirze, będziemy świadkami pięknej bitwy – powiedziałem. – *Li-jahmikum Allah**. Tyle arabskiego zdążyłem się już nauczyć.

Bajbars odszedł w ciemność, a młody *halca* zaprowadził nas z powrotem do namiotu.

Bubastis, 2 lutego A.D. 1251

Przebieg bitwy można krótko opowiedzieć. Syryjczycy na początku byli skuteczni; nieregularne oddziały z Damaszku dotarły prawie aż do egipskiego przyczółka mostowego, gdzie natknęły się na osobisty mamelucki regiment sułtana Ajbeka, który im stawił zacięty opór.

Ajjubidzkie armie z Homsu i Hamy na prawym skrzydle trzymał w szachu Bajbars.

Potem jednak w środku bitwy zdezerterował regiment bahrytów z wojsk An-Nasira, zostawiając sułtana Damaszku nagle odsłoniętego naprzeciwko nieprzyjaciół.

An-Nasira opuściła odwaga i rzucił się do ucieczki, nie zważając na skrzydła. Ajjubidzkie oddziały pomocnicze z Homsu i Hamy poszły jego śladem.

Bajbars uderzył z tyłu. Mógł odciąć odwrót oddziałom z Damaszku, zadowolił się jednak zdobyciem chorągwi i powstrzymał swoich jeźdźców od pościgu.

Wskoczyliśmy na konie dopiero wtedy, gdy An-Nasir ze swoją gwardią przyboczną przecwałował obok nas bez pożegnania. Teraz i my znaleźliśmy się w niebezpieczeństwie, odjechaliśmy więc jak najspieszniej.

Ale gdy się obejrzelśmy, mur świetnie wyszkolonych jeźdźców Bajbarsa posuwał się za nami jak tarcza. Spostrzegłem nawet – czy nie było to złudzenie? – że emir wysunął się przed swoich ludzi i pomachał mi ręką. W każdym razie osłaniał naszą ucieczkę, do której dołączyły się oddziały z Damaszku, tworząc jakby naszą straż tylną.

Wracaliśmy wspólnie aż do Pithom, gdzieśmy się rozdzielili. William i ja skręciliśmy na północ ku Pelusium, aby tam znaleźć statek, który by nas jak najszybciej zawiózł do Akki, An-Nasir zaś chciał przeciąć góry Synaju i pustynie w kierunku Jordanu. Do rozmowy z pobitym sułtanem już nie doszło. Można było sobie wyobrazić, że obciąży nas, chrześcijan, którzy mu nie pomogli, winą za swoją klęskę.

* *Li-jahmikum Allah* (arab.) – niech Allah was strzeże.

– Ach – westchnęła Madulajn – nie rób sobie nic z tego, mój chłopcze.

Leżeli nadzy w izbie, którą jako giermek dzieliła z „córeczką księcia”, odkąd byli gośćmi w zamku w Homsie.

Madulajn narzuciła okrycie na siebie i na chłopięcego kochanka. Patrzyła w sufit. Rodząca się męskość chłopca już nigdy więcej nie pobudziła jej namiętności tak jak za pierwszym razem, kiedy jego pełne ciekawości pożądanie dostarczyło jej prawdziwej rozkoszy.

Potem Rosz był wprawdzie opanowany nie dającym się zaspokoić głodem, aby ją spieszenie posiąść, ale zamiast badać jej ciało, zamiast udoskonalać akt wtargnięcia i doprowadzania kochanki do ekstazy, brał ją coraz niespokojniej, nieczule, aby możliwie najszybciej wyrzucić z siebie nasienie.

Chłopiec się wstydził.

Leżał przygnębiony pod prześcieradłem i obok Madulajn. Czuł, że swoją nauczycielkę znowu rozczarował. Dlaczego nie mogła być równie szybko jak on zaspokojona?

– Muszę wciąż myśleć o tym, że zostaniemy odkryci – jęknął na swoje usprawiedliwienie. – Ludzie z pewnością już o nas plotkują!

Madulajn roześmiała się i drganie jej ciała udzieliło się okłaptemu winowajcy.

– Przecież wiesz, że ja, giermek naszego pana Konstancjusza z Selinuntu, strzegę łóżka jego córki.

– Nie można być dobrym kochankiem – tłumaczył się dalej Rosz – jeśli trzeba cały dzień paradować w babskim stroju, poza tym w każdej chwili może wrócić Czerwony Sokół i nas zastać...

– A niechby! Wcale by się nie zdziwił...

– Ale wołałabyś go o wiele bardziej niż mnie, bo jest rycerzem, i do tego prawdziwym mężczyzną...

– Jeszcze mi tego nie udowodnił – odparła Madulajn.

– Widzisz – uchwycił się tego Rosz – chcesz go! Ze mną tylko zabijasz czas!

– Nie podoba ci się już takie zabijanie czasu?

Stała się czujna. Jeśli teraz Rosz powie coś fałszywego, po prostu go przepędzi.

– Nie mogę sobie wyobrazić nic piękniejszego – skłamał.

Nie dodał już tego, co mu właśnie przyszło na myśl – że chciałby tej rozkoszy zakosztować z Jeżą. Ona z pewnością doświadczałaby miłości w pełnej harmonii z nim, tak u nich bywało zawsze.

– Jestem po prostu za młody dla ciebie! – westchnął z żalem.

– To nie jest kwestia wieku, lecz nastawienia do ukochanej osoby – odpowiedziała Madulajn szorstko. – Ubierz się!

– Mógłbym jeszcze... – Rosz poruszył się prowokująco.

– Ale ja już nie chcę! – Madulajn uniosła się na moment i uwolniła od chłopca.

Roszowi to odpowiadało. Pocałował ją w brzuch – była to ich rytualna pieszczota – i zerwał się z łóżka.

Madulajn znudzona przykucnęła w kącie pokoju nad niecką z wodą i kilkoma ruchami ręki splukała swoje łono; tej końcowej procedurze Rosz niechętnie się poddawał.

Złapała go, umyła mu siusiaka zimną wodą jak jakaś piastunka, wytarła i odesłała, by mógł włożyć znieawidzony niewieści strój.

Wrócił Czerwony Sokół. Natknął się na Szirat w ogrodzie haremu, nie strzeżonym teraz, naczelną eunuch bowiem i jego służba pociągnęli wraz z An-Nasirem do Damaszku.

– Dlaczego wracacie bez Mahmuda? – powitała Konstancjusza z wyrzutem.

– Ponieważ znalazłem powód, żeby już po drodze opuścić dostojnego władcę – wyjaśnił zmęczony – a wasz bratanek z powodu swoich zdolności musiał pojechać z nim do Damaszku. Klarion ostrzegła mnie przed karłem, szambelanem Abu Al-Amlakiem, który znowu jak za czasów Ajjuba i Turanszaha niepodzielnie włada w pałacu i rozpoznałby mnie jako mameluckiego emira Fassr ad-Din Oktaja. – Konstancjusz poszukiwał kogoś wzrokiem. – Tak więc na drogę powrotną zapewniłem sobie pomoc asasynów, ponieważ musimy stąd uchodzić, skoro tylko dołączy do nas Mahmud...

– Jeśli mu sułtan zezwoli. An-Nasir wysoko ceni „małego ognistego diabła”.

– Klarion obiecała mi, że odeśle chłopca zaraz po uroczystościach.

– Powinniśmy podjąć przygotowania do odjazdu – powiedziała Szirat spokojnie. – Kiedy przybędą asasyni?

– Gdy tylko prześlemy im sygnał, będą na miejscu za pół dnia. Tutaj na wieży powinno być zwierciadło...

– Jest – potwierdziła Szirat – znalazłam także *Codex per signa*.^{*} Okazał się niezwykle prosty, umiem go już na pamięć!

– Czy dumny pan poseł cesarza nie powita giermka?! – usłyszeli głos Madulajn.

– Mam was uściskać, droga Saracenko? – uśmiechnął się Konstancjusz. – A może upaść do nóg? Nie wiem, co bardziej się godzi, jeśli nie chcemy okazać zbyt wielkiej poufałości

– Poufałości?! – zawołała Madulajn z kokieterią. – Giermkowi, który tak długo tęsknił za swoim panem, wystarczy klepięcie po ramieniu.

– Gdzie jest „moja córeczka”?

– Tutaj! – Rosz w dziewczęcym stroju wyłonił się spomiędzy gałęzi wysokiego drzewa. Machał gołymi nogami szykując się do zeskoczenia na ziemię. – Stąd widać całą drogę prowadzącą do bramy...

– I co widzisz szczególnego z tego bocianiego gniazda? – zakpił Konstancjusz.

– Gromada jeźdźców zbliża się do zamku...

– Czyje mają barwy? – spytał Konstancjusz wciąż jeszcze żartobliwie.

^{*} *Codex per signa* (łac.) – kod sygnałowy.

– Barwy Homsu. Z lektyki wysiada, och, nasz mały przyjaciel Mahmud! I jeszcze jedno dziecko, nie, to karzeł! – krzyknął przestraszony. – Przybył Ojciec Olbrzyma!

– Zejdź na dół! – rozkazał Konstancjusz.

– Zostań na górze, Rosz! – zawołała Szirat. – Tam jesteś bezpieczny. Wrócimy po ciebie, kiedy będzie po wszystkim.

Przejęła dowództwo.

– Wy, Konstancjuszu, fałszywy pośle i do tego fałszywy mameluku – powiedziała spokojnie – idźcie do wieży i tam się zabarykadujcie. Zabierzcie ze sobą narzeczoną. Ja dam znać asasynom...

– Prędeż! – syknął Rosz. – Wjeżdżają już przez bramę!

– Odwróć ich uwagę! – zawołała Szirat i pobiegła schodami w górę do komnat sułtana, które leżały nad wewnętrzną bramą wjazdową.

Konstancjusz pociągnął Madulajn poprzez krzewy ogrodu do stojącego samotnie donżonu, ale grube żelazne drzwi na parterze nie dały się otworzyć, choć mocno nimi szarpali.

Madulajn zobaczyła linę zwisającą z pod okiennego muru. Przebiegała przez krążek nad wysokim oknem, a na dole wisiał kubeł, jakiego używają murarze, aby dostarczyć na górę wapno i kamienie.

– Stańcie w kubie, mój książę – zaprosiła go kpiąco Madulajn – podciągnę was na linie!

– Najpierw damy! – bronił się rycersko Konstancjusz.

– Najpierw mocniejsi – pouczyła go Saracenka – wciągnięcie kogoś na górę wymaga podwójnej siły!

Konstancjusz wszedł więc do kubła, a Madulajn uchwyciła fachowo linę, przytrzymując nogami jej koniec. Z wysiłkiem, ale nieprzerwanie podciągała Konstancjusza aż do występu w murze, skąd mógł wyważyć drewniane drzwi i dostać się do wnętrza.

Opuścił kubeł na ziemię. Teraz przyszła kolej na Madulajn.

Saracenka miała rację: nigdy by się jej nie udało wciągnąć go na górę. Pracował ciężko, choć kobieta była od niego przecież dużo lżejsza. Żyły wystąpiły mu na czole, dłonie paliły żywym ogniem. Wreszcie w otworze ukazała się głowa, a potem tułów Madulajn. Konstancjusz pomógł jej stanąć na nogi. Puścił linę i kubeł z trzaskiem uderzył o ziemię.

Przez chwilę Czerwony Sokół trzymał Madulajn w ramionach, oddychali ciężko i gwałtownie, w końcu roześmiali się i chyba oboje pomyśleli to samo.

Abu Al-Amlak w towarzystwie zbrojnych kroczył napszony po schodach prowadzących z komnat sułtana do ogrodu.

– Gdzie się podziewa dostoyny poseł cesarza?! – zawołał zjadliwie. – Czy odmawia złożenia mi uszanowania, czy też nie chce pokazać mi swej twarzy?

– Jestem tutaj, czcigodny Abu Al-Amlaku! – krzyknął z góry Konstancjusz, obejmując ramieniem Madulajn. – Przybyłem jako gość do waszego pana, lecz pozostaję pod opieką mojego!

– Zejdźcie tutaj, proszę – przemówił cienkim, przymilnym głosem szambelan – ażebym mógł was powitać tym razem jako cesarskiego posła w zastępstwie mego władcy, dostojnego sultana...

Szarpnął zamkniętymi żelaznymi drzwiami i pojał, że Konstancjusz nie da się złapać na piękne słówka. Karzeł zrzucił maskę.

– ...choć dobrze pamiętam mameluckiego sokoła z Kairu, a giermka przy waszym boku poznałem jako hurysę Turanszaha!

– Hurysa natomiast poznała karła, który oszukuje swego pana! – odparła Madulajn. – Kiedy zdradzisz An-Nasira na rzecz Egipcjan?

Karzeł zaczął pluć jadem i żółcią, Konstancjusz zaś zawołał:

– Przedtem jednak sultan każe cię zaćwiczyć na śmierć, ponieważ cesarskiemu posłowi nie okazałeś należytego respektu!

– Przynieście klucz! – syknął Ojciec Olbrzyna do jednego z żołnierzy, ciągnąc rozmowę z Konstancjuszem: – Możliwe, że tym razem przybyliście z polecenia cesarza, lecz znacie przecież zwyczajowe prawo dotyczące posła w smutnym wypadku zgonu jego mocodawcy. Wasz cesarz nie żyje i tym samym straciliście glejt jako poseł! Oddajcie się w moje ręce!

– Nie wierz ani jednemu jego słowu! – zirytowała się Madulajn. – An-Nasir poćwiartuje tę kreaturę i nakarmi nią szczury!

– Sultana mnie pochwali, gdy pokażę mu wasze głowy i powiadomię, od jakich oszustów nastających na jego życie udało mi się go uwolnić...

Nadbiegł żołnierz i wręczył karłowi klucz. Madulajn to spostrzegła i Konstancjusz podbiegł do drzwi, które prowadziły do wnętrza donżonu. Obejrzał belkowanie, połączone drabinami poszczególne empy...

Stracili za wiele czasu, teraz drabin nie można już było usunąć. Wciągnął najwyższą na górę i popchnął stojące niżej. Spadły w dół, co stworzyło na kilka chwil, ale nie więcej, przewagę nad prześladowcami, którzy teraz otworzyli żelazne drzwi.

Już świsnęły pierwsze strzały i wbiły się obok niego w drewno, gdy spostrzegł, że główny dźwigar został tak ustawiony, iż można go łatwo podważyć. Wsunął pod niego koniec drabiny, rozhuśtał, belka podniosła się i runęła, pociągając za sobą w głąb wszystkie podpory i elementy drewniane, rozbiła całą konstrukcję i połamała wielopiętrową klatkę schodową, zamieniając ją w stos popękanych pni, jakby przez donżon przeszła trąba powietrzna. Konstancjusz wciągnął drabinę na piętro, na którym stał z Madulajn.

Drzwi następnej kondygnacji, zwykły otwór w murze, były dostępne tylko z zewnątrz za pomocą drabiny. Przystawił ją do ściany i Saracenka zaczęła się wspinać.

W ten sposób jednak stała się dla żołnierzy odsłoniętym celem. Zasypał ją natychmiast grad strzał, więc zeskoczyła z drabiny i przykucnęła wraz z Konstancjuszem za dającym osłonę blankiem.

– Komin! – zabrzmiał przenikliwy krzyk Szirat.

Zobaczyli, że rozzłoszczony karzeł zamierzył się na mamelucką dziewczynę, ale zaraz opuścił rękę, ponieważ Szirat fuknęła:

– Nie ważcie się mnie tknąć!

Abu Al-Amlak kazał żołnierzom wyprowadzić ją z ogrodu.

Konstancjusz zrozumiał wskazówkę. W korytarzu prowadzącym do wnętrza donżonu znajdował się w grubym murze komin, a przed nim wąski szyb, akurat wystarczający, by wpuścić tam koniec drabiny i wsunąć ją do zakopconej czeluści komina; pojedynczo można się było wspiąć na górę.

Madulajn szła pierwsza, Konstancjusz podążał tuż za nią, tak że jego głowa znalazła się między jej nogami. Na przekór powadze sytuacji raz czy dwa razy ścisnęła go udami.

Dotarli do otworu w murze, przez który wpadało dzienne światło. Był to dymnik wiodący na zewnątrz, który przedtem wzięli za drzwi. Do wnętrza prowadziła tylko żelazna kłapa, której nikt nie otwierał od lat, była zapieczona rdzą i sadzą. Znajdowali się teraz tuż pod górnym pułapem donżonu. Podciągnęli drabinę i rozpoczęli ostatnie wejście. Głęboko w dole słyszeli karła, który wrzeszczał, żeby przyniesiono drabiny szturmowe. Wspięli się, wczołgali przez otwór w pułapie i usiedli nieruchomo w półmroku kopuły.

Kiedy ich oczy przyzwyczyły się do słabego światła, zobaczyli zwierciadło sygnałowe oraz otwór, który otwierał się do góry.

– Gdybym znał kod, mógłbym teraz przywołać na pomoc asasynów – powiedział Konstancjusz melancholijnie.

– Do tego nie wystarczy już naszego czasu na tej ziemi – westchnęła Madulajn. – Oddaj mi raczej jako mężczyzna ostatnią przysługę.

Wskazała sztylet, który Konstancjusz zatknął za cholewę buta.

– Wepchnij mi nóż w serce, nim sam się zabijesz. Nie chcę żywcem wpaść w ręce tego potwora!

Konstancjusz wyciągnął klingę i przytrzymał ją w smudze światła wpadającego przez szparę w stropie.

– Obiecuję ci to, ale przedtem pozwól mi walczyć do ostatka.

Mimo rozpaczliwego położenia był tak zażenowany, że uciekł się do pomocy rymów trubadura, którego wierszami tylekroć się przierzucali:

*Ni no m'aus traire adenan,
tro que eu sacha ben di fi
s'el' es aissi com eu deman.*

Wtedy Madulajn roześmiała się, objęła go ramionami i szepnęła:

*Qu'eu sai de paraulas com van,
ab im breu sermon que s'espel,
que tal se von d'amor gaban,
nos n'avem la pessa e-l coutel.*

Potem uklękła i odpięła mu pasek.

– A kiedy nasza rozkosz będzie największa, wtedy pchnij. Potrzebowałam dużo czasu, by zrozumieć, że chcę być twoja. – Ściągnęła przez głowę giermkowski kaftan wraz z koszulą. – Teraz doświadczę tego szczęścia jednocześnie ze śmiercią.

Konstancjusz wziął Saracenkę w ramiona i zsunął z niej spodnie.

– Madulajn, moja wspañiała Madulajn – powiedział ochrypłym głosem. – Nie umrzesz, będziemy dalej żyć w miłości, zawiozę cię do domu jako swoją żonę.

Ułożył ją ostrożnie na zakurzonej podłodze pod pełnym płam srebrnym zwierciadłem.

– Marzyłem o tobie od chwili, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy na Cyprze.

Pochylił się nad Madulajn, a ona nieśmiało otworzyła przed nim łono.

– Chodź... – szepnęła.

Wszedł w nią twardo. Wyprężyła się, ale poddała jego woli.

Ujeżdżał ją jak szlachetną klacz, najpierw poruszając się tanecznym krokiem, potem klusem i w końcu pełnym galopem. Madulajn jęczała, zaczęła szlochać, wreszcie krzyknęła:

– Zabij mnie, teraz, teraz, teraz!

Ale książę Selinuntu nie spełnił tego życzenia, krzyki jeszcze bardziej go podniecały i pędził na niej jak na polowanie, przez krzaki i kamienie, przez strumienie i cierniste zarośla, przez bagno i pustynię... Jak długo tak się kochamy, huczało i szumiało mu w głowie, tak długo żyjemy! Madulajn była bagnem i pustynią, górskim strumieniem i nadmorską plażą, pachnącym trawiastym stepem i kamienistą ścieżką, drogą tryumfalną i świątynią, modlitwą i słońcem, i nocną konstelacją, i niebem, niebem bez końca...

Kochankowie nie zauważyli, że już dawno żołnierze po długich szturmowych drabinach wspięli się na ostatnie piętro donżonu, przycupnęli w górze przy kopule i przez *bab li al-mir'a**, które nie dało się otworzyć z zewnątrz, przysłuchiwali się jękom i krzykom. Madulajn zagrzewała Konstancjusza do szybkiej jazdy, on dawał jej ostrogę, okładał pejczem, a ona krzyczała. Zatracili się w sobie, zapomnieli o całym świecie.

Gdy Abu Al-Amlak dowiedział się, co dzieje się na górze, diaboliczny uśmiech wypełził mu na twarz.

* Bab li al-mir'a (arab.) – drzwi lustra.

– Nie zabijajcie ich! – huknął na żołnierzy. – Chcę ich dostać nie tylko żywych, lecz żywych i kochających się.

Ponieważ wewnątrz donżonu nie było przejścia, kazał na zewnątrz przystawić najdłuższą drabinę, aby po niej wspiąć się aż do blanków.

Zażądał swojej szabli. Była tak duża jak sam Ojciec Olbrzyna. Przypiął ją sobie na plecach. Kazał jeszcze raz powiadomić żołnierzy przy kopule, że nie powinni podejmować żadnych działań, póki on nie przybędzie. Zaczął ostrożnie wspinać się po chwiejnej drabinie. Gdy był już w połowie drogi, spostrzegł wiadro na linie. Ciągnięte niewidzialną ręką podnosiło się wraz z nim. Karzeł zatrzymał się, także kubeł zawisł nieruchomo.

Szambelan gapił się na wiadro, które wisiało tuż przy murze. Nie zdołał go osiągnąć nawet szablą. Zajrzeć do kubła nie mógł, ale zauważył, że wydostaje się z niego obłoczek dymu.

Mały ognisty diabeł! Abu Al-Amlak zobaczył w dole Mahmuda, który tkwił w cysternie u stóp budowli i obserwował wspinającego się karła uważnie jak ciekawego owada.

Abu Al-Amlak żartobliwie pogroził mu palcem i ruszył dalej w górę. Kubeł przesunął się wraz z nim. Karzeł rozżościł się, potem przestraszył. Wściekły zaczął spieszenie schodzić w dół. Kubeł zaczął się także opuszczać.

Ojciec Olbrzyna wykalkulował, że szybciej dotrze na górę do blanków niż w dół na ziemię. Przewyciężył więc strach i zaczął wspinać się dalej, szczebel po szczeblu. Kubeł podnosił się w tym samym tempie, dym gęstniał.

– Zostaw to! – ryknął karzeł w dół do Mahmuda w cysternie, ale chłopiec akurat schował głowę pod wodę.

Abu Al-Amlak chciał coś krzyknąć, lecz niewidzialna pięść oderwała go od drabiny, która stanęła na sztorc, karzeł zobaczyły jeszcze jaskrawy błysk ognia o sile tysiąca słońc, a potem drabina rozleciała się na kawałki. Ogluszającego huku już nie usłyszał – gdy jego głowę wyłowiono z ozdobnej sadzawki, okazało się, że wybuch oberwał uszy. Szabla nie poleciała daleko, ale szczątki szambelana znalazły się aż po drugiej stronie muru i na drzewach.

– Co to było? – wydyszał jeździec i zatrzymał się w blasku płonącej wieczornej zorzy. Ławice chmur nadciągnęły nad horyzont, ułożyły się warstwami i w końcu rozwiął je wiatr. Ognista tarcza rzuciła ostatnie promienie na ciemniejące już niebo.

Madulajn otworzyła oczy, Konstancjusz zobaczył pierwsze gwiazdy na nocnym firmamencie. Boska Wenus, gwiazda wieczoru!

– To koniec – powiedziała Madulajn.

Usłyszeli głosy żołnierzy nad sobą, przy kopule, przez drewniane drzwi.

A potem rozległo się pukanie.

– Ojciec Olbrzyma wyleciał w powietrze! – wołali żołnierze. – Abu Al-Amlak rozpekł się na kawałki, czy nie słyszeliście uderzenia pioruna? Mały ognisty diabeł unicestwił go piorunem! Allah jest wielki! Wyjdźcie, panie pośle, i ucieszcie także waszą kobietę!

Śmiali się i pukali coraz gwałtowniej.

Konstancjusz i Madulajn ubrali się pospiesznie, potem otworzyli drzwi i do wnętrza zajrzeli żołnierze, zaciekawieni i rozbawieni.

– *Bi-al-charidż jatakatalun* – zawołał któryś – *wa-hum jamrahun!** Tak trzeba postępować!

Konstancjusz i Madulajn, lekko oszołomieni, zeszli po drabinach z donżonu i udali się do ogrodu. Pod jednym z drzew Madulajn zawołała:

– Możesz już zejść, Rosz!

W liściach zaszeleściło i z góry dobiegł raport:

– Do zamku przybyli jeźdźcy. Rozpoznaję ich. To Crean z Bourivanu i asasyni.

Rosz zdrętwiały zaczął niezgrabnie schodzić z drzewa. Konstancjusz wyciągnął w górę rękę i zszadził go na ziemię. Pojawił się też Mahmud, ociekający wodą, z twarzą poczerniałą od sadzy. Promieniał zadowoleniem.

– Dobra mieszanka – powiedział do Rosza – jeśli naczynie byłoby dostatecznie mocno wykute i tylko z jednej strony umieściłoby się na nim pokrywę...

– Wówczas zburzyłbyś cały donżon – zażartował Konstancjusz.

– Z łatwością – odparł mały ognisty diabeł.

Szirat przyprowadziła do ogrodu Creana.

– Przybyłeś, aby uwięzić mnie jako zbiega? – powiedział Rosz na powitanie.

Crean skinął głową.

– Bez Jezy nie zrobię już ani kroku! – dokończył Rosz.

– Najpierw opuścimy Homs – odezwała się Szirat – nie mogę już znieść tego miejsca.

Odsunęła butem na bok dłoń karła, która jeszcze spadła z drzewa.

– Ponadto nie wiedziałabym – zwróciła się do Mahmuda – co byśmy mieli odpowiedzieć An-Nasirowi, gdyby nas spytał o Abu Al-Amlaka.

– Jesteście już drugim posłem, którego mi wasz król przysyła – grzmiał An-Nasir – a układ o sojuszu przeciwko naszym wspólnym wrogom w Kairze, tym wielce szalonym, zaślepionym mamelukom, *Allah saufa juakibahum wa-judam-miruhum**, nie został jeszcze podpisany.

Sułtan był zagniewany i nie ukrywał swego rozczarowania. Nowy poseł, pozbawiony ozdób człowiek o złej postawie, zepsutych zębach i kosmatych włosach, Iwo Bretończyk, jak

* *Bi-al-charidż...* (arab.) – na zewnątrz szaleje wojna, a ci się kochają!

* *Allah saufa...* (arab.) – Allah ukarze ich i zniszczy!

się przedstawił, nie był wyraźnie ani szlacheckiego pochodzenia, ani wysokiej rangi czy choćby duchownego stanu.

– Ktoś wobec was, dostojny sułtanie, dopuścił się zuchwalstwa i podał za królewskiego posła. Ten, co nie rozpoznał oszusta, był głupcem.

Całkiem sprytnie, pomyślał An-Nasir, obciążyć winą mój urząd nadworny, którego fachowości muszę teraz bronić.

– Nie mam żadnych podstaw – rzekł – aby wątpić w zdolności mego naczelnego szambelana...

W tym momencie rzucił się na ziemię nadzorca gołębnika, *Ar-rasul al akbar*^{*}, i obwieścił:

– Wiadomość z Homsu od Abu Al-Amlaka!

– Przeczytaj! – polecił sułtan ze swego podwyższonego miejsca i uśmiechnął się do Iwona. – Poseł szanowanego przeze mnie króla Franków niech również słucha. Nie mam przed królem żadnych tajemnic. Chcę mu pokazać, że gram w otwarte karty.

Mistrz upierzonych posłańców odwinął wiadomość z pierścienia zdjętego z gołębiej nogi i odcyfrował ciasno zapisaną rolkę:

„Dostojny sułtanie, panie życia swego najpokorniejszego sługi. To jest wina odpowiedzialnego za kierowanie urzędem nadwornym w Homsie. Każę im wszystkim poucinać głowy! Zostaliście nabrani przez niebezpiecznego oszusta: cesarski poseł, książę Konstancjusz z Selinuntu, jest w rzeczywistości mameluckim emirem Fassr ad-Din Oktajem, zwanym Czerwonym Sokołem, synem ostatniego wielkiego wezyra, a jego saraceński giermek to pokojowa cesarskiej córki; wysłaliśmy ją zamiast Klarion Turanszahowi. Teraz ta hurysa wróciła. Oboje mają tylko jeden zamiar: uwolnić mameluckie potomstwo. Na mój widok przestraszyli się okropnie i uciekli do donżonu. Jeśli mi się nie uda zakuć ich żywych w kajdany, prześlę Wam ich głowy.

W szalonym pośpiechu kreślę się
skromny strażnik Waszego honoru

Abu Al-Amlak

Mulahaza^{*}: także Szirat konspiruje przeciwko Wam. Dołączę ją lub jej głowę”.

Rasul al-akbar trwożnie oczekiwał, że jego pan uzna wiadomość za złą, sułtan jednak mruknął tylko:

– Z kim będę grał w szachy? – Po krótkim zastanowieniu polecił: – Wyślij mu przez najszybszego posłańca: Jeśli ktoś Szirat tknie choćby palcem, Abu Al-Amlak może swoją

* Ar-rasul al-akbar (arab.) – dosł. największy poseł.

* Mulahaza (arab.) – dopisek, postscriptum.

głowę od razu dołączyć do przesyłki. – Odchrząknął i rzekł do Iwona: – Widzicie, szanowny panie pośle, ile fałszu jest na tym głupim świecie!

Rasul al-akbar wycofał się szybko, bijąc pokłony.

– Moje pełnomocnictwo jest prawdziwe, nosi podpis króla Ludwika i jego pieczęć – stwierdził Iwo rzeczowo. – Co mój król zyska, jeśli nie zwiąże się sojuszem z Kairem i pozostanie neutralny, a co jeśli się zgodzi na układ z wami?

An-Nasir tylko przez moment był skonsternowany tym nieokrzesanym sposobem rozpoczynania pertraktacji, potem uśmiechnął się i powiedział:

– Widzę, szanowny panie Iwone, że również lubicie grę w otwarte karty!

Przemyślał krótko, na jak dalekie ziemie sięga jego władza.

– Przede wszystkim oddam wam Jeruzalem!

– Którego nie będziemy mogli utrzymać – odparł Iwo oschle. – Wiecie równie dobrze jak ja, że samo miasto nie jest nic warte.

– Do tego zamki: Aiyun, Kerak i Montreal! Perły syryjskiego budownictwa fortecznego!

– Przez nas wzniesione ze spajanego ciosowego kamienia! – przypomniał Bretończyk. – Ze stosu zebranych przez was polnych kamieni!

– Nie potrafiliście ich utrzymać, gdy przybyliśmy z orężem i machinami oblężniczymi!

– Słusznie! – zgodził się Iwo. – Teraz także nie będziemy mogli ich utrzymać. Brakuje nam rycerzy, aby je na stałe obsadzić.

– Czy mam ich również postawić wam do dyspozycji? – zakpił An-Nasir.

– Nie – odpowiedział Iwo – ale jakieś lenno, wyposażone w dostateczne środki pieniężne, żeby zwabić kogoś z rozpieszczonych panów z Zachodu, by tkwił w skalistej samotni po drugiej stronie Morza Martwego i strzegł świętego miasta.

– Wtedy pozostaje jednak obowiązek trybutu wobec naszego urzędu skarbowego.

– W porządku – zgodził się znów Bretończyk – lecz obowiązek lenny będzie jasny: wyruszyć wraz z królem przeciwko wrogom chrześcijańskiej wiary!

– Jeśli wyłączycie z tego dynastię Ajjuba – powiedział sułtan – i moją rodzinę, jak długo i w jakimkolwiek miejscu będziemy utrzymywali w swoim ręku godność sułtańską, byłoby to warte rozważenia.

– A jeśli my was z wojskiem...?

– Zastanawiam się, czy sami nie macie już dość?! – przerwał mu zatroskany sułtan.

– Pieniężmi wszystko się da załatwić – uspokoił go Iwo – wybitni rycerze są żądni pieniędzy, a oddziały kosztowne.

– Tak – westchnął An-Nasir – dla honoru i dla wiary nikt się już nie ruszy z miejsca. – Popatrzył zdumiony na mistrza upierzonych posłańców, który znowu się zbliżał, tym razem zresztą tak trwożliwie, że już z dala pachniało złą wieścią.

– Wiadomość z Homsu – wydusił ze ściśniętego gardła – od komendanta waszego garnizonu.

– Czytaj! – rozkazał sułtan gniewnie.

Rasul al-akbar przeczytał:

„Dostojny sułtanie, szlachetny władco! Stosownie do wskazówek wypuściłem na wolność zakładników, to jest mameluckie dzieci: Mahmuda, syna Bajbarsa, i Szirat, siostrę tegoż. Odjechali na własne życzenie z Homsu w towarzystwie cesarskiego posła i jego orszaku. Asasyni zaszczycili nas wizytą. Przybyli dużym oddziałem, aby zabrać królewskie dziecko, syna niejakiego Graala. O jego obecności nie było mi nic wiadomo. Oni jednak odnaleźli go w osobie córki posła, którego giermek jest kobietą i z obydwoma utrzymuje stosunki.

Pilnie oczekując waszych wskazówek, schylam najpokorniej swoją posiwiałą w Waszej służbie głowę. *Allah juaffir ‘aleikum qalaqi!**

Mulahaza: czy mam kazać załatać dziurę w donżonie?”

– Jak to „stosownie do wskazówek”? – parsknął sułtan. – Ten człowiek chyba oszalał! „Odjechali na własne życzenie”! – An-Nasir nie posiadał się z gniewu. – Czy mój rozkaz już nie obowiązuje? – Sięgnął do potężnej szabli przy boku.

Mistrz skrzydlatych posłańców zamknął oczy i wcisnął twarz w dywan.

– Dziura w moim donżonie! – Sułtan zwrócił się do Iwona: – Co sądzicie o takiej wiadomości?

– Powiedziałem już i powtórzę za pozwoleniem. Wam służy głupiec. Głupiec na urzędzie jest niebezpiecznym sługą!

– A więc wyślijcie komendantowi taki rozkaz! – ryknął An-Nasir. – „Wtrąćcie wszystkich” – podkreślcie: wszystkich! – „do więzienia, także i przede wszystkim Ojca Olbrzyma! Zakujcie ich w łańcuchy i zameldujcie o wykonaniu!” Dodajcie też: „Pod karą utraty waszej siwej głowy”. Zaopatrzcie to w mój podpis!

Rzucił na głowę mistrzowi skrzydlatych posłańców *alama*, szablon swego podpisu.

– Czy mam was popędzić?

Mistrz upierzonych posłańców, potykając się, wybiegł tyłem z sali.

Sułtan opanował się, wciąż jednak był poirytowany.

– Jak na szyderstwo! Mówiliśmy o trudnościach ze znalezieniem dla naszych miast i zamków wiernych namiestników i niezawodnych garnizonów.

– Mówiliśmy o tym, co król zyska, jeśli stanie po waszej stronie... – skorygował go Iwo wyrozumiale.

– Wydaje mi się, panie Iwonie, że jeśli długo jeszcze pozwolę wam mówić o „mojej stronie”, może mi jej zabraknąć. Po co mam podbijać Egipt, gdy wy mi za to odetniecie połowę Syrii i Galileę jak najlepsze kawałki z baraniego udźca?

– Niezły obraz! – rzekł Iwo z uznaniem. – Dostaniemy udziec od Gazy do Akaby i kość od jeziora Genezaret po Bejrut na północy.

– A co mnie pozostanie poza paroma kawałkami kamieni i skał oraz pustynią?

* Allah juaffir... (arab.) – niech Allah oszczędzi wam moich trosk!

- Nasze braterstwo broni!
- Mam najtłustsze kawałki rzucić w paszczę kilku dumnym, hardym baronom?
- Możecie je przecież przekazać zakonom rycerskim – powiedział Iwo.

Zgodnie z oczekiwaniem An-Nasir zagrział:

- *La kadara Allah wa-la samah, Ar-Rahim!* * Ci przecież wcale nie płacą trybutu!

I znowu przeszkodził im mistrz skrzydlatych posłańców.

- Wszechmocny sułtanie! – jęknął. – Zabij mnie od razu, ale przeczytaj to sam!

Rzucił się władcy do nóg i nie podnosząc wzroku podał w górę pismo. An-Nasir wyrwał mu je z ręki.

„...od komendanta garnizonu w Homsie... Poprzednia wskazówka była ostatnią, jakiej udzielił wasz szambelan... potem piorun z kubła małego ognistego diabła rozerwał Ojca Olbrzyma i rozrzucił jego ciało i kości po ogrodzie i na murach, ten sam piorun wyrwał także dziurę w donżonie i spustoszył wnętrze... Wszyscy odjechali. Czy stało się tak po Waszej myśli?” – czytał An-Nasir zacinając się i czerwieniejąc z wściekłości. – „Pozwoliłem sobie przezornie powiadomić templariuszy z Safity *, aby ujęli zbiegów...”

W oczekiwaniu zasłużonego ciosu miecza po Waszym powrocie schylałam swoją, przez noc posiwiąłą głowę...

Allah jankub alajja asz-szdka' bi-azabikum! * ”

- Żadnego postscriptum? – zapytał Iwo z kpiną w głosie.

An-Nasir z nabiegłą krwią twarzą wyglądał tak, jakby sam był tym naczyniem, które mały ognisty diabeł napełnił różnymi proszkami i lada moment doprowadzi do wybuchu. Zaraz jednak zaczął się głośno śmiać, bił się po udach, parsknął, dyszał i śmiał się, aż Iwo myślał, iż władcę niebawem trafi apopleksja.

– Mahmud, mój mały ognisty diabeł, rozpylił Abu Al-Amlaka po murach i rozrzucił go jak nawóz w ogrodzie! Co za wyborne widowisko!

– Tak – powiedział Iwo – wydaje się, że straciliście dzielnego inżyniera. Gdzie naucza ten mądry człowiek?

Sułtan roześmiał się jeszcze głośniejsze i oświadczył:

– Przedstawię wam tego największego znawcę techniki oblężniczej przyszłości, jeśli templariusze go złapią!

– Mam nadzieję, że nie skierujecie tego mędrca przeciwko nam – skwitował Iwo obietnicę z rzadkim u niego uśmiechem. – Dotarliśmy do udźca i brakuje jeszcze dodatków: *burghul* * i jarzyn. Czy góry Hauram byłyby odpowiednie?

– Czemu nie od razu także Baalbek i może dolina Bekaa? Wtedy moglibyście z obu stron zaglądać damasceńczykom do garnków. Po co właściwie zatrzymuję jeszcze Damaszek?

* *La kadara Allah...* (arab.) – niech nas strzeże przed tym miłosierny Allah!

* Safita – twierdza templariuszy między Tortosą (na wybrzeżu) a Krak des Chevaliers.

* *Allah jankub...* (arab.) – niech Allah uderzy we mnie nieszczęsnego waszymi troskami!

* *Burghul* (arab.) – gotowa śruta pszena.

– Też zadaję sobie to pytanie – powiedział Iwo. – Traktowalibyśmy go dobrze i wysoce cenili, tu w końcu miało miejsce nawrócenie apostoła Pawła.

– Jeśli chcecie za punkt wyjścia przyjąć kraj, skąd wasz prorok, Mesjasz, wywędrował...

– Nie, nie! – zaprzeczył szybko Bretończyk. – Ja nie reprezentuję Kościoła, lecz króla Francji.

– Pan Ludwik mógł oszczędzić sobie krucjaty i tylko was wysłać powinien. Myślicie o wielu sprawach jak wielki, niestety już od nas odeszły Hohenstauf Fryderyk, *Allah jusamihuhu wa-jarfa'uhu fi al-dżanna!** Cesarzowi marzyło się takie pokojowe współzycie religii i owocne współdziałanie książąt. W Apulii budował nawet miasta dla muzułmanów, wspinały władca i śmiały myśliciel...

– Cesarz nie żyje, a jego państwo się rozpada.

– Papież ma go na sumieniu – stwierdził sułtan. – Islam na szczęście nie zna Kościoła dążącego do świeckiej władzy.

– Wasz mistrz upierzonych posłańców zrozpaczony leży znowu przed drzwiami i nie ośmiela się wejść – oznajmił Iwo.

– Niech zostanie na zewnątrz! – zawołał rozgniewany An-Nasir. – Stamtąd nas powiadomi, jakie nieszczęście tym razem nas spotkało.

– „Komandor Safety do dostojnego An-Nasira, sułtana Damaszku” – drżącym głosem przeczytał nieszczęśnik, leżąc na progu. – „Poszukiwani przejechali właśnie koło naszej twierdzy i rozdzielili się na dwie grupy: królewski chłopiec pod opieką asasynów pociągnął w kierunku Masnatu, pozostali w kierunku wybrzeża. Bracia zakonni z Tortosy zwabiają uciekinierów na statek, obiecując podróż do Kairu. Prosimy o wskazówkę, dokąd mamy wysłać schwytanych mameluków”.

An-Nasir milczał i patrzył w okno. Mistrz skrzydlatych posłańców czekał długo, nim się odważył powtórzyć jak najciszej:

– Dokąd?

– Znikaj! – parsknął An-Nasir. – Chyba nie muszę tego rozważać – i zwracając się do Iwona dodał zmęczony: – Poczekajmy na następnego gołębia, który nam z pewnością przyniesie wiadomość, że statek zatonął, mój pałac w Homsie stoi w płomieniach, a egipska armia maszeruje na Damaszek!

– Albo wysłano dwu asasynów, aby was zasztyletować. Wówczas moglibyście całkowicie zrezygnować z naszej pomocy – dokończył Iwo.

– Jesteście tegim posłem, panie Iwonie, i wytrwałym parlamentariuszem, ale teraz powinniśmy udać się do stołu i przy radościach podniebienia zapomnieć, ile bezsensownych słów dzisiaj usłyszeliśmy i powiedzieliśmy. Być może, sułtan powinien spożywać owoce tego pięknego kraju, zamiast je rozdawać, aby pędzić za innymi, wiszącymi wyżej.

* Allah jusamihuhu... (arab.) – niech Allah przyjmie łaskawie jego dusze i wywyższy go w raju!

IV

ZDRADZENI I SPRZEDANI

Wybrzeże było skaliste, poszarpane. Galera templariuszy nie mogła przybić do brzegu, kołysała się na morzu przed przybojem.

Tylko łódź przedarła się do plaży i czekała tam, aby zabrać na pokład małą grupę, którą statek zakonu miał zawieźć wzdłuż wybrzeża do najbliższego położonego portu na terenie delty Nilu, Damietty. Nazwa tego miasta u większości osób płynących galerą budziła złe skojarzenia.

– Pospieszcie się! – ponaglał Stefan z Otricourtu, komandor templariuszy z Tortosy, którzy się zaoferowali odbyć tę podróż „na wyższe polecenie”.

Obie kobiety były już w łodzi, pełne obaw. Szirat wiedziała, że w ojczyźnie może oczekiwać tylko szyderstwa i pogardy, a Madulajn wcale nie była jeszcze przekonana, czy powinna się tam udać z Czerwonym Sokołem. Jedyne Mahmud mógł być pewien wspaniałego przyjęcia przez stęsknionego ojca.

Czerwony Sokół, który przeniósł damy na pokład łodzi, brnął po wodzie jeszcze raz do brzegu po syna Bajbarsa, ale komandor tak się spieszył, że sam złapał chłopca pod pachy, aby go zanieść do łodzi.

W tym momencie spoza występu skalnego zatoki wysunęła się triera. Wszystkie trzy rzędy wiosel zanurzały się w wodzie. Zamiast powoli zmniejszać prędkość, groźny dziób parł z szumem do przodu. Zakończony kosami wiosła ustawiły się na sztorc, ciężki kil zazgrzytał po kamieniach i statek zatrzymał się tuż obok łodzi templariuszy.

Firuz, kapitan triery, kazał spuścić na brzeg uzbrojony w kolce pomost, jakby dokonywał abordażu. Jeszcze przed swymi Maurami zeskoczył pierwszy na ląd.

– Nie ufajcie im! – krzyknął. – Sprzedadzą was An-Nasirowi!

– Kłamca i głupiec! – ryknął Stefan z Otricourtu sięgając po miecz, z czego skorzystał Mahmud i wyrwał się templariuszowi.

Komandor nie chciał porzucić swej zdobyczy. Spróbował chłopca złapać ponownie, ale Firuz, uzbrojony tylko w topór abordażowy, zagroził templariuszowi drogę i podniósł groźnie broń.

Było to nierówne starcie. Zupełnie niedoświadczony w pojedynkach kapitan triery zadał cios w próżnię, potknął się, a wytrawny zakonny wojownik ciał go mieczem przez ramię i szyję. Firuz z rozpostartymi ramionami upadł na twarz, brocząc krwią.

– Idź czym prędzej do diabła! – szydził Stefan z Otricourtu i chciał mu zadać dobijający cios w kark.

Nim żelazo zdołało się zniżyć, Czerwony Sokół przeskoczył przez leżącego na ziemi kapitana i zmienił kierunek ostrza kopniakiem w rękojeść miecza. Komandor jednak nauczył się nie wypuszczać broni, zwłaszcza gdy był tak niewystarczająco opancerzony jak dziś.

Czerwony Sokół, jako wojownik pustyni przyzwyczajony do walki bez zbroi, której brak wyrównywał bardzo żywą wymianą ciosów, nie wdawał się w zawilosci rycerskiego rytuału, mierzył bez zamachu w kolana przeciwnika, ale komandor już cofnął miecz i klinga uderzyła o klingę.

Templariusz spróbował głowicę miecza wraz z uzbrojoną żelazem pięścią wbić w twarz Czerwonego Sokoła, lecz ten uniknął ciosu padając na wznak, przy czym wbił koniec miecza w pachę przeciwnika. Był już na nogach, gdy Stefan z Otricourtu próbował jeszcze przełożyć miecz do drugiej ręki.

Tym razem komandor nie mógł uniknąć cięcia po ścięgniach obu nóg, runął na kolana, obrócił się trzeszcząc jak jodła wokół własnej osi i zwałił na plecy.

Czerwony Sokół wsunął ostrze miecza pod brzeg hełmu przeciwnika.

– Zrezygnujcie, komandorze, i odejdźcie!

Stefan z Otricourtu nie odpowiedział.

Obie kobiety z łodzi śledziły walkę, a gdy Hamo z pokładu triery skoczył do płytkiej wody, Madulajn pozwoliła się pierwsza zanieść na brzeg, gdzie w zbiegowisku widziała Firuza. Teraz zobaczyła go leżącego we krwi u stóp Konstancjusza z Selinuntu, tuż obok templariusza, który zabił kapitana.

Rzuciła się na ziemię. Czerwony Sokół był przekonany, że Madulajn czyni to w napadzie bólu po stracie małżonka, i nie zdążył jej przeszkodzić. Z okrzykiem gniewu wbiła sztylet w pierś komandora.

Wobec przygniatającej przewagi załogi triery, wioślarzy z kosami, Maurów i greckich kuszników, templariusze nie zdecydowali się przypuścić ataku między nadbrzeżnymi skałami, gdzie nie mogliby użyć koni. Galera zakonu nie była dostatecznie wyposażona w katapulty, aby wystąpić przeciwko trierzehrabiny. Gdyby doszło do staranowania i abordażu, templariusze źle by na tym wyszli. W dodatku syn Bajbarsa, po którego tu przybyli, już dawno znajdował się bezpieczny na pokładzie triery.

Poprzestano więc na tym, że obie strony zabrały swoich zabitych, templariusze położyli zwłoki komandora na tarczy, a Maurowie zanieśli martwego kapitana owiniętego w żaglowe płótno na pokład triery. Wioślarze z pierwszego rzędu oddali mu ostatnie honory, uderzając z grzechotem w uzbrojone kosami wiosła.

Z takiego honorowego pożegnania hrabina zrezygnowała. Na wieść, że Klarion została matką i nie chce do niej wrócić, dostała silnej gorączki. Trzy dni i trzy noce Laurencja z Belgrave pasowała się ze śmiercią, wieczorem trzeciego dnia spożyła posiłek i piła z tymi, którzy jej służyli od śmierci admirała.

O północy zerwała się lekka burza i Laurencja udała się na spoczynek. Następnego ranka morze było znowu gładkie, ale kajuta hrabiny pusta. Laurencja zniknęła.

Załoga przybiła do brzegu i nawiązała łączność z asasynami. Dla Masnatu nie było rzeczą trudną odnaleźć Hamona i Firuza oraz doprowadzić ich na trierę.

– Szkoda – powiedziała Szirat. – Z pewnością polubiłabym twoją matkę...

Hamo otoczył troskliwie ramieniem narzeczoną.

– Przeorysza byłaby niezmiernie zadowolona, gdyby mogła cię poznać, Szirat Bundukdari, hrabino Otranto!

Pocałowała go czule.

– Powiedz mi jednak, Hamonie l’Estrange, skąd mogli asasyni wiedzieć, kiedy dotrzemy do wybrzeża.

– To całkiem proste: Crean po swym przybyciu do Homsu kazał od razu wydusić damasceńskie gołębie i zastąpić je ptakami z Masnatu. W ten sposób tam docierała najpierw każda wiadomość, nim przekazano ją dalej do sułtana.

– Gdyby kilku skrzydlatych posłańców oszczędzono – uśmiechnęła się Szirat – można by ucieszyć An-Nasira ptakami z jego własnego *bajt al-haman*. Chętnie przesłałabym mu pożegnalne pozdrowienie. Był nędznym szachistą, ale na swój sposób traktował mnie dobrze, a nadzwyczajne zdolności Mahmuda popierał z większym zrozumieniem, niż czyni to niejeden ojciec.

– Wyślemy mu kosztowny prezent, gdy triera po odwiezieniu twojego bratanka wróci do Apulii – powiedział Hamo i roześmiał się. – Myślę, że gołębie nie sprawiają już sułtanowi prawdziwej radości.

We wspaniałym pałacu sułtana w Damaszku władca Syrii i Dżaziry siedział wciąż przy stole z posłem króla Francji, choć skończyli się posilać.

An-Nasir odprawił przyjaciół i służbę. Ze sztućców, talerzy i dzbanów kazał Iwonowi zbudować „widok” na wybrzeże i góry, noże służyły za rzeki, drogi lub granice, a jabłka, pieczywo i orzechy przedstawiały miasta i zamki, zależnie od ich wielkości i znaczenia.

– Jeśli już jesteście gotowi rozstać się z Baalbekiem – komentował Bretończyk, używając przy tym solniczki – możecie też jeszcze dodać Homs, Hamę i Szaizar, od których potem i tak już będziecie odcięci. Zarządzalibyśmy tymi bogatymi emiratami lepiej niż wasi synowie czy siostrzeńcy, którzy tylko zazdroszczą wam władzy i tytułu!

– W to chętnie uwierzę – westchnął An-Nasir – ale jeśli im nie zatkam pysków emiratami, dopiero będą się buntować!

– Zabierzcie ich ze sobą do Egiptu i zróbcie dowódcami armii, gdy już rozprawicie się z mamelukami...

– Jeszcze gorzej! – zawołał sułtan. – Gdy każdy będzie dowodził częścią wojska, wówczas naprawdę nie zaznam spokoju!

Przy drzwiach do sali jadalnej zrobił się ruch, wartownicy wzbraniali wejścia człowiekowi, który wymachiwał jakimś pismem.

– Jestem pierwszym pomocnikiem mistrza upierzonych posłańców! – wołał zirytowany. – Mistrz odebrał sobie życie po otrzymaniu tej wiadomości, przychodzi ona z Homsu...

Jeden z wartowników wyrwał mu rolkę z ręki i przekazał Bretończykowi.

– Przeczytajcie więc! – zażartował An-Nasir. – Ta wiadomość mnie nie zabije!

– Być może, zabije mnie. – Iwo rzucił okiem na kartkę. – Od waszego kuzyna Al-Aszrafa!

– Ach tak? Czego on chce? Pieniędzy?

– Nie – odparł Iwo. – Zajął Homs, odebrał, jak pisze, swoje prawowite dziedzictwo. Posłuchajcie:

„...zastałem, dostojny sułtanie, swoje miasto w stanie godnym pożałowania, kufry ze skarbami zrabowane, garnizon bez żołdu, donżon nie do użytku, harem opuszczony. A o końcu waszego naczelnego szambelana opowiadają przedziwne rzeczy. Ojciec Olbrzyma przemienił się w ziejącego ogniem smoka i poleciał w góry, aby strzec skarbu, który wam ukraść. Chcę być waszym sumiennym sługą i powinniście punktualnie otrzymywać trybut.

Wasz wiemy Al-Aszraf, emir Homsu”.

Bretończyk odłożył kartkę, a sułtan westchnął ciężko.

– Nie wyobrażacie sobie, jak musiało zezować oko mego kuzyna, podczas gdy jego spocona ręka nanosiła te bezczelne słowa na papier.

– Wobec tego – zauważył Bretończyk oschle i zdjął duże jabłko ze stołu – na razie o Homsie powinniśmy zapomnieć!

– Noszę się z myślą, zakładając stale odbicie Kairu, żeby faktycznie przekazać chrześcijanom Damaszek – powiedział An-Nasir całkiem poważnie. – Żaden Ajjubida nie zadowolony się tą wspaniałą posiadłością i rozpocznie wysuwać roszczenia do tronu, zechce oddzielić Syrię... Natomiast przy takim energicznym namiestniku jak wy, panie Iwonie, Damaszek mógłby tylko cieszyć sułtana w dalekim Kairze.

– A więc Egipt jest jednak do zdobycia? – spytał Iwo.

– O tym jutro – oznajmił An-Nasir i pożegnał posła.

Zrobiło się późno.

Z diariusza Jana z Joinville

Akka, 7 marca A.D. 1251

Zaprosiłem na obiad Jana Armeńczyka, gdyż baron Filip z Montfortu opowiedział mi, że pan Jan podróżuje często po zakupy do Damaszku. Chciałem poprosić, żeby następnym

razem – naturalnie *incognito* i bez wiedzy króla – zabrał mnie z sobą, byłem bowiem ciekaw miasta, o którego bogactwie opowiadano prawdziwe cuda.

Ze mną przy stole zasiadł jeszcze William, który również okazywał zainteresowanie tą podróżą, zwłaszcza że Ingolinda od niedawna przeniosła do Damaszku swoją uszczęśliwiającą działalność.

Poza tym wiedziałem z otoczenia króla, że Iwo Bretończyk jako poseł odniósł u An-Nasira prawie niewiarygodny sukces. Sułtan z Damaszku był gotów nie tylko spełnić nasz sen o odzyskaniu *Hierosolymae Sanctissimae**, lecz ponadto przez znaczne ustępstwa terytorialne tak dalece ją zabezpieczyć, że *Outremer* po raz pierwszy w swej bolesnej historii przedstawiałoby nie wąski pasek, ledwie broniący się przeciwko burzom z wnętrza kraju, lecz zwarte terytorium, które wtedy prawdziwie by zasługiwało na nazwę Królestwa Jerozolimskiego.

– Mówi się nawet po cichu – oświeciłem Williama – że sam Damaszek mogły być włączony do ugody, założywszy naturalnie, iż wsparlibyśmy energicznie egipskie ambicje An-Nasira i przyniosłoby to pożądaną dla niego skutek. *Conditio sine qua non*.

– To są naturalnie *imponderabilia* – oznajmił mój sekretarz – ale już samo ujawnienie pertraktacji pana Iwona wywołuje, jak widać, pożądane konsekwencje.

Czynił aluzję do niespodziewanego przybycia do Akki wczoraj wieczorem pierwszego oddziału uwolnionych jeńców z Egiptu, chociaż byli w nim tylko rycerze, którzy już AD. 1244 na skutek nieudanej bitwy pod Gazą dostali się w ręce wrogów. Po siedmiu latach wrócili teraz wolni, wśród nich także wielki mistrz joannitów, pan Wilhelm z Châteauneuf.

– Myślę – powiedział pan Jan, zbrojmistrz, z rozważą – że Jego Królewska Mość czyni wszystko, ażeby misja Bretończyka i jej pomyślnie perspektywy w najmniejszym stopniu nie pozostały tajemnicą.

Mistrz Jan, wąsaty Armeńczyk, był obcym, dopiero niedawno zwerbowanym człowiekiem, który wojnę traktował jako swoje rzemiosło, natomiast pokój jako przerwę, konieczną jedynie by doprowadzić do porządku broń albo wymienić jeńców.

– W najbliższych dniach wróci trzy tysiące jeńców – ciągnął dalej. – Dobry interes, ponieważ my zwalniamy za to tylko trzystu, których baronowie *Outremer* ostatnio zdobyli.

Zdziwiłem się.

– To jednak może tylko znaczyć – rozważałem głośno – że król już dawno porozumiał się potajemnie z Kairem i pertraktacje w Damaszku służyły tylko jako środek nacisku.

– Podstęp – potwierdził mistrz Jan – gdyż sułtan Ajbek przynigdy nie dostarczyłby nam tyłu wojowników. Z pewnością zawarto by umowy, że ci ludzie wyleczeni i przywróceni do sił nie zostaną wkrótce skierowani przeciwko niemu.

* Hierosolyma Sanctissima (gr.-łac.) – najświętsza Jerozolima.

– Król jest mu jeszcze winien drugą połowę uzgodnionego okupu – wtrącił William. – Sądźcie, mistrzu Janie, że Jego Królewska Mość mógłby uiścić w przybliżeniu te dwieście tysięcy?

– Ach, panie sekretarzu, nie chodzi już tutaj o pieniądze...

– Co bowiem pomoże, jeśli trzeba wszystko opłacić wojną i klęską – dodałem od siebie, ale nie to mistrz Jan chciał usłyszeć.

– Chodzi o sławę Jego Królewskiej Mości, panie seneszalu, nikt nie chce mieć pana Ludwika za wroga!

Na to już nie odpowiedziałem. Skończyliśmy posiłek i rozmawialiśmy długo przy winie.

Coraz więcej żebraków oblegało nasz stół i żądało jałmużny. Stawali się natrętni i mój sekretarz przemówił po mojej myśli, gdy gniewnie zażądał od obsługi, żeby tę hołotę usunęła albo przynajmniej trzymała od nas z daleka. Ale wtedy oburzył się Armeńczyk.

– Postępujecie błędnie! – zganił Williama, a pośrednio także mnie. – Gdyby Jego Królewska Mość wysłał w tej chwili posłańców podskarbiego ze stoma liwrami dla każdego z nas, z pewnością byśmy ich nie przepędzili. A przecież przeganiacie tych posłańców, którzy wam oferują dar najcenniejszy.

Ani William, ani ja nie zrozumieliśmy jego wywodów.

– Innymi słowy – pouczył nas mistrz Jan – ci ludzie proszą was o jakiś datek i oferują za to boską nagrodę, co znaczy: wy możecie im dać coś z waszych nędznych pieniędzy, a oni pozwolą wam za to korzystać z miłości Bożej! Powinniście uważać się za szczęśliwych, robiąc tak korzystną zamianę!

Obaj zaniemówiliśmy, a potem mój nie mający respektu dla nikogo William powiedział:

– Ach, mistrzu, jakże wasza wiara ucieszyłaby serce króla! Chcę od razu posłańców podskarbiego serdecznie prosić, aby moje sto liwrów rozdzielili tutaj na miejscu między tych żebraków.

Teraz mistrz Jan popatrzył głupawo, a mój chytrus ciągnął dalej:

– Ach, nie widzicie ani posłańców, ani liwrów?... Ja także nie widzę boskiego błogosławieństwa w tych wyciągniętych rękach. Przepędźcie ich wreszcie! – fuknął na obsługę.

– Zgrzeszyliście – oświadczył zbrojmistrz i wstał od stołu. – Nie chcę dłużej przebywać z kimś, kto najukochańsze dzieci naszego Pana tak złośliwie odprawia!

Odszedł, a ja spytałem mego sekretarza:

– Czy było to konieczne?

– Tak, mój panie! – odrzekł William. – Chciałem się go pozbyć.

Jałem karcić mego samowolnego sekretarza, ale zrobiło to na nim niewielkie wrażenie.

– Król chce o tej godzinie użyć posłuchania poselstwu asasynów. Powinniśmy być przy tym obecni, ponieważ spodziewam się, że oni przybyli po Jeżę. Od czasu kiedy się

dowiedziała, że Rosz żyje, pragnie uciec z Karmelu, ale klasztor nie chce jej puścić! – denerwował się William.

– Co mnie dziwi – powiedziałem – gdyż królowa z radością by się pozbyła dziewczynki!

– Ale pan Ludwik absolutnie nie chce wyjazdu Jezy – oświadczył William. – Para królewska jest skłócona i obawiam się, że koniec końców Jeza będzie tego ofiarą, im bardziej bowiem król obstaje przy swoim, tym bardziej martwi się pani Małgorzata.

– Nie myślcie, Williamie – powiedziałem, podnosząc się i płacąc rachunek – że król zechce mnie posłuchać.

– Pozostaje nam jedynie nadzieja, że asasyni zrobią koniec z tym, za przeproszeniem, starczym gruchaniem, pokazawszy ogłupiałemu kogutowi swoje sztylety!

– Nie mówcie tak w mojej przytomności!

Pospieszyliśmy do zamku.

Sursum corda.

Habemus ad Dominum.

Dominus vobiscum!

Et cum spiritu tuo.

Przyszliśmy na czas, pan Ludwik bowiem kazał poselstwu nie tylko czekać, lecz również przekonać się, że dla chrześcijańskiego króla wysłuchanie mszy świętej stoi przed nakazem grzeczności.

Ite missa est.

W sali tronowej młody emir, który przewodniczył delegacji, siedział akurat naprzeciwko króla. Asasyn był ubrany drogo i ze smakiem. Za nim zajął miejsce urodziwy młodzieniec charakteryzujący się wytworną prostotą, jaką spotyka się tylko w wielkopańskich rodach.

W zaciśniętej pięści trzymał pionowo laskę składającą się z trzech sztyletów, których ostrza wetknięte były kolejno w rękojeść następnego.

– To znak wyzwania – szepnął mi William – w wypadku gdyby żądanie emira zostało odrzucone.

Za młodym człowiekiem ze sztyletami siedział jeszcze jeden, który miał owiniętą wokół ramion grubo tkaną płócienną chustę – podobno żeby pokazać królowi jego własny całun, jeśli miałby odmówić żądaniom sekty.

Tym samym przez salę przeszło tchnienie śmierci Starca z Gór, którego duch wciąż był żywy, chociaż osławiony nosiciel tego przydomka zmarł już za czasów Saladyna, o czym zapewniał mnie solennie mój sekretarz.

– Oni pławią się jeszcze w jego ponurym blasku i dowodzą, że mogą uderzyć w każdym czasie i wszędzie, sami pozostając nieuchwytnymi.

Emir tak rozpoczął swoje wystąpienie:

– Mój pan wysłał mnie, abym zapytał, czy go znacie.

Król kazał przetłumaczyć Mikołajowi z Akki, który z braku Bretończyka stał za nim, iż rzeczono go nie zna, ponieważ go nigdy nie spotkał, ale o nim słyszał.

– Tak więc słyszeliście o moim panu – powiedział emir – i nie przesłaliście mu, co mnie dziwi, żadnej kwoty, aby zapewnić sobie jego przyjaźń, podobnie jak to czyni rok po roku niemiecki cesarz, król Węgier, sułtan Kairu i inni władcy, ponieważ wiedzą dobrze, że pozostają przy życiu tylko wtedy, gdy to się naszemu panu podoba.

Król siedział jak skamieniały, a ja pomyślałem, czy to przypadkiem nie jest poselstwo, które sprowadził Jan Turnbull. Wyjechał on niedawno z Akki właśnie po to, żeby uwolnić Jezę z klasztoru i uchronić ją przed prześladowaniami ze strony królewskiej rodziny. Odważna gra!

Emir wziął milczenie króla za zakłopotanie z powodu minionych zaniedbań.

– Jeśli to wam nie odpowiada – ciągnął dalej – wówczas mój pan pozostawia wam możliwość zwolnienia go od podobnego trybutu, jaki musi płacić templariuszom i joannitom.

Wobec budzącej strach złej sławy, jaką w ciągu lat okryli się asasyni, było dla mnie w pełni zrozumiałe, że te dwa zakony rycerskie, które przecież w strukturze były do nich podobne, jeśli nawet nie identyczne, tak często i tak długo dokuczały swoim nauczycielom, aż Masnat i inne siedziby asasynów zapłaciły im swego rodzaju trybut.

Ani templariusze, ani joannici nie dali się zastraszyć groźbami mordów. Jeśli wielki mistrz ginął w boju lub został zamordowany, przychodził na jego miejsce nowy. U zakonów nie można było nic zyskać, przeciwnie, one mogły pobić asasynów ich własną bronią.

Król wciąż milczał i emir dodał, że jego pan uznałby za znak dobrej woli, gdyby król uwolnił znajdującą się w jego ręku córkę Graala.

Wtedy pan Ludwik drgnął i kazał Mikołajowi powiedzieć, że musi to wszystko rozważyć i chce się z asasynami spotkać ponownie po południu. Emir skinął głową, nie zamierzał jednak opuszczać sali.

Asasyni siedzieli sztywni, jak się wydawało – najwyraźniej zdecydowani tutaj czekać. Król podniósł się i wyszedł.

Podążyłem za nim i jeszcze usłyszałem, jak polecił konetablowi, aby natychmiast wysłał oddział złożony z rycerzy i licznej piechoty, by otoczył kordonem bezpieczeństwa klasztor na górze Karmel.

Klasztor leżał bezbronny w południowym skwarze. Żadne drzewo nie zatrzymywało padających pionowo palących promieni, które odbite od otaczających skalnych ścian dodatkowo rozpalały mury. Nawet żebrzące dzieci zniknęły z zakurzonego placu przed

klasztorem, a w ciemnych celach był taki zaduch, że spocone mniszki – habity kleiły się do ciała – leżały na kamiennych posadzkach korytarzy i udawały, że się modlą.

*Ab occultis meis munda me, Domine;
et ab alieni parce servi tui,
Domine, exaudi orationem meam.*

Tylko chuda przeorysza nie spływała potem. Siedziała w kancelarii i z nieruchomą twarzą słuchała, co dwie siostry miały do powiedzenia na temat Jeży.

– Jest już dziesięć dni po czasie – bąknęła jedna nieśmiało.

– A od trzech dni – szepnęła druga zawstydzona – wraz z siostrą Kandydą oglądamy skrycie każdego ranka prześcieradło i odłożoną osobistą bieliznę...

– Badamy naprawdę sumiennie! – zapewniła pierwsza wyraźnie w złym humorze.

– Nic! Ani kropelki, ani plamki!

– Chcecie więc donieść – sformułowała ostro przeorysza – że nowa nie ma miesięcznej przypadłości...

– Nie chce przysięgać – mruknęła Kandyda. – Chciałam tylko powiedzieć, że zwróciłyśmy uwagę, iż żadnej krwi...

– Nie czuć też nic – sekundowała druga – nowicjuszka sprawia wrażenie bardzo przygnębionej, jak ktoś, kogo gryzie sumienie...

– *Silentium!* – przerwała szorstko przeorysza. – Raczej pilnie obserwujcie swoje zmysły, siostró Dagoberto, zamiast rozmyślać o uczuciach i nawet sugerować winę!

– Wybaczcie – szepnęła zganiona – myśl o grzechu zamąciła mój umysł!

– Nie zapłaczcie się gorzej, Dagoberto. Pozostańcie czujne, badajcie dalej, przynieście mi dziś w nocy jej bieliznę, gdy po *nocturnum** pójdzie do łóżka.

Obie zakonnice odwróciły się do wyjścia.

– I nie mówcie nikomu o waszym podejrzeniu! – dodała jeszcze przeorysza.

*Sanctus, Sanctus, Sanctus, Dominus Deus Sabaoth.
Pleni sunt coeli et terra gloria tua.
Hosanna.*

Przeorysza rozmyślała. Wczoraj Jeża poprosiła ją o rozmowę. W żadnym razie nie robiła wrażenia przygnębionej, raczej zbuntowanej.

Oświadczyła bez ogródek, że chce opuścić klasztor, gdyż pomyliła się, wybierając życie zakonne. Przeorysza odpowiedziała surowo, że faktycznie się myli, nie ona bowiem wybrała życie zakonne, lecz powołał ją Pan i o swym dalszym losie ona nie może decydować.

* Nocturnum (łac.) – nocna modlitwa.

Jeza roześmiała się jej beczelnie w twarz i za karę została odesłana do celi, bez nawet łyka wody.

Dziś, w kontekście *menstruatio remissa*^{*}, sprawa wyglądała całkiem inaczej. Przeorysza klasztoru powinna, być może, Jezie pozwolić odejść jak najszybciej i podziękować Dziewicy Maryi, że oszczędzi temu domowi hańby.

Ale król jej to dziecko tak gorąco polecił, że teraz nie ośmielała się zrobić kroku ani w tę, ani w tę stronę.

Najlepiej będzie, jeśli wyśle Mikołaja z Akki, swego spowiednika, do królowej albo sama odwiedzi dostojną panią Małgorzatę, aby usłyszeć, co pobożna protektorka radzi klasztorowi uczynić...

*Vigilate et orate,
ut non intretis in tentationem,
spiritus quidem promptus est,
caro autem infirma.*

Z diariusza Jana ze Joinville

Akka, 7 marca A.D. 1251

Asasyni siedzieli wciąż w sali tronowej i czekali na podjęcie pertraktacji.

Na zewnątrz, na placu przed zamkiem, narastał hałas, ludzie krzyczeli podnieceni i wznosili radosne okrzyki.

Gdyby emir asasynów i jego mała delegacja pozwolili sobie wyjrzeć z wysokich okien, staliby się świadkami rzadkiego widowiska: poprzedzany przez słonia, na którym siedział czarnoskóry chłopiec, kierujący olbrzymim zwierzęciem za pomocą delikatnej laseczki, szedł chyba tysięczny tłum wycieczonych ludzi; wielu z nich było kalekami. Nie mieli rąk lub poruszali się o kulach.

Była to kolejna grupa uwolnionych w Egipcie jeńców. Pochód zamykał czarno-biało prążkowany mały koń, nazywał się *Sibra*^{*}, jak mi wyjaśnił William, który widocznie zna wszystko, co pełza po tej ziemi i lata w powietrzu. *Sibra* nie nadaje się do jazdy, tylko ładnie wygląda.

Asasyni jednak nie wyrzeli. Tkwili dumnie i sztywno na swoich stołkach, na przedzie emir, za nim młodzieniec ze sztyletami i wreszcie ten z płótnem.

^{*} *Menstruatio remissa* (łac.) – opóźniająca się miesiączka.

^{*} *Sibra* (arab.) – zebra.

Król przyglądał się przybyciu swoich ludzi z jednego z wyżej położonych okien i ukrył twarz za zasłoną. Chyba nie płakał ze wzruszenia, lecz wstydził się ogromu ofiar, jakie ponieśli dla niego ci ludzie, którzy teraz wiwatowali na jego cześć.

Obok króla stali obaj wielcy mistrzowie zakonów: Renald z Vichiers, templariusz, i Wilhelm z Châteauneuf, joannita.

Urzędujący dotąd wielki mistrz joannitów, Jan z Ronay, był również obecny, założył bowiem błędnie, że dopiero co wypuszczony z niewoli Wilhelm jest jeszcze zbyt słaby, aby przejąć od razu obowiązki, ale krzepki starzec wskazał mu szorstko miejsce w drugim rzędzie. Szło o to, kto teraz powinien prowadzić dalej rokowania z wysłannikami Starca z Gór.

Wielcy mistrzowie z rzadką jednomyślnością prawie zabronili panu Ludwikowi narażać się jeszcze raz na wysłuchiwanie „tych bezczelności” i nastawiali, że bez niego spotkają się z delegacją asasynów.

Król podejrzewał słusznie, jak mi się wydawało, że obaj starzy wojownicy chcą wylać dziecko wraz z kąpielą i napominał do umiarkowania.

– Moi drodzy panowie – powiedział – nie idzie teraz ani o moją godność, ani o honor zakonu, lecz o to, że my godząc się z Kairem, co już przecież przynosi owoce, stworzyliśmy sobie wroga w Damaszku, chociaż An-Nasir nie jest tego jeszcze świadomy, i potrzebujemy pilnie w Syrii przeciwwagi. Tą zaś mogą być tylko asasyni z Masnatu!

Templariusz Renald z Vichiers przysłuchiwał się temu z rosnącym niesmakiem.

– Sojusz z mamelukami – tłumaczył rozzłoszczony – nie może być trwały, chociaż sułtan Ajbek podchlebia się, uwalniając kalekich i chorych jeńców, których z trudem wyżywimy! Natomiast przyjaźń z Damaszkiem jest dla Królestwa ważna, stanowi o życiu albo śmierci. Nie chcę ponosić konsekwencji takiej niepotrzebnej wrogości między nami a sułtanem An-Nasirem!

Wtedy zabrał głos Wilhelm z Châteauneuf.

– Widzę, że w ciągu tych siedmiu lat, które spędziłem w więzieniach Egiptu, chociaż Kair zgodnie z tradycją pozostaje przyjaźnie nastawiony do joannitów, tutaj niewiele się zmieniło. Szanowni rycerze ze Świątyni są nadal oddani syryjskiemu aliansowi i być może, pewnego dnia staniemy naprzeciwko siebie w różnych armiach! – dokończył gorzko.

– A któż może nas zapewnić – przerwał mu templariusz – że ci bezczelni palacze haszyszcu z garścią skalistych kasztelów stanowią skuteczną przeciwwagę dla wojska, które może zgromadzić sułtan An-Nasir: od Damaszku po Dżazirę, od Keraku po Aleppo i Mosul!

– Ja jednak chcę z nimi paktować! – powiedział król. – Jeśli wam to nie w smak i chcecie mówić innym językiem, drogi wielki mistrzu Świątyni, wówczas zajmę się tym sam i...

– Daję wam słowo, że ci nożownicy się ukorzą! – zakończył spór joannita i skierował się do wyjścia. Templariuszowi nie pozostało nic innego, jak udać się za starcem.

Król pozostał w komnacie skonsternowany, ale William i ja nie chcieliśmy się pozbawić widowiska.

Obaj wielcy mistrzowie ustawili się po obu stronach pustego królewskiego tronu i Renald z Vichiers wrzasnął na emira, by z łaski swojej powtórzył, co powiedział królowi. Ten wzbraniał się najpierw i nastąpiło poszczekiwanie po arabsku, czego nie rozumiałem, a co mego Williama nadzwyczaj rozbawiło.

Potem zawezwano Mikołaja z Akki, żeby tłumaczył, i Wilhelm z Châteauneuf kazał emirowi przekazać, że jego pan, *Grand Da'i*, postąpił bardzo nieroztropnie, przysyłając królowi takie aroganckie poselstwo.

Ta forma nagany wydała się templariuszowi chyba nie dość mocna, bo powiedział:

– Gdyby honor królewski nie chronił was jako posła, wrzuciłbym was i obu waszych *fida'i* do fosy, abyście utopili się w gównie...

– Akurat Starcowi z Gór na przekór! – zgodził się z nim joannita. – Obojętne, jak on się teraz nazywa!

Wilhelm z Châteauneuf nie był zaznajomiony z istniejącym stanem rzeczy, ale nie okazywał wcale strachu.

– Rozkazujemy wam – komenderował – wrócić do swego pana i pojawić się tu znowu w ciągu dwu tygodni z podarunkami i pisemnym przeproszeniem, które Jego Królewską Mość może nastroić pojednawczo, aby wasza prośba o przyjaźń spotkała się z łaskawym przyjęciem.

Emir wyglądał jak zbity pies, zrobił się kredowobiały na twarzy, a Renald z Vichiers dodał jeszcze na odchodnym:

– Co zaś dotyczy Jezy, królewskiego dziecka, powiedzcie waszemu kanclerzowi, że dowie się z właściwych ust, dokąd ono zostanie skierowane, gdy przyjdzie na to czas.

Sens tego ostatniego zdania pozostał dla Wilhelma z Châteauneuf całkowicie niejasny, jednakże mu się nie podobał. Panowie ze Świątyni zawsze mieli jakieś szczególne powiązania i nigdy nie było wiadomo, jaką prowadzą grę.

Konetabl złapał mnie przy wyjściu z sali i kazał stawić się u króla.

– Zwolnieni dotąd jeńcy i przesłane podarunki – rozpoczął pan Ludwik – zachęciły mnie, by zażądać teraz od sułtana Ajbeka wypuszczenia wszystkich jeńców przebywających w jego więzieniach, bez dalszego okupu! Proszę was, mój drogi Joinville, żebyście odpowiednio przedstawili w Kairze to moje żądanie, nie prośbę. Że Damaszek stara się o przymierze z nami...

– Nie pozostało dla Kairu tajemnicą! – wtrącił William wścibsko i spotkał się z karcącym spojrzeniem króla.

– Jeśli życzyście sobie, możecie zabrać ze sobą sekretarza. Wolałbym jednak, żebyście skorzystali z usług Mikołaja z Akki.

Dostrzegłem, że William gwałtownie potrząsa głową, broniąc się przed wyjazdem, toteż powiedziałem:

– Chętnie podporządkuję się wszystkim życzeniom Waszej Królewskiej Mości.

– A więc, seneszalu, wypływacie jutro o świcie!

Iwo Bretończyk nie spał tej nocy, ale jak na swoją posturę niezwykle wyprostowany wszedł do komnaty sułtana An-Nasira. Za nim dwaj niewolnicy-pisarze nieśli na wyciągniętych rękach spiętrzone rolki pergaminu.

– Po jednym dokumencie, każdy w dwu językach: arabskim i łacinie – oznajmił z głębokim pokłonem, którym wyrażał dumę, zadowolenie, tryumf.

Sułtan ledwie spojrzał od swego stołu.

– Poświęciłem całą noc, dostojny An-Nasirze, aby ująć w słowa wszystko, tak jak to mówiliśmy – powiedział Iwo, nie dając się zbić z tropu – teraz tylko jeszcze obie strony powinny tekst układu podsygnować i przypieczętować.

Pisarze złożyli rolki na *taktuka*^{*} i oddalili się cicho.

– A gdzie jest obiecana armia Franków? – spytał sułtan rozdrażniony. – Oddaję połowę mego państwa i w ogóle nie jestem pewien, że wasz pan Ludwik i baronowie ruszą ze mną przeciw Egiptowi...

– Jeśli raczylibyście teraz, dostojny władco – powiedział Iwo łagodnie – przestudiować i parafować prawa i obowiązki, które z naszego paktu wynikają...

– Jutro – oświadczył An-Nasir, a gdy spostrzegł nieszczęśliwą minę Bretończyka, dodał: – Ustaliliśmy, że jeśli wy wrócicie z podpisem króla Ludwika, nasze zjednoczone wojska pobiją nieprzyjaciela i ja będę mógł wstąpić na tron Kairu, to wy, pani Iwone, jeśli wam król zezwoli, możecie zostać tutaj namiestnikiem.

Sułtan przerwał, gdyż twarz tak uhonorowanego Bretończyka wcale się nie rozjaśniła.

Iwo pomyślał, że król nigdy się na to nie zgodzi! Jeden z jego panów rycerzy otrzyma ten tłusty kasek, hrabia jak Joinville lub któryś z baronów, ale nie Iwo Bretończyk!

Potężny An-Nasir jakby odgadł jego posępne myśli, bo powiedział:

– Mógłbym was też uczynić emirem.

Trafiło to Iwona jak strzała w gardło, jego głos drżał.

– Emirem? – spytał niepewnie. – To odpowiada u nas rycerzowi?

– Więcej jeszcze – roześmiał się sułtan dobrodusznie – już raczej hrabiemu albo baronowi! Jeśli to się wam podoba...?

Iwo nie odważył się odetchnąć, nie mógł w to uwierzyć.

* Taktuka (arab.) – niski stół

– Jesteście wyrzeźbieni z mojego drzewa, Bretończyku – powiedział sułtan zachęcająco.
– An-Nasir dał swoje słowo, nie podniesie się żaden sprzeciw!

– Dziękuję wam za zaufanie – oznajmił Iwo mocnym głosem, odzyskując pewność siebie.
– Nie zawiodę was!

Pragnął wyjść, być teraz sam i pobiec ulicami, aby uspokoić wzburzone myśli. Skłonił się, co przy jego zgarbionej zwykle postawie oznaczało po prostu skiniecie głową.

Włókł się wzdłuż straganów bazaru w Damaszku. Nie zwracał uwagi ani na mnogość wyłożonych towarów, ani na zachęcające nawoływania handlarzy.

Czy pan Ludwik, jego król, okaże podobną wdzięczność jak potężny An-Nasir?

On, Iwo Bretończyk, wydarł władcy Syrii układ, który podupadłemu Królestwu Jerozolimskiemu nie tylko oddawał jego starą stolicę, lecz prowadził je do blasku i chwały, rozciągał jego władzę na terytoria, jakich nigdy jeszcze nie posiadało!

Nawet sławne zdobycze pierwszej krucjaty nie obejmowały tych terenów, które on teraz swemu królowi, całemu chrześcijańskiemu światu mógł złożyć do stóp. Żaden Ryszard Lwie Serce, żaden hohenstaufowski cesarz nie osiągnął więcej.

On, Iwo Bretończyk, jednym pociągnięciem pióra podwoił, ba, potroił *Outremer*, zarysował na nowo granice państwa trwale na stulecia.

Królestwo nie było już teraz luźnym łańcuchem zamków zagubionych w skalnym pustkowiu i kilku portów prawie wciśniętych w morze, „wszami na skraju mego płaszcza”, jak szydził niegdyś Saladyń, wąską chustką do ocierania potu, splamioną krwią przepaską, którą energicznie poprowadzona szabla była w stanie o każdej porze rozciąć i posiekać na kawałki.

Teraz Królestwo Jerozolimskie było zwartym obszarem ze swobodnie przebiegającym wybrzeżem, żyznymi równinami i łańcuchami gór w głębi, które odcinały je od pustyni, stanowiąc naturalny wał ochronny, obszarem wyposażonym w zamki, a obok Świętej Jeruzalem pojawił się także Damaszek, perła w tym naszym bogactwa i potęgi, ważny języczek u wagi między kalifatem w Bagdadzie i sułtanatem w Kairze. Tam powinien rezydować władca, sprawiedliwy, mądry i tolerancyjny wobec chrześcijan, żydów i muzułmanów.

Nie musiał być nim Iwo, o nie, tak zuchwały nie był!

Tam powinien się znaleźć namaszczony król, ktoś, kto Bretończykowi łaskawie podziękuje, każe mu przyklęknąć, położy na jego ramieniu szeroki miecz i pasuje na rycerza...

– Hej Bretończyku! – usłyszał i musiał poniechać marzeń.

Wołał go Jan Armeńczyk, który przybył do Damaszku z kilkoma pomocnikami po zakupy na targu. Iwo dostrzegł wśród pomocników Idziego le Brun ze zgoloną brodą. Konetabl chyba nie chciał być rozpoznany, więc Iwo go nie przywitał.

– Chcę jeszcze szybko kupić kilka klamer do tarcz, parę kling i skór, hartowane włócznie i kolczugi, których nikt tak doskonale nie wykuwa i nie splata – poinformował Bretończyka zbrojmistrz – nim drzwi do tego rajy tanich towarów zostaną dla nas na długi czas zamknięte!
– Mówił żartobliwym tonem, nie zwracając uwagi na zdumione, pytające spojrzenie Iwona. – Przegramy naszą reputację jako uczciwi kupcy, jeśli ją kiedykolwiek mieliśmy – plół dalej – natomiast na wartości już mocno straciliśmy. Przedtem wart był muzułmanin wobec chrześcijanina jak dziesięć do jednego, tak w polu, jak i w niewoli! Teraz wymieniamy trzystu muzułmanów za trzy tysiące naszych.

– O czym wy mówicie?! – natarł na niego Iwo gniewnie.

– O jeńcach uwolnionych zgodnie z układem...

– Jakim układem? – Iwo zaczął przeczuwać coś złego.

– Jak to? Nic nie wiecie? – zdziwił się zbrojmistrz. – Mamy pakt z Kairem!

Bretończyk zdrętwiał, ledwie jeszcze usłyszał, jak mistrz Jan dorzucił zrzędlawie:

– To obarcza nas kilkoma tysiącami kalek, a cennych katapult i kusz oczywiście nie odeślą!

Iwo odwrócił się porywczo i bez pożegnania znikł w ciżbie, która badając i porównując, protestując i targując się cisnęła się między straganami bazaru.

*Ma indakum jantazi`u wa-ma, przyszło Iwonowi do głowy, inda Allahi bakin**

Jak stanie teraz przed An-Nasirem? Jako nieodpowiedzialny gaduła, strzęp pergaminu na wietrze, niewart atramentu, którym go zapisano. Był strachem na wróble, on, Iwo Bretończyk, postawiony w ogrodach Damaszku, aby wystraszyć syryjskie wróble, póki królewski ogrodnik nie przeschruje wschodzącego siewu Egipcjowi. Strach na wróble nie został nawet powiadomiony, że już się dawno wysłużył, zapomniano o nim po prostu, pozwolono mu zgnić i spróchnieć!

Och, jakże on tych dostojnych panów nienawidził! To nie było przecież naprawdę tak, że nie życzył biednym jeńcom wolności, prawdopodobnie z moralnego punktu widzenia król nie mógł inaczej postąpić, ale dlaczego pan Ludwik przysłał go tutaj? Żeby Iwo się wykazał?

Nie! Jedynie po to by zapewnić sobie powodzenie w pertraktacjach z Kairem, aby na sułtana Ajbeka wyrzucić nacisk. „Popatrzcie tylko, jak nasz pan Iwo wykuwa z An-Nasirem przymierze przeciwko wam. Musimy jeszcze tylko zatwierdzić go naszymi podpisami!” A on, zarozumiały głupiec, wziął wszystko za dobrą monetę, ślepy w swojej żądzy rycerskiego wykazania się nie dostrzegł, jakim użytecznym głupcem był w tej grze!

Uznał się za pełnomocnego posła tylko dlatego, że tak napisano w liście uwierzytelniającym, nadęty jak żaba poprowadził rokowania z An-Nasirem daleko poza wytyczony cel. Zamiast odzyskać stare, wieczne i Święte Jeruzalem, budował od razu nowe

* *Ma indakum...*(arab.) – To, co wy posiadacie, wyczerpuje się; a to, co jest u Boga, jest trwałe (Koran, sura XVI, *An-Nahl*, werset 96, tłum. J. Bielawski).

królestwo, kazał maszerować nad Nil armiom, którymi nie dysponował, wyłudził obietnicę tytułu...

Jeśli kogoś chciał zabić, to tylko siebie samego, tego głupca. Iwo, głupiec! Król miał rację, że mu odmówił godności rycerskiej, nie przysługiwała mu! Templariusze wiedzieli dobrze, dlaczego potraktowali go lekceważąco: był za głupi! Karygodnie głupi!

– Powinniście stąd zniknąć! – usłyszał cichy głos z tyłu.

Idzi le Brun szedł skrycie za Bretończykiem.

– Jeśli sułtan się dowie, że go wodziliście za nos...

Iwo wściekły odwrócił się szybko.

– Ja nie muszę uciekać, panie Idzi! Zapamiętajcie to sobie! Ale wy nie powinniście tutaj dłużej przebywać, ponieważ mój przyjaciel, potężny An-Nasir, lubi wieszać szpiegów...

– Odważacie się grozić waszemu konetablowi? – syknął Idzi le Brun. – Rozglądam się tutaj *incognito* po kraju wroga i oczekuję od was, rozkazuję wam jako człowiekowi króla...

– Jestem królewskim błaznem! – roześmiał się Iwo hałaśliwie, aż ludzie się obejrzeli. – I jako błazen cieszę się jedynym przywilejem: wolnością. A was nie znam! Nie nagabujcie mnie! Idźcie żebrać do kogoś innego, nie dam wam nic!

Rzucił jednakże monetę pod nogi przestraszonego konetabla. Idzi le Brun pod skierowanymi na siebie setkami spojrzeń był tak zmieszany, że się schylił i podniósł pieniądz.

Kiedy się znów wyprostował, Bretończyka już nie było. Zniknął w tłumie na bazarze.

Niesłusznie przed konetabłem chełpił się swą wolnością. Istotnie był człowiekiem króla. On, niewiele znaczący kapłan, z powodu swego zarozumiałstwa, nadgorliwości, kłótności spadł do roli pospolitego zabójcy. Król podniósł go w swej dobroci, ułaskawił, postawił za swymi plecami na straży. A czego on chciał zaślepiony ambicją? Chciał stać przed królem! Jako rycerz!

I znowu król go nie przegnał, nie pohańbił. Uczynił go posłem, dał mu prawo i obowiązek wystąpić przed jednym z najpotężniejszych władców tego świata, przed sułtanem Damaszku, i jako przedstawicielowi króla Francji rozmawiać jak równy z równym. A co on, zadufany pajac, uczynił?

Zapomniał o swoim mandacie, oczekiwał, że An-Nasir zrobi go emirem i namiestnikiem, zamiast koncentrować swoje myśli na celu, z jakim go tutaj wysłał jego król.

Kto się wywyższa, będzie poniżony. An-Nasir pewnie każe go rozszarpać końmi, gdy się dowie, że obietnice były kłamstwem, oszustwem. Słusznie by mu się to należało, gdyż okłamywał i oszukiwał nie król Ludwik, lecz on, Iwo Bretończyk, ponieważ to on w swoim szaleństwie wyszedł daleko poza swoją misję.

Gdyby pertraktował skromnie o zwrot świętych miejsc, wówczas rozmowa zostałaby przerwana bez rozgłosu, on natomiast miechem swej ambicji rozdmuchał niepotrzebny żar pod tyłkiem sułtana. I ten przy pomocy armii duchów „swego przyjaciela Iwona” widział się

już wielkim faraonem; teraz An-Nasir, powodowany uzasadnionym oburzeniem i gniewem, zamiast zachowywać pokojową neutralność, siedząc na sułtańskim tronie w Damaszku, stanie się najzaciętszym wrogiem słabego Królestwa. Czy można będzie wziąć mu to za złe? On, Iwo, wyświadczył *Outremer* niedźwiedzią przysługę.

– Postawię was przed sądem! – zachrypiał mu do ucha konetabl.

– Po co tyle ceregieli, panie Idzi, jesteście przecież zwolennikiem szybkiego załatwiania sprawy! I tym razem macie także słuszość. Tyle głupoty, tyle nieposłuszeństwa, tyle wyrządzonych szkód należy ukarać śmiercią jak zdradę stanu. Przedtem powinniście mnie jeszcze poddać torturom, aż mi krew tryśnie spod paznokci, powinniście mi uciąć język i wsadzić do zadka rozżarzone żelazo, tylko musicie mnie jeszcze złapać, ponieważ nie wrócę do Akki, za bardzo się bowiem wstydę.

– Opamiętajcie się, panie Iwonie! – parsknął konetabl. – Wasza misja tutaj się skończyła. To nie jest przecież żadne nieszczęście!

Przemawiał do Bretończyka prawie po ojcowsku.

– Jutro otrzymacie oficjalne wezwanie, aby z dotychczasowymi wynikami pertraktacji udać się do Akki i to wszystko!

– To wszystko! – powiedział Iwo. – Mam Damaszek w kieszeni i potroiłem Królestwo!

– Zostawcie teraz żarty i pakujcie swoje rzeczy. Oczekuje was król i nowe zadania!

– Niosę z trudem stare – oświadczył Iwo – ledwie je mogę udźwignąć. Nie pokażę się królowi na oczy.

– Jesteście zbyt skromni, panie Iwonie. To, że nie odnieśliście tutaj żadnego sukcesu, jest waszym sukcesem. Pożegnajcie się z sułtanem i wracajcie do domu!

– Dla mnie nie ma już miejsca na tej ziemi – powiedział Iwo głucho.

– Ależ skąd! – odparł Idzi le Brun i zniżył tajemniczo głos. – Mam was pozdrowić od pana Karola. Kazał wam powiedzieć, że hrabstwo nad Saarą jest wciąż bez lennika. Moglibyście tam przybyć z małym pakuneczkiem, z beczułką napełnioną grubą solą i dostatecznie dużą, aby pomieścić dwa melony lub dwie główki kapusty... – dodał z napięciem. – Nigdy nie słyszałem o tak niskiej opłacie za hrabiowski tytuł i lenno. Ja na waszym miejscu bym się pospieszył!

– Nie życzcie sobie znaleźć się na moim miejscu i powiadomcie hrabiego Anjou, że nie zetnę dla niego kapusty, raczej sam wbiję sobie nóż w serce.

– Jak uważacie, chociaż wydaje mi się bardzo głupie takie obrażanie dostojnego pana.

– Jestem głupcem, owszem, a teraz pozwólcie mi odejść, nim zacznę biegać na czworakach, oszczekam was i ugryzę w łydkę!

Iwo wyszczerzył zęby, a konetabl, aby uniknąć dalszych sensacji, cofnął się, potknął o dyszel jakiegoś wozu i upadł na kupę warzywnych odpadków, liści kapusty i skórek melonów.

Tym razem Iwo znikł ostatecznie. Najkrótszą drogą powrócił do pałacu.

V

WROTA DO RAJU

W bibliotece w Masnacie były żelazne drzwi, do których klucz miał tylko Najstarszy. Wchodziło się przez nie do skalnego korytarza, który prowadził do *ma'ua al nizr*, gniazda orłów. Potężnych ptaków nie trzymano tam w niewoli, jednak przy pewnych okazjach krata wzbraniała im swobodnego wyfrunięcia w poszukiwaniu pożywienia. Wtedy były dziko skrzydłami, a ich krzyki wprawiały Masnat w podniecenie. Oczekiwano wówczas doniosłych wydarzeń. Tak było i tym razem. Rosza niezmiernie ciekawiło, co szczególnego ma się wydarzyć, i udał się do starców, swych przyjaciół z biblioteki, jedynych osób, które mogły mu udzielić odpowiedzi na pytania.

Wtedy jednak pojawił się w *scriptorium* – niespodziewanie dla Rosza, ale nie dla starców – *Grand Da'i* i chłopiec wyniósł się szybko. Tadz ad-Din patrzył niechętnie na to, że Rosz szpera tutaj między foliałami i zwojami pergaminów, czy wręcz je czyta.

– Zrobicie z niego jeszcze domatora! – grzmiał wielki mistrz syryjskich asasynów. – Powinniście go zachęcać do twardych prób, które królewskie dziecko musi odbyć, nim zostanie władcą!

Starcy przywykli do posłuszeństwa, opuścili głowy.

– Syn Graala – zdecydował Tadz ad-Din – będzie przy moim boku obserwował krok do raj^{*}. Zatoszczcie się, żeby na czas znalazł się na miejscu!

Tylko Najstarszy mógł sobie pozwolić na zgłoszenie wątpliwości.

– Delikatne usposobienie chłopca... – wtrącił, ale *Grand Da'i* przerwał mu w pół słowa.

– Wszyscy mają się stawić, także nasi goście!

Najstarszy zrozumiał, że wszelki sprzeciw jest bezsensowny. Zmienił temat:

– Trzy orły? – spytał.

– Dwa! – ustalił *Grand Da'i*. – Pierwszy i ostatni!

* Krok do raj^{*} – mógł w każdej chwili każdemu *fida'i* nakazać wielki mistrz asasynów (*Grand Da'i*) bądź zlecając zabójstwo, bądź żądając samobójstwa. Istnieją sprawozdania naocznych świadków, jak na przykład Teobalda (ówczesnego króla Jerozolimy), który był z wizytą w Masnacie i wstrząśnięty opisuje, że za każdym razem kiedy Starzec z Gór klasnął w ręce, jeden ze strażników skakał z murów, ponosząc śmierć.

Czarną lektykę z chrześcijańskim krzyżem wniesiono serpentynami w górę wśród wysokich murów i postawiono przed bramą asasyńskiej twierdzy.

Dwie drewniane kule obmacywały bruk jak dwie pajęczne nogi, nim się ukazał masywny mężczyzna. Szorstko odrzucił ofiarowywaną mu pomoc ze strony eskorty i wysunął się z lektyki o własnych siłach. Potężne ręce miał jeszcze dostatecznie mocne, aby na przekór sparaliżowanym nogom utrzymać i poruszać ciało w czarnym habicie.

– Poseł Jego Świątobliwości Innocentego IV, Wit z Viterbo! – zameldował straży przy bramie jeden z towarzyszących lektyce żołnierzy i dodał jeszcze robiący wrażenie tytuł: – Generał cystersów!

Wizyta była zapowiedziana, mimo to posłowi kazano czekać.

Odkąd przybył z Persji *Grand Da'i*, w syryjskiej filii zapanowały znowu surowsze obyczaje; one to niegdyś uczyniły sławnym Starca z Gór.

Dotychczasowego namiestnika wielkiego mistrza, kanclerza Tarika ibn-Nasira wysłano do Alamutu wraz z jego protegowanym Creanem z Bourivanu. Obaj mieli tam zdać sprawę ze swej działalności dotyczącej królewskich dzieci. Albo, jak się spodziewał *Grand Da'i*, zostaną im wybite z głowy brednie, które odciągają Masnat od jego właściwego zadania i mu szkodzą, albo potrafią przekonać Alamut i wrócą z jasnymi kompetencjami.

Wizyta papieskiego emisariusza wypadła dokładnie w czasie ich nieobecności, co nie było przypadkiem.

Rzym dowiedział się potajemnie o zmianie kierownictwa u syryjskich asasynów, a Tadz ad-Din odnowił stare więzy z zamkiem Świętego Anioła i zasygnalizował gotowość do rozmów. Wszak wielki Hohenstauf już nie żył, a w Akce panował teraz król Francji.

Brama otwarła się i Wit z Viterbo, ciągnąc za sobą nogi, wszedł o kulach do warowni. Wokół tej twierdzy krążył myślami przez całe nie spełnione życie. Przecież sztyletowi z Masnatu zawdzięczał przecięte u obu nóg ścięgna Achillesa. O tym jednak wiedział tylko Tarik, a jego tutaj nie było.

Dla Wita nastał koniec wieloletniego zawziętego ścigania obojga kacerskich dzieci, gdy w Konstantynopolu z przeciętymi ścięgnami runął z okna i leżał na ziemi uznany za zmarłego. Myślał o tym pełen złości, bez cudzej pomocy wspinając się stromą ścieżką.

Jego orszak zaprowadzono na kwatery, starszy *fida'i** zaś, który posła powitał, powiadomił go w bezbłędnej łacinie, że jego pan i mistrz, *Grand Da'i* Tadz ad-Din, życzy sobie natychmiast go zobaczyć.

Po przejściu kilku dziedzińców, z których każdy znajdował się wyżej niż poprzedni, weszli wreszcie przez bramę na platformę, która swym kształtem przypominała grecki teatr.

* Fida'i (arab.) – zwolennik; ten, kto ponosi ofiary.

Na wznoszących się stopniach stali po prawej i lewej stronie uroczyście odziani asasyni. W środku między nimi biegła droga od wejścia do zewnętrznego muru. Początkowo opadała lekko, pod koniec bardziej stromo, a kończyła się drewnianą bramą.

Za nią nie mogło właściwie być już nic, ponieważ widok ze stopni sięgał daleko w dolinę i nawet najbliższe wierzchołki skał leżały niżej.

Grand Da'i jako jedyny siedział pośrodku pierwszego rzędu. Generałowi cystersów wskazano honorowe miejsce naprzeciwko niego. Usiadł stękając i ze wstrętem odłożył kule, dopiero potem odpowiedział niechętnie na nieme skiniecie głową przez *Grand Da'i*, który kazał mu się tak mozolnie wspinać i teraz nie uznał nawet za konieczne powitać papieskiego posła z zachowaniem wszelkich form.

Gdyby to Wit podejrzewał, kazałby się przynieść w lektyce aż tu na górę! Co miało znaczyć to przedstawienie, w którym przypuszczalnie jako gość miał uczestniczyć?

Jednakże gniew i wysiłek gościa zostały momentalnie nagrodzone, gdy spostrzegł, że naprzeciwko niego, obok *Grand Da'i* stał Rosz! Nie miał żadnej wątpliwości, to był ten sam chłopiec, chociaż o cztery lata starszy, znacznie wyrosnięty i mniej dziecinny.

Rosz także rozpoznał natychmiast swego prześladowcę, pobladł i nie mógł opanować drżenia, tak mocno powróciło mu wspomnienie z przeszłości.

Poczuł niby cios pięści w żołądek, gdy zobaczył uprzejmą wymianę ukłonów między *Grand Da'i* i tym czarnym potworem.

Przybył po to, żeby go zabić, a mistrz tego nie rozumiał! I nie było niestety ani Tarika, ani Creana.

Rosz z trudem opanował strach. Jak długo stoi tutaj wśród wszystkich *fida'i*, nie grozi mu żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo, poza tym ten człowiek mógł się poruszać tylko o kulach, a więc Rosz musi zachować rozsądek, nie może dać się zapędzić w jakiś kąt ani pozwolić się zaskoczyć samotnie w jakimś pokoju. A może to kalectwo było udawane?

*

Nadszedł biało odziany młody emir, ten sam, który przewodniczył poselstwu do króla Ludwika, za nim kroczył chłopiec, niosący i teraz wetknięte jeden w drugi sztylety, a jako trzeci szedł *fida'i* z owiniętym dookoła ramion płótnem.

Stanęli przed *Grand Da'i*, który się teraz podniósł. Objął młodego emira, pocałowali się i uścisnęli.

Nastąpiła zupełna cisza, w której słychać było tylko wiatr i krzyki orłów.

Niewidzialna ręka otworzyła na zewnątrz skrzydła bramy, *Bab al-dżanna**, i w pustym łuku ukazał się oświetlony słońcem rozległy krajobraz.

* Bab al-dżanna (arab.) – brama do raju.

Wówczas niektórzy *fida'i* zaczęli klaskać w ręce, powoli, rytmicznie, inni przyłączyli się, oklaski stały się szybsze, mocniejsze, ekstatyczne, aż osiągnęły crescendo.

Młody emir wyrwał się z objęć *Grand Da'i* i szybko ruszył w dół opadającą kamienną drogą, potem zaczął biec i w końcu wśród ogłuszających oklasków wyskoczył przez otwartą bramę na zewnątrz. Przez moment wydawało się, że jego ciało zawisło w powietrzu. Rozpostarł ramiona, jakby chciał polecieć, potem zniknął i nagle oklaski ustały. Znowu zapanowała cisza. Wszyscy zobaczyli wielkiego orła, który nagle rozpostarł skrzydła i raz nimi uderzywszy, odleciał w dal. Szybował w powietrzu wznosząc się ku słońcu, w którego jaskrawych promieniach zniknął z oczu patrzących.

Przed *Grand Da'i* stanął chłopiec ze sztyletami. Tadż ad-Din objął młodzieńca, szepnął mu coś do ucha i trzykrotnie go ucałował.

Zacząto znowu klaskać, mocno, w spokojnym rytmie. Chłopiec skłonił się przed Roszem i przekazał mu trzy sztylety.

Dłonie klaszczących zaczęły poruszać się szybciej, oklaski stały się teraz głośne i przypominały rytmiczne bicie serca.

Chłopiec opuścił głowę i pobiegł z zamkniętymi oczyma, potknął się przed bramą, a potem jego krok trafił w pustkę.

Wszyscy patrzyli z ciekawości, czy przemieni się w orła, ale nie pojawił się żaden drapieżny ptak, tylko powiew wiatru, który przeciągał wokół murów, złapał się w otwarte skrzydła bramy.

Nim milczące rozczarowanie zdołało ogarnąć obecnych, przed Tadż ad-Dinem stanął ostatni z trzech *fida'i*. I znowu zaczęto klaskać.

Fida'i otrzymał już pocałunek od *Grand Da'i*, lecz mistrz przytrzymał go jeszcze za rękaw i po cichu udzielił ostatniej instrukcji. Asasyn podszedł do Wita, odwinął z ramion płótno i położył osłupiałemu posłowi na kolanach.

Potem ruszył przy ogromnym aplauzie zebranych, pomachał jeszcze swoim braciom zakonnym, co wywołało huraganowe oklaski, zaczął biec, odbił się na progu i skoczył w pustkę. Z dzikim krzykiem wzbił się w górę orzeł, zatoczył krąg nad zgromadzonymi asasynami i odleciał w stronę skalistych szczytów gór Noisiri.

Po tym wprowadzeniu Wit oczekiwał, że *Grand Da'i* rozpocznie z nim rozmowę. Ale nic takiego nie nastąpiło.

Młodzi *fida'i* zaprowadzili go do obszernego pokoju na parterze. Ponieważ nie mówił po arabsku, nie zdołał ich wypytać o Rosza.

Ze swego pokoju mógł o własnych siłach pójść, dokąd chciał. Po obu stronach drzwi stali wprawdzie wartownicy, ale go nie zatrzymywali.

Mimo to wiedział, że jego kroki są obserwowane od chwili przybycia. Zbyt pospieszne i jednostronnie okazane pragnienie, by zawładnąć chłopcem, musiało nieuchronnie wskazać na małe zainteresowanie Rzymu prowadzeniem rozmów z asasynami i mogło doprowadzić do

niepowodzenia jego misji. Z drugiej strony musiał Rosza dopaść, póki *Grand Da'i* będzie znosił jego obecność w Masnacie. A czas uciekał.

Już o szarym świcie pierwszej nocy Wit znalazł obok łóżka drgający jeszcze sztylet, który przyszpilił do drewna pytanie. Brzmiało ono: *Quia propheta tuo Jesu Dei filius – qui potest profundere sanguinem regionum?** Viterbczyk wiedział, że musi na nie odpowiedzieć. Jeśli da odpowiedź nietrafną, Masnat może odwrócić się do niego plecami, jeśli da fałszywą, opuści twierdzę nogami do przodu, a jego kule zostaną rzucone za nim.

Początkowo jego podróż była uskrzydłona myślą, by przy pomocy asasynów utworzyć tutaj, w Ziemi Świętej, drugi front przeciwko Hohenstaufom, ale ci do obecności w *Outremer* przykładali niewielką wagę i pozostawili już wszystko Ludwikowi. Jego matka we Francji zagarniała posiadłości każdego lennika, który się odważył być posłuszny wezwaniu papieża do krucjaty przeciwko Konradowi.

Wit z Viterbo przygotował się na wszelkie warianty dyskusji, na roszczenie asasynów, żeby ich samych – na podobieństwo *ecclesia catholica* – widzieć jako świecką władzę uprawnioną do wywyższania i zrzucania władców, na starania Rzymu, by podjąć rozmowy z chrześcijańskimi Mongołami, którzy byli przecież zdeklarowanymi wrogami asasynów w Persji, na zarzut nietolerancji wobec innych religii, na niecierpliwość wobec odszczepieńców.

Tutaj widział Wit jak najwięcej wspólnego. Mógłby rzec tak: „Nie sądzę, że takie są drogi i cele Kościoła! Pochodzimy przecież wszyscy z owego surowego zakonu wtajemniczonych, wiedzących, których Syryjczycy nazywają *asaya** i których my spotykamy w świętych pismach jako esseńczyków*. Prorok Jan był jeden, dlaczego jego następców miałoby być wielu? Według mnie słowo «asasyn» nie wywodzi się od «haszaszyn», lecz od *asaya!*”

I co odpowiedziałyby *Grand Da'i*. Uściskałby go i zawołał: „Dobrze wywiedzione! Dobrze wywiedzione! Twój wrogowie nie są już moimi przyjaciółmi!” A może spytałby: „Chciecie nas sobie ująć, abyśmy ostatnią nić z hohenstaufowskiego dziedzictwa wsunęli wam między zęby?”

Na to mógłby tylko odpowiedzieć, że tak pięknej narzeczonej jak *ecclesia* nie powinno być czuć z ust. Wit odrzucił tok dyskusji prowadzący do *unam sanctam**.

Ale musiałby pozwolić, żeby *Grand Da'i* go zapytał, dlaczego papież, który panuje nad światem chrześcijańskim, nie rozkaże Mongołom, by zaprzestali prześladowania asasynów. Ach, oni go nie słuchają, nie znają go? A więc nie są dobrymi chrześcijanami czy też prawowiernymi, jak wy w Rzymie, którzy potraficie udowodnić, że papież pochodzi w prostej linii od proroka.

* *Quia propheta...* (łac.) – skoro twój prorok Jezus jest Synem Bożym – kto może przelać krew królów?

* *Asaya* (st syr.) – leczący, pocieszyciel, pośrednik, pomocnik, lekarz.

* *Esseńczyki* – żydowska tajna sekta.

* *Unam sanctam* (łac.) – jednego świętego; mowa tu o dążeniu Kościoła rzymskokatolickiego do zjednoczenia pod swym przewodnictwem innych kościołów chrześcijańskich.

Czy to jest powód, dla którego Rzym obawia się dzieci?

Witowi z Viterbo taki zwrot w rozmowie nie odpowiadał. Zbyt nieprzyjemne były liczne czyhające potrzaski... ale co najgorsze, nie doszło jeszcze do żadnej rozmowy!

Minęły już trzy dni, nie odpowiedział na postawione pierwszej nocy pytanie, a Rosz znikł bez śladu, Wit nie mógł nawet niczego wywęszyć. Tropiący wyżeł zamku Świętego Anioła się zestarzał.

Osowiały włóczył się po dziedzińcach i korytarzach, głuchy stukot jego drewnianych kul rozlegał się nawet na koronach murów.

Całe godziny siedział pomiędzy blankami i nieruchomym wzrokiem przyglądał się krajobrazowi. Obracał w ręku sztukę płótna, którą mu przekazał młody *fida'i*, zanim jako orzeł poleciał do rajju.

Nie uszło jego uwagi, że do Masnatu przybył jego stary przeciwnik Jan Turnbull.

Sędziwy *maestro venerabile* pojawił się cichaczem, aby u swego przyjaciela, kanclerza Tarika ibn-Nasira, oraz swego syna Creana z Bourivanu, *fida'i*, znaleźć spokojny kąt i umrzeć.

Tymczasem obaj byli nieobecni, zamiast nich zastał *Grand Da'i*, który jego pojawieniem się nie był szczególnie zachwycony.

– Zgotowaliście temu domowi zakonnemu wiele nieprzyjemności, Janie Turnbullu. Fakt, że wasz syn tutaj służy, nie uprawnia was do tego, aby z Masnatu czynić punkt oparcia dla planów dotyczących dzieci.

Jan Turnbull uśmiechając się odrzekł:

– Dla mnie Masnat jest punktem końcowym, a co się tyczy królewskich dzieci, to tak stanowią pakt z asasynami, Wielki Plan, i tak postanowiono u góry...

– U góry też postanowiono, że skoro tylko dzieci się połączą, opuszczą Masnat, na zawsze!

– Obawiacie się o ich bezpieczeństwo?

– Jak długo moje rozkazy są wykonywane i tutaj znów panuje dyscyplina i porządek, dzieci nie mają się czego obawiać! Ale wy przeszkadzacie: przebywa w naszych murach poseł z Rzymu, niejaki Wit, z funkcji generał cystersów i naturalny syn kardynała Rajnera z Capoccio, pana zamku Świętego Anioła i tajnych służb...

– Wit?

Stary Turnbull pokręcił w zamyśleniu sędziwą głową. To przecież niemożliwe, Wit zginął w Konstantynopolu, roztrzaskał się przecież na śmierć!

– Wit z Viterbo – uzupełnił *Grand Da'i* mimochodem.

Jan Turnbull patrzył na niego osłupiały.

– Wit z Viterbo? – powtórzył i dodał cicho: – I wy, wielki mistrzu, mówicie jeszcze o bezpieczeństwie dzieci?

– *Maestro venerabile* – powiedział *Grand Da'i* ostro – nie ośmieszajcie siebie i nas! Generał cystersów jest kaleką, biedaczyskiem o kulach...

– Wszelako diabłem!

– Zwidują się wam upiory! Z jego strony nie grozi żadne niebezpieczeństwo – stwierdził *Grand Da'i* rozzłoszczony – raczej od was, od waszej samowoli, Janie Turnbullu! – I ciągnął dalej surowo: – Oczekuję od was, że Wita powitacie z należnym respektem, jeśli spotkania nie da się uniknąć. Generał jest nietykalny jako poseł Kościoła, nawet jeśli wy osobiście uważacie go za diabła.

Na tym audiencja się zakończyła.

Jan Turnbull nie czuł już żadnej ochoty do umierania, jego siły żywotne obudziły się znowu, znowu jak młodzieniec był gotów do walki. Musiał działać.

Wit nie na próżno tkwił na murach jak chromy sęp. Widział stąd dziedzińce i brukowane uliczki i kiedyś musiał wypatrzeć swoją zdobycz, wysledzić jej drogę, wytropić zwyczaje.

Jego cierpliwość została nagrodzona. Zobaczył Rosza skradającego się do biblioteki.

Zadrzał z podniecenia. Chwycił kule i zszedł schodami, przy czym każdy stopień był dla kaleki kamieniem probierczym jego woli. Przeciął niby przypadkowo dziedziniec, po którym przeszła jego ofiara, i zlustrował korytarz.

Na końcu korytarza znajdowały się drzwi prowadzące do suterenu, gdzie asasyni przechowywali swoje apokryficzne* księgi. Nawet w zamku Świętego Anioła z jego tajnymi archiwami bibliotekarze mówili z pełnym szacunkiem o tych skarbach wiedzy i herezji.

Ale nie to interesowało teraz Wita. Zbadał rozwidlający się korytarz. Gdyby się ukrył w tym miejscu, mógł każdemu, kto wyjdzie z drzwi, przeciąć drogę. Ofierze pozostawał wówczas tylko ślepy korytarz, słabo oświetlony umieszczonymi wysoko okienkami. Jeśli Rosz ucieknie do tego zakamarka, Wit bez trudu zapędzi chłopca do kąta i tam dokona swego dzieła. Przypuszczalnie nie od razu znajdą ciało, a on od dawna będzie znów siedział na murach...

I w tym momencie otworzyły się drzwi.

Witowi zaparło dech. To był Rosz!

Towarzyszył mu jednak jeden ze starców. Wit oparł się o mur. Starzec poklepał Rosza zachęcająco po ramieniu i wycofał się za żelazne drzwi. Wit wyraźnie usłyszał przekręcenie klucza w zamku, a potem oddalające się kroki.

Rosz szedł pogrążony w myślach i gdy w pewnej chwili podniósł wzrok, spostrzegł, że stoi przed swoim prześladowcą, i to tak blisko, że Wit nie oparł się pokusie i uderzył kulą.

Chłopiec zręcznie uniknął ciosu, nagle wyrwany z odrętwienia. Zdawał sobie sprawę z ograniczeń przeciwnika, ale pojmował także, że nie ucieknie obok niego do wyjścia. Z

* Apokryf (gr.) – utwór o tematyce biblijnej, nie umieszczony w kanonie biblijnym.

powrotem? Drzwi były zamknięte. Łomotanie nie sprowadzi starców na czas. Pozostał tylko korytarz z wysoko umieszczonymi oknami. Jeśli pobiegnie dostatecznie szybko i skoczy dostatecznie wysoko, powinien dosięgnąć kraty i podciągnąć się w górę. Ruszył biegiem prosto na Wita, czym go zupełnie zdezorientował, potem jednak zrobił nagły zwrot i zniknął w mrocznym korytarzu.

Wit nie spieszył się, był pewien wygranej, z wolna sunął o kulach w tym samym kierunku.

Rosz dobiegł do końca korytarza, sprężył się i skoczył. Udało mu się złapać kratę obydwoma rękoma i – to było teraz najtrudniejsze, a nie było szans na drugą próbę – podciągnął się siłą ramion w górę, podczas gdy stopami szukał punktu zaczepienia w gładkiej ścianie. Bogu dzięki, miał w tym wprawę. Musi mu się udać, póki siły go nie opuszczają...

Wit skrzęcił za róg i stwierdził z wściekłością, że zdobycz usiłuje się wymknąć. Wysunął energicznie kule do przodu i próbował potężnymi susami nadrobić stracony czas. Czy miał rzucić kulą? Nie, musiał nią uderzyć celnie, w tułów lub w nogi, strącić chłopca z kraty...

Rosz przeciskał się już przez żelazne pręty, gdy Wit w dole podniósł kulę do ciosu. Z nogi chłopca spadł but. Wit odruchowo się uchylił i uderzył niecelnie. Drewno rozleciało się w drzazgi na żelaznej kracie. Rosz rzucił się do przodu i przeciągnął drugą nogę przez pręty, nim zagrzmiało następne uderzenie kuli zadane w nieprzytomnej wściekłości.

Rosz czołgał się przez ogród, nogi drżały mu za bardzo, aby mógł iść. Wreszcie podniósł się, przeszedł chwiejnym krokiem koło rzędów konopi i odnalazł spokój dopiero wtedy, gdy dotarł do obrotowej statuy Bachusa i wślizgnął się do jego podziemnego królestwa.

Jan Turnbull nie musiał długo szukać Wita. W ostatnich promieniach zachodzącego słońca znalazł starego wilka z troskliwie ułożonymi obok siebie kulami w niszy na bastionie. Potężne ciało spoczywało między kamieniami, a martwe nogi wisały w próżni.

– Właściwie oczekiwałem Williama z Roebruku – powitał go Wit tonem pełnym drwiny.
– Ten mnich wciąż plątał mi się pod nogami...

– Wasze nogi nie są już nic warte! – oświadczył na to Turnbull. – Wy jednak, Wicie, chcecie nawet na czworakach podążać za waszą nienawiścią...

– Wy też długo nie pociągniecie, Janie Turnbulla, kostucha już was nazaczyła, co widać jak na dłoni. Macie rację, życie bym chętnie oddał, byleby tylko zabić dzieci. Niestraszne mi piekło, jeśli osiągnę cel!

– Was wzywa raj, Wicie z Viterbo – oznajmił Jan Turnbull z dziwną stanowczością – podobnie jak i mnie jest on przeznaczony...

Zachowywał się tak, jakby nie zważał na niedowierzające zdumienie, które się pojawiło na twarzy generała cystersów.

– Tak jak wy myśliwym, tak ja na moje stare lata byłem strażnikiem dzieci i niestety w końcu musiałem stwierdzić: one nie są tego warte! Zawiodły nasze oczekiwania – dodał ze smutkiem.

– Chcecie mnie wprowadzić w błąd, panie *chevalier* z Mont-Sion! – wyśmiał go Wit. – Nie sądzicie przecież, że się nabiorę na ten starczy zwrot w nastrojach przebiegłego uparciucha, jakim jesteście.

– Możecie się ze mnie natrzasać. – Jan Turnbull udawał obrażonego. – Memu uporowi zawdzięczam to, że mi dopiero teraz, w obliczu bliskiej śmierci, otworzono oczy: „dzieci Graala” są fałszerstwem! A nawet niebezpieczeństwem! Byłoby lepiej, gdyby nigdy się nie urodziły!

Wit obserwował Turnbulla z napięciem.

– Wasza nagła i późna przemiana z Pawła w Szawła nie przekonuje mnie...

– Czy dacie się przekonać, Wicie, jeśli wam pomogę te dzieci unicestwić? – zapytał Turnbull zamyślony.

Długo musiał wytrzymać nieufne spojrzenie Wita.

– O dziewczynkę troszczą się moje drogie siostry w Chrystusie na górze Karmel – oznajmił generał cystersów. – Jeśli się oprze tej kuracji i ucieknie, oczekuje ją tutaj moja *manus terminatoris**.

Skrzyżował swoje olbrzymie dłonie z rozcapierzonymi palcami, aż trzasnęły przeguby.

– Przyprawdźcie mi Rosza, Janie Turnbulla, wtedy wam uwierzę!

– Powiadomię was, gdzie go możecie samego zastać – szepnął Turnbull. – Reszta jest waszą sprawą...

– Tak powinno się dokonać dzieło mojego życia – radował się Wit. – Chętnie opuszczę ten padół płaczu, jeśli tylko będę miał pewność, że dzieci nie żyją!

Chwytał kule i podniósł się energicznie. Krwiście czerwone słońce zapadło za wierzchołki skał, Jan Turnbull cofnął się z respektem przed potężnym Witem.

– Ja nie zdobędę tej pewności – zwierzył się cicho viterbczykowi – udaję się już jutro do raj. Dobranoc.

Skłonił się lekko i opuścił bastion.

Wit źle spał tej nocy. Wprawdzie drzwi gościnnego pokoju miały mocny zamek, a okno było zaopatrzone w solidną kratę, lecz Wita nie opuszczało uczucie, że asasyni mogą się tu dostać o każdej porze. Przewracał się niespokojnie na łóżku. Śnił o sztyletach, które drząc wbijały się w drewno obok jego głowy, o ciepłych bułkach, które leżały na jego przykryciu, uciskały mu pierś i tamowały oddech*.

* *Manus terminatoris* (łac.) – ręka wykonawcy (oprawcy, kata).

* Ciepłe bułki – „ostatnie ostrzeżenie” asasynów. Jeszcze ciepłe pieczywo miało demonstrować, że niepostrzeżenie mogą się dostać do każdej prywatnej komnaty.

Zerwał się ze snu zlany potem i macał w poszukiwaniu niosącego groźbę pieczywa; nie znalazł nic.

Przez okno wtargnęło do wnętrza blade światło dalekiego jeszcze poranka, potem dobiegło gruchanie gołębia. Ptak dreptał po kamiennym parapecie w tę i z powrotem i Wit dostrzegł na jego nóżce pierścień z roleczką.

Powolnym ruchem wyciągnął w górę rękę i podsuwał otwartą dłoń ku oknu, aż gołąb na nią wszedł. Wit wyciągnął list z pierścienia.

List nosił pieczęć przeoryszy klasztoru na górze Karmel i był zwięzły: „Na polecenie Williama z Roebroku do *Chevalier* z Mont-Sion, obecnie w Masnacie: Wspomniana nowicjuszka imieniem Izabela, rodzice nieznanymi, rzekomo królewskiej krwi, zmarła dziś na skutek abortu. To do wiadomości jedyne go znanego nam krewnego Rogera-Rajmunda. Postscriptum: na żądanie Jej Królewskiej Mości zwłoki pogrzebano nie po chrześcijańsku. Niech jej dusza spocznie w spokoju. L.S.*”

Wit nie posiadał się z radości. Czy powinien tę wspaniałą wiadomość podetknąć pod nos staremu Turnbullowi? Postanowił sam się nią rozkoszować.

W przystępie dobroci nie udusił gołębia, otworzył pięść i wypuścił ptaka przez okno; jako doręczyciel tak pomyślniej wieści zasłużył po trzykroć na swe głupie życie. Potem Wit podarł pergamin i strzępy wepchnął sobie do ust. Zjadłszy, ułożył się spokojnie na spoczynek i spał szczęśliwy bez żadnych marzeń aż do wczesnego ranka.

Wtedy stanął przy jego łóżku m³ody *fida'i* i powiadomił, że *maestro venerabile* kazał spytać, czy może liczyć na obecność generała cystersów przy swoim „kroku do rajnu”.

Wit zerwał się natychmiast, kazał sobie podać kule i zaprowadzić się do biblioteki, gdzie go oczekiwano.

Ubrany w odświętną biel Jan Turnbull siedział pośrodku kręgu starców; palili *nardżila** i cicho śpiewali do wtóru melodii, którą grali *fida'i* na różnych instrumentach. Panował pogodny, prawie radosny nastrój.

– Podejdźcie bliżej – zaprosił Wita Jan Turnbull – uradujcie serce brzmieniem słów wielkiego Rumiego*!

Viterbczyk uśmiechnął się niepewnie, więc Turnbull dorzucił:

– Chętnie wam je przetłumaczę, bo są tego warte. To mówi ktoś, kto zna drogę.

*Z chwilą gdy przyszedłeś na ten świat,
ustawiłeś sobie drabinę,
po której zawsze możesz uciec.*

* L. S. (*locus sigilli*, łac.) – miejsce pieczęci, na pieczęć.

* Nardżila (arab.) – fajka wodna, nargile.

* Wielki Rumi – Dżalal ad-Din Rumi (1207-1273) perski suficki mistyk i poeta, który uciekł przed Mongołami do Ikonium (Konya); w roku 1244 został uczniem sufiiego Szamsa ad-Dina at-Tabriziego. Największym dziełem Rumiego jest poemat mistyczny *Mathanawi-i-ma 'nam*. Założył zakon derwiszów tańczących.

Wit zasiadł w kręgu starców, otrzymał *masasa** i wciągnął mocny haust dymu. Jan Turnbull, trochę już odurzony, kołysał głową w takt pieśni.

*Z ziemi stałeś się rośliną
z rośliny stałeś się zwierzęciem.
Potem stałeś się człowiekiem
obdarzonym wiedzą, duchem i wiarą.*

Jan Turnbull kierował słowa poety do Wita z Viterbo, nie spuszczać z niego hipnotyzujących błyszczących oczu. Wit, czy chciał tego czy nie, odczytywał wiersze z jego warg. Najpierw poczuł niewielki zawrót głowy, potem jego ciężkie członki przeniknęło uczucie lekkości, spokój zapanował w żadnym zemsty sercu. Powtarzał sobie w myślach, by koniecznie dowiedzieć się od starego durnia, gdzie można znaleźć Rosza. Potem niech się już Turnbull wyprawia do raju!

*Popatrz na swoje ciało zrodzone z prochu,
Czyż nie udało się wspaniale?
Czemu obawiasz się jego końca?
Kiedy śmierć uczyniła cię mniejszym?*

Wit siedział ze wzrokiem zatopionym w oczach Jana Turnbulla. Właściwie zazdrościł Turnbullovi takiego spokoju w obliczu śmierci, podczas gdy jego wciąż jeszcze dręczyła konieczność odpowiedzi na pytanie: „Kto może przelać krew królów?”

Podstęp krył się w pierwszej części pytania: „Skoro Twój prorok Jezus jest Synem Bożym...”, czemu nie mógł zaprzeczyć żaden wierzący chrześcijanin. Cóż jednak miało sugerować założenie o potomstwie Bożym?

Wit westchnął i spróbował przepłoszyć obrazy, które zaczął wytwarzać jego zamglony umysł. Widział się na wieży na pustyni, ale Jezus miał sędziwe, a zarazem wiecznie młode rysy Jana Turnbulla, a on, Wit, był kusicielem. *Apaga satana!**

Potomkowie namaszczonego Mesjasza byli namaszczonymi królami, asasyni uchodzili za fanatycznych zwolenników szyitów. Reprezentowane przez niego, generała cystersów, papieżstwo kierowało się pogardzaną przez ismailitów sunną, przekazywaniem posłannictwa przez ludzkie usta, nie przez misterium dynastycznej krwi.

Jak zwierciadło leżało w dole jezioro, brzeg i horyzont migotały w upale i jaskrawym świetle. Namaszczony Mesjasz szedł po wodzie i skinął na Wita, żeby poszedł za jego

* Masasa (arab.) – munsztuk (ustnik) fajki wodnej.

* Apaga satana! (łac.) – idź precz, szatanie!

przykładem. Jezus był chłopcem, to Rosz skinął i uśmiechnął się do niego. *Profundere sanguinem regium?**

Wit chciałby tego ranka jeszcze raz spytać Jana Turnbulla o wątpliwości, które go naszły, ale było już za późno. Stary heretyk zabierze ze sobą do raję odpowiedź na dręczące pytania.

Witowi z Viterbo pozostała tylko wina Adama, żądza Kaina, przymusowa ofiara Abrahama: musi zabić ostatnią latorośl Hohenstaufa i Graala. Był przeklęty! Jego wspaniały ojciec, Szary Kardynał, ostatniego roku rozstał się ze światem. Nie było mu już dane doczekać końca znieawidzonego wroga, Fryderyka. Ale i bez nacisków ojca Wit czuł się nadal popędzany. I był zmęczony.

Monotonny śpiew starców wzmagają działanie narkotyku, który pętał członki i spowolniał ruchy, lecz zaostrzał zmysły uwolnione od balastu rozumu, od ciężaru ziemi. Dusza wyrывała się ku wolności, pragnęła ulecieć w dal – na skrzydłach orłów do raję...

Wit wciągał chłodne hausty aromatycznego dymu i już prawie nie czuł ciężaru bezwładnych nóg.

Starcy wstali. Skłonili się przed Janem Turnbullem, który też się podniósł i dał znak Witowi, by ruszył razem z nim.

Viterbczyk zachwiał się, dwaj młodzi *fida'i* musieli go podtrzymać, aby mógł o kulach nadażyć za raźnie krocącym Turnbullem.

*Kiedy swoje ciało zostawisz za sobą,
Staniesz się aniołem,
Który pędzi po niebie!*

Jan Turnbull obejrzał się za Witem i przez ramię szepnął:

*Nie powinienes jednak tam przebywać;
Także w niebie się starzejesz.*

Opuścili podziemną bibliotekę i wyszli na dziedziniec.

*Zostaw także za sobą królestwo niebieskie
i zanurz się w nieskończonym oceanie świadomości.
Pozwól kropli wody, którą jesteś,
stać się setką potężnych mórz!*

Jan Turnbull doprowadził Wita na miejsce i wydawało się, jakby przekazał mu ostatnie wersy pieśni.

* *Profundere sanguinem...* (łac.) – przelać krew króla?

*Nie myśl, że tylko kropla staje się oceanem.
Również ocean staje się kroplą!*

Na wznoszących się na prawo i lewo stopniach zajęli już miejsca asasyni z Masnatu. W środku siedział Tadż ad-Din, *Grand Da'i*, ale obok niego, tam gdzie uprzednio znajdował się Rosz, stał inny chłopiec... Tak, to był przecież młody *fida'i* ze sztyletami, który na oczach Wita rzucił się w przepaść! Przedtem przekazał laskę ze sztyletów Roszowi, a teraz trzymał ją znowu.

– Jak to? – szepnął wzburzony Wit. – Ten chłopak ze sztyletami udał się przecież do rajuu...

– Odesłano go nam – wyjaśnił cicho Turnbull. – Inny zajął w rajuu jego miejsce: dziś w nocy odszedł od nas Rosz, syn Graala.

Serce Wita śpiewało hymn wielkiej radości. A więc dzieci nie żyją! Bóg to sam uczynił, nie posłużył się nim jako narzędziem. Bóg go już nie potrzebuje!

– Zauważcie, Wicie – zwrócił się do niego jeszcze raz Turnbull – wszystko zmienia się na lepsze. – Mrugnął filuternie do viterbczyka. – Także was czekają teraz niebiańskie radości.

Maestro venerabile podszedł do *Grand Da'i*. Dwaj mężowie uściśnieli się krótko, prawie formalnie. Rozległy się rytmiczne oklaski.

Jan Turnbull zmierzał zdecydowanie do bramy, której skrzydła się teraz rozwarły, przyspieszył krok, odwrócił się w progu, kiwnął na Wita i tyłem runął w przepaść.

– Zaczekajcie! – krzyknął Wit.

Zebrał wszystkie siły i pokuśtykał o kulach spadzistą ścieżką. Oklaski, które już ucichły, wybuchły z nową siłą, zagrzewały go, zaczął się potykać, odrzucił z wściekłością kule, przewyciężył kłujący ból w chromych stopach i wśród burzy oklasków pchnął swe ciało do przodu, aby polecieć na podobieństwo orła. Głową w dół rzucił się przez wrota do rajuu.

Z diariusza Jana ze Joinville

Akka, 11 kwietnia A.D. 1251

Wróciłem z Kairu w towarzystwie Mikołaja z Akki, przywożąc dobre wiadomości dla pana Ludwika. Sułtan Ajbek był naturalnie na czas poinformowany, że Iwo Bretończyk pertraktuje w Damaszku, tak więc łatwo uległ żądaniu króla co do uwolnienia wszystkich pozostałych jeńców. O reszcie okupu nie było więcej mowy.

Naszycy ludzie w Egipcie uwolniono i nakarmiono, aby mogli przetrzymać uciążliwy marsz przez pustynię Synaj. Ich przekazanie miało następować w pojedynczych karawanach,

dzięki czemu konetabl miał mniejsze kłopoty z rozmieszczeniem uwolnionych jeńców w kwaterach.

Król spodziewał się odbudowy stanu osobowego wojska, ale większość wracających miała po dziurki w nosie służby dla Świętego Jeruzalem i zażądała powrotu do domu, do Francji. Nie dała się przekonać ani pieniędzmi, ani dobrymi słowami pana Ludwika. Król był oburzony.

– Nie ma chyba nadziei na nową krucjatę, mój drogi Joinville – powiedział do mnie. – Henryk z Anglii, który już podjął się krucjaty, skłonił przecież papieża do wyrażenia zgody na jej odroczenie. Wskutek tego moi bracia odmówili teraz osłabienia francuskiej armii przez przysłanie wojska do *Outremer*. A Innocenty? On nie wzywa ludzi, aby nam przysłali z pomocą. Nie! On ogłasza krucjatę przeciwko Konradowi, synowi Fryderyka, co znowu jest na rękę mojemu bratu Karolowi. Wszyscy zdradzają Jeruzalem!

– Jesteśmy zdani na samych siebie, Wasza Królewska Mość – próbowałem go pocieszyć – jednakże istnieje nadzieja: sułtan Ajbek obiecuje, za cenę sojuszu militarnego przeciwko An-Nasirowi, zwrócić nam całe Królestwo Jerozolimskie, aż po Jordan na wschodzie, skoro tylko mamelucy zajmą Damazek.

– Czy powinniśmy sobie tego życzyć, drogi Joinville?

– Czy mamy wybór? – spytałem. – Chyba nie – odpowiedziałem sobie od razu. – A więc płaczmy z mamelukami i miejmy nadzieję, że pozostaną nad dalekim Nilem. My zaś mamy teraz An-Nasira na karku!

– Dlatego – rozważał król – nie należy psuć sobie stosunków z asasynami. Nie okazałem rozsądku, pozwalając obu wielkim mistrzom zaatakować tak gwałtownie ostatnie poselstwo asasynów. Teraz Starzec z Gór obrażony zachowuje milczenie. Iwo jest jeszcze w Damazku. Może powinniście wy...?

Rozległy się fanfary i herold ogłosił przybycie księcia Antiochii. Wyjrzelśmy przez okno.

Powiewały chorągwie – czerwony lew na białym polu, tuluski krzyż hrabiów Trypolisu, barwy Tarentu i Lecce. Młodemu księciu towarzyszył znaczny oddział co najmniej trzydziestu rycerzy na bogato przybranych kosztownymi czaprakami koniach. Bębny wybijały szalony werbel.

– Przygotujcie się do tej misji, mój drogi seneszalu – odezwał się król, a ja powiedziałem szybko:

– Tym razem wezmę ze sobą Williama jako tłumacza.

– Jak sobie życzycie – uśmiechnął się kwaśno pan Ludwik – ja nie jestem przywiązany do Williama z Roebruku!



„Należy słuchać głosu własnego serca. Lwi skok jest nie do uniknięcia. Kto jednak nie panuje nad głupotą, temu ona wskoczy na grzbiet. Bagna głupoty nie da się szybko przejść”.

Wyszedłem i na schodach spotkałem uroczysty orszak. Wśród licznych ciekawskich, którzy mu towarzyszyli, odkryłem także Williama.

Konetabl wprowadził księcia Bo z Antiochii do sali audiencyjnej. Książę liczył chyba czternaście lub piętnaście lat, sprawiał jednak wrażenie bardzo pewnego siebie, a jego wystąpienie świadczyło o dojrzałości.

Potwierdził to również mój sekretarz, który wkrótce potem pojawił się w naszej kwaterze.

– Zmarł książę Boemund V. Młody Bo, jego syn, poprosił pana Ludwika, żeby go ogłosił pełnoletnim.

– To jest przecież słuszne – powiedziałem – król z pewnością na to przystanie.

– Oczywiście! Jego Królewska Mość ogłosił od razu, że z największą radością pasuje młodego pana na rycerza, ale – uśmiechnął się William, który znowu więcej wiedział niż inni – ta radość zostanie niebawem zmacona, gdyż świeżo upieczony książę ma zamiar zaraz po swoim powrocie zdetronizować swoją matkę, księżnę regentkę!

– Nie uraduje tym stronników papieskich – oceniłem. – Lucjana z Segni jest bliską krewną papieża Innocentego.

– To osoba bez charakteru, bezwolna lalka w rękach jej rzymskiego spowiednika.

– Wobec tego zasługuje na swój los.

– Owszem, w dodatku ktoś mi opowiedział, że załatwiła wstęp do Masnatu posłowi Rzymu, niejakiemu Witowi z Viterbo.

– Co z tego? – spytałem.

– Ależ on nie żyje! – Williamem wstrząsnął dreszcz. – Przypomnijcie sobie, ten oprawca kurii ścigał mnie i dzieci aż do Konstantynopola, gdzie runął z okna.

– Jeśli nie żyje, to nie żyje – tyle mi tylko przyszło do głowy. – Poza tym pojedziemy wkrótce do Masnatu, wtedy będziecie się mogli upewnić. Król wysłała nas obu jako poselstwo do asasynów.

William nie wyglądał na szczęśliwego.

– Myślę – odezwał się – że powinienem pozostać tutaj. Martwię się o Jezę. Jak tu opuszczać Akkę, dopóki dziewczynka przetrzymywana jest na Karmelu...

– Cóż to znowu za wykręty? – odparłem szorstko. – Nigdzie dziewczynka nie jest tak bezpieczna jak w klasztorze. Jedźcie ze mną. Rozkaz króla! – zełgałem.

Skoro tylko słońce zatonęło w morzu w zatoce Hajfa, na położonej nad nią górze Karmel zrobiło się przenikliwie zimno. Nadleciał lodowaty przejmujący wiatr, przeciągał dookoła nagranych słońcem murów klasztoru, szukał nie zasłoniętych okien i szpar i wzbijając kurz spadał na wewnętrzne dziedzińce.

W umywalni zebrał się wokół przeoryszy niewielki krąg starych zakonnic, skupiły się ciasno i szeptały.

Za nimi odwiązywano od stołu Jezę i przykrywano znowu habitem jej nagość.

Siostra Dagoberta, której powinnością było zbadanie hymenu, podeszła do kadzi z wodą, powąchała jeszcze raz swój wyprostowany środkowy palec, nim go umyła w ługu.

– *Virgo intacta!** – mrukliwie ogłosiła mniszkom.

Przywołana służąca Irmengarda rozwiązała ostatnie więzy, którymi tak przysnurowano do stołu nogi Jezy, że krew odpłynęła jej ze stóp; wszystko po to, aby rozewrzeć dziecięce łono.

Irmengarda masowała nogi dziewczynki. Jezie wydawało się, że już w ogóle nic nie czuje.

Nie broniła się, znosiła wszystko cierpliwie, zepsuty oddech pochylonej nad nią kobiety i brutalnie wepchnięty palec, który sprawił jej ból. Zaciśnęła zęby, nie okazała wściekłości i wstrętu.

Zsunęła się teraz z blatu stołu, podziękowała dobrej służącej, która wciąż jeszcze przed nią klęczała, i wyszła. Nie mogła już znieść tych kobiet cuchnących rybami, uryną, czosnkiem i potem.

– Pozostaje podejrzenie – oznajmiła chuda Kandyda – że ona jednak...

– Na przykład *incubus**! – spytała drwiąco przeorysza. – Płód dostał się uchem do brzucha, a może siostra jeszcze sobie coś wyobraża?

– Dla ogona Belzebuba istnieje wiele otworów – zachichotała grubokoścista Dagoberta i od razu została skarcona.

– Od was oczekuję jasnej znajomości *uteri** – powiedziała ostro przeorysza – w przeciwnym razie możemy po prostu czekać, aż brzuch wezdmie się od owocu. Pojęcie „trochę ciężarna” nie istnieje. A więc przysięgnijcie mi...

– Mogę tylko powiedzieć, że błona jest nie uszkodzona, a przecież...

* *Virgo intacta* (łac.) – dziewica.

* *Incubus* (łac.) – demon zniewalający kobiety podczas snu.

* *Uterus* (łac.) – łono matki, macica.

– Koniec! – rozkazała przeorysza. – Ani słowa więcej! I do nikogo! Nowicjuszka zostanie w każdym razie ukarana za kłopoty, jakie nam zgotowała.

– Proponuję – odezwała się gorliwie Kandyda – stanie z gołymi nogami i z wyciągniętymi ramionami...

– I z Biblią w rękach – dodała Dagoberta ponuro. – Jeśli ją upuści, będzie to znak...

– Że gardzi Słowem Bożym! – dokończyła przeorysza. – Potem zobaczymy, co dalej!

*Capit Deus temporale
nascendi principium,
sed pudoris non amittit
virgo privilegium,
nec post partum castitabis.*

Rezultat badania był przeoryszy obojętny; sam fakt, że musiała je przeprowadzić, już był zdrożny. Najchętniej z miejsca odprawiłaby Jeżę z klasztoru, ale musiała usłuchać rozkazu króla. Chciała też jeszcze znać decyzję królowej, którą powiadomiono o podejrzeniu. Obawiała się najgorszego i myślała, czy nie byłoby lepiej nakłonić dziewczynkę do natychmiastowej ucieczki.

Z pomieszczeń gospodarczych dobiegał śpiew zakonnic.

*A quo postquam et fecunda
nulla sibi fit secunda
miro modo fuit mater,
cuius torum nescit pater.*

W kancelarii czekał na przeoryszę Mikołaj z Akki, spowiednik klasztoru. Wydawał się nadzwyczaj przygnębiony.

– Królowa Małgorzata zadecydowała, aby na wszelki wypadek położyć kres gadaniu. Nawet gdyby się miało okazać, że nie ma żadnej ciąży, nie da się przewidzieć szkód dla królewskiego domu, jeśli źródło wątpliwości nadal będzie istnieć. Nikt nie uwierzy w niewinność Jezy i rozejdą się pogłoski, których nie sposób tolerować. Trzeba więc jak najprędzej przeprowadzić abort, którego matka też nie przeżyje.

– Zabójstwo jest grzechem śmiertelnym, przewielebny! – powiedziała poblądła przeorysza. – Nie zdarzy się to w moim domu, jak długo ja nim zawiaduję przed Bogiem i ludźmi.

– Kto mówi o morderstwie?! Chodzi o nagłą chorobę, co najwyżej o medyczne niepowodzenie, ubolewania godny wypadek... – przekonywał Mikołaj.

– W murach klasztoru, z setką ciekawskich uszu?

– Wobec tego zatroszczcie się o samobójstwo, to skróciłoby cierpienia pani królowej...

– A gdyby Jeza zniknęła?

– Za późno! – oświadczył Mikołaj. – Hańba musi być jak najszybciej pogrzebana i ufajmy, że wówczas wkrótce zostanie zapomniana. Dopóki księżniczka żyje, powoduje zbyt wiele rozgłosu.

Kapłan podniósł się i opuścił pokój. Przeorysza otworzyła szufladę pod pulpitem. Leżał w niej sztylet, który kazała Jezie odebrać, gdy dziewczynka przestraszyła bronią siostry. Teraz przeorysza ukryła sztylet pod habitem. Z dziedzińca dobiegł okrzyk bólu, po chwili rozległy się dzikie wrzaski. Zignorowała to i skierowała swe kroki do pustej celi Jezy. Rozejrzała się badawczo po korytarzu, nim do niej weszła. Wsunęła sztylet pod nakrycie łóżka dziewczynki. Potem pospieszyła na dziedziniec.

Kilka mniszek przytrzymało rzucającą się szaleńczo i kopiącą Jeżę, którą już przywiązano do stołka.

Dagoberta stała z dzbanem pełnym parującego napoju i wielkim lejkiem, jakiego używa się w czasie winobrania, gotowa wlać dziewczynce do ust kolejną porcję naparu.

Kandyda podrygiwała dookoła.

– Ta mała czarownica upuściła mi Pismo Święte na nogi! – pożałowała przeoryszy, która interesowała się przede wszystkim zawartością dzbana.

– Niewinny napar z korzenia mandragory, berberysu i bożego drzewka – oznajmiła Dagoberta, Kandyda jednak poprawiła ją z wściekłością:

– Do tego jagody kermesu, narecznica i zimowit jesienny! To przeczyści najgrzeszniejszy komin, wyjeżdżony przez koźlonogiego!

Przeorysza wymierzyła jej policzek i kopnęła gliniany dzban tak, że upadł na ziemię, rozbił się, a mętna ciecz rozlała się po posadzce.

Widziała w głębi pod arkadami postać Mikołaja z Akki, nim wyszedł po kryjomu.

– Rozwiążcie ją! – rozkazała wzburzonym zakonnicom. – Zaprowadź dziewczynkę do celi – poleciła przebiegającej obok Irmengardzie – i daj jej tyle mleka, aż zwymiotuje!

Potem zwróciła się do podnieconych kobiet.

– Oczekuję was za pięć minut w kaplicy. *Silentium strictissimum!** – krzyknęła, gdyż niektóre jeszcze coś szeptały. – I przygotujcie się na długą noc!

* *Silentium strictissimum* (łac.) – najsurowszy nakaz milczenia.

Z diariusza Jana ze Joinville

Akka, 28 kwietnia A.D. 1251

W ostatnich dniach przed planowaną podróżą do asasynów przebywałem przeważnie w pałacu, a także nie spuszczałem z oczu mojego sekretarza, bo chyba zamierzał skrycie wykręcić się od wyjazdu, żeby – jak to nazywał – móc wywiązać się ze swych obowiązków strażnika córki Graala, o którą się dotychczas naprawdę niewiele troszczył.

Z góry Karmel nadchodziły złowrózne pogłoski. Dwór papłał o ciąży Jezy, przypominając dziwne spotkanie księżniczki z Jego Królewską Mością, sam na sam o nocnej godzinie w wielkiej piramidzie, a prostoduszny pan Ludwik podsycił to podejrzenie pełnym zachwytem gadaniem o *virgine intacta*.

Siedziba joannitów wcale nie leżała na mojej codziennej drodze do zamku królewskiego, lecz tuż przy wybrzeżu morskim w dzielnicy Montmusart. Jednakże odnalazł mnie oddział ich rycerzy, ale nie poprowadził do siedziby wielkiego mistrza, tylko w kierunku szanca joannitów, potężnego wału obronnego, między dwoma pierścieniami murów.

W wieży oczekiwał Jan z Ronay, teraz drugi co do ważności w zakonie. Powitał mnie dosyć napastliwie.

– Musicie przyznać, panie Joinville – rozpoczął rozmowę – że nie odnieśliście sukcesu we wzmiankowanej „sprawie” i stąd też nie jestem wam nic dłużny.

– Mój drogi Ronay – odparłem – sukces czy niepowodzenie musicie sobie samemu przypisać. Byłem tylko waszym doradcą, działaliście natomiast wy, chyba że chcecie mi dodatkowo przyznać uprawnienia wielkiego mistrza.

To było celne, więc od razu dodałem:

– Co się zaś tyczy dotrzymania przez was słowa, będę tego oczekiwał z przekonaniem, że honor zakonu nie zaginał pod waszym kierownictwem.

Szybko się opamiętał. Mruknął coś o niewdzięcznym świecie i że osobiście ręczy za moje wynagrodzenie, ale, dorzucił szybko, chce jeszcze podjąć ostatnią próbę i liczy na moją pomoc.

– Na to możecie liczyć zawsze.

– Wiadomość jest wysoce poufna, seneszału, ale powiem wam, że jeśli księżniczka wyjdzie z klasztoru żywa, jak najszybciej opuści Akkę i to jest nasza szansa, nasza wielka szansa.

Popatrzył na mnie znacząco, a ja się roześmiałem.

– Nie musicie udawać Pytii*, mój dobry Ronay. Taką wyrocznię przedstawi wam dzisiaj każdy wróż między Akką a Jaffą, nie wzięwszy za to ani grosza. Oczekiwałem co najmniej, że mi powiecie, iż wasi rycerze uwalniają w tej chwili Jezę siłą.

– Tego nie możemy zrobić królowi.

– Chyba raczej królowej! – sprzeciwiłem się szorstko. – Jeśli tym razem będziecie zwlekać, potem będzie za późno albo inni się na to odważą.

– Jeśli księżniczka faktycznie nosi pod sercem dziecko króla...

– Wtedy ubijecie dwie muchy za jednym zamachem, gdyż w waszych rękach znajdzie się matka i dziecko, córka Graala z bastardem Kapetynga. Tylko musicie ją wreszcie złapać! – Rozgniewało mnie jego niezdecydowanie.

– Zostawcie już mnie ten kłopot – mruknął joannita – nie chcę tym razem popełnić błędu.

– Jak sobie życycie! Ale nie zrzucajcie na mnie odpowiedzialności!

– W odpowiednim czasie dowiecie się, jakie będzie wasze zadanie – rzekł zarozumiale.

Powstrzymałem się od odpowiedzi. Musiałem doprowadzić tę grę do końca, w przeciwnym razie wszystkie wysiłki były daremne, a gdy pomyślałem o templariuszach, którzy z pewnością po usłyszeniu o ciąży nie posiadali się z gniewu, nie mówiąc już o Przeoracie Syjonu, wcale nie poczułem się dobrze.

Kiedy wreszcie dotarłem do zamku, przybyło tam właśnie oczekiwane z utęsknieniem poselstwo asasynów. Nie byli to ci sami ludzie co za pierwszym razem, lecz starsi *fida'i*, którzy wystąpili bardzo roztropnie.

Przynieśli królowi koszulę *Grand Da'i* na znak najgłębszej sympatii.

– Tak jak koszula jest bliższa ciału niż inne części odzieży, tak nasz mistrz obejmuje króla Ludwika miłością, która jest większa i mocniejsza niż związek z innymi królami.

Przekazali także pierścień z palca *Grand Da'i*, na którym wygrawerowano jego imię, jako przesłanie, że Tadż ad-Din zawiera teraz przymierze z królem i głęboko pragnie, by pozostali odtąd zespoleni, jakby byli związani węzłem małżeńskim.

Odebrałem to wszystko jako bardzo napuszone i mocno przesadzone, ale mój pan król był poruszony.

Wśród kosztownych podarunków znajdował się także wyrzeźbiony z kości słoniowej słoń i zwierzę o długiej szyi, które nazywano *zarafa**, oraz różne owoce, wszystkie z delikatnego kryształu i kwarcu. Była także szachownica wyłożona masą perłową i hebanem oraz figury wycięte z rogu, ozdobione bursztynem. Poza tym szkatułki inkrustowane jaspisem, karneolem i agatami, a inne całe z fioletowego ametystu i bladozielonego nefrytu.

Gdy posłowie otworzyli szkatułki, mocny zapach wypełnił całą salę audiencyjną.

Król odprawił ich łaskawie, a gdy obecny na audiencji młody książę Antiochii poprosił o zaszczyt odprowadzenia posłów na kwaterę, nikt nie powziął najmniejszego podejrzenia.

* Pytia – wieszczka w świątyni Apollina w Delfach; pot. wróżka.

* Zarafa (arab.) – żyrafa.

Tylko William szarpnął mnie za rękaw i powiedział:

– Czy zauważyliście znak, jaki najstarszy *fida'i* dał księciu Bo?

– Ach, mój Williamie, jest to przecież całkiem naturalne, asasyni nie są wprawdzie lennikami Antiochii, ale ich zamki leżą w większości w hrabstwie Trypolisu.

– Dla mnie było to zbyt poufale, zbyt ważne i zbyt tajemnicze! – upierał się przy swoim przenikliwym spostrzeżeniu. – To z pewnością ma coś wspólnego z Jezą!

– Możliwe – rzekłem niepewnie, pomyślałem jednak, że ostrzegę joannitów.

Przerwał nam rozmowę król.

– Postanowiłem nie dać się zawstydzić i was, drogi Joinville, zaraz wyprawić do Masnatu, tak jakbyście już byli w drodze z kosztownymi darami, zanim asasyni tutaj przybyli. Wydaje mi się to trafne.

Kazał wnieść swoje upominki.

Była to jeszcze większa góra klejnotów, klamer, pierścieni, sznurów pereł. Do tego bele drogich tkanin aksamitnych i jedwabnych, wyroby futrzane, pięknie wykonane kolczugi z hartowanej, połyskującej srebrzyście i niebieskawo stali, złote ostrogi i siodła z najprzedniejszej skóry i ciężkiego srebra. I w końcu cyzelowany złoty puchar, którego czara wykonana była z najczystszej górskiego kryształu.

– Powiedzcie Starcowi z Gór, że z tego pucharu pił król. Niech za każdym razem, kiedy podniesie kielich do ust, wspomni życzliwie swego królewskiego brata.

Do sali audiencyjnej wrócił Boemund. Teraz wyglądał jednak nie jak mający niebawem panować książę, lecz raczej jak przedwcześnie dojrzały, czternastoletni chłopiec.

– Wasza Królewska Mość! – zawołał. – W chwili pasowania mnie na rycerza obiecaliście spełnić jedno moje życzenie...

– Dałem królewskie słowo – odparł pan Ludwik rozbawiony. – Pozwólcie nam to życzenie usłyszeć.

Boemund wiedział, jak swoją prośbę najskuteczniej przedstawić, aby król nie mógł mu odmówić. Ukląkł przed monarchą.

– Jako wasz rycerz wracam teraz do domu i chcę natychmiast swoją siostrę Plaisance oddać za żonę kuzynowi Henrykowi z Cypru, jeśli Wasza Królewska Mość wyrazi zgodę...

– Oczywiście, że wyrażam zgodę – odparł król. – Oby to małżeństwo dało wreszcie królowi oczekiwanego dziedzica.

– Wszystkie te radosne wydarzenia moi poddani pragną uroczyście świętować – ciągnął dalej Bo – a ja nie chcę, żeby długo na to czekali – dodał z rozwagą. Król skinął głową. – Moim życzeniem jest teraz, aby w Antiochii widzieć u swego boku jako gościa drogą przyjaciółkę, Jezę, księżniczkę Graala. Chciałbym, żeby pojechała ze mną i uczestniczyła w szczęściu moim i mego ludu.

Nie zwracał uwagi na to, że na imię Jezy król wykrzywił wargi.

Działo się to w przytomności całego dworu, panu Ludwikowi nie pozostało więc nic innego, jak z wymuszoną serdecznością powiedzieć:

– Jeśli takie jest wasze życzenie, chcę się do niego przychylić, tylko że księżniczka wstąpiła do klasztoru i jest rzeczą słuszną, by uzyskać zezwolenie przeoryszy, podobnie jak zgodę nowicjuszki.

– Wobec tego proszę pospieszyć ze mną od razu na górę Karmel. – Boemund podniósł się teraz poważny i zdecydowany.

Król próbował zyskać na czasie.

– Sprawy rządzenia nie zezwalają w tej chwili na moją nieobecność w Akce, jednakże przy najbliższej okazji... – przerwał, ponieważ spostrzegł zmarszczkę gniewu na młodzieńczej twarzy księcia. – Być może jutro.

Bo nie zamierzał ustąpić.

– Antiochia jest dla was zbyt ważna jako sprzymierzeniec przeciwko An-Nasirowi, żebyście mogli pozwolić sobie na to, by ją obrażać. Dane słowo należy spełnić natychmiast, podobnie jak natychmiast trzeba płacić długi przy grze.

– Nie znacie jeszcze różnicy między hazardzistą a dobrym graczem – powiedział król – ja zaś nie z powodu przegranej jestem wam coś winien. Zatem szybko spełnię obietnicę, ażeby odwiekaniem nie pomniejszyć wartości przysługi. Wyruszamy, mój książę!

– Wasza wielka mądrość zawstydzą porywczosć mojej młodości – skłonił się Bo.

Pan Ludwik zarządził ogólny wyjazd, tak że ja także byłem zmuszony przyłączyć się do kawalkady. Wysłałem jednak swego sekretarza do Jana z Ronay, aby go powiadomił o rozwoju wypadków.

Jechaliśmy wielką gromadą brzegiem zatoki ku Hajfie. Panował swobodny nastrój, jakbyśmy się udawali na powitanie narzeczonej. Tylko król sprawiał wrażenie szczerze zasmuconego, co zresztą usilnie próbował ukryć.

U stóp góry Karmel spotkaliśmy przeoryszę, która na osle zmierzała w kierunku Akki.

Bo zatrzymał się i pozostawił królowi wyluszczenie, o co nam chodzi, a także ostrożne postawienie pytania, czy miałyby coś przeciwko wizycie Jezy w Antiochii. Ku naszemu zdumieniu przeorysza odpowiedziała z wielką porywczoscią, że została właśnie wezwana do królowej w tej drażliwej sprawie. Jeśli Jezę zabierzemy z klasztoru, będzie się cieszyć całym sercem.

– Im szybciej, tym lepiej! – zawołała i popędziła osła.

W klasztorze siostra furtianka była mocno zakłopotana naszą wizytą.

– Nowicjuszka jest właśnie w kąpielu – zająknęła się, ale wtedy pojawiła się znajoma Williama, służąca w kuchni, i zaczęła mi dawać gwałtowne znaki. Powiedziałem do Bo i króla, że jestem gotów wejść do klasztoru. Bo nastawał na to, żeby mi towarzyszyć.

*Dulcis sapor novi mellis
legem diri fregit fellis,
per quod dici fuit favus
stella maris, Deus almus.*

Przenikliwy śpiew niewidocznych mniszek rozlegał się w posepnych korytarzach, jakby się biły wrony na jesiennym polu.

Innengarda – tak miała na imię służąca – prowadziła nas przez ciemne sklepienie piwnice. Musieliśmy zejść po kamiennych schodach w dół, aż dotarliśmy do żelaznej kraty wpuszczonej w ziemię.

– Cysterna! – szepnęła Innengarda wzdrygając się. – Zabierzcie dziewczynkę stamtąd.

Popatrzyłem w dół i spojrzałem prosto w szeroko rozwarte oczy Jezy, która stała zanurzona po biodra w zimnej wodzie.

– Gdzie jest klucz?! – krzyknąłem na poczciwą służącą.

– Schowały go – zaczęła szlochać – wrzucam jej ciągle gorące kamienie, by...

– Nie możemy teraz tracić czasu na szukanie! – zawołał Bo. – Seneszalu, wasz miecz!

Wyrwał mi broń z ręki i jął uderzać w zamek szaleńczo, jednakże bez skutku, tyle że mój miecz się wyszczerbił, w każdej chwili mogła pęknąć klinga.

Służąca natomiast przyciągnęła zardzewiały drąg żelazny i jego właśnie, podpartego kamieniem, użyliśmy jako dźwigni. Skoczyliśmy obaj jednocześnie na żelazo, aż z donośnym zgrzytem bolce wyskoczyły z zakotwiczenia. Mogliśmy teraz podnieść kratę wraz z zamkiem do góry.

Rzuciłem się do otworu i wyciągnąłem do Jezy rękę, ale mimo że dziewczynka wspinała się na palce, nie mogliśmy się nawzajem dosięgnąć. Wtedy silna Innengarda wskoczyła bez namysłu do wody, objęła Jeżę za nogi i podniosła ku nam. Wreszcie mogliśmy ją wyciągnąć.

Jeza ociekając wodą leżała na ziemi i drżała jak liść osiki. Była sina na twarzy. Zamknęła oczy, jakby straciła przytomność.

Szybko uwolniłem służącą z wilgotnego lochu i poleciłem przynieść ubranie i jakąś ciepłą derkę do okrycia, my tymczasem zaczęliśmy Jezie rozcierać ręce i nogi.

Odsunąłem nieśmiało jej spódnicę powyżej kolan i zacząłem masować nogi, ażeby krew zaczęła w nich na nowo krążyć, Boemund natomiast trzymał dziewczynkę w ramionach i potrzasał nią. Jej głowa chybotwała się to w jedną, to w drugą stronę.

Wreszcie księżniczka otworzyła oczy i po raz pierwszy zobaczyłem, że płacze.

Innengarda wróciła z derkami, a za nią do tego podziemnego pomieszczenia wtargnął król ze swoim orszakiem. Gdy zobaczył leżącą Jeżę, rzucił się na kolana i pokrył jej zimne ręce pocałunkami. Musieliśmy króla odciągnąć, aby dziewczynkę zawinąć w derki i wynieść.

Król podniósł się i przywołał do siebie swego konetabla, pana Idziego le Brun.

– Znajdźcie winnych – powiedział cicho – i rozprawcie się krótko. Mają być powieszeni tutaj z głowami w wodzie, póki życie z nich nie ujdzie!

Ułożono Jeżę w znalezionej gdzieś lektyce. Na czole dziewczynki pojawiły się krople potu, z ust wydobywał się rżęzący oddech. Irmengarda przyniosła gorący napój, włożyła także kilka nagrzaných kamieni między derki.

Wtedy Jeza po raz pierwszy otworzyła usta i zmusiła się do uśmiechu.

– Chcesz mnie chyba upiec? – Zarzuciła służącej ręce na szyję. – Twoje kamienie uratowały mi życie! Zamarzłabym, gdybym na nich nie stała.

Wówczas Bo ściągnął z palca złoty pierścień i подарował służącej. Ruszyliśmy w drogę do domu. Król nie odstępował lektyki ani na krok.

Po przybyciu do Akki Jeżę natychmiast umieszczono w szpitalu i sprowadzono najlepszych lekarzy.

Wróciłem do swojej kwatery, gdzie mnie już oczekiwał William. Gdy mu opowiedziałem o uratowaniu Jezy, znowu okazał się przebieglejszy niż ja.

– To dzieło królowej – wyjawiał mi. – Przeorysza została odwołana, ponieważ się sprzeciwiała zamiarom morderstwa.

– Stawiacie królowej niesłychany zarzut, panie z Roebruku!

Potrząsnął głową.

– Posłuchajcie tylko, panie seneszalu. Pan z Ronay, do którego mnie wysłaliście, został, jak mi powiedziano, wezwany do królowej. Wróciłem więc do zamku i zajrzałem do kaplicy. Nie było tam nikogo, ale akurat usłyszałem, że nadchodzą, rozmawiając z niezwyklejącym przejęciem. Ponieważ naprawdę nie wiedziałem, jak wyjaśnić swoją obecność, ukryłem się w konfesjonale i *nolens volens* usłyszałem to, co nie było przeznaczone dla postronnych uszu.

„Tego jeszcze brakuje!” – oburzała się pani Małgorzata. – „Kacerska ładacznicą w tryumfalnym orszaku do Antiochii! Być może, ten młokos Bo zaproponuje jej jeszcze małżeństwo i ta niegodna zostanie księżną, pozbawi władzy moją przyjaciółkę Lucjanę, biedną wdowę i godną litości matkę. Nie, panie Janie z Ronay, do tego nie wolno dopuścić! Ta nieślubna córka Graala z bastardem pod sercem nie może żyć, nie może opuścić Karmelu żywa! Tego oczekuję od was, rycerza joannitów, zakonu Chrystusa i papieża. Tego oczekuje od was także Kościół!”

„Nie!” – powiedział pan z Ronay głośno i wyraźnie. – „Nie zgodzę się na to, choćbyście nawet pozbawili nas swej łaski. Tego nie może żądać nawet papież!”

„Pozwolicie jej więc odejść, ażeby rozniosła hańbę na cały świat?” – spytała królowa.

„O hańbie nie może być jeszcze mowy” – rzekł joannita spokojnie. – „Jestem gotów wziąć Jeżę pod pieczę zakonu, póki nie minie problematyczny czas. Potem zobaczymy, co dalej, kapituła zakonu może o tym rozstrzygnąć”.

„Wobec tego oczekuję przynajmniej, że zaoferujecie temu Boemundowi honorową eskortę do Antiochii”.

„To chętnie uczynię, wyślę wcale znaczący oddział, który towarzyszy młodemu księcia przewyższy dalece liczebnością i siłą oręża”.

„Widzę, żeście mnie zrozumieli. Mały wypadek w czasie podróży, drogi Janie z Ronay, oznaczałoby dla mnie i dla zakonu wspaniałe święto” – szepnęła dostojna pani na pożegnanie.

„Mamy dosyć zamków, ale nigdy dosyć zaszczytów!” – Joannita wyszedł sprężystym krokiem.

Królowa pozostała jeszcze jakiś czas na ławce. Moja obawa, że uklęknie teraz przy konfesjonale, była niewielka. Taka pani nie ma się z czego spowiadać. Wkrótce zresztą wyszła – skończył opowiadanie mój sekretarz.

– Nieźle – oceniłem.

– Źle, bardzo źle – stwierdził.

Król przysłał po nas. Powinniśmy udać się do zamku gotowi do drogi. Mieliśmy wyruszyć wszyscy razem, skoro tylko Jeza dojdzie do zdrowia.

– Przy jej silnej naturze nie powinno to trwać długo! – oznajmił William.

I rzeczywiście, Boemund z Antiochii już wyruszył z Jezą w drogę, a joannici dali mu okazałą eskortę.

Ponieważ poselstwo asasynów nagliło teraz do powrotu, spakowaliśmy podarunki dla Starca z Gór i udaliśmy się również w podróż.

Król stał przed bramą i kiwał nam ręką na pożegnanie. Był bardzo smutny.

Samotny jeździec, który o wczesnej porannej godzinie zbliżył się do brodu Jakuba, obejrzał się kilka razy, czy nikt go nie ściga. Potem popędził konia do wody.

To przejście przez Jordan na północ od jeziora Genezaret tworzyło nie oznaczoną granicę między terytorium Damaszku a chrześcijańskimi posiadłościami na wybrzeżu.

Damaszek musiał Iwo haniebnie opuścić. Wprawdzie An-Nasir nie wypędził go sromotnie, ale w ciągu niewielu dni Bretończyk poczuł, że atmosfera na dworze sułtana staje się lodowata. Jakby błędził po jeziorze, które zamarza. Nie czekał, aż z trzaskiem ukaza się wyraźne rysy, powłoka lodu pęknie i otchłań wciągnie go w głąb. Wyjechał po kryjomu, ze wstydem i wściekłością w sercu.

Zimna woda górskiej rzeki wdarła mu się do butów, a gdy po drugiej stronie wyjechał konno na nabrzeżną skarpe, zobaczył stojącą na łące czarną lektykę. Otaczało ją kilku templariuszy w białych płaszczach, którzy zsiadłszy z koni, nieruchomo obserwowali zbliżającego się jeźdźca.

– Iwo Bretończyk! – przedstawił się. – W służbie króla! – Był pewien, że go od razu rozpoznali, w każdym razie ten młody i bez brody, w płaszczu znacznie dłuższym niż u innych, z nieco większym wyhaftowanym krzyżem.

To był Wilhelm z Gisors, pasierb *Grande Maitresse*. Iwo poczuł dreszcz, ponieważ tego człowieka nazywano po cichu „aniołem śmierci”. Jeśli lektyka była pusta, czego nigdy nie wiadomo, wówczas zwłoki kogoś znakomitego spoczywały w domu. Mówiono nawet, że Gisors przybywa punktualniej niż śmierć i nigdy na próżno.

– Dokąd zdążacie, żeby ocalić głowę, Bretończyku? – spytał któryś szorstko.

Iwo złapał się mimowolnie za kark, opanował się jednak i wyjaśnił:

– Powinniście, szanowni rycerze, unikać syryjskiej ziemi. Nie ma już pokoju z An-Nasirem.

– Iwo Bretończyk zostawia za sobą najczęściej spaloną ziemię – rzekł ze śmiechem któryś templariusz do Wilhelma z Gisors. – Podobnie było i w Damaszku!

– Nie zniosę obrazy! – oburzył się Iwo i sięgnął do rękojeści topora.

– Wybaczcie! – załagodził Wilhelm. – Wyoraliście sułtanowi bruzdę przez pole i zasialiście delikatne ziarno; templariusze chcieliby zobaczyć, jak wschodzi.

Iwo zaczerwienił się z powodu nieoczekiwanej pochwały.

– Wyprzedziliście jednak swój czas.

To była przygana i Iwo opuścił głowę, świadomy swej winy.

– Nie jestem rolnikiem.

– Właśnie – powiedział Gisors – i nie można na was polegać, ale wśród wojowników jesteście jednym z najlepszych i jako taki każdemu rycerzowi równy!

– Nie chcecie mnie przecież w waszym zakonie... – Iwo nigdy nie wyrzekał się nadziei.

– Boże broń! – zawołał Wilhelm z Gisors i roześmiał się dźwięcznie. – Chcę przez to powiedzieć: Pan zachowuje was do wyższych święceń! To z jego woli mają zostać odkryte otchłanie, zło i siły ciemności, którymi włada diabeł.

Wskazał przy tym Iwona, jakby ten był wcieleniem szatana we własnej osobie.

– Pan Iwo jest bardzo ważny. W przeciwnym razie dobro jako takie byłoby przecież nie do rozpoznania!

– Chcę służyć sprawiedliwości! – zaprotestował Bretończyk.

– Jakże chwalebnie! – zawołał templariusz. – Jest ona przecież wynalazkiem ludzi i stąd *per naturom** obarczona wadami.

– Chcę walczyć za wiarę Chrystusa! – Iwo irytował się tym bardziej, im bardziej czuł się traktowany niepoważnie.

– Jeszcze lepiej! – zakpił ten w białym płaszczu. – To brzmi jak paradoks!

Teraz roześmiali się wszyscy, a Gisors ciągnął dalej:

– Polujcie tylko na pogan i kacerzy, Iwonie, Kościół wynagrodzi wam to na ziemi!

Bretończyk sądził, że zrozumiał aluzję.

– Nie chcę dzieciom Graala wyrządzić nic złego... – bronił się, lecz Gisors mu przerwał:

* *Per naturam* (łac.) – z natury.

– A powinniście! Słuchajcie tylko nakazów swego niegodziwego serca! Królewskim dzieciom każde prześladowanie przynosi zaszczyt i sławę.

– Dlaczego mam je krzywdzić? Nic mi nie zrobiły, niczego od nich nie chcę – bronił się Iwo wściekły.

– A jednak! Dzieci są ceną, Iwonie, za przychylność Anjou! – powiedział Wilhelm z Gisors zimno i dodał szyderczo: – Zawarliście pakt z prawdziwym diabłem!

– Diabłem jesteście wy, człowiek o anielskiej twarzy! – krzyknął Iwo i chwycił za topór, który kazał sobie sporządzić zainspirowany pojedynkiem z Aniołem z Karos, tylko że broń Iwona była o wiele bardziej zdradziecka. Kolczasta kula siedziała na końcu topora na specjalnym kolcu, natomiast łańcuch ukrywał się w rękojeści. Wystarczył przycisk palca i kula zataczała śmiertelny krąg. Iwo pozostawił ją jeszcze w spokoju i ruszył z podniesionym toporem na templariusza, ale wtedy jego koń się spłoszył, trwożnie rżąc stanął dęba. Iwo z całym rynsztunkiem runął plecami na ziemię i stracił przytomność.

Gdy wreszcie otworzył oczy, nie wiedział, jak długo leżał w mokrej trawie. Jego koń pasł się nieopodal. Iwo zobaczył swój topór wetknięty w ziemię. Był powalany krwią. Ślady końskich kopyt odcisnięte w gliniastym brzegu prowadziły do brodu. Po templariuszach i lektyce nie było śladu.

Iwo przejechał spieszenie obok murów Safedu, wielkiej warowni templariuszy, która strzegła „Bramy Syryjskiej”, i skierował się do Starkenbergu, zamku rycerzy krzyżackich.

Zygisbert z Öxfeldu był uczciwym człowiekiem. Bretończyk oczekiwał od niego rady i chciał dowiedzieć się, jaki nastrój panuje w Akce – czy może jeszcze pokazać się na dworze królewskim albo dokąd powinien się zwrócić.

Z diariusza Jana ze Joinville

Akka, 5 maja A.D. 1251

Aby nadrobić wyprzedzenie Boemunda i joannitów, którzy wyjechali przez położoną obok zamku bramę Świętego Antoniego, wybraliśmy drogę wzdłuż morza przez północną bramę Świętego Łazarza.

Towarzyszący nam asasyni woleliby wprowadzić, byśmy jak najszybciej znaleźli się na terytorium damasceńskim, ale jadąc przez górzyste wnętrza kraju mielibyśmy niewielkie szanse na dogonienie joannitów i ludzi z Antiochii, tak więc obraliśmy drogę, którą bez przeszkód mogliśmy zdążyć wzdłuż wybrzeża.

Już na wysokości Starkenbergu zameldowali nam zwiadowcy, że prześcignęliśmy Boemunda, sunącego mozolnie brzegiem rzeki w jednej z bocznych dolin.

Umówiłem się z Williamem, że powitamy księcia Boemunda i najstarszego rangą joannitę w sposób jak najbardziej naturalny, bez słowa wyrzutu. Zmierzchało już, kiedy się za nami pojawili.

Jan z Ronay, który ku memu zdumieniu dowodził osobiście potężnym oddziałem zakonu, wcale nie był uradowany z tego, że będzie miał za towarzystwo w podróży nas i tych, jak się nieuprzejmie wyraził, „nożowników Starca z Gór”.

Ponieważ ciemność szybko zapadła, stanęliśmy obozem znacznie od siebie oddzieleni i wystawiliśmy warty przy ogniskach.

William chciał pójść do Jezy, aby wyrobić sobie pogląd na jej stan zdrowia. Miał chyba nieczyste sumienie, że obowiązki opiekuna wykonywał dosyć opieszale.

Uspokajałem go.

– Jej wybawca Bo już się zatroszczy o wszystko!

Uparty Flamandczyk kręcił głową.

– W takim razie pójdę sam!

A więc poszedłem z nim, wziąłem także do towarzystwa rycerzy, aby młody książe widział od razu, kto składa wizytę.

Nim dotarliśmy do namiotów przybyszów z Antiochii, zagroziła nam drogę straż joannitów. Otoczyli cały obóz pierścieniem, zupełnie jakby trzymali wszystkich pod strażą, a nie sprawowali opiekę.

Zaprotestowałem tak gwałtownie, że Boemund sam zwrócił na to uwagę i wytknął ludziom zakonu nadmierną gorliwość.

– Moi rycerze są dostatecznie silni, by zapewnić bezpieczeństwo księżniczce! – zawołał.

– Jej przyjaciele są moimi przyjaciółmi i mogą nas odwiedzać, kiedy sobie życzą!

Uściskał mnie i Williama, a potem bez żadnych ceregieli poprowadził nas do namiotu Jezy. Transportowano ją dotąd na leżąco w lektyce i nawet teraz wyglądała jeszcze bardzo blado i słabo, ale kiedy zobaczyła Williama, uśmiechnęła się, podała mnichowi rękę i mocno przytrzymała ją w swej dłoni.

– Mój anioł stróż – szepnęła. – Tak się cieszę, że znowu zobaczymy Rosza!

Williamowi łzy popłynęły po twarzy.

– Jezo, moja mała królowo – wyjąkał i pokrył jej rękę pocałunkami – musicie najpierw wrócić do sił...

– Jestem dostatecznie mocna i nie dźwigam też tylu zbędnych funtów jak wy, grubasie! Przetrwaliśmy już przecież tak wiele, jutro siądę znowu na konia. Podróż do Rosza upływa mi nie dość szybko!

William podniósł się z kolan.

– Wobec tego powinniście teraz dzielnie zażyć leki i potem jak najprędzej zasnąć.

– Zgoda, dobra nianiu! – zażartowała Jeza i opuściliśmy namiot.

Ku memu strapieniu William wziął młodego księcia na bok. Usłyszałem nie wszystko, ale wystarczająco dużo, żeby zrozumieć, iż ostrzega Bo przed joannitami...

– ...którzy nie zmierzają do tego samego celu, lecz chcą uwięzić Jezę. Miejcie się na baczności!

– Jestem przerażony! – powiedział Bo. – Zaraz zażądam wyjaśnień od zastępcy wielkiego mistrza!

– Lepiej nie – uznał William i zniżył głos do szeptu.

W tym momencie wkroczyłem.

– Mojemu sekretarzowi coś się zwiduje – zażartowałem. – Przypisuje zakonowi niecne zamiary, a nie ma ku temu żadnych podstaw.

– Zdajecie sobie z tego sprawę lepiej niż ja, panie seneszalu!

Mój buntowniczy sekretarz ośmielił się przedstawić mnie jako kłamcę, jeśli już nie współspiskowca, więc zawołałem gniewnie:

– Williamie, rozkazuję wam natychmiast odejść!

Wtedy Bo stanął przede mną twarzą w twarz.

– Jeśli William chce spędzić tę noc przy boku moim i Jezy, czy nawet dalszą podróż, nie przeszkadzicie mu, drogi Joinville!

– Nie myślcie, że nie odpowiadam za swoje słowa, czy też was opuszczę, mój panie – łagodził William. – Przecież król wysłał nas razem w poselstwie do asasynów. Jeśli chodzi o mnie, nie obawiam się niczego i nikogo na świecie, jedynie wyraziłem troskę o królewskie dziecko, co już powiedziałem i przy tym obstaję. Możemy iść!

– Cały do waszych usług, panie sekretarzu! – próbowałem żartem rozładować sytuację. Odchodząc rzuciłem Boemundowi z Antiochii wyniosły uśmiech i młody książę już nie wiedział, co ma o nas sądzić.

To śmieszne! – pomyślałem, nie powiedziałem jednak nic, ponieważ nie udało mi się zrobić dobrego wrażenia. Williamie, odpokutujesz mi za to!

Bez słowa wróciliśmy do naszego obozu i usłyszeliśmy, że poszukiwał nas najstarszy z asasynów, bo chciał omówić dalszą marszrutę.

Byłem w złym humorze, więc rzekłem:

– Williamie, pójdź do niego i powiedz, że tak pojedziemy, jak ja to ustalę!

Mój sekretarz skinął głową ulegle i udał się do asasynów. Nie czułem ochoty, aby czekać na jego powrót i jeszcze rozpoczynać wielką kłótnię, tak więc zniechęcony położyłem się spać.

Było już ciemno choć oko wykol, gdy samotny jeździec wprawił w ruch dzwon przy bramie Starckenbergu. Bretończyka zaprowadzono od razu do komtura.

– Panie Zygisbercie, wiem, że mnie nie cenicie, ale noclegu nie możecie mi odmówić.

Zygisbert z Öxfeldu udawał się już na spoczynek i stał teraz w długim nocnym stroju przed nieproszonym gościem.

– Mógłbym! – mruknął siwy olbrzym. – Ale wasza późna wizyta nie jest dla mnie aż tak przykra, panie Iwonie, te mury ofiarują wam schronienie, jak długo będziecie go potrzebowali!

– Czy jest to już tak powszechnie wiadome, że także wy na tym pustkowiu wiecie, jak się ma rzecz z Iwonem Bretończykiem? – burknął tak przyjęty gość. – Wczoraj jeszcze dumny emisariusz króla, dziś wyjęty spod prawa jak ostatni łotr.

Komtur kazał przynieść wina, chleba i sera. Bretończyk sięgnął po jedzenie, miał wilczy apetyt.

– I jedno, i drugie jest wytworem waszej wyobraźni – rzekł Zygisbert. – Uroiliście sobie posłowanie i przekroczyliście swe uprawnienia, urojone jest też wasze mniemanie, że jesteście teraz ściżani.

Iwo, mający pełne usta, popatrzył zdziwiony.

– Król nie cofnął wam swojej łaski. Oczekują was nowe zadania, nie ma powodu do rozpaczki! – dodał rycerz, jak się wydawało, dobrodusznie.

Przemilczał jednak, chociaż o tym wiedział, że Iwo był przewidziany na posła do asasynów w Masnacie. Nie wspominał też ani jednym słowem, że zamiast Iwona wyprawiono hrabiego Joinville, który wraz ze swym sekretarzem przejechał obok Starkenbergu i że Bretończyk łatwo mógł ich jeszcze dogonić. Zataił również, że w tym orszaku znajdowała się Jeza jako gość księcia Antiochii. Niewyraźne przeczucie mówiło niemieckiemu rycerzowi, że Bretończyk nie powinien się zbliżać do dzieci.

Iwo wyprostował zgięty grzbiet i otarł usta, nim chwycił za kielich, który mu Zygisbert napelnił.

– Pewnego dnia nie będzie mi można odmówić pasowania na rycerza. – Podniósł kielich. – Wtedy zakony będą się o mnie bić!

Zygisbert popatrzył na niego rozbawiony.

– Na szczęście nie jesteście Niemcem, nie będziemy musieli tego robić. – Podniósł kielich i przepił życzliwie do Bretończyka. – Ale powiedzcie mi, dlaczego, na miłość boską, chcecie zostać rycerzem?

– Ponieważ wtedy tak jak wy, Zygisbercie z Öxfeldu, jak pan Gawin Montbard z Béthune, jak pan Konstancjusz z Selinuntu mógłbym uczestniczyć w urzeczywistnieniu Wielkiego Planu.

– Co wiecie o Wielkim Planie? – komtur pozornie rozpogodził się z lekka, w istocie zaś stał się teraz czujny jak pies pasterski, nie szczekał jednak, lecz próbował wilka onieśmielić. – Zapomnieliście tylko o panu Creanie z Bourivanu. Czy nie zauważyliście przy tym wyliczaniu, jak starannie ten krąg został dobrany? Żaden z nas, rycerzy, nie wybrał swego losu. Został nam on przeznaczony.

– To jest jedyna i pewnie ostatnia wielka przygoda naszych czasów! – zawołał Iwo, nie dając się zbić z tropu. – Obrona i wspieranie królewskich dzieci! Chcę za nie przelać krew!

Komtur działał teraz nadzwyczaj ostrożnie. Tylko głupcy nie biorą głupca poważnie, pomyślał.

– Spełnienie waszego gorącego pragnienia nie zależy ode mnie – powiedział. – Wielu jest wezwanych, ale mało wybranych, i nikt nie wie, co Wielki Plan ostatecznie zawiera, co on dzieciom przeznaczają.

– To nie ma znaczenia! – krzyknął Iwo z zapalem. – Jeśli zostanę rycerzem, będę uczestniczył we wszystkim i będę walczył!

– Nie rycerskie ostrogi mianują wasali królewskich dzieci, lecz gorące pragnienie służenia Graalowi – odrzekł Zygisbert. Był zmęczony, a podróznego też nie należało zatrzymywać.

– Jeśli Przeorat Syjonu mną gardzi... – ciągnął dalej Iwo, dając do zrozumienia komturowi, że nie jest ignorantem.

– Wtedy mogą was jeszcze powołać tylko same dzieci! – uciał Zygisbert i podniósł się z miejsca.

– Gdzie one są? – Iwo zerwał się na równe nogi. – Gdzie mogę je znaleźć?

– Sami się dowiedzcie, Iwonie – odparł komtur opryskliwie. – Jeśli nie zdołacie ich odnaleźć, oznacza to, że nigdy nie będziecie należeć do wybranych! Dobranoc.

Poprowadził gościa do jednego z pokojów w wieży, w którym stało wiele skrzyń i szaf, ale także obszerne łóżko z baldachimem.

– Życzę wam przyjemnych snów – powiedział Zygisbert i zostawił mu łojową świecę. – Zobaczymy się o matutynie, żebyście nie zapomnieli, jak się modli.

Iwo rzucił się w ubraniu na okazałe łóżko, zaledwie przebrzmiały kroki gospodarza, lecz nie mógł zasnąć. Rozmyślał, wlepiając wzrok w baldachim. Komtur w tak oczywisty sposób mówił o obojgu dzieciach, że mogło to tylko znaczyć, iż znowu są razem. Prawdopodobnie od dawna nie było ich już w Akce, bo w przeciwnym razie nie musiałby ich długo szukać, jak mu zapowiadano. Znajdzie je, choćby miał iść na koniec świata.

Był zmęczony. Marzył o kąpeli, a przynajmniej o nieprzepracowanej koszuli, już choćby ze względu na czyste prześcieradło w łóżku.

Przechodząc przez przedpokój zauważył w otwartej szafie egipską dzellabę*, która mogłaby mu zastąpić koszulę.

Chwył łojówkę i wyszedł cicho z pokoju. Migotliwy blask padł na skrzynie i szafy, a także na stojącą w kącie laskę o dziwnej rękojeści. Coś podobnego oferowano Iwonowi na bazarze w Damaszku. Wiedział, że taka ozdobna laska zwykle kryje ostrze, które może być użyte jako broń. Przekreślił uchwyt i rzeczywiście, wyciągnął sztylet. Na podłogę spadł strzęp pergaminu. Iwo podniósł go i przeczytał: „Najukochańsza Jezo!” Wiadomość od Rosza!

* Dzellaba (arab.) – suknia do kostek, często z kapturem, również dla mężczyzn.

Chłopiec ostrzegał przezornie swoją ukochaną, by nie szła do klasztoru, jeśli jemu coś by się stało w Homsie. Może był tam jeszcze i usychał w więzieniu An-Nasira? Nie!

Teraz Iwo przypomniał sobie gołębie, które przyleciały do Damaszku w trakcie jego wizyty u władcy Syrii. Rosz dawno opuścił Homs i został przez asasynów zabrany do Masnatu.

A zatem uda się tam i Jeza, nawet gdy nie otrzyma tej wiadomości; Iwo był pewien, że księżniczka będzie poszukiwać Rosza, jeśli tylko pozostanie iskierka nadziei, że gdzieś go znajdzie żywego.

Bretończyk zapomniał włożyć wełnianą dzellabę, wsunął się do pościeli tak jak stał, tyle że ściągnął buty.

„Zapomnieliście o Creanie z Bourivanu!” – przypomniał sobie kpiące słowa Zygisberta. A więc dzieci są w Masnacie. Teraz znał cel swojej podróży.

Zasnął zadowolony.

Z diariusza Jana ze Joinville

Scandelion, 6 maja A.D. 1251

Obudziliśmy się o świcie i zobaczyliśmy we mgle na brzegu morza ruiny bizantyńskiej twierdzy Scandelion. W obozie joannitów nagle podniósł się wrzask. Okazało się, że ludzie z Antiochii uciekli wraz z Jezą pod osłoną nocy. Została tylko pusta lektyka. Spostrzegłem, że także nasi asasyni ruszyli w świat.

Rzuciłem Williamowi, który udawał najpierw zaspanego, potem zdumionego, pełne wyrzutu spojrzenie, ale wzruszył tylko ramionami.

Jan z Ronay przekazał mi wiadomość, że mamy się natychmiast przyłączyć do pościgu. Jeśli nie złapiemy uciekinierów, mnie zamierza obarczyć winą.

Nie miałem nawet sposobności spytać dlaczego, nie mogłem też szybko załadować podarunków na juczne zwierzęta.

Joannici wyruszyli sami. Miałem nadzieję, że nie zamierzają się trzymać wybrzeża, lecz udadzą w głąb kraju. Było wiadome, że asasyni spróbują jak najszybciej dotrzeć do gór, gdzie czuli się jak w domu, a my mogliśmy liczyć jedynie na odosobnione zamki, i to tylko joannickie.

Niemcy ze Starkenbergu nie kiwną palcem, jak długo rządzi tam Zygisbert z Öxfeldu, a templariusze z Safedu ostrzelaliby nas z katapult i powstrzymali siłą, gdyby się dowiedzieli, że ścigamy Jezę. Nie dotarliśmy jednak ani do twierdzy krzyżackiej, ani do templariuszy.

Już u stóp gór natknęliśmy się na joannitów. Gęste tumany mgły kłębiły się między drzewami oraz w szczelinach skalnych i ledwie ktoś z nas zbliżył się do stoku, aby zacząć

podejście, z góry spadały z hukiem kamienie, tak że musieliśmy odskoczyć, żeby nie pozabijały nas i naszych koni.

– Pędząca chmury hołota! – wrzasnął z wściekłością Jan z Ronay. – Palacze haszyszu ciskający kamieniami! I komu to zawdzięczamy? Wam, Joinville! Wy sprowadziliście nam na kark tę podstępna bandę! – krzyczał. – To się źle dla was skończy, wytoczę proces wam i waszemu tłustemu sekretarzowi!

Nie widziałem żadnego powodu, żeby chronić Williama, ale musiałem wyjaśnić swój status.

– Jestem posłem króla – powiedziałem – i jeśli tkniecie mnie lub mego sekretarza albo przeszkodziecie mi w wypełnieniu misji, gorzko pożałujecie, Janie z Ronay!

Odstąpiliśmy od drogi przez góry i trzymaliśmy się znowu wybrzeża, zmierzając ku północy.

Ze mną i z Williamem nikt nie zamienił słowa, właściwie byliśmy traktowani jak więźniowie. Joannita przynaglał nas do pośpiechu. Należało tylko mieć nadzieję, że słabość Jezy działa na naszą korzyść.

Gdy poranna mgła się przejaśniła nad bastionami Masnatu i pierwsze promienie słońca padły na mury, Jan Turnbull kazał się przenieść na wąskim łóżku z pokoju w wieży na górę, na platformę.

Tutaj urządzono obserwatorium i w obrotowej ramie wisiało wyłożone srebrnymi płytkami wklęsłe zwierciadło sygnałowe. Dla ochrony przed wilgocią nocy zasłonięto je chustami, które teraz służba zdejmowała, posłuszna naleganiu starca. Kazał tarczę tak ustawić, by móc odebrać od dawna oczekiwany sygnał.

Jan Turnbull przybył do Masnatu, żeby umrzeć. Asasyni podśmiewali się z niego, ponieważ czynił to nie po raz pierwszy. Tylko że faktycznie czuł się podle. Bolały go wszystkie członki, chociaż nic sobie nie złamał, gdy spadł z *Bab al-dżanna* na rozpostartą twardą plecionkę, na której podskoczył jak srebrzysta ryba, nim opadł i sieć wciągnięto przez otwór dla orłów.

Skaczący po nim Wit był zdumiony, że spada w przepaść obok tkwiącego w sieci *maestro venerabile*. Stary puszczycz jednak go oszukał, przez te wrota nie wchodzi się wcale do raj, majestatyczne latanie w postaci orła to także kłamstwo i obłuda!

Dalsze zmartwienia zostały z pewnością Witowi oszczędzone, ponieważ rozbił się o skały, a jego dusza w okamgnieniu znalazła się w piekle.

Tym razem Jan Turnbull był naprawdę zdecydowany umrzeć, zastosował więc *endurę*^{*}, czyli całkowite wstrzymanie się od przyjmowania pokarmów, a nawet wody.

* Endura (łac. średn.) – praktyka stosowana przez katarów, która zwykle była następstwem przyjęcia *consolamentum* umierających; odmowa przyjmowania pokarmów prowadząca do samobójczej śmierci. Endura stosowana była w kataryzmie przez ludzi starych, chorych, ale także przez osoby, które pragnęły w ten sposób

Cóż, kiedy wycieńczenie ciała pobudziło jeszcze raz ducha do jasnego widzenia rzeczy, a świadomość, że swego zadania na tej ziemi nie wypełnił do końca, budziła protest przeciw śmierci.

Spoglądał na okrągłą tarczę sygnałowego zwierciadła. Musiał doczekać się wiadomości, nim życie go opuści. Chwytał metalowy dzwonek i przywołał służbę.

Zażądał rozmowy z gościem, który od kilku dni przebywał w Masnacie, znanym mistrzem wyrobów ze srebra, Wilhelmem Buchierem z Paryża, sławnym ze swej zdolności tworzenia sztucznych konstrukcji, które pięknie wyglądały nawet *in statu immobili*^{*}, lecz dopiero przy mechanicznym ruchu roztaczały w pełni swój czar.

Artifex ingenuus^{*}, zaproszony przez wielkiego chana, był w drodze do Mongołów, gdzie w Karakorum, w pałacu, miał zainstalować „drzewo picia” – urządzenie doprowadzające do stołu cztery różne gatunki napojów, ażeby lubiący wypić tatarscy książęta nie byli zależni od opieszałości i fałszerstwa swoich sług. Myśli Jana Turnbulla pobiegły do uciążliwej podróży w nieznaną rozległe stepy, podróży, którą rzekomo odbył William z dziećmi; było to wspomnienie, które sędziwego *maestro venerabile* skłoniło do uśmiechu.

Jakże rozgniewał się Wit z Viterbo i jak godnie dzieci doprowadziły do końca to sfuszerowane przedsięwzięcie. Jego mali królowie!

Wokół nich krążyły wszystkie myśli Turnbulla, odkąd tu leżał i walczył ze śmiercią. Ich przyszłość musi być zapewniona, nim on, inicjator Wielkiego Planu, odejdzie, a wraz z nim postać tajemniczego *chevalier* z Mont-Sion. Kto wówczas będzie stróżem dzieci? Templariusze prowadzą niejasną grę, asasyni okazują się wprawdzie zawsze skuteczni, pozostają jednak tylko towarzyszami drogi...

Może więc Mongołowie są zdolni stworzyć dzieciom państwo, które on wymarzył?

Musiał rozmawiać z Wilhelmem Buchierem, który był w drodze do wielkiego chana.

Mongołowie byli obcy asasynom, asasyni zaś Mongołom cierniem w oku. Ich głównej kwaterze w Persji, Alamutowi, bezpośrednio zagrażało wielkie państwo chana. Stąd też asasynów interesowała każda wiadomość z Karakorum, przewyciężyli nawet swą sławetną oszczędność, żeby nie powiedzieć skąpstwo, i mistrzowi z Paryża obiecali w jego drodze powrotnej kosztowne zlecenie: zbudowanie w Masnacie planetarium, które miało się samo utrzymywać w ruchu obrotowym dzięki wykorzystaniu siły wodnej.

Podobne urządzenie zainstalowano już na wieży w Alamucie i *Grand Da'i* zależało na tym, aby jego syryjska siedziba nie pozostała w tyle za perskimi braćmi.

Maître Buchier cieszył się więc w Masnacie najwyższymi względami, urządził kuźnię, topił i hartował metale. Nikt nie miał mu za złe powodowania ogromnego hałasu, kiedy

wyrazić swą pogardę dla życia ziemskiego i odeń się wyzwolić bądź też wolały ten rodzaj śmierci od inkwizycyjnego stosu.

* *In statu immobili* (łac.) – w stanie spoczynku.

* *Artifex ingenuus* (łac.) uzdolniony rzemieślnik, twórca technicznych dzieł sztuki.

wypróbowywał swe tajemnicze techniki zahaczających się nawzajem kół zębanych, wciągników ślimakowych i przekładni.

Zjawił się natychmiast na platformie. Chętnie odwiedzał umierającego starca, który nie tylko okazywał zrozumienie dla jego pracy, lecz także poddawał niezwykle osobliwe pomysły.

– Co mówi zwierciadło? – mistrz Buchier pochylił się i obserwował błyszczącą tarczę, która odbijała tylko niebo i ciągnące po nim chmury.

– Czekam na znak, który da mi pewność, że królewskie dzieci znowu będą razem, chociaż ja już tego nie doczekam!

– Wytrzymacie jeszcze długo – dodawał mu otuchy Buchier – ja natomiast zastanawiam się nad waszą propozycją. Z konstrukcją można się uporać nawet przy tych skąpych środkach, które tutaj mam do dyspozycji.

– Obiecacie mi – szepnął Jan Turnbull i przyciągnął za rękaw mistrza do siebie – że wypełnicie zlecenie, nim pojedziecie dalej. Dam wam wszystkie swoje pieniądze...

– To zbyt wiele – bronił się skromnie zacny człowiek. – Z waszej szkatuły pokryjecie tylko koszty materiału. Reszta niech służy szanownym dzieciom Graala za strawę. Moimi dziećmi są konstrukcje, a one nie jedzą i nie piją!

Słaby uśmiech przebiegł po bladej twarzy Jana Turnbulla.

– Zawsze mi się udawało wszystkich prześladowców jakoś pokonać. Umrę z lżejszym sercem, mając pewność, że nawet po mojej śmierci *chevalier* z Mont-Sion zakpi jeszcze ze swoich wrogów.

– Chętnie się do tego przyczynię – roześmiał się Buchier. – Musicie wiedzieć, że nie nabycie bogactw pobudza *artificem*, lecz chęć sprzeciwiania się, zaskakiwania ludzi umysłowo leniwych, przywiązanych do uświęconej tradycją kolei rzeczy.

– Cieszę się, że was spotkałem, mistrzu!

– Są błyski! – zawołał nagle Buchier.

Rzeczywiście, lśniące zwierciadło odbijało teraz świetlne sygnały, które z daleka trafiły na wklęsłą tarczę.

Starzec przy pomocy gościa wyprostował się z trudem i jał odczytywać przekazywaną wiadomość. Męczyło go to, jęczał z cicha, ale nie ustał w składaniu liter i słów. Odebrał całe przesłanie.

– Jeza jest w drodze do Masnatu! Alleluja! – Szczęśliwy osunął się na łóżko. – Mistrzu, przywołajcie mi teraz Rosza. Nadszedł już czas.

Buchier wzruszony ucałował wychudzoną rękę.

– Dziękuję wam – szepnął Jan Turnbull.

Mistrz Buchier szybkim krokiem opuścił platformę.

Jan Turnbull o srebrnobiałej ptasiej głowie leżał bez ruchu i widział, jak przepływa przed nim całe jego życie.

Życie dla dzieci.

Służył wielu panom: panu Villehardouin w Bizancjum, Wilhelmowi II, księciu Achai, od którego otrzymał lenno; biskupowi Asyżu, Gwidonowi II della Porta, który krył jego kacerstwo, ponieważ znajdował w tym upodobanie; jako *chevalier* z Mont-Sion walczył w Bractwie Białych Płaszczy przeciwko Francji i Kościołowi, aż nie miał już o co walczyć, bo żona, która dała mu syna, została spalona na stosie.

Creana nie mógł już uścisnąć, ale czuł z nim duchową więź, silniejszą niżli cielesna bliskość. Crean przejmie po nim dziedzictwo opieki nad Roszem i Jeżą. Osłaniał drogę dzieci od Montségur aż do Masnatu, poprowadzi je z pewnością do dalekiego Alamutu i jeszcze dalej, jeśli tak będzie trzeba. Przyszłości Jan Turnbull nie znał; być może, nie znał jej nawet Przeorat Syjonu, choć był wielką siłą. Nawet kiedy Turnbull służył cesarzowi i jako jego poseł był akredytowany u sultana, zawsze słuchał przede wszystkim rozkazów Przeoratu. Wspiął się do najwyższego kręgu, otwierały się przed nim jedne drzwi po drugich, lecz nie zdołał otworzyć ostatnich, wciąż pozostawała jeszcze jakaś zasłona, kryjąca centrum tej tajemniczej siły, która określała jego życie i nie została mu objawiona.

Czym było to jądło? Światłem? A może pustką? Wiedzą? Wiedzą o czym? To Graal, tego Jan Turnbull był pewien, ale czym jest Graal?

Czy dowie się tego po przekroczeniu ostatnich wrót? A może ostatnie wrota są rzeczywiście ostatnimi? Stanie się to, co mu jest przeznaczone.

Na platformę wszedł Rosz i ukląkł przy łóżku. Turnbull położył dłoń na głowie chłopca.

– Wkrótce przybędzie tu Jeza – rzekł. – Błogosławię was, moje dzieci.

Uśmiechnął się do Rosza, ponieważ w oczach chłopca pojawiły się łzy.

– Kiedy ją pocałujesz, powiedz jej, że kocham was oboje.

Długo trwali w milczeniu, chłopiec i stary człowiek.

Do zamku w Masnacie przybył Wilhelm z Gisors i templariusze, na dziedzińcu stanęła w słońcu czarna, pozbawiona ozdób lektyka.

Powietrze migotało od upału, a z zakazanych ogrodów dolatywał odurzający zapach jaśminu.

Na dole, w wieży, *maître* Buchier usłyszał, jak *Grand Da'i* Tadż ad-Din mówi z niechęcią:

– Jeśli ten uparty staruch nie może umrzeć, pošlijcie mu *as-sani**. Jutro jest święto Hasana ibn as-Sabbaha*, niech go nie zbezcześci odór zwłok!

* *As-sani* (arab.) – dosł.: drugi; mały nóż myśliwski, służący do dobijania zwierzyny; w tradycji żydowskiej określenie człowieka, o którym mówiono z bojaźnią i którego działalność znana była jedynie arcykapłanom; miał on troszczyć się, by w szabat nie przydarzały się zgony, gdyż zmarli musieliby leżeć w upale nie pogrzebani. Tak więc skręcali umierającemu kark.

* Święto Hasana ibn as-Sabbaha – święto na cześć założyciela zakonu asasynów w Atmucie; as-Sabbab panował w latach 1090-1124.

Rosz wstał, kiedy na platformie zjawił się łysy *malak al-maut* *.

– Idź już, chłopcze. – Turnbull obdarzył go ostatnim uśmiechem. – Zrób, co ci powiedziałem!

Potem zamknął oczy. Poczul jeszcze, jak wsunięto mu pod kark chłodne, gładkie polano, a ciepła dłoń spoczęła na jego czole.

Gdy wkrótce potem zjawił się ponownie Buchier, Jan Turnbull był martwy.

VI

ZŁUDZENIE PRZEŚLADOWCY

Z diariusza Jana ze Joinville

Baalbek, 8 maja A.D. 1251

Obozowaliśmy już jedną noc i jeden dzień w ruinach świątyni w Baalbeku, zazналиśmy więc lodowatego zimna i prażącego upału.

Jan z Ronay nie oszczędzał ani nas, ani koni, aby przybyć tutaj na czas. Wysłani przodem posłańcy sprowadzili nawet pomoc z Krak des Chevaliers i zagrodzono uciekinierom drogę powyżej Bejrutu od wybrzeża po Antyliban.

To była nasza ostatnia szansa, gdyż kilka mil dalej na północ przebiegała już granica Królestwa Jerozolimskiego z hrabstwem Trypolisu, które przecież należało do księstwa Antiochii.

Wkroczyć na ziemię księcia nie mógł nawet potężny zakon joannitów.

Wciąż jednak nikt nie nadjeżdżał.

Przedwieczorne słońce zaczęło rzucać długie cienie, kiedy na południu pojawił się samotny jeździec. Był to Iwo Bretończyk.

Zdumiony tym spotkaniem nie mniej niż my, skrył się za ponurym milczeniem, wyraźnie nie zamierzając wtajemniczać nas, dlaczego z Damaszku nie pojechał prosto do Akki, lecz włączył się tutaj w pobliżu najdalszej lądowej granicy królestwa.

* Malak al-maut (arab.) – anioł śmierci.

Nie miałem żadnego powodu zatajać przed nim, że jako poseł jestem w drodze do asasynów w Masnacie, pominąłem jednak fakt, że nasz pan Ludwik jego pierwotnie przewidywał do tego zadania.

Przy słowie Masnat wydało mi się, że głęboko osadzone oczy Bretończyka rozżarzyły się jak węgle, i miałem uczucie, że ten niesamowity człowiek wie wszystko. Na dodatek joannita prowokacyjnie dopowiedział, co ja przemilczałem. Wyszło na to, że wygryzłem Bretończyka z tej misji.

Jan z Ronay ocenił widocznie pojawienie się Iwona jako znak z nieba, zezwalający na wytoczenie mnie i Williamowi procesu. Ja na jego miejscu nie mówiłbym nic, że joannici zamierzali przekazaną im pieczę nad Jezą wykorzystać wiarołomnie, jeśli nie zdradziecko do tego, aby uwięzić księżniczkę. Ale Jan z Ronay był na mnie aż tak zły, że nie zważał na to, iż Iwo nie podziela jego oburzenia i wcale nie jest gotów do odegrania roli kata.

– Nikt inny tylko ci dwaj wprowadzili asasynów do gry i nie dość, że pomogli księżniczce w ucieczce, lecz tę ucieczkę najprawdopodobniej nawet uknuli! – krzyczał Ronay.

Pan Iwo wysłuchał zarzutów w milczeniu, a potem powiedział spokojnie:

– Asasyni nie musieli być przez nikogo wprowadzani do gry. Oni już dawno, w przeciwieństwie do was i waszego zakonu, zawarli pakt z templariuszami i wspólnie chronili królewskie dzieci. Asasyni uważali po prostu za swój obowiązek ochronić dzieci przed wami i ukryć je w bezpiecznym miejscu. Lecz oczywiście to nie wyjaśnia, po co się wmieszał seneszal i jego sekretarz.

Tutaj ja poczułem się wyzwany i pozwolono mi wreszcie dojść do słowa.

– Towarzyszenie poselstwu Starca z Gór w drodze powrotnej do Masnatu należało do powierzonej mi przez króla misji. Opisane, Bogu dzięki, tak jasno przez pana Iwona zaangażowanie się asasynów po stronie dzieci, a nie przeciwko nim, musiało być znane wszystkim, którzy uważają, że nie mogą przeciwstawić się siłom stojącym za dziećmi Graala.

– A co, panie Joinville, z układem, który zawarliście z nami jako rycerz i człowiek honoru? – natarł na mnie joannita.

Jan z Ronay nie posiadał się z gniewu, rozgłaszał teraz bez zahamowań nasze tajne rozmowy.

– Czy to nie wy, seneszalu, zwróciliście nam uwagę na znaczenie dzieci? Wyście natarczywie je oferowali, ba, sprzedali!

– Chyba postradaliście zmysły, Janie z Ronay – oznajmiłem zimno. – Powiedziałem wam tylko wprost, na czym polega różnica między joannitami a obdarzonymi charyzmą templariuszami. I ta różnica istnieje nadal, jak dowodzi wasze zachowanie. Albo się ma charyzmę, albo się jej nie ma. Wy jej nie macie i nigdy nie będziecie mieli.

– A więc nas zdradziliście?!

Sięgnął do miecza, ale wtedy zabrał głos William:

– Panowie, zanim się pozabijacie w pojedynku, chcę wyjaśnić, że to ja zadbałem, by Jeza nie wpadła w wasze ręce. Sądźcie, że można się wkupić u Graala albo handlować królewskimi dziećmi?! Jeśli już muszę przysłuchiwać się tej przykrej rozmowie, cieszę się, że nie jestem rycerzem, tylko złajdaczonym mnichem, który może nie ma honoru, ale ma serce, i to serce bije dla dzieci! Dlatego przekreśliłem wasze rachuby! I jestem z tego dumny!

– Powieście go, powieście na najbliższej gałęzi! – wrzeszczał Jan z Ronay, ale nawet jego ludzie nie zamierzali rzucić się na Williama, który ochoczo wyciągnął ręce, żeby mu je związano.

– Nie powieszcie go, Janie z Ronay – powiedział Iwo spokojnie. – Uwięzicie Williama z Roebruku i zatrzymacie w swoim zamku, póki go stamtąd nie zabiorę i nie postawię przed królem, jego jedynym panem i sędzią. Jeśli mu spadnie choć jeden z jego nielicznych włosów, powiem królowi całą prawdę o waszych intrygach i nikczemnym spisku przeciwko księżniczce, ponieważ jak to już pan William trafnie zauważył, przykro was słuchać. Nie wiem też, jak zareaguje wielki mistrz, gdy się dowie, do czego używacie rycerzy zakonu! Jednakże jestem gotów zapomnieć tę rozmowę, jeśli zaręczycie nietykalność mnicha.

– A jakież to macie prawo odgrywać tutaj sędziego?! – sarknął joannita. – Zabierzemy Williama ze sobą, czy to się wam podoba, czy nie, i jeśli się odważycie wybrać do Krak des Chevaliers, zobaczycie, co jeszcze z jego włosów pozostało.

– Wiem, że joannici nie obawiają się asasynów i pobierają od nich trybut – powiedział Bretończyk – ale byłoby dla was lepiej, gdybyście mnie tu na miejscu zabili. Odważycie się na to?

Wyciągnął do Jana z Ronay topór, joannita jednak wzbraniał się go ująć.

– Moi panowie – wkroczyłem teraz, chociaż William wrzucił mnie wraz z joannitami do jednego cuchnącego worka – ten spór prowadzi donikąd, a w dodatku mnie pozostawiacie bez tłumacza.

Byłem przy tym w najwyższym stopniu i do tego złośliwie zadowolony, że w ten sposób pozbędę się swojego sekretarza. Zasłużył na to w dwójnasób, ba, w trójnasób, swoją zuchwałością! Przecież coraz to zapominał, kto tutaj jest panem, a kto sługą, i w końcu zaatakował mnie podstępnie, ośmieszył, więc słusznie mu się kara należała, a uwięzienie w Krak des Chevaliers przeżyje bez wątplenia. Dla niego to nie pierwszozna. Nie muszę się martwić z powodu tego przeklętego flamandzkiego uparciucha!

Iwo w napięciu mierzył mnie wzrokiem.

– Ja zamiast mnicha przekażę posłanie asasynom. – Nie dopuszczając żadnego sprzeciwu z mej strony, dodał: – A wy, drogi panie Joinville, będziecie mi towarzyszyć!

– Wypełnienie woli króla jest dla mnie najwyższym nakazem... – I zwracając się do Jana z Ronay dodałem: – Powinniśmy teraz spór pogrzebać i razem kontynuować podróż.

Joannita przełknął żabę. Swoją miałem już w żołądku, tak że dostałem wiatrów i musiałem pierdnąć. Każdy gad w kiszkiach byłby mi miłszy niż Bretończyk u tyłka!

Jan z Ronay odezwał się mocnym głosem:

– Tuszę, iż ze strony tak mi drogiego i miłego towarzysza podróży nie podniesie się żaden sprzeciw, jeśli szanownego pana Williama wyślemy przodem do Krak des Chevaliers. Nie mogę już dłużej znieść tej tłustej świni! – krzyknął do swoich ludzi. – Uwolnijcie mnie od niego, niech mi się nie płacze pod nogami!

Tak więc oddział, który dla wzmocnienia blokady do nas dołączył i teraz był nieużyteczny, wziął mego sekretarza do środka i ruszył do Krak des Chevaliers. Na pożegnanie minoryta pokiwał mi ręką szczerząc zęby w uśmiechu. Stary chytrus!

– Za Bractwo Tajnego Miecza! – Bo podniósł puchar perlistego wina pod światło zachodzącego słońca. Dzieci i młody książę stali na zewnętrznym bastionie obwarowań Masnatu i pili kolejno z pucharu.

– Co zrobiłeś ze swoją laską? – zapytała Jeza Rosza. Chłopiec wyrósł na szczupłego, muskularnego młodzieńca; jej mały rycerz stał się mężczyzną. Był dla niej jak obcy.

– Musiałem ją zostawić w Starkenbergu – bronił się Rosz zakłopotany i pomyślał nagle o „ostatnim pozdrowieniu”, liście miłosnym do Jezy, który tam napisał. Czy go nadal kochała? Robiła wrażenie jeszcze pewniejszej siebie i bardziej zagadkowej, niż zachował ją we wspomnieniu. I bardziej doświadczonej. Czy wielu mężczyzn poznała? Serce mu się ścisnęło. – A co się stało z twoim sztyletem? – przeszedł do obrony.

– Zabrała mi go przeorysza, gdy z twego powodu poszłam do klasztoru.

Nie zwróciła uwagi, jak bardzo jej słowa poruszyły Rosza, lecz dodała, kładąc kokieteryjnie rękę na ramieniu Bo:

– On mnie wyciągnął z klasztornej cysterny.

– W ostatniej chwili – potwierdził Boemund i Rosz poczuł się z tej przygody wyłączony.

– Przynajmniej przedtem nasiusiałam do wody!

Roześmiali się wszyscy troje, ale Jeza zauważyła, że Rosz jest nieszczęśliwy.

– Wypełniłeś swoją przysięgę i uwolniłeś Mahmuda! – wręczyła mu puchar, który Rosz przyjął z wdzięcznością.

– To raczej on uratował mnie, Czerwonego Sokoła i Madulajn, ten mały ognisty diabeł!

Rosz cieszył się, że będzie mógł opowiedzieć coś, co na innych zrobi wrażenie. Ale akurat w tej chwili podeszli dwaj młodzi *fida'i* i powiadomili, że *Grand Da'i* pragnie teraz rozmawiać z księciem Antiochii i prosi, żeby goście nie pokazywali się na murach; prześladowcy nie powinni wiedzieć o ich obecności w Masnacie.

Rosz i Jeza chcieli towarzyszyć Boemundowi, ale *fida'i* oświadczyli, że na nich z niecierpliwością czeka mistrz Buchier.

– No cóż, tak surowe są obyczaje asasynów – zakpił Bo. – Każdemu mówią, co ma robić, a czego nie powinien. A jeśli nie posłuchasz... – po przyjacielsku dźgnął Rosza palcem w brzuch. – Zobaczymy się później, jeśli się to spodoba *Grand Da'i*.

Drugim fida'i był chłopiec, który nosił sztylety, skoczył przez wrota do rajy i wrócił, co zrobiło na Roszu wielkie wrażenie. Zaprowadził ich na górę do obserwatorium, gdzie mistrz z Paryża rozłożył swój warsztat.

– Jak było w rajy? – spytał Rosz chłopca o szlachetnym wyglądzie, niewiele starszego od siebie, gdy wchodzili na górę po krętych schodach.

– Sami przecież tam byliście, więc wiecie.

Rosz poczerwieniał, gdyż nakazano mu surowo, pod karą śmierci, nie pisać ani słowa o ukrytej izbie, *mawa an-nisr*.

– Jak się nazywacie? – próbował odwrócić uwagę od swego głupiego pytania.

– Karim – odpowiedział *fida'i*, a potem przedstawił Rosza i Jeżę mistrzowi Buchierowi: – Królewskie dzieci! – Skłonił się lekko i oddalił.

Mistrz siedział przed metalową konstrukcją, w której na dole ciężkie żelazne czółenko ślizgało się tam i z powrotem po szynie, a przy tym popychało ząbki i kółka, które w górze w zestawie drążków wprawiały w ruch obrotowy i skrzydłowy różne rury i pręty.

– Jaki śmieszny strach na wróble! – zawołała Jeza.

Mistrz popatrzył na nią, zatopiony w myślach, skinął jednak potakująco głową, co zachęciło Rosza, aby podzielić się swoim spostrzeżeniem.

– Ale on działa bez wiatru.

– Właśnie! – powiedział *artifex ingenuus* i pchnął urządzenie. Czółenko skoczyło, koła zębate i ślimacznice zaczęły się kręcić, w górze poruszał się w prawo i w lewo zestaw drutów, a tarcze z blachy podnosiły się i opuszczały, aby potem znowu popaść w odrętwienie, gdy czółenko się zatrzymało.

– Tocząca się kula działałaby może dłużej – ośmielił się zauważyć ostrożnie Rosz.

– Ależ nie – powiedziała Jeza – niczego nie wprawiłaby w ruch, ponieważ nie ma żadnych haczyków i kantów.

– Całkiem słusznie! – rzekł mistrz rozbawiony. – Problem polega na przeniesieniu płynnej ruchliwości na bierną mechanikę.

– Trzeba więc za każdym razem to popchnąć? – spytał Rosz rozczarowany.

– Wystarczy zmiana położenia. – Buchier przechylił lekko urządzenie i wszystko znowu zaczęło się poruszać. – *Perpetuum mobile** jeszcze nie wynaleziono, mój książę.

Nalał nieco oliwy na prowadzącą szynę.

* *Perpetuum mobile* (łac.) – dosł. wiecznie poruszający się; fantastyczny, nierealny mechanizm, który raz puszczoney w ruch miałby funkcjonować nieustannie bez zasilania energią z zewnątrz.

– Ale możemy się do niego zbliżyć – mruknął z uznaniem – gdybyśmy umieścili doskonale oszlifowane kule między ciężarem a łożyskiem. Macie wielkie zdolności do *studium physicalis**, szczególnie do *motus corporis**.

Rosz rozpromienił się na tę pochwałę.

– A może zawieszicie ciężarek swobodnie, jak wahadło? – zapytała Jeza.

Mistrz Buchier rzucił jej zdumione spojrzenie.

– Szkoda, wielka szkoda, księżniczko, że jesteście przeznaczeni do innych rzeczy.

Przyglądał się stojącym przed nim dzieciom uważnie, jakby chciał wyryć sobie w pamięci ich obraz.

– Gdybyście pojechali ze mną, moglibyśmy stworzyć dzieła, jakich świat nie widział!

– Tak – powiedział Rosz – szkoda, że nie będziemy razem tworzyć nowych konstrukcji.

– Ale nic nie da się zmienić – dodała Jeza i pociągnęła Rosza ze sobą. – Zostawiamy was teraz waszej pracy, mistrzu.

Buchier zerwał się i skłonił na pożegnanie.

– Wy jesteście mistrzami, prawdziwie królewscy geniusze, od was mógłbym się uczyć!

– Wasza skromność przynosi wam zaszczyt. – Rosz podał mu rękę. – Jesteście wielkim artystą.

Buchier zapalił pochodnię, aby sobie oświetlili zejście, ponieważ zrobiło się ciemno.

Rosz i Jeza szli w świetle pochodni przez zdziczały, jak im się wydawało, ogród wielkiego mistrza. Kroczyli znanymi sobie ścieżkami, aż dotarli do pawilonu. Rosz podniósł pochodnię i oświetlił marmurową twarz posągu Bachusa.

– Pamiętasz?

– Pewnie! Tak nagle wtedy zniknąłeś... – uśmiechnęła się Jeza.

Weszli po schodach na górę i znaleźli swoje pokoje.

Tutaj było ich łóżko... Poczuli nagle zażenowanie. Czy potrafiliby się teraz rozebrać, położyć i objąć, tak jak to przedtem bez zahamowań czynili?

Jeza ociągając się przysiadła na krawędzi łóżka, Rosz stał nadal.

– No chodźże! – powiedziała.

Chłopiec usiadł u jej stóp i oparł nieśmiało głowę na jej kolanach.

– Muszę ci wiele opowiedzieć...

– Jest prawie tak, jakbyśmy musieli się na nowo poznawać. – Jeza zaczęła ręką błądzić po jego twarzy.

– Wciąż cię kocham i...

– I co? – spytała jak doświadczona kobieta. – Ważne jest przecież tylko to, że znowu jesteśmy razem. – W żadnym wypadku nie chciała teraz się rozbierać, gdyż czuła, że krwawi, a nie wiedziała jeszcze, jak wyjaśnić Roszowi tę zmianę, która zaszła w jej ciele.

* *Studium physicalis* (łac.) – studium fizyki.

* *Motus corporis* (łac.) – ruch ciała.

Późno w noc przybył Crean. Kazał się natychmiast zaprowadzić do *Grand Da'i*. Nie rozmawiali długo. Tadz ad-Din powiadomił go krótko o śmierci *chevalier* – nie powiedział „ojca”. Crean stłumił dające się zauważyć wzruszenie. Tego wymagała surowa reguła zakonu. Ból, jeśli miał się pojawić, minie, a w końcu powiedzieli sobie z Janem wszystko, co było do powiedzenia. Crean nie znał nigdy *maestro venerabile* jako ojca, raczej jako starszego przyjaciela, a przede wszystkim jako człowieka ze wszystkimi jego słabościami. Chętnie zobaczyłby go jeszcze raz, ale ważniejsze było, że Jan Turnbull odszedł pogodny, ze świadomością, że dzieci znowu są razem i są bezpieczne. Crean z Bourivanu wyszedł na dwór, popatrzył na gwiazdzisty namiot nocy i przesłał Janowi pozdrowienie.

Potem poszedł na górę do obserwatorium, ponieważ dostrzegł tam jeszcze blask światła.

Zastał mistrza Buchiera otoczonego kręgiem łojowych świec. Na żelaznym ruszcie rozżarzał do białości czarne błyszczące kamienie, po czym polewał je smołowatą cieczą i za pomocą miecha znowu rozgrzewał. W ogniu żarzyły się okrągłe żelazne kule, które wciąż zanurzał w zimnej wodzie, tak że syczały głośno i buchała para. Twarz miał poczernioną sadzą, był spocony, ale jego oczy błyszczały zapalem. Z ochotą pokazał dzieło swemu późnemu gościowi.

Konstrukcja była zasłonięta chustami, aby ją ukryć przed niepowołanymi oczyma. Crean odchylił zasłony i potrząsnął głową, ponieważ nic z tego nie zrozumiał.

– Ile czasu potrzebujecie jeszcze, mistrzu?

– Już niedużo, niedużo! – mruknął Buchier. – Będzie gotowe, kiedy skończę.

Crean skinął głową. Tacy byli artyści.

– Nie popędzam was – powiedział.

Ale Buchier był już znowu zatopiony w pracy.

Crean wszedł do swego pokoju w wieży, który za zezwoleniem kanclerza urządził z dala od sypialń współbraci. Zakwaterowano tu księcia Antiochii.

Bo rozbudził się natychmiast. Pojął, że powrót Creana ma coś wspólnego z dalszą podróżą dzieci.

– Jeśli chodzi o mnie, możemy bez zwłoki wyruszyć do Antiochii! – zawołał uradowany.

– Nawet jutro!

– Musimy jeszcze poczekać – odparł Crean.

– Wtedy będziemy mieli znowu na karku tych zawziętych zakonnych rycerzy, których dopiero co się pozbyliśmy! Oni zrobią wszystko, żeby schwytać Jeżę i Rosza!

– Nie złapią ich – uspokoił go Crean.

– Czy wiecie, gdzie się podziewają? – spytał Boemund. – Szukałem ich wszędzie, ale jakby się zapadli pod ziemię.

– Zechciejcie pójść ze mną – odparł Crean – chyba wiem, gdzie są.

Bo podniósł się ochoczo i bez zapalania światła – wszedł bowiem księżyc i świecił jasno nad Masnatem – poszli obaj uliczkami twierdzy, znaleźli w murze otwarte drzwi, przecięli ogród z jego pluskającymi źródłkami i wydzielającymi ciężką, słodką woń krzewami jaśminu.

Dotarli do pawilonu. Na palcach zakradli się cichaczem po schodach na piętro.

Dzieci spały w ubraniach.

Jeza leżała na wznak na łóżku, jej jasne włosy obejmowały twarz jak złoty hełm. Rosz siedział na podłodze, ramionami obejmował nogi Jezy i przytulał do nich policzek.

Światło księżyca wpadało przez okno i zalewało królewskie dzieci srebrzystym blaskiem. Nie obiecywało spokojnego odpoczynku, najwyżej chwilę oddechu przed dalszym wtargnięciem w wielkie tajemnice.

Z diariusza Jana ze Joinville

Kalat al-Husn, 10 maja A.D. 1251

Wschodzące słońce powlekło płynnym złotem wznoszący się przed nami majestatycznie Kalat al-Husn, jak tubylcy nazywali Krak des Chevaliers.

Jechaliśmy całą noc i mieliśmy teraz nadzieję na posilne śniadanie, kąpiel i sposobność, aby zdrzemnąć się choć chwilę. Niestety, Jan z Ronay ogłosił, że nie chce tracić czasu na wjeżdżanie do zamku, lecz po krótkim odpoczynku będzie towarzyszył drogim panom posłom do Masnatu.

Iwo osłupiał, nic jednak nie powiedział. Rozwahał chyba, co joannici knują, a przede wszystkim, jaką korzyść z tej sytuacji może wyciągnąć dla siebie.

Ani ja, ani joannita nie pisnęliśmy dotąd przy Bretończyku ani słowa o Antiochii, przemilczeliśmy sprawę wizyty młodego księcia i jego udziału w podróży Jezy. Było dla mnie jasne, że Masnat nie był celem joannitów, lecz najwyżej dalszą nadzieją, aby złapać dzieci na drodze do Antiochii, a jeśli to by się nie udało, nawet później.

Jan z Ronay zawział się i potrzebował mnie teraz znowu, ponieważ wystarczyło jedno słowo z mojej strony i Bretończyk przegnałby go do diabła razem z jego rycerzami, a przynajmniej odesłał do domu, do Krak des Chevaliers.

– Jako dziewczica do asysty nie jesteście dla mnie wystarczająco urodziwi, panie Ronay – odezwał się Iwo po długim namyśle – nie zamierzam także włączyć was do swego poselstwa, gdy wystąpię przed Starcem z Gór, bo to utrudniłoby tylko moją misję.

– Nie prosiłem was o to, Bretończyku – odpowiedział gniewnie joannita. – Mogę zażądać wpuszczenia do Masnatu, kiedy tylko będę sobie tego życzył. Żywimy wprawdzie mieszane uczucia w stosunku do ismailitów, i to prawie od stu lat...

– Wasz zakon wymusza od nich trybut, pochodzący z danin, które oni pobierają od innych chrześcijan. Paser...

– Pilnujcie swego języka! – zgrzytnął zębami Jan z Ronay. – Mogę was kazać zabić jak wściekłego psa, a król nie uroni nawet jednej łzy...

– Musielibyście wówczas zabić wszystkich zacnych świadków – powiedział Iwo zimno. – Nawet dla waszego zakonu byłoby wówczas zbyt wiele krwi, i to tylko dlatego, że usunięty ze stanowiska wielki mistrz chciał wyrzucić na kimś swoją złość. Pan z Châteauneuf kazałby was łamać kołem!

– To należało z wami zrobić już przed laty! – wrzasnął Jan z Ronay.

– Król mnie ułaskawił – rzekł spokojnie Iwo. – A że pan Ludwik pragnie dobrych stosunków z asasynami, nie ścierpię waszej interwencji. Jeśli się pojawicie w Masnacie, póki ja tam będę, zginiecie!

Najwyżsi rangą joannici wycofali się na naradę i zostawili mnie samego z Bretończykiem.

– Wystarczy mi wasze świadectwo, Joinville. Jesteście ni pies, ni wydra, tyle że macie hrabiowski tytuł i godność rycerza.

Postanowiłem, że nie dam się sprowokować. Nie walczy się z człowiekiem z gminu, a poza tym pod każdym względem wyszedłbym na tym źle. Wystarczyło tylko rzucić okiem na katowski topór z kolczastą kulą na górze styliska. Iwo w mig zrobiłby ze mnie siekane mięso, poszedłby w strzepy mój piękny kaftan, a tarcza ze znakomitymi herbami hrabiów Joinville i Aprémont zostałaby wygięta, jeśli udałoby mi się obronić tylko przed pierwszym ciosem. Tak więc powiedziałem:

– Mogę wam także zaoferować obecność seneszala Szampanii i jego świetnych rycerzy...

Widziałem, że moi ludzie w złych humorach śledzili ustawiczne klótnie, w których ich hrabia nie wypadł najlepiej. Nie mogłem tego zmienić, trzeba było to jakoś przetrwać. Albo joannici osiągną swój ambitny cel przy moim współdziałaniu, albo ja sam, z Bretończykiem jak z kulą u nogi, doprowadzę poselstwo do pomyślnego końca i znajdę uznanie w oczach króla. Bretończyka zresztą można by później się pozbyć. W tej sprawie doszedłbym już do porozumienia z Janem z Ronay. Teraz potrzebowałem Iwona, tak jak on mnie!

Iwo przyglądał mi się w napięciu.

– A jako kogo chcecie mnie przedstawić? – spytał. – Jako waszego pacholka, który przypadkiem zna arabski?

– Wedle waszego uznania – odpowiedziałem – wymyślcie sobie jakiś duchowny tytuł i będziemy was traktować wobec wszystkich jak purpurata.

– Wolałbym występować jako rycerz! – burknął Bretończyk.

Moi panowie roześmiali się, a ja powiedziałem szybko:

– Pasowania na rycerza powinniście zażądać od króla. Biedny hrabia i nędznie opłacany seneszal nie ma prawa udzielać takich godności.

– Wiem – oświadczył Iwo z goryczą. – Trzeba mieć w żyłach błękitną krew i nie być duchownego stanu; dokonanie zabójstwa także stoi na przeszkodzie...

– Owszem – roześmiałem się – chyba że ofiarą był właściwy człowiek!

Podjechał do nas Jan z Ronay.

– Otoczymy najpierw gniazdo asasynów pierścieniem, żeby nikt nie mógł uciec.

– Według mnie... – zacząłem, ale przerwał mi gniewnie:

– I to się stanie, zanim obaj szanowni posłowie znajdą się w zamku. Zastrzegam sobie decyzję co do wyboru odpowiedniego momentu.

Iwo milczał, a ja powiedziałem:

– Jeśli uważacie, że to służy sprawie...

Jan z Ronay rzucił mi pytające spojrzenie, jakby chciał się dowiedzieć, po czyjej stronie stoję. Pozostawiłem go w niepewności, ponieważ sam nie wiedziałem.

Ruszyliśmy w drogę i podzieliliśmy się wkrótce na dwa oddziały, które miały twierdzę wziąć w kleszcze.

Mnie przydzielono do jednego, Iwona do drugiego oddziału, którym dowodził sam pan Ronay. Nie troszczyłem się o ewentualną samowolę Bretończyka, w końcu to ja miałem w kieszeni pełnomocnictwa od króla.

– Po minięciu zamku spotkamy się znowu – zdecydował joannita – wtedy zepniemy ściślej pas okrążenia!

– Poseł sultana z Kairu – ogłosił herold królowi w Akce i stuknął trzykrotnie laską na znak rangi gościa, który wchodził do sali audiencyjnej. – Emir Fassr ad-Din Oktaj!

W ten sposób Czerwony Sokół pojawił się znowu w Królestwie Jerozolimskim, tym razem nie po kryjomu, lecz otoczony okazałym orszakiem, który rozkładał przed panem Ludwikiem podarunki przesłane przez sultana Ajbeka. Król wstał i uścisnął gościa, bo żywił serdeczne uczucia wobec syna wezyra, który mimo że był wrogiem, zachował się jak rycerz i sojusznik, a ponadto król chciał pokazać, jakim uznaniem może się cieszyć poseł mameluków.

Do omówienia były tylko kwestie rozwinięcia wzajemnych stosunków, pan Ludwik zaprosił więc emira natychmiast na wieczerzę, w której brała udział także królowa.

Biesiadowali do późna w noc i gdy konetabl odprowadził gościa do jego komnat, Czerwony Sokół czuł przyjemną senność, pozwolił się bowiem namówić – niewinny grzech Konstancjusza z Selinuntu, jego drugiego ja – do skosztowania wybornego wina, które królowa matka Blanka przysłała z Francji.

Już się miał rozebrać, lecz usłyszał pukanie do drzwi i po chwili wszedł cicho Gawin, templariusz.

Ich stosunki nie były przyjacielskie, ale obaj byli członkami Przeoratu Syjonu i osobami wtajemniczonymi w Wielki Plan.

– Władze zakonu prawie mnie zamknęły w domowym areszcie – wyjaśniał komandor templariuszy – i liczę się z tym, że wkrótce zostanę odesłany z powrotem do Rennes-le-Château. Moje zaangażowanie w Wielki Plan uważają za zbyt samowolne, w czym może i mają rację. Muszę tym razem być posłuszny rozkazowi, co jednak nie oznacza, że nie będę już troszczył się o dzieci, choćby tego ode mnie wymagano!

– Posłuszeństwa żąda się tylko od człowieka, który się nie nauczył rozkazywania albo o nim zapomniał! Jak się ma Jeza? – spytał Czerwony Sokół, ponieważ wiedział, że Rosz jest bezpieczny u asasynów.

– Są chyba oboje w Masnacie – odparł Gawin – i to jest moje największe zmartwienie. Od wielu dni nie otrzymuję już wiadomości od Jana Turnbulla, a z drugiej strony wiem, że z Antiochii wyruszył do asasynów najgorszy wróg dzieci, którego uważaliśmy za martwego, Wit z Viterbo.

Templariusz chodził niespokojnie po pokoju tam i z powrotem.

– Po śmierci cesarza Kościół i Anjou zrzucili maski i połączyli siły, aby skończyć także z ostatnimi potomkami Hohenstaufa. Ponieważ tu w Akce nie mogą liczyć na aprobatę Ludwika, przedostają się przez Antiochię, w tym momencie pozostającą bez władcy.

– Pani Lucjana, regentka, nie jest nieświadoma tych planów, ochoczo otwiera drzwi i bramy stronnikom papieża, już choćby po to by zirytować greckiego patriarchę; także z Armenią ta dama jest poróżniona.

– Widzę – powiedział Gawin – że egipska tajna służba nie ucierpiała na przejściu władzy przez mameluków, ale, być może, uszło waszej uwagi, że teraz także *maître* Robert z Sorbony, zaprzysięgły stronnik Anjou, zbliża się do Masnatu, skąd usunięto Creana i Tarika ibn-Nasira właśnie z powodu ich zaangażowania się po stronie dzieci. Dzieciom Graala grozi ogromne niebezpieczeństwo!

– Przeczuwałem to już – rzekł Czerwony Sokół – gdy usłyszałem, jak flotylla Anjou próbowała zdobyć Otranto, co w ostatniej minucie udaremnił wracający do domu hrabia Hamo, nie bez pomocy naszych statków, które go odprowadzały.

– Było to podziękowanie Bajbarsa za odzyskanie syna?

– Także za zdjęcie mu z głowy przykrego dla nas, muzułmanów, problemu zhańbionej siostry! – roześmiał się Czerwony Sokół.

– Mam nadzieję – dodał Gawin – że wy też jesteście szczęśliwi z Saracenką...

– Dziękuję – powiedział emir. – Jakby Damaszk, chrześcijan i Mongołów nie było jeszcze dosyć, stworzyliśmy sobie z Madulajn czwarty front, na którym rzadko panuje zawieszenie broni.

– Tak więc odpoczywacie w czasie posłowania, tym razem jednak źle trafiliście. Nie mogę oczywiście od was żądać, chyba tylko usilnie prosić...

– Już zrozumiałem – oznajmił Czerwony Sokół. – Zapłacicie mi za sprzęty, które moja dama rozbije, jeśli nie pojawią się punktualnie w naszym letnim pałacu w Gizie.

– Jestem biedny – odparł Gawin – ale wyślę do waszej ognistej damy gołębia z wiadomością usprawiedliwiającą wasze spóźnienie.

– Pojadę jeszcze dziś w nocy.

– Sam? – spytał Gawin zatroskany.

– Znam drogę. – Czerwony Sokół przypiął szablę. – Dojadę szybciej, jeśli nie będę musiał zważać na żadnego towarzysza podróży. Postarajcie mi się o dwa, trzy konie do zmiany i zastanówcie się lepiej, jak wyjaśnicie jutro królowi moje zniknięcie.

– Jeszcze jedno – odezwał się Gawin i przytrzymał otwarte drzwi. – Iwo Bretończyk opuścił Damazek i od tego czasu się nie pojawił. Wiecie, że już raz podniósł na Jezę morderczą rękę i uratowała ją wówczas tylko interwencja króla. Tym razem królewskie dzieci są bez ochrony, tylko William jest w drodze do Masnatu, ale on przeciwko brutalnej sile niewiele może wskórać!

– *Allah jurafikuna!** Nie mogę działać nic więcej, jak tylko zajeździć wasze konie.

Cichaczem opuścili pałac królewski.

Gawin przyprowadził ze stajen templariuszy najlepsze konie pełnej krwi i odprowadził Czerwonego Sokoła przez miasto do bramy Świętego Łazarza, która należała do szajka templariuszy.

– Czy nie chcecie wziąć jednak ze sobą kilku naszych turkoplów? – nalegał Gawin. – Dam ich chętnie na własną odpowiedzialność.

– Nie, Gawinie! – zawołał Czerwony Sokół, wskoczył na konia i prowadząc luzaki na linie pomknął w ciemność. – *Che Diaus vos benesigna! Salvatz los enfans du Graal!**

– *Insza Allah!* – powiedział cicho Gawin.

Z diariusza Jana ze Joinville

Pod Masnatem, 13 maja A.D. 1251

Na północ od Masnatu, u stóp stoku, gdzie wznosiła się serpentynami droga do twierdzy asasynów, czoło naszego rozciągniętego oddziału napotkało znowu główne siły pod dowództwem Jana z Ronay. Tamci założyli rygiel przez góry Nosairi, zamykając drogę do morza, gdy tymczasem my zabezpieczyliśmy od wschodu gościniec do Hamy.

Rzuciłem Iwonowi pytające spojrzenie, lecz on patrzył ponuro przed siebie.

– Czy możemy teraz wyruszyć z naszym poselstwem? – spytałem dość nieprzyjaźnie joannitę, który jak mi się zdawało, szykował się do dłuższego czekania. – Zapięliście wasz pas dookoła warowni...

* Allah jurafikuna! (arab.) – Allah jest z nami!

* Che Diaus... (stfr.) – niech Bóg was błogosławi! Dzieci Graala (są) uratowane!

– Aha, to wam się marzy! – parsknął Jan z Ronay. – Pojedziecie na górę i zdradzicie naszą sprawę ponownie, a dzieci uciekną przez jakąś dziurę!

– Tak zawsze jest z pasem! – zakpił Bretończyk. – Przyciągniecie za mocno, to zasznujecie własne kiszki, a zapniecie za luźno, to opadną wam spodnie!

W tym momencie na stromej drodze z zamku podniosły się tumany kurzu. To młody książę Antiochii z okazałym orszakiem zjeżdżał w dół. Mieliśmy liczebnie znaczną przewagę, a do tego obsadziliśmy zbocza wąwozu, którym biegła droga, lokując między skałami naszych łuczników. Dostrzegł to chyba także Bo, gdyż podniesieniem ręki zatrzymał kawalkadę rycerzy. Teraz można było wyraźnie dostrzec lektykę, którą prowadzili ze sobą.

– No, no – powiedział Iwo. – Podają nam jak na tacy to, czego tak gorliwie szukamy!

– Spokojnie, z łaski swej! – ofuknął go Jan z Ronay. – Znajdujemy się na terytorium Antiochii i chcę uniknąć niepotrzebnych kłopotów.

– Ja nie – powiedział Bretończyk.

– Czekaście – próbował go powstrzymać joannita – nie jest wcale pewne, że poszukiwani znajdują się w środku...

– To właśnie chcę zobaczyć! – zawołał Iwo. – Czy pójdziecie, mój panie hrabio Joinville, wraz ze swymi szlachetnymi rycerzami, abyśmy odpowiednio do stanu złożyli uszanowanie królewskim dzieciom? – Nie czekając na odpowiedź, pogalopował przodem, a ja z moimi ludźmi za nim, aby w razie konieczności powstrzymać go przed najgorszym; nikt nas nie zatrzymywał.

Joannici stali bezradnie, ale nie ustąpili z drogi.

– Czemu zachowujecie się wrogo wobec mnie? – pytał Boemund, podczas gdy Iwo próbował zbliżyć się do lektyki.

– Chcemy tylko powitać królewskie dzieci!

– Tu nie ma żadnych dzieci – oświadczył Bo.

– Pozwólcie mi rzucić okiem do lektyki – powiedział Iwo.

Młody książę wybuchnął gniewem.

– Nie ważcie się zbliżyć nawet na krok! – zawołał ostrzegawczo.

Bretończyk jednak rzucił się do przodu i jednym szarpnięciem odsunął na bok zasłonę. Lektyka była pusta!

– Odpokutujecie za tę zuchwałość! – zawołał Bo i kazał swoim rycerzom dobyć mieczy.

Wszyscy zakładali, że pan Iwo będzie próbował dotrzeć z powrotem do joannitów. Popędzili konie, aby mu wzbronić przejazdu.

– Dzięki za wolną drogę! – zawołał Bretończyk i popędził wierzchowca w górę do Masnatu.

Wtedy pojąłem, że uknuł cały ten manewr, aby się uwolnić od Jana z Ronay, i wyjaśniłem rozgniewanemu Bo:

– Nie pragnął was obrazić, lecz uciec joannitom, którzy chcieli nam przeszkodzić w wypełnieniu naszej misji.

– Ja wam przeszkadzać nie będę, drogi Joinville – powiedział Bo – ale nauczcie waszego nieokrzesanego pacholka lepszych manier!

Pożegnałem księcia i kazałem swoim rycerzom ruszać w ślad za Iwonem.

– Poskromcie tych zakonników – zachęciłem jeszcze Bo – wyślijcie ich do domu! Tylko im głupstwa w głowie.

Bo wykonał pogardliwy gest i pomachał mi ręką, a ja po chwili dołączyłem do swoich.

*Al-kilabu tanbah, al-kafila tastamirru bi-al-maszi**

O bladym świcie, kiedy sen rycerzy jest najgłębszy, a wróg z upodobaniem zakrada się pod mury, na przeciwległym skraju wąwozu, którym natura chroniła Starkenberg przed niespodziewanym atakiem większego zastępu wojska, pojawiła się postać samotnego jeźdźca z czwórką koni.

Trzymającym straż na ostatniej zmianie powieki wciąż opadały ze zmęczenia, więc zerwali się przestraszeni na dźwięk dzwonu.

Siwy komtur, Zygisbert z Öxfeldu, pomyślał najpierw, że dzwonią na matutinę, ale gdy uderzenia dzwonu przybrały na sile, sięgnął zaspany po miecz. Zaraz jednak do jego komnaty wszedł Czerwony Sokół. Starzy towarzysze broni spod Montségur, rycerze cesarza, uścisnęli się po bratersku.

– Gdzie się pali? – spytał Zygisbert.

– Dzieci są w niebezpieczeństwie, wróg szturmuje Masnat albo co gorsza przenika cichaczem do twierdzy...

– Czy Creana tam nie ma?

Czerwony Sokół potrząsnął głową.

– Nie ma także jego ojca ani Tarika, kanclerza, a *Grand Da'i* nie rozpozna wilków w duchownych sukniach: Wita z Viterbo, Roberta z Sorbony i Iwona Bretończyka, aby tylko wymienić tych, o których wiem, że wyruszyli na wielkie polowanie! Polowanie na dzieci Graala!

– Jeśli Iwo pilnie szuka dzieci, jest w tym trochę mojej winy – przyznał niemiecki rycerz – ponieważ powiedziałem Bretończykowi, który bardzo chce zostać rycerzem, najlepiej rycerzem Graala i strażnikiem dzieci, że zależy to wyłącznie od Rosza i Jezy. Pan Iwo nie nastaje zatem na ich głowy, co zgodnie z doświadczeniem łatwo można by mu przypisać, lecz pragnie pozyskać ich serca.

– To jest w najwyższym stopniu niebezpieczne, Zygisbercie. – Czerwony Sokół zmarszczył czoło. – Jakże szybko przy najmniejszym rozczarowaniu, przy nierozważnej

* Al-kilabu... (arab.) – psy szczekają, karawana idzie dalej.

odmowie jego miłość może się przerodzić w ślełą nienawiść! Nie powinniście temu zmiennemu i nieopanowanemu człowiekowi czynić podobnych nadziei.

– Widzę to inaczej – rzekł Zygisbert. – Każda nawrócona dusza jest naszym zyskiem...

– Przeorat Syjonu nigdy go nie przyjmie do naszego kręgu. Gdy Iwo to zrozumie, przemieni się w drapieżne zwierzę i będziemy musieli z nim walczyć.

– A więc do boju! – stwierdził Zygisbert, choć nie sprawiał wrażenia, że zrozumiał swój błąd. – Jakie zadanie przypadnie mi jako pokuta za mój karygodny czyn?

– Nie okazaliście mądrości odpowiedniej do waszego wieku, lecz młodzieńczą lekkomyślność – zganił Czerwony Sokół przyjaciela – i żeby to naprawić, zabezpieczycie teren w Antiochii, dokąd dzieci mają się udać. Ja przejmę Masnat, jeśli tam jeszcze są.

Zygisbert wychylił się z okna i dał strażnikowi znak, aby zadał w róg. Dziedziniec zamkowy zapełnił się momentalnie rycerzami, którzy jeszcze w biegu nakładali pancerze i przypasywali miecze.

Obaj przyjaciele zeszli na dziedziniec.

Zygisbert wybrał tuzin jeźdźców, którym zaraz przyprowadzono konie oraz przyniesiono włócznie i tarcze.

– Na wybrzeżu cumuje statek z Lubeki – powiedział komtur – który nam przywiózł z ojczyzny piwo oraz wieprzowinę i chciałby być pożyteczny w walce przeciwko poganom. Z jego pomocą znajdziemy się szybciej na wysokości Tortosy niż przy najszybszej nawet jeździe; tam wysadzę was na brzeg, a sam poześlę dalej aż do Saint Simon, portu Antiochii.

– Nie wysadzajcie mnie przy Tortosie – rzekł Czerwony Sokół. – Tamtejsi templariusze nie mówią dobrze o Konstancjuszu z Selinuntu, zabił im przecież dowódcę, Stefana z Otricourtu.

– Myślałem, że zasztyletowała go ręka asasyna...

– Można to i tak nazwać – wyjaśnił Czerwony Sokół. – Dobiła go Madulajn.

Zygisberta wcale to nie zdziwiło.

– Kto sobie bierze za żonę dziką kotkę, powinien wchodzić do małżeńskiego łóżka w pełnej zbroi – mruknął, dając wyraźnie do zrozumienia, że wcale mu się to nie podoba.

– Cha, cha! – roześmiał się Czerwony Sokół. – Gdy przychodzi do kruszenia kopii, Saracenka paruje każdy cios!

– Kobiety to same zmartwienia! – Zygisbert dał znak, żeby wyruszać.

Brama Starkenbergu rozwarła się ze zgrzytem i wypuściła rycerzy w powiewających białych płaszczach z czarnymi krzyżami, które jak potężne miecze sięgały od piersi aż po skraj płaszczy, oraz mameluckiego emira. Jego konie miały na skórze wypalone znaki templariuszy. Kawalkada skierowała się górskimi ścieżkami ku wybrzeżu.

Z diariusza Jana ze Joinville

Masnat, 15 maja A.D. 1251

Przebywamy już w Masnacie dwa dni. Przed południem i po południu prowadzimy rozmowy z *Grand Da'i*, na co nalega Iwo, chociaż mamy niewiele do pertraktowania, bo przecież ściśle biorąc wyważamy otwarte drzwi.

Asasyni są chętni do współdziałania, zwłaszcza że Ajjubidzi jak An-Nasir to w ich oczach zatwardziali sunniti, bez względu na to, że wielki Saladyn z powodów politycznych, gdy zrzucił z tronu w Kairze ostatniego Fatymidę, uznał się za szyitę. Poza tym z naszej strony nie muszą się obawiać o swe zamki wokół Masnatu, ponieważ nie dysponujemy dostateczną liczbą rycerzy, aby je obsadzić, gdy tymczasem An-Nasir, który się *nolens volens* zadowolił wyłącznym posiadaniem Damaszku, chciwie wyciąga rękę po każde lenno, aby umocnić swoją władzę w Syrii.

Uzgodniliśmy, że w zagrożonych zamkach ulokujemy chrześcijańskie garnizony, aby przynajmniej wywiesić tam flagę. Poza tym obiecaliśmy *Grand Da'i*, że mu wyrównamy część trybutu, który asasyni musieli płacić zakonowi rycerskim templariuszy i joannitów.

Za to przyrzekł nam chronić drogi łączące Królestwo Jerozolimskie z księstwem Antiochii; drogi te na tym przesmyku są wciąż niepokozone zbójckimi napadami emirów Homsu, Hamy i Szaizaru.

Nad tym ubolewał również Tadż ad-Din, a Iwo powiedział:

– Już czas, *Grand Da'i*, żeby wasz zakon wiedział, jak się należy obchodzić z takimi mącicielami spokoju...!

Grand Da'i był zdumiony.

– Niesłusznie nas pomawiacie, mord polityczny nie jest naszym celem.

Było to lekkie skarcenie, ale Iwo nie od razu ustąpił:

– Jednakże go nie wykluczają religijne maksymy, jak ta o państwie Bożym, kierowanym przez jednego imama^{*}, prawowitego następcę proroka prawda?

– Kto nie obchodzi się ostrożnie z takimi środkami, obniża ich wartość – powiedział *Grand Da'i*. – Gdy kładziecie przeciwników tuzinami, jesteście zabijając, lecz jeśli zabijecie jednego, nadzwyczajnego, czeka was wieczna sława jako szlachetnego rycerza.

– A więc nie można się obejść bez zabijania? – spytał Iwo w napięciu.

– Ależ można – uśmiechnął się *Grand Da'i*. – Wtedy jesteście uznani za pobożnego człowieka. Czyż nie byliście dawniej kapłanem?

^{*} Imam (arab.) – potomek Mahometa i tym samym religijny zwierzchnik szyitów, uchodzący za nieomylnego w kwestiach głoszonej doktryny.

Bretończyk wolałby w tym miejscu przerwać rozmowę, ale teraz Tadż ad-Din na to nie pozwolił.

– Nadzwyczaj pobożny jest człowiek, który się pozwala zabić za swoją wiarę. Nie próbuje się bronić, nie odplaca pięknym za nadobne, świadomie przyjmuje na siebie śmierć. To męczennik, święty!

– Taki nie jestem – warknął Bretończyk.

– Wiem. – *Grand Da'i* skłonił się i nas odprawił.

Iwo wiele czasu poświęca na włóczęgę po Masnacie. Nie ma żadnego miejsca, żadnego leżącego na uboczu korytarza, żadnej ukrytej izby, której by nie przeszukał.

Nie mówimy o tym, ale wiem, że szuka dzieci.

Czasem zatrzymuje się nagle i nasłuchuje. Nie mówię nic, zwłaszcza że słyszę tylko krzyki orłów, które gnieźdzą się gdzieś w murach. Iwo wlecze mnie wciąż ze sobą jak przyzwoitkę lub jak anioła stróża, który go, gdyby stanął nagle przed poszukiwanymi, mógłby ustrzec przed użyciem niewłaściwego tonu lub nawet przed nieopanowanym napadem szału.

Zna on swoją utajoną chorobę, obojętne jak się ją nazwie: chęcią mordu czy odurzeniem krwią. Przypadłość ta może zaatakować nagle, tak więc chodzę jako pielęgniarz, aby powstrzymać Iwona, gdyby mu wystąpiła piana na usta.

Oprócz nas i poszukiwanych dzieci zatrzymał się w Masnacie jeszcze jeden gość, *maître* Robert z Sorbony.

Jak mi się wydaje, schodzi nam z drogi, chce uniknąć spotkania, co czyni Iwona jeszcze bardziej podejrzliwym.

– Widać, drogi hrabio, że to gniazdo ma tysiąc kryjówek, które się jeszcze przed nami nie otworzyły.

Nie powiedziałem, że już dawno spotkałem *maître* Roberta, który powiadomił mnie w tajemnicy, iż Karol Anjou wysłał go do Antiochii, aby wybadał, jak baronowie *Outremer*, z księciem Boemundem na czele, przyjęliby jego zakusy na tutejsze dziedzictwo hohenstaufowskie.

Wcześniej Anjou próbował zagarnąć Sycylię i Neapol. Tam nie mógł wylądować, ponieważ Manfred, książę Tarentu, cesarski bastard, był zdolnym i odważnym władcą, w przeciwieństwie do Konrada, prawowitego dziedzica, który okazał się słabym człowiekiem. Jemu przypadło Królestwo Jerozolimskie, lecz wcale się o to dziedzictwo nie troszczył, więc po Jeruzalem sięgał Anjou. W Akce nie mógł wystąpić z roszczeniami, tam siedział jego rodzony brat, król Ludwik, który by podobnych zakusów nie ścierpiał. Antiochia była niezależna od Akki i miała z Konstantynopolem na pieńku, co czyniło ją potencjalnym sojusznikiem. Pan Karol, jak mi *maître* z Sorbony poufnie zwierzył, miał ambicje stworzenia wielkiego państwa śródziemnomorskiego: od własnej Prowansji aż do dawnego Bizancjum, od całej południowej Italii, którą przyznał mu papież, aż po *Terram Sanctam**.

* Terra Sancta(łac.) – Ziemia Święta.

– Ach tak – wyrwało mi się – dlatego królewskie dzieci są dla Anjou takim cierniem w oku!

Maître Robert popatrzył na mnie najpierw karcąco, potem z politowaniem:

– Jakie królewskie dzieci?

To utwierdziło mnie na nowo w zachwianym już przekonaniu, że Jeza i Rosz są jednak tutaj w Masnacie gdzieś ukryci i także czcigodny mistrz z Sorbony w rzeczywistości na nie poluje.

Jakby odgadł moje myśli, powiedział:

– Widzicie, panie seneszalu, my uważamy porozumienie z asasynami za pożyteczne. Dlaczegoż mielibyśmy robić sobie z nich wrogów? Tylko dlatego przebywam na tym skalnym pustkowiu!

– Rozumiem. Jeśli mógłbym wam być pomocny...

– Do tego chętnie wrócę – szepnął na pożegnanie – ale oszczędźcie mi spotkania z Bretończykiem, który odmówił memu panu Karolowi pewnej przysługi, po prostu odmówił! – *Maître* wydawał się oburzony.

– Jakże niestosownie się zachował! – szybko się z nim zgodziłem, ale powstrzymałem się od zapytania o charakter tej przysługi. Prawdopodobnie chodziło o głowy dzieci, bo o cóż by innego!

My, to znaczy Iwo i ja za nim, włączymy się więc ciągle po koronach murów i zerkamy w dół, czy gdzieś nie odkryjemy miejsca pobytu dzieci, czolgamy się po na wpół zawalonych korytarzach; wtargnęliśmy nawet do zabronionych ogrodów wielkiego mistrza, ale poza łodygami *cannabis* nie znaleźliśmy niczego.

Wreszcie w opuszczonym pawilonie na końcu tej zdziczałej oazy natknęliśmy się na ślad, dziecięcą sukienkę i kokardę do włosów. Zobaczyliśmy rozrzuconą pościel na łóżku i ślady stóp na zakurzonej podłodze.

Dzieci musiały więc niedawno jeszcze nocować w tym pokoju.

Bretończyk był w najwyższym stopniu podniecony.

– Seneszalu – zwrócił się do mnie – wiem, że mnie nie lubicie, podobnie jak ja nie mam o was dobrego mniemania, ale do jednego chcę was przekonać: nie nastaję na życie dzieci ani nie chcę ich przeschrować czy wydać wrogom.

– Czego więc od nich chcecie? – spytałem.

– Pragnę zająć miejsce Williama jako ich strażnik i obrońca. Rycerz Graala! I to za Bóg zapłać i dla wyższego zaszczytu!

– Postawiliście sobie trudne zadanie – zakpiłem. – Teraz rozumiem, dlaczego sprzątnęliście mnicha z drogi. Myślałem, że robicie to, by pozyskać godność królewskiego posła!

– Ten zaszczyt już mnie spotkał! – zawołał Iwo wściekle. – I jak mi podziękowano?!

– A jednak nie będziecie mogli zająć miejsca minoryty w sercach dzieci! – Staralem się nie tylko go zniechęcić, lecz uderzyć w słabe miejsca. – Nie macie ani jego zabawnej niezdarności, ani czułości dobrej piastunki, wasza pierś jest twarda, a serce z kamienia!

– Nieprawda! – krzyknął Iwo. – Jeśli to powtórzycie, zginiecie marnie!

– Sami widzicie! – kpiłem bezlitośnie. – Nie macie poczucia humoru jak William, nie rozumiecie żadnego żartu.

– Dzieciom niepotrzebne są przyjemności ani żarty jakiegoś błazna! – odparł Bretończyk z całą powagą. – Będą potrzebowały twardej piersi, która przyjmie każdy cios im przeznaczony, krzywego grzbietu tak jak mój, który jest wystarczająco mocny, by je przenieść przez każde niebezpieczeństwo, a przede wszystkim silnej ręki, która się upora z wszelkimi przeszkodami, jakie się im jeszcze postawi na drodze!

– Zapomnieliście, Bretończyku, o głowie. One potrzebują głowy, która jest dostatecznie mądra, aby tego wszystkiego unikać, ale zarazem wrażliwa i wytrwała, aby je doprowadzić do trudnego przeznaczenia, i to tak by w nie przedtem nie zwątpiły. Z wami będą doświadczać jednej katastrofy po drugiej. Nie nadajecie się na strażnika choćby z tego powodu, że nie nauczyliście się panować nad sobą, a już wcale na rycerza Graala, jeśli najpierw nie zwyciężycie samego siebie!

Iwo milczał, dotknięty do żywego.

Znajdowaliśmy się w podziemnym korytarzu, który kończył się żelaznymi drzwiami. Były zamknięte.

Iwo zastukał. Nasłuchiwalismy. Po jakimś czasie rozległy się kroki i zabrzączał pęk kluczy. Siwy starzec wpuścił nas do sławnej biblioteki asasynów.

Starcy pokazali nam chętnie najtajniejsze skarby, zwoje papirusu, które spoczywały na wysokich regałach, ciężkie foliały bogato iluminowane i skrzynie wypełnione pergaminem. Iwo zapomniał na chwilę o swojej roli tropiciela i przemienił się znowu w nadzwyczaj zdolnego i pędzonego żądzą wiedzy paryskiego scholara, który nosił w sobie zadatki na znakomitego *magistrum philosophiae*, jak mi bez zazdrości wyznał William, który go znał z tamtych czasów.

Iwo pewnym chwytem wyłowił stary rękopis, który starcy z dumą określili jako „ewangelię Piotra”.

– Tutaj On tłumaczył mu lewitów! – zawołał Iwo zachwycony. – Nikt nie wie, że to apokryficzne kazanie Mesjasza w ogóle istnieje.

– Wy, chrześcijanie, na wiele spraw macie zamknięte oczy – odezwał się najstarszy bibliotekarz. – Zapomnieliście o długim łańcuchu odradzania się: sięga on początku świata. Dusza Adama wślizguje się w ciało Abla, pojawia się znowu w ciele Noego, a reinkarnacją tegoż jest po potopie praojciec Abraham, i tak dociera ona w końcu do pierwszego apostoła.

– Nie wiem, czy ci antenaci ucieszyliby Ojca Świętego – zwrócił się Iwo do mnie – uważa on się bowiem za zastępcę Pana, za wybranego, któremu powierzono posłannictwo.

Nim zdołałem odpowiedzieć, zabrał głos najstarszy:

– W ten sposób Kościół katolicki zaprzepścił szansę pójścia za świętym prawem szyitów, nie jesteście lepsi od biednych sunnitów!

– My także wiemy o krwi królów! – zawołałem żywo, jakbym był powołany do wskazania tajemnicy Graala. – Ale ona prowadzi przez króla Dawida do syna Maryi i została poniesiona dalej przez Jego dzieci!

Tym wystąpieniem sprowadziłem Bretończyka na ziemię, podsunąwszy mu wspaniałe hasło.

– Królewskie dzieci! – powiedział Iwo i obejrzał się na krąg starców. – Gdzie one są?

Rozjaśniły się pokryte zmarszczkami twarze bibliotekarzy.

– Dzieci? – uśmiechnął się siwy starzec, który nam otworzył drzwi. – Stale przychodzą do nas, każdego dnia.

– Są jak myszy – zażartował inny. – Przedostają się do tej spiżarni pisanego słowa, *machzan al-kalima al-maktuba*, tajnymi korytarzami i znikają znowu, kiedy nasycą się wielkimi myślami.

– Czyż ich nie słyszycie? – spytał najstarszy i nakazał milczenie, ale dobiegł tu tylko krzyk orłów, które gdzieś blisko miały widocznie gniazdo. – Usłyszałem ich głosy! – upierał się z uśmiechem zwierzchnik bibliotekarzy. – One przychodzą i odchodzą, kiedy im się podoba.

Starcy pokazali nam jeszcze listy Jezusa do Jego Matki i do Jana Łazarza, którego tytułują „szwagrem”, ale Iwo słuchał już nieuważnie. Zauważył za miejscem pracy Najstarszego małe żelazne drzwi wpuszczone w mur.

– Dokąd te drzwi prowadzą?

– Do *mawa al-nisr*, jesteście zobowiązani do karmienia i doglądania ptaków.

– Chętnie bym zobaczył gniazdo orłów – oświadczył Iwo.

Najstarszy wzruszył ramionami.

– Tam nie ma nic do oglądania, a ptaki czują się zagrożone i mogą was...

– Nie boję się – powiedział Iwo zdecydowanie.

Sahib al-miftah otworzył nam drzwi. Weszliśmy do niskiego korytarza, który wił się w skale, aż dotarliśmy do żelaznej kraty. Moglibyśmy ją otworzyć, ale dalej w głębi jaskini gnieździły się drapieżne ptaki. Ich potężne skrzydła, ostre dzioby i szpony kazały odstąpić nawet nieustraszonemu Bretończykowi.

Wysoki na mężczyznę otwór wylotowy był obmurowany i zobaczyłem w nim ruchomy wysięgnik z siecią rybacką dostatecznie mocną, aby w niej podnieść wołu. Moje spojrzenie pobiegło przez otwór na zewnątrz ku leżącej naprzeciwko skalnej ścianie.

– Znajdujemy się dokładnie pod miejscem, które nazywają bramą do rajy, chociaż prowadzi w pustkę – rozważał głośno Iwo.

– Może właśnie dlatego! – zażartowałem. – Kto przekracza tę bramę, nie może już później twierdzić, że nie wylądował w raju...

– Chyba że ląduje w tej sieci! – powiedział Iwo.

– Nie każdemu jest raj przeznaczony. Możecie przecież spróbować. Obiecuję wam wystawić sieć na czas.

Iwo obdarzył mnie spojrzeniem, które zawierało tyle sarkazmu, że uznałem to za postęp w naszych stosunkach.

Ptaki miały dosyć naszej wizyty, zwłaszcza że nic im nie przynieśliśmy do jedzenia, i nim Bretończyk wpadł na myśl, żeby je mną nakarmić, ruszyłem w drogę powrotną.

Iwo stał jeszcze jakiś czas przed kratą i spoglądał poprzez bijące skrzydłami, coraz głośniejsze krzyki orłów, na skalisty krajobraz. Potem dołączył do mnie zgarbiony i milczący.

– Znaleźliście je? – spytał siwobrody, który nas wypuszczał z bibliotecznej krypty.

– Kogo? – warknął gburowato Iwo. – Dzieci?

– Nie, orły – odpowiedział starzec.

Iwo nalegał, aby jeszcze raz przebadać ogród wielkiego mistrza, gdyż obiecywał sobie po dokładnym przeszukaniu pawilonu znalezienie wskazówek, śladów mogących prowadzić do dzieci, które asasyni widocznie przed nami ukryli.

– Pawilon skrywa wejście do podziemnego świata, który dla nas wciąż pozostaje zamknięty. – Ochrypli głos Iwona zdradzał podniecenie. – Nie mogę pozbyć się uczucia, że dzieci obserwują każdy nasz krok z niewidocznych otworów w ślepych pułapach, do których z łatwością mogą się dostać przez szpary jak jaszczurki...

– I śmieją się w kulak – dodałem gniewnie – gdy przechodzimy obok tajnych schodów i nie potrafimy dostrzec, że za każdym obrazem, za każdą kolumną lekkim dotknięciem małego palca można otworzyć przejście!

– Długo nie będą się z nas wyśmiewać! – powiedział Iwo. – Nie zniosę tego.

Weszliśmy znów do ogrodu i natrafiliśmy na ładnego młodego *fida'i*, który na żwirowej ścieżce obok fontanny próbował poruszać się o kulach. Były masywne i o wiele dla niego za duże. Używał ich jak szczudeł.

– Jak się nazywasz? – spytałem.

– Karim.

Olśniła mnie nagle myśl, że nie widzieliśmy dotąd Creana z Bourivanu, który przecież powinien przebywać w Masnacie.

– Gdzie znajdziemy Creana? – spytałem ni w pięć, ni w dziewięć.

Chłopiec balansując zręcznie wypuścił z rąk jedną drewnianą podporę i wskazał najbardziej oddaloną wieżę.

Weszliśmy prosto z muru do izby w wieży i stanęliśmy nagle przed *maître* Robertem z Sorbony, który spojrział na nas niechętnie.

– *Grand Da'i* mnie zapewnił, że tutaj znajdę spokój – szczechnął nieprzyjaźnie. – Czego chcecie ode mnie?

– Powiedziano nam, że tu zastaniemy Creana z Bourivanu – usprawiedliwiałem nasze wtargnięcie.

– Nie znam tego konwertyty* – powiedział *maître* zimno – i nie życzę sobie go spotkać, tego judasza...

– Kacerza – poprawiłem z przyjemnością – katarą jak jego rodzic Jan Turnbull!

– Mógł we Francji uniknąć stosu – grzmiał *maître* – ale wiecznego ognia piekielnego może być pewien także i tutaj!

– Za to wy pójdziecie z pewnością do raju – rzekłem najśłodziej, jak potrafiłem.

Robert z Sorbony rzucił mi spojrzenie mrożące krew w żyłach.

– Zadowolam się tym – pouczył mnie – że na ziemi każę memu śmiertelnemu ciału prowadzić życie miłe Bogu; rozum wykorzystuję do pomnażania wiedzy, co mi przynosi liczne wawrzyny.

– A jeśli ktoś nie dysponuje taką głową jak wasza – wmieszał się Iwo – ani równie szlachetnym umysłem, lecz tylko rękoma, w których wcale nie pulsuje błękitna krew, jak ma dojść do sławy i poważania, jak ma zasłużyć na wasz szacunek?

– Mój dobry Iwone – kpił *maître* – nie wpadnijcie przypadkiem na myśl, żeby mnie zabić. Tak sławny to ja znowu nie jestem i takim czynem nie osiągniecie też nigdy raju!

– Mnie wystarczy – powiedział Iwo – jeśli czynami dorównam rycerzom.

– Skoro nim jednak nie jesteście, Bretończyku, wasze działanie będzie zawsze postrzegane jako działanie profosa* albo przestępca...

Iwo chciał się unieść gniewem, ale *maître* go powstrzymał.

– ...chyba że – ciągnął dalej – popełnicie rzeczywiście niesłychany czyn, zabijecie kogoś wielkiego tego świata, kogoś, kogo świat kocha i czyja śmierć głęboko światem wstrząśnie. Kto znałby Hageną z Tronje, gdyby nie zamordował podstępnie Zygryda z Xanten? Kto słyszałby o mordercach Cezara, gdyby ofiarą nie był Cezar. Albo weźmy za przykład kogoś, kogo wszyscy znamy: kim byłby Gawin Montbard z Béthune, gdyby nie wydał na pastwę wrogów Trencavela z Carcassonne? Jednym z wielu, nic nie znaczącym templariuszem! Tak zaś jego czyn, któremu Rzym dopomógł trucizną, jest opiewany w legendzie o Parsifalu, a Gawin został sławnym komandorem Rennes-le-Château i dziś, w każdym razie dla mnie, nawet kacerzem, ponieważ żałuje swych chwalebnych uczynków.

– Mam więc ściąć koronowaną głowę? – oburzył się Iwo.

* Konwertyta – nawrócony na inną wiarę.

* Profos – tu: oprawca, kat.

– Sama koronowana głowa nie wystarczy – wyjaśnił *maître*. – Ofiara musi jeszcze posiadać charyzmę, w przeciwnym razie nic z wielkości ofiary nie przejdzie na zabójcę. Gdybyście zasztyletowali cesarza Fryderyka, no, tym byście się wywyższyli, gdybyście ucięli głowę Dzyngis-chanowi...

– Pozostaje jeszcze tylko kalif Bagdadu albo papież w Rzymie.

– Albo wasz pan Ludwik, przy czym jego zabijać nie radzę, tak samo jak Ojca Świętego.

– Nie musicie się obawiać! – uspokoił go Iwo, chociaż ta myśl, mogłem to wyczuć, już go opanowała, odpowiadała bowiem jego skłonnościom.

– Powtarzam jeszcze raz – wykladał Robert z Sorbony, magister uniwersytetu w Paryżu, scholarowi Iwonowi – nie jest rozstrzygająca silna pozycja ofiary, lecz efekt, jaki wywoła jej gwałtowna śmierć, luka, jaką zabity po sobie pozostawi. Władców jest wielu, ale mało takich, których wszyscy kochają, a jeszcze mniej tych, z którymi ludzie wiążą nadzieje i wiarę. Oni są wyjątkowi i otoczeni aurą boskości! Zabicie ich jest działaniem świętym i tylko taki czyn, gwałtowny i nadzwyczajnej piękności i potwornego bólu, wywyższa człowieka z poświęcanym toporem ponad wszystkich rycerzy i kapłanów, ponad wszystkie uczone głowy i wojennych bohaterów, ponieważ sława i szlachectwo zabitych przechodzi na zabójcę, tak jakby się napił ich krwi, krwi królów!

Iwo był jak odurzony, także ja słuchałem ze zdumieniem. Jakby mi spadły łuski z oczu! Oto do czego zmierza wysłannik Anjou! Pilnowałem się, żeby tego nie ująć w słowa i nie podsunąć Iwonowi pod nos królewskich dzieci. Zrobiło mi się niedobrze na myśl o odciętych głowach Rosza i Jezy. Mogłem tylko mieć nadzieję, że nigdy ich nie znajdziemy, nie byłem bowiem bohaterem i nie powstrzymałbym morderczego Bretończyka, jak tego podobno dokonał w piramidzie mój pan Ludwik. Trzeba dzieci ostrzec! Ale jak, jeśli pozostają nieuchwytny?!

Do izby wszedł franciszkanin, którego *maître* przedstawił jako Bartłomieja z Cremony i którego wyraźnie oczekiwał.

– Co nowego w Antiochii? – zapytał życzliwie.

– Trwają przygotowania do uroczystości wstąpienia na tron młodego księcia, Boemunda VI. Wśród oczekiwanych gości są posłowie cesarzy Konstantynopola i Trapezuntu, królów Armenii i Węgier, kalifa Bagdadu i sultana Damaszku, wszyscy emirowie Syrii i Dżaziry z Aleppo i Mosulu, a także wielu baronów *Outremer*. Widziano nawet królewskie dzieci, są one szczególnie, honorowymi gośćmi księcia i zasiądą u jego boku!

– Ach, cieszę się już za księcia Boemunda – powiedział Robert z Sorbony prawie z emfazą, nie zwracając uwagi na mnie ani na Iwona. Wziął minoritytę pod rękę. – Chodź, drogi bracie, mamy jeszcze wiele do omówienia.

Opuściliśmy izbę, a zarozumiały *maître* zamknął za nami drzwi bez pożegnania.

– Nadęta żaba! – powiedziałem, gdy szliśmy znowu po murze.

– Ale jego widzenie rzeczy jest przekonujące i świadczy o wielkim umyśle – powiedział Iwo z szacunkiem.

Kroczył obok mnie jak somnambulik, ale w jego oczach żarzył się niesamowity ogień.



„Skorpion, wąż, orzeł. Nosi jedyną koronę, która przeznaczona jest człowiekowi. Nic nie jest trwałe, *transformatio*, wszystko zmienia się i kryje w sobie początek nowego. Umrzyj, zanim umrzesz”.

*

Iwo pędził na koniu, jakby go ścigały furie. Opuścił Masnat jeszcze tej samej nocy, nie powiadamiając nikogo o swym wyjeździe. Przede wszystkim nie chciał się tłumaczyć hrabiemu Joinville. Niech ten wymuskany dworak sam doprowadzi do końca misję u asasynów i zyska poważanie króla. Być może, uda się nawet panu seneszalowi uwolnić swego sekretarza ze szponów joannitów, wtedy nie rzuci się w oczy samowolna interwencja Bretończyka u *Grand Da'i*. Iwo Bretończyk nie był nigdy w Masnacie, ten człowiek nie istnieje już, odkąd opuścił Damaszek, nigdy więcej go nie widziano! Popadł w niepamięć!

Iwo dotarł do Orontesu. Tutaj w górach rzeka nie była szeroka, ale miała ostry nurt. Nigdzie nie widać było promu. Bretończyk jechał brzegiem najpierw osowiały, potem coraz bardziej zrozpaczony.

Na górskiej grani, która ograniczała dolinę rzeki, dostrzegł samotnego jeźdźca, który jednak zaraz zniknął.

Potem zobaczył rybaka w łodzi utrzymywanej na rzeczonym nurcie przez powróż przywiązany do pala wbitego na brzegu.

– Słuchajcie, dobry człowieku! – zawołał. – Wynagrodzę was hojnie, jeśli mnie przeprowadzicie na drugą stronę!

Rybak potrząsnął głową. Wyciągnął sieć, w której między srebrzystym drobiazgiem trzepotała się wspaniała ryba. Sięgnął pewną ręką tylko po nią, zabił uderzając kilka razy o krawędź łodzi, aż ryba przestała trzepotać, wtedy włożył ją ostrożnie do jednego z dwu dużych koszy.

Iwo czekał cierpliwie, aż rybak zakończy pracę. Obserwował jego wyuczone chwyt z zainteresowaniem, gdyż rozumiał, że najpierw trzeba skończyć jedną sprawę, zanim się człowiek zabierze do drugiej. Czekał.

Ale rybak znowu zarzucił sieć, jakby na brzegu nie było jeźdźca żądającego przewiezienia.

– Człowieku! – zawołał Bretończyk. – Zapłacę za przeprawę więcej, niż utargujecie za całodzienny połów!

Rybak nawet się nie obejrzał.

Iwo wściekły zeskoczył z konia, chwycił linę i zaczął ciągnąć łódź razem z rybakiem i siecią. Gdy łódź uderzyła o brzeg, rybak podniósł się bez słowa, złapał wiosło i uderzył Iwona w plecy, nim ten zdołał uskoczyć w bok. Jednym susem Iwo znalazł się przy koniu i chwycił topór. Rybak zamierzył się powtórnie wiosłem. Iwo ubiegł go i zadał cios toporem w nogę. Nie chciał biedaka zabijać. Rybak jęknął, zachwiał się, ale nie upadł na kolana, tylko zakręcił ciężkim wiosłem. Bretończyk uchylił się zręcznie i ciął go toporem w pierś. Biedak popatrzył zdumiony na ziejącą ranę, z której trysnęła krew, i jeszcze raz podniósł wiosło przeciw Iwonowi. Wtedy Bretończyk rozplątał mu czaszkę.

Potem wprowadził ostrożnie konia do kołyszącej się łodzi, odepchnął ją od brzegu i przeciął powróż. Jedną ręką trzymał konia za uzdę, drugą wiosło i sterował uważnie do drugiego brzegu. Tam wyrzucił martwe ryby do wody. Zauważył, że uplecione z wikliny i zaopatrzone również w wiklinowe wieka kosze wypełnione są do połowy grubą solą, jakiej się używa do długiego przechowywania produktów. Zdecydowanym ruchem zawiesił kosze po obu stronach siodła.

Ruszył dalej na północ; droga prowadziła teraz pod górę. Gdy się jeszcze raz obejrzał, znowu spostrzegł w dolinie jeźdźca, który widocznie znalazł inny sposób przeprawy przez rzekę. Nieśmiały towarzysz podróży – wydawało się, że jest to muzułmanin – zakrył twarz, jakby nie chciał być rozpoznany. Iwo nie obawiał się samotnego jeźdźca i nie zaprzętał sobie więcej nim głowy, tym bardziej że obcy znów zniknął między drzewami.

VII

ŚWIATŁO – RÓŻA W OGNIU

Bretończyk wjechał do najbogatszego, najbardziej warownego miasta północnej Syrii przez bramę Świętego Piotra. Zdumiał się, że straż przy bramie ledwie go spytała o powód przybycia. Panował odświętny nastrój i wiele ludzi ciągnęło do Antiochii.

Najpierw zadziwił go żelazny most przerzucony nad Orontesem, który przepływał pod murami. Iwo stał teraz w środku potężnej warowni, która naturalne bastiony – skały góry Silpios oraz głęboki parów górskiej rzeki – połączyła z murami i wieżami wzniesionymi ludzką ręką w prawdziwe arcydzieło sztuki fortyfikacyjnej. Już bizantyńskim założycielom miasta udało się system umocnień obronnych pociągnąć aż przez grzbiet góry, tak że wiele strumieni przecinało antyczną metropolię i chroniło ją przed brakiem wody w czasie oblężenia. Wtargnięciu wroga przez wpusty w murach zapobiegały żelazne kraty.

Iwo jechał w dół główną ulicą obok wspaniałej katedry Świętego Piotra ku książęcemu pałacowi. Wszędzie ludzie stali szpalerami, podziwiali i oklaskiwali przeciągające oddziały wojska: Normanów z długimi tarczami, oburęcznymi mieczami i duńskimi toporami, tuluskich kopijników i greckich łuczników, deputacje zjednoczonego z domem panującym hrabstwa Trypolisu, Latakii i Aleksandretty, załogi galer z wiosłami na ramionach i katapultystów, którzy ciągnęli ulicą lżejsze maszyny. W uroczystym pochodzie szły także rzadko widywane zwierzęta: olbrzymie słonie, długoszyje żyrafy i pręgowane zebry. Na dromaderach siedzieli Murzyni i bili w kotły, dalej kroczyły szybko nogi dwugarbne wielbłądy Beduinów, podczas gdy niezbyt rośli jeźdźcy z Dalekiego Wschodu zachwycali widzów popisami zręczności. Wciąż szły grupy muzykantów z cymbałami i krzywulami, dudami i bębnami. Były to tylko próby przed jutrzejszym dniem, ale poselstwa ze wszystkich krajów, które przybyły, aby uczestniczyć w objęciu tronu przez młodego księcia, nie omieszkały już dzisiaj pokazać nieco swej wspaniałości, przede wszystkim chcąc się zapoznać z drogą, którą jutro miał przejść wielki pochód.

Bretończyk zdobył dogodne miejsce na schodach katedry i obserwował rycerzy, wozy i lektyki. Obok stał otyły Grek, który nie pytany objaśniał mu wszystko z zachwytem.

– Księżciu będzie towarzyszył tylko jego dwór, najbliżsi krewni i przyjaciele. Pochód wyruszy spod pałacu – pokazał w prawo na biegnącą w dół szeroką ulicę – i uda się tutaj, do katedry, gdzie obce poselstwa i zaproszeni goście wyjdą mu naprzeciw od bramy Psiej i

bramy Świętego Pawła. Wojsko księcia wymaszeruje z cytadeli na górze Silpios. Dla zaproszonych odbędzie się msza w katedrze, a dla ludu na placu przed katedrą. Potem wszyscy przejdą przez bramę Książęcą w dół do mostu na łodziach, skąd zabiorą ich przystrojone barki i tratwy i popłyną w dół Orontesu ku wyspom na rzece, gdzie księżę wyda ucztę. – Gruby Grek mlasnął z rozkoszą. – Biesiada będzie trwać do wieczora, a potem pojedą wszyscy dalej aż do warownego mostu. Stamtąd z zapalonymi pochodniami pochód wróci do miasta i rozwiąże się pod pałacem.

– Jak to? A ceremonia wstąpienia na tron? – spytał Iwo znużony.

– Odbędzie się jutro.

Ale Bretończyk już nie słuchał, spostrzegł bowiem lektykę, która przykuła jego uwagę jak bicie bębnow połączone z głośną fanfarą. To była ta sama lektyka, do której zajrzał pod Masnatem wbrew woli młodego księcia, ale tym razem powiewająca zasłona pozwalała dojrzeć dwoje dzieci. Pełnymi godności gestami pozdrawiały ciżbę. Ich gesty nie świadczą wcale o entuzjazmie, pomyślał Iwo, ale kto by do Rosza i Jezy miał o to żal po wielu godzinach huśtania się nad głowami oklaskującego tłumu. Skinienie ręką, skinienie ręką, kiwnięcie głową, skinienie ręką, skinienie ręką i nieustanny uśmiech!

Iwo śledził ich drogę kątem oka. Pożegnał szybko gadatliwego Greka i zaczął przeciskać się między kobietami i ulicznikami, którzy każdy pojazd i każdą atrakcję witali radosnymi okrzykami.

Pojawienie się królewskich dzieci było dla ludzi największą atrakcją, to dało się słyszeć w okrzykach zachwytu. Oczarowała wszystkich zwłaszcza księżniczka Jeza, potajemna narzeczona ich księcia Boemunda. Jutro lub pojutrze zostaną ogłoszone zaręczyni! Kobiety Antiochii cieszyły się, nie okazując wcale zazdrości.

Lektykę z Roszem i Jezą niosło na długich drągach przyspieszonym krokiem po sześciu tragarzy z każdej strony, eskortę stanowiło czterech konnych i dwunastu pieszych żołnierzy.

Iwo z trudem za nimi nadażał, ale musiał poznać dokładnie drogę, którą szli. Przed pałacem lektyka przeszła pod łukiem tryumfalnym z czasów rzymskich. Zaraz za nim znajdowały się koszary gwardii pałacowej. Tu piesi żołnierze pobiegli do swoich pomieszczeń, także konni zaraz potem opuścili lektykę, która skręciła w aleję obrzeżoną rozłożystymi, cienistymi platanami.

Iwo był dostatecznie ostrożny, by nie pobiec za nią, ponieważ tutaj, jak stwierdził ku własnemu zadowoleniu, nie było publiczności.

Aleja zataczała szeroki półkrąg przed tylnym wyjściem z pałacu, gdzie wspaniałe zewnętrzne schody prowadziły do ogrodów.

Kiedy Iwo, kryjąc się za kolejnym drzewem, zbliżył się do tylnego wejścia, tragarze podjęli znowu lektykę i poszli z nią dalej ku budynkowi na końcu alei, gdzie się prawdopodobnie znajdowały stajnie i wozownia.

Rosz i Jeza pobiegli już chyba do pałacu.

Iwo wiedział teraz, gdzie musi uderzyć. Spośród wystających daleko ponad drogę grubych gałęzi drzew wyszukał taką, której nie można było dostrzec z początku alei, a więc z pomieszczeń straży, oraz ze schodów, gdzie prawdopodobnie odbędzie się uroczyste powitanie gości. Będzie więc miał najwyżej do czynienia z nieuzbrojonymi tragarzami. Po zewnętrznej stronie aleja platanowa była porośnięta krzewami oleandrów, za nimi znajdował się niski mur, który po drugiej stronie opadał stromo ku jednej z ulic miasta. Idealne miejsce dla jego zamiarów. Wejdzie na to drzewo i jedną grubą gałąź poderżnie, tak by ledwo się trzymała na linie przywiązanej do wyższej gałęzi. W odpowiednim momencie tę linę przetnie. Konar spadnie pod nogi tragarzy, którzy upuszczą albo odstawią lektykę. Wówczas Iwo zeskoczy z drzewa, natrze na nich jak archanioł z mieczem ognistym, zerwie zasłonę z lektyki i dokona wielkiego czynu. Ucieknie skacząc z muru. Na dole na ulicy będzie czekał jego koń...

Iwo Bretończyk odszedł wielce zadowolony ze swego planu zamachu. Musiał jeszcze szybko załatwić sprawunki, ponieważ już wczesnym popołudniem miały się znowu zacząć próby przed jutrzejszą uroczystością.

W pałacu książęcym w Antiochii, w bogato już do ceremonii przystrojonej sali tronowej księżna matka, Lucjana z Segni, żądała wyjaśnień od swego syna Bo.

– Co znaczy, na Boga, mój panie synu, ludzkie gadanie, że zamierzacie poślubić tę przybłądę księżniczkę, gdy tymczasem my zaręczyliśmy was przecież z Sybillą, córką naszego zaciętego wroga, króla Armenii?

Bo przyjął te wyrzuty z kamiennym spokojem. Usiadł na tronie ojca, co wdowę niezmiernie rozgniewało.

– Po pierwsze, pani matko – oświadczył – wiadomość o zaręczynach jest dla mnie nowością. Musieliście to chyba wymyślić, kiedy byłem w odwiedzinach u mego kuzyna Ludwika...

– Jeśli chcecie mieć Armenię na głowie... – próbowała go zgromić księżna matka, ale Bo jej przerwał.

– Byle nie w ślubnym łożu!

Lucjana nieprzyzwyczajenia do takiej zdrożności nie mogła znaleźć słów, a Bo z przyjemnością ciągnął dalej:

– A po drugie, ta gadanina, celowo rozpowszechniana plotka, służy dobru mojej najmilszej towarzyski zabaw, księżniczki Graala, która nie jest przybłądą, lecz gościem zaproszonym na uroczystość objęcia przeze mnie tronu, gościem honorowym, z którego jestem dumny, podobnie jak z przyjaźni jej ukochanego i brata!

Księżnej matce groziło omdlenie z powodu takiego bezceństwa.

– Jeszcze nie jesteście księciem! – krzyknęła. – Z miejsca was ubezwłasnowolnię. Jeśli patriarcha... Gdzie jest mój spowiednik?!

– Nie krzyczcie tak, pani matko. Można by pomyśleć, że postradaliście zmysły...

– Powiedzcie tylko, umieściliście tę personę w moim domu? – wysapała.

– O nie – roześmiał się Bo – tego nie chciałem żądać od Jezy, w każdym razie nie do dzisiejszego wieczora. Królewskie dzieci, moi przyjaciele, rezydują w Zamku Dwu Sióstr, o tym wie całe miasto. Jest to najbezpieczniejsze miejsce w Antiochii.

– I dziś wieczorem chcecie ją tu sprowadzić, tutaj, pod mój dach?!

– Dziś wieczorem, pani matko – powiedział Bo spokojnie – przed zachodem słońca, eskorta odprowadzi was do Trypolisu, który wam wyznaczyłem na wdowią siedzibę.

– Straż! – wrzasnęła pani Lucjana. – Straż!

Żołnierze gwardii pałacowej jak jeden mąż wpadli do sali tronowej.

– Moja pani matka chciałaby spakować swoje rzeczy i odjechać. Postarajcie się jak najprędzej spełnić jej życzenie.

Straże wyprowadziły księżną z sali tronowej. Bo wyjrzał w zamyśleniu przez okno. Potem przywołał wielkiego ochmistrza dworu.

– Czy macie konterfekt Sybilli?

Iwo siedział na gałęzi, oczywiście nie na tej, którą nadciął prawie do końca i którą tylko lina chroniła przed odłamaniem, lecz na sąsiedniej. Druga lina, zwinięta, leżała obok. Po niej spuści się na ziemię. Oba kosze stały za krzewami oleandrów na murze, z podniesionymi wiekami. Były również połączone z powrozem, sięgającym od drzewa aż do ulicy. Miały dopomóc w wykonaniu szaleńczo śmiałego skoku, grożącego połamaniem nóg. Na dole na ulicy stał koń; Iwo nie mógł go stąd zobaczyć, miał tylko nadzieję, że nikt go nie ukradnie.

Nie zaniedbał niczego. Na bazarze kupił nie tylko piłę i liny, lecz także girlandę, jakie tam dzisiaj w wielkim wyborze oferowano, aby mieszczanie mogli przyozdobić domy i ulice. Gdyby czujna straż odkryła przed czasem nadrzewną kryjówkę, Iwo mógłby udać ogrodnika pałacowego albo podpitego mieszczanina, który chciał na gałęzi umieścić kolorowe świecidelka dla ozdoby. Ukrył także w krzakach wieśniaczy słomkowy kapelusz oraz ubogie odzienie, by rysopis złoczyńcy nie zgadzał się z widokiem prostego wieśniaka, który położoną w dole ulicą odjedzie z dwoma pełnymi koszami.

Iwo pomyślał o wszystkim, nie mógł tylko myśleć o dzieciach, o tej chwili, kiedy oko w oko stanie przed Jezą. Jedynie tego się obawiał, nie zadania śmierci czy nawet oddzielenia głów od tułowi. Wszystko musiało przebiec w jednym jedynym odurzającym następstwie działań: skok z drzewa, zdarta zasłona, cios!

Kolczastej kuli nie chciał zwalniać z łańcucha, gdyż powodowała paskudne rany, a on chciał zachować twarze dzieci w nienaruszonej piękności, uduchowione... Nie, o tym nie powinien teraz myśleć, raczej pomarzyć o chwili, kiedy stanie przed Anjou, rzuci mu pod nogi kosze, a potem przykłęknie, aby dostąpić pasowania na rycerza.

Iwo marzył i śnił na jawie w gałęziach platana, cienie na alei stawały się coraz dłuższe, kilka pojazdów i kilka lektyk przeciągnęło pod nim i zniknęło przy stajniach, tylko ta jedna się nie pojawiała.

Pod drzewem przeszły dwie kobiety.

– Wiecie, sąsiadko – paplała jedna piskliwie – nigdy bym nie pomyślała, że nasz Bo poślubi Sybillę z Armenii.

– Jakże dobrze pasowałaby do niego księżniczka Graala! – zawołała druga z zalem.

Iwo poczuł, że serce mu się ściska. Chwilę tkwił jeszcze na drzewie, niezdolny się poruszyć. Potem spuścił się po linie na ziemię. Zapomniał o koszach za krzewami. Z toporem w rękę pobiegł jak odurzony aleją w kierunku stajen. Zakradł się niepostrzeżenie bocznym wejściem. Gdy oczy przyzwyczyły mu się do półmroku, zaczął biec coraz prędzej wzdłuż końskich boksów po rozsypanej słomie, potem przez pełną siana stodołę. Potykając się pędził przez zakurzoną szopę na narzędzia i zawieszoną pajęczynami wozownię. Wreszcie znalazł lektykę.

Stała w kącie porzucona niedbale. Ze szpary w zasuniętej zasłonie sterczała dziewczęca ręka. Wstrzymując oddech, podszedł Iwo bliżej, dźwignął topór, aby móc uderzyć od razu, ślepo, i szarpnął na bok zasłonę.

Dwie woskowe lalki uśmiechały się do niego. Na skutek szarpnięcia zostały wprowadzone w ruch – jedna podniosła rękę, druga odwróciła od niego głowę.

– Dzieło szatana!

Iwo opuścił topór i kopnął lektykę, a wtedy obie lalki zaczęły machać rękoma, na prawo, na lewo, machać, machać, kiwać głowami...

– Diabelskie mamidło!

Chciał rąbnąć toporem, gdy za plecami usłyszał dźwięczny śmiech.

Odwrócił się gwałtownie. Za nim stał Czerwony Sokół na szeroko rozstawionych nogach. To był ten obcy, który jechał jego śladem od Masnatu i teraz był świadkiem klęski. Iwo zlustrował muzułmanina od turbana do trzymanej oburącz szabli. Albo zmyje z siebie hańbę, albo zabierze ją ze sobą do piekła!

Porównał w myśli ciężar topora w swojej ręce ze zwrotnością zakrzywionej szabli, potem zobaczył przy ścianie widły, tuż za lektyką, która już bez nośnych żerdzi stała na słomianej ściółce. Zaczął się cofać krok za krokiem. Jednym ruchem spróbował przyciągnąć widły do siebie, lecz tkwiły mocno w wysuszonym nawozie. Śmiech Czerwonego Sokoła zabrzmiał jeszcze głośniej. Iwo wyciągnął widły, wściekły odbił z nich gnój. Na moment stracił z oczu Czerwonego Sokoła. Kiedy się odwrócił, przeciwnik już trzymał w lewej ręce okrągłą tarczę i czekał na atak z opuszczoną szablą, ale przynajmniej już się nie śmiał. Iwo zgął się i pchnął widłami w słabej nadziei, że skieruje na nie cios szabli i będzie mógł uderzyć toporem, Czerwony Sokół jednakże odskoczył. Cios ześlizgnął się po tarczy, a zaraz potem szabla cięła prawie poziomo, tak że Bretończyk musiał się zasłonić widłami. Nie wyprowadzony z góry

cios szabli nie przeciął sękatego styliska wideł, lecz wbił się w nie mocno. Uradowany Iwo szarpnął widły, aby przeciwnikowi wyrwać broń, a jednocześnie lewą ręką, był bowiem mańkudem, podniósł topór, aby zadać pierwszy cios. Ten atak mógł przynieść rozstrzygnięcie. Wbrew jednak wszelkim oczekiwaniom emir wypuścił szablę. Iwo, pozbawiony nagle przeciwwagi, potknął się i upadł na wznak w słomę.

Czerwony Sokół jednym skokiem dopadł wideł i wyrwał szablę z drewna. Powinien był złamać rękę z toporem, ponieważ gdy się pochylił, kolczasta kula Bretończyka trafiła go w bok. Tylko dlatego że uderzenie było wyprowadzone z pozycji leżącej, a impet kuli przejęła częściowo tarcza, emir zdołał utrzymać się na nogach.

Iwo spróbował nabić go na widły od dołu, ale kiedy je podniósł, okazało się, że są złamane. Jak zręczna małpa wykorzystał kikut, aby się błyskawicznie podnieść, potem rzucił go przeciwnikowi pod nogi.

Czerwony Sokół stał teraz w rozkroku jak przedtem.

Jeśli mu nie wyrwę tarczy, doszedł do wniosku Iwo, szybciej mnie dosięgnie szablą, niż zadam toporem decydujący cios. Zwolnił zaczep kolczastej kuli do następnego uderzenia. Ufał bardziej zastraszającemu efektowi zmiany położenia kuli niż jej straszliwemu działaniu. Czerwony Sokół zdziwił się tylko, że Bretończyk tym razem nie mierzy w szablę, lecz w kierunku tarczy. W ostatniej chwili dostrzegł, jak kula odrywa się od rękojeści, ciągnąc ze szczękiem łańcuch. Sparował uderzenie, przy czym rozszerzająca się przy końcu klinga jego zakrzywionej szabli zawirowała, co uchroniło Iwona od ciosu w ramię, ale kula z łańcuchem nie osiągnęła celu.

Iwo odchylił się do tyłu, szarpnął szybko kulę do siebie, lecz ostrze szabli było za gładkie, aby kolce mogły się na nim zaczepić. Teraz Czerwony Sokół natarł szybkimi ciosami. Bretończyk cofnął się ku lektyce, wykorzystał boczną ścianę jako tarczę i zza tej osłony uderzył. Emir skoczył za lektykę, chcąc przepędzić Iwona z trudno dostępnej pozycji. Bretończyk zebrał wszystkie siły, aby przewrócić lektykę na wroga albo go przygnieść do ściany. Lalki zostały znowu wprawione w ruch, machały rękoma, Bretończyk cisnął kolczastą kulą pomiędzy figurami dzieci, nie trafił jednak zniechęconego przeciwnika, zahaczył jedynie o ręce lalek i ukazały się ich żelazne szkielety. Jakby chcąc go rozzłościć, Czerwony Sokół zaatakował. Bretończyk nie odniósł żadnej szkody, lecz we wściekłym przeciwuderzeniu zerwał z figur szaty, obnażył kółka i dźwignie. Wykrzywiły się machające kikuty rąk, zwichnęły głowy, potem lalki zastygły w bezruchu. W napadzie wściekłości Iwo przewrócił lektykę, ale Czerwony Sokół uskoczył w bok i wykorzystał w mig przewróconą skrzynię, aby swego wroga zaatakować z podwyższonej pozycji. Dźwięczała szablą, kiedy natrafiała na łańcuch, głucho brzmiały uderzenia topora o pogiętą tarczę. Bretończyk zataczał koła kolczastą kulą i trzymał przeciwnika na dystans. Emir musiał tę grę przerwać. Poluźnił rękę w skórzanym uchwycie i udał, że poświęca tarczę. Wystawił ją naprzeciw pędzącej kuli. Ostre kolce wbiły się mocno, ale teraz Czerwony Sokół szarpnął pierwszy. Iwo poleciał do

przodu za swoją bronią, impet jednak przewrócił emira i obaj zwalili się w słomę. Bretończyk leżał na emirze. Między nimi znajdowała się tarcza, a kolce wbitej w nią kuli zagrażały oczom obydwu, tylko że Iwo mógł unieść głowę i napierać tarczą, kulą i kolcami na przyciśniętego do ziemi Czerwonego Sokoła.

Kolce zniżały się ku głowie emira powoli, ale nieustannie. Zabić kogoś z tak małej odległości, patrzeć przy tym ofierze prosto w twarz, mordercze żelazo przed własnymi oczami przesuwając w stronę oka wroga – nawet Iwo Bretończyk był poruszony, ale nie poluznił chwytu. Czerwony Sokół pod nim nie bronił się zajadle, próbował tylko przekręcić głowę na bok, żeby uratować przynajmniej jedno oko. Już pierwszy kolec zadrasnął skórę na policzku, ukazała się kropla krwi... Wtedy Iwo poczuł chłód szabli na swoim karku, nagle na twarzy emira pojawiło się więcej krwi i Iwo zrozumiał, że to jego krew, że szabla przecina mu szyję.

Z potwornym krzykiem rzucił się w bok, potoczył po słomie, chwytając rękoma za głowę.

– *Cessate!** – zagrzmiął w wozowni stentorowy głos Zygisberta z Öxfeldu. Komtur stał nad obydwo ma leżącymi na ziemi przeciwnikami z obnażonym mieczem. – Koniec bijatyki!

Pierwszy pozbierał się emir. Podniósł szablę, aby skończyć z Iwonem. Niemiec przeszkodził mu, zakrzywiona szabla ześlizgnęła się ze zgrzytem po ciężkiej klindze miecza.

– Nie jesteście ani sędzią, ani katem, Konstancjuszu! – ostrzegł Zygisbert.

– Znacie przepowiednię i wiecie o niebezpieczeństwie, jakie grozi ze strony tego człowieka – emir wskazał tarzającego się w słomie Iwona. – Pozwólcie mi przeciąć ten gordyjski węzeł. Nie chodzi mi o głowę Bretończyka, lecz o jego ramię! Ramię, które wciąż będzie podnosiło topór przeciwko dzieciom.

– To ramię trzeba zachować! – powiedział Zygisbert. – Żeby wypełnił się los. Odetniecie je, wyrosną nowe!

Teraz dopiero wróciło życie Iwonowi Bretończykowi. Podniósł się chwiejnie, krwawiąc z rozciętego karku jak zarzynana świnia, opadł jednak zaraz na kolana, bo nie zauważył, że Zygisbert stopą przyciska do ziemi łańcuch jego topora.

– Zabijcie mnie, skończcie ze mną od razu! – jał prosić.

Komtur potrząsnął głową. Czerwony Sokół ochoczo wznosił szablę, ale pod karcącym spojrzeniem Zygisberta znowu ją opuścił.

– Zawiozę was do króla Ludwika, panie Iwonie! – oznajmił Zygisbert spokojnie.

– Zabijcie mnie! – krzyknął Bretończyk i szarpnął daremnie za kulę, tak że kolce wbiły mu się w dłonie.

– Nie – powiedział Zygisbert. – Rozgłosimy, że po waszym powrocie z Damaszku zapadliście na ciężką chorobę, leżeliście cały czas w Starkenbergu, lecz już wkrótce wyzdrowiecie i będziecie mogli wrócić do Akki.

– Tu nie chodzi o króla! – jęknął Iwo, ale komtur był głuchy na wszystko.

* *Cessate!* (łac.) – przestańcie!

– Jesteście chorzy i dlatego powinniście się oszczędzać. Pojedziemy jeszcze dzisiaj.

Iwo pozostał na podłodze, w nienaturalnej pozie przechylając głowę do tyłu, aby zamknąć ranę na karku.

– Wy, Fassr ad-Din Oktaju, przeciwnie, będziecie jutro w Antiochii reprezentować barwy Kairu. To także wobec króla nada jakiś sens waszej ucieczce. Powinniście oporządzić ubranie i wyczesać słomę z włosów!

Czerwony Sokół zarzucił tarczę na ramię, wsunął szablę do pochwy. Skłonił się uroczyście przed niemieckim rycerzem.

– *Salvatz los enfans du Mont!*^{*} – roześmiał się i szybkim krokiem opuścił wozownię.

Zygisbert pomógł Iwonowi się podnieść.

– Krwawie! – zauważył Bretończyk zażenowany.

– Dobrze, że nie jest to krew królów, tylko człowieka, który się bił bez sensu. Wasz koń stoi wciąż na ulicy pod murem. Za parę dni wszystko zostanie zapomniane.

Iwo zatoczył się, nasadził z powrotem kolczastą kulę na rękojeść topora, a łańcuch ukrył w jej pustym wnętrzu. Potem ruszył za komturem.

Z diariusza Jana ze Joinville

Kalat al-Husn, 3 czerwca A.D. 1251

Gdy przybyłem do Krak des Chevaliers, powiedziano mi, że mój sekretarz w kuchni obiera jarzyny. Ośmieliłem się w to wątpić. Faktycznie, znalazłem go w piwnicy, a to tylko dlatego, że ledwie tłumione odgłosy cielesnej rozkoszy kazały mi zajrzeć za beczki. William z otwartymi ustami i rozpiętym rozporkiem leżał pod kurkiem i wlewał w siebie czerwone wino. Dziewki kuchenne, które zabawiały się chyba innym kurkiem, uciekły na mój widok.

– O, sławny pan Joinville! – powitał mnie sekretarz bez cienia wstydu czy obawy. – Już z powrotem ze skutecznej misji do asasynów?

Zakręcił kurek, zapiął spodnie i podniósł się z trudem. Flamandzki chytrus jeszcze bardziej utył!

– Williamie! – zadałem sobie trud, aby wyglądać surowo. – Skończ wreszcie z tym łajdackim życiem!

– Dlaczego? – spytał i wierzchem dłoni otarł resztki wina zrudawego trzydniowego zarostu. – Czyżby już wrócił dozorca więzienia Jan z Ronay?

^{*} *Salvatz los enfans...* (stfr.) – uratowane (są) dzieci z Mont (Montségur)!

– Raczej dozorca piwnicy – zauważyłem, przechodząc na jego lekki ton. – Jan z Ronay wciąż oblega Masnat, przy czym niesprawiedliwie brakuje mu wszystkiego na pustkowiu, gdy wy tymczasem żyjecie sobie tutaj jak robak w słońnie.

– Nikt go nie zmusza! – roześmiał się William i nalał dzban wina.

– Oczywiście – zaraziłem się jego wesołością. – Jest śmieszny! Dzień i noc tkwi z rycerzami na skałach wokół zamku. Wyglądają niby koty przed gniazdem myszy, w którym znajduje się tyle tajnych wejść i wyjść, ile dziur w serze.

William wręczył mi dzban. Napilem się. Wyborny trunek!

– Dobre wina ma poczciwy Ronay! – mlasnąłem językiem. – Za naszego dzielnego gospodarza! Wciąż czeka na Rosza i Jeżę, nawet nie dotarło do niego, że seneszał Szampanii, czego trudno było nie zauważyć, opuścił wczoraj Masnat wraz ze swymi rycerzami i najlepszymi błogosławieństwami *Grand Da'i*!

– Zdrajca! – dobiegł z góry głos tego, o którym była mowa. W zakurzonej zbroi stał na schodach do piwnicy dawny zastępca wielkiego mistrza joannitów i trząsał się ze złości. – Jak widzę, jest wam bardzo wesoło? Zaraz wam to przejdzie! Wychodźcie natychmiast! – i odszedł brzęcząc ostrogami.

– No cóż, chodźmy – powiedział William. – Koty, które głośno miauczą, nie łowią myszy! – Znów wybuchnęliśmy śmiechem, ale wyszliśmy z piwnicy, opróżniwszy przedtem gorliwie dzban.

W kuchni zebrał się trybunał: rycerze, którzy wraz z Janem z Ronay dzielili wszelkie trudy. Nie wyglądali przyjaźnie.

– Gdzie są dzieci? – fuknął na mnie Ronay.

– Tam gdzie przypuszczacie, dostojny panie...

– Mylicie się! – usłyszeliśmy nagle głos, którego nikt z nas nie oczekiwał.

Do kuchni wszedł Gawin, templariusz, w towarzystwie Wilhelma z Châteauneuf, sędziwego wielkiego mistrza zakonu joannitów. Rycerze wyraźnie przestraszyli się jak chłopcy przyłapani na niecnej psocie i opuścili głowy.

– Wydano polecenie... – zaczął ostrożnie Gawin, ale wielki mistrz wpadł mu w słowo i zwrócony do Jana z Ronay powiedział ostro:

– Rozkaz!

Gawin ciągnął dalej:

– Dzieci nigdy nie istniały! – Skierował wzrok na mnie i mego niegodnego sekretarza. – To mówię także do was, Williamie. A wasze *opus magnum*^{*}, ten opasły diariusz, szanowny panie Joinville, lepiej niech nie ujrzy światła dziennego!

Stanowczym gestem wyciągnął rękę, a ja jak ogłuszony zdjąłem torbę z ramienia, sięgnąłem do środka i wręczyłem mu plik ściśle zapisanych kartek.

– To wszystko? – spytał niedowierzająco.

* *Opus magnum* (łac.) – wielkie dzieło.

– Piszę cienko i drobno – pospieszyłem z zapewnieniem – i są to tylko hasła...
– Naprawdę wszystko, co zanotowaliście od chwili opuszczenia Francji?
– Opis wydarzeń na Cyprze i krucjaty w Egipcie zostawiłem w swojej kwaterze w Akce.
– Dopiszecie teraz jeszcze dwa wersy – powiedział zimno i nie wiem dlaczego, wstąpiła we mnie nadzieja – pełnomocnictwo dla okaziciela, aby mu wszystko wydać w całości!

Teraz musiałem zaprotestować:

– Król oczekuje ode mnie kroniki swego przedsięwzięcia! Jakże mam...?
– Co się tyczy wyprawy wojennej, senezal – pocieszył mnie Gawin – otrzymacie do dyspozycji odpowiednie notatki, a siedziba joannitów w Akce – sędziwy wielki mistrz skinął głową życzliwie na potwierdzenie – bądź też przybytek templariuszy użyczą sławnemu kronikarzowi gościny. Będziecie się mogli oddać pracy. Wybierajcie!

– Serdeczne dzięki za waszą wielkoduszną ofertę – powiedziałem i nie omieszkałem skłonić się przed wielkim mistrzem.

Że moje *opus magnum*, jak z pełnym szacunkiem nazwał templariusz mój dziennik, nie zostanie opublikowane, ubodło moją ambicję *homme de lettres*^{*}, którym przecież jestem. Z drugiej strony jednak ja, hrabia Jan ze Joinville i Aprémont, senezal Szampanii, nie zrobiłem w tym dziele tak dobrego wrażenia, żeby moi wnukowie koniecznie musieli je czytać. Będę więc musiał całą swoją umiejętność, oczywiście z pomocą Williama, włożyć w oficjalną kronikę, przy sporządzeniu której, jak się wydaje, nie napotkam przeszkód. Tak na koniec rozporządził mną Przeorat Syjonu!

– Od tej chwili obecnych tu i nieobecnych obowiązuje we wszystkim, co dotyczy dzieci, *silentium strictissimum!* – oświadczył Gawin, a wielki mistrz joannitów popatrzył ostro na Jana z Ronay, który jakby zapadał się w sobie, stawał się coraz mniejszy.

I właśnie wtedy mój sekretarz otworzył swój niewyparzony dziób:

– Królewskie dzieci zostały więc uratowane?
– Williamie! Ktoś, kto nie istnieje, nie może być uratowany, nie może również zostać zabity, jeśli wolicie takie sformułowanie.

– Wolę, ale co będzie z Iwonem Bretończykiem?

– Zdajcie się na to, że on także będzie milczał!

– Możecie mieć władzę nad światem Zachodu, Gawinie Montbard z Béthune, ale Wschód...?

– Williamie z Roebruku – odezwał się ostro komandor templariuszy. – Byliście wprawdzie dłużej związani z Wielkim Planem niż wszyscy tutaj, dłużej niż się to wielu podoba. Nie wyzywajcie dalej losu i pozwólcie sobie powiedzieć tylko jedno: sprawa królewskich dzieci jest wyłącznie sprawą Zachodu!

William zamknął gębę w taki sposób, który mi powiedział, że podobnie jak i ja pomyślał: mylicie się, i to bardzo!

^{*} Homme de lettres (fr.) – pisarz, literat.

Ale czy mylenie się nie było istotną częścią Wielkiego Planu? Ku memu zdumieniu Gawin nie poprzestał na złożonym wyjaśnieniu. Po tej *sermunculus in culina** udaliśmy się do komnaty wielkiego mistrza: pan Châteauneuf, moja skromna osoba i – na to nalegał komandor – pan Jan z Ronay. William natomiast musiał pozostać w kuchni.

– Nie traktujcie zakończenia „sprawy”, jak ją lubiliście nazywać – zwrócił się Gawin do nas – jako klęski zakonu Świętego Jana, któremu w imieniu templariuszy wyrażam głęboki respekt. My także musieliśmy się znowu ukryć z Wielkim Planem. Czas jeszcze nie po temu, a my nie doceniliśmy niepokojów, jakie pochopnie podjęta i nieudana krucjata pana Ludwika wywołała u przyjaciół i wrogów. Przychylny chrześcijanom sułtanat Ajjubidów zmietli mamelucy, tym samym nastąpiła gwałtowna zmiana pogody; wzniecone przez nią tumany pyłu dopiero dmuchną nam w twarz, jeśli oczekiwaną burzę w ogóle przetrzymamy.

– Właśnie, jeśli przetrzymamy – mruknął Wilhelm z Châteauneuf.

– A w Ziemi Świętej – ciągnął Gawin – Zachód nie utrzyma się na wieki. Mamy wprawdzie w osobie króla Ludwika uczciwego władcę, który w przeciwieństwie do Hohenstaufa troszczy się o ten kraj i go broni, ale wiemy wszyscy, że pewnego dającego się przewidzieć dnia Ludwik wróci do Francji. I wówczas znajdziemy się w niewesołej sytuacji.

– A papież i Anglia? Mogliby przecież przyjść z pomocą – ośmielił się zabrać głos pan Ronay.

Gawin rzucił mu pełne ubolewania spojrzenie.

– Papież popiera Karola Anjou, bo obaj chcą przepędzić Hohenstaufa z południowej Italii, a król Henryk bije się z królową matką Blanką o angielskie posiadłości we Francji.

Gawin zamilkł na chwilę, a gdy się znów odezwał, głos miał pełen melancholii.

– W tej sytuacji, kiedy pomocy powinniśmy oczekiwać tylko od nieba – a może od Wschodu? – nie mogliśmy brać na własne barki odpowiedzialności, nie mogliśmy narażać dalej *Sang Réal*, Świętej Krwi, na kaprysy losu. Ogień hartuje stal, lecz także dławi oddech i gasi życie. My, a zakon joannitów nieświadomie także w tym uczestniczył, poddaliśmy królewskie dzieci wielu próbom. Chwalebnie przeszły przez płomienie, ale nie wiemy, co nas teraz czeka. Otwarcie mówiąc, nie panujemy nad przyszłymi wydarzeniami w *Terra Sancta*. Dlatego zatroszczyliśmy się, acz z ciężkim sercem, wierzcie mi, przyjaciele, żeby dzieci, naszą jedyną nadzieję wywieźć z tego kraju.

Komandor templariuszy umilkł.

Wyznanie własnej słabości nie przyszło mu łatwo.

Wielki mistrz, dla którego wiele rzeczy było nowych i niezrozumiałych – spędził przecież tyle lat w niewoli – był jednakże poruszony.

– Pokój – rzekł cicho – jest tak rzadkim dobrem, że już nie pamiętam, kiedy go zaznałem. Jeśli ci mali królowie pokoju, o których pan Gawin łaskawie nas powiadamia, mają odegrać znaczącą rolę w dziejach, to czy nie wprowadzimy ich do gry w jeszcze cięższych czasach?

* *Sermunculus in culina*(łac.) – kuchenna gadanina.

– Dzieci nie są dla nas stracone, jeszcze nie opuściły nas na zawsze. Będą wzrastać w bezpiecznym miejscu i kiedy nadejdzie właściwa pora, wrócą, aby utworzyć swoje państwo!

– Muszą wrócić szybko, jak najszybciej! – zawołał Wilhelm z Châteauneuf.

– Krew królów jest zbyt drogocenna, żebyśmy mogli ryzykować jej rozlanie, tylko dlatego że nie umieliśmy czekać. Królewskie dzieci, w których żyłach ona płynie, muszą jeszcze zyskać na sile, ponieważ napotkają potężnych wrogów. Jeśli poddamy dzieci tej próbie za wcześnie, doprowadzimy nie do ich zwycięstwa, lecz do zguby.

Gawin przerwał, aby sprawdzić, czy został zrozumiany.

– Mamy tylko ich dwoje, dzieci Graala, one są naszą jedyną nadzieją!

– Może doczekamy jeszcze ich tryumfu! – oznajmił Jan z Ronay sceptycznie.

– Nie myślcie o waszym śmiertelnym ciele ani o własnych korzyściach – odpowiedział templariusz. – Nie chodzi nawet o dalsze trwanie *Terrae Sanctae* w jej dzisiejszej nędznej postaci, lecz o zbudowanie jednego wielkiego królestwa, królestwa pokoju! Królewska krew nie po to przyszła na świat, żeby pomóc zakończyć spory królom, zakonom rycerskim i republikom, cesarzowi lub papieżowi, żeby pomóc im wyjść z biedy albo ich przeciwko sobie wygrywać; królewska krew jest dana światu po to, żeby go uwolnić od wszelkiego zła!

Umilkli wszyscy. Wtedy Wilhelm z Châteauneuf zaczął odmawiać modlitwę, a my zgięliśmy kolana.

*Pater noster qui es in coelis,
sanctificetur nomen Tuum,
adveniat regnum Tuum,
fiat voluntas Tua,
sicut in coelo et in terra.*

**FINIS
DIARII**



Wykute w skale stopnie stromo wznosiły się w kotlinie górskiej. Kanciaste zbocza zbliżały się do siebie tak, że tylko wąski przesmyk pozwalał wędrowcom przekroczyć to miejsce na piechotę. Wyczerpane wielbłądy nie przechodziły przez *churm al-ibra* *.

Crean dał Roszowi i Jezie pierwszeństwo przed innymi jeźdźcami karawany. Wielu ich zginęło w czasie długiej jazdy przez pustynie, w śniegach i lodach gór, przy przeprawach przez rwące rzeki albo w czasie napadów zbójceckich plemion. Rosz wyciągnął rękę do Jezy, ale ją zaraz szybko cofnął.

Nie byli już małymi dziećmi. Jeza szła chyżo naprzód, zważający na bezpieczeństwo Rosz miał trudności, żeby nadążyć za towarzyszką. Chciał wraz z Jezą rzucić pierwsze spojrzenie na wytęskniony cel, przeżyć tę chwilę wspólnie z ukochaną. Oddychał z trudem w rozrzedzonym górskim powietrzu, majaczyły mu się obrazy z legend, fantastycznych relacji. Widział żelazną różę wyrastającą z ciemnych wód, otoczoną płomieniami, obronne płatki drżące w ustawicznym ruchu dzięki pulsowaniu ukrytego ognistego jądra, w stałej czujnej gotowości, żeby się rozwinąć szerząc zniszczenie.

Wyobrażał sobie podniecające życie wewnątrz zamkniętego pąka, wśród zestawów drążków i korytarzy, schodów i wind, łańcuchów i lin. Widział łodygę, obracającą się wiecznie i napędzającą mechanizm ku coraz doskonalszym konstrukcjom, które odzwierciedlały bieg czasów i gwiazd. Opowieści Creana o fantastycznym zamku zachwycaly dzieci przez wiele nocy przy obozowym ognisku, pozwalając zapomnieć o głodzie i chłodzie.

Rosz oczekiwał arcydzieła ludzkiego umysłu, arcydzieła, którego badaniu chciał się poświęcić z żarliwością i pasją.

Łożysko potoku górskiego, który już dawno nie toczył wody, zwężało się do głęboko wymytej w ciągu tysiącleci rynny. Dzieci nie widziały już nieba.

Jeza myślała z rozmarzeniem o sztucznym pąku, który pływając odbija się w jeziorze, o jego korzeniach w nie dającej się przejrzeć głębi, o wysklepiających się liściach, których delikatnie ząbkowane krawędzie jak blanki skrywały tarasowato wznoszące się ogrody, pnące się oazy pełne zapachu. Wiszące ogrody Semiramidy *.

Zastanawiała się nad trzonem, skrywającym największą bibliotekę na ziemi. Trzon ten coraz strzeliściej śmigał w górę, a na końcu dźwigał w bulwiastym naczyniu obserwatorium, na którym srebrna tarcza podążała w ślad za tarczą księżycy. Jeza wyobrażała sobie siebie czytającą apokryficzne pisma i studiującą tajemne nauki astrologii, aby w końcu zgłębić, co jest ludzkim losem i jaką rolę przeznaczono w nim królewskim dzieciom.

Kamienna ścieżka stała się tak wąska, a sklepienie nad nią tak niskie, że największy śmiałek z lękiem szedł dalej w nieznanie.

Jeza stawiała teraz ostrożnie krok za krokiem, gdyż coraz częściej trafiały się szczeliny i rozpadliny, na niechybną zgubę nieuwważnemu wędrowcy.

* Churm al-ibra (arab.) – ucho igielne.

* Wiszące ogrody Semiramidy – legendarne ogrody w Babilonie, jeden z siedmiu cudów świata.

Rosz, który postępował w tyle z rozwagą, żałował już, że puścił Jeżę przodem, ale pokonywała wszystkie przeszkody z pewnością somnambulika. Droga rozszerzyła się w grotę. Tutaj Rosz dogonił Jeżę.

Głuchy dźwięk potężnego baraniego rogu odbił się od kamiennych ścian. Dzielne światło zdradziło im, że dotarli do końca korytarza. Wzięli się za ręce i nasłuchiwali.

Razem minęli ostatni występ skalny i ujrzeni przed sobą *Asz-szahra al-madanijsa fi annar**. Jej korpus był o wiele potężniejszy, niż sobie to arcydzieło wyobrażali. Na płaskowyżu otoczonym spadzistymi, poszarpanymi ścianami łańcuchów górskich stała w płonącej wodzie brzuchata twierdza asasynów, jak potężny dzban na ogniu, któremu płomienie nie mogą zaszkodzić. Zamek bez baszt, samotny, podobny do wieży bastion. Zwodzone mosty tuliły się do amfory, podnosiły i opuszczały ponad ciemnym jeziorem.

Powiewający chorągwiemi jeźdźcy wyruszyli przybywającym naprzeciw. Z olbrzymich długich rogów brzmiało powitanie, któremu odpowiadały echem góry. Sygnałowe zwierciadła fortyfikacji na górach lśniły jak gwiazdy, ich błyski wyłapywała tarcza wieńcząca obserwatorium.

Powoli obrócił się srebrny księżyc, królujący na kuli świata, i skierował wiązkę promieni na wyjście z labiryntu, gdzie stały dzieci. Zanurzył oboje na moment w świetle oślepiającym i zachwycającym zarazem, i już promień powędrował dalej.

– Alamut ofiarowuje wam miłość, królewskie dzieci – powiedział stojący za nimi Crean.
– Niech Allah w swej wspaniałości doda wam sił!

Rosz i Jeza ruszyli cudowi naprzeciw.

* *Asz-szahra al-madanijsa...* (arab.) – stalowa róża w ogniu.

PODZIĘKOWANIA I ŹRÓDŁA

Dziękuję Walterowi Fritzschemu za wytrwale zainteresowanie autorem i tematem oraz za jego dar dyscyplinowania po przyjacielsku autora bez uszczerbku dla samego dzieła.

Danieli Bentele-Hendricks za to, że nie ograniczając mojej radości tworzenia, stale miała na oku jasność związków historycznych i właściwe oddawanie uczuć, myśli i działań.

Michaelowi Gördenowi za cierpliwą opiekę i ustawiczną gotowość do pilotowania autora przez wszystkie fazy powstawania powieści, zwłaszcza przez rafy ezoteryki. Od niego pochodzą objaśnienia do tarota Joinville'a.

Na gruncie arabistyki zdaję się tym razem na poszukiwania i przekłady wielebnego Daniela Specka; w kwestiach liturgii i zasobu pieśni okcytańskich jak zawsze na Daria della Porta, profesora historii muzyki na uniwersytecie L'Aquila, a przy potwierdzeniu mojej znajomości języków klasycznych na doktora Helmuta Pescha. Za opiekę w Mena House w Gizie jestem zobowiązany Hoilowi R. d'Erneccq. Dalsze wskazówki w zakresie egiptologii zawdzięczam profesorowi Raghebowi Salehowi Hanafiemu z uniwersytetu w Aleksandrii; w dziedzinie średniowiecznego uzbrojenia wiele zawdzięczam docentowi D. Randolphowi Wichmanowi z Londynu, a w sprawach dynastii Kapetyngów *maître* Pierre'owi Hache-Schroederowi z Paryża.

Sylvia Schnetzer moim liczącym ponad dwa tysiące stron rękopisem niezmordowanie „karmiła” rozmaite komputery, a mimo to dostarczała mi zdatne do korekty wydruki. W rękach Reginy M. Hartig natomiast spoczęło sporządzenie objaśnień do tekstu.

Dołączam wyrazy uznania dla wczuwającego się w dzieło i wspaiałomyślnego działu produkcji Wydawnictwa Gustava Lübbego. Arno Häringowi, Reinhardowi Bornerowi i wszystkim współpracownikom Oficyny moje *tante grazie!*

Są książki i źródła, które cytuję się z zawodowej odpowiedzialności, inne z pełnym wdzięczności uznaniem. To ostatnie dotyczy – *conditio sine qua non* – każdej pozycji, która zajmuje się czasami krucjat, przede wszystkim jednak Stevena Runcimana *Dziejów wypraw krzyżowych* oraz jego mniej znanego dzieła *Manicheizm średniowieczny*, Wyd. Marabut,

Gdańsk 1996. Z innych dzieł należy wymienić: Jean de Joinville *The Life of Saint Louis, Chronicles of the Crusades*, wyd. The Estate of M.R.B. Shaw, 1963. Ponadto chciałbym zwrócić uwagę na następujące prace: E.R. Labande *Quelques traits de caractère du roi Saint-Louis et son temps*, Paris 1876; Mateusz z Paryża *Chronica Maiora et Liber Abbimentorum*, wyd. H.R. Luard 1876-82; Elizabeth M. Hallam *Capetian France*, Longman House, Essex 1980; Alain Forey *The Military Orders*, MacMillian, 1992; Alain Demurger *Vie et mort de l'ordre du Temple*, Ed. du Seuil, 1989; C.E. Bosworth *The Islamic Dynasties*, wyd. Edinburgh University Press, 1967; Bernard Lewis *The Assassins, A Radical Sect in Islam*, Weidenfeld & Nicholson, London 1967; *Die Kreuzzüge aus arabischer Sicht*, wyd. Francesco Gabrieli, Winkler-dtv, 1973; *Kaiser Friedrich II*, wyd. Klaus J. Heinisch, Winkler-dtv, 1977; Jean Louis Bernard *Aux origines de l'Egypte*, Ed. R. Laffont, 1976; Jean Gimpel *The Medieval Machine*, Pimlico, 1976; Jim Bradbury *The Medieval Siege*, Boydell Press, 1992. Na koniec pozwalam sobie polecić swoje własne publikacje: *Franziskus oder das zweite Memorandum*, Goldmann, München 1989 oraz *Die Kinder des Gral*, Gustav Lübbe Verlag, Bergisch Gladbach 1991.

Peter Berling
Rzym, czerwiec 1993 r.

SŁOWNICZEK HISTORYCZNY

Ajbek, Izz ad-Din Ajbek – mamelucki wódz, którego po zamordowaniu ostatniego Ajjubidy obwołano pierwszym bahryckim sułtanem.

Ajjubidzi – arabska dynastia założona przez Saladyna, nazwana od imienia jego ojca Ajjuba.

Anioł z Karos – 1227-1262, bastard z rodu Marka I Sanudo; nazwał się „władcą archipelagu” (Cyklad) i „księciem Naksos”.

Asasyni – szyicko-izmailicka tajna sekta założona ok. r. 1090 przez Hasana ibn as-Sabbaha (zm. 1124). Główną jej siedzibą była górską twierdza Alamut w Persji. W r. 1176 asasyni usadowili się również w Syrii z ośrodkiem w twierdzy Masnat. Ich pierwszym wielkim mistrzem był szejek Raszid ad-Din Sinan, osławiony Starzec z Gór; przydomek ten nadawano później wszystkim jego następcom. Prężna organizacja sekty (z niej czerpali wzór templariusze) przewidywała wąski krąg wtajemniczonych (*da'i*) oraz drugi, ubiegających się o przyjęcie (*fida'i*), którzy mieli być ślepo posłuszni rozkazom – do poświęcenia życia włącznie. Termin „asasyn” wywodzi się z arab. *hasz-szaszi* – palacz haszyszu, członków sekty pomawiano bowiem o zażywanie narkotyków. W okresie krucjat sekta dokonywała licznych mordów polityczno-religijnych, stąd słowo „asasyn” stało się synonimem mordercy i w tym znaczeniu przetrwało w językach europejskich do dziś (por. np. fr. *assassin*).

Bajbars, Az-Zahir Rukn ad-Din Bajbars al-Bundukdari, zwany Łuczniakiem, emir – ur. 1211; po zamordowaniu sułtana Ajbeka przez sułtankę Szadszar ad-Dur zgładził w 1260 jego następcę Kutuzę i obwołał się sułtanem. Nie dane mu było dożyć ostatecznego wypędzenia chrześcijan z Ziemi Świętej. Zmarł w roku 1277 (Akka padła w 1291).

Boemud VI, książę Antiochii – ur. 1237, panował od roku 1251 do 29 V 1268, kiedy to księstwo zostało zdobyte przez mameluków.

Crean z Bourivanu – ur. w r. 1201, naturalny syn Jana Turnbulla i katarki Alazais z Estrombez (spalonej na stosie 3 V 1211 r.), wychowany pod nazwiskiem przybranego ojca na zamku Belgrave w południowej Francji. Jan Turnbull przekazał mu w lenno Blanchefort w Grecji, gdzie w r. 1221 Crean poślubił sukcesorkę Helenę Champ-Litte z Arcady; po jej nagiej śmierci przeszedł na islam i został przyjęty do zakonu syryjskich asasynów.

Dzieci Graala – Rosz (Roger) i Jeza (Jezabel, czyli Izabela), urodzeni ok. 1239-1240 r. Rodzice nieznani; być może, dzieci pochodziły z rodu Trencavela (Parsifala), wicehrabiego Carcassonne, może z rodu Perelhi (Pereille), kasztelana Montségur, albo z linii hohenstaufowskiej; spekulowano nawet, że jedno z nich jest dzieckiem cesarza i katarskiej szlachcianki. Mogły być przyrodnim rodzeństwem. W r. 1244, na krótko przed kapitulacją

Montségur, na polecenie Przeoratu Syjonu zostały przewiezione w bezpieczne miejsce do twierdzy Otranto przez rycerzy: Creana z Bourivanu (syna Jana Turnbulla), Zygisberta z Öxfeldu (z zakonu krzyżackiego) i Konstancjusza z Selinuntu, zwanego Czerwonym Sokolem; w przedsięwzięciu uczestniczył też Gawin Montbard z Béthune (templariusz).

Filip z Montfortu – jeden z najważniejszych baronów w Ziemi świętej, potomek sławnego Szymona z Montfortu, przywódcy krucjaty przeciwko katarom. Montfortowie usadowili się w Ziemi Świętej przede wszystkim w Tyrze.

Firuz – Saracen z Engandyny; bosman, potem kapitan triery należącej do hrabiny Otranto.

Fryderyk II – 1194-1250, syn niemieckiego cesarza Henryka VII i spadkobierczyni Normanów Konstancji d’Hauteville, wnuk cesarza Fryderyka I Barbarossy, od r. 1197 król Sycylii, od 1212 król niemiecki, a od 1220 cesarz. Poślubił kolejno: Konstancję Aragońską (zm. 1222), Izabelę de Brienne, królową Jerozolimy, zwaną Jolantą (zm. 1228) i Izabelę Elżbietę Angielską (zm. 1241). Z tych małżeństw, jak również z licznych związków pozamałżeńskich, pochodziło 4 ślubnych i 11 naturalnych dzieci. Wnuk Fryderyka II, Konrad V, zwany Konradynem, został stracony przez Karola z Anjou. Fryderyk II przejął podjęty przez jego dziada zamysł zjednoczenia Sycylii z Rzeszą Niemiecką i stąd przez całe życie pozostawał w gwałtownych sporach z papieżem. Krucjatę w latach 1227-1229 poprowadził obciążony ekskomuniką. W r. 1245 został zdetronizowany przez sobór w Lyonie. Zachował godność króla Sycylii. Jego dwór w Palermo uchodził za najwspanialszy na Zachodzie. W czasie trzydziestoletniego panowania przebywał w Niemczech nie dłużej niż cztery lata; rządził cesarstwem z Palermo i Apulii.

Gawin Montbard z Béthune, komandor templariuszy – ur. 1191; przełożony domu zakonnego w Rennes-le-Château; jako młody rycerz został wykorzystany w r. 1209 przez przywódców krucjaty przeciwko katarom, aby jako herold zaoferował Trencavelowi, wicehrabiemu Carcassonne, list żelazny. Słowo dane przez Gawina nie zostało dotrzymane przez jego mocodawców, wicehrabiego uwięziono i zgładzono.

Graal – wielka tajemnica katarów, wyjawiana tylko wtajemniczonym. Do dziś nie jest jasne, czy chodziło o jakiś przedmiot, kamień, kielich (z zebranymi kroplami krwi Chrystusa), czy też skarb lub wiedzę o rzeczach tajemnych, np. w jaki sposób dynastia wywodząca się od króla Dawida przeszła za pośrednictwem Jezusa z Nazaretu do Okcytanii. Istnieje również teoria, że nazwę „Święty Graal”, tj. „San Graal” powinno się czytać jako „Sang Réal”, tzn. „Królewska (Święta) Krew”. W alchemii Graal bywał niekiedy utożsamiany z „kamieniem filozoficznym”, łączono go także z rycerzami Okrągłego Stołu króla Artura.

Grand Da’i – w sekcie asasynów duchowy przywódca *fida’i* (zwolenników); *Da’i* znaczy mistrz, słowo *Grand* zostało dodane przez Franków (przez analogię do wielkiego mistrza); początkowo zakonom wystarczał również tytuł „mistrz”. Używane były także tytuły: *Da’i ad-Du’at* (przełożony Da’i) oraz *Da’i al-Kabir* (wyższy Da’i).

Hamo l’Estrange – ur. 1229, jedyny syn hrabiny Otranto; podobno ojcem Hamona nie był jej małżonek admirał, hrabia Malty, lecz albo mongolski książę, albo jakiś nieznajomy (*estrange* – nieznany).

Iwo Bretończyk – ur. ok. 1224, studiował w Paryżu teologię i arabski; otrzymał święcenia, ale stracił prawo do pełnienia funkcji kapłańskich, bo w r. 1244 zabił „w obronie koniecznej”

trzech królewskich sierżantów. Został przez króla Ludwika IX ulaskawiony i przyjęty do służby.

Jan I, hrabia Sarrebruck – nie uprawniony do dziedziczenia (adoptowany?) syn zmarłego w 1233 r. hrabiego Szymona III z linii Leininger. Hrabstwo przechodziło na jego szwagrow: Teodoryka Louf z Cleve i Amadeusza z Mümpelgardu.

Jan Turnbull – pseudonim Jana Odo z Mont-Sion; jego matką była przypuszczalnie Heloiza z Gisors, która chyba wbrew woli rodziny, wywodzącej się z prostej linii z rodu Payns (założycieli zakonu templariuszy) i hrabiów Chaumont, poślubiła Roderyka z Mont-Sion. Z tego morganatycznego związku urodził się w r. 1170 (lub 1180) Jan Odo. W latach 1200-1205 był sekretarzem Galfryda z Villehardouin, potem (1205-1209) pozostawał w służbie Gwidona II, biskupa Asyżu; w latach 1209-1216 uczestniczył w działaniach przeciwko Szymonowi z Montfortu; od roku 1216 do 1220 przebywał w służbie Jakuba z Vitry, biskupa Akki, potem w służbie sultana Al-Kamila; miał wielorakie związki z templariuszami i tajnym Przeoratem Syjonu.

Jan ze Joinville – ur. 1224 lub 1225 jako drugi syn hrabiego Joigny; po śmierci ojca i brata już około roku 1238 został dziedzicem hrabstwa, a około 1241 seneszalem Szampanii (tytuł i urząd seneszala Szampanii były dziedziczne i zastrzeżone dla jego rodziny); od r. 1244 pozostawał dorywczo w służbie króla Ludwika IX, potem towarzyszył mu w krucjacie przeciwko Egipcjom. Po wyprawie krzyżowej Joinville został doradcą królewskim. Z jego usług jako doradcy korzystał również następca Ludwika, Filip III. Uczynił on Joinville'a regentem hrabstwa Szampanii w czasie niepełnoletności Joanny, która potem poślubiła Filipa IV (zwanego Pięknym). Królowa Joanna około r. 1305 poprosiła starego seneszala, aby napisał *Żywot świętego Ludwika*. Joinville wykorzystał w tym celu swoje pamiętniki, które gromadził przez lata. Ukończył pracę w r. 1309 i dedykował ją delfinowi, późniejszemu Ludwikowi X. Zmarł w 1317 lub 1319 r.

Jan z Ronay – pełnił funkcję wielkiego mistrza joannitów, gdy zwierzchnik zakonu, Wilhelm z Châteauneuf, w r. 1244 w czasie wyprawy wojennej do Egiptu dostał się do niewoli.

Joachim z Fiore – mistyk (ok. 1130-1202), opat klasztoru cystersów San Giovanni di Fiore w Kalabrii, sławny z powodu swoich przepowiedni; przy urodzinach Fryderyka II przepowiedział miejsce („o nazwie kwiatu”) i okoliczności jego śmierci.

Joannici – zakon rycerski wywodzący się z bractwa przy szpitalu św. Jana w Jerozolimie, które jeszcze przed pierwszą krucjatą pielęgnowało tam chorych pielgrzymów. W r. 1099 prokurator szpitala Gerald z Prowansji zaproponował utworzenie zakonu, który w r. 1113 został zatwierdzony przez papieża Paschalisa II. W 1220 r. pierwszy wielki mistrz Rajmund z Puy (z Poggio) przekształcił zakon w zakon rycerski, a dotychczasowego patrona zakonu, Jana Jałmużnika, zastąpiono walecznym Janem Ewangelistą. Strojem zakonnym był czarny płaszcz, w boju – czerwona tunika z białym krzyżem. Od siedziby założycielskiej, szpitala w Jerozolimie, joannici byli także nazywani szpitalnikami. W r. 1291 (po upadku Akki) zakon wycofał się na Cypr, w r. 1309 na Rodos, a w r. 1530 na Malte, gdzie mieli siedzibę do r. 1798 (stąd nazwa: kawalerowie maltańscy). Dziś istnieje w Rzymie na obszarze eksterytorialnym jako suwerenny zakon maltański.

Kapetyngowie – dynastia królewska panująca od r. 987 (Hugo Kapet) aż do rewolucji francuskiej. Pod koniec XII w. dysponowała jedynie Ile de France z Paryżem, hrabstwami

Flandrii, Szampanii i Blois oraz księstwem Burgundii. Cała południowa Francja (Prowansja, królestwo Burgundii, Arelat i Lotaryngia) były wówczas częścią Rzeszy Niemieckiej, potężne hrabstwo Tuluzy wraz z Langwedocją stanowiło lenno aragońskie, a więc nie znajdowało się w posiadaniu Kapetyngów, podobnie jak wielkie księstwo Akwitanii (Guyenne, Poitou, Gascogne), które przez małżeństwo Eleonory przypadło Plantagenetom, roszcującym sobie także prawa do Normandii, Bretanii i Anjou (wraz z Maine, Marché i Touraine).

Karol, hrabia Anjou – brat Ludwika IX, króla Francji; poślubił Beatrycze z Prowansji, jednak Prowansja przypadła mu dopiero w r. 1267. W r. 1265 papież ogłosił go królem Neapolu. W r. 1266 Karol pokonał w bitwie pod Benewentem spadkobiercę Hohenstaufów Manfreda, a w r. 1268 pod Tagliacozzo ujął ostatniego Hohenstaufa, Konradyna, którego ściał. W r. 1277 uzyskał tytuł króla Jerozolimy. W r. 1282 z poduszczenia Aragonii powstała przeciwko niemu Sycylia (tzw. nieszpory sycylijskie). Ten często niedoceniany, imponujący polityk silnej ręki zmarł w r. 1285.

Kataryzm (gr. *katharós*, czysty) – średniowieczny ruch odnowy radykalnie odstępujący od Kościoła rzymskiego. Zrodzone w Langwedocji kacerstwo rozprzestrzeniło się za Pireneje, a poprzez Prowansję i Alpy dotarło do Lombardii i na Bałkany. Doktryna Czystych wywodziła się z tradycji wczesnochrześcijańskiej gminy, żydowskiej diaspory i celtyckiego druidyzmu. Pod wpływem gnozy i dualistycznego manicheizmu kataryzm rozwinął się w ciągu XII w. w niebezpieczną, przeciwstawną Rzymowi siłę; doprowadziło to do prześladowań, a nawet do zorganizowania krucjaty przeciw kacerzom. Ascetyczny tryb życia katarskiego kapłaństwa zjednywał heretykom ogromny dopływ prostych ludzi, ale także lokalna szlachta była oddana doktrynie, która w przeciwieństwie do stanowiska Kościoła rzymskiego nie zawierała roszczeń do sprawowania władzy świeckiej.

Klarion, hrabina Salentyny – ur. 1226, poczęta w Brindisi 9 XI 1225; w noc poślubną Fryderyk II zapłodnił Anals (córkę wezyra Fachr ad-Dina), druhnę Jolanty, z którą zawarł związek małżeński. Klarion wychowywała się w Otranto i otrzymała od Fryderyka tytuł hrabiny.

Konstancjusz, książę Selinuntu, Fassr ad-Din Oktaj – ur. 1215, syn wielkiego wezyra Fachr ad-Dina (z rodu mameluckiego) i chrześcijańskiej niewolnicy Anny, młodzieńczej miłości Zygisberta z Öxfeldu z czasów krucjaty dziecięcej. Nosił przydomek Czerwony Sokół. Został wychowany na dworze w Palermo i przez cesarza Fryderyka II pasowany na rycerza (stąd tytuł książęcy).

Królestwo Jerozolimskie – państwo utworzone w r. 1099 przez krzyżowców na terenie Palestyny i Syrii z ziem zdobytych w czasie pierwszej krucjaty; lenno papieskie. Było dziedziczne także w linii żeńskiej. Mąż sukcesorki nie zostawał automatycznie królem po śmierci żony. W ten sposób w 1229 stracił³ swój tytuł Fryderyk II, gdy Jolanta zmarła w porożu; pozostał jednak regentem (miał sprawować władzę za nowo narodzonego syna, Konrada IV). Ponieważ regent musiał być obecny w królestwie, Fryderyk przekazał regencję Alicji z Szampanii, która poślubiła Hugona I, króla Cypru. Hugo nazwał się nawet „tytularnym królem” Jerozolimy. Alicja zmarła w 1246, Hugo w 1247, a regencja przeszła na króla Cypru, Henryka I, ich syna. Królem był nadal Konrad IV Hohenstauf, a po nim od 1254 Konrad V (Konradyn). W 1259 regencję odziedziczył król Cypru, Hugo III, ale dopiero kiedy Konrad V (bezdzienny) został ścięty w 1268, Hugo III mógł się nazwać od 1269 królem

Jerozolimy. Uznano go jednak tylko w Tyrze, nie w Akce. Spór dziedziczny wykorzystał Karol Andegaweński i po śmierci Hugona III kupił sobie w Akce w 1278 prawa króla. Andegaweńczyk utrzymał tytuł aż do śmierci w 1285, a w 1286 przypadł on znowu królowi Cypru, Henrykowi II, który utrzymał go do czasu utracenia Akki w 1291 (upadek Królestwa Jerozolimskiego).

Krzyżacy – Zakon Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie, niemiecki zakon rycerski (*Ordo equitum teutonicorum*) został założony w r. 1190 pod Akką jako bractwo mające na celu pielęgnowanie chorych; w r. 1198 przekształcony w zakon rycerski (strój zakonny – biały płaszcz z czarnym krzyżem). W r. 1226, za czasów wielkiego mistrza Hermana von Salza, zakon osiadł w Prusach, w r. 1237 połączył się z zakonem kawalerów mieczowych. Po upadku Akki siedzibą zakonu była najpierw Wenecja, potem Malbork.

Laurencja z Belgrave, hrabina Otranto – ur. 1191, córka z morganatycznego małżeństwa Liwii de Septimsoliis-Frangipane z lordem Leonem Belgrave. Laurencja została przeoryszą klasztoru karmelitanek na Monte Sacro w Rzymie; w r. 1217 wypędzona z Italii przez inkwizycję, udała się do Konstantynopola. Właścicielka burdelu, później uprawiała piractwo i handlowała niewolnikami. „Przeorysza” – pod takim przydomkiem była znana – poślubiła w r. 1228 admirała cesarza Fryderyka II, Henryka, hrabiego Malty; odziedzyczyła po jego śmierci Otranto i trierę. Syn Laurencji Hamo urodził się w r. 1229. Hrabina Otranto przyjęła na wychowanie Klarion z Salentyny (ur. 1226).

Leonard di Peixa-Rollo – marszałek joannitów, Genueńczyk; genueńscy kupcy wspierali szpitalników; stale istniała ścisła więź między tą morską republiką a joannitami.

Ludwik IX Święty – 1214-1270, król Francji. Za jego rządów traktat z Meaux (w r. 1229) zakończył tzw. wojnę z albigensami, w r. 1244 padła główna twierdza katarów Montségur, a w r. 1259 król Anglii Henryk III, na mocy traktatu z Paryża, musiał ustąpić z ostatnich posiadłości na kontynencie. Król Ludwik, ożeniony z Małgorzatą z Prowansji, zorganizował dwie niepomyślnie krucjaty, VI i VII. W trakcie tej drugiej – będącej ostatnią w ogóle – zmarł w Tunisie.

Madulajn – ur. 1229, pochodziła z lokalnej szlachty Engandyny, która ok. 850 r. została podbita przez luźne arabskie oddziały. Najeźdźcy osiedli tam i mieszała się z pierwotnymi retyckimi mieszkańcami Gryzonii. Stąd tytuł Madulajn: księżniczka saraceńska. Alpejscy Saraceni (podobnie jak apulijscy i prowansalscy) byli zawsze procesarscy.

Małgorzata, królowa Francji – córka hrabiego Rajmunda Berengara IV z Prowansji. W r. 1234 poślubiła króla Ludwika IX. Ich synem i sukcesorem był Filip III Śmiały (*le Hardi*).

Montségur – najślawniejszy ze wszystkich katarskich zamków, zbudowany na stożkowatej górze w Ariège (hrabstwo Foix); w r. 1204 przekształcony w twierdzę. Po jej kapitulacji w r. 1244 obiecano oblężonym wolność, jeśli się wyrzekną kacerstwa; ponad dwustu katarów wybrało jednak dobrowolnie stos inkwizycji.

An-Nasir – ajjubidzki władca Aleppo, wnuk Saladyna; po zagarnięciu tronu w Kairze przez mameluków podporządkował sobie całą Syrię i obwołał się sułtanem Damaszku.

Okcytania – określenie krain historycznych na południu dzisiejszej Francji (m.in. Prowansji, Langwedocji, Gaskonii), gdzie w średniowieczu używano języka *oc* (*langue d'oc*). Okcytański obejmował liczne dialekty: prowansalski, langwedocki, gaskoński i inne.

Używany jeszcze dziś termin „język prowansalski” mylnie sugeruje ograniczenie *langue d'oc* wyłącznie do terytorium Prowansji.

Oliwer z Termes – ur. 1198; syn Rajmunda z Termes, który został zabity w r. 1211 po upadku Termes. Jego wuj Benedykt był katarskim biskupem Razes. Oliwer popierał ostatniego Trencavela; po jego upadku przeszedł pod sztandary Francji.

Przeorat Syjonu (fr. *Prieuré de Sion*) – niezwykle potężna i wpływowa tajna organizacja o niejasnym rodowodzie, która pod nazwą *Ordre de Sion* (Zakon Syjonu) została rzekomo założona przez Godfryda z Bouillon w 1090 lub 1099 roku, z siedzibą na górze Syjon pod Jerozolimą; miała jakoby doprowadzić do powstania w r. 1118 podporządkowanego sobie zakonu templariuszy. Po zdobyciu Jerozolimy przez Saracenów w r. 1187 Zakon Syjonu przeniósł się do Francji, gdzie rok później doszło do rozłamu między nim a rycerzami Świątyni (dotychczas wielki mistrz *Ordre de Sion* był także mistrzem templariuszy), lecz oba zakony nadal współdziałały. Od r. 1188 Zakon Syjonu zmienił nazwę na Przeorat Syjonu i wybierał już tylko własnych wielkich mistrzów. W czasach Ludwika IX wielką mistrzynią była Maria z Saint-Clair, wdowa po zmarłym w 1220 r. pierwszym wielkim mistrzu Janie z Gisors. Przeorat Syjonu miał podobno za zadanie zachować dynastyczną linię domu Dawida (krew królów); w wiekach średnich ostro przeciwstawiał się papieżom i dynastii Kapetyngów.

Renald z Vichiers – następca Wilhelma z Sonnacu na stanowisku wielkiego mistrza templariuszy (od r. 1250).

Robert, hrabia Artois – brat Ludwika IX, króla Francji; zginął w 1249r. w czasie wyprawy krzyżowej. Jego potomkami byli m.in. Karol Śmiały z Burgundii i Filip Piękny.

Robert z Sorbony – 1201-1274, kapelan i spowiednik króla Ludwika IX, w r. 1253 założył w Paryżu kolegium, które otrzymało jego imię – Sorbona.

Starkenberga – twierdza macierzysta zakonu krzyżackiego, położona w górach na północ od Akki, w r. 1189 nabyta dla zakonu przez kupców hanzeatyckich z Lubeki i odbudowana; krzyżowcy nazywali tę twierdzę także Montfort.

Szadszar ad-Dur, sułtanka – była niewolnicą pochodzenia tureckiego; urodziła sułtanowi syna, Halilę, który zmarł jako dziecko (nosiła zaszczytny przydomek matka Halilę). Została wyniesiona na tron, otrzymując tytuł sułtanki – rzecz bezprzykładna w dziejach islamu – co było wynikiem kompromisu, który rewolucji mameluków miał nadać pozór legalności. Ajbek poślubił sułtankę, jednak potem został zamordowany z jej rozkazu.

Tarik ibn-Nasir – kanclerz syryjskich asasynów podczas wakowania stanowiska wielkiego mistrza; od 1240 r. wielkim mistrzem był Tadz ad-Din.

Templariusze – data i okoliczności powstania zakonu pozostają niejasne. Zaraz po pierwszej krucjacie (1096-1099) i zdobyciu Jerozolimy kilku rycerzy (związanych pokrewieństwem z Bernardem z Clairvaux) otrzymało pozwolenie na osiedlenie się w budynku dawnej Świątyni. W r. 1118 pierwszy wielki mistrz Hugo z Payns zażądał uznania ich za zakon rycerski, co nastąpiło w r. 1220. *Sacrae domus militiae Templi Hierosolymitani magistri* zostali rozwiązani przez papieża w r. 1307 w wyniku procesu wytoczonego przez Filipa IV Pięknego, króla Francji. Ostatni wielki mistrz templariuszy Jakub z Molay zginął w r. 1314 spalony na stosie. Zakonników podejrzewano, że poza oficjalnymi zgromadzeniami odbywają sekretne posiedzenia kierowniczego grona (tajne kapituły); obwiniano ich też o istnienie

tajnej reguły zakonu i bluźniercze obrządki. W rzeczywistości upadek zawdzięczają tym, którzy zazdrościli im skarbu zgromadzonego w ciągu dwustu lat, oraz swym dłużnikom.

Trencavel z Carcassonne – Roger Rajmund II (1185-1209); po zdobyciu Carcassonne został otruty w więzieniu.

Turanszah, Al-Mu'azzam Turanszah – od 1239 r. panował jako wicekról w Dżazirze, w r. 1249 objął po swoim ojcu Ajjubie tron Damaszku i Kairu; w r. 1250 został w Egipcie zamordowany przez mameluków. W Syrii jego następcą został An-Nasir.

Wielki Plan – sporządzony prawdopodobnie przez Jana Turnbulla dla Przeoratu Syjonu tajny dokument, który w sposób zaszyfrowany przekazał informacje o przeznaczeniu dzieci.

Wilhelm, hrabia Salisbury – wnuk angielskiego króla Henryka II Plantageneta i pięknej Rozamundy, jego kochanki; a więc naturalny bratanek Ryszarda Lwie Serce.

Wilhelm z Châteauneuf – wielki mistrz joannitów w Akce (1244-1259); zaraz po objęciu stanowiska w bitwie pod Gazą dostał się do niewoli i wyszedł na wolność dopiero w r. 1251, w tym czasie funkcję wielkiego mistrza pełnił Jan z Ronay.

Wilhelm z Gisors – ur. 1219; pasierb i następca wielkiej mistrzyni Przeoratu Syjonu Marii z Saint-Clair.

Wilhelm z Sonnacu – wielki mistrz templariuszy od r. 1247 do 11 II 1250. Po nim objął tę funkcję Renald z Vichiers.

William z Roebruku – ur. 1222 we Flandrii, studiował jako minoryta (franciszkanin) w Paryżu, gdzie został nauczycielem domowym króla Ludwika IX (uczył monarchę języka arabskiego). W r. 1243 został wysłany przez króla jako kapelan na wyprawę krzyżową przeciwko katarskiemu Montségur. Tam dzięki zbiegowi okoliczności został włączony do akcji ratowania dzieci Graala, z którymi odtąd związał go los.

Wit z Viterbo – ur. 1208, przypuszczalnie naturalny syn Rajnera z Capoccio i Loby (Wilczycy), katarki. Ciągłe tyranizowany przez ojca, urzędującego „Szarego Kardynała”; przez kurie rzymską wyznaczony na oprawcę dzieci Graala; w Konstantynopolu padł ofiarą sztyletu asasyina.

Zygisbert z Öxfeldu – ur. 1195; służył pod swoim bratem Guntramem u biskupa Asyżu; w r. 1212 przyłączył się do krucjaty dziecięcej, dostał się do niewoli. Po uwolnieniu wstąpił do nowo założonego zakonu krzyżackiego i został zwierzchnikiem domu zakonnego (czyli komturem) w Starkenbergu.